

Neal Stephenson

REAMDE

Reamde

Przełożył
Wojciech Szypuła



CZEŚĆ I

Dziewięć smoków

PROLOG

Farma Forthrastów, północno-zachodnia Iowa

Święto Dziękczynienia

Richard uważnie patrzył pod nogi. Nie dość, że nie wszystkie krowie placki zamarzyły, to w dodatku na tych, które jednak ściał mróz, można było skręcić kostkę. Ograniczył się do bagażu podręcznego, więc między brunatnozielonymi kopczykami kluczył teraz w lekkich siatkowych butach do biegania (czarne, rozmiar jednaście); można by je prawie złożyć na pół i schować do kieszeni. Mógł rano iść do Walmarta i kupić jakieś solidne huty, ale uczestnicy rodzinnego zjazdu (w skrócie: ro-zjazdu) na pewno zauważyliby - i szeroko komentowali - taką ekstrawagancję.

Na prawo od niego dwa tuziny krewniaków stały w grupkach wzdłuż ogrodzenia z drutu kolczastego. Jedni strzelali w głąb wąwozu, inni przeładowywali broń. Tradycja narodziła się z potrzeby znalezienia rozrywki młodszym chłopcom, którym dłużyło się czekanie na indyka i placek z dyni. Dawniej, gdy po nabożeństwie dziękczynnym wracali do dziadka i zrzucali swoje miniaturowe płaszczyki oraz krawaty, natychmiast wybiegali z domu, i na złamanie karku pędzili pół mili przez pastwisko, żeby z karabinków i wiatrówek postrzelać w głąb wąwozu. Dzisiaj, kiedy dorośli i sami dochowali się dzieci, zjechali na ro-zjazd SUV-ami z bagażnikami pełnymi strzelb, sztucerów i pistoletów wszelkiej maści.

Drut zardzewiał, ale słupki z drewna żółtnicy nie spróchniały. Richard z Johnem, starszym bratem, postawili ogrodzenie czterdzieści lat temu, żeby uchronić bydło przed zbłądzeniem do wąwozu. Sam strumień był wprawdzie na tyle wąski, że dorosły mężczyzna jednym krokiem przeszedłby na jego drugi brzeg, ale bydło nie jest ani stworzone do kroczenia, ani hodowane ze względu na swój intelekt, z całą więc pewnością wymyśliłoby jakiś sposób na to, żeby na stromych i kruchych zboczach wąwozu wpakować się w tarapaty. Z tego samego powodu wąwóz idealnie nadawał się na strzelnicę. Lato było suche, jesień zimna, płytki strumień płynął pod cienką jak papier warstewką lodu, i z przeciwległego brzegu tryskały fontanny ziemi wszędzie tam, gdzie miękki grunt zatrzymywał kulę. Dzięki temu strzelcy mogli z łatwością poprawić nieudany strzał.

Przez ochronne słuchawki Richard słyszał głosy pomocnych gapiów:

- Trzy cale za nisko.

- Sześć cali na prawo.

Łoskot strzelb, trzask karabinków i *pom! pom! pom!* pistoletów, przytłumiony elektroniką słuchawek (miękkich dla ucha, ale zamkniętych w twardej skorupie ze sterzącymi pokrętłami potencjometrów), które wczoraj w ostatniej chwili dorzucił do torby, przypominał ciche tupanie.

Cały czas odruchowo się wzdrygał. Promienie nisko wiszącego słońca padały wprost na wysoki na dwieście stóp wiatrak elektrowni wiatrowej, wybudowany na polu po drugiej stronie strumienia; łopaty wirnika rzucały na strzelców długie, kose cienie. Richard instynktownie wyczuwał pośpieszne zbliżanie się płata mroku, który omiatał go bez żadnego widocznego efektu, zaraz ustępując miejsca następnym. Każde przejście cienia łopaty na chwilę wyłączało i włączało słońce. To wszystko było dla niego nowe. W młodości tylko silosy na zboże dowodziły istnienia świata za horyzontem, z czasem jednak zostały zastąpione i pomniejszone przez te gigantyczne wieże wznoszące łby nad prerią. Tylko one w tym krajobrazie budziły nabożną trwogę. Ich nieustanny ruch - w miejscu, gdzie wszystko inne tkwiło w patologicznym bezruchu - przykuwał uwagę. Miało się wrażenie, że wyskakują zza węgła.

Mimo smagającego wiatru drobne mięśnie twarzy Richarda i skóry opinającej czaszkę (rodzice bólów głowy) były odprężone pierwszy raz, odkąd wrócił do Iowa. Kiedy podczas rozjazdu przebywał w miejscach publicznych - w holu *Ramady*, w domu na farmie, na bocznym podwórku podczas gry w futbol - nieustannie czuł, że wszystkie oczy są zwrócone na niego. Tutaj było inaczej, tu każdy musiał przede wszystkim uważać na broń, pilnować, żeby lufa była cały czas skierowana na drugą stronę drutu kolczastego. Kiedy ktoś go w ogóle zauważał, to tylko odwracając się do sąsiada, żeby zamienić z nim dwa, trzy słowa, artykułowane BAR-DZO WY-RAŻ-NIE z powodu słuchawek.

Młodszy krewni, powinowate żółtodzioby i inne dziewiąte wody po kisielu nazywały go „Dickiem”, którego to zdrobnienia nigdy nie używał, ponieważ w czasach jego młodości kojarzyło się z Nixonem. Wolał być „Richardem”, reagował także na przezwisko „Dodge”. Podczas długiej jazdy samochodem z odległych przedmieść Chicago, Minneapolis czy St. Louis, rodzice tłumaczyli dzieciakom pokrótce, kto jest kim; niektórzy podpierali się przy tym wydrukiem drzewa genealogicznego uzupełnionym plikiem fotografii. Richard był pewien, że kiedy zapuścili się na jego gałąź - a była to gałąź długa, sucha i pozbawiona rozwidleń - ich oczy przybierały szczególny wyraz, jaki dzieci odczytywały w lusterku wstecznym, a w ich głosie pojawiały się nuty, które w tych okolicach wyrażają więcej niż

kiedykolwiek wolno było wyrazić słowem. To samo wyczytywał z ich twarzy, widząc ich teraz rozstawionych w szeregu jak na strzelnicy. Niektórzy woleli nie patrzeć mu w oczy, inni z kolei patrzyli aż nazbyt odważnie, jakby chcieli zademonstrować, że wiedzą o nim wszystko.

Wziął do ręki złamaną dubeltówkę, podaną przez noszącego kapelusz w maskujących kolorach krępego mężczyznę, w którym z niejakim trudem rozpoznał drugiego męża swojej dalekiej kuzynki Willi. Zwróciwszy twarz (i dubeltówkę) w stronę ogrodzenia, stanął tyłem do właściciela broni, zębami ściągnął lewą rękawicę, i gołą ręką wsunął dwa naboje do rozgrzanych luf. Kilkanaście metrów za drutem kolczastym, w miejscu, gdzie ziemia zaczynała stromo opadać w głąb wąwozu, ktoś ustawił w rzędzie niedobitki dyń ocalałe z Halloween; większość z nich zdążyła się już pod ostrzałem zmienić w nadzienie do placka, rozbryźnięte wśród uschniętego brunatnego zielska. Richard złożył strzelbę, uniósł do ramienia, wtulił kolbę w bark, przeniósł ciężar ciała do przodu i pociągnął za pierwszy spust. Dubeltówka kopnęła go w ramię, a dynia podskoczyła i próbowała się odturlać, ale ustrzelił ją z drugiej lufy. Złamał broń, wyrzucił gorące łuski na ziemię, i skinąwszy z aprobatą głową, oddał strzelbę właścicielowi.

- Dużo strzelasz w swoim zamku, Dick? - zapytał stojący obok dwudziestolatek: pasierb Willi. Mówił bardzo głośno, choć trudno byłoby orzec, czy winne są sterczące mu z uszu zatyczki z pomarańczowej pianki, czy sarkazm samego pytania.

Richard się uśmiechnął.

- Wcale. W całym poświęconym mi haśle w Wikipedii prawie nic nie jest prawdą.

Chłopak przestał się uśmiechać. Spojrzał nerwowo na warte dwieście dolców elektroniczne słuchawki Richarda i gwałtownie spuścił wzrok, jakby w poszukiwaniu krowich placków.

Ostatnio na Wikipedii panował względny spokój, ale w przeszłości wpis dotyczący Richarda był areną burzliwych walk toczonych przez tajemniczych ludzi, znanych tylko z adresów IP, którzy uparcie podkreślali takie aspekty jego życia, które teraz - choć ściśle rzecz biorąc, prawdziwe - uderzały go jako kompletnie nieistotne. Na szczęście działa się to już po tym, gdy tata podupadł na zdrowiu i nie był w stanie obsługiwać myszki. Młodszy Forthrastowie nie mieli takich problemów.

Odwrócił się plecami do chłopaka i spacerowym tempem ruszył w kierunku, z którego przyszedł. Nie przepadał za strzelbami, dlatego zostały zesłane na sam koniuszek szeregu strzelców. Znacznie bliżej, nieopodal znieruchomiałej kawalkady porzuconych w nieładzie SUV-ów, dzieciaki w wieku od ośmiu do dziesięciu lat (pod czujnym okiem stłoczonych

wokół nich dorosłych) prowadziły kanonadę z jednostrzałowych dwudziestek dwójek.

Dokładnie przed sobą miał w tej chwili grupę pięciu młodych mężczyzn w wieku około dwudziestu lat, wokół których orbitowała para zaciekawionych piętnastolatków. W centrum uwagi znajdował się karabin szturmowy - prawdziwa wojskowa zabawka, bez drewnianych okładzin, bez kamuflażu, niepróbująca udawać broni myśliwskiej. Właścicielem karabinu był Len, syn kuzynki Richarda, student entomologii na University of Minnesota. W zaczerwienionych, chłostanych zimnym wiatrem dłoniach trzymał pusty magazynek na trzydzieści nabojów. Richard patrzył (mrużąc oczy za każdym razem, gdy gdzieś za jego plecami huknął strzał ze strzelby), jak Len wciska do magazynka trzy naboje i podaje go chłopakowi trzymającemu karabin. Następnie Len stanął za plecami chłopaka i cierpliwie, krok po kroku, pokazywał mu, jak zainstalować magazynek, wprowadzić nabój do komory i odbezpieczyć broń.

Richard ominął ich szerokim łukiem i natrafił na luźne skupisko mężczyzn w starszym wieku. Jedni odpoczywali na składanych stołeczkach z maskującej tkaniny, inni strzelali z wielgachnych starych rusznic. Tutaj nastrój bardziej mu się podobał, ale intuicyjnie wyczuł (może był przeczulony?), że wszystkim ulżyło, kiedy sobie poszedł.

Warto się było irytować? Pojawiał się na tych ro-zjazdach co dwa, trzy lata, nie częściej. Wiek i okoliczności pozwoliły mu na luksus objęcia pozycji rodzinnego specjalisty od genealogii - to on zestawiał te drzewa genealogiczne, którymi mamy epatowały potem swoje pociechy w SUV-ach. Gdyby udało mu się na kilka minut zebrać ich wszystkich w jednym miejscu, przekonać, żeby go posłuchali, a potem opowiedzieć o właścicielach i użytkownikach pewnych egzemplarzy broni, która łomotała teraz wzdłuż ogrodzenia (oczywiście nie miał na myśli glocków ani nowoczesnych wojskowych karabinów, tylko stare rewolwery bez samonapinaczy, M1911 i błyszczące winchestery model 94), zrozumieliby, że jeśli nawet to, co robił w przeszłości, nie odpowiada ich wizji dobrych uczynków, to i tak jest bliższe rodzinnej tradycji niż ich współczesny styl życia.

Ale po co w ogóle się tak wściekać?

Pogrążony w takich rozmyślaniach napatoczył się na grupkę dwudziestoparolatków zajętych strzelaniem z broni krótkiej. Nie umiałby powiedzieć, co dokładnie zwróciło jego uwagę, ale sprawiali zupełnie inne wrażenie od tych, którzy stłoczyli się wokół Lena. Przyjechali z dużego miasta. Prawdopodobnie na wybrzeżu. Prawdopodobnie na zachodnim wybrzeżu. Nie z Los Angeles. Raczej gdzieś między Santa Cruz i Vancouver.

Jeden z nich, z przydługimi włosami i z tatuażami wystającymi spod rękawów pięciu warstw polaru i przeciwdeszczowych syntetyków, którymi bronił się przed Iowa, trzymał w

rękach glocka 17 i w skupieniu pakował dziewięciomilimetrowe pociski w oddaloną o czterdzieści stóp plastikową butelkę po mleku. Za jego plecami stała kobieta, śniadoskóra i ciemnowłosa jak nikt inny w okolicy, w okularach w grubej oprawce, które Richardowi kojarzyły się z generacją X, chociaż określenie „generacja X” w tej chwili należało już pewnie do zamierzchłej przeszłości. Uśmiechała się, widać było, że dobrze się bawi. I była zakochana w młodym strzelcu.

Ten brak skrępowania w okazywaniu uczuć, bardziej niż włosy czy ubranie dowodził, że są nietutejsi. Richard, który się tu wychował, wyrobił sobie ostrożny, surowy, twardy styl bycia; takie piętno Iowa odciskała na wszystkich swoich mężczyznach. Przepłoszył nim pół tuzina dziewcząt, zanim w końcu udało mu się go choć w części złagodzić - a i tak w każdej chwili mógł go spuścić jak kratę w zamkowej bramie, gdyby znów miał się okazać użyteczny.

Młoda kobieta odwróciła się do niego i podniosła ręce w różowych rękawiczkach w geście, który u mężczyzny oznacza „Przyłożenie!”, a u kobiety „Zaraz cię uściskam!”. Uśmiechając się, mówiła coś do niego, ale przytłumiona słuchawkami seria dziewięciomilimetrowych strzałów poszatkowała jej słowa na strzępy.

Richard się zawahał.

Na twarzy dziewczyny odmalował się załazek szoku, gdy uświadomiła sobie *Nie pamięta mnie!*, ale w tej samej chwili - i dzięki tej właśnie minie - Richard ją rozpoznał i cały się rozpromienił.

- Sue! - wykrzyknął i natychmiast (czasem warto być rodzinnym genealogiem) się poprawił: - Zula!

Podszedł bliżej i ostrożnie ją objął. Pod wieloma warstwami ubrania była chuda jak patyk - jak zwykle. Ale silna. Wspięła się na palce, przytuliła policzek do jego policzka, a potem odskoczyła i wylądowała na obcasach olbrzymich, grubych buciorów.

Wiedział o niej wszystko - i nie wiedział nic. Musiała mieć dwadzieścia parę lat, była pewnie ze dwa lata po studiach. Kiedy ostatnio się widzieli? Chyba jeszcze wtedy studiowała. A to oznaczało, że przez te kilka lat, kiedy on w swoim roztertaniu na śmierć o niej zapomniał, przeżyła całe życie.

W tamtym okresie jej wygląd i tożsamość dokładnie odpowiadały jej pokręconej historii: sierota z Erytrei, wyłowiona przez misjonarzy z sudańskiego obozu dla uchodźców, adoptowana przez Patricję, siostrę Richarda, i jej męża, Boba. Drugi raz została sierotą, gdy Bob zwiął z domu, a Patricia zginęła tragicznie. John i Alice adoptowali ją ponownie, żeby mogła spokojnie skończyć szkołę średnią.

Pogrzebawszy chwilę w pamięci, odkopał jakieś mętne wspomnienia ostatnich paru

bożonarodzeniowych listów od Johna i Alice i spróbował domyślić się reszty. Zula studiowała gdzieś niedaleko stąd... Iowa State?

Zajęła się czymś praktycznym, zrobiła dyplom inżyniera, znalazła pracę, przeprowadziła się.

- Świetnie wyglądasz! - powiedział, ponieważ należało wreszcie coś powiedzieć, a taka uwaga wydała mu się nieszkodliwa.

- Ty też.

Trochę go to zbiło z tropu, ponieważ była to ewidentna bzdura.

Minęło prawie czterdzieści lat od dnia, w którym Richard i jego koledzy pędzili na złamanie karku lokalną drogą, przejęci jakąś niedorzecznie nastoletnią misją, gdy w pewnym momencie utknęli za wlokącą się niemiłosiernie półciężarówką miejscowego farmera. Jeden z chłopaków (zapewne wspomagany narkotykiem) zauważył podobieństwo - które, gdy ktoś już zwrócił na nie uwagę, było nieodparte - między szeroką i ogorzałą facjatą Richarda i tyłem snującego się przed nimi czerwonego pick-upa. Stąd wzięła się ksywa „Dodge”, a on cały czas się zastanawiał, kiedy w końcu dorobi się orlich rysów i szlachetnej siwizny mężczyzn z reklam leków na prostatę, którzy najchętniej latali hydroplanami na sielankowe wyprawy wędkarskie. Zamiast tego stawał się coraz obszerniejszą i bardziej cętkowaną wersją samego siebie w wieku lat trzydziestu pięciu.

Za to Zula naprawdę wyglądała świetnie: pół Arabka, pół Murzynka, z charakterystyczną domieszką włoskiej krwi i spektakularnym nosem, który w innej rodzinie i innych okolicznościach poszedłby pewnie pod nóż, ona jednak uznała, że wygląda kapitalnie - zwłaszcza kiedy osadzi się na nim te ogromne okulary. Nikt nie wziąłby jej za modelkę, ale z całą pewnością znalazła swój styl. Richard mógł się tylko domyślać, jakiego rodzaju feromony rozsiewa Zula wśród rówieśników, dla niego jednak uroczo pociągający był wizerunek, w którym bibliotekarka z nadprzestrzeni łączyła się z maniaczką komputerową. Wydawała mu się atrakcyjna w sposób, który był jak najdalszy od obleśności.

- To jest Peter - oznajmiła, kiedy jej chłopak opróżnił magazynek glocka.

Richard z aprobatą patrzył, jak sprawdza komorę, wyjmując pusty magazynek i jeszcze raz zagląda do komory, zanim przełożył broń do lewej ręki i wyciągnął prawą na powitanie.

- Peter, to mój wujek, Richard - powiedziała Zula, a kiedy uścisnęli sobie dłonie, dodała: - A wiesz, że wujek mieszka całkiem niedaleko od nas?

- W Seattle? - zdziwił się Peter.

- Mam tam apartament - przytaknął Richard. Czuł się jak frajer i sztywniak, w dodatku był zażenowany: jego bratanica mieszkała w Seattle, a on o tym nie wiedział! Co by na to

powiedzieli na ro-zjeździe? - Ale ostatnio więcej czasu spędzam w Elphinstone - dodał w charakterze usprawiedliwienia. - Kolumbia Brytyjska - dorzucił na wypadek, gdyby Peterowi nic ta nazwa nie mówiła.

Jednakże na twarzy Petera już odmalowała się czujność i zainteresowanie.

- Podobno macie tam świetne tereny snowboardowe?

- Nie mam pojęcia o snowboardzie, ale tak w ogóle, to tam faktycznie jest cholernie ładnie.

Zula też była zażenowana.

- Przepraszam, że się nie odzywałam, wujku. Naprawdę zapisałam sobie, żeby to zrobić.

Ta sama kwestia w ustach innych ludzi byłaby po prostu uprzejmym banałem, ale Richard wiedział, że Zula naprawdę ma listę spraw do załatwienia i gdzieś na niej znajduje się pozycja „Zadzwoń do wujka Richarda”.

- To moja wina, powinienem był rozłożyć czerwony dywan na powitanie.

Ładując naboje do magazynków, zaczęli nadrabiać zaległości w wymianie informacji. Zula skończyła geologię i informatykę na Iowa State University i cztery miesiące temu przeprowadziła się do Seattle, znalazłszy pracę w nowej firmie z branży geotermicznej, która zamierzała zbudować pilotażową elektrownię nieopodal Mt. Rainier - olbrzymiej wulkanicznej strzelby wycelowanej prosto w głowę Seattle. Zula chciała się tam zajmować komputerowym modelowaniem podziemnego przepływu ciepła. Richard z fascynacją słuchał płynącego z jej ust specjalistycznego żargonu; był zachwycony, że jej mózg znalazł zajęcie godne jego nieprzeciętnej mocy. W liceum Zula była spokojną szarą myszką, jakby aż za dobrze zasymilowała się w towarzystwie dzieci, które łatwo zadowolają się prostymi, małomiasteczkowo-farmerskimi osiągnięciami. Sue - prawdziwa amerykańska dziewczyna, w której oficjalnych dokumentach przez przypadek figuruje imię Zula. Dopiero później nawiązała kontakt ze swoją zulowatością.

- I co się stało? - spytał Richard, zwróciwszy uwagę, że Zula starannie dobiera słowa, ograniczając się do „chciałam” i „zamierzałam”.

- Kiedy przyjechałam, w firmie panował chaos - odparła zafascynowana. Przeprowadzka z Erytrei do Iowa z pewnością jest dla młodego człowieka cenną okazją do zapoznania się z różnymi obliczami chaosu. - Coś dziwnego wydarzyło się z pieniędzmi. Fundusz hedgingowy, który miał nas finansować, okazał się zwykłą piramidą... A miesiąc temu ogłosił upadłość.

- I jesteś bezrobotna - podsumował Richard.

- Tak też można to ująć. - Zula się uśmiechnęła.

W ten sposób Richardowi przybył nowy punkt na liście, która - w odróżnieniu od listy Zuli - była mieszanką dręczących go zmartwień, niesprecyzowanych zamysłów i mętnych długów karmicznych, i którą stale nosił w głowie: *Zalutwić Zuli pracę w Korporacji 9592*. Miał nawet całkiem przekonujący pomysł, jak się do tego zabrać; to będzie łatwizna. Znacznie trudniej zapowiadało się jednoczesne wsparcie Zuli i nieudzielenie pomocy innym bezrobotnym na ro-zjeździe.

- Co wiesz o magmie? - zagadnął.

Spojrzała na niego z ukosa.

- Pewnie więcej od ciebie.

- Robisz symulacje przepływu ciepła. Umiałabyś modelować przepływ magmy?

- Są pewne możliwości...

- Tensory? - spytał Richard.

Nie miał pojęcia, co to są tensory, ale zauważył, że kiedy matematyczne dziwolągi zaczynają się przerzucać tym słowem, znaczy to, że zmierzają z grubsza w kierunku, który może w przyszłości zaowocować jakimiś konkretami.

- Chyba tak - odpowiedziała trochę nerwowo Zula.

Richard zorientował się, że palnął głupstwo.

- To ważne, ogromnie ważne, żeby dobrze wyszło.

- Chodzi o tę twoją firmę od gier?

- Tak, chodzi o moją firmę od gier. Tę z listy Fortune 500.

Zula zamarła w tej czujnej pozycji, bokiem do niego, i próbowała rozstrzygnąć, czy robi ją w balona.

- Od tego zależy stabilność światowych rynków walutowych - dodał.

Nie chwyciła przynęty.

- Później porozmawiamy. Znasz kogoś z chorobą spektrum autystycznego?

- Tak! - przytaknęła i wytrzeszczyła oczy.

- Dałabyś radę z nim pracować?

Zula przeniosła wzrok na Petera, który miał kłopot z naładowaniem pistoletu: usiłował wcisnąć naboje do magazynka tyłem naprzód, co zresztą Richard zauważył już dobre pół minuty wcześniej i trochę się tym zaniepokoił. Zastanawiał się, w jaki sposób zwrócić Peterowi uwagę, żeby nie poczuł się upokorzony, kiedy ten nagle sam doszedł do właściwych wniosków i obrócił magazynek w dłoń.

Widząc wcześniej, jak radzi sobie z pistoletem, Richard przypuszczał, że chłopak miał

już do czynienia z bronią, teraz jednak zmienił zdanie: było całkiem możliwe, że Peter pierwszy raz w życiu trzyma w dłoni pistolet. Na pewno jednak szybko się uczył. Jak prawdziwy samouk. Wszystko, co techniczne, logiczne, dające się ująć w ścisłe reguły, było dla niego zrozumiałe, i dobrze o tym wiedział. Dlatego nie prosił o pomoc, bo szybciej było rozgryźć problem na własną rękę, niż cierpliwie znosić podejmowane w dobrej wierze wysiłki zmierzające do wyedukowania go - i przy okazji stworzenia więzów emocjonalnych. Miał szczególny talent, który go wyróżniał; coś, co potrafił robić lepiej niż inni ludzie.

- A ty co ostatnio porabiasz, wujku? - spytała z uśmiechem Zula. Może i nawiązała kontakt ze swoją zulowatością, ale na wszelki wypadek trzymała swoją sue'owatość w pogotowiu. Właśnie na takie okazje.

Odpowiedź „Czekam na raka” byłaby nazbyt szczerą. „Zaciekle bronię się przed depresją” sugerowałyby z kolei, że dzisiaj też jest przygnębiony, a to nie była prawda.

- Martwię się deformacją palety barw - odparł.

Peter i Zula sprawiali wrażenie dziwnie usatysfakcjonowanych tą niby-odpowiedzią, jakby idealnie wpasowała się w ich wyobrażenie mężczyzny po pięćdziesiątce. A może Zula zdążyła już opowiedzieć Peterowi wszystko, co wie (i czego się domyśla) na temat Richarda, i uznali, że lepiej się nie dopytywać.

- Przyleciałeś z przesiadką w Seattle? - spytał Peter, nieco zbyt pośpiesznie przeskakując do ostatniego koła ratunkowego w rozmowie, czyli tematu podróży.

Richard pokręcił głową.

- Pojechałem samochodem do Spokane, to są trzy, cztery godziny jazdy, zależnie od śniegu i kolejek na granicy. Stamtąd bezpośrednim samolotem do Minneapolis, gdzie wypożyczyłem duży, wypasiony amerykański wóz i przyjechałem tutaj.

Skinął głową w stronę drogi, gdzie kasztanowy mercury grand marquis przesłaniał ze dwa zodiakalne gwiazdozbiory.

- To dla niego wymarzone miejsce - orzekł Peter. Spojrzał w kierunku farmy, a potem z miną niewiniątka zerknął na Richarda.

Reakcja Richarda na te słowa była znacznie bardziej złożona, niż Peter mógł to sobie wyobrazić. Ucieszył się, że Peter i Zula rozpoznali w nim dobrego kumpla i zaprosili go, żeby dzielił z nimi cierpkie poczucie humoru. Z drugiej strony - wychował się na tej farmie i jakaś część jego natury nie była zachwycona ich zachowaniem. Domyślał się, że zdążyli już się pochwalić ro-zjazdem na Facebooku i Twitterze; hipsterzy w kafejkach w San Francisco na pewno ROFLują już i OMGują na widok zdjęć Petera z glockiem.

Nagle jednak zabrzmiał mu w uszach głos jednej z jego byłych: napominała go, że jest

za młody na to, żeby zrzędzić jak stetryczały dziadek. A głos drugiej przypomniał mu, że kiedy w Minneapolis wypożyczał olbrzymiego grand marquisa, sam chciał, żeby miało to ironiczny wydźwięk.

Byłe dziewczyny Richarda dawno zniknęły z jego życia, ale ich głosy nieustannie mu towarzyszyły. Przemawiały do niego jak muzy. Albo jak lurie. Tak jakby siedem superego, ustawionych niczym pluton egzekucyjny naprzeciw jednego zaszczutego id, pilnowało, żeby przypadkiem nie wypaliło tego ostatniego papierosa.

Całą tę wewnętrzną złożoność Richarda Peter i Zula odebrali zapewne jako nagłe wycofanie się z rozmowy, być może pierwszą oznakę starczej demencji. Nic nie szkodzi.

Magazyneki zostały nabite na tyle, na ile pozwalały przemarznięte palce, i najpierw Zula, a potem Richard oddali po kilka strzałów z glocka. Zanim skończyli, kanonada przy ogrodzeniu niemal zupełnie ucichła. Amunicja się kończyła, ludzie marzli, dzieci zaczynały marudzić, broń dopominała się o wyczyszczenie. Złożone stołeczki lądowały w bagażnikach SUV-ów. Zula poszła pościskać się z kuzynkami, potrajkotać i popiszczęć z zachwytem.

Richard schylił się (przyszło mu to z nieco większym trudem niż dawniej) i zaczął zbierać łuski z ziemi. Kątem oka zauważył, że Peter poszedł w jego ślady, szybko jednak się poddał, ponieważ wolał trzymać się blisko Zuli - nie interesowały go wprawdzie pogaduszki z orszakiem jej kuzynek, ale też nie chciał zostawiać jej samej. Bezustannie się rozglądał, czy nic jej nie grozi; był czujny i opiekuńczy w sposób, który Richard zarazem podziwiał i miał mu za złe - zwłaszcza że sam wcale nie był aż tak zadufany w siebie, żeby nie przyznać się do ukłucia zazdrości na widok tego samozwańczego obrońcy Zuli.

Peter spojrzął ponad prerię w stronę domu, odwrócił wzrok... i znów obrzucił dom badawczym spojrzeniem.

Wiedział. Zula mu powiedziała, co się przytrafiło jej adopcyjnej matce. A on pewnie sprawdził w Google i dowiedział się, że pioruny zabijają od pięćdziesięciu do sześćdziesięciu osób rocznie. Rozumiał również, że Zula nie chce o tym mówić, ponieważ ludzie uważają śmierć od pioruna za tak dziwaczną, że podejrzewali ją o żarty.

* * *

Grand marquis blokował wyjazd SUV-owi pełnemu dzieci i mam, które miały serdecznie dość huku i zimna. Richard - zadowolony z pretekstu do ulotnienia się - pośpieszył w stronę samochodu, przechodząc między Peterem i Zulą.

- Jadę do miasta - poinformował ich dyskretnie, co w praktyce oznaczało, że wybiera się do Walmarta.

Wsiadł do olbrzymiego mercury'ego, usłyszał szcęk otwieranych tylnych drzwi i

zobaczył w lusterku, że Peter i Zula wślizgują się na sprężynującą tylną kanapę. Drzwi z przodu po stronie pasażera też się otworzyły i na fotelu usiadła kolejna dwudziestoparolatka; Richard wiedział, że powinien ją znać, ale jej imię wyleciało mu z głowy. Będzie musiał wygrzebać je z pamięci podczas jazdy.

Rozrywkowe dzieciaki głośno komentowały grand marquisa, gdy Richard ostro dodał gazu i wyjechał na drogę. Bawili się setnie; uznali nawet, że Richard jest trendy. Dziewczyna siedząca z przodu przyznała, że nigdy nie widziała „takiego samochodu”, mając chyba na myśli sedana. Richard poczuł się znacznie gorzej, niż gdyby był po prostu stary.

Przez jakieś pięć minut przerzucali się wesołymi tekstami, a potem jak na komendę ucichli. Peter niespecjalnie się wrywał do opowiadania o sobie, co Richardowi zupełnie nie przeszkadzało. Ludziom z tytułami i wizytówkami z łatwością przychodzi opowiadanie o tym, co robią i jak zarabiają na życie, ale ci, którzy pracują sami i zajmują się skomplikowanymi sprawami, szybko się uczą, że w zwykłej rozmowie towarzyskiej nie warto wchodzić w szczegóły. Lepiej od razu zejść na podróżę lotnicze.

Przemarznięte kończyny wysysały całą energię z mózgow. Patrzyli przez okna na ścięty mrozem krajobraz zachodniej Iowa. Przybysze z innych stron mieliby kłopot z odróżnieniem wschodniej części stanu od zachodniej; prawdę mówiąc, mieliby kłopot również z odróżnieniem Ohio od Dakoty Południowej. Jednakże kiedy Richard, który tu się wychował i wziął udział w niezliczonych pirackich eskapadach i indiańskich zasadzkach, wyczuł delikatne nachylenie terenu, był przekonany, że właśnie przekraczają granicę między Środkowym Zachodem a Dzikim Zachodem, tak jakby po jednej stronie strumienia rozciągała się kraina, której mieszkańcy, zajęci grabieniem czerwonych liści zaścielających wilgotne czarnoziemy, słuchają radiowych transmisji z uniwersyteckich rozgrywek futbolowych - a po drugiej kraj, w którym strzały non stop dziurawią człowiekowi kapelusz.

Grunt obniżał się również w kierunku północ-południe. Na południu znajdowały się Missouri i Kansas, skąd w okresie wojny secesyjnej - jak wynikało z badań Richarda - przybyła ta właśnie gałąź rodu Forthrastów, uciekając przed terrorem szwadronów śmierci. W pogodny dzień, taki jak dzisiejszy, prawie, prawie było widać, jak powierzchnia ziemi zakrzywia się ku biegunowi północnemu. Dotarłszy w te okolice, północolubni Forthrastowie poszli chyba po rozum do głowy, i czując, jak lodowate paluchy mrozu wciskają im się za pazuchę i zaczynają ich obmacywać, zatrzymali się w tym pochodzie na północ i zapuścili korzenie - nie w taki sposób, jak stare orzechy nad strumieniem, lecz bardziej jak jeżyny i dmuchawce, które plenią się gęsto wszędzie tam, gdzie fartowne ziarenko spadnie na ziemię i wczepi się w kawałek niepilnowanego gruntu.

Walmart wyglądał jak statek kosmiczny, który wylądował na polu soi. Richard minął część spożywczą, aptekę, centrum optyczne i zaparkował na samym końcu, przy dziale przemysłowym. Wyznaczone tu miejsca parkingowe przeznaczono dla pełnowymiarowych pick-upów - bardzo użyteczny szczegół w obecnej sytuacji.

Weszli do środka. Młodzież, szurając nogami, zatrzymała się przy wejściu, gdy zastępujący im dusze zmysł ironii został porażony sygnałem o oszałamiającej mocy. Richard szedł dalej, ponieważ on jeden miał misję do wykonania. Znalazł sposób na to, żeby wnieść do atmosfery ro-zjazdu coś od siebie, nie ryzykując przy tym skręcenia kostki na którymś z przemyślnie rozłożonych na jego drodze krowich placzków. Szedł tak długo, aż wszystko w polu jego widzenia przybrało barwy maskujące lub ogniście pomarańczowe, po czym rozejrzał się w poszukiwaniu stoiska z amunicją. Starszy mężczyzna w niebieskiej kamizelce oparł pomarszczone dłonie na szklanej ladzie; wyglądał jak barman z Dzikiego Zachodu. Richard skinieniem głowy odpowiedział na zdawkowe powitanie i poprosił o trzy duże opakowania NATO-wskich naboju kaliber 5,56 milimetra. Sprzedawca pokiwał głową i odwrócił się do szklanej gabloty za plecami, gdzie przechowywano najlepsze zabawki. Na plecach miał wyrysowaną ogromną uśmiechniętą buźkę w żółtym kolorze, która, opięta na osteoporozowym zaokrągleniu pleców, przybierała kształt niemal półkuli.

- Len wydzielał po trzy sztuki - wyjaśnił młodzieży, kiedy do niego dołączyła. - Każdy chce sobie postrzelać z jego karabinu, ale nikt nie kupuje naboju. A te 5,56 są ostatnio dość drogie, bo różne świry żyją w przeświadczeniu, że niedługo zostaną zakazane.

Sprzedawca ostrożnie postawił ciężkie pudełka na szkle, z plastikowego olstra wyjął pistoletowy skaner kodów paskowych i po kolei ostrzelał pudełka - trzy pociągnięcia za spust, trzy trafienia. Na koniec podał imponująco wysoką cenę. Richard miał już wyjęty portfel, a kiedy go otworzył, nieznana mu z imienia kuzynka czy siostrzenica (nie obmyślił jeszcze sposobu na to, żeby się dowiedzieć, jak się nazywa) tak niedyskretnie zajrzała w dolinę z miękkiej skórki, że miał ochotę po prostu oddać jej portfel. Ze zdumieniem patrzyła na twarze królowej Elżbiety, kolorowe rysunki hokeistów i żołnierzy. Nie pomyślał o wymienieniu pieniędzy, a tu nigdzie pod ręką nie było kantoru. Zapłacił kartą debetową.

- Kiedy przeprowadziłeś się do Kanady? - spytała młoda krewna.

- W siedemdziesiątym drugim.

Sprzedawca spojrział na niego podejrzliwie znad dwuogniskowych okularów:
Dekownik!

Młodzi niczego nie skojarzyli. Zastanawiał się, czy w ogóle wiedzą, że w tym kraju istniał kiedyś przymusowy pobór do wojska, którego ludzie ze wszystkich sił starali się

uniknąć.

- Proszę podać PIN, panie Forrest - powiedział sprzedawca.

Richard, jak wielu przesiedleńców, wymawiał swoje nazwisko z akcentem na drugą sylabę, forTHRAST, ale nauczył się też reagować na FORthrast, bo tak wszyscy tutaj mówili. Rozpoznawał nawet „Forresta” i spodziewał się, że wkrótce nazwisko Forthrast zeroduje do takiej właśnie postaci, jeśli reszta rodziny się nie wyprowadzi.

Wracając przez sklep, doszedł do wniosku, że Walmart jest nie tyle statkiem kosmicznym, co raczej międzywymiarowym portalem do wszystkich innych Walmartów we wszechświecie, i spodziewał się, że kiedy wyjdą za próg, wylądują w Pocatello albo Wichita.

Okazało się jednak, że wciąż są w Iowa.

- Dlaczego się wyprowadziłeś? - spytała dziewczyna, kiedy ruszyli w drogę powrotną.

Cierpiała na śpiewne, nosowe wykoślawienie wymowy w stadium zaawansowanym, tak typowe dla dziewcząt w jej pokoleniu. Zula poczyniła ogromne postępy na drodze do wypełnienia go u siebie.

W lusterku wstecznym Richard zobaczył, jak Zula i Peter wymieniają znaczące spojrzenia.

Coś ty, dziewczyno, o Wikipedii nie słyszałaś?!

Zamiast mówić, dlaczego emigrował, powiedział, czym się zajmował na miejscu:

- Zostałem przewodnikiem.

- Na polowaniach?

- Nie, nie jestem myśliwym.

- Znasz się na karabinach.

- Wychowałem się tutaj - wyjaśnił. - A w Kanadzie niektórzy z nas używali karabinu w pracy. Trudniej tam o broń: trzeba przejść specjalny kurs, zapisać się do klubu i tak dalej.

- Po co ci broń w pracy...

- ...skoro nie byłem przewodnikiem na polowaniach?

- No właśnie.

- Grizzly.

- Ojej! Gdyby cię zaatakował, tak?

- Otóż to.

- A tak, to mogłeś, no nie wiem, strzelić w powietrze i go przepłoszyć?

- W serce i zabić.

- Zdarzyło ci się to kiedyś?

Richard znów zerknął w lusterko, licząc na kontakt wzrokowy i szykując się do

telepatycznego błagania *Na miłość boską, niech mnie ktoś ratuje!*, ale Peter i Zula słuchali z zainteresowaniem.

- Tak - odparł. Kusilo go, żeby skłamać, ale ro-zjazd to ro-zjazd. Wydałoby się.

- Dywanik z niedźwiedziej skóry w gabinecie dziadka - podpowiedziała z tyłu Zula.

- To on jest prawdziwy?!

- Oczywiście, Vicki! A ty myślałaś, że sztuczny? Z poliestru?

- Naprawdę zabiłeś tego niedźwiedzia, wujku?

- Wystrzeliłem dwie kule w jego cielsko w czasie, gdy mój klient na nowo odkrywał zapomniany talent do wspinania się na drzewa. Niedługo potem serce niedźwiedzia przestało bić.

- I wtedy go oskórowałeś?

Nie. Sam grzecznie wylazł z futra, a dopiero potem odwalil kitę.

Z coraz większym trudem przychodziło mu powstrzymywanie się od ciętych ripost. Tylko muzy i furie trzymały go w karchach.

- Przeniosłem go przez granicę na własnym grzbiecie - usłyszał swój głos. - Z głową i resztą ważył chyba połowę tego, co ja wtedy.

- Dlaczego to zrobiłeś?

- Ponieważ to było nielegalne. Nie samo zabicie go, bo strzelałem w obronie własnej, ale nieżywego niedźwiedzia powinno się oddać władzom.

- Ale dlaczego?

- Dlatego, że w przeciwnym razie ludzie chodziliby po lasach i bez ograniczeń strzelali do niedźwiedzi - odparł Peter, który już sobie wszystko wykoncypował. - Tłumaczyliby, że musieli się bronić, a trofea zachowywaliby dla siebie.

- Daleko było?

- Dwieście mil.

- Musiało ci strasznie na nim zależeć!

- Wcale nie.

- To po co niosłeś go dwieście mil na własnych plecach?

- Mój klient chciał go mieć.

- Pogubiłam się - poskarżyła się Vicki, jakby stan jej umysłu kogoś interesował. - Zrobiłeś to tylko dla klienta?

- Wprost przeciwnie! - wybuchnęła oburzona Zula.

- Zaraz - wtrącił się Peter. - Niedźwiedź was zaatakował...

- Ja to opowiem! - zarządził Richard, uciszając ich gestem.

Wcale nie chciał opowiadać tej historii, żałował, że w ogóle wypłynęła, ale była to jedyna historia z jego przeszłości, jaką mógł opowiedzieć w przyzwoitym towarzystwie, i jeżeli ktoś miał ją tu przytoczyć, to tylko on sam.

- Zaczęło się od psa klienta. Dręczył biednego miśka, aż w końcu misiek złapał go w pysk i zaczął nim potrząsać jak wiewiórką.

- To był jakiś pudelek? - domyśliła się Vicki.

- Nie. Osiemdziesięciofuntowy labrador.

- Omójboże!

- Ja też mniej więcej tak właśnie zareagowałem. Kiedy labrador przestał się szarpać, co nie trwało długo, niedźwiedź odrzucił go w krzaki i ruszył na nas z taką miną, jakby mówił „Jeśli macie coś wspólnego z tym zasańcem, to już po was”. No i wtedy doszło do strzelaniny.

Peter prychnął, słysząc ten dobór słów.

- Nie wiem, co sobie myślicie, ale o żadnym bohaterstwie nie było mowy. W okolicy znajdowało się tylko jedno drzewo nadające się wspinaczki, ale mój klient, który już się na nie wdrapywał, nie bił bynajmniej rekordów szybkości w tej konkurencji. A nie mogliśmy równocześnie wspinać się na jedno i to samo drzewo, prawda? Wiedziałem, że nawet koń nie prześcignie grizzly, więc po prostu stałem naprzeciw tego niedźwiedzia, ściskając w rękach dubeltówkę naładowaną brenekami. Co miałem zrobić?

Wszyscy w milczeniu rozważali to retoryczne pytanie.

- Brenekami? - spytała Zula, przechodząc w swój tryb inżynierski.

- To nabój do strzelby z litym pociskiem zamiast śrutu, idealny na grubego zwierza. A dubeltówkę miałem taką klasyczną, jak Elmer Fudd z „Królika Bugsa”. Przyklęknąłem na jedno kolano, bo cały się trząsałem, i wpakowałem obie kule w niedźwiedzia, a wtedy on odwrócił się i uciekł. Padł kilkaset jardów od naszego obozowiska. Poszliśmy po śladach i znaleźliśmy truchło. Klient zażyczył sobie skóry. Powiedziałem mu, że to wbrew przepisom. Powiedział, że mi zapłaci, więc zacząłem obdzierać niedźwiedzia ze skóry. To była makabryczna robota, kilkudniowa harówka. Nawet ubicie domowego zwierzęcia na farmie jest czymś potwornym, dlatego sprowadzamy sobie do Iowa Meksykanów, żeby robili to za nas. - Richard zaczął się rozkręcać. - Ale niedźwiedź jest o wiele gorszy. Ma intensywny piźmowy zapach.

To określenie zupełnie nie ma kopa. Jest to jedno z tych słów, które chyba wszyscy słyszeli, ale nikt tak naprawdę nie wie, co oznacza.

- Cuchnie obrzydliwie, trochę jak ryba - wyjaśnił Richard. - Człowiek ma wrażenie, że

tapła się w hormonach.

Vicki się wzdygnęła. Richard miał ochotę wdać się w szczegółowe rozważania na temat rozmiarów niedźwiedziich jąder, ale - sądząc z sygnałów wysyłanych przez jej ciało - dotychczasowy opis był już chyba wystarczająco obrazowy.

Prawdę mówiąc, korciło go, żeby oskórować niedźwiedzia na chybcika i byle jak, problem jednak polegał na tym, że zaczął od pazurów. Z przeczytanych w dzieciństwie książek pamiętał zaś, że dzielni Indianie Lakota robili sobie naszyjniki z pazurów niedźwiedzia, którego zabicie w walce było dla nich dowodem męstwa. Richard i jego rówieśnicy bardzo poważnie traktowali te lektury; wiedział o Szalonym Koniu wcale nie mniej niż poprzednie pokolenia o Juliuszu Cezarze. Dlatego czuł się zobowiązany do przestrzegania świętej tradycji, i kiedy już z nabożeństwem zabrał się do niedźwiedzia, nie bardzo potrafił zmienić się w brutalnego rzeźnika.

- Im więcej czasu mu poświęcałem i im bardziej się w niego zagłębiałem, tym bardziej nie chciałem go oddawać klientowi - ciągnął. - A cholernie mu na nim zależało. Ja harowałem jak wół, ociekałem posoką, oganiałem się od os, a on od czasu do czasu wpadał zobaczyć, jak mi idzie, i mierzył skórę wzrokiem; wyobrażał sobie, jak będzie wyglądała na podłodze w gabinecie albo w salonie. Makler z Nowego Jorku. Wiedziałem, że będzie łągał na temat niedźwiedzia, żeby zaimponować ludziom; będzie twierdził, że osobiście go ustrzelił, kiedy jego spietrany przewodnik czmychnął na drzewo. Pokłóciliśmy się. To była głupota z mojej strony, bo przecież siedziałem po uszy w czymś nielegalnym. Byłem bezbronny. Zagroził, że mnie wyda i wywali z roboty, jeśli nie oddam mu skóry. Wtedy ja mu powiedziałem, żeby się walił, zabrałem ją i poszedłem. Zostawiłem mu tylko kluczyki do wozu, żeby miał jak wrócić.

Cisza.

- Właściwie wcale mi na niej tak bardzo nie zależało. Po prostu nie mogłem znieść myśli, że to on ją zabierze i będzie opowiadał kłamstwa.

- Wylali cię?

- Tak. Miałem kłopoty. Cofnęli mi licencję.

- Co robiłeś po stracie pracy?

Wykorzystując nowo nabyte umiejętności, szmuglowałem przez granicę marihuanę w plecaku.

- To i owo.

- Aha. Mam nadzieję, że było warto?

Jeszcze jak, na Boga!

Dojechali na farmę. Podjazd był dokumentnie zastawiony SUV-ami, więc Richard -

powołując się na przywileje wychowanka - zaparkował grand marquisa na suchej trawie bocznego podwórka.

* * *

Samochód miał tak niskie zawieszenie, że wysiadanie z niego przywodziło na myśl wychodzenie z własnego grobu. Richard zwrócił uwagę, że Peter rozgląda się uważnie, szukając miejsca, w którym rozpięty był śmiercionośny sznur na pranie.

Przyszło mu do głowy, że mógłby zostać Wergiliuszem Petera, ułatwić mu życie i wyłożyć bez ogródek wszystko to, co z mozołem będzie musiał sam poskładać z klocków, jeśli dalej będzie z Zulą. Nie zrobił tego, ale ta myśl uwolniła w jego umyśle słowa, których mógłby w takiej roli użyć. Jeżeli można mówić o „oczach duszy”, to u Richarda przemówiły „usta duszy”.

Spojrzał na wybrzuszenie gruntu okolone ściętymi przymrozkiem muchomorami. Wyglądało jak wrzód, który próbuje przebić się przez trawnik z głębszej, przynależnej braciom Grimm warstwy ziemi.

Tyle zostało z tego dębu. Sznurek był przeciągnięty od niego do bocznej ściany domu, o tam, obok komina; jeszcze widać wspornik. Mama umierała na piętrze. Charakter jej choroby wymuszał częstą zmianę pościeli. Zaproponowałem, że podjadę do miasta i kupię pościel w J.C. Penney, takim pra-Walmarcie. Patricia poczuła się urażona, jakbym w ten sposób zarzucił jej, że jest niedobłą córką. Partia prześcieradeł akurat skończyła się pracą, a że suszarka była zajęta, Patricia wywiesiła je na sznurku. Był to jeden z tych dni, kiedy widać, że nadciąga burza. Po południu siedzieliśmy przy łóżku mamy, śpiewaliśmy hymny i słuchaliśmy grzmotów toczących się po równinie jak kule bilardowe. Pat poszła zdjąć pranie, zanim deszcz je zmoczy. Wszyscy usłyszeliśmy grzmot pioruna, który ją zabił: huk był taki, jakby pod samym oknem eksplodowało dziesięć lasek dynamitu. Piorun trafił w dąb, przeszedł po sznurku, przez rękę Patricii do serca, i dalej do ziemi. Wywaliło korki, mama się obudziła i przez chwilę panowało straszne zamieszanie, aż w końcu Jake przypadkiem wyjrzał przez okno i zobaczył, że Pat leży na trawie, już przyrzuciona prześcieradłem. Nie powiedzieliśmy mamie, że jej córka nie żyje; oszczędziliśmy sobie i jej niezręcznych wyjaśnień. Pod wieczór straciła przytomność, a trzy dni później zmarła. Pochowaliśmy je razem.

Na samą myśl o tych słowach Richard z niedowierzaniem pokręcił głową. Trudno było uwierzyć w tę historię, nawet tutaj, gdzie ludzie regularnie padają ofiarą kaprysów pogody. Nikt, kto wysłuchał tej opowieści, nie umiał powstrzymać się od komentarzy, niektórzy nawet mimowolnie parskali śmiechem. Richard przez jakiś czas myślał o stworzeniu internetowej grupy wsparcia dla ludzi, których bliscy zginęli od uderzenia

pioruna. Historia świetnie nadawałaby się do powieści powstałej w Iowa City (gdyby tylko rodzina zrodziła jakiegoś pisarza). Albo do pieśni wędrownego barda z Hawkeye. Na razie jednak pozostawała własnością Zuli i to do niej należała decyzja czy, kiedy, i jak ją opowiedzieć.

Zula przebywała wtedy - chwała Bogu! - na obozie skautowskim, dzięki czemu mógł przywieźć ją do domu i w kontrolowanych warunkach, w obecności psychologów dziecięcych, poinformować, że w wieku jedenastu lat po raz drugi została sierotą.

Parę miesięcy później Bob, wdowiec po Patricii, wystawił głowę z dziury, w której akurat pomieszkiwał, i podjął nieprzekonującą próbę przeszkodzenia Johnowi i Alice w adopcji dziewczynki - po czym równie nagle i niespodziewanie zniknął z horyzontu.

W roli podopiecznej Johna i Alice Zula przeżyła w tym domu nastoletni okres swojej młodości i wyszła z niego w zadziwiająco dobrym stanie. Richard czytał kiedyś w jakimś artykule, że nawet dzieciaki z całkiem popieprzonych rodzin mogą wyjść na ludzi, jeśli we właściwym momencie, na początku dojrzewania, ktoś starszy przygarnie je pod swoje skrzydła, i domyślał się, że Zula skorzystała z tej właśnie furtki. W ciągu czterech lat dzielących pierwszą adopcję od uderzenia pioruna coś przepłynęło z Patricii na Zulę - coś, co sprawiło, że życie małej potoczyło się najlepiej jak mogło.

Richard się nie ożenił, a Jake, najmłodszy brat, stał się tym, czym się stał; jego przemiana rozpoczęła się wkrótce po tym, jak, wyjrzawszy przez okno, zobaczył siostrę owiniętą tłącym się prześcieradłem. Tak oto zrzędzeniem losu i demografii Alice została nie tylko matką rodu, ale w ogóle jedynym dorosłym Forthrastem płci żeńskiej. Mieli z Johnem czworo dzieci, które dzięki temu, że zostały wychowane na fantastycznych ludzi, wyprowadziły się do wielkich miast, żeby tam zajmować się ważnymi sprawami (permanentną tragedią Iowa był fakt, że porządnie wychowana młodzież czuła się zobowiązana wiać, gdzie pieprz rośnie, żeby znaleźć zatrudnienie godne swoich kwalifikacji), co w połączeniu z faktem, że postrzegała Richarda i Jake'a jako uosobienie męskiej nieodpowiedzialności, wywoływało nieustanne męsko-damskie tarcia i żale, utrwalając stan prowadzonej w zwolnionym tempie wojny pozycyjnej. Alice - w roli marszałka jednej z okopanych armii - stosowała strategię manipulacji w skrajnych rejonach drzewa genealogicznego. John jej w tym pomagał (umyślnie lub nieświadomie), na przykład poprzez organizowanie ćwiczeń strzeleckich, które sprawiały, że dla dalekich krewnych płci męskiej wizyta na farmie stawała się trochę mniej nieznośna. Dopiero poniewczasie Richard zdał sobie sprawę, że najważniejsze rzeczy podczas ro-zjazdu dzieją się w kuchni - i nie mają nic wspólnego z gotowaniem.

Nie oznaczało to jednak, że faceci byli całkowicie bezradni.

Poszedł okrężną drogą, po drodze podrzucił pudełka z nabojami na przednie siedzenie subaru Lena, i wszedł do domu rzadko używanymi drzwiami frontowymi, prowadzącymi do rzadko używanego salonu, w którym dzisiaj akurat panował ścisk. Ponad połowa strzelców wróciła jednak do motelu, żeby tam przebrać się i odpocząć, mógł więc swobodnie się poruszać po domu. Jeden z kuzynów zaoferował się, że odwiesi jego kurtkę narciarską. Richard uprzejmie odmówił i poklepał się po kieszeni na piersi: koperty znajdowały się na swoim miejscu, suwak był bezpiecznie zamknięty.

Pięcioro młodych kuzynów (słowo „kuzyn” było ogólnym określeniem człowieka w wieku poniżej czterdziestu lat) porozkładało się na sofach i fotelach, gdzie stukali w laptopy i wymieniali się ściągаныmi zdjęciami. Z przepływającymi po ekranach strumieniami lśniących, ostrych jak brzytwa fotografii smutno kontrastował tuzin zdjęć rodzinnych, wywołanych i utrwalonych w średniowiecznych procesach chemicznych, mozolnie oprawionych i powieszonych na ścianach pokoju.

Słowo „Jake” zwróciło jego uwagę. Odwrócił się i zobaczył gromadkę starszego kuzynostwa oglądającą zeszłoroczne zdjęcie przedstawiające Jake’a z przychówkiem. Fotografia była myląca w swojej normalności, tak jakby Jake mógł śmiało burzyć wszelkie konwenanse obowiązujące we współczesnej Ameryce, a zarazem do głowy by mu nie przyszło, żeby nie zrobić sobie takiego zdjęcia jak to, na którym występował z Elizabeth i trójką synów. Autorem fotografii (oprawionej w dziwną konstrukcję z kory brzozonej, dzieło jednego z synów Jake’a) był prawdopodobnie inny członek ich wiejskiego Kościoła, mający dryg do takich spraw. Wyglądali na tym zdjęciu zupełnie zwyczajnie, a ślady prawdziwego Jake’a były widoczne wyłącznie w szczegółach - takich jak broda, którą strzygł na modłę konfederackiej piechoty.

Jakaś kobieta zapytała, dlaczego Jake z rodziną nigdy nie przyjeżdżają na ro-zjazdy.

Richard wiedział z doświadczenia, że kiedy rozmowa schodzi na Jake’a, należy szybko przejąć stery i pokierować nią w taki sposób, żeby przedstawić brata jako zwyczajnego gościa - bo inaczej ktoś inny zrobi z niego wariata i sytuacja stanie się niezręczna.

- Po jedenastym września Jake nie lata samolotami, ponieważ trzeba okazać dowód tożsamości - wyjaśnił. - A on twierdzi, że to narusza jego konstytucyjne prawa.

- A nie mógłby przyjechać samochodem? - zapytał pociotek płci męskiej, u którego ostrożne zainteresowanie trąciło rozbawieniem.

- Nie ma prawa jazdy.

- Jakoś przecież chyba musi jeździć - zdziwiła się kobieta, od której się zaczęło. - Podobno jest cieślą?

- W tych rejonach Idaho, gdzie się obraca, jeżdżenie bez prawka uchodzi mu na sucho. Dogadał się z szeryfem. Niestety, ich porozumienie nie obejmuje reszty kraju.

Richard wolał im nie tłumaczyć, że Jake nie chce nawet przykręcić tablic rejestracyjnych do swojego pick-upa. Zrobił szybki nalot na obrzeża kuchni, złapał parę ciastek i dał kobietom powód do plotek, a potem ruszył w kierunku miejsca, które w czasach jego dzieciństwa było tylną werandą, ostatnio zaś zostało przerobione na jednopokojowy-dom-opieki-łamane-przez-męski-azyl jego ojca.

Ojciec - w dokumentach Nicholas Forthrast, a na ro-zjeździe Dziadunio - miał pięćdziesiąt pięć lat i siedział na fotelu z regulowanym oparciem w pomieszczeniu, w którym najbardziej rzucającym się w oczy elementem wyposażenia była niedźwiedzia skóra na podłodze. Richard prawie czuł unoszącą się w powietrzu woń wspomnianych wcześniej hormonów. Podczas przebudowy werandy w roku 2002 skóra była pierwszą rzeczą, jaką Alice tu przeniosła. O miano symbolu męskich cnót dawnych Forthrastów niedźwiedź rywalizował z nadanym tacie przez Kongres Medalem Honoru, który, oprawiony w ramkę, wisiał na ścianie nieopodal fotela. Imponujących rozmiarów butla z tlenem stała w kącie, walcząc o przestrzeń życiową i gniazdka elektryczne z aparatem do dializy. Wiekowy telewizor w szafce z orzechowego drewna służył jako cokół dla pięćdziesięcioczerocalowego ekranu plazmowego, na którym leciała właśnie transmisja meczu futbolowego ze ściszym dźwiękiem. Rolę drugiego pilota pełnił siedzący w nieco mniej imponującym fotelu na prawo od taty John, sześć lat starszy od Richarda, obecnie faktyczny patriarcha rodu. Różni kuzyni siedzieli po turecku na niedźwiedziej skórze lub podłożonym pod nią dywanie, z zapartym tchem śledząc rozgrywkę. Jedna z sióstr Cardenas (prawdopodobnie Rosie) krzątała się w przestrzeni z tyłu za fotelami: zapisywała jakieś liczby w notatniku, składała pościel - krótko mówiąc, szykowała się do przekazania taty w ręce Johna, żeby móc wziąć udział w rodzinnych obchodach Święta Dziękczynienia.

Wzbogacony o dodatkowe wyposażenie tata (miał zewnętrzną nerkę i zewnętrzne płuco) stał się dosyć skomplikowaną maszyną, trochę jak spawarka z wolframową elektrodą, której obsługi nie można powierzyć byle komu. John, który z Wietnamu wrócił bez obu podudzi, był doskonale obeznany z protezami. Przeczytał wszystkie instrukcje obsługi i zrozumiał funkcję większości pokręteł, więc w takich chwilach jak ta mógł bez przeszkód przejąć sterowanie. Gdyby jednak zostawić tatę sam na sam z Richardem, umarłby w ciągu dwunastu godzin. Richard musiał więc pomagać na inne, mniej oczywiste sposoby. Z rękami

w kieszeniach udawał, że ogląda mecz, czekając, aż Rosie ruszy do wyjścia - wtedy zaś wybiegł za nią i dogonił na podjeździe prowadzącym w dół, gdzie parkował należący do ojca van wyposażony w windę do wózków inwalidzkich, jakby żywcem wyjęty z opowieści doktora Seussa.

- Odprowadzę cię do auta - zaproponował, a Rosie uśmiechnęła się słodko, słysząc ten eufemizm. - Wieczorem będzie indyk?

- Indyk i futbol. Nasz futbol.

- Jak się miewa Carmelita?

- Dobrze, dziękuję. A jej syn jaki wysoki! Koszykarz.

- Nie futbolista?

Rosie się uśmiechnęła.

- Trochę. Dobrze gra głową.

Wyjęła kluczyki z torebki, z której zaleciało przeróżnymi wonnościami. Richard pierwszy doskoczył do subaru i otworzył jej drzwi.

- Dziękuję.

- To ja ci dziękuję, Rosie.

Richard rozpiął kieszeń na piersi, a kiedy Rosie sadowiła się za kierownicą i wyglądała spodnicę, wyjął szarą kopertę zawierającą półcalowy plik franklinów i wsunął ją do schowka na drzwiach. Delikatnie zamknął drzwi.

Rosie uchyliła okno.

- Tyle, co w zeszłym roku, plus dziesięć procent - wyjaśnił. - Czy to nadal odpowiednia suma? Wystarczy dla ciebie i Carmelity?

- Wystarczy, wystarczy! Bardzo dziękuję!

- Nie, to ja dziękuję. Jesteście dla nas prawdziwym błogosławieństwem. Nieocenionym. Masz mój numer, w razie kłopotów dzwoń.

- Wszystkiego najlepszego z okazji Święta Dziękczynienia.

- Nawzajem. Tobie i wszystkim Cardenasom.

Pomachała mu, wrzuciła bieg i odjechała.

Richard poklepał się po piersi: druga paczuska też była tam, gdzie powinna. Później przy jakiejś okazji podsunie ją Johnowi. Wystarczy na sporo tlenu.

Przekazanie pieniędzy z pewnością wypadło dziwacznie i krępująco. Znacznie mniej stresujące - dla człowieka z jego charakterem - było wysyłanie banknotów Fedeksem, tak jak robił to w tych latach, gdy nie uczestniczył w ro-zjeździe. Kiedy jednak wchodził z powrotem po pochylni, muzy i furie milczały, więc chyba nie wyszło to najgorzej.

Kluczowy zarzut ze strony M i F określał Richarda jako „niedostępnego emocjonalnie”. Zdębiał z niedowierzania, gdy kobieta pierwszy raz wyróżnęła go tym określeniem przez łeb. Jego skromnym zdaniem większość emocji, które odczuwał, nie nadawała się do tego, by dzielić się nimi z kimkolwiek, a już na pewno nie z kimś, dla kogo powinien być miły - czyli na przykład ze swoją dziewczyną. Skojarzył więc „dostępność emocjonalną” z tymi rzadkimi chwilami, kiedy zdarzało mu się opuścić gardę (tak jak wtedy, kiedy został „Dodge’em”). Jednakże niektóre z jego przyszłych byłych dziewczyn upierały się, że taki właśnie powinien być, i mszcząc się na nim w iście mitologicznym, greckim stylu, pozostawały dla niego emocjonalnie dostępne długo po tym, jak upłynął ich termin przydatności. Mimo to miał wrażenie, że dla Rosie Cardenas jest emocjonalnie dostępny, może nawet za bardzo. Mogła się przez to poczuć nieswojo.

Z powrotem na dawną werandę. W pokoju zebrało się więcej ludzi, a dźwięk został podkreślony, ponieważ czwarta kwarta meczu miała się ku końcowi. Richard prześlizgnął się przez tłum do miejsca, w którym mógł oprzeć się o ścianę - co było trudniejsze niż dawniej, ponieważ z biegiem lat przybywało powieszonych na niej rzeczy. Najwyraźniej John uznał, że spędza w tym pomieszczeniu dość czasu, żeby móc sobie pozwolić na udekorowanie go własnymi pamiątkami z Wietnamu. Zostawił jednak spory kawałek pustej ściany, gdzie na honorowym miejscu w ozdobnym uchwycie wisiał M1 Garand, zabytkowy karabin z drugiej wojny światowej, opatrzony mosiężną tabliczką. Tego skrawka sanktuarium John nie odważył się kalać wietnamskimi souvenirami.

Mały Richard przez długie lata wierzył, że ma przed sobą Ten Karabin, dopóki Bud Torgeson, najdłużej żyjący z towarzyszy broni taty, nie wyśmiał go i nie wytłumaczył mu cierpliwie, że można wprawdzie chwycić M1 za lufę i wymachując nim jak maczugą roztrzaskiwać wykonane z doskonałej stali Kruppa hełmy, ale ponieważ nie został przewidziany do takich zastosowań, z dużym prawdopodobieństwem zostałby nieodwracalnie uszkodzony. Człowiek odpowiedzialny za rozdawanie medali starannie zbadał Ten Karabin, po czym kazał go zezłomować, wiszący zaś na ścianie i opatrzony tabliczką M1 został zakupiony z demobilu, wypucowany i sprezentowany tacie przez służących pod jego dowództwem żołnierzy, których, jeśli wierzyć legendzie, napad berserkerskiego szału, w którym tato rozłupał całą masę niemieckich czaszek, ocalił przed śmiercią lub długą odsiadką w obozie jenieckim. Richard nie mógł się nadziwić (choć nie był z tego powodu przesadnie rozgoryczony), że dzieci Nicholasa wiodące przykładny, osiadły, bogobojny żywot na rolniczym Środkowym Zachodzie uważa się za żyjące w zgodzie z jego przykazaniami i traktuje jak dziedziców rodzinnej tradycji, skoro jego największym osiągnięciem było

zatłuczenie bandy szturmowców za pomocą prowizorycznej maczugi.

* * *

Kiedy po śmierci Patricii dawno nieobecny Bob - a właściwie reprezentujący go adwokat - przysłał list z zaskakującą informacją, że zamierza się starać o opiekę nad Zulą, rodzina zwołała naradę; Richard uczestniczył w niej przez telefon, nie ruszając się z Kolumbii Brytyjskiej. Zwykle narzekał na aparaty głośnomówiące, ale w tym wypadku ta technika sprawdziła się idealnie - mógł do woli przewracać oczami, łapać się za głowę, a w najtrudniejszych chwilach wyłączać mikrofon, i klnąc pod nosem spacerować ciężkim krokiem po pokoju. John, Alice i ich prawnicy zachowywali się oczywiście całkowicie racjonalnie, on jednak miał wrażenie, że śledzi obrady hobbskiej rady miejskiej dyskutującej o projekcie rezolucji, która potępi Upiory Pierścienia i zmusi je do przeprosin.

Miał w tym okresie regularny kontakt z grupą zapalonych motocyklistów, których działającą na południu Kalifornii komórkę eufemistycznie określano jako „aktywną”. Dzięki ich uprzejmości dotarł do prywatnych detektywów o niebanalnej przeszłości i niekonwencjonalnych metodach działania, których namówił do zainteresowania się bliżej życiem osobistym Boba. Kiedy teczka Boba osiągnęła przyjemną grubość i ciężar (w sam raz, żeby rzucona od niechcienia na stół wydawała głuchy łomot, od którego człowiek się wzdryga), Richard wsiadł do swojego zdezelowanego land cruisera i z Elphinstone pojechał prościutko do Los Angeles. Tam zameldował się w hotelu, wziął prysznic i włożył dokładnie taką obszerną skórzaną kurtkę, jaka skutecznie zamaskowałaby kaburę pod pachą - gdyby taką posiadał. Odstawił land cruisera do warsztatu, żeby wymienili w nim olej, i taksówką pojechał do wypożyczalni samochodów poleconej mu przez aktora, którego poznał w gospodarstwie na zamku, kiedy ów aktor wraz z orszakiem zjechali do Elphinstone na plan filmowy. Wypożyczył humvee - nie hummera, który w tamtych czasach (był rok 1995) był pizdusiowatą namiastką humvee dostępną na rynku cywilnym, ale najprawdziwszy, szeroki na siedem stóp wojskowy wóz, który (z subwooferami) ważył dobre trzy tony. Z imponującego systemu audio puścił *Know Your Enemy Rage Against the Machine*, z półgodzinnym spóźnieniem zajechał przed restaurację na umówione decydujące spotkanie z Bobem i zaparkował na kopcach dla niepełnosprawnych. Od chwili, gdy przez okno dostrzegł przygarbioną sylwetkę Boba, wiedział, że wygrał.

To było żenujące. Garść najprostszycych chwytów, jakie można sobie wyobrazić - sam ten fakt wystarczyłby, żeby człowiek lepszy od Boba doszedł do wniosku, że Richard blefuje.

Ówczesna przyszła była dziewczyna Richarda od kilku ładnych lat żyła z nosem przyklejonym do szyby hinduizmu, dzięki czemu nasłuchiwał się trochę o awatach, mai i tym

podobnych sprawach. Manifestując się w formie awatara, objawił się Bobowi dokładnie w takiej postaci, w jakiej Bob zawsze go sobie wyobrażał. Biorąc pod uwagę, że Bob miał w tej chwili na pieńku z całą rodziną Forthrastów, Richard stał się uosobieniem jego najgorszych koszmarów.

Podstęp się udał, ale awatar do tego stopnia uwierał Richarda, że ten zaczął się zastanawiać, skąd go, do diabła, wytrzasnął? Co go napadło? Dopiero później, po rozmowie z Budem i poznaniu sekretu Medalu Honoru, zrozumiał, że wystąpił na tym spotkaniu nie jako awatar Richarda, lecz całej rodziny.

* * *

Mecz futbolowy właściwie się nie skończył, lecz podobnie jak większość meczów osiągnął stadium, w którym nie dało się go dłużej oglądać. Prawie wszyscy widzowie wyszli. Richard przyciągnął sobie wolne krzesło i usiadł na lewo od taty. Zostali we trzech: John, Nicholas i on. Patricia nie żyła od czternastu lat. Jacob urodził się znacznie później od reszty rodzeństwa, kiedy mama znajdowała się już na skraju menopauzy; wszyscy zdawali sobie sprawę, że był nieplanowanym dzieckiem. Nadal żył, ale nie mieszkał w Iowa, lecz w Idaho, stanie, który mieszkańcy amerykańskich wybrzeży często mylili z Iowa, mimo że pod wieloma względami był jego przeciwieństwem - do tego stopnia, że jeżeli ktoś wyjeżdżał z Iowa do Idaho, była to z jego strony wyraźna deklaracja światopoglądowa.

Richard nie miał pojęcia, w jakim dokładnie stanie jest ojciec. Po ostatniej fali udarów tato niewiele mówił, ale śledził wzrokiem poruszające się w polu widzenia obiekty, a wyraz jego twarzy i gesty świadczyły o tym, że wie, co się wokół niego dzieje. W tej chwili, w towarzystwie dwóch najstarszych synów, był szczęśliwy. Richard rozsiadł się wygodnie, oparł wyprostowane nogi na niedźwiedziej skórce, skrzyżował je w kostkach i przygotował się na dłuższe posiedzenie. Ktoś podał mu piwo. Tata się uśmiechnął.

Życie było piękne.

* * *

Obudził się i spróbował wyłączyć alarm w telefonie. Okazało się, że miejscowy klimat wysłał mu całą wilgoć z opuszków palców i te nie są w stanie zmusić do posłuszeństwa maleńkich elementów dotykowego interfejsu użytkownika. Dopiero stosowane na zmianę lizanie palców i chuchanie na nie zwilżyło je dostatecznie, żeby maszyna bez entuzjazmu rozpoznała w nich ludzkie ciało, zareagowała i umilkła.

Namacał okulary do czytania i stuknął w przycisk Kalendarza. Z mroku wyskoczył na ekran blok zieleni, którego blask upodabniał siwe włosy na piersi Richarda do gąszczu leśnego podszytu. Zogniskował wzrok i odczytał opis: WYJAZD: SZKIELETOR.

Po przełączeniu na dłuższą perspektywę czasową przywitały go same dobre kolory: przez najbliższe dwa tygodnie nie było nic czerwonego, zbliżały się za to cztery lite zielone dni. A zielony to kolor interesów.

Niebieski był kolorem zastrzeżonym dla rodziny i innych spraw osobistych. Na przykład wczorajszy dzień był szesnastogodzinnym niebieskim nagrobkiem z podpisem RO-ZJAZD.

Po pierwszym zielonym bloku WYJAZD: SZKIELETOR, następowały kolejne: - > IOM (czyli, o czym Richard doskonale wiedział, kod lotniska na wyspie Man), ZŁOŻYĆ HOŁD D2 oraz - > MORZE.

Czerwony oznaczał sprawy oficjalne - wizyty u lekarzy, rozliczenia podatku i tym podobne. Tydzień, który był choćby lekko upstrzony czerwienią, można było z góry spisać na straty; i tak nic użytecznego się w nim nie załatwi. Niebieski nie był taki zły, miał jednak skłonność do rozlewania się i zanieczyszczania sąsiadujących z nim obszarów zieleni. Naprawdę rzadko zdarzały się momenty, w których możliwa była konwersja błękitu na zieleń - tak jak wczoraj, kiedy sobie uświadomił, że Zula powinna pracować dla Korporacji 9592.

Wiedział, że jeżeli chce zrobić coś konkretnego, powinien obudzić się w trybie zielonym i spędzić w nim cały dzień. Fizyka barw wymagała więc, by wymknął się cichaczem z hotelu, unikając wszelkich kontaktów z tłumem krewnych, który zdążył już wypełnić jadalnię *Ramady* i przelać się do holu.

Wymeldował się przez telefon i w idealnej ciszy stanął nieruchomo z okiem przy dziurce od klucza, czekając, aż po drugiej stronie przestaną się przewijać miniaturowi Forthrastowie w kostiumach kąpielowych, wybierający się na basen lub z niego wracający. Wówczas wymknął się bocznym wyjściem i ryczącym grand marquisem pognał na złamanie karku na odległą o pół mili stację benzynową, żeby zgubić ewentualny pościg. Wpompował w mercury'ego wannę benzyny, kupił kawę i banana na drogę, a następnie włączył pokładowy odbiornik GPS i zaczął się zmagać z jego interfejsem użytkownika.

Kemping w Possum Walk zniknął z listy „Ciekawych miejsc”, Richard musiał się więc namierzyć po prostu na okolice Nodaway na północnym zachodzie Missouri. Spodziewał się tam znaleźć co najwyżej pocztę i, być może, jakiś lokalny park, ze zgrozą i fascynacją patrzył więc na wyświetloną w niskiej rozdzielczości ikonę człekokształtnej istoty ze szpiczastymi uszami, długimi niebieskimi warkoczami i podpisem KRÓLESTWO KSHETRIAE. Z dalszych poszukiwań wynikało, że „królestwo” jest częścią większego kompleksu rozrywkowego poświęconego K'Shetriae, w którego skład wchodziło wesołe miasteczko i sklep. Nie potrafił się zmusić do tego, żeby wpisać w GPS taki cel podróży, więc

potulnie dał się poprowadzić do siedziby władz hrabstwa.

Wyjeżdżając z miasta (do głębi poruszony faktem, że sztuczna rasa niby-elfów zwana K'Shetriae trafiła - choć bez kontrowersyjnego apostrofu - do pamięci działających w świecie rzeczywistym GPS-ów), omal nie wpakował się w tyłek czegoś, co w tych okolicach uchodziło za korek drogowy: czarnopiątkowy¹ tłum Amerykanów na zakupach, usiłujący siłą wepchnąć samochody na parking - a potem swoje ciała w drzwi Walmarta. W dawnych czasach hamowałby pulsacyjnie aż do zatrzymania olbrzymiego wehikułu, teraz jednak miał świadomość, że może zdać się na ABS, więc po prostu wdusił hamulec i czekał. Pedał zadudnił mu pod stopą. Biały plastikowy cycek kubka do napojów uronił kroplę kawy, banan pofrunął jak bumerang i walnął w pokrywą schowka w desce rozdzielczej, a Richard patrzył beznamiętnie, jak przed oczami rośnie mu tył pick-upa; trochę to przypominało zoomowanie wybranego elementu w kalendarzu na iPhone.

Do zderzenia nie doszło. Kierowca pick-upa pokazał mu środkowy palec. Światło się zmieniło, samochody popęzły naprzód, w niedługim czasie Richard wyjechał na autostradę i skręcił na południe, gdzie jazda błyskawicznie go tak znudziła, że przy pierwszej okazji zjechał na zwykłą dwupasmówkę. GPS był niepokieszony.

Mimo iście szpiegowskiego wyjścia z *Ramady*, mózg ciągle miał po brzegi wypchany rodzinnym śmieciem. Obudził się w niewłaściwym kolorze! Powinien jak najszybciej oczyścić głowę z resztek niebieskiego, żeby osiągnąć pełnię zieleni zanim zbliży się do granicy Missouri.

To nie będzie przyjacielskie spotkanie; niuanse tej rozmowy, słowa niewypowiedziane na głos, słowa wypowiedziane w niewłaściwy sposób - wszystko mogło mieć konsekwencje, za które przyjdzie mu drogo zapłacić. Dzień po Święcie Dziękczynienia mógł być dniem wolnym dla większości mieszkańców tego kraju - ale nie dla Szkieletora. Prowincjonalne obyczaje zażerającej się indykami Ameryki nie interesowały ultramiędzynarodowej klienteli, którą dzielili z Richardem. Zresztą nawet amerykańscy gracze, którzy wczoraj zrobili sobie parę godzin wolnego, żeby w spokoju oddać się rodzinnym obrzędom, większość dzisiejszego dnia poświęcą na pogoni za wirtualnym złotem i wymagowaną chwałą w świecie *T'Rainu*. Zapowiadał się jeden z najtrudniejszych dni w roku dla serwerów Korporacji 9592 i obsługujących je administratorów.

Umysł Richarda samorzutnie obsuwał się w błękit. To było jak zagadka w grze

¹ Czarny Piątek - piątek następujący bezpośrednio po Święcie Dziękczynienia, tradycyjny początek sezonu zakupów bożonarodzeniowych (przyp. tłum.).

komputerowej: musiał się domyślić, co go naprawdę gryzie. Tym razem nie chodziło o muzy i furie, które, po krótkim wybuchu wściekłości, gdy mało nie wjechał pick-upowi w zad, od paru godzin siedziały cicho.

Dopiero w okolicach Red Oak dokopał się do prawdziwej przyczyny: chodziło o tę krótką, lecz denerwującą wymianę zdań z podczytującym Wikipedię krewniakiem. Mniejsza o treść hasła - irytujące było samo jego istnienie oraz fakt, że przypomniano mu o nim w chwili, kiedy chciał być Dodge'em, posiedzieć na starych śmieciach, zająć się tym, czym zajmują się ludzie w Iowa.

Hasło zaczynało się od skrótowego opisu jego obecnej sytuacji, uzupełnianego szczegółami biograficznymi tylko w tych momentach, które wydawały się istotne tajemniczym naukowcom/prześladowcom tworzącym tego rodzaju dokumenty. Nie był postacią dostatecznie ważną, a hasło nie było wystarczająco długie, żeby zasłużyć na osobny rozdział biograficzny wykładający historię jego życia w formie narracyjnej. To właśnie wydawało mu się najbardziej bez sensu, bo jeżeli ktokolwiek chciał zrozumieć współczesnego Richarda, musiał poznać jego historię.

* * *

Taszcząc niedźwiedzią skórę z Gór Selkirka, działał bez skryzalizowanego planu, nawet bez konkretnego powodu. I z całą pewnością bez mapy. Górskie granie były strome i skaliste, słońce paliło je żywym ogniem, ale próby zejścia w chłodne doliny utrudniała gęsta roślinność, nazywana przez nielicznych miejscowych „psią sierścią”, zapewne przez skojarzenie doli wędrowca z losem pchły mieszkającej na psim zadzie. Na wpół obłąkany z głodu i wyczerpania przetrawersował długie kamienne osypisko, opadające w głąb pozostałości nieczynnej kopalni srebra, przedarł się przez pas psiej sierści, i ze zdumieniem skonstatował, że wylądował w starym cedrowym gaju. Dopiero wiele lat później poznał określenie „mikroklimat”, wtedy zaś miał wrażenie, że przez dziurę w nadprzestrzeni trafił wprost do wilgotnego i chłodnego lasu tropikalnego gdzieś na górskim wybrzeżu Oceanu Spokojnego. Gęste listowie całkowicie odcinało dopływ energii do niżej położonych rejonów lasu, ziemia była więc litościwie wolna od poszycia, środkiem zaś płynął strumyk wypływający z tryskającego nieco wyżej źródła. Może to był zwykły udar cieplny, może zawinił obniżony poziom cukru - tak czy inaczej, Richard poczuł muśnięcie absolutu. Zrzucił plecak, usiadł w strumieniu i czekał, aż chłodna woda przeniknie mu przez ubranie. Położył się na wznak, aż zimno zaparło mu dech w piersi. Odwrócił się na brzuch. Napił się.

Fantazja, że jest pierwszym człowiekiem, który postawił stopę w tym rajskim zakątku, legła w gruzach już chwilę później, gdy w odległości dosłownie paru jardów od strumienia

dostrzegł pozostałości starej jednoizbowej chaty, której jedynym lokatorem były w tej chwili resztki jej własnego dachu. Gmachówki i naturalny proces próchnienia zredukowały ściany do postaci najeżonej drzazgami papki, którą wygarniał gołymi rękami do momentu, gdy po lodowatym ukłuciu poznał, że zranił palec na jakimś wyjątkowo ostrym odłamku. Obandażował skaleczenie i po starannym przejrzeniu szczątków chaty odkrył skrzynkę z butelkami whiskey zmiażdżonymi przez zawalony dach. Tak oto przez przypadek trafił na stary szlak przemytników z czasów Prohibicji, na którym chata pełniła rolę tajnego magazynu.

Co dobre dla whiskey, nada się i dla marihuany, pomyślał, i następne kilka lat poświęcił szmuglowaniu trawki - czasem solo, czasem w karawanie, z kumplami. Chata przemytników stała się ich bazą na terenie Stanów. Pół mili w dół zbocza biegła droga używana przy wyrębie lasu, na której spotykali się ze swoimi amerykańskimi dystrybutorami - bractwem zapalonych motocyklistów.

W 1977 roku prezydent Carter ogłosił amnestię dla dekonników i Richard, który wreszcie mógł prowadzić interesy we własnym kraju pod własnym nazwiskiem, przekroczył granicę - tym razem zamiast przechodzić ją pieszo, przejechał samochodem - i udał się w dół doliny, prosto do Bourne's Ford, siedziby władz hrabstwa. W dokumentach biura ewidencji gruntów odszukał właściciela działki, na której stała chata, i ją odkupił. Zapłacił gotówką.

Był to szczególnie dokładnie takiego rodzaju, jakie popychani instynktem stadnym wikipedyści ze stuprocentowym prawdopodobieństwem tratowali na swojej drodze - tymczasem wiele faktów z późniejszego życia Richarda dało się wytłumaczyć obsesją na punkcie posiadania ziemi, która pierwszy raz ogarnęła go w tamtym cieniście cedrowym gaju. W końcu zrozumiał, że musi ona mieć coś wspólnego z farmą w Iowa i świadomością, że bez względu na treść testamentu taty i na to, jak sprawy potoczą się po jego śmierci, on - Richard - nie zostanie w jego ostatniej woli uwzględniony. Jeśli więc chce mieć własny kawałek ziemi, musi sam go sobie znaleźć. I choć może to być kawałek lepszy i piękniejszy niż farma w Iowa, na zawsze pozostanie tylko miejscem wygnania.

U schyłku lat siedemdziesiątych przez jakiś czas wyobrażał sobie, że pewnego dnia zbuduje chatę nad Prohibition Creek, Potokiem Prohibicji, bo tak nazwał przecinający jego posiadłość bezimienny strumień, i w niej zamieszka. Znacznie wygodniej żyło mu się jednak na północ od granicy, gdzie wylegiwał się nad jeziorem Kootenay z kieszeniami pełnymi studolarowych banknotów, i z czasem stracił zapał do osiedlenia się w dziczy.

* * *

Góry w tym zakątku Kolumbii Brytyjskiej były podziurawione jak ser szwajcarski

nieczynnymi kopalniami. Jedno z takich miejsc szczególnie zafascynowało Richarda i Cheta, jego kumpla z gangu motocyklowego. Sto lat wcześniej górnik z Niemiec, któremu wyjątkowo się poszczęściło, wybudował tam najprawdziwszy alpejski *Schloss*, zameczek, którego fundamenty i kamienne mury zachowały się do dziś w bardzo przyzwoitym stanie. Gospodarka w tym rejonie padła na pysk po zamknięciu dużej papierni, wszystko było tanie jak barszcz, więc Richard z Chetem kupili *Schloss* na własność. Od momentu, gdy tylko wpadli na ten pomysł, Richard zaczął traktować inwestycję w Idaho jako wstęp, szkic, przygotowanie do tej prawdziwej.

Z czasem wygodnie urządzony zameczek, w którym dało się całkiem przyjemnie mieszkać, stał się popularnym hotelikiem, w dodatku prowadzonym przez ludzi, którzy znali się na rzeczy, i Richard nagle odkrył, że ma masę wolnego czasu. Najczęściej wypełniał go sobie graniem na komputerze. Uzależnił się - i to nie na żarty - zwłaszcza od gry zatytułowanej *Warcraft: Ores & Humans* i jej licznych kontynuacji, których kulminacją, gra MMO² znana jako *World of Warcraft*, odniosła spektakularny sukces. Lata 1996-2006 były dla Richarda „straconą dekadą” - a przynajmniej tak by je właśnie oceniał, gdyby nie doprowadziły do *T’Rainu*. Tył systematycznie, aż waga zaczęła zagrażać jego życiu, zanim w końcu nauczył się grać, maszerując (z początku bardzo wolno) po bieżni treningowej.

Podobnie jak wielu poważnych graczy nabrał zwyczaju kupowania wirtualnej gotówki i innych pożądaných przedmiotów od chińskich farmerów złota - młodych ludzi żyjących z tego, że podczas gry gromadzą wirtualną broń, pancerze, magiczne eliksiry, i w ogóle wszystko, co można później sprzedać graczom w Europie i Ameryce, którzy mają więcej pieniędzy niż czasu. Istnienie tego rodzaju działalności wydawało się Richardowi niezwykle i nieprawdopodobne - dopóki w pewnym artykule nie przeczytał, że szacunkowe obroty w światowym handlu towarami wirtualnymi sięgają od miliarda do dziesięciu miliardów dolarów rocznie. Dlatego doszedłszy do momentu, w którym zabrakło mu wirtualnych światów do podbijania (jego postaci osiągnęły niemal boski status i mogły robić, co tylko chciały), zaczął go rozważać jako całkiem poważną propozycję biznesową.

W tym właśnie miejscu autorzy hasła w Wikipedii dokumentnie się pogubili, kładąc nadmierny nacisk na kwestię prania pieniędzy. *Schloss* przynosił zyski, zyskiwał na wartości, a w dodatku zapewniał właścicielom darmowy wikt i dach nad głową, toteż Richard od lat już nie myślał o tym, co zrobić z nagromadzonymi franklinami. Co innego dawniej, w latach młodości: wtedy rzeczywiście poświęcał kwestiom prania pieniędzy wystarczająco dużo

² Gra MMO (massive multiplayer online game) - gra online dla wielu uczestników (przyp. tłum.).

czasu, żeby wyrobić sobie szósty zmysł, wyczulony na podziemne przepływy gotówki - trochę podobnie jak ródzkarze, którzy ponoć umieją znaleźć wodę, łażąc w kółko z rozwidlonym patykiem w rękach. Dlatego kwazipodziemna gospodarka oparta na wirtualnym pieniądzu rzeczywiście go interesowała - ale na pewno nie po to stworzył *T'Rain*, żeby masowo prac fundusze.

Gry komputerowe uzależniały jak narkotyki, silniej niż wszelkie środki chemiczne, o czym przekonał się na własnej skórze, poświęciwszy im bite dziesięć lat. Z czasem jednak odkrył, że są również sprawnym mechanizmem wymiany pieniędzy - a na narkotykach i pieniądzach znał się całkiem nieźle. Trzecią podporą tego trójnoga stało się wygnaćce zamiłowanie do nieruchomości: w świecie rzeczywistym zawsze będzie spętany fizycznymi gabarytami planety, na której tkwił - za to w rzeczywistości wirtualnej jedynym ograniczeniem byłoby prawo Moore'a, wedle którego przestrzeń rozszerzała się w zawrotnym wykładniczym tempie.

Kiedy już złożył te trzy składniki w całość, sprawy potoczyły się błyskawicznie. Przeczesawszy czaty, nawiązał kontakt z porozumiewającymi się po angielsku chińskimi farmerami złota, którzy potwierdzili jego przypuszczenia, że poważną przeszkodą w ekspansji biznesowej jest dla nich chroniczna niemożność transferu zarobionych pieniędzy z powrotem do Chin. Założył więc spółkę z jakimś „Nolanem” Xu, patologicznie przedsiębiorczym szefem chińskiego producenta gier komputerowych, który miał obsesję na punkcie możliwości wykorzystania chińskich talentów inżynierskich do stworzenia nowej MMO. Po długich i najeżonych trudnościami rokowaniach, prowadzonych przez Internet Messengera i Skype'a, Richard zdołał przekonać Nolana, że należy zacząć od kanalizacji, czyli opracowania systemu przepływu pieniądza; reszta przyjdzie sama. I tak dla wprawy stworzyli mechanizm, w którym Richard na amerykańskim końcu rurociągu przyjmował wpłaty od nałogowych graczy ze Stanów i Kanady i Fedeksem przesyłał studolarowe banknoty na Tajwan, gdzie trafiały do pralni opartej na systemie nieoficjalnych przekazów pieniężnych dla imigrantów z Filipin, po czym z tajwańskich rachunków bankowych płynęły wprost na chińskie konto Nolana, który wypłacał farmerom złota wynagrodzenia w miejscowej walucie.

Cały ten bizantyjski układ - którego złożoność, potencjalna wieloaspektowa niewydolność, sprzeczność z prawem kilku krajów jednocześnie oraz galeria zaangażowanych weń szemranych postaci, po dziś dzień, mimo upływu lat, sprawiał, że Richard budził się czasem w środku nocy zlany potem - był tylko etapem pośrednim na drodze do przedsięwzięcia znacznie normalniejszego i stabilniejszego. Do spółki z Nolanem założyli firmę, której celem było stworzenie wymarzonej przez Nolana nowej, całkowicie

oryginalnej gry opartej na finansowym systemie kanalizacyjnym, który Richard był wreszcie gotów zbudować. Kiedy spór o nazwę firmy przeciągnął się do ponad kwadransa, Richard (który uważał, że kwadrans powinien w zupełności wystarczyć) wyciągnął z kieszeni kości do D&D i, rzuciwszy nimi, uzyskał przypadkową liczbę 9592.

Stworzona przez Korporację 9592 gra miała wiele nowatorskich cech, z których zdaniem Richarda najważniejszą był fakt, że została od podstaw zbudowana w taki sposób, aby sprzyjać farmingowi złota. W starszych grach farming był niemile widzianym produktem ubocznym, epifenomenem, który twórcy gier usiłowali za wszelką cenę stłamsić - do tego stopnia, że w 2009 roku chiński rząd oficjalnie zakazał tego rodzaju praktyk. Richard uważał jednak, że gałąź gospodarki przynosząca potencjalnie od miliarda do dziesięciu miliardów dolarów rocznie zasługuje na większy szacunek. W tym konkretnym wypadku odwrócenie założeń gry musiało przecież nieuchronnie prowadzić do zwiększenia lojalności klientów i przyrostu zysków. Wystarczyło tylko podporządkować wirtualną gospodarkę konieczności masowego przyciągnięcia farmerów złota.

Wyczuwał instynktownie, jakby niezwykle wyczulonym zmysłem węchu, że powodzenie gry zależy od stabilności jej wirtualnej waluty. Zainteresował się więc historią pieniądza, a zwłaszcza złota, którego wysoka wartość, jak się dowiedział, wynikała z faktu, że wydobycie go z ziemi wymagało określonego wysiłku, który na przestrzeni dziejów utrzymywał się na względnie niezmiennym poziomie. Gdy tylko odkrywano nowe, łatwo dostępne złoża albo wprowadzano nowe techniki wydobycia, cena złota spadała.

Nie trzeba geniusza, żeby dojść do wniosku, że wartość wirtualnego złota w grze można ustabilizować w podobny sposób: zdobycie określonej ilości złota (tudzież srebra, diamentów i wszelkich innych mitycznych i magicznych kruszców i klejnotów, które z czasem zostaną dodane do świata gry) musi wymagać od gracza określonego wysiłku i poświęcenia określonego czasu.

W innych grach online załatwiano to odgórnie: złoto spoczywało w lochach strzeżonych przez potwory; im silniejszy był potwór, tym większa kupa złota, na której się wylegiwał. Chcąc zdobyć złoto, należało potwora zabić, zbudowanie postaci dostatecznie silnej, by mogła tego dokonać, wymagało zaś czasu i wysiłku. System ten funkcjonował całkiem nieźle, ale decyzja o tym, gdzie znajduje się skarb i ile wysiłku będzie wymagało jego zdobycie, zależała wyłącznie od widzimisię jakiegoś komputerowego świra siedzącego w swoim boksie w firmie komputerowej.

Szaleństwo pomysłu Richarda polegało na wyeliminowaniu tej manipulacji poprzez udostępnienie wirtualnego złota na takich samych zasadach i z uwzględnieniem takich

samych procesów geologicznych, jakie obowiązują w świecie rzeczywistym - to znaczy takich samych, ale modelowanych numerycznie, zamiast dziejących się naprawdę. Błąkając się po Internecie, natoczył się na stronę WWW, która wydała mu się tak dziwaczna, że zahaczało to o odmienne stany świadomości. Jej twórca, RT. „Pluton” Olszewski, miał dwadzieścia dwa lata i był synem pracownika koncernu naftowego z Alaski. Zamiast chodzić do szkoły za kołem podbiegunowym, uczył się w domu, mając za nauczycieli ojca geologa i matkę matematyczkę. Klasyczny „mały profesor” z zespołem Aspergera, uwięziony w mocno owłosionym ciele dorosłego alaskańskiego prostaczka, mnóstwo czasu poświęcał grom komputerowym i kipiał złością na widok nonszalanckiego traktowania przez te gry kwestii geografii i geologii. Formy terenu nie wyglądały jak prawdziwe - przynajmniej nie dla Plutona, który potrafił przez godzinę siedzieć bez ruchu i gapić się na jakiś pagórek. Na znak protestu więc, albo - rzec by można - w akcie nieposłuszeństwa obywatelskiego wobec całego przemysłu gier komputerowych, założył stronę internetową demonstrującą działanie jego własnych algorytmów do generacji wirtualnych form terenu, które spełniały wyznaczone przez niego standardy realizmu. W praktyce oznaczało to, że każdy detal w terenie uwzględniał cztery i pół miliarda lat symulowanej historii tektoniki płyt kontynentalnych, zmian składu atmosfery, efektów biogenicznych oraz erozji. Oczywiście przeciętny użytkownik nie odróżniał ich od zwykłego tła z pierwszej lepszej gry komputerowej, zatem z jego punktu widzenia wysiłek Plutona był całkowicie bezużyteczny, ale Richarda nie interesowała powłoka świata Plutona. Interesowały go jego bebechy. Jego kości. Dla niego najważniejsze było to, co napotka wirtualny krasnolud, kiedy wirtualnym kilofem wyrył dziurę w zboczu wirtualnej góry. W tradycyjnej grze odpowiedź brzmiałaby: nic. Dosłownie nic. Góry były pozbawione wnętrza, miały tylko skorupę, powłokę cieńszą niż papier mâché. Za to w świecie stworzonym przez Plutona pierwszy cios kilofa odsłaniał glebę, której wygląd odzwierciedlał jej pochodzenie - była produktem corocznego wzrostu i gnicia roślin oraz wolno postępującej erozji podłoża w wyższych partiach terenu. Odgarnąwszy glebę, krasnolud dokopywał się do skalnego podłoża, które miało konkretny skład; mogło mieć charakter osadowy, magmowy albo metamorficzny, i przy odrobinie szczęścia mogło zawierać użyteczne ilości złota, srebra lub rudy żelaza.

Czym prędzej wykupili więc jego domenę internetową i Pluton przeprowadził się do Seattle, gdzie zamieszkał w apartamencie specjalnie przystosowanym dla autystów i wziął się do pracy nad stworzeniem całej planety. TERRAIN - gigantyczny kłęb kodu, który własnoręcznie wklepał w komputer w domku rodziców w Górach Brooksa - dał nazwę *T'Rainotvi*, wyimaginowanemu światowi, w którym Korporacja 9592 osadziła swoją nową

grę. Z czasem *T'Rain* stał się także tytułem samej gry.

* * *

Niedaleko Red Oak autostrada przechodziła obok centrum handlowego, którego głównym sklepem był Hy-Vee, placówka lokalnej sieci spożywczej. Podobnie jak w innych, większych Hy-Vee, w tym również przy wejściu znajdowała się tania restauracja, do której miejscowi staruszkowie wpadali z rana na śniadanie za 1,99 dolara. Richard, który na najbliższe co najmniej pół godziny sam zamierzał się wcielić w początkującego staruszka, zaparkował grand marquisa na jednym z wielu wolnych miejsc i wszedł do środka.

Spodziewał się jaskrawych, prostych kolorów, takich, jakie zastałby w restauracji przy Hy-Vee w latach swojej młodości. Tutaj jednak wystrój pochodził z ery po Starbucksie - czyli żadnych barw głównych, wszędzie odcienie naturalne, stonowane brązy, dyskretne faktury. Za oknem przetaczały się olbrzymie, dymiące pick-upy, obwieszone - jak zabawki z klocków lego - podokręcanym sprzętem dodatkowym. Pod oknami niczym umocnienia prowizorycznych fortyfikacji piętrzyły się ułożone na paletach worki z solą. A przy stolikach... Samotny handlowiec przewijający wiadomości na blackberry; kierowcy ciężarówek - brodaci, brzuchaci, oszelkowani, rozglądający się po sali i wygadujący głupoty; pracownicy sklepu spożywczego w służbowych mundurkach, którzy, korzystając z chwili przerwy, wpadli z małżonkami na kawę; małomiasteczkowe dziewczyny z oczami wymalowanymi jak u szopa pracza, nie rozumiejące, że u blondynki z jasną cerą to fatalny pomysł; zgarbieni, jakby przyczajeni Meksykanie; staruszkowie kipiący bezpodstawnym dobrym humorem, typowym u ludzi, którzy dziesięć lat temu pogodzili się z myślą, że w każdej chwili mogą umrzeć; paru młodszych klientów; kilku dżentelmenów ubranych w ogrodniczki i przyrośniętych do laptopów. Richard rozgościł się w jednym z boksów, zamówił dwa jajka sadzone na bekonie i tost z białego pszennego chleba, i też wyjął laptop z torby.

Ekran powitalny *T'Rainu* był żywcem zerżnięty z Google Earth. Richard nie miał z tego powodu wyrzutów sumienia, ponieważ słyszał, że Google Earth ściągnął pomysł z jakiejś starej powieści science-fiction. Planeta *T'Rain* wisiała w przestrzeni na wygwieżdżonym tle. Gwiazdy były rozrzucone przypadkowo, co doprowadzało Plutona do szału, ale to nie było najważniejsze. Planeta zaczynała wirować i przybliżać się, aż punkt widzenia użytkownika nurkował w atmosferę obfitującą w realistyczne chmury. Zarysy kontynentów i wysp nabierały głębi, wyżej położone obszary przyprószał śnieg, na powierzchni akwenów rysowały się fale, rzeki zaczynały płynąć. Pojawiały się drogi, cytadele i pałace. Niektóre z nich pochodziły z czasów poczęcia świata i wiązało się z nimi całe morze

opowieści. Inne zostały wybudowane przez graczy w czasie Preludium - trwającego przez pierwszy rok kalendarzowy okresu, w którym czas w grze biegł szybciej niż w świecie rzeczywistym. Jeszcze inne powstawały na bieżąco, chociaż teraz - odkąd czas zwolnił, spętany Blokadą Czasu Rzeczywistego - budowa przebiegała znacznie wolniej. Bohater Richarda zbijał w tej chwili baki w na wpół gotowej twierdzy wchodzącej w skład fortyfikacji, które w tej części *T'Rainu* były przybliżonym odpowiednikiem chińskiego Wielkiego Muru - w tym sensie, że ziemie na północ od nich znajdowały się pod panowaniem wyśmienitych konnych łuczników.

Ostatni raz logował się w środę późnym wieczorem. Od tamtej pory upłynęło trzydzieści sześć godzin w świecie rzeczywistym - i tyle samo w *T'Rainie*, rzecz jasna, a to oznaczało, że bohater Richarda musiał znaleźć sobie jakieś zajęcie: ciche, niewinne i błahe. Na przykład spanie. I rzeczywiście, według minilogu nałożonego w tej chwili na obraz świata, postać imieniem Fudd przespala osiem godzin, następne siedemnaście godzin funkcjonowała normalnie, przespala kolejne osiem i trzy godziny temu wstała. Na jawie Fudd (bez udziału Richarda) spożył łącznie cztery posiłki, co zajęło mu dwie godziny, resztę czasu poświęcił zaś na „medytację” i „trening”, dzięki czemu minimalnie zwiększył swój magiczny potencjał oraz stał się odrobinę lepszy w dokopywaniu wrogom (choć akurat w tej dziedzinie nie potrzebował dodatkowej praktyki). Każda rasa i klasa bohatera w *T'Rainie* miała wbudowane różne rodzaje automatycznych zachowań. Niektóre z nich - takie jak spanie i jedzenie - były wspólne dla wszystkich, inne zależały od typu postaci. Ponieważ Fudd był kimś w rodzaju wojownika-czarodzieja, na arsenał jego autoczynności składały się medytacja i trening. Gdyby był górnikiem, w wolnych chwilach wydobywałby złoto i przy każdym zalogowaniu Richard stwierdzałby, że w sakiewce przybyła mu odrobina złotego proszku.

Oczywiście wojownik-czarodziej był dla gracza postacią o wiele atrakcyjniejszą od górnika, i takim właśnie kryterium kierowali się ludzie przy wyborze swoich bohaterów, ale wirtualna gospodarka ległaby w gruzach, gdyby górnicy nie wydobywali złota i innych minerałów, które algorytmy Plutona rozrzuciły po całym *T'Rainie*. Dlatego górnicy musieli istnieć i musieli być bardzo liczni, żeby świat funkcjonował jak należy. A oto w jaki sposób Korporacja 9592 pogodziła ten wymóg z koniecznością stworzenia gry, w którą naprawdę fajnie się gra:

* Wojownicy-czarodzieje i inni interesujący bohaterowie byli drodzy w utrzymaniu. Korporacja pobierała od ich posiadaczy większe opłaty. Górnicy, myśliwi-zbieracze, rolnicy, łuczniczy konni i tym podobni nie kosztowali praktycznie nic i chińskie nastolatki mogły sobie pozwolić na utrzymywanie dziesiątek lub nawet setek takich postaci.

* Górnicy, rolnicy i tym podobni wymagali niewiele uwagi ze strony właścicieli. Górnik sam z siebie produkował złoto, pod warunkiem, że gracz miał dość oleju w głowie, żeby rzucić go w taką część świata, w której złoto w ogóle występuje, oraz chronić go później przed bandytami, najeźdźcami itp.

* Jeżeli ktoś naprawdę chciał pograć górnikiem, zamiast pozwolić mu przez całe życie wykonywać zaprogramowane autoczynności, mógł sobie znaleźć całkiem użyteczne zajęcie. Na całym świecie czekały na odkrycie bogate żyły kruszców, których eksploatacja przyniosłaby znacznie większe zyski niż przeciętne złoża, przy których mozoliły się rzesze górniczych średniaków. Najczęściej znajdowały się jednak w trudno dostępnych regionach granicznych, których eksploracja gwarantowała mnóstwo ciekawych przygód.

* Społeczeństwo *T'Rainu* miało strukturę feudalną. Każda postać mogła mieć od zera do dwunastu wasali i od zera do jednego seniora. Bohatera bez seniora i wasali nazywano roninem, ale roninowie byli nieliczni i trafiali się głównie wśród nowicjuszy. Gracz z większym stażem tworzył sobie zwykle średniej wielkości siatkę wasali, którzy przez całe życie zajmowali się takimi sprawami, jak wydobywanie surowców i uprawa roli. Postać posiadająca wasali, ale pozbawiona seniora, nazywana była lordem i, co oczywiste, zajmowała miejsce na szczycie feudalnej hierarchii. Większość lordów miała raczej kieszonkowy charakter i władała jedno- lub co najwyżej dwupoziomową strukturą złożoną z górników lub rolników, ale zdarzali się i tacy, którzy mieli tysiące wasali rozsianych po wszystkich szczeblach społeczeństwa. Ci odgrywali znaczącą rolę w polityce świata gry, jeśli tylko mieli ochotę spędzać w ten sposób czas i mogli sobie na to pozwolić.

* * *

Opierając się na takich założeniach (i manipulując nimi przez pierwsze dwa lata istnienia *T'Rainu*), Richard z Nolanem zdołali dokonać niełatwej sztuki: stworzyli grę MMO atrakcyjną zarówno dla kluczowego w tym systemie chińskiego nastolatka, jak i dla dobrze odkarmionego Europejczyka i Amerykanina w średnim wieku, któremu ów nastoletni Chińczyk dostarczał wirtualnego złota. Pod pewnymi względami to Europejczycy i Amerykanie mieli więcej frajdy z *T'Rainu*, ponieważ mogli kupione wirtualne sztuki złota wydawać na spektakularne projekty budowlane i finansowanie wojen, które były poza zasięgiem młodych Chińczyków. Z drugiej jednak strony, ci właśnie młodzi Chińczycy dostawali prawdziwe pieniądze; dla nich gra wiązała się z zarabianiem, a nie wydatkami. Taki układ pasował obu stronom.

Wszystko to mieściło się w pojemnej kategorii „kanalizacji”, której ideę Richard powziął na najwcześniejszym etapie realizacji projektu jako warunek konieczny dla

samofinansowania się interesu. Bebechy gry - takie jak mechanizmy decydujące o zachowaniu pomagierów - do tego stopnia go zafascynowały, że nie poświęcał dość uwagi tym cechom świata gry, które miały być widoczne na zewnątrz, a więc były najważniejsze dla klientów. Wyprodukowany przez Plutona kod generujący świat był wprost oszałamiający; obmyślony przez Richarda plan stabilizacji wirtualnego pieniądza został zaimplementowany (przez dwójkę wynajętych ludzi, którzy naprawdę znali się na tensorach) bardziej szczegółowo niż podobne schematy opracowywane dla prawdziwych walut; stworzony przez programistów Nolana kod, który trzymał wszystko w kupie, nie miał sobie równych na rynku. Mimo to nadal nie mieli świata. Wszyscy ci górnicy, łucznicy i cała reszta byli pozbawionymi twarzy ludzikami. *T'Rain* był pozbawiony ras, kultur, sztuki, muzyki i historii. Nie miał bohaterów.

Do tego potrzebowali ludzi, których w branży nazywano Kreatywami.

Wydawało się logiczne, żeby na początek sięgnąć po pisarzy, ponieważ z ich dzieła będą mogli czerpać plastycy, kompozytorzy i architekci, których znajdzie się później. Zaprośili do współpracy profesora Donalda Camerona, dona (nauczyciela akademickiego) z Cambridge i autora cenionych powieści fantasy, żeby stworzył podwaliny świata. Niestety don Donald (albo DeKwadrat, bo takiego nieuniknionego przezwiska dorobił się na potrzeby komunikacji w obrębie firmy) podpisał był umowę na tomy 11-13 swojej trylogii *Pieśń o Królu Zimy*, więc Richard pod presją czasu (do premiery gry został wówczas niespełna rok) wpadł na pomysł uruchomienia przez Korporację 9592 programu pisarzy-rezydentów.

Rok później nie mógł się nadziwić swojej naiwności. Pisarze, jak się okazało, bardzo lubili odgrywać rolę rezydentów - tak bardzo, że jak gdzieś się załęgłi, to pozbycie się ich było prawie niemożliwe.

Devin Skraelin był trzecim z kolei pisarzem, do którego się zwrócili. Negocjacje z pierwszymi dwoma ugrzęzły na mieliźnie skomplikowanych klauzul odnoszących się do nowych mediów, których ich prawnicy nie byli w stanie ogarnąć rozumem. Richard był więc zdesperowany - ale okazało się, że w osobie Devina trafił swój na swego. Devin nie cieszył się przesadnym uznaniem krytyki („nie można nazwać go pisarzem absolutnie miernym, nie zapuszczając się przy tym na sam koniuszek gałęzi drzewa krytyki literackiej i nie przyginając jej w ten sposób do ziemi”, „do tego stopnia wtórny, że czytelnik gubi się w gąszczu zapożyczeń”, „styl tak ciężki, że chętnie nazwałbym go «ołowianym», gdyby nie fakt, że w ten sposób skrzywdziłbym Bogu ducha winnego członka układu okresowego”), był za to wściekle płodny - do tego stopnia, że musiał przybrać aż trzy pseudonimy literackie, pod którymi publikował w trzech różnych wydawnictwach. Ale na tym etapie właśnie płodność

była dla Richarda najważniejsza. Na początku kariery Devin osiadł w przyczepie kempingowej w Possum Walk w stanie Missouri, ponieważ w jakiś sposób (a była to epoka preinternetowa) udało mu się ustalić, że jest to najtańsze miejsce do zamieszkania w Stanach na północ od linii Masona-Dixona. Odmawiał kontaktu przez prawników (co Richardowi też już odpowiadało) oraz wszelkich podróży, więc Richard pojechał odwiedzić go osobiście, z mocnym postanowieniem, że nie wyjdzie z przyczepy bez podpisanej umowy w garści.

Obecni od tamtej pory w społeczności fanów *T'Rainu* zagorzali krytycy Devina ogromnie wyolbrzymili zarówno panujące w przyczepie brud, smród i ubóstwo, jak również ciężar jej właściciela. Prawdą było, że jego niechęć do podróżowania wiązała się z faktem, że z trudem mieścił się na standardowym fotelu lotniczym - ale to samo można powiedzieć o większości ludzi. Zdaniem Richarda fałszywe było twierdzenie, jakoby Devin roztył się tak bardzo, że nie mieścił się w drzwiach przyczepy. Później, kiedy pojawiły się pieniądze, kupił sobie luksusową przyczepę marki Airstream - tylko po to, żeby podczas podróży po kraju nie musieć robić przerw w pisaniu; nieprawdą było, jakoby nie był w stanie jej opuścić. Richard widział tego airstreama: drzwi i urządzenia sanitarne miały w nim zupełnie normalne rozmiary, a Devin korzystał z jednych i drugich może nie regularnie, ale... No, korzystał, kiedy musiał.

Teraz zresztą nie miało to żadnego znaczenia. Po tym, jak Richard podzielił się z Devinem sekretem, jak można pracować (albo przynajmniej grać) na bieżni treningowej, Devin z przesadnym entuzjazmem przyswoił sobie ten pomysł i od dawna nie miał już problemów z otyłością. Wprost przeciwnie: od co najmniej czterech lat nie bez powodu nazywano go Szkieletorem. Na umieszczonej w sieci stronie można było na bieżąco śledzić jego puls i liczbę przebiegniętych w ciągu dnia mil. Uprzejmie dziękował Richardowi za uratowanie życia przez namówienie go do pisania na bieżni, a Richard zgoła nieuprzejmie zastanawiał się, czy to na pewno był dobry pomysł.

* * *

Fudd miał tuzin wasali, z których każdy miał tuzin własnych poddanych, co w sam raz wystarczało mu na wygodne życie. Jego seniorem była inna postać prowadzona przez Richarda, który jednak rzadko nią grywał. Pozbawiony konkretnych obowiązków Fudd pomieszkiwał w zakamarku fortyfikacji nazwanym Kapitularem - co oznaczało tylko tyle, że było to miejsce, w którym postaci takie jak Fudd mogły bezpiecznie przesiadywać i całymi godzinami, dniami albo nawet tygodniami (kiedy ich właściciele nie logowali się w grze) wprawiać się w swoich autoczynnościach. W żargonie graczy miejsca takie nazywano „bazą domową”, w skrócie BD, na wzór dziecięcych zabaw w berka. Górnik miałby swoją BD w

kopalni wyposażonej w stołówkę i pokoje mieszkalne; dla wieśniaka rolę BD pełniło jego gospodarstwo - i tak dalej. BD wojowników-czarodziejów były bardziej wyrafinowane, droższe i nosiły nazwę Kapitularzy. Większość z nich była ogólnodostępna (czyli każda postać tego rodzaju mogła się w nich schronić), ale pewne, nieliczne, służyły tylko członkom określonych zakonów, których odpowiednikami w historii naszego świata byli kawalerowie maltańscy, templariusze itp. Wokół BD narosło całkiem sporo reguł i konwencji, niezbędnych dla zachowania pozorów rzeczywistości w grze. Nie można było dopuścić do tego, żeby postaci po prostu rozpląwały się w powietrzu, kiedy połączenie internetowe zostanie zerwane albo mama każe graczowi odspawać się od komputera, gracze starali się więc przed przewidywaną przerwą w zabawie ulokować swoją postać w BD. W wypadkach działania siły wyższej (takiej jak koparka przecinająca kabel albo mama przytrząskująca graczowi palce pokrywą laptopa) bohater przechodził w tryb sztucznej inteligencji (AI) i próbował sam wrócić do BD. Było to zadanie łatwe dla postaci na wysokich poziomach, z dostępem do systemu linii geomantycznych (trainowej wersji teleportacji), oraz dla postaci początkujących, które i tak nie oddalały się zbyt od swoich kopalń i gospodarstw. Najgorzej mieli bohaterowie średnio zaawansowani, którzy pieszo lub konno zapuszczali się w świat daleko od swoich BD, a w drodze powrotnej, drepcząc jak zombi, stawali się łakomym kąskiem dla bandytów i nieprzyjaciół. To Nolan nalegał na takie rozwiązanie, żeby powstrzymać graczy przed wylogowywaniem się za każdym razem, gdy ich postać wpadnie w tarapaty.

Tak czy inaczej, w tej chwili to Richard sterował Fuddem i Fudd mógł bezpiecznie opuścić Kapitularz. Richard stuknął w klawiaturę i siwobrody wojownik-czarodziej wyplątał się z pozycji medytacyjnej i ruszył do wyjścia z BD. Droga prowadziła przez gospodę, w której Fudd stołował się pod nieobecność Richarda. Karczmarz miał dla niego przesyłkę: przekaz gotówki od wasali, który powędrował prosto do sakiewki. Fudd przeszedł do czegoś w rodzaju zbrojowni, stanowiącej swoistą służbę między BD i światem zewnętrznym. Odrzucił zaproszenie trójki bohaterów, którzy ocenili go jako dość silnego, żeby warto było mu proponować przyłączenie się do ich ekipy. Dla wielu graczy realizowanie misji i wypadów w towarzystwie znajomych - albo, z braku laku, przypadkowych nieznajomych - było istotą gry, ale Richard zawsze wolał szwendać się w pojedynkę, i teraz, zamiast tłumaczyć się przed obcymi, rzucił czar, który uczynił go niewidzialnym. Było to nieuprzejme, ale skuteczne. Interfejs tekstowy wypuł gniewne *WTF?*, ale Fudd wymknął się już za drzwi.

Nie wybierał się na żadną ekscytującą misję, bo Richard nie miał na to czasu - zamierzał tylko pokręcić się trochę po świecie i rozejrzeć. Ostatnio często to robił. Coś się działo, w społeczności graczy zachodziła jakaś przemiana fazowa, coś w tym rodzaju... Nie

znał się specjalnie na przemianach fazowych, wiedział tylko, że takie coś się zdarza, kiedy lód się topi, ale w Korporacji 9592 co rusz napotykał dziwaków z tytułami naukowymi, którzy tego niezwykle znaczącego określenia używali za każdym razem, kiedy chcieli, żeby inni dziwacy usiedli grzecznie na tyłku i zaczęli ich słuchać. Nagle coś się działo i nikt nie wiedział dlaczego. Albo, co było jeszcze bardziej niepokojące, coś wydarzyło się w przeszłości, a on był zbyt tępy i niedomyślny, żeby się zorientować.

Z tego właśnie powodu stworzył sobie Fudda. Miał w *T'Rainie* jeszcze inne postaci, rządzące potężnymi piramidami wasali i dysponujące boską mocą - które jednak właśnie z tych powodów nie musiały się angażować w misje dla prostaczków i zarabianie pieniędzy, które przeciętnemu klientowi pochłaniały większość czasu. Fudd był wystarczająco mocny, żeby móc się włóczyć po świecie bez ryzyka, że co dziesięć minut ktoś będzie próbował go zabić, ale zarazem nie dość silny, żeby nie musiał walczyć o przetrwanie.

Niewidzialny obiegł dziedziniec twierdzy, na którym znajdował się bazar, a na nim kuźnie płatnerza i zbrojmistrza, kram spożywczy, kantor wymiany walut. Przysłuchał się rozmowom w kantorze, żeby sprawdzić, czy nic dziwnego nie dzieje się z kursami wymiany. Nigdy nic się nie działo; opracowana przez Richarda kanalizacja działała bez zarzutu. Może u Devina coś się popieprzyło, ale Korporacja 9592 zarabiała jak co dzień.

Właściciele kramów i klienci przeglądający ich towary należeli do jednej z trzech ras: Anthronów, czyli starych, pocziwych ludzi; K'Shetriai, czyli elfów po zmianie marki; oraz Dwinnów (pierwotnie zwanych D'uinnami, zanim apostrokalipsa na zawsze zmieniła typografię *T'Rainu*), czyli przemianowanych krasnoludów. W *T'Rainie* istniały jeszcze trzy inne rasy, ich przedstawiciele nie byli jednak tutaj reprezentowani, ponieważ służyli złu, a to był posterunek graniczny po stronie dobra. K'Shetriai i Dwinnowie najczęściej byli dobrzy. Anthronowie mogli być dobrzy lub źli, ale wszyscy obecni w twierdzy (nie licząc szpiegów sił zła) byli dobrzy.

Zgodnie z obowiązującą w tego typu grach konwencją gracze mieli jeszcze jedną możliwość: ich postać mogła być „chaotyczna”, czyli ani dobra, ani zła. Richard od początku przewidywał (słusznie, jak się z czasem okazało), że chaotyczni bohaterowie będą bardzo nieliczni. Mało kto od początku chciał, żeby jego postać była chaotyczna, a jeśli nawet się na to zdecydował, miał poważne problemy z utrzymaniem siatki wasali i prędzej czy później padał ofiarą innego gracza - dobrego lub złego. Richard uważał, że należy w ogóle pozbyć się charakteru chaotycznego. Widział w nim pozostałość dawnych czasów, kiedy gracz, który nie chciał być wzorem cnót wszelakich, potrzebował jakiegoś fajniejszego ideału, z którym mógłby się identyfikować, a zarazem nie był gotowy sam siebie określić jako złego. Od

tamtej pory społeczeństwo wystarczająco się zdegenerowało, żeby zło przestało stygmatyzować; zły charakter miał podobny ciężar gatunkowy jak noszenie kolczyka w nosie.

Na dziedzińcu Fudd nie zobaczył niczego, czego nie widziałby już wcześniej. Rzucił czar „szybowanie” i wzniósł się w powietrze nad dziedzińcem, patrząc z góry na dwa tuziny kręcących się po nim figurek.

Zza muru śmignął pocisk. Minął Fudda w locie i łukiem spadł na ziemię, nie czyniąc nikomu szkody. Richard powiększył obraz i najechał kursorem na nieforemny obiekt kobaltowej barwy. Na zbliżeniu rozpoznał strzałę z przesadnie grubym drzewcem i kreskówkowo przerysowanym grotem i brzechwą. Strzały musiały być modelowane w taki sposób, jeśli miały być w ogóle widoczne. Nawet najnowsze ekrany o najwyższej rozdzielczości nie były w stanie odwzorować w sposób uchwytny dla ludzkiego oka lecącej strzały widzianej z odległości stu stóp, dlatego małe pociski i masa innego drobiazgu - widelce, łyżki, sztabki złota, pierścienie, noże - musiały mieć taki właśnie toporny wygląd, jak piankowa broń używana w prowadzonych na żywo grach fabularnych.

Ta strzała była jednak grubsza i wyglądała jeszcze bardziej głupio niż przeciętna. Oglądając ją w zbliżeniu, Richard zorientował się, dlaczego tak jest: drzewce było owinięte arkuszem jaskrawożółtego papieru przewiązany czerwona wstążką. Interfejs użytkownika rozpoznał w niej TATAŃSKĄ STRZAŁĘ SYGNAŁOWĄ.

Wzbił się wyżej i spojrzał ku północy, gdzie oddział tatańskich jeźdźców szalał w najlepsze, prowokując załogę fortu do zrobienia wycieczki i posyłając kolejne strzały wysokim parabolicznym torem. To pewnie dzieciaki z Chin; każdy mógł prowadzić po kilkunastu harcowników jednocześnie - jeźdźcy mieli zaprogramowane takie autoczynności, które ułatwiały sterowanie całymi szwadronami. Kolory żołnierzy kłuły w oczy. Richard nie musiał się konsultować z Diane (królową koloru w Korporacji 9592 i zarazem ostatnią z muz/furii), żeby wiedzieć, że ma przed sobą klasyczny przypadek deformacji palety.

Konni łucznicy wystrzelili ostatnią salwę i zawrócili. Ostrzeliwujący się z murów twierdzy kusznicy zabili już kilkunastu. Richard spojrzał na dziedziniec, ciekaw, czy ktoś nie został trafiony. Wszystkie pociski chybiły, ale jeden z ludzików zainteresował się leżącą nieopodal strzałą: podszedł i wziął ją do ręki. Richard najechał na niego kursorem. Ludzik miał na imię Barfuin i był przeciętnym wojownikiem rasy K'Shetriae. Podwójne kliknięcie wyświetliło szczegółowe informacje o Barfuinie: całą tabelę współczynników oraz portret - uderzająco podobny do paskudnej ikony K'Shetriae, którą Richard oglądał rano na wyświetlaczu GPS-u, szukając ciekawych miejsc w rejonie Nodaway. Największego podobieństwa przydawały im niebieskie włosy, kolejny przykład deformacji palety.

Zatrzasnął pokrywę i odsunął laptop, ponieważ kelnerka niosła mu już zamówione jajka na bekonie.

* * *

Skoro postanowiono wprowadzić K'Shetrię i Dwinnów, a Szkieletor, don Donald i ich akolici zamierzali pozapychać kanały dystrybucyjne przemysłu wydawniczego dziełami opisującymi ich tysiącletnią historię, dwie rasy musiały się wyraźnie różnić tym, co archeolodzy nazywają „kulturą materialną” - ubraniami, architekturą, sztuką zdobniczą itp. Korporacja 9592 wynajęła więc artystów, architektów, muzyków i kostiumologów, żeby stworzyli kultury materialne w zgodzie ze spisaną przez Szkieletora i dona Donalda „biblią” *T'Rainu*. Udało im się to doskonale i każda nowa postać miała „wbudowaną” gotową kulturę materialną swojej rasy: stroje, broń, BD - wszystko zostało wymyślone i opisane. Należało jednak zostawić graczom odrobinę swobody, możliwość indywidualnego wyrazu, ponieważ ludzie lubią się popisywać swoją oryginalnością - i w tym celu powstał odpowiedni interfejs. Płaszcz K'Shetrię mógł być uszyty z materiału w jednym kolorze, mieć lamówkę w drugim i podszewkę w trzecim, ale wszystkie trzy należało wybrać z ograniczonej palety barw, a autorką palet była Diane. Dzięki temu na wczesnym etapie istnienia gry rasę i typ postaci można było rozpoznać z daleka na podstawie noszonych przez nią barw.

Ktoś jednak wykombinował sobie, że włamie się do palet i opublikował niezależne oprogramowanie umożliwiające zamianę oficjalnych palet Diane na inne, dostosowane do indywidualnych upodobań użytkownika. Korporacja zareagowała z opóźnieniem. Zanim zwołano naradę w tej sprawie, software zdążył się rozpowszechnić i ćwierć miliona bohaterów nosiło już barwy inne od oficjalnych. Ewentualna depaletyzacja z pewnością rozjuszyłaby użytkowników, Richard uznał więc, że korporacja przymknie na to oko.

Nie pozostawało zresztą nic innego, jak przymknąć oczy, tak paskudne były niektóre zestawienia kolorystyczne - do tego stopnia, że zapoczątkowały trend odwrotny i przez ostatni rok obserwowano wyraźny powrót do palet Diane. Z czasem pojawiło się jednak jeszcze jedno zjawisko, zaskakująco subtelne: ludzie najchętniej używali zestawów kolorystycznych Diane, ale z małymi modyfikacjami. Takie właśnie palety publikowali i takimi wymieniali się na stronach fanowskich; kolejny gracz ściągał sobie taką paletę, wprowadzał w niej drobne przeróbki i publikował ją w innym miejscu. Ponieważ kolor w komputerze to po prostu ciąg trzech liczb (lub punkt w trójwymiarowej przestrzeni, jeśli ktoś woli taką interpretację), dało się stworzyć wykres ilustrujący migrację palet w przestrzeni barw. Latem Diane zleciła wynajętemu stażyscie opracowanie mechanizmu wizualizacji dryftu barw i teraz od dwóch miesięcy przesiadywała nad nim całymi godzinami, zasypując Richarda e-mailami z

nagłówkiem „Pilne!”, w których opisywała zaobserwowane w dryfcie tendencje. Inny szef na jego miejscu po prostu przeprogramowałby filtr antyspamowy i wysyłał te wiadomości w kosmos, ale Richard nie miał nic przeciwko ich otrzymywaniu, ponieważ stanowiły idealny przykład super-hiper-skomplikowanych głupot, którymi mógłby tłumaczyć swoje stałe zaangażowanie w działalność firmy przed akcjonariuszami - gdyby któremuś przyszło do głowy o to zapytać. Chociaż, prawdę mówiąc, nie potrafiłby powiedzieć, dlaczego wydają mu się istotne. Diane była przekonana, że palety nie fruują w tę i nazad bez ładu i składu, lecz powoli zbiegają się do wybranych punktów w przestrzeni barw, które nazwała „atraktorami” (zapożyczywszy ten termin z teorii chaosu).

Zastanawiał się nad tym, krojąc jajko i patrząc, jak świetliste żółtko rozlewa się po talerzu. Rozejrzył się po Hy-Vee, stanowiącym doskonałą ilustrację faktu, że palety barw są wszechobecne. Takich specjalistów jak Diane zatrudniano w najróżniejszych branżach, zlecając im dobór kolorów, które najskuteczniej przyciągną klientów. Począwszy od alejki z płatkami zbożowymi (zdrowe i ciepłe kolory dla starszych ludzi poszukujących ulgi w zatwardzeniu), aż po kasy (jaskrawe bomby kaloryczne w zasięgu rączek maluchów uwięzionych w wózkach), na każdym kroku dostrzegał starannie dobrane barwy. Siedział za daleko, żeby odczytać etykiety towarów, ale z łatwością domyślał się, w którym miejscu jakich klientów bierze się na cel.

Odruch żołądkowo-okrężniczy przerwał mu na chwilę te rozmyślania. Wracając z toalety, zajrzał przez ramię siedzącemu samotnie facetowi po pięćdziesiątce (sądząc po ubraniu, musiał być farmerem), który, zapomniawszy o stygnącej kawie, grał w *T’Rain*, Richard zwolnił kroku i tak długo zapuszczał żurawia, aż ustalił, że farmer steruje Dwinnem wojownikiem, który gdzieś w górach walczy właśnie z przypominającymi yeti istotami zwanymi T’Kesh. W kwestii kolorów gust miał raczej tradycyjny - obwiesił się wprawdzie paroma jarmarczonymi gadżetami, ale w większości zadowalał się barwami zadekretowanymi przez Dianę.

Richard wrócił do stolika i zadzwonił do Corvallis Kawasakiego, hakera z Seattle. Podział obowiązków w ramach Korporacji 9592 odzwierciedlał naturalne talenty Richarda i Nolana, przez co większość programowania odbywała się w Chinach. Do obowiązków pracowników zatrudnionych w Seattle należało jednak prowadzenie firmy, uprzyjemnianie życia Kreatywom oraz opieka nad wszystkim, co oficjalnie nazywano „Dziwactwami” i odpowiedzialnymi za nie Dziwakami; sztandarowym Dziwakiem był oczywiście Pluton, ale z Seattle nadzorowano sporo tajemniczych projektów badawczych i pokrewnych. Corvallis maczał palce w wielu z nich.

Wybierając numer Corvallis, sprawdził adres IP bezprzewodowego routera w Hy-Vee.

- Richard - przywitał go Corvallis.

- Cześć, C-plus. Ilu macie graczy z adresu 50.17.186.234?

Stukot klawiatury.

- Czterech. Jednym z nich jesteś ty.

- To więcej niż myślałem...

Richard rozejrzał się po sali i wypatrzył jeszcze jednego gracza, dwudziestolatka. Czwartego nigdzie nie było widać.

- Jeden z nich gubi dużo pakietów. Wyrzuj na dwór - odpowiedział mu Corvallis.

Richard wyrzwał przez okno i zobaczył SUV zaparkowany na miejscu dla niepełnosprawnych. Za kierownicą siedział mężczyzna, którego twarz oświetlała groteskowo zdeformowana przestrzeń barw ekranu trzymanego na kolanach laptopa.

- Jeden z nich ma Dwinn - powiedział Richard. - Walczy z T'Keshami.

- Już nie. Właśnie zginął.

Richard podniósł wzrok: zde gustowany farmer podniósł wzrok znad laptopa, sięgnął po kawę i uświadomił sobie, że całkiem wystygła. Spojrzał na zegar ścienny.

- Ciekawy przypadek...

- Co cię interesuje?

- Ogólne informacje demograficzne.

- Dziwnie wysokie dochody i wartość netto, jak na gościa przesiadującego w czymś, co nazywa się Hy-Vee i znajduje się w Red Oak, Iowa.

- To farmer. Ma ziemię i sprzęt warty fortunę. Dostaje wysokie dopłaty federalne.

Masz wyjaśnienie.

- Ma licencjat.

- Pewnie z inżynierii rolniczej.

- W tym roku kalendarzowym kupił siedemnaście książek.

Książek, jak domyślał się Richard, ze świata *T'Rainu*, nabytych w sklepie internetowym Korporacji 9592.

- Autorstwa DeKwadrata?

- Bingo. Skąd wiesz?

- Obejrzyj jego postać.

Stukot klawiatury.

- Mam. Standardowy Dwinn, na mój gust.

- No właśnie.

- To znaczy?

Richard wyjął papierową podkładkę spod talerza i odwrócił ją na drugą stronę. Z kieszeni koszuli wyjął ołówek automatyczny, narysował pionową linię przez środek papieru i przytknął czubek grafitu do wierzchołka pierwszej kolumny.

- Richard? Jesteś tam jeszcze?

- Myślę.

Prawdę powiedziawszy, słowo „myślę” nie opisywało precyzyjnie procesu zachodzącego w jego głowie, ponieważ myślenie sugeruje procedurę w jakimś sensie uporządkowaną.

Pewne spostrzeżenia wynurzały się czasem z zaduchu codziennych zmartwień i nieporozumień jak strzały sygnałowe z mroku - i jedno z nich wyróżniło go właśnie prosto w czoło. Przypomniała mu się scena z jakiegoś typowego świata fantasy, nie z Tolkiena, ale z czegoś tolkienopodobnego, dzieła jakiegoś innego Devina Skraelina. Zobaczył ją wymalowaną na ścianie mikrobusu, którego złapał na stopa w siedemdziesiątym drugim, kiedy wybrał się do Kanady, żeby nie odstrzelili mu nóg jak Johnowi. W tamtych czasach - dziwne to, ale prawdziwe - maniacy Tolkiena i miłośnicy trawki mieli ze sobą wiele wspólnego. W ciągu ostatnich trzydziestu lat ta bliskość zanikła, zbiorcy wielbicieli Tolkiena i zapalonych zielarzy stały się rozłączne, ale Richard pamiętał, że kiedyś byli sobie bliscy i malarze mikrobusów używali tej samej palety barw, co ludzie, którzy dzisiaj - jedni dobrzy, inni źli - poszukiwali się nawzajem niczym ślepcy, wysyłając sobie kobaltowe strzały i żółte karteczki.

- Nowy projekt badawczy - usłyszał swój głos.

- Oho...

- Widziałeś to badziewie rozsyłane przez Diane? O atraktorach w przestrzeni barw?

- Wiem, że istnieje - przytaknął ostrożnie Corvallis, płynnie przechodząc do pozycji obronnej. - Ale...

- To najważniejsze.

Richard odchrząknął. Jego ręka poruszyła się i zaczęła stawiać litery w lewej kolumnie. Z tępą fascynacją patrzył, jak układają się w słowa: SIŁY JASNOŚCI. Ręka prześlizgnęła się do prawej kolumny, gdzie po chwili przeczytał: KOALICJA SZAROŚCI.

- Odrzuć wszystko, co powinieneś wiedzieć o *T'Rainie*: rasy, klasy postaci, historię. Przede wszystkim zapomnij o podziale na dobrych, złych i chaotycznych. Zastanów się, jakie zachowania i związki faktycznie istnieją. Wykorzystaj atraktory w przestrzeni barw jak klin:

stukaj młotkiem, aż coś pęknie i się otworzy.

Przyszło mu do głowy, żeby podsunąć Corvallisowi dwie gotowe etykiety, ale doszedł do wniosku, że jeżeli nie mówi zupełnie od rzeczy, C-plus dojdzie do podobnych wniosków.

- Skąd ten pomysł?

- Dzisiaj rano w Gratlogu konni łucznicy wstrzeliwali do twierdzy wiadomości przeznaczone dla ludzi znajdujących się w środku.

- Dlaczego nie wyślą im e-maila? Wszyscy tak robią.

- Otóż to! Odpowiedź brzmi: dlatego, że nie znają się nawzajem. Próbują na oślep porozumieć się z obcymi.

- Przypadkowymi obcymi?

- Nie. Wydaje mi się, że istnieje mechanizm doboru oparty na... - Chciał powiedzieć „na kolorze”, ale wołał nie sugerować niczego Corvallisowi. - Na wspólnocie gustów.

- No dobrze... - Corvallis przetrawił słowa Richarda. - Czyli ten twój farmer z licencjatem, facet pod sześćdziesiątkę, który czyta dużo książek dona Donalda, znalazłby się po jednej stronie wytyczonej przez gust granicy...

- Właśnie. Kto będzie po drugiej?

- Nietrudno zgadnąć.

- Kiedy już skończysz zgadywać, podeślij mi fakty.

- Jakiś konkretny termin?

- Mój GPS mówi, że za dwie godziny będę w Nodaway.

- *De gustibus non disputandum est.*

DZIEŃ 0

Zamek Hundschüttler

Elphinstone, Kolumbia Brytyjska

Cztery miesiące później

- Wujku? Opowiedz mi o... - Zula zawahała się, spuściła wzrok, zacisnęła zęby i dzielnie pobrnęła dalej: - ...o tej apostrofo...

- Apostrokalipsie - dokończył Richard.

Trochę przy tym okaleczył słowo, które trudno było wypowiedzieć nawet na trzeźwo - a on przecież większość dnia przesiedział w zamkowej gospodzie. Na szczęście ogólny zgiełk maskował jego kłopoty z wymową. Był ostatni znośny tydzień sezonu narciarskiego. Wszystkie pokoje w zamku zostały zarezerwowane i opłacone z ponadrocznym wyprzedzeniem. Zula i Peter mogli tu przyjechać tylko dlatego, że Richard udostępnił im do spania rozkładaną sofę w swoim apartamencie. Wśród gości gospody przeważali ludzie bardzo z siebie zadowoleni, którzy robili stosowny do swojego zadowolenia hałas.

Schloss Hundschüttler był ośrodkiem narciarskim, w którym zamiast wyciągów pracowały ratraki - dieslowskie pojazdy gąsienicowe wywożące gości na trasy. Narciarstwo ratrakowe miało zupełnie inny charakter od popularnego w rejonie Aspen tradycyjnego narciarstwa opartego na nowoczesnych wyciągach i futurystycznych kolejkach linowych. Było również tańsze i mniej efektowne od narciarstwa wspomaganego śmigłowcami, ale prawdziwi narciarscy twardziele uważali je za bardziej satysfakcjonujące. Przy śmigłowcu warunki musiały być idealne, a cała eskapada zaplanowana z wyprzedzeniem; ratrak dopuszczał możliwość improwizacji. Nieco prymitywny, z lekka radziecki styl wypadów przesiąkniętym dieslowskimi oparami ratrakiem odrzucał grono hiperbogatych zwolenników przepychu i helikopterów, składające się w równych częściach z naprawdę rewelacyjnych narciarzy oraz zamożnych półgłówków, których zamrożone zwłoki zaścielały potem zbocza Everestu.

Te zagadnienia stanowiły dla Richarda i Cheta odległą przeszłość: minęło piętnaście lat, odkąd postanowili zgłębić takie plemienne podziały wśród narciarskich zapaleńców, żeby stworzyć spójny biznesplan dla zamku Hundschüttler. Z ich analizy wziął się styl i wystrój

Schlossu, który - gdyby celowali w inny segment rynku - musiałby być bardziej szpanerski i ociekać luksusem. Świadomie postawili na naśladowanie małych, lokalnych, raczej niewyszukanych ośrodków narciarskich w Kolumbii Brytyjskiej, gdzie nawet kolejki i wyciągi budowali miejscowi rzemieślnicy, którzy przy okazji byli fanatykami sportu. Hundschüttler celowo nie błyszczał i nie udawał korporacyjnych kurortów, jakich pełno było po południowej stronie granicy; ba, nie przypadłby do gustu nawet większości narciarzy - przez co ci, którzy decydowali się doń przyjechać, tym bardziej go doceniali, bo mieli wrażenie, że przez samą obecność w nim zaliczają się do elity.

W kącie siedziała grupka pięciu lub sześciu wprost absurdalnie wyśmienitych narciarzy - przedstawiciele producentów nart, teraz już pijanych w trupa, ponieważ przez cały dzień szusowali w śnieżnym puchu, rozsypując prochy przyjaciela, który przedawkował ten sam lek, który zabił Michaela Jacksona. Przy innym stoliku siedzieli Rosjanie: mężczyźni po pięćdziesiątce, jeszcze częściowo poubierani w narciarskie kombinezony, w towarzystwie młodych kobiet, które w ogóle nie jeździły na nartach. Młody aktor filmowy, nienależący może do pierwszej ligi, ale cieszący się w ostatnim okresie niezwykłą popularnością, wypoczywał z trojgiem nieco mniej atrakcyjnych znajomych. Przy barze tradycyjna zbieranina przewodników, tubylców i mechaników, zwrócona plecami do gości, oglądała mecz hokejowy z wyciszonym dźwiękiem.

- Apostrokalipsa tak się ma do obecnych zmian w *T'Rainie*, jak traktat wersalski do drugiej wojny światowej - odparł Richard, celowo przedrzeźniając styl Wikipedii i licząc na to, że Zula z Peterem załapią żart.

Zula okazała uprzejme zainteresowanie, dowcip natomiast całkowicie umknął Peterowi, który od chwili, gdy przed piętnastoma minutami wszedł do baru - ogorzały od wiatru, opalony i zachwycony całodniowym szaleństwem na snowboardzie - nie odrywał wzroku od swojego iPhone'a. Zula - podobnie jak Richard - nie przepadała za nartami, dlatego z wypadu do Elphinstone zrobiła sobie pracowity urlop i po kilka godzin dziennie spędzała w apartamencie podpięta do serwerów Korporacji 9592 bezpośrednim łączem światłowodowym, które Richard, nie bacząc na astronomiczne koszty, kazał przeciągnąć do zamku. Tymczasem Peter okazał się naprawdę ostrym snowboardzistą. Zula twierdziła, że po ro-zjeździe poświęcił masę czasu na poszukiwania w specjalistycznych sklepach desek przystosowanych do jazdy w głębokim puchu, aż w końcu przed dwoma tygodniami wybrał i kupił w Vancouver taką, którą teraz traktował jak stradivariusa; niewiele brakowało, żeby na noc zabierał ją do łóżka. Zula była nawet trochę zazdrosna.

Zaplanowali długi weekend. Wyjechali z Seattle zaraz po tym, gdy Zula wyszła z

pracy, i w korkach wspięli się na przełęcz Snoqualmie, skąd większość narciarzy rozjechała się na boki, do ośrodków z wyciągami. W coraz bardziej elitarnym towarzystwie przecięli cały stan w poprzek aż do Spokane, gdzie skręcili na północ, ku granicy, którą przekroczyli godzinę przed północą w Metaline Falls. Przez kolejną przełęcz zjechali do Elphinstone i skręcili w biegnącą na południe wyboistą, kiepsko oznakowaną i krętą górską drogę wspinającą się do zamku. Ten plan podróży wcale nie wydał im się szalony, co kolejny raz uświadomiło Richardowi, że jest już starszym panem. Wiedząc, że do niego jadą, nie odchodził od komputera, nieustannie szacując, którą z niebezpiecznych dróg przemierzają w tym akurat momencie - tak jakby Zula była częścią jego ciała, która samowolnie się oddaliła i wymagała nadzoru. Chyba tak to jest być rodzicem, pomyślał.

I choć było to niedorzeczne, wrócił myślami do ro-zjazdu. Gdyby Zuli i Peterowi faktycznie przytrafił się po drodze wypadek, to później, kiedy na ro-zjeździe po wielokroć opowiadano by jego historię, dokładając ją jak cegłę do muru wiedzy rodzinnej, rozmawiano by głównie o Richardzie - co zrobił, kiedy się dowiedział, czy zachował spokój, czy podjął właściwe decyzje, z jaką ulgą Zula powitała go w szpitalu. Morał był z góry wiadomy: rodzina dba o siebie nawet... nie, nie „nawet” - zwłaszcza w sytuacjach kryzysowych, i składa się z dobrych, mądrych, kompetentnych ludzi.

Liczył się z tym, że będzie musiał ich szukać w śnieżycy, na śliskich i krętych drogach, przymierzał się już nawet do wciągnięcia spodni narciarskich na piżamę, żeby wyjechać na poszukiwania, kiedy przyjechali dokładnie o zapowiedzianej godzinie, drażniąco modnym, kanciastym samochodem Petera - i nagle Richard, zamiast postrzegać ich jako szalone, zbłąkane dzieciaki, zobaczył w nich nadludzi z telefonami wyposażonymi w GPS i Google Maps.

Teraz znów szykowali się do drogi. Peter, który chciał do maksimum wykorzystać czas na stoku, przejeździł całe poniedziałkowe popołudnie i tego samego dnia wieczorem zamierzał wyruszyć z powrotem do Seattle.

Kiedy podszedł do stolika i usiadł obok Zuli, Richard w pierwszej chwili wybaczył mu zaafierowanie iPhone'em, myśląc, że sprawdza prognozy pogody i warunki drogowe. Do czasu, aż Peter zaczął wklepywać wiadomości.

Chłopak przyczepił się do Zuli jak rzep do psiego ogona. Richard cały czas sobie powtarzał, że Zula nie jest głupią dziewczyną i Peter z całą pewnością ma jakieś wyjątkowe cechy, które jednak ze względu na jego nieporadność towarzyską nie rzucają się w oczy.

Zula patrzyła na wuja zza dużych, niezgrabnych okularów, czekając na wyjaśnienie bardziej konkretne niż żart z traktatem wersalskim. Richard wyszczerzył zęby w uśmiechu i

rozparł się w obszernym skórzanym fotelu. Gospoda idealnie nadawała się do opowiadania historii, zwłaszcza historii dotyczących *T'Rainu*. Richardowi tak bardzo spodobał się szkic sali biesiadnej na dworze Dwinnów narysowany przez jednego ze specjalizujących się w średniowieczu projektantów, że wynajął tego samego człowieka do zaprojektowania jej repliki na żywo, w *Schloss Hundschüttler*. Młody architekt, bez doświadczenia w projektowaniu prawdziwych konstrukcji, po skończonych studiach wyłądował na rynku zmasakrowanym przez krach w nieruchomościach i bezskutecznie szukał pracy w świecie rzeczywistym, aż trafił do działu kreatywnego Korporacji 9592. Tam kazano mu zapomnieć wszystko, czego się uczył o Koolhaasie i Gehrym, i zgłębić tajniki średniowiecznej architektury drewnianej, jaką mogłyby stworzyć fikcyjne niby-krasoludy. Zbudowanie tej sali w zamku sprawiło mu ogromną frajdę, ale użeranie się z wykonawcami, pilnowanie budżetów i zdobywanie pozwoleń w prawdziwym świecie przekonało go, że jednak dobrze zrobił, ograniczając się do praktykowania swojej sztuki w wymyślonych krainach.

- Napotykam jej ślady w starym kodzie Plutona - powiedziała Zula. - D'uinn - przeliterowała.

- Zaczęło się od tego, że zatrudniliśmy dona Donalda jako naszego pierwszego Kreatywa, ale okazało się, że nie ma czasu, żeby pracować przy naszym projekcie.

- Podobno wolał prowadzić dyskusje o charakterze bardziej ogólnym - wtrąciła Zula.

- To prawda. A ja musiałem do nich zakuwać. Czytałem Josepha Campbella, Junga...

- Dlaczego akurat Junga?

- Archetypy. Toczyliśmy wtedy poważną debatę o rasach istot zamieszkujących *T'Rain*. Wysuwano argumenty przeciwko wykorzystaniu elfów i krasnoludów, tak jak to robią wszyscy inni.

- Czy to były powody natury... twórczej? Czy raczej kwestia ochrony własności intelektualnej?

- Bardziej to drugie, chociaż odrzucenie standardów także z twórczego punktu widzenia miałyby swoje zalety. Fajnie byłoby stworzyć nowy, oryginalny zestaw ras bez powiązań z Tolkienem i europejską mitologią.

- Chińscy programiści...

- A nie, zdziwiłabyś się. To, o czym myślisz, to politycznie poprawne, uniwersyteckie podejście do sprawy...

- „Elfy i krasnoludy, litości! Jak można być takim eurocentrykiem?”.

- Otóż to. Jednakże w pewnym sensie co najmniej równie protekcjonalne wobec Chińczyków jest założenie, że ponieważ pochodzą z Chin, to na pewno nie będą się potrafili

identyfikować z elfami i krasnoludami.

- Jasne, rozumiem.

- Don Donald, kiedy go już ściągnęliśmy, przedstawił jednak całkiem rozsądne argumenty na potwierdzenie tezy, że elfy i krasnoludy nie są jakimiś tam przypadkowymi rasami, które możemy sobie dowolnie wymienić na wymyślone przez nas, lecz najprawdziwszymi archetypami.

- Jak starymi?

- Jego zdaniem do rozszczepienia elfy/krasnoludy doszło w czasach, gdy człowiek z Cro-Magnon współistniał w Europie z neandertalczykiem.

- Coś takiego... Przecież to są dziesiątki tysięcy lat!

- No właśnie. Nie wiemy nawet, czy istniał już wtedy język.

- Aż się człowiek zastanawia, czego by się dogrzebał w afrykańskim folklorze.

Richard nie od razu zrozumiał, co czego pije Zula.

- Chodzi ci o to, że w Afryce mogła być jeszcze większa różnorodność... tych...

- Hominidów. Mogło ich być więcej i mogły być starsze.

- Być może. Tak czy inaczej, mniej więcej na tym zakończyły się wstępne pogadanki DeKwadrata i świat przekazaliśmy w ręce...

- Szkieletora.

- Tak jest. Tylko że wtedy go tak nie nazywaliśmy, bo był jeszcze grubasem.

Nagle Richard poczuł ukłucie niepokoju na myśl o tym, że Peter może na bieżąco relacjonować ich rozmowę na Twitterze. Albo wrzucać ją na żywo na wideoblog. Ale Peter myślni był zupełnie gdzie indziej: co rusz zerkał ku drzwiom wejściowym i spinał się nerwowo, gdy ktoś przez nie wchodził.

Richard przeniósł wzrok z powrotem na Zulę (zrobił to z pewną przyjemnością, chociaż była to przyjemność czysto wujowska, w żadnym razie nie obleśna) i mówił dalej:

- Devin dostał pierdolca. Oficjalnie zaczął pracę dwa tygodnie przed naszym pierwszym spotkaniem w firmie i kiedy się na nim zjawił, przyniósł tej grubości plik papierów zapisanych pomysłami na sagi historyczne, oparte na przedstawionych przez dona Donalda zgrubnych założeniach. Samo spotkanie nie miało właściwie sensu, było zwykłą formalnością: powiedziałem mu, żeby kontynuował pracę, i zatrudniłem stażystkę do katalogowania i indeksowania jego twórczości...

- Kanonu - wtrąciła Zula.

- Zgadza się: takie były początki Kanonu. To dlatego musieliśmy zatrudnić Geraldine. Tyle tylko, że na tym etapie wszystko jeszcze było płynne i na razie niczego nie

udostępnialiśmy fanom. Tempo rozrostu całej tej dokumentacji trochę nas przerażało i w miarę upływu czasu wszyscy zaczęliśmy dostawać gęsiej skórki; wrażenie było takie, jakby Devin zagarnął nasz świat i próbował z nim uciec. Zmieniliśmy więc zasady współpracy, i to, mówię to bez cienia dumy, ze skutkiem wstecznym: ogłosiliśmy, że program pisarzy-rezydentów funkcjonuje w cyklu rocznym i że kiedy rok Devina się skończy, nadal będzie cenionym współpracownikiem *T'Rainu*, ale autorstwem materiałów będzie się dzielił z następnym pisarzem-rezydentem.

- Którym okazał się DeKwadrat.

- Nieprzypadkowo. Devin całkowicie zdominował *T'Rain*, przeciętny pisarz utonąłby w zalewie wyprodukowanych przez niego papierów. Był tylko jeden autor, który miał (a) porównywalną z Devinem renomę w świecie literatury fantasy, oraz (b) prawo pierwszeństwa...

- Był z wami wcześniej.

- Otóż to. Wprawdzie krótko, w sam raz tyle, żeby obsikać wszystkie drzewa w okolicy, ale to i tak było bardzo dużo.

- Hej! - Peter ruchem głowy wskazał wejście do restauracji. - Właśnie przed chwilą zobaczyłem znajomego!

Mężczyzna w płaszczu wszedł z parkingu i rozglądał się po sali, szukając miejsca.

- Przyjaciel? - zainteresował się Richard.

- Znajomy - poprawił go Peter. - Pójdę się przywitać.

- Kto to? - zainteresowała się Zula, ale Peter już wstał i skierował się do stolika przy kominku, gdzie nowo przybyły właśnie usiadł.

Richard patrzył, jak intruz mierzy Petera wzrokiem. Po jego twarzy nie było znać ani zaskoczenia, ani oznak rozpoznania. Z pewnością nie odmalowało się też na niej zadowolenie. Przybysz spodziewał się, że zastanie tu Petera; umawiali się esemesami. Peter skłamał.

Richard postanowił siłą pchnąć rozmowę na dawny tor. Peter go niepokoił, a instynktowną reakcją na niepokojące go sprawy było odcięcie się od nich murem i wyczekanie, aż nabrzmiały problem zagrozi stabilności muru. Wtedy wystarczyło sięgnąć po młot.

- Ściągnęliśmy ich obu tutaj - powiedział.

- Do zamku?

- Tak. Wtedy jeszcze tak nie wyglądał, to było przed przebudową w stylu Dwinnów. Przyjechali w lecie, kiedy atmosfera jest tu zupełnie inna. Sprowadziliśmy kucharzy z

Vancouver, żeby nam gotowali, i urządziliśmy tu abdykację Szkieletora, coś w rodzaju oficjalnego przekazania obowiązków DeKwadratowi. Wtedy właśnie wydarzyła się apostrokalipsa.

* * *

- Nie można nie zdumiewać się koncepcją ogłoszenia abdykacji w celu popchnięcia pracy naprzód - zauważył don Donald, kiedy przechadzali się po tarasie, sączyli piwo i oswajali się z panoramą Gór Selkirka. - Czy nie stosowniejsze byłoby w tym wypadku określenie „koronacja”?

Richard pogubił się w tych dwóch zdaniach już na samym początku, darował więc sobie próby ich analizowania i tylko obserwował twarz DeKwadrata. Donald Cameron miał wówczas pięćdziesiąt dwa lata, ale wyglądał starzej z zaczesanymi do tyłu srebrzącymi się siwizną włosami i imponującym kinolem, obrzmiałym od bogatej w płyny diety wiekowego college'u w Cambridge, w którym mieszkał przez mniej więcej pół roku. Miał jednak zdrową, różową cerę i mnóstwo werwy, zapewne dzięki żwawym spacerom wokół zamku na wyspie Man, gdzie spędzał drugą połowę roku. Parę godzin wcześniej wprowadził się do swojego apartamentu, chwilę odpoczął, odbył jeden z tych swoich żwawych spacerów i dosłownie przed trzydziestoma sekundami wyszedł na taras, gdzie natychmiast obkoczyło go chyba ze czterech czubów, którzy zajmowali wystarczająco wysoką pozycję w łańcuchu pokarmowym Korporacji 9592, żeby czuć, że mają prawo mu się naprzykrzać. Richard wiedział doskonale, że większość z nich trzyma w pokoju całe stosy książek Camerona w nadziei na zdobycie autografu autora i że będą mu się podlizywać do chwili, gdy odważą się go o to poprosić.

- Może trzeba wymyślić nowe słowo - zasugerował Richard, zanim któryś z wielbicieli Camerona zdążył się roześmiać, albo, co byłoby jeszcze gorsze, wdać się z nim w błyskotliwą wymianę zdań.

- Widzę, że zauważył pan moją słabość.

- Bardzo na nią liczymy.

DeKwadrat uniósł jedną brew.

- No proszę, już zaczynamy pracować? Można by pomyśleć, że to czysto towarzyskie spotkanie.

Żartował jednak, co dał do zrozumienia porozumiewawczym mrugnięciem i ruchem głowy wskazującym...

Richard odwrócił się i uskoczył przed puchnącą w błyskawicznym tempie gromadą fanów witających Devina Skraelina. Przyszło mu do głowy, że Devin mógł dyskretnie wyglądać zza firanek w swoim pokoju i czekać, aż don Donald wyjdzie na taras - żeby sam

mógł się pojawić jako ostatni. Jak zwykle towarzyszyło mu dwoje „asystentów”, którzy wydawali się zbyt starzy i apodyktyczni, żeby zasługiwać na to miano. Richardowi udało się wcześniej ustalić, że „asystentka” jest w rzeczywistości prawniczką specjalizującą się w prawie autorskim, „asystent” zaś redaktorem, który stracił pracę w niedawnym kataklizmie na rynku wydawniczym, a obecnie pełnił u boku Devina rolę wziętego w jasyr skryby.

- Dziękuję - powiedział Richard. - Wrócimy jeszcze do tej rozmowy, jeśli pan pozwoli.

- Już nie mogę się doczekać!

Richard ruszył na spotkanie Devina, ale drogę zastąpił mu „Nolan” Xu - chyba najbardziej fanatyczny wielbiciel Devina na świecie. Do niedawna tkwił uwięziony za chińską granicą z powodu kłopotów z wizą i wymianą pieniędzy, ale mniej więcej od roku coraz częściej - i na coraz dłużej - zapuszczał się na Zachód. Można by się spodziewać, że człowiek zajmujący taką pozycję jak on uda się prosto do Vegas, on jednak, z powodów osobistych i biznesowych, które trudno byłoby od siebie rozdzielić, wolał jeździć po konwentach miłośników science-fiction i fantasy.

Richard stanął w miejscu i z daleka obserwował przebieg spotkania. Devin zrzucił dwieście jedenaście funtów (w każdym razie taką właśnie liczbę podawał na swojej stronie internetowej sześć godzin temu) i wprawdzie pozostał człowiekiem zwalistym, ale już nie tak otyłym, żeby przyciągać powszechną uwagę. Traktował Nolana z należytym szacunkiem, ale najdalej co pięć sekund zerkał ukradkiem w stronę dona Donalda. Gdyby Richard był przypadkowym obserwatorem, wysnułby wniosek, że jeden z pisarzy jest zabójcą, a drugi jego przyszlą ofiarą. Trudno jednak byłoby stwierdzić, który jest którym.

Profesor Cameron kontynuował uprzejme i kulturalne rozmowy do chwili, gdy uznał, że jest gotów zauważyć Devina. Wtedy bowiem wspiął się na palce w ręcznie sztytych mokasynach, okręcił w miejscu i zamaszystym krokiem (inaczej nie dało się tego określić) przemierzył taras, wyciągając do rywala rękę na powitanie.

- Jakby miał go na własność... - mruknął Richard.

- Co, *Schloss*? - spytał Chet, który kręcił się po tarasie bez szczególnego celu. Cała jego wiedza o literaturze fantasy ograniczała się do faktu, że można z niej czerpać inspirację do malowania mikrobusów.

- Nie. *T’Rain*.

* * *

Kolację podano w sali bankietowej, standardowym wytworze bawarskiej architektury. Stoły zestawiono krótszymi bokami, tworząc z nich jeden bardzo długi blat. „Jak w pizzerii

Shakeys Pizza Parlour!”, skomentował ten widok Devin. „Jak stół profesorski w Trinity College”, powiedział DeKwadrat. Richard - jedyna osoba na sali, mająca okazję jadać w obu wzmiankowanych powyżej miejscach - docenił celność obu spostrzeżeń, więc - jak na uprzejmego gospodarza przystało - przytaknął obu ich autorom, starając się zarazem zamaskować narastający niepokój, co się stanie, kiedy usiądą naprzeciw siebie. Miejsca zostały bowiem odgórnie przydzielone. Richard miał zasiąść u szczytu stołu. Obok niego usiedli Devin z jednej strony i profesor Cameron z drugiej. Nolan zajął miejsce obok tego drugiego, by móc się z zachwytem wpatrywać w tego pierwszego. Obok Devina wylądował Pluton - zgodnie z teorią, że don Donald będzie się czuł swobodniej, mając w polu widzenia nedorzecznie inteligentnego maniaka komputerowego o wybitnie ograniczonych talentach towarzyskich. Pluton w dodatku siedział przodem do wychodzącego na taras okna, dzięki czemu w chwilach nudy mógł się do woli napawać widokiem gór wznoszących się po drugiej stronie doliny.

Tyle, jeśli chodzi o ludzi, którzy znajdą się w zasięgu głosu i słuchu Richarda; dalej rozkład gości układał się wzdłuż stołu wedle wydumanej przez kogoś hierarchii. Potrawy były wzorowane na środkowoeuropejskiej kuchni myśliwskiej, w autorskiej interpretacji zgromadzonego w zamku przez lata personelu kulinarnego. I tak, na przykład, pochodząca z hodowli sarnina miała certyfikat stwierdzający brak prionów, co dawało gwarancję, że Korporacja 9592 nie kopnie w kalendarz za dziesięć czy dwadzieścia lat, gdy całą wierchuszkę wykończy choroba szalonych krów. Lista win wykonywała dyplomatyczny ukłon lub dwa w stronę rodzącego się dopiero przemysłu winiarskiego Kolumbii Brytyjskiej, po czym jednym susem przeskakiwała na południe od granicy. DeKwadrat poczynił celne spostrzeżenie na temat sympatycznego wytrawnego rieslinga z Horse Heaven Hills; Devin zamówił dietetyczną colę. Wszyscy wyrażali zaciekawienie zamkiem i tym, jak to się stało, że Richard z Chetem go wybudowali. Richard wyjaśnił, że *Schloss* zbudowano z elementów trzech różnych zameczków z Alp Austriackich, wykupionych na własność przez najprawdziwszego austro-węgierskiego barona. Baron ów kazał je następnie spławić Dunajem do Morza Czarnego, skąd, opłynąwszy pół świata, trafiły do ujścia Columbii. Płynąc dalej w górę rzeki, dotarły do miejsca, gdzie przeładowano je na wagoniki wąskotorowej kolejki górniczej (obecnie już nieistniejącej - śladem jej torów biegła dziś ścieżka rowerowa i trasa narciarska) obsługującej kopalnię należąca do ich właściciela.

A potem Richard nacisnął szybkie przewijanie w przód - do momentu odkrycia zamku przez Cheta i Richarda i długiej rehabilitacji. Pominął wszystko, co miało związek z gangami motocyklowymi i pieniędzmi z narkotyków, ponieważ te tematy omówiono szczegółowo w

haśle w Wikipedii, które wszyscy obecni czytali, a niektórzy zapewne nawet współtworzyli. Pod koniec lat osiemdziesiątych w przemyt marihuany wkradła się przemoc - albo może po prostu Richard dopiero po trzydziestce zaczął dostrzegać mroczne aspekty biznesu, które w rzeczywistości towarzyszyły mu od początku. Wycofał się z interesu, wrócił do Iowa i zaczął studiować turystykę i hotelarstwo na Iowa State University.

Od tego momentu dalsza historia zamku była już na tyle uczesana, że mógł ją śmiało przedstawić w cywilizowanym towarzystwie. Po paru miesiącach poszedł po rozum do głowy i dał sobie spokój ze studiami: przecież można po prostu zatrudnić odpowiednich ludzi. Wrócił do Kolumbii Brytyjskiej i razem z Chetem na serio wzięli się za remont zamku.

Gawędzili sobie w ten sposób sympatycznie, sącząc lekkie aperitify, pogryzając kolorowe przystawki i jedząc zupę, w miarę jednak jak kolacja się przeciągała i na stół wjechały potrawy bardziej przypominające główne dania (w towarzystwie czerwonego wina), Richard coraz bardziej miał ochotę jednym szarpnięciem zerwać plaster i przejść do rzeczy. Oficjalnym celem spotkania (i kolacji) było uroczyste zakończenie rocznego kontraktu Devina w roli pisarza-rezydenta i przekazanie pałeczki donowi Donaldowi, który ukończył wreszcie trylogię-która-stała-się-tetrakaidekalogią i był gotowy przeznaczyć trochę czasu historii i „biblii” *T’Rainu*.

W ostatnich trzech miesiącach wydajność Devina osiągnęła tak zatrważająco wysoki pułap, że w Korporacji 9592 powstał wydzielony wątek e-mailowy (temat: „Devin Skraelin jest postacią z prozy Edgara Allana Poe”) obfitujący w linki do stron internetowych opisujących zaburzenie psychiczne zwane „grafomanią”. Doprowadziło to do sytuacji, którą w żargonie nazwano „opóźnieniem Kanonu”: pracownicy odpowiedzialni za weryfikację twórczości Devina i włączanie jej do Kanonu nie nadążali za nim. Wedle jednej (wyjątkowo paranoicznej) koncepcji, było to ze strony Devina celowe działanie. Z całą pewnością był jedynym człowiekiem przy stole, który miał w głowie pełny obraz świata, ponieważ tego samego dnia o dziewiątej rano dostarczył najnowszą, liczącą tysiąc stron porcję materiałów - przysłał ją e-mailem ze swojego pokoju w północnej wieży. Nikt nie miał dość czasu, żeby zrobić z nią coś więcej niż pobieżnie przejrzeć. Devin miał więc pewną przewagę nad resztą biesiadników.

Dyskusja o zamku Richarda w naturalny sposób doprowadziła do rozmowy o znajdującym się na wyspie Man zamku dona Donalda, który również poddano gruntownej renowacji. Widząc tu dla siebie szansę, Richard zaryzykował gambit:

- Ma pan tam gabinet? - zapytał. - Dobre miejsce do pisania?
- Czy dobre? Wręcz doskonale! - odparł profesor, po czym przystąpił do opisan

pokoiku w wieży, z którego „w pogodny dzień roztacza się widok na zachód aż po Donaghadee i na północ do Cairngaán”. Obie te nazwy wymówił w sposób tak autentyczny, że wzdłuż stołu rozszedł się wyraźnie widoczny dreszczyk zmysłowej przyjemności.

Profesor dodał jeszcze, że zamek po remoncie jest miejscem „zarazem autentycznym i zdatnym do zamieszkania, którą to równowagę niełatwo jest uzyskać” i tylko czeka na jego powrót.

- Devin dostarczył panu mnóstwo pracy - wtrąciła Geraldine Levy, siedząca obok Plutona królowa Kanonu. - Zastanawiam się, czy jest jakiś szczególny aspekt *T’Rainu*, któremu chciałby pan poświęcić uwagę z pierwszego rzędu.

- W pierwszym rzędzie - poprawił ją Cameron po krótkich zmaganiach z sensem pytania. - To bardzo dobre pytanie, na które jednak nie mogę odpowiedzieć wprost. Jak zapewne pani wiadomo, pracuję w ten sposób, że pierwszy szkic tekstu tworzę w języku, którym mówią bohaterowie, i dopiero po jego zakończeniu przekładam go na angielski. - Niczym czołg obracający wieżyczkę okręcił się na krześle i wziął na cel Devina. - Mój współpracownik, co zrozumiałe, preferuje metodę bardziej... bezpośrednią. I wydajniejszą.

- Podziwiam pańskie wyczyny z językami i w ogóle - odparł Devin. - Ale ma pan rację: ja po prostu... idę na żywioł.

- Dlatego wasz świat - DeKwadrat kontynuował obrót, aż zwrócił się bezpośrednio do Richarda - na razie jest w ogóle pozbawiony języka. Zafascynowała was geologia... - Skinął na Plutona. - Uznaliście ją za fundament. Ja bym zaczął od słów i języka, i na nich budował całą resztę.

- W tej chwili ma pan wolną rękę, doktorze Cameron - przypomniał Richard.

- Prawie wolną. Wprowadzono już bowiem pewne... - Cameron znów spojrzał na Devina. - Pewne neologizmy. Widuję w dziełach pana Skraelina słowa, których nie ma w słownikach języka angielskiego. Oczywiście nazwa świata, *T’Rain*, sama się w tym miejscu narzuca. Ale także nazwy ras: K’Shetriae, D’uinn. Mogę z nimi pracować; muszę je tylko wkomponować w fikcyjne języki, których gramatykę i leksykę z przyjemnością opracuję i udostępnię... pannie Levy.

Moment zawahania przed „panną” pozwolił mu zerknąć na palec serdeczny lewej ręki i stwierdzić, że jest pusty.

Panna Levy była panną wyłącznie dlatego, że w stanie Waszyngton lesbijki nie mogą zawierać małżeństw, ale postanowiła nie wnikać w szczegóły.

- To by było coś kapitalnego - przyznała. - W tej chwili część językowa Kanonu to wielka czarna pustka.

- Z przyjemnością pomogę. Mam jednak kilka pytań.

- Słucham.

- K'Shetriae, nazwa rasy elfów. Jest dziwnie podobna do słowa „kszatrija”, nieprawdaż?

Wszyscy w pobliżu zrobili wielkie oczy - wszyscy poza Nolanem. Siedzący w połowie długości stołu Premjith Lal, szef jednego z Działów Dziwactw, zastrzygł uchem.

- Rzeczywiście! - Nolan z uśmiechem pokiwał głową. - Teraz, jak pan o tym wspominał... Łudząco podobna!

- Zechciałbyś to wyjaśnić? - poprosił Richard.

- Premjith! - zawołał Nolan. - Jesteś kszatriją?

Premjith pokiwał głową; siedział za daleko, żeby wziąć udział w rozmowie, ale złapał się oburącz za uszy i naciągnął je, nadając im wydłużony, szpiczasty kształt.

- To hinduska kasta - wyjaśnił Nolan. - Kasta wojowników.

- Człowiek zaczyna się zastanawiać, czy ten, kto wymyślił taką nazwę rasy, nie słyszał przypadkiem wcześniej słowa „kszatrija” w innym kontekście, a potem, szukając na chybił trafił egzotycznej zbitki fonemów, zaczerpnął je z pamięci, wyobrażając sobie przy tym, że wpadł na oryginalny pomysł.

Richard bardzo starał się nie patrzeć na Devina, który sprawiał wrażenie, jakby ktoś wcisnął mu łom do ucha i kopnął weń z całej siły. Po chwili wszystkie oczy spoczęły na pąsowiejącym Devinie. Dla zyskania na czasie napił się coli, poprawił serwetkę, po czym podniósł wzrok i z przekonaniem odparł:

- Istnieje skończona liczba fonemów i ich połączeń, które można wykorzystać do tworzenia słów w obcych językach. Jakąkolwiek nazwę wymyślimy, zawsze będzie przypominała nazwę kasty, imię boga albo określenie projektu irygacyjnego w jakimś zakątku świata. Nie lepiej się z tym pogodzić i robić swoje?

Premjith z trudem, ale jednak usłyszał słowa Devina.

- Na świecie jest około stu milionów kszatrijów, którzy poczują się tym zdeprymowani - wytknął.

Nie był wcale zły, był... zdeprymowany. Richard zanotował sobie w pamięci, żeby wyciągnąć go gdzieś na sushi i wypytać, czy dostrzeżę inne poważne wady *T'Rainu*, o których nie przyszło mu do głowy nikomu powiedzieć.

- Sto milionów... - powtórzył Devin na tyle cicho, że Premjith go nie usłyszał. - Założę się, że pięć lat po uruchomieniu *T'Rainu* będziemy mieli więcej K'Shetriae niż jest kszatrijów na świecie.

- Skoro o tym mowa... - wtrącił don Donald. - Jeśli mnie pamięć nie myli, słowo to jest pisane z apostrofem pomiędzy wielką literą K i wielką literą S mam rację?

- Tak, zgadza się - przytaknął Devin. Zerknął na Geraldine, która pokiwała głową.

- Apostrofu używa się na oznaczenie elizji.

- Pomińniętej litery - wyjaśnił Pluton. - Jak „o” w słowie „couldn’t”. - Prychnął. - To drugie „o”, ma się rozumieć!

- Otóż to - mówił dalej Donald. - Zastanawiam się, dlaczego S w K’Shetriae jest wielką literą. Czy należy z tego wnioskować, że Shetriae to osobny wyraz? Odrębna nazwa własna? A jeśli tak, to czym jest to K z apostrofem? Jakimś... przedimkiem?

- Czemu nie? - powiedział Devin.

Widząc, że zdobycz chwyciła przynętę, DeKwadrat zadowolił się chwilą dyskretnej ciszy, ale Pluton nie wytrzymał:

- No czemu nie? Czemu nie?!

Richard mógł tylko patrzeć, tak jakby oglądał lawinę, która na przeciwległym zboczu doliny zaraz zagarnie narciarza.

- Jeżeli to przedimek, to co oznacza T z apostrofem w „T’Rain”? D z apostrofem w słowie „D’uinn”? Ile jest przedimków w tym języku?

Cisza.

- Może te K, T i D to nie przedimki, lecz jakieś inne części mowy?

Cisza.

- A może apostrof nie oznacza wcale elizji?

Cisza.

- Jeśli tak, to co oznacza?

Richard miał dość.

- Fajnie wygląda - powiedział. - Po prostu.

Don Donald spojrział na niego z błyskiem fascynacji w oku. Richard widział, jak za jego plecami z ludzi schodzi napięcie. Co za ulga.

- Słucham, Richardzie?

- Posłuchaj, Donaldzie. Jesteś jedynym człowiekiem w tej branży, który ma te wszystkie dawne języki w małym palcu. Wszyscy poza tym zwyczajnie zmyślają; dlatego kiedy komuś zamarzy się jakieś egzotyczne słowo, to wrzuca do niego apostrof albo dwa, skleja litery, które zwykle nie chodzą w parze, tak jak Q i Z... I z czymś takim właśnie mamy tu do czynienia.

Cisza, ale innego rodzaju.

- Mam świadomość, że niespecjalnie pasuje to do twojego M.O. - dodał Richard.

- M.O.?

- *Modus operandi*.

- Mhm - mruknął don Donald.

- Jeżeli chcesz wymyślać języki, to sobie nie żałuj - dodał Devin.

- Mhm.

Richard zerknął na Geraldine, która myślała tak intensywnie, że znad jej praktycznej fryzurki unosiły się smużki dymu.

- Panie Olszewski? - odezwał się w końcu Cameron. - Mogę tu postawić wulkan?

- Tutaj?!

- Tak. W miejscu tej posiadłości.

- Ma pan na myśli jakiś konkretny typ wulkanu?

- Powiedzmy... Etna. Zawsze mi się podobała.

- Mowy nie ma - odparł Pluton. - To młody, bardzo aktywny stratowulkan. Góry Selkirka nie są aż tak aktywne sejsmicznie. Występujące tu podłoże skalne...

- Nie miałyby to sensu - don Donald uciął i podsumował coś, co zapowiadało się jako długa i nużąco szczegółowa wycieczka po świecie wulkanologii. - Wystąpiłaby niespójność.

- I to jaka!

- Obawiam się, że w kwestii tych wszystkich apostrofów mamy do czynienia z bardzo podobną sytuacją. Prawdą jest, że mój kolega po fachu powstrzymał się od mnożenia neologizmów, konieczne jednak było wymyślenie nazw samego świata i jego mieszkańców. W niektórych sytuacjach, takich jak K'Shetriæ, po apostrofie następuje wielka litera; w innych, takich jak D'uinn, mamy po apostrofie małą literę. Ta sytuacja wymaga jakiegoś spójnego wytłumaczenia, jeżeli mam prowadzić swoje prace w sposób, do jakiego jestem przyzwyczajony.

Niewypowiedziana na głos groźba nie uszła uwagi Richarda.

* * *

- Dziękuję, że przyjechał pan aż z Vancouver - powiedział Peter.

Nie przedstawili się, nie podali sobie rąk - po prostu zmierzyli się nawzajem wzrokiem i skinieniami głowy potwierdzili swoją tożsamość.

- Niesamowite miejsce... - powiedział Wallace. Nie wyglądał na człowieka, którego łatwo oszołomić (a już z pewnością nie na takiego, który się do tego przyzna), ale przez dobre pół minuty wpatrywał się w zazębiające się dźwigary, które udawały, że podtrzymują sufit. - Skąd ja to znam?

Spuścił wzrok na Petera, który przyglądał mu się trochę nieufnie, a potem powiódł spojrzeniem po wnętrzu gospody: rustykalne meble, witrażowe okna, podłoga z desek zbitych drewnianymi kołkami... Przeważała srebrna zastawa. Wallace wziął do ręki widelec i ze zdumieniem obejrzał odcisnięty na uchwycie motyw: surowy geometryczny wzór, zainspirowany nordyckimi runami.

- Ja pierdolę... - mruknął. - Dwinnowie!

- Słucham? - spytał Peter, przerażony rozwojem wypadków.

Wallace wybuchnął śmiechem (co chyba też rzadko mu się zdarzało) i spojrzał na torbę z laptopem, którą odłożył na sąsiednie krzesło.

- Mógłbym ci pokazać - odparł. - Mogę w każdej chwili wejść do tej knajpy w *T'Rainie*.

- Gra pan w *T'Rain*? - zapytał Peter, dostrzegając szansę nawiązania przynajmniej niezobowiązującej rozmowy.

- Wszyscy mamy swoje słabości i z każdą wiążą się innego rodzaju kłopoty; znam wiele groźniejszych niż wynikające z uzależnienia od *T'Rainu*. Ale skoro o nałogach mowa: co tu trzeba zrobić, żeby się doprosić o wodę sodową?

Wallace mówił z silnym szkockim akcentem, który nie tylko zaskoczył Petera, ale też powodował jednosekundowe opóźnienie jego reakcji, bo chwilę trwało, zanim zrozumiał, co Wallace mówi. Gdy tylko rozpoznał „wodę sodową”, na wpół uniósł się z krzesła i przywołał kelnera.

Nie podobał mu się dotychczasowy przebieg rozmowy. Nie dość, że Wallace kompletnie zbił go z pantatyku, schodząc na sprawy *T'Rainu*, to jeszcze wrobił go w rolę dostawcy drinków. Na szczęście w tym momencie Wallace postanowił trochę zmienić swoje zachowanie i co nieco wyjaśnić Peterowi, jakby chciał go doksztalić:

- To jest sala biesiadna na dworze Oglo, króla Czerwonych Dwinnów z Północy. Byłem tam z dziesięć, piętnaście razy.

- Chciał pan powiedzieć, że pańska postać tam była.

- Tak, to właśnie chciałem powiedzieć - przytaknął Wallace i wcale nie musiał dodawać „ty debilu z ptasim mózdzkiem”.

Wszedł do gospody ubrany w długi płaszcz, jakie Peter widywał wyłącznie na filmach. Był to pewnie jedyny taki płaszcz w promieniu dwustu kilometrów. Ubranie dżentelmena. Zresztą Wallace w ogóle miał w sobie sporo z eleganta. Siwiejące rude włosy szczytywał do tyłu, odsłaniając obsypane piegami czoło z zagłębieniem nad lewą skronią, skąd usunięto raka skóry. Na szyi nosił zawieszony na złotym łańcuszku okulary do czytania.

Rozpięta pod szyją cienka koszula wyglądałaby doskonale pod szykownym garniturem, ale nie ochroniłaby Wallace'a przed zimnem, gdyby przyszło mu zatrzymać się po drodze i zmienić koło. Jego prawa dłoń była poważnie dociążona grubym złotym sygnetem.

- Ja nie gram w *T'Rain* - powiedział Peter, chociaż w tym momencie musiało to już być oczywiste.

- A w co?

- Lubię snowboard. I strzelanie. Czasem...

- Nie o to pytam. - Wallace zastukał sygnetem w stół. - Interesuje mnie, jaką masz słabość i jakiego rodzaju kłopoty się z nią wiążą.

Peter umilkł.

- Tylko mi nie mów, że żadnej - uprzedził Wallace. - Obaj wiemy, co nas tu sprowadza.

Stuk, stuk, stuk.

- To prawda, ale to jeszcze nie znaczy, że mam jakąś słabość.

Wallace się roześmiał, ale nie był to śmiech pełen zachwytu, jak wtedy, gdy rozpoznał salę biesiadną króla Oglo.

- Dotarłeś do mnie za pośrednictwem pewnych Ukraińców, którzy nie są bynajmniej wzorowymi obywatelami swojego kraju. Poza tym sprawdziłem cię. Przeczytałem wszystkie twoje posty pisane zgodnie z tą waszą popieprzoną ortografią, które wrzucasz na różne hakerskie czaty, odkąd skończyłeś dwanaście lat. Trzy lata temu wystąpiłeś pod własnym nazwiskiem jako hakerski szary kapelusz, co w praktyce oznacza, że wcześniej byłeś czarnym kapeluszem. A przed rokiem zatrudniłeś się jako konsultant do spraw bezpieczeństwa w firmie, której połowa założycieli ma za sobą odsiadkę!

- Co mam panu powiedzieć? Umówiliśmy się, teraz jesteśmy tutaj, obaj wiemy po co. Nie okłamałem pana.

- Mnie nie, ale wygląda na to, że okłamałeś wszystkich poza mną, w tym, jak sędzę, tę swoją czekoladkę, która siedzi przy tamtym stoliku. Wolałbym wiedzieć, jakie masz słabe punkty, że musisz tak kłamać.

- Ale dlaczego? Mam to, po co pan przyjechał.

- To właśnie usiłuję ustalić.

Z obszernej wewnętrznej kieszeni kurtki Peter wyjął pudełko, w którym znajdowała się nieopisana płyta DVD, biała z wierzchu, fioletowo opalizująca od spodu.

- Proszę.

Wallace skrzywił się z niesmakiem.

- Naprawdę tak chcesz mi to dostarczyć?
 - Jakiś problem?
 - Mój notebook nie ma napędu DVD. Spodziewałem się raczej pendrive'a.
- Peter się zastanowił.
- To się da załatwić. Proszę chwilę zaczekać.

* * *

- Facet właśnie zadaniował twojego chłopaka - zauważył Richard niedługo po tym, jak Peter usiadł przy kominku naprzeciw nieznanemu.

- Zadaniował?
- Zlecił mu robotę: zwołaj kelnera, zamów mi drinka... Coś w ten deseń.
- Nie rozumiem...
- To taka taktyka, kiedy dopiero co kogoś poznałaś i próbujesz go wysondować: wyznaczasz mu jakieś zadanie i patrzysz, jak zareaguje. Jeśli je przyjmie i wykona, później będziesz mu mogła wyznaczyć inne, poważniejsze.

- Ty też ją stosujesz?
- Nie, bo to manipulacja. Albo ktoś dla mnie pracuje, albo nie. Jeśli tak, to mogę mu wyznaczać zadania, jakie chcę, i wszystko jest w porządku. A jeżeli nie, to nie mam po co wyznaczać mu zadań.

- Chcesz powiedzieć, że przyjaciel Petera nim manipuluje, tak?
- Znajomy.
- Robią jakieś interesy - domyśliła się Zula.
- To czemu nam tego nie powiedział?
- Dobre pytanie. Pewnie się boi, że się na niego wścieknę, że psuje nam urlop spotkaniem biznesowym.

Czyli cię okłamał? - pomyślał Richard, ale miał dość rozumu, żeby nie powiedzieć tego na głos. Jeżeli będzie za mocno naciskał, może uzyskać efekt przeciwny do zamierzonego.

Poza tym Peter właśnie wracał do ich stolika.

- Macie może pendrive'a do pożyczenia?
- Pytanie zawisło w powietrzu, niewidzialne jak pierdnięcie.
- Chcę przenieść zdjęcia z komputera na komputer.

Kręcąc się po zamku, cała trójka od czasu do czasu sprawdzała pocztę albo bawiła się zdjęciami z urlopu, więc Richard miał ze sobą laptop; postawił torbę na podłodze i przytrzymał ją między stopami. Teraz wciągnął ją na kolana i sięgnął do zewnętrznej

kieszeni.

- Proszę - powiedział.

- Zaraz ci go oddam - zapewnił Peter.

- Nie ma potrzeby - odparł Richard, wkurzony (zupełnie jak nauczycielka z podstawówki), że Peter nie użył magicznego słowa. - I tak jest za mały. Jutro sobie kupię nowy. A ten po prostu weź i wykasuj, dobrze?

* * *

Peter wrócił do swojego stolika, wyjął laptop i wsunął pendrive'a. Jego komputer, z zainstalowanym Linuksem, rozpoznał pendrive'a jako sformatowany pod Windows - co bardzo odpowiadało Peterowi, bo maszyna Wallace'a też chodziła pod Windowsem. Skasował znalezione na nim pliki, wyjął płytę DVD z pudełka i wsunął do napędu.

- Czemu nie skopiujesz po prostu z komputera? - zainteresował się Wallace.

- Dobrze pytanie! Podchwytliwe. Ale przecież już panu mówiłem: jest tylko jedna kopia i znajduje się na tym DVD. Jestem uczciwy.

DVD pojawiło się na pulpicie jako nowa ikona.

Peter w nią kliknął: na płycie znajdował się tylko jeden plik. Przeciągnął go na ikonę pendrive'a, odczekał kilka sekund. Plik został skopiowany.

- A teraz są dwie kopie - powiedział, odłączył pendrive'a i wyjął go z portu. - *Voila*. Towar zgodny z umową.

- Muszę sprawdzić, czy jest tam to, co obiecałeś.

- Śmiało.

- Oglądałem próbkę, którą mi przysłałeś; wszystko się zgadzało: ważne numery kart kredytowych, nazwiska, daty i tak dalej.

- No to o co chodzi?

- Proweniencja.

- Provenance? To takie miasto w Rhode Island, prawda?

- Ponieważ jesteś samoukiem, Peter, a ja mam słabość do samouków, wybaczę ci nieznajomość tego słowa. Oznacza ono „pochodzenie”. Skąd pochodzą te dane?

- A jakie to ma znaczenie? To dobre dane.

Wallace westchnął, napił się wody i rozejrzał po sali, jakby szukał w niej siły woli niezbędnej do kontynuowania tej durnej rozmowy.

- Nie rozumiemy się, młody człowieku. Usiłuję ci pomóc.

- Nie wiedziałem, że potrzebuję pomocy.

- To pomoc proaktywna, rozumiesz? Pomoc retroaktywna, czyli taka, o jakiej myślisz,

polega na rzuceniu pijaczkowi koła ratunkowego po tym, jak spadł z pomostu. Pomoc proaktywna polegałaby na złapaniu go za pasek i niedopuszczeniu, żeby w ogóle wpadł do wody.

- Dlaczego w ogóle pan się tym interesuje?

- Dlatego, mój chłopcze, że jeśli okaże się, że będziesz potrzebował pomocy z powodu proweniencji tych numerów kart, mnie również pomoc będzie potrzebna.

Peter potrzebował chwili na przetrwanie tych słów.

- Pracuje pan dla kogoś trzeciego - domyślił się.

Wallace pokiwał głową. Udało mu się przy tym zrobić minę zachęcającą i skwaszoną jednocześnie.

- Jest pan tylko posłańcem, pośrednikiem czy jak tam go zwał, w służbie prawdziwego nabywcy.

Wallace zaczął zamazywać gestykulować, niczym dyrygent przed orkiestrą. Omal nie przewrócił sobie przy tym szklanki.

- Jeśli coś pójdzie nie tak, pańscy zleceniodawcy się wkurzą, a pan się boi tego, co mogliby wtedy zrobić - ciągnął tymczasem Peter.

Wallace umilkł i znieruchomiał, co chyba miało Peterowi zaszyfrować, że w końcu wyciągnął właściwe wnioski.

- Co to za ludzie?

- Chyba nie sądzisz, że podam ci nazwiska?

- Oczywiście, że nie.

- To po co w ogóle pytasz?

- Pan zaczął.

- Rosjanie.

- To znaczy... rosyjska mafia? - Na razie Peter był za bardzo zafascynowany, żeby się przestraszyć.

- „Rosyjska mafia” to kretyńskie określenie. Oksymoron. Medialny bzdet. Sprawa jest o wiele bardziej złożona.

- No dobrze, ale przecież...

- Zgadza się: skoro kupują od hakerów kradzione numery kart kredytowych, to z definicji łapią się pod „przestępczość zorganizowaną”.

Przez minutę obaj milczeli. Peter się zastanawiał.

- Historia tego, jak ci ludzie zaangażowali się w zorganizowaną działalność przestępczą, sama w sobie jest nadzwyczaj interesująca i skomplikowana; rozmowa z nimi z

pewnością byłyby fascynująca, gdyby z jakiegoś powodu przyszło im do głowy się z tobą spotkać. Zapewniam cię, że nie mają nic wspólnego z mafią sycylijską.

- Wystarczy tych pogroźek. To brzmi jak...

- Opowieści o okrucieństwie i oportunizmie Rosjan są ogromnie przesadzone, ale jednak jest w nich ziarno prawdy. Postanowiłeś podziać na rynku nielegalnych towarów, Peter. Podejmując tę decyzję, dobrowolnie wyłamujesz się z oficjalnych struktur handlowych; tu nie ma pracowników obsługi klienta, mediatorów, forum wymiany opinii. Jeżeli transakcja okaże się niesatysfakcjonująca, twoi klienci nie będą mieli możliwości reklamacji. I tylko to chciałem powiedzieć. Dlatego nawet jeśli masz gówno zamiast mózgu i nie przejmujesz się bezpieczeństwem swoim ani swojej dziewczyny, ja i tak zapytam cię o proveniencję danych, ponieważ nadal mam wybór, czy pakować się w tę transakcję, czy nie. A nie zamierzam handlować z kimś, kto ma gówno zamiast mózgu.

- Rozumiem. Jestem konsultantem do spraw bezpieczeństwa w firmie internetowej, o czym już pan wie. Pewna odzieżowa sieć handlowa zatrudniła nas do zrobienia penpróby.

- To coś z penklubem? Czy z penisem?

- Próba penetracji. Mieliśmy włamać się do ich sieci firmowej. Okazało się, że jeden z elementów ich strony internetowej jest podatny na zastrzyki SQL. Weszliśmy w tę lukę, zainstalowaliśmy na jednym z serwerów rootkit i wykorzystaliśmy go jako przyczółek do włamu do sieci wewnętrznej, gdzie... W skrócie: weszliśmy jako root na serwery, na których przechowywali dane klientów, i w ten sposób udowodniliśmy, że można stamtąd wykraść dane kart kredytowych.

- Skomplikowane.

- Piętnaście minut roboty.

- Ale to znaczy, że dane, które chcesz mi sprzedać, są już spalone!

- Nie.

- Przecież sam mi powiedziałeś, że klient wie, że można je wykraść?

- Ten klient wie; tamte dane rzeczywiście są spalone. Ale te dane to nie są tamte dane.

- To co ja tu właściwie mam?

- Tę stronę internetową, o której mówiłem, robił facet, który później wypadł z branży.

- No ja myślę!

- Przejrzałem archiwum stron internetowych, pogrzebałem w jawnych informacjach na temat udziałowców i zdobyłem namiary na innych klientów, którzy zatrudnili tego samego fachowca w tym samym okresie do zrobienia podobnych sklepów online.

Wallace przetrawił słowa Petera i skinął głową.

- Spodziewałeś się, że wszystkie zrobił tak samo, od sztancy - powiedział.

- I miałem rację. Strony są dosłownie identyczne, a od czasu, gdy ich twórca splajtował, nikt nie aktualizuje procedur zabezpieczających.

- Pewnie właśnie dlatego zostaliście wynajęci do zrobienia penpróby.

- Otóż to. A ja znalazłem całą masę szablonowych sklepów online, które mają takie same słabe punkty. W tym jedną naprawdę dużą sieć handlową, o której na pewno pan słyszał.

- I przeprowadziłeś ten sam atak.

- Zgadza się.

- Zostawiając ślady, po których można teraz dojść do tej twojej firmy.

- O nie, nie, nie. Mam znajomych w Europie Wschodniej, współpracowałem z nimi. Przeprowadziliśmy akcję przez zupełnie obce hosty, pełna anonimizacja, nie ma mowy, żeby ktoś mnie wytropił.

- Ci twoi znajomi... Pracują charytatywnie?

- Oczywiście, że nie. Odpalam im działkę.

- Ufasz im?

- Całkowicie.

- To przynajmniej tłumaczy, dlaczego pierwszy kontakt był przez Ukrainę.

- No właśnie.

- Cieszę się, że tę sprawę wyjaśniliśmy - powiedział oschle Wallace. - Ale nadal nie wyjaśniliśmy tej najważniejszej.

- To znaczy?

- Dlaczego to robisz?

Peter zaniemówił.

- Powiedz, że jesteś uzależniony od kokainy. Albo że twoja domina cię szantażuje. Mnie to nie przeszkadza.

- Nie wyrabiam się z kredytem hipotecznym.

- Na tę hakerską norę, w której mieszkasz?

- To budynek komercyjny w Seattle, w przemysłowej dzielnicy Georgetown...

Wallace pokiwał głową i z pamięci podał adres.

Peter poczerwieniał.

- No dobrze, sprawdził mnie pan. W porządku. Kupiłem go przed krachem na rynku; mieszkam tam i pracuję, a zbędne pomieszczenia wynająłem. Kiedy gospodarka padła na ryj, pustostany mi się rozmnożyły. Nie dość, że budynek stracił na wartości, to jeszcze przestał

przynosić dochód z najmu. Ta transakcja pomoże mi się odbić od dna. Bank nie zabierze mi nieruchomości, trochę ją wyszykuje, sprzedam i będę mógł kupić...

- Prawdziwy dom, w którym mogłaby chcieć zamieszkać jakaś kobieta? - spytał Wallace, kiedy Peter wbrew sobie zbladł wzrokiem w stronę Zuli.

- Musi mnie pan zrozumieć...

- Nie, Peter, ja wcale nie chcę cię rozumieć.

- W Seattle jest cała masa ludzi, którzy ani nie są ode mnie mądrzejsi, ani ciężiej nie pracują...

- Ale są miliarderami, bo się im pofarciło. Skup się, Peter. Powiedziałem ci, dla kogo pracuję. Jak myślisz, jak ja się czuję?

To pytanie zamknęło Peterowi usta na dłuższą chwilę, więc Wallace dodał:

- Czy wyraziłem się wystarczająco jasno, że głównie mnie obchodzą twoje problemy?

- Sam chciał pan „powyjaśniać sprawy”.

- A rzeczywiście, dziękuję, że mi przypomniałeś. - Wallace spojrzął na zegarek. - Przyszedłem tu pół godziny temu. Gdybyś obserwował przez ten czas parking, zobaczyłbyś, że w ostatnim czasie pojawiły się na nim dwa nowe samochody. Jeden jest mój: ładniutki kabriolet, może nie najlepszy na tutejsze drogi, ale jakoś dowiózł mnie na miejsce. Drugi to czarny Chevrolet suburban, którym przyjechało dwóch Rosjan. Zaparkowaliśmy po dwóch stronach twojego pomarańczowego sciona xB, rocznik 2008. Jeden z Rosjan, łebski chłopak, niewiele mniej utalentowany od ciebie, włączył laptop i połączył się z Internetem przez hotelową sieć wi-fi. Czeka na mnie. Jeżeli się dogadamy, trzydzieści sekund później usiądę na tylnym siedzeniu tego suburbana i oddam pendrive'a. Ten chłopak ma takie specjalne, jak wy to nazywacie, „skrypty”, które potrafią naprawdę szybko przeskanować dane. Jeżeli coś mu się nie spodoba, to cóż... Zemsta, przed którą parę minut temu cię ostrzegałem, nastąpi tak szybko, że twoja wątroba nie zdąży zmetabolizować tej odrobiny mountain dew, którą właśnie przełknąłeś.

Peter pociągnął kolejny łyk mountain dew.

- Mam te same skrypty - odparł. - Parę godzin temu zweryfikowałem nimi te dane. Moi przyjaciele z Europy Wschodniej też trzymają rękę na pulsie i daliby mi znać, gdyby pojawiły się problemy. Przerazają mnie ludzie, dla których pan pracuje, panie Wallace, i żałuję, że się w to wpakowałem, ale jest jedna rzecz, która absolutnie mnie nie martwi: wartość danych, które panu sprzedają.

- Świetnie.

Peter przesunął pendrive'a po blacie w stronę Wallace'a, który wyjął i włączył laptop.

Wsunął pendrive'a do portu. Na ekranie wyświetliła się symbolizująca go ikona. Dwukrotne kliknięcie odsłoniło arkusz Excela o nazwie „data”. Wallace przeciągnął go do swoich „Documents” i śledził animację potwierdzającą przeniesienie pliku.

- Jest jeszcze jedno niebezpieczeństwo - powiedział. - Już o nim wspomniałem.

- Mianowicie?

- Może to nie jest jedyna kopia? Może zechcesz podwoić albo potroić zysk, sprzedając ten sam plik kolejnym nabywcom?

Peter wzruszył ramionami.

- Nie mam jak udowodnić panu, że to jedyna kopia.

- Rozumiem. A twoi ukraińscy koledzy...

- Na oczy jej nie widzieli. Podczas całej akcji pliki szły prosto na mój laptop.

- Gdzie na wszelki wypadek zachowałeś sobie kopię.

- Nie. - Peter się zawahał. - Ale mam płytę. - Wyjął DVD z napędu. - Chce ją pan?

- Chciałbym mieć pewność, że została zniszczona.

- Nic prostszego.

Peter wygiął płytę w kształt litery U i ścisnął mocno, usiłując przełamać ją na dwoje. Wymagało to zaskakująco dużego wysiłku, ale w końcu płyta z głośnym trzaskiem pękła na dwie połówki; odłamki pokruszyły się na stół i podłogę.

- Kurwa mać... - zaklął Peter.

Odrzucił dwa postrzępione półkola na blat i podniósł prawą rękę, pokazując półcałowe rozcięcie u nasady kciuka, w którym już zbierała krew.

- Bardziej rzucać w oczy już się nie dało? - zadrwił Wallace. Otworzył plik „data”, przejrzał go, przewinął do końca i upewnił się, że zawiera kilkaset tysięcy nazwisk, adresów, numerów kart kredytowych i dat ich ważności. Wyjął pendrive'a i pstryknął nim prosto w płonący zaledwie parę stóp od stolika ogień na kominku. Peter, zajęty wysysaniem krwi z rany, odruchowo spojrzął w stronę Richarda i Zuli.

Wallace stopą przesunął leżącą na podłodze niedużą torbę, aż oparła się o kostkę nogi Petera.

- Wystarczy na plaster i zostanie jeszcze na odkupienie pendrive'a wujkowi Dickowi. Nie pojmuję tylko, jak zamierzasz spłacić kredyt gotówką.

Peter oderwał dłoń od ust i przyłożył do zimnej butelki mountain dew.

- Wujek Dick zna się na rzeczy.

- Wiesz to z pierwszej ręki, czy z Wikipedii?

- Powiem panu, że wujek nie jest zachwycony swoim hasłem w Wikipedii.

- Też bym nie był. Odpowiedz na moje pytanie.

- Richard nie opowiada o swojej przeszłości. W każdym razie nie mnie.

- Czyżby uważał, że nie jesteś godny jego bratanicy? - spytał Wallace z udawanym zaskoczeniem. - Richard Forthrast dawno już wrócił na ścieżkę prawa. Nie pomoże ci z kłopotliwym ładunkiem studolarówek.

- On znalazł sposób, to i ja mogę.

- Posłuchaj, Peter. Zanim się rozstaniemy, oby na zawsze, chciałbym ci jeszcze coś wyjaśnić.

- Słucham.

- Wiem, że byłeś ze mną szczery, dlatego chcę ci odplącić w ten sam sposób. Wszystko, co mówiłem o Rosjanach, to bzdura. Straszak, po prostu.

- Domyśliłem się.

- Tak? W jaki sposób?

- Najpierw powiedział pan, że zamierza oddać pendrive'a rosyjskiemu hakerowi z suburba, a potem wrzucił go do kominka.

- Spryciarz z ciebie. Przynajmniej nie muszę ci mówić, że na parkingu nie ma żadnego suburba. Możesz sprawdzić.

Peter nie wyjrzał na dwór. Z ulgą uwierzył Wallace'owi.

- Pracuję sam - ciągnął Wallace. - Jestem drobnym przedsiębiorcą, nie stać mnie na mięśniaków, więc czasem muszę pogrywać w takie gierki, żeby zorientować się w szczeroci zamiarów innych ludzi. W twoim wypadku mi się udało, nie próbowałeś mnie kiwać. Poznałbym po oczach.

- W porządku. Oglądaliśmy kiedyś ten kretyński program „Scared Straight”, w którym stare wygi zastraszały młodocianych bandziorków, żeby zawrócić ich ze złej drogi. Mnie pan skutecznie naprostował.

- No proszę... Otwierasz nowy rozdział w życiu! To był twój ostatni przewał! Kończysz z tym i wkraczasz na prostą, choć wąską ścieżkę, jak Richard Forthrast!

- Jemu się udało...

- Tak, tak, tobie też się uda. Na mój gust to bzdura, ale ja już sobie pójdę. Powodzenia.

* * *

- Czy Peter bierze narkotyki? - spytał Richard.

- Nie, jest absolutnie „Straight edge”³ - odparła Zula, przewracając oczami i rysując

³ Straight edge - zainicjowany w latach 80. XX wieku odłam amerykańskiego ruchu punkowego, którego zwolennicy odrzucali picie alkoholu, palenie tytoniu i używanie narkotyków (przyp. tłum.).

palcami cudzysłowy w powietrzu. - Czemu pytasz?

- Dla mnie to wyglądało jak transakcja z dilerem.

Zula obejrzała się przez ramię.

- Naprawdę? Dlaczego?

- Było coś takiego w psychodynamice tej rozmowy...

Zula posłała Richardowi badawcze spojrzenie zza okularów.

- Oczywiście nie tłumaczy to ani wyglądów z pendrivem, ani próby samobójstwa z użyciem płyty DVD - zgodził się Richard.

Zula odwróciła wzrok i wzruszyła ramionami.

- Nieważne - dodał Richard.

- Skończyłeś na tym, że DeKwadrat naskoczył na Szkieletora za apostrofy.

- Zgadza się. Przemyślany atak, moim zdaniem. Doprowadził między innymi do tego, że D'uinnowie stali się Dwinnami.

- Rany, jak się poczyta, co ludzie wypisują na ten temat w Internecie...

- To można by pomyśleć, że to była jakaś wielka chryja? Wcale nie. Przynajmniej nie wtedy. Ale w ten sposób tworzy się dziś historię: ludzie czekają, aż historia będzie im potrzebna, a potem przykrawają ją do swoich potrzeb. A jak było rok temu? Tylko najbardziej zagorzali fani *T'Rainu* słyszeli o apostrokalipsie i traktowali ją co najwyżej jako przypis. Zabawny przypis.

- Ale odkąd Siły Jasności napadły na Koalicję Szarości jak Japonia na Stany w Pearl Harbor...

- Z perspektywy czasu problem istotnie wydaje się poważniejszy, zwłaszcza że został niesamowicie rozdęty, ale tak naprawdę... Mieliśmy po prostu koszmarnie niezręczną kolację, D'uinnowie zmienili się w Dwinnów, ponoć z przyczyn lingwistycznych... Powstał jednak istotny precedens: don Donald pokazał, że ma władzę wprowadzania zmian w świecie opisanym przez Devina.

- Której to władzy zaczął następnie nadużywać?

- Tak twierdzą Siły Jasności. Fakty zaś są takie, że DeKwadrat zachował daleko posuniętą dyskrecję i wstrzeźliwość, a zmiany ograniczał tylko do tych dziedzin, w których Devin naprawdę dał płamę; do spraw, które Devin sam by zmienił, gdyby wziął na wstrzymanie, przeczytał jeszcze raz to, co sam napisał, i chwilę się zastanowił. Sama widzisz, że to nic poważnego.

- Może dla ciebie. Co na to Devin?

- Z początku zachowywał się tak, jakby mu to było obojętne - odparł Richard po chwili namysłu.

- A może wcale nie było i od początku knuł zemstę? Ukrywał różne fakty w Kanonie, szczegóły, których Geraldine i jej ludzie nie wychwycili albo nie złożyli w całość. Za to jego fani... Na nich to działa jak gwizdek na psa.

Richard wzruszył ramionami i skinął głową. Zauważył, że Zula przygląda mu się pytająco. Czeką na ciąg dalszy.

- Ciebie też to nie obchodzi! - wykrzyknęła triumfalnie. Uśmiechnęła się.

- Na początku się przejmowałem. Byłem wstrząśnięty. Jeden z moich bohaterów został bez uprzedzenia zaatakowany przez innych członków grupy; zamordowali go, kiedy ich bronił. Nie dziwisz mi się chyba, że mnie to ruszyło. W dodatku to poruszenie, ta złość nagromadzona w ostatnich miesiącach... To się musiało na mnie odbić. Ale staram się normalnie prowadzić firmę.

- Wojna reorientacyjna przynosi zyski?

- Krociowe.

- Co przynosi krociowe zyski? - zainteresował się Peter.

Zrzucił z ramienia czarną syntetyczną torbę, usiadł i położył ją sobie na kolanach. Zdrową ręką przyciskał do skaleczenia zwinięty w rulon pęk serwetek.

- Zadałeś ciekawe pytanie... - zauważył Richard, patrząc mu w oczy.

Peter natychmiast zerwał kontakt wzrokowy.

- Tylko żartowałem.

- No dobrze... - Zula puknęła w ekran iPhone'a, żeby wyświetlił godzinę. - Zrobisz mi zdjęcie z wujkiem, zanim zaczniemy się zbierać?

* * *

Google Maps wydały zniechęcająco jednoznaczną opinię: z tej części Kolumbii Brytyjskiej nie dało się sensownie dojechać do Seattle (nigdzie indziej również, nawiasem mówiąc), ponieważ wszystkie pasma górskie biegły w poprzek ewentualnych wektorów podróży. Prowadząca z zamku droga dojazdowa przeprowadziła ich przez tamę i dołączyła do prowincjonalnej dwupasmówki biegnącej lewym brzegiem rzeki do południowego skraju dużego jeziora Kootenay - głębokiego, choć wąskiego skrawka wody wciśniętego między Góry Selkirka i Purcella. Dwupasmówka z kolei tworzyła skrzyżowanie w kształcie litery T z większą drogą w Elphinstone, ślicznie odrestaurowanym miasteczku z około dziesięcioma tysiącami mieszkańców, z których chyba dziewięć tysięcy znalazło zatrudnienie w

restauracjach.

Postój na stacji benzynowej przeobraził się w półgodzinną przerwę na tajskie zarcie. Peter prawie się nie odzywał. Zula przyzwyczała się, że bywa milkliwy i zwykle jej to nie przeszkadzało - mając do towarzystwa iPhone'a, Kindle'a i laptop, rzadko czuła się samotna, nawet podczas długich podróży przez góry. Zazwyczaj jednak kiedy Peter milczał, pochłaniały go jakieś twórcze rozmyślenia i zachowywał wesołe usposobienie. Milczenie, w którym pogrążył się w drodze powrotnej z zamku Hundschüttler, miało zupełnie inny charakter.

Z Elphinstone mieli jechać na zachód przez przełęcz Kootenay, a dalej wybrać mniejsze zło z dwóch dostępnych. Droga na południe prowadziła do Metaline Falls, gdzie na górskiej przełęczy, przez którą akurat przechodził czterdziesty dziewiąty równoleżnik, znajdował się tyci posterunek graniczny. Wylądowaliby w ten sposób w północno-wschodnim zakamarku stanu Waszyngton, skąd w dwie godziny dotarliby do Spokane, gdzie po wjechaniu na autostradę I-90 jak burza przecięliby cały stan w poprzek. Tą właśnie drogą przyjechali w piątek. Albo...

- Pomyślałem sobie - odezwał się Peter po tym, jak przez kwadrans ścigał po talerzu swój pad thai, poszturchując makaron widelcem i próbując wzrokiem wypalić dziurę w stole - że powinniśmy pojechać przez Kanadę.

Miał na myśli alternatywną drogę prowadzącą obrzeżami Kolumbii, przez pasmo Okanogan do Vancouver, skąd przeskoczyliby przez granicę i wjechali na I-5 od północy.

- Dlaczego? - zainteresowała się Zula.

Peter spojrzał na nią pierwszy raz, odkąd usiedli przy stoliku. Robił wrażenie do głębi zranionego tym pytaniem i gotowego do przejścia na pozycję obronną, ale w końcu tylko wzruszył ramionami i spuścił wzrok.

Później, kiedy jechali na zachód (Peter prowadził), Zula odłożyła bezużyteczne elektroniczne zabawki (za połączenie z siecią przez iPhone'a w Kanadzie słono się płaciło, a z Kindle'a nie dało się czytać po ciemku) i, gapiąc się na drogę, odtwarzała w pamięci tę ostatnią rozmowę. Kluczowe było w niej słowo „powinniśmy”. Gdyby Peter powiedział „Fajnie będzie przejechać się nową drogą” albo „Pojechałbym przez Kanadę, bo jestem ciekaw, jak wygląda”, nie zapytałaby „Dlaczego?”, bo sama też wpadła na taki pomysł. Ale „powinniśmy pojechać przez Kanadę” to było zupełnie co innego, a sposób, w jaki później uniknął odpowiedzi na jej pytanie, przypominał jej nieznanego, z którym spotkał się w gospodzie. Wtedy wujek zirytował ją pytaniem o narkotyki; wygląd Petera, jego ubranie i styl bycia często prowokowały ludzi do wyciągania pochopnych - i błędnych - wniosków na jego

temat. Ona zaś doskonale wiedziała, że w rzeczywistości jest kochanym i przyzwoitym facetem, który nigdy nie potraktowałby się specyfikiem mocniejszym niż mountain dew.

„Powinniśmy”. Właściwie jaka to różnica? Przejście graniczne w Metaline Falls było prymitywne, bez dwóch zdań, ale dzięki temu panował na nim niewielki ruch i kolejki należały do rzadkości. Strażnikom tak się cknęło do ludzi, że prawie wybiegali podróżnym na spotkanie, żeby ich wyściskać. A przejście pod Vancouver było jednym z największych i najbardziej obleganych.

Peter chciał czegoś uniknąć.

Taki właśnie był: jeśli coś mu się nie podobało, próbował to ominąć, i był w tym niezły. Często pewnie nawet nie wiedział, że to robi; po prostu w taki właśnie instynktowny sposób radził sobie w życiu. Nie był przy tym mistrzem techniki, lecz raczej niewinnym i nieświadomym naturzszczykiem. W dzieciństwie Zula widywała podobne zachowania w Erytrei, gdzie otwarte stawianie czoła problemom nie zawsze było rozsądnym rozwiązaniem. Patriarcha przewodzący grupie uchodźców, do której należała, wymyślił ciekawą strategię odgryzania się Etiopczykom: należało przejść boso przez pustynię do Sudanu, zameldować się w obozie dla uchodźców, przesiedzieć w nim dostatecznie długo, żeby udało się emigrować do Ameryki, a potem wzbogacić się (przynajmniej wedle standardów obowiązujących w Rogu Afryki) i zacząć wysyłać Erytrejczykom pieniądze, za które będą mogli kontynuować wojnę z wrogiem.

Forthrastowie wywodzili się z innej tradycji, wedle której bez względu na naturę i skalę problemu zawsze musiało istnieć spokojne i logiczne jego rozwiązanie. Zapytaj pastora. Zapytaj drużynowego. Zapytaj pedagoga.

Peter bardzo się denerwował, kiedy wzdłuż jeziora zmierzali do Elphinstone, i z wielką ulgą przyjął wiadomość, że skręcają na zachód. Wybór drogi zachodniej był z jego strony kolejnym unikaniem.

Zamiast mierzyć się z przerażającymi serpentynami gór Okanogan (co o tej porze nocy i roku mogłoby nie być najlepszym pomysłem), pomknęli prosto na północ i w Kelowna wjechali na lepszą drogę, szerszą i mniej krętą. Zaraz też zatrzymali się na stacji benzynowej ze sklepikiem, w którym Peter zniecka kupił kawę. Zula bez wiary w sukces zaproponowała, że może poprowadzić, ale Peter przewidział już dla niej inną rolę:

- Będiesz ze mną rozmawiać, żeby nie zasnął.

Roześmiała mu się w twarz, bo przecież nie odzywał się do niej ani słowem - ale od Kelowna zaczęła go zagadywać. Rozmowa zesła w końcu na komputery, ponieważ była to jedyna dziedzina, w której - kiedy Peter się rozpędził - słowa potrafiły godzinami same płynąć

mu z ust. Szczególnie interesowały go (jak zawsze) stosowane w *T'Rainie* zabezpieczenia, ich słabe punkty oraz możliwość wprowadzenia ulepszeń, za co właściciele *T'Rainu* musieliby mu zapłacić, a on zapunktowałby u swojego nowego pracodawcy. Zula zaś (jak zawsze) nie bardzo chciała o tym rozmawiać, ponieważ podpisała makabrycznie długą i przeraźliwie szczegółową klauzulę tajności, przy której żaden pastor, drużynowy ani pedagog nic by jej nie pomógł. Mogła mówić tylko o tym co było powszechnie wiadome - czyli o tym, że Pluton (jej szef) jest Klucznikiem, jedynym na Ziemi posiadaczem klucza szyfrującego, który - zmieniany co miesiąc - jest używany do cyfrowego podpisywania wszystkich fantastyczno-geologicznych wytworów jego algorytmu generacji świata. Można by go porównać ze Skarbnikiem USA, którego podpis widnieje na każdym amerykańskim banknocie jako potwierdzenie jego autentyczności - a to dlatego, że to kod Plutona decydował między innymi o tym, ile złota znajduje się w każdej porcji rudy wydobytej i wywiezionej na taczkach przez Dwinnów-górników. Zula nie udzielała się przy metalach szlachetnych (zajmowała się modelowaniem przepływu magmy na podstawie obliczeniowej dynamiki płynów), ale na co dzień stykała się z zabezpieczeniami systemu, przez co Peter nieustannie zadawał jej pytania o możliwość ich pokonania - nie przez niego, ale przez hipotetyczne czarne kapelusze, które on, za stosowną opłatą, mógłby przechytrzyć.

W ten sposób przytomni i żywi dojechali do Abbotsford, które - położone godzinę od Vancouver, ale za to dosłownie o włos od granicy - lepiej od samego Vancouver nadawało się do jej przekroczenia. Zatrzymali się (nie brakowało im benzyny, ale Peter miał pełny pęcherz). Postój się przeciągnął, gdy Peter zaczął sprawdzać na swoim palmtopie czasy oczekiwania na przejściach granicznych.

Zula poszła kupić coś do jedzenia, a kiedy wróciła, stał przy otwartej tylnej klapie samochodu i przy czymś majstrował. Usłyszała zgrzyt suwaka, szelest plastiku.

- Poprowadzisz? - zapytał.

- Od sześciu godzin ci powtarzam, że chętnie poprowadzę - wytknęła mu delikatnie.

- Pomyślałem, że mogłaś zmienić zdanie czy coś... Ja muszę na trochę zamknąć oczy, może nawet się prześpię.

Zula nie uwierzyła mu, bo jej zdaniem był ewidentnie nakręcony. Coś jej podpowiadało, że to kolejny unik w jego wykonaniu. Przekraczanie granicy uruchamiało jego instynkt unikowy. Zaobserwowała to, kiedy zbliżali się do rozwidlenia dróg w Elphinstone, i teraz się to powtórzyło. Zgodziła się prowadzić.

- Peace Arch - powiedział Peter. - Tam przekroczymy granicę. W Peace Arch.

- Dwie mile stąd jest przejście graniczne...

- W Peace Arch jest mniejszy ruch.

- Jak chcesz.

Zula usiadła więc za kierownicą, żeby przewieźć ich przez ostatnie kilkadziesiąt kilometrów na zachód do przejścia w Peace Arch położonego dosłownie na brzegu oceanu - dłużej nie mogli odwlekać przekroczenia granicy. Po paru minutach Peter rozłożył sobie fotel, zamknął oczy i znieruchomiał. Zula, która spędziła z nim niejedną noc, wiedziała doskonale, że wcale tak nie wygląda, kiedy zasypia.

Elektroniczne tablice informacyjne na autostradzie podawały, że na Truck Highway, parę mil na wschód od Peace Arch, ruch jest jeszcze mniejszy, podjechała więc właśnie w to miejsce. W kolejce przed nimi stały dwa samochody, nie powinni czekać dłużej niż minutę.

- Peter?

- Tak?

- Gdzie masz paszport?

- W kieszeni. Zaraz, gdzie my jesteśmy?

- Na granicy.

- Na Truck Highway.

- Zgadza się. Mniejsza kolejka.

- Myślałem o Peace Arch...

- A co to za różnica? - Jeden samochód przed nimi. - Wyjmij paszport, proszę.

- Masz. - Peter podał paszport Zuli i znów ułożył się w pozycji półleżącej. - Sama możesz go dać strażnikowi. Powiedz mu, że śpię, dobrze?

- Przecież nie śpisz.

- Będzie mniejsze zamieszanie, jeśli pomyślą, że śpię.

- Jakie zamieszanie? Widziałeś kiedyś jakieś zamieszanie na tej granicy? To jak przejazd z Dakoty Północnej do Południowej.

- Zgódź się.

- To zamknij oczy i się nie ruszaj. Strażnik sam zobaczy, że śpisz albo udajesz, ale jeśli zacznę mu tłumaczyć rzecz oczywistą „On śpi, proszę pana”, to będzie wyglądało dziwnie. A w ogóle czemu się tak upierasz?

Peter udał, że śpi. Nie odpowiedział.

Samochód przed nimi wjechał na terytorium Stanów Zjednoczonych. Zula podjechała bliżej.

- Ile osób? - zapytał strażnik. - Obywatelstwo? - Poświecił latarką na Petera. - Pani przyjaciel będzie musiał się obudzić.

- Dwoje. Amerykanie.
- Długo byliście państwo w Kanadzie?
- Trzy dni.
- Przywozicie coś?
- Nie.
- Paczkę kawy - wtrącił Peter. - I jakieś resztki jedzenia.
- Witajcie w domu.

Strażnik zapalił im zielone światło.

Zula dodała gazu i ruszyli na południe. Peter postawił fotel do pionu. Przetarł twarz dłonią.

- Chcesz paszport z powrotem?
- Chętnie, dzięki.
- Do Seattle mamy ze dwie godziny. Wystarczy ci, żeby mi powiedzieć, dlaczego od rana rzniesz głupa?

Peter trochę się przestraszył, że Zula się zorientowała, że rznie głupa, ale nie próbował jej wmawiać, że jest niewinny.

- Zrobiłem coś hipergłupiego - powiedział po kilku minutach, kiedy wyjechali na I-5. - Nie wiem, może nawet związkokończąco głupiego.

- Kim był ten gość w gospodzie? Bo rozumiem, że ma z tym coś wspólnego.

- To Wallace. Mieszka w Vancouver. Sadząc po śladach, które zostawia w Internecie, jest księgowym. Studiował w Szkocji, w latach osiemdziesiątych przeprowadził się do Kanady.

- Zrobiłeś coś dla niego? Jakiś przewał związany z bezpieczeństwem sieci?

Peter nie odpowiedział.

- Zrozum, ja się chcę tylko dowiedzieć, co takiego wieziemy w samochodzie, że bałeś się z tym przekroczyć granicę.

- Pieniądze. Sumę powyżej dziesięciu tysięcy dolarów. Powinienem to zgłosić. Nie zrobiłem tego. - Peter odchylił się na oparcie i westchnął ciężko. - Ale teraz już jesteśmy bezpieczni. Przekroczyliśmy granicę i...

- My? To znaczy kto, w tym wypadku? Zostałam twoją współniczką?

- W sensie prawnym nie, bo o niczym nie wiedziałaś, ale...

- Czyli nie byłam w niebezpieczeństwie? Bo nie bardzo rozumiem, skąd się wzięło to „jesteśmy bezpieczni”.

Zula rzadko się wściekała, ale kiedy już się jej zdarzyło, gniew narastał w niej powoli

i nieubłaganie.

- Wallace jest trochę dziwny. Mówił różne rzeczy... Sam nie wiem. Szybko zrozumiałem, że to błąd; byłem przerażony tym, co robię, ale potem było już po wszystkim, dostałem pieniądze, wsiedliśmy do samochodu, ruszyliśmy do granicy... A ja zacząłem myśleć o implikacjach.

- I chciałeś znaleźć przejście, na którym będzie największy ruch.

- Tak. Żeby strażnikom się śpieszyło, bo wtedy była mniejsza szansa, że będą chcieli przeszukać wóz.

- Więc kiedy sprawdzałeś czasy odpraw w Abbotsford...?

- Szukałem przejść z najdłuższymi kolejkami.

- Coś podobnego...

Przez jakiś czas Zula jechała w milczeniu, odtwarzając dzień w pamięci.

- Dlaczego zrobiłeś to w zamku?

- To był pomysł Wallace'a. Próbowaliśmy zgrać nasze plany wyjazdowe i wspomniałem, że się tam wybieramy. Strasznie się podjarał, jakby zupełnie mu nie przeszkadzało, że w zimie będzie musiał jechać taki kawał z Vancouver. Teraz rozumiem, że nie chciał przekraczać granicy z taką kasą. Wolał to zwalić na mnie.

- Co to za księgowy, który za konsultacje w sprawach bezpieczeństwa płaci gotówką? Peter nic nie powiedział.

Zula rachowała w myślach. Studolarówki. Dziesięć tysięcy dolców to sto banknotów. Jaki to plik? Mniej więcej... tej grubości. Niezbyt imponujący. Łatwy do ukrycia w samochodzie. Czyli Peter musiał przewozić więcej. Dużo więcej.

Widziała, jak dziwnie obchodził się z bagażem. I jak coś w nim poprawiał w Abbotsford.

- Jedną chwileczkę... - odezwała się. - Bierzesz dwie stowy za godzinę. Musiałbyś pracować pięćdziesiąt godzin, żeby zarobić dziesięć tysięcy. Mam jednak wrażenie, że przewozisz dużo, dużo więcej, a to oznacza dużo, dużo więcej niż pięćdziesiąt godzin pracy. A ty przecież ostatnio wcale się jakoś specjalnie nie zaharowywałeś. Remontujesz ten swój dom; cały tydzień zajęło ci wieszanie gipsokartonów. Gdzieś ty wcisnął taką masę roboczogodzin?

I tak oto wszystko się wydało.

* * *

Zula miała rację. Faktycznie mieli o czym rozmawiać w drodze do Seattle.

Peter też miał rację: to wydarzenie zdecydowało o zakończeniu ich związku. I nie

chodziło wcale o to, co zrobił wcześniej, chociaż i to było bardzo głupie, ale o to, jak zachował się tego dnia; o całą tę nedorzeczną szopkę z przekraczaniem granicy.

Prawdziwym pocałunkiem śmierci było jednak powołanie się na wuja Richarda.

Znajdowali się akurat gdzieś w okolicach Everest, na skraju północnych przedmieść Seattle. Peter zdał sobie sprawę, że zostało mu dziesięć, może piętnaście mil na przedstawienie swojej sprawy - i w tym celu przypomniał Zuli przeróżne głupstwa, których Richard Forthrast dopuścił się był w przeszłości lub które mu przypisywano. Zula rozumiała się przecież z Richardem doskonale, więc - taką linię obrony przyjął Peter - dlaczego teraz nie może zrozumieć także jego?

Wtedy właśnie przerwała mu w pół zdania i oznajmiła, że to koniec. Przy tych słowach jej twarz i głos emanowały takim przekonaniem, taką determinacją, że oniemiały i zafascynowany Peter rozdziawił usta. Facetom (przynajmniej w jego wieku) brakowało bowiem pewności siebie, żeby ot tak, instynktownie podejmować takie poważne decyzje; potrzebowali do tego jakiejś racjonalnej podbudowy. Zula była inna. Nie musiała podejmować żadnej decyzji - po prostu przekazała mu informację.

DZIEŃ 1

W piątek przed wyjazdem Zula wcześniej wyszła z pracy i podjechała do lokalu Petera (zawsze nazywała to miejsce „lokalem”). Zostawiła tam samochód (zaparkowany w magazynowej części budynku, do której wjeżdżało się z uliczki na tyłach przez olbrzymie wrota zamykane przemysłową roletą) oraz część przyborów potrzebnych jej do pracy. Dlatego w poniedziałek mimo zdarzenia związkokończącego musiała wrócić po wóz i swoje rzeczy. Z I-5 zjechała na Michigan Avenue, przecinając na skos północne obrzeża Boeing Field. Przejechała dwie przecznice w stronę oceanu, po czym wykręciła z powrotem na północ, do Georgetown.

Nieco ponad sto lat temu Georgetown było odrębnym miasteczkiem, specjalizującym się w produkcji i konsumpcji wyrobów alkoholowych, z bezpośrednim dostępem do ważnych linii kolejowych i przemysłowych szlaków wodnych. Na początku dwudziestego wieku zostało wchłonięte przez Seattle, które nie mogło znieść świadomości, że tuż pod bokiem ma niezależną miejscinę, która aż się prosi, żeby ją opodatkować.

Po upowszechnieniu się samolotów, na południe od Georgetown powstało lokalne lotnisko, które po Pearl Harbor zostało znacjonalizowane i do końca wojny służyło Boeingowi za fabrykę B-17 i B-29. Przy wąskich, spokojnych uliczkach wyrosły liczne domki dla monterów samolotów, ale okolica zachowała jeszcze swój charakter prawie do końca stulecia, kiedy przypuszczono na nią szturm od północy: firmy internetowe w poszukiwaniu taniej przestrzeni biurowej najechały równinę leżącą na południe od centrum, wchłaniając odlewnie i warsztaty, z których produkcję przeniesiono głównie do Chin. Frezarki i tokarki powyrywano z podłóg, sprzedano na aukcjach lub zełomowano; wysokie sufity oczyszczono i obwieszono wspornikami trzeszczącymi pod ciężarem dziesiątków mil niebieskich kabli ethernetowych. Kierowcy ciężarówek musieli się przyzwyczaić, że dzielą dziurawe uliczki z dojeżdżającymi do pracy rowerzystami w śmiesznych kaskach i spandeksowych wdziankach. W tym właśnie okresie Peter zwietrzył swoją szansę i nabył jeden z pustych budynków. Wmówił sobie, że to dobra inwestycja, bo w sam raz nadaje się do tego, żeby z kumplami założyć w niej nowoczesną firmę. Nic z tego nie wyszło, bo zmienił się klimat finansowy, i skończyło się na tym, że pomieszkiwał i pracował w części gmachu, a resztę wynajmował różnym artystom i rzemieślnikom, którzy, jak się okazało, nie płacą tak

wysokich czynszów jak nowoczesne firmy. To, co zaszkodziło Peterowi, było jednak korzystne dla Georgetown - przynajmniej dla tej jego części, która naprawdę coś produkowała zamiast żonglować bitami.

Budynek był stary, ceglany; wysoki strop parteru wspierał się na drewnianych podporach z wiekowych jodeł, przez co doskonale nadawałby się na restaurację lub piwiarnię, gdyby dom stał przy jakiejś większej ulicy (i gdyby w Georgetown nie było już kilkunastu takich lokali). Peter podzielił wnętrze na pół. Jedną połowę wynajął spawaczowi metali kolorowych produkującemu części dla przemysłu lotniczego, w drugiej urządził sobie pracownię z garażem. Tam właśnie samochód Zuli spędził ostatni weekend. Piętro budynku miało śliczne stare okna wychodzące na Boeing Field. Ono również zostało podzielone na dwa kawałki: pozbawiony ścianek działowych loft, w którym mieszkał Peter, oraz niewykończoną na razie część, przeznaczoną do wynajęcia jakiemuś młodemu hipsterowi, który chciałby, jak to ujął Peter, „zamieszkać wśród łuków”.

Stwierdzenie to niewiele mówiło Zuli, dopóki nie spędziła w Georgetown trochę czasu i nie zaczęła zauważać, że wiele starych domów ma okna i drzwi zbudowane w formie najprawdziwszych funkcjonalnych łuków, kamiennych lub ceglanych, których w nowszych budynkach już nie stosowano. Zwrócenie uwagi na ten fakt dowodziło sprytu Petera, zaś zrozumienie, że w oczach niektórych najemców może podnosić atrakcyjność mieszkania, wskazywało na znajomość ludzkiej natury zgoła nieprzeciętną u komputerowego świra.

Kiedy więc około drugiej nad ranem wrócili do lokalu Petera i Zula weszła na piętro, żeby pozbierać rzeczy, które zdążyła wszędzie porzucić podczas kilkumiesięcznego prawie-mieszkania z Peterem, na widok wyeksponowanych po remoncie ceglanych łuków cała masa wspomnień skłębiła się jej w głowie. Stała jak wryta, niezdolna się poruszyć, niezdolna nawet zebrać myśli. Po prostu stała w ciemności. Lampy na Boeing Field podświetlały niską pokrywą deszczowych chmur, budząc w nich zielonkawosrebrną poświatę, która płynnie wypełniała otwory okienne, jakby nałożona kielnią na szkło.

Zula odczuwała dziwną ulgę. Zadała sobie całkiem naturalne pytanie: Co mnie w ogóle pociągało w tym facecie? Poza urodą, rzecz jasna. Na pewno te rzadkie przebłyski intuicji, jak z tymi łukami. I jeszcze coś: ciężko pracował i umiał zrobić wiele rzeczy, w czym przypominał jej rodzinę z Iowa. Był inteligentny, oraz, jak dowodziły porzucane wszędzie i stojące w stosach książki, miał rozległe zainteresowania, o których umiał ciekawie opowiadać - o ile tylko miał ochotę mówić. Znalazłszy się na górze sama (Peter został na dole, w garażu; wypakowywał rzeczy z samochodu), mogła z perspektywy czasu spokojnie prześledzić proces zakochiwania się w nim, jakby odtwarzała scenę zbrodni, i wmówić sobie,

że wcale nie była aż tak beznadziejnie głupia. Wybaczyła sobie przeoczenie zwiaskokończących cech jego charakteru, które w ostatnich dwunastu godzinach objawiły się z tak bolesną oczywistością. Jej koleżanki pewnie wcale się nie zastanawiały, co w nim widzi.

Co kazało jej zadać sobie pytanie (dopóki była sama i wciąż miała szansę się wycofać), czy na pewno powinna z nim zerwać - ale czuła, że kiedy obudzi się rano, będzie jej dobrze z tą decyzją. Peter był trzecim facetem, którego rzuciła. Na studiach mniej facetów wrywało się do randkowania z pół Murzynką, pół Arabką specjalizującą się w obliczeniowej dynamice płynów niż, powiedzmy, z niebieskookimi blondynkami z hotelarstwa, ale podobnie jak mieszkaniowiec czynszówki, który w ogródku na dachu hoduje roślinki w puszkach po kawie, ona również prowadziła własne życie towarzyskie, żeby od czasu do czasu zerwać jakiegoś dojrzałego pomidoraka - i pewnie nawet miała z niego większą frajdę niż ktoś, kto kupuje pomidory na worki w Safeway'u. Nie była więc taka znowu niedoświadczona. Wiedziała, jak to się robi. I zrywając z trzecim facetem, była tak samo przekonana o swojej słuszności, jak przy dwóch poprzednich.

Włączyła światło, które w pierwszej chwili zakłuło ją w oczy, i zaczęła zbierać rzeczy, które na pewno do niej należały. Z łazienki - minimalistyczny, ale ważny zestaw kosmetyków, plus przybory do zarządzania włosami. Z ulubionego kąta - notatki i książki potrzebne do pracy. Ze dwie książki. Nic ważnego, ale nie chciała, żeby Peter, budząc się co rano, napotykał przypadkowe ślady jej obecności. Wszystko, co znalazła, zgromadziła przy schodach i zrobiła jeszcze jedno kółko po mieszkaniu, zgarniając inne, coraz mniej ewidentne drobiazgi: baseballówkę, spinkę do włosów, kubek do kawy, pomadkę do ust. Nie śpieszyła się, bo wiedziała, że kiedy skończy, będzie musiała znieść to wszystko do garażu, gdzie Peter wyładowywał swój sprzęt snowboardowy - a to by stworzyło niezręczną sytuację. Była zbyt zmęczona, żeby z wdziękiem się wywijać z niezręcznych sytuacji, a nie chciała, żeby Peter zapamiętał ją jako gotującą się ze złości sukę.

Kiedy wróciła do stosu swoich gratów po raz - jak to oceniała - przedostatni, usłyszała dobiegające z dołu głosy: oba męskie, w tym jeden należący do Petera. Nie rozumiała słów, ale nieznajomy był wyraźnie podenerwowany. Z dołu wiało zimnem, najwidoczniej świeże powietrze wpadało przez otwarte wrota garażu. Niosło ostrą woń nie do końca spalonego paliwa, jaką w dzisiejszych czasach emitują wyłącznie bardzo stare samochody, z epoki prekatalizatorowej.

Wyjrawszy przez małe okno na tyłach domu, zobaczyła stojący w uliczce sportowy kabriolet z zapalonymi światłami, włączonym silnikiem i otwartymi drzwiami po stronie kierowcy. Kierowca dyskutował z Peterem w garażu. Pewnie poszło im o to, że wyładowując

sprzęt, Peter zablokował przejazd - kabriolet stał dosłownie zderzak w zderzak ze scionem, a kierowca pewnie się wkurzył, że nie może przejechać. Śpieszy się. Jest pijany. Albo naćpany metedryną, sądząc po tym, jak się awanturuje.

Do Zuli dolatywały tylko strzępki gwałtownej wymiany zdań: Peter, wyraźnie czymś zaskoczony, usiłował rozsądnie uspokoić intruza, który od czasu do czasu eksplodował niezrozumiałymi dla Zuli wiązkami. Nagle dotarło do niej, że nieznajomy mówi z dziwnym akcentem. Zula, choć po angielsku mówiła bez zarzutu, nie była specjalistką od akcentów.

Już, już zamierzała zadzwonić po policję, gdy z ust intruza padły słowa „pocztę głosową”.

- ...wyłączyłem ją... - wyjaśnił Peter spokojnym, opanowanym tonem.

- ...kurwa, aż z Vancouver! - poskarżył się intruz. - W tym deszczu.

Zula wróciła do okna, jeszcze raz zerknęła na obcy samochód i rozpoznała tablicę rejestracyjną z Kolumbii Brytyjskiej.

To on.

Facet z zamku. Wallace.

Nie do końca usatysfakcjonowany transakcją skontaktował się z biurem obsługi klienta.

Chociaż nie, raczej zadzwonił po pomoc techniczną. Wspomniał właśnie coś o „jakimś pierdolonym wirusie”.

O dziwo, napięcie ustąpiło. Adrenalinowa burza, która przygnała Wallace'a z Vancouver, przycichła. Zgodzili się spokojnie porozmawiać. Wallace wyłączył silnik kabrioletu, zgasił reflektory i wrócił do garażu. Peter zamknął za nim roletę.

- Czyj to wóz? - zainteresował się Wallace.

Po zamknięciu wrót dźwięk niósł się echem po schodach i Zula mogła bez przeszkód śledzić rozmowę. Zwłaszcza że jej ucho zaczęło się już oswajać ze szkockim akcentem.

- Zuli - odpowiedział Peter.

- Twojej panny? To ona tu jest?

- Odwiozłem ją do domu. Trzyma auto tutaj, kiedy go nie potrzebuje.

Zula przyjęła kłamstwo Petera z podziwem i niechętną wdzięcznością.

- Muszę się odlać, bo mi pęcherz rozerwie.

- Tam jest pisuar.

- Grzeczny chłopiec.

Wolnostojący pisuar na środku warsztatu był jedną z tych innowacji, które napawały Petera największą dumą. Zula usłyszała, jak Wallace rozpina rozperek i korzysta z pisuaru;

pomyślała, że śmiesznie by wyszło, gdyby w tej właśnie chwili postanowiła zejść na parter i się ujawnić.

Kłopot w tym, że samochód Wallace'a blokował jej wyjazd.

- Podejrzywałem, że celowo mnie wydymałeś - mówił Wallace, sikając. - Teraz jednak dopuszczam możliwość, że stało się coś innego.

- Cieszę się, bo sprawa jest czysta.

- To znaczy czysta, jeśli nie liczyć faktu, że wchodzi w grę masowa kradzież tożsamości.

- Tak.

- Mnie łatwo przekonać, już masz to z głowy, ale ludzie, z którymi pracuję... To inna para kaloszy.

Wallace skończył i zapiął spodnie. Brzmienie jego głosu zmieniło się lekko, gdy odwrócił się od pisuaru.

- Mówił pan, że pracuje sam.

- Wtedy mówiłem prawdę.

- Aha - mruknął Peter po wyraźnej chwili wahania.

- Ale od tamtej pory dostałem już trzy e-maile od klienta w Toronto, z pytaniem, gdzie są te zaszranie numery kart. Wiesz co? Może od razu go powiadomię o rozwoju sytuacji. Jeśli bezczelne kłamstwo można tak nazwać.

Rozmowa na chwilę ucichła. Zula domyślała się, że Wallace wysłał wiadomość przez BlackBerry lub inny tego rodzaju gadżet.

- Nie bardzo rozumiem, dlaczego po prostu nie wysłał mi pan tych numerów - zauważył Peter. - Dlatego proponuję, żeby wyjaśnił pan wszystko jeszcze raz, ale od początku. Bo przyznam, że po tych wrzaskach, którymi mnie pan przywitał, trochę zgłupiałem.

- Już kończę... - mruknął Wallace.

- Proszę, tu jest hasło do mojego wi-fi. - Zula usłyszała szelest przesuwanej po blacie kartki papieru.

- Nie trzeba. Złapałem tu jakiegoś... Tigmastera.

- Moja sieć jest lepsza. O wiele bezpieczniejsza od Tigmastera.

- A co to w ogóle jest ten Tigmaster? Treser zwierząt?

- Spawacz. Mój najemca. Powinien zabezpieczyć sieć hasłem, ale nie zwraca sobie tym głowy.

- Bo nie jest tak przeczulony na punkcie bezpieczeństwa jak ty czy ja.

Peter nie odpowiedział, wyczuwając w tych słowach pułapkę.

Zula też odniosła podobne wrażenie. Zrezygnowała z dzwonienia na policję, kiedy zorientowała się, że Peter rozmawia z Wallace'em, a nie jakimś przypadkowym narwanym ćpunem, ale teraz znów zaczynała się nad tym zastanawiać. Na szczęście Wallace się uspokoił, a jedyną osobą w tym towarzystwie, która naprawdę złamała prawo, był Peter. Wystarczy, że z nim zerwała. Wsadzenie go do więzienia byłoby przesadą.

- Od początku, powiadasz... Dobrze. Niech ci będzie. - Wallace zawiesił głos. - Masz w lodówce jakieś piwo?

- Wydawało mi się, że pan nie pije.

Cisza.

- Proszę się częstować.

Efekty dźwiękowe związane z otwieraniem lodówki, a następnie piwa.

- Jak widziałeś, od razu na miejscu, w gospodzie, przeniosłem plik na swój laptop. Zweryfikowałem zawartość. Zamknąłem laptop. Poszedłem do samochodu. Wróciłem do Vancouver. Tylko raz zatrzymałem się na stacji benzynowej. Ani na chwilę nie wysiadłem z wozu. Ani na moment nie spuściłem laptopa z oka. Zaparkowałem w podziemnym garażu w swoim apartamentowcu i wjechałem na górę do mieszkania, trzymając laptop w ręce. Usiadłem przy biurku, podłączyłem go, sprawdziłem, że wszystko jest na swoim miejscu, dokładnie tak, jak w chwili, kiedy go wyłączałem.

- Powiedział pan „podłączyłem go”... Może pan powiedzieć, do czego dokładnie go pan podłączył? - odezwał się Peter dziwnie rzeczowym, uprzejmym tonem, niczym siedzący w swoim boksie w Bangalore pracownik działu obsługi klienta.

- Zasilanie, Ethernet, zewnętrzny monitor, FireWire.

- Ethernet, tak? Nie ma pan w domu wi-fi?

- Co ty, kurwa, zartujesz sobie ze mnie?

- Po prostu pytam. Ma pan zainstalowany firewall, który by odcinał komputer od Internetu?

- Oczywiście. Korporacyjny firewall, za który co miesiąc bulę fortunę. Specjalnie nawet zatrudniam kolesia, który się nim opiekuje. Jestem całkowicie odcięty od świata, nigdy nie miałem z tym problemu.

- Wspomniał pan też o FireWire. Co na nim jest?

- Napęd backupowy.

- Przechowuje pan backup lokalnie?

- Widzę, że nadal nic nie rozumiesz. Powiedziałem ci, dla kogo pracuję. Tak czy nie?

- Tak.

Peter nie mówił Zuli, żeby Wallace pracował dla kogoś trzeciego, nie zrozumiała więc tej wymiany zdań, ale sposób, w jaki mówili o pracodawcy Wallace'a, nie mógł nie przykuć jej uwagi.

- Są dwie sytuacje, z których nigdy, przenigdy nie chciałbym się przed nim tłumaczyć. Pierwsza jest taka, że straciłem ważne pliki, bo zapomniałem zrobić kopię zapasową. A druga, że udostępniłem je przypadkowym osobom trzecim, ponieważ zrobiłem backup na zdalnym dysku, do którego nie mam fizycznego dostępu. Powiedz mi, jaki mam inny wybór?

- Zawsze należy mieć hardware w garści. To jedyny sposób - przyznał pojednawczo Peter. - Jaki to dokładnie napęd?

- Drogi. Macierz dyskowa z RAID-em 3, którą kazałem wstawić do sejfu przyśrubowanego do ściany i podłogi mieszkania. Kiedy jestem w domu, otwieram sejf, wyciągam kabelek FireWire, podłączam laptop tylko na tak długo, żeby zdążyć zrobić backup, a potem od razu odłączam kabel i zamykam sejf.

- Niekonwencjonalne, ale logiczne - przyznał Peter po chwili namysłu. - Ktoś, kto chciałby ukraść macierz, musiałby poważnie uszkodzić sejf, a przy okazji najprawdopodobniej zniszczyłby dyski.

- Tak właśnie sobie pomyślałem.

- Dobrze. Czyli po przyjeździe do domu, pierwsze, co pan zrobił, to otworzył sejf i zrobił backup. Żeby na wypadek awarii dysku w laptopie mieć kopię pliku, który panu sprzedałem.

- Sam mi powiedziałeś, że to jedyna kopia - przypomniał Wallace, prawie, prawie zepchnięty do obrony.

- W świecie rządzonym przez Prawa Murphy'ego natychmiastowy backup jest posunięciem ze wszech miar słusznym - zgodził się Peter.

- Mój pracodawca spodziewał się zobaczyć plik na wskazanym serwerze w Budapeszcie najpóźniej o... tutaj, na Zachodnim Wybrzeżu, to będzie... druga rano. A była dopiero północ.

- Mnóstwo czasu.

- Też tak pomyślałem. Uruchomiłem backup, wyszedłem z pokoju, odlałem się, odsłuchałem wiadomości z poczty głosowej telefonu stacjonarnego, trochę się rozpakowałem i zmontowałem sobie drinka. Przejrzałem pocztę. To wszystko zajęło mi pewnie z piętnaście minut. Wróciłem do pokoju, usiadłem przed laptopem i otworzyłem okno terminala. Przy takich operacjach korzystam z protokołu SCP, z wiersza poleceń.

- Bardzo słusznie.

- Otworzyłem katalog Documents, żeby sprawdzić nazwę i wielkość pliku, który od ciebie kupiłem. A wtedy... Sam zobacz.

Laptop Wallace'a musiał stać otwarty na warsztacie Petera. Na chwilę zrobiło się cicho, a potem Peter mruknął:

- Hm...

- Dodam tylko, że do wczoraj w Documents znajdował się chyba tuzin podkatalogów i ze dwadzieścia, trzydzieści plików.

- W tym plik, o którym rozmawiamy.

- Zgadza się.

- Teraz zaś są w nim tylko dwa pliki, z których jeden nazywa się troll kropka gie pe gie, a drugi...

- README. Tak to kurestwo przeczytałem.

Peter prychnął.

- Powinno być README, ale w nazwie jest błąd - zauważył. - Dwie litery są przestawione. Widzi pan?

- REAMDE - odczytał Wallace.

- Otwierał go pan?

- Tak. Wiem, głupio zrobiłem.

Peter kliknął dwa razy na ikonę i znów zapadła cisza, w której (jak domyślała się Zula), zapoznawał się z treścią pliku.

Torba z laptopem stała obok niej, oparta o ścianę. Zula bezszelestnie sięgnęła do miękko wyłożonej kieszeni i wyjęła komputer. Postawiła go na podłodze, usiadła i włączyła. Zaczęła od wyciszenia wydawanych przez komputer dźwięków. Kilka sekund później weszła do wi-fi Petera i uruchomiła połączenie z siecią Korporacji 9592 przez VPN.

- Jak już obaj wiemy, nie grasz w *T'Rain* - odezwał się tymczasem Wallace.

- Nigdy nie grałem - przyznał Peter.

- To, co widzisz, to jest troll. Pewna konkretna odmiana górskiego trolla, żyjąca w określonym rejonie *T'Rainu*. Praktycznie niedostępnym, niestety. Może ta informacja pomoże ci zrozumieć podpis.

- „Ha, ha, ha, ty frajerze. Troll rzondzi. Moja zaszyfrowała wszystkie twój plik. Zostaw 1000 SZ w tych współrzędnych. Wtedy moja da tobie klucz”.

- Dobra, zrozumiałem.

- To się, kurwa, cieszę, mój drogi, ponieważ... - zaczął Wallace.

- Sprawdźmy ten drugi plik, troll. gpg - wszedł mu w słowo Peter. Dwa kliknięcia. -
Po pierwsze, jest ogromny. Po drugie: jest to poprawny plik w formacie GPG.

- Ty to nazywasz poprawnym plikiem?!

- No tak. Standardowy nagłówek plus kilkanaście gigabajtów pozornie losowej treści binarnej.

- Kilkanaście gigabajtów?

- Mhm. Domyślam się, że wystarczyło, żeby pomieścić wszystkie pliki z folderu Documents. Jeśli jednak wierzyć informacji z REAMDE, zostały zaszyfrowane. Ktoś wziął je jako zakładnika i żąda okupu.

Zula uruchomiła wewnętrzną wiki Korporacji 9592 i weszła na stronę poświęconą złośliwemu oprogramowaniu, zatytułowaną MALWARE i zawierającą listę kilkudziesięciu trojanów i wirusów. REAMDE rzucił się w oczy: był pierwszy na liście, wypisany wielkimi czerwonymi literami. Kliknęła na tę nazwę i obraz został przewinięty do krótkiego hasła, umieszczonego w dwóch trzecich długości strony. Z ciekawości podejrzwała historię strony: ogromny czerwony wpis został dodany przed sześcioma godzinami, z czego wywnioskowała, że REAMDE do niedawna był po prostu jednym z wielu złośliwych programów w trainowej menażerii, po czym ostatnio nagle zyskał na znaczeniu. Przeszła na poświęconą mu podstronę i przejrzała także jej historię: dziewięćdziesiąt procent treści dodano w ciągu ostatnich siedemdziesięciu dwóch godzin. Hakerzy Korporacji zmagali się z nim przez cały weekend.

- Jak to możliwe? - Wallace zażądał wyjaśnień.

Na piętrze Zula właśnie czytała o tym, jak to możliwe.

- To nie tylko możliwe, ale właściwie całkiem proste - odparł Peter. - Trzeba tylko wcześniej wpuścić do systemu odpowiedniego trojana. To nie pierwszy taki przypadek, już od paru lat pisze się taki malware. Doczekał się nawet swojej nazwy: ransomware. Oprogramowanie okupowe.

- Pierwsze słyszę.

- Trudno jest zarabiać na takim wirusie, bo w którymś momencie musi nastąpić transakcja finansowa: wpłata okupu. A po czymś takim zostają ślady.

- Czyli jeśli ktoś na serio bawi się w pisanie malware'u, to są lepsze sposoby na zarabianie pieniędzy?

- Naturalnie. Można, na przykład, stworzyć sobie własną sieć botów. W tym wypadku ciekawostką jest fakt, że okup ma zostać wypłacony w wirtualnych sztukach złota, w *T'Rainie*.

- Rozumiem, że możliwości istnieją od dawna, tylko do tej pory nie korzystano z nich

na większą skalę. - Wallace powoli przeżuwał nowiny. - Do czasu, aż jakiś skurczybyk wymyślił, że wykorzysta *T'Rain* do prania pieniędzy.

- Otóż to. Sądząc z tego, że fatygował się pan do mnie osobiście, a także nagrał mi się na pocztę głosową... niech no spojrzę... osiem razy, domyślam się, że napęd zapasowy w sejfie również został zainfekowany?

- Skurwiel zjebał wszystko, czego dosięgnął. Na pewno przelazł do mojego systemu z tego twojego pieprzonego pendrive'a...

- Proszę nie zwać tego na mnie. Ja korzystam z Linuksa, pamięta pan? Inny system, inny malware.

- Skąd w takim razie wzięło się to kurestwo w moim laptopie?

- Nie wiem.

Zula wiedziała, ponieważ przeglądała właśnie analizy techniczne wirusa REAMDE. Propagował się między innymi poprzez pendrive'y i inne przenośne nośniki danych. Peter pożyczył od Richarda stary pendrive, żeby przenieść pliki na komputer Wallace'a. Czyli komputer Richarda też jest zainfekowany REAMDE, a Richard nie ma o tym zielonego pojęcia, bo maszyną opiekuje się firmowy dział IT.

- Ale to teraz nieważne - ciągnął tymczasem Peter. - Najważniejsze...

- To jest ważne, żeby ustalić, kto jest winny. To go może zainteresować.

- Chciałem tylko powiedzieć, że powinniśmy się skoncentrować na samym problemie.

- To się nazywa błyskotliwa analiza. Posłuchaj no, Peter, mój chłopcze. Jest za piętnaście trzecia. W tej chwili mam już trzy kwadransy spóźnienia. Żeby zyskać na czasie, wysłałem e-mail z głupawym tłumaczeniem, że samochód mi się rozkraczył w Okanogan. Ale zegar tyka. Musimy odszyfrować plik!

- Nie. Musimy zapłacić okup.

- Wal się.

- Pliku nie da się zdeszyfrować. Może mielibyśmy szansę, gdyby NSA się tym zajęła, ale w naszej sytuacji... Ma pan przerąbane. Chyba że zapłaci pan okup.

- Obaj mamy przerąbane, bo sprawa jest stanowczo zbyt skomplikowana, żeby to jemu wytłumaczyć. To nie jest komputerowiec. W życiu nie słyszał o *T'Rainie* ani żadnej innej MMO. Może, ale tylko może rozumie z grubsza ideę wirusa komputerowego. Na pewno zaś zrozumie, że nie dostał tego, za co zapłacił.

- Dlatego musimy zrobić to, co powiedziałem. Zapłacimy okup.

Bardzo długa cisza.

- Miałem nadzieję, że jednak istnieje jeszcze jedna kopia - przyznał Wallace.

- Przecież panu mówiłem...

- Wiem, co mówiłeś, do kurwy nędzy! Ale miałem nadzieję, że kłamałeś!

- Czyżby to był kolejny podstęp, żeby ustalić, czy rzeczywiście nie kłamię?

- Jesteś taki cwany, że robisz z siebie większego durnia niż gdybyś był autentycznym ćwokiem. To nie są żarty. Bardzo, ale to bardzo zależy mi na tym, Peter, żebyś powiedział mi teraz, że wcześniej mnie okłamałeś i na którejś ze swoich maszyn masz kopię tego pliku.

W tym miejscu Wallace zniżył głos i jego basowy pomruk niósł się po garażu jeszcze przez dwie minuty. Zula nie zrozumiała z niego ani słowa.

Kiedy skończył, Peter przez dobrą minutę powtarzał tylko słowo na „k”, i to na kilkanaście różnych sposobów, jak aktor w poszukiwaniu najwłaściwszej interpretacji.

- To i tak nie ma żadnego znaczenia - wykrztusił w końcu łamiącym się głosem - bo ja już wcześniej powiedziałem prawdę. Nie ma innej kopii!

Teraz przyszła kolej na Wallace'a, żeby wielokrotnie powtórzyć słowo na „k”.

- Musimy zapłacić - powiedział Peter. - Tysiąc sztuk złota, tak?

- Tak jest tam napisane.

- Ile to jest w przeliczeniu na prawdziwe pieniądze?

- Siedemdziesiąt trzy dolary.

Minął moment i Peter wybuchnął śmiechem, który Zuli wydał się dziwnie bliski histerii.

- Siedemdziesiąt trzy dolary? Rozchodzi się o siedemdziesiąt trzy dolary?!

- Zebranie okupu nie jest w tym wypadku najtrudniejsze - odparł Wallace.

W śmiechu Petera było coś takiego, co kazało Zuli zadzwonić na policję. Lepiej zrobić to ze stacjonarnego telefonu, bo wtedy dyżurny automatycznie otrzymuje adres, z którego przyszło wezwanie. Wstała najciszej jak umiała, i na palcach przemknęła do kąta, w którym Peter trzymał przybory kuchenne. Tam też w uchwycie na ścianie wisiał bezprzewodowy aparat telefoniczny. Wzięła słuchawkę do ręki, włączyła ją i przyłożyła do ucha w oczekiwaniu na sygnał.

Zamiast tego usłyszała charakterystyczne piknięcia naciskanych klawiszy.

Ktoś inny z drugiego aparatu podpiętego do tej samej linii wybierał właśnie inny numer.

- Biuro numerów, proszę czekać - zabrzmiał głos z taśmy.

- Dzień dobry, Zula - powiedział Wallace do drugiej słuchawki. - Wiem, że jesteś gdzieś w budynku, bo twój komputer wyświetlił się w sieci Petera. A ja sobie tu zerkam na telefon, który ma taką przydatną małą lampkę: sygnalizuje, kiedy ktoś korzysta z drugiego

aparatu.

Głos w słuchawce ucichł. Z dołu dobiegł trzask i odgłos rozdierania czegoś, gdy Wallace krzywdził aparat i linię telefoniczną.

- Co pan robi?! - wykrzyknął Peter, bardziej zdumiony niż przerażony.

- Sprowadzam nas wszystkich na ten sam poziom - odparł Wallace.

Zuła usłyszała jego dudniące kroki na schodach.

* * *

Zamiast torebki nosiła zwykle torbę na ramię, jakiej używają kurierzy rowerowi. Zostawiła ją na ziemi, u szczytu schodów. Wallace pogrzebał w niej, wyłowił iPhone'a i kluczyki do samochodu. Drugą ręką zamknął laptop i podniósł go z podłogi.

- Kiedy poczujesz się bardziej towarzyska, z przyjemnością spotkam się z tobą na dole - powiedział i wrócił na parter.

Usłyszała popiskiwanie swojej toyoty prius, kiedy Wallace otworzył ją pilotem - i ten dźwięk z niewiadomych przyczyn obudził ją z marazmu. Podeszła do torby. Zaczynała żałować, że nie posłuchała krewnych z Iowa, którzy postrzegali Seattle jako niewiele lepsze od Mogadiszu i nieustannie ją nagabywali, żeby zdobyła pozwolenie na broń i kupiła sobie pistolet. W zewnętrznej kieszeni torby znalazła scyzoryk. Schowała go do tylnej kieszeni dzinsów i dopiero wtedy zeszła na parter, gdzie Wallace zatrzaskał właśnie drzwi priusa, zamknął auto pilotem i schował kluczyki do kieszeni.

- Wasze komórki, całe i zdrowe, są w wozie - wyjaśnił.

Zuła dostrzegła dwa iPhone'y leżące obok siebie na desce rozdzielczej toyoty.

- Potrafię być kurewsko nieuprzejmy, prawda? - Wallace spojrzał jej prosto w oczy. - Ale jeśli mamy rozwiązać ten problem, musimy się skupić i zaufać sobie nawzajem, a wy, dzisiejsza młodzież, zastąpiliście myślenie komunikowaniem się. Dlatego zastanówmy się wspólnie.

Czuła na sobie wzrok Petera i wiedziała, że jeśli się do niego odwróci, otworzy łączący ich kanał, a wtedy Peter - gestem lub spojrzeniem - spróbuje jej coś powiedzieć, najprawdopodobniej będzie przeproszał. Nie odwróciła się. On znacznie bardziej potrzebował wyartykułować przeprosiny, niż ona je usłyszeć, wołała więc posłuchać sugestii Wallace'a, rozwiązać problem, i jak najszybciej się ulotnić.

- Mamy dostarczyć tysiąc sztuk złota do określonego miejsca w zachodniej części Pogórza Torgai? - spytała.

- I modlić się, żeby nasz pisarz wirusów był sympatycznym i uczciwym kryminalistą, który od razu da nam klucz - dodał Wallace.

- Przenosząc taką ilość złota, staniemy się celem dla złodziei.
- To tylko siedemdziesiąt trzy dolary - wtrącił Peter.
- Dla nastolatka z chińskiej kafejki internetowej to fortuna - zauważyła Zula. - A okradanie podróżnych to znacznie szybszy sposób na zdobycie złota niż wydobywanie go z ziemi.
- I daję większą frajdę - uzupełnił Wallace.
- Skąd inni będą wiedzieć, że macie przy sobie tyle złota? - spytał Peter.
- Mam pomysł. - Wallace uśmiechnął się od ucha do ucha, spojrzał na Petera i wycelował weń wyprostowany palec wskazujący. - Ty stul dziób. Jeżeli możesz się do czegoś przydać, na przykład umiesz parzyć kawę, bądź łaskaw się tym zająć. Nie mamy z Zulą czasu, żeby tłumaczyć ci teraz, jak się gra w *T'Rain*. - Odwrócił się do Zuli. - A my może rozgościmy się na górze?

* * *

- Jaką masz najsilniejszą postać? - spytała Zula, podłączając zasilacz laptopa do kontaktu w części lofitu uchodzącej za salon. Peter krzątał się w kącie pełniącym rolę kuchni i parzył kawę.

- W ogóle mam tylko jedną - odparł Wallace. - Złego T'Kesh, metamorfa.

Zalogował się do *T'Rainu* z komputera stacjonarnego Petera.

- Pokaż - powiedziała Zula.

Uruchomiła *T'Rain* na laptopie. Siedziała na fotelu biurowym, którym podjechała teraz w stronę Wallace - na tyle blisko, na ile pozwalał jej kabel zasilacza. Na ekranie maszyny Petera pokazał się metamorf Wallace'a.

- A ty co masz? - zainteresował się Wallace, zapuszczając żurawia na laptop Zuli. - Pewnie całe zoo?

- Pracownicy nie mają żadnych przywilejów w grze. Musimy rozwijać postaci od zera, tak jak klienci.

- To chyba rozsądna polityka - przyznał Wallace, chyba lekko rozczarowany.

- Mam dwie postaci. Obie dobre. Co oczywiście nie ma już żadnego znaczenia.

- Ta z lewej... - Wallace wykręcił szyję. - Lepsza na obecne czasy, prawda?

Oczywiście miał na myśli paletę barw.

Jeszcze tydzień przed Bożym Narodzeniem Zula i Wallace niewiele by razem działali w *T'Rainie*, ponieważ jej bohaterowie byli dobrzy, a jego T'Kesh zły; jej postaci nie mogły zapuszczać się zbyt daleko na terytorium zła, a jego - na obszary rządzone przez dobrych. Mogliby spotkać się gdzieś w jakiejś głuszy albo na froncie, co jednak w żaden sposób nie

pomogłoby im w ich obecnej misji, ponieważ zachodnia część Torgai była wysepką zła, do której najłatwiejsza droga prowadziła od zachodu, przez ziemie dobra.

Kiedy jednak miliony studentów wyjechały na święta do domu i odkryły, że mają masę wolnego czasu, który można przeznaczyć na grę w *T'Rain*, wybuchła wojna reorientacyjna, przygotowana starannie, z wielomiesięcznym wyprzedzeniem, przez wciąż nieznane siły. Zaczęło się od tego, że niezidentyfikowana do dnia dzisiejszego grupa złożona z postaci dobrych i złych przeprowadziła starannie zaplanowany atak na inną, również mieszaną grupę, która nawet nie wiedziała, że jest grupą, dopóki nie znalazła się pod ostrzałem. Richard Forthrast ochrzcił napastników mianem Sił Jasności; ofiary ataku przezwano Koalicją Szarości. Oba te określenia, początkowo stosowane tylko w wewnętrznej korespondencji Korporacji 9592, z czasem wyciekły do fanów i dziś drukowano je już na koszulkach.

W bohaterze Wallace'a z odległości tysiąca jardów dało się rozpoznać członka Koalicji Szarości. Pierwsza postać Zuli, z lewej strony ekranu, również należała do Koalicji, druga zaś była wyraźnie bardziej Jasna. Tę drugą stworzyła w Wigilię, kiedy stało się oczywiste, że Koalicja Szarości traci dostęp do coraz rozleglejszych obszarów *T'Rainu* ze względu na błyskawiczne postępy mających liczebną przewagę Sił Jasności. Dlatego jej Jasny bohater, nowszy, był wyraźnie słabszy od tego drugiego - chociaż dokładna różnica ich możliwości pozostawała kwestią sporną. W radykalnym geście zerwania z tradycją gier fabularnych *T'Rain* nie opisywał siły bohaterów za pomocą wyrażanych liczbowo poziomów, lecz stosował tak zwaną „aurę” - trzelementowy współczynnik wyliczony z uwzględnieniem różnych czynników, takich jak pozycja bohatera w strukturze wasalnej, rozmiary i wpływy tejże, nagromadzone doświadczenie, posiadane umiejętności oraz jakość ekwipunku. W miarę przyrostu aury bohater uzyskiwał różne przywileje, których jednak nie dało się w stu procentach przewidzieć.

Świat stworzony przez oprogramowanie Plutona prawie dorównywał rozmiarami Ziemi, przez co podróżowanie po nim za pomocą właściwych tematycznie (czyli średniowiecznych) środków transportu było niezwykle czasochłonne. W teorii można było temu zaradzić poprzez odpowiednie manipulowanie czasem: na przykład przeskoczyć od razu z początku na koniec trzymiesięcznego rejsu morskiego. Rozwiązanie to nadawało się do zastosowania w grach dla pojedynczego użytkownika, ale nijak się nie sprawdzało w systemach MMO. Upływ czasu w *T'Rainie* został na stałe skorelowany z upływem czasu w świecie rzeczywistym.

Pluton zaproponował jednak pewne rozwiązanie tego problemu: zaprojektował

generowaną przez komputer i pokrywającą cały świat siatkę linii geomantycznych o gęstości porównywalnej z zagęszczeniem linii nowojorskiego metra. Na jej podstawie powstał system teleportacji: bohaterowie mogli w mgnieniu oka przenosić się do punktów, w których te linie się krzyżowały. Liczba linii i ich przecięć była astronomiczna, a dodatkowo sprawę komplikował fakt, że dostęp do niektórych z nich był ograniczony dla określonych typów postaci. Nikt nie byłby w stanie korzystać z tego systemu bez wsparcia programu, który wszystko kontrolował i podpowiadał, jak najszybciej dostać się z punktu A do punktu B.

Zula i Wallace przetransportowali swoje postaci do miasta na równinie u stóp Pogórza Torgai. Bohater Wallace'a udał się do kantoru, gdzie nabył tysiąc sztuk złota, które bank miał następnie rozliczyć jako siedemdziesiąt trzy dolary amerykańskie na karcie kredytowej Wallace'a. Stamtąd teleportowali się do skrzyżowania linii geomantycznych położonego najbliżej punktu o współrzędnych podanych w żądaniu okupu. Dalej czekała ich piętnastominutowa przejażdżka na rącznych wierzchowcach, które oboje posiadali.

Kamienny kopczyk, oznaczający punkt przecięcia linii geomantycznych, zmaterializował się na ekranach obu komputerów. Zula obróciła swoją postać (czarodziejkę z rasy K'Shetriae) w miejscu i w odległości stu stóp (proces teleportacji był z natury nieco nieprecyzyjny) dostrzegła prowadzonego przez Wallace'a T'Kesha.

Pierwszą cechą szczególną krajobrazu był fakt, że ziemia była usłana... nie, wręcz wybrukowana zwłokami w różnych stadiach rozkładu.

Kamień wielkości dużej piłki lekarskiej spadł z nieba i wyrznął nieopodal w ziemię. Ponieważ meteoryty były w *T'Rainie* równie rzadkie jak na Ziemi, Zula nabrała podejrzeń, że przelot kamulca nie był zjawiskiem naturalnym. Odwróciwszy się w stronę najbliższego ze wzniesień, odległego o kilkaset metrów, dostrzegła na nim baterię trzech trebuszy, z których do jednego ładowano nowy pocisk, a dwa pozostałe właśnie wystrzeliwały swój ładunek. Zwisające z przodu przeciwwagi i proce miotające wyglądały niezgrabnie i topornie, jakby nie miały prawa zadziałać, ale całkiem skutecznie wyrzuciły w kierunku przybyszów dwa kolejne głązy. Przed jednym z nich Zula musiała uskoczyć. Widząc w pobliżu występ skalny, który zapewni jej osłonę, rzuciła się w jego kierunku - i natychmiast znalazła się pod ostrzałem ukrytych w wysokiej trawie konnych łuczników. Rzuciła kilka czarów, które powinny uchronić ją przed salwą, ale jednemu z napastników wyszedł szczęśliwy strzał, który zabił ją na miejscu. Jej postać zniknęła z ekranu i przepadła w Otchłani.

Spojrzała, jak idzie Wallace'owi. Niewiele lepiej: został przygwożdżony kamieniem i osaczony przez drugi szwadron łuczników na koniach, którzy ostrzeliwali go, jeżdżąc w kółko. Jego wytrzymałość już była niska i szybko spadała.

- Nie daj się wziąć żywcem - ostrzegła go Zula.

- Wiem.

Wallace kliknął ikonę z wielce pomocnym podpisem PRZEBIJ SIĘ MIECZEM.

CZY NA PEWNO CHCESZ SIĘ PRZEBIĆ MIECZEM? zapytało go okno dialogowe.

TAK, kliknął.

Chwilę później jego bohater również wylądował w Otchłani.

- Jakie to banalne... - odezwał się Wallace, doszedłszy do siebie. - To całe REAMDE zaraziło... ile komputerów?

- Liczbę zainfekowanych szacuje się na dwieście tysięcy - odparł Peter.

Siedział w kącie ze swoim laptopem, ale mógł przeglądać tylko ogólnodostępne plotki w Internecie. Zula dzięki dostępowi do firmowej VPN wiedziała, że w rzeczywistości liczba zarażonych sięga już prawie miliona.

- Wszystkie ofiary zmusza się do przybycia w to samo miejsce z tysiącem sztuk złota w kieszeni. Nic dziwnego, że złodzieje zastawili pułapkę przy najbliższym przecięciu linii geomantycznych.

- To się na pewno oplaca - przytaknęła Zula.

- Czyli okradli cię? - spytał Peter Wallace'a, łamiąc w ten sposób ustaloną przez niego zasadę, że nie będzie zadawał głupich pytań o funkcjonowanie *T'Rainu*.

- Nie, ponieważ przebiłem się mieczem, umarłem, i z całym swoim sprzętem trafiłem do Otchłani. Gdyby zdołali mnie osłabić i wziąć żywcem, zabraliby mi i złoto, i całą resztę. Miałem fart. Muszą tam kosić niezłą kasę.

- Co robimy? - spytała Zula.

- Wychodzimy z Otchłani - odparł Wallace. To było najłatwiejsze. Istniało z pół tuzina sposobów na wskrzeszenie postaci; każdy miał swoje wady i zalety. - Potem znajdujemy inne, mniej oczywiste przecięcie linii geomantycznych i lecimy tam gotowi do walki.

- Moglibyśmy zebrać większą ekipę...

- Nie o trzeciej w nocy. A musimy się śpieszyć. Chyba że udałoby ci się zwerbować kogoś bardziej... wszechwiedzącego?

- Mam obudzić wujka? Na pewno chcesz go do tego mieszać?

* * *

Wyszli więc z Otchłani i spróbowali drugi raz, teleportując się do innego, znacznie mniej dogodnego skrzyżowania linii, godzinę jazdy konnej od miejsca przekazania okupu. Tu również zostali napadnięci i tym razem prawie udało im się pokonać napastników, ale przez

pechowy zbieg okoliczności znów skończyli w Otchłani i musieli podjąć trzecią próbę. Najpierw jednak Wallace kupił więcej złota, za które nabyli (po paskarskich cenach) zaklęcia i eliksiry, które miały im pomóc dłużej przetrwać. Teleportowali się, pokonali czekających w zasadzce wrogów, po czym wycofali się na odległe o dwa tysiące jardów wzniesienie - gdzie następna banda złodziei napadła ich, zanim zdążyli się wylizać ze świeżych ran. Walczyli jak lwy, ale znów skończyło się w Otchłani.

Tuż przed śmiercią swojej postaci Zula zauważyła jednak coś dziwnego: niektórzy napastnicy również ginęli - od strzał i włócznie, którymi zaatakowano ich od tyłu. Jakaś inna, wroga im grupa, zwabiona odgłosami walki, pośpieszyła na pagórek. Niestety, zjawiała się za późno.

- Wróćmy tam - zaproponowała Zula. - Chyba mamy sojuszników.
- Widziałem ich, to po prostu następni złodzieje - zaproponował Wallace.
- Co z tego? Niech się wybiją nawzajem.

Spróbowali jeszcze raz. Nie przebili się nawet przez pierwszą drużynę nieprzyjaciół - ale i tym razem ich napastnicy zostali niespodziewanie zaatakowani.

Zula i Wallace wydali fortunę na nowy zestaw eliksirów i wrócili w to samo miejsce. Znając w przybliżeniu liczbę napastników i mając pojęcie o stosowanej przez nich taktyce, łatwo poradzili sobie z pierwszą grupą i wycofali się do miejsca, gdzie mogli liczyć na chwilę wytchnienia, zanim zostaną ponownie napadnięci. Zula, która już wiedziała, czego szukać, wypatrzyła zmierzające ku nim dwie wyraźnie odrębne grupy: bandytów i pogromców bandytów. Jej teoria na temat tej drugiej ekipy potwierdziła się, gdy jej członkowie całą siłą ognia skoncentrowali na bandytach, a postaci Zuli i Wallace'a zostawili w spokoju; ba, jeden z tamtych rzucił nawet na Zulę czar uzdrawiający, gdy zaczęła słabnąć.

A potem bez słowa wycofali się w głąb lasu. W ogóle nie próbowali nawiązać kontaktu.

- Już wiem - powiedział Wallace. - Oni pracują dla trolla.
- Ciekawa koncepcja...
- Pilnują, żeby okup dotarł na miejsce.
- Jeśli tak - Zula kazała swojej postaci dosiąść konia - to nie zwlekajmy.

Ruszyli w drogę, która w teorii powinna im zająć najwyżej godzinę.

W praktyce, po pięciu godzinach intensywnej rozgrywki pokonali większość dystansu. Na Pogórze Torgai, które jeszcze przed dwoma tygodniami było jednym z największych odludzi w całym *T'Rainie*, roilo się od band złożonych z dobrych i złych postaci, Jasnych i Szarych. Każdy skrawek otwartego terenu był dosłownie usłany szkieletami pomordowanych.

Wszędzie toczyły się zaciekle boje pomiędzy złodziejami okupu i pośpiesznie formowanymi koalicjami jego dostarczycieli. Zula i Wallace też dołączyli do jednej z takich grup, która przewoziła łącznie osiem tysięcy sztuk złota i w kolejnych zasadzkach straciła czwartą część swojego stanu liczebnego, zanim przyłączyła się do kolejnej, dziesięcioosobowej, która następnie się rozpadła, ponieważ okazało się poniewczasie, że jej członkowie mają się udać w różne miejsca; najwidoczniej w różnych plikach REAMDE podano różne współrzędne. Wszystko wymagało ciężkiej walki, licznych misji zwiadowczych, podstępów i próbnych ataków.

Zula nie była zapalonym graczem i unikała ludzi, którzy nimi byli (kolejny powód, dla którego polubiła Petera). W korporacji 9592 została zatrudniona nie dlatego, że ta branża jakoś szczególnie ją pociągała, ale dzięki koneksjom rodzinnym i zbiegowi okoliczności: wiedziała, jak osiągnąć pożądany przez Plutona efekt. Tworząc postać w *T'Rainie*, pierwszy raz weszła w osobisty kontakt ze specyficznym światem graczy i trochę trwało, zanim się z nim oswoiła. Nauczyła się rozumieć i doceniać uzależniające właściwości *T'Rainu*, a sama uniknęła przy tym popadnięcia w nałóg. Poświęcenie grze takiej masy czasu za jednym posiedzeniem (grali szóstą godzinę, a licznik dalej bił) było dla niej czymś nowym, co zrobiła tylko po to, żeby wyciągnąć siebie i Petera z pokręconych tarapatów, w jakich się znaleźli. Wchodząc do gry, spodziewała się, że w piętnaście minut będzie po wszystkim, a ona wróci do domu i nigdy więcej nie zobaczy ani Petera, ani Wallace'a. Tymczasem wstał nowy dzień. Nie spała od dwudziestu czterech godzin. Znalazła się w wyjątkowo dziwnej sytuacji, bo jedynym, co powstrzymywało ją od wybiegnięcia na dwór, zatrzymania pierwszego napotkanego samochodu i poproszenia kierowcy o wezwanie policji, był uzależniający charakter *T'Rainu*. Nie potrafiła się wyrwać z fikcyjnej historii, w którą się z Wallace'em wpakowali. Zawsze pogardzała ludźmi, którzy nałogowo grali na komputerze zamiast studiować albo ćwiczyć na siłowni - a teraz sama grała, zamiast dzwonić po gliny!

Żadne takie myśli nie przychodziły jej jednak do głowy, dopóki telefon Wallace'a nie zawył nagle jak syrena. Dopiero wtedy podniosła wzrok, zorientowała się, że na dworze jest jasno, stwierdziła, że pęcherz jej zaraz eksploduje, i zobaczyła Petera śpiącego na kanapie.

Telefon dzwonił nie po raz pierwszy, ale Wallace przypisał różne dzwonki różnym rozmówcom, i kiedy przy wcześniejszych okazjach aparat generował kolejne odmiany typowego elektronicznego buczenia, po prostu odrzucał połączenia. Jednakże dźwięk, który teraz z niego dobiegał, mógłby wzywać załogę lotniskowca na stanowiska bojowe.

Wallace natychmiast go chwycił i odebrał połączenie.

- Słucham - powiedział.

Nie było to pytające, wznoszące się „Słucham?” oznaczające „Kto mówi?”, ale zwykle „Słucham” z kropką na końcu, bliższe „Zastanawiałem się, kiedy zadzwonisz”.

Jazgot syreny obudził Petera, który usiadł i z przerażeniem skonstatował, że cała ta kończąca się noc nie była jednak złym snem.

Zula wstała i poszła do łazienki się wysikać. Wahala się, czy spojrzeć w lustro, czy lepiej oszczędzić sobie tego widoku. Usłyszała, że Peter głośno klnie. Postanowiła nie patrzeć w lustro. I tak przecież cały sprzęt zostawiła w torbie.

Kiedy wyszła z łazienki, Wallace siedział sztywno na krześle, błydy jak ściana, i głównie słuchał; wyglądał, jakby ktoś wsadził mu telefon w dupę. Peter zajadłe stukał w klawiaturę laptopa. Krajobraz *T’Rainu* zniknął z komputerów Wallace’a i Zuli, a jego miejsce zajął komunikat o przerwaniu połączenia z Internetem.

Poczula zapach dymu z papierosa.

Nikt nie palił.

- Tigmaster też nie chodzi - powiedział Peter. - Inne sieci wi-fi, do których mam stąd dostęp, są zabezpieczone hasłami.

- Kto pali? - spytała Zula.

- Tak, proszę pana - powiedział w końcu Wallace. - Właśnie to robię. W tej chwili. Nie. Nie, proszę pana. Tylko nas troje.

Wstał i chwiejnym krokiem ruszył w stronę Zuli i Petera. Podszedł bardzo blisko, tak jakby ich nie widział i zamierzał przejść przez nich na wylot, ale w ostatniej chwili zatrzymał się niezgrabnie. Odsunął telefon od ucha, żeby oni również usłyszeli dobiegające ze słuchawki wrzaski, i na krótką chwilę przytknął go jeszcze raz do ucha.

- Już to robię, proszę pana. Przełączam na głośnomówiący.

Weisnął klawisz i położył słuchawkę na rozpostartej dłoni.

- Dzień dobry! - dobiegło z niej. - Tu Iwanow. - W tle słyhać było jakiś hałas, basowy wizg, którego ton się zmienił. Iwanow dzwonił z samolotu. - Ooo, teraz ja was widzę.

- Pan nas... widzi? - powtórzył Wallace.

- Budynek - wyjaśnił Iwanow z wyraźnym słowiańskim akcentem. - Dom Petera. Przez okno. Jak w Google Maps.

Cisza.

- Ja właśnie nad wami lecę! - wykrzyknął Iwanow, bardziej rozbawiony niż rozdrażniony ich tępotą.

Samolot przeleciał nisko nad budynkiem. Samoloty cały czas nisko tu latały, bo budynek stał na trasie podejścia do Boeing Field.

- Niedługo ja będę u was. My przedyskutujemy problem. Do tego czasu wy nie próbujcie przerywać połączenia. Ja mam współpracowników rozlokowanych na ulicach wokół budynku.

Powiedział to takim tonem, jakby wyświadczał im przysługę, udostępniając usługi swoich ludzi. Peter ostrożnie podszedł do okna, wyrztał na dwór, zmarszczył czoło i wyraźnie się stropił. W słuchawce inny głos mówił po rosyjsku do Iwanowa. Ktoś w samolocie.

- Kurwa mać! - Wallace poruszył bezgłośnie wargami i odwrócił się od telefonu, jakby aparat poraził go lampą łukową.

- Co się stało? - zdziwiła się Zula.

- Poprawka - odezwał się znów Iwanow. - Współpracownicy są w środku. W budynku. Nie tylko na ulicach. To są solidni pracownicy. Bardzo przedsiębiorczy. Wi-fi odcięte. Telefon odcięty. Wy zachowajcie spokój. My już lądujemy. My zaraz u was będziemy.

- Co to za palant, ten z telefonu?! - wykrzyknął w końcu Peter.

- Jeden to pan Iwanow, drugi, jeśli się nie mylę, pan Sokołow - wyjaśnił Wallace.

- Tak, jest ze mną Sokołow - potwierdził Iwanow. - Ty masz dobry słuch.

- Przelatują nad budynkiem... - powtórzył Peter. - Skąd lecą?

- Z Toronto - odparł Wallace.

- Ale gdzie... ale jak...

- Domyślam się, że kiedy my tu sobie graliśmy w *T'Rain*, pan Iwanow wyczarterował samolot z Toronto na Boeing Field.

Peter patrzył przez okno na lądujący prywatny odrzutowiec (Iwanowa?).

- Google Maps? W dodatku facet zna moje imię?

- Tak, Peter! - wtrącił znów Iwanow.

- Pamiętasz pewnie, że zaraz po tym, jak tu przyjechałem, wysłałem e-mail przez punkt dostępowy Tigmastera.

- Ty mnie okłamałeś, Wallace! - poskarżył się Iwanow.

- Okłamałem pana Iwanowa - potwierdził Wallace. - Poinformowałem go, że kłopoty z samochodem zatrzymały mnie w południowo-środkowej Kolumbii Brytyjskiej, w związku z czym dopiero za kilka godzin wyślę mu plik z danymi kart kredytowych.

- Csongor cię przechytrzył! - powiedział Iwanow.

- Co to jest CZONGOR, do chuja wafla?! - zdziwił się Peter.

- Kto, nie co. To haker, który prowadzi nasze sprawy. Mój e-mail do pana Iwanowa musiał przejść przez serwery Csongora, a on zwrócił uwagę, że adres IP nadawcy nie

odpowiada bynajmniej Kolumbii Brytyjskiej.

- I po adresie namierzył ten budynek - dodał smętnym tonem Peter.

Stłumione stuknięcie w telefonie.

- My jesteśmy już w samochodzie - obwieścił Iwanow, jakby miało ich to pocieszyć.

- Tak szybko?! - zdziwił się Peter. - Kurwa, jakim cudem?

- Tak to jest, jak się lata prywatnymi odrzutowcami.

- Nie muszą przechodzić przez cło?

- Przeszli w Toronto.

Peter podjął chyba jakąś decyzję, bo przeszedł na drugą stronę loftu i, odgarnawszy, kotarę odsłonił schowaną za nią przy ścianie pancerną szafkę z bronią. Zaczął wstukiwać szyfr na klawiaturze.

- O w mordę... - mruknęła Zula.

Wallace wyłączył mikrofon w telefonie.

- Co on robi? - spytał.

- Wyjmuje swoją nową zabawkę.

- Snowboard?!

- Karabin szturmowy.

- Ja straciłem łączność z Wallace'em! - poskarżył się Iwanow. - Wallace?

WALLACE!

- Peter? - zawołał Wallace. - PETER!

- Kto tam jest? - zainteresował się Iwanow. - Ja słyszałem kobiecy głos, jak on powiedział o w mordę.

I przeszedł na rosyjski.

Peter tymczasem otworzył szafkę, odsłaniając rzeczony karabin - jedyną rzecz, na której zakup poświęcił więcej czasu niż na wybór deski snowboardowej. Broń była wyposażona we wszelkie możliwe opcjonalne dodatki: celownik laserowy, składany podnózek i gadzety, których Zula nie umiała nawet nazwać.

- Peter... - powiedział Wallace. - Ten karabin... Może w innej sytuacji, tak. Ci faceci, którzy czekają na dole? To miejscowi, anonimowe mięśniaki. Z nimi mógłbyś mieć szansę. - Wykonał zamaszty gest telefonem. - Ale on przywiózł ze sobą Sokołowa - dodał, jakby to wszystko wyjaśniało.

- Kim jest ten pieprzony Sokołow?

- Człowiekiem, z którym nie warto wdawać się w strzelaninę. Zamknij szafkę i wyluzuj.

Peter się wahał. Iwanow przeszedł tymczasem od mówienia po rosyjsku do krzyczenia po rosyjsku.

- Ja już jestem trupem - ciągnął Wallace. - Trupem, Peter. Ty i Zula możecie jeszcze wyjść z tego żywi, ale musisz zamknąć szafkę.

Peter najwyraźniej nie był w stanie się ruszyć.

Zula podeszła do niego. Zamierzała zamknąć szafkę, zanim wydarzy się coś szalonego, ale złapała się na tym, że tęsknie spogląda na karabin. Umiała się z nim obchodzić lepiej niż Peter.

W telefonie dało się słyszeć Sokołowa. Mówił po rosyjsku i w odróżnieniu od Iwanowa jego głos niósł tyle samo emocji, co głos kontrolera ruchu lotniczego.

- Zula? - odezwał się półgłosem Wallace.

Głos Sokołowa dobiegał już z dołu, z garażu, z czyjejś komórki. Kroki załomotały na schodach.

- Magazyńki - powiedział Peter. - Nie mam pełnych magazynków, tylko luźne naboje, pamiętasz?

Peter, to nie jest dobra broń do obrony domu przed intruzami, powiedziała mu Zula, kiedy kupił sobie karabin na Gwiazdkę. Strzelisz do włamywacza, a zabijesz przypadkowego przechodnia pół mili stąd.

- Trudno - powiedziała i zatrzasnęła szafkę.

Odwrócili się i zobaczyli, jak ze schodów wyłania się wielgachny facet o posturze olbrzymiego kartofla, z ogoloną na łyso głową. Rozejrzał się, sporządzając w głowie listę obecności: Peter, Zula, na końcu Wallace - i znów spojrzał w stronę Petera i Zuli, którzy stali obok szafki. W innych okolicznościach jego mina mogłaby się nawet wydać komiczna. Zula pokazała puste ręce, po chwili Peter zrobił to samo. Odsunęli się od szafki. Olbrzym przytruchtał, obejrzał ją, sprawdził, że drzwiczki są zamknięte. Mruknął coś, co ułamek sekundy później powtórzył telefon Wallace'a.

Wallace włączył mikrofon.

- Przepraszam, panie Iwanow, mieliśmy tu małą sprzeczkę - wyjaśnił.

- Ja się denerwuję.

- Zupełnie niepotrzebnie, proszę pana.

- Tu musi chodzić o coś więcej niż numery kart kredytowych - powiedział Peter. - Nikt nie wynająłby prywatnego odrzutowca tylko dlatego, że podałeś mu w e-mailu fałszywą godzinę dostarczenia tych numerów.

- Masz rację, tu chodzi o coś więcej.

- O co?
- Wydarzenia ostatniej nocy spowodowały poważniejsze problemy.
- Mianowicie?
- Obawy o bezpieczeństwo innych plików na moim laptopie.
- Co to były za pliki?
- Musisz być niewiarygodnie głupi, żeby o to pytać.
- Wyjaśnienie tuż, tuż - odezwał się Iwanow. - My już przyjechaliśmy.

Przez jedno z frontowych okien Zula zobaczyła zajeżdżającą pod budynek limuzynę. Dwóch kręcących się po ulicy wałkoni podeszło do wozu i otworzyło tylne drzwi.

Z tylnej kanapy wysiadł tęgi mężczyzna w smokingu, a zza kierownicy szczupły człowiek w pizamie i narzuconej na wierzch skórzanej kurtce. Obaj trzymali przyciśnięte do ucha telefony komórkowe, które w tej chwili idealnie zsynchronizowanymi gestami zamknęły i schowali.

Jeden z dwóch ulicznych wałkoni odprowadził ich do drzwi frontowych, za którymi krótkim korytarzem dochodziło się do warsztatu z garażu. Drugi wałkoń miał na sobie tylko dżinsy i koszulkę z krótkim rękawem, które nie stanowiły dostatecznego zabezpieczenia przed panującą w Seattle aurą. Podeszedł do zaparkowanej przed domem sfatygowanej furgonetki, otworzył drzwi komory ładunkowej, wyciągnął ze środka jakiś podłużny przedmiot i zarzucił go sobie na ramię, po czym cofnął się od drzwi i zatrzasnął je kopniakiem. Przedmiot na jego ramieniu miał około czterech stóp długości, kwadratowy przekrój o boku długości jednej stopy, namalowane na dłuższym boku logo pobliskiego marketu budowlanego oraz napis FOLIA BUDOWLANA 6 MIL. Wałkoń wniósł go do budynku i zaciągnął za sobą roletę.

* * *

Mężczyzna w pizamie pierwszy wszedł po schodach i bez pośpiechu obszedł pokój dookoła, oglądając spokojnie wszystko i wszystkich.

- Wallace - przywitał się z Wallace'em.
- Sokołow.

Po tym, jak Wallace o nim opowiadał, Zula spodziewała się uzbrojonego w piłę łańcuchową olbrzyma o wzroście ośmiu stóp. Teraz jednak było oczywiste, że Sokołow nie nosi broni. Był żyłasty i wyglądał jak rzucający obrońca drużyny koszykarskiej Armii Czerwonej. Szczupła sylwetka odmładzała go, ale musiał być już dobrze po czterdziestce. Przetykane siwizną blond włosy wyglądały, jakby pół roku wcześniej ściął je na jeża i od tamtej pory niewiele z nimi robił. Na brodzie miał króciutki zarost, za to na policzkach nie

było nawet śladu naturalnych bokobrodów. Miał wydatny nos, sterczącą grdykę i duże oczy, których kolor trudno było określić, ponieważ zmieniał się w zależności od tego, na co spoglądały. Kiedy patrzył na Zulę, były niebieskie i pozbawione wszelkich śladów osobistej więzi, jakby oglądał ją przez lustro weneckie. Tak samo z Peterem. Wszedł do łazienki i zajrzał za drzwi. Sprawdził szafy. Zajrzał za kanapą i pod łóżko. Znalazł drzwi oddzielające mieszkanie Petera od reszty loftu, w której Peter niedawno zainstalował płyty gipsowo-kartonowe. Zniknął za nimi na chwilę, wrócił i powiedział jedno słowo po rosyjsku.

Słowo musiało oznaczać „Czysto”, bo zaraz potem po schodach wszedł mężczyzna w smokingu. Po piętach deptał mu trzeci, ten w koszulce, który zostawił folię w garażu. Iwanow obejrzał loft, szczególną uwagę poświęcając sąsiedniemu pustemu lokalowi, i powiedział po rosyjsku coś, co sprawiło, że tragarz folii zszedł z powrotem na parter.

Iwanow miał niebieskie oczy i ciemne włosy, które wydawały się jeszcze ciemniejsze dzięki jakiejś pomadzie lub brylantynie. Zaczesał je do tyłu, odsłaniając imponujące kopulaste czoło. Twarz miał bladą, ale policzki poczerwieniały mu od zimna. Na smoking narzucił czarny płaszcz, dopasowany do figury, która, łaskawie rzecz ujmując, była cokolwiek krępa, poruszał się jednak całkiem zwinnie, i Zula pomyślała, że świetnie by się spisywał w hokejowych bójkach. Może zresztą brał w nich udział, w młodości, i był z tego dumny.

Poświęcił Zuli i Peterowi znacznie więcej uwagi niż Sokołowa, za to Wallace'a praktycznie zignorował, jakby nie spodziewał się, że okaże się przydatny do czegoś więcej niż przytrzymanie telefonu. Zmierzył Petera wzrokiem i podał mu rękę. Z Zulą bardziej się certolił - taką już miał naturę. Nieważne, po co przyjechał ani jakie interesy prowadził. Kobiety po prostu traktował się inaczej niż mężczyzn. Obecność Zuli w pokoju wszystko zmieniała.

Iwanow pocałował ją w rękę. Przeprosił za najście. Zachwycił się jej urodą. Nalegał, żeby się rozgościła. Dopytywał się kilkakrotnie, czy w pokoju nie jest zbyt zimno dla „prześlicznej Afrykanki” i czy na pewno nie powinien posłać któregoś ze swoich fagasów po kawę dla niej. Cały czas zerkał przy tym znacząco na Petera, którego manieri w porównaniu z jego manierami wypadały raczej blado.

Facet w koszulce wrócił na piętro z rulonem folii na ramieniu, prowadząc drugiego wałkonka z ulicy, uzbrojonego w zszywacz tapicerski. Spojrzeli pytająco na Iwanowa, który ruchem głowy wskazał im drzwi do reszty loftu. Weszli do środka, zamknęli za sobą drzwi. Sokołow odprowadził ich zaciekawionym spojrzeniem.

W końcu się rozgościli: Wallace, Peter i Zula usiedli na kanapie, naprzeciwko nich Iwanow zajął miejsce na największym krześle, a za jego plecami stanął Sokołow, który na

przemian stał nieruchomo z rękami splecionymi za plecami lub spacerował po lofcie i wyglądał przez okna.

- Ja nie rozumiem - zagaił Iwanow. - Dlaczego ty mi wysłałeś e-mail, że samochód zepsuł ci się w Kolumbii Brytyjskiej, skoro on, ten samochód, działa i stoi w Seattle w garażu u Petera, którego ja jeszcze nie miałem okazji poznać?

Wallace próbował odpowiedzieć, ale głos mu się załamał. Odchrząknął i spróbował jeszcze raz:

- Okłamałem pana, ponieważ wiedziałem, że nie zdążę dostarczyć numerów kart kredytowych w umówionym czasie. Spodziewałem się kilku godzin opóźnienia. Miałem nadzieję, że krótka zwłoka nie zrobi panu różnicy.

Iwanow podwinął mankiet koszuli, odsłaniając największy zegarek na rękę, jaki Zula w życiu widziała. Sprawdził na nim godzinę.

- A ile to jest „kilka”? Ja czasem mam kłopot z angielskim.

- Opóźnienie okazało się dłuższe niż przewidywałem, proszę pana.

- Jaka jest natura tego opóźnienia? Czyżby Peter nas wydymał?

Peter się wzdrygnął.

- Ja przepraszam za ten język - powiedział Iwanow do Zuli.

Do tej pory z sąsiedniego pomieszczenia dobiegały tylko przytłumione odgłosy krzątania, teraz zaś usłyszeli wyraźnie trzask folii odwijanej z rolki i następujące po nim rzadkie uderzenia zszywacza, które wyraźnie niosły się na drugą stronę ściany. Odgłosy te wywołały zaniepokojenie Petera i Zuli, które Iwanow natychmiast dostrzegł - i błędnie zinterpretował.

- Oni tam robią małe dziurki - wyjaśnił. - Bardzo małe. Łatwo załatać. Odrobiną...

Powiedział coś po rosyjsku i spojrzał pytająco na Sokołowa, który - lekko zdezorientowany, może nawet zaskoczony wydarzeniami w sąsiednim pokoju - niczego nie zauważył. Iwanow przeniósł wzrok na kartofla stojącego przy szafce na broń i o coś zapytał. Kartofel szczerze przeprosił, że nie jest mu w stanie pomóc, ale zawołał coś na parter do palacza, który został w garażu, a teraz odkrzyknął:

- Szpachlówka!

- Odrobiną szpachlówki - dokończył Iwanow i rozłożył ręce w przeproszającym geście.

- To nie ma nic wspólnego z Peterem, proszę pana - zapewnił go Wallace. - Przeciwnie, Peter pomaga mi rozwiązać ten problem.

- Czyli Peter nas nie wydymał.

- Nie, proszę pana.
 - A ty? Czy ty mnie wydymałeś, Wallace?
 - To problem innego rodzaju.
 - Ach tak... Jakiego?
 - Techniczny.
 - Ja rozumiem. Ty przyjechałeś do domu pana Geniusza, żeby uzyskać pomoc techniczną.
 - Tak.
 - I on ci jej udzielił?
 - Tak. On i Zula.
- Iwanow się zarumienił.
- Ależ naturalnie, proszę mi wybaczyć. Ja jestem niesprawiedliwy. Cisza, jeśli nie liczyć *szszuu-szurszur-bam!* folii i zszywacza.
 - No i? - Iwanow uniósł pytająco brwi. - Ten problem nadal jest?
 - Niestety tak.
 - Coś nie tak z plikiem? - Ponure spojrzenie na Petera.
 - Plik był w porządku.
 - Był?
 - W tej chwili jest niedostępny.
 - A ty nie zrobiłeś kopii?
 - Pamiętałem o zrobieniu kopii, proszę pana, ale ona również jest niedostępna.
 - Co znaczy to słowo „niedostępny”? Ty zgubiłeś komputer?
 - Nie, mam laptop i napęd backupowy, ale dane zostały zaszyfrowane.
 - Ty zapomniałeś klucza?
 - Nigdy go nie miałem.
- Iwanow parsknął śmiechem.
- Ja nie jestem komputerowiec, ale... Jak ty możesz nie mieć klucza do szyfru, którym ty zaszyfrowałeś dane?
 - To nie ja je zaszyfrowałem.
 - A kto? Peter?
 - Nie! - wykrzyknął Peter.
 - Zula je zaszyfrowała?
 - Nie - odpowiedzieli Peter i Wallace unisono.
 - Ona nie może sama odpowiedzieć?

- Nie zaszyfrowałam tych danych, panie Iwanow.

Te słowa zostały przyjęte tak aprobowującym skinieniem głowy, jakby udanym lądowaniem zakończyła akrobacje na olimpiadzie.

- Czy jest jakaś brakująca osoba? Czy ktoś, kogo tu nie ma, zaszyfrował plik i kopię?

- W pewnym sensie.

Iwanow wybuchnął śmiechem. Jego twarz pokryła się siateczką wesołych zmarszczek.

- No, to było najlepsze! Teraz zacznij się prawdziwie sraniewbanie. Ja od razu czuję się potrzebny.

Drzwi się otworzyły i wyszli zza nich dwaj znani już mężczyźni, niosąc wyraźnie odchudzoną belę folii. Przez uchylone drzwi Zula zobaczyła, że całe pomieszczenie zostało wyklejone folią. Jeden pas pokrywał całą podłogę, zachodząc na ściany; inne kawałki pokrywały ściany i sufit. Mężczyźni bez słowa przeszli przez pokój i zeszli do garażu.

- W pewnym sensie! - Iwanow z uciechy plasnął się otwartą dłonią po udzie. - Piękne wyrażenie. - Spoważniał i przeniósł wzrok na Wallace'a. - Wallace?

- Tak, proszę pana?

- Ilu ludzi dotykało w tym dniu twojego laptopa?

- Tylko jedna, proszę pana. Ja.

- Ilu dotykało napędu zamkniętego w pięknym, drogim sejfie?

- Jedna.

- W takim razie kto, w pewnym sensie, zaszyfrował plik?!

- Tego nie wiemy, ale możemy zdobyć klucz... - Wallace starał się przekonać Iwanowa, który złapał się za głowę i wpatrywał w kawałek podłogi między swoimi stopami. - Ci dwoje pomogą nam zdobyć klucz...

Foliosztywacze wrócili na piętro, niosąc wiertarkę akumulatorową, lampę lutowniczą, rolkę taśmy izolacyjnej i strunę od fortepianu. Zniknęli w pokoju za ścianą i zamknęli za sobą drzwi.

- Ja najpierw muszę zrozumieć jedną rzecz: czy my zostaliśmy wydymani, czy nie.

- Z całą pewnością zostaliśmy wydymani, proszę pana - przytaknął Wallace.

- Jak ty się wyrażasz?! Ty przeproś Zulę!

- Przepraszam, Zula.

- Bardzo? - spytał Iwanow.

- Bardzo.

- Ty masz na laptopie i na dysku zapasowym dużo ważnych dla nas plików.

- To prawda, mam.

- Co z nimi?
- To samo.
- One wszystkie są zaszyfrowane?
- Tak, proszę pana.
- Oryginały i kopie?

Napięcie stało się nie do zniesienia. Zula nie wiedziała, czy prędzej zwymiotuje, czy straci przytomność.

Iwanow się roześmiał.

- Ja wiem, co trzeba zrobić! Ktoś nas dyma bardzo? Ja umiem sobie radzić w takich sytuacjach. Sokołow też. Peter?

- Tak, panie Iwanow?
- Ty słyszałeś o bitwie pod Stalingradem?
- Nie, proszę pana.

Iwanow był niepokieszony.

- To chyba była największa bitwa w historii - powiedziała Zula.

Iwanow się rozpromienił i skinął wymownie głową.

- Wspaniałe, chwalebne zwycięstwo Matki Rosji?
- Nie wiem, czy tak bym to nazwała...

- A dlaczego nie?! - spytał Iwanow tak porywczym tonem, że Zula była pewna, że z niej kpi.

- Dlatego, że Niemcy dotarli bardzo daleko w głąb Rosji i zadali Rosjanom ogromne straty.

To była prawidłowa odpowiedź.

- Ogromne straty! - powtórzył Iwanow, odwracając się do Wallace'a i oczekując od niego uznania dla bystrości Zuli. - Ogromne straty! Ty słyszysz Zulę? Ona rozumie. Skąd ty pochodzisz? Bo chyba nie z tego śmiesznego, popieprzonego kraiku?

- Z Erytrei.
- Z Erytrei!
- Tak.

Iwanow drugi raz podał jej rękę.

- Ogromne straty! Ta dziewczyna wie, co to są ogromne straty. Gdzie twoi rodzice?
- Nie żyją.
- Nie żyją! To dopiero ogromne straty! Ale, ale... Erytrejczycy wygrali wojnę!
- To prawda.

- A Rosjanie po Stalingradzie pomaszzerowali na Berlin. Czy ty rozumiesz, o co chodzi, Wallace?

- Tak, proszę pana.

- Ty powiedziałaś, że oni, Peter i Zula, mogą wygrać naszą małą bitwę pomimo ogromnych strat. To się zgadza?

- Tak, proszę pana. Właśnie nad tym pracowaliśmy, kiedy...

Iwanow uciszył Wallace'a gestem.

- Wallace, ty mi wyświadczyć przysługę. Ty wyjdź. - Skinął w stronę wyłożonego folią pokoju.

Wallace ani drgnął.

- Za drzwiami - podpowiedział mu uczynnie Iwanow.

- Nie możemy tego załatwić szybko i sprawnie?

- Nie, dopóki ty siedzisz na kanapie. Szybko i sprawnie zależy od tego, jak ty się szybko ruszysz. I od tego, co mi powiedzą Peter i Zula. Ty idź i czekaj.

Wallace, obserwowany przez zaintrygowanego Sokołowa, wstał i chwiejnym krokiem wyszedł. Czekający na niego mężczyzna, ostrożnie - żeby nie poślizgnąć się na folii - podszedł i zamknął za nim drzwi. Dał się słyszeć pisk odwijanej z rolki taśmy izolacyjnej.

- Panie Iwanow... - odezwała się Zula. - Wallace jest niewinny.

- Ty jesteś piękną dziewczyną, bystrą, i ty pewnie znasz się na komputerach. Ty przekonaj mnie. Ty zrób tak, żebym uwierzył.

* * *

Zula mówiła przez godzinę.

Omówiła historię i naturę wirusów komputerowych. Opowiedziała o podklasie wirusów, które specjalizują się w szyfrowaniu zawartości twardych dysków i pozwalają domagać się okupu za pliki, i o problemach z zarabianiem na ransomware. Wyjaśniła naturę innowacji anonimowych twórców REAMDE. Iwanow nigdy wcześniej nie słyszał o MMORPG, grach fabularnych online dla wielu użytkowników, streściła mu więc ich historię, opisała socjologię i technologię, przedstawiła ich rozwój jako ważnej gałęzi przemysłu rozrywkowego.

Słuchał uważnie, przerywając jej tylko od czasu do czasu. Co drugie z jego wtrąceń zawierało komplement, jakby żył w przeświadczeniu, że kobieta, która nie usłyszy komplementów w regularnych pięciominutowych odstępach, będzie gotowa zabić go w nocy szpikulcem do lodu. W pozostałych przypadkach odzywał się po to, żeby o coś zapytać. Część jego pytań dowodziła niezwyklej przenikliwości, część zaś zdradzała niepokojący brak

obeznania z nowoczesną techniką.

Po tym wstępie Iwanow zaczął drażnić kwestię winy lub niewinności Wallace'a. Czy zarażenie plików wirusem mogło być skutkiem zaniedbań z jego strony? Inaczej mówiąc, w jaki sposób wirus się rozprzestrzenił?

Zula powiedziała mu wszystko, czego dowiedziała się z sieci - czyli że REAMDE roznosi się przez lukę w zabezpieczeniach w Outlooku, niezwykle popularnym programie, który pozwala zarządzać kalendarzem, kontaktami i masą innych rzeczy. Chcąc osiągnąć cokolwiek w *T'Rainie*, należało posiadać rozsądnie rozbudowaną siatkę wasali, przez co skoordynowana działalność zespołowa stawała się nieodłącznym elementem gry. Prowadzenie transakcji handlowych, działań wojennych, rajdów po lochach i tak dalej wymagało obecności online co najmniej kilkunastu członków danej struktury feudalnej. Umawiając się na wspólną grę, gracze musieli uwzględnić w swoich planach liczne codzienne wydarzenia: mecze baseballowej Małej Ligi, wizyty u dentystów, naukę do egzaminów na studiach i inne, dlatego odrębny system planowania, dostępny z poziomu *T'Rainu*, był niewystarczający. Powstała więc nakładka umożliwiająca wymianę informacji między Outlookiem a *T'Rainem*, z której korzystała większość graczy. Umożliwiała wysyłanie sobie nawzajem zaproszeń do wspólnych najazdów na podziemia i tym podobnych rozrywek. Najczęściej były to zwykłe wiadomości tekstowe, można jednak było załączać do nich także obrazki i inne pliki - i na tym właśnie polegała luka w systemie zabezpieczeń. Wykorzystując błąd przepełnienia bufora w Outlooku, REAMDE wstrzykiwał do systemu operacyjnego złośliwy kod, który nadawał mu uprawnienia administratora i pozwalał przejąć kontrolę nad komputerem - a wtedy mógł robić, co dusza zapagnie, w tym także szyfrować zawartość wszystkich podłączonych do maszyny dysków. Najpierw jednak rozsyłał kod wirusa do wszystkich osób z listy kontaktów użytkownika *T'Rainu*.

Na korporacyjnej wiki Zula znalazła pewien drobiazg, którym postanowiła nie dzielić się z Iwanowem. Istnienie dziury w Outlooku było faktem znanym od dłuższego czasu i większość programów antywirusowych umiała sobie z nią poradzić. Jednakże ci naprawdę ostrzy zawodnicy, którzy grę w *T'Rain* traktowali poważnie, w dalszym ciągu byli narażeni na atak, ponieważ, grając w trybie pełnoekranowym, nie zauważali coraz bardziej histerycznych ostrzeżeń ze strony programów antywirusowych.

Był również drugi szczegół, który wolą zachować dla siebie: Wallace prawie na pewno zaraził się od wujka Richarda, a wirus został przeniesiony na pendrivie.

- Czyli Wallace korzystał z tej... nakładki - podsumował Iwanow - i on się zaraził wirusem.

- Zupełne nieświadomie - przytaknęła Zula.

Prowadząc wykład dla Iwanowa, dała się nieść rozpierającej ją fali energii, która jednak przez ostatnie dziesięć minut gdzieś się rozplynęła. Zmęczone ciało upomniało się o swoje prawa, Zula mówiła coraz wolniej, język jej się plątał, zaczynała zdania, których nie umiała potem skończyć - a teraz jak przez mgłę uświadomiła sobie, że w efekcie jej dywagacji Iwanow uzna, że Wallace spieprzył sprawę i zasługuje na karę. Ta świadomość ją sparaliżowała.

Zaskoczona - i zawstydzona - rozplakała się. Spuściła głowę i ukryła twarz w dłoniach.

- Ja jestem idiota! - wykrzyknął Iwanow. - Ja jestem najgłupszy człowiek na świecie!

Wstał. Zula - pełna obaw, że zaraz do niej podejdzie, przytuli ją i zacznie pocieszać - napięła mięśnie i wzięła się w garść. Przez łzy i palce śledziła wzrokiem poruszające się lśniące buty Rosjanina, a kiedy wyszedł z pokoju, pozwoliła sobie na serię płytkich jęknięć i szlochów. Była sfrustrowana i zła na siebie, że tak głupio się zachowała. Nie płakała od pogrzebu matki, nie tak na serio.

Iwanow wrócił po piętnastu sekundach. Słyszając jego kroki z tyłu, za kanapą, wzdrygnęła się - i poczuła, jak coś ciężkiego i bezwładnego spada jej na ramiona.

- Co z tobą jest? - spytał Iwanow Petera.

Zula uświadomiła sobie, że Iwanow wziął Petera za rękę, udrapował ją na jej ramionach i teraz przyklepywał na miejscu jak płynny cement w formie. Otrząsnęła się i opanowała - nie dlatego, że Peter ją objął, ale dlatego, że doceniła czarny humor tej sytuacji. Jakiś Iwanow, kimkolwiek jest, przyleciał z Toronto i udziela lekcji galanterii Peterowi, który jest w potrzasku i nie bardzo może mu wytłumaczyć, że dopiero co ze sobą zerwali.

Iwanow wydał rozkazy, w pokoju zaczął się ruch, ludzie powyciągali komórki. Zula, próbując usiąść prosto, naparła mocniej na ramię Petera, który - obawiając się konsekwencji nieposłuszeństwa wobec Iwanowa - nie ruszył go z miejsca. Ciężko jej jak zdechła łasica.

- Ja wiem jedno: ktoś mnie wydymał - oznajmił Iwanow, z tradycyjnym już przeproszającym skinieniem głowy pod adresem Zuli. - Wy znacie rosyjski? „*Kmo kozo?*”. Lenin tak mawiał. To znaczy „kto kogo?”. Dzisiaj ja jestem „kogo”. Ja zostałem wydymany. Ja jestem trupem. Tak jak on.

Ruchem głowy wskazał pokój za drzwiami. Zuli zaparło dech w piersi, Iwanow zaś mówił dalej:

- To już nie jest pytanie. Pytanie jest, w jaki sposób ja umrę. Ja mam jeszcze trochę czasu. Może dwa tygodnie. Ja bym je chciał dobrze wykorzystać. Za późno, żeby ja oszedł

w chwale, ale ja mogę umrzeć lepszą śmiercią niż on. - Taki sam ruch głową. - Ja mogę umrzeć jako „kto”, zamiast „kogo”. Ja mogę pokazać moim braciom, że ja walczyłem do samego końca, mimo ogromnych strat. Ja myślę, że oni to zrozumieją i ja będę trupem, któremu oni wybaczyli, zamiast rozdeptanym insektem. Ja potrzebuję tylko jednej informacji: kim jest „kto”?

Peter w końcu cofnął rękę, więc Zula mogła się wyprostować i spojrzeć na Iwanowa, którzy z zaciekawioną miną mierzył wzrokiem ich oboje (ją częściej). Zupełnie jakby uczestniczyli w oficjalnej, niemal naukowej dyspacie.

- Czy ty rozumiesz pytanie?

- Chce pan wiedzieć, kto pana zrobił.

- Ja bym użył innego czasownika, ale tak.

Przez chwilę nikt się nie odzywał. Z parteru dobiegł warkot zapuszczanego silnika i odgłosy rozmów telefonicznych.

- Chce się pan dowiedzieć, kim jest troll - podsumował Peter. - Autor wirusa.

- Tak! - warknął lekko zirytowany Iwanow.

- Jeżeli dostarczymy panu tę informację... będziemy spoko?

- Spoko? - powtórzył Iwanow. Nie miał nastroju do negocjacji (jeśli w ogóle można tak to nazwać) z Peterem.

- To znaczy, będziemy kwita? My i pan?

Zrobiło się interesująco.

Mimo że atmosfera od początku była aż ciężka od niewypowiedzianych głośno gróźb, Iwanow nie tylko nie wyrządził krzywdy Peterowi i Zuli, ale nawet nie zasugerował, że mógłby to zrobić w przyszłości. Teraz zaś zdumiony uniół brwi, ponieważ zobaczył Petera w zupełnie nowym świetle - jako człowieka, który (w pewnym sensie) grozi samemu sobie: z własnej, nieprzymuszonej woli przyznał, że jest Iwanowowi coś winien i spodziewa się przykrych konsekwencji, jeśli tego długu nie ureguluje.

Rosjanin wzruszył lekko ramionami, jakby mówiąc: „Do głowy by mi nie przyszło, ale skoro się narzucasz...”.

- Ty jesteś bardzo hojny - odparł.

Przez ten czas Peter zorientował się, że popełnił błąd, i desperacko próbował się wycofać rakiem z lotnych piasków:

- Musi pan zrozumieć, że autor wirusa może się znajdować w dowolnym miejscu na świecie. Na pewno też dołożył wszelkich starań, żeby ukryć swoją tożsamość, zatrzeć ślady...

- Ja nie rozumiem - przerwał mu Iwanow. - Ty możesz znaleźć tego trolla czy nie?

Peter spojrział na Zulę.

- Dlaczego ty patrzysz na pannę Zulę? Ty jesteś przecież genialnym hakerem, to się zgadza?

Peter nie był w stanie wykrztusić ani słowa.

* * *

Z wyczerpania umysł Zuli błędził po kilku miejscach jednocześnie. Słowo „retrospekcje” nie oddawało precyzyjnie tego, co działo się w jej głowie, ale mózg wyciągał z otchłani pamięci wspomnienia niezwykle bliskie wrażeniom napływającym przez organy zmysłów. Doświadczenia z początków życia Zuli znacznie lepiej pasowały do jej obecnych tarapatów niż późniejsze lata spędzone na prowincji w Iowa. Brakowało jej energii, jasności umysłu albo tego, co maniacy komputerowi nazywają „przepustowością”, żeby równocześnie przetwarzać wszystkie aspekty sytuacji. Z całą pewnością najważniejszym z nich było poczucie zagrożenia, do tego dochodziła świadomość kłopotów natury technicznej, ale ani jedno, ani drugie nie uzasadniało przelewających się jej przez brzuch fal mdłości. A przecież był jeszcze aspekt moralny całej sprawy, który kompletnie uchodził jej uwagi, dopóki Iwanow nie odesłał Wallace’a do sąsiedniego pomieszczenia. Tą niedomyślnością zasłużyłaby pewnie u Iwanowa na opinię niedorzecznie naiwnej dziewczynki, ale chyba jeden taki przejaw naiwności był wybaczalny.

Teraz jednak poproszono ją, żeby zdradziła kolejnego człowieka - zupełnie obcą osobę, która kiedyś, gdzieś stworzyła REAMDE. To nie ona wyskoczyła z tą propozycją. To Peter zdradził ją spojrzeniem.

- Panno Zulu? Ja przepraszam, ja widzę, że ty jesteś zmęczona - powiedział Iwanow. - Jednakowoż. Ty pracujesz w tej firmie? Możliwe?

Jak na dziewczynę z Iowa przystało, musiała odpowiedzieć twierdząco - zwłaszcza kiedy pytał uprzejmy, elegancko ubrany starszy pan, który przebył szmat drogi, żeby się z nią spotkać.

Nie wiadomo dlaczego, przypomniała jej się scena z czasów, kiedy miała około czternastu lat, a w Iowa fascynacja metamfetaminą osiągnęła akurat szczytowe nasilenie. Siedziała sama w domu, kiedy, wyjrzawszy przez okno, zobaczyła zbliżającą się niezwykle furgonetkę. Samochód bardzo wolno przejechał przed domem w tę i z powrotem, po czym zatrzymał się na podjeździe przed szopą z narzędziami. Dwaj mężczyźni wysiedli i zaczęli się nerwowo rozglądać. Zula, nie mając pewności, czy mają praworządne zamiary, zadzwoniła do wujka Johna (jak nazywała swojego drugiego zastępczego ojca), który metodycznie, krok po kroku przeprowadził ją przez procedurę zamykania na klucz wszystkich drzwi w całym

domu, powiedział jej, gdzie znajdzie strzelbę i amunicję, i kazał się schować na strychu. Jego spokojnym, rzeczowym instrukcjom towarzyszyły (chwilami zupełnie je zagłuszając) przytłumione ryki, piski i łoskoty, wynikające, jak się później domyśliła, z faktu, że rozmawiając z nią, pędził samochodem z prędkością stu mil na godzinę. Ledwie zdążyła wdrapać się na strych i wciągnąć za sobą składane schodki, gdy z zewnątrz dobiegło mnóstwo niepokojących samochodowych odgłosów. Wyglądając przez mansardowe okienko, zobaczyła wóz wujka Johna, stojący na środku podwórka na końcu długich śladów opon, które okalały cały dom (wuj John zrobił rundkę dookoła budynku, szukając śladów włamania), oraz samego wujka Johna, który, kuśtykając na protezach, przykucnął pod osłoną samochodu. Po drugiej stronie podjazdu furgonetka ruszyła właśnie z piskiem opon i niedomkniętymi drzwiami. Z boku szopy, gdzie trzymali zbiornik z bezwodnym amoniakiem, buchały kłęby pary.

Po paru minutach, kiedy na miejsce zdarzenia przybyła liczna ekipa z biura szeryfa, Zula uznała, że może się bezpiecznie ujawnić. John najpierw krzyknął, że jeszcze nie pozwolił jej zejść, ale zaraz potem objął ją, przytulił i powiedział, że jest fantastyczną dziewczyną. A potem spytał, gdzie podziąła się strzelba. Jeszcze raz powtórzył, że jest niesamowita, kazał jej wrócić na strych i czekać, aż ją zawoła. Z góry zobaczyła scenę, której widoku wujek chciał jej oszczędzić: ratownicy z karetki włożyli skafandry ochronne i wsadzili jakiś duży, pomarszczony, zbrązowiały obiekt do czarnego worka na zwłoki. Jeden ze złodziei, najprawdopodobniej spłoszony nieoczekiwanym przybyciem wujka Johna, gdy majstrował coś przy zbiorniku, został opryskany amoniakiem, który wyssał całą wilgoć z jego ciała.

Wtedy pierwszy raz (później jeszcze jej się to zdarzało, ale nieczęsto) dostrzegła istnienie czegoś w rodzaju podziemnego przewodu, w pewnym sensie przypominającego linie geomantyczne z *T'Rainu*, łączącego jej bliskich w Erytrei z jej bliskimi w Iowa.

* * *

- Gdybym mogła zadzwonić, może udałoby mi się dowiedzieć czegoś więcej o trollu - zaproponowała Zula.

Patrzący na nią wyczekująco Iwanow uniósł zachęcająco brwi.

- A wtedy pan mógłby wrócić do swoich zajęć - dodała.

Twarz Iwanowa stężała jak porażona wytryskiem amoniaku.

- I zająć się rozwiązaniem tego problemu - dokończyła z wdziękiem Zula. - Lub innymi ważnymi sprawami.

- Zadzwonić - powtórzył Iwanow. - Do kogo?

- W firmie obowiązuje ścisła polityka prywatności.

Rosjanin zmarszczył brwi.

- To brzmi jak sraniewbanie.

- Obowiązują nas pewne zasady - odparła Zula.

Zatrudniając ją w Korporacji 9592, wujek Richard wyjaśnił, że większość jej współpracowników jest obciążona brzemieniem chromosomów Y, dzięki czemu działają na nich metody skuteczne na obozie skautowskim. Chłopców, powiedział, interesują tylko dwie rzeczy: kto tu rządzi i jakie są zasady. I miał rację, ta reguła sprawdzała się wręcz magicznie.

Iwanow pokiwał głową.

- Firma zna nazwiska, adresy i dane demograficzne swoich klientów - ciągnęła Zula. - Nie ujawnia ich jednak. Nikt nie gra w *T'Rain* pod swoim prawdziwym nazwiskiem, a zwykły gracz nie ma żadnej możliwości odkrycia prawdziwej tożsamości ani trolla, ani żadnego innego uczestnika.

- Ale ktoś w firmie ją zna.

- Zawsze jest ktoś taki.

- Może zasady czasem się łamie, tak trochę.

- Na ogół nie, ale...

Zula urwała w pół słowa, gdy Iwanow uciszył ją gestem wyrażającym „sraniewbanie”.

* * *

Ktoś musiał wyskoczyć na zakupy, ponieważ wśród rosyjskich fraz dało się słyszeć między innymi słowa „venti mocha”.

- Peter? - Sokołow odezwał się pierwszy raz od bardzo dawna.

Peter podniósł wzrok, a Rosjanin skinieniem głowy wskazał zamontowaną nad schodami i nacelowaną na pomieszczenie kamerę.

- Masz dwie kamery.

Peter nie zareagował.

- A może więcej? - dopytywał się Sokołow.

Peter się zastanowił.

- Trzy, prawdę mówiąc - przyznał.

- Aha.

W pierwszej chwili Zula nie mogła się nadziwić, jak Sokołow mógł przegapić jedną z kamer. Były zainstalowane na widoku: jedna przy wejściu z ulicy, druga w warsztacie, wycelowana w tylne drzwi, trzecia nad schodami.

I wtedy ją olśniło. Sokołow sprawdzał Petera. Doskonale wiedział, że kamery są trzy;

obszedł cały dom, wszystko sobie obejrzał, a potem powiedział „dwie”, żeby zobaczyć, czy Peter przyzna się do posiadania trzeciej.

- Reagują na ruch?

- Tak.

- Gdzie zapisują dane?

- Tutaj, na serwerze - odparł Peter.

Sokołow nie zareagował w żaden sposób. Patrzył tylko Peterowi w oczy.

- I na dysku zapasowym - wykrztusił w końcu Peter. - Pod schodami.

Rosjanin odwrócił wzrok i pokiwał głową.

- Trzeba będzie wykasować pliki.

- Dobrze. - Peterowi wyraźnie ulżyło. Klasnął się po kolanach i wstał. - Zróbmy to.

Pod czujnym okiem Sokołowa zakrzętnął się przy terminalu.

Tymczasem na dole odbywały się wielkie manewry samochodowe, w wyniku których scion Petera wylądował na ulicy, prius Zuli został wepchnięty w głąb garażu, a obok zaparkował kabriolet Wallace'a, co pozwoliło udroźnić uliczkę przed budynkiem. Przy okazji przyniesiono z samochodu iPhone'a Zuli, który Iwanow oddał jej z taką galanterią, jakby prezentował naszyjnik od Swarovskiego.

* * *

- Zula.

- Cześć, C-plus.

- Rzadko mam przyjemność rozmawiać z kimś z działu magmy.

- Widzisz, mam tu taki nieoficjalny projekt... To długa historia. Richard mnie w to wrobił.

- Zarządzanie przez posiadanie - zadrwił z dezaprobatą Corvallis.

Określenie „zarządzanie przez posiadanie”, używane na określenie działań Richarda realizującego kolejne swoje fantazje, straciło na aktualności kilka lat temu, kiedy wynajęto fachowców do prowadzenia firmy.

- Otóż to. Jak mówiłam, to nieoficjalny projekt. Badawczy, można powiedzieć. Związany z... ehm... niecodziennymi ruchami złota wywołanymi działaniem wirusa znanego jako REAMDE.

- To zabawne... Pierwszy raz o nim usłyszałem, kiedy dziś rano przyszedłem do roboty, a teraz już wszyscy o nim gadają.

- Ekspłodował w ostatni weekend. Posłuchaj, potrzebuję pewnej informacji.

- Gdzie mam jej szukać?

- W moim logu. Kilka, kilkanaście godzin temu.

Stukot klawiatury.

- Pracowita nocka była!

- Żebyś wiedział.

Stukot klawiatury.

- Nagłe wylogowanie.

- Awaria zasilania w Georgetown. Szlag trafił Internet.

- Rozumiem... Widzę, że bawiłaś się na Pogórze Torgai?

- Owszem. Niefortunna eskapada.

- Na to wygląda... No dobrze, co cię interesuje?

- Gdzieś tak bliżej początku ktoś rzucił na mnie czar uzdrawiający. Nie z mojej grupy.

Było około trzeciej w nocy naszego czasu, moja postać znajdowała się blisko takiego przecięcia linii geomantycznych...

- To łatwe. Przez całą noc tylko raz rzucono na ciebie zaklęcie uzdrawiające.

- Masz wpis w logu?

W całym *T'Rainie* nawet najmniejszy wróbelek nie mógł wypaść z gniazda w taki sposób, żeby nie zostało to zapisane w archiwum.

- Mam.

- Dobrze.

Zula z zaciekawieniem obserwowała wpływ rozmowy na Iwanowa, który słyszał tylko co drugą kwestię: odwrócił się i skinął na Sokołowa, żeby podszedł bliżej, tak jakby troll w każdej chwili mógł wyskoczyć z iPhone'a Zuli i rzucić się do ucieczki.

- Więc kto mnie leczył?

- Trudno powiedzieć.

- Jak to?! - zaniepokoiła się Zula.

- Dosłownie: trudno powiedzieć. Za słabo znam pinyin.

- Chcesz powiedzieć, że to chińskie imię?

Iwanow i Sokołow spojrzeli po sobie tak, jak tylko Rosjanie potrafią, kiedy w grę wchodzi Chińczycy.

- Tak. I to bez transliteracji, bo on albo ona nie raczyli jej dołączyć.

To był jeden z elementów strategii Richarda i Nolana mającej uprzyjemnić grę Chińczykom. Inne MMO wymagały posługiwania się imieniem bohatera zapisanym łacińskim alfabetem; w *T'Rainie* było to nieobowiązkowe.

- On albo ona? To znaczy, że nie masz żadnej informacji demograficznej?

- To chyba jakiś bot i tyle.
- A karta kredytowa?
- Autorozliczenie.

Kolejny wynalazek Richarda i Nolana. Większość gier internetowych wymagała skojarzenia konta gracza z rachunkiem karty kredytowej, żeby to z niego była przelewana miesięczna opłata za użytkowanie. Niezbyt przyjazne rozwiązanie dla chińskich nastolatków. Ponieważ jednak w strukturę *T'Rainu* został wbudowany mechanizm transferu gotówki, podłączenie karty kredytowej również stało się w pewnym sensie nieobowiązkowe. Jeżeli postać osiągała zyski, na przykład ze sprzedaży wirtualnego złota, jej właściciel mógł opłacić miesięczną składkę poprzez automatyczne odjęcie jej ze skarbca. Tak właśnie działały tak zwane konta z autorozliczeniem, czyli autokonta.

- Czy jest w ogóle jakiś sposób na to, żeby się dowiedzieć, kto prowadzi tę postać?
- Zuli wcale nie spodobało się wrażenie, jakie to pytanie wywarło na Iwanowie.

- Mogę ci podać adres IP.

- Fantastycznie! - ucieszyła się Zula, modląc się w duchu, żeby udało jej się przekonać Iwanowa do fantastyczności tego faktu.

Na migi dała znać, że potrzebuje czegoś do pisania. Sokołow błyskawicznie wyłowił mazak z kubka na biurku. Mogło się wydawać dziwne, że lepiej od Petera orientuje się w rozmieszczeniu przyborów do pisania w pokoju, ale najprawdopodobniej do jego obowiązków należało po prostu dostrzeganie wszystkiego, co mogłoby posłużyć jako broń. Zębami zdjął skuwkę i podsunął Zuli dłoń, żeby miała na czym pisać. Wzięła od niego mazak i oparła rękę o jego dłoń, która dużo w życiu przeszła, straciła nawet czubek jednego z palców, ale była całkiem zwyczajna i ciepła w dotyku.

- Gotowa? - spytał Corvallis.

- Strzelaj - przytaknęła Zula i skrzywiła się na myśl o doborze tych dwóch słów.

Corvallis bardzo wyraźnie przedyskutował jej cztery liczby z zakresu od 0 do 255, składające się na adres internetowy w protokole IP. Zula zapisała je, oddzielając kropkami, na dłoni Sokołowa. Iwanow, który przyglądał się temu z zaciekawieniem, spojrzął na nią pytająco.

Wiedział, co ma przed sobą. Podobny ciąg liczb pozwolił Csongorowi odkryć kłamstwo Wallace'a i wskazał miejsce zamieszkania Petera. Iwanow raz już widział te liczby w akcji i spodziewał się, że i tym razem okażą się równie skuteczne.

- Dzięki - powiedziała Zula. - Następne pytanie...

Stukot klawiatury.

- To jeden z dużej puli adresów należącej do operatora internetowego z Shyamen.

- Jeszcze raz?

Corvallis przeliterował. Zula zapisała na ciele Sokołowa: X-I-A-M-E-N.

Widok tego słowa wywołał gwałtowną, choć komiczną w swej bezgłośności reakcję Iwanowa i jego przybocznych.

- Możesz sobie wygoogłać - dodał Corvallis.

Zula - mimo chwilowego zamieszania czujnie obserwowana przez Sokołowa - powstrzymała się od odpowiedzi „Nie, nie mogę”.

- Dawna nazywa Amoy - ciągnął C-plus śpiewnym głosem; najwyraźniej sprawdził wymowę w Google. - Miasto portowe w południowo-wschodnich Chinach, u ujścia Rzeki Dziewięciu Smoków, naprzeciwko Tajwanu. Dwa i pół miliona mieszkańców. Dwudziesty piąty pod względem wielkości port na świecie, awans z pozycji trzydziestej, bla, bla, bla... Zwykle chińskie miasto.

- Dzięki.

- Przykro mi, że nie mam więcej konkretów.

- Poszukam, przynajmniej będę miała zajęcie.

- Mogę ci jeszcze w czymś pomóc?

Tak!

- Nie.

- Miłej zabawy.

Corvallis się rozłączył.

Zula ledwie zdążyła odpowiedzieć „Na razie”, kiedy Sokołow zabrał jej iPhone’a, uruchomił przeglądarkę i wpisał „Xiamen” w Google.

Do Zuli już wcześniej dotarły przyjemne zapachy kwiatów i kawy, a teraz uśmiechnięty Iwanow podszedł do niej z trzymanym w obu rękach ogromnym bukietem lilii. Były jeszcze zawinięte w folię z nadrukowanym kodem kreskowym z pobliskiego spożywczaka.

- One są dla ciebie - powiedział, wręczając jej bukiet. - Dlatego że ponieważ przeze mnie ty płakałaś. Ja chociaż tyle mogę zrobić.

- To miło z pana strony - odparła Zula, starając się mimo zmęczenia zabrzmieć przekonująco.

- Latte? - zapytał Iwanow.

Obok niego stał wałkoń w koszulce, trzymając tekturową tackę z kubkami z centrali Starbucksa, którego olbrzymia zielona syrenka górowała nad Georgetown jak gigantyczny

Piankowy Ludzik z „Pogromców duchów”.

- Z przyjemnością. - Przynajmniej w tej kwestii nie musiała kłamać.

Ponieważ wszyscy goście byli chwilowo zajęci, sama przeniosła bukiet do kąca kuchennego i położyła na desce do krojenia, z zamiarem przycięcia łądzynek i wstawienia kwiatów do wody. Głupie, ale był to po prostu kolejny odruch dobrze wychowanej dziewczynki z Iowa. Przecież to nie wina kwiatów, że kupili je gangsterzy. Latte sprawiła jej niewiarygodną przyjemność; Zula zdjęła i wyrzuciła do śmieci wieczko kubka, żeby wczepić się wargami w ciepły styropian i pić dużymi haustami. Peter nie miał w domu wazonów, ale znalazła gliniany dzbanek i napełniła go wodą, a potem zajęła się nieprzyjemnym zadaniem odwijania kwiatów z folii i rozplątywania gumek spinających łądzyki.

Kiedy kątem oka zauważyła jakieś większe poruszenie i podniosła wzrok, zobaczyła, jak dwóch ludzi wynosi z sąsiedniego pokoju długi i ciężki pakunek zawinięty w folię.

Runęła na podłogę, zanim na dobre uświadomiła sobie, że zakręciło się jej w głowie.

* * *

Można było odnieść wrażenie, że *World of Warcraft* od niepamiętnych czasów rządzi niepodzielnie w branży, w której specjalizowała się Korporacja 9592, ale wystarczyło sprawdzić daty, żeby stwierdzić, że gra ma zaledwie kilka lat. Stosunek Richarda i Nolana do *WoW* przechodził następujące fazy:

1. Wstydliva konstatacja, że nigdy nie będą mogli nawet marzyć o konkurowaniu z tak okopaną na swojej pozycji potęgą jak *WoW*.
2. Przekonanie, a następnie tupeciarska pewność siebie, że są w stanie przeprowadzić udany atak z zaskoczenia i zrzucić *WoW* ze szczytu.
3. Przygnębiająca świadomość, że jest to absolutnie niemożliwe, a oni są skazani na klęskę.
4. Ostrożny optymizm, że może jednak życie nie zawsze będzie tak totalnie beznadziejne.
5. Wzięcie się w garść i opracowanie planu działania.

Gdzieś między fazą czwartą a piątą Richard zaszył się na czas Błotnego Miesiąca (kilkutygodniowego okresu bezpośrednio po zakończeniu sezonu narciarskiego) w swoim zamku i spisał część pomysłów, które lęły mu się w głowie w najczarniejszych, najsmętniejszych chwilach fazy trzeciej. Kiedy Corvallis je przeczytał, rozpoznał w nich, jak to ujął, „punkt przegięcia”. Był to kolejny termin, który nic a nic Richardowi nie mówił, ale - sądząc po gwałtownych zmianach, jakie powodował w języku ciała jego pracowników - dla matematycznych świrów niósł nieskończone wręcz bogactwo znaczeń. Na ile Richard zdołał

się zorientować, „punkt przegięcia” oznaczał chwilę, która, choć z początku wcale nieoczywista, oglądana z perspektywy czasu zmieniała wszystko.

Notatka Richarda pętała się przez pewien czas po biurze jak wyschnięty mazak do białych tablic, dopóki Richard (z drobną pomocą biegłego w żargonie Corvallis) nie nadał jej zniewalającego tytułu: Średniowieczna Walka Zbrojna jako Uniwersalna Metafora i Alternatywny Projekt Protokolarnego Interfejsu Systemowego, w skrócie ŚWZUMAPPIS.

Jako że Średniowieczna Walka Zbrojna była dla nich jak tlen, którym oddychali, wspomnianie o niej uznali za zbędne i skrócili tytuł do UMAPPIS. Następnie, ponieważ niektórym biznesmenom na dźwięk słowa „metafora” robiło się nieswojo, zostawili samo APPIS, które spодobało im się na tyle, że zarejestrowali je jako zastrzeżony znak towarowy. A ponieważ APPIS już tylko jedna litera dzieliła od APIS, co po łacinie oznacza „pszczołę”, stworzyli i zastrzegli także logo firmy wykorzystujące motyw pszczoły i ula. Corvallis cierpliwie tłumaczył Richardowi, że przy okazji udał im się taki prywatny, zrozumiały tylko dla informatyków żarcik. W ich świecie skrót API oznacza „Application Programming Interface”, interfejs programowania aplikacji, czyli software’owy mechanizm sterujący, doklejany przez komputerowych świrów do nowatorskich technologii, żeby inne świry mogły pisać programy, które z tych technologii korzystają. Richard miał te wyjaśnienia w głębokim poważaniu, zwłaszcza że o jeden lub nawet dwa poziomy abstrakcji przekraczały jego zdolność pojmowania.

- Ta notatka miała być sygnałem - tłumaczył Corvallisowi - że jeśli ktoś chce, może wziąć naszą grę na technologiczną smycz i kazać jej rozwiązywać swoje problemy.

Corvallis zapewnił go, że to właśnie oznacza skrót API. Reszta to marketing.

Problemy, które Richard miał na myśli, nie miały żadnego związku ani z grami, ani nawet z szeroko rozumianą rozrywką - w tych dziedzinach Korporacja 9592 posunęła się już tak daleko i wymyśliła tyle innowacji, że osiągnęła granice ludzkiej wyobraźni, po czym wynajęła prawników, żeby, ślęcząc nad wyprodukowanym przez nią materiałem, ekstrapolowali z niego całe abstrakcyjne kategorie pojęć i konceptów, które mogły przydać się później. Gdziekolwiek dotarli, zawsze okazywało się, że twórcy *World of Warcraft* byli tam pięć lat wcześniej, opatentowali wszystko, co dało się opatentować, oraz - w takim czy innym sensie - olali to, czego opatentować się nie dało. Co w znacznej mierze tłumaczyło fazę trzecią.

Richard doznał objawienia (o ile nie jest to zbyt eleganckie słowo na określenie popieprzonego pomysłu, jaki zrodził się w jego głowie) w pewnym mikrobrowarze w SeaTac. Utknął tam na dwie godziny, kiedy odlot do Spokane opóźnił się z powodu zderzenia wózka

bagażowego z samolotem - rzecz niezwykle częsta na tym lotnisku, jeden z tych prowincjonalnych smaczków potwierdzających jego sympatycznie małomiasteczkowy charakter. Sącząc piwo i gapiąc się na bosych pasażerów, którzy, pozbawieni pasków w spodniach, kolebiącym krokiem pingwina przechodzili przez bramki wykrywaczy metali, nagle uświadomił sobie, jak skrajnej nudy doświadczają dyżurujący przy bramkach pracownicy Urzędu Bezpieczeństwa Transportu: gapią się na prześwietlane rentgenem bagaże i starają się zachować czujność na wypadek trafiającej się raz na dziesięć lat sytuacji, kiedy ktoś naprawdę usiłuje przemycić na pokład spluwę.

Nic niezwykłego, banalne spostrzeżenie. Kiedy jednak później poświęcił mu więcej uwagi, okazało się, że bardziej wyrafinowane lotniska wynajęły psychologów, żeby pomogli im rozprawić się z tym problemem, a ci wymyślili kilka ciekawych sztuczek. Na przykład, cyfrowo wmontowywali w transmisję z prześwietlarek fałszywe obrazki, żeby w polu widzenia nadzorujących je ludzi wyróżnione fałszywym kolorem kontury pistoletów, karabinów i bomb pojawiały się kilka razy dziennie, zamiast raz na dziesięć lat. Badania dowodziły, że w ten sposób unika się zawłaszczenia neuronów odpowiedzialnych za rozpoznawanie wzorców przez inne zachodzące w mózgu procesy, bardziej efektywne albo przynajmniej przyjemniejsze.

Przeglądając na chybił trafił podsuwane przez Google informacje, Richard doszedł do wniosku, że działanie mózgu trochę przypomina funkcjonowanie sieci elektrycznej w Mogadiszu. Wiele wydarzeń zachodzących w Mogadiszu wymagało miedzianych przewodów do przesyłania prądu i informacji, jednak ze względu na ograniczone zasoby tego metalu, każdy chwilowo nieużywany kawałek drutu padał ofiarą takiej czy innej milicji i błyskawicznie trafiał na drugi koniec miasta, uzupełniając prowizoryczną sieć energetyczną jakiegoś miejscowego watażki. To samo, co z miedzią w Mogadiszu, działo się z neuronami w mózgu. U ludzi wykonujących nieprzeciętnie nudną pracę, w strefach mózgu odpowiedzialnych za tę pracę ziały wielkie czarne dziury, ponieważ wszystkie (praktycznie nieużywane) neurony zostały stamtąd przerzucone w inny rejon i podłączone do obwodów śledzących rozgrywki koszykarskie i operacje plastyczne sławnych ludzi.

Objawienie lotniskowo-bagażowe okazało się zarazem znie i za-chęcające. Znie-, ponieważ psychologia pracy uprzedziła Richarda i znalazła rozwiązanie, ale jednocześnie za-, ponieważ ludzie z doktoratami przyznawali, że ogólna idea jest jak najbardziej słuszna.

Dla poparcia ŚWZUMAPPIS Richard musiał (a) znaleźć jakieś inne rozpaczliwie nudne zajęcie, które posłuży mu za *experimentum crucis*, oraz (b) wykombinować sposób mapowania jego podstawowych procesów na Średniowieczną Walkę Zbrojną. Przez lata

przeżyte w beznadziejnym uzależnieniu od *World of Warcraft*, a następnie w roli założyciela/twórcy *T'Rainu*, wykorzenił chyba połowę neuronów w swoim mózgu i wspaniał je w centra korowe odpowiedzialne za władanie oburęcznym toporem, walkę tarczą, strzelanie z łuku i rzucanie czarów. W ciągu jednego wieczoru spędzonego na błakaniu się po wyimaginowanym świecie DeKwadrata i Szkieletora uruchamiał chyba więcej neuronów, niż miał ich do dyspozycji Einstein, tworząc ogólną teorię względności, a z całą pewnością o wiele więcej od przeciętnej kasjerki w supermarkecie albo ochroniarza na ośmiogodzinnej zmianie. Potęga Internetu powinna zaś umożliwiać dowolne przełączanie tych neuronów i tworzenie z nich nowych, działających sieci.

W tym mniej więcej okresie na jednym z lotnisk ogłoszono alarm po tym, jak jakiś przygłup wtargnął do hali odlotów pod prąd, przez wyjście, omijając stanowisko kontroli pasażerów. Jak to zwykle w takich sytuacjach bywa, całe lotnisko musiało zostać zamknięte. Czekające na start samoloty wróciły do rękawów, wysadziły pasażerów, wyładowały bagaż. Pasażerowie zostali wyeksmitowani ze sterylnej części budynku i zaproszeni do ponownej kontroli osobistej. Opóźnienia lotów rozeszły się jak fale w globalnym systemie transportu lotniczego, łączne straty z ich powodu sięgnęły dziesiątków milionów dolarów. A wszystkiego dałoby się uniknąć, gdyby postawiony przy wyjściu funkcjonariusz MBT robił to, co do niego należało - miał oczy szeroko otwarte i pilnował, żeby ludzie nie przechodzili przez drzwi w niewłaściwym kierunku. Richard był zafascynowany: przecież chyba nawet najbardziej leniwy i niechlujny pracownik powinien sobie z czymś takim poradzić, prawda?

Okazało się, że odpowiedź ma niewiele wspólnego z lenistwem i niechlujstwem, a znacznie więcej z niedostatkami miedzianego drutu w Mogadiszu. W mózgu rzeczonoego pracownika ścieżki neuronowe niezbędne do wykonania prostego z pozoru zadania, jakim było zidentyfikowanie pieszego próbującego sforsować drzwi pod prąd, dawno zostały wykarczowane i rzucone na inne fronty, gdzie były intensywniej - lub przynajmniej częściej - używane.

Rozpoczęli więc pierwszy projekt pilotażowy APPIS. Na początek nakręcili amatorski filmik przedstawiający idących korytarzem pracowników Korporacji 9592. Wysmażyli z niego demo, następnie pokazali je władzom kilku regionalnych lotnisk, które - za małe i za biedne, żeby pozwolić sobie na skomplikowane, drogie i wyposażone w alarmy drzwi jednostronne - musiały dotychczas polegać na technologii znudzony-pracownik-siedzi-przy-drzwiach. Dobili targu z dwoma spośród tych lotnisk i w ten sposób uzyskali dostęp non stop do nagrań z monitoringu. Nagrania, co oczywiste, przedstawiały ludzi wychodzących przez drzwi.

Podłączyli je do komputerowego programu rozpoznawania wzorców, który rozróżniał sylwetki poszczególnych ludzi i tłumaczył je na dane wektorowe w przestrzeni trójwymiarowej. Pozyskane w ten sposób dane mogli zaimportować bezpośrednio do silnika gry; ruch i ułożenie ciała zostały przetransponowane na awatary żyjące w świecie *T'Rainu*. Pochód ludzi w korytarzu, ubranych w bluzy, szpilki i dresy Chicago Bears, stał się pochodem K'Shetriae, Dwinnów, trolli i innych fantastycznych istot w kolczugach, zbrojach płytowych i czarnoksiężskich szatach, idących kamiennym korytarzem do wyjścia z potężnej cytadeli Garzantium.

Następnie marszałek Cesarstwa Garzantium obwieścił wszem wobec, że ogromną sumą w złocie (tudzież cenną bronią i pancerzami) nagrodzi się, oraz czią wielką otoczy, wszystkich śmiałków, którzy przyłapią jakiegoś goblina na próbie przemknięcia się wspomnianym wyżej korytarzem. Bohaterów zgłaszających się na ochotnika do wykonania tego zadania wyposażano w specjalny przyrząd zwany Rogiem Czujności; kazano im w niego dąć, gdy tylko spostrzegą brnącego pod prąd intruza. Dodatkowe punkty można było zdobyć za zatrzymanie goblina i (co oczywiste) wciągnięcie go w Średniowieczną Walkę Zbrojną.

Na wszystkich lotniskach świata (rzeczywiście) łącznie, liczba pasażerów, którzy dostają się do hali odlotów od drugiej strony, przechodząc przez drzwi wyjściowe w niewłaściwym kierunku, sięga jednego lub dwóch rocznie. Nie wystarczyłoby to do podtrzymania zainteresowania i czujności nawet najbardziej zawziętych graczy. Dlatego APPIS, aby uprzyjemnić życie graczom, generował fikcyjne źle skierowane gobliny i wpuszczał je w ów korytarz w tempie dwóch na minutę, przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. W kółko. Trzeba było trochę popracować nad równowagą systemu i dostosować wartość nagród do częstotliwości pojawiania się intruzów, ale zestrojenie szczegółów wymagało minimalnego wysiłku i już wkrótce gracze wyłapywali sto procent zbłąkanych goblinów. Rocznie system generował ich około dwustu tysięcy - co nie stanowiło najmniejszego problemu, ponieważ ich produkcja była darmowa. Cały dowcip polegał oczywiście na tym, że wśród intruzów istniała mikroskopijna grupa goblinów, które wcale nie były generowanymi przez komputer zjawami, lecz odbiciem najprawdziwszych ludzi przyłapanych przez kamery lotniskowego systemu bezpieczeństwa na wchodzeniu niewłaściwymi drzwiami do hali odlotów. Naturalnie, sytuacje te były tak rzadkie, że przetestowanie systemu w warunkach roboczych graniczyło z niemożliwością, dlatego kilka razy dziennie urządzano alarm próbny: umundurowany funkcjonariusz MBT meldował się przy wyjściu, okazywał identyfikator przysypiającemu z nudów strażnikowi i wchodził do hali odlotów pod prąd wylewającego się z niego strumienia pasażerów. Za każdym razem

gdzieś na świecie jakiś gracz (prawie zawsze był to chiński farmer złota) natychmiast przytykał Róg Czujności do wirtualnych ust, grał ogłuszający alarm i pędem rzucał się na zbłąkanego goblina - które to wydarzenie, za sprawą sprytnego połączenia serwerów Korporacji 9592 z systemem zabezpieczeń portu lotniczego, powodowało miganie czerwonych świateł, wycie syren i automatycznie zamykanie się drzwi rzeczonoego lotniska.

Pomysł nie przypadł do gustu Corvallisowi i innym komputerowcom, ponieważ był bzdurny, co było oczywiste dla każdego człowieka z odrobiną zmysłu technicznego, który chwilę się nad tym zastanowił. Skoro program rozpoznawania wzorców potrafił zidentyfikować podróznich i zwektoryzować ich ruchy wystarczająco dobrze, żeby przetłumaczyć je na język *T'Rainu*, to równie dobrze mógł automatycznie, bez udziału człowieka, zorientować się, że jedna z tych postaci porusza się w przeciwnym kierunku niż pozostałe, i włączyć alarm. Gracze byli zbędni, gra była zbędna. Software'owe rozpoznawanie wzorców należało z niej wydzielić jako całkiem odrębny interes.

Richard doskonale rozumiał ich punkt widzenia - ale miał go w nosie.

- Sam mi chyba powiedziałeś, że marketing jest najważniejszy, prawda? - przypomniał Corvallisowi. - Której części swojej wypowiedzi nie rozumiesz?

Ćwiczenie nie miało bynajmniej na celu stworzenia skutecznego i racjonalnego systemu ochrony lotniska, lecz raczej (żeby znów posłużyć się jednym z tych pompatycznych terminów ze świata matematyki) udowodnienie pewnego twierdzenia. Kiedy system zostanie uruchomiony, będą mogli wskazać jego stuprocentową skuteczność jako potwierdzenie słuszności podstawowego założenia APPIS - że problemy występujące w świecie rzeczywistym (zwłaszcza takie, których rozwiązanie bywa kłopotliwe ze względu na nieusuwalne niedoskonałości ludzkiego układu nerwowego, takie jak skłonność do nudy w obliczu ogłupiających zajęć) można rozwiązać poprzez translację na scenariusze Średniowiecznej Walki Zbrojnej, a następnie (i tu pojawiały się kolejne dwa arcymodne nowotechnologiczne terminy) wydzielenie ich z chmury w celu późniejszego crowdsourcingu.

Mimo swojej niedorzeczności (fundamentalnej, ewidentnej i często wytykanej przez nabzdyczonych blogerów), system stał się ukochanym dzieckiem wszystkich konferencji informatycznych na Zachodnim Wybrzeżu. Pojawiła się konieczność wydzielenia APPIS-u jako osobnego działu, który rozlał się na całe piętro biurowca w Seattle, opustoszałego - akurat tak się sympatycznie złożyło - po bankructwie zajmującego je wcześniej banku. Nowe pomysły i propozycje zawiązania spółki napływały (jak brnące pod prąd gobliny) w takim tempie i w takich ilościach, że personel APPIS-u nie nadązał z dębem w Rogi Czujności.

Wszystkie cierpiące na brak zajęcia świry komputerowe na świecie, zniecierpliwione ospałością, z jaką programiści Korporacji 9592 reagowali na ich żądania, zaczęli sami produkować własne aplikacje APPIS-owe. Najpopularniejsza z nich przetwarzała obraz wideo z zebrania firmowego (transmisję niskiej jakości, której źródłem mógł być iPhone albo BlackBerry) na relację ze zgromadzenia włochatych, ciężkozbrojnych wojowników zasiadających w średniowiecznym zamczysku przy stole z litych dech. Kiedy uczestnik zebrania podnosił do ust butelkę z wodą witaminizowaną albo kubek dietetycznej beztłuszczowej latte, odpowiadający mu awatar pociągał solidny łyk z pięciolitrowego kufla piwa i bekał donośnie; kiedy zaś ktoś skubnął wielozbożowy batonik, awatar odgryzał parujący kawał mięcha z jagnięcego udźca. Prezentacje w PowerPointcie zmieniały się w tym scenariuszu w upiorne wizje materializujące się z mgły nad czarodziejskim kociołkiem. W pierwszej wersji aplikacji rogate awatary wypowiadały dokładnie te same słowa, które padły z ust odpowiadających im ludzi w prawdziwej sali konferencyjnej, ale to zabawne z początku zestawienie szybko zrobiło się nudne i użytkownicy zaczęli pisać dodatki. I tak, kiedy zrzędlivy szef mieszał z błotem czyjs nowatorski pomysł, w sali biesiadnej rozgrywała się krótka walka, po której podwładny kończył z odrąbaną głową zatkniętą na grot włóczni. Wyglądało więc na to, że sporo aspektów światowej gospodarki można celnie przełożyć na t'rainowe odpowiedniki, żeby dalej rozgrywać je w scenerii Średniowiecznej Walki Zbrojnej. Na odpowiedniej podstronie internetowej Korporacji 9592 prawdziwy herold z prawdziwą trąbką codziennie ogłaszał wynikającą z tego poprawę wyników handlowych.

Richard upierał się - nie do końca w żartach - że chciałby zobaczyć dziesięć procent światowej gospodarki przeniesione do *T'Rainu*, a przynajmniej dziesięć procent światowej gospodarki informacyjnej (ponieważ jednak we współczesnym świecie gospodarka informacyjna maczała palce dosłownie we wszystkim, zastrzeżenie to nie było specjalnie znaczące). Pracownicy fabryki, którzy kontrolują spływające z taśmy wihajstry w poszukiwaniu defektów, powinni mieć możliwość przełożenia swojego zajęcia na wizję bardziej porywającą dla neuronów - na przykład, szybowanie nad górską doliną na grzbiecie skrzydlatego wierzchowca, obserwowanie zatopionych w spokojnej wodzie kamieni i wypatrywanie tych, które zawierają drobinę magicznego kruszcu.

Ten pomysł również był absurdalny, jak cierpliwie wykladał Richardowi C-plus, ponieważ każdy algorytm widzenia maszynowego dostatecznie cwany, żeby przerobić uszkodzony wihajster na pływający się w wirtualnej rzece samorodek, musiał zarazem być wystarczająco sprytny, żeby samoczynnie włączyć brzęczyk przy taśmie i oznakować wadliwe ustrojstwo; nie potrzebował do tego ani ludzkiego mózgu, ani wirtualnego świata

fantasy. Na co Richard (z równą, jeśli nie większą cierpliwością) odpowiadał, że nadal ma to w nosie, ponieważ marketing jest najważniejszy, a pisane przez tych przypadkowych gości wykręcane aplikacje są o niebo lepsze od wszystkiego, co on, Richard, mógłby wymyślić.

Mimo ogólnego bałaganu, sprawy pomału zaczęły się układać po myśli Richarda i *T'Rain* zakorzenił się w rzeczywistości znacznie silniej, niżby się tego można spodziewać po kwaziśredniowiecznym świecie fantasy. Z tego też powodu niezbędne okazało się wprowadzenie aplikacji do zarządzania kalendarzem i kontaktami, tudzież różnych innych dodatków, które nawet im się nie śniły, kiedy zaczynali tworzyć nowy świat *ab initio*.

Sam Richard nie używał tego kalendarza. Większość misji w *T'Rainie* wykonywał w pojedynkę, czasem w towarzystwie jednego czy dwóch starych przyjaciół, więc kalendarz nie był mu niezbędny. Przygnębiała go sama myśl o tym, że musiałby tak dokładnie planować swój czas. Wystarczał mu iPhone, a integracja t'rainowego kalendarza z iPhone'em zgrzytała i w gruncie rzeczy nie była warta zachodu. Zresztą, nawet gdyby działała bez zarzutu, po prostu bardziej zapchałaby mu grafik chłamem i zmniejszyła liczbę dni całkowicie wolnych, na których widok, kiedy jakby z bożej łaski wyświetlały się na ekranie, zawsze dostawał sympatycznego endorfinowego kopa.

W związku z powyższym Richard nie był zagrożony zarażeniem REAMDE i kiedy następnego dnia po tym, jak Peter i Zula wrócili do Seattle, obudził się w swojej ogromnej, okrągłej, stylizowanej na średniowiecze sypialni w zamku i sprawdził firmową pocztę, bez szczególnych emocji odnotował serię wiadomości zatytułowanych ALARM BEZPIECZEŃSTWA. Pojawił się nowy wirus. Nazywa się REAMDE (*sic!*), co jest przypadkowym lub celowym/ironicznym przekręceniem README. Od kilku tygodni zbierał siły, by przez ostatnie dwa, trzy dni namnożyć się wykładniczo, jak to wirusy mają w zwyczaju. Prawdę mówiąc, był prostą konsekwencją APPIS-u i wysiłków Richarda zmierzających do zrobienia z *T'Rainu* maszyny do pieniędzy wykraczającej poza światek zapalonych graczy - i w gruncie rzeczy był zjawiskiem wręcz pożądanym z biznesowego i marketingowego punktu widzenia. Poświęcone mu publikacje w specjalistycznej prasie dowiodą, że *T'Rain* wyewoluował z produktu niszowego dla wariatów i stał się normalną aplikacją biznesową, postrzeganą przez zwykłych zjadaczy chleba jako niezbędna na co dzień, obok Excela czy PowerPointa. Richard był gotów się założyć, że kiedy na następnym kwartalnym zebraniu zapoznają się z wynikami sprzedaży, stwierdzą, że ostry wzrost obrotów idealnie zbiegł się w czasie z darmową reklamą, którą zawdzięczali wypłynięciu tego straszliwego wirusa.

Na dziś kalendarz zaplanował mu wolny dzień, za to na jutro prorokował wyjazd do

Seattle, żeby później z samego rana mógł się wypuścić w kolejną błyskawiczną podróż do Nodaway i na wyspę Man. Przyszło mu do głowy, że mógłby użyć REAMDE jako pretekstu do wcześniejszego powrotu do Seattle i wyruszyć jeszcze dziś - i pewnie tak by właśnie zrobił, gdyby od ostatniej rozmowy z Zulą upłynęło więcej czasu. Ale przecież Zula dopiero co wyjechała, a on nie chciał jej straszyć, zmieniając się w przerażającego wujka-prześladowcę. Niech sama zdecyduje, kiedy będzie gotowa poświęcić mu więcej czasu.

Postanowił więc nie zmieniać planu zajęć, zwłaszcza że i tak zanosilo się na to, że przez cały dzień będzie zajęty odpisywaniem na e-maile od znajomych i rodziny, skarżących się na trolla, który wziął ich pliki na zakładników.

* * *

Nie było przebudzenia, lecz stopniowe odtwarzanie świadomości z kawałków, które, choć sprawne, zostały w jakiś sposób rozłączone. Patrzyła z wysoka na szpachlowane śniegiem góry, takie same jak na ekranie powitalnym *T'Rainu*, a jednocześnie wydawało jej się, że chodzi po nich boso, tak jak boso pokonała ze swoimi pobratymcami większość drogi z Erytrei do Sudanu. Śniąc, często wracała do tamtej wędrówki, zupełnie jakby unerwienie jej stóp miało najbardziej bezpośrednie połączenie z mózgiem. W snach górski śnieg był ciepły w dotyku. Wiedziała, że to bez sensu, ale miała świadomość, że jest zasługą magii wymyślonej przez Devina Skraelina i bazującej na jakiejś aluzji Donalda Camerona. Później, jej i Plutonowi kazano tę magię urzeczywistnić, naprawdę stworzyć ten śnieg, po którym szła teraz w karawanie erytrejskich uchodźców, żeby sprawdzić, jak się trzyma pod naciskiem.

Jej pamięć znów zaczęła normalnie funkcjonować - i odpowiedziała, że od dłuższego czasu leży na boku, ma półprzymknięte powieki i wygląda przez okno. W dole przepływały góry. Świat buczał i dudnił basowo.

Leciała samolotem. Fotel pachniał porządną skórą. Został maksymalnie rozłożony, tworząc płaską leżankę. Ktoś przykrył Zulę kocami. To były ładne koce. Nie takie zwykłe, samolotowe.

Nie została zgwałcona ani wykorzystana w inny sposób. Miała obandażowaną głowę. Przypomniła sobie lilie i nóż.

I latte. Wsypali jej rohypnol do kawy.

Poruszyła się i stwierdziła, że wszystkie jej części składowe działają bez zarzutu, trochę tylko zeszytniała od leżenia w jednej pozycji.

Odwróciła głowę od okna i spojrzała - niczym w wylot lufy - w głąb kadłuba małego odrzutowca.

Po drugiej stronie przejścia leżał Peter i gapił się na nią. Aż podskoczyła na ten widok.

Znajdowali się w tylnej części kabiny, na samym końcu. Z przodu siedział Sokołow. Na czubku nosa miał okulary do czytania i przeglądał jakieś dokumenty.

W zamykającej kabinę ścianie znajdowały się drzwi, prowadzące, jak domniemywała Zula, do następnego przedziału pasażerskiego. Nie widząc nigdzie Iwanowa, domyśliła się, że musi znajdować się za tymi drzwiami.

- Od dawna jesteś przytomna? - zapytał Peter.

- Jakąś minutę. A ty?

- Z pół godziny. Zula?

- No?

- Masz jakieś pojęcie, dokąd lecimy?

Zula odrzuciła koce, wstała i chwiejnym krokiem przeszła na dziób samolotu, mijając po drodze Sokołowa. Drzwi do kabiny pilotów były zamknięte, ale tuż obok znajdowała się toaleta.

Coś z chrzęstem i łoskotem upadło jej pod nogi. Spuściwszy wzrok, rozpoznała swoją torbę, rzuconą przez Sokołowa. Spojrzała mu w oczy.

- Dzięki.

Przez trzy sekundy podtrzymał kontakt wzrokowy, a potem wrócił do swoich papierów.

Zula weszła do łazienki, usiadła na sedesie, złapała się za głowę i wysikała.

Myśl.

W jaki sposób Iwanow i jego kumple wywieźli ich z kraju?

Wuj Richard latał czasem prywatnymi odrzutowcami na wyspę Man, w odwiedziny do dona Donalda; często jej opowiadał, jakie to łatwe i bezproblemowe. Bez odprawy, bez kontroli osobistej, bez czekania. Po prostu wsiadasz i lecisz.

Nie wiedziała, jak rohypnol na nią wpłynął. Kompletnie odleciała? Lekko ją zamroczyło? Czy stała się posłusznym zombi? Tak czy inaczej, Rosjanie mogli zapakować ją i Petera do samochodów, nie zwracając niczyjej uwagi, przewieźć na Boeing Field, prosto (jeśli wierzyć wujkowi Richardowi) na pas startowy, pod sam samolot, gdzie już łatwo byłoby wciągnąć ich po schodkach na pokład.

To naprawdę nie byłoby trudne. Owszem, gdyby ktoś ich zauważył lub złapał, groziły im surowe kary, ale nie wyglądali na ludzi, którzy by się tym przejęli. I choć to było chore, w pewnym sensie to się jej w nich podobało.

Przeszukała torbę. Paszport zniknął. Zabrali też seczoryk z kieszeni spodni, kluczyki do samochodu (i tak chwilowo bezużyteczne) i iPhone'a. Zostawili książkę, drobiazgi zabrane

z mieszkania Petera, kosmetyki, tampony, gadżety do włosów, mydło do rąk w płynie i kamizelkę z polaru, standardowe wyposażenie mieszkanki Seattle. Zginęły wszystkie długopisy i ołówki. Czyżby dlatego, że mogłaby ich użyć jako broni? Napisać prośbę o pomoc? Ktoś przeszukał jej główny bagaż (dużą torbę, którą zabrała na wycieczkę narciarską) i przepakował do podręcznej torby (chwała Bogu!) bieliznę, dwie koszulki i szorty.

Czyli lecieli do ciepłych krajów.

Myśl.

Kiedy ktoś zauważy jej nieobecność? W pracy wszyscy wiedzieli, że wyskoczyła na weekend na narty; jeśli dziś nie przyjdzie do biura, pomyślą, że odsypia wycieczkę. Ale kiedyś w końcu - może za kilka dni? - zaczną się martwić.

I co wtedy?

Zaczną jej szukać u Petera i znajdą samochód - chyba że Rosjanie wywieźli go i utopili w mętnych wodach Duwamish. Nie znajdą jednak nic, co by wzbudziło podejrzenia.

Zniknęła z powierzchni Ziemi.

Zmartwiła się - do tego stopnia, że trochę się usmarkała - ale nie wybuchnęła płaczem. Płakała wcześniej, u Petera, kiedy było naprawdę źle, dopóki nie uwierzyła jak ostatnia naiwna, że problem został rozwiązany. Tak jakby można się było tak prosto wyłgać z takiej kabały. Wróciła do punktu wyjścia, do momentu, kiedy u Petera przestała płakać i zaczęła myśleć, co dalej.

Posprzątała po sobie i przeprowadziła drobną konserwację wytuszuowanych rzęs. Nie chciała, żeby ktoś się zorientował, że przykłada wagę do makijażu - ale nie chciała też, żeby pomyśleli, że się rozkleja. Przekaz był prosty, chociaż podprogowy: Zula się trzyma i wciąż ma swoją dumę. Rozczesała włosy, związała je w kucyk, przebrała się w najczystsze wyłowione z torby ciuchy i wróciła na swoje łóżko, któremu z powrotem nadała normalny kształt fotela. Usiadła i zagapiła się na góry.

- Wiesz, która godzina? - spytała.

Peter pokręcił głową.

- Zabrali mi komórkę.

Zula przez chwilę milczała.

- Lecimy do Xiamen - powiedziała w końcu.

- To po drugiej stronie oceanu!

- Co z tego?

- Cały czas lecimy nad górami!

- Z Seattle nie leci się nad Pacyfikiem, tylko na północ: Vancouver Island,

południowy wschód Alaski, Aleuty, Kamczatka. - Ruchem głowy wskazała za okno. - I wszędzie po drodze góry takie jak te: młode, strome, wypiętrzone na granicy płyt kontynentalnych.

- Władywostok - powiedział Sokołow, nie podnosząc głowy znad papierów.

- A nie mówiłam?

- Co to jest Władywostok?

- Miasto na wschodnich krańcach Syberii.

- Na Syberii... Super.

- Lecimy do Xiamen - powtórzyła z uporem Zula. - Inaczej to by nie miało sensu.

- Może po prostu przerzucą nas do Rosji i...

- I co? Zabijają? Mogli to zrobić w Seattle.

- No, nie wiem... Mogą nas sprzedać. Jako białych niewolników.

- Ja nie jestem biała.

- Wiesz, o co mi chodzi.

- Widziałeś Iwanowa. Dla niego liczy się w tej chwili tylko jedno: chce dorwać trolla.

I go... - Zula zawahała się na krawędzi tego słowa, ale nie było sensu szukać grzeczniejszych określeń. - Zabić.

- To by miało sens... - Peter pomału przekonywał się do jej pomysłu. - Międzylądowanie we Władywostoku, po sprzęt czy co tam im jest potrzebne, i następny skok do Xiamen.

Dla Zuli rozmowa skończyła się, kiedy wypowiedziała słowo „zabić”. Została wplątana w morderczy spisek. Wspomnienia wydarzeń w mieszkaniu Petera powoli przesączały się do jej świadomości. Po telefonie do Corvallis była pewna, że nie było innego wyjścia, ale kiedy teraz odtwarzała całą scenę z pamięci, gryzły ją wątpliwości.

Drzwi w tylnej grodzi otworzyły się z impetem. Zawinięty w szlafrok Iwanow, nie zwracając na nikogo uwagi, poszedł do toalety.

Peter wciągnął stopy na siedzenie, podciągnął kolana pod brodę i objął nogi rękami. Spuścił głowę.

Jego zachowanie w pierwszej chwili zirytowało Zulę, ale musiała przyznać, że miał nad nią przewagę: wcześniej się obudził i dłużej rozmyślał o ich sytuacji. Z upływem czasu ekscytacja prywatnym odrzutowcem ulotniła się i Zula zaczęła dochodzić do tego samego wniosku, co wcześniej Peter: nie ujdą z tego z życiem.

Odświeżony Iwanow wyszedł z łazienki. Prześlizgnął się wzrokiem po Zuli, ale nie próbował nawiązać z nią kontaktu. Uprzejmość, jaką okazywał jej w mieszkaniu Petera, miała

służyć określonej celowi, a teraz ten cel przestał istnieć.

Peter uniósł głowę i obserwował Zulę obserwującą Iwanowa.

- Przepraszam - powiedział, kiedy Rosjanin zniknął w swojej części kabiny.

- Nikt nie mógł tego przewidzieć.

- Mimo wszystko...

- Nie, Peter. REAMDE to był przypadek. Po prostu mieliśmy pecha.

Zula umilkła na dłuższą chwilę.

- Może nie będzie tak źle - dodała po paru minutach.

- Co?

- Myślisz, że kiedy już dostaną to, czego chcą...? - Zula dyskretnie przeciągnęła kciukiem po gardle.

- Tak to sobie wyobrażam.

- Zakładasz, że taka sytuacja to... norma. Zwykła procedura. A mnie się nie wydaje, żeby tak było.

Peter zerknął na Sokołowa, zanim Zula powiedziała za dużo.

Samolot zaczął się zniżać nad kolejnymi ośnieżonymi górami.

Wylądowali na długim, solidnie utwardzonym pasie startowym pośrodku lasów, w których zalegały placki śniegu, ale sam port lotniczy wyglądał zupełnie zwyczajnie, jakby obsługiwał ruch pasażerski i towarowy, krajowy i zagraniczny. Z pasa było widać liczne hangary i budynki użytkowe, za to terminal pasażerski jakoś nie rzucał się w oczy. Odrzutowiec podkołował na plac, na którym parkowało jeszcze kilka małych samolotów, i znalazł sobie na nim ustronne miejsce.

Sokołow przeszedł przez całąabinę i pozasłaniał okna. Mówiący po rosyjsku piloci wyszli z kokpitu i otworzyli drzwi. Do środka napłynęło świeże, rześkie powietrze. Iwanow z Sokołowem wysiedli. Peter i Zula zostali sami.

- To znaczy, że tamci w Seattle... - zaczął Peter.

- Miejscowe osiłki.

- Pracownicy tymczasowi.

- Mhm.

Usłyszeli, jak obok samolotu zatrzymuje się jakiś pojazd. Ktoś z niego wysiadł, Sokołow wdał się z nim w rozmowę. Pojazd odjechał. Nie było słychać głosu Iwanowa, do kabiny sączyły się tylko głosy nowo przybyłych, wraz z dymem papierosowym.

- Pamiętasz, jak Iwanow powiedział, że już jest trupem? - spytała Zula.

- Pamiętam.

- Dlatego właśnie przypuszczam, że na co dzień musi zarabiać na życie w inny sposób.

- Czyli, co to jest, według ciebie, co teraz robi?

- Misja samobójcza.

- Od razu mi lepiej...

- Ja mówię poważnie, Peter. To dla nas dobrze.

- Niby jak?

- Gdyby miał nadzieję, że przeżyje, musiałby się nas pozbyć, żeby zatrzeć ślady. Ale jeśli spodziewa się śmierci, to pewnie nie wybiega myślami zbyt daleko w przyszłość.

- Chcesz powiedzieć, że uda nam się uniknąć najgorszego?

- A czemu nie? My jesteśmy nieważni. Liczy się tylko to, że możemy mu pomóc znaleźć trolla.

- Poprawka: jemu się wydaje, że możemy mu w tym pomóc.

- Wiesz, Peter, to już twoja działka.

- No wiem. I wiem również, że sprawa wygląda beznadziejnie. Chyba że uda nam się jakoś włamać do sieci tego operatora internetowego i przejrzeć logi. Ale to by było trudne nawet w Seattle. A tutaj? Westmani w Chinach? To nawet nie jest śmieszne. - Peter uśmiechnął się słabo. - Widzisz, właśnie dlatego nigdy nie chciałem pracować w firmie komputerowej.

- Jak to?

- Mamy tu klasyczną sytuację z *Dilberta*: cele techniczne wytycza kierownictwo, które o technice nie ma zielonego pojęcia, kierując się przy tym, jak by to powiedzieć... nieprzeniknionymi pobudkami.

- Z tego wynika, że musimy się bardzo postarać je przeniknąć. Zrobić to, co robią pracownicy firm komputerowych.

- Czyli, co właściwie? Bo to już jest twoja działka.

- Rozbudzać nadzieje. Udawać zapracowanych. Składać sprawozdania z postępów.

- A kiedy tamci stracą cierpliwość?

- Skąd mam wiedzieć? Nie twierdziłam, że znam odpowiedź.

* * *

Podkołował do nich inny samolot, zatrzymał się i zgasił silniki. Wsiadło z niego kilku ludzi. Kolejne rozmowy, kolejne papierosy. Samolotem Iwanowa zatrzęsło, kiedy w luku ładunkowym zaczęły lądować jakieś ciężkie przedmioty, a potem cała maszyna przechyliła się, gdy ktoś wszedł na schodki, i dygotała przy każdym kolejnym kroku.

Nieznamy wszedł do samolotu. Zdaniem Zuli nie różnił się zbyt wiele od wynajętych przez Iwanowa zbirów, którzy przewinęli się przez mieszkanie Petera w Seattle, przy czym wrażenie to opierało się wyłącznie na jego wyglądzie (wzroście, budowie ciała, niezwykle krótko przyciętych blond włosach) i ubraniu - ciemnozielony, niby-wojskowy płaszcz do pół uda mógłby chyba ukryć każdą broń z wyjątkiem bazooki, a wizerunku dopełniały czarne, znoszone buty ze stalowymi wzmocnieniami nosków. Pokonawszy schodki, odstawił na podłogę ogromną torbę - jedną z tych ostatnio modnych toreb dla kurierów rowerowych, z miękkim obszytym pasem naramiennym, którą nosiło się przewieszoną na skos przez plecy.

Najbardziej interesowała go kabina pilotów, toteż w pierwszych chwilach znajomości oglądali głównie tył jego głowy wspartej na nieprzeciętnie grubym karku.

Napatrzywszy się na pulpity sterowania (co chwilę mu zajęło), odwrócił się i z zaciekawieniem obejrzał drzwi toalety. Pchnął je lekko, a kiedy złożyły się jak harmonia, z zainteresowaniem zajrzał do środka. Cały czas się garbił, jakby się bał, że uderzy o coś głową, teraz jednak odchylił się (przy okazji otworzył usta, odsłaniając poślizki i wybrakowane, ale poza tym mocne jak skała zęby) i pomacał sufit ręką, sprawdzając jego wysokość. Tylko utwierdził się w przekonaniu, że gdyby się wyprostował, wyróżniłby w niego krągłą niczym kula armatnia głową.

Dopiero wtedy zauważył Zulę i Petera, i odwrócił się do nich. Miał jasnoniebieskie oczy, szeroko osadzone w masywnej, kościstej czaszce, i rumianą, jakby przypieczoną cerę. Był zaskoczony i zaciekawiony, ale na pewno nie zaniepokojony, że Zula i Peter mu się przyglądają.

- Cześć - odezwał się.

Zula zorientowała się, że angielski nie jest jego ojczystym językiem, ale próbuje wysondować, czy w ten sposób się z nimi dogada.

- Cześć - odpowiedzieli oboje z Peterem.

- Jestem Csongor.

- Csongor haker? - domyślił się Peter.

- Tak - przytaknął Csongor, ubawiony lub speszony, że Peter od razu go w ten sposób sklasyfikował.

Wszedł do kabiny pasażerskiej. Niosąc bagaż obok siebie, nie zmieściłby się w przejściu między fotelami, więc wyciągnął rękę z torbą do przodu i w ten sposób wszedł głębiej.

- Ja jestem Peter. Wiem, że o mnie słyszałeś - odparł Peter skwaszonym, nieledwie wrogim głosem.

Csongor najwyraźniej bardzo serio traktował tę sytuację, bo z powagą podał mu rękę. Peter z niedowierzaniem ją uścisnął, a wówczas Csongor odwrócił się do Zuli, czekając na prezentację.

- To jest Zula - wyjaśnił Peter takim tonem, jakby Csongor miał zaraz paść trupem.

Zula podała rękę Csongorowi, który schylił się i ją pocałował. Zrobił to bez cienia afektacji, jakby całowanie kobiet po rękach było dla niego czymś zupełnie naturalnym.

Postawił torbę na skórzanym fotelu, bardzo ostrożnie, jakby w środku znajdowało się coś cennego i delikatnego (na przykład laptop), po czym usiadł obok niej i spojrzał na Petera i Zulę.

Peter poruszył się (można by niemal powiedzieć „skulił się”) niespokojnie na fotelu, niezadowolony z nowego rozkładu miejsc siedzących, bo siedział teraz twarzą w twarz z Csongorem. Zula prawie wyczuwała woń napięcia w powietrzu. Peter, jak na introwertyka przystało, zwykle unikał takich sytuacji.

Nastąpiła długa i niezręczna cisza.

- Kto chce zacząć? - zagadnęła w końcu Zula.

Csongor spojrzał pytająco na Petera, ale widząc, że ten najwyraźniej nie chce niczego zaczynać, wykonał drobny gest „za pozwoleniem” i się odezwał:

- Wczoraj... zdarzył się problem z e-mailem Wallace'a. - Mówił po angielsku bezbłędnie, choć z wyraźnym obcym akcentem. - Dwie godziny później poproszono mnie o przybycie na spotkanie do Moskwy. Poleciałem. Żadnego spotkania nie było, zalecono mi tylko przesiadkę do tamtego samolotu. - Ruchem głowy wskazał stojącą po sąsiedzku maszynę. - Posłuchałem tego zalecenia. Samolotem leciało mnóstwo różnych ludzi. Teraz jestem tutaj. Nic nie wiem.

Ani Peter, ani Zula nie odpowiedzieli. Ich brak reakcji trochę Csongora rozbawił, a trochę rozdrażnił.

- Pytałaś, kto chce zacząć - zwrócił się do Zuli. - Nie skończyć.

Nadal nic.

- Wasza historia wygląda pewnie podobnie? - próbował dalej Csongor.

- Nie bardzo - odparła Zula. - Dla nas wszystko zaczęło się od zamordowania Wallace'a w mieszkaniu Petera.

Błękitne oczy Csongora omiotły Petera taksującym spojrzeniem.

- Zamordowałeś Wallace'a?

Zula ze zdumieniem usłyszała własny wybuch śmiechu. Wyglądało na to, że część układu nerwowego odpowiedzialna za śmiech nic sobie nie robi z tego, co inne, ważniejsze

kawałki mózgu uważają za stosowne lub nie.

- Nie, nie, nic podobnego. To Rosjanie go zamordowali. A później przywieźli nas tutaj.

- To bardzo źle.

- Zgadza się. Cokolwiek Wallace zrobił, nie zasłużył...

- Nie, nie, mnie chodziło o to, że to bardzo źle dla nas.

- Nie łudziliśmy się, że może z tego wyniknąć coś dobrego - prychnął Peter.

- Wy może nie, ale ja tak.

Zula zorientowała się, że ta nowina zbiła Csongora z pantałyku. Trudno mu się było dziwić - właśnie się dowiedział, że jest zamieszany w morderstwo.

- To fatalnie - podsumował Peter. - Miałem nadzieję, że może będziesz nam umiał powiedzieć, co tu się, kurwa, wyrabia. Kim są ci ludzie? My nic nie wiemy.

Twarz Csongora zrekonfigurowała się w sposób, który sugerował ruch znajdujących się pod nią trybików. Csongor już nie tylko reagował, ale naprawdę myślał.

- Nic? Serio?

Peter wziął wdech, jakby zamierzał odpowiedzieć, ale się rozmyślił.

- Naprawdę nic nie wiesz o zabawach kartami kredytowymi obcych ludzi? - dociekał Csongor. - Może to specjalność Zuli?

- Zula nie ma z tym nic wspólnego. - Peter westchnął. - A ja faktycznie sprzedałem Wallace'owi bazę danych z numerami kart kredytowych.

- Tę, o którą Iwanow tak się wściekł.

- Zgadza się.

- No, to już jest jakiś punkt wyjścia do rozmowy. Ci ludzie... Co o nich wiecie?

- Masz na myśli, ehm, rosyjską... ehm... - Peterowi udało się wykrztusić przymiotnik, ale rzeczownik nie chciał mu przejść przez gardło.

- Mafię. Przestępczość zorganizowaną. Nazwijcie ich, jak chcecie. - Csongor rozłożył ręce i wzruszył ramionami, dając do zrozumienia, że nazwa nie gra roli. - Są inni niż na filmach i w telewizji...

- Co ty powiesz? Przylecieli prywatnym odrzutowcem, zrobili mi wjazd do mieszkania, zabili Wallace'a... Jakbym czytał scenariusz filmowy.

- To absolutnie niezwykle - odparł Csongor. - Powiem szczerze, że jestem zdumiony.

- Pocieszyłeś mnie.

- Większość tego, co robią, jest bardzo nudna. Próbują po prostu jakoś wyżyć w tym niewiarygodnie popieprzonym systemie. Tylko o to im chodzi. Nie o emocje. Nie o przemoc.

Fortun w Rosji nie dorobili się na takich wariactwach, jak handel narkotykami czy bronią, tylko na zdzierstwie w handlu uzbecką bawełną. Dopiero kiedy weszli do Stanów i Kanady, wzięli się za przekręty na ubezpieczeniach zdrowotnych, handel paliwem bez podatku... No i za karty kredytowe. Mnóstwo kart.

- A jaką ty odgrywasz w tym rolę? - zainteresowała się Zula. - Jeśli wolno zapytać...

- Zapytać wolno. Wolałbym jednak nie odpowiadać, ponieważ to wstydlivy temat.

Nie ma się czym chwalić.

- Jak chcesz. Nie musisz odpowiadać.

Csongor się zamyślił. Z początku Zula obstawiała, że jest po trzydziestce, ale odkąd miała mu się okazję lepiej przyjrzeć, doceniła elastyczność rysów i szczerą reakcję, doszła do wniosku, że jest raczej przerośniętym dwudziestopięciolatkiem.

- Teraz odpowiem trochę, potem może więcej. Co wiecie o historii Węgier?

- Nada.

- Nul.

Csongor najwyraźniej nie znał tych slangowych odzywek, więc dla pewności Zula ekspresyjnie wrzuciła ramionami. Csongor pokiwał głową, ale sprawiał wrażenie trochę przestraszonego, jakby nie wiedział, od czego zacząć.

- Ale na pewno wiecie, że mniej więcej do roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego Węgry należały do Układu Warszawskiego i znajdowały się pod ścisłą kontrolą Rosjan. - Kiedy Peter i Zula pokiwali głowami, jakby to wszystko było im wiadome, Csongor wyraźnie się ucieszył. - Dzisiaj jest w porządku, kraj mamy na wskroś nowoczesny, standard życia wysoki... Ale w latach dziewięćdziesiątych, kiedy byłem nastolatkiem, gospodarka była w fatalnym stanie. Komunizm został wysadzony w powietrze jak stary pomnik Stalina, ale powstanie nowego systemu wymagało czasu. Przez te kilka lat doświadczyliśmy inflacji, ubóstwa, wszystkiego. Mój ojciec był nauczycielem w szkole. Miał wyższe kwalifikacje, ale to inna historia. Grunt, że w domu się nie przelewało, a na życie umieliśmy zarabiać tylko głową. Wyszło na to, że to nie ja jestem ten bystry, tylko mój starszy brat.

- I co robi? - zainteresowała się Zula.

- Bartos jest na stażu na UCLA. Doktoryzował się z topologii.

- Aha. - Zula spojrzała na Petera i wyjaśniła: - To taki rodzaj matematyki.

- Dziękuję - warknął Peter.

- Ale mnie daleko było do Bartosa, więc szukałem innych sposobów zarobkowania.

Nauczyciele upierali się, że mam grać w szkolnej drużynie hokejowej, ale ja darowałem sobie

lekcje i sam nauczyłem się programowania. I nagle się okazało, że można na tym zarobić. Kiedy gospodarka się rozkręciła, informatycy zaczęli być potrzebni. Zwłaszcza przy lokalizacji.

- Co to jest lokalizacja? - spytała Zula.

Peter westchnął, dając jej do zrozumienia, że to głupie pytanie.

- Tłumaczenie zagranicznego oprogramowania na węgierski, żeby wszystko działało jak należy w specyficznym węgierskim środowisku - wyjaśnił Csongor. Zula, widząc, jaką przyjemność sprawia mu objaśnianie problemów, dostrzegła w nim cień ojca-nauczyciela. - Podam przykład: z powodu inflacji węgierska waluta mocno się zdewałowowała. - Coraz bardziej rozochocony, wyciągnął z kieszeni portfel i wyjął z niego plik banknotów wyemitowanych przez MAGYAR NEMZETI BANK, ilustrowanych portretami wąsatych ludzi w fantastycznych kapeluszach, których Zula widziała pierwszy raz w życiu. Nominały były ogromne: najniższy był tysiąc, a trafiło się i kilka pięciocyfrowych. - Może się zdarzyć, że jakaś prościutka zagraniczna aplikacja handlowa, na przykład do obsługi kasy sklepowej, nie będzie u nas działała poprawnie, ponieważ oczekuje cen w formacie ułamka dziesiątego, z przecinkiem. Tak wy zapisujecie dolary i centy. Tylko że u nas nie ma żadnych centów, nie ma nawet przecinka, jest tylko jedna liczba całkowita. Dlatego trzeba trochę taki program poprawić. Robiłem to dla naszych kupców.

- To samo dotyczy czytników kart magnetycznych - domyślił się Peter, okazując wreszcie trochę cierpliwości.

- Otóż to. W czasach Układu Warszawskiego kupcy nie mieli czytników, ale kiedy w latach dziewięćdziesiątych gospodarka ruszyła z kopyta, nagle wszyscy chcieli je mieć. Kiedy się rozeszło, że umiem je programować, miałem huk roboty. Ojca zabiły papierosy, mama zarabiała słabo, więc to moje pieniądze szły na szkołę Bartosa i na życie. I bardzo dobrze. Był tylko jeden haczyk, bo widzicie, ostatni żołnierz radziecki wyjechał z Węgier w dziewięćdziesiątym pierwszym, ale byli jeszcze inni Rosjanie, którzy przyjechali w czasie zimnej wojny i zostali na dłużej.

- Tacy jak ci. - Zula skinieniem głowy wskazała sąsiedni samolot.

- Właśnie. Mafia. Czyli tak, pierwszy etap nowej gospodarki był taki, że wszystko się posypało. Etap drugi: poprawiło się i ludzie dostali karty kredytowe. Etap trzeci...

- Oszustwa na kartach - domyślił się Peter.

- Tak jest. Próbowano różnych sposobów; jedne były lepsze, inne gorsze. Najlepszy jest taki: kelner w restauracji ma w kieszeni czytnik. Klient chce zapłacić rachunek. Podaje kartę kelnerowi. Kelner zabiera ją w miejsce, w którym nikt nie patrzy mu na rękę, tam

przeciąga przez czytnik. Rachunek zapłacony, wszystko odbyło się uczciwie.

Peter kiwał głową, jakby znał ciąg dalszy, więc Csongor dokończył już tylko na użytek Zuli:

- Kelner przeciąga kartę również przez drugi czytnik, ten trzymany w kieszeni, i w ten sposób kopiuje zawarte na niej dane. Czytnik zapisuje dane wielu takich kart; można je potem sprzedać na czarnym rynku.

- I ty też wszedłeś w ten przewał - dokończył Peter.

Csongor się zawahał. Niezbyt podobał mu się ten dobór słów.

- Zgodziłem się napisać oprogramowanie do pewnego urzędu. Może byłem naiwny, ale dopiero znacznie później uświadomiłem sobie, do czego to urządzenie ma służyć.

Peter cicho parsknął. Csongor wychwycił tę reakcję, przetrwał, ale w końcu tylko wzruszył potężnymi ramionami i przeniósł wzrok na Zulę - tak jakby to ona miała prawo orzekać w takich sprawach.

- Cóż, jestem po prostu ostatni w bardzo długim szeregu Węgrów, którzy na przestrzeni dziejów dawali się namawiać do najgłupszych przygód Niemcom, Rosjanom i innym. Ale w ten sposób trafiłem do tej kultury... - Tu Csongor spojrzał znacząco na Petera, a Zula zrozumiała, że ma na myśli świątek hackerski. - W niej byłem kimś. Miałem poważanie. Dla nastolatka to jak narkotyki.

Peter nie spojrzał mu w oczy, więc Csongor mówił dalej, jakby ta sprawa została wyjaśniona.

- Jakiś czas potem zgłosił się do mnie klient, skarżąc się na nadmiar danych. Wyprodukowano tysiące takich czytników, które następnie trafiły do kelnerów nie tylko na Węgrzech, ale w całej Europie, i pojawiły się problemy z przechowywaniem informacji, z bezpieczeństwem i tak dalej, więc czy mógłbym coś z tym zrobić? Aha, i gdyby się okazało, że nie, to mogą mnie zadenuncjować na policji. Albo narobić mi kłopotów w inny sposób. Zacząłem więc programować systemy dostosowane do potrzeb użytkowników. A potem potrzebny był ktoś, kto by taki system konserwował. Ktoś zaufany. Tym sposobem z biegiem lat wyewoluowałem w coś w rodzaju administratora bez stałego przydziału. Instaluję serwery, montuję systemy pocztowe, stawiam wiki...

- Wiem, kim jest administrator systemu - wtrącił Peter.

- Moimi klientami są małe firmy, czasem nawet jednoosobowe, za małe, żeby zatrudnić kogoś na stałe. Specjalizuję się w sytuacjach wymagających szczególnej dbałości o dyskrecję i bezpieczeństwo.

- Pracujesz dla gangsterów - podsumował Peter.

- Tak jak ty.

- To mnie nudzi - odezwała się Zula.

Csongor spojrział na nią z mieszaniną zaciekawienia i żalu.

- Administracja systemów?

Pokręciła głową i pokazała mu dwie zderzające się pięści, spoglądając przy tym znacząco to na niego, to na Petera. Chyba zrozumieli.

Zula mówiła dalej:

- Domyślam się, że Wallace się z tobą skontaktował i powiedział: „Potrzebny mi bezpieczny e-mail i ktoś, kto nie zadaje pytań”.

- Tak właśnie było. Wiedziałem, że pracuje dla Iwanowa, ale z drugiej strony... Szkocki księgowy z Vancouver? Bułka z masłem! Prawda?

Csongor roześmiał się i klepnął z uciechy po udzie, licząc na to, że Peter i Zula podzielą jego ironiczne rozbawienie.

Peter nie miał na to ochoty.

- Kim jest Iwanow? - zapytał. - Co Wallace dla niego robił?

Csongor osunął się na oparcie fotela i przetaił oczy. Nagle poczuł się bardzo zmęczony.

- Pracowałem dla nich już sześć lat, zanim poznałem Iwanowa. Pewnego dnia przyjechał po prostu do Budapesztu, zabrał mnie na mecz hokeja, potem na kolację... Wtedy zrozumiałem, kto naprawdę jest szefem.

- Ale było już za późno.

- Tak. Za dużo wiedziałem i w ogóle. W Rosji jest trochę takich grup, jak ta, do której należy Iwanow. Niektóre składają się z Rosjan; to jest jedna z nich. Inne tworzą Czeczeni, Uzbeki, różni... Te rosyjskie są najstarsze, datują się chyba jeszcze z czasów Iwana Groznego. Kto do takiej należy, jest z nią związany na całe życie.

- To niewiele - prychnął Peter.

- Słucham?

- Ile średnio żyje gangster? Trzydzieści lat?

- Wprost przeciwnie. Właśnie dlatego, że mają tyle rutynowych, nudnych zajęć, wielu dożywa sędziwego wieku. Na tym zresztą polega problem.

- Jaki problem?

- Problem Iwanowa.

- To znaczy?

- Każda taka grupa tworzy specjalny fundusz, nazywany *obszczakiem*, pulę wspólnych

pieniędzy, które przeznaczają się na różne cele. Także na ubezpieczenia.

- Ubezpieczenia?! Chcesz powiedzieć, że rosyjscy mafiosi normalnie chodzą do dentysty?!

Csongor wzruszył ramionami.

- Nie rozumiem, co cię tak dziwi. Człowiek, którego rozbolał ząb, potrzebuje pomocy bez względu na to, kim jest z zawodu. Tego rodzaju świadczenia opłaca się z *obszczaku*. Kiedy członek grupy dożywa wieku emerytalnego, żyje z pieniędzy *obszczaku*. Poza tym finansuje się z niego także różne... - Csongor spojrzął na drugi samolot. - Różne operacje.

- Czyli jesteśmy gośćmi *obszczaku* - podsumował Peter.

- Tak, ale chyba nieoficjalnie.

- To znaczy?

- Moim zdaniem Iwanow *de facto* kradnie pieniądze, którymi opłacił wynajęcie tego samolotu. Ci ludzie zwykle nie działają w taki sposób. W swoich inwestycjach są ogromnie konserwatywni. Nie zaangażowałiby się w takie wariactwo.

Peter prychnął.

- Fundusz emerytalny to fundusz emerytalny - powiedziała Zula.

- Właśnie - przytaknął Csongor, zwracając się do niej. - Większość *obszczaku* inwestuje się w zwyczajne instrumenty finansowe. Wallace jest... brakuje mi słowa...

- Menedżerem funduszy? - odpowiedziała Zula.

- Menedżerem menedżerów funduszy. Rozdziela majątek klientów pomiędzy specjalistów od zarządzania funduszami, ocenia ich wyniki, w razie potrzeby przenosi pieniądze.

- To nie wszystko - odezwał się Peter. - Poznałem go, kiedy chciał ode mnie kupić kradzione numery kart kredytowych.

- To u Wallace'a raczej niezwykle zachowanie.

- Też odniosłem takie wrażenie.

- Szefem Wallace'a jest, to znaczy był, Iwanow. Wydaje mi się, że to on popełnił jakieś błędy. Część powierzonych mu pieniędzy miała zostać zainwestowana legalnie; tę część powierzył Wallace'owi. Reszta miała zostać przeznaczona na coś, co nazwalibyśmy „przestępczością zorganizowaną”. Nie mam pewności, ale wydaje mi się, że Iwanow wpadł w tarapaty.

- Któryś z jego planów zawiódł - domyśliła się Zula.

- Albo sprzeniewierzył kasę z *obszczaku*. Może nie jest właściwym człowiekiem do zarządzania takim funduszem.

Peter się roześmiał. Csongor pozwolił sobie na ledwo dostrzegalny uśmiezek.

- Wyniki kwartalne były kiepskie - ciągnął. - Iwanow wiedział, że ma kłopoty, i musiał podjąć jakieś ryzyko, żeby poprawić statystyki; zresztą, tacy jak on są chyba uzależnieni od ryzyka. Zorganizowali więc z Wallace'em jakieś skomplikowane transakcje, a przy okazji zainwestowali część zarządzanych przez Wallace'a pieniędzy w takie przewały, jak ten z kartami kredytowymi. I kiedy Wallace stracił pliki...

- Domek z kart się rozpadł - powiedziała Zula.

- No właśnie.

- To dlaczego jeszcze nie dorwali Iwanowa?

- Bo na razie nic nie wiedzą. Iwanow ma długą smycz i zareagował błyskawicznie. Zanim jego szefowie się zorientują, że coś tu nie gra, on już będzie w Xiamen.

- Czyli naprawdę lecimy do Xiamen - skonstatowała Zula.

- Tak mi powiedzieli - przytaknął Csongor. - Mamy znaleźć trolla.

- Zabiją nas?

Csongor zastanawiał się nad odpowiedzią nieco zbyt długo, jak dla Zuli.

- To chyba zależy od Sokołowa.

- A kim on właściwie jest?

- Wynajętym specjalistą, jak Wallace. Z tą różnicą, że Sokołow odpowiada za bezpieczeństwo.

- Aż się boję pytać o jego kwalifikacje.

- Dwukrotny bohater wojenny: z Afganistanu i z Czeczenii.

- Czyli żołnierz - przetłumaczył Peter. - Nie gangster.

- Jedno z drugim się łączy. To skomplikowane.

- Ale jeżeli Iwanow faktycznie działa na własną rękę, wojskowemu może się to chyba nie spodobać? - spytała Zula. - Nie musi wykonywać rozkazów, jeśli dojdzie do wniosku, że jego szef ocipiał.

- Nie znam Sokołowa - odpowiedział lakonicznie Csongor.

* * *

Sokołow wszedł na pokład samolotu i cofnął się w głąb kokpitu, puszczając gości przodem. Krótco ostrzyżeni rosyjscy konsultanci do spraw bezpieczeństwa wchodzili do kabiny jeden po drugim i zajmowali w niej miejsca zgodnie z sugestiami Sokołowa. Byli od niego młodszy, ale trudno by ich było nazwać naprawdę młodymi, ponieważ ich wiek mieścił się w przedziale od blisko trzydziestu do blisko czterdziestu lat. Wszyscy mieli intrygujące twarze, Zula jednak wołała im się zbyt natrętnie nie przyglądać, żeby jej na tym nie

przyłapali. Ona, Peter i Csongor zostali na swoich miejscach w głębi kabiny. Ludzie Sokołowa pozajmowali poza tym wszystkie fotele, a kiedy zabrakło miejsc, porozsiadali się w przejściu na podłodze. Łącznie z Sokołowem było ich siedmiu.

Podjechał samochód. Ci sami dwaj rosyjscy piloci wsiedli do odrzutowca i wzięli się za papierkową robotę. Z auta przerzucono do samolotu kolejną porcję ładunku, a kiedy ładownia się zapełniła, nadmiarowe paczki podano z dołu do kabiny pasażerskiej i poupychano po wszystkich wolnych kątach. Iwanow również wsiadł na pokład i przeszedł prosto do swojej części kabiny; zalaatywało od niego alkoholem. Sokołow wręczył Zuli torbę na zakupy, w której znalazła gumowe klapki Crocsa, kilka koszulek i bieliznę.

Piloci zamknęli drzwi. Sokołow kazał odsłonić okna. Samolot podkołował na pas, wystartował na północ i zawrócił ku południowi. Po kilku minutach, kiedy jeszcze wspinali się na pułap przelotowy, Zula miała okazję przyjrzeć się - jak się domyślała - Władywostokowi: duże miasto portowe na czubku przysadzistego półwyspu, zbudowane nad długą, zakrzywioną jak zagięty palec zatoką oceanu.

Lecieli w milczeniu. Konsultanci palili papierosy. Zula pierwszy raz widziała, żeby ktoś palił w samolocie.

- Jeżeli mamy szukać tego trolla, może powinniśmy to jakoś zaplanować? - zasugerował Csongor.

Konsultanci spojrzeli na niego z zaciekawieniem, ale szybko przestali się nim interesować i zaczęli się przerzucać kąśliwymi uwagami i żartami po rosyjsku. Od czasu do czasu Sokołow kazał im się zamknąć - wtedy na chwilę milkli. A może nie, może Sokołow po prostu wykluczał pewne tematy z dyskusji.

Zula wolała się nie zastanawiać, jakie to mogą być tematy.

- No to mam pytanie na początek: wiesz coś o Xiamen? - zagadnęła.

- Trochę pogooglałem... - przyznał Csongor.

- My nie mieliśmy okazji - wyjaśnił Peter.

- Ciekawe miejsce. Trochę podobne do Węgier.

- Pod jakim względem?

- Ma zbyt wielu sąsiadów.

- Pierwszy raz usłyszałam o nim wczoraj - powiedziała Zula.

- To tam trzymają terakotową armię, prawda? - zapytał Peter.

- Pomyliło ci się z Xian - odparł Csongor ze smętnym uśmiechem, zdradzającym, że i on zrobił ten sam błąd. - Xian leży w głębi lądu, a Xiamen na wybrzeżu, kawałek w górę od Hongkongu. Naprzeciw Tajwanu, po drugiej stronie... Jak wy to nazywacie? Tak wąski pasek

wody...

- Cieśnina - podsunęła mu Zula.

- Po drugiej stronie cieśniny. To przez Xiamen hiszpańskie srebro trafiało do Chin. Hiszpanie dostarczali je galeonami z Meksyku do Manili, stamtąd do Xiamen i dalej w górę Rzeki Dziewięciu Smoków, w głąb lądu. Kiedy dowiedzieli się o tym Holendrzy, w okolicy zaroilo się od holenderskich piratów, którzy chowali się wśród tych wszystkich małych wysepek, napadali na galeony i rabowali srebro; w wolnych chwilach napadali i okradali Chińczyków. Aż przyszedł Koxinga i ich przepędził. To był niesamowity człowiek. Jego matka była Japonką, ojciec chińskim piratem. Urodził się w Japonii, ale wychował w rodzinie muzułmańskich wyzwoleńców (którym jego ojciec zwrócił wolność), dlatego niektórzy podejrzewali, że w duchu jest muzułmaninem. Ale mniejsza o to: przegnał Holendrów i znów przyłączył Tajwan do Chin. Zarówno Chińczycy z kontynentu, jak i ci z Tajwanu uważają go za bohatera. W Xiamen wystawili mu ogromny pomnik.

- Jak to się ma do naszej sytuacji? - spytał Peter, demonstracyjnie okazując anielską cierpliwość.

Csongor zmierzył go wzrokiem.

- Tylko przez chwilę miałem dostęp do Internetu. Zdążyłem ściągnąć trochę starych książek, a potem mnie odciepli. W samolocie podczytywałem te książki.

- Czyli wszystkie twoje informacje pochodzą ze starych książek - podsumował Peter.

- Tak, ale jedna z nich jest bardzo ważna: związki Xiamen z Tajwanem mają kilkusetletnią tradycję i są bardzo złożone. Do tego stopnia, że znajdujące się w porcie w Xiamen dwie wysepki należą do Tajwanu! Leżą niespełna dziesięć kilometrów od Xiamen, ale są częścią terytorium innego kraju. Podczas zimnej wojny Armia Czerwona regularnie ostrzeliwała je z armat.

- Czyli Xiamen ma kontakty z Manilą, Hongkongiem i Tajwanem, jest ważnym portem... - mruknęła Zula. - Czy to tylko takie ogólniki dla turystów, czy mówią nam coś o trollu?

- Może nie o trollu, ale o nas - odparł Csongor. - O naszej sytuacji. Zastanawiałem się, jak zamierzają nas przemycić przez granicę. Trzeba mieć wizę, żeby wjechać do Chin. Wiedzieliście o tym?

- Nie - odparła Zula. Peter pokręcił głową.

- Łatwo ją dostać, ale to wymaga czasu, jest trochę papierów do wypełnienia, trzeba przesłać paszport... Oczywiście, my nie mamy wiz, dlatego myślałem o tym, jak chcą nas przetrzymać do Chin.

Zula i Peter wpatrywali się w napięciu w Csongora, czekając na puentę.

- Pytałeś, jaki to wszystko ma związek z nami. Otóż wydaje mi się, że gdyby chcieli nas przewieźć gdzieś dalej, w głąb Chin, mogliby mieć z tym problemy, ale Xiamen słynie z przemytu i korupcji. Około dziesięciu procent sprzedawanych w Chinach towarów zagranicznych pochodzi z przemytu; przez Xiamen tradycyjnie prowadzi jeden z głównych kanałów przerzutowych. Dziesięć lat temu policja ostro zaprawiła się z przemytnikami...

- Rozprawiała - poprawili go unisono Zula i Peter.

- Tak, właśnie. Wielu urzędników zostało straconych, inni trafili do więzienia, ale Xiamen nadal jest miastem, w którym ktoś taki jak on - Csongor, nie chcąc wymawiać nazwiska na głos, ruchem oczu wskazał prywatną kabinę Iwanowa - może mieć dobre układy z urzędnikami imigracyjnymi, celnikami i tak dalej, dzięki czemu szmugiel żywego towaru ujdzie mu na sucho.

- W porządku - zgodził się z nim Peter. - Załóżmy, że masz rację i uda mu się nas wwieźć. Co dalej?

Csongor chwilę się zastanawiał - nie tylko nad technicznym aspektem poszukiwań trolla, ale chyba też nad tym, co może bezkarnie powiedzieć głośno. Iwanow nie usłyszałby go przez ścianę, ale na pewno usłyszeliby konsultanci, z których przynajmniej jeden (Sokołow) znał angielski.

Głowa odwróconego do Rosjan plecami Csongora ani drgnęła, za to jego wzrok błędził po kabinie w sposób, który zdaniem Zuli był nadzwyczaj wymowny.

- Ten adres, który mamy... - zająknął się, nawiązując, jak domyślała się Zula, do ciągu czterech liczb wypisanego na dłoni Sokołowa.

- Pochodzi z dużej puli adresów należącej do operatora internetowego - powiedział Peter. - Tyle wiemy.

- Moglibyśmy zawęzić tę pulę w sensie geograficznym?

- Nie możemy chyba włamać się do siedziby operatora i przesłuchać adminów...

- Ale admini na pewno przydzielają adresy IP różnym dzielnicom według jakiegoś klucza. I nawet jeśli nie jest on stuprocentowo logiczny...

- To na pewno nie jest całkiem przypadkowy - zgodził się z Csongorem Peter. - Mielibyśmy przynajmniej zgrubne pojęcie.

W tej chwili to Zula poczuła się jak ostatni tłumok, ale praca informatyka nauczyła ją, że lepiej od razu wychylić się i zapytać, niż udawać, że wszystko rozumie.

- Jak zamierzacie zdobyć tę informację?

- Zdzierając zelówki - odparł Peter i spojrzał na Csongora w poszukiwaniu

potwierdzenia.

Twarz Węgra zdradzała, że chyba nie zna tego słowa.

- Czyli chciałbyś wyjść na ulicę... - wyjaśniła Zula. - I co?

- Tam podobno wszędzie są kafejki internetowe - odparł Peter. - Tak słyszałem. Jeśli to prawda, wejdziemy do jednej z nich, zapłacimy, zalogujemy się na komputer i sprawdzimy jego adres IP. Spiszemy go i pójdziemy do następnej.

- Zawsze zostaje jeszcze *wardriving* - powiedział Csongor.

Zula jak przez mgłę kojarzyła, że w tym kontekście oznacza to jeżdżenie po mieście z włączonym laptopem i szukanie niezabezpieczonych sieci wi-fi.

Peter pokiwał głową.

- Pokoje w hotelach.

- Albo nawet same recepcje.

- Na tej podstawie stworzylibyśmy mapę alokacji adresów, która pozwoliłaby nam wytypować okolicę, gdzie mieszka troll. Przy odrobinie szczęścia moglibyśmy nawet znaleźć konkretną kafejkę, z której łączy się z Internetem.

Zula rozważyła ten pomysł.

- Podoba mi się w waszej koncepcji to, że jest taka metodyczna i gwarantuje stopniowe postępy. Łatwo będzie przekonać naszych gospodarzy, że pracujemy nad problemem i mamy wyniki.

Peter z Csongorem zapomnieli chyba o tym aspekcie sprawy - zadbanie o dobre samopoczucie i przyhamowanie paranoi Iwanowa - bo teraz wybałuszyli oczy na Zulę. Z irytacją pokręciła głową.

- W żargonie menedżerskim: dysponujemy metryką, która pozwoli nam określić oczekiwania klienta i wykazać progres na drodze do wyznaczonego celu - dodała.

Peter i Csongor wcale nie byli pewni, czy to żart. Zula również.

Dlaczego tak ją denerwowali?

Dlatego że skoncentrowali się na kwestii technicznej: jak znaleźć trolla - a to był problem Iwanowa, nie ich. Ich problemem był sam Iwanow.

Jeżeli znajdą trolla, będą mieli poważniejszy kłopot. Staną się współnikami morderstwa.

Postanowiła jednak nie mącić, ponieważ jedno jej się w ich planie podobało: wyjdą na ulicę, gdzie może uda się wezwać pomoc. Albo nawet uciec. Nie była pewna, co by się stało, gdyby poszli na policję i przyznali się, że wjechali do Chin bez wiz, ale chyba nie czekało ich nic gorszego niż to, co szykował im Iwanow.

Kątem oka obserwowała Sokołowa: cały czas trzymał na kolanach jakieś dokumenty, ale już od bardzo dawna nie przewrócił kartki. I co chwila uciszał swoją ekipę, niekiedy z wyraźną złością.

Podsluchiwał. Starał się nadążyć za ich rozmową.

- Myślicie, że pozwolą nam tak po prostu wyjść na ulicę?

- To jest pytanie - przyznał Csongor.

- Muszą, jeśli chcą znaleźć trolla - odparł Peter.

- W takim razie spróbuję mu to sprzedać - powiedziała Zula głośno i wyraźnie, żeby Sokołow na pewno zrozumiał. - Wytłumaczę mu, że to jedyny sposób.

* * *

Zaczynała dostrzegać w Csongorze coś, co wcześniej zauważyła u Petera i co (prawdę mówiąc) początkowo pociągało ją w Peterze. Żaden z nich nie odebrał poważnego formalnego wykształcenia, ponieważ obaj przed dwudziestką uznali, że najwyższy czas ruszyć w świat i po prostu znaleźć sobie jakieś zajęcie. I od tej pory każdy z nich szedł swoją drogą - raz z lepszym, raz z gorszym skutkiem. Nie dorobili się ani wielkich pieniędzy, ani prestiżu, ale obu cechowała pewność siebie, jaką rzadko spotyka się u młodych ludzi, którzy podążają powszechnie zalecaną drogą przez szkołę średnią, studia i doktorat. Gdyby chciała być okrutna lub złośliwa, porównałaby tamtych wykształconych i wypieszczonych chłoptasiów do przerośniętych płodów, które w nieskończoność czekają na narodziny (w czym nie było nic złego, biorąc pod uwagę, że uczelnie miały ogromne zapasy także płodów kobiecych). Zula jednak za nimi nie przepadała - może ze względu na dzieciństwo spędzone w obozach dla uchodźców, a może z powodu przedwczesnej śmierci pierwszej przybranej matki. Natomiast kiedyś Peter, a teraz także Csongor urzekli ją swoją (odrzucało ją to słowo, ale nie było sensu się przed nim chować za kolejnymi warstwami samoświadomej ironii) męskością. Która zresztą miała swoje dobre i złe skutki. Tę samą cechę podziwiała u niektórych członków rodziny, przede wszystkim u wujka Richarda, o którym wiedziała, że zasadniczo jest dobrym człowiekiem. Oraz że kiedyś robił różne dziwne rzeczy, że zdarzało mu się krzywdzić ludzi (ale miał wyrzuty sumienia), że potem mu się poszczęściło, że byłby gotów za nią umrzeć i że stosunki z kobietami, ogólnie rzecz ujmując, nie układały mu się najlepiej.

* * *

Samolot zniżył lot i wykonał serię skrętów, które wyglądały jak przygotowanie do lądowania. Słońce miało jeszcze pół godziny do zachodu i w tej chwili oświetlało rozciągający się w dole krajobraz prawie poziomymi promieniami, tworząc wyraziste cienie i

uwypuklając zabudowania i formy terenu. Nawet z samolotu było widać, że na dole musi być gorąco i wilgotno. Topografia okolicy oszałamiała swoją złożonością: masa wielowypustkowych półwyspów wyciągających się jak palce w stronę gulaszu wysepek rozrzuconych w obszernej zatoce, powstałej w połączonym ujściu co najmniej dwóch dużych rzek. Pominąwszy nieliczne łąchy naniesionego piachu i placki sztucznej ziemi na skraju wody, brzegi były strome, a ląd górzysty i zielony. Kiedy zniżyli się jeszcze bardziej, z łatwością wyłowili z tej masy Xiamen - z grubszą okrągłą wyspą oddzieloną od lądu cieśniną tak wąską, że spięły ją nowoczesne mosty, łącząc miasto z czymś, co wyglądało na przemysłowe przedmieście.

Byłaby to zdecydowanie największa wyspa w całej zatoce - gdyby nie jeszcze jedna, bardziej oddalona od lądu, konkurująca z nią powierzchnią, chociaż nie zaludnieniem. Okrągła wyspa Xiamen była bowiem prawie w całości gęsto zabudowana; zieleń ocalała tylko na najbardziej stromych skrawkach interioru. Leżąca na wschód od niej duża wyspa przywodziła na myśl gąbkę, którą ktoś ścisnął tak mocno, że prawie ją przepołowił. Nie była całkiem bezludna, ale nisko położone miasteczka były na niej rzadko rozrzucone i porozielniane rozległymi polaciami pól uprawnych. Gdzie indziej ciągnęły się góry - na pierwszy rzut oka odludne, choć poblżnione krętymi drogami i upstrzone dziwnymi instalacjami, które puchły od kopuł i jeżyły się antenami.

- To jedna z tych tajwańskich wysp, prawda? - spytała Zula.

- Tak przypuszczam - przytaknął Csongor. - A to pewnie instalacje wojskowe. Tak samo wyglądał ten szajs, który Sowietci stawiali na Węgrzech.

Pod skrzydłem samolotu przesunęła się inna, mniejsza wyspa, wyraźnie słabiej rozwinięta od wszystkich pozostałych.

- A to ta druga - powiedział Csongor. - Jedna nazywa się Quemoy, druga Matsu, ale nie wiem, która jest która.

Chwilę później znaleźli się nad Xiamen i po kolejnej serii zawijasów samolot wylądował.

Zamiast podejść do terminalu, skierowali się w mniej efektowne rejony lotniska. Stało tam sporo małych prywatnych odrzutowców, musieli przejechać obok kilkunastu z nich, zanim znaleźli wolne miejsce.

Oczywiście, Zula nie miała zielonego pojęcia, jak zazwyczaj wygląda sektor lotniska wydzielony dla prywatnych odrzutowców w Xiamen, ale wyglądając przez okno, odniosła wrażenie, że panuje w nim niezwykle ożywienie. Za płotem z drucianej siatki tyle czarnych samochodów walczyło o *pole position*, że konieczna była obecność mundurowych, którzy dęli

w gwizdki i wymachiwali rękami. Niektóre pojazdy wpuszczano na płytę lotniska i pozwalano im podejść do samolotów.

Konsultanci Sokołowa z zainteresowaniem przyciskali twarze do szyb.

- Niemcy - powiedział jeden z nich.

- Japonia - powiedział drugi, także po rosyjsku.

- Nazwy krajów - wyjaśnił Csongor Zuli, która siedziała po niewłaściwej stronie kabiny i nie widziała tego, co oni. - Niektóre z tych samolotów to maszyny rządowe. Jest nawet jeden z waszych.

Cofnąwszy się od okna, wskazał odrzutowiec z napisem UNITED STATES OF AMERICA.

- Skąd ich tu tyle? - spytała Zula.

- Pojęcia nie mam. Może jakaś konferencja?

- Tajwan... - odezwał się Peter. - Coś mi się obilo o uszy. To ma coś wspólnego z Tajwanem.

Zula wytrzeszczyła oczy - nie z czystego sceptycyzmu, raczej dlatego, że na co dzień nie spodziewała się po Peterze, żeby był na bieżąco z wydarzeniami na świecie.

- No co? - Wzruszył ramionami. - Czytałem na Slashdocie. Niedawno ktoś z Chin przeprowadził atak DoS na serwery tajwańskich operatorów internetowych, było o tym głośno.

- Faktycznie! - zawtórował mu Csongor. - Też coś słyszałem. Planowali rozmowy o zjednoczeniu, ale nie wiedziałem, że w Xiamen.

Nic więcej nie zobaczyli, bo Sokołow kazał zasłonić okna.

Kiedy samolot się zatrzymał, Iwanow opuścił swoją kabinę i, rozmawiając przez komórkę, wyszedł na płytę lotniska.

Pogasili światła i siedzieli w samolocie jeszcze przez godzinę. Potem Zula zasnęła.

Kiedy się obudziła, nadal było ciemno. Ludzie kręcili się po kabinie, ale nikt się nie odzywał. Zbierali swoje rzeczy, więc Zula zrobiła to samo. Sokołow znów wpasował się w drzwi kabiny pilotów i klepinięciem w ramię zebrał wysiadających po kolei konsultantów.

Csongor, który miał najprawdziwszy zegarek, poinformował Zulę, że od lądowania upłynęło sześć godzin.

Kiedy przeszła na przód kabiny, Sokołow powstrzymał ją wyciągniętą ręką i podał jej czarne zawiniątko. Pachniało nowym ubraniem. Chwyliła je oburącz i rozwinęła: była to czarna bluza z kapturem, ozdobiona nadrukowanym nazwiskiem znanego projektanta. Ostentacyjnie piracka.

- To nie w moim stylu - powiedziała Zula.

- Później kupimy ci futro.

Spojrzała Sokołowowi w oczy. W życiu nie widziała tak idealnej twarzy pokerzysty. Nie była w stanie odgadnąć, czy żartuje z kamienną miną, bawi się w okrutny sarkazm, czy może naprawdę zamierza jej sprezentować norki.

- To też nie w moim stylu.

Sokołow wzruszył ramionami.

- Włóż to. Później pomyślimy o stylu.

Włożyła bluzę. Sokołow sięgnął za jej plecy i naciągnął kaptur na głowę, i dalej, na czoło, żeby ukryć twarz, po czym klepnął ją w ramię na znak, że może iść. To klepięcie w dziwny sposób jej się spodobało, chociaż natychmiast się za to znienawidziła.

Schodząc po schodkach, dostrzegła czekające przy samolocie dwa mikrobusy z włączonymi silnikami. Obok bliższego stał konsultant do spraw bezpieczeństwa. Obserwował Zulę. Drugi stał przy schodach; nie próbował jej dotknąć, ale odprowadził ją do mikrobusu, gdzie wskazano jej miejsce z tyłu, między dwoma kolejnymi konsultantami, którzy dopilnowali, żeby jej pas bezpieczeństwa został mocno zapięty. Csongor usiadł przed nią, a Peter najprawdopodobniej znalazł się w drugim samochodzie.

Sokołow wydał rozkaz i mikrobusy ruszyły. Przejechały przez bramę w zaporze bezpieczeństwa i znalazły się na drodze prowadzącej przez lotnisko, gdzie wjechał przed nie czarny mercedes. Zula czekała na przejazd przez jakiś punkt kontrolny, ale na próżno. Nikt ich nie sprawdził i w pewnym momencie po prostu włączyli się do ruchu na głównej drodze do miasta.

Byli w Chinach.

* * *

Chet, który i tak musiał podjechać do Elphinstone po zapasy dla zamku na okres Błotnego Miesiąca, podrzucił Richarda na znajdujące się tam małe lotnisko z jednym pasem, gdzie czekał już dwusilnikowy samolot śmigłowy. Znając procedurę na pamięć, Chet podjechał do maszyny, otworzył okno i zagadał do pilota. Przez ten czas Richard wyciągnął rzuconą na tył półciężarówki torbę i wcisnął ją przez wąskie drzwiczki samolotu, a trzydzieści sekund później już leciał. Ponieważ odbywał taką podróż dwadzieścia do trzydziestu razy rocznie, zawarł umowę z firmą lotniczą z Renton na przedmieściach Seattle, żeby transport odbywał się jak najsprawniej. W powietrzu spędzi mniej czasu niż niektórzy pracownicy Korporacji 9592 dojeżdżający do biura samochodami, które utkną w korkach na mostach pontonowych i w pozatykanych słupkami podmiejskich uliczkach.

Pierwszy i ostatni z trzech etapów lotu prowadziły nad górami; tylko w środku przez pewien czas leciało się nad sztucznie nawodnioną niecką w okolicach tamy Grand Coulee. Nieważne, ile razy tędy przelatywał - za każdym zdumiewał się, gdy teren nagle się wypłaszczał i pokrywał siatką dróg, całkiem jak na Środkowym Zachodzie. Na początku prostokątny deseń traktów rysował się tylko na pociętych szczelinami płaskowyżach oddzielających górskie doliny, ale z czasem skrawki kratownicy tworzyły spójną powierzchnię, która roztrzaskiwała się dopiero, napotkawszy kawałek terenu zbyt dziki i surowy, żeby poddał się takiej obróbce. Jedyna różnica między polami w niecce i na Środkowym Zachodzie polegała na tym, że na tych tutejszych często rysowały się wyraźne zielone kręgi - ślad działania centralnie umieszczonych dysz systemów irygacyjnych.

Ilekoć Richard na nie patrzył, zawsze myślami był przy Checie. Chet też był chłopakiem ze Środkowego Zachodu. Dorastał w małym miasteczku we wschodniej, równo pokratkowanej części Dakoty Południowej, gdzie z kumplami z dzieciństwa założył protogang motocyklowy. Zaczynali od samoróbek z silnikami od kosiarek, później przesiedli się na maszyny krosowe, aż w końcu przyszedł czas na motocykle z prawdziwego zdarzenia. Niechęć świata do dostarczenia Chetowi środków niezbędnych do utrzymania rozrastającej się floty motocykli zmusiła go do kariery małomiasteczkowego dileru marihuany, która wtedy wydawała się pewnie mroczna i niebezpieczna, ale dziś, w dobie amfetaminy, była równie nieszkodliwa jak prowadzenie straganu z lemoniadą. Chet przemierzył tysiące mil po tych lokalnych drogach, które zawsze przedkładał nad autostrady stanowe i międzystanowe ze względu na mniejszy ruch i rzadszą obecność policji.

W 1977 roku w pewną ciepłą letnią noc wracał na południe z lukratywnego spotkania w Pipestone w Minnesocie. Niebo było pogodne, świeciły gwiazdy i księżyc. Rozsiadł się wygodnie na kanapie z oparciem i, chłonąc wiatr rozwiewający mu włosy, otworzył szerzej przepustnicę. Obudził się w lutym, w ośrodku opieki długoterminowej w Minneapolis. Terapeuci zajęciowi wyjaśnili mu pomalutku, że pies farmera znalazł go na polu kukurydzy. Wyglądało na to, że nocna przejażdżka zakończyła się na niespodziewanym zachodnim zakręcie drogi. Nie udało mu się złożyć w skręt i z prędkością około dziewięćdziesięciu mil na godzinę pofrunął prosto w kukurydzę, która o tej porze roku zdążyła już wyrosnąć na dobre osiem stóp w górę i względnie łagodnie wyhamowała jego lot, dzięki czemu Chet nie odniósł poważniejszych obrażeń. Długie, twarde, włókniste łądygi pękały i łamały się przy zderzeniu z jego ciałem, ale skórzany strój motocyklisty skutecznie go chronił. Niestety, jechał bez kasku i jedna z odłamanych łądyg wbiła mu się przez nos prosto w mózg.

Rekonwalescencja trwała długo, ale ostatecznie Chet odzyskał większość władz

umysłowych. Nie stracił nic ze swojej inteligencji (chyba że zaliczymy do tej kategorii zdrowy rozsądek i obycie towarzyskie), toteż wiele uwagi poświęcił później poszukiwaniu odpowiedzi na pytanie, dlaczego ci durnie z teodolitami, którzy sto lat temu przy planowaniu dróg lokalnych z takim uporem trzymali się schematu prostokątnej sieci, przekornie powstawiali węń powtarzające się od czasu do czasu ostre zakręty. Po przeanalizowaniu map zauważył, że zakręty pojawiają się wyłącznie na drogach biegnących z północy na południe, nigdy zaś na tych prowadzących ze wschodu na zachód.

Odpowiedź była oczywista. Ziemia jest kulą, więc nie da się jej pokryć siecią idealnych prostokątów. Owszem, można narzucić taką siatkę na całkiem sporym obszarze, ale gdzieś w końcu konieczne staje się naniesienie poprawki - przesunięcie jednego rzędu kwadratów w prawo lub w lewo względem rzędu następnego.

Ponieważ były to lata siedemdziesiąte, a Chet nie skończył szkoły i miał uszkodzony mózg, nie było nic dziwnego w tym, że w swoim odkryciu dopatrywał się wielkich, iście kosmicznych znaczeń. Nieunikniona była również konkluzja, że błąd, który popełnił w ową piękną księżycową noc, był komunikatem z niebios; ostrzeżeniem, że, pograżywszy się w codziennej brudnej dilerkiej harówce, zaniedbał sprawy większe, ważniejsze, bardziej kosmiczne.

Przeprowadził się więc na zachód, tak jak to czynili wówczas wszyscy Amerykanie poszukujący czegoś kosmicznego. Kilkaset mil przed wybrzeżem Pacyfiku napatoczył się na ekipę motocyklistów współpracujących z Richardem w jego plecakowym przemyśle trawki. Wyrobił sobie wśród nich opinię kogoś w rodzaju szamana i został najwyższym kapłanem odłamu, który przyjął nazwę Paladynów Północy, żeby odróżnić się od silnie związanej z Kalifornią grupy macierzystej. Paladyni przenieśli się na północ od granicy i osiedli na południu Kolumbii Brytyjskiej. Następny wypadek, w którym Chet otarł się o śmierć, dodatkowo wzmocnił jego mistyczną reputację.

Wkrótce po wyjściu Cheta ze szpitala po drugiej kraksie Paladyni Północy zaangażowali się w projekt mający na celu, jak to ujął, „nawiązanie kontaktu ze swoją męskością”.

Kiedy Richard usłyszał o tej inicjatywie (całkiem przypadkowo, podczas prowadzonej w barze rozmowy na pozornie niezwiązane z nią tematy), w ssaczej części jego mózgu podziw i zgroza rozpoczęły bój o supremację, a część gadzia zajęła się przeglądem dróg wyjścia (bardziej lub mniej konwencjonalnych) z lokalu, smarowaniem ciała potem oraz podbijaniem pulsu do częstotliwości, od której psuły się radary kanadyjskich policjantów na autostradzie nr 22. Znał bowiem wszystkich tych ludzi doskonale w ich przemysłowych dniach i

nie bardzo potrafił sobie wyobrazić, do czego mogą być zdolni teraz. Na szczęście, w trakcie niezbyt spójnej dyskusji, która wywiązała się po tym oświadczeniu, udało mu się ustalić, że Chet miał na myśli nie tyle nawiązanie kontaktu, ile raczej jego utrzymanie, przy jednoczesnym zmniejszeniu liczby ofiar. Ta zmiana priorytetów dziwnie zbiegła się w czasie z ożenkami i narodzinami dzieci niektórych ocalałych jeszcze przywódców grupy.

Paladyni pozbyli się więc większości broni palnej i - wykorzystując zdumiewającą łagodność kanadyjskiego prawodawstwa w kwestii dopuszczalności używania mieczy - ograniczyli się do jeżdżenia lokalnymi drogami z przypiętymi do pleców pięciostopowej długości claymore'ami. Na leśnych polanach urządzali udawane pojedynki i turnieje, w których okładali się bronią z pianki, a potem jechali na renesansowe jarmarki, by tam popijać piwo z nowo poznanymi przyjaciółmi z Towarzystwa Twórczego Anachronizmu. Dosiadający ryczących maszyn jeźdźcy ze sterczącymi znad barków rękojeściami claymore'ów szybko stali się powszechnym widokiem w tym świadomie ekscentrycznym zakątku świata. Z twarzami ukrytymi w kaskach jak koncentryczne kopuły z przydymionego szkła, Paladyni cieszyli się wielkim zainteresowaniem podróżujących rodzinnymi minivanami dzieciaków, które pokazywały ich palcami i machały do nich z entuzjazmem. Z czasem stali się wdzięcznym tematem zwariowanych-lamane-przez-poruszających reportaży w serwisach informacyjnych lokalnych stacji telewizyjnych, a nawet przestali popełniać przestępstwa.

* * *

Richard wrócił myślami do kabiny samolotu i lektury „T’Rain Gazette”, dziennika publikowanego (w formie elektronicznej, rzecz jasna) przez działający w Seattle mikrodział wydawniczy Korporacji i podsumowującego wydarzenia, które zaszły w T’Rainie w okresie ostatnich dwudziestu czterech godzin: ważne osiągnięcia, wojny, pojedynki, łupieże, statystyki śmiertelności, zarazy, klęski głodu, niewyjaśnione wzrosty cen towarów.

ŚMIERTELNOŚĆ W TORGAI OSIĄGNEŁA 1 000 000%.

(z doniesień korespondentów „Gazette”: Gresh’nakha Porzuconego, Erikka Krwawego Młota oraz Lady Sieciarki z Faerie)

Pogórze Torgai. Śmiertelność bohaterów w ogarniętym nieoczekiwaną wojną regionie sięgnęła dziś miliona procent. Miejscowi obserwatorzy przypisują tę niezwykle liczbę „epokowemu” najazdowi intruzów, zmuszanych przez niewyjaśnione na razie zjawisko astralne do złożenia daniny zamieszkałemu w pobliżu trollowi. Intruzi, czy też, jak zaczęto ich tu nazywać, „mięcho”, przybywają objuczeni złotem, co czyni ich łakomym kąskiem dla rozbójników. Zdaniem analityków umieralność na poziomie miliona procent to ważny próg

psychologiczny oddzielający rozdierane wojną piekło od chiliastycznej burzy krwi.

Wsparty na ośmiostopowym czarodziejskim kosturze Shekondar Straszliwy, miejscowy alchemik, brnąc przez głęboką do kolan rzekę krwi płynącą przez rynek Wąwozu Dudziarza (mieściny chępiącej się w przeszłości statusem „Bramy Torgai”), zaprzeczył, jakoby ta nowa tendencja zaszkodziła wizerunkowi miasteczka, ponieważ napływ „mięcha” i żerujących na nim bandytów, oprychów i rabusiów przyczynił się do rozwoju gospodarczego całego rejonu i stał się prawdziwą gratką dla kupców, zwłaszcza tych, którzy (tak jak Shekondar) handlują towarami cieszącymi się wśród nowo przybyłych szczególnym wzięciem, takimi jak eliksiry uzdrawiające i magiczne oselki.

W popularnej Gospodzie wędrowca, wybudowanej przy wijącym się nad przepaściami trakcie wiodącym z Wąwozu Dudziarza na wzgórze, poznaliśmy bardziej wyważoną opinię o całej sytuacji. Pogląd ów został wyrażony przytłumionym głosem, ledwie słyszalnym zza wznoszącego się pod sufit jadalni wału trupów i przedstawiającym się jako pan Krzątała, właściciel gospody. Jego zdaniem nadmiar gości i związane z nim zamieszanie są szkodliwe, bo „co za dużo, to niezdrowo”. Pan Krzątała poskarżył się również, że wielu klientów, powołując się na uniemożliwiający dostęp do baru gigantyczny wał gnijących ciał, opuszcza lokal, nie zapłaciwszy rachunku.

Wszyscy twórcy tego dokumentu mogli się pochwalić nadanymi przez bardzo drogie uczelnie wyższymi stopniami naukowymi w dziedzinie sztuk wyzwolonych i celowo przyjęli taki styl pisania, żeby - jak poniewczasie uświadomił sobie Richard - zabezpieczyć sobie posadę. Wyższa klasa kierownicza Korporacji 9592 przywykła do czytania „Gazette” co rano przy latte i prawdopodobnie opłacałyby ich w dalszym ciągu, nawet gdyby finansowanie dziennika przestało oficjalnie figurować w budżecie Korporacji.

Zwrot „niewyjaśnione na razie zjawisko astralne” był hipertekstowym odnośnikiem do odrębnego artykułu na korporacyjnej wiki. Żelazną zasadą polityki wydawniczej „Gazette” było bowiem założenie, że świat *T’Rainu* widziany na ekranach komputerów użytkowników jest prawdą podstawową, jedyną rzeczywistością, którą korespondenci dziennika mogą obserwować i opisywać. Niecodzienne zjawiska wynikające z decyzji graczy opisywano jako „dziwne światła na niebie”, „upiorne osobliwości wykraczające poza możliwości pojmowania nawet najbardziej uczonych miejscowych obserwatorów”, „nieoczekiwane koniunkcje”, „prawdopodobną interwencję kapryśnego półboga”, „grom z jasnego nieba” oraz, w jednym wypadku, „zaskakujący zbieg okoliczności, co do którego nawet najbardziej zasuszeni staruszkowie zgadzają się, że nie miał równych sobie, i który w dowolnym dziele literackim

zostałyby wykpiiony jako wyjątkowo toporny przykład *deus ex machina*. Ale ponieważ - co zrozumiałe - jednym z głównych zadań personelu dziennika było informowanie szefostwa o zachowaniu graczy i wydarzeniach zachodzących w świecie rzeczywistym, takie frazy zawsze odsyłały do notatek publikowanych poza „Gazette”, a pisanych w tradycyjnym korporacyjnym stylu, który zawsze zniechęcał Richarda.

W tym wypadku podczepiona pod artykuł notka objaśniała, że Pogórze Torgai opanowała grupa o nazwie *da G shou*, co najprawdopodobniej było skróconą formą *da G[old] shou*, „zbieracze złota”, przy czym obcięcie słowa „Gold” do „G” było wywołane albo wpływem gangsta rapu, albo po prostu łatwością wpisania na klawiaturze. Gang rządził w Torgai od lat. Normalna rzecz, w *T’Rainie* było mnóstwo takich enklaw. Nic w regułach gry nie uniemożliwiało zdeterminowanym i dobrze zorganizowanym grupom graczy podbijania i późniejszego utrzymywania wybranych terenów. „Mięcho” zjawilo się w Torgai z powodu REAMDE, który od paru tygodni przewijał się gdzieś w tle, a później wszedł w wykładniczą fazę rozwoju i przez dwanaście godzin sprawiał wrażenie, jakby był w stanie wchłonąć moc obliczeniową całego wszechświata - dopóki fala wzrostu nie załamała się pod własnym ciężarem, natrafiwszy na te fizyczne zjawiska, które prędzej czy później przytrafiają się wszystkim z pozoru wykładniczym fenomenom, spłaszczając ich przypominające kij hokejowy wykresy w rozlazłe S. REAMDE nadal stanowił poważny problem, dziesiątki programistów i administratorów pracowały nad nim po osiemnaście godzin na dobę, ale raczej nie zawładnie już światem ani nie obali Korporacji.

A tymczasem w grze tysiące postaci kosily punkty doświadczenia, mordując się nawzajem w gospodzie pana Krzątały.

* * *

Corvallis Kawasaki przywitał go na pasie startowym lotniska w Renton. Oczywiście przyjechał priusem.

- Co, nie mam już prawa przejechać się limuzyną? - poskarżył się Richard, wciskając się na fotel pasażera.

- Chciałem z tobą pogadać - wyjaśnił C-plus, majstrując przy gałce wycieraczek, próbując nadać im tę trudną do uchwycenia w Seattle częstotliwość pracy, przy której przednia szyba już jest przejrzysta, a gumowe pióra jeszcze nie szarpią się z piskiem po suchym szkle.

Przed samochodem rozciągał się pas startowy i południowa zatoka jeziora Washington, po której prześlizgiwały się grzywacze. Lądowanie było ciężkie, Richard trochę się spocił.

Corvallis wychował się w mieście, któremu zawdzięczał nazwisko, jako syn profesora kognitywisty (pół Japończyka, pół Amerykanina) i biotechnolożki (Hinduski), ale z kulturowego punktu widzenia był czystej krwi Oregończykiem. Nikt w Korporacji 9592 nie wiedział, czym dokładnie się zajmuje, ale trudno byłoby wyobrazić sobie firmę bez niego.

Wrzucił bieg (czy jak to się tam nazywa, kiedy kierowca w priusie przestawia wajchę w położenie „do przodu”), z bezpieczną, rozsądną prędkością prześlizgnął się wśród samolotów ociekających wodą i szarpanych na uwięzi podmuchami wiatru, i przez bramę wyjechał na coś, co wyglądało jak najprawdziwsza ulica.

- Wiem, że jutro masz spotkanie z Devinem i pewnie głównie reowojna ci w głowie - zagał.

- Reowojna? - powtórzył Richard.

- Wojna reorientacyjna - wyjaśnił C-plus.

- Tak to teraz dzieciaki nazywają?

- Nazwa lepiej się chyba sprawdza w e-mailach niż w rozmowie. Mniejsza z tym. Wiem, że chcesz się przygotować do tego spotkania, ale powinieneś wiedzieć, że z REAMDE wiążą się ciekawe kwestie techniczno-prawne.

- Boże... To brzmi jak puszka Pandory, przed którą uciekłem na emeryturę.

- Nie wydaje mi się, żebyś był na emeryturze - zauważył spokojnie Corvallis. - Sam zobacz: ledwie przyleciałeś z Elphinstone, a już jutro lecisz do Missouri i dalej...

- To jest tak zwana emerytura wybiórcza. Mam wolne od nudnego pieprzenia w bambus.

- To się chyba nazywa awans?

- Jak chcesz. Nie mam ochoty wwiercać się... Tak tu chyba mówicie?

- Dobrze wiesz, że tak.

- No. Nie mam ochoty wwiercać się w zawilosci prawne związane z REAMDE. Przecież to nie pierwszy nasz wirus, prawda?

- Kiedy ostatnio sprawdzałem, czyli przed godziną, mieliśmy dwieście osiemdziesiąt jeden aktywnych wirusów - odparł Corvallis i, widząc, że Richard szykuje się do riposty, nie dał mu dojść do słowa: - Nim coś powiesz, zaznaczę, że większość z nich nie wykorzystuje naszej technologii do pobierania opłat. REAMDE jest inny niż wszystkie. Mamy problem nowego rodzaju.

- Nasze serwery są wykorzystywane do transferu łupów.

- Federalni chyba jeszcze nie przyswoili sobie idei APPIS-u, więc takie terminy jak „łup” czy „skarb” nie trafiają do nich i nie wywołują skojarzeń ze Średniowieczną Walką

Zbrojną. Dla nich płatność to płatność, a ponieważ w naszym systemie przepływają prawdziwe pieniądze, wszystko jest... no cóż... prawdziwe.

- Zawsze podejrzewałem, że pewnego dnia obróci się to przeciwko mnie i ugryzie mnie w dupę - mruknął Richard. - Nie wiedziałem tylko, kiedy i w jaki sposób.

- Prawdę mówiąc, to nie raz cię ugryzło.

- Wiem, ale każdy raz jest jak pierwszy.

- Twórca REAMDE podjął kilka... interesujących decyzji.

- Interesujących w przykry dla nas sposób? - spytał Richard, bo zdaje się to właśnie sygnalizował ton głosu Corvallisa.

- To zależy od tego, czy chcemy być mieczem pomsty w rękach Departamentu Sprawiedliwości, czy raczej wolimy się wycofać i powiedzieć, że to nie nasza broszka.

- Mów dalej.

- Instrukcja zawarta w eponimicznym pliku REAMDE stwierdza tylko, że złoto należy zostawić we wskazanym miejscu na Pogórze Torgai. Nie wymaga natomiast, żeby przesłać je czy w inny sposób przekazać jakiejś konkretnej postaci.

- To zrozumiałe. Wtedy wystarczyłoby nam po prostu zablokować konto użytkownika takiego bohatera.

- Otóż to. Twórca wirusa wchodzi w posiadanie złota poprzez podniesienie go z ziemi w miejscu, gdzie ofiara je upuściła.

- A to może zrobić każda postać w grze.

- Teoretycznie. W praktyce jest tak, że, aby podnieść to złoto z ziemi, musisz najpierw dotrzeć w to konkretne miejsce na pogórze. A żeby później wymienić sztuki złota na prawdziwe pieniądze, musisz je fizycznie przenieść do miasta, w którym znajduje się KWW.

- Wcale nie fizycznie. Wam się to zawsze myli. To tylko gra, nie zapominaj.

- Dobrze: fizycznie w świecie gry. - Ton głosu Corvallisa sugerował, że Richard odrobinę przesadza z tym pedantyzmem. - Ale wiesz, o co mi chodzi: postać musi przeżyć podróż od miejsca znalezienia złota, przez wzgórze, do najbliższego miasta lub skrzyżowania linii geomantycznych, a stamtąd jeszcze do KWW.

Wszystko przez to (czego C-plus nie musiał już Richardowi tłumaczyć), że wirtualne sztuki złota można było zamienić na prawdziwą, funkcjonującą w świecie rzeczywistym gotówkę wyłącznie za pośrednictwem kantoru wymiany walut (KWW), a kantory nie rosły na drzewach. Z powodów techniczno-prawnych, które uleciały już Richardowi z pamięci, ograniczyli liczbę kantorów, żeby nieco utrudnić i spowolnić wymienianie pieniędzy.

- To znaczy, że twórcy wirusa wykorzystali fizyczną dominację... Aj, do diabła! -

Richard się skrzywił, widząc, jak Corvallis uśmiecha się z wyższością i unosi znad kierownicy wyprostowany palec wskazujący. Poprawił się: - Wykorzystali swoją wirtualną dominację w tym rejonie świata gry do stworzenia mechanizmu opłat, który trudniej nam unieszkodliwić.

- O ile nam wiadomo, używają aż tysiąca różnych postaci, które chodzą po okolicy i zbierają dla nich złoto.

- Oczywiście, wszystkie z kont z autorozliczeniem?

- Nie inaczej.

- Ale jak potem wyciągają prawdziwą gotówkę z autokonta?

W normalnej sytuacji zamiana sztuk złota na prawdziwe pieniądze dokonywała się w postaci wpłaty na rachunek karty kredytowej.

- Przekazy pieniężne Western Union, za pośrednictwem tajwańskiego banku.

Richard spojrzał pytająco na Corvallisa.

- Sami dodaliśmy taką opcję - wyjaśnił Corvallis. - Nolan upiera się, żeby system był jak najprostszy w obsłudze dla chińskich dzieciaków bez kart kredytowych.

- Rozumiem. Gdzie jest punkt zrzutu?

- Jaki punkt zrzutu?

- Gdzie ofiary zanoszą okup?

- Dobrze pytanie. Wygląda na to, że jest więcej niż jedno takie miejsce. Pliki REAMDE trochę się między sobą różnią; wygląda na to, że są generowane przez skrypt, który do każdego wstawia inne współrzędne. Znaleźliśmy już ponad trzysta takich punktów.

- To znaczy, że złoto wala się tam po całej okolicy.

- Mniej więcej.

- Przewidzieli, że będziemy ich chcieli odciąć, więc rozpraszają zasoby.

- Na to wygląda. To tak jakby w naszym świecie ktoś rozrucił skrytki ze złotem na odludziu, na obszarze setek kilometrów kwadratowych.

- Wtedy policja odcięłaby taki rejon kordonem od reszty świata.

- I o to właśnie proszą nas policje z różnych krajów. Żebyśmy napisali skrypt, który wyrzuci albo wyloguje z gry wszystkie postaci na Pogórze Torgai i nie pozwoli im wrócić. A wtedy my wkroczymy i zbierzemy dowody.

- Mówiąc „wkroczymy”, masz na myśli uruchomienie programu, który zidentyfikuje w tym rejonie całe złoto lub wszystkie zawierające je pojemniki.

- Właśnie.

- I co im powiedzieliśmy? Żeby się odpieprzyli?

Taka odpowiedź wydawała się oczywista, ale zdaniem Richarda nowy dyrektor generalny Korporacji był zdolny do wszystkiego.

- Nie mieliśmy innego wyjścia!

Richard nie mógł wyjść z podziwu, jak zgrabnie C-plus jednocześnie odpowiedział na jego pytanie i wytknął dyrektorowi nieporadność.

- REAMDE zaraził użytkowników z co najmniej czterdziestu trzech państw - ciągnął Corvallis. - O tylu wiemy. Jeżeli ulegniemy jednemu, będziemy musieli ulec wszystkim.

- I firma przejdzie pod mikrozarząd ONZ - podsumował Richard. - Fajowo.

Był stanowczo za stary, żeby z pełnym przekonaniem używać tego uniwersalnego przysłówka, ale nie miał nic przeciwko temu, żeby wrzucić go czasem w zdanie dla uzyskania ironicznego efektu.

- Mnogość tych państw komplikuje kwestie prawne w sposób wręcz bajeczny - mówił dalej C-plus. - Dlatego nie mam dla ciebie gotowej odpowiedzi. Na naszą korzyść działa fakt, że każde takie wymuszenie z osobna to właściwie drobiazg: siedemdziesiąt trzy dolary po aktualnym kursie. Nie łapie się do kategorii poważnych przestępstw.

- Już mnie głowa boli... Jest coś, co chcesz, żebyśmy zrobili? Czy tylko mnie...

- Tylko cię wprowadzam w temat. Ale nasi ludzie od PR na pewno będą chcieli z tobą poważnie porozmawiać, zanim się ulotnisz.

- Każą mi siedzieć cicho. Ja już to wiem.

- Nie w tym rzecz. Oni po prostu chcą się wykazać.

Richard umilkł. Zastanawiał się, czy udałoby mu się oddelegować kogoś z podwładnych na spotkania, które organizowano tylko po to, żeby ich uczestnicy mogli się wykazać - ale zdał sobie sprawę, że jeśli naprawdę tego właśnie chciał, nie powinien być nigdy wyściubiać nosa z zamku.

Pół godziny później znajdowali się już w biurze Korporacji 9592. Usiedli wygodnie w małej sali konferencyjnej wyposażonej w olbrzymi wyświetlacz LCD. Corvallis zaoferował się, że „poprowadzi”, co w tym wypadku oznaczało, że będzie obsługiwał klawiaturę i mysz, ale Richard dla zaznaczenia swojej władzy przyciągnął sobie jedno i drugie, po czym zalogował się na swoje konto w *T’Rainie*. Na ekranie wyświetliły się wszystkie jego postaci, których w porównaniu z niektórymi graczami wcale nie miał tak dużo, bo zaledwie osiem. Mimo że na poziomie czysto intelektualnym rozumiał, że są tylko programami, miał wyrzuty sumienia, że spędzają po dwadzieścia cztery godziny na dobę w swoich bazach domowych, wykonując autoczynności i czekając, aż ich pan i władca zaloguje się i nimi porusza. Czuł się trochę jak posiadacz rozsianych po całym świecie domków letniskowych, pilnowanych przez

wierne psy, których nikt nigdy nie wyprowadza na spacer.

Przejrzał listę imion i doszedł do wniosku, że czas rozruszać Edgoda. Raz kozie śmierć.

Edgod był pierwszą prowadzoną przez gracza postacią w *T'Rainie* - nie licząc tytanów, bogów, półbogów i tym podobnych, niezbędnych przy tworzeniu świata, ale nie kierowanych przez jedną konkretną osobę. Miał własną bazę domową - strzelistą, odludną twierdzę na szczycie jednej z najwyższych gór *T'Rainu*, udekorowaną skarbami zrabowanymi z pałaców i ruin, do których zdobycia przyłożył rękę. Był tak sławny, że nie mógł się ruszyć z domu, dopóki Richard nie ukrył jego tożsamości pod warstwami czarów, barier ochronnych i przebrań, które miały go upodobnić do postaci znacznie słabszej niż był w rzeczywistości, a zarazem wyglądającej wystarczająco groźnie, żeby nie opłacało się jej wchodzić w drogę. Nawet do najprostszych z tych zakłęć miało dostęp zaledwie kilkuset najpotężniejszych mieszkańców *T'Rainu*. Richard napisał skrypt, który uruchamiał całe to maskowanie automatycznie, po naciśnięciu jednego klawisza; bez tego traciłby za każdym razem po pół godziny na przygotowania. Każdemu zakłębieniu towarzyszyły świetlne i dźwiękowe efekty specjalne. Przerośnięte subwoofery, w jakie wyposażona została sala konferencyjna, niosły dźwięki po całym budynku, dzięki czemu informacja o uwolnieniu Edgoda rozchodziła się poddźwiękowym drzeniem po sąsiednich pomieszczeniach, stamtąd szła w świat za pośrednictwem esemesów i już wkrótce zaciekawieni pracownicy gromadzili się przy drzwiach sali. Bali się przekroczyć jej próg, ale chcieli choćby przelotnie być świadkami wiekopomnego wydarzenia - trochę jak weterani marynarki wojennej, którzy zbierają się na nabrzeżu, żeby popatrzeć, jak pancernik *Missouri* jest przeprowadzany na nowe kotwicowisko. Co bynajmniej nie znaczy, że taki pancernik miałby jakiejkolwiek szanse w starciu z Edgodem. Bezpośrednie trafienie międzykontynentalną rakieta balistyczną mogłoby ewentualnie zmierzić Edgodowi włosy - które były, rzecz jasna, siwe jak u staro testamentowego Boga. Richard chętnie zafundowałby mu jakąś mniej standardową fryzurkę i kiedy Edgod się przebierał, włosy zawsze się zmieniały, ale raz na jakiś czas musiał się objawić w swojej prawdziwej postaci - żeby, powiedzmy, zabić boga, zmienić trajektorię zagrażającej światu komety albo wystąpić na jakiejś uroczystości. Wtedy musiał prezentować się odpowiednio. Teraz jednak w kolejnych warstwach magicznego kamuflażu rozpląwały się i znikwały towarzyszące budzącej nabożną trwogę postaci aury energetyczne, zwiastuny, omeny i zjawiska pogodowe, aż w końcu sam Edgod zmienił się w młodą kobietę z nastroszonymi czarnymi włosami, podobną trochę do elfki, a trochę do skrzata. W tym momencie tłum przy drzwiach się rozproszył i została tylko garstka ciekawskich, którzy

chcieli zobaczyć twierdzę Edgoda od środka.

Grawitacja była dla Edgoda taką samą przeszkodą, jak perz dla archanioła, mógł więc wzbic się w powietrze z dowolnego balkonu albo wyfrunąć przez otwarte okno, ale Pogórze Torgai znajdowało się sześć tysięcy mil od twierdzy, co było odległością niebagatelną nawet dla poruszającego się z prędkością naddźwiękową Edgoda. Dlatego, zamiast latać, skorzystał z faktu, że bezpośrednio pod szczytem górskim znajdowało się skrzyżowanie linii geomantycznych. Nie chciał teleportować się bezpośrednio do Wąwozu Dudziarza, skąd zapewne byłby śledzony, przeniósł się więc do odległych o sto mil stamtąd podziemi dużego miasta, które usadowiło się okrakiem nad rzeką wypływającą z gór wypiętrzonych nad Torgai. Okazało się jednak, że i tam sięgnął już wywołany przez REAMDE chaos: pod kantorami tworzyły się długie kolejki, a eliksiry uzdrawiające cieszyły się takim wzięciem, że na aukcjach na rynku osiągały ceny dziesięciokrotnie wyższe od nominalnych. W drodze do bram miasta Edgod kilkanaście razy był nagabywany przez różne grupy wojowników, którzy spodziewali się, że nastroszony chochlik płci żeńskiej przybył uiszczyć okup na Pogórze Torgai. „Chcesz tam iść sama? Nawet o tym nie myśl. Ale jeśli nam zapłacisz, będziemy cię eskortować” - taką mniej więcej wymowę miały ich zaczepki. Richard zbywał ich szybko, stwierdzając na samym wstępie, że jego/jej misja nie ma nic wspólnego z REAMDE. Potem, przy pierwszej okazji rzucił na Edgoda niewidzialność, a następnie (na wypadek gdyby ktoś chciał go śledzić) superniewidzialność, podwójną superniewidzialność oraz hipersuperniewidzialność - wszystko przez to, że zwyczajną niewidzialność można było zniwelować różnej mocy przeciwzakłęciami. Zadowolony/a, że nikt go/jej nie widzi, wzbil/a się w powietrze i w kilka minut pokonał/a dzielące go/ją od Torgai sto mil. Tam obniżył/a wysokość, żeby, lecąc tuż ponad drzewami, zorientować się, co się dzieje.

A działo się, mówiąc krótko, bardzo dużo.

Oczywiście wiedział o tym już wcześniej, ale co innego wiedzieć, a co innego zobaczyć na własne oczy.

Poza tym, w pewnym sensie była to teraz jego praca. Dyrektorowi generalnemu, który miał prawdziwe obowiązki, wystarczyło czytanie opracowań, od biedy mógł się dać przyłapać na przeglądaniu „Gazette” w przerwie na kawę, ale udanie się na miejsce wydarzeń byłoby niewybaczalną stratą jego absurdalnie kosztownego czasu. Co innego Richard, który jako założyciel/prezes właściwie powinien osobiście oglądać takie spektakle - na tej samej zasadzie, na jakiej od królowej Anglii oczekiwano, że przyleci śmigłowcem na miejsce katastrofy kolejowej.

Kluczowa różnica była jednak taka, że Richard reagował na wydarzenia w nie całkiem

standardowy sposób.

- To jest zajebiste - orzekł, patrząc z wysokości tysiąca stóp na usłaną ciałami i szkieletami łąkę, na której w tej chwili rozgrywało się około dwudziestu aktów Średniowiecznej Walki Zbrojnej. - Powinniśmy im płacić, żeby cały czas to robili.

- Komu?

- Twórcom wirusa.

- Aha.

- Nawiasem mówiąc, kto go napisał?

- Nie wiadomo. Ale dzięki twojej bratanicy przynajmniej wiemy, że prawie na pewno mieszka w Xiamen.

- To tam, gdzie mają terakotową armię?

- Nie, armia jest w Xian.

- Zula pomogła wam go wytropić?

C-plus wyraźnie się zdziwił.

- Myślałem, że wiesz...

- O czym?

- O jej udziale. Powiedziała, że wrobiła ją w taki nieoficjalny projekt.

Gdyby chodziło o kogoś innego, Richard powiedziałby po prostu „Nie mam zielonego pojęcia, o czym mówisz”, ale ponieważ Zula należała do rodziny, instynktownie postanowił ją chronić.

- Chyba trochę się dziewczyna zapędziła...

- To możliwe. Tak czy inaczej, mamy adres IP z Xiamen, ale nic poza tym.

Richard przestawił Edgoda w tryb autolewitacji, odsunął się od stołu i zdjął ręce z przyrządów.

- Czy chińscy gliniarze też się nam naprzykrzają, żebyśmy coś z tym zrobili?

- Zdaje się, że zgłosili się jako jedni z pierwszych.

- W takim razie można by ich uciszyć...

- Każąc im wytropić właściciela tego IP. Zgadzam się, więcej by się nie odezwali.

- To jak, zrobimy to?

- Wątpię. Musielibyśmy ujawnić informacje dotyczące naszych wewnętrznych procedur. Jestem w zasadzie pewien, że Nolan na to nie pójdzie.

- I jak się tak nad tym chwilę zastanowić, to ma rację. Dureń ze mnie. Nie mówmy nic Chińczykom.

- Mam to zalecenie przekazać dyrektorowi? - zapytał Corvallis tonem, który

niedwuznacznie dawał do zrozumienia, że poproszony o to bez ogródek, bez ogródek odmówi.

- Nie trzeba. Mam inne pomysły, jak zepsuć mu dzień.

DZIEŃ 2

Po zmroku, widziane z okien samochodu Xiamen niewiele się różniło od innych współczesnych miast - z tą tylko różnicą, że mieszkańcy z większym entuzjazmem niż gdzie indziej podświetlali wszystko, co się dało. Sama autostrada była oświetlona krechami niebieskiego neonowego światła, a ze szczytów budynków wyrastały jaskrawe tablice świetlne i logo firm; niektóre z nich Zula rozpoznawała, inne były dla niej zupełnie nieczytelne.

Zajechali pod nowiuteńskiego *Hyatta* nieopodal lotniska, wysadzili pilotów i pojechali dalej czymś, co Zula wzięła za obwodnicę wyspy, ponieważ z prawej strony przez cały czas mieli wodę. Obwodnica doprowadziła ich chyba do najgęściej zamieszkaney i zabudowanej części Xiamen, w której panował większy tłok niż w Seattle. Po prawej, wzdłuż brzegu ciągnął się nieprzerwany szereg przystani dla niskopokładowych promów pasażerskich, po lewej zaś piętrzyła się zróżnicowana zabudowa: nowiuteńskie drapacze chmur, dziesięcio- i piętnastopiętrowe hotele i biurowce z epoki poprzedzającej cud gospodarczy, martwe place niedokończonych budów, oraz nieliczne kępy nieustępliwych bloków mieszkalnych o wysokości od dwóch do sześciu pięter.

Zjechali z obwodnicy w jakimś świeżo wyszykowanym rejonie miasta. Przez olbrzymie stalowe drzwi wjechali na parking pod biurowcem; miejsca parkingowe nie zostały jeszcze wytyczone farbą, a oświetlenie miało charakter tymczasowy. Po kątach wały się zrzucone na stos narzędzia i materiały budowlane.

Mikrobusy przez całą drogę trzymały się prowadzącego kawalkadę mercedesa, z którego tylnych drzwi wysiadł teraz Chińczyk, ubrany niezbyt oficjalnie, ale emanujący ogromną władzą. Siedzący obok niego Iwanow wysiadł drugą stroną. Chińczyk za pomocą karty magnetycznej ściągnął windę i przytrzymał jej drzwi, żeby Iwanow, siedmiu konsultantów do spraw bezpieczeństwa, Zula, Peter i Csongor zdążyli stłoczyć się w środku. Na koniec sam również wepchnął się do klatki, przeciągnął kartę przez czytnik i wcisnął guzik czterdziestego trzeciego piętra. Wyglądało na to, że budynek ma pięter pięćdziesiąt.

Jazda windą w tłumie obcych ludzi nawet w normalnych okolicznościach bywa niezwykła, a co dopiero w takiej chwili. Zula, podobnie jak większość pozostałych pasażerów, gapiła się na ostentacyjnie nowoczesną tablicę z przyciskami. Na umieszczonym

nad nią elektroluminescencyjnym wyświetlaczem przeskakiwały numery mijanych pięter oraz, od czasu do czasu, chińskie znaki, którym towarzyszyły nagrane mandaryńskie frazy wypowiedane urokliwym kobiecym głosem.

Na czterdziestym trzecim piętrze przy windach znajdował się całkiem sympatyczny hol, wyłożony drogim polerowanym kamieniem i z wejściami do męskiej i damskiej toalety. Przechodziło się z niego do dwóch sporych kompleksów biurowych. Ten po lewej (patrząc od strony windy) był w stanie zupełnie surowym: na podłodze goły beton, a na suficie - spód piętra czterdziestego czwartego, czyli odsłonięte płyty blachy falistej, na krawędziach przymrożone pianką montażową i podparte stojącymi w sporych odstępach kratownicowymi słupami. Biuro z prawej strony wyglądało na świeżo wykończone, chociaż jeszcze nieużywane. Osadzone w szklanej ścianie dwuskrzydłowe szklane drzwi prowadziły do recepcji wyposażonej we wbudowane na stałe biurko i pozbawionej innych sprzętów. Dalej rozpościerała się otwarta przestrzeń wielkości kortu tenisowego, z całą pewnością przeznaczona pod zabudowę biurowymi boksami. Dookoła niej ciągnęły się pokoje o szklanych ścianach, różnej wielkości, ale każdy miał własne okno. Największym z nich była sala konferencyjna z ogromnym stołem. Z otworów w blacie wypęły wiązki niepodłączonych do niczego kabli ethernetowych. Innych mebli nie było. Podłogę przykrywała szarobrązowa wykładzina. Sufit wyłożono płytami dźwiękochłonnymi, wśród których trafiały się oprawy lamp i przesłonięte żaluzjami otwory wentylacyjne.

Inaczej mówiąc, było to typowe, idealnie nijakie środowisko biurowe.

- Kryjówka - oznajmił Sokołow, dając gestem do zrozumienia, żeby Zula, Peter i Csongor rozgościli się w otwartej przestrzeni.

Iwanow i Chińczyk wyszli.

Trzej konsultanci zajęli się wwiezieniem na górę całego wyposażenia, które dostarczono samolotem i przeładowano do mikrobusów. Otrzymali karty do wind, dzięki czemu mieli pełną swobodę poruszania się.

Jeden konsultant zajął stanowisko za biurkiem w recepcji, dzięki czemu miał stale na oku wejście do biura. Po wwiezieniu całego ładunku spiął skrzydła drzwi wejściowych kłódką na linie.

Drugi udał się do męskiej toalety (do której wchodziło się z holu) i wykapał się w umywalce; tak przynajmniej wyglądał. W niektórych dostarczonych z garażu pakunkach znajdowały się śpiwory i rzeczy osobiste. Konsultant wybrał jedną z toreb, przeniósł ją do pustego pokoju, tam wyjął z niej śpiwór, rozwinął go, położył się na nim i przestał się ruszać. Dwaj tragarze zaraz po zakończeniu roboty poszli w jego ślady, trzeci zaś pobobrował chwilę

w bagażach i rozdał wszystkim czarne pudełka z grubego plastiku, zawierające - jak się okazało - wojskowe racje żywnościowe. Następnie rozstawił na podłodze przenośną kuchenkę turystyczną i zaczął na niej grzać wodę.

Sokołow wziął sobie do pomocy jednego konsultanta i razem przeprowadzili rzetelne oględziny czterdziestego trzeciego piętra. Zaczęli od wspięcia się na stół konferencyjny, gdzie konsultant podsadził Sokołowa, który dzięki temu mógł rozpocząć eksplorację wolnej przestrzeni mieszczącej się pomiędzy dwoma sufitami - podwieszonym i prawdziwym. Konstrukcja sufitu podwieszonego, złożona z cienkich aluminiowych listew i podczepiona na drutach do prawdziwego sklepienia, za żadne skarby nie udźwignęłaby ciężaru człowieka. Zakładając jednak, że biuro jest lustrzanym odbiciem niewykończonego biura po drugiej stronie holu, należało pamiętać, że główny sufit wspiera się na solidnych żelaznych teownikach połączonych biegnącymi zygzakiem stalowymi prętami, po których w miarę wysportowany człowiek mógłby przemykać jak po drabince na placu zabaw. Zula, Peter i Csongor, którzy, siedząc na podłodze na środku pustego pomieszczenia, jedli swoje wojskowe racje, wyraźnie słyszeli chrobotanie i łaskoty wywoływane przez przemierzającego się nad nimi Rosjanina; słyszeli również, jak opukuje ściany oddzielające biuro od zawierającego windy i toalety trzonu wieżowca. Ostatecznie stwierdził chyba, że ściany te łączą się z podłogą następnego piętra, dzięki czemu nie można ani wydostać się z biura, ani do niego przeniknąć, stosując powszechnie znaną z filmów akcji sztuczkę z czołganiem się pod sufitem. Podążając tym tropem, Zula obejrzała otwory wentylacyjne i zwróciła uwagę, że są stanowczo zbyt wąskie, żeby zmieściło się w nich ludzkie ciało.

Zadowolony, że kryjówka jest pozbawiona tajnych dróg wyjścia, Sokołow przydzielał pokoje. Zula dostała własne biuro. Peter i Csongor mieli mniej szczęścia: każdy dzielił pokój z konsultantem.

- Muszę skorzystać z łazienki - oznajmiła Zula.

Sokołow wyprostował się, wykonał coś w rodzaju lekkiego ukłonu i odeskortował ją na korytarz, gdzie strażnik odpiął kłódkę i otworzył drzwi. Sokołow pierwszy wszedł do damskiej toalety, wskoczył na stolik, wypchnął do góry jeden panel na suficie i zrobił rekonesans. Chyba nie bardzo mu się spodobało to, co zobaczył, bo zszedł ze stolika dziwnie zadumany, ale po chwili zastanowienia cofnął się w głąb jednej z kabin, zamknął za sobą drzwi, rozsiadł się wygodnie na sedesie i powiedział:

- Okej, czekam. Wszystko okej.

Zula weszła do innej kabiny i się wysikała. Słyszała, jak Sokołow stuka w klawiaturę jakiegoś palmtopa lub komórki. Wyszła z kabiny, stanęła przed umywalką i zdjęła całe

ubranie. Przy użyciu mydła ze swojej torby i wydanych przez Sokołowa papierowych ręczników umyła się cała na stojąco, a potem - srał pies Sokołowa! Sam się zamknął w potrzasku - schyliła się i umyła także głowę, co zajęło jej sporo czasu ze względu na trudności związane z wysuszeniem włosów. Kiedy już kończyła, nagle zmartwiała na dźwięk męskich głosów - tkwiła w bezruchu, dopóki nie dotarło do niej, że to Sokołow kontaktuje się z podwładnymi przez jakąś krótkofalówkę. Wynikiem podjętych przez nią starań było wyjątkowe poskręcanie włosów, ale teraz nie miało sensu przejmowanie się tym. Chwilowo bezużyteczny instynkt ostrzegł ją, że gdyby Peter zrobił jej jutro zdjęcie, na Facebooku ludzie mieliby ubaw, a ona spałaby się ze wstydu. Zaczęła się zastanawiać, jak długo musi potrwać jej milczenie, żeby znajomi z Facebooka zaniepokoiili się jej zniknięciem, ale zaraz zreflektowała się, że nawet jeśli się zorientują, że coś nie gra, nic jej z tego nie przyjdzie.

Po to właśnie dostała bluzę z kapturem. Na lotnisku na pewno były kamery. Nawet jeśli jej przyjaciele i rodzina rozesłają ogólnoswiatowy apel z prośbą o pomoc w poszukiwaniach, policja w Xiamen i tak nie rozpozna jej twarzy na taśmach.

Włożyła czyste ubranie, wyszczotkowała zęby, zebrała rzeczy.

- W porządku - powiedziała.

Sokołow wynurzył się z kabiny i razem wrócili do biura. Klódka na lince zamknęła się za ich plecami. Zula zauważyła boczne drzwi w holu, zapewne prowadzące na schody pożarowe; była ciekawa, ile pięter zdążyłaby zbiec, zanim dogoniłby ją któryś z konsultantów. Na pewno mieli wprawę w skakaniu przez poręcze albo innej technice błyskawicznego pokonywania schodów, z której istnienia nawet nie zdawała sobie sprawy.

W Seattle Peter próbował ją namówić na lekcje parkouru. Teraz żałowała, że odmówiła.

Sokołow, wyciągnąwszy rękę, przypomniał jej, gdzie znajduje się jej pokój.

- Dziękuję - usłyszała słowa dobiegające z własnych ust, zanim sobie uświadomiła, jak głupio to brzmi.

Z sięgających od podłogi do sufitu okien roztaczał się widok w głąb wyspy, chociaż, przyciskając policzek do szkła, Zula była w stanie dostrzec także wodę. Najbliższy budynek podobnych rozmiarów znajdował się w odległości około pół mili; może zwróciłaby czyjąś uwagę, tańcząc nago przy oknie, albo nadając SOS Morse'em za pomocą wyłącznika światła? Biorąc jednak pod uwagę fakt, że od wnętrza biura dzieliła ją szklana ściana, podobne wybryki z pewnością zwróciłyby uwagę popijających kawę Rosjan.

Doszła więc do wniosku, że spróbuje się przespać, zamiast wymyślać kolejne plany ucieczki w stylu Nancy Drew i Scooby-Doo. Jakiś czas później ze zdumieniem stwierdziła, że

Peter wyciąga ją ze śpiwora. Jak zwykle nie wiedziała, która jest godzina, ale na dworze było jasno.

- Spotkanie za dwadzieścia minut - poinformował ją Peter, siląc się na rosyjski akcent.

Odbyła kolejną wycieczkę do łazienki, podczas której pilnowano jej zgodnie ze znaną już procedurą. Stojąc przed lustrem i przebierając się w czystą koszulkę, przyjrzała się swojemu odbiciu - i na ten widok z niewiadomych powodów ogarnęła ją nieodparta fala żalu i melancholii. Odkręciła oba kurki, mocno oparła się rękami o blat i rozszlochała na jakieś pół minuty.

A potem ochlapała twarz wodą i poinformowała swoje odbicie:

- W porządku.

* * *

Sokołow dużo myślał o obłądnie. O jego naturze. O przyczynach.

O tym, od jak dawna dręczy Iwanowa, i czy całkowicie zawładnął jego umysłem, czy raczej przyływa i odpływa falami. Od czasu do czasu Iwanow mrugał i rozglądał się z zaskoczoną niemal po dziecięcemu miną, jakby zdrowy kawałek jego umysłu znieacka ocknął się, odzyskał władzę nad ciałem i stwierdził, że znajduje się w sytuacji upichconej pod jego nieobecność przez tę część Iwanowa, która ma kompletnego pierdolca.

Sokołow jednakże zawdzięczał życie - najpierw w Afganistanie, potem w Czeczenii - umiejętności postrzegania spraw oczami wroga, co w tym wypadku oznaczało wczucie się w położenie Iwanowa. Takie odwrócenie perspektywy nie zawsze przychodziło mu z łatwością; czasem wymagało kilku dni przygotowań - obserwacji, gromadzenia danych, nawet przeprowadzenia małych eksperymentów, żeby prześledzić reakcje obiektu w różnych sytuacjach. Jego ludzie w Czeczenii mieli go czasem za wariata, ponieważ podejmował działania bezsensowne z taktycznego punktu widzenia, tylko po to, żeby potwierdzić (lub obalić) swoją hipotezę na temat tego, jak myślą Czeczeńcy, czego chcą, czego najbardziej się boją.

Co uważają za normalne.

To zawsze było najtrudniejsze. Jeżeli wiesz, co dla wroga jest normą, wszystko nagle staje się proste: możesz go uśpić, karmiąc normalnością, albo śmiertelnie przestraszyć, odbierając mu tę normalność. Tyle że normalność Afgańczyków i Czeczeńców tak bardzo różniła się od normalności Rosjan, że człowiek pokroju Sokołowa musiał się trochę napocić, żeby odkryć tę ostatnią.

Po przeniesieniu tych rozważań na bieżącą sytuację, pytanie brzmiało: czy można uznać za normalne wydanie znacznej sumy z *obszczaku* na czarter prywatnego odrzutowca z

Toronto przez Seattle do Xiamen w celu odszukania i wyeliminowania człowieka, najprawdopodobniej dzieciaka, który napisał wirusa komputerowego i żąda okupu w wysokości siedemdziesięciu trzech dolarów za jakieś pliki, które wziął na zakładników?

* * *

Do momentu, gdy rano obudził się w kryjówce i poczuł zapach kawy (dzienna zmiana wstała o szóstej i zaczęła parzyć kawę na kuchence), Sokołow nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo ma przesrane. I w jak niezwykle interesującej sytuacji się znalazł. Był zaskoczony i zawstydzony, że został tak daleko w tyle za rozwojem wydarzeń. Iwanow pokonał go w grze w normalność. Wsiąść do samolotu, polecieć do roboty... Czy mogło być coś bardziej normalnego? Tyle że najpierw Iwanow nie powiedział mu, w jaki sposób zamierza przedostać się na terytorium obcego kraju, a później nominalni podkomendni Sokołowa dokonali w Stanach morderstwa, nielegalnie wjechali do Chin i znaleźli się w Xiamen zdani na łaskę lokalnych gangsterów lub urzędników, z którymi dogadał się Iwanow.

Chociaż, prawdę mówiąc, ci gangsterzy lub urzędnicy sami również byli zdani na łaskę Iwanowa, nie rozumieli bowiem, że Iwanow jest szurnięty. Kiedy do nich dotrze, że Iwanow nie tylko jest nienormalny, ale w dodatku przywiózł ze sobą siedmiu wojowników i troje hakerów, zaczną ich dręczyć koszmary senne o tym, jakie czekają ich konsekwencje, kiedy pomocnicy Iwanowa zaczną robić rzeczy, które są dla nich chlebem powszednim.

Jaki kit wstawił im Iwanow? Pewnie im wmówił, że chce przez terminal dla prywatnych samolotów przemyścić jakiś wartościowy towar. W ilości wystarczającej do wypełnienia dwóch mikrobusów. Kawior z nielegalnej produkcji albo coś równie drogiego, żeby uzasadniało wynajęcie odrzutowca.

Nie. prostytutki. Wysoko płatne specjalistki. Tak, na pewno tak im właśnie powiedział.

W pokoju Sokołowa wisiała biała tablica. Korciło go, żeby wstać i rozrysować aktualną sytuację na diagramie. Byłby skomplikowany, całe szczęście więc, że pod ręką nie było mazaków. Zresztą, rysowanie diagramów to kiepski pomysł, lepiej mieć wszystko w głowie.

Leżał zatem na wznak, napawał się aromatem kawy i gapił w sufit. Większość jego powierzchni pokrywało dziewięć płytek w układzie trzy na trzy. Sokołow wyobraził sobie, że jest tą w samym środku. Cała szachownica wyglądała mniej więcej tak:

<i>Iwanow</i>	<i>chińscy wspólnicy Iwanowa</i>	<i>troll</i>
<i>pracodawca Sokołowa</i>	<i>Sokołow</i>	<i>ekipa</i>
<i>Csongor</i>	<i>Peter</i>	<i>Zula</i>

Siatka nie powstała od razu. Męczył się chwilę z powtórzeniami, odrzucał zbędne elementy. Takie jak Wallace. Albo miejscowe oprychy z Seattle. Wujek Zuli. W tej chwili nie byli warci uwagi.

Zaczął po kolei analizować pola szachownicy.

IWANOW: Sokołow marzył o tym, żeby dorwać się do rosyjskiej Wikipedii i poczytać o wylewie krwi do mózgu. A także o lekach, które widział u Iwanowa i których nazwy zapamiętał. Zdawał sobie sprawę, że chiński Internet jest monitorowany przez BBP, Biuro Bezpieczeństwa Publicznego, i zastanawiał się, czy sam fakt uruchomienia rosyjskiej Wikipedii (w odróżnieniu od zwykłej) spowoduje wbicie w mapę zawieszoną w siedzibie BBP w Xiamen czerwonej pinezki (lub jej nowoczesnego elektronicznego odpowiednika) z podpisem „Tutaj Ruskie”. Ilu Rosjan przebywało w Xiamen legalnie, czyli z ważnymi wizami? Pewnie niezbyt wielu, więc gdyby czerwona pinezka pojawiła się w nieoczekiwanej części miasta, mogliby mieć kłopoty. Paweł Pawłowicz, z którym w Afganistanie Sokołow służył w jednym plutonie, oberwał w głowę odłamkiem pocisku. Szrapnel wbił mu się w mózg. Rana miała być śmiertelna, ale Paweł Pawłowicz przeżył - tyle że potem nie był już całkiem normalny, nie kontrolował niektórych impulsów, i po nieszczęśliwym wypadku, w którym główną rolę odegrał granatnik przeciwpancerny, odesłano go do domu. Sokołow miał teorię, że Iwanow cierpi na nadciśnienie (łatwo byłoby ją potwierdzić, gdyby tylko mógł sprawdzić te jego leki!), które ostatnio daje mu się we znaki bardziej niż zwykle - z powodu kłopotów z *obszczakiem*. Kiedy zadzwonił do niego Csongor z informacją, że historyjka Wallace'a nie trzyma się kupy, ciśnienie wystrzeliło pod niebiosa i (jeśli teoria Sokołowa była prawdziwa) Iwanow dostał małego wylewu, który upośledził go w podobny sposób, jak szrapnel nieszczęsnego Pawła Pawłowicza. Iwanow przespał prawie cały lot z Toronto do Seattle. Sprawiał wrażenie człowieka wyczerpanego, zniszczonego i przygnębionego, ale po przebudzeniu stał się prawdziwym demonem.

CHIŃSCY WSPÓLNICY IWANOWA: Pewnie nie byli już istotni, ale swoją tajemniczością zasłużyli na własną płytkę na suficie. Czy po prostu umożliwili wyjazd dwóch mikrobusów Iwanowa z lotniska bez kontroli, po czym wrócili do innych przestępczych działań? Czy też nadal mieli na oku Iwanowa i jego ekipę? Może ich niepokoił? Bo jeśli tak było, jeśli ci bezimienni i pozbawieni twarzy Chińczycy naprawdę niepokoił się Iwanowem, to wkrótce będą mieli więcej powodów do zmartwień. A kiedy poziom niepokoju nadmiernie wzrośnie, mogą przedsięwziąć kroki zmierzające do zlikwidowania Iwanowa i wszystkich, którzy mu towarzyszą. Ponieważ jednak Sokołow nie miał pojęcia, na jakich zasadach współpracowali z Iwanowem, jedynym, co mógł w tej sprawie zrobić, było dopilnowanie, by

on i jego ludzie jak najdłużej pozostali niezauważeni. W czym zresztą może im pomóc dziwaczność ich misji. A skoro już o niej mowa:

TROLL: Sam w sobie troll (najprawdopodobniej samotny nastolatek zabawiający się komputerem w zaciszu swojej sypialni) był niegroźny, dlatego poświęcona mu płytka na suficie symbolizowała raczej związane z trollem problemy i pytania, takie jak: co z nim zrobić, do diabła, kiedy go już znajdą? Albo inne, jeszcze trudniejsze: co zrobić, jeśli go nie znajdą?

PRACODAWCA SOKOŁOWA: Sokołow był pracownikiem agencji ochrony mającej siedzibę w Petersburgu i oddziały w Toronto, Nowym Jorku i Londynie, której dochody pochodziły głównie ze współpracy z ludźmi pokroju Iwanowa. Jak w każdej innej branży, tak i tutaj satysfakcja klienta odgrywała kluczową rolę - co zwykle oznaczało, że przydzielony klientowi pracownik musiał wykonywać wszystkie jego polecenia. Przydałyby się jakieś wyjątki w regulaminie uwzględniające klientów z defektami mózgu, ale założyciele firmy (emerytowane szychy ze Specnazu) dla uproszczenia przeszczepili na jej grunt całą hierarchię służbową, kulturę i tradycję oddziału wojskowego, w którym porobili kariery i z którego wywodziła się większość ich pracowników. Próba pominięcia przełożonego w kontaktach z szefostwem nie byłaby mile widziana i mogła mieć dla Sokołowa przykre następstwa. Mógłby, na przykład, przekonać się na własnej skórze, że Iwanow wcale nie zwariował, tylko wykonuje rozkazy wierchuszki - a to by znaczyło, że misja (na czymkolwiek polega) jest niezwykle ważna i lepiej jej nie spieprzyć, bo to też może mieć przykre następstwa.

SOKOŁOW: Wziął tę robotę, ponieważ wydawała mu się łatwa i przyjemna w porównaniu ze służbą w wojsku. I do niedawna taka właśnie była, a on zaczynał się nudzić. Teraz zaś o nudzie zdążył zapomnieć, odczuwał natomiast większość tego samego stresu, który kazał mu odejść z armii. Czy w ogóle możliwe jest takie ustawienie się w życiu, żeby wszystko było w sam raz? Czy można być normalnym, nie dając się wykorzystywać?

EKIPA: Z większością chłopaków pracował już wcześniej i wiedział, że wykonają jego rozkazy profesjonalnie i bez zbędnych pytań. Chodziły jednak słuchy, że wierchuszka lubi czasem podrzucić do ekipy szpiega, który odpowiada bezpośrednio przed nią; w takiej sytuacji jak obecna, ta groźba wydawała się wyjątkowo realna. Zwołał ich w wielkim pośpiechu; nie zdążył wyjaśnić ani dokąd lecą, ani co mają zrobić.

CSONGOR: Najmniejsze ze zmartwień Sokołowa. Węgier wcale nie chciał się tu znaleźć, ale znał zasady gry, od dawna współpracował z Iwanowem i będzie grzeczny, dopóki będzie mu się wydawało, że ujdzie z tego z życiem.

PETER: Zdaniem Sokołowa, prawdopodobieństwo, że Peter prędzej lub później zrobi

coś głupiego, czym napyta im wszystkim wielkiej biedy, było stuprocentowe. Zrobi to, ponieważ wydaje mu się, że jest cwany, a poza tym myśli tylko o sobie. Najbezpieczniej byłoby go od razu gdzieś wyprowadzić i zastrzelić, ale trudno byłoby się pozbyć ciała, a wywołany jego śmiercią wstrząs poważnie zachwiałby równowagę psychiczną Zuli.

ZULA: Jedyna osoba w obecnym otoczeniu Sokołowa, z którą kontakt mógł się okazać produktywny. „Produktywny” oznaczało w tym wypadku, że Zula może zrobić coś nieprzewidywalnego, czego sam Sokołow zrobić by nie potrafił.

Stanowiła również problem zupełnie innego kalibru, ponieważ Iwanow prawie na pewno będzie chciał ją zlikwidować, a była jedyną osobą tkwiącą w tym bagnie, która na to nie zasługiwała. Wojna z wrogiem dawno stała się dla Sokołowa profesją i drugą naturą, ale rycerskość wobec tych, którzy wrogami nie są, była dla niego podstawą człowieczeństwa. Zawsze się bał, że pewnego dnia znajdzie się w takiej sytuacji jak ta. Nigdy przedtem mu się to nie zdarzyło.

* * *

Nalał sobie kawy i pierwszy wszedł do sali konferencyjnej. Stał przy oknie. Taksował wzrokiem pole bitwy.

Z tej odległości niewiele różniło się od innych, było po prostu bardziej zatłoczone. Wilgoć i smog sprawiały, że już w odległości paru przecznic budynki spowijała mgła, jak malowane tło w starych radzieckich filmach, przez co wydawało się, że są umiejscowione dalej niż w rzeczywistości. Trudno było przez to ocenić, jak daleko naprawdę sięga miasto. Gorący i wilgotny klimat był również przyczyną niewygód innego rodzaju: w lekkim ubraniu niewiele można schować, a przechodzień zakutany po uszy rzucałby się w oczy. Nie będzie z tym jednak żadnego problemu, dopóki nie przystąpią do likwidacji trolla, a sądząc z rozmowy Zuli, Petera i Csongora w samolocie, ustalenie miejsca jego pobytu zajmie co najmniej kilka dni.

Wieżowiec stał po wewnętrznej stronie sześciopasmowej drogi okalającej wyspę. Po jej drugiej stronie przystanie promowe ciągnęły się na odcinku co najmniej kilometra, a dalej rozpościerał się najruchliwszy szlak wodny, jaki Sokołow w życiu widział. Oglądał wcześniej mapy, wiedział więc, że akwen, który ma przed sobą, to cieśnina oddzielająca Xiamen od odległej o kilometr mniejszej wyspy, ale trudno było nie postrzegać jej jako rzeki, olbrzymiej, potężnej rzeki, takiej jak Wołga czy Dunaj. Tyle tylko, że przegubowe trapy łączące nabrzeże z pływającymi przystaniami zdradzały, że woda jest słona i ma zwyczaj podnosić się i opadać w rytmie przyływów i odpływów morza. W ruchu na zatłoczonej cieśninie uczestniczyły jednostki pływające wszelkich możliwych rozmiarów, od wiosłowych łódeczek po

frachtowce, ale dominowały dwa ich rodzaje: krępe dwupokładowe promy pasażerskie oraz kutry, które Sokołow widział pierwszy raz w życiu i które, jak się domyślał, pełniły rolę tradycyjnych wołów roboczych na tutejszych wodach - płaskie, z pokładem wznoszącym się nie wyżej niż metr nad powierzchnią wody, z obu stron obwieszane starymi oponami, mierzące jakieś dziesięć metrów długości i wyposażone w znajdującą się przy rufie nadbudówkę (lub przynajmniej wiatę) mieszczącą silnik, przyrządy sterownicze i sternika. W niektórych miejscach kłębiło się ich tyle, że dziw brał, że w ogóle mogą się ruszyć, a każdy przewoził coś innego: pasażerów, beczkę smaru, paletę zafoliowanego ładunku, lodówkę wypełnioną lodem i rybami. Wśród tych sporych, mało zwrotnych kryp śmigały zygzakiem białe motorówki przewożące pasażerów w pomarańczowych kamizelkach ratunkowych - szybkie wodne taksówki dla bogatych, jak domyślał się Sokołow. Niektóre płynęły w poprzek cieśniny, wprost na mniejszą wysepkę, stromą, zieloną, złożoną chyba głównie z parków i willi starszych i zamożniejszych niż przedmieścia, które podkładały się pod Xiamen ze wszystkich stron, ledwie majaczące we mgle, choć na pewno znacznie gęściej zabudowane.

Wszystko to było niezwykle malownicze, ale najprawdopodobniej nie miało bezpośredniego związku z ich zadaniem. Sokołow przeniósł wzrok na budynki stojące po lądowej stronie obwodnicy - takie jak ten, w którym się znajdowali. Było wśród nich jeszcze parę nowoczesnych drapaczy chmur z błękitnego szkła, trwała budowa kilku kolejnych, ale co najmniej połowę długości szeregu zajmowały starsze domy, opatrzone logo hoteli i zachodnich sieci restauracji. Z dachu sąsiedniego dwunastopiętrowca witała go reklama KFC. Podjazd do budynku był zakorkowany taksówkami, co sugerowało, że jest to hotel; Sokołow przypuszczał, że zatrzymują się w nim raczej chińscy biznesmeni niż turyści z Zachodu. Naprzeciw niego znajdowało się skrzyżowanie ze światłami na położonej w środku podwyższonej wysepce. Zajmowało chyba dobry hektar i, oglądając je z tej wysokości, Sokołow widział, że wielokrotnie rozkopywano je we wszystkich możliwych kierunkach, żeby położyć nowe kable, rury i przewody, a potem odtwarzano nawierzchnię, po której przetaczał się ciężki strumień taksówek, autobusów i skuterów. Wśród pojazdów z rzadka trafiał się jakiś mercedes lub lexus. Za skrzyżowaniem stał łukowato zakrzywiony biurowiec, zasłonięty olbrzymim panoramicznym billboardem ze zdjęciami modelek i alkoholi. Okna biur wychodziły na skrzyżowanie, ale nic więcej Sokołow nie umiał o nich powiedzieć, ponieważ szyldy nie zawierały ani krzty angielskiego. Tutejsi architekci musieli przywiązywać dużą wagę do umieszczonych na dachach masztów antenowych, które miały znacznie większą grubość i rozstaw podpór, niżby to wynikało z czysto inżynierskich uwarunkowań. Zapewne szkolili się w Związku Radzieckim i mentalnie tkwili jeszcze w

połowie XX wieku, kiedy to uważano, że budynek bez anteny jest jak pancernik bez dział. Technika poszła naprzód, maszty straciły rację bytu, ale ostały się w architekturze na podobnej zasadzie jak wieże kościelne.

W tej misji nadajniki radiowe nie miały znaczenia. Istotna była ta komiczna siatka podłużnych łat i placków na jezdniach, kryjąca przeciągnięte pod ziemią kable internetowe.

Co rusz rzucały mu się w oczy boiska do koszykówki. Z miejsca, w którym stał, było widać cztery, wszystkie nowiutkie i zadbane.

Na widocznych tu i ówdzie spłachetkach pustego terenu dostrzegł ludzi wykonujących jakieś powolne, zrytualizowane ruchy. Przypomnił sobie, że Chińczycy lubią gimnastykę.

Całkiem niedaleko szeroka ulica odchodziła znad wody w głąb wyspy. Miała co najmniej dwa kilometry długości. Ciągnęły się przy niej drogie sklepy w zachodnim stylu. Biegła po płaskim jak stół terenie, ale już kilometr dalej z ziemi wystrzeliwały szare turnie zwieńczone ciemnozielonymi kępkami i zagajnikami. Uczepione skał, przetrwały strome, porośnięte bluszczem pozostałości wiekowych fortyfikacji, z których wyrosły już nowe budowle.

Wszystko - te przystanie promów, nowe drapacze chmur (istniejące i przyszłe), starsze wieżowce, boiska do koszykówki, ulica ze sklepami i skalne ostańce - były swoistymi wyjątkami w Xiamen; łącznie zajmowały mniej więcej czwartą część powierzchni miasta. Na pozostałym obszarze nic się nie wyróżniało: nijakie połączenie gęsto upakowanych trzy- i czteropiętrowych domów, często pokrytych niebieskimi dachami (dlaczego akurat niebieskimi?!), pobudowano w labiryncie uliczek tak wąskich, że z tej wysokości prawie nie widział ich nawierzchni i tylko ze szczelin pomiędzy budynkami wnioskował o ich istnieniu. W tych nielicznych miejscach, gdzie przebieg uliczek odpowiadał kierunkowi, w którym patrzył, wydawało się, że są pokryte nie asfaltem, lecz poruszającymi się ludzkimi postaciami oraz grzęznącymi w ich morzu pojazdami.

Miał przed sobą tylko ułamek miasta, było więc mało prawdopodobne, żeby widział miejsce zamieszkania trolla, ale był przekonany, że troll mieszka w dzielnicy, która dokładnie tak właśnie wygląda. Powinien sprawdzić, jak można się w tych warunkach poruszać. I walczyć. Pierwsze skojarzenie miał raczej z Groznym niż z Dżelalabadem, ale to nie wystarczy. Nie wiedział, na przykład, czy w Xiamen funkcjonuje jakiś podziemny system transportu miejskiego, który można by wykorzystać.

Rozległ się charakterystyczny odgłos wleczonego po podłodze bagażu z kółkami. Sokołow odwrócił się i zobaczył Iwanowa, który szedł od strony wind, ciągnąc czarną torbę. Jeden z członków ekipy doskoczył do niego i zaproponował pomoc, ale Iwanow zbył go

machnięciem ręki i skierował się prosto do sali konferencyjnej. Sokołow otworzył drzwi. Iwanow, nie zwalniając kroku, wszedł, dźwignął torbę z ziemi i ciężko zwałił ją na stół.

- Możesz otworzyć.

Sokołow otworzył i odchylił zapinaną na suwak górną klapkę. Torba była pełna czerwonych pieniędzy.

- Nasz *obszczak* - zażartował Iwanow. W każdym razie, Sokołow miał nadzieję, że żartuje.

Wszystkie banknoty miały ten sam nominal (100 *renminbi*) i ten sam czerwony kolor z lekką fioletową nutą; zdobił je portret młodego Mao Tse-Tunga. Zostały pospinane w grubsze lub cieńsze pliki. Sokołow wziął do ręki jeden z mniejszych.

- Durny kraj - powiedział Iwanow. - Setka to najwyższy nominal. A wiesz, ile jest warta? Czternaście dolarów. Większych nie drukują, bo natychmiast zaczęto by je podrabiać. Dlatego wymiana pieniędzy to poważny problem. Już się zmęczyłem.

Składający się z dziewięciu banknotów pakiecik był owinięty dziesiątym.

- Trzymasz w ręce miejscowy odpowiednik franklina - dodał Iwanow.

Sokołow odłożył pieniądze do torby, sięgnął głębiej, wyjął plik o proporcjach zbliżonych do cegły i spojrzał pytająco na Iwanowa.

Ten wzruszył ramionami.

- Nie wiem, z dziesięć tysięcy dolarów? - Pogroził Sokołowowi palcem. - Pamiętaj: w Chinach pieniędzmi można wiele zdziałać.

- Jak oni je noszą? - zdumiał się Sokołow.

- W portfelach.

Sokołow odłożył cegłę.

- Jakie rozkazy?

- Sprowadź hakerów. Niech szukają trolla.

- Już o tym rozmawiali. Chcą wyjść na ulice. Zedrzeć zelówki - dodał Sokołow po angielsku.

- Będą sprawiać kłopoty? Spróbują ucieczki?

- Może Peter.

- Jedno zawsze trzymaj pod ręką. Jako polisę ubezpieczeniową.

- To nie może być Csongor. Tamci go praktycznie nie znają.

- Czyli albo Peter, albo Zula się stąd nie ruszą. Hm?

- Zula nie będzie nam sprawiała kłopotów, jeśli weźmiemy Petera na zakładnika.

Natomiast w odwrotnej sytuacji...

- Wiedziałem!

Iwanow uderzył otwartą dłoń w stół. Poczzerwieniał na twarzy. Dla niego niejasne podejrzenie Sokołowa, że Peter mógłby okazać się facetem, który zdradzi Zulę, było pod względem ontologicznym tożsame z filmikiem na YouTube, na którym naprawdę to zrobił. Byłby chyba gotów zabić Petera na miejscu. Sokołow cieszył się, że Iwanow do tego stopnia ufa jego intuicji, ale nabrał wątpliwości, czy nie oceania Petera zbyt surowo.

- To tylko moje domysły - przypomniał.

- Nie, masz rację! Peter będzie siedział tutaj, a Zulę z Csongorem wypuścisz na miasto. Zawsze ma z nimi być dwóch twoich ludzi.

- Jeśli można... Chciałbym sam z nimi wyjść.

- Po co?

- Bo na razie widziałem tylko tyle z tego miasta, ile widać przez te okna.

- W porządku. To dobry pomysł. Rozejrzyj się, poznaj miasto. Zapewniam cię, że zobaczysz więcej, niżbyś chciał.

Sokołow spojrzał w stronę drzwi. Hakerzy, jak ich nazwał Iwanow, stali po drugiej stronie, czekając na rozkazy. Skinieniem głowy dał im znak, żeby weszli.

Csongor, Zula i Peter weszli gęsiego do sali i stanęli naprzeciw Iwanowa, po drugiej stronie stołu, udając, że nie widzą wora pieniędzy.

Iwanow przeszedł na angielski:

- Dużo czasu wam zeszło na spaniu, lataniu, spaniu. Łatwo zapomnieć o misji. Wy pamiętacie?

- Odkryć, kim jest troll - powiedział Peter.

Iwanow spojrzał na niego takim wzrokiem, jakby Peter śmiertelnie go obraził. Prawdę mówiąc, Peterowi nie pomogłyby żadne słowa.

- Znaleźć skurwysyna, który mnie wydymał! - krzyknął Iwanow tak głośno, że było go słychać chyba aż we Władystoku.

Odczekał, aż dźwięk wybrzmi hakerom w uszach. Widział, jak się kurczą jak rodzyнки.

- Wy chcecie chodzić po ulicach. Zdzierać zelówki.

Peter zerknął na Sokołowa.

- Ty patrz na mnie! - huknął Iwanow.

- Tak, proszę pana. Tak. Musimy pochodzić po mieście, popodłączać się w różnych miejscach do Internetu, pobrać adresy IP...

- I wysłać do mamy prośbę o pomoc?!

Twarz Petera, od początku czerwona, poczerwieniała jeszcze bardziej.

- Ty zostajesz. Ty pomożesz robić mapę albo coś. - Iwanow przeniósł wzrok na Zulę. - Ty, śliczna Zula, ty będziesz zdzierać zelówki z Csongorem. - Zwrócił się do Węgra: - Csongor? Tylko ty jeden dotykasz komputera. - Pogroził mu palcem. - Nie ma e-maili, nie ma Facebooka, nie ma Twittera. A jeśli jest jeszcze jakaś taka rzecz, tylko ja o niej nie słyszałem, to też jej nie ma!

- A jeżeli będziemy musieli wejść do *T'Rainu*? - spytał Csongor po rosyjsku.

- Tylko jeden wyjątek - odparł po angielsku Iwanow. - W razie potrzeby Zula może grać w *T'Rain*. Sokołow będzie was obserwował. Wy nie róbcie żadnych sztuczek.

Zula i Csongor pokiwali głowami.

Iwanow zrobił ćwierć obrotu w miejscu i wskazał Sokołowa.

- Sokołow będzie z wami cały czas. On was będzie chronił i pilnował, żebyście wy przestrzegali zasad. Jeżeli wy złamiecie zasady w poważny sposób, jeżeli Zula pójdzie pudrować noski i ona nie wróci, albo będą inne problemy, to wtedy ja mam poważną rozmowę z Przyczyną Wszelkiego Zła. - Wyciągnął obie ręce do Petera w geście, którego naturalnym zwieńczeniem byłoby uduszenie ofiary. - Wy rozumiecie zasady?

Wszyscy pokiwali głowami.

- Wy idźcie zdzierać zelówki. - Iwanow sięgnął do torby, wyjął garść plików banknotów i pchnął je po stole w stronę Sokołowa. - Oprócz Petera. Ty. - Wskazał na Petera, jakby w pokoju znajdowało się więcej osób o tym imieniu. - Ty zostań na krótką dyskusję.

Sokołow zgarnął pieniądze, cofnął się pod drzwi i otworzył je przed Zulą i Csongorem. Wyszli, nie oglądając się na Petera, na którego, prawdę mówiąc, przykro było patrzeć, chociażby ze względu na postawę, jaką przyjął: zgarbiony, ściągnięte ramiona, ciało drżące, kark czerwony jak piwonia.

Sokołow i tak był pod wrażeniem, że chłopak jeszcze nie zesrał się w gacie. Ludzie mają skłonność do prymitywnych żartów o sikaniu w spodnie ze strachu, on jednak z doświadczenia wiedział, że przy stresie o dużym nasileniu człowiek prędzej się zesra, niż spompuje w pory. Sikanie jest całkowicie bezproduktywne i dowodzi utraty kontroli nad podstawowymi funkcjami organizmu. Co innego sranie: opróżnia jelita, przez co udostępnia mózgowi i dużym mięśniom krew, która w przeciwnym wypadku zostałaby zużyta na mało istotny w danej chwili proces trawienia. Sokołow wybaczyłby Peterowi obesranie się ze strachu; gdyby chłopak się posikał, naprawdę należałoby się go pozbyć jak najszybciej.

Tak czy inaczej, Peter na razie nie zrobił żadnej z tych rzeczy.

Kiedy jednak parę minut później, zgarnawszy do plecaków sprzęt i wodę, spotkali się

w recepcji, Sokołow zwrócił uwagę, że Zula (która do tej pory przyjmowała rozwój wypadków z nieprzeniknioną miną), z troską zerka przez szklaną ścianę na Petera. Iwanow cały czas go ochrzaniał.

Albo i nie.

Coś się bowiem zmieniło. Rosjanin nie przestawał gestykulować, ale jego ręce, zamiast dusić i okładać pięściami, wykonywały zgrabne gesty siekania czegoś na blacie, kreśliły koncentryczne kręgi, wyciągały się ku rozpostartemu za oknem miastu, zagarniały z niego jakąś wyimaginowaną treść i przerzucały ją na stół. Peter kiwał głową, od czasu do czasu nawet poruszał zuchwą.

Peter był zaintrygowany.

- W porządku - orzekł Sokołow. - Teraz pracuje dla Iwanowa.

* * *

Iwanow zaproponował, że wezwie im samochód z kierowcą, ale Sokołow doszedł do wniosku, że więcej skorzystają na jeżdżeniu taksówkami, zjechali windą do garażu, wyszli z niego wyjściem ewakuacyjnym i przez betonową klatkę schodową bez okien dotarli na pasek obsianego trawą terenu, który wzdłuż bocznej ściany biurowca doprowadził ich do skraju nadmorskiej obwodnicy. Sokołow zatrzymał się, okręcił na pięcie i komórką sfotografował budynek, z którego wyszli; kiedy później będzie chciał tu wrócić, wystarczy, że pokaże zdjęcie taksówkarzowi.

Albo zdążyli się błyskawicznie spocić, albo wilgoć z powietrza skraplała się na ich sztucznie schłodzonej skórze. Sokołow zdjął bluzę kupioną w sklepie na lotnisku we Władywostoku, złożył ją i schował do torby, przykrywając pęczki banknotów.

Kierowcy taksówek, które skupiały się w stadach i rojach na placu przed hotelem z reklamą KFC, byli zmieszani i prawie oburzeni sposobem, w jaki trójka westmanów zmaterializowała się na tym zwykle nieuczęszczanym rogu ulicy. Najwyraźniej mieli w zwyczaju obserwować wszystkie miejsca, w których mógł się objawić potencjalny klient, i nagłe pojawienie się obcokrajowców - pieszych, niezauważonych i przez nikogo nieniepokoionych - było taką samą obrazą dla ładu cywilnego jak tryskające wodą hydranty i wyjące alarmy samochodowe. Sokołow miał przeczucie, że kiedy następny raz wyjdą z kryjówek schodami pożarowymi, będzie na nich czekać co najmniej jedna taksówka. Nie było to miłe wrażenie.

Obfotografował plac i hotel. Ostentacyjnie. W rzeczywistości, rzecz jasna, po prostu obserwował na ekranie telefonu Chińczyków, którzy się na nich gapili.

Nigdy nie był tajnym agentem *per se*, ale, odchodząc do sektora prywatnego,

przeszedł podstawowe szkolenie szpiegowskie. Szpieg powinien mieć wyczulony szósty zmysł i intuicyjnie wyczuwać, kiedy ktoś na niego patrzy - taki przynajmniej kit wciskali nowicjuszom nauczyciele szpiegowskiego fachu. Gdyby naprawdę tak było, przeciętny zachodni agent nie wytrzymałby nawet pięciu sekund na chińskiej ulicy, ponieważ co rusz włączałby mu się wewnętrzny alarm, i to wcale nie bez powodu. Gdyby ubrali się jak kłowni, obwiesili sobie głowy migającymi lampkami i wybiegli na ulicę, strzelając na wiwat z pistoletów maszynowych, nie zwróciliby na siebie uwagi szybciej i bardziej ewidentnie, niż kiedy po prostu pojawili się w przestrzeni publicznej jako nie-Chińczycy. Sokołowowi chciało się śmiać. Liczył na to, że może w Xiamen będzie inaczej, skoro miasto ma długą tradycję kontaktów ze światem zewnętrznym.

Oczywiście, wszędzie będzie tak samo. Nie zostaną po prostu zauważeni. Natychmiast staną się sławni.

Iwanow, który wszystko załatwiał z tylnej kanapy samochodu z przyciemnionymi szybami, nie zrozumie problemu. Sokołow nigdy nie zdoła mu wytłumaczyć, że w tym mieście nie da się działać dyskretnie.

- Do hotelu - powiedział. - Internet.

Opędzając się od taksówkarzy, skrajem placu precyzyjnie się do hotelu, zostawiając za sobą setkę zwyczajnych chińskich obywateli, którzy na ich widok stanęli jak wryci; całkiem spora część z nich dosłownie rozdziawiła usta. Sokołow, starając się nie patrzeć im w oczy, rozglądał się po okolicy i naliczył osiem kamer. W każdym razie tylko tyle zobaczył.

Obserwowani z różnej odległości przez co najmniej sześciu ochroniarzy umundurowanych i patrolujących teren dwójkami, weszli po schodach do hotelu. Każdy ich ruch śledziło przez szklane drzwi ze dwudziestu taksówkarzy w samochodach, na wypadek gdyby zmienili zdanie i wyszli.

Zgodnie z przewidywaniami Sokołowa większość klientów stanowili Chińczycy, toteż trzysobowa grupka westmanów stojąca niepewnie przy recepcji została poddana dalszym oględzinom. Miał nadzieję, że w holu będą mogli wygodnie usiąść w jakichś fotelach, zamówić herbatę, przejrzeć gazety... Ale to nie był hol tego rodzaju. Zamiast więc robić z siebie nieustanne widowisko, podeszli do wind i Sokołow wcisnął guzik, przy którym widniała podobizna pułkownika Sandersa. Minutę później znaleźli się na dachu. Restauracja była jeszcze zamknięta.

- Mam tu wi-fi - powiedział Csongor, zerknąwszy na ekran palmtopa.

- Dobrze - powiedział Sokołow. - Wracamy.

Zjechali windą na parter, wyszli z hotelu i wsiedli do taksówki.

- *Hyatt* - powiedział Sokołow.

Wiedział o istnieniu *Hyatta*, bo nocowali w nim piloci. Był blisko lotniska.

- Czyli mamy już jeden adres IP - podsumował w drodze Csongor.

Sokołow fotografował miasto przez okno, koncentrując się głównie na hotelach. Pięciominutowa przygoda nauczyła go, że biznesowe hotele są jedynymi miejscami w Xiamen, gdzie będą mogli zaczerpnąć tchu, nie stając się od razu sensacją, o której miejscowi będą później gadać tygodniami.

- Ma coś wspólnego z przestrzenią adresową, która nas interesuje? - spytała Zula.

- Otóż tak! Ten sam operator. Oczywiście, to jeszcze nic nie znaczy...

- Ale to już jest jakiś początek.

W okolicy lotniska dużo się budowało - powstawało kilka kompleksów biurowo-biznesowych, a międzynarodowe centrum konferencyjne, przed którym znajdowała się olbrzymia przeszklona kula, było już chyba gotowe. Sokołow tęsknił za anonimowością i pustką tych budowli; mógłby się w nich spokojnie ukryć. Były jednak tak bardzo oddalone od miasta, że równie dobrze mogliby próbować namierzyć trolla z centrum handlowego w Toronto.

Latarnie były obwieszane portretami miejscowego bohatera, Koxingi. Podobny, tyle że znacznie większy plakat rozpięto także przed centrum konferencyjnym. Był chyba oficjalnym logo konferencji poświęconej możliwości zjednoczenia Tajwanu z Chinami kontynentalnymi, która zwabiła do Xiamen międzynarodową flotyllę prywatnych odrzutowców.

Dziubiąc omlet widelcem, Sokołow poprosił Csongora (który już wcześniej zalogował się do bezprzewodowej sieci *Hyatta*) o wyciągnięcie z Google spisu cztero- i pięciogwiazdkowych hoteli. Csongor nie poprzestał na sporządzeniu listy: podłączył się do hotelowego centrum biznesowego i ją wydrukował. Ktoś z obsługi hotelu przyniósł im ją później na małej tacy do stolika.

Wyszli i złapali taksówkę. Sokołow wskazał jeden z hoteli na wydruku i taksówkarz zawiózł ich na miejsce: do centrum miasta, niedaleko wybrzeża. Weszli do holu i znaleźli sobie miejsca do siedzenia. Csongor połączył się z Internetem, a Sokołow obserwował interakcję gości z personelem w recepcji i konsjerżem.

Powtórzyli tę procedurę ośmiokrotnie, w ośmiu różnych hotelach. Zajęło im to czas do wczesnego popołudnia.

Następnie wrócili do hotelu, który miał najlepszą konsjerżkę. Sokołow wydelegował Zulę do rozmowy z nią - młodą kobietą, która świetnie mówiła po angielsku i sprawiała

wrażenie, jakby ta praca sprawiała jej autentyczną przyjemność. Zula wyjaśniła, że chciałaby wybrać się z przyjaciółmi na nieśpieszną przejażdżkę po mieście, obejrzeć miejsca nieoblegane przez turystów, może porobić zakupy na lokalnych targowiskach.

Konsjerżka wyszła z nimi przed hotel i przedstawiła sprawę taksówkarzowi. Sokołow, Zula i Csongor wcisnęli się na tylne siedzenie samochodu. Kierowca zaproponował Sokołowowi, że może usiąść z przodu, ale Rosjanin wolał choć częściowo schować się za przyciemnionymi szybami.

Do tej pory oglądali tylko nowoczesne dzielnice handlowe, teraz zaś po zaledwie dwudziestu sekundach jazdy znaleźli się w głębi jednej z tych starych dzielnic, które wcześniej zwróciły uwagę Sokołowa.

Csongor z otwartym laptopem na kolanach przeczesywał eter w poszukiwaniu sieci bezprzewodowych. Większość była zabezpieczona hasłami, ale od czasu do czasu udawało mu się trafić na jakąś otwartą i sprawdzić adres IP. W tym czasie Zula na bieżąco notowała ich długość i szerokość geograficzną, korzystając z wbudowanego w telefon Csongora odbiornika GPS. Nie musiałaby tego robić w Nowym Jorku czy innym mieście z regularną siatką ulic, tutaj jednak był to jedyny sposób na to, żeby jakoś skorelować obserwacje Csongora z topografią miasta.

Kiedy taksówka poruszała się szybciej niż piesi, mijali nadajniki wi-fi zbyt szybko, żeby Csongor zdążył nawiązać połączenie - ale zdarzało się to rzadko. Każde wolne miejsce w rzece ludzi i pojazdów natychmiast zajmował ciągnący dwukólkę wychudzony człowieczek w trójkątnym kapeluszu. Wszędzie było ich pełno; odnosiło się wrażenie, że mają monopol na przewożenie ładunków o wadze poniżej jednej tony. Jeśli taksówkarz odpowiednio długo trzymał wciśnięty klakson, tarasujący mu drogę tragarz z dwukólką niechętnie usuwał się na bok.

Jeździli tak bez celu przez jakieś dwadzieścia minut, zanim taksówkarz gdzieś zadzwonił i podał telefon Zuli, która, zerknąwszy nerwowo na Sokołowa, wzięła komórkę do ręki.

Uśmiechnęła się i odsunęła telefon od ucha.

- To konsjerżka - wyjaśniła. - Ma nadzieję, że na razie wycieczka nam się podoba, i pyta, co chcielibyśmy kupić.

- Niektórzy mężczyźni noszą tu takie małe torby, jakby sakiewki - odparł Sokołow. - Chcę taką.

Zula przekazała jego słowa konsjerżce i oddała telefon kierowcy. Ten posłuchał chwilę, zatrzasnął klapkę aparatu i zmienił kierunek jazdy. Dziesięć minut później zajechali

pod sklepik, w którym wyroby ze skóry piętrzyły się pod sufit. Sokołow i Zula wysiedli, a Csongor z laptopem został w samochodzie.

Zgodnie z przewidywaniami Sokołowa, ich pojawienie się w tej okolicy było najbardziej sensacyjnym wydarzeniem od czasu, gdy Koxinga przegonił holenderskich piratów, dlatego podczas zakupów towarzyszyła im spora widownia złożona z zafascynowanych sąsiadów, rodziców i dziadków właścicieli (pośpiesznie wezwanych przez komórkę z górnych pięter), przypadkowych przechodniów, osłupiałych wózków i zawodowych żebraków - którzy z uwagą śledzili każdy ich krok, rozmawiali o nich i śmiali się z takich drobiazgów, że Sokołow nie bardzo wiedział, co dokładnie wywołało ich reakcję. Szybko wybrał męską torbę, w której z łatwością zmieściłoby się kilka cegieł z banknotów, a przy tym zostałyby jeszcze miejsce na magazynki do pistoletu i ze dwa granaty hukowe, i już zamierzał zapłacić żadaną cenę, kiedy Zula wtrąciła się i zaproponowała inną, znacznie niższą. Rozpoczęły się targi, w których, jak się okazało, była całkiem niezła - i to nie dlatego, że upierała przy swoim jak jakaś wredna suka, tylko dlatego, że bez szkody dla uprzejmej atmosfery potrafiła się upierać, że żądana cena jest zbyt wysoka. Dzięki temu Sokołow miał dwadzieścia do trzydziestu sekund dla siebie i mógł bez przeszkód rozejrzeć się po okolicy.

Wszystkie budynki były zbudowane albo z betonu, albo z cegieł lub kamieni, które potem obrzucono zaprawą. Różnica była niewielka, a główne wnioski następujące: zatrzymają pociski o niskiej prędkości początkowej, także śrut; nie da się wybić w nich dziury kopniakiem; nie będą się łatwo palić. W zależności od gęstości zbrojenia (a domyślał się, że akurat w tej materii budowniczowie dokonali sporych oszczędności), takie budowle (w odróżnieniu od konstrukcji opartych na drewnianym lub stalowym szkielecie) były bardziej podatne na zawalenie się w skrajnie niekorzystnych warunkach, które ludzie tacy jak Sokołow regularnie prowokowali w swojej pracy zawodowej. Miały po cztery lub pięć kondygnacji, co oznaczało, że są pozbawione wind, a najwyższe piętra zajmują najubożsi najemcy. Na parterach mieściły się zwykle sklepy, wyżej biura (przy większych ulicach) lub mieszkania (przy mniejszych). Do mieszkań często przynależały niewielkie balkony, najczęściej jednak solidnie okratowane, i to nawet na wyższych piętrach - widocznie tutejsi włamywacze wspinali się po murach i opuszczali na linach z dachów. Same kraty zresztą świetnie nadawały się do wspinaczki, ułatwiając dostęp na dach w wypadku, gdyby drzwi domu były zamknięte, tudzież ucieczkę z budynku, gdyby klatka schodowa wypełniła się produktami spalania albo dybiącymi na życie lokatora uzbrojonymi ludźmi. Przydałoby się może jeszcze parę lin tu i ówdzie. Liny zawsze się przydają, prawda?

Ulice miały szerokość od metra (piesze) do ośmiu metrów (pieszo-jezdne).

Okablowanie domów było zewnętrzne i w najwyższym stopniu nieregularne. Niektóre przeciągnięte nad ulicą pęki kabli miały grubość tułowia mężczyzny. Nie ulegało wątpliwości, że zaczynały swoją karierę jako pojedyncze przewody, które z czasem obrosły innymi kablami.

- W porządku - powiedziała Zula. - Dwieście.

Patrzyła na Sokołowa. Sprzedawca również.

Sokołow wyjął z torby plik dziesięciu setek, oddzielił od niego dwa banknoty, wręczył je sprzedawcy i stał się właścicielem męskiej torby. Gapie zaczęli się rozchodzić. Koniec przedstawienia.

- Powtarzamy procedurę - zaordynował Sokołow w taksówce. - Kupujemy coś innego.

- Co by pan chciał kupić?

- Obojętne.

- Może herbatę? Dużo ludzi sprzedaje herbatę.

- Niech będzie herbata.

- I imbryk?

- Może być.

- Ja muszę znaleźć aptekę.

- Po co?

- Jestem dziewczyną.

- W porządku. Apteka. Powtarzamy procedurę.

Przez jakiś czas powtarzali procedurę. Zula kupiła herbatę od drobnej, energicznej kobiety w niebieskich kaloszach i serwis do herbaty od starszej pani z bocznej uliczki. Nabierali rutyny; Sokołow czuł się coraz swobodniej, stojąc w sklepie i czekając, aż Zula skończy się targować. Csongorowi chyba też to odpowiadało, bo regularnie powiadamiał ich o gromadzeniu nowych danych. Przez ostatnią godzinę Sokołow nie zobaczył nic, czego nie widziałby w ciągu pierwszych dziesięciu minut. Okolica nie zmieniała się znacząco, kwartały zabudowy były do siebie podobne - do tego stopnia, że łatwo było wśród nich zablądzić i tylko tubylec umiałby się zorientować w terenie. Wszechobecna mgła utrudniała nawet odszukanie słońca, więc nawigacja gwiazdna odpadała.

Kazał taksówkarzowi wrócić do hotelu, z którego zaczęli objazd, i wsunął konsjerżce odpowiednik franklina. Wrócili do domu pieszo, wzdłuż wybrzeża, dzięki czemu Sokołow mógł poobserwować funkcjonowanie przystani promowych, a Csongor połowić sieci wi-fi działające w poczekalniach i barach. Kiedy w zasięgu wzroku pojawił się pułkownik Sanders, Sokołow dał swojej ekipie znać przez radio, że wracają, dzięki czemu stalowe drzwi

wieżowca były już otwarte, kiedy do nich dotarli.

- Nie ma to jak w domu - mruknęła Zula.

* * *

Dom się trochę zmienił. Przybyło krzeseł - różowych, plastikowych, z wtryskarki. Peter ulokował się wygodnie za nowiutkim komputerem, zalatującym jeszcze lekko amoniakiem, jak to często bywa z nową elektroniką. Wyglądało na to, że ma połączenie z Internetem.

- Dobilem targu z Iwanowem - wyjaśnił Zuli, która wcześniej wzięła kolejną kąpiel w umywalce i upolowała sobie kawałek pizzy (okazało się, że znajdują się w zasięgu dostaw Pizzy Hut). - Ma w Moskwie zaufanego admina. Ten komputer jest połączony przez VPN z jego maszyną, dzięki czemu może z Moskwy monitorować moje ruchy w Internecie i pilnować, żebym nie wysłał SOS.

Zula nie wiedziała, co o tym myśleć: z jednej strony było to bardzo sprytne rozwiązanie, z drugiej nie mogła się nadziwić, że Peter poszedł na taki układ. Sadząc po jego minie, nie był z tego dumny, ale miał gotowe wyjaśnienie:

- Bez Internetu mielibyśmy związane ręce, nie można by nawet użyć Google Maps. A tak przynajmniej coś zdziałałem.

- Mianowicie?

- Ściągnąłem kopię REAMDE, którą ktoś wrzucił na blog poświęcony bezpieczeństwu w sieci. I go zdekompilowałem.

- I co ci z tego wyszło? - Peter był tak rozpaczliwie dumny z tego, co zrobił, że Zula postanowiła dać mu się wygadać.

- Bałem się, że mogli w nim użyć zaciemnionego kodu. Ale nie.

- A co to znaczy?

- Niektóre kompilatory są tak skonstruowane, że mieszają w kodzie, żeby utrudnić jego dekompilację, ale twórca REAMDE tego nie zrobił. Dzięki temu udało mi się uzyskać całkiem czytelny kod źródłowy. Wyszukałem w nim charakterystyczne ciągi znaków i wrzuciłem je do Google.

- Chciałeś sprawdzić, czy ktoś zrobił to przed tobą - domyśliła się Zula. - Bo wtedy mógłby opublikować jakieś wyniki.

- Zgadza się. To, co znalazłem, trochę mnie zaskoczyło: trafiłem na forum dyskusyjne poświęcone bezpieczeństwu, na które ktoś wrzucił takie same kawałki zdekompilowanego kodu jak te, które mam. Sęk w tym, że kod wcale nie pochodził z REAMDE, tylko z innego wirusa, starszego, o nazwie CALKULATOR. Było o nim głośno jakieś trzy lata temu.

- Rozumiem. Uważasz, że twórca REAMDE wykorzystał kod źródłowy CALCULATORA.

- Jestem pewien! To nie może być przypadek. A najciekawsze jest to, że kod źródłowy CALCULATORA pozostaje nieznany. Nigdy nie został opublikowany.

- Czyli nie mogło być tak, że troll ściągnął skądś pliki źródłowe CALCULATORA i wkleił je do REAMDE.

Peter z uśmiechem kiwał głową. Zula mówiła dalej:

- Czyli ten sam człowiek jest autorem REAMDE i CALCULATORA.

- A jeśli nie, to autorzy obu dobrze się znają i wymieniają plikami.

- Narzuca się zatem pytanie...

- Co wiemy o twórcy CALCULATORA? Przede wszystkim, wirus narobił znacznie większych szkód niż REAMDE, ponieważ infekował wszystkich użytkowników Outlooka; zasięg REAMDE ogranicza się do nałogowych graczy w *T'Rain*. Mniej więcej przez tydzień był prawdziwą sensacją, o niczym innym się nie mówiło. Policja zorganizowała specjalną obławę, żeby znaleźć jego twórców. A ponieważ ci nie byli nawet w połowie tak sprytni, jak twórcy REAMDE, w końcu udało się ich namierzyć. W Manili.

- A to ciekawostka...

- To prawda. My koncentrujemy się na Xiamen, a tu nagle trop prowadzi do Manili. Słuchaj dalej: dwie osoby z manilskiej ekipy zostały zatrzymane i osądzone, ale wszyscy wiedzą, że większość pozostała bezkarna. Nie zidentyfikowano ich i nie złapano. Druga ważna rzecz: wielu Filipińczyków to etniczni Chińczycy, których łączą z Chinami silne więzy rodzinne.

- Czyli troll może być chińskim hakerem z Xiamen i mieć krewnych w Manili...

- To by wyjaśniało, w jaki sposób kod CALCULATORA znalazł się w REAMDE.

Przez całą rozmowę Zula miała baczność na to, co się dzieje dookoła. Csongor zamknął się w jednym z pokoiów z poczynionymi w ciągu dnia notatkami, zajęty wprowadzaniem danych do komputera. W konferencyjnej Sokołów zdawał raport Iwanowowi, dwaj konsultanci spali, dwaj grali na XBoksie, dwaj pełnili służbę - ale wszyscy nie śpiący Rosjanie od czasu do czasu zerkali w stronę Zuli i Petera. Mieli oko na hakerów i zastanawiali się, o czym rozmawiają. Może z wyrazu twarzy i języka ciała odczytywali, że zajmują się bieżącym problemem i posuwają się naprzód.

I to, jak po raz kolejny upomniała się w duchu Zula, jest najważniejsze. Nie chodzi o złapanie trolla, tylko o przekonanie Iwanowa, że zbliżają się do celu; o oszukiwanie go do czasu, aż wymyślą jakiś sposób, żeby się z tego wyplątać.

Przynajmniej ona, bo nie miała wrażenia, żeby Peterowi było śpieszno do wyplątywania się. Polowanie na trolla wciągnęło go bez reszty. Wierzył, że jeśli go złapią, Iwanow będzie dla nich miły.

I może miał rację. Może właśnie w taki sposób Iwanow werbował ludzi.

A może kazał im tak myśleć, żeby byli grzeczni do momentu, kiedy uzna, że pora ich zabić?

- Co teraz? - zapytała. - Jak możemy wykorzystać tę informację?

- Miałem na przykład taki pomysł: mamy do dyspozycji odrzutowiec, więc możemy śmignąć do Manili, znaleźć ludzi od CALKULATORA, wypytać ich...

Kiedy Zula próbowała zanalizować znaczenie słów „znaleźć” i „wypytać”, przed oczami stawał jej Wallace i zwój folii budowlanej. Czy Peter też o tym myślał? Czy naprawdę liczył na to, że manilscy hakerzy ochoczo wsypią swoich krewnych z Xiamen? Wolała nie zadawać mu tego pytania, ponieważ bała się tego, czego mogłaby się dowiedzieć o facecie, z którym sypiała.

- Iwanow uzna, że to szukanie wiatru w polu. Wolałby jakiś konkret.

Powiedziała to pół żartem, ale Peter z powagą pokiwał głową.

- Możemy namierzyć filipińską diasporę w Xiamen. W Seattle Filipińczycy mają swoich fryzjerów i swoje sklepy, może tu jest podobnie.

Zula, która w przeciwieństwie do Petera widziała już Xiamen, zdawała sobie sprawę, że to beznadziejna sprawa, ale powstrzymała się od powiedzenia tego na głos.

- Mówiłeś już Iwanowowi? - zapytała.

- Karmię go małymi aktualizacjami.

Zula starała się nie koncentrować na doborze słów Petera.

- Wie o związku z Manilą?

- Jeszcze nie.

- Będzie pretekst do dalszego zdzierania zelówek. To nam może pomóc.

- Wam? Jak?

- Nam. Tobie też. - Miała ochotę go zamordować. Wiedziała, że to uczucie minie, ale wiedziała również, że potem znów wróci. - Zrobisz z tą informacją, co zechcesz - dodała i wyszła.

* * *

- Czyś ty zwariował? - spytał Iwanow.

Sokołow zdębiał. Iwanow oskarża jego o obłąd. A to ci dopiero.

Zaniemówił z wrażenia.

Zdawał relację z dnia. Z początku ograniczył się do streszczenia, bo tego zwykle zwierzchnicy oczekują od podwładnych, ale Iwanow uparł się, że chce usłyszeć szczegółowy raport, i tak oto, wśród wcale nierzadkich wtrętów przełożonego, Sokołow przedstawił obfitującą w detale gawędę. Iwanow cierpliwie wysłuchał opowieści o „zakupach”, napiwku dla konsjerżki i pieszym powrocie do domu.

Nie pierwszy raz zanosilo się na połajankę, więc Sokołow stanął po prostu na baczność i czekał.

Iwanow parsknął śmiechem.

- Gównu mnie obchodzi, z czego tu budują domy. Tak jak gówno mnie obchodzi, czy strzał ze śrutówki przebija ścianę, oraz którądy można wycofać się z budynku w wypadku taktycznego odwrotu. Co to za pierdoły, Sokołow? Nie pomyliło ci się coś z oblężeniem Groznego? To nie jest oblężenie Groznego! Masz proste zadanie. Znaleźć trolla. Pójść pod jego adres. Wejść do mieszkania. Wywlec go stamtąd. Przyprowadzić do mnie.

Sokołow nie miał nic do powiedzenia.

- Czyżbym zatrudnił niewłaściwego faceta?

- To możliwe, proszę pana. Ci goście, których wynajął pan w Seattle, ci, którzy załatwili Wallace'a... Oni by się do tego lepiej nadawali.

- Ale tych gości z Seattle TU NIE MA! - odparł Iwanow, w jednym zdaniu podnosząc głos od tonu spokojnej rozmowy do krzyku zdolnego wysadzić w powietrze magazyn amunicji. - Mam tylko ciebie i twoich bardzo dobrze opłacanych kumpli.

Sokołow mógłby mu wytknąć, że zarówno on, jak i jego bardzo dobrze opłacani kumple są konsultantami do spraw bezpieczeństwa, od których wymaga się ostatnio bardzo dziwnych rzeczy, ale nie sądził, żeby to w znaczący sposób poprawiło humor Iwanowa.

- I jeszcze jedno. Po kiego grzyba wracaliście piechotą wzdłuż obwodnicy? Miałeś przecucie, że troll mieszka na przystani promowej?

- Rekonesans - odparł Sokołow. - Chciałem poznać rejon misji.

- Rekonesans... - powtórzył skonsternowany Iwanow. - Rejon misji... Rejon misji jest tam, gdzie mieszka troll. A troll nie mieszka w porcie.

Sokołow milczał.

- Nie rozumiem, Sokołow. Objaśnij mi swój tok rozumowania.

- W tym mieście wszelkie manewry taktyczne są praktycznie niewykonalne. - Sokołow skinął w stronę okna. - Proszę tylko spojrzeć: ani odrobiny wolnej przestrzeni. Na wodzie wygląda to zupełnie inaczej. Jest wprawdzie tłoczno, ale to nasza jedyna opcja, jeśli będziemy zmuszeni...

- Do czego, Sokołow?

- Do improwizacji. Wyjścia poza schematy. Kreatywności.

Trwająca około pół minuty cisza pozwoliła Iwanowowi uruchomić wszystkie siły i sięgnąć do ukrytych rezerw energetycznych, żeby powstrzymać złość.

Sokołow w najmniejszym stopniu nie obawiał się tego, co się stanie, kiedy Iwanow przegra tę walkę i eksploduje. Znacznie bardziej martwił się wydarzeniami zachodzącymi przez ten czas w jego układzie krążenia, ponieważ w ciągu całodziennych wędrówek miał okazję przesiedzieć łącznie kilkanaście minut przy hotelowych terminalach internetowych i upewnić się, że Iwanow bierze aż dwa różne lekarstwa na obniżenie ciśnienia.

O ile jeszcze je bierze.

Dlatego prawdziwym zmartwieniem Sokołowa była świadomość, że walka z gniewem podnosi Iwanowowi ciśnienie krwi w rejonach obserwowanych zwykle tylko w morskich odwiertach roponośnych. A wtedy kawałki śmiecia odrywają się od wnętrza żył i tętnic i pędzą prosto do jego mózgu.

Jeśli Iwanow umrze, to jak, do cholery, wydostaną się z tego kraju?!

Sokołow do tego stopnia pograżył się w takich rozmyślaniach, że zapomniał, że Iwanow nadal żyje, jest w tym samym pokoju i prowadzi z nim rozmowę.

- Twoje zadanie nie polega na kreatywności - zauważył właśnie niezwykle cichym głosem. - Nie będzie żadnego wychodzenia poza schematy. Żadnej improwizacji.

- Rozumiem. To zwykła rutyna z mojej strony: poznać teren i przygotować plan awaryjny.

Ta uwaga, całkiem racjonalna z punktu widzenia Sokołowa, wzburzyła Iwanowa bardziej niż jego wszystkie poprzednie wypowiedzi razem wzięte, i to nie tylko dlatego, że zdaniem Iwanowa plan awaryjny był zbędny. Nagle przyszło mu do głowy, że Sokołow coś knuje. Ktoś, kto tak się upierał przy planie awaryjnym, automatycznie stawał się podejrzany.

Sokołow był jednak gotowy na odrobinę improwizacji. Na taktyczny odwrót. Wzruszył ramionami, jakby wzmianka o planie awaryjnym była zwyczajnym kaprysem.

- Tak czy inaczej - powiedział - mam pewien pomysł.

- Tak? Jaki?

Sokołow podszedł do okna i spojrzął na brzeg cieśniny. Dochodziła dopiero siódma wieczorem i przez bramy przystani promowych wciąż przewalały się dziesiątki tysięcy ludzi.

Iwanow również odwrócił się do okna, podążając wzrokiem za spojrzeniem Sokołowa.

- No i? - ponaglił go.

- W tej chwili ich nie widzę... Jest ich niewiele w porównaniu z robotnikami, studentami i całą resztą.

- Kogo nie widzisz?

- Rybaków.

- Na pewno wypływają z innej przystani - burknął Iwanow.

- Nie, nie. Nie chodzi mi o zawodowych rybaków, tylko o hobbystów. Wcześniej ich widziałem. Zwyczajni Chińczycy. Emeryci. Wracali do domu po całym dniu wędkowania, pewnie na któreś z tych małych wysepek. - Sokołow odwrócił się i spojrzał Iwanowowi w oczy. - Noszą takie śmieszne kapelusze.

- Widziałem. Jak kulisi.

- Nie, nie takie. Ci, o których mówię, mają obszerne czapy z jasnego materiału, z ogromnymi daszkami z przodu, dla ochrony przed słońcem, i fartuchami, które po bokach i z tyłu opadają aż na ramiona; Arab mógłby włożyć coś takiego w czasie burzy piaskowej. Głowa i twarz są zupełnie zasłonięte, zwłaszcza jeśli założą jeszcze okulary przeciwsłoneczne.

- Cały dzień na słońcu... - Iwanow zaczynał rozumieć. - A kiedy się łowi, nie można trzymać nad głową parasola.

- Otóż to. Druga sprawa jest taka, że noszą wędkę w takich fikuśnych walizeczkach. - Sokołow rozsunął ręce na odległość około metra, demonstrując wielkość pojemników. - Z takim wybrzuszeniem przy jednym końcu, na kołowrotek.

Twarc Iwanowa złagodniała. Kiwał głową.

- I każdy ma ze sobą przenośną lodówkę turystyczną - ciągnął Sokołow.

- Doskonale...

- Nikt nie zwraca na nich uwagi.

- To zrozumiałe. My też nie zwrócilibyśmy uwagi na wędkarza łowiącego z mostu w Moskwie.

- Czasami chodzą w pojedynkę, ale często zbierają się w grupę i wspólnie wynajmują łódź, która ma ich zawieźć na ulubione łowisko.

- Mhm...

- Mając takie przebranie, moglibyśmy od rana do wieczora włóczyć się po mieście i nikt by się nie zorientował, że nie jesteśmy Chińczykami, ale nie ma takiej potrzeby. Wystarczy, że przemkniemy niezauważeni z samochodu do budynku albo przejdziemy spokojnie chociaż pół przecznicy. Bez kamuflażu każdy Chinol w promieniu kilometra będzie nam pstrykać fotki komórką i dzwonić do mamy.

- Świetnie - powiedział Iwanow. - Świetnie.

Sokołow postanowił nie dzielić się z nim innym poczynionym w ciągu dnia spostrzeżeniem: drugą kategorię ludzi powszechnie ignorowanych tworzyli żebracy, leżący na ziemi w najbardziej uczęszczanych przez pieszych okolicach.

- Obmyślimy plan - zarządził Iwanow. - Jeden plan. Skuteczny.

Czyli „Mam dość tej gadki o planach awaryjnych”.

- Tak jest.

- Zawołaj resztę. Przedyskutujemy to i przygotujemy się na jutro.

* * *

Wszyscy - założyciele, szefostwo, inżynierowie, Kreatywi, Dziwacy - łamali sobie głowy nad poważnymi konsekwencjami rewojny. Na krótką metę *T'Rain* z pewnością na niej zarabiał, ale jedno pytanie spędzało im sen z powiek: czy to trwały trend? Przecież zarabiali już wcześniej, kiedy historia świata miała sens, zanim zmutowała w twór pozbawiony spójnych ram fabularnych, których stworzenie powierzali takim ludziom jak Szkieletor i DeKwadrat.

Od wybuchu rewojny na zebraniach bili tylko pianę i dreptali w miejscu, i to bardziej niż zwykle na tego typu spotkaniach. Większość dyskusji sprowadzała się do czczych spekulacji na temat stanu psychiki i procesów myślowych Devina Skraelina. Czy można go obarczyć winą za rewojnę? A gdyby udało mu się udowodnić celowe działanie, czy można mu zarzucić złamanie warunków umowy? Może lepiej go przycisnąć, żeby rozpisał dalszą historię *T'Rainu* w sposób, który załagodzi problem? Ale to by znaczyło, że po prostu załatwił sobie dodatkową robotę. A może był w tej sytuacji bezradny, miotany kulturalno-historycznymi siłami, których nie ogarniał? Czy to znaczy, że powinni go wylać i zatrudnić innego z tysięcy młodych, ambitnych i wykwalifikowanych pisarzy, którzy wprost się wrywali, żeby zająć jego miejsce?

Zebrania te zaczynały się zazwyczaj od niezwykle przekonujących prezentacji w PowerPoincie, ale z upływem czasu rozplływały się w kwazifilozoficznych aforyzmach dyrektorskiej gadki i błagalnych spojrzeniach rzuconych Richardowi: *Prosimy prosimy prosimy pomóż nam!* Prawda była bowiem taka, że Korporacja 9592 niczego nie produkowała, nie w takim sensie, w jakim produkują towar huty, ani niczego nie sprzedawała, tak jak sprzedaje chociażby Amazon.com. Zarabiała na dążeniu graczy do posiadania wirtualnych dóbr, które podwyższą status ich fikcyjnych postaci uganających się po *T'Rainie* i odgrywających mniej lub bardziej istotne role w jego historii. Pracownicy Korporacji domyślali się więc (choć nie umieliby tego udowodnić), że dobra fabuła jest dla

funkcjonowania ich biznesu tak samo kluczowa, jak, nie przymierzając, wielki piec dla funkcjonowania huty. Tyle że inwestora można zabrać na wycieczkę do huty, wsadzić mu kask na głowę i pokazać wielki piec, a świat fantasy to... no, świat fantasy. Co oczywiście nie przeszkodziło inwestorom powierzyć zarządowi Korporacji 9592 i jej dyrektorowi generalnemu kapitału, którego wystarczyłoby na zbudowanie kilku hut. W normalnych okolicznościach *T'Rain* przynosił zyski i wszyscy byli zadowoleni - zapewne dlatego, że nie zastanawiali się nad potencjalnie kłopotliwymi aspektami interesu wynikającymi z jego fantastycznej natury. Teraz jednak wszyscy zaczęli się poważnie zastanawiać, a im dłużej się zastanawiali, tym bardziej się niepokoiли. Wyglądało na to, że Korporacja 9592 cofa się w rozwoju i upodabnia do jakiejś początkującej firemki internetowej, Richard zaś był jedynym ogniwem łączącym współczesną firmę z jej odległą przeszłością; jedynym człowiekiem, który był w stanie myśleć i funkcjonować w takim środowisku. Był wściekłym psem, którego trzyma się w zamknięciu w piwnicy. Zazwyczaj.

Tak czy inaczej, w tej chwili znajdował się na pokładzie samolotu lecącego do Montany. Po drugiej stronie przejścia, w fotelu odwróconym przodem do rufy maszyny, siedział Pluton, wpatrując się we wschodnie pogórza Gór Skalistych wzrokiem hydraulika zapatrzonego w rozprutą ścianę. Pluton nie był specjalnie użyteczny w sprawach związanych z fabułą gry, ale zawsze miło było mieć na pokładzie samolotu jednego z bogów olimpijskich. Przypominał Richardowi, że w życiu liczą się sprawy bardziej podstawowe niż pisanina Devina Skraelina. Postrzegał Dział Dynamiki Narracji jako nieszkodliwą narośl na swoim dziele, nieco podobną do mikrobów wżartych w powierzchnię marsjańskich meteorytów. Richard przypuszczał zresztą, że chętnie sprowokowałby jakąś planetarną katastrofę, która unicestwiłaby całe życie w *T'Rainie*, i zaczął wszystko od nowa. Miałby tylko problem z przepchnięciem tego przez zarząd.

Dość tego bujania w obłokach. Richard zmusił się do spojrzenia na trzymaną na kolanach otwartą powieść Devina Skraelina.

Nadgryziony przez żarłoczne płomienie, niebezpiecznie osłabiony most zwodzony zadrzał pod krokami ciężkiego kar'doqa. Podkurczone szpony wbijały się w kruche zwęglone belki jak gwoździe w ser. Kar'doq spoglądał z góry w skłębione chmury dymu, barwionego przez jęzory upiornego ognia we wszystkie jaskrawe odcienie al'kaziańskich jedwabi. Spomiędzy wąskich warg łyskały wyszczerzone srebrzyste kły.

Oszołomiony żarem, który chłostał jego ciało jak ogień płatnerskiej kuźni, lord Kandador wydał rozkaz odwrotu. Zdawał sobie sprawę, że jego wierni gwardziści i

gwardzistki cierpią jeszcze okrutniejsze katusze, ale wiedział także, że bez słowa skargi i cienia strachu poszliby na pewną śmierć, gdyby tego zażądał. Ledwie rozkaz wydobył się z jego spieczonego gardła, a już młody herold, Galtimorn, uniósł do spierzchniętych i krwawiących warg Róg Ishtar i zaczął grać melancholijną trucizną porażki. Kilka pierwszych nut wzniosło się ponad bitewny zgiełk, ale potem róg umilkł. Lord Kandador przeniósł wzrok na Galtimorna, który osunął się na dymiące deski jak marionetka z przeciętymi sznurkami. Gruba czarna strzala sterczała mu obscenicznie z piersi.

Czy gwardziści i gwardzistki usłyszeli sygnał? Chyba tak, chociaż Kandador bardziej poczuł, niż zobaczył cofającą się falę ludzi. Ująwszy oburęcznego Glamnira w jedną dłoń, schylił się i zamasztyłym gestem wolnej ręki zarzucił sobie postrzelonego herolda na plecy.

- Do stołpu! - ryknął.

I, zwróciwszy się ku dostrzeżonemu kątem oka widmu, jednym na pozór niedbałym ruchem nadgarstka ściął osadzony na żylastej szyi potworny łeb wraqa.

Ta książka (jedenasty tom *Początków T'Rainu*, zatytułowany *Kroniki Rozdarcia. Zapomniana magia*), podobnie jak wiele innych, stanowiła składnik devinowej implementacji mitologii świata, którą w zgrubnym zarysie spisał dosłownie na serwetce don Donald po suto zakrapianym pięciogodzinnym obiedzie w towarzystwie Richarda i Plutona, w dawnych czasach, które teraz Richard wspominał jako złoty wiek Korporacji 9592.

Pierwotny plan zakładał, że Richard i DeKwadrat mają się po prostu lepiej poznać, a czas na poważne spotkania przyjdzie później. Sęk w tym, że DeKwadrat w ciągu dwóch kufli piwa rozpędził się od zera do siedmiuset mil na godzinę. Richard powinien był to przewidzieć, ale wtedy nie miał jeszcze pojęcia, jak pracują tacy goście jak don Donald czy Devin Skraelin. Spodziewał się raczej kogoś w rodzaju inżyniera, a wiedział, że współpraca z inżynierami wymaga wielu prezentacji w PowerPoincie, które przybliżą naturę problemu, licznych spotkań uściślających oraz negocjacji kontraktu, zanim wezmą się do pracy jako takiej.

Odebrał dona Donalda z lotniska w SeaTac i odwiózł do hotelu w centrum. Spodziewał się, że DeKwadrat będzie chciał przynajmniej z dzień odpocząć po podróży, ale skończyło się na tym, że odstawili land cruisera na parking i razem udali się do hotelowej restauracji, żeby „coś przekąsić”. „Przekąska” błyskawicznie zmieniła się w „kufelek”, gdy tylko DeKwadrat dostrzegł sterczące nad barem wajchy nalewaków. Czas niezbędny na wychylenie „kufelka” wystarczył Richardowi do przedstawienia ogólnej idei gry, co doprowadziło do repety, podczas której don Donald (nie wykazując najmniejszych oznak

jetlagu ani wpływu alkoholu) niczym pocisk samonaprowadzający bezbłędnie namierzył najciekawszy cel (napisany przez Plutona kod do generacji terenu) i tak uparcie drążył tę kwestię, że Richard najpierw musiał zadzwonić do Plutona, a następnie posłać po niego taksówkę. Kufelek numer trzy został przeznaczony na zawarcie znajomości z Plutonem (który pił wodę gazowaną). Po krótkiej wycieczce do przybytku, który uparcie nazywał „wucetem” („wicie, WC, skrót od *water closet*. Toaleta, mówiąc prościej”), DeKwadrat poświęcił kufelki numer cztery i pięć na przedstawienie kompletnej kosmologii, którą albo wymyślił na poczekaniu, albo nosił w kieszeni, na wypadek gdyby komuś kiedyś miała się przydać.

Przez pierwszą część tego popisu (czy jak to tam nazwać) Richard (cokolwiek otumaniony) zmagał się z (błędym, jak się okazało) przeświadczeniem, że słucha streszczenia książki, którą DeKwadrat już napisał. Słyszając jednak, jak don wplata w swoją opowieść poznane dziesięć minut wcześniej szczegóły historii *T’Rainu*, zrozumiał (poniewczasie i w osłupieniu), że DeKwadrat wymyśla to wszystko na poczekaniu. Naprawdę. Tu i teraz.

O 12:38 facet stał na lotnisku w kolejce do skanowania siatkówki, a o 14:24 siedział w hotelowej restauracji, wychylał kolejne kufle i odwalał robotę. Robotę, za którą mu zapłacili - a właściwie za którą na razie tylko obiecali mu zapłacić, ponieważ nikt jeszcze nie podpisał żadnej umowy.

Donald Cameron w pewnym sensie działał jak wielobranżowe centrum handlowe - równocześnie z wypuszczaniem swojej twórczości w eter, na bieżąco przedstawiał jej krytyczną egzegezę:

- Z pewnością zauważyliście, że sporo, jeśli nie większość dzieł fantasty obraca się wokół fizycznych przedmiotów, najczęściej bardzo starych, będących repozytoriami numenu. Pierścienie u Tolkiena są tu chyba najlepszym przykładem.

Richard schował na chwilę twarz za kuflem, wysnuł wiarygodny domysł w kwestii znaczenia słowa „numen”, i pokiwał głową.

- Prawie zawsze pojawia się przy tym trop chtoniczny. Przedmiot przesycony numenem najczęściej jest pochodzenia mineralnego: złoto, najlepiej wydobyte z jakiegoś szczególnego złoża; klejnot niezwyklej rzadkości; miecz wykuty z metalu ze spadającej gwiazdy. Szmira goni szmirę. - DeKwadrat pstryknął palcami. - Jednakże ogromna popularność takiego, powiedzmy, Devina Skraelina, dowodzi siły, z jaką te motywy przykuwają uwagę czytelników, i to na głębokim, pierwotnym, wręcz gadzim poziomie. Mimo że w tym samym czasie mózgowi zbiera się na wymioty.

- Kim lub czym jest Devin Skraelin? - zainteresował się Richard.

- To mój kolega po fachu. Słynie z niebywałych rozmiarów tego, co fachowcy innych branż lubią nazywać „produkcją”.

Richard spojrział w głąb kufła i zakręcił nim delikatnie w dłoniach. Ciekawe, pomyślał, ile trzeba pisać, żeby ktoś taki jak Donald Cameron uznał człowieka za wyjątkowo płodnego.

- Mówiłeś o mineralnym pochodzeniu przedmiotów... - wtrącił Pluton, zawiedziony i chyba urażony niepotrzebną dygresją.

- A tak, rzeczywiście. Moim zdaniem to archetyp. - DeKwadrat pociągnął łyk piwa. - Możemy się tylko domyślać jego genezy. Dlaczego wąż jest archetypem? Dlatego że węże od milionów lat kęsały naszych przodków. To wystarczająco długi okres, żeby w drodze doboru naturalnego strach przed nimi zapisał się nam w pniu mózgu. - Następny łyk. Wzruszenie ramion. - Człekokształtne wytwarzały narzędzia na długo przed wykształceniem się *Homo sapiens*. Na pewno zauważyły, że z jednych kamieni robi się lepsze narzędzia, a z innych gorsze.

- Granit ma niewłaściwy przełom - zgodził się Pluton. - Rozmiary ziarna...

- Nawet troglodocy musieli zauważyć, że z materiału z niektórych ostańców wyrabia się szczególnie skuteczną broń.

- Zwłaszcza troglodocy - poprawił DeKwadrata Pluton.

- Dla nich była to zwykła, codzienna obserwacja, nie tak odwieczna jak spostrzeżenie „węże są niebezpieczne”, ale zarazem wystarczająco stara, żeby wpłynąć na proces doboru naturalnego, który doprowadził do wykształcenia się ludzkiej świadomości, kultury oraz luźno zdefiniowanej literatury.

Richard z przyjemnością słuchał i siedział cicho. Pierwszy raz w życiu uczestniczył w tak niezwykłym spotkaniu biznesowym (bez względu na to, jak elastyczną definicję „biznesu” by przyjąć), ale widział, że to jest dobre.

- Najważniejsze, że to działa - kontynuował don Donald. - Wystarczy wstawić do historii magiczny kamień, żeby przykuć uwagę czytelnika. Można to zrobić albo całkiem bezwstydnie, albo w sposób bardziej pomysłowy; wszystko zależy od gustu i talentu autora. Muszę przyznać, że Tolkien zrobił to jak należy, ubierając magiczne kamienie w szerszą opowieść o dobru i złu. W naszych czasach mineralnym obiektem numenowym są także wytwory techniki: moc nadaje im świadoma wola, która posiadała coś na kształt wiedzy tajemnej. Magicznej. Można ją unicestwić wyłącznie w pewnym procesie geologicznym, który ze swej natury jest bardziej pierwotny niż wszelkie wytwory kultury.

Było widać, że don Donald przywykł do monologowania przed ludźmi, których

reakcja na jego słowa ogranicza się do nabożnych skinieć głową i sporządzania notatek. Innymi słowy: w swoim wywodzie nie przewidywał miejsca na dyskusję. I na razie wszystko było w porządku, bo dzięki temu Richardowi łatwiej się piło.

- Jeżeli dobrze rozumiem waszą firmę i opis stosowanej przez nią technologii, macie nieporównywalną z rozwiązaniami konkurencji władzę nad geologicznymi podstawami swojego świata. Naturalnym krokiem byłoby wykorzystanie tego faktu poprzez stworzenie lub przynajmniej umożliwienie stworzenia numenowych obiektów mineralnych.

- NOM-ów - ukuł nazwę Pluton.

DeKwadrat zaniemówił - ale tylko na chwilę, dopóki nie załapał.

- Wśród maniaków komputerowych fajne brzmienie akronimu jest ważniejsze od istnienia określanego przezeń obiektu - wyjaśnił Richard.

- Mogę zatem przydać się wam do stworzenia kulturalnej... ehm... nadbudowy tego geologicznego fundamentu - ciągnął DeKwadrat. - W kulturach tych będą działać rzemieślnicy, metalurzy, jubilerzy i tym podobni, tworzący te... NOM-y, które zapewne odegrają kluczową rolę w fabule.

- Myślałem niedawno o powstaniu Księżyca - napomknął Pluton.

- Mógłbyś rozwinąć tę wypowiedź? - poprosił Richard. - Nie bardzo rozumiemy...

- Istnieje taka teoria, że Księżyc powstał po zderzeniu młodej Ziemi z jakąś dużą przeszkodą, wielkości planety. Nie wiadomo, gdzie się ten obiekt podział. - Pluton wzruszył ramionami. - Dziwne to. Wydawałoby się, że bryła dostatecznie duża, żeby odłupać od Ziemi Księżyc, zostanie gdzieś niedaleko, na orbicie okołosłonecznej. Ale nigdzie jej nie ma. Przyszło mi do głowy, że mogła spaść z powrotem na Ziemię i się w nią wtopić.

- Co by z tego wynikało?

- Bardzo dziwna sytuacja. - Pluton wskazał ręką niebo za oknem. - Tam, w kosmosie, krąży kawałek Ziemi. Oderwany na wieki. Bezwrotnie oddzielony. - Cofnął rękę i wskazał na podłogę. - Tymczasem tam, pod powierzchnią gruntu, tkwi obce ciało. Pozostałość obiektu, który uderzył w Ziemię i rozdarł ją na dwie części.

Richard martwił się wcześniej, że DeKwadrat nie porozumie się z Plutonem i spotkanie zmieni się w jeden wielki ciąg nieznośnych *faux pas*. Jednakże Cameron (może dlatego, że w Cambridge mieszkał i jadał z gorszymi dziwakami) świetnie dogadywał się z włochatym alaskańskim demiurgiem. Albo idea Plutona autentycznie go zafascynowała, albo bardzo się starał udawać fascynację - w praktyce różnica ta nie miała znaczenia.

- Na tym właśnie polega twój pomysł? - zapytał teraz. - Szczątki planetoidy tkwią nietknięte pod powierzchnią?

- Gdzieś bardzo głęboko mógłby się ostać jakiś nienaruszony kawałek - zgodził się Pluton - ale część na pewno by się stopiła i popłynęła z magmą. Chociaż wcale by się w niej nie rozpuściła i mogłaby się później ujawniać na powierzchni *T'Rainu* w postaci żył rudy i tym podobnych.

- Ależ naturalnie! A kultury, które z biegiem czasu wykształciłyby się na planecie, doceniłyby wyjątkowe właściwości tych rud, nawet nie mając pojęcia o geologii.

- Wyobraźmy sobie dalej, że planetoida pochodziła z jakiegoś równoległego wszechświata, w którym obowiązują inne prawa fizyki. To by dało podstawy zjawiska nazywanego magią, a tych, którzy nauczą się ją wykorzystywać, nazwano by alchemikami, czarownikami...

- I właśnie oni zajęliby się masową produkcją NOM-ów - dodał Richard na wypadek gdyby któryś z jego rozmówców zdążył o tym zapomnieć. Poznał w swoim życiu wystarczająco dużo gier, żeby wiedzieć, że NOM-y to cenny towar wirtualny, który przyniesie zyski Korporacji 9592. - No, moja rola skończona - dodał i wstał, na wszelki wypadek (po tylu piwach nigdy nic nie wiadomo) opierając się o ścianę. - Zostawię was samych. Dogadacie szczegóły.

Nie pierwszy raz pamięć Plutona stała się gwarantem przetrwania i przyszłej pomyślności firmy. Po dalszych dwóch godzinach rozmowy z DeKwadratem wrócił do domu i spisał wszystko w emacсовym dokumencie nazwanym it.txt, który później przeobraził się w it.docx i zapoczątkował całą generację innych, bardziej dygresyjnych dokumentów, z których narodziły się liczne strony wiki, potem cały projekt, a potem odrębna komórka w firmie, również nosząca nazwę „it”, dopóki jedna z przenikających w struktury Korporacji 9592 dyrektorek nie uniosła pytająco brwi. Wówczas komórkę przemianowano na Dział Dynamiki Narracji, którego pierwszą poważną inicjatywą było zatrudnienie Devina Skraelina.

Osią „it”, o czym Richard dowiedział się znacznie później (był wielkim zwolennikiem zlecania zadań ludziom, którym naprawdę zależy na ich wykonaniu), była koncepcja, że w biosferze *T'Rainu* wykształciły się dwa różne typy DNA: jeden składał się wyłącznie z macierzystych pierwiastków, drugi zaś zawierał śladowe ilości substancji pochodzących z wchłoniętej przez *T'Rain* planetoidy, które nasączyły go „magią”. „Magia” była w tym wypadku pojęciem kulturowym, którym rozumni mieszkańcy *T'Rainu* tłumaczyli odmienne prawa fizyki rządzące obcymi atomami. Niektóre istoty powstały w całości na bazie zwykłego DNA, inne były hybrydami z niewielką domieszką obcych substancji, a jeszcze inne (bardzo nieliczne) w stu procentach składały się z obcej materii, co wprawdzie nadawało im cechy anielskie/demoniczne/boskie, ale zarazem poważnie utrudniało rozmnażanie, ponieważ trudno

było znaleźć stosowną ilość odpowiedniej biomasy.

Wszystko to było oczywiście znacznie bardziej skomplikowane, niżby sugerował ten pobieżny opis. Wkrótce zaczęły powstawać obszerne tabele i diagramy, umożliwiające polapanie się w tym wszystkim, ale tak właśnie przedstawiała się główna idea it.docx, kiedy jego pełną, ważącą dziewięć koma siedem megabajta inkarnację przekazali Devinowi, uczyniwszy go pierwszym (i ostatnim) pisarzem-rezydentem.

* * *

- Co tam u Zuli? - zapytał Richard, próbując zagaić rozmowę z Plutonem. Lecieli teraz nad równinami na zachodzie kraju, gdzie Pluton nie powinien mieć aż tylu obiektów do kontemplacji.

- Nie widziałem jej od kilku dni - odparł Pluton, nie odrywając wzroku od widoku za oknem. Być może przykuły go meandry Platte.

Pierwszy gambit zawiódł. Richard rozważał dalsze możliwości. Ktoś inny zacząłby snuć sentymentalne wspomnienia, ale w podróżowaniu z Plutonem najpiękniejsze było to, że ludzie interesowali go wyłącznie tu i teraz. W pewnym sensie utrzymywał rozmówców w stanie ciągłej gotowości. Nie można fałszować żadnego aspektu znajomości, która w każdej chwili wykuwa się na nowo.

- Chodziło mi o to, jak sobie radzi w pracy?

- Najlepiej, jak to możliwe, biorąc pod uwagę naturę problemu - odparł Pluton, poświęciwszy Richardowi trwające ułamek sekundy spojrzenie.

Podczas tworzenia gry, w fazie tytanicznej, kiedy dzień po dniu kładli olbrzymie bloki podwalin świata, Richard wielokrotnie ponaglał Plutona, i to stanowczo, by dostarczał mu swoje materiały na czas, nawet jeśli nie były jeszcze „gotowe”. Dla Plutona materia wypełniająca świat była gotowa, kiedy każdy jej milimetr sześcienny miał szczegółową historię sięgającą cztery i pół miliarda lat wstecz, nic więc dziwnego, że jego rzetelność stała się wąskim gardłem blokującym wartość milionów dolarów wysiłki innych twórców. Richard zarządził odgórnym dekretem, że Pluton ma mu dostarczyć gotowe mapy świata ze wskazanym położeniem złóż minerałów i kamieni szlachetnych. Podczas trwającego trzynaście godzin zebrania, którego wspomnienie po dziś dzień przeszywało Plutona dreszczem zgrozy, Richard rysował na białej tablicy odręczne mapy złóż, które po sfotografowaniu wykorzystano do wykreślenia prawdziwych map świata gry. Od tamtej pory Pluton specjalizował się w nowo powstałej dziedzinie tektoniki teleologicznej: wychodząc od wyrysowanych przez Richarda map, odtwarzał przebieg zjawisk tektonicznych i przepływy magmy wstecz, żeby uzyskać spójną i zadowalającą go (z geologicznego punktu widzenia)

wizję świata. Przez lata projekt ten stał na bocznym torze, dopiero ostatnio udało się przydzielić mu jakieś poważniejsze moce obliczeniowe oraz Zulę w roli wykonawczynie. Wzmianką o „naturze problemu” nadąsany Pluton wypominał Richardowi, że to on, Richard, był tego problemu przyczyną.

Richard postanowił spróbować innego podejścia:

- A jak wygląda Kolejka Boskich Interwencji?

Dział Tektoniki Teleologicznej miał bowiem pewne ograniczenia. W trakcie swoich prac natykał się regularnie na niemożliwe do rozstrzygnięcia konflikty pomiędzy tym, przy czym upierały się symulacje, i tym, co już wcześniej znalazło się w *T’Rainie*. Jedynym sposobem ich zażegnania była boska ingerencja. Samo w sobie nie stanowiło to większego problemu, ponieważ w *T’Rainie* żyło wielu bogów, ale nawet najbardziej porąbane i chaotyczne bóstwo nie mogło po prostu łączyć po świecie i losowo zmieniać krajobrazów. Dlatego Zuli przypadła w udziale rola łącznika między Tektoniką Teleologiczną i Dynamiką Narracji - w drodze łagodnej perswazji usiłowała przekonać Dynamikę do wymyślania historii, które wyjaśniałyby, dlaczego ten czy ów bóg nagle postanowił przenieść wulkan trzy mile na południowy wschód albo przemienić złożę miedzi w kamieniołom wapienia.

- Znasz URL - odparł Pluton.

Miał na myśli adres, pod którym Richard sam mógł obejrzeć Kolejkę Boskich Interwencji.

Ponieważ Pluton najwyraźniej był wyjątkowo wkurzony, Richard poprosił stewardesę o drugą porcję sushi i odwrócił się do okna. Dzień był pogodny. Wlecieli już daleko nad terytorium pokryte kratownicą dróg, która stąd (czyli z Nebraski, jak się domyślał) rozciągała się na wschód aż do przemysłowych konurbacji w rejonie Wielkich Jezior, gdzie rozmywała się w gęstszej sieci tras. Krewni Richarda zapuszczali się tam wyłącznie jako żebracy lub zdobywcy. Jednakże zanim odrzutowiec dotarł tak daleko, zanurkował i zaczął obniżać lot nad Królestwem K’Shetriae.

* * *

Czasem Richard lądował na terminalu dla prywatnych odrzutowców w Omaha, skąd w dwie godziny dojeżdżał samochodem na kemping w Possum Walk. Dzisiaj jednak bardzo mu się śpieszyło, wylądowali więc na małym lokalnym lotnisku, które od kempingu dzieliło zaledwie pół godziny jazdy.

Chciał jak najszybciej uciec z lotniska i wyrwać się na otwartą przestrzeń. W dużym mieście, takim jak Omaha, mogli dyskretnie wymknąć się z terminalu i wtopić w tłum, ale tutaj przybycie prywatnego odrzutowca było wielkim wydarzeniem, o którym wiedziało pół

okolicy. W małej poczekalni dla pilotów postawiono dla gości talerz ciasteczek z chrupek ryżowych. Czekać na samochód, Richard z roztargnieniem wziął jedno i włożył do ust. W końcu przyszedł po nich bardzo uprzejmy młody człowiek imieniem Dale, który komicznie krętą drogą przewiózł ich na parking wypożyczalni samochodów. Domyślał się, że przyjechali w odwiedziny do „pana Skraelina”, a kiedy Richard potwierdził jego przypuszczenia, Dale skomplementował go w niezwykle wyszukany sposób, gratulując sukcesu i wysokiej wartości rozrywkowej gry, po czym, wyraźnie się rozkręcając, zaczął opowiadać o swojej bandzie rabusiów - grupie miejscowych chłopaków, którzy znają się jeszcze ze szkoły średniej, a teraz w każdy piątek wieczorem spotykają się u któregoś z nich w piwnicy i przeprowadzają krwawe wypadki przeciwko członkom Koalicji Szarości. Tych ostatnich Dale nienawidził tak serdecznie, że był niemal urażony faktem, że musi ich mordować. Prawie wszyscy bohaterowie prowadzeni przez kumpla Dale'a należeli do rasy Var'ów.

Richard wiedział, że nie należy wyciągać pochopnych wniosków z jednego przypadkowego spotkania. Korporacja 9592 zatrudniała całą rzeszę doktorów statystyki, którzy dysponowali programami monitorującymi milion Dale'ów na sekundę i analizującymi ich działania na wszelkie możliwe sposoby. Ewentualne mądrości płynące z tej zdawkowej rozmowy z Dale'em zostaną wysłuchane z uprzejmym niedowierzaniem, sklasyfikowane jako „niepotwierdzone” i zapomniane. Nie mógł się jednak powstrzymać od małej analizy.

W przeciwieństwie do K'Shetriai, którzy w gruncie rzeczy byli elfami, i Dwinnów, którzy w gruncie rzeczy byli krasnoludami, trudno byłoby wskazać w folklorze jakiś oczywisty pierwowzór Var'ów - chyba żeby zaliczyć do folkloru istnienie różnych grup hobbystów i zapaleńców. Var'owie byli zacofani pod względem technologicznym, ale potrafili kierować siłami natury. Mogli, na przykład, strzelać we wrogów piorunami, ale tylko podczas burzy; mogli również zamrozić ich na śmierć, ale wyłącznie podczas śnieżycy. I tak dalej. Inaczej mówiąc: wykapani mieszkańcy Środkowego Zachodu. Podobnie jak republikanie lub demokraci, którzy spędzali we własnym gronie tyle czasu, że nie mieściło im się w głowie, jak człowiek zdrowy na umyśle może należeć do przeciwnego obozu, tak Dale był zdeklarowanym zwolennikiem Sił Jasności, czym zresztą idealnie wpisywał się w trend, którzy demografowie w swoich analizach zajęli już do znudzenia. Koalicja Szarości składała się w 99% z Anthronów, K'Shetriai i Dwinnów - staroświeckich ras wywodzących się z dzieł Tolkiena i rzesz jego naśladowców. Gracze, którzy wybierali nowomodne rasy, takie jak Var'owie, najczęściej dołączali do Sił Jasności.

Richard pracował nad teorią, w której ów podział ściśle wiązał się z ciasteczkami z

chrupek ryżowych.

Tylko spokojnie, powiedział (nie na głos, rzecz jasna), i wystawił przed siebie ręce w geście, który miał uspokoić muzy i furie. Wysłuchajcie mnie do końca.

Po tym, jak przeżył kilkadziesiąt lat w rejonach USA i Kanady, gdzie gotowanie traktuje się całkiem serio, i nawet osobiście zatrudniał profesjonalnych szefów kuchni, zafascynowała go typowa dla kuchni Środkowego Zachodu sztuka rekombinacji. Ciasteczka z chrupek ryżowych były jej wzorcowym przykładem, ponieważ powstały przez wykorzystanie w nowym celu produktów, które już raz zostały przetworzone (mianowicie płatków śniadaniowych i pianek cukrowych). Oczywiście, do tej samej kategorii należała każda potrawa wymagająca użycia zupy kremu z grzybów. Wydawało się, że zasadą jednoczącą wszystkie dania z kuchni rekombinowanej jest obojętność lub wręcz wrogość wobec wszystkiego, co łakomczuch z jednego lub drugiego wybrzeża mógłby nazwać „składnikiem”. Czy zatem należało uznać za naciąganą koncepcję, że kiedy Dale’owie tego świata odrzucają tradycyjne rasy fantasy, takie jak elfy i krasnoludy, kierują się tą samą głęboko zakorzenioną w kulturze tradycją, która każe im przedkładać sól cebulową nad sól i cebulę?

Kuchnia rekombinowana dowodziła mentalnej porażki w zderzeniu ze złożonością współczesnej kultury materialnej. Podobnie rzecz się miała z Dale’em i jego kumplami: żyjąc w świecie, w którym biblioteki pękały w szwach od setek tysięcy butwiejących i skazanych na zapomnienie książek, a każdy film lub program telewizyjny, jaki kiedykolwiek powstał, można było w każdej chwili ściągnąć z sieci i obejrzeć, mieli za małą przepustowość, żeby wchłonąć olbrzymią liczbę szczegółowych informacji na temat fikcyjnych ras żyjących na zmyślonej planecie. Chcieli po prostu móc komuś dokopać.

W drodze na parking Dale usiłował wyciągnąć od Richarda jakieś nowinki na temat rozwoju sytuacji w rejonie Torgai. Zmienna pogoda na pogórzcu sprzyjała Var’om. Ekipa Dale’a rozbiła obóz na smaganej wiatrem skale, skąd napadała na rabusiów, czyhających na przybyszów z okupem. Richard zgodził się z nim, że „nic nie trwa wiecznie” i „sytuacja jest zmienna”, a potem uścisnął mu rękę na pożegnanie, podziękował i zamknął za sobą drzwi wypożyczonego wozu.

Największy i najnowszy billboard przy drodze z lotniska przedstawiał olbrzymie zdjęcie niebieskowłosego elfa, opatrzone podpisem złożonym z wielkich liter o wysokości dziesięciu stóp: KRÓLESTWO K’SHETRIAE. Dalej, na szczęście, pobocza były wolne od t’rainowego śmiecia - dopóki w zasięgu wzroku nie pojawił się sam park tematyczny. Korzystając z cyfrowej mapy w samochodowym GPS-ie, Richard pół mili wcześniej skręcił

na zwirową drogę i objechał park szerokim łukiem. Znajdujące się w nim wymodelowane z włókna szklanego elementy krajobrazu (góry przyprószone namalowanym śniegiem i upstrzone ozdobnymi świątyniami K'Shetriae) z pewnością nie znalazłyby uznania w oczach Plutona, który rozwodziłby się nad nimi do wieczora - czego Richard chciał uniknąć. GPS okazał się niewiele mniej kłótniwy, gdy Richard wymusił na nim zmianę kursu - do momentu, gdy przecięli jakąś niewidzialną cybernetyczną granicę rozdzielającą dwie możliwe drogi dojazdu na miejsce, bo wtedy w jego kapryśnym małym łebku coś przeskoczyło i zaczął spokojnie kierować Richarda do celu, jakby od początku tak to właśnie zaplanował.

Prosty odcinek asfaltowej autostrady stanowej doprowadził ich do bramy kempingu Possum Walk, specjalnie wzmocnionej i podłączonej do elektronicznego systemu alarmowego. Zdając sobie sprawę, że to dziecinny odruch, Richard nie umiał powstrzymać rozdrażnienia faktem, że musi się spowiadać elektronicznej puszcze na patyku. Kiedy przyjechał tu po raz pierwszy, kilkanaście lat temu, parking cuchnął wysadzoną w powietrze fabryczką metamfetaminy i świńskim chlewem, a Devin był zwykłym najemcą trzydziestoletniej przyczepy kempingowej, która skrzypiała i ugiwała się pod jego ciężarem, gdy tylko zadał sobie trud wstania z wyra. Od tamtej pory zdążył wykupić cały parking na własność, wyeksmitować dawnych sąsiadów i sprzedać ich przyczepy na eBayu. Zostawił tylko swoją własną, oryginalną, dziwaczną hybrydę klimatów *Małego domku na prerii* i *Gron gniewu*, osłoniwszy ją dachem ze stalowych prefabrykatów dla ochrony przed mściwą aurą. Dalej od drogi, na wylanych z betonu fundamentach wyrosły stalowe zabudowania układające się w kształt litery U, wśród których znajdował się mały domek, rozmiarami i rozkładem pomieszczeń niewiele różniący się od przyczepy. Tam Devin mieszkał i pracował. Resztę litery U zajmowali jego prawnicy, księgowi, menedżerowie i wicepisarze.

Krata w bramie zahuczła i odsunęła się w bok. Przejeżdżając przez nią, Richard usłyszał meldunek GPS-u: „Jesteś na miejscu!”. Tocząc się na wolnym biegu obok starej przyczepy, zapatrzył się na jej drzwi i cofnął myślami w przeszłość do dnia, kiedy to wszedł po spróchniałych schodkach, zapukał do tych drzwi i zaproponował Devinowi pracę.

Otrząsnął się i skoncentrował na kobiecie, która wyszła akurat z sięgającego najbliższej bramy rogu litery U i wyraźnie zmagala się z masą swojego ciała. Na ulicach Seattle taki strój i fryzura jednoznacznie dowodziłyby, że jest miłośniczką safickich rozrywek, ale Richard zdawał sobie sprawę, że tu nie powinien wyciągać pochopnych wniosków ze swoich spostrzeżeń.

Kiedy zaparkował na jednym z około siedmiu tysięcy wolnych miejsc, kobieta podeszła bliżej i posłała mu kokieteryjny uśmiezek. Przygotował się w duchu na przyjęcie

złych wiadomości.

- Dzień dobry, panie Forthrast. Jestem Wendy.

- Miło mi cię poznać, Wendy.

Jeszcze dwa lata temu wdałby się w rytualne nalegania, żeby mówiła mu po imieniu, ale fakty były takie, że on przyleciał z Seattle prywatnym odrzutowcem, a ona przyjechała tu swoim subaru.

- Przed kwadransiem wszedł w SP - wyjaśniła. - Zapraszam do środka. Proszę się rozgościć.

Pierwsze z tych zdań oznaczało, że według wskazań rozmieszczonych na ciele czujników biometrycznych, Devin osiągnął coś, co psychologowie nazywają „stanem przepływu”, i nie należy mu przeszkadzać, dopóki sam nie zechce go porzucić.

Zdania drugie i trzecie oznaczały, że mogą z Plutonem usiąść i coś przegryźć. Richard doskonale znał znajdującą się w kompleksie biurowym recepcję, w której stały miseczki krakersów, paluszków i suszonych owoców, lodówki z zapasem napojów oraz automat do kawy. Nasiadówka w recepcji, gdzie można było także skorzystać z wi-fi, była nieodłącznym elementem każdego spotkania z Devinem, który miał niezwykły talent do przechodzenia w stan przepływu dosłownie na chwilę przed każdym zaplanowanym spotkaniem. Aby opędzić się od monotonych i nużących pytań i sprzeciwów gości, których nie dało się ugłaskać żarłem i słodzoną wodą, personel biura drukował bezpłatne ulotki zatytułowane „Stan przepływu w pytaniach i odpowiedziach”, a następnie rozrzucał je wszędzie wokół koryt. Pluton był tu pierwszy raz, wziął więc ulotkę do ręki i sam osiągnął stan przepływu, zafascynowany tym zadziwiająco twórczym reżimem psychofizjologicznym, w którym genialni artyści tworzyli najwspanialsze dzieła, a znakomici naukowcy dokonywali najbardziej przełomowych odkryć. Richard, mający aż nadto okazji do zapoznania się z treścią ulotki, wiedział, że zawiera ona tylko jedno istotne zdanie: wytrącenie człowieka ze stanu przepływu może być wysoce szkodliwe i należy go za wszelką cenę unikać. Trudno byłoby sobie wyobrazić bardziej pasywno-agresywny komunikat, w którym Devin Skraelin daje gościom do zrozumienia, że jest zajęty i mają się od niego odpierdolić.

Richard uznał, że, zjadając na lotnisku ciasteczko z chrupek ryżowych, popełnił już jeden niewybaczalny grzech przeciw swojemu ciału, i powstrzymał się od sięgnięcia po tutejsze jedzenie. Włączył laptop i sprawdził pocztę.

* W wiadomościach dotyczących *T’Rainu* nie znalazł niczego, co nie mogłoby zaczekać. Wszyscy ważni ludzie w Korporacji wiedzieli, co w tej chwili robi, i nie zawracali mu głowy.

* Większy niż zwykle ruch panował na koncie pocztowym Richarda w zamku Hundschüttler. Zgodnie z przewidywaniami, ociepliło się ostatnio i narciarze, których już podczas wizyty Petera i Zuli było jak na lekarstwo, zniknęli na dobre. Prognozy długoterminowe wyglądały jeszcze gorzej, więc Chet ogłosił, że za dwa dni rozpocznie się Błotny Miesiąc. Była to obowiązkowa czterotygodniowa przerwa w funkcjonowaniu *Schlossu*. Pracownicy rozjeżdżali się do domów, a ośrodek świecił przez ten czas pustkami.

* John przysłał najświeższe informacje o stanie taty po ostatniej serii wizyt u specjalistów. Nic naprawdę ważnego.

Richard zamknął laptop. Sięgnął po „Stan przepływu w pytaniach i odpowiedziach” i odwrócił ulotkę na drugą stronę, która była pusta. Wyjął z torby mazak i napisał na odwrocie:

DEVIN

DARUJ SOBIE, DO KURWY NĘDZY

Wyszedł z recepcji na parking, przeciął go w poprzek, i, przeszedłszy obok starej przyczepy, cofnął się aż pod bramę wjazdową. Wcisnął otwierający ją guzik, wyszedł i stanął przed kamerą wycelowaną w podjeżdżające samochody. Podsunął ulotkę ze swoim komunikatem pod obiektyw, odliczył do dwudziestu, po czym wrócił do recepcji.

Pięć minut później przyszła Wendy i oznajmiła, że Devin wcześniej niż zwykle otrząsnął się z przepływu i chętnie się z nimi spotka.

- Trafie - zapewnił ją Richard.

* * *

Pokój nie miał okien - chociaż, gdyby uznać olbrzymie płaskie ekrany za okna do innych światów, można by go porównać do szklarni. Na środku stał orbitrek, przedstawiciel całej armii rowerów eliptycznych, bieżni treningowych i innych gadżetów, które Devin zmieniał jak rękawiczki, gdy tylko je zużył lub się nimi znudził. Z sufitu zwieszała się potężna wieloczołowa konstrukcja - ramię robota przemysłowego, mogące poruszać się w różnych kierunkach, skręcać w niezliczonych przegubach i obracać we wszystkich płaszczyznach z dyskrecją pantery i precyzją zawodowego nożownika. Zawieszony był na nim jeszcze jeden płaski ekran oraz wspornik z całą baterią urządzeń do wprowadzania danych, wśród których Richard rozpoznawał tylko ergonomiczną klawiaturę i trackballe; innych nie umiałby nawet nazwać. Devin, ubrany w same szorty z naszytym logo jednej ze swoich ulubionych instytucji dobroczynnych, miesił nogami powietrze, deptając pedały orbitreka. Niewidzialne strugi chłodnego powietrza, tłoczone przez najnowocześniejsze,

idealnie wyciszone wiatraki, opływały jego ciało, ale nie były w stanie osuszyć skóry z warstewki potu podkreślającej zarysy żył, ścięgien i kaloryfera na brzuchu, które niemal wyskakiwały ze skóry, jakby ktoś samym naskórkiem obciągnął gołe mięśnie, nerwy i kości. Z opublikowanych rano statystyk wynikało, że zawartość tkanki tłuszczowej w ciele Devina spadła do niewiarygodnej wartości czterech i pół procenta. Przy takim długu kalorycznym jego ciało teoretycznie powinno dożyć stu dziesięciu lat. Podczas ćwiczeń na orbitreku podskoki tułowia i głowy były kompensowane identycznymi ruchami zrobotyzowanego ramienia. Kamera śledziła ułożenie ciała Devina, a oprogramowanie robota na bieżąco liczyło wektory translacji i rotacji, niezbędne dla utrzymania ekranu w odległości dokładnie dwudziestu dwóch i pół cala od jego rzeźbionych laserowo rogówek, a klawiatury i innych urządzeń wejściowych w wygodnym zasięgu rąk. Specjalny zestaw słuchawkowy z mikrofonem i opuszczanymi na oczy soczewkami do oglądania obrazu w trójwymiarze (w tej chwili podniesionymi na czoło) umożliwiał Devonowi dyktowanie i nagrywanie nowych pomysłów oraz - w razie konieczności - odbieranie telefonów. Czujniki na piersi monitorowały tętno i w razie potrzeby automatycznie wysyłały zawiadomienie o pojawieniu się ujemnego załamka T do kardiologa dyżurującego w gabinecie dwie mile od parkingu. Na ścianie wisiał mrugający zieloną lampką defibrylator.

„Możesz się śmiać” - powiedział kiedyś Richard do znajomego, z którym odwiedzili pracownię na parkingu - „ale to jest po prostu przykład zastosowania naukowych metod zarządzania do wartej sto milionów dolarów i przynoszącej astronomiczne zyski jednostki produkcyjnej, jaką jest Devin”.

Co najdziwniejsze, wszystko to miało niewielkie bezpośrednie przełożenie na losy *T’Rainu*. *T’Rain* ustawił Devina na całe życie, ale prawda była taka, że na *T’Rainie* zarabiał mniej niż na projektach, którymi nie musiał się z nikim dzielić. W stan przepływu wchodził średnio 2,6 raza dziennie. Za każdym razem trwał w nim przeciętnie 2,1 godziny; ostatnio pracował nad tym, by dobić do 2,2. Przypuszczano, że z 18,2 stanów przepływu osiągniętych średnio w ciągu tygodnia tylko około trzech poświęcał pracy nad *T’Rainem*, najczęściej generując w tym czasie pomysły i szkice powieści, które nagrane na dyktafon przekazywał swoim wicepisarzom w celu (jak sam mówił) „doszlifowania”, albo (jak twierdził Richard) po prostu „napisania”. Oczywiście, Richard, pozbawiony dostępu do statystyk opisujących rzeczywisty sposób spędzania czasu przez Szkieletora, musiał mu wierzyć na słowo. Tymczasem Devin mógł równie dobrze poświęcić 90% zeszłorocznych przepływów na snucie planów reowojny, które nie miały nic wspólnego z pisaniem książek, za to bardzo wiele z potajemnym spiskowaniem.

- Sie masz, Dodge! - zawołał Devin, tylko odrobinę zdyszany. System był zaprogramowany w taki sposób, żeby utrzymywać tętno w granicach od 75 do 80% zalecanego maksimum, więc Devin męczył się, ale nie musiał spazmatycznie łąpać powietrza.

- Dzień dobry, Devinie. - Richard nagle pożałował, że nie włożył czapki. W pracowni było dość chłodno. - Przepraszam, jeśli zaskoczyliśmy cię naszym przybyciem.

- Żaden problem!

- Miałem nadzieję, że skoro zatrudniasz tu taki sztab ludzi, ktoś cię poinformuje, że masz w planach spotkanie. - Te słowa Richard dodał na użytek pół tuzina ludzi z obsługi, którzy nie wiedzieć kiedy i po co wcisnęli się do pracowni.

- Nie ma sprawy!

Zabrzmiało to szczerze. Jeżeli prawdą jest, że wysiłek fizyczny podbija poziom endorfiny, to Devin musiał się czuć jak na stałe podpięty do kroplówki z fentanylem.

- Pamiętasz Plutona.

- Jasne! Cześć, Pluton!

- Cześć - powiedział Pluton. Czuł się dotknięty, że musi przechodzić tę bezsensowną wymianę uprzejmości.

- Możemy porozmawiać? - spytał Richard.

- Pewnie! Co ci chodzi po głowie?

- My dwaj. Ty i ja.

- Przecież obaj tu jesteśmy!

Richard wytrzymał przez chwilę spojrzenie Devina, a potem odwrócił się i powiódł wzrokiem po twarzach innych zebranych w pokoju ludzi.

- To będzie rozmowa prywatna - wyjaśnił. - Nie będziemy z Devinem wytwarzać własności intelektualnej. Nie zapowiada się również na burzę mózgową ani dyskusję strategiczną, w której oczekivalibyśmy udziału i nowych pomysłów tych wszystkich nieprzeciętnie inteligentnych i pomocnych ludzi, którym za to płacimy. Nie trzeba tej rozmowy rejestrować. - Patrzył, jak markotnieją, kiedy odhacza kolejne pozycje na liście, w końcu przeniósł wzrok na Devina. - Czekam w przyczepie. Jak za starych, dobrych czasów.

* * *

Przyczepa była jednocześnie schludniejsza i bardziej zapuszczona niż ją zapamiętał. Ktoś musiał potraktować wszystkie powierzchnie rozcieńczonym wybielaczem; nie uchwycił się chyba ani jeden nietknięty łańcuch DNA. Technika jak zwykle postarzała się paskudnie: plastikowa skorupa słoniowego telewizora z kineskopem upodobniła się kolorem do martwych glonów. Trzeba było jednak przyznać Devinowi, że się postarał - w kuchni ustawił

wesoły czerwony stolik i trzy krzesła. Richard usiadł na jednym z nich i patrzył przez okno, jak Devin, teraz już w dresie, idzie przez parking w otoczeniu poruszonych i wzburzonych asystentów i asystentek. Pochód zamykał zapomniany i zdeprimowany Pluton.

Smukła, elfia sylwetka Devina nie zrobiła wrażenia na grożących rozpadem schodkach. Zatrzasnął za sobą drzwi. Wyglądał na wkurzonego.

- Przykro mi - odezwał się Richard - ale jest coś, o czym musimy pogadać.

Devin, który nie spodziewał się z jego strony przeprosin, stanął jak wryty.

- Reowojna - domyślił się.

- No właśnie. Kiedy byłem u ciebie ostatni raz, dzień po Święcie Dziękczynienia, po drodze wszedłem w Hy-Vee do *T'Rainu* i zobaczyłem coś, co wtedy wydało mi się po prostu zabawne. Za to miesiąc później, kiedy wybuchła reowojna, z perspektywy czasu stało się oczywiste, że byłem świadkiem przygotowań do niej. Powstawania piątej kolumny. Próbnich ataków na przyszłą Koalicję Szarości. Nasuwa się pytanie: jeśli jacyś ludzie przygotowywali reowojnę miesiąc wcześniej, to skąd wiemy, że nie przygotowywali jej sześć miesięcy wcześniej? Albo dwanaście?

- Nie mam pojęcia - przyznał Devin.

Szczerota i toporność tej odpowiedzi zbiły Richarda z tropu. Zwłaszcza że znał Devina od lat i wydawało mu się, że nieźle czyta jego język ciała.

Inny gambit.

- Posłuchaj - zaczął. - Niecałe pół godziny temu wyjeżdżaliśmy z Plutonem z lotniska. Przy wyjeździe mija się taki ogromny billboard z reklamą Królestwa K'Shetriae, z tym niebieskowłosym kolesiem. W świetle ostatnich wydarzeń jest to dla mnie oczywisty przykład polityki psiego gwizdka.

- Jakiego psiego gwizdka?

- Chodzi o sygnał czytelny tylko dla niektórych ludzi. Niebieski kolor włosów tego K'Shetriae jest jak okrzyk skierowany do Sił Jasności. Ludzie z Koalicji Szarości na jego widok co najwyżej wzdrygną się z niesmakiem i odwrócą wzrok, ale dla przedstawicieli Sił Jasności to punkt zborny.

- Mnie się wydaje, że niebieskowłosy humanoid po prostu przyciąga uwagę i tyle. A przecież taka jest rola billboardów.

Z tym stwierdzeniem Richard nie bardzo mógł polemizować. Pochylił się, oparł łokciami o czerwony laminat stolika i podparł głowę czubkami palców.

- Martwi mnie trywializacja konfliktu. *T'Rain* to wielka wirtualna maszyna do zabijania; wszystko sprowadza się do wojowników z halabardami i czarodziejów miotających

kule ognia, którzy w nieskończoność toczą pojedynki na śmierć i życie. Oczywiście, śmierć nie jest prawdziwa, bo trafiają tylko do Otchłani, gdzie się odradzają, ale to nie zmienia faktu, że siłą napędową całego systemu, a przy tym źródłem naszych zysków, są emocje wynikające z takich bezpośrednich konfrontacji. Dlatego właśnie oparliśmy *T'Rain* na opozycji Dobro-Zło. Wiem, niezbyt to oryginalne, ale przynajmniej w jakiś sposób tłumaczyło istotę konfliktu, na którym zarabiamy. A teraz mamy rewojnę i zamiast Dobro kontra Zło jest... sam nie wiem... Barwy Podstawowe kontra Pastele?

Devin wzruszył ramionami.

- U Cripsów i Bloodsów⁴ to się sprawdza.

- Czy to ty napisałeś ten scenariusz?

- Jest lepszy od poprzedniego.

- W jakim sensie?

- Wcześniej wcale nie mieliśmy prawdziwej opozycji Dobro-Zło, tylko po prostu dwie umowne etykiety dla dwóch różnych frakcji.

- Zgoda. Przyznaję, że sam czasem miałem takie skojarzenia.

- Ludzie nazywający się „złymi” nie robili złych rzeczy, tak jak „dobrzy” wcale nie byli dobrzy. Nie zdarzało się raczej, żeby jakiś dobry bohater zrezygnował z punktowania, żeby przeprowadzić staruszkę przez ulicę.

- Nie dawaliśmy im zbyt wielu okazji do przeprowadzania staruszek przez ulicę - zauważył Richard.

- Właśnie. Wyznaczaliśmy im zadania opatrzone nalepką „dobre”, które jednak, pomijając aspekty czysto artystyczne, niczym nie różniły się od zadań „złych”.

- Chcesz powiedzieć, że rewojna to reakcja klientów, którym nie podoba się nasza strategia marketingowa oparta na podziale na dobrych i złych.

- Niezupełnie... Oni szukają czegoś bardziej autentycznego. Bardziej pierwotnego.

- To znaczy?

- Szukają Innego.

- Słucham?

- Nie wygłupiaj się, sam przecież zareagowałeś identycznie na widok billboardu przy lotnisku: „O rany! Niebieskie włosy! Co za bezguście!”. W ten sposób rozpoznałeś tego gościa i zaszufładowałeś jako Innego. Po czymś takim napadnięcie go i zabicie staje się o

⁴ The Crips i The Bloods: dwa duże amerykańskie gangi uliczne, których członkowie noszą - odpowiednio - barwy niebieskie i czerwone (przyp. tłum.).

wiele łatwiejsze. Ba, wręcz pożądane.

- Ach tak...

Richard zaniemówił z wrażenia. Muza/furia numer 5 - studentka komparatystyki na University of Washington, która przez jedno lato harowała w kreatywnych kopalniach Korporacji 9592 - nie była w stanie napisać nawet jednego akapitu bez powoływania się na słowo na literę I. Słyszając je teraz z ust Szkieletora, Richard poczuł się nagle wyrwany z tu-i-terażniejszości ich rozmowy, jakby zasnął na pokładzie samolotu i cała scena mu się przyśniła. Obiecał sobie przy najbliższej okazji sprawdzić, co porabia muza/furia numer 5. Może przeprowadziła się do Nodaway?

Zawsze wiercił się niespokojnie na krześle podczas rozmów, w których przejawiało się słowo na I, dręczony niejasnym przeczuciem (którego nie umiał udowodnić), że niektórzy ludzie używają go jako intelektualnej taśmy klejącej. Jego opór przeciw wykorzystywaniu go w jakimkolwiek charakterze prowadził do oskarżeń, że ludzi mówiących o Innym automatycznie klasyfikuje jako Innych.

Dlatego, kiedy Devin powołał się na słowo na literę I, w pierwszym odruchu Richard miał ochotę cofnąć czas i skasować całą tę rozmowę.

Ale nie. Nie mógł przecież zapominać o udziałowcach, przed którymi gdzieś, kiedyś powinien się wytłumaczyć z pierdyliardów dolarów, które wydał na paliwo lotnicze, żeby przemieścić swój tyłek na to krzeselko.

Na pewnym poziomie odbierał tę sytuację jako niezwykle stresującą, ale na innym czuł się całkowicie odprężony i zrelaksowany. Znał ludzi, którzy tak jak on zawsze i wszędzie zarabiali pieniądze - bez względu na to, co robili. Można by ich wyrzucić z jadącej taksówki w dowolnym miejscu na świecie, a już po paru tygodniach lub miesiącach prowadziliby tam dobrze prosperującą firmę. Nawet jeśli zwykle potrzebowali kilku podejść, żeby załapać co i jak, to ostatecznie osiągalni sukces przekraczający wszelkie granice zdrowego rozsądku. Wystarczyło chcieć. Niektórzy już za młodu rozkręcali dostatecznie zyskowny interes, do którego przykuwali się złotymi kajdankami na resztę życia; inni, dopiero zbliżając się do emerytury, uczyli się zarabiać kokosy. Po szmuglowaniu trawki i *Schlossie* Richard osiągnął stan, w którym po prostu wiedział, jak to się robi - tak jak każdy nastoletni majsterkowicz wie, że jeśli urządzenie elektryczne ma zadziałać, trzeba je podłączyć do baterii. Na pewnym podstawowym poziomie prowadzenie interesów było właśnie tak proste; reszta to zabawa pokrętłami.

- Opowiedz mi jeszcze o tych Cripsach i Bloodsach - zaproponował, żeby zyskać na czasie i poukładać sobie fakty w głowie.

- Dla nas niczym się nie różnią: jedni i drudzy to czarne dzieciaki z wielkich miast; podobne statystyki demograficzne, podobny gust... Właściwie to aż dziwne, że nie działają wspólnie. Tymczasem oni nie tylko nie działają wspólnie, ale strzelają do siebie i mordują się nawzajem, bo uważają Innych za gorszych od człowieka. A mnie chodziło o to, że już od dłuższego czasu gracze, których ostatnio ochrzciliśmy Koalicją Szarości, patrzyli z góry na tych, których nazywamy Siłami Jasności. Uważali ich za tandeciarzy i prymitywów, nieumiejących odgrywać swoich postaci. W końcu doszło do tego, że gościom z SJ się to znudziło, i powstali, dumni ze swojej tożsamości. Trochę jak gejoscy aktywiści, którzy wymachują tymi przeklętymi tęczowymi chorągiewkami. Dopóki mogą na pierwszy rzut oka odróżnić swoich od obcych, dopóty będą tych obcych traktować jak... no, jak Innych. A żądza mordowania Innych tkwi w nas o wiele głębiej niż żądza zabijania w oparciu o marną i fałszywą dychotomię, niby-dobry-niby-zły.

- Rozumiem. Ale czy naprawdę tylko tym jesteśmy? Bandą cyfrowych Cripsów i Bloodsów?

- Nie wiem. A jeśli tak?

- To by znaczyło, że się opierdasz. Świat musi mieć historię, fabułę, której nie zastąpi wzajemne wyrzynanie się za noszenie niewłaściwych barw.

- A może to wy się opierdalacie? Jak mam pisać o dobru i złu w świecie, w którym te idee nie mają żadnego prawdziwego znaczenia, żadnych... konsekwencji?

- O jakie konsekwencje ci chodzi? Nie możemy skazywać bohaterów na wirtualne piekło.

- Wiem. Jest tylko Otchłań.

Obaj się roześmiali.

- Sam nie wiem... - przyznał po chwili namysłu Devin. - Chyba powinniście stworzyć jakieś egzystencjalne zagrożenie dla świata.

- Na przykład?

- Coś porównywalnego z zagładą atomową. Albo z tym, co by się stało, gdyby Sauron dorwał w swoje ręce Jedyny Pierścień.

- Będę miał ubaw po pachy, tłumacząc to udziałowcom.

- Udziałowcy mają swoje prawa. Firma przynosi zysk, prawda?

- Na razie tak, ale przyjechałem tutaj, ponieważ obawiamy się, że ten stan może się nie utrzymać. Jeżeli Siły Jasności wybiją do nogi Koalicję Szarości, co jest bardzo prawdopodobne, to co im zostanie?

- Pozabijać się nawzajem?

- No tak, to zawsze można zrobić.

DZIEŃ 3

- Dziecko drogie, już trzeci raz tędy przechodzisz. Pozwól, że skrócę twe męki!

Głos był emanującym pewnością siebie altem, którego właścicielka miała doskonałe ucho do wymowy, lecz nieco gorzej radziła sobie z idiomami. Zula okręciła się na pięcie i opuściła wzrok o dwadzieścia stopni, aż natknęła się na (dziwnie znajomą) twarz uśmiechającą się do niej z wysokości pięciu stóp i dwóch cali nad chodnikiem. To była kobieta... nie, dziewczyna... nie, kobieta... od której dzień wcześniej kupiła kilogram zielonej herbaty. Kilogram herbaty to sporo, ale sprzedawczyni przekonała ją, że to całkiem rozsądna ilość.

Kontrowersja dziewczyna-czy-kobieta musiała pozostać nierozstrzygnięta. Chinka była szczupła i drobna, co u Chinek nie jest niczym niezwykłym. Miała włosy obcięte krótko, po męsku, co już było niezwykle, ale nie oznaczało chyba zamiłowania do najnowszej mody, ponieważ ubrana była w dzinsy i wysokie jaskrawoniebieskie kalosze, jakie mógłby włożyć marynarz do szorowania pokładu albo rolnik do chlapania się w błocie na poletku ryżowym. Czarna koszulka z krótkim rękawem i czarna kamizelka dopełniały ubioru. Zero makijażu. I zero biżuterii, jeśli nie liczyć podzwaniającego na nadgarstku masywnego męskiego zegarka. Stała mocno na ziemi, w sposób, który zwrócił uwagę Zuli: rozstawiła niebieskie buciory na szerokość barków i wyprostowana patrzyła prosto w twarz rozmówcy; czasem tylko w ożywieniu lub rozbawieniu kołysała się lekko na palcach. Pewność siebie upodabniała ją do czterdziestolatki, skóra do dwudziestolatki, Zula doszła więc do wniosku, że Chinka jest młoda, ale też z jakiegoś powodu dziwna. Rozgryzienie jej wymagałoby czasu.

Z pewnością nie wszystkie młode kobiety w Xiamen chodziły w sukienkach i szpilkach, było ich jednak wystarczająco dużo, żeby herbaciarka wyróżniała się w tłumie na kilometr. Mimo to, Zula nie wyczuwała w niej ani śladu ostentacyjnego nonkonformizmu. Jej wizerunek nie miał być żadną deklaracją światopoglądową. Ona naprawdę taka właśnie była.

Poprzedniego dnia pierwsza podeszła do Zuli i zagaiła rozmowę. Zula, Csongor i Sokołow trafili na uliczkę z licznymi sklepami herbacianymi. Zula przyglądała się im, próbując wybrać ten, do którego wstąpi i znów spróbuje swoich sił w targowaniu się, gdy nagle wyrosła przed nią ta Chinka w niebieskich butach, na szeroko rozstawionych nogach, z aroganckim uśmiechem na twarzy, i zagadnęła ją dziwnie potoczną angielszczyzną, a po

minucie albo dwóch wyciągnęła nie wiadomo skąd ogromną grudę zielonej herbaty i opowiedziała Zuli własną historię. Opowiedziała o swoim ludzie (Zula zapomniała jego nazwę, ale Niebieskie Kalosze bardzo wyraźnie podkreślała jego odrębność etniczną), który mieszka wysoko w górach, w zachodniej części Fujianu, dokąd w niepamiętnej przeszłości został wygnany, by następnie zamieszkać w zamkach pobudowanych na omglonych szczytach. Ale tam przynajmniej nikt nie mieszkał wyżej od nich - woda spływała prosto z nieba, żadne ścieki przemysłowe nie zanieczyszczały gleby i nigdy nie zanieczyszczą. Niebieskie Kalosze wyliczyła jeszcze kilkanaście zalet swojej ojczyzny, po czym wyjaśniła, w jaki sposób każda z nich (na poziomie molekularnym) przenika w głąb herbacianych liści, a stamtąd do ciał, umysłów i dusz ludzi skazanych na życie w mniej błogosławionych królestwach, jeśli tylko piją odpowiednio duże ilości rzeczony herbaty. Zula sama się przekona, że kilogram pójdzie błyskawicznie, a ona zacznie błagać o jeszcze. Tylko że w Ameryce trudno tę herbatę kupić. Nawiasem mówiąc, Niebieskie Kalosze pilnie poszukuje dystrybutora na zachodniej półkuli, a Zula chybaaby się nadawała...

Gdyby Zula była prawdziwą turystką, która chce mieć po prostu święty spokój, zmęczyłaby ją paplanina Niebieskich Kaloszy, ale w swojej obecnej sytuacji tak bardzo ucieszyła się na widok na wpół znajomej twarzy, że z trudem powstrzymała się od tego, żeby chwycić kruszynkę w ramiona i serdecznie wyściskać.

- Dzień dobry - powiedziała. - Miała pani rację. Cała herbata poszła.
- Ha, ha, ha, nie pieprz mi tu głupot! - odparła zachwycona Niebieskie Kalosze.
- No dobrze, dziś nie szukam herbaty.
- Ale chcesz zostać dystrybutorem?
- Nie... - zaczęła Zula, ale zorientowała się, że Niebieskie Kalosze ją podpuszcza.
- Beznadziejnie zablądziście, aż smutno patrzeć. Cała ulica o was mówi.
- Szukamy *wangba* - wyjaśniła Zula.
- Jaja żółwia? To ciężka obelga. Lepiej uważaj, do kogo tak mówisz.
- Może źle to wymawiam...
- A po angielsku?
- Szukamy kafejki internetowej.

Niebieskie Kalosze zmarszczyła nos w sposób, który u innych kobiet w jej wieku byłby pretensjonalny, u niej jednak był krystalicznie naturalny, jak górskie wody jej ojczyzny.

- Co Internet ma wspólnego z kawą?
- Z kafejką, nie z kawą.
- W kafejce pije się kawę!

- Tak, ale...

- Tu są Chiny - powiedziała Niebieskie Kalosze, na wypadek gdyby Zula nie zauważyła. - My pijemy herbatę. Zapomniałaś, o czym wczoraj rozmawialiśmy? Wiem, że dla was wszyscy wyglądamy tak samo, ale...

- Ja pochodzę z Erytrei - wtrąciła Zula, myśląc szybko. - U nas uprawia się kawę.

- A tutaj zamiast kafejek są herbaciarnie.

- Rozumiem. Ale nam się nie chce pić. Szukamy Internetu.

- Czego?

Zula spojrzała znacząco na Csongora, który znużonym gestem pokazał kartkę papieru z wydrukowanym chińskimi znakami słowem *wangba*. Od pół godziny pokazywali ją różnym ludziom na ulicy. Wszyscy sprawiali wrażenie, że mają zgrubne pojęcie, gdzie tego *wangba* szukać, wskazywali więc ten lub inny kierunek, rozprawiając przy tym z zapalem (najczęściej po chińsku, ale czasem po angielsku).

- To czemu od razu nie powiedzieliście? - Niebieskie Kalosze wyciągnęła rękę. - To będzie tam, na piętrze...

Zula pokręciła głową.

- Jak pani myśli, dlaczego tak beznadziejnie zabłądziliśmy?

- Chodźcie. Zaprowadzę was.

Niebieskie Kalosze wzięła Zulę za rękę i pociągnęła za sobą. Gest był dość poufały, ale ponieważ miło było potrzymać kogoś za rękę, Zula splotła palce z palcami przewodniczki i dała się poprowadzić. Wydawało się niepojęte, żeby ktokolwiek, nawet Sokołow, ośmielił się jej sprzeciwić. I rzeczywiście, Csongor z Sokołowem posłusznie ruszyli za kobietami.

Męska fryzurka zatrzęsła się ze zgrozy.

- Potrzebujecie tłumacza, mówię ci.

- Zgadzam się.

- Świetnie!

Niebieskie Kalosze puściła dłoń Zuli, zatrzymała się, odwróciła i wyciągnęła prawą rękę. Zula odruchowo próbowała jej podać swoją, ale zawahała się, gdy dotarło do niej, że będzie to dla niej wiążąca umowa.

- A niech to! - Zirytowana Niebieskie Kalosze pstryknęła palcami. - Prawie cię wkręciłam.

- Nawet nie znamy pani nazwiska.

- Ja twojego też nie znam.

- Zula Forthrast - odparła Zula półgłosem, zerkając dyskretnie na Sokołowa, który z

roztargnieniem rozglądał się po okolicy tym swoim pourazowym, nieobecnym wzrokiem, jakby oglądał wszystko z odległości tysiąca jardów. Uśmiechnęła się ukradkiem.

- Co? - chciała wiedzieć Niebieskie Kalosze.

Zula spoważniała i pokręciła głową. Właśnie podała komuś swoje nazwisko. Gdyby ten ktoś je wygoogłał, co by znalazł? Artykuł z „Seattle Timesa” o kobiecie, która zaginęła w nieznanych okolicznościach?

- Jestem Qian Yuxia.

Zula, która od dziecka żyła z nosem przytkniętym do szyby oddzielającej ją od świata prostych włosów, miała coraz wyraźniejszą obsesję na punkcie fryzury Qian Yuxii - klinowatej, krótszej na górze i wydłużającej się ku dołowi. Dbał o nią ktoś, kto uwielbiał Qian Yuxię i znakomicie posługiwał się ostrymi przedmiotami, ale Qian Yuxia stanowczo ignorowała ten fakt.

- Czy tam, skąd pochodzisz, to popularne nazwisko? - spytała Zula dla podtrzymania rozmowy.

- Yongding - przypomniała jej Yuxia. - Tam, gdzie Wielkostope Kobiety robią *gaoshan cha*. Wysokogórską herbatę.

- Jesteś Wielkostopą Kobietą?

Yuxia spojrzała na Zulę jak na idiotkę i wyciągnęła stopę obutą w niebieski kalosz.

Zula wzruszyła ramionami.

- W środku możesz mieć drobną stopkę - zauważyła.

- Jestem Hakka - odparła Qian Yuxia takim tonem, jakby tę część rozmowy uznała za zakończoną. - Mówiłam ci wczoraj.

- Przepraszam, zapomniałam tę nazwę.

- Co się stało? Po co przyjechaliście?

Sokołów znajdował się teraz na tyle blisko, że Zula postanowiła trzymać się scenariusza. Tak, tak: wczoraj opracowali scenariusz.

- Słyszałaś o konferencji? O Tajwanie?

- Tak. Jesteś ambasadorką Erytrei?

- Ja przyleciałam z amerykańską delegacją, Csongor z węgierską, a...

- Iwan Iwanowicz - wtrącił Sokołów z uprzejmym ukłonem.

- ...a Iwan jest Rosjaninem. Mamy dwa dni wolne, więc pomyśleliśmy, że można by się trochę...

- Wyluzować?

- Właśnie, wyluzować.

- Któryś z nich to twój chłopak?

- Nie, a co?

Qian Yuxia żartobliwym gestem klepnęła Zulę po ramieniu, jakby besztala ją za zbyt wolne postępy w nauce.

- Chciałam wiedzieć, czy mogę z nimi flirtować!

- Pewnie. Śmiało.

Zula podświadomie zakładała, że Qian Yuxia jest lesbis, ale przecież wcale nie musiało tak być. Zresztą, nawet jeśli była, to mogła lubić flirtowanie z heteroseksualnymi facetami.

- U was w hotelu nie ma Internetu?

- Pewnie, że jest. - Oczywiście nie była to odpowiedź na niewypowiedziane na głos pytanie. - Ale Csongor ma świra na punkcie e-maili. Głupieje, jak nie sprawdzi poczty co godzinę.

- Aha. O, jesteśmy na miejscu.

Yuxia przeprowadziła ich na drugą stronę skrzyżowania, gdzie skręcili w wąski zaułek wypełniony sklepikami. Obok jednego z nich biegnące do góry schody prowadziły w głąb budynku. Jedynym oznaczeniem był przyklejony do ściany rysunek przedstawiający łeb taurena, stwora z *Warcrafta*. Prawie jak szyld średniowiecznej karczmy.

Zatrzymali się.

- To się nazywa schody - powiedziała Qian Yuxia.

* * *

Wczoraj wydawało im się, że koszą imponujące ilości adresów IP i odpowiadających im par długość/szerokość geograficzna, ale kiedy Csongor naniósł je wszystkie na mapę, którą następnie nałożył na obraz Xiamen, nie wyglądało to zachęcająco. Zebrane dane jakimś cudem były jednocześnie rzadko rozrzucone i zbite w grupki. Udało im się jednak określić pewne zgrubne trendy w numeracji, dzięki czemu domniemywali, że wypisany atramentem na dłoni Sokołowa blaknący już powoli adres IP należy do punktu dostępowego, który nie znajduje się ani na peryferiach miasta, ani w pobliżu uniwersytetu, ani w żadnym z odległych zakamarków wyspy, lecz w promieniu kilometra lub dwóch od ich kryjówki.

Niewykluczone, że z okien widzieli dom trolla. To trochę tak, jakby powiedzieć, że z Księżycy widać Ziemię, ale lepsze to niż nic.

Na dziś zaplanowali zatem odwiedzić we wszystkich kafejkach internetowych, jakie uda im się znaleźć w interesującej ich strefie, i zdobycie bardziej szczegółowych informacji.

Układając ten plan w obecności i pod czujną kuratelą Sokołowa, dyskutowali o kafejkach internetowych ze swadą i swobodą, jakby doskonale znali się na rzeczy. Bo i czemu

nie? Byli hakerami, pochodzili z Seattle, a loft Petera znajdował się nie dalej niż milę od światowej centrali Starbucks - organizacji, która ostrzelała całą planetę kawiarniami z wi-fi jak śrutem.

Innymi słowy, przyjęli trzy oczywiste założenia w odniesieniu do kafejek internetowych: (1) że są wszędzie, (2) że łatwo je znaleźć, oraz (3) że podaje się w nich kawę, a więc są kafejkami z prawdziwego zdarzenia, przytulnymi lokalikami, w których klient może zwinąć się z laptopem w kącie i przejrzeć pocztę.

Żaloszna naiwność i seattlocentryzm tych założeń już wcześniej zaczęły przenikać do świadomości Zuli, ale teraz wyrznęły ją prosto w zęby, gdy w ślad za Qian Yuxią weszła po schodach. Skorzy do pomocy nieznajomi, którzy dawali im bezużyteczne wskazówki, zawsze powtarzali, że kafejka internetowa znajduje się „na piętrze” albo „na tyłach” jakiegoś sklepiku, przez co Zula nabrała przekonania, że mówią o małych i dyskretnych pokoikach na zapleczu.

Dopiero tutaj zrozumiała, że kafejki musiały znajdować się na piętrach albo na tyłach sklepów, ponieważ był ogromne. Ta zajmowała całą kondygnację. Nowiutkie pecety z płaskimi monitorami zostały w niej upchnięte tak gęsto, jak tylko dopuszczały to prawa termodynamiki. Wszystkie były w użyciu. W sali siedziało chyba ze sto osób; wszyscy mieli słuchawki, więc było dziwnie cicho.

- Mój Boże... - mruknął Csongor.

- Co? - zdziwiła się Yuxia.

- Ta kafejka jest dziesięć razy większa od największej, jaką w życiu widzieliśmy - wyjaśniła Zula.

- To tylko połowa. - Yuxia ruchem głowy wskazała schody prowadzące wyżej. - Ilu potrzebujecie?

- Słucham?

- Ilu komputerów potrzebujecie?

- Jednego. Chyba że... - Zula spojrzała na Sokołowa.

Sokołow oglądał akurat kolejną ze ściennych ozdób - jeden z posterów promocyjnych, które dział marketingu Korporacji 9592 wyprodukował wkrótce po uruchomieniu gry, zaciekle walcząc o podebranie klientów *World of Warcraft*. Fotorealistyczne obrazy udawały plakaty biur podróży. Ten akurat przedstawiał Dwinna, stojącego na głazie na brzegu krystalicznego górskiego jeziora, z wędką w ręce i zmagającego się z niby-prehistoryczną zębatą bestią, która z wargą przebitą haczykiem wyskoczyła w oddali ponad lustro wody. Głównym celem plakatu było zademonstrowanie niewiarygodnego realizmu krajobrazów

generowanych przez software Plutona (doskonale ilustrowały to widoczne po drugiej stronie jeziora z boczna gór), ale scenografowie i animatorzy, którzy nie zamierzali pozostać w tyle, poświęcili masę czasu i energii na dopracowanie postaci Dwinna: kiedy odchyłał się w tył, żeby skontrolować napięcie żyłki, jedną nogą mocno zapierał się o podłogę, druga właśnie odrywała się od powierzchni gładzi.

Zula miała wrażenie, że ogląda zdjęcie z rodzinnego albumu. Nie była przygotowana na taki widok. Uderzył ją jak obuchem.

Na szczęście, Sokołow nagle zrobił się rozmowny. Odwrócił się powoli, spojrzał na Zulę, przeniósł wzrok na Yuxię.

- Wygooglałbym jakiś sklep wędkarski - powiedział.

Zula wciąż zmagala się z ogromną kulą w gardle, a Yuxia nie wiedziała, co myśleć o Sokołowie.

- Wędkowanie - powiedział. Ruchem głowy wskazał plakat i na migi pokazał zarzucanie wędki i kręcenie kołowrotkiem. - Mój szef chce pojechać na ryby, ale nie zabraliśmy sprzętu.

- Kiedy? - spytała Yuxia.

- Może jutro. - Sokołow wzruszył ramionami. - Może pojutrze. Zależy. Ale ja mógłbym dzisiaj kupić sprzęt. Wygooglam sklep.

- Musiałbyś znać chiński, inaczej nie dasz rady - uprzedziła go Yuxia.

- W takim razie potrzebuję pomocy. Muszę kupić specjalne kapelusze. Przenośne lodówki. Pudła na wędki. - Wzruszył ramionami. - Normalnie, sprzęt.

Yuxia podeszła do kontuaru - całkiem sporej konstrukcji, mierzącej dobre dwadzieścia stóp długości i wyposażonej w dwie kasy. Ścianę w głębi zajmowały dwie przeszklone lodówki, pękające w szwach od napojów, oraz półki zastawione błyskawicznymi daniami w kubkach z okrągłymi wieczkami z folii; kolorowe nadruki na wieczkach wprost skakały człowiekowi do oczu. Za ladą urzędowało trzech ludzi: dwóch pracowników kafejki (chłopaków po dwudziestce) i funkcjonariusz Biura Bezpieczeństwa Publicznego w jasnoniebieskiej koszuli, krawacie i ciemnych spodniach. Ten ostatni siedział plecami do klientów, skoncentrowany na dwóch monitorach. Obraz na każdym z nich był podzielony na cztery kadry. Zula przypuszczała, że pokazują obraz z kamer systemu ochrony, dopóki nie przyjrzała się im bliżej i nie stwierdziła, że przedstawiają pomniejszone ekrany komputerów. Na niektórych było widać okienkowe interfejsy użytkownika, jakich można by użyć do surfowania po sieci albo grzebania w Facebooku, ale większość zajmowały sceny z gier. Każdy z czterech kadrów zmieniał się co kilka sekund.

Zula spojrzała na Csongora, który również gapił się na monitory, a teraz odwrócił się do niej. Ich oczy się spotkały. Wybuchnęli śmiechem.

- Co jest zabawne? - zainteresował się Sokołow.

- Ten facet zagląda przez ramię wszystkim naraz - wyjaśnił mu Csongor. - Pilnuje, żeby nie oglądali pornosów i tym podobnych.

Sokołow zrozumiał, ale nie widział w tym nic zabawnego.

Qian Yuxia zdążyła przez ten czas zagadnąć jednego z chłopaków z obsługi; zrobiła to w stylu sierżanta witającego się z szeregowcem, który stawiał się na musztrę rozmemłany i nawalony jak szpak. Pracownik kafejki rozpoczął i zarazem zakończył rozmowę jednym spojrzeniem, którym zmierzył Yuxię od stóp do głów. Zdaniem Zuli jego wzrok sugerował, że Yuxia jest klientką dość niezwykłą, ale nie całkiem bezprecedensową. Funkcjonariusz BBP odwrócił się, otaksował wzrokiem troje westmanów, spojrzął przelotnie na Yuxię i wrócił do swojego zajęcia. Najwyraźniej bycie westmanem nie było niczym nadzwyczajnym, jeśli miało się chińskiego przewodnika. Na uwagę zasługiwali dopiero westmani samotni i bezradni.

Doszło do jakiejś transakcji. Yuxia pstryknięciem palców przywołała Sokołowa i zmusiła go do wydania pieniędzy, które zniknęły w głębi kasy. Pracownik kafejki wziął z drukarki i podał im dwa paski papieru z nadrukowanymi ciągami znaków alfanumerycznych: identyfikatory i hasła użytkowników.

Weszli do głównej sali *wangba*, przypominającej Zuli tę część kasyna, w której stoją automaty do gier, tyle że wolną od hałasu: gęsto upakowani ludzie w ciemnym, nisko sklepionym pomieszczeniu, siedzący na identycznych krzesłach i skoncentrowani na maszynach. Porównanie z automatami było tym bardziej trafione, że większość klientów kafejki grała w gry komputerowe. Nieliczni wybierali *World of Warcraft*, *Counterstrike* i *Ao'ba Jianghu*, chińską grę, którą Nolan wyprodukował przed założeniem Korporacji 9592 i która przetrwała w świecie *wangba* jako evergreen - często naśladowana, regularnie piracona (mechanizm zabezpieczający przed kopiowaniem został złamany dwadzieścia dwie godziny po wprowadzeniu jej na rynek), ale nie zrównana. Jednakże zdecydowana większość gości kafejki grała w *T'Rain*, co oznaczało, że przyszli pracować, a nie się bawić. Zula miała już wystarczająco duże doświadczenie w grze, żeby na pierwszy rzut oka rozpoznać większość krajobrazów i sytuacji, które migały jej na monitorach, gdy za Yuxią szła w stronę schodów. Kilku użytkowników uniosło głowy, spoglądając jak pieski preriowe znad rozdzielających stanowiska niskich przegródek. Większość stanowili młodzi mężczyźni siorbiący chińskie zupki z kubków, którzy chcieli po prostu zajrzeć kumpłowi przez ramię, ale Zula dostrzegła

wśród nich także drugiego funkcjonariusza BBP.

Druga kondygnacja była powtórką z pierwszej, tyle tylko, że znajdowało się tu więcej wolnych stanowisk. Siedział tu także - na krześle u szczytu schodów - trzeci człowiek BBP, nudząc się śmiertelnie i żłowiąc herbatę.

Csongor usiadł przy jednym komputerze, Sokołow przy drugim. Csongor udał, że sprawdza pocztę, a Yuxia pomogła Sokołowowi szukać sklepów ze sprzętem wędkarskim w centrum Xiamen.

Csongor się zalogował, w parę sekund ustalił adres IP swojej maszyny i zaczął węszyć w lokalnej sieci, żeby się zorientować, jakie adresy mają sąsiednie komputery. Dzięki temu „sprawdzenie poczty” zajęło mu niespełna minutę, po czym wylogował się i wstał od komputera. Podszedł do Zuli, ale metr od niej zwolnił, zatrzymał się i odwrócił bokiem. Nie szukał jej bowiem po to, żeby z nią porozmawiać, po prostu chciał być blisko niej. Takiego nabrał zwyczaju, a Zula się do tego przyzwyczaiła. Czowała się lepiej, kiedy stał obok niej, na granicy jej przestrzeni osobistej. Jemu też to chyba odpowiadało.

Poprzedniego wieczoru Sokołow obfotografował komórką wędkarzy wychodzących z przystani promowej i teraz pokazywał zdjęcia Yuxii. Zrobił zbliżenie głowy jednego z nich, tłumacząc, że chce kupić takie same kapelusze. Zula nigdy w życiu nie widziała jeszcze tak kretyńskich nakryć głowy; mocno wątpiła w to, żeby Sokołow naprawdę wybierał się na ryby. Miał jakiś plan i w przebłysku intuicji doszedł do wniosku, że Yuxia może mu go pomóc zrealizować.

Delikatną pociechę wypływającą z bliskości Csongora przeszył nagle lodowaty sopel świadomości, że oto Yuxia zostanie wplątana w ich sprawy. I to nie bez winy Zuli.

Sokołow skończył przeglądać Internet i się wylogował.

- Idziemy kupić kapelusze - oznajmił i usunął się na bok, jak to miał w zwyczaju, przepuszczając panie przodem.

* * *

Obecność Yuxii stukrotnie ułatwiała szukanie dalszych *wangba*, ale miała swoją cenę: nie mogli chodzić po prostu od kafejki do kafejki pod pretekstem konieczności sprawdzania e-mail; nikt nie musi aż tak często zaglądać do poczty - a gdyby nawet, to łatwiej byłoby przecież okopać się w jednym miejscu, niż cały dzień chodzić po mieście.

Plan Sokołowa (jakikolwiek on był) wymagający zdobycia ryszunka wędkarskiego bardzo im ułatwił sprawę, ponieważ musieli teraz poświęcić trzy kwadransy na dotarcie piechotą do sklepu sprzedającego durne kapelusze, które upodobali sobie siedemdziesięcioletni chińscy mistrzowie spinningu. Zula poświęciła ten czas na zawarcie

ciut bliższej znajomości z Yuxią: zasypywała ją pytaniami, obawiając się, że kiedy przestanie, tamta sama zacznie zadawać pytania, na które w obecnych okolicznościach trudno byłoby odpowiedzieć. Ich wątlutki scenariusz nie zniósłby naporu czujnego umysłu Qian Yuxii.

Zula dowiedziała się, że Yuxia pochodzi z miasteczka w Yongding, które przyciąga turystów swoimi *tulou*: ogromnymi okrągłymi domami z ubitej ziemi, przywodzącymi na myśl zamki i wybudowanymi przed wiekami przez Hakka. Większość turystów stanowili Chińczycy przywożeni autobusami z Xiamen, Shantou i Hongkongu, ale *tulou* przywabiały też gości z Zachodu, głównie podróżników z plecakami. W sezonie Yuxia pracowała w hotelu obsługującym takich właśnie turystów: kręciła się przy dworcu autobusowym i patrolowała główne rewiry turystyczne, a widząc zagubionych westmanów, podchodziła do nich, zagadywała ich i prowadziła do hotelu, a później obwoziła po okolicy, pokazując rzadziej odwiedzane *tulou* leżące z dala od utartych szlaków. W ten sposób, a także poprzez oglądanie filmów i czytanie książek porzuconych przez turystów w hotelu, nauczyła się angielskiego. Poza sezonem porzucała swój mikrobus w jakimś dogadany wcześniej miejscu na przedmieściach Xiamen i autobusem wjeżdżała do miasta, gdzie, nocując w schronisku, żyła z obnośnego handlu herbatą - najczęściej sprzedawała ją hurtem do sklepów, ale nie miała nic przeciwko handlowaniu bezpośrednio z odbiorcą końcowym, tak jak wczoraj z Zulą.

Na takiej pogawędce upłynął im spacer do sklepu, w którym Sokołow kupił równy tuzin bezkształtnych kapeluszy A potem przyszedł czas, żeby Csongor znowu „sprawdził pocztę”. Znaleźli więc następne *wangba*, gdzie Csongor zrobił, co miał zrobić, a Yuxia pomogła Sokołowowi znaleźć sklep z futerałami na wędki.

Zula zapytała Yuxię, kim dokładnie są Hakka, i dowiedziała się, że to jedyny odłam Chińczyków, który nie przyjął zwyczaju krępowania kobietom stóp. Określenie „wielkstopa kobieta” nie było więc wcale luźno rzuconym epitetem. Co więcej, Hakka skupowali od mówiących po kantońsku sąsiadów niechciane niemowlęta płci żeńskiej i wychowywali je jak swoje. Yuxia nie zaliczała się do kobiet, które szastałyby takimi terminami jak „feministka” czy „matriarchat”, ale Zula i bez tego wyrobiła sobie zdanie na jej temat. Umiała też zgrabnie porównać sytuację Hakka do czasów młodości, gdy w erytrejskich jaskiniach wychowywały ją marksistko-feministki, co teraz pozwoliło im dwóm bezpiecznie przegadać masę czasu, kiedy włóczyły się po mieście.

Trzecie *wangba* mieściło się na najwyższej kondygnacji trzypiętrowego biurowca przy bocznej uliczce, na której przy odrobinie szczęścia minęłyby się dwa samochody, gdyby tylko nie przeszkadzali im w tym piesi, rowerzyści i wózkarze. Było nieco mniejsze od dwóch pierwszych, obsługiwało młodszych klientów i wyglądało na bardziej zapuszczone. Siedzący

przy wejściu jegomość z BBP nie miał żadnego nowoczesnego systemu do kontrolowania aktywności klientów. Strategicznie porozmieszczane lustra teoretycznie pozwalały mu zaglądać ludziom w monitory, ale, żeby system działał, funkcjonariusz musiałby najpierw zechcieć z niego skorzystać, a następnie chociaż na chwilę oderwać się od kolorowej gazetki (napisanej w całości po chińsku, chociaż poświęconej wyłącznie rozgrywkom NBA i ich uczestnikom) - tymczasem żadnej z tych rzeczy nie robił. W *wangba* panował również większy hałas niż w poprzednich. Jego źródłem nie była wprawdzie ani muzyka, ani inne odgłosy gier, lecz ludzkie głosy, dobiegające (jak się okazało, gdy weszli nieco głębiej) z jednego kąta sali, gdzie gromada nastolatków zagarnęła kilkanaście komputerów na wyłączność i grała na nich w swoim gronie, zerkając sobie nawzajem przez ramię i nie szczędząc ostrzeżeń, rozkazów, okrzyków zachęty, kpin i lamentów.

Jak zwykle Csongor usiadł przy jednej maszynie, a Yuxia z Sokołowem przy drugiej. Zula podryfowała w stronę kąta zdominowanego przez graczy. Gdy tylko zobaczyła ekrany ich komputerów, zorientowała się, że grają w *T'Rain*. Styl, w jakim się porozumiewali, dowodził, że stanowią grupę, która wspólnie wypełnia jakąś misję. Ich postaci znajdowały się w tym samym rejonie *T'Rainu*, gdzie albo przeczesywały podziemia, albo napażały się z konkurencyjnym gangiem; wojownik pokrzykiwał na kapłana, że potrzebuje leczenia, a czarodziej dopominał się o ochronę przed zagrażającym mu potworem, żeby móc swobodnie rzucać zaklęcia. Normalna rzecz.

Na pierwszy rzut oka poznała, że to ostrzy zawodnicy, a jej spostrzeżenie się potwierdziło, gdy stanęła tak, żeby lepiej widzieć ich bohaterów. Byli mocni i wyposażeni w najdroższy sprzęt.

Walczyli w dziwnie znajomym terenie.

Do złudzenia przypominającym Pogórze Torgai.

Bardzo blisko ostrzeliwanego przez trebusze przecięcia linii geomantycznych.

Nagle dotarło do niej, że gapi się na nich od dobrych paru minut. Przez ten czas Sokołow podszedł i stanął tuż obok niej, tak że czuła ciepło jego ciała. Musiał zobaczyć jej minę i przyszedł sprawdzić, co ją tak zafascynowało.

Nagle poczuła, że wszyscy się na nią gapią. Odwróciła się i podeszła do Csongora, który ze zgrozą wpatrywał się w ekran swojego komputera.

- Co się wyrabia? - zainteresowała się Qian Yuxia. - Macie jakiegoś problema?

Sokołow spojrzał na nią i odparł:

- Jutro jedziemy na ryby. Potrzebujemy lodówek.

* * *

Pół godziny później Zula została przykuta do umywalki w damskiej toalecie w kryjówce.

Kiedy do Sokołowa dotarło (po tym, jak Csongor przywołał go gestem i pokazał mu wyświetlony na ekranie adres IP identyczny z tym, który Sokołow miał zapisany na ręce), że młodzi ludzie w kącie są sprzymierzeńcami trolla - ba, że jeden z nich sam może być trollem! - zareagował z mieszaniną pośpiechu i absolutnego spokoju, która w innych okolicznościach wydałaby się Zuli godna podziwu. Gdzieś zadzwonił. Parę minut później wyprowadził Zulę na ulicę. Akurat podjechała taksówka wioząca czterech konsultantów do spraw bezpieczeństwa. Jeden z nich został w samochodzie, pozostali wysiedli i obstąpili Zulę w sposób, który - choć z pozoru niegroźny - nie pozostawiał wątpliwości, że nie ma innego wyjścia, jak wsiąść na tylną kanapę. W kilka minut dojechała z jednym konsultantem do podziemnego garażu wieżowca mieszczącego kryjówkę, a po kolejnej minucie wylądowała w toalecie. Rosjanom znudziło się odprowadzanie jej do łazienki i czekanie w kabinie, wystraszeni więc skądś dwudziestostopowy kawał łańcucha i przypięli go kłódką do kolanka pod umywalką. Na drugim końcu łańcucha znajdowało się jedno oczko kajdanek, które zapięli Zuli na kostce. Wcześniej już dostarczono do łazienki jej bagaż i spiwór oraz zapas racji żywnościowych, skromną porcję śmieciowego żarcia i rolkę ręcznika papierowego. Łańcuch był dostatecznie długi, żeby mogła skorzystać z toalety oraz zaczerpnąć wody z umywalki. Czegóż więcej trzeba dziewczynie do szczęścia?

Coś w niej pękło i poryczała się jak nigdy przedtem. Pozycja płodowa, walenie głową o podłogę, te klimaty... To ten łańcuch ją tak załatwił. Dużo w życiu przeszła, ale nikt jeszcze nie wpadł na to, żeby ją skuć.

W końcu dźwignęła się na czworaki i użyła ręcznika.

A potem uciekła.

Na studiach wynajmowała z koleżankami dom, w którym regularnie zapychał się zlew w kuchni. Nie miały pieniędzy na hydraulika, ale Zula nie na darmo wychowała się na farmie w Iowa. Kluczowa była w tym wypadku wiedza, że nakręcane obejmy podtrzymujące kolanko, choć masywne, tylko wyglądają groźnie, w rzeczywistości zaś są dość lekko dokręcane, bo nie trzeba wcale dużego nacisku, żeby ścisnąć okalającą rurę uszczelkę. Dokręcenie ich kluczem nie poprawiłoby sytuacji, a mogło uszkodzić uszczelkę.

Hydraulik, który skręcał odpływ umywalki w toalecie, był silniejszy od Zuli, ale w końcu udało jej się poluzować obejmy i zdjąć kolanko.

Przełożyła łańcuch do torby, a tę zarzuciła sobie na ramię. Weszła na sedes, wspięła się na przegrodę między kabinami i odsunęła jedną z płytek sufitowych. Wyjęła z torby

latarkę (kolejna pamiątka po małej farmerce z Iowa) i, przyświecając nią sobie, zaczęła szukać tego, co tak bardzo nie spodobało się Sokołowowi, kiedy pierwszy raz ją tu przyprowadził.

W pierwszej chwili niczego nie dostrzegła, wcisnęła się więc w wolną przestrzeń nad podwieszonym sufitem, oparła o zygzakowatą poziomą podporę i po niej - idąc bokiem, jak krab - zaczęła oddalać się od łazienki w kierunku trzonu wieżowca. Całkiem blisko znajdowały się szyby wind, były jednak obleczone w beton i nie widziała żadnej oczywistej drogi do ich wnętrza. Zresztą, nawet gdyby dostała się do środka, niespecjalnie by jej to pomogło.

Doszedłszy do wniosku, że przekroczyła granice damskiej toalety, podważyła jedną z płytek sufitu i wyjrzała na dół. Znajdowała się nad jakimś korytarzem serwisowym, w tej chwili nieoświetlonym. Całym ciałem obciążała rusztowanie podtrzymujące płytki: utrzymało ją, ale zostało poważnie uszkodzone - delikatne wsporniki powyginały się, najbliższe płytki zaczęły pękać. Cóż, trudno. Chwyciła się mocno wsporników i opuściła na dół, aż nogi zawisły jej najwyżej trzy stopy nad podłogą. Puściła się.

Z przebiegu betonowych przegród w przestrzeni nad sufitem już wcześniej domyśliła się, że schody pożarowe znajdują się tuż za ścianą. Chcąc na nie trafić, musiała tylko wyjść z tego korytarza do holu z windami, z którego boczne drzwi prowadziły na klatkę schodową. Przez moment byłaby wtedy widoczna dla strażnika siedzącego przy biurku w holu - ale wiedziała, że co najmniej czterech konsultantów przebywa w tej chwili poza budynkiem, i miała nadzieję, że mogło zabraknąć im ludzi do obsadzenia recepcji. Zresztą, to akurat łatwo było sprawdzić: uchyliła drzwi i wyjrzała przez szparę.

Pusto. W głębi biura widziała krzątających się konsultantów - kręcili się po pokojach, rozmawiali przez telefony, grzebali w bagażu, ale żaden nie patrzył w stronę wind.

Wyszła, dwoma krokami pokonała kawałek marmurowej posadzki dzielący ją od drzwi, otworzyła je i wślizgnęła się na schody. Powstrzymując chęć panicznej ucieczki, pupą przyblokowała drzwi, żeby zamknęły się cicho - i dopiero wtedy zaczęła zbiegać po schodach najszybciej jak mogła, podzwaniając dwudziestoma funtami łańcucha, którego większość spoczywała w torbie na jej ramieniu, a końcówka była przykuta do kostki.

Pokonanie czterdziestu trzech pięter pozwoliło jej przemyśleć kwestię ucieczki w sposób, na który nie miała czasu, gdy podejmowała tę decyzję. Wcześniej myślała o niej tylko w kategoriach: „Co Qian Yuxia zrobiłaby na moim miejscu?” oraz: „Co by Qian Yuxia o mnie pomyślała, gdyby zobaczyła, że leżę skulona na podłodze i płacząc jak dziecko?”.

Do tej pory jej udział w całym przedsięwzięciu opierał się na niepisanej umowie z

Iwanowem, która sprowadzała się do stwierdzenia: „Traktujemy cię źle i pewnie w końcu cię zabijemy, ale moglibyśmy traktować cię jeszcze gorzej i zabić wcześniej”. Kiepski to był układ, lecz niewiele miała do powiedzenia w negocjacjach. Przerzązał ją już sam sposób, w jaki została wciągnięta w to bagno, a współodpowiedzialność za wplątanie Yuxii była wręcz nie do zniesienia.

Peter był ich zakładnikiem, istniała więc teoretyczna możliwość, że odpowie za jej ucieczkę, ale Zula mocno w to powątpiewała. On już przeszedł na ich stronę. Stał się dla nich użyteczny. A zabicie go nie sprawi, że ona wróci. Jeśli zaś chodzi o Csongora... Miała nadzieję, że nie stanie mu się krzywda, ale musiała myśleć o sobie i swoim życiu.

I o tym właśnie myślała, kiedy znalazła się na dole schodów, pędem wybiegła z zakrętu - i jak kula bilardowa odbiła się od mężczyzny, który z niewiadomych powodów stał akurat w tym miejscu. Instynktownie odskoczyła i mimo że wyciągnął po nią rękę, musiał się zadowolić jej torbą. Zostawiła mu ją i puściła się biegiem, wlokąc za sobą rozwijający się z torby łańcuch.

Nagle coś wyszarpnęło spod niej jej własną nogę, pociągnęło ją wstecz i obróciło w taki sposób, że, upadając na betonową posadzkę, zobaczyła stojącego dwadzieścia stóp od niej mężczyznę. W ręce trzymał jej pustą torbę, nogą przydepnął łańcuch.

Sokołów.

Podniósł z podłogi koniec łańcucha, a drugą ręką wyjął telefon komórkowy i odbył z niego jednowyrazową rozmowę.

Wrócili do damskiej toalety, gdzie łańcuch został oddzielony od Sokołowa, wprowadzony do przestrzeni nad podwieszanym sufitem i tam przypięty kłódką do żeliwnej rury o średnicy sześciu cali.

* * *

Richard stał w gotyckiej sali z drewnianym sklepieniem w wybudowanym na wyspie Man zamku z czerwonego piaskowca i słuchał, jak herold DeKwadrata obwieszcza jego przybycie w języku, który z brzmienia dziwnie przypominał francuski.

Znowu przybył z niezapowiedzianą wizytą (i herold właśnie próbował to naprawić). Tym razem element zaskoczenia wynikał z zatoru w e-mailowym kanale komunikacyjnym DeKwadrata. Don Donald używał e-maila w Cambridge oraz w podróży, zabronił natomiast korzystania z Internetu w zamku; kazał nawet zainstalować w gołębniku zagłuszacz sygnału telefonii komórkowej. Przyjeżdżał do zamku czytać, pisać, pić, jeść i rozmawiać, których to czynności nie usprawniają żadne urządzenia elektroniczne. Problem polegał na tym, że znaczna część jego dochodów pochodziła z *T'Rainu*, i chociaż sam nie grał (jak twierdził,

sama idea gry w *T'Rain* napawała go przerażeniem), nie mógł prowadzić interesów, nie komunikując się regularnie z pracownikami Korporacji 9592.

Richard, który kiedyś, dawno temu, przeczytał poświęcone DeKwadratowi hasło w Wikipedii, wiedział, że don Donald jest grafem, arcyksięciem czy kimś w tym rodzaju. Zamek nie był jednak jego siedzibą rodową - DeKwadrat najwyczejniej w świecie go kupił. Za gotówkę. Na początku jego pracownicy korzystali z przyczepy kempingowej zaparkowanej przy południowym bastionie i pełniące rolę ruchomego biura dla remontujących zamek budowlańców. Przyczepa była wyposażona w łącze internetowe i drukarkę laserową, na której w formacie A4 drukowano e-maile zasługujące na uwagę pana na zamku, dostarczane mu następnie w skórzanej aktówce do donżonu. Z czasem biały papier został zastąpiony pseudopergaminem jasnobrązowej barwy. Była to po prostu kwestia smaku: współczesny papier, kłujący w oczy swoim dziewięćdziesięciopięcioprocentowym albedo, kompletnie nie pasował do wizerunku, który z wolna kształtował się w obrębie zamkowych murów. Z tego samego powodu bezszeryfowe kroje pisma zostały wyparte przez inne, niby-stare. Jednakże taki erudyta jak don Donald nie dałby się nabrać na udającą odręczne pismo czcionkę wybraną przez sekretarkę z kilometrowego menu w Wordzie. Zresztą styl i treść wiadomości z Seattle drażniły DeKwadrata nie mniej niż papier, na którym je drukowano. Jak na mediewistę przystało, bardzo lubił średniowieczny nastrój, ba, potrzebował go, jeśli w ogóle chciał pisać. Siedząc w swojej wieży, z której „w pogodny dzień roztacza się widok na zachód aż po Donaghadee i na północ do Cairngaan”, i pisząc gęsim piórem przy tysiuletnim biurku, osiągał stan przepływu, w którym wydajnością dorównywał mu tylko Devin Skraelin. Nagła konfrontacja z drukowanym e-mailem, w którym dwudziestoczterolatek z Seattle z kolczykiem w nosie donosi mu, że „wiesz, stary, jest tu mała kicha, bośmy właśnie zajarzyli, że rozdział 27 nie klei się z demografią z rozdziału 16”, oględnie mówiąc, nie sprzyjała postępom w pracy. Trzeba więc było obmyślić taki sposób komunikowania się z DeKwadratem, który nie zakłócałby pożądaney atmosfery.

Na szczęście, DeKwadrat zgromadził wokół siebie (w sposób niezamierzony) koterię złożoną z ludzi, których można było nazwać - w zależności od punktu widzenia - pieczeniarczami, pacholkami, dzikimi lokatorami, pasożytami lub akolitami. Pochodzili z różnych środowisk, byli w różnym wieku, ale łączyła ich fascynacja wszystkim, co średniowieczne. Byli wśród nich zarówno robotnicy-samoucy wspinający się po drabinie hierarchii Towarzystwa Twórczego Anachronizmu, jak i biegli w wymarłych dialektach posiadacze kilku doktoratów. Zaczęli się pojawiać na progu - a właściwie przy bramie - domu DeKwadrata, gdy rozeszła się wieść, że właściciel zamierza udostępnić część zamku

miłośnikom odtwarzania przeszłości, żeby w ten sposób wygenerować pewne przychody, które pomogłyby uchronić zamek przed subtelnymi, lecz niszczycielskimi skutkami zapuszczenia. Z początku zamierzał oddzielić część mieszkalną zamku od części odtworzeniowej czymś na kształt ściany ogniotrwałej, z biegiem lat przekonał się jednak, że (po odsianiu pijaczków i czubów) ludzie gotowi prowadzić średniowieczny styl życia w trybie 24/7 są dla niego idealnym towarzystwem.

Łatwo było drwić z DeKwadrata i jego średniowiecznej ekipy, i Richard często odczuwał taką pokusę, ale musiał przyznać, że trafiali się wśród nich ludzie poważniejsi, pracowitsi i bardziej kompetentni od wszystkich współpracowników, z którymi miał do czynienia w scenerii XXI wieku. Odbył z nimi wiele przyjemnych rozmów przy miodzie i piwie (syconym i warzonym na miejscu, rzecz jasna) i w końcu dał się przekonać, że świat średniowieczny nie był wcale gorszy ani bardziej prymitywny od współczesnego, lecz po prostu inny.

Rurociąg e-mailowy działał obecnie następująco: w Douglas, głównym mieście wyspy Man, dziewczyna jednego z mediewistów, która miała tam mieszkanie („muszę powiedzieć, że jednak wolę tampony”), czytała napływające do DeKwadrata e-maile, odrzucała oczywiste śmieci, drukowała wszystko, co wydało się jej ważne, i pakowała do nieprzemakalnej torby kurierskiej. Spacerując z psem, szła nadmorską promenadą do jej północnego końca, do maleńkiej stacyjki kolejki wąskotorowej, gdzie oddawała torbę zawiadowcy, a ten później przekazywał ją konduktorowi elektrycznego pociągu, który krętym torem podążał w głąb wyspy. W ustalonym punkcie trasy konduktor wyrzucał torbę przez okno na bocznice, skąd odbierał ją łowczy DeKwadrata, zanosił na wzgórze i kładł na biurku nadwornego trubadura. Ten tłumaczył e-mail na średniowieczny prowansalski, a następnie recytował go lub śpiewał spożywającemu posiłek DeKwadratowi. Pan na zamku dyktował następnie odpowiedź, która pokonywała odwrotną drogę do dziewczyny mediewisty, jej laptopa i Internetu.

Niedorzeczne? Owszem. Wykonane z kamienną twarzą? W żadnym wypadku. Richard, który parokrotnie jadł obiad z DeKwadratem, widział po reakcjach obecnych przy tym ludzi (przynajmniej tych znających prowansalski), że teksty trubadura musiały być przezabawne. Najczęściej kpił z fauny zamieszkującej amerykańskie biura, myślącej PowerPointem i używającej kciuków podczas pisania na klawiaturze. Od tamtej pory Richard starał się formułować korespondencję do DeKwadrata w sposób nie pozostawiający wątpliwości, że rozumie dowcip.

E-mail, w którym zapowiedział swoje przybycie na wyspę Man, nie został jeszcze przetłumaczony, ale don Donald przyjmował niezapowiedzianych gości znacznie chętniej niż

Szkieletor - był to w końcu świat średniowieczny, komunikacja na odległość szwankowała i większość wizyt była z konieczności niezapowiedziana. Dopóki goście nie przynosili halabard ani dzumy, wszystko było w porządku. W zamku miejsca nie brakowało, a że wyposażony był dodatkowo w bufor bezpieczeństwa (czyli ludzi wcielających się w role służących), Richard z Plutonem mieli zapewnione wszelkie średniowieczne wygody w oczekiwaniu chwili, gdy wieść o ich przybyciu przesączy się do donżonu. Kiedy DeKwadrat zszedł po krętych, niebezpiecznych, wiekowych schodach do jadalni, by tam spożyć posiłek, Richard z Plutonem zostali zapowiedzeni (dwornie i nieco pompatycznie) przez nadwornego herolda - a ściślej rzecz biorąc, przez mężczyznę, który z powodu braków kadrowych odgrywał w zamku wedle potrzeby role „herolda”, „piwowara” i „trzeciego opoja”.

* * *

- Może się okazać, że konieczne będzie nadanie szczególnych mocy Koalicji Szarości - zagaił Richard.

Don Donald rozsiadł się wygodniej i zaczął majstrować przy fajce. Kiedy Richard był mały, wszyscy mężczyźni palili fajki; obecnie, wedle jego rozeznania, DeKwadrat pozostał jedynym fajczarzem na świecie.

- Po to, żeby nie zostali wybici do nogi.

- Właśnie.

- Jak zrobić coś takiego - spytał DeKwadrat, przygryzając fajkę i zmrużonymi oczami wpatrując się w jakiś punkt ponad prawym ramieniem Richarda - nie legitymizując przy tym tendencyjnej dyferencji?

- To było po prowansalsku? Bo muszę ci powiedzieć, że mój *jetlag* w połączeniu z tym fenomenalnym bordo...

- W świecie gry nie ma absolutnie żadnych podstaw do wydarzeń, które zaszły w nim przez ostatnie cztery miesiące. Straże miejskie, armie, bandy rabusiów - wszystko nagle, bez ostrzeżenia, rozpękało się na dwie wrogie frakcje i sztylety poszły w ruch. Głównie z jednej strony, bo, jeśli wierzyć doniesieniom, które do mnie dotarły, znaczna część istot tworzących tę tak zwaną Koalicję Szarości zgoła niespodziewanie wylądowała w Otchłani z kolorowymi nożami w plecach.

- Nie ulega wątpliwości, że była to starannie zaplanowana operacja - zgodził się Richard. - Trochę w stylu Pearl Harbor.

- Wielu waszych klientów świetnie się przy tym bawi. Byczo. Niemniej jednak cała sytuacja jest wielce problematyczna, ponieważ to niezwykle rozbitcie społeczeństwa nie zostało w żaden sposób uzasadnione, przewidziane ani nawet zasugerowane w żadnym

elemencie Kanonu tworzonego przez pana Skraelina, mnie i innych pisarzy. - Duma DeKwadrata została urażona i nie zamierzał się z tym kryć. - Moim zdaniem powinniście po prostu cofnąć czas. To było zwykłe włamanie, prawda? Tak jakby ktoś włamał się na waszą stronę internetową i upstrzył ją dziecinnymi bazgrołami. Po czymś takim nie zostawilibyście przecież tych wandalskich treści w Internecie, tylko je usunęli i działali dalej normalnie.

- Za daleko to zaszło. Od wybuchu rewojny zarejestrowało się ćwierć miliona nowych użytkowników, którzy nie znają świata sprzed wojny. Cofnięcie czasu oznaczałoby unicestwienie ich postaci.

- I dlatego chcesz kciukiem przeważyć szale losu. Wspomóc tych, którym kibicujesz. Jak Atena Diomedesa.

Richard wzruszył ramionami.

- To tylko luźny pomysł. Nie zamierzam ci robić wykładu *ex cathedra*. Powinniśmy współpracować.

- Zmierzam tylko do tego, że, wspomagając Koalicję Szarości, potwierdzasz, choć nie wprost, jej istnienie. Legitymizujesz wprowadzone przez żartownisiów niedorzeczne rozróżnienie.

- To narosło jak fala. Zachowanie stadne na niespotykaną skalę. Przejście fazowe.

- Bez szacunku dla spójności świata.

- Musimy być szybsi od tamtych, to jedyne wyjście. Uprzedzać ich ruchy. Zaskoczyć ich spokojem i zdolnością adaptacji. Sprawić im przyjemność, włączając ich twórczość do Kanonu. Pokazać im, że mamy jaja.

- Nie dajesz mi wyboru. Jak mógłbym w takiej sytuacji odmówić?

- Przepraszam za niefortunny dobór słów, naprawdę nie chciałem zapędzić cię w kozi róg. Po prostu wierzę, że kiedy się zastanowisz, wymyślisz coś, z czego będziesz zadowolony.

Wyglądało na to, że don Donald się zastanawia.

- W przeciwnym razie *T'Rain* wpadnie w korkociąg. Jak samolot z odstrzelonym usterzeniem.

- Aha. Więc mam być brzechwą.

Richard rozłożył ręce.

- Tak się nazywa stabilizator na drzewcu strzały - wyjaśnił DeKwadrat. - Nawiasem mówiąc, jest zrobiony z piór, takich samych jak...

- Jak te, którymi dawniej pisano.

- Niby wlecze się na końcu...

- Ale tak naprawdę kieruje lotem grotu. Celne. Jesteś może pisarzem?

DeKwadrat parsknął wymuszonym śmiechem.

- O to im właśnie chodzi - mówił dalej Richard. - Choć na początku tego nie chcieli. Ekscytowało ich, że działają na własną rękę, sami piszą swoją historię.

- Mówisz o graczach.

- Tak. To było widać na czatach i w ogóle w sieci, ale trend się zmienił. Zaczynają mówić, że potrzebują przewodnika. Chcą, żeby świat *T'Rainu* znów miał sens.

Don Donald, któremu właśnie coś przyszło do głowy, wycelował w Richarda ustnik fajki.

- Po jakiemu porozumiewają się na czacie? Po angielsku? Wszyscy?

- Czemu pytasz?

- Chciałbym wiedzieć, kim są pomysłodawcy. Podżegacze. Prowodyrzy. To Azjaci?

- To częste nieporozumienie: że Azjatów, którzy gorzej mówią po angielsku i słabiej orientują się w europejskiej mitologii, nie kręcą historie i postaci, o których piszecie, za to pociągają ich jaskrawe kolory. - Richard pokręcił głową. - Analizowaliśmy to do upadłego: ten stereotyp nie ma żadnego uzasadnienia. Nikt nie darzy BUS-u takim szacunkiem, żeby nie powiedzieć nabożną czcią, jak Chińczycy z tym ich konfucjańskim myśleniem. Oraz Japończycy.

- Jakiego busu?

- Przepraszam. Brązowej Ususzonej Substancji.

- To następny z tych waszych wewnętrznych akronimów?

- Nazwa działu. Kiedy wejdiesz do świata gry... Wiem, że nigdy tego nie robisz, ale kiedy dojdiesz, powiedzmy, do chaty Galdoromina Pustelnika na końcu Ścieżki Zagłady, pokonasz jego dwugłowego wilka, wejdiesz do środka i się rozejrzysz, wszystko, co zobaczysz na ścianach, to właśnie BUS. - Richard postanowił nie informować DeKwadrata, że inspiracją dla wystroju chaty Galdoromina były wnętrza *T.G.I. Friday's* w Issaquah. - Wstępne projektowanie odbywa się w Seattle, ale modelowanie detali to już robota Chińczyków. Nawiasem mówiąc, spisali się na medal.

Ponieważ don Donald wyraźnie się zastanawiał, Richard postanowił się dla odmiany przymknąć. Dopił piwo i wyszedł do garderoby, skąd jednak zaraz wrócił z nowym pomysłem:

- Kiedy się zdrzemnąłem w samolocie, przyplątało się do mnie takie zdanie: „Wszyscy zostaliśmy wyrolowani!”. Nieźle oddaje moje uczucia wobec rewojny. Ale później sobie pomyślałem, że przecież można by odwrócić sytuację i włożyć to samo zdanie w usta ludzi,

którzy najbardziej działają nam na nerwy.

DeKwadrat, siedzący bokiem do Richarda, z fajką opartą o spoczywający na stole łokieć, odwrócił głowę i spojrzał mu w oczy. Unieruchomiona w zgięciu łokcia fajka ani drgnęła; można było odnieść wrażenie, że DeKwadrata obowiązują kreskówkowe prawa fizyki.

- Wystrychnąć ich na dudka, tak?

- Wymyślić jakąś fabularną bajeczkę, że niby wszyscy dali się namówić do niewybaczalnego aktu zdrady złotoustym cwaniaczkom, którzy później okazali się kimś innym, niż się z początku wydawało.

- A niebieskie włosy?

- Wiem, trzeba by to trochę doszlifować, ale idea z grubsza jest taka, że uczestnikom spisku kazano nosić jaskrawe stroje i kolorowe ozdoby, żeby łatwo było rozróżnić, kto jest kim.

- „Wszyscy zostaliśmy wyrolowani!” - powtórzył don. - Nie masz wrażenia, że w ustach ludzi, za którymi nie przepadamy, będzie to załatywało syndromem kwaśnych winogron?

- To też wymaga doszlifowania.

- A jakie to nadzwyczajne moce byłbyś skłonny złożyć w ręce... uwierz mi, Richardzie, cierpię, wypowiadając te słowa... Koalicji Szarości?

- Pełna odpowiedź na to pytanie byłaby nieznośnie techniczna, bo mechanizm gry jest niezwykle skomplikowany. Jeśli jednak chcemy działać dyskretnie, istnieje wiele sposobów na to, żeby, jak to ująłeś, przeważyć kciukiem szale losu. Chociaż równie dobrze możemy zadziałać w sposób oczywisty i powołać się na jakieś nowe bóstwo albo nieznanym wcześniej głęboko utajony aspekt historii świata.

- Który trzeba by dopisać.

- Który trzeba by dopisać.

DZIEŃ 4

Efekt ubocznym przykucia Zuli do rury w toalecie było wyłączenie jej z obiegu informacji. Nie miała pojęcia, co się dzieje. Zjadła przydziałowe racje wojskowe, zadziwiająco dobrze przespała noc i obudziła się w doskonałym humorze. Jej sytuacja nijak się nie poprawiła, ale ona przynajmniej próbowała ją zmienić. Słyszała ruch przy windach, ludzie przychodzili i wychodzili. W łazience nie było okien, a ona nie miała ani telefonu, ani nawet zegarka, nie wiedziała więc, która jest godzina.

Wczoraj udało jej się zgarnąć do kieszeni długopis. Teraz napisała na ręczniku papierowym list do rodziny, zwinęła go w rulon i wetknęła w rozkręcony dzień wcześniej odpływ. Może hydraulik, który przyjdzie naprawić rury, znajdzie go, pokaże szefowi, aż w końcu list trafi do kogoś, kto zna angielski. Taką miała nadzieję. Czowała dumę, myśląc o tym liście, nie był bowiem pozbawiony humoru.

Sokołow zapukał jeden raz, wszedł do łazienki i przywitał się z Zulą. Zdjął jej łańcuch z kostki i wyprowadził ją na zewnątrz.

- Wyjeżdżasz na zawsze - poinformował ją. - Weź rzeczy.

Zjechali windą na parter i przez główne drzwi wyszli na podjazd przed budynkiem - zamaszystą podkowę, częściowo osłoniętą markizą, gdzie czekał już na nich mikrobus z zapuszczonym silnikiem i otwartymi na oścież tylnymi drzwiami, przy których stało czterech konsultantów w kretyńskich kapeluszach; jedni palili papierosy, inni grzebali w stercie zapakowanych na tył wozu przenośnych lodówek i futerałów na wędkę. Jak zwykle przyglądał im się tysiąc Chińczyków (oraz bliżej nieznana liczba kamer), ale wszyscy ci ludzie - miłośnicy tężyzny fizycznej ćwiczący tai-chi w cieniu drzew, uczennice w mundurkach wylewające się tłumnie z przystani promowych, taksówkarze nudzący się na pobliskim placu, sparowani funkcjonariusze BBP, wózkarze i budowlańcy schodzący się do pracy przy wykańczaniu wieżowca - obrzucali mikrobus tylko przelotnym spojrzeniem i dochodzili do wniosku, że zwariowani cudzoziemcy po prostu wybierają się na ryby.

Peter z Csongorem siedzieli z tyłu. Qian Yuxia prowadziła. Obok niej siedział Iwanow, zagadując ją w tym samym uroczym stylu, którego próbkę dał wcześniej w Seattle, w mieszkaniu Petera. Rozmawiali o *gaoshan cha*, herbacie z wysokich gór. Iwanow zamierzał rozprowadzać ją w Rosji, gdzie, jak twierdził, z pewnością cieszyłaby się wielkim wzięciem.

- Dzień dobry, moja dziewczyno - przywitała Zulę Qian Yuxia. - Gotowa łapać przygłupów?

Zula skinęła jej głową. Zastanawiała się przez moment, co takiego mogłaby powiedzieć Yuxii, żeby ta wrzuciła bieg i wcisnęła gaz do dechy. Zostawiliby konsultantów daleko z tyłu, ale nadal mieliby na głowie Iwanowa, który z pewnością był uzbrojony. Nic by im to nie dało - chyba że Yuxii wystarczyłoby zimnej krwi, żeby pojechać prosto na posterunek BBP i staranować bramę.

- Mamy sporo do pogadania - powiedział Peter, patrząc krzywo na Zulę.

- Co ona tu robi, do cholery? - spytała Zula Csongora.

- Do tej akcji potrzebowali mikrobusu - odparł Węgier. - Kiedy Iwanow dowiedział się o Yuxii, powiedział „Nada się doskonale, daj mi jej numer telefonu”, a potem zadzwonił i ją namówił.

- Okej... - odparła Zula, nie tyle w sensie „w porządku”, co raczej „rozumiem, jakie to straszne”. Miała nieprzyjemne wrażenie, że wskutek uwięzienia w toalecie bardzo dużo ją ominęło. - Ale wczoraj... Co się wczoraj stało?

- Sokołow wpakował cię do taksówki przed *wangba*, a Yuxii powiedział, że musi teraz kupić lodówki. Poszli do sklepu... - Csongor zawiesił głos. Może zastanawiał się, jak dyplomatycznie powiedzieć to, co ma do powiedzenia. - Chyba wracał z zakupów, kiedy wpadł na ciebie.

- To ja wpadłam na niego, ale mów dalej.

- Co to w ogóle był za pomysł? - wtrącił się Peter. - Przez ciebie mogliśmy zginąć!

W tym momencie coś się wydarzyło: Csongor skręcił swój baryłkowaty tułów w stronę Zuli i pochylił się, żeby spojrzeć na Petera. Jedną ręką zaparł się o fotel z przodu, a drugą oparł na zagłówku siedzenia Zuli, nie dotykając jej, ale i tak prawie ją obejmując. Wbił w Petera spojrzenie, którego Zula by się przestraszyła, gdyby zostało wymierzone przeciwko niej. Głowa Csongora wydała się jej wielka jak piłka do kosza, a jego oczy - szeroko otwarte i niemrugające - mierzyły w twarz Petera jak przypięte do niej stalowymi drucikami.

- Zula wzięła się w garść - powiedział. - Taki to był pomysł.

- Ale Rosjanie... - zająknął się Peter, wstrząśnięty niespodziewaną przemianą Csongora.

- Rosjanie byli zachwyceni - odparł beznamiętnie Węgier i zwrócił się do Zuli: - Gadali o tobie przez pół wieczoru. Mogę cię zapewnić, że nie żywią do ciebie urazy. Ja zresztą też nie.

- A on? - Peter wskazał Iwanowa. - To jego uczuciami powinniśmy się przejmować.

- To chyba nie jest dobry...

Siedząca w środku Zula uniosła ręce i powtórzyła swój gest ze zderzaniem pięści.

- Możemy się cofnąć do *wangba*? Bo ja nadal nic nie wiem.

- Dobrze - zgodził się Csongor. - Pozostali Rosjanie przyszli do mnie na górę, żeby mieć oko na tych chłopaków grających w *T'Rain*. Sześć godzin tak siedzieliśmy. Było widać, że jeden tam rządzi: taki wysoki, trochę starszy od reszty, w bluzie Manu.

- Że co?

- Manu Ginobili - wyjaśnił Peter, zły na Zulę, że nie skojarzyła. - Gra w Spurs.

- Manu, bo tak go ochrzciliśmy, sam nie grał w *T'Rain*. Nie angażował się emocjonalnie, tylko na spokojnie obserwował sytuację, cały czas gadał przez telefon i dyrygował kolegami: mówił im, gdzie mają iść i co robić. W końcu jeden z nich - Csongor ruchem podbródka wskazał jednego z rosyjskich konsultantów - zszedł na ulicę i zaczął łapać taksówki, aż trafił na taką, której kierowca mówił trochę po angielsku. Rosjanin wręczył mu plik banknotów i powiedział „Będą twoje, jeśli mi pomożesz”. Wy tłumaczył kierowcy, że siedzimy na piętrze i będziemy tak siedzieć może nawet do rana, ale kiedy w końcu chłopak w bluzie Manu wyjdzie, ma go śledzić.

- Nigdy w życiu nie słyszałam o Manu Ginobili - poskarżyła się Zula. - Czy to naprawdę jest aż tak oczywiste kulturowo...

- Tak - odpowiedzieli Peter i Csongor unisono.

- Minęło jeszcze parę godzin, zanim Manu w końcu wyszedł z *wangba* - mówił dalej Csongor. - Taksówkarz z Rosjaninem pojechali za nim z pół mili, do jednej z tych starych dzielnic. Manu wszedł do jednego z domów. Rosjanin w taksówce czekał na niego jeszcze dwie godziny, ale Manu już nie wyszedł. Za to później widzieliśmy go na dachu, jak z chłopakami rzucali do kosza.

- Mają na dachu boisko do koszykówki?!

- Nie boisko - fuknął Peter, dla którego było to kolejne niedorzeczne pytanie. - Samą obręcz z koszem. Widać ją było z naszej kryjówki, z góry.

- Serio?

- Serio. W linii prostej to pół mili stąd.

- Widzieliśmy Manu jak na dłoni. Pół nocy obserwowaliśmy go przez lornetkę - dodał Csongor.

- Co to za budynek? Biurowiec? Blok mieszkalny?

- Blok.

- Rudera - wtrącił Peter. - Połowa mieszkań jest pusta.

- Jakim cudem są w tym mieście jakieś puste mieszkania?

- Przecznicę dalej jest plac budowy - wyjaśnił Csongor. - W ogóle dużo się tam buduje. Podejrzewam, że najdalej za rok ten blok i wszystkie wokół niego zostaną wyburzone.

- Taksówkarz na widok takiej kupy szmalu zrobił się bardzo pomocny - dodał Peter. - Wsiadł na papierosa i pogadał z mieszkańcami, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o tym bloku.

- I co?

- Jest obskurny i podejrzany. Właściciel nie może liczyć na długoterminowych najemców, jeśli lada chwila mają mu wyburzyć dom, ale ponieważ nie lubi, kiedy pieniądze się marnują, wynajmuje mieszkania z miesiąca na miesiąc każdemu chętnemu. Za gotówkę, bez zbędnych pytań.

- Zaczynam rozumieć.

- Dlatego ma tam, na przykład, najemców zagranicznych - powiedział Csongor.

- Filipińczyków?

- Nie. - Csongor parsknął śmiechem. - To cudzoziemcy wewnątrzni.

- A co to za jedni?

- Chińczycy, którzy przyjechali z tak odległych miejsc w Chinach, i tak innych od Xiamen, że równie dobrze mogliby pochodzić z innego kraju.

- Imigracja ekonomiczna - wtrącił Peter. - Tacy tutejsi Meksykanie.

- Rozumiem - powiedziała Zula. - Ale Manu do nich nie należy.

- Manu z kumplami zajmują jedno z mieszkań - odparł Peter. - Nie wiemy które. Zainstalowali sobie na dachu obręcz do kosza. Chodzą tam, żeby posiedzieć, napić się piwa, zapalić... I tak do rana.

- Z laptopami! - dodał Csongor, kręcąc z niedowierzaniem głową.

- To prawda, nawet o drugiej w nocy mieli włączone laptopy. Biuro, takie prawdziwe, mają gdzieś niżej, ale ewidentnie zainstalowali sobie wi-fi.

- Czyli domyślamy się, że jeden z nich jest trollem. - Zula próbowała zebrać nowo zdobyte informacje w całość. - Albo są nim wszyscy razem. W tym mieszkaniu jest centrala, z której kierują REAMDE. Mają kłopot z rabusiami, napadającymi ich ofiary, kiedy te przynoszą okup na skrzyżowanie linii geomantycznych, więc opłacają młodziaków, którzy całymi dniami przesiadują w *wangba* i polują na rabusiów. Manu bywa w *wangba*, żeby patrzeć im na ręce, ale przez cały czas pozostaje w kontakcie telefonicznym z mieszkaniem.

- Pięć minut po wyjściu Manu z *wangba* jego miejsce zajął inny gość, który przyszedł

tam z piłką do kosza - uzupełnił Csongor.

- Zabójcy rabusiów pracują na zmiany przez całą dobę - przetłumaczyła Zula.

Od dłuższej chwili kolejni konsultanci zajmowali miejsca w mikrobusie. Zabrakło foteli, więc jeden z Rosjan wklinał się z przodu między fotel kierowcy i pasażera. Sokołow wszedł ostatni, zatrzasnął tylne drzwi i zajął uprzednio zarezerwowane miejsce.

- Wszyscy gotowi?! - zawołała Yuxia głosem, który bez trudu przeniknął aż do ostatniego rzędu foteli.

Odpowiedź była przytłumiona, ale twierdząca.

Iwanow spojrział na konsultanta wtłoczonego między niego i kierowcę. Porozumieli się skinieniami głowy i Iwanow lewą ręką złapał za prawą rękę Yuxii, unieruchamiając ją na kierownicy. W tej samej chwili konsultant zamknął na nadgarstku Yuxii kajdanki, których drugi koniec zatrzasnął na kierownicy.

Iwanow cofnął dłoń.

- Co to, kurwa?! - Yuxia szarpnęła ręką, badając wytrzymałość kajdanek. Jeszcze nie wierzyła, że to się dzieje naprawdę.

- To jest dla twojego dobra - wyjaśnił Iwanow.

- Mojego dobra?!

- Kiedy BBP zrobi śledztwo, oni zobaczą kajdanki i oni zrozumieją, że ty nie miałaś wyboru. Ty będziesz niewinna.

- Niewinna łowienia ryb?!

Iwanow odchylił połą marynarki, odsłaniając broń w kaburze pod pachą.

- Polowanie - wyjaśnił.

Pstryknął palcami i Sokołow podał mu mapę, chyba wydrukowaną z Google. Przedstawiała satelitarne zdjęcie Xiamen z naniesionymi nazwami ulic.

- Zula! - zawołała Yuxia. - Co się dzieje, moja dziewczyno?!

- Porwali mnie - odparła Zula. - Wczoraj próbowałam uciec, żeby cię ostrzec, ale mnie złapali. Przepraszam, że cię w to wciągnęłam.

W nocy obiecała sobie, że więcej nie będzie płakać, ale teraz łzy same napłynęły jej do oczu.

Yuxia zauważyła to w lusterku wstecznym.

- Ja cię wypierdolę, ty skurwysynu! - obiecała Iwanowowi.

- Może kiedy indziej - odparł cierpko.

- Takie gadanie nie pomoże, wielkstopa - wtrąciła Zula.

- Teraz my jedziemy - oznajmił Iwanow. - Na zakończenie dnia wszyscy będą cali i

zdrowi, poza trollem.

Sięgnął w bok, wrzucił bieg i spojrział wyczekująco na Yuxię.

- Kto to jest troll? - spytała zgaszonym tonem Yuxia.

Dodała gazu i wyprowadziła wóz na nadmorską obwodnicę.

Kiedy ruszyli w drogę do odległego zaledwie o pół mili celu, Zuli przyszło do głowy bardzo podstawowe pytanie:

- Po co nas ze sobą zabierają? Ktoś wie?

- W tym bloku jest około osiemdziesięciu mieszkań - powiedział Peter. - Niektóre są puste, ale nie wszystkie, a oni nie wiedzą, gdzie mieszka troll. Nie mogą tak po prostu wykopać drzwi do wszystkich osiemdziesięciu, bo ktoś by na pewno wezwał gliny.

- To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

- Wmówili sobie, że kiedy wpuszczą nas troje do środka, ustalimy, gdzie jest troll - wyjaśnił Csongor.

- Skąd ten pomysł?

- My jesteśmy hakerami, a oni widzieli dużo filmów.

* * *

Przejazd zajął im sporo czasu; piechotą byłoby szybciej. Sokołow od czasu do czasu łączył się z kimś przez krótkofalówkę, która musiała chyba być szczytowym osiągnięciem myśli techniczno-kryptograficznej, bo inaczej, pomyślała Zula, dawno mieliby BBP na karku. Ponieważ dwóch Rosjan brakowało w mikrobusie, domyśliła się, że Sokołow wysłał ich na rekonesans.

Csongor, który nieźle znał rosyjski, na bieżąco tłumaczył te rozmowy.

- Wysłał tam dwóch ludzi jeszcze w nocy. Znaleźli drogę do środka. Zaszyli się w nieużywanej piwnicy, do której jest wejście od tyłu. Tam właśnie jedziemy.

Yuxia, posłuszna poleceniom Sokołowa, skręciła w zaułek tak wąski, że trzeba było złożyć oba zewnętrzne lusterka, a miejscowi w pośpiechu zabierali sprzed drzwi klatki z drobiem i wielkie płaskie kosze pełne zielonej herbaty. Po kilku minutach mozolnej, niełatwej jazdy dotarli do miejsca, w którym w prawo odchodził wąziuteńki zaułek, nie szerszy niż drzwi do domu. Rosjanin na drugim końcu krótkofalówkowego połączenia wykrzyknął jedno słowo.

- Stać - rozkazał Sokołow.

Otworzyły się prawe drzwi mikrobusu, Rosjanie gęsiego wysiedli i utworzyli ludzki łańcuch w zaułku. Peter wyciągał zza foteli lodówki turystyczne i inne gadzety i podawał Sokołowowi, który rzucał je po kolei najbliższemu stojącemu ze swoich ludzi, ten odrzucał

następnemu, i tym sposobem cały sprzęt został dostarczony do budynku. Samo ginące w półmroku wejście było słabo widoczne, ale znajdowało się w odległości dwudziestu, może trzydziestu stóp od mikrobusu, po lewej stronie zaułka.

Zula przez ten czas kręciła się na fotelu, wyglądała przez okna i usiłowała zorientować się w topografii okolicy. Jeżeli zaułek z prawej strony prowadził do tylnego wejścia do bloku, to ulica, którą przyjechali, musiała przylegać do bocznej ściany budynku i w tej chwili stali przy jego tylnym narożniku. Na parterze znajdowały się obszerne otwarte przestrzenie, odgródzone od ulicy brudnymi stalowymi roletami. Zwieszały się nad nimi metalowe markizy, dziurawe od rdzy, ale i tak zasłaniające większość nieba nad zaułkiem i uniemożliwiające Zuli dostrzeżenie górnych pięter.

Przez przednią szybę widziała odległe o pięćdziesiąt stóp skrzyżowanie, gdzie zaułek przecinała szersza uliczka, tradycyjnie zatłoczona pieszymi i rowerzystami. Wydawało się, że należy do jakiejś lepiej oświetlonej części wszechświata, najprawdopodobniej dlatego, że - jak domyśliła się Zula - po jej drugiej stronie znajdował się plac budowy: widoczny w prześwicie budynek okrywały rusztowania i płachty niebieskiego brezentu, a dalej w tkance miejskiej ziała wyrwa, w której dopiero powstawała jakaś nowa arkologia.

To było wszystko, co zdążyła zobaczyć, zanim Sokołow dał „hakerom” do zrozumienia, że teraz mogą się wykazać. Csongor, Zula i Peter wygramolili się po złożonym fotelu przed nimi i wysiedli z wozu. Sokołow zamknął boczne drzwi mikrobusu i we czworo ruszyli zaułkiem w stronę wejścia do budynku. Yuxia - zapewne posłuszna rozkazowi Iwanowa, który nadal siedział obok niej - ruszyła i mikrobus zniknął im z oczu.

W zaułku wynikła tymczasem jakaś drobna kontrowersja: wychylona z okna na piętrze starsza pani obrzucała Rosjan obelgami. W sercu Zuli zatliła się nadzieja, że może Chinka zadzwoni do BBP. Sokołow spojrzał na hałaśliwą kobietę, wyjął ze swojej torby półcalowej grubości plik banknotów, pokazał go jej (na jego widok natychmiast ucichła) i rzucił nim w jej stronę. Plik śmignął obok niej przez okno i z głuchym uderzeniem zderzył się z czymś we wnętrzu mieszkania. Kobieta schowała głowę i zamknęła okno. Sokołow nawet nie zwolnił kroku.

Krótkimi schodami zeszli do korytarza w piwnicy oświetlonego paroma gołymi żarówkami. Konsultanci do spraw bezpieczeństwa wskazali im na migi drogę w głąb korytarza, gdzie po dwudziestu stopach otwierał się pokój zalany szarosiwą naturalną poświatą sączącą się przez dwa umieszczone na poziomie gruntu brudne okienka. Zula domyślała się, że pomieszczenie przylega do głównej klatki schodowej. Było oczywiste, że budynek zbudowano wokół centralnego trzonu zawierającego nie tylko schody, ale także inne

rzeczy, które musiały przebiegać w pionie: rury do wody, kanalizację, przewody elektryczne - dlatego w pomieszczeniu roilo się od rurek, zaworów, liczników, poplątanych kabli i tablic z bezpiecznikami. Nigdzie nie było widać okablowania do Internetu (prawdę mówiąc, nie było widać żadnych wytworów techniki z okresu po drugiej wojnie światowej), co samo w sobie nie było może dziwne, ale rodziło pytanie: w jaki sposób goście od REAMDE zapewnili sobie łączność z siecią? Biorąc jednak pod uwagę fakt, że wszystkie budynki w Chinach są połączone prowizoryczną siecią kabli i drutów, należało się domyślać, że po prostu kradną sygnał od sąsiadów.

- Możemy wejść na dach? - spytał Peter.

Zwiadowca wyszedł na dach i przez krótkofalówkę zameldował, że chwilowo nie ma tam nikogo z ekipy REAMDE. Peter i Zula, w towarzystwie Sokołowa, pokonali więc sześć kondygnacji po schodach. Wyjścia na dach strzegły drzwi, ale zamek w nich został wyłamany.

Na wyposażenie Tarasu Trolla składało się kilka robionych na wtryskarce plastikowych krzeseł, zardzewiały składany stolik, obręcz kosza do koszykówki zainstalowana na rusztowaniu z części hydraulicznych, serwis do herbaty, plastikowa miska wypełniona kolorowymi pisemkami o NBA, oraz przedłużacz, który ciągnął się przez cały dach i schodził w głąb klatki schodowej, gdzie był podpięty do oprawki lampy.

Z tej samej oprawki tani dwużyłowy przewód prowadził na dach stojącego u szczytu schodów małego domku, gdzie zniknął pod dociążonym cegłą plastikowym kubłem. Spod kubła wychodził również niebieski przewód ethernetowy.

Sokołow podsadził Petera, który wygramolił się na dach domku, zdjął cegłówkę i, odchyliwszy kubek, odsłonił router wi-fi z wesoło mrugającymi zielonymi diodami.

Niebieski przewód ethernetowy prowadził w stronę frontowej ściany domu, gdzie zniknął w odpływie u stóp wysokiego na metr murku zabezpieczającego. Zula poszła za nim, wychyliła się przez murek i spojrzała w dół. Znajdowała się w narożniku dokładnie przeciwległym do tego, przy którym wysiedli z samochodu.

Sześćdziesiąt stóp niżej widziała zaparkowany przed głównym wejściem ich mikrobus. Tamował ruch i budził emocje.

Niebieski kabel biegł wzdłuż poprowadzonej po frontowej ścianie pionowej rynny. W którymś momencie zapewne odłączał się od niej i przez okno lub jakiś inny otwór przenikał do wnętrza bloku w miejscu wskazującym lokalizację mieszkania trolla. W idealnym świecie byłiby w stanie stąd, z dachu, wypatrzeć to miejsce i natychmiast wytypować właściwe mieszkanie, ale w rzeczywistości nie mieli tyle szczęścia. Kabel zniknął najprawdopodobniej

za jakimś poziomym elementem maskującym - a było w czym wybierać, gdyż balkonów, sznurów z praniem, markiz i poprowadzonej na zewnątrz hydrauliki nie brakowało.

Nie pierwszy raz Zula poprawiała się w myślach: właśnie mieli szczęście, że nie od razu udało im się znaleźć poszukiwany lokal. Oddanie trolla w ręce Iwanowa byłoby złym uczynkiem. Niepokoiło ją, że tak łatwo daje się ponieść atmosferze polowania.

Podszedł do niej Peter, wpatrzony w ekranik palmtopa.

- Golgaras... brzmi znajomo?

- To nazwa jednego z kontynentów w *T'Rainie*.

- A Atheron?

- Też.

- Namierzyłem cztery punkty dostępowe wi-fi. Dwa z nich mają domyślne nazwy i dają słabiutki sygnał; podejrzewam, że znajdują się w tym budynku po drugiej stronie ulicy. Golgaras jest bardzo silny. Atheron wyraźnie słabszy.

- Wyłącz router pod kubłem - zaproponowała Zula. - Zobaczymy, czy któryś sygnał zniknie.

Peter cofnął się do schodów w celu przeprowadzenia eksperymentu.

Zulę zainteresował tymczasem pęk przewodów łączący ten blok z otulonym w niebieski brezent domem naprzeciwko. Do ściany dochodził dokładnie poniżej miejsca, w którym stała Zula, pomiędzy trzecim i czwartym piętrem, zamiast jednak wnikać do środka, rozbiegał się po murze rozgałęzioną siecią korzonków. Cały pęk był luźno opleciony dodaną na końcu żyłą niebieskiego kabla ethernetowego.

- Iwanow domaga się raportu - powiedział Sokołow, podchodząc bliżej. Żwir chrząścił mu pod nogami. Podłączył słuchawkę do krótkofalówki.

- Wydaje mi się, że trzeba szukać w tym narożniku, gdzieś pod nami. Gdybym miała zgadywać, obstawiałabym trzecie lub czwarte piętro.

Sokołow przekazał jej słowa przez mikrofon wpięty w kołnierz koszuli.

- Golgaras zniknął - zameldował Peter. - Atheron nadaje dalej.

- Czyli? - zainteresował się Sokołow.

- Naszym zdaniem mają dwa punkty dostępowe - wyjaśnił Peter. - Jeden tutaj, na dachu, drugi pewnie w mieszkaniu.

Sokołow osłonił słuchawkę dłonią i słuchał.

- Iwanow pyta: na jakiej podstawie obstawiasz ten narożnik?

Zula wskazała mu biegnący dołem pęk kabli. Peter też wychylił się przez murek, żeby zobaczyć, co ma na myśli.

- Moglibyśmy zawęzić obszar poszukiwań - zasugerował - gdyby dało się obejrzyć dom od frontu. Zobaczylibyśmy, w którym miejscu niebieski przewód wchodzi w ścianę.

Sokołow przetłumaczył. Nastąpiła chwila ciszy.

- Kurwa mać - powiedział Sokołow po angielsku i wyjrzał na dół. Na jego twarzy złość mieszała się z czymś na kształt zakłopotania.

Zula i Peter również wyjrżeli na ulicę. Iwanow wysiadł z mikrobusu, podszedł do bocznych drzwi, chwilę grzebał w bagażu, aż w końcu wyciągnął lornetkę. Podniósł ją do oczu i spojrzał w górę.

Sokołow odskoczył od parapetu. Wyciągnął przy tym rękę, żeby złapać i pociągnąć za sobą Petera i Zulę, ale oboje zareagowali już bez jego pomocy. Przykucnęli za murkiem.

- On jest szalony - powiedział Sokołow rzeczowym tonem, jakim mógłby stwierdzić, że Iwanow ma metr osiemdziesiąt wzrostu. Z pewnością nie było w jego głosie ironicznego podziwu, jakiego można by się spodziewać po niektórych młodych Amerykanach. Zanim jednak zdążył rozwinąć tę myśl, zagapił się w dal, słuchając Iwanowa. - Schodzimy - powiedział.

Spotkali się z Iwanowem w piwnicy. Iwanow zrobił komórką zdjęcie górnego lewego rogu fasady. Oczywiście, rozdzielczość ekranu w telefonie nie dawała najmniejszych szans wypatrzenia obiektu o grubości kabla ethernetowego, ale Iwanow wskazał wypatrzone przez lornetkę miejsce, w którym oba niebieskie przewody wchodziły w ścianę. Był to mały otwór, najprawdopodobniej wylot kuchennego wentylatora, pomiędzy trzecim i czwartym piętrem.

Policzyli okna między narożnikiem domu i otworem. Wysłali jednego z konsultantów na niższe piętro i - przy założeniu, że wszystkie kondygnacje mają taki sam rozkład - kazali mu przejść do końca korytarza i policzyć drzwi mieszkań, pilnując przy tym numeracji.

Tymczasem Zuli udało się odciągnąć Csongora na bok.

- Yuxia została sama w mikrobusie! Gdyby udało nam się teraz do niej pobiec...

Csongor pokręcił głową.

- Iwanow zabrał kluczyki. Ma je w kieszeni.

- Aha...

- W lewej przedniej kieszeni spodni, jeśli to ma jakieś znaczenie.

- Mogłaby chociaż zatrzeć, wezwać pomoc...

- Jeden z Rosjan też na to wpadł - odparł Csongor.

- I co?

- Iwanow się tym nie przejął.

- Dlaczego?

- Yuxia nazwała cię swoją dziewczyną.

- Co z tego?

- Pomyśleli, że jesteście lesbijkami. - Csongor tak się zaczerwienił, że było to widać nawet w kiepsko oświetlonej piwnicy.

- W mordę jeża... Przypomnij mi o tym jutro, to się pośmieję. Chyba że wcześniej zamęczą mnie na śmierć.

- Wydaje mi się, że w ten sposób witają się czarne kobiety, nawet heteroseksualne.

Wyraz twarzy Csongora sugerował, że nie jest to z jego strony próżny wypad na terytorium amerykańskiego slangu. Wypowiedziane przezeń słowa miały jakiś związek z jego przyszłym szczęściem.

Zula pozwoliła sobie na moment zadumy nad męskim popędem reprodukcyjnym, który potrafi się ujawniać nawet w sytuacjach, w których jest gorzej niż bezużyteczny. Przyszło jej nawet do głowy małe, niewinne kłamstewko.

- Masz rację - powiedziała w końcu. - Musiała podłapać ten zwrot z jakiegoś filmu.

- A wy się po prostu przyjaźnicie - dodał Csongor z tak ewidentną ulgą, że Zula poczuła, że się rumieni.

- Jesteśmy przyjaciółkami, które znają się od dwudziestu czterech godzin.

- Iwanow myśli inaczej. Zagroził Yuxii, że jeśli będzie sprawiała kłopoty, on zrobi ci krzywdę.

- To akurat może być prawda.

Te słowa niespecjalnie spodobały się Csongorowi.

- Mimo że nie jesteśmy z Yuxią kochankami, grożenie mi może mieć wpływ na jej decyzje - dodała Zula.

Konsultant wysłany do policzenia drzwi wrócił. Dysponując sporządzonym przez niego szkicem korytarza oraz zdjęciem frontu z komórki Iwanowa, Rosjanie wyliczyli, które drzwi prowadziłyby do interesującego ich mieszkania - gdyby tylko najpierw ustalili, czy mają szukać na trzecim, czy na czwartym piętrze. Tej ostatniej kwestii nie mogli jednak rozstrzygnąć, oglądając dom z zewnątrz. Tak czy inaczej, troll mieszkał pod numerem 405 lub 505.

Zdaniem Zuli poczynili niebywały postęp (przynajmniej z pewnego punktu widzenia), wzięwszy pod uwagę, że są na miejscu zaledwie od dwudziestu minut. Tymczasem Iwanow był coraz bardziej wkurzony.

Podeszła do sporej, zardzewiałej stalowej szafy, która - sądząc po nurkujących w niej przewodach i rurach z kablami - pełniła funkcję węzła elektrycznego dla całego budynku.

Kopniakiem otworzyła wiszące koślawo drzwi; wujek John nauczył ją trzymać ręce w kieszeniach w pobliżu podejrzanych urządzeń elektrycznych i teraz tak właśnie zrobiła.

Znajdująca się w środku tablica zawierała okrągłe, guzikowate przedmioty z małymi okienkami, osadzone w okrągłych gniazdkach. Niektóre gniazdko były puste; było w nich widać metalowy gwint i elektrody, czym przypominały oprawki żarówek. W większości gniazdek tkwiły jednak małe guziki z okienkami, najczęściej z doklejonym kawałkiem papieru z paroma odręcznie wypisanymi chińskimi znakami.

- Co to? - zainteresował się Peter, podchodząc bliżej.

- Bezpieczniki. Słyszałam o nich.

- Zamiast automatycznych wyłączników?

- Tak mi się wydaje.

- Zaczynam rozumieć, co kombinujesz - powiedział Peter ze swoim maniackim zapalem.

Zula nic nie kombinowała, po prostu kręciła się po piwnicy i oglądała różne rzeczy. Spojrzała na Petera, który wyjął palmtop.

- Mhm... - mruknął. - Cały czas widzę Atherona. - Rozpromienił się i obejrzał przez ramię, sprawdzając, czy Sokołow i Iwanow nie patrzą. Nie patrzyli. Znów zerknął na palmtop i spochmurniał. - Kurde, zgubiłem go. Sygnał jest naprawdę słaby.

Csongor również do nich podszedł.

- Złapaliśmy sygnał już wcześniej, na dachu - wyjaśnił mu Peter. - Atheron to ich punkt dostępowy w mieszkaniu. Nie mogę się do niego zalogować, bo założyli hasło, ale sam sygnał widzę na ekranie. Gdybyśmy wyjęli bezpiecznik i odcięli im zasilanie, powinien zniknąć.

Csongor zerknął na tablicę z bezpiecznikami.

- Każde mieszkanie ma własny bezpiecznik?

- Na to wygląda - przytaknęła Zula. - Są opisane po chińsku.

- Ktoś tu zna chińskie cyfry?

- W pewnym sensie - powiedziała Zula.

Podszedł do nich Iwanow i zapytał o coś po rosyjsku. Słuchając potoku słów płynącego z ust Csongora, spoglądał na przemian na Petera, na tablicę i na Zulę. Peter zastrzegł się, że wychwycenie sygnału Atherona w piwnicy jest kłopotliwe, co sprawiło, że (po znacznie dłuższej dyskusji, niż to naprawdę było niezbędne) wypracowali następujący plan działania: większość konsultantów do spraw bezpieczeństwa została w piwnicy, zajęta tym, czym i tak zajmowali się już wcześniej - czyli majstrowaniem przy broni i amunicji

wyjętej z lodówek i futerałów na wędki. Peter z palmtopem w ręce wszedł kawałek po schodach, żeby znaleźć się bliżej środka bloku, gdzie sygnał Atherona był silniejszy. Iwanow trzymał się blisko Petera; chciał wszystko zobaczyć na własne oczy i w trakcie eksperymentu zamierzał zaglądać mu przez ramię. Csongor stanął u dołu schodów, skąd widział Zulę stojącą przy tablicy z bezpiecznikami i mógł się z nią porozumieć. Sokołow ulokował się na schodach w pół drogi między Csongorem i Iwanowem, żeby z oboma móc porozumiewać się na migi.

Przez ten czas Zula przygotowywała się do szopki z odczytywaniem - a raczej udawaniem odczytywania - chińskich liczebników.

Drzwi mieszkań były opatrzone cyframi arabskimi, ale elektryk czy dozorca, który opisywał bezpieczniki, użył znaków chińskich. Zero było kółeczkiem. Jedyńka, dwójka i trójka były przedstawione odpowiednią liczbą poziomych kresek. Czwórkę dało się zapamiętać, ponieważ była kwadratem z jakimiś farfocłami w środku. Dalej jednak cyfry stawały się mniej oczywiste. Zula próbowała się ich nauczyć, korzystając z pomocy Yuxii. W niektórych kontekstach, kiedy liczby były ustawione w przewidywalnym porządku, odczytanie ich było łatwe; gdyby miała odczytywać całkiem przypadkowe liczby, byłaby bezradna. Tablica z bezpiecznikami lokowała się gdzieś pomiędzy tymi dwiema skrajnościami. W pierwszym rzędzie na górze widniały jakieś zupełnie nienumeryczne etykiety; domyślała się, że to słowo „piwnica” albo „pralnia”. Niżej pojawiały się liczby rozpoczynające się od pojedynczej poziomej kreski, czyli jedynki. Było ich kilkanaście. Następne miały z przodu dwie poziome kreski, potem trzy i tak dalej. Wyglądało więc na to, że bezpieczniki są uszeregowane w dość logicznym porządku, kolejno kondygnacjami i numerami mieszkań - tyle że było to raczej ogólnikowe spostrzeżenie niż stuprocentowo pewna reguła. Nie ulegało wątpliwości, że instalacja elektryczna była wielokrotnie przerabiana i sprawne gniazdka wykorzystywano trochę jak popadnie; Zula musiała przeprowadzić w głowie coś na kształt wykopalisk archeologicznych, żeby ustalić, jak osiągnięto obecny porządek. U dołu tablicy dostrzegła kwadratowe znaczki oznaczające czwórkę, a jeszcze niżej - mniej oczywisty glif piątki. Należało się więc spodziewać, że bezpiecznik, którego brak spowoduje odcięcie Atherona, znajduje się w którymś z półtuzina dolnych rzędów. Problem polegał na tym, że właśnie ta część tablicy najczęściej padała ofiarą oportunistycznych monterów i wymagała odfiltrowania masy szumu i błędnych tropów.

- Oni są gotowi - poinformował ją Csongor. - Możesz zacząć wyjmować bezpieczniki.

- Powiedz im, że na tablicy jest bałagan. Muszę chwilę pomyśleć, żeby to ogarnąć.

Csongor zrobił taką minę, jakby bardzo nie chciał być posłańcem przekazującym tę

wiadomość.

- Jeżeli zacznę wykręcać korki jak leci, mieszkańcy przyjdą sprawdzić, co się dzieje - zauważyła Zula.

Csongor wszedł na schody i wytłumaczył to Sokołowowi.

Zula zwróciła uwagę, że wszystkie nowsze obwody są zaopatrzone w bezpieczniki. Kilka gniazd, które jej zdaniem należały do mieszkań na czwartym piętrze, ziało pustką. Puste gniazda odpowiadały zapewne mieszkaniom bez najemców. Aby zniechęcić dzikich lokatorów i zapobiec kradzieży prądu przez innych mieszkańców bloku, właściciel po prostu powykrecał bezpieczniki i odciął prąd we wszystkich pustostanach. Na każdym piętrze znajdowało się przynajmniej jedno lub dwa puste mieszkania. Na ostatnim było ich najwięcej - co nie powinno dziwić, bo w bloku bez windy należały do najmniej pożądaných.

Jej wzrok spoczął na pustym gniazdku opatrzonym liczbą złożoną z piątki, nieznanego jej znaku, zera, znaku plusa i jeszcze jednej piątki. Wiedząc, że „plus” oznacza „dziesięć”, domyśliła się, że nieznaną symbol odpowiada setkom. Miała więc przed sobą najprawdopodobniej 5 x 100, dodać 0 x 10, dodać 5 - czyli razem 505. Był to zatem jeden z dwóch najbardziej obiecujących kandydatów; drugim był numer 405.

Przeczesała tablicę w poszukiwaniu sekwencji znaków oznaczającej 405. W gniazdku pod tym numerem tkwił bezpiecznik.

Wykręciła go, odwróciła się do Csongora i pokazała mu usunięty bezpiecznik. Csongor dał znać Sokołowowi, który najprawdopodobniej przesłał sygnał wyżej.

Nie było to jednak konieczne: Peter z Iwanowem zbiegali już po schodach.

Zula wkręciła bezpiecznik z powrotem, przywracając zasilanie w mieszkaniu numer 405.

- Trafiliśmy za pierwszym razem! - obwieścił Peter, wymachując palmtopem. Jego triumfalny nastrój zmroził Zulę. - Znaleźliśmy trolla!

- Zula - odezwał się Iwanow. - Dobra robota.

Jakby zoperowała guz na mózgu.

Chciał powiedzieć coś więcej, ale zawiesił głos w sposób, który był prawie zabawny.

- Które to mieszkanie? - zapytał, kiedy sobie uświadomił, że nadal nie ma tej informacji.

Tylko Zula знаła odpowiedź.

Dawno już tylu ludzi nie patrzyło na nią z takim napięciem.

- Pięćset pięć - odparła.

Sokołow powiedział coś po rosyjsku do Iwanowa, jakby wyrażał sprzeciw. Chociaż

nie, „sprzeciw” to zbyt mocne słowo. Sokołow po prostu zwrócił uwagę na jakąś ciekawostkę.

Iwanow wdał się z nim w dyskusję. Nie spuszczał Zuli z oka.

On wiedział. Coś źle zrobiła. W jakiś sposób się zdradziła.

- Sokołow się martwi, że procedura jest niedoskonała - wyjaśnił Csongor. - Zaleca dodatkowy rekonesans. Na co Iwanow odpowiada, że jeśli zaczniemy się rzucać w oczy, możemy spłoszyć trolla.

Iwanow pokiwał jednak głową, jakby zgadzał się z argumentacją Sokołowa, i powiedział coś po rosyjsku do konsultantów. Trzech z nich odpięło od pasów małe czarne woreczki i wyjęło z nich kajdanki. Jeden podszedł do Zuli. Zapiął kajdanki na sterczącej z podłogi grubej stalowej rurze, a drugi koniec zatrzaskał Zuli na nadgarstku. Csongor został przypięty w innym miejscu do rury z zimną wodą. Trzeci konsultant przykuł Petera do żelaznej poręczy u dołu schodów.

Pozostali zbierali się do akcji, sprawdzali sprzęt, chowali broń.

- My złożymy wizytę trollowi w lokalu numer 505 - powiedział Iwanow. - Jeśli ty powiedziałaś prawdę, my osiągniemy nasz cel i my pójdziemy swoją drogą. Wszyscy będą zadowoleni. Jeżeli ty popełniłaś mały błąd, my wrócimy tutaj i my porozmawiamy o konsekwencjach. To jak, my idziemy pod pięćset pięć? Czy może czterysta pięć?

- Pięćset pięć - powtórzyła Zula.

- Doskonale.

Iwanow wydał rozkazy.

Sokołow, konsultanci oraz Iwanow weszli na schody.

* * *

Ten duży i gruby Rosjanin próbował wzbudzić strach w sercu Qian Yuxii - i częściowo mu się to udało, ale po tym, jak została sama, przykuta do kierownicy, strach szybko się ulotnił i Yuxia czuła się już tylko rozczarowana i urażona. Kiedy zadzwonił do niej wczoraj i poprosił, żeby przyjechała mikrobusem i zorganizowała im wycieczkę na ryby, pochlebilo jej, że ze wszystkich mieszkańców Xiamen właśnie jej przypadła w udziale taka odpowiedzialność. Zarwała noc, jadąc autobusem (z przesiadkami) do miejsciny, w której zostawiła mikrobus, wracając nim do Xiamen i przygotowując eskapadę. W geście wdzięczności, którym chciała okazać, jak bardzo docenia daną jej szansę, rano przyjechała przed czasem, z kawą i babeczkami z cukierni specjalizującej się w zachodnich słodyczach.

Najgorsze było to, że gruby ją oszukał: naopowiadał jej bajek o tym, jak pomoże jej sprzedawać *gaoshan cha* w Europie, a ona dała się nabrać. Najwyraźniej uznali ją za wsiową

prostaczkę, w dodatku oportunistkę, która łyknie każde kłamstwo, jeśli tylko pomyśli, że ułatwi jej to handel herbata.

Wszystko to było dla niej zaledwie obelgą, ale naprawdę zabolalo ją to, że mieli rację.

Wystarczyłoby otworzyć drzwi i zacząć krzyczeć, żeby resztę życia spędzili w więzieniu.

Tyle że ten duży był wpływowy, miał pieniądze, żołnierzy. I broń.

No dobrze, ale skoro jest taki mocny, to dlaczego potrzebował kogoś takiego jak Qian Yuxia, żeby pożyczyć mikrobus?

Dlatego że jest zbędna. Oto powód. Jest nikim, sama w wielkim mieście. Nikt nie zauważy jej zniknięcia.

Naprawdę czas otworzyć drzwi i zacząć się drzeć.

Wtedy ten grubas zrobi Zuli coś złego. Tak powiedział. A Yuxia polubiła Zulę. Poczula wobec niej coś w rodzaju lojalności po tym, jak zobaczyła łyzy wstydu w jej oczach, kiedy Zula żalowała, że nie zdążyła ostrzec Yuxii.

Może jest coś, co mogłaby zrobić, nie krzycząc, żeby jakoś poprawić swoją sytuację. Rozejrzała się - nie po najbliższej okolicy, którą wypełniali ludzie wydzierający się na nią za to, że zastawiła mikrobusem ulicę, ale nieco dalej, gdzie ludzie zajęci byli pracą i własnymi sprawami. Wózkarze ciągnęli swoje dwukołowe wehikuły wyładowane wszelkimi możliwymi towarami. Jeden z nich, z pustym wózkiem, przystanął ze dwa metry od mikrobusu i przyglądał się Yuxii. Podobnie jak całkiem pokaźna liczba wózkarzy, był wychudzony i wyglądał na dziewięćdziesiąt lat, przez co zapewne trudno mu było konkurować z tymi młodszymi i lepiej zbudowanymi. Braki w muskulaturze nadrabiał więc sprytem. Już wcześniej zwrócił uwagę na mikrobus, z którego wyładowano i przetransportowano w głąb zaułka pokaźną liczbę pakunków, przed chwilą widział zaś, jak grubas z przodu wysiada i ogląda blok przez lornetkę. Wiedział więc, że w budynku znajduje się kilku cudzoziemców i że coś się tam dzieje. Tak jak wszyscy na tej ulicy, stale myślał o tym, jak wykorzystać sytuację, i doszedł do wniosku, że jeśli będzie się kręcił w pobliżu mikrobusu, demonstracyjnie okazując swoją dostępność, może ktoś z obsługi zleci mu jakąś robotę.

Yuxia uchyliła drzwi. Nie musiała szukać wózkarza wzrokiem, bo ten już się na nią gapił.

- Potrzebny mi ślusarz - powiedziała. - Ale telefon mi padł.

Obejrzała się na front bloku, sprawdzając, czy grubas czegoś nie zauważył, a kiedy znów odwróciła się do wózkarza, już go przy niej nie było.

* * *

- Chwała Bogu... - mruknął Peter, gdy ciężkie kroki Iwanowa ucichły w oddali. -
Udało nam się. Udało się! To koniec.

Zula nie potrafiła zebrać się na odwagę i powiedzieć mu, że wcale się nie udało i że jeszcze nie koniec. Odszukała bezpiecznik mieszkania numer 405 i zaczęła go wykręcać.

- Co robisz? - zainteresował się Csongor.

Peter obejrzał się na nią.

- No właśnie: co robisz?

- Ostrzegam ich.

- Kogo ostrzegasz?!

- Hakerów spod czterysta pięć. - Zula wyjęła bezpiecznik i włożyła go z powrotem. I jeszcze raz. Przy każdym kontakcie było słycać ciche pstryknięcie przeskakującej iskry. - Ciekawe, czy znają alfabet Morse'a.

Zacząła pstrykać bezpiecznikiem w rytmie kropka kropka kropka, kreska kreska kreska, kropka kropka kropka. Jak na obozie harcerskim.

- Przecież powiedziałaś Iwanowowi, że mieszkają pod pięćset pięć - zauważył Peter dziwnie spokojnym, ochryplym głosem, jakby często płukał gardło melasą.

- Zwykła pomyłka, ludzka rzecz. Na tej tablicy jest straszny bajzel. Zresztą, kto je tam wie, te chińskie cyferki...

Nie była w stanie jednocześnie mówić i robić tej sztuczki z Morse'em. Wyjęła bezpiecznik i rozejrzała się po piwnicy.

Peter i Csongor gapili się na nią z wytrzeszczonymi oczami. Może mieli nadzieję, że robi sobie z nich jaja? Trudno powiedzieć.

Musieli zrozumieć. To było ważne. Zula westchnęła i spojrzała najpierw na jednego, potem na drugiego.

- Po pierwsze, Iwanow tak czy inaczej chce nas zabić, bez względu na to, co się stanie. To oczywiste. - Odczekała, aż jej słowa wybrzmiały w nieruchomym piwnicznym powietrzu. - To jeszcze nie oznacza, że musimy zginąć, bo Sokołow uważa go za świra i będzie mu się starał w tym przeszkodzić. Ale na to wszystko nie mamy żadnego wpływu. Poproszono nas o wytropienie hackerów, żeby Iwanow mógł ich pozabijać. Ci hackerzy to w gruncie rzeczy nieszkodliwe dzieciaki. Nie możemy tego zrobić. To by było złe. Ludzie się tak nie zachowują. Dlatego okłamałam Rosjan.

- Kurna! - zaklął Peter.

Osunął się na czworaki (a właściwie na „dwojaki”, bo przykuty do poręczy oparł na posadzce tylko jedną dłoń i kolano) i zaczął obmacywać podłogę, jakby zgubił soczewkę

kontaktową i nie mógł jej znaleźć.

- Zula! Masz tam wsuwkę?

- Tam? To znaczy, we włosach?

- Tak.

Nie zdołała się powstrzymać od westchnienia i przewrócenia oczami, ale w końcu wyciągnęła wsuwkę i rzuciła ją Peterowi.

- Masz ich więcej? - zainteresował się Csongor.

Rzuciła mu drugą.

Ludzie, którzy naoglądali się filmów o hakerach, miewają absurdalne wyobrażenia o ich umiejętnościach. Najczęściej ogromnie przecenia się zdolność hakerów do zrobienia pewnych rzeczy, jest jednak pewna dziedzina, w której dokonani hakerów regularnie się nie docenia: otwieranie zamków wytrychami. Dla hakera zabawa wytrychem jest odprężającą rozrywką po długim dniu robienia penprób w sieciach korporacyjnych. W każdym porządnym hakerskim lofcie znajdzie się pudło po butach pełne starych klódek, kajdanek itp., które ci goście dla zabawy uczą się otwierać.

Zula zawsze była tylko widzem zamiast uczestnikiem tych zabaw, i teraz żałowała, że się bardziej nie przykładała. Była jednak przekonana, że Peter i Csongor szybko rozprawią się z problemem, a wtedy będą mogli pobiec do samochodu i uwolnić Yuxię.

- Rosjanie pójda pod pięćset pięć, wyważą drzwi i pewnie narobią hałasu - powiedziała. - Mam nadzieję, że to zaalarmuje dzieciaki pod czterysta pięć i zdążą uciec.

Nie mając nic lepszego do roboty, wróciła do zabawy bezpiecznikiem.

- A co z mieszkańcami spod pięćset pięć? - spytał Peter. - O tym już nie pomyślałaś?

- To pustostan - odparła Zula.

Jednakże po pytaniu Petera zaczęła się denerwować, że mogła się pomylić. Odszukała więc etykietkę z numerem 505 i sprawdziła, czy gniazdko bezpiecznika jest puste.

Było. Tyle tylko, że tym razem jej uwagę zwrócił szczegół, który na początku przeoczyła. Owszem, w gniazdku nie było bezpiecznika - ale coś tam w środku błyszczało, coś innego niż wewnątrz pustego gniazdka. Przyklęknęła, żeby lepiej się temu przyjrzeć, wyciągając przykutą do rury rękę wysoko nad głowę.

W głębi gniazda tkwił błyszczący metalowy krążek.

Obeszli bezpiecznik. Ktoś wcisnął na jego miejsce monetę, co było pomysłem bardzo niebezpiecznym. Z kilku powodów.

- Co widzisz? - spytał Csongor.

- Zaczynam podejrzewać, że pod pięćset pięć jednak mieszkają jacyś dzicy lokatorzy.

Mogę pożyczyć latarkę?

Csongor podał jej maleńką diodową latarkę, którą nosił w kieszeni. Zula wycelowała snop światła w głąb gniazdka i potwierdziła, że lukę pomiędzy stykami wypełnia wciśnięta między nie srebrzysta moneta.

Nie była to moneta chińska. Zula nigdy przedtem takiej nie widziała. Nie była ozdobiona ani czymś profilem, ani żadnym innym typowym dla monet motywem, lecz półksiężycem z maleńką gwiazdką między rogami.

* * *

Po paru minutach wózkarz wrócił. Dreptał za nim niski, łysy jegomość z torbą z narzędziami.

Kiedy podeszli bliżej, Yuxia zamachała przez szybę do człowieka z narzędziami i pokazała mu na migi, żeby wsiadł na fotel pasażera. Odblokowała zamek. Mężczyzna z wahaniem wsiadł; obecność obcego mężczyzny w samochodzie samotnej kobiety mogła się komuś wydać niestosowna.

- Proszę, zamknij drzwi - powiedziała Yuxia. - Musimy porozmawiać.

Zamknął drzwi i posłał jej zdziwione spojrzenie, jakby prowadziła najbardziej tajemniczy i skomplikowany przewał świata.

Całkiem możliwe, że tak właśnie było. Na razie nie pokazała mu kajdanek.

Wózkarz przytulił się do wozu od strony kierowcy.

- Idź tam i zaczekaj, proszę - poleciła mu Yuxia, wskazując ruchem głowy front bloku.

- Jak tylko uporam się z moim problemem, zapłacę ci za fatygę.

Wózkarz - podejrzliwy i niechętny - cofnął się o dwa kroki.

Yuxia uśmiechnęła się szeroko do ślusarza.

- Niespodzianka! - zawołała, pokazując mu rękę przykutą do kierownicy.

Przestraszyła się, że facet dostanie zawału. Na wszelki wypadek lewą rękę cały czas trzymała na przycisku centralnego zamka, żeby zablokować drzwi, gdyby próbował czmychnąć. On zaś pewnie tak by właśnie zrobił, gdyby miał do czynienia z mężczyzną - ale ponieważ Yuxia była młodą kobietą, uznał, że wypada jej wysłuchać do końca.

- Zły człowiek mi to zrobił. Jak zapewne sam pan rozumie, to sprawa dla policji, i zadzwonię do nich, gdy tylko będę wolna. Ale najpierw muszę się pozbyć tego cholerstwa. Pomoże mi pan? Proszę...

Ślusarz nadal się wahał.

- To bardzo boli - jęknęła Yuxia. To nie było w jej stylu, ale widziała, jak inne kobiety stosowały tę taktykę z dobrym skutkiem.

Ślusarz zaklął pod nosem i otworzył torbę.

* * *

Jak wszyscy Rosjanie, Sokołow lubił grać w szachy. W pewnym sensie grał w nie przez cały czas! Codziennie rano po przebudzeniu spoglądał na szachownicę płytek na suficie w swojej sypialni, sprawdzał ustawienie figur, przewidywał ich wszystkie ruchy na ten dzień - oraz wszystkie swoje posunięcia, które zmaksymalizują jego szanse przetrwania.

Gdzieś, kiedyś słyszał jednak, że z matematycznego punktu widzenia go jest grą bardziej skomplikowaną od szachów; drzewo możliwych posunięć i kontrposunięć miało być w niej o wiele bardziej złożone - do tego stopnia, że nawet superkomputery nie radziły sobie z przeliczeniem wszystkich możliwości. Istniały programy komputerowe, które stanowiły zagrożenie dla Kasparowa, nie napisano jednak programu, który dla mistrza go stanowiłby choćby przeciętne wyzwanie. Podobno w go nie można posługiwać się wyłącznie logiką i planować ciągu ruchów i ripost. Należy myśleć wizualnie, rozpoznawać na planszy wzorce, kierować się intuicją.

Trzydzieści sekund temu, kiedy Zula zrobiła to, co zrobiła (cholera ją wie, co to właściwie było), szachy zmieniły się w go.

Możliwe, że postanowiła dać Iwanowowi to, czego szukał - czyli zdać się na jego łaskę i wystawić mu trolla. Jeśli tak właśnie było, to za kilka sekund włamią się do mieszkania pełnego ciężko przerażonych chińskich hakerów i wydarzy się coś przykrego. Dlaczego, ach, dlaczego Iwanow postanowił wysiąść z mikrobusu? Po co siedł z nimi na górę? Gdyby został w wozie, Sokołow miałby szansę załagodzić sytuację i, na przykład, wyprowadzić z bloku jednego hakerka, a resztę puścić wolno. Może Iwanow zadowoliliby się napędzeniem strachu temu jednemu, co najwyżej trochę by go sponiewierał. A potem Sokołow mógłby tylko zgadywać, co jego szef zrobi z Zulą. Postanowił już w duchu, że w razie potrzeby będzie ją chronił za wszelką cenę. Nawet gdyby musiał zabić Iwanowa.

Mogło jednak być i tak, że Zula wpuściła ich w maliny i za chwilę wparują do pustostanu. A wtedy rozpęta się piekło, gdy Iwanow zorientuje się, że Zula go wydymała, a hakerzy, którzy uprzednio wydymali jego, właśnie uciekają. W tym właśnie miejscu szachy ustępowały pola go, ponieważ Sokołow nie był w stanie nawet racjonalnie pomyśleć o drzewie możliwych posunięć i kontrposunięć, które w takiej sytuacji wykielkuje.

Dlatego o tym nie myślał i pogodził się, że będzie się musiał zdać na intuicję, jakby grał w go. Mimo że nigdy w życiu tego nie robił.

Na razie musiał działać w oparciu o założenie, że Zula udzieliła im prawidłowych informacji i w mieszkaniu numer 505 zastaną około dziesięciu hakerów płci męskiej, w

większości śpiących i praktycznie nieuzbrojonych. Wieczorem poprzedniego dnia omówił ze swoimi ludźmi taktykę działania, a dziś rano przypomniał im to jeszcze raz, przed opuszczeniem kryjówki: mieli w ciągu pięciu sekund od wyważenia drzwi zająć całe mieszkanie, znaleźć wszystkich hakerów i pozbawić ich komputerów oraz telefonów, żeby nie zdążyli wezwać pomocy. Znaleźć i przeciąć kable telefoniczne. Przeszukać lokal, który może się składać z jednego dużego pomieszczenia albo z labiryntu małych klitek; z mniejszych pomieszczeń mogą być dodatkowe wyjścia na schody pożarowe albo balkony. Dlatego plan był taki: wyważają drzwi, wbijają się do środka, jeden zostaje na straży w centrum, pozostała szóstka rozprasza się i przenika jak najdalej w głąb mieszkania. Po ustaleniu i zabezpieczeniu granic lokalu, cofają się do jego centrum, wypłaszając hakerów z kryjówek. W ten sposób wszyscy lądują w tym samym miejscu i można zaczynać rozmowę.

Wszyscy jego ludzie znali plan, byli odpowiednio wyekwipowani i przygotowani do jego realizacji. Przemieścili się ze schodów do korytarza na czwartym piętrze, który - tak się sympatycznie złożyło - był w tej chwili zupełnie pusty. Sokołow prowadził, ale, mijając numer 503, obejrzał się przez ramię i usunął w bok, robiąc miejsce Kałuckiemu, największemu w całej ekipie, odpowiedzialnemu za wyłamywanie drzwi. Kałucki był uzbrojony w skrzyżowanie młota z siekierą i łomem, któremu nie oparłyby się żadne drzwi, a że te w tym bloku wyglądały wyjątkowo krucho, Sokołow miał pewność, że poddadzą się błyskawicznie. Kałucki pierwszy wpadnie do środka, obstawi centrum i zablokuje wyjście; reszta wparuje za nim i rozbiegnie się na boki. Iwanow nie miał w tym scenariuszu precyzyjnie zaplanowanej roli, ponieważ początkowo zakładano, że poczeka w mikrobusie. Sokołow miał jednak nadzieję, że Iwanow ma dość oleju w głowie, żeby trzymać się z tyłu i zostać na korytarzu, dopóki sytuacja nie zostanie opanowana. Wtedy może wejść i mścić się tak, jak to sobie wymarzył.

Kałucki zajął pozycję naprzeciw drzwi z numerem 505. Wziął zamach młotem i spojrzał na Sokołowa, czekając na sygnał. Sokołow odwrócił się, szukając Iwanowa. Niepotrzebnie się o niego martwił: pokonywanie schodów nie było jego mocną stroną i dopiero w tej chwili ciężko zdyszany wynurzył się z klatki schodowej, dobre dwadzieścia metrów od nich.

Zanim Iwanow do nich dołączył i zdążył coś spieprzyć, Sokołow dał znak Kałuckiemu. Młot opadł.

* * *

Ślusarz walczył z obręczą kajdanek, a Yuxia ogryzała paznokcie kciuka wolnej ręki, popatrując nerwowo na wyjście z bloku.

Za minutę będzie wolna. Najłatwiej byłoby wysiąść, przepaść w tłumie i mieć nadzieję, że BBP jej nie śledzi - co było założeniem ryzykownym, zważywszy że ich funkcjonariusz stał zaledwie pół przecznicy dalej i od paru minut podejrzliwie gapił się na mikrobus.

Wóz był własnością jej rodzinnej firmy z Yongdingu. Jeśli go tu porzuci, z łatwością ją namierzą.

Mogłaby wejść do bloku i zorientować się w sytuacji. Tak właśnie postąpiłaby dzielna bohaterka w filmie, ale w życiu pomysł ten nie wyglądał najsensowniej.

Mogła też sama wezwać BBP. Tylko że włączenie BBP w sprawę miało różne skutki, nie zawsze kończyło się ukaraniem złoczyńców i pomocą dla ofiar. Wszyscy wiedzieli, że środowiska kryminalne mają rozliczne powiązania z rządem. A ona tak niewiele wiedziała o tych Rosjanach... Nie minęła jeszcze godzina, odkąd przykuli ją do kierownicy; nie zdążyła przesiać wspomnień i zbudować na ich bazie teorii, która tłumaczyłaby i przewidywała ich zachowanie - ale musieli być albo szpiegami, albo gangsterami. W tym drugim wypadku mogli mieć konszachty z miejscowymi bandziorami, a wówczas trudno byłoby sobie wyobrazić, jakie okropności czekały Yuxię, gdyby wydała ich BBP, a następnie ich wtyka w BBP wsypałaby ją.

Musiała zabrać stąd mikrobus.

Obręcz zsunęła się z jej przegubu.

- Dziękuję panu. Może pan teraz uruchomić silnik? Nie mam kluczyków.

Wzrok ślusarza przeskoczył na chwilę na wbudowaną w kolumnę kierownicy stacyjkę. Nic nie powiedział, ale było po nim widać, że mógłby to zrobić - tak jak było widać, że wcale tego nie chce robić. Wiedział, że coś tu jest bardzo nie w porządku, i miał ochotę dać drapaką.

- Nie - odparł i zaczął chować narzędzia.

Yuxia wyjrzała przez przednią szybę. Gliniarz z BBP patrzył na nią, nie zwracając uwagi na rozzłoszczoną kobietę, która coś mu wykladała i z irytacją wskazywała mikrobus.

Yuxia przywołała go gestem.

Ślusarz właśnie zapinał torbę.

- Nie wezmę za to pieniędzy - powiedział. - Teraz wysiądę. Nigdy więcej nie chcę cię widzieć. Nigdy więcej nie chcę mieć z tobą do czynienia.

Elektryczne okna nie działały przy wyłączonym silniku, uchyliła więc drzwi, zmuszając policjanta do obejścia ich łukiem.

- Dzień dobry, panie władzo! - zaszcebiotała.

Ślusarz znieruchomiał. Yuxia otworzyła drzwi nieco szerzej i, odwracając się z uśmiechem do policjanta, na wpół zsunęła się z fotela, zasłaniając zwisające z kierownicy kajdanki.

Jej uśmiech wcale go nie zauroczył. Zmierzył ją wzrokiem, ze szczególnym zaciekawieniem przyglądając się niebieskim kaloszom.

- Odjeżdżaj stąd!

- Zgubiłam kluczyki.

- Jak mogłaś zgubić kluczyki?!

Zachowanie gliniarza uświadomiło Yuxii jeszcze jeden powód, dla którego nie chciała mieć do czynienia z BBP. Ona była wielkostopą kobietą z gór, a oni tutaj - Hanami z nizin. To nie ułatwiało kontaktu. Hanowie nie przepadali za Hakka, a Yuxia dodatkowo nie mogła otrząsnąć się ze skojarzenia, że sto lat temu tacy sami ludzie jak ten gliniarz najchętniej zawlekliby ją do specja od krępowania stóp, który połamałby jej kości.

- Wsunęły mi z ręki i wpadły tam. - Wskazała kratkę ściekową parę metrów od samochodu. - Poprosiłam ślusarza, żeby pomógł mi uruchomić wóz. Jak tylko skończy, odjadę.

Gliniarz zrobił krok w przód, usiłując zjrzeć do mikrobusu. Yuxia wskoczyła z powrotem na fotel i przytuliła się do kierownicy, zakrywając kajdanki, ale odsłaniając ślusarza i jego torbę z narzędziami. Policjant pokiwał głową. To był jego rewir, znał tu wszystkich handlarzy i rzemieślników. Tego również.

- Na co czekasz?! Mikrobus tarasuje przejazd! Nie flirtuj tu z dziewczynami, tylko odpalaj silnik. Bo jak nie, to każę was zholować!

Ślusarz dokonał w głowie pośpiesznej kalkulacji, czy opłaci mu się wezwać pomoc i wpłatać się w prowadzone przez BBP śledztwo z prawdziwego zdarzenia. Yuxia nie miała zielonego pojęcia, jakie składniki odgrywają kluczową rolę w tej kalkulacji.

- Już się robi, panie władzo - odparł skwapliwie. - To zajmie najwyżej minutkę!

- Ja myślę.

Gliniarz cofnął się od drzwi i stanął przed mikrobusem, żeby dyrygować ruchem i mieć na wszystko oko.

* * *

Drzwi poddały się po drugim uderzeniu. Kałucki wskoczył do środka. Reszta ekipy, wcześniej spięta jak sprinterzy w blokach na linii startu, natychmiast rzuciła się za nim, opływając go jak woda rozbitą czołg w korycie afgańskiej rzeki.

Sokołów tłumaczył im, że muszą wyłączyć tradycyjną pętlę: obserwacja, myślenie,

decyzja, działanie. W normalnych okolicznościach pętla była czymś pożądanym, ale w tej sytuacji najpierw trzeba było zadziałać - dopiero potem będą mogli obserwować, myśleć i decydować. A ponieważ nigdy nie wymagał od swoich ludzi czegoś, czego sam by nie zrobił, teraz też posłuchał własnego zalecenia, mimo że jakiś wewnętrzny głos podszeptował mu, że coś jest nie w porządku. Bardzo nie w porządku.

Mieszkanie okazało się labiryntem małych pomieszczeń, co nie sprzyjało Rosjanom - ale też nie było wielkim zaskoczeniem i nie mogło pokrzyżować im planów. Nigdzie jednak nie widział ani komputerów, ani młodych Chińczyków. Widział natomiast materace na podłodze, dość gęsto upakowane, na nich śpiwory, a w nich śpiących ludzi. Dużo ludzi. Niektórzy wyglądali jak Chińczycy, a niektórzy nie. Noclegownia dla wędrownych robotników? Byli dziwnie włochaci i starsi, niż Sokołow się spodziewał. Wszędzie poniewierał się podejrzany sprzęt: palniki, termometry, garnki, patelnie, słoje, których zawartości nie był w stanie na oko rozpoznać, wielgachne kanciaste puszkę, w jakich trzyma się przemysłowe rozpuszczalniki. Na Boga, tu naprawdę mieszkała masa ludzi! Mieli przewagę liczebną nad oddziałem Sokołowa, i to sporą, może nawet dwa do jednego, co jednak nie miało wielkiego znaczenia, bo Rosjanie byli obwieszani bronią automatyczną, a Kałucki dodatkowo taszczył strzelbę samopowtarzalną. A Chiny nie należą do krajów, w których przeciętny obywatel ma broń.

Tym większe było zaskoczenie i dezorientacja Sokołowa, gdy po upływie pierwszych pięciu sekund włączył mu się zmysł obserwacji i zaczął zauważać leżące tu i tam kałasznikowy. Zarówno same karabiny, jak i bananowato wygięte magazynki walały się dosłownie wszędzie.

Nie da się patrzeć na wszystko jednocześnie, skończyło się więc na tym, że wzrok Sokołowa przyciągnęła jedna rzecz szczególnie godna uwagi. Znajdował się w dość dużym pokoju, podzielonym niemal na pół długim stołem z desek ułożonych na beczkach po ropie. W pierwszej chwili wziął go za blat kuchenny, ponieważ wyglądało na to, że mieszkańcy mieszają na nim różne rzeczy w miskach - dopóki nie zreflektował się, że to, co mieszają, nie jest bynajmniej jedzeniem. Znał tę mieszankę, widział ją już wcześniej. Znał jej zapach. Kurczę, sam ją przyrządzał! Mieszanina paliwa dieslowskiego i saletry: najlepszy tani materiał wybuchowy.

Po drugiej stronie stołu stał wysoki, brodaty Murzyn w koszulce z krótkim rękawem i dżinsach, których najwyraźniej nie zdejmował do spania. Zdążył się już zerwać z posłania i teraz rozglądał się po pokoju. Zbędne okno za jego plecami zostało zaklejone kiepsko wydrukowanym plakatem Osamy bin Ladena.

W mieszkaniu zrobiło się cicho. Rosjanie z powrotem uruchamiali pętle obserwacji i myślenia, a mieszkańcy, którzy w większości przed chwilą spali, budzili się i ze zdumieniem stwierdzali, że są wśród nich jacyś Rosjanie.

Sokołow musiał jakoś okazać swoje zaskoczenie, ponieważ Murzyn przyglądał mu się z rozbawieniem. Zalegające na stole surowce i sprzęt do wyrobu bomby zasłaniały jego ręce przed wzrokiem Sokołowa. Te ręce poruszyły się teraz i Sokołow usłyszał bardzo znajome *pstryk-klunk* przeładowywanego kałasznikowa. A przeładowanie jest zazwyczaj ostatnią czynnością przed naciśnięciem spustu.

Z sąsiedniego pokoju dobiegły dwa bardzo głośne huki. To Kałucki wypalił ze strzelby.

Murzyn podniósł karabin i spokojnym, cichym, rzeczowym głosem powiedział:

- Allah akbar.

* * *

- Nie wierzę - mruknął Peter, majstrując wsuwką w zamku kajdanek. - Kurwa, nie wierzę, że naprawdę to zrobiłaś.

- Serio?

- Tak, serio.

- A ja nie mogę uwierzyć w to, co robią wszyscy pozostali - odparła Zula. - Mnie się wydaje, że tylko ja zachowuję się tu rozsądnie.

- Uważasz, że to rozsądne, zadzierać z takim gościem jak Iwanow?

- A jakim on właściwie jest gościem, co? Co o nim wiemy?

- To ostry zawodnik - wtrącił się Csongor.

Zula spiorunowała go wzrokiem i Csongor trochę się zmieszał, że stanął po stronie Petera.

- Wiesz to z doświadczenia, czy tylko tak słyszałeś?

Csongor nie odpowiedział.

- Nie widziałaś, co zrobili z Wallace'em u mnie w domu? - przypomniał Peter.

- Bardzo trafnie to ująłeś: nie, nie widziałam, co zrobili z Wallace'em. Widziałam, jak Wallace wyszedł do drugiego pokoju. A potem widziałam, jak wynieśli z niego podłużny pakunek. Oczywiście, my mieliśmy pomyśleć, że to ciało Wallace'a, ale założę się, że to był blef.

- Blef?!

- No pewnie. Zabrali go do tego drugiego pokoju i powiedzieli: „Posłuchaj, Wallace, musimy nastraszyć tę dwójkę Amerykanów, a ty nam w tym pomożesz. Stul dziób i udawaj

nieprzytomnego. Zawiniemy cię w folię i wyniesiemy. Będzie to wyglądało, jakbyśmy cię zamordowali”. Wallace pewnie siedzi sobie teraz wygodnie w Vancouver i gra w *T’Rain*.

- Wątpię - odezwał się Csongor.

- Teoretycznie możesz mieć rację - przyznał Peter i znów zwrócił się do Zuli: - Uważam jednak, że to chore i nieodpowiedzialne z twojej strony, żeby na tej podstawie szafować naszym życiem.

- Przecież tu nic nie jest prawdziwe. To taki gangsterski teatrzyk.

Z głębi klatki schodowej dobiegł głośny podwójny huk. Chwila ciszy, a potem rozpętała się kanonada z broni automatycznej.

Peter odwrócił się i posłał Zuli oskarżycielskie spojrzenie.

- Chyba że się mylę - powiedziała Zula.

* * *

- Wystarczy! - krzyknął ślusarz. Huk wystrzałów i łomot kawałków betonu i szkła o dach mikrobusu prawie zagłuszyły jego głos. - Mam tego dość!

Pół siedział, pół leżał na podłodze mikrobusu, gdzie - z nogami skrzyżowanymi przed fotelem kierowcy i ciałem wkliniowanym pod radio - walczył ze stacyjką. Mózg podpowiadał mu, że powinien wyskoczyć z wozu i biec ile sił w nogach, ale nie było mu łatwo wyplątać się z tej pozycji.

Yuxia wyjrzała przez przednią szybę. Gliniarz z BBP cofał się spod budynku, patrząc w górę - tak samo jak wszyscy na ulicy.

Działo się coś naprawdę paskudnego. A Qian Yuxia była w tym czymś współniczką.

Sięgnęła w dół i złapała ślusarza za rękę, jakby chciała pomóc mu wstać. Zamiast tego przycisnęła mu nadgarstek do kierownicy. Wolną ręką chwyciła zwisające luźno kajdanki i zatrzaskała je na przegubie ślusarza.

- Możesz próbować otworzyć te kajdanki, a ja przez ten czas spróbuję wydrapać ci oczy - powiedziała. - Albo możesz odpalić silnik, a ja wtedy będę siedzieć cicho. Twoja decyzja.

* * *

Na całym świecie było zapewne nie więcej niż dziesięć tysięcy ludzi lepszych od Sokołowa w upadaniu na twarde powierzchnie i turlaniu się po nich. Zaliczali się do nich głównie cyrkowcy i mistrzowie aikido, a także wielu młodych specnazowców. O pozostałych mniej więcej sześciu miliardach istot ludzkich można było zwyczajnie zapomnieć.

Sokołow trochę późno zaczął, ponieważ został zwerbowany do Specnazu dopiero po dwóch turach w Afganistanie, ale z tego właśnie powodu trenerzy byli wobec niego

bezlitości. Kazali mu padać i przetaczać się po betonowych posadzkach tyle razy, że krew przesączała mu się przez mundur wszędzie tam, gdzie kości znajdowały się blisko pod skórą. Rzecz w tym, że przy dobrze wykonanym padzie nie powinno być ani krwi, ani nawet siniaków.

Różne siły specjalne na świecie wyznają różną filozofię prowadzenia skutecznej walki wręcz. Wedle doktryny obowiązującej w Specnazie żołnierz powinien być w ciągłym ruchu, przy czym ruch ów powinien odbywać się na wysokości znacznie poniżej jednego metra. Sterczenie jak kołek wyglądało dobrze w westernie, nie było jednak opłacalną taktyką w świecie broni automatycznej. Kolan, bioder, barków i łokci należało używać równie płynnie jak podeszew butów, natomiast dłonie zarezerwowane były do trzymania różnych rzeczy. Na przykład, broni. Sokołow został wyszkolony zgodnie z tymi zasadami i dopóki służył w Specnazie, starał się nie wyjść z wprawy. Nawet po przejściu do sektora prywatnego dalej ćwiczył sambo - radziecką sztukę walki, pod wieloma względami podobną do dżiu-dzitsu, w której dużo było upadania i turlania się. Kontynuował naukę, ponieważ w zawodzie konsultanta do spraw bezpieczeństwa ochrona prywatnych klientów - takiej, powiedzmy, gwiazdy filmowej w ośrodku narciarskim, albo żony prezesa korporacji na zakupach w centrum handlowym - wymagała czasem powalenia lub obezwładnienia przeciwnika, niekiedy zaś natychmiastowego naszpikowania go kulami lub śrutem.

Oczywiście, zwykle zaczynał od rozgrzewki i zamiatął podłogę, żeby mieć pewność, że jest czysta i wolna od różnych twardych śmieci, które mogłyby spowodować drobne urazy. Teraz brakowało mu tych luksusów, jednakże fakt, że jakiś wysoki Murzyn (prawdopodobnie islamski bojownik) celuje do niego z naładowanego AK-47, zapewnił mu wystarczającą motywację, by bez zbędnych wstępów przejść do działania.

Najpierw jednak posłał cztery kule prosto w ścianę obok drzwi, ku którym zamierzał się rzucić. Zrobił to, ponieważ kątem oka dostrzegł, jak ktoś ostrożnie wystawia przez drzwi głowę i zaraz ją cofa. To zachowanie uruchomiło w mózgu Sokołowa sieci neuronowe, które wykształciły się u niego w Afganistanie i Czeczenii.

Jak mógł posłać cztery kule w ścianę, skoro miał puste ręce? Odpowiedź brzmi: przeładowany pistolet znalazł się w jego dłoni, zanim Sokołow zdążył o tym pomyśleć. Jego pracodawca dostarczyłby mu dowolną broń i kaburę, o jaką Sokołow by poprosił, on jednak wolał zostać przy makarowie: standardowym pistolecie rosyjskiej armii, niedużym, samopowtarzalnym, nieskomplikowanym i pomieszkującym w nieco dziwacznej, lecz bardzo pomysłowej kaburze. W przeciwieństwie do większości kabur, które przypominały ślepe zaułki (broń można z nich wydobyć wyłącznie ciągnąc za kolbę), kabura używana przez

specnazowców była wyposażona w szynę, po której pistolet przesuwiał się na wylot. Dopóki nie działało się nic złego, pistolet tkwił wsunięty na górną część szyny, bezpieczny i z pustą komorą.

Kiedy zaczynało dziać się coś złego, wystarczyło opuścić rękę i uderzyć nasadą dłoni w kolbę broni, która przechodziła przez kaburę na wylot. Wbudowane w szynę zaczepy zahaczały o boczną powierzchnię pistoletu, powodując odciążenie zamka i wprowadzenie naboju do komory, dzięki czemu natychmiast po wyjęciu z kabury broń była gotowa do strzału. Mniej więcej jedną dziesiątą sekundy po tym, jak czarny mężczyzna powiedział „Allah akbar”, Sokołow odkrył, że trzyma w dłoni pistolet w takim właśnie stanie. Wycelował w ścianę obok drzwi i oddał cztery strzały najszybciej jak się dało, jednocześnie inicjując kontrolowany pad. Seria z AK-47 mogła przeciąć powietrze w szeroko rozumianych okolicach miejsca, gdzie przed chwilą stał, ale trudno było mieć co do tego pewność, gdyż w mieszkaniu zrobiło się dość głośno i Sokołowowi dzwoniło w uszach. Przetoczył się do sąsiedniego pomieszczenia, które okazało się składzikiem, może spiżarnią, z leżącym na podłodze pustym w tej chwili śpiworem. To właśnie niedawny mieszkaniec śpiwora cichaczem wstał, znalazł sobie własnego kałasznikowa i przed momentem zaglądał ukradkiem do dużego pokoju (gdzie czarny człowiek produkował saletrol); w tej chwili leżał bezwładnie na ziemi i niewiele robił. Sokołow nie widział ran po kulach, ale potulna mina i szklisty wzrok tamtego potwierdzały, że trafił. Już czyniąc te - pośpieszne, trzeba przyznać - spostrzeżenia, Sokołow zaczął strzelać do pokoju, z którego się ewakuował, ale Murzyn miał dość oleju w głowie, żeby zmienić miejsce pobytu, więc pokój był pusty. Sokołow, leżąc na wznak w rozlewającej się coraz szerzej kałuży krwi obcego człowieka, schował makarowa i sięgnął po AK-47. Karabin był trochę za duży i nieporęczny w tych warunkach, ale jego pociski przebijały ceglane ściany. Poza tym miał większy magazynek.

Jakiś idiota posłał serię z AK-47 w ścianę powyżej Sokołowa, obsypując mu twarz i głowę pokruszonym tynkiem. Sokołow sprawdził, czy karabin jest gotowy do strzału, przeturlał się do drzwi i wystrzelił trzy pociski w mężczyznę (nie Murzyna, lecz brodacza z Azji Środkowej), który był autorem serii. Strzelec najpierw zeszywniał, potem - równie szybko - zwiotczał, a Sokołow dla pewności strzelił jeszcze raz, mierząc bliżej środka jego ciężkości. Azjata osunął się na ziemię. Sokołow nie miał wątpliwości, że to Murzyn kazał mu tam stanąć i mieć oko na niego, Sokołowa. Z tego wniosek, że Murzyn (a) dowodził, oraz (b) właśnie próbował zwać. Głęboko zakorzeniony instynkt myśliwego podpowiadał Sokołowowi, że powinien ruszyć za nim w pościg - dopóki nie odezwała się inna, mądrzejsza część jego mózgu. Trzydzieści sekund temu stał na korytarzu z zamiarem nastraszenia

chińskiego hakera, a teraz chciał ścigać czarnoskórego bojownika islamskiego podczas bitwy na kałasznikowy w fabryce bomb?

Ponad ciałem przybysza z Azji Środkowej widział kraniec innego, większego pomieszczenia, które częste błyski wystrzałów trochę upodabniały do dyskoteki. Cokolwiek się tam działo (niewiele widział), nie mogło długo potrwać. Już w tej chwili widział sterczące zza drzwi nieruchome stopy jednego ze swoich ludzi.

Światło stało się jaśniejsze i zaczęło migotać.

Sokołow mógłby się przeczołgać jak zwyczajny piechociarz na drugą stronę mieszalni saletrolu, wtedy jednak byłby łatwym celem dla każdego, kto stanąłby w drzwiach naprzeciwko. Dlatego dźwignął się z podłogi i pokonał tę odległość jednym skokiem i padem. Przeturlał się i wylądował przy drzwiach, z karabinem gotowym do strzału.

Przywitał go rozlewający się po podłodze żółty jezor ognia. Odkoczył, ale płomień zdążył liznąć mu but, który natychmiast zajął się ogniem. Sokołow tupnął, udało mu się zgasić płomień, gdy nagle zaleciał go charakterystyczny silny zapach. Ktoś przebił puszkę z acetonem.

Na podłodze mniejszego pokoju leżały cztery całkowicie nieruchome ciała; dwa z nich należały do Rosjan. Trzech rannych (w tym jeden Rosjanin) przestało zawracać sobie głowę strzelaniną i próbowało wyturlać się albo wyczołgać z raptownie rozlewającego się płonącego rozpuszczalnika. Sokołow znalazł się w potrzasku, bo wyjście było po drugiej stronie ognistego jeziora. Tam też rozgrywała się w tej chwili cała strzelanina. W drżącym z gorąca powietrzu zobaczył stojących ludzi. Od razu zorientował się, że są wrogami; jego specnazowcy nigdy by się tak głupio nie odsłoniли. Mierząc ponad płomieniami, oddał pięć strzałów i odstrzelił tyłuż nieprzyjaciół. Jednakże sam fakt, że tak po prostu sobie tam stali, dowodził, że albo wszyscy ludzie Sokołowa zginęli, albo ci, którzy ocaleli, wycofali się na korytarz.

Ekspłodował jakiś pojemnik. Huczące płomienie wypchnęły Sokołowa z powrotem do mieszalni. Sokołow próbował zamknąć drzwi. Wszystkie okna za jego plecami zostały podziurawione zabłąkanymi kulami i żarłoczny ogień z głośnym świstem zasysał przez te dziury huragan tlenu. Podmuchał się w drzwi i je zatrzęsnał. Natychmiast zaczęły się w nich pojawiać małe okrągłe otworki. Drzazgi zafurkotały w powietrzu.

* * *

Hałas dobiegający z mieszkania piętro wyżej był dosłownie wstrząsający, ponieważ wywołał u Marlona i jego kolegów jak najbardziej fizyczną reakcję: mieli wrażenie, że jakiś olbrzym miażdży im wnętrzności wielkimi łapami. Instynkt kazał im się rzucić na podłogę.

Na suficie wykwitł szereg małych kraterów. Młodzi Chińczycy potrzebowali zdumiewająco dużo czasu, żeby skojarzyć, że otwory zostały wybite przez kule karabinowe.

Gdyby jacyś intruzi zaczęli łomotać w drzwi, może zareagowaliby nieco szybciej. Od początku zastanawiali się, co zrobią, jeśli pomysł z wirusem skończy się nalotem policji. Większość tych rozmów była prowadzona w podobnym duchu jak rozważania: „Co zrobimy, kiedy zombi opanują Xiamen?”, ponieważ szansa, że BBP zainteresuje się działalnością twórców komputerowego wirusa, naprawdę była niewiele wyższa niż prawdopodobieństwo plagi zombi. Mimo to, przedyskutowali problem i zgodzili się, że ucieczka głównymi schodami nie wchodzi w grę: na klatce na pewno będzie się roilo od policjantów (lub zombi). A najważniejsze, że byłoby to posunięcie niemądre, niefajne i kompletnie pozbawione hakerskiego ducha i klasy.

Nie można było polegać na istniejącej w bloku sieci elektrycznej, zaopatrzyli się więc w UPS-y, zasilacze awaryjne, żeby zapewnić komputerom zasilanie podczas przerw w dopływie prądu. W przypadku utraty zasilania UPS wydawał buczenie lub pisk, którym alarmował użytkownika i dawał mu czas na wyłączenie komputera, zanim bateria się wyczerpie.

Tego ranka Marlona obudziło zgodne popiskiwanie i buczenie kilkunastu zasilaczy awaryjnych. Nie było to jeszcze nic strasznego. Sęk w tym, że zazwyczaj przerwa w dopływie prądu trwała dłuższy czas, co UPS-y niezmiernie sygnalizowały. Dzisiaj było inaczej: zasilanie zostało odcięte tylko na krótką chwilę, na pewno poniżej minuty. Wystarczyło to, żeby obudzić Marlona. A potem przyszła seria bardzo krótkich wyłączeń, przy których zasilacze buczały i piszczały - raz krócej, raz dłużej - w powtarzającym się rytmie na trzy.

Ktoś próbował dać im jakiś znak. Marlon nie miał pojęcia kto to robi i po co, ale cała ta sytuacja uruchomiła drzemiące w nim skłonności paranoiczne. Przypomniał sobie o planie ewakuacji. Znał swoich kumpli na tyle dobrze, żeby podejrzewać, że doszli do podobnych wniosków.

Gdyby naprawdę doszło do najazdu zombi, mogliby jeszcze mieć jakiś pomysł, jak zareagować, ale rozgrywająca się piętro wyżej zajadła bitwa z użyciem broni maszynowej na chwilę ich sparaliżowała.

Nie chcieli znać swoich sąsiadów, nie chcieli mieć z nimi nic do czynienia i sami też im się nie narzucali. Tak zarządził Marlon. Miał dwadzieścia pięć lat, był z nich najstarszy i pomieszkiwał w takich miejscach od około dziesięciu lat, a może nawet dłużej - odkąd rzucił szkołę średnią, żeby zostać *zhongguo kuangong*, chińskim górnikiem złota, i poświęcić się karierze *dailian*, czyli nabijaniu poziomów w *World of Warcraft*, żeby potem wysoko

rozwinęte postaci sprzedawać klientom z *Omei* - Europy i Ameryki. Z początku tylko sypiał w tych lokalach, nie pracował w nich. Codziennie rano wstawał i, kołując piłką na ulicach Xiamen, wędrował do biurowca, w którym mieściła się średniej wielkości kopalnia złota: siedemdziesiąt pięć komputerów, na których w systemie zmianowym pracowało dwustu górników. Ponieważ jednak można prowadzić tę działalność z dowolnego komputera podłączonego do Internetu, nie było sensu zatrudniać się w instytucji, która zabiera człowiekowi część zarobków, więc po dwóch latach odszedł z firmy i z kilkunastoma innymi *zhongguo kuangong* założył własną ekipę. Wtedy też wynajęli sobie mieszkanie, w którym wszyscy pracowali, a większość także mieszkała.

Trwało to niespełna dwa lata. Obecna ekipa Marlona, zajmująca to mieszkanie, wykształciła się na drodze podziału, który w poprzedniej grupie narastał powoli, ale w końcu okazał się nie do naprawienia. Jedna z frakcji, coraz bardziej konserwatywna, w miarę jak jej członkowie żenili się i zaczęli szukać stabilizacji w życiu, chciała ograniczyć się do przynoszącego pewniejszy i bezpieczniejszy zarobek rynku krajowego, na którym można było wybierać wśród kilku chińskich gier, takich jak *Ao'ba Jianghu*, i nie martwić się zagrożeniem ze strony Blizzarda, producenta *World of Warcraft*, usiłującego zlikwidować kopalnie złota. Odłam prowadzony przez Marlona doceniał zaś wyższe zyski - choć obarczone większym ryzykiem - płynące z *WoW* i rynków zagranicznych.

O to przynajmniej się spierali i taki był oficjalny powód rozłamu, ale w rzeczywistości o wszystkim zdecydowała duma. Niektórym górnikom było wstyd, że mieszkają w klitkach i w taki sposób zarabiają na życie. Chcieli albo się z tego wyrwać, albo przynajmniej w jakiś znaczący sposób zmienić charakter pracy. Tymczasem chłopaki od Marlona nie miały takich zastrzeżeń. Dla nich była to robota nie gorsza od innych, a od wielu nawet lepsza: produkowali towar i sprzedawali go na wolnym rynku. Nie musieli przy tym użerać się z upierdliwym szefem ani martwić szkodliwymi warunkami pracy. I cały czas szukali nowych okazji do zarobku.

Skończyło się podziałem i przeprowadzką. Mniej więcej w tym samym czasie na rynku pojawił się *T'Rain*. Z miejsca przypadł im do gustu. Podobało im się mniejsze ryzyko, zaangażowanie twórcy *Ao'ba Jianghu*, oraz fakt, że od samego początku, od poziomu płyt tektonicznych grę zaprojektowano z myślą o *da G shou*, jak się teraz nazywali. Zbieracze złota. I przez jakiś czas było im z *T'Rainem* bardzo dobrze.

Mniejsze ryzyko wiązało się jednak z intensyfikacją zarządzania, jeśli można tak powiedzieć. Trudniej było zrobić jakiś większy skok, kiedy każdy ich ruch był uważnie obserwowany, dokładnie analizowany i pieczołowicie kontrolowany przez zainstalowaną w

Seattle matematyczną maszynę.

Chociaż nie dało się wykluczyć i takiej możliwości, że rzucili się na *T'Rain* powodowani nastoletnim złudzeniem, że uda im się jakoś zrobić przekręt życia - a potem zwyczajnie dorośli.

Tak czy inaczej, po mniej więcej dwóch latach do ekipy *da G shou* zaczęło docierać, że prawdopodobnie już do końca życia będą harować w ten sposób. Do tej niewesołej świadomości szybko dorobili ideologię pokrzywdzonych. No bo najpierw cwani Chińczycy stworzyli przemysł wydobywania złota i nie dali mu zginąć mimo zajadłych ataków Blizzarda, a potem przyszedli ci od *T'Rainu*, zrobili z Nolana Xu swojego sługusa i dzięki niemu zwerbowali ich do pracy w swojej zamorskiej kolonii, z której czerpali niebotyczne zyski.

W czasach *WoW* często zdarzało się, że *zhongguo kuanggong* padali w świecie gry ofiarą zasmucających napaści i bezlitosnych prześladowań ze strony rasistów z *Omei*, których bawiło zabijanie postaci podejrzanych o przynależność do chińskiego gracza. Tożsamość napastników stała się wkrótce tajemnicą poliszynela. Marlon z kolegami stworzyli gildię zrzeszającą samych Chińczyków. Nazwali się „Bokserami”, byli prawie niezwyciężeni i tropili swoich prześladowców i uprzykrzali im życie tak długo, aż ci byli zmuszeni zlikwidować swoje postaci i stworzyć nowe pod przybranym nazwiskiem. Kiedy Marlon z chłopakami przerzucili się na *T'Rain*, Bokserzy poszli w odstawkę, ostatnio jednak postanowili ich ożywić. W nowym wcieleniu gildia nie zamierzała już tylko włóczyć się po świecie i dręczyć dręczycieli, lecz wykroiła sobie kawałek terenu na Pogórze Torgai i, broniąc go przed intruzami, zaczęła poszerzać swoje terytorium. REAMDE był po prostu najnowszym - i zdecydowanie najbardziej lukratywnym - mechanizmem finansowania ich rebelianckiej enklawy. Bez większego wysiłku zarabiali dość, żeby pozwolić sobie na wynajęcie większego mieszkania, może nawet biura, lecz Marlon, zaprawiony w bojach weteran, który widział już rozwój i upadek wielu takich projektów, nie śpieszył się z kolejną przeprowadzką. Owszem, to była nora - ale była tania, znajdowała się blisko *wangba* z łatwym do przekupienia gliniarzem, a jej właściciel nie czepiał się ich i nie zadawał pytań. Na dobrą sprawę nie było żadnego poważnego powodu do przenosin. Zresztą, wielu najemców podobnie postrzegało tutejsze mieszkania.

Dopóki wystrzelwane z dużą prędkością początkową pociski nie zaczęły spadać im na głowy, Marlon nie zawracał sobie głowy rozważaniem ewentualnych minusów posiadania sąsiadów, którzy podzielają jego wizję zdanej do zamieszkania nieruchomości. Miał niejasne przecucie, że mieszkanie na górze jest nieprzeciętnie gęsto zaludnione, ale w takich blokach nie było to niczym niezwykłym. Zdarzało się czasem, że po drodze na dach, gdzie grywali w

kosza, napotykali ludzi, którzy wyglądali jak *waidi ren* (nietutejsi, cudzoziemcy wewnętrzni) albo nawet *waiguo ren* (prawdziwi obcokrajowcy). Bywało też, że - kiedy wiatr wiał z odpowiedniego kierunku - zalatywało jakimiś chemikaliami, trudno jednak było określić, skąd te zapachy pochodzą.

Teraz te właśnie chemikalia skapywały kroplami z sufitu przez dziury po kulach. Co więcej, te krople płonęły.

Marlon jak urzeczony wpatrywał się w kałużę płonącego acetonu rozlewającą się po stercie kolorowych pism, dopóki do jego świadomości nie przebił się fakt, że inni, młodszy, patrzą na niego wyczekująco.

- Zombi - obwieścił i doskoczył do najbliższego okna.

Okna na fasadzie bloku miały małe balkoniki, odstające nie dalej niż na metr od ściany i dla bezpieczeństwa zamknięte ze wszystkich stron żelaznymi prętami. Niektóre kratownice wyposażono w otwierające się na zewnątrz włazy. Włazy te zwykle zamykano na kłódkę, ale jednym ze skutków dyskusji o inwazji zombi było postanowienie, żeby klucze do tych kłódek przechowywać zawieszane na gwoździu na balkonie - dostatecznie daleko do krat, żeby żaden złodziej do nich nie sięgnął, ale wystarczająco blisko, żeby łatwo było je zgarnąć podczas panicznej ucieczki. (Ujmując rzecz nieco bardziej realistycznie, ludzie Marlona obawiali się sytuacji, w której zostaliby zamknięci bez wyjścia w płonącym budynku). Były trzy włazy, trzy kłódki i trzy klucze. Pierwsi członkowie ekipy ewakuowali się już przez jeden z włazów. Marlon złapał więc najbliższego stojącego kumpla za rękę i pchnął go w kierunku drugiego włazu, upewniwszy się wcześniej, że wie, co ma robić, sam zaś pobiegł do trzeciego, który znajdował się w kuchni. Wziął klucz z gwoźdźca, zdjął kłódkę i otworzył właz.

Wyjrzał przez okno. Ulica była daleko. Przy wejściu stał mikrobus - czyżby wóz gangsterów? Nieważne. Piętro wyżej działy się niewyobrażalnie straszne rzeczy, kawałki szkła i tynku sypały mu się na głowę, jego własne mieszkanie ogarniał pożar. Młodszy chłopcy z *da G shou*, ci, za których czuł się odpowiedzialny, stłoczyli się za nim w kolejce do okna. Zastanawiał się przez chwilę, czy powinien ewakuować się ostatni, jak kapitan tonącego statku, czy wskazać im drogę swoim przykładem, jak sierżant prowadzący natarcie. Wybrał to drugie rozwiązanie. Stał tyłem do okna, wychylił się przez właz, chwycił się krat u góry i wyslizgnął na zewnątrz. Znalazłszy oparcie dla stóp, bokiem odsunął się sprzed włazu, robiąc miejsce następnym.

* * *

Nawet w piwnicy odgłosy strzelaniny od początku brzmiały przerażająco, ale

najgorsze było to, że z czasem stawały się coraz głośniejsze. Zula - doprowadzona do białej gorączki przez swoją nieprzydatność spowodowaną nieumiejętnością otwarcia kajdanek - mogła tylko stać i czekać, aż coś się zmieni.

Myśl, Zula.

Czy nastoletni chińscy hakerzy trzymają w mieszkaniach znaczną liczbę broni automatycznej? A jeśli nawet, to czy umieją się nią posługiwać aż tak dobrze, żeby stawić realny opór takiej ekipie, jak konsultanci Sokołowa?

Peter już się wyswobodził. Zula odwróciła się do niego, licząc na to, że pierwsze kroki skieruje w jej stronę i spróbuje ją także uwolnić. Nawet obróciła nadgarstek w taki sposób, żeby ułatwić mu zadanie.

Nie podszedł do niej.

- Rozejrzę się - powiedział po chwili milczenia.

To była długa chwila. Zbyt długa. Miał mnóstwo czasu na przemyślenia.

- Peter?

Stojąc tak z ręką ustawioną w najdogodniejszej, jak sądziła, pozycji, czuła się jak ubrana w elegancką suknię dziewczyna wystawiona do wiatru przez absztyfikanta, który miał ją zabrać na bal pomaturalny.

- To będzie tylko krótki zwiad - zapewnił ją Peter.

Zachowywał się i mówił tak samo, jak w tamtą noc, kiedy wracali z Kolumbii Brytyjskiej. Pełny tryb unikowy.

- Cokolwiek dzieje się tam, na górze, nie ma nic wspólnego z hakerami - zauważyła. - To jakaś poważniejsza sprawa.

- Zaraz wracam. - Peter podszedł do podstawy schodów. Zawahał się, nie potrafił spojrzeć jej w oczy. - Zresztą, nieważne...

Przygarbił się i ruszył na górę.

* * *

Marlon widział jeszcze czterech innych chłopaków z *da G shou*, uczepionych krat jak pająki i wypatrujących drogi na dół. Poruszanie się po fasadzie budynku w ten sposób nie było szczególnie trudne, ponieważ co najmniej w pięćdziesięciu procentach była pokryta takimi kratami, jak ta, z której zwiślał Marlon. Jedyne potencjalnie kłopotliwy aspekt takiej wspinaczki polegał na konieczności wyszukiwania przejść między mieszkaniami, z jednej kraty na drugą. W wielu wypadkach zadanie to ułatwiały inne przymocowane do ściany obiekty: markizy, uchwyty do klimatyzatorów, pęki kabli, rury, rynny oraz niby-europejski miszmasz detali architektonicznych odlanych w betonie.

Nad głową Marlon miał wiązkę przewodów biegnącą nad ulicą do budynku po drugiej stronie. Wyraźnie widział odcinającą się od innych przewodów niebieską skrętkę piątej kategorii, którą dołączyli z chłopakami zaraz po wprowadzeniu się. Gdyby zdołał się do niej wspiąć, mógłby potem prześlizgnąć się po niej do domu naprzeciwko. Byłoby to jednak chyba niepotrzebne ryzyko, skoro mógł po prostu zejść na dół.

Okno nad jego głową, na czwartym piętrze, wybuchło, obsypując go deszczem szkła. Zamknął oczy, schylił głowę i poczekał, aż odłamki przestaną lecieć, a potem zaczął przemieszczać się w bok najszybciej jak się dało, ponieważ eksplozja okna nie była zjawiskiem jednorazowym: ktoś na górze systematycznie wybijał kolejne szyby za pomocą jakiegoś twardego i ciężkiego przedmiotu. Marlon zaryzykował szybki rzut oka w górę i zidentyfikował przedmiot jako kolbę karabinu. Odsunął się w bok najszybciej, jak umiał. Jego kumple powychodzili przez ten sam włącz, rozejrzeli się i instynktownie zamierzali ruszyć za przywódcą, ale Marlon wykierował ich w przeciwną stronę, gestykulując wściekle i zerkając znacząco na tłukącą szkło broń. W mig pojęli, o co mu chodzi.

W dole, na ulicy, krzyczeli ludzie. Zignorował to.

Gdzieś nad nim rozległ się strzał, zaraz potem drugi; za każdym razem wstrząs omal nie strącił go z kratownicy. Kawalki metalu zafurkotały w powietrzu i Marlon zrozumiał, że ktoś odstrzelił kłódkę zamykającą włącz, a ponieważ nie miał pojęcia, co to oznacza, zaczął poruszać się jeszcze szybciej i bardziej brawurowo i w kilka sekund dotarł do narożnika budynku. W dole wąziutki zaułek dochodził do większej ulicy, tej od frontu. Piętro niżej znajdowała się wiekowa markiza, której falistą blachę rdza poprzęrała na wylot. To akurat był korzystny zbieg okoliczności, bo po nowiutkim metalu po prostu by się zsunął, a ten zapewniał solidne tarcie i liczne chwytły.

Po kratkach naokiennych zszedł na wysokość zardzewiałego daszku. Złapawszy się wspornika pod klimatyzator i rynny, przewinał się przez narożnik i opadł na markizę. Po dziesięciu metrach przemieszczania się po niej w kierunku poziomym dotarł do połowy długości bocznej ściany, którą wyznaczał pionowy ciąg okienek klatki schodowej. Równoległe do niego biegła wiązka przewodów, bardzo gęsta, bardzo gruba i obfitująca w dogodne uchwyty. Wbił w nią palce, wczepił się mocno, a potem zaparł się stopami o ścianę i zaczął po niej schodzić jak człowiek-mucha.

Na wysokości pierwszego piętra o mały włos nie wypuścił pęku kabli z rąk, gdy w okienku pojawiła się czyjaś twarz; była tak blisko, że gdyby nie brudna szyba, wystarczyłoby wyciągnąć rękę, żeby jej dotknąć. Była to twarz białego człowieka, okrągła, ciężka, zarumieniona z podniecenia, zwieńczona zaczesanymi w tył czarnymi włosami. Mignęła

Marlonowi przez sekundę i zniknęła, gdy jej właściciel pobiegł dalej w dół schodów.

Ale mimo ogólnego zgiełku i dzielącego ich szkła, Marlon wyraźnie usłyszał, jak tamten wykrzykuje jedno angielskie słowo:

- TY!

Na moment ciekawość wzięła u Marlona górę nad instynktem samozachowawczym. Zbyt długo już tkwił w jednym miejscu, teraz znów skoncentrował się na wiązce kabli, szukając dalszych chwytów. Bardzo chciał zejść niżej i zobaczyć, kim jest TY.

Jego uwagę zwrócił jednak kolejny ruch w oknie. Druga twarz, słabo widoczna przez brudną szybę: schodzący po schodach mężczyzna, który zakręcał właśnie na półpiętrze, pod kilkoma względami wyraźnie różnił się od poprzednika. Przede wszystkim był czarny, a w tych okolicach czarnych widywało się rzadko. Dwóch chłopaków z *da G shou* wspominało coś o widzianym na korytarzu czarnym człowieku, ale wtedy Marlon ich wyśmiał, że oglądają za dużo kosza w telewizji. Nie dało się jednak ukryć, że teraz i on zobaczył jakiegoś czarnego, i to dość wysokiego. Czarny był uzbrojony w karabin (w którym Marlon rozpoznał znany mu z gier AK-47) i w odróżnieniu od białego poruszał się ostrożnie, można by rzec: ukradkowo.

Zakręcił na półpiętrze, odwrócił się tyłem do Marlona, zszedł jeszcze dwa stopnie i nagle zamarł bez ruchu. Marlon przez ten czas ani drgnął, bojąc się, że gwałtownym poruszeniem może zwrócić na siebie uwagę, ale teraz z takim pośpiechem ruszył w dół, że na moment zawisł na jednej ręce, nim znalazł oparcie dla stóp i wczepił się w kable drugą dłonią.

W oknie na parterze znów zobaczył tego pierwszego - białego grubasa: stał plecami do okna, vis-à-vis innego białego, który najwyraźniej wyszedł z piwnicy. Ten drugi był młody, szczupły, miał przydługie włosy i wyraźny cień zarostu. Marlon nie widział za dobrze jego twarzy, ale język ciała dowodził jednoznacznie, że jest roztrzęsiony ze strachu i zaraz się rozklei. Przywarł plecami do ściany, jakby każdy dodatkowy cal oddalenia od grubasa mógł w jakiś sposób poprawić jego sytuację. Spuścił głowę, odwrócił ją lekko w bok i zasłonił się rękami. Grubas krzyczał na niego po angielsku, ale Marlon nie rozumiał ani słowa - po części z winy szyby i ogólnego rozgardiaszu (choć strzelanina już ucichła), a po części dlatego, że (jak właśnie sobie uświadomił) grubas mówił z wyraźnym dziwnym akcentem. W dodatku, wprost nie posiadał się ze złości - która zresztą chyba narastała, w miarę jak coraz głośniej krzyczał i coraz mocniej gestykulował.

Nakręcał się.

Zamierzał zrobić coś okropnego temu młodszemu.

Nagle Marlon zauważył, że w dłoni grubasa pojawił się pistolet.

W końcu grubas uznał, że jest gotowy, i wycelował pistolet w młodego, który próbował schować się za swoimi białymi dłońmi. Rozległ się trzykrotny ogłuszający łoskot. Grubas mruknął coś pogardliwie, wyminął młodego, który właśnie osuwał się na ziemię, i zbiegł po schodach.

Po chwili czarny mężczyzna dyskretnie ruszył za nim.

* * *

Olivia Halifax-Lin przyjęła z mieszanym uczuciami wiadomość o ucieczce Abdallaha Jonesa z Mindanao i jego pojawieniu się w Xiamen. Wszystko dlatego, że poświęciła prawie rok (a MI6 wydało pół miliona funtów) na stworzenie fałszywej chińskiej tożsamości, która umożliwiłaby jej wykonywanie obowiązków głęboko zakamuflowanej tajnej agentki w Państwie Środka. Serdecznie nienawidziła Abdallaha Jonesa, lecz ściganie islamskich zamachowców właściwie nie leżało w jej kompetencjach.

Każda rodzinna fotografia Halifax-Linów dowodziła, że skutki krzyżowania się ras są nieprzewidywalne. Olivia miała dwoje rodzeństwa. Jej starszy brat w Walii uchodził za Walijszczyka, na wycieczce do Portugalii był brany za Portugalczyka, a w Niemczech Turcy zagadywali go po turecku. Ich młodsza siostra miała klasyczne rysy dziecka z mieszanego rasowo małżeństwa. Natomiast Olivia mogła przejść dowolną ulicą w Chinach, nie przyciągając nadmiernej uwagi. W małym miasteczku wyróżniałaby się zapewne jako *waidi ren*, ale w wielkim mieście nikt nie wzięłby jej za *waiquo ren*.

Ich ojciec był ekonomistą. Urodził się i wychował w Pekinie, skąd przed dwudziestką przeprowadził się do Hongkongu, a ostatecznie wylądował na uczelni w Londynie, gdzie ożenił się z matką Olivii, logopedą. W domu mówiło się po angielsku i mandaryńsku. Olivia studiowała w Oxfordzie historię Dalekiego Wschodu, a ponieważ do dobrego tonu należało poznanie przynajmniej jednego języka, którego wcześniej się nie znało, przez dwa lata uczyła się rosyjskiego.

Lubiła międzynarodowe towarzystwo i dużo czasu spędzała w studenckiej stołówce St. Antony's College, gdzie pewnego dnia jeden z profesorów zasugerował jej w sposób zawołowany, delikatny, niemal podprogowy, że (ehm, ehm) MI6 wie o jej istnieniu. Pochlebilo jej to, ale odrzuciła tę propozycję (o ile faktycznie była to propozycja), tłumacząc się zamiarem obronienia magisterium ze stosunków międzynarodowych na University of British Columbia. Dopiero później miałyby rozważyć ewentualny powrót do St. Antony, żeby tu zrobić doktorat.

Przez ten czas profesor zdążył postawić jej drinka, a po upływie kolejnych paru minut przedstawił jej dziwaczną sugestię. Vancouver miało ogromną społeczność chińską,

prawdziwe miasto w mieście, dostatecznie gęsto zaludnione, żeby pojawienie się - w sklepie czy bloku mieszkalnym - nieznanym kobiecie wyglądającej i zachowującej się jak Chinka nie było niczym niezwykłym. Olivia pamiętała tę rozmowę jak przez mgłę (miała słabą głowę), ale była niemal pewna, że profesor użył w niej zwrotu „szpiegowski Disneyland”, a kiedy poprosiła, żeby wyjaśnił, co ma na myśli, odparł, że ktoś taki jak ona mógłby wybrać się do chińskiej dzielnicy w Vancouver, spróbować podać się za Chinkę i sprawdzić, czy ktoś odkryje podstęp. W ten sposób wyrobiłaby sobie pewne pojęcie o pracy tajnej agentki w Chinach, a przy tym cały zabieg byłby równie bezpieczny - i równie nieprawdziwy - jak Disneyland.

Pomysł zostania agentką MI6 wydał jej się z początku komiczny, musiała jednak przyznać, że odwołuje się do tej samej części jej natury, której frajdę sprawiało grywanie w amatorskim teatrze - co (poza sporadycznym i niespecjalnie entuzjastycznym pogrywaniem w hokeja na trawie oraz uprawianiem kung-fu) było jej głównym zajęciem dodatkowym. Zagrała szesnaście ról z tekstem w tuzinie przedstawień. Liczby te wyglądały w gruncie rzeczy dość zabawnie, ponieważ najczęściej obsadzano ją w rólkach tak małych, że po zmianie kostiumu mogła zagrać więcej niż raz w tej samej sztuce. Z biegiem czasu nabrała doświadczenia i awansowała do ról przyjaciółek i pomagierek głównych bohaterów w różnych małych teatrach w okolicach Oxfordu i większych ambicji teatralnych nie miała, ale nauczyła się, że decyzje kierowników castingu są odbiciem sposobu, w jaki jest postrzegana przez ludzi w ogóle, a przez mężczyzn w szczególności. Nowi mężczyźni w jej otoczeniu najpierw ją ignorowali. Potem niektórzy zaczęli się jej ciekawie przyglądać, po czym albo wracali do ignorowania jej, albo w jakiś sposób dawali jej do zrozumienia, że jest piękna, że wcale nie jest to takie oczywiste i że należy im się jakaś nagroda albo chociaż pochwała za to, że byli na tyle bystrzy, żeby to dostrzec. Reżyserowie przydzielali jej różne role - większe lub mniejsze, w zależności od miejsca, jakie zajmowali w kontinuum podziwu dla jej urody - ale role główne zawsze jej się wymykały, właśnie z wyżej wymienionego powodu.

Tymczasem do zabawy w szpiegów najlepiej nadawali się odtwórcy epizodów, ról kumpelek i pomagierek. To nie jest robota dla Jamesów Bondów.

Istniało chyba sześć zdjęć (najczęściej pstrykniętych potajemnie, telefonem komórkowym), na których wyglądała naprawdę prześlicznie. Przekonała się, że może sprawić, że ludzie będą szukać tego piękna - i w końcu je dostrzegą - jeśli tylko będzie wyglądać tak, jakby tego oczekiwała. Równie dobrze mogła je przed nimi ukryć, ubierając się i zachowując odpowiednio. Pomyślała, że to cenna umiejętność dla szpiega.

* * *

Po pół roku pobytu w Vancouver nasza ją straszna ochota na zupe z beninkazy, co zaowocowało spontanicznym wypadem do chińskiej dzielnicy - nie tej starej, w centrum miasta, tylko nowej, na przedmieściach. W sklepie wytargowała beninkazę długą jak jej ręka, a po zawarciu transakcji sprzedawca zagadnął ją jeszcze, od jak dawna mieszka w Kanadzie.

- Sześć miesięcy - odparła, na co on grzecznie zapytał, z której części Chin pochodzi.

Zamiast tłumaczyć mu rodzinne zawilości, powiedziała po prostu „Pekin”, co sprzedawca przyjął bez cienia sceptycyzmu, a do rozmowy włączyli się inni klienci, którzy również uznali ją za rodowitą Chinę.

Na drugim roku przeprowadziła się więc do bloku w okolicy zamieszkaney głównie przez Chińczyków, gdzie bez większego wysiłku uchodziła za studentkę z Pekinu. Najbliżej zdemaskowania znajdowała się w momentach, gdy komentowano (miała nadzieję, że pochlebnie) jej urodę. Z drugiej strony - wzrost Yao Minga też pewnie często wywoływał różne komentarze, ale nikt nie wąpił, że Yao Ming jest Chińczykiem.

Któregoś dnia została zaproszona na herbatę (po angielsku) przez kobietę z brytyjskiego konsulatu w Vancouver, która - znów w ten sam zawoalowany i delikatny sposób - zainteresowała się jej planami na przyszłość: czy nadal uwzględnia w nich doktorat w St. Antony's, czy też byłaby skłonna zrobić sobie wcześniej wolne i zdobyć doświadczenie zawodowe? Kiedy Olivia nie wykluczyła tej możliwości, herbatki u pani z konsulatu na stałe wpisały się w jej grafik i doprowadziły do obiadów w sympatycznych restauracjach w Londynie, dokąd wyjechała na wakacje.

Zacęła nie robić pewnych rzeczy, które - gdyby je zrobiła - uniemożliwiłyby jej w przyszłości pracę dla MI6. Nie założyła sobie profilu na Facebooku. Nie wrzuciła swoich fotografii na Flickr. Nie pojechała do Chin, dzięki czemu tamtejszy rząd nie miał jej zdjęć ani żadnych innych śladów jej istnienia. Nie zrobiła tych wszystkich rzeczy z jednego prostego powodu: pojawiające się w jej życiu wtyki z MI6 za każdym razem pytały, czy je zrobiła, a kiedy odpowiadała „nie”, reakcją było pełne aprobaty uniesienie brwi.

Tak trafiła do Londynu i MI6, gdzie przeharowała dwa lata jako analityk, szlifując swoją fałszywą tożsamość i pisząc raporty na mało istotne tematy, z których jednym był walijski terrorysta Abdallah Jones. Jones interesował ją w sposób szczególny, ponieważ w Cardiff wysadził kiedyś w powietrze autobus, którym podróżowała partnerka do brydza jej ciotecznej babki.

Dowiedziała się, że pochodzi z Indii Zachodnich, czyli jest potomkiem niewolników zwożonych na Karaiby do pracy na plantacjach trzciny cukrowej. Wychował się w slumsach Cardiff, skąd wyniósł uzależnienie od heroiny. Z nałogu wyszedł z pomocą miejscowego

muły, który nawrócił go na islam. Uwolniwszy się z chemicznych kajdan, podjął studia na Wydziale Nauk o Ziemi w Aberystwyth, które kontynuował w Akademii Górniczej w Kolorado, gdzie solidnie przyłożył się do zgłębienia tajemnic różnych materiałów wybuchowych. Po powrocie do Walii związał się z radykalną komórką islamistyczną i zjadł zęby na wysadzeniu autobusów w Walii i Anglii Środkowej, zanim emigrował do Londynu i przerzucił się na stacje metra. Kiedy ta działalność uczyniła zeń obiekt intensywnego zainteresowania policji, przeniósł się najpierw na północ Afryki, skąd następnie trafił do Somalii, Pakistanu (gdzie osiągnął swój największy sukces: podłożona przez niego w hotelu bomba zabiła sto jedenaście osób), dalej do Indonezji, południowych Filipin, Manili, na Tajwan, aż w końcu wylądował, o dziwo, w Xiamen. Kolejne etapy jego wędrówki wyglądały całkiem sensownie - z wyjątkiem dwóch ostatnich.

Ludzie często powtarzali, że Abdallah Jones jest dla MI6 tym samym, czym Osama bin Laden dla CIA, ale zdaniem Olivii pomijali w tym twierdzeniu kilka ważnych aspektów. Zgoda, Jones był numerem jeden na liście celów MI6 - w tej kwestii analogia sprawdzała się bez zarzutu. Ale poza tym... Olivia przy każdej nadarzającej się okazji podkreślała, że porównanie Jonesa z bin Ladenem jest niebezpieczne, ponieważ umniejsza zagrożenie ze strony tego pierwszego. Bin Laden najlepsze dni miał już za sobą. Stał się jednym z najsławniejszych ludzi w dziejach; gdyby teraz wyściubił nos ze swojej jaskini, Internet by się zapchał. Tymczasem o Jonesie poza granicami Wielkiej Brytanii mało kto słyszał, mimo że w ośmiu zamachach zabił łącznie sto sześćdziesiąt trzy osoby, a nie miał jeszcze trzydziestki i nie było cienia wątpliwości, że w przyszłości ofiar będzie więcej.

Chyba że zostanie złapany, naturalnie.

Ponieważ wyjechał z Wielkiej Brytanii i raczej nie zanosił się na to, by miał tam wrócić, musiałby zostać złapany gdzieś za granicą.

Niezręczne to.

Na szczęście, istniało coś takiego jak MI6, byt, którego celem było działanie w tych wszystkich miejscach, które dziwnym zrządzeniem losu nie należały do Zjednoczonego Królestwa. Dlatego, gdy przełożeni poprosili Oliwię o pisanie raportów na temat Abdallaha Jonesa, nie chodziło im tylko o dalsze tuczenie jego i tak już opasłego dossier. Zamierzali coś wymyślić, żeby go złapać lub zabić.

Olivia zakładała, że jej to i tak nie dotyczy. Znała angielski, mandaryński, rosyjski (słabiej) oraz walijski (jeszcze słabiej), było więc mało prawdopodobne, żeby wysłano ją jako tajną agentkę w rejony, w których obracał się Jones. Dlatego też wszystkie te perfekcyjnie wypielegnowane notatki służbowe i PowerPointowe prezentacje o tym, jakim złym

człowiekiem jest Jones i jak bardzo ważne jest złapanie go, przygotowywała całkowicie bezinteresownie. Nawet gdyby MI6 rzuciło w pogoń za Jonesem cały swój roczny budżet, nie przysporzyłoby to Olivii Halifax-Lin władzy ani okazji do okrycia się chwałą.

* * *

Po strzelaninie w Mindanao, w której poległo kilkunastu amerykańskich i filipińskich żołnierzy służb specjalnych, Jones na dwa miesiące przeniósł się do Manili, skąd zmył się dwie godziny przed nalotem policji, zostawiając po sobie w pełni wyposażoną (i zaminowaną) fabrykę bomb. Pewne poszlaki wskazywały, że na pokładzie kutra rybackiego przedostał się na Tajwan. Chińskojęzyczne rejony świata nie były tradycyjnym ośrodkiem działania terrorystów islamskich, dlatego powody, dla których Jones wyprawił się na Tajwan, oraz to, czym się tam zajmował, pozostawały przedmiotem domysłów.

Przyczaił się tam na sześć miesięcy, zanim wykonał skok przez cieśninę do Xiamen. Tak jakby nie mógłby wybrać innego miejsca.

Wszystkie te doniesienia, choć sprawiały wrażenie mało konkretnych, były w rzeczywistości bardzo precyzyjne i dowodziły istnienia nadzwyczajnych źródeł informacji. Nie powiedziano tego Olivii wprost, ale bez trudu domyśliła się, że MI6 ma w Pakistanie swojego człowieka, który na bieżąco przegląda korespondencję Jonesa z Al-Kaidą.

Potwierdzone tym kanałem fakty nie podlegały wątpliwości: MI6 znało nazwę miasta (Xiamen) oraz dwa numery telefonów komórkowych. Za pomocą aparatury radiowej namierzono cyfrowe sygnatury obu telefonów i metodą kolejnych przybliżeń ustalono lokalizację użytkowników. Wymagało to współpracy amerykańskich agencji o trzyliterowych nazwach, które zapewniły niezbędny sprzęt wywiadowczy: satelity, stacje nasłuchowe na należącej do Tajwanu pobliskiej wyspie Kinmen oraz zdalnie sterowane odbiorniki zainstalowane w Xiamen przez agentów, którzy - co zrozumiałe - nie mieli pojęcia, co naprawdę robią i na czyje zlecenie.

Całą tę wstępną fazę operacji oparto na przedstawionym przez Oliwię założeniu, że Jones większość czasu musi spędzać w jednym miejscu. Wysoki Murzyn zwracałby w Chinach powszechną uwagę, dlatego musiał mieć jakąś bezpieczną kryjówkę, w której siedział dniem i nocą, komunikując się ze światem przez komórkę. Wszystko to było całkowicie oczywiste dla każdego, kto choć raz był w Chinach (albo choćby w Chinatown), ale musiała to być cenna wskazówka dla ludzi z MI6, którym wydawało się, że skoro Xiamen jest dużym międzynarodowym portem, Jones może sobie tam chodzić po ulicach równie swobodnie jak w Paryżu czy Berlinie.

Dzięki temu całemu oprzyrządowaniu spece od wywiadu elektronicznego zawężili

obszar poszukiwań Jonesa do mniej więcej jednego kilometra kwadratowego, zanim Jones poszedł po rozum do głowy, wyrzucił stare telefony i kupił sobie nowe.

Dzień po tym, jak stare telefony zniknęły z radaru, Olivię zapakowano w samolot do Singapuru.

* * *

Nie otrzymawszy tam żadnych konkretnych rozkazów, kręciła się kilka dni po Chinatown, upewniając się, że naprawdę może uchodzić za Chinkę.

Następnie - w nagłym i tajemniczym stylu, do którego zaczynała się przyzwyczajać - została przerzucona do Sydney, skąd trafiła na lotnisko w miejscu zwanym Wyspą Hamiltona, gdzie przywitał ją John, spalony słońcem Brytyjczyk, dawny komandor marynarki wojennej, obecnie zatrudniony (lub udający zatrudnienie) w charakterze instruktora nurkowania. Z lotniska John i Olivia przeszli (pierwszy raz w życiu opuściła lotnisko na piechotę) na odległą o kilkaset metrów przystań, gdzie czekała już na nich łódź dla nurków. Olivia rozgościła się w kabinie, a John przez ten czas przewiózł ich na odległą o kilka kilometrów mniejszą wysepkę.

Tam przez trzy dni uczył ją wszystkiego, co wiedział o nurkowaniu z akwalungiem.

Następnie odwiózł ją z powrotem na lotnisko, wziął ją w słono-piaszczysty pożegnalny uścisk i wsadził do następnego samolotu. Było jej żal, że już muszą się rozstać, ale w głębi duszy czuła także ulgę. Niespełna dwanaście godzin po tym, jak weszła na pokład jego łodzi, zaczęli uprawiać seks - i robili to z krótkimi przerwami aż do rozpoczęcia powrotnego spaceru z łodzi na lotnisko. Była to w życiu Olivii zdecydowanie najszybciej rozwinięta znajomość z mężczyzną. Była nią podekscytowana, poruszona i zakłopotana i zdawała sobie sprawę, że jeśli spędzi na tej łodzi jeszcze choćby jeden dzień, zaczną się kwasy, które mogą nawet zepsuć jej karierę.

Poleciała do Singapuru, czując jeszcze na sobie dotyk dłoni Johna. Zgodnie z instrukcją udała się na kolację do wskazanej restauracji, gdzie spotkała mężczyznę imieniem Stan, który mimo próby przebrania się za turystę nie był w stanie ukryć faktu, że jest oficerem amerykańskiej marynarki wojennej. Zjedli razem makaron i pojechali taksówką do portu Sembawang, gdzie Olivia zaokrętowała się na pokład amerykańskiego niszczyciela. Miała na sobie długi płaszcz nieprzemakalny z postawionym kapturem, a w ręce niosła parasol. Nie padało.

Niszczyciel chyba niecierpliwie wyczekiwał jej przybycia, bo zanim jeszcze zaprowadzono ją do kajuty, oddał cumy i wyszedł w morze. Trochę jej ulżyło, że powstrzymała się od natychmiastowego wskoczenia do łóżka Stanowi albo innym marynarzom z niszczyciela.

Półtora dnia później, krótko przed świtem, pod ołowianym niebem przesiadła się na okręt podwodny Royal Navy, który czekał na nią gdzieś na środku oceanu. Udostępniono jej mikroskopijny kąt mieszkalny, zwolniony dla niej - na co wskazywały rozliczne poszlaki - w ostatniej chwili i bez entuzjazmu załogi. W nieprzemakalnym worku czekał na nią tani, choć całkiem sensowny kostium, uszyty przez singapurskiego krawca, któremu najwyraźniej dostarczono jej wymiary. Znalazła tam również torebkę z chińskim dowodem osobistym i chińskim paszportem; używany portfel zawierający karty kredytowe, gotówkę, zdjęcia i inne drobiazgi, które wiarygodnie wyglądają w portfelu; na wpół opróżnione opakowania kosmetyków, jakich używała na co dzień (głównie dostępnej na całym świecie marki Shiseido); oraz inne torebkowe śmieci: zużyte bilety kolejowe, rachunki, cukierki, pastylki na kaszel, miętówki, tampony, nić dentystyczną, hotelowy przybornik do szycia, klej szybkoschnący i - obowiązkowo - prezerwatywę sprzed trzech lat, artystycznie postarzoną, żeby udawała zapomnianą po obowiązkowym szkoleniu z bezpiecznego seksu.

Kapitan okrętu wręczył jej również zalakowaną kopertę półcalowej grubości, opatrzoną ostrzeżeniami odnoszącymi się do jej tajności. W środku znalazła trzy rzeczy:

* List od szefa, nakazujący jej ustalenie dokładnego miejsca pobytu Abdallaha Jonesa. List nie określał ani nawet nie sugerował przeokropnych rzeczy, które przydarzą się potem Jonesowi, przez co ciążył jej w dłoniach jak wydrukowany na arkuszu uranowej folii.

* Dossier jej chińskiego *alter ego*, które w większości sama napisała i znała na pamięć. Najwidoczniej postanowili je dołączyć na wypadek, gdyby chciała w ostatniej chwili wkuć jakieś szczegóły.

* Dodatek z wyjaśnieniem, jakim cudem jej *alter ego* zniemacka wylądowało w Xiamen. Przeczytała go bardzo uważnie, ponieważ był dla niej kompletnym zaskoczeniem.

Okręt przewoził także oddział komandosów marynarki wojennej. Jeden z nich wskazał Olivii miejsce, w którym do kadłuba przyspawano od zewnątrz małą kapsułę, niczym dodatkowy garb na grzbiecie wielbłąda. Wchodziło się do niej przez złożony system włazów. Olivia była przekonana, że jeszcze nigdy w życiu nie widziała tak drogiej zabawki. Kapsuła była maleńką łodzią podwodną, zdolną pomieścić sześciu pasażerów.

- Albo pięciu pasażerów i jedną pasażerkę, jeśli będzie trzeba - dodał komandos.

Pod wieloma względami była to konstrukcja najprostsza z możliwych. Nie została, na przykład, przystosowana do wytrzymywania ogromnych podwodnych ciśnień, była więc stale wypełniona wodą morską, a jej pasażerowie musieli nosić akwalungi - ale poza tym, wprost pękała w szwach od fantastycznie skomplikowanych wytworów techniki nawigacyjnej i maskującej.

Olivia spędziła na pokładzie okrętu jeden dzień. Głównie siedziała sama, chociaż w mesie oficerskiej odbyła się sympatyczna kolacja powitalna, na której marynarze wzniesli toasty, za nią, jej umiejętności, misję, powodzenie i tak dalej.

Wtedy zaczęła się bać.

Można by się spodziewać, że strach przyjdzie wcześniej, zwłaszcza że przecież od jakiegoś czasu docierały do niej przecieki o zleconym jej zadaniu. Jednakże podczas kolacji przeszła ją świadomość, że uczestniczy w wytworze wielowiekowej tradycji. Od setek lat marynarze Royal Navy zapuszczali się w najbardziej egzotyczne zakątki świata, żeby tam dokonywać widowiskowo zuchwałych czynów, a ci, którzy nigdzie się nie wybierali, w taki właśnie sposób, podczas pożegnalnych kolacji, okazywali im swój podziw i wdzięczność, nim zaczną ich dręczyć wyrzuty sumienia jako tych, którzy przeżyli.

Dopiero teraz dotarło do niej, że będzie musiała w jakiś sposób wjechać do Chin. Legalne przekroczenie granicy zostawiłoby ślad, którego nijak nie dałoby się pogodzić z jej fałszywą biografią. Mogłaby użyć fałszywych dokumentów (i zaraz potem je zniszczyć), ale zostałyby zdjęcia, a należało się spodziewać, że straż graniczna dysponuje jakimś oprogramowaniem do rozpoznawania twarzy. Mogłaby - teoretycznie - przemknąć się do Chin pieszo przez granicę z Tybetem albo Laosem, ale to by było takie wiktoriańskie... W dodatku czas naglił. Nie miała więc wyboru.

O trzeciej nad ranem włożyła skafander i akwalung i zaniósła swój nieprzemakalny worek do miniaturowej łodzi podwodnej, w której - zgodnie z zapowiedzią - czekało na nią pięciu komandosów. Nastąpiła jakaś długa i zmuDNA procedura z użyciem ogromnej liczby list kontrolnych, ale w końcu wypełniona wodą łódź oderwała się od kadłuba okrętu i zaczęła poruszać samodzielnie.

Przez godzinę panowała ciemność i cisza. Obsługa łodzi ciężko pracowała, oglądała elektroniczne mapy, odczytywała wskazania przyrządów. W końcu Olivia dostrzegła znajome zarysy lądów: na ekran zaczęła się wpychać duża i okrągła wyspa Xiamen.

Podpłynęli bardzo blisko jednej z bardziej odległych od lądu wysepek, którą komandosi przez dłuższą chwilę obserwowali przez elektroniczny odpowiednik peryskopu. W końcu decyzja została podjęta, rozkaz wydany i Olivia w towarzystwie jednego z żołnierzy przepłynęła ostatnie sto metrów wpływ i wyczołgała się na zaśmieconą plażę zatoczki na odludziu. Przeczolęli się w cień przybrzeżnych zarośli, zdjęli maski i przez chwilę leżeli całkiem nieruchomo, żeby się upewnić, że nikogo nie ma w pobliżu. Następnie Olivia ściągnęła skafander. Towarzyszący jej nurek odwrócił się dyskretnie, otworzył należący do niej worek i zaczął jej podawać przez ramię jedna po drugiej kolejne sztuki odzieży,

poczynając od majtek. Kiedy Olivia się ubrała, odwrócił się do niej, zasalutował (kolejny szczegół, od którego mała nie dostała zawału) i przez zalegające plażę śmieci poczołgał się do wody, ciągnąc za sobą worek z jej akwalungiem i skafandrem. Przykryła go fala i zniknął.

Olivia spryskała się środkiem na komary i dwie godziny przesiedziała w lesie. Potem wydostała się z plaży na drogę, którą przeszła dobry kilometr do miejsca, gdzie setki ludzi, głównie młodych kobiet, wysypywały się z nowiutkiego blokowiska na przystanek autobusowy. Biorąc z nich przykład, pojechała autobusem na przystań, a tam w tysięcznym tłumie weszła po aluminiowym trapie na zatłoczony prom pasażerski. Godzinę później wylądowała w centrum Xiamen. Zgodnie z instrukcjami z zalakowanej koperty, skierowała się do biura Fedeksu, skąd odebrała czekające na nią spore pudło. Otworzyła je wyjętym z torebki scyzorykiem i stwierdziła, że zawiera walizkę na kółkach, całkiem zwyczajną i niczym nieróżniącą się od milionów walizek, jakie codziennie jeżdżą po transporterach bagażu na wszystkich lotniskach świata.

Pięciominutowa przejażdżka taksówką skończyła się przed przeciętnym biznesowym hotelem nieopodal nabrzeża. Weszła do środka, jakby przyjechała prosto z lotniska, pokazała chiński dowód osobisty i wynajęła pokój. Rozgościła się, a po rozłożeniu łóżka znalazła na nim znajomy laptop - osobiście kupiła go i przygotowała, żeby mieć pewność, że jego konfiguracja sprzętowa i programowa w stu procentach odpowiada jej fałszywej biografii. Teraz go włączyła, podłączyła się do hotelowej sieci wi-fi i odebrała nagromadzone przez kilka dni listy od podenerwowanych klientów z Londynu, Sztokholmu i Antwerpii.

Nazywała się odtąd Meng Anlan i była zatrudniona w nieistniejącej firmie z Kantonu o nazwie Xinyou Quality Control Ltd., której założycielem i właścicielem był jej równie nieistniejący wuj, Meng Binrong. Xinyou Quality Control Ltd., która postanowiła właśnie otworzyć oddział w Xiamen, pośredniczyła w kontaktach klientów z Zachodu z małymi chińskimi fabrykami. Był to ostatnio popularny sposób zarabiania na życie i wiele firm parało się tym procederem. Jediną minimalnie niezwykłą rzeczą w całej tej historii była płeć Meng Anlan: w tym zawodzie kobiety należały do rzadkości.

Albo przynajmniej nie obnosiły się ze swoim udziałem. Istniała cała masa firm, którymi z wielu pragmatycznych powodów kierowały kobiety, zawsze jednak na ich czele stał jakiś mężczyzna-figurant. Dlatego wiarygodność biografii Olivii opierała się na fikcyjnej postaci wujka Binronga z Guangzhou, który miał być prawdziwym szefem. Meng Anlan była jego osobistą asystentką i dziewczyną na posyłki, lecz wszystkie ważne decyzje wuj podejmował osobiście.

W gruncie rzeczy była to komplikacja zbędna w dobrej szpiegowskiej przykrywce, ale

samotna kobieta w Chinach, z dala od domu i rodziny, nie miała wielkiego wyboru. Miliony takich kobiet wykonywały proste prace w fabrykach i mieszkały w hotelach robotniczych, tyle że z punktu widzenia MI6 nie było sensu przemycać Olivii do Chin tylko po to, żeby weszła w taką akurat rolę. Tylko mając swobodę ruchu i pieniądze, mogła być dla nich użyteczna. Zastanawiali się przez moment, czy nie zrobić z niej luksusowej dziewczyny na telefon; nie musiałaby nawet z nikim uprawiać seksu, bo wszyscy jej klienci byłiby wyimaginowani. Ostatecznie padło jednak na wersję z firmą pośrednictwa przemysłowego, bo dzięki temu mogła podróżować po okolicy, nawiązywać kontakty z ludźmi z branży i wynajmować biuro.

Za pomocą przemysłowych sztuczek elektronicznych zainstalowali w kantońskiej sieci telefonicznej telefon i faks, które dzwoniły bezpośrednio w podziemnym pokoju w siedzibie MI6, gdzie dyżurował skromny chińsko-brytyjski personel: kobieta udająca recepcjonistkę oraz niebieskooki i jasnowłosa Anglik, płynnie mówiący po kantońsku i mandaryńsku, który wcielał się w rolę Menga Binronga. Przykrywka Olivii miała więc być skuteczna, dopóki spotkani w Xiamen ludzie ograniczą się do kontaktów z jej wujem przez telefon, faks lub e-mail; gdyby jednak ktoś ciekawski postanowił odszukać biuro Xinyou Quality Control Ltd. w Kantonie, nie znalazłby go i cała bajeczka by się posypała. Istniały zresztą i inne sposoby zdemaskowania Meng Anlan. W takiej sytuacji najlepsze, na co mogła liczyć, to natychmiastowe opuszczenie Chin i niewracanie ani do nich, ani do roli Chinki. Do kategorii gorszych rozwiązań należały długa odsiadka w chińskim więzieniu oraz wyrok śmierci.

Była jednorazowa. Nie dało się tego inaczej ująć. Wygląd, przeszłość i znajomość języka czyniły z niej niepowtarzalny atut. Ktoś kiedyś w MI6 wiązał z nią pewnie wielkie nadzieje, marzyło mu się, że wykorzysta ją w sprawie wielkiej wagi. W tym celu - jakkolwiek miał być - wydano fortunę i poświęcono masę czasu na stworzenie jej fałszywej tożsamości. Pierwotny cel poszedł jednak w zapomnienie, gdy Abdallah Jones przeprowadził się do Xiamen i pozbył starych telefonów. Ktoś podjął decyzję, że Oliwię należy natychmiast wysłać w teren z zadaniem odnalezienia tego człowieka.

Znalazła sobie miłe mieszkanie w zachodnim stylu na wyspie Gulangyu, oddzielonej wąską cieśniną od centralnej części Xiamen, i kazała je urządzić w sposób, który pasował do jej przykrywki. Dzień w dzień przeprowadzała się promem do centrum, żeby tam „szukać powierzchni biurowej do wynajęcia”, tyle że, zamiast naprawdę to robić, przeczesywała - kwartał po kwartale - ten kilometr kwadratowy miasta, na którym Abdallah Jones miał ponoć kryjówkę.

Błędną ocenę trudności tego zadania przypłaciła później poważnymi zawirowaniami

emocjonalnymi. Kilometr. Tysiąc metrów. Właściwie niewiele, prawda? Dziesięć boisk piłkarskich. Dlatego widziana z przyjemnego oddalenia misja nie wydawała się jej przesadnie skomplikowana. Dopiero podczas pierwszych dwóch tygodni zdzierania zelówek w Xiamen popadła w potworną depresję, gdy zdała sobie sprawę, jak znikome są jej szanse powodzenia. Na rzeczonym kilometrze kwadratowym mieszkało od dwudziestu do trzydziestu tysięcy ludzi; stało na nim ponad tysiąc budynków. Przytłaczało ją, że najpierw błąka się całymi dniami po krętych, zatłoczonych zaułkach, a potem przez pół nocy nie śpi, tylko, leżąc w łóżku w swoim mieszkanku na Gulangyu, odtwarza w pamięci pokonaną za dnia drogę i zwidują się jej różne rzeczy, których nie widziała.

Dobrze, że chociaż mieszkanie było przytulne. Gulangyu była nieduża, stroma, zielona, prawie całkowicie pozbawiona ruchu samochodowego i pocięta wąskimi, krętymi drózkami łączącymi małe enklawy mieszkalne. Sieć jeszcze węższych pieszych ścieżek łączyła parki i podwórka. Przed wojną, kiedy Xiamen znane było pod fujiańską nazwą „Amoy”, przybysze z Zachodu chętnie budowali na Gulangyu swoje wille i konsulaty i choć tamte czasy dawno minęły, budowle przetrwały.

Chociaż ledwie, ledwie. Wystarczyło się rozejrzeć po Gulangyu, żeby sobie uświadomić, że prowincja Fujian zawsze była dżunglą tropikalną i chce, w najgorszym możliwym stylu, wrócić do swojego pierwotnego stanu. Gdyby zamieszkujące ją miliony odeszły, albo choćby przestały się bronić za pomocą pił i sekatorów, to pleniące się bluszcze, liany, korzenie, rozłogi, strąki i zarodniki w kilka lat porosłyby wszystko, co te miliony wybudowały. Olivia nie знаła dokładnie historii tych okolic, ale nie ulegało wątpliwości, że taki właśnie obrót przybrały sprawy na Gulangyu za czasów Mao, a deweloperzy ery postmaoistowskiej w ostatniej chwili zdążyli przyjść wyspie z odsieczą. Na każdym kroku rzucały się w oczy stare zachodnie domy rozszarpywane w zwolnionym tempie przez roślinność, która tak skutecznie naruszyła ich konstrukcję, że mogły w nich zamieszkać tylko szczury i drewnożerne insekty. Całkiem sporo z nich jednak przetrwało (Olivia wyobrażała sobie inwazję na Gulangyu w stylu alianckiego desantu w Normandii: ogrodnicy z piłami i łopatami skaczą na spadochronach i szturmują plaże) i w tej chwili wyzwalano je z kolczastych lub kwiecistych uścisków pnączy, odszczurzano, na nowo zadaszano, naprawiano i przerabiano na apartamentowce. Jej mieszkanie, choć małe, było bardzo sympatycznie położone na ostatnim piętrze budynku, który w przeszłości był willą francuskiego kupca, a obecnie pełnił rolę domu dla dwudziestu paru młodych przedstawicieli wolnych zawodów. Łóżko Olivii stało blisko małego balkonu, z którego roztaczał się widok na drugą stronę cieśniny i opromienione światłami centrum Xiamen. W bezsenne noce siadywała na łóżku z

podkulonymi kolanami i wpatrywała się w bloki po drugiej stronie wody, zastanawiając się, które z tych światełek jest ekranem laptopa Abdallaha Jonesa.

W miarę jak upływały kolejne tygodnie i powoli porządkowała sobie w głowie interesujący ją kilometr kwadratowy, zaczynała dochodzić do wniosku, że zadanie wcale nie musi jej przerastać. Dziewięćdziesiąt procent zabudowy mogła sobie od razu darować: były to albo biurowce, albo domy prywatne. Jeżeli Jones nie dobił targu z jakimś sklepikarzem albo zamożną rodziną (co wydawało się niezwykle mało prawdopodobne), musiał mieszkać w bloku, i to nie pierwszym lepszym, tylko zamieszkiwanym przez przyjezdnych i imigrantów ekonomicznych. W strefie poszukiwań nie było takich bloków wcale dużo - zwłaszcza po tym, jak na podstawie różnych przesłanek kilkanaście z nich udało się wykluczyć. I tak oto dominujące w pierwszych tygodniach zagubienie i przygnębienie zaowocowały krótką listą potencjalnych kryjówek Jonesa.

Nie potrafiła przeprowadzić ściślejszej racjonalnej selekcji, ale przecucie popychało ją ku sporemu pięciokondygnacyjnemu blokowi, podupadłemu, cieszącemu się złą sławą, zaplątanemu w misterną siatkę zaułków starej dzielnicy, a przy tym znajdującemu się na tyle blisko jej krawędzi, że był skazany na wyburzenie i późniejsze zwieżowcowanie. W czasach, kiedy miasto nazywało się Amoy, a bogaci Europejczycy budowali na Gulangu piwniczki na wino, prezentował się zapewne dumnie, może był niezłym hotelem. Dawno już jednak zmienił się w zwykły robotniczy blok mieszkalny.

Udała, że interesuje ją wynajęcie biura w budynku po drugiej stronie ulicy. Był tej samej wysokości i w podobnym wieku jak ten, który naprawdę ją interesował. Łączyła je kolorowa pajęczyna prowizorycznie przerzuconych kabli. Właściciel próbował przekonać ją do obejrzenia lokali na niższych piętrach, łatwiej dostępnych i przez to droższych, ale Olivia wyspecjalizowała się już w przeciąganiu „poszukiwań powierzchni biurowej” do granic możliwości, powołując się na absolutnie niecodzienne skąpstwo Menga Binronga. Miała więc gotową gadkę, a także całą furę anegdotek o wuju skąpiradle z Kantonu, których używała jak kuksańców, żeby popychać właściciela na coraz wyższe kondygnacje, namawiać go do otwierania starych, zakurzonych drzwi i pokazywania jej pokoiów wykorzystywanych jako magazyny części zapasowych oraz sedesów, drzwi i wentylatorów, które wymagały naprawy. Za każdym razem upierała się, żeby wejść do środka, wystawić głowę przez dawno nieotwierane okno i zaczerpnąć w płuca gorącego, dusznego powietrza. Tłumaczyła, że skoro już musi pracować tak wysoko i pokonywać tyle schodów, chciałaby przynajmniej mieć ładny widok z okna i naturalną wentylację. Oczywiście, tak naprawdę interesował ją budynek naprzeciwko: wodziła wzrokiem po oknach, licząc na to, że gdzieś mignie jej wysoki

czarnoskóry Walijczyk.

Cały czas wokół rozlegał się nieregularny łoskot, niedobiegający z samego budynku, lecz gdzieś z bardzo bliska. Z początku docierał do niej na poziomie podprogowym, zagłuszany odgłosami ulicy, ale im wyżej wlokła ze sobą coraz bardziej zasapanego i rozdrażnionego właściciela, tym wyraźniej odcinał się od ulicznego zgiełku. Rozbrzmiewał seriami - trzy, sześć, czasem dziesięć uderzeń następowało rytmicznie po sobie jak uderzenia serca, potem przerwa, i znów krótka seria, raz w szybszym, raz w wolniejszym tempie. Czasem seria kończyła się stłumionym trzaskiem. Olivia od razu rozpoznała te dźwięki: w Londynie słyszeli je zawsze w tle prowadzonych przez Jonesa rozmów telefonicznych i wiele godzin poświęcili na odgadnięcie ich źródła. Pierwsze skojarzenie było takie, że są to dobiegające zza ściany odgłosy remontu, ale na dłuższą metę nie miało to sensu: jaka ekipa remontowa używa wyłącznie młota? Dlaczego nie słychać, na przykład, piły? Może Jones mieszka nad jatką, w której rzeźnicy ciężkimi tasakami rozrąbują zwierzęce tusze? Albo nad salą gimnastyczną, gdzie uczniowie walą w worki bokserskie? Nie potrafili tego rozstrzygnąć i doprowadzało ich to do szału.

Im wyżej wspinała się po schodach, tym bardziej się upewniała, że dźwięki dochodzą z bloku naprzeciwko. One stawały się coraz wyraźniejsze, a ona coraz bardziej podekscytowana. Kiedy weszła do biura na ostatnim piętrze, stwierdziła, że widok z okna zasłania jej postrzępiona płachta niebieskiego brezentu. Przeszła przez pokój, z trudem otworzyła okno (okna były ogromne, staroświeckie, dwuszybowe) i odgarnęła brezent.

Na dachu bloku po drugiej stronie ulicy, nie dalej niż dwadzieścia metrów od niej, pięciu albo sześciu chłopaków grało w koszykówkę.

Patrzyła, jak jeden z nich dryblingiem mija obrońców - *bam, bam, bam, bam, bam* - i rzuca: *trzask!*

- To by się nadawało - powiedziała do właściciela, trochę roztargniona, ponieważ równocześnie nagrywała na telefonie filmik z udziałem koszykarzy. - Odezwę się do pana.

Właściciel gdzieś zadzwonił. Olivia dalej rozkoszowała się widokiem z okna. W mieszkaniu znajdującym się bezpośrednio pod boiskiem do koszykówki większość okien została zaklejona jakimiś plakatami lub prześcieradłami. Miała ogromną ochotę także zadzwonić i zameldować „Znalazłam go”, ale nie chciała powtarzać błędu Jonesa. Były inne sposoby, żeby skontaktować się z Londynem.

Udała się do najbliższego *wangba*, zalogowała się, trochę posurfowała bez celu po Internecie, a potem weszła na pewien blog i zostawiła na nim komentarz zawierający ustaloną wcześniej frazę.

Następnego dnia otrzymała dalsze instrukcje, zakodowane w najmniej znaczących bitach pliku zawierającego obrazek.

W głębi ducha żywiła nadzieję, że MI6 natychmiast ściągnie ją z powrotem do Londynu, postawi jej obiad w fajnej knajpie i da awans. Ta fantazja opierała się na domniemaniu, że akcja przeciw Jonesowi zostanie przeprowadzona bezzwłocznie: albo ktoś da cynk BBP, albo przyśle komandosów.

Jednakże zaszyfrowana wiadomość zawierała zupełnie inne pomysły na to, jak Olivia spędzi najbliższe tygodnie lub nawet miesiące.

Pogratulowali jej (w tym szatańsko powściągliwym stylu, którego można się było spodziewać), ale poza tym musieli chyba dojść do wniosku, że Abdallah Jones będzie dla nich bardziej użyteczny, jeśli uda się wyciągnąć z niego jakieś informacje, zanim zostanie odesłany na spotkanie z gromadką czarnookich hurys. Kazali jej znaleźć miejsce, z którego można by prowadzić stałą obserwację kryjówki Jonesa, i znów się zameldować.

Olivia umówiła się z właścicielem bloku po drugiej stronie ulicy, wróciła do wybranego biura, obfotografowała je komórką i wynegocjowała warunki najmu. Używając swojej fałszywej tożsamości, wysłała e-mail do Menga Binronga, do którego załączyła wszystkie zdjęcia i szczegółowe informacje o biurze. E-mail trafił do skrzynki zarejestrowanej w Kantonie, ale został też automatycznie zaszyfrowany i przekazany do Londynu.

Dzień później odebrała kolejną wiadomość, aż pomrukującą z zadowolenia. Kazano jej doszlifować fałszywą tożsamość i czekać na dalsze instrukcje.

Zalecenie pracy nad uwiarygodnieniem Meng Anlan było bardzo celne, zwłaszcza że trochę ją zaniedbała przez ostatnie dwa tygodnie, moszcząc się w Xiamen. Teraz sprowadziła do nowego biura biurko i krzesło, po czym zasiadła do udawanej pracy, wymieniając tony e-maili z wyimaginowanymi klientami i równie wyimaginowanym wujem, organizując wypadki do fabryczek w ujściu Rzeki Dziewięciu Smoków i nie spuszczać z oka mieszkania numer 505 po drugiej stronie ulicy. Jego mieszkańcy bardzo pilnowali tego, by okna były szczelnie zasłonięte, ale czasem je uchylali, żeby przewietrzyć w domu, a wtedy oczom Olivii ukazywały się ekscytujące szczegóły: mnóstwo materaców na podłodze, pojemniki zawierające - najprawdopodobniej - rozpuszczalniki w przemysłowych ilościach, oraz ludzie, którzy wyglądali na przybyszów z dalekich stron. Nie udało jej się zobaczyć samego Jonesa, ale też nie do pomyślenia było, żeby człowiek tak ostrożny jak on po prostu pokazał się w otwartym oknie.

Fedeksem zaczął przychodzić sprzęt, przebrany za prototypy urządzeń

elektronicznych, których masową produkcję jej udawani klienci chcieliby zlecić Chińczykom. Przebranie to było proste i skuteczne, bo obrona z opakowania elektronika zawsze wyglądała tak samo: obwody drukowane z przylutowanymi scalakami. Było tajemnicą poliszynela, że chiński wywiad zaczął montować własne scalaki w płytach urządzeń wysyłanych na Zachód, które to scalaki dzwoniły później do domu i przesyłały informacje wywiadowcze. Olivia podejrzewała, że kiedy rozpoczynała szkolenie, przygotowano ją do zbadania tego właśnie problemu, dlatego odwrócenie sytuacji miało w sobie przyjemną symetrię i dawało jej pewną satysfakcję. Kierując się skomplikowanymi arkuszami instrukcji, przesyłanymi jej (w zaszyfrowanej postaci) przez magików z Londynu i Ft. Meade, uruchamiała kolejne urządzenia w wynajętym biurze i nasłuchiwała sygnałów elektromagnetycznych napływających z bloku naprzeciwko. Napływające dane przekierowywała po kompresji i zaszyfrowaniu do Londynu i Ft. Meade, gdzie ludzie, którzy się na nich znali, mogli je rozebrać na czynniki pierwsze i próbować coś z nich zrozumieć.

Tutaj pojawiła się pierwsza poważna przeszkoda w śledztwie. Urządzenia łączyły masę informacji, ale wyglądało (w skrócie) na to, że kryjówka Abdallaha Jonesa znajduje się bezpośrednio nad gniazdem chińskich hakerów, których sprzęt emituje w eter gigantyczne ilości elektronicznego szumu. Wszystko wskazywało na to, że hakerzy i koszykarze to jedna i ta sama ekipa, problem zaś polegał na tym, że często zabawiali się laptopami także na dachu, przez co mieszkanie Jonesa było dosłownie wtłoczone między dwie kondygnacje poświęcone działalności hakerskiej. Utrudniało to odseparowanie szumu generowanego przez Jonesa od tego, którego źródłem byli hakerzy - do tego stopnia, że zaczęto podejrzewać, iż Jones celowo wybrał takie lokum.

Fedex przysłał kolejną dostawę sprzętu. Olivia wyprawiała się do bloku naprzeciwko i podłożyła urządzenie za kaloryferem przy samych drzwiach mieszkania Jonesa. Nie знаła szczegółów, domyślała się tylko, że gadżet ma ułatwić odróżnienie bitów terrorystycznych od hakerskich. Następnie MI6 przysłało specja od wywiadu elektronicznego, który przedstawił się jej jako Alastair i udawał klienta Xinyou Quality Control Ltd. Umawiali się z Olivią na długie „spotkania robocze” w biurze firmy, podczas których Alastair poprzerabiał zastany tam sprzęt, a także zainstalował nowe pudełko: świecący niewidzialnym promieniowaniem laser oraz system wychwytywania jego odbicia od szyb mieszkania numer 505. Każdy dźwięk rozlegający się pod numerem 505 wprawiał szyby w delikatne drżenie; laserowa zabawka była w stanie wyłapać te drgania i przełożyć je na zdumiewająco wyraźne nagrania dźwiękowe. Alastair podłączył także automatyczny system rejestracji wideo aktywowany czujnikiem ruchu, który włączał się za każdym razem, gdy terroryści (nie było już bowiem

cienia wątpliwości, że mają do czynienia z terrorystami) otwierali okno.

Remont biurowca wyśmienicie predestynował go do wykorzystania w charakterze platformy obserwacyjnej. Fasada była zasłonięta płataniną rusztowań, lin, płacht brezentu, powiązanych sznurem bambusowych prętów, lamp roboczych i przewodów pneumatycznych. W tym bałaganie sprzęt Alastaira (z natury mający skromne rozmiary) pozostawał niezauważony. Główna kamera wyzierała przez dziurkę w brezencie nie większą niż czubek palca Olivii.

Olivia nie musiała czytać ekstatycznych komunikatów z Londynu, żeby wiedzieć, że trafiła na żyłę złota. Jeśli wierzyć napływającym z Anglii e-mailom, pozyskiwane w Xiamen informacje były do tego stopnia bezcenne, że MI6 życzyło Abdallahowi Jonesowi długiej i owocnej kariery w fachu zamachowca i konstruktora bomb - tylko po to, żeby móc go dalej doić. Kiedy, przeglądając zagraniczne gazety, Olivia natykała się czasem na doniesienia o udanych nalotach bezzałogowych samolotów w Waziristanie, nie mogła oprzeć się wrażeniu, że to, co wysłała do Londynu, ma bezpośredni związek z tymi akcjami.

Prowadziła jedną z najcenniejszych operacji Światowej Wojny z Terroryzmem. Co więcej, była jedyną osobą, która mogła ją prowadzić. Odniosła oszałamiający sukces, akcja w Xiamen okazała się o niebo ważniejsza od zadania, do którego pierwotnie ją przygotowywano, ale mimo rozpierającej ją euforii zdawała sobie sprawę, że jej szczęście nie może trwać wiecznie. Jones w końcu będzie musiał wykonać jakiś ruch; nie mógł żyć w zamknięciu i do śmierci konstruować bomb, które niczemu nie służą. Prędzej czy później wycelowany w okno laser powie im, że Jones planuje jakiś zamach - i wtedy w MI6 będą musieli podjąć interesującą decyzję. Jeżeli nie zrobią nic, dojdzie do zamachu, a wówczas BBP uruchomi śledztwo, które doprowadzi ich najpierw do mieszkania numer 505, a potem do biura Olivii, gdzie znajdą nowoczesny sprzęt wywiadowczy, a ją samą aresztują i Bóg jeden wie, jak potraktują. W takiej sytuacji musiałaby zawczasu zniszczyć aparaturę i wyjechać z miasta.

Ludzie z MI6 mogliby również, w duchu współpracy międzynarodowej, dać cynk Chińczykom i w ten sposób uniemożliwić Jonesowi realizację planu. Tyle że wtedy sami odkryliby karty: musieliby zdradzić, jakich źródeł i metod operacyjnych użyli do poznania tych wszystkich arcyciekawych faktów - co dla Olivii miałyby dokładnie takie same konsekwencje, jak rozwiązanie pierwsze.

Mogli też przysłać oddział specjalny, który zabije Jonesa, albo uprowadzi go i wywiezie z kraju. Byłoby to, oględnie mówiąc, zadanie niezwykle ambitne.

Tak czy inaczej, otrzymała szczegółowe instrukcje na wypadek likwidacji swojej

małej placówki. Nie miała żadnych papierów do zniszczenia ani taśm do spalania. Wszystkie dane miały postać elektroniczną, więc procedura likwidacji miała się ograniczyć do usmażenia elektroniki. A to zadanie MI6 bardzo jej ułatwiło: każde urządzenie zostało wyposażone w przełącznik niszczący. Wystarczyło nim pstryknąć, żeby impuls wysokiego napięcia przepalił wszystkie układy scalone i zniszczył zapisane w nich informacje. BBP mogłoby wprawdzie odzyskać płytki z elektroniką, ale, jak utrzymywał Alastair, byłyby one dla nich całkowicie bezużyteczne - zwłaszcza że poskładano je ze standardowych scalaków, dostępnych dla każdego w byle internetowym sklepie i połączonych w całkiem oczywiste układy. Tym, co ważne - co niepowtarzalne - była ich konfiguracja i przechowywane w nich bity, a to akurat łatwo było zniszczyć. Byłoby bardzo miło, podkreślił Alastair, gdyby Olivia nie dopuściła do wpadnięcia urządzeń w ręce BBP - w tym celu mogła je wyrzucić za burtę promu albo spalić biurowiec (nie była wcale pewna, czy tę drugą sugestią powinna traktować jak żart). Najważniejsze jednak było pstryknięcie wszystkimi przełącznikami niszczącymi.

W należycie obsadzonej kryjówce pracowałyby co najmniej trzy osoby, które w systemie zmianowym obsługiwałyby sprzęt, gotowe w każdej chwili go zniszczyć. Może kilkadziesiąt lat wcześniej MI6 miałyby wystarczające zasoby, żeby zainstalować i utrzymywać aż trzech głęboko zakonspirowanych agentów w Chinach; ba, gdyby to był prawie dowolny inny kraj, prawdopodobnie udałoby się to nawet współcześnie. W Chinach było to zwyczajnie zbyt trudne. Po odlocie Alastaira Olivia została sama, a nie mogła wiecznie przesiadywać w biurze. Meng Binrong wychodził na tyrana i zamordystę, zasypując ją fałszywymi e-mailami biznesowymi, ale przynajmniej mogła dzięki temu spędzać w biurze po dwanaście, czternaście, czasem nawet szesnaście godzin na dobę. Czasem jednak musiała wracać do mieszkania na Gulangyu, żeby tam zdrzemnąć się parę godzin - chociażby dla zachowania pozorów wobec sąsiadów i właściciela.

Z powodu tych długich godzin pracy i wynikającego z nich naturalnego zawężenia pola widzenia można jej chyba wybaczyć, że tak długo nie dostrzegła - oczywistego przecież - celu przygotowań Abdallaha Jonesa. W Xiamen miała się odbyć międzynarodowa konferencja z udziałem dyplomatów z całego świata. Oficjalnym pretekstem do jej zorganizowania była trzysta pięćdziesiąta rocznica wyzwolenia Tajwanu spod władzy Holendrów przez Koxingę, ale wszyscy wiedzieli, że rozmowy mają dotyczyć zjednoczenia Tajwanu z Chinami kontynentalnymi, i powszechnie spodziewano się znaczących postępów w tej sprawie. Niektórzy radykalni islamiści utrzymywali, że Koxinga był muzułmaninem, wobec czego Tajwan powinien być traktowany jako część kalifatu islamskiego. Były to pretensje z góry skazane na porażkę, ale ponieważ islamiści i tak byli wściekli na Chiny za

prześladowanie muzułmanów w zachodniej części kraju, nie potrzebowali lepszego pretekstu.

Olivia zwróciła uwagę na pojawiające się na latarniach proporce z heroicznym portretem Koxingi, ale nie miała pojęcia, że konferencja już się rozpoczęła, dopóki spowodowane przez nią korki na drogach nie zaczęły utrudniać jej dojazdu do pracy. Dopiero wtedy - o wiele za późno - zrozumiała, że musi być jakiś związek między konferencją i niedawno zaobserwowanym wzrostem aktywności w mieszkaniu numer 505. Kryzys był blisko.

* * *

Pewnego ranka, wracając do biura po paru godzinach snu w domu, zauważyła ciekawostkę: w uliczce pomiędzy jej biurowcem i blokiem mieszkalnym naprzeciwko zaparkował mikrobus. Zatałmował ruch i wywołał małą sensację wśród ulicznych sprzedawców i przechodniów. Gdyby nie konferencja i dręczące Olivię przecucie, że wkrótce wydarzy się coś ważnego, pewnie nie przejęłaby się obecnością pojazdu, ale w obecnej sytuacji pierwsze skojarzenie miała takie, że sprawa się ryła i ludzie z BBP zapukali do drzwi Abdallaha Jonesa z pytaniem, co on i jego kumple tam robią. Albo gorzej - że przyszli ją aresztować. Dopiero po bliższych oględzinach stwierdziła, że mikrobus nie wygląda na wóz policyjny, a kierowcą jest młoda kobieta w niebieskich kaloszach, która ma jakiś kłopot ze stacyjką.

Mimo to, serce Olivii zaczęło walić jak młotem. Spokojnym krokiem weszła do biurowca, na klatkę schodową, gdzie nikt jej nie widział, po czym pognała na górę na złamanie karku, przesadzając po dwa stopnie na raz. Powstrzymując ciekawość, która kazała jej wyrzeć przez okno, nałożyła słuchawki, przez które podsłuchiwała dźwięki dobiegające z mieszkania Abdallaha Jonesa.

Wszystko brzmiało normalnie: chrapanie w tle, pierwsi rozespani wstają i robią herbatę, słuchają jakiejś arabskiej audycji w Internecie. Ta zwyczajność trochę ją uspokoiła. Poczula się wręcz głupio, że bez powodu tak się podekscytowała. Otarła pot z czoła, usiadła, odłożyła torebkę na biurko, obudziła komputer i sprawdziła pocztę.

W słuchawkach rozległ się głuchy łomot, na który odpowiedziały ożywione głosy.

Głośne trzaski zostały elektronicznie ograniczone w taki sposób, że słyszała je jako przerwy w strumieniu hałasu.

A potem wszystko ucichło. Zrzuciła słuchawki - i uświadomiła sobie, że takie same trzaski słyszy teraz bezpośrednio, z drugiej strony ulicy. Podeszła do okna i obejrzała laser. Wyglądał w porządku. Dopiero kiedy wyjrzała przez dziurę w brezencie, zrozumiała, na czym polega problem: urządzenie podsłuchowe działało, kiedy promień lasera odbijał się od szyby.

A rzeczona szyba zniknęła.

Aż podskoczyła, gdy przestraszył ją huk i łoskot dobiegający z wnętrza biura, gdzieś z prawej strony. Cofnąwszy głowę, zorientowała się, że połowa okien leży w kawałkach na podłodze. Tumany kurzu unosiły się w powietrzu, a ścianę naprzeciw okien upstrzyły wyryte w tynku kratery. Dopiero po chwili otępiały umysł podpowiedział jej, że to, co słyszała, było długą serią z broni automatycznej, która to seria dosięgła jej biura z bloku Jonesa.

Opadła na czworaki, wyciągnęła rękę i pstryknęła przełącznikiem niszczącym lasera.

MI6 przysłało oddział szturmowy, który właśnie wszedł do akcji. Tylko że zapomnieli ją o tym poinformować.

Albo spisali ją na straty.

* * *

Sokołow widział już tego ranka wiele dziwnych rzeczy, ale i tak zaskoczył go widok, jaki zobaczył po wyjściu przez okno: cała przednia ściana budynku była upstrzona młodymi Chińczykami, którzy chodzili po niej jak pająki.

Nagle przypomniał sobie, że zaledwie sześćdziesiąt sekund wcześniej łamał sobie głowę nad tym, co zrobi z brygadą chińskich hakerów. To musieli być oni.

Zrozumiał i docenił ich decyzję o unikaniu klatek schodowych i próbie ucieczki po zewnętrznej powierzchni bloku. Najłatwiej byłoby wziąć z nich przykład i po prostu zejść na ulicę. W pewnym sensie była to wręcz oczywista decyzja, jeśli wziąć pod uwagę, że znali teren znacznie lepiej od niego - a na obcym terenie często najlepiej jest naśladować tubylców.

Jednakże całkiem niedaleko od miejsca, w którym w tej chwili znajdował się Sokołow, od frontowej ściany bloku odchodził gruby pęk kabli, łącząc ją z budowanym naprzeciwko biurowcem. Łącznie przewody z pewnością ważyły więcej niż Sokołow, powinny więc utrzymać jego ciężar. Pomysł wykorzystania ich jako drogi ucieczki przypadł mu do gustu z dwóch powodów. Po pierwsze, zejście prosto w dół, na ulicę, niewiele by mu pomogło, ponieważ w przeciwieństwie do hakerów nie miał szans zniknąć w tłumie, więc rzucałby się w oczy i został szybko aresztowany. Gdyby zaś przedostał się do budynku naprzeciwko, miałby szansę ukryć się, choćby nawet na krótko, żeby obmyślić jakiś plan. A po drugie, mieszkanie, z którego właśnie wyszedł, płonęło i było pełne materiałów wybuchowych.

Zgoda, w odróżnieniu od przeciętnego zjadacza chleba Sokołow nie przejmował się zbyt bliskością saletrolu i otwartego ognia, bo, podobnie jak większość materiałów wybuchowych, saletrol jest dość trudno zdetonować. Sam ogień do tego nie wystarczy, potrzebny byłby jakiś zapalnik. Mogło więc zdarzyć się i tak, że blok spłonie do

fundamentów, a żadnej eksplozji nie będzie.

Było to jednak pewne uproszczenie, ponieważ w mieszkaniu oprócz saletrolu znajdowało się mnóstwo innych rzeczy. Sokołow spędził tam tylko kilka krótkich, gorączkowych chwil, nie zdążył zatem zrobić szczegółowego spisu, ale jeżeli ci goście zamierzali użyć saletrolu (a wszystko na to wskazywało), musieli mieć pod ręką także zapalniki; jeżeli zaś zamierzali użyć go niebawem, nie można było wykluczyć, że mają już gotowe urządzenie, w którym zapalniki zostały pożenione z materiałem wybuchowym. Poza tym nie miał zielonego pojęcia, jakie jeszcze świństwa miksowali w tej diabelskiej kuchni, którą przed momentem opuścił - terroryści znają przecież receptury także innych środków wybuchowych, mniej stabilnych od saletrolu. Należało więc najszybciej jak to możliwe oddalić się z tego miejsca. Pęk przewodów oferował mu taką właśnie sposobność.

Główną jego wadą był fakt, że terroryści będą mogli strzelać do Sokołowa jak do kaczki, kiedy zawisnie w powietrzu na wprost ich okien.

Tyle że Sokołow potrafił przemieszczać się na rękach po naprężonej linie szybciej, niż niektórzy ludzie są w stanie biec. W dodatku nieliczni ocalali terroryści z pewnością mieli chwilowo inne zmartwienia, co ułatwiło mu podjęcie decyzji. Po kratkach naokiennych przemieścił się w pobliże wiązki kabli, złapał ją jedną ręką i ostrożnie obciążył. Wiazka nie wyrwała się ze ściany. To dobrze. Puścił kratę, rozhuśtał się i wyciągnął drugą rękę. Złapał się. I jeszcze raz. I jeszcze.

Nagle poczuł, że spada, a kiedy zadarł głowę, zobaczył, jak pęk przewodów odfruva pod niebo.

Nie było to dokładnie to samo, co przechodzenie po linie na obozie wojskowym. Wiazkę tworzyło dwadzieścia, może trzydzieści splecionych kabli, kolorowych jak odpustowe zabawki. Były wśród nich przewody elektryczne, były telefoniczne, były też takie, których na pierwszy rzut oka nie umiał rozpoznać. Wiazka była za gruba, żeby objąć ją dłonią, toteż, przekładając ręce, musiał za każdym razem wbijać wyprężone palce niczym nóż w samo jej serce i zaciskać je na tym, na co akurat trafił. Parę razy mu się udało, ale przy ostatniej próbie źle się zamachnął, chybił wiazki i zahaczył dłonią tylko o owinięty wokół niej po spirali niebieski kabel ethernetowy. Pod ciężarem Sokołowa kabel zaczął się napinać i oddzielać od reszty. Sięgnął wolną ręką wyżej, chwycił naprężony kabel, podciągnął się na tyle, żeby zwolnić poprzedni chwyt, złapał się wyżej, wcale jednak nie zyskiwał w ten sposób wysokości, bo kabel nadal miał za dużo luzu. W ten sposób zawisł na wyciągnięciu ręki od wiazki, nie będąc w stanie jej dosięgnąć. W końcu niebieski kabel przestał się odwijać. Sokołow wyrzucił obie nogi do góry (na moment zawisł przy tym głową w dół) i oplótł nimi

całą wiązkę. Karabin i camelbak z wodą, które miał na plecach, zsunęły się na sam koniec podtrzymujących je pasków i zadyndały w powietrzu. Odsapnął chwilę, po czym zaczął się przemieszczać po pęku kabli najszybciej jak się dało. Poruszał się znacznie wolniej, niż gdyby w zwisie po prostu przekładał ręce, i czuł się z tym jak niedouczony cywil, ale innego sposobu przeprawy wołał nie ryzykować. Zresztą, chwilowo nie musiał się bać zestrzelenia, ponieważ pożar ogarnął już całe mieszkanie. Rozszczelniały się kolejne puszki rozpuszczalnika i okna rzygały kłębamii łatwopalnych oparów.

* * *

Yuxia nie mogła się nadziwić, ile czasu zajmuje ślusarzowi dobranie się do stacyjki auta. Turyści, którzy przyjeżdżali w góry Fujianu, często zostawiali w hoteliku filmy z zachodnimi filmami akcji, których oglądania na laptopach mieli już po dziurki w nosie. Oglądając je, Yuxia nauczyła się, że dowolny samochód na świecie można odpalić w kilka sekund: wystarczy najpierw grzmotnąć w obudowę kolumny kierownicy na tyle mocno, żeby wypadły spod niej kable, a potem zetknąć druty ze sobą, aż zaiskrzą. Tymczasem ślusarz wdał się w jakąś skomplikowaną procedurę, w której kluczowym elementem była sama stacyjka. Sądząc po jego minie, był przerażony strzelaniną w bloku, co chyba nie ułatwiało mu pracy.

Oczywiście, Yuxia też była zaniepokojona. Zareagowała chyba nieco zbyt impulsywnie, przykuwając biednego ślusarza do kierownicy - wtedy rozległo się dopiero parę pierwszych strzałów i przypuszczała, że na tym się skończy, a ślusarz i tak za chwilę uruchomi silnik. W dodatku uważała, że histeryzuje i po prostu chce ją porzucić na pastwę losu, a wraz z nią Zulę, Csongora i Petera. Później jednak strzelanina upodobniła się do regularnej wojny, a na dach mikrobusu zaczęły spadać odłamki tynku i szkła, które za każdym razem tak przerażały ślusarza, że kompletnie gubił się w próbach włamania do stacyjki. Trwało to chyba z rok i Yuxia zaczynała pomału tracić cierpliwość, zwłaszcza że odczuwała jednocześnie strach przed sytuacją, w której się znalazła, i wyrzuty sumienia, że wplątała w nią ślusarza. Mogła w każdej chwili wyskoczyć z wozu i uciec - ale za każdym razem, kiedy zaczynała poważnie rozważać tę możliwość, coś dużego spadało na dach wozu i przypominało jej, że dobrze jest mieć kawał blachy nad głową. Poza tym będzie jej się żyło o wiele łatwiej, jeśli zdoła wyprowadzić stąd mikrobus.

Te myśli zaprzętnęły ją do tego stopnia, że podskoczyła nerwowo, gdy silnik wozu zaskoczył. Pozapalały się światelka na desce rozdzielczej, ożyła wskazówka prędkościomierza.

Ślusarz zaklął, odrzucił narzędzia, których do tej pory używał, i jakimś innym przyrządem zaatakował kajdanki. Tym razem otworzenie ich zajęło mu kilka sekund.

Wyskoczył z wozu i zniknął, zostawiając po sobie zwisające z kierownicy kajdanki i rozrzuconą na podłodze połowę narzędzi. Nawet nie zamknął za sobą drzwi.

Yuxia przechyliła się na stronę pasażera, trzasnęła drzwiami, rozsiadła się wygodnie na fotelu kierowcy i wrzuciła bieg. Ostatni raz obejrzała się przez ramię. Co będzie z Zulą i jej dwoma chłopakami hakerami - tym, który był dla niej niedobry, i tym, który traktował ją przyzwoicie?

* * *

Csongor potrzebował więcej czasu od Petera na otworzenie kajdanek. Zula zauważyła, że przy pracy wystawia czubek języka spomiędzy zębów. Wywnioskowała z tego, że najlepiej będzie nie ruszać się i go nie rozpraszać.

Ją natomiast coraz bardziej rozpraszał dźwięk niosący się echem w dół schodów, który z sekundy na sekundę stawał się coraz głośniejszy: męski głos powtarzał w kółko jedną i tę samą kwestię, jakby jego właściciel był aktorem uczącym się na pamięć trudnego tekstu. Z początku rozróżniała tylko kilka dźwięczniejszych spółgłosek, ale mówiący zbliżał się i z każdym pokonanym przez niego biegiem schodów dźwięki coraz wyraźniej składały się w słowa. Z wyraźnym rosyjskim akcentem.

- Ty JEBANA suko! Ty JEBANA suko! Ty JEBANA suko!...

W głosie Iwanowa pobrzmiwała raczej nuta zaskoczenia niż złości, tak jakby jebanosukowatość Zuli przerosła wszelkie historyczne precedensy do tego stopnia, że tracił wiarę w świadectwo swoich zmysłów. Zbliżał się i był chyba coraz bardziej skonfundowany. Przy słowie „JEBANA” jego głos na moment wznosił się do trzepotliwego falsetu, zanim opadł z powrotem do „suki”.

Mimo najszczerzych chęci spojrzała w końcu na Csongora, ciekawa, jak sobie radzi. Zareagował natychmiast. Musiał usłyszeć to, co ona, i zrozumiał znaczenie tych słów.

Powtarzana kwestia została przerwana nagłym:

- TY!

Iwanow zatrzymał się jedno piętro wyżej, może półtora.

Najprawdopodobniej mówił do Petera, ale Peter nie odpowiadał. Przynajmniej Zula nic nie słyszała.

- Ty jesteś sam? - spytał Iwanow.

Powtórzył pytanie, dopominając się o odpowiedź, i Zula w końcu usłyszała jakieś miauknięcie Petera.

- A gdzie jest twoja urocza dziewczyna?

Rozmowa (jeśli można ją tak nazwać) sprowadziła się do serii wypowiedzi Iwanowa:

- Aha, dzielny Peter idzie na zwiady? A Zula czeka, aż on jej da znak, że ona może iść za nim? Może my zejdziemy i my porozmawiamy z Zulą? Nie? Czemu nie? Bo może ta bajeczka to jest kłamstwo? Tak? To jest kłamstwo? Zula została w piwnicy z innego powodu? Może ona jest w piwnicy, bo ona jest PRZYKUTA DO RURY? Bo jej DZIELNY CHŁOPAK ją zostawił? NA ŚMIERĆ? Żeby DZIELNY CHŁOPAK mógł przez ten czas uciec jak PIERDOLONY SZCZUR?

Czyjaś dłoń spoczęła delikatnie na ramieniu Zuli, która odruchowo szarpnęła się tak gwałtownie, że prawie rozcięła sobie skórę na nadgarstku, gdy kajdanki ją przytrzymały. Ale to był tylko Csongor, któremu udało się w końcu uwolnić. Położył jej palec na ustach, uklęknął przed nią, jakby się oświadczał, i zaczął majstrować wsuwką przy zamku jej kajdanek. Zaczął od zamka spinającego obręcz zamkniętą na jej nadgarstku, ale ponieważ była zwrócona ku dołowi, miał do niej utrudniony dostęp. Przerzucił się więc na obręcz zapiętą na rurze, nachyloną pod wygodnym kątem.

- Jak to jest możliwe, że taka ODWAŻNA DZIEWCZYNA jak Zula ma takiego beznadziejnego chłopaka?! - wykrzykiwał tymczasem Iwanow. - Co by powiedzieli twoi rodzice, Peter? A w ogóle to kto ciebie wychował, wilki? Cyganie? Ty odpowiadaj! Ty tu nie becz jak mała dziewczynka! Ty PIERDOLONY... MAŁY... GNOJU!

Po każdym z trzech ostatnich słów następował ogłuszający huk. Przy pierwszym Csongor aż podskoczył i upuścił wsuwkę, ale zaraz ją odszukał i wrócił do pracy przy kajdankach.

Na dźwięk strzałów Zula instynktownie odwróciła się tyłem do drzwi przy schodach i znieruchomiała w tej pozycji, wpatrzona w dłonie Csongora, jak mała dziewczynka, której wydaje się, że potwór zniknie, jeśli będzie udawała, że wcale go tam nie ma. Okropnie to było głupie, ale wydarzenia ostatnich kilku dni w żaden sposób nie przygotowały jej na to, co - najwyraźniej - przytrafiło się przed chwilą Peterowi.

- Csongor! - zawołał ktoś półgłosem.

Zula i Csongor wzdygnęli się i odwrócili jak na komendę. Iwanow stał w drzwiach, z pistoletem skierowanym w ziemię.

- To jest dobre - powiedział. - Wreszcie ktoś tu jest prawdziwym mężczyzną.

Csongor przestał mocować się z zamkiem i wstał. Stał obok Zuli, spoglądając Iwanowowi w oczy z odległości ośmiu stóp. Iwanow przyglądał się Zuli takim wzrokiem, że Csongor chciał za wszelką cenę przechwycić jego spojrzenie. Wszedł między nich dwoje.

- Tak - powiedział Iwanow. - Tak jest stosownie. Ja zawsze wiedziałem, że ty jesteś prawdziwym dżentelmenem, Csongor. A teraz ty się odsuń, żebym ja mógł zastrzelić tę

kłamliwą sukę.

- Nie - odparł Csongor.

Iwanow przewrócił oczami.

- Ja rozumiem, że ty musisz dalej grać dżentelmena. Tak jest bardzo stosownie. Ale sytuacja jest następująca: ja kazałem Zuli powiedzieć prawdę o mieszkaniu, bo jak nie, to ja ją zabiję. Zula skłamała. Ja teraz muszę wywiązać się z umowy, zgodnie z obietnicą. Ty na pewno rozumiesz.

Uniósł broń na wysokość ramienia, spojrział przez przyrządy celownicze i z robił krok w bok, żeby ominąć Csongora i wymierzyć w Zulę.

Csongor znów zastąpił mu drogę.

- To nie jest hokej. I to nie jest, kurwa, krążek, tylko to jest kula, Csongor! Ty jej nie zatrzymasz.

- Owszem, zatrzymam - zauważył przytomnie Csongor.

- Csongor! Ty jesteś jedynym człowiekiem w całym bloku, który zasługuje na to, żeby żyć. Ja proszę, ty przestań być skończonym palantem. Ty nie chcesz się zestarzeć? Zapaść wąsów? Kierować autobusem?

Dla Zuli te pytania były tylko kolejnymi dowodami obłędu Iwanowa, ale dla Csongora musiały znaczyć coś więcej. Wzruszył ramionami.

- Zula chce, żebyś ty żył - dodał Iwanow. - To jest prawda, Zula?

To było dziwne pytanie. Csongor spojrział pytająco na Zulę.

W tej samej chwili Iwanow zrobił niesamowicie szybki wypad.

Mina Zuli podpowiedziała Csongorowi, że coś jest nie w porządku. Zaczął się odwracać do Iwanowa... i w tym momencie oberwał kolbą pistoletu w podbródek. Okręcił się w miejscu i spiralnym torem osunął na podłogę. Zula zdążyła częściowo wślizgnąć się pod niego i nieco złagodzić upadek. Wolną rękę podłożyła mu pod głowę i opuściła ją aż na posadzkę.

Skończyło się na tym, że usiadła na podłodze z nieprzytomnym Csongorem na kolanach. Ważył dobrze ponad dwieście pięćdziesiąt funtów.

Oblizła wargi i otworzyła usta, żeby wygłosić ostatnią mowę w życiu, w której zamierzała wytłumaczyć Iwanowowi, że nie ma sensu najpierw zabijać Petera za to, że nie był wobec niej szarmancki, a potem strzelać jej w głowę, kiedy tkwi przykuta do rury.

Rozległa się seria ogłuszających łoskotów. Niewidzialny szpadel odłupał Iwanowowi pół czaszki. Resztki pofrunęły na drugą stronę pomieszczenia, a sam Iwanow rzucił się w bok, jakby koniecznie chciał złapać swój mózg w locie, zanim ten spadnie na ziemię.

Dopiero teraz do Zuli dotarło, że w piwnicy pojawiła się czwarta osoba: wysoki czarny mężczyzna. Trzymał w rękach broń, w której rozpoznała - znany jej z ro-zjazdu - AK-47.

Spojrzeni po sobie.

- Angielski? - zapytał.

- Jestem Amerykanką.

- Nieporozumienie całkowicie zrozumiałe, pytałem jednak nie o narodowość, tylko o język - powiedział Murzyn z karabinem. - W przyszłości dołożę starań, aby swoje pytania formułować bardziej jednoznacznie. - Mówił z jakimś brytyjskim akcentem.

Przykucnął obok zwłok Iwanowa i zaczął je obszukiwać.

- To ten kolo cię skuł? - zapytał, płynnie przechodząc na czarną angielszczyznę.

W jednej z kieszeni coś zadźwięczało metalicznie. Murzyn sięgnął do niej, wyjął garść drobnych, obejrzał je i wyłowił z nich coś, co nie było monetą: kluczyk do kajdanek.

- Bingo.

Przewiesił karabin przez plecy, wstał, podszedł do Zuli i odpiął kajdanki od rury.

- Wolność! - obwieścił z uśmiechem.

- Dziękuję! - ucieszyła się Zula.

- Jest złudzeniem - dodał i zapiął wolny koniec kajdanek na przegubie własnej dłoni, skuwając się z Zulą. Schował kluczyk do kieszeni.

- Kim jesteś? - spytała, wyslizgując się spod Csongora.

- Możesz mnie nazywać „panem Jonesem”, Zula. - Zsunął karabin z ramienia, złapał go za lufę i spojrzał nań z żalem. - Trudno się z niego strzela jedną ręką - zauważył. Podniósł wzrok na Zulę. Miał bystrą, całkiem niebrzydką twarz. - Co zwróci na ulicach Xiamen większą uwagę niż dwoje skutych łańcuchem czarnuchów?

- Poddaję się.

- Dwoje skutych czarnuchów z kałachem. - Odłożył broń na podłogę. Jego wzrok padł na pistolet Iwanowa. Podniósł go wolną ręką. - Ładna sztuka. Model tysiąc dziewięćset jedenaście, jeśli się nie mylę.

Mimo że dużo się działo, jakaś część mózgu Zuli znalazła czas na to, by się zdziwić, że pan Jones przejawia w ogóle jakiś cień wątpliwości, że pistolet Iwanowa to tysiąc dziewięćset jedenastka. Przecież to było oczywiste.

Jones przełożył broń do prawej ręki i oparł kciuk na kurku, odciągniętym do pozycji strzałowej. Pociągnął spust i ostrożnie opuścił kurek, żeby nie spowodować wystrzału. Lewą ręką odciągnął zamek, wyrzucił nabój, wprowadził do komory następny. Kurek napiął się

automatycznie.

- Gotowy do strzału - mruknął. Majstrując chwilę, nauczył się obsługiwać bezpiecznik. - I zabezpieczony.

Było widać, że żałuje unieruchomienia prawej ręki kajdankami. Przełożył pistolet do lewej i zatknął go za pasek.

- Chodźmy. Przeznaczenie na pewno szykuje dla nas coś niesamowitego. *Inszallah*.

Złapał Zulę za rękę i pociągnął do wyjścia. Próbowala mu się wyrwać i osunąć na ziemię obok Csongora, ale pan Jones po prostu puścił jej dłoń i odczekał, aż łańcuch się napręży, werźnie jej obręcz kajdanek w skórę i pociągnie ją za nim. Potknęła się, przewróciła, zatoczyła na czworakach na ścianę i odbiła od niej tuż pod małym okienkiem osadzonym w zagłębieniu poniżej poziomu chodnika, które niechętnie przepuszczało do środka odrobinę mętnego, szarego światła, sączącego się przez warstwy krat, drobnej metalowej siatki i gęsto naniesionego deszczem brudu.

Rama okna obramowała twarz mężczyzny, młodego Chińczyka z wytrzeszczonymi oczami, który z niedowierzaniem wpatrywał się w Zulę. Znajdował się na wyciągnięcie ręki. Od jak dawna śledził wydarzenia w piwnicy?

Równie dobrze mógł być gadającą głową z telewizji - był dla niej w tej chwili tak samo użyteczny. Jones znowu ją szarpnął, przyciągnął, chwycił za rękę i zaczął wlec po schodach.

* * *

Przesuwając się po wiązce kabli, Sokołow miał aż za dużo czasu na rozmyślania o materiałach wybuchowych i zapalnikach w oddalonym o parę metrów płonącym mieszkaniu. Dawno wyćwiczone odruchy dały o sobie znać: złapał się na tym, że usta ma rozdziawione w permanentnym ziewnięciu, żeby ewentualna eksplozja nie rozsadziła mu bębenków w uszach. Za każdym razem, kiedy przekładał ręce, starał się wbić palce głęboko między przewody, żeby nie zdmuchnęła go fala uderzeniowa. Przyciskał brodę do piersi, ale co rusz opuszczał głowę, żeby spojrzeć - do góry nogami - na biurowiec. Kiedy ten przez boleśnie długi czas wcale się nie przybliżał, Sokołow zakazał sobie na niego spoglądać, a kiedy spojrzął po raz kolejny, od celu dzieliły go najwyżej dwa metry. Wyciągnął ręce najdalej, jak się odważył, wgryzł się palcami mocno w bebechy pęku kabli i rozplątał nogi. Zawisł w powietrzu na wyciągnięcie ręki od miejsca, w którym przewody wchodziły w szparę między dwiema płachtami brezentu.

Płachty rozbłysły, jakby ktoś z drugiej strony ulicy zrobił im zdjęcie. Sokołow zdążył znowu ziewnąć i zacisnąć mocniej palce w ułamku sekundy pomiędzy błyskiem i falą

uderzeniową, która grzmotnęła go jak kula do wyburzania domów i cisnęła nim o brezent.

* * *

Wkrótce po tym, jak seria pocisków wyłukła wszystkie okna w biurze Xinyou Quality Control Ltd. i kazała Olivii szukać schronienia na podłodze, strzelanina po drugiej stronie ulicy gwałtownie ucichła. Olivia przez chwilę nie próbowała wstawać, wolała trzymać się poniżej poziomu okien. W biurze znajdowało się osiem urządzeń wyposażonych w przełączniki niszczące. Udało jej się przełączyć trzy z nich, zanim dotarła do miejsca usłanego potłuczonym szkłem, i to nie takim nowoczesnym, hartowanym, które kruszy się na zgrabne sześcianiki, tylko ostrymi, zębatymi odłamkami w starym dobrym stylu. Przejście po nich na czworakach nie byłoby chyba dobrym pomysłem. Nie miała za sobą szczególnie intensywnego szkolenia bojowego, ale czegoś tam jednak ją nauczono. Szczególnie dobrze zapamiętała widowiskową demonstrację, z której jasno wynikało, że różne obiekty, za którymi usiłują się czasem kryć cywile - takie jak drzwi samochodów i ściany z cegieł - kompletnie nie nadają się do zatrzymywania pocisków wystrzelonych z dużą prędkością początkową. Biurowiec miał ceglane ściany, toteż nie było sensu się za nimi chować. Wstała więc i po chrzęszczącym szkłe ruszyła do pięciu pozostałych urządzeń. Stąpała niepewnie, ponieważ elementem kostiumu chińskiej biznesmenki były szpilki, a odłamki szkła pod obciążeniem ślizgały się po sobie nawzajem. Udało jej się jednak obejść biuro i zniszczyć całą aparaturę. Świadomym wysiłkiem woli powstrzymywała się przez ten czas od wyglądania przez okna. Mieszkanie Abdallaha Jonesa spłonęło w nedorzecznym tempie, jakby całe było zbudowane z nitrocelulozy. Sam Jones albo zginął na miejscu, albo został wykurzony z kryjówki na ulice Xiamen, gdzie nie przetrwa nawet kilku minut.

Otrząsnęła się już trochę z szoku wywołanego strzelaniną i uświadomiła sobie, że sytuacja wcale nie jest tak beznadziejna, jak to z początku wyglądało. Nadal, rzecz jasna, nie miała pojęcia, kto i po co zrobił wjazd do mieszkania Jonesa. Ludzi, którzy życzyli mu śmierci, z pewnością nie brakowało, i w tej chwili spekulacje prowadziłyby donikąd. Najważniejsze, że nikt nie próbował wyważyć drzwi Xinyou Quality Control Ltd. Powinna więc zgarnąć całą szpiegowską aparaturę w jedno miejsce i ją zniszczyć. Pomyślała, że zbierze sprzęt do worka na śmieci, który następnie, w drodze do domu, wyrzuci do wody w cieśninie oddzielającej Xiamen od Gulangyu. Pomysł może trochę dziwny, ale widok Chińczyka wyrzucającego śmieci do oceanu nie był widokiem niecodziennym, więc nikt pewnie nie zwróci na nią uwagi. A nawet gdyby wybuchła jakaś awantura, mało prawdopodobne, żeby ktoś z powodu takiego wykroczenia domagał się sprowadzenia pletwonurków i przeczesania dna morskiego.

Wyciągnęła więc worek wyściełający kosz na śmieci i obeszła całe biuro, wyplątując urządzenia z kabli i wyrzucając je jedno po drugim. Przy swoim laptopie się zawahała, ale ostatecznie on także wylądował w worku.

Zawiązała worek na supeł. Zrobił się na tyle ciężki, że musiała go sobie zarzucić na ramię, jak Święty Mikołaj. Odwróciła się tyłem do pustych okien i ruszyła do biurka, po torebkę. Zejdzcie spokojnie po schodach, do portu, a tam szarpnie się na taksówkę wodną prosto na Gulangyu. Po drodze wyrzuci worek za burtę. Dotarłszy do mieszkania, spakuje walizkę, zamelduje - szyfrowanym połączeniem - że wyjeżdża z miasta, pojedzie na lotnisko i pierwszym samolotem opuści Chiny.

Układając ten plan w myślach, uświadomiła sobie nagle ze zdziwieniem, że leży wymięta pod ścianą i nie może oddychać. Okna były ustawione jakoś bokiem... nie, do góry nogami! Zaraz zresztą w ogóle przestała je widzieć, bo skłębiona chmura kurzu wpadła przez poszarpany brezent i wypełniła wszystkie zakamarki pokoju, włącznie z jej szeroko rozdziawionymi ustami.

Próbowała wypluć kurz, ale zaschło jej w gardle. Wniknął tak głęboko, że wprawił przeryk w spazmy, które ustąpiły dopiero po zwymiotowaniu. Instynkt kazał jej się odsunąć od kałuży wymiocin, podniosła się więc na czworaki. Mrowie elektrycznych igieł przeszyło jej ręce i nogi. Zakręciło się jej w głowie, drugi raz zwymiotowała.

Musiała jak najszybciej się stąd wydostać.

Wstała na miękkich nogach, zatoczyła się na ścianę i osunęła na podłogę.

Jej wzrok padł na worek, który wylądował tuż obok niej. Chwyciła go za węzeł, wzięła się w garść i wstała, opierając się o ścianę. Wodząc po niej wolną ręką, namacała drzwi - a właściwie otwór wejściowy, bo drzwi zostały wyważone podmuchem.

Gdzie jest torebka? Obejrzała się przez ramię, ale biuro było jednym wielkim kłębowiskiem szarości, w którym majaczyły jakieś niewyraźne kształty. Sufit w większości się zawalił. Wybite i odarte z brezentu okna były czterema mgliście szarymi prostokątami w ścianie naprzeciw wejścia.

W jednym z nich poruszył się cień człowieka. Tygrysim skokiem przesadził parapet, przeturlał się po podłodze i znieruchomiał w półprzysiadzie. Płynnym ruchem ściągnął z pleców gotowego do strzału kałasznikowa.

Gotowego do strzału - w nią. Celował jej prosto w twarz. Wiedziała o tym, bo widziała jego oczy ponad muszką i szczerbinką. Miały niebieskie tęczęwki.

Krzyknął coś, czego przetworzenie - z powodu strachu, zagubienia i dźwięczenia w uszach - zajęło jej dłuższą chwilę:

- *Nie dwigajties!* - To była rosyjska wersja „Nie ruszaj się!”. Intruz błyskawicznie zdał sobie sprawę ze swojej pomyłki i dodał po angielsku: - Stać!

- *Nie strielajtie!* - odparła Olivia, po czym bardziej oficjalnie dodała: - Nie strzelaj!

Stali jak wrośnięci w ziemię przez trzy uderzenia serca, zanim Rosjanin zrobił głęboki wdech i opuścił broń.

Olivia okręciła się na pięcie, wpadła w pusty otwór po drzwiach i uciekła.

* * *

Na ulicy wokół mikrobusu zrobiło się najpierw bardzo jasno, zaraz potem bardzo ciemno, a później o dach wozu zadudniły chyba wszystkie sprzęty wysypujące się z bloku.

Kiedy wreszcie Yuxia mogła sięgnąć wzrokiem dalej niż na wyciągnięcie ręki przed przednią szybę (musiało upłynąć ładnych kilka sekund), wcisnęła gaz do dechy. Mikrobus skoczył metr do przodu i gwałtownie się zatrzymał.

Z tyłu dobiegł ją głośny łoskot. Odwróciła się w fotelu i zobaczyła, że połowa betonowego obramowania okna przebiła się przez blaszany dach wozu jak nóż przez folię aluminiową i spoczęła na środkowym fotelu. Kurz, piach i żwir sypały się do środka przez wyrwę w dachu.

Dodała gazu raz, drugi. Tylne koła buksowały bezsilnie na asfalcie, ale przednie były czymś zablokowane.

* * *

Skłonność Marlona do ulegania nagłej fascynacji drobiazgami (zdolnej zagłuszyć nawet instynkt samozachowawczy) wpędzała go w kłopoty od dzieciństwa, od czasów, gdy był w stanie poraczkować do gniazdka elektrycznego i wetknąć coś do środka. Zobaczywszy, jak jeden biały człowiek zabija na schodach drugiego, młodszego, po czym schodzi do piwnicy tropiony przez czarnego człowieka, nie mógł się powstrzymać: musiał zejść piętro niżej i przekonać się, jak się ta sprawa zakończy. Zszedł w zaułek, przykucnął przy zagłębieniu z oknem i zajrzał do środka. Widział wszystko: próbę uwolnienia przykutej do poręczy czarnej dziewczyny, którą krępy biały chłopak przypłacił ciosem kolbą pistoletu; konfrontację między białym mordercą i dziewczyną; zdecydowaną interwencję czarnego mężczyzny; na koniec - odejście dwojga czarnych, skutych jednymi kajdankami. Wychodząc, dziewczyna spojrzała w oczy Marlonowi. Wystraszył się, że dziewczyna krzyknie i zwróci na niego uwagę mężczyzny, a wtedy Marlon będzie kolejną jego ofiarą, ale nic takiego się nie wydarzyło.

Młody biały mężczyzna został nieprzytomny w piwnicy. Marlona kusilo, żeby tak zostawić tę sprawę i po prostu się zmyć, ale jedna rzecz nie dawała mu spokoju, mimo że nie

ogarniał szczegółów sytuacji: wszystko wskazywało na to, że on sam i jego kumple o włos uniknęli śmierci tylko dzięki temu, że ktoś spróbował ich ostrzec, na przemian włączając i wyłączając im prąd w mieszkaniu. Oczywistymi kandydatami do roli ktosia byli - znajdujący się w pomieszczeniu z bezpiecznikami - czarna dziewczyna i młody biały mężczyzna. A teraz wyglądało na to, że cierpią za swoją decyzję. Źle się czuł z tym, że nie może pomóc dziewczynie, która była przykuta do zabójcy (i to nie było jakiegoś zabójcy, tylko zabójcy, który przed chwilą zabił innego zabójcę), ale biały mężczyzna leżał w piwnicy nieprzytomny i niepilnowany i Marlon wpadł na pomysł, żeby tylnym wejściem wślizgnąć się do środka i sprawdzić, czy nic mu się nie stało.

Na co dzień tylne wejście było oczywiście zamknięte na głucho, ale dzisiaj ktoś zostawił drzwi otwarte na oścież. Marlon właśnie przekraczał próg, gdy blok eksplodował. W pierwszym odruchu chciał wybiec na dwór i uciekać, gdzie pieprze rośnie, ale już chwilę później ucieszył się, że tego nie zrobił. Kawał konstrukcji budynku zwałił się do piwnicy, wpychając w korytarz tuman kurzu, który popędził Marlonowi na spotkanie. Marlon odwrócił się i przyjął podmuch na plecy, mając przed oczami zaułek, gdzie właśnie spadł deszcz chyba tysiąca odłamków cegieł, z których każdy, gdyby trafił go w głowę, zabiłby go na miejscu. Za to framuga drzwi - wedle wiedzy sejsmologicznej najsilniejszy element budowli - wytrzymała i go ochroniła.

* * *

Oczywiste było, że mężczyzna, który kazał się nazywać panem Jonesem, improwizuje - tak jak było oczywiste, że doskonale się z tym czuje. Nie wiedział chyba, że z piwnicy jest bezpośrednio wyjście do zaułka na tyłach bloku, więc razem z Zulą weszli po schodach na parter. Tuż przed tym, jak tam dotarli, wolną ręką zasłonił Zuli oczy. Cofnął dłoń dopiero, kiedy zagłębili się w korytarz.

Zula wiedziała, dlaczego to robi, i nie protestowała.

Skierowali się do głównego wejścia. Po dwóch zakrętach w wąskim korytarzu dotarli do miejsca, z którego widać było (jak domyślała się Zula) hol wejściowy i drzwi na ulicę. Przed drzwiami stał mikrobus. W pierwszej chwili nie dostrzegła w nim za kierownicą Yuxii, ale tylko dlatego, że Yuxia akurat w tym momencie przechyliła się na stronę pasażera, żeby zamknąć drzwi; chwilę potem usiadła prosto, wrzuciła bieg i zerknęła w stronę wejścia. Serce Zuli zabiło żywiej na myśl o tym, że może Yuxia ją zobaczyć, ale było to mało prawdopodobne, gdyż widziane z zewnątrz wewnątrz domu musiało się wydawać bardzo ciemne, a w dodatku w holu robiło się tłoczno, bo spłoszeni strzelaniną mieszkańcy uciekali ile sił w nogach.

Tuż przed holem Jones niespodziewanie uskokzył w lewo, za uchylone drzwi mieszkania, którego okna wychodziły na ulicę przed blokiem. Zostało opuszczone w pośpiechu: było puste, ale telewizor grał, a z kuchni dolatywał zapach gorącego jedzenia. Jones podszedł z boku do okna, opuścił roletę, po czym odchylił jej skraj i przez szparę wyrzwał na dwór.

- Jest nasza bryka - powiedział po sekundzie czy dwóch.

Zula pomyślała, że ma na myśli mikrobus, dopóki nie zwróciła uwagi, że przycisnęła skroń do ściany i spogląda daleko w głąb ulicy.

Rozległ się niewiarygodny łoskot. Wisząca swobodnie roleta zafalowała i wyrznęła o szybę, a ułamek sekundy później zafurkotała swobodnie w powietrzu, ponieważ całe okno zostało wyrwane ze ściany. Zula skuliła się odruchowo, gdy zatrzęsa się ziemia. Wstrząsy się powtarzały.

Jones nie wyglądał na zaskoczonego.

- Blok się wali - powiedział. - Od góry, piętrami. Chyba powinniśmy się zbierać.

- Ale Csongor...

- Jeżeli masz na myśli tego gościa w piwnicy, to wybrał najlepsze miejsce, żeby to przeczekać.

* * *

Gdyby Chinka nie odezwała się po rosyjsku, Sokołow by się nie zawahał, ale to, co się stało, rozbudziło jego ciekawość do tego stopnia, że postanowił poświęcić pustemu biurku nieco więcej uwagi, niż początkowo zamierzał. Wnętrze zostało doszczętnie zniszczone, głównie przez zawalony sufit z obrzuconych tynkiem desek; Sokołow dosłownie brodził w gruzie, przedzierając się do wyjścia. Przy drzwiach rzucił mu się w oczy zawiązany na supeł foliowy worek na śmieci, który mówiąca po rosyjsku Chinka najwyraźniej zamierzała zabrać ze sobą - do chwili, gdy Sokołow wskoczył przez okno i śmiertelnie ją przestraszył. Stwierdził, że worek jest zaskakująco ciężki i zawiera sporą liczbę odrębnych kanciastych przedmiotów.

Odwrócił się i omiół wzrokiem zrujnowane biuro. Zdumiała go ilość porozciąganych wszędzie przewodów, kabli i drutów. Większość nie była do niczego podłączona: wtyczki wały się po podłodze, obsypane tynkiem, ale nie szkłem. Potłuczone szkło tworzyło pierwszą, najgłębszą warstwę śmiecia. Kable i wtyczki rzucono na podłogę już po tym, jak wyleciały szyby, a na końcu na to wszystko runął sufit. W tej chwili Sokołow miał zbyt wielki mętlik w głowie, żeby od razu wyciągnąć z tego jakieś wnioski, ale zapamiętał ten fakt jako zdumiewający i odłożył do późniejszej analizy.

Uniósł wzrok i zauważył, że niektóre przewody są poprzyklejane lub umocowane plastikowymi obejmami do ram okiennych i innych podtrzymujących je elementów wyposażenia. Co najmniej jeden prowadził do przedmiotu, który musiał być anteną radiową, i to nie taką zwyczajną, z pierwszego lepszego sklepu z elektroniką, tylko ewidentnie anteną wojskową.

Cofając się, zahaczył piętą o jakiś ciężki i miękki przedmiot. Spojrzał pod nogi, odgarnął nogą trochę gruzu i odsłonił damską torebkę. Podmuch eksplozji zrzucił ją ze stołu, część rzeczy wypadła ze środka. Sokołow wepchnął rozsypane drobiazgi z powrotem i zapiął torebkę na suwak. Podeszedł do drzwi, rozsypał worek i znalazł w środku laptop i kilka innych urządzeń elektronicznych, z których żadne nie mogło mu się w tej chwili przydać.

Worek był ciężki. Podejrzenie ciężki.

Wyjął na chybił trafił jedną skrzynkę i zważył w dłoni. Środek ciężkości znajdował się blisko podstawy urządzenia. Musiała się tam znajdować stalowa płyta albo coś w tym rodzaju.

Żeby skrzynka po wrzuceniu do wody poszła na dno.

Sprzęt szpiegowski. To była placówka szpiegowska. Znająca rosyjski Chinka pracowała w niej i próbowała ją zlikwidować.

Tylko że gdyby była Chinką, nie zachowywałaby się tak podejrzanie. Musiała być zagranicznym szpiegiem.

Wrzucił torebkę do worka na śmieci, zawiązał go i zarzucił na ramię. Wyszedł na korytarz, odszukał schody i piętro niżej wszedł do innego pustego i zdewastowanego biura. Wyjrzał przez okno na ulicę. Mikrobus - jego przepustka do normalnego świata - stał na swoim miejscu, chociaż w tylnej części dachu ziała wybita przez coś potężna dziura.

Jego uwagę zwrócił ruch przy wejściu do budynku. Dwie osoby chciały z niego wyjść, na razie jednak przystanęły w progu, rozdierane lękiem przed tym, co dzieje się za ich plecami, i przed tym, co czeka je na ulicy. Blok pomału, teatralnie walił się w gruzy, a właściwie stopniowo osiadał, gdy kolejne kondygnacje osuwały się na te znajdujące się niżej, powodując okrutne zmiany obciążenia konstrukcji. Każde takie zdarzenie powodowało wydmuchnięcie olbrzymich ilości pyłu przez wszystkie otwory w ścianach, nie wyłączając drzwi wejściowych, toteż obserwowana przez Sokołowa dwójka to znikająca mu z oczu, to się pojawiała w trwających po kilka sekund przypadkowych odstępach, gdy mgławica kurzu na przemian to buchała z drzwi, to opadała. Blok utracił wszystkie pionowe i poziome, toteż ogromne ilości gruzu miały skłonność do ześlizgiwania się z jego szczytu, rozpędzania się w locie ku ziemi i roztrzaskiwania o jezdnię z impetem, który Sokołow czuł aż w gonadach. Na

ludziach na dole łoskot musiał robić jeszcze większe wrażenie.

Osunęło się kolejne piętro, buchnął następny poziomy grzyb pyłu, a kiedy się rozwiął, dwójka spod drzwi zniknęła. Uciekli. Sokołow powiódł wzrokiem po całej ulicy, starając się trzymać nerwy w ryzach i porządnie przepatrzyć okolicę, i dostrzegł ich, jak biegną, trzymając się za ręce, w stronę pobliskiego skrzyżowania, gdzie zebrał się zmasowany tłum gapiów: samochody po prostu zatrzymały się i nie pojechały dalej, a piesi, kucając za nimi, śledzili widowisko z płonącym i walącym się w gruzy budynkiem.

Było w dwójce biegaczy coś dziwnie znajomego. W innych okolicznościach Sokołow rozpoznałby ich wcześniej po kolorze skóry, ale w tej chwili oboje byli kredowobiali, ponieważ - podobnie jak mnóstwo innych przechodniów - pokrywała ich gruba warstwa pyłu.

Ten wysoki był przywódcą mudzahedinów z mieszkania numer 505.

A ten niski był Zulą.

Dlaczego trzymali się za ręce? Czyżby współpracowali? Tego nie potrafił sobie wyobrazić.

Nagle potknęli się nawzajem o swoje stopy i przez kilka kroków desperacko usiłowali złapać równowagę. Odbili się od siebie, roztrącili na boki i Sokołow dostrzegł, że są ze sobą skuci.

Podniósł karabin i oparł kolbę o ramię. Przesunął się do miejsca, w którym mógł się wygodnie oprzeć o ramę okna, i wycelował w czarnego dżihadystę. Celny strzał z tej odległości nie był wcale niemożliwy, pod warunkiem, że poprzedni właściciel kałasznikowa dbał o niego należycie. Sokołow wiedział, że musi wstrzymać oddech i czekać na moment, w którym obiekt znieruchomieje, a na razie mógł tylko wodzić za nim lufą i skoncentrować się na sprawach dla strzału fundamentalnych - solidnym oparciu i ewentualnych przeszkodach w polu widzenia.

Nagle dotarło do niego, dokąd biegną - do taksówki, która zaparkowała dwoma kołami na chodniku, a kierowca wysiadł i oparty o drzwi, z szeroko otwartymi ustami i przyklejonym w kąciku ust papierosem, obserwował kataklizm.

Murzyn na celowniku Sokołowa już wcześniej ją zauważył. Teraz przyśpieszył i, praktycznie wlokąc Zulę za sobą, dopadł do taksówki. Wyhamował impet w zderzeniu z jej tylnymi drzwiami, odbił się od nich, przy tej okazji otworzył je, obiema rękami objął Zulę i potężnym wybiciem z obu nóg wskoczył na tylną kanapę, na której wylądowali w pozycji leżącej, obok siebie.

Była to chyba jedyna rzecz, która mogła odciągnąć uwagę taksówkarza od zawałającego się bloku. Odwrócił się i z nie mniejszym zaskoczeniem zagapił na cztery

oblepione kurzem nogi sterczące z otwartych tylnych drzwi jego wozu. Chciał coś powiedzieć, przypomniał sobie o papierosie, wyjął go, wsadził głowę do auta przez drzwi kierowcy - i znieruchomiał.

Sokołow wiedział, co go tak zmroziło, chociaż niczego nie widział: czarny dżihadysta celował mu z pistoletu w głowę.

Po krótkiej dyskusji taksówkarz osunął się ciężko na fotel za kierownicą, zamknął drzwi, wrzucił bieg i ruszył. Na skrzyżowaniu panowało takie zamieszanie, że Sokołow dogoniłby samochód na piechotę. Do diabła, nawet na czworakach! Tyle że zabicie islamskiego bojownika i udzielenie pomocy Zuli, choć pożądane, nie było chwilowo jego największym zmartwieniem. Musiał uciekać, zanim BBP otoczy okolicę kordonem.

* * *

Do niedawna, kiedy Csongor myślał o swoim życiu, w najśmielszych snach nie przyszłoby mu do głowy, że mógłby znaleźć się w sytuacji choćby z grubsza przypominającej tę, w której znajdował się obecnie. To może się wydawać dziwne, jeśli wziąć pod uwagę, że od czternastego roku życia pracował (mniej lub bardziej bezpośrednio) dla przestępców. Tyle że - jak usilnie starał się to wytłumaczyć Zuli - większość przestępców wie o prawdziwym nudnym życiu i ze wszystkich sił stara się do takich sytuacji nie dopuszczać.

Fakt, że był w swojej rodzinie człowiekiem najrozsądniejszym i najbardziej zrównoważonym, więcej mówił o najnowszej historii Węgier niż o nim samym. Jego rodzina (przynajmniej jej część ze strony ojca) od czasów średniowiecznych mieszkała w Kolozsvarze, stolicy Transylwanii, od stuleci będącej obiektem zacieklej i nieustępliwej rywalizacji Węgrów z Rumunami, którzy znali ją pod nazwą Kluż. Po pierwszej wojnie światowej Kolozsvar razem z całą Transylwanią przypadł w udziale Rumunii i rodzina Csongora nagle obudziła się w obcym kraju. Za granicą nie żyło im się najlepiej, toteż kiedy pod koniec lat trzydziestych Węgry sprzymierzyły się z krajami Osi, dziadek Csongora z entuzjazmem wstąpił do węgierskiej armii. W Budapeszcie ożenił się z Węgierką, którą następnie przywiózł do Kolozsvaru, tam zapłodnił, zostawił i poszedł wspomóc Hitlera w napaści na Rosję. Podobnie jak mrowie innych Węgrów, którzy wzięli udział w bitwie pod Stalingradem, przepadł bez śladu jak kryształek soli w Oceanie Spokojnym, przez co jego syn, ojciec Csongora, nigdy nie zobaczył go na oczy. Matka wróciła z nim do rodzinnego domu w Budapeszcie, gdzie przetrwali najpierw regularną hitlerowską okupację, a następnie najazd Armii Czerwonej, którym towarzyszyła tradycyjna litania wojennych okropieństw, bolesnych strat i chwil, w których ocierali się o śmierć. Kiedy na świecie trochę się uspokoiło, a Węgry i Rumunia stały się (przynajmniej w teorii) bratnimi krajami żyjącymi w harmonii

pod opiekuńczym parasolem Układu Warszawskiego, babcia Csongora wróciła do starego domu w Kolozsvarze, który znów nazywał się Kluź, ponieważ kolejny raz dostał się Rumunii. Tam ojciec Csongora przeżył młodzięcze lata i poszedł na uniwersytet studiować matematykę. Około roku 1960 zdominowana przez Węgrów uczelnia dostała się pod but rumuńskich szowinistów, którzy przeprowadzili regularną czystkę etniczną. Opiekun naukowy ojca Csongora popełnił samobójstwo, on sam zaś, wchodząc w rolę głowy rodziny (jego matka zaniemogła trochę na głowę), sprzedał rodową rezydencję, zebrał manatki i przeprowadził się do Budapesztu, gdzie z braku doktoratu musiał się zadowolić posadą nauczyciela.

Nauczyciela-kawalera, ponieważ ubóstwo i życie z wymagającą stałą opieką matką utrudniały mu dłuższe związki z dziewczynami. Kiedy jednak w połowie lat siedemdziesiątych matka go odumarła, nawiązał znajomość ze znacznie młodszą kobietą - jedną ze swoich dawnych studentek, przypadkiem spotkaną w metrze wiele lat po tym, jak skończyła studia. Pobrali się w 1979 roku. Bartos urodził się w 1982, Csongor w 1985. Ich ojciec był cudownym człowiekiem, ale miał już wtedy dobrze ponad czterdzieści lat, a że palił po kilka paczek dziennie, sam się wypalił jak papieros i zmarł, gdy Csongor miał zaledwie dziesięć lat. Na szczęście, wcześniej zdążył przenieść większość swojej matematycznej wiedzy do głowy Bartosa oraz, w mniejszym stopniu, Csongora.

Węgrzy mieli dryg do matematyki, który, wbrew powszechnemu mniemaniu, nie miał wcale podłoża genetycznego. Nie mógł mieć. Każdy, kto przespacerował się ulicami Budapesztu, widział, że Węgrzy są absolutnymi mieszkańcami, takimi Amerykanami Europy. Mnóstwo niebieskich oczu w twarzach, po których nigdy by się ich człowiek nie spodziewał. Drogie billboardy na budapeszteńskich lotniskach zachwalały doświadczenie, moc i ogólnoświatowy zasięg niemieckich firm projektowych i budowlanych. Inżynieria! Kolejny luksus krajów ze znaczną liczbą mieszkańców i nienaruszonym terytorium. Węgry - odcięte od połowy swojej ludności i większości posiadanych w przeszłości bogactw naturalnych - musiały więc praktykować coś w rodzaju akupunktury gospodarczej, dążyć do poznania magicznych punktów węzłowych w globalnym przepływie energii, które wystarczy dźgnąć szpilką, żeby wpłynąć na funkcjonowanie ważnych organów. Jak jeździec, który kolanami kieruje półtonowym wierzchowcem, żeby mieć wolne ręce i strzelać z łuku. A ponieważ matematyka jest jedną z nielicznych dziedzin, w której można małym kosztem uzyskać wielkie wpływy, Węgrzy nauczyli się fenomenalnie wyklądać ją swoim dzieciom. Częścią tego systemu nauczania było docenianie najlepszych. Bartos uczestniczył w konkursach matematycznych, które transmitowano na cały kraj niczym mistrzostwa w piłce nożnej.

Zresztą, on nawet wyglądał jak matematyk. W przeciwieństwie do Csongora, który w szkole musiał przemykać po korytarzach, unikając spotkania z trenerem zapaśników, który dopadał go przynajmniej raz dziennie, gotowy posunąć się do wszystkiego (może poza założeniem mu nelsona), żeby tylko zmusić go do przyścia na trening. Csongorowi udało się - ledwie, ledwie - opędzić od natrętnego atlety, kiedy dołączył do drużyny hokejowej, ale ponieważ nie potrafił się nauczyć jeździć na łyżwach tyłem, postawili go na bramce. I w roli bramkarza był naprawdę niezły, głównie dzięki połączeniu znacznych gabarytów, które ułatwiały zatrzymanie krążka, z niepospolitym refleksem. Próbował zresztą wykorzystać ten refleks w inny sposób i zapisał się na szermierkę, ale, jak to ujął trener, „udostępniał przeciwnikom zbyt duże pole trafienia”.

W młodzińskich latach, poświęconych zatrzymywaniu krążka, nie mógł wiedzieć, że dzięki swej pasji znajdzie tyle wspólnych tematów do rozmowy ze swoim przyszłym szefem - bossem rosyjskiej mafii i fanatykiem hokeja, który kazał się nazywać Iwanowem.

Ty nie chcesz się zestarzeć? Zapaść wężów? Kierować autobusem?

Iwanow twierdził, że uwielbia Węgrów. Nigdy nie mógł się nadziwić, jakim cudem przetrwali tak długo, co z początku Csongor naiwnie brał za komplement, a dopiero z czasem nauczył się interpretować jako zawołaną groźbę. Sposobem Iwanowa na stworzenie bliższej więzi z Csongorem było komentowanie jego wyglądu.

- Ty nie wyglądasz jak haker. Jakbym ja cię zobaczył na ulicy, to ja bym powiedział: kapitan drużyny waterpolo. Albo wykidajło w nocnym klubie. Albo kierowca autobusu. Kiedy ty zapaścisz sumiaste węży?

Wyglądało bowiem na to, że wszyscy Węgrzy płci męskiej, choć za młodu bardzo od siebie różni, z wiekiem wykazują zbieżność do kilku podstawowych typów: szpakowaty byczek z głową jak kula armatnia; intelektualista z zaczesaną do góry rzednącą siwizną; oraz Dziki Człowiek z Karpat, z trudem dotrzymujący kroku swoim krzaczastym brwiom. Csongor, jako klasyczny byczek, zdawał sobie sprawę, że wyhodowanie Prawdziwych Wężów jest w jego wypadku tylko kwestią czasu, na razie jednak w każdy pierwszy wtorek miesiąca przycinał włosy jak szczecinę, a twarz - którą uważał za znośną, choć daleką od przystojnej - golił gładko.

Nauczył się, że niektóre kobiety odczuwają pociąg do dużych facetów i od czasu do czasu wykorzystywał ten fakt. Tylko raz związał się na dłużej z jedną dziewczyną, rok temu. A wczoraj uznał, że Zula jest mu przeznaczona.

Kiedy Iwanow zdzielił go pistoletem w szczękę, nie stracił całkiem przytomności, czuł się natomiast, jeśli można tak powiedzieć, ogromnie rozkojarzony i odłączony od ciała przez

te kilka chwil, kiedy drugi uzbrojony mężczyzna zaskoczył wszystkich swoją interwencją. Poczł (i szczerze docenił) dotyk Zuli na policzku, gdy spowolniła jego upadek, ale nie bardzo wiedział, co się stało potem - głównie dlatego, że głowę miał zwróconą w niewłaściwym kierunku, a nie był w stanie jej obrócić.

W tej chwili umysł miał już jasny i klarowny. Wiedział, że znajduje się w piwnicy budynku, który właśnie się wali; że niezwykle wytrzymały rdzeń zawierający klatkę schodową trzyma się mocno, a wokół niego tworzy się względnie bezpieczna przestrzeń życiowa; oraz że tkwi w tej przestrzeni uwięziony z na wpół bezgłowym ciałem Iwanowa i karabinem marki Kałasznikow. I choć na pewnym poziomie była to sytuacja wręcz niedorzecznie chaotyczna i niebezpieczna, prawdziwy Węgier w Csongorze mówił:

- To było do przewidzenia. Zawsze się zastanawiałem, kiedy tak skończę.

Czasem myślał o tym, jak zginął jego dziadek, nikt bowiem nie wiedział nie tylko gdzie to się stało, ale nawet w którym roku. Może zmarł w piwnicy jakiegoś domu w Stalingradzie?

W tych rzadkich chwilach, kiedy blok nie był aktywną lawiną gruzu, Csongor krzyczał ile sił w płucach:

- Halo! Jest tam kto?!

Jakiś głęboko zakorzeniony instynkt powstrzymywał go przed krzyżeniem „Pomocy!”, ponieważ pomocy powinno się wzywać tylko kiedy człowiek ma poważne kłopoty i naprawdę tej pomocy potrzebuje. W przeciwnym razie byłby to fałszywy alarm.

No dobrze, może jednak miał lekki mętlik w głowie.

Zrobiło się prawie całkiem ciemno. W ciemnościach namacał miękko wyprawioną skórę obsypaną brudem i pyłem: torba Iwanowa, która upadła na podłogę tuż obok niego. Przyciągnął ją i otworzył w nadziei, że znajdzie w środku latarkę albo coś innego, co okaże się przydatne, ale palce podpowiedziały mu, że jest prawie po brzegi wypchana chińskimi pieniędzmi. Zawierała poza tym dwa ciężkie prostopadłościanny z zimnego metalu - dwa magazynki, uświadomił sobie Csongor, do pistoletu, który gdzieś zniknął. Znalazł też czarne pudełko, z jednego końca uformowane na kształt rozwartych szczęk, z drobnymi kołkami zamiast zębów. Wziął je do ręki i jego palec sam spoczął na guziku, który musiał pełnić rolę cyngla. Nacisnął go i między zębami przeskoczyła fioletowa błyskawica. Tańczyła tak i wiła się jak szalona, dopóki nie puścił guzika.

Co za głupota! Gdyby gdzieś tu ulatniał się gaz, mogłoby dojść do wybuchu!

Ale nie doszło. Gaz się nie ulatniał.

To była broń niesłużąca do zabijania, jakiś paralizator. Może Iwanow zamierzał

torturować nim trolla?

Csongor wcisnął guzik po raz drugi, przyświecając sobie trzeszczącym lukiem elektrycznym. Jego przypuszczenia się potwierdziły: torba była pełna chińskich banknotów. Ale przy ściankach tkwiły zapakowane w foliowe torebki strunowe paszporty i telefony komórkowe.

Gdzieś niedaleko usłyszał jakiś ruch.

- Pomocy! - zawołał.

Ruch ustał.

- Halo?! - zawołał Csongor.

- Halo - dobiegał głos z ciemności. - Tutaj, proszę.

- Idę.

Csongor wrzucił paralizator do torby, zapiął ją i zaczął się czołgać w stronę głosu, ciągnąc torbę za sobą.

* * *

- Lotnisko! - wrzasnął pan Jones, ale zaraz się stropił; pewnie dlatego, domyśliła się Zula, że zrozumiał, jak bardzo nad sobą nie panuje. - Lotnisko - powtórzył już znacznie spokojniej i wyraźniej.

Ponieważ kajdanki łączyły prawą rękę pana Jonesa z lewą Zuli, siłą rzeczy usiedli w taki sposób, że Zula znalazła się po prawej stronie, a pan Jones po lewej, dokładnie za plecami kierowcy, który teraz skręcił tułów niemal o sto osiemdziesiąt stopni i sparaliżowany strachem wpatrywał się w pasażera.

- Lot-nis-ko - powiedział trzeci raz Jones, z najwyższym trudem powstrzymując wściekłość.

Trzymanym w lewej ręce pistoletem wykonał lekki ruch, jakby chciał nim cisnąć. Dopiero wtedy kierowca odwrócił się i wrzucił bieg. Taksówka przejechała jakieś trzy cale, zanim musiała się zatrzymać, żeby nie rozjechać potykającego się, dokumentnie pokrytego pyłem uciekiniera - ale przynajmniej ruszyli z miejsca i kierowca miał jakieś zajęcie oprócz główkowania kim jest dziwaczna para pasażerów. W następnym skoku udało mu się pokonać kawał jezdni o długości wyciągniętej ręki. A dalej było już coraz łatwiej, jakby tłum, który przyznał samochodowi prawo do przemieszczenia się o pierwszy metr, nie mógł mu zabronić pokonania następnych dziesięciu. Albo stu.

* * *

Sokołów z zawodowym podziwem patrzył, jak taksówka rozplywa się w tłumie. Był doskonale wyszkolonym i doświadczonym wojownikiem, działał sam, mógł albo poukrywać

się jeszcze chwilę w biurówcu, albo wyjść z niego w wybranym przez siebie momencie - a mimo to, oceniał swoje szanse ujęcia z życiem na równe zero. Tymczasem ten Murzyn - wykurzony ze swojego mieszkania, przykuty do niechętnego mu zakładnika i znajdujący się na muszce karabinu Sokołowa - zdołał się wymknąć, wykorzystując dogodną okazję, która mu się przez przypadek nadarzyła. Oczywiście, bardzo pomogło mu zamieszanie związane z wybuchem i zawaleniem się budynku, ale jego reakcja i tak była godna podziwu. Afgańsko-czeczeńskie doświadczenie pomogło Sokołowowi rozpoznać w zachowaniu czarnego dżihadysty pewną kulturową przewagę, behawioralną zaletę cechującą ludzi jego pokroju: bezgraniczny fatalizm wynikający z przeświadczenia, że Bóg jest po ich stronie. Rosjanie zaś byli fatalistami innego rodzaju - uważali (albo przynajmniej żywili poważne podejrzenia), że bez względu na okoliczności i tak mają przesrane, więc muszą się po prostu sprężyć i wypaść jak najlepiej, nie licząc na boską interwencję ani wieczną chwałę w raju męczenników.

Dlatego tym, co kazało Sokołowowi nie poddawać się i zejść po schodach, nie była jakaś durnowata nadzieja, że ma szansę ocalenia, ale wściekłość, że samobójcza improwizacja czarnoskórego fanatyka przyniosła lepsze efekty niż jego dotychczasowe starania.

* * *

Csongor rozpoznał w swoim wybawcy jednego z hakerów - Manu, jak go nazywali. „Manu” wyprowadził go z piwnicy do zaułka na tyłach bloku, skąd wyszli na ulicę, którą dotarli do skrzyżowania z większą ulicą biegnącą przed frontem bloku. W ten sposób wystarczająco oddalili się od oczywistego niebezpieczeństwa, żeby „Manu” mógł się wreszcie odwrócić i obrzucić Csongora zaciekawionym spojrzeniem.

- Dziękuję - powiedział Csongor.

- Jestem Marlon - powiedział Chińczyk.

- Csongor.

Uścisnęli sobie ręce w dziwnie sztywny, oficjalny sposób.

- Co się stało? - zainteresował się Marlon.

Csongor, nie dowierzając angielszczyźnie swojej i Marlona, pokręcił głową na znak, że nie ma zielonego pojęcia.

Gdzieś niedaleko ktoś trąbił klaksonem - po serii długich dźwięków nastąpiła długi ciąg krótkich, przypadkowych, zakończonych siedmioma sygnałami w rytmie *Shave and a Haircut, two bits*. W okolicy nie brakowało przyciągających uwagę dźwięków i widoków, ale w końcu Csongor rozejrzał się i zobaczył stojący dziesięć metrów dalej znajomy mikrobus. Spod uchylonych drzwi po stronie kierowcy sterczały dwa niebieskie kalosze, a w pustej przestrzeni po szybie pojawiła się właśnie głowa Yuxii, zaciekawionej, czy udało jej się w

końcu zwrócić uwagę Csongora.

- Przejdziemy się? - spytał Csongor Marlona, wskazując mikrobus gestem kierowcy limuzyny witającego gwiazdę filmową na lotnisku.

Chińczyk uśmiechnął się szeroko.

- Chętnie.

Kiedy podeszli bliżej, Yuxia wyskoczyła z samochodu, zabiegła mu drogę, przykucnęła i złapała sterczący spod zderzaka powykęcany, zardzewiały pręt zbrojeniowy. Drugi jego koniec tkwił w pokaźnej bryle betonu, która skutecznie unieruchomiła mikrobus. Yuxia nie była w stanie sama jej ruszyć. Marlon z Csongorem pomogli jej usunąć przeszkodę, po czym zajęli miejsca z tyłu pojazdu. Yuxia usiadła za kierownicą, wrzuciła bieg i mikrobus zaczął się przedzierać przez drobniejszy gruz, który - choć wyboisty - nie groził przynajmniej unieruchomieniem kół.

Marlonowi i Csongorowi chwilę zajęło wypchnięcie betonowej oprawy okna za drzwi, które i tak nie chciały się zatrzaskać po tym, jak uderzenie odkształciło całą karoserię, i Csongor musiał je przytrzymywać. Marlon położył się na wznak na zdezelowanym siedzeniu, stopami zaparł się o wgnieciony sufit i pchnął z całej siły. Naprostował w ten sposób kawał blachy, częściowo załatał dziurę w dachu, a przy okazji znacząco powiększył dostępną dla pasażerów przestrzeń wewnątrz samochodu. Jednakże jego siła też miała swoje granice i po chwili obaj z Csongorem leżeli na plecach, kopiąc w strop i wyklepując blachę jak wytrawni kowale. Przynajmniej mieli co robić i nie musieli się przejmować tym, jak Yuxia prowadzi - a jej styl prowadzenia, gdyby poświęcili mu trochę uwagi, mógłby się okazać najbardziej przerażającą rzeczą, jaką w tym dniu zobaczyli.

- Dokąd jedziemy? - zapytał w końcu Csongor, nie rozumiejąc podejmowanych przez Yuxię decyzji.

W odpowiedzi Yuxia ruchem głowy wskazała punkcik w morzu pieszych i samochodów.

- Za tą taksówką.

- Dlaczego?

- Bo jest w niej moja dziewczyna. - Yuxia obejrzała się przez ramię i spojrzała Csongorowi w oczy. - Moja i twoja.

- Chciałbym! - mruknął Csongor, zanim ugryzł się w język.

- No to chyba powinno cię interesować, dokąd jedzie?

* * *

Sokołow dotarł na parter. Wyjął magazynek z karabinu, wyrzucił nabój z komory i

odrzucał broń na schody. Przebiegł korytarzem prowadzącym do wyjścia, w samym holu wejściowym nieco zwolnił, otworzył pierwsze dwuskrzydłowe drzwi, żwawym krokiem przemierzył sień i barkiem otworzył główne drzwi wejściowe.

Mikrobus właśnie odjeżdżał. Niczym wydalający łajno koń, przyspieszając, wyrzucił kawał betonu.

Nie było sensu zastanawiać się nad tym, jak Chinka zdołała uruchomić silnik. Sokołow rozejrzał się po ulicy i cofnął do sieni, żeby się zastanowić. Pod rusztowaniem schroniło się sporo gapiów, bez reszty zaabsorbowanych wydarzeniami zachodzącymi po drugiej stronie ulicy i kompletnie niezwracających uwagi na Sokołowa. Mimo to, wołał nie stać na widoku dłużej, niż to było konieczne.

Zanim jednak schował się do budynku, coś zobaczył. Z prawej strony.

Stopą pchnął lewe skrzydło drzwi; popękana szyba jeszcze trzymała się w ramie. Najpierw widział w niej tylko swoje odbicie, ale gdy drzwi uchylały się coraz szerzej, kąt widzenia się zmieniał i odbity obraz zataczał łuk. Po otwarciu o czterdzieści pięć stopni odbijał się w nich biegnący w prawą stronę chodnik i Sokołow mógł potwierdzić swoje spostrzeżenie: na rogu budynku pod rusztowaniem schronił się jeden z tych śmiesznych gości z wózkami. Sokołow prawie czytał mu w myślach - znalazłszy się znienacka w samym środku katastrofy, uciekł w pierwsze lepsze miejsce dające jakie takie schronienie. Teraz, gdy najgorsze minęło i ze wszystkich stron zjeżdżały się radiowozy policyjne i wozy strażackie na sygnale, zwietrzył szansę zarobienia paru groszy: zanosilo się na to, że trzeba będzie wywieźć stąd całą masę śmiecia.

Sokołow wszedł na piętro, jednym kopniakiem wyważył drzwi pustego biura, a drugim wybił resztki szyby okiennej, żeby móc bez przeszkód wyjść na rusztowanie. Najpierw rzucił na nie worek z elektronicznymi śmieciami, potem sam się za nim wygramolił. Tuż obok zwisła mocno sfatygowana płachta niebieskiego brezentu. Z bogatego podręcznego zestawu noży Sokołow wybrał jeden i paroma szybkimi ciachnięciami odciął obszerny kawał materiału. Zamiast tracić czas na składanie go albo zwijanie w rulon, narzucił go sobie na ramiona jak pelerynę, wziął worek i ruszył w stronę rogu, na którym wypatrzył wózkacza.

Na końcu rusztowania odstawił worek na deski, przeskoczył przez bambusową poręcz i znalazł oparcie dla nóg. Kiedy się wychylił i spojrział w dół, widział skraj stożkowego słomkowego kapelusza wózkacza. Sięgnął po worek, przyciągnął go na skraj platformy z desek i zrzucił w boczną uliczkę, dosłownie metr od człowieka z wózkiem.

Kiedy wózkacz podszedł bliżej, Sokołow widział tylko jego kapelusz, a gdy zadarł

głowę, zaintrygowany pochodzeniem tajemniczego worka, Rosjanin pacnął go w czoło dwucalowym plikiem banknotów, który odbił się wózkarzowi od nosa, potem od brody, aż w końcu stoczył się niżej i uwiązał między zapadniętym brzuchem i splecionymi rękami.

Chwilę trwało, zanim wózkarz uwierzył w to, co widzi. Sokołow nie miał zielonego pojęcia, ile taki człowiek zarabia, i tylko blade pojęcie, ile warta jest taka cegłówka z banknotów, ale domniemywał, że różnica między tymi dwiema liczbami musi być godna uwagi.

Kiedy wózkarz kolejny raz podniósł wzrok, odkrył, że wpatruje się prosto w wylot lufy pistoletu. Sokołow wskazał na wózek i gestem dał do zrozumienia, żeby właściciel wyciągnął go spod rusztowania.

Wózkarz wykonał gest w pół drogi między ukłonem i skinieniem głowy, na chwilę zniknął pod rusztowaniem, po czym wyciągnął spod niego wózek i ustawił bezpośrednio pod Sokołowem. Sokołow zeskoczył do środka i nakrył się brezentem. Sięgnął jeszcze po worek, ale wózkarz już wcześniej domyślił się, o co chodzi, i sam podniósł go z ziemi. Sokołow wciągnął worek pod płachtę.

Patrzyli na siebie z wózkarzem przez brezentowy tunel o średnicy rozpostartej dłoni. Sokołow ruchem głowy wskazał boczną uliczkę, sugerując, że tam właśnie chce się udać.

Wózek ruszył. Sokołow wyjął z kieszeni telefon komórkowy, uruchomił galerię fotografii i tak długo przeglądał zdjęcia, aż trafił na wizerunek jednego z dużych hoteli biznesowych nad morzem. Było to jedno z tych miejsc, gdzie biały człowiek nie przyciągał od razu prywatnego Stonehenge złożonego z kataleptyków z rozdziawionymi ustami.

Głośnym „psst” zwrócił na siebie uwagę wózkarza i pokazał mu zdjęcie. Ten musiał się mocno skupić (może miał słaby wzrok), ale w końcu chyba zrozumiał, o co chodzi, bo skręcił i wywiózł Sokołowa na szerszą ulicę, jeszcze bardziej historycznie zatłoczoną niż na co dzień. Z przeciwka jechała cała armia wozów policji i służb ratunkowych. Sokołow obciągnął brzegi niebieskiej płachty wokół siebie i przycisnął je własnym ciałem, żeby nie zerwał jej podmuch wiatru albo dłoń ciekawskiego dziecka. Do środka sączyło się niebieskawe światło. Sokołowowi był gorąco, ale musiał się z tym pogodzić. Serce waliło mu jak młotem, chyba ze sto osiemdziesiąt razy na minutę, co oznaczało, że ciało generuje olbrzymie ilości ciepła. Oparł głowę o ramię, przymknął oczy i siłą woli próbował spowolnić oddech. Zaczerpnął wody z przypiętego do pleców camelbaka i wtarł ją we włosy, żeby, parując, schłodziła mu głowę, a potem włożył końcówkę rurki do ust i zaczął popijać małymi łykami, co dziesięć sekund. Wózek zatrzymywał się i ruszał, kręcił i podskakiwał w ścisku. Sokołow żył i oddalał się od epicentrum.

* * *

- Moja wina, moja wina - powtarzała Yuxia, wjeżdżając na obwodnicę miasta w pogoni za pokrytą kurzem taksówką wiozącą Zulę. - Moja wina, moja wina, moja wina.

- To nie jest niczyja wina! - uspokajał ją Csongor. Musiał krzyczeć, żeby go usłyszała, bo po przyspieszeniu do prędkości obwodnicowej wiatr świszcział ogłuszająco przez dziurę w dachu mikrobusu. - Nie zrobiłaś nic złego!

- Widziałam ją! - biadoliła Yuxia. - Przebiegła tuż obok mnie! Zatrąbiłam, ale się nie obejrzała. Ajaaa!

Wyprzedzali mnóstwo samochodów. Marlon, siedzący w drugim rzędzie obok Csongora, za Yuxią, wychylił się zza jej fotela i rzucił coś ostro. Yuxia pierwszy raz od początku podróży spojrzała na prędkościomierz i dociskający pedał gazu niebieski kalosz uniósł się lekko.

W samą porę, bo niewiele brakowało, żeby wyprzedzili także jadącą prawym pasem zakurzoną taksówkę. Yuxia pozwoliła się jej nieco oddalić, zanim sama zjechała na prawo, narażając się na stentorowe protesty pobliskich samochodów.

- No dobrze - zaczął Csongor. Nie miał pojęcia, co się dzieje. - Zula przebiegła obok ciebie. Ty na nią zatrąbiłaś, ale nie zwróciła na to uwagi. Wsiadła do taksówki...?

- W skrócie: została do niej wrzucona.

- Kto ją wrzucił do taksówki?!

Yuxia otworzyła usta i bezradnie pokręciła głową.

- Wysoki czarny? - domyślił się Marlon.

- Nie. Wysoki biały.

Marlon z Csongorem spojrzeli po sobie.

- Biały jak papier - ciągnęła Yuxia. Polizała palec, starła z policzka trochę betonowego pyłu i pokazała im pobieloną opuszkę. - Taki kolor.

- Gdybyś czegoś spróbowała, ten gość by cię zabił - powiedział Marlon, czym tylko wywołał u Yuxii kolejny napad złości i bębnienia w kierownicę.

- Mnie się trochę pomieszało w głowie, nie wszystko widziałem, ale po tym, jak oberwałem od Iwanowa, ktoś jeszcze wszedł do piwnicy... - odezwał się Csongor. - To był ten człowiek?

- Tak, ten sam - przytaknął Marlon. - Strzelił do tego, który cię uderzył, i...

Scena z piwnicy stanęła mu przed oczami i Marlon pokręcił głową z mieszaniną niedowierzania i niesmaku. Csongorowi, który ni w ząb nie znał chińskiego, ogromnie imponowała uniwersalna angielszczyzna Marlona, zaczerpnięta z anglojęzycznych filmów

akcji i czatów.

Przedzierali się właśnie przez ogromne wielopoziomowe skrzyżowanie, gdzie obwodnica łączyła się z gigantycznym i chyba całkiem nowym mostem, który poprzez cieśninę spajał Xiamen z - jak domyślał się Csongor - kontynentem: strefą równin zalewowych, na których budowano właśnie olbrzymie bloki mieszkalne i równie wysokie słupy podtrzymujące przerzucone nad wodą linie wysokiego napięcia.

- Ktokolwiek zabił Iwanowa, jest moim ukochanym - wtrąciła Yuxia.

Csongor miał przeczucie, że zabójca Iwanowa byłby fatalnym ukochanym. Spojrzał na Marlona.

W tej samej chwili jego uwagę zwróciła ludzka postać przed samochodem. Wytężył wzrok, spoglądając przez pokrytą kurzem przednią szybę, i rozpoznał umundurowanego funkcjonariusza BBP, stojącego pomiędzy jezdniami, przy krawężniku, na pasie zieleni. Patrzył w ich stronę. Ręce trzymał przed sobą, wyprostowane na wysokości piersi.

Miał w nich pistolet.

I celował prosto w nich.

Csongor wzdrygnął się tak gwałtownie, że wkopał torbę Iwanowa pod siedzenie. Kiedy jednak w pędzie mijali policjanta, zorientował się, że ma do czynienia z manekinem osadzonym na betonowym postumencie i wyposażonym w atrapę radaru. Złapał się obiema rękami za twarz i spróbował wziąć w garść.

Po kolei.

- Macie telefony? - zapytał.

Marlon, który nie zauważył kukły, z zaciekawieniem obserwował Csongora i jego dziwne zachowanie. Teraz pokiwał głową, usiadł prosto, wyjął z kieszeni telefon i wyciągnął z niego baterię.

Csongor poczuł przyływ sympatii do tego gościa. Nie dość, że wyciągnął go z piekła, to jeszcze miał dość oleju w głowie, żeby wiedzieć, jak uciszyć telefon i uniemożliwić namierzenie go.

- Yuxia?

- Nie mam! Doktor Zło mi zabrał!

- W takim razie pewnie jest u niego w torbie.

Csongor wyciągnął torbę spod fotela, położył ją na kolanach i zaczął rozpinąć. Niepowtarzalny krzykliwy róż chińskich pieniędzy mignął spod suwaka i Csongor się zawahał. Uchylił zamek tylko na tyle, żeby włożyć do środka rękę, i zaczął szukać po omacku. Trwało to dłuższą chwilę, bo przecież nie widział, co robi, i Marlon przyglądał mu

się z coraz większą ciekawością i niepokojem.

- Kto to był? - spytał Csongor, próbując skierować jego myśli na inne tory. - Ten czarny.

Marlon oderwał wzrok od torby i gniewnie spojrzał mu w oczy.

- A kto ty jesteś, kurwa?! - zapytał i wdał się w kłótnię z Yuxią.

Csongor miał wrażenie, że Yuxia beszta Marlona za niegrzeczne zachowanie.

- Nie, nic nie szkodzi - uspokoił ją. - To rozsądne pytanie.

Uśmiechnął się od ucha do ucha, starając się dać do zrozumienia, że się nie gniewa. Niestety, każda bardziej wyrazista mina natychmiast przyprawiała go o ból głowy.

Zaciekawiona (zapewne słowami Marlona) Yuxia obejrzała się przez ramię na Csongora. Jej wzrok spoczął na torbie.

Marlon postukał ją w ramię i skinieniem głowy wskazał przednią szybę, prawdopodobnie chcąc, żeby Yuxia skupiła się na prowadzeniu, ponieważ znów zdryfowała na lewy pas i zaczęła masowe wyprzedzanie.

- Marlon ma rację - orzekła, odwróciwszy się i zwolniwszy. - Kto ty, kurwa, jesteś?

Było widać, że manewr z torbą ich wystraszył. Csongor upuścił ją więc na podłogę, w sam środek trójkąta pomiędzy nim, Marlonem i Yuxią, rozpiął do końca i odgiął zapinaną suwakami klapkę, odsłaniając zawartość.

Torba musiała mieć wszyte w ścianki jakieś elementy usztywniające, bo nie straciła kształtu i nie zamknęła się. Główną jej przestrzeń ładunkową wypełniały pieniądze: co najmniej tuzin zafoliowanych bloków setek pławił się (wraz z magazynkami do pistoletu i elektrycznym paralizatorem) w gulaszu banknotów - luźnych i pospinanych po dziesięć sztuk. Od środka miała wszyte liczne siatkowe kieszonki, wypełnione różnymi drobiazgami. Widząc znajomą fioletowoczerwoną okładkę węgierskiego paszportu, Csongor wyjął z jednej z nich torebkę strunową ze swoim paszportem, komórką i większością zawartości swojego portfela. Odłożył wszystkie rzeczy na siedzenie obok i wyciągnął baterię z telefonu. W następnych kieszonkach znalazł jeszcze dwie takie torebki: jedną z rzeczami Petera, drugą Zuli. Sprawdził, czy ich telefony też są wyłączone, chociaż pewności mieć nie mógł, ponieważ oboje mieli iPhone'y, z których nie umiał wymontować baterii. Na pewno jednak nie były włączone.

W innej kieszonce znalazł jeszcze jedną komórkę, chińską. Wyjął ją i pokazał.

- To twój? - spytał, wyjmując baterię.

Kiedy Yuxia nie odpowiedziała, podniósł wzrok i stwierdził, że oboje z Marlonem wpatrują się zafascynowani w zawartość torby. Na szczęście, Yuxia zachowała dość

przytomności umysłu, żeby od czasu do czasu zerknąć także na drogę.

- To torba Iwanowa - wyjaśnił Csongor. - Rozumiecie, co mówię? To nie moje.

- Teraz już twoje - zauważył Marlon.

- To naboje? - zainteresowała się Yuxia.

Csongor włożył telefon wraz z wyjętą baterią do uchwyty na kubek obok jej łokcia, po czym wyjął z torby jeden z magazynków. Pierwsze dwa naboje były wyraźnie widoczne.

- Tak.

- Masz gnata? - spytała.

Nie był to ton głosu, jakim mogłaby powiedzieć: „Gdybyś miał gnata, byłoby fajnie, super i w ogóle”. Raczej: „Jeśli masz gnata, to mamy bardziej przerąbane, niż myślałam”.

- Nie, tylko te magazynki. Może tamten gość zabrał pistolet Iwanowa.

- Co tam jest z tyłu? - zaciekawił się Marlon, zerkając na przegródkę na końcu torby, w której zmieściłyby się dwie nieduże książki.

Coś ją mocno wypychało od środka. Csongor otworzył kieszeń, włożył rękę i, ku swojemu zaskoczeniu, wyciągnął ze środka pistolet. Był mniejszy od tego, którego używał Iwanow, i miał drewnianą okładzinę na kolbie. Csongor od razu rozpoznał broń rosyjskich i radzieckich oficerów, ale i tak nie mógł uwierzyć, że trafiła w jego ręce.

- O rany... - mruknął Marlon.

Na Węgrzech Csongor miał bardzo ograniczony dostęp do broni. Za to na konferencji hackerskiej w Vegas, dwa lata temu, spędził dwa wieczory na strzelnicach dla cudzoziemców, gdzie opanował pewne podstawowe umiejętności. Domyślił się teraz, jak zwolnić i wyjąć magazynek, a następnie podstawił pistolet pod wpadający przez dziurę w dachu snop światła i odciągnął zamek, żeby upewnić się, że komora nabojowa jest pusta.

Odszukał bezpiecznik i przełączył go kilka razy, oswajając się z jego działaniem. Upewniwszy się, że pistolet jest pusty i zabezpieczony, odłożył go na sąsiednie siedzenie i jeszcze raz sięgnął do torby w poszukiwaniu dalszych skarbów. Znalazł zapasowy magazynek (pełny) oraz dwa nieduże czarne i ciężkie walce zaopatrzone w ogromne metalowe kółko na jednym końcu.

Spojrzeni po sobie z Marlonem. Żaden z nich nigdy nie widział takich przedmiotów na żywo, ale, opierając się na doświadczeniu wyniesionym z gier komputerowych, Csongor domyślał się (a mina Marlona go w tych domysłach utwierdziła), że trzyma w ręce dwa granaty.

- Dajcie jakiś znak życia - poprosiła Yuxia. Ruch się wzmógł i musiała się skoncentrować na szybkich zmianach pasa ruchu.

- Mamy pistolet i dwa granaty - oznajmił Csongor.

Marlon wziął od niego granat i zaczął go oglądać. Powierzchnia metalowego cylindra była podziurawiona dużymi otworami, odsłaniającymi częściowo jego wewnętrzną strukturę.

- To nie są prawdziwe granaty - orzekł. - Zobacz, nie ma odłamków. Tylko dziury.

- Granaty hukowe?

- Albo dymne. Albo gaz łzawiący.

Porozumiewali się z Csongorem bez najmniejszych problemów, dopóki trzymali się słownictwa z gier.

- Csongor miał nam powiedzieć, kim jest - przypomniała Marlonowi Yuxia. - Granaty mogą poczekać.

- Powiem wam, kim jestem - obiecał Csongor. - Ale najpierw wy mi powiedzcie, co się stało, bardzo was proszę. Co wiecie o tym wysokim Murzynie?

Marlon spojrzał na niego spodoba i Csongor doszedł do wniosku, że musiał go urazić (albo, co bardziej prawdopodobne, wystraszyć) sugestią, że mógłby znać tamtego czarnego mężczyznę.

Spojrzał Marlonowi w oczy.

- To może być ważne - dodał.

- Mieszkał na górze z jakimiś facetami z dalekiego zachodu - odparł Marlon. - Widzieliśmy go może ze dwa razy.

- A wiedzieliście, że ci faceci z dalekiego zachodu mają AK-47?

- Za kogo ty mnie masz, gościu?!

- W porządku. Przepraszam.

Csongor rozsiadł się wygodnie, mając nadzieję, że w ten sposób stłumi dudnienie pod czaszką. Zapadła znacząca cisza: w ten sposób tamci dwoje dawali mu do zrozumienia, że jest im winien wyjaśnienie.

- No dobrze. Co wiecie o Węgrzech?

Wiedzieli niewiele, ale żadne nie chciało się do tego przyznać, jakby się bali, że byłoby to nieuprzejme. Marlon, o dziwo, wspomniał o drużynie piłkarzy wodnych z olimpiady w 1956 roku, ale na tym kończyła się jego wiedza na temat Węgier.

Ilekcję Csongor bywał na lotnisku, podchodził do stojaków z prasą i przeglądał niekończące się stosy błyszczących angielsko- i niemieckojęzycznych pism ilustrowanych. Zdumiewał go fenomen kultur dostatecznie dużych, żeby opłacało się w nich wydawać miesięczniki, w których różni ludzie rozwodzą się szczegółowo nad technikami makijażu, wyczynowymi motocyklami albo modelami kolejek. Węgrzy uczyli się więc języków obcych,

by w razie potrzeby móc udawać przynależność do tego obcego świata - ale i tak byli w znacznie lepszej sytuacji, niż gdyby Węgry wchodziły w skład Chin. W Chinach (gdyby Węgrzy w ogóle przetrwali) raz na rok wyprowadzano by ich na arenę, żeby dali pokaz swoich tańców ludowych - w ten sposób udowodniano by całemu światu, że jeszcze nie zostali wyćpieni. Csongor nigdy wcześniej nie słyszał o mniejszości Hakka, ale nie musiał nawet zaglądać do Wikipedii, żeby się domyślić, że rodacy Yuxii są liczniejsi od Węgrów.

Od czego więc zacząć?

- To długa historia - powiedział. - Mógłbym się cofnąć do bitwy pod Stalingradem, ale... - Zawiesił głos i westchnął. Pomyślał chwilę. - Zacznę od tego, że jestem durniem, który podjął mnóstwo złych decyzji.

Węgry były układem zamkniętym. Można było śnić o tym, jak wyglądałyby one same i jakie odważne, szlachetne decyzje podejmowałyby Węgrzy, gdyby ich kraj był tysiąc razy większy i otoczony słonowodną fosą - lecz byłyby to próżne spekulacje.

Csongor zrobił przerwę dla nabrania tchu.

Yuxia zerknęła na niego w lusterku. Marlon przyglądał mu się z niedowierzaniem, jakby chciał zapytać: „Jeśli ty jesteś durniem, który podejmował złe decyzje, to kim ja jestem?”.

Csongor nie wytrzymał i parsknął śmiechem. Ze zdumieniem stwierdził, że na twarz Marlona też wypłynął uśmiech - cierpki i pozbawiony złudzeń, ale bez wątpienia uśmiech. Marlon odwrócił się do okna, próbując go ukryć.

- I ze względu na pewne popieprzone zaszłości, których właśnie się pozbywamy, moje życie układało się całkiem sympatycznie, dopóki podejmowałem te złe decyzje. A potem... - Csongor spojrział na zegarek. Szkiełko było rozbite, wskazówki się zatrzymały. - Mniej więcej pół godziny temu podjąłem właściwą decyzję i zrobiłem to, co należało. Sami widzicie, jak to się dla mnie skończyło.

Następne nerwowe spojrzenie Yuxii w lusterku i Csongor uświadomił sobie, że powinien się chyba wytłumaczyć z tej ostatniej uwagi.

- Wylądowałem w jednym samochodzie z miłymi ludźmi - dodał.

Trochę lepiej, ale nadal poruszał się z wdziękiem słonia w składzie porcelany. Dla niego Marlon już na zawsze pozostanie człowiekiem, który, ryzykując własne życie, wszedł do walącego się budynku, żeby wyprowadzić z niego obcego człowieka - tylko że intuicyjnie wyczuwał, że Marlon wcale nie chce być tak traktowany. Miał w sobie ten sam luz, tę samą niefrasobliwość, co mistrzowie deskorolki wykonujący przeczące grawitacji akrobacje na Erszebet Ter. Albo hakerzy, którzy na DefConie w Vegas popisują się swoimi najnowszymi

osiągnięciami.

- A przynajmniej z jedną miłą osobą - poprawił się Csongor.

Marlon odwrócił się do niego z uśmiechem i wyciągnął prawą rękę w jakimś skomplikowanym koszykarskim powitaniu. Csongor był praktycznie pewien, że je schrzanił, bo hokeiści z Europy Środkowej nie gustują w takich gestach, ale przynajmniej wyzbył się tego paskudnego wrażenia, które dręczyło go przy próbach jeżdżenia na łyżwach tyłem.

* * *

Pan Jones odezwał się ponownie po angielsku dopiero po godzinie jazdy, kiedy to spojrzął na Zulę i powiedział:

- Poddaję się.

Przez ten czas zdążyli już dwa razy objechać wyspę, ponieważ wbrew pierwotnemu poleceniu pana Jonesa wcale nie udali się na lotnisko. Zula nie bardzo rozumiała, dlaczego tak się stało, dopóki nie uświadomiła sobie, że jej towarzysz (jeśli można go tak nazwać), który nie zna ni w ząb chińskiego, założył (słusznie, jak się okazało), że kierowca nie mówi po angielsku, i po prostu krzyknął jedyne angielskie słowo, które powinien znać każdy taksówkarz na świecie - tylko po to, żeby samochód ruszył. Kiedy już kierowca przetarbił się i przepchnął poza strefę chaosu wokół wysadzonego w powietrze bloku, pan Jones wyjął telefon, wybrał jakiś numer i zaczął mówić po arabsku; Zula rozpoznała arabski, ponieważ nasłuchiwała się go w sudańskim obozie dla uchodźców. Po krótkiej prezentacji sytuacji (która musiała być dla osoby z drugiej strony telefonu sporym zaskoczeniem, bo pan Jones wkrótce zmęczył się powtarzaniem, że każde jego słowo to najszczerza prawda), pan Jones podał telefon taksówkarzowi. Ten wysłuchał instrukcji ze słuchawki, z zapalem pokiwał głową i powiedział coś, co musiało oznaczać: „Dobrze” albo: „Tak zrobię”.

Pan Jones zamienił ze swoim rozmówcą jeszcze kilka pośpiesznych zdań po arabsku i się rozłączył. Kierowca zaczął krążyć po obwodnicy.

Zula, która siedziała z łokciem opartym o ramę okna, od czasu do czasu odwracała dłoń na zewnątrz, przyciskając ją do przyciemnionej szyby. Sztuczne środowisko, jakim był zrobiony przez człowieka samochód, dawało jej złudne, fikcyjne poczucie bezpieczeństwa.

Na dźwięk wypowiedzianych przez pana Jonesa słów „Poddaję się” wzdrygnęła się lekko i otworzyła oczy. Naprawdę przysnęła? Ciekawo znalazła sobie moment na drzemkę - cóż, ciało dziwnie reaguje na stres, a od kiedy wyjechali na obwodnicę, nie było wystrzałów ani eksplozji, które przyciągałyby jej uwagę. Zmęczenie dopadło ją niepostrzeżenie.

- Był Rosjaninem, prawda? Ten grubas.

- Ten, którego... zabiłeś? - Nie mogła uwierzyć, że to zdanie naprawdę przeszło jej

przez usta.

Na twarzy Strzelca odmalowało się najpierw zaskoczenie, a potem cień uśmiechu.

- Tak.

- Tak. To był Rosjanin.

- Tamci też, na górze. Specnaz.

Zula pierwszy raz usłyszała słowo „Specnaz” dwa dni temu, ale teraz już wiedziała, co oznacza, więc pokiwała głową.

- Ale było też troje... innych. - Pan Jones podniósł rękę z kajdankami, szarpiąc przy tym ręką Zuli, i wyprostował kciuk. - Ty. - Palec wskazujący. - Ten, którego gruby Rosjanin zabił na schodach. Chyba Amerykanin. - Palec środkowy. - I ten w piwnicy, który próbował cię chronić...

- Naprawdę mnie ochronił.

- Też mógłby być Rosjaninem, ale jakimś innym...

- To Węgier.

- A ten grubas... Przystępczość zorganizowana?

- Raczej zdezorganizowana. Naszym zdaniem urwał się ze smyczy własnej organizacji. Coś spartolił, i to tak konkretnie. Potem próbował to zatuszować.

- Powiedziałaś: „naszym zdaniem”. Kogo masz na myśli?

Podniosła skutą rękę i powtórzyła gest z trzema palcami.

- Waszą trójkę... - domyślił się pan Jones. Przetrawił jej słowa. Humor wyraźnie mu się poprawił, ale nadal zachowywał ostrożność. - Jeżeli mam ci wierzyć, to sprawa wygląda zupełnie inaczej, niż się spodziewałem.

- A czego się spodziewałeś?

- Akcji sił specjalnych, naturalnie.

W samym tym określeniu nie było nic nadzwyczajnego, używano go w niezliczonych artykułach prasowych i tanich filmach sensacyjnych, ale pan Jones wypowiedział je ze specyficznym naciskiem, jakiego Zula nigdy przedtem nie słyszała. Jak człowiek, który z własnego doświadczenia wie, o czym mówi. Jak człowiek, którego przyjaciele ginęli w takich akcjach.

- Ale jeżeli mówisz prawdę... - Zamrugnął gwałtownie i pokręcił głową, jak człowiek usiłujący otrząsnąć się z wpływu środka usypiającego. - Nie, to niemożliwe. I głupie. To musiała być akcja komandosów. Tylko że przebranych.

- Przebranych?

- Jak na balu przebierańców - odparł pan Jones, naśladując bezbarwny akcent ze

Środkowego Zachodu. - Żeby potem móc się wszystkiego wyprzeć. - Znow wrócił do tego swojego brytyjskiego akcentu, którego Zula nie potrafiła umiejscowić. - Akcja obcego wojska w Chinach wywołałaby dyplomatyczny skandal, a tak mogą wzruszyć ramionami i powiedzieć: „To były jakieś czuby z rosyjskiej mafii. Nie mamy na nich wpływu. Nic nie mogliśmy zrobić”.

Brzmiało to tak przekonująco, że Zula sama zaczynała w to wierzyć.

- A jaka była wasza rola?

Zula parsknęła śmiechem. Otworzyła szerzej oczy.

Pan Jones też się roześmiał.

- Wasza trójka. - Znowu ten gest. - Po co tajny rosyjski oddział szturmowy ciągnąłby was ze sobą? Przykuwał do poręczy, strzelał wam w głowy...

Na wspomnienie losu Petera Zula oklapła, wstrząśnięta, i poczuła przypływ mdłości na myśl o tym, że jeszcze przed momentem mogła się śmiać.

Przez chwilę jechali w milczeniu.

- Więc piszecie wirusy, tak? - odezwała się w końcu Zula.

Miała teraz okazję przekonać się, jak wygląda kompletnie osłupiały pan Jones. Byłby to nawet interesujący widok, gdyby nie fakt, że sama też osłupiała.

- Rosjanie - dodała. - To dlatego weszli... weszliśmy do waszego bloku. Szukaliśmy kogoś, kto napisał wirusa.

- Komputerowego wirusa - powiedział Jones tonem stwierdzenia, nie pytania.

Zula pokiwała głową. W jej umyśle zrodził się nieprzyjemny pomysł, że ekipa Jonesa mogła mieć coś wspólnego z zupełnie innymi wirusami.

- Nie mamy nic wspólnego z wirusami komputerowymi - oznajmił Jones. - Chociaż, prawdę mówiąc, to mogłaby być ciekawa działka... - Otrząsnął się. - Już wiem: ci z dołu. Dzieciaki z komputerami. Zawsze się zastanawiałem, co oni tam właściwie kombinują.

Zula z trudem przełknęła ślinę. Przypomniała sobie obraz, który zapisał się jej w pamięci tuż przed wybuchem strzelaniny: moneta z półksiężycem i gwiazdą wciśnięta w gniazdko bezpiecznika. Ktoś - może nawet sam Jones - włożył ją tam, zajmując pustostan.

To wszystko jej wina. Co Jones jej zrobi, kiedy się o tym dowie?

- Wróćmy do tego Rosjanina - zaproponował.

- Iwanowa.

- Był maksymalnie wkurwiony na te dzieciaki.

- Można tak powiedzieć.

- A jak wy się w to wplątaliście?

- To długa historia.

Jones zwiesił głowę i się roześmiał.

- Spójrz na mnie. Przez tego waszego Iwanowa musiałem zrewidować swoje plany, ułożyć nowe... Czasu mam pod dostatkiem. A jeśli się nie mylę, ty masz go jeszcze więcej. Dlaczego, u licha, miałbym mieć w takiej chwili coś przeciwko wysłuchaniu długiej historii?

Zula wyjrzała przez okno.

- To dla ciebie jedyna droga do wolności - dodał Jones.

Zuli pociekło z nosa. Zaraz się rozplącze. Nie dlatego, że nagle znalazła się w beznadziejnej sytuacji, bo jej sytuacja już od dłuższego czasu taka była, a poza tym, kiedy żył Iwanow, było jeszcze gorzej. Rzecz w tym, że nie mogła opowiedzieć swojej historii, nie wspominając o Peterze.

Zrobiła kilka głębokich, uspokajających wdechów i wydechów. Jeżeli zdoła wypowiedzieć jego imię i nie załamać się przy tym, dalej będzie z górki.

- Peter... - zaczęła. Jej głos podskoczył jak samochód na spowalniaczu. Oczy lekko jej się zaszklily. - Ten na schodach?

Spojrzała znacząco na Jonesa, aż zrozumiał.

- Twój chłopak?

- Już nie.

- Przykro mi - powiedział Jones.

Wcale nie było mu przykro. Po prostu umiał się zachować.

- Ale nie, to nie tak... Nie dlatego, że nie żyje. - Proszę bardzo. Wykrztusiła to. - Nie dlatego, że Peter nie żyje. - Wypróbowywała te słowa, jakby ostrożnie wychodziła na cienki lód pokrywający staw na farmie, badając, jak daleko może się po nim posunąć, zanim zacznie pod nią pękać. - Już wcześniej zerwaliśmy. W dniu, kiedy wszystko się popieprzyło.

- W takim razie cofnięcie się do dnia, w którym wszystko się popieprzyło, byłoby niezwykle pouczające - zasugerował Jones. - Zapowiada się ciekawie.

- Pojechaliśmy na snowboard.

- Mieszkasz w górach?

- W Seattle. Ale pojechaliśmy do Kolumbii Brytyjskiej, parę godzin jazdy od Seattle.

- Jak to się stało, że dziewczyna z Rogu Afryki złapała snowboardowego bakcyła?

Fakt, że Zula pochodzi z Afryki Wschodniej, był wypisany na jej twarzy w sposób tak oczywisty, że ktoś taki jak Jones nie mógł go przeoczyć.

- Wcale go nie złapałam. Pojechałam dla towarzystwa.

- Twój chłopak ciągnie cię w góry, żeby sobie tam pojeździć, a ty się przez ten czas

nudzisz?

- Nie, tego bym nie zniosła.
- Przed chwilą powiedziałaś co innego.
- Miałam mnóstwo zajęć.
- Na przykład? Zakupy?

Zula pokręciła głową.

- To nie dla mnie. - Pytanie pozostawało bez odpowiedzi. - Mój wujek tam mieszka, mogłam go odwiedzić. Zabrałam też laptop, żeby pracować.

- Twój wuj mieszka w ośrodku narciarskim?
- Przez część roku.
- Dużą masz rodzinę w Kolumbii Brytyjskiej?

Pokręciła głową.

- Rodzinę mam w Iowa. Wujek to taka czarna owca.
- Myślałem, że to ty jesteś czarną owcą.

Nie umiała powstrzymać chociaż cienia uśmiechu.

Jones był zachwycony.

A ona zde gustowana - tym, że tak szybko zagrał czarną kartę, i tym, że tak na nią podziałała.

Jak się domyślił, że została adoptowana? Iowa jako miejsce pochodzenia na pewno było cenną wskazówką. Plus ten jej akcent.

- Czyli dwie rodzinne czarne owce spotykają się, a Peter śmiga sobie na snowboardzie. To wtedy wszystko się popieprzyło?

- Nie, ale wtedy to się zaczęło.
- Od czego?
- Do baru przyszedł facet.

- Rozumiem... Dużo ciekawych historii się tak zaczyna. Mów dalej, z łaski swojej.

Mówiła więc. Gdyby Jones dał jej czas na zastanowienie, na przemyślenie strategii i taktyki, pokombinowanie, co może mu powiedzieć, a czego nie powinna - czy i wtedy zachowałyby się tak samo? Trudno powiedzieć.

Zacząła od pojawienia się Wallace'a w tawernie i reszta opowieści sama się z tego rozwinęła, jak kilwater za łodzią. Pan Jones z początku słuchał z uwagą, ale kiedy dotarła do etapu, na którym sam zaczął kojarzyć fakty, coraz częściej błędził myślami gdzie indziej i coraz dłużej rozmawiał przez telefon.

Nieźle radził sobie z arabskim, ale z biegiem czasu Zula upewniała się, że nie jest to

jego język ojczysty: mówił powoli, zaciął się, brnął przez zdania, a słuchając swojego rozmówcy, uśmiechał się czasem ze zdziwieniem i, jak się domyślała, dopominał o wyjaśnienia. Co w żaden sposób nie przeszkadzało mu obmyślać nowych koncepcji. Pierwsza część rozmowy była rwana i składała się głównie ze ślepych uliczek, z których pośpiesznie się wycofywał - tak przynajmniej wnioskowała Zula z jego gestykulacji i tonu głosu. Jednakże przez ostatnie parę minut zaczęły się chyba klarować zręby jakiegoś planu, który obu stronom przypadł do gustu. Jones oderwał wzrok od oparcia fotela z przodu, zaczął się rozglądać z błyskiem w oku i przetykać swoje odpowiedzi wyraźnymi „OK”.

Znajdowali się na wschodzie wyspy, w jej najrzadziej zabudowanym rejonie - którego i tak nikt nie wzięby za dziewiczo naturalny. Droga częściowo biegła po ziemi wydartej morzu, na falochronie, gdzie woda znajdowała się tuż poniżej okna Zuli. Gdzie indziej oddzielał ją od morza szeroki pas piaszczystej plaży. Zdarzało się, że skręcała w głąb wyspy, oddając wybrzeże polom golfowym i ośrodkom wypoczynkowym.

Od dłuższego czasu okrążali wyspę w kierunku zgodnym z ruchem wskazówek zegara; Zula nie miała zegarka, ale musiały upłynąć co najmniej dwie godziny. Teraz zaś na wydany przez telefon rozkaz taksówkarz zawrócił i ruszył na północ - wschodnim wybrzeżem wyspy, w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara.

* * *

- Omójboże! - mruknęła Yuxia. - Zawraca!

- Dlaczego miałby to robić? - spytał retorycznie Csongor.

- Boi się, że go śledzimy - wysnuł teorię Marlon.

Pędem minęli taksówkę, która zjechała na pas do zawracania i czekała na lukę w ruchu z naprzeciwka. Tylne okna miała tak silnie przyciemnione, że nic przez nie nie zobaczyli, wyraźnie widzieli natomiast kierowcę: jedną ręką trzymał kierownicę, drugą przyciskał do ucha telefon komórkowy. I kompletnie nie zwracał uwagi na mikrobus.

- Dlaczego gada przez telefon? - zdziwiła się Yuxia, zjeżdżając na lewy pas.

- Chyba się pomyliłem - przyznał Marlon. - Nie wyglądał na gościa, któremu się wydaje, że ktoś go śledzi.

Csongor - obcokrajowiec - pierwszy poskładał elementy układanki.

- Nie zna angielskiego - powiedział. - A Zula i terrorysta nie mówią po chińsku. Zadzwonili do kogoś, żeby tłumaczył.

Yuxia ostro zahamowała, wywołując wściekłą burzę klaksonów, i zjechała na następny pas do skrętu.

- Nasuwa się pytanie - ciągnął tymczasem Csongor. - Kto pomaga terroryście?

Dopisało im szczęście, bo szybko trafiła się przerwa w strumieniu samochodów z naprzeciwka, zamiast więc się zatrzymywać, Yuxia spokojnie przecięła jezdnię w poprzek, wykręciła na poboczu, przepuściła kilka pędzących aut i dodała gazu. Nie stracili dużo do taksówki, która miała mniej szczęścia przy włączaniu się do ruchu i bardziej konserwatywnego kierowcę. Gdyby jednak ktoś obserwował drogę przez te przyciemnione szyby z tyłu, nie miałby wątpliwości, że jest śledzony.

Marlon wzruszył ramionami. Odpowiedź była oczywista:

- Ma tu kumpli.

- Jego kumple zginęli.

- Nie wszyscy. Ma ich więcej. W innym domu.

- To dlaczego nie pojechali prosto do tego drugiego domu? - dopytywał się Csongor. -

Po co godzinami jeżdżą w kółko?

- Bo chciał sprawdzić, czy ktoś go śledzi? - zasugerował Marlon. - No tak, tylko że nie zauważył, że my go śledzimy, chociaż to oczywiste.

- Wcale nie takie oczywiste - zaprotestowała Yuxia, wywołując krótką wymianę wzajemnych oskarżeń po mandaryńsku.

- On coś planuje - wtrącił Csongor, próbując uciszyć spór. - Przesiadkę. Albo wymianę. Urządził sobie biuro w taksówce.

- Kurwa, facet... - zaklął Marlon. - Po co ja wsiadłem do tego mikrobusu?

- Dopiero teraz nabrałeś wątpliwości? - spytała Yuxia, ciągle trochę zła na niego.

- Zaproponowałeś mi przejażdżkę. - Marlon spojrzał oskarżycielsko na Csongora.

- Możesz wsiąść, kiedy zechcesz - odparł Węgier.

Yuxia dodała coś po mandaryńsku. Chyba poparła propozycję Csongora.

- Mówię poważnie - dodał Csongor. - Ocaliłeś mi życie. Na jeden dzień wystarczy.

- A kto ocalił mnie i moich kumpli? - spytał Marlon.

Csongor spojrzał na niego pytająco.

- Włączając i wyłączając prąd. To nas zaalarmowało.

- Aha. - W natłoku wydarzeń Csongor na śmierć zapomniał o tym drobiazgu. - To była Zula. - Skinieniem głowy wskazał jadącą dwieście metrów przed nimi taksówkę.

- To dlatego ten duży... Iwanow... tak się wściekł - domyślił się Marlon. - Zorientował się, że Zula pokrzyżowała mu plan zabicia nas.

- Otóż to.

- Rozumiem. - Marlon skinął głową, zrobił głęboki wdech i zaczął z roztargnieniem gładzić się po bezwłosym podbródku. W końcu podjął chyba jakąś decyzję i usiadł prosto w

fotelu. - Nie zrobiłem dziś nic złego. Gliny nie mogą mi niczego zarzucić.

- Poza REAMDE - przypomniał mu Csongor.

- Za to i tak mam przesrane. Ale to detal. Dlatego na razie pojeżdżę jeszcze z wami i zobaczę, co się wydarzy.

- Oj zobaczysz, zobaczysz - przytaknął Csongor.

* * *

Kiedy tylko było widać morze, pan Jones się w nie wpatrywał. Zula próbowała iść w jego ślady, ale niewiele tam było do oglądania. Po drugiej stronie wąskiej cieśniny - na tyle blisko, że dobry pływak dopłynąłby tam w kilka godzin - znajdowała się mniejsza z dwóch tajwańskich wysepek. Może jej obecność tłumaczyła jałowość tutejszego wybrzeża i brak ruchu wodnego.

W parę minut oddalili się od tego skrawka zagranicy. Po prawej stronie zarysowało się gęściej zabudowane nabrzeże, pojawiło się też więcej statków, ponieważ obserwowali teraz milowej szerokości cieśninę oddzielającą Xiamen od reszty Republiki Ludowej. Droga cofnęła się od morza w głąb wyspy, robiąc miejsce dla portu kontenerowego wybudowanego na płaskim osuszonym terenie i zdaniem Zuli niczym nieróżniące się od podobnej placówki posadowionej na Harbor Island, w Seattle. Ten sam sprzęt, te same namalowane od szablonów nazwy na ścianach kontenerów. Za chwilę od strony lądu wyrosło olbrzymie blokowisko, a kawałek dalej morze wybiegło na spotkanie drogi, która wspięła się na ciąg mostów i grobli (pokonywali go już dziś nie pierwszy raz), przerzucony nad zatoczką wcinającą się w okrągłą jak muszla wyspę i meandrami sięgającą do jej serca.

Taksówka z pomrukiem silnika pokonywała most, gdy pan Jones spojrzał przez okno pod kątem prostym do ich ruchu - i coś zobaczył. Wyglądało na to, że przygląda się typowemu chińskiemu kutrowi, który odłączył się od stłoczonej przy brzegu masy statków i, skręciwszy pod most, wchodził w głąb zatoczki. Trochę przypominał długi płaski but. Na rufie miał sterówkę, a ciągnący się przed nią pokład był zapelniony ustawionym w sterty i przywiązany sznurami ładunkiem. Na szczycie jednej z tych stert stał człowiek z łokciami sterczącymi z boków głowy - Zula uświadomiła sobie, że patrzy na nich przez lornetkę. Opuścił łokcie i wykonał znajome gesty: otworzył telefon i przyłożył go do głowy.

Telefon pana Jonesa zadzwonił. Pan Jones odebrał i przez chwilę słuchał. Spojrzał w przód i wbił wzrok w tył głowy taksówkarza.

- Okej - powiedział, wysłuchawszy długiej przemowy, i oddał telefon kierowcy.

Skręcili w pierwszy zjazd z obwodnicy.

* * *

- Statek. - Yuxia zdjęła nogę z gazu i przygotowała się do zjazdu. - Przesiadą się na statek. To wszystko tłumaczy.

- Nie podjeżdżaj tak blisko! - złażał ją Marlon.

- Nie, nie szkodzi - uspokoił go Csongor. - Nie patrz. Sam pomyśl: Rosjanie nie żyją, a gdyby ścigała ich policja, dawno zostaliby zatrzymani, prawda? Fakt, że nikt ich jeszcze nie aresztował, najlepiej dowodzi, że nie są śledzeni.

- Ale za chwilę będzie oczywiste, że jednak są - upierał się Marlon. - Wiemy, że ten facet ma broń. Jego kumple na statku pewnie też.

Zerknął nerwowo na pistolet, który Csongor porzucił, nienaładowany, na pustym fotelu.

Denerwował się na sam widok broni?

Czy raczej na myśl o tym, że ciągle nie jest naładowana?

To pytanie Csongor musiał zadać samemu sobie.

* * *

Taksówka przejechała czterysta metrów szeroką czteropasmówką, którą wybudowano, na pierwszy rzut oka, bez większego sensu, ponieważ przecinała idealnie płaski teren, dawną równinę zalewową położoną teraz zaledwie kilka stóp nad poziomem morza i całkowicie jałową; wybrany z cieśniny muł był zbyt zasolony lub zanieczyszczony, żeby rozwinęło się na nim jakieś życie. Po chwili skręcili jednak w węższą drogę biegnącą przez obszar powoli zagospodarowywany, którego zabudowę zaplanowano już i naszkicowano, ale nie zaczęto jeszcze realizować tych planów. Dojechali nią do drogi wiodącej wzdłuż brzegu zatoczki. Po kilku ostatnich zakrętach Zula pogubiła się w kierunkach, teraz jednak dostrzegła most łączący brzegi zatoki nad samym morzem - ten sam, po którym przed minutą przejeżdżali.

Zatoka spuchła, osiągając szerokość około pół mili. Przy brzegu trafiały się rzadkie wypryski przystani, ale na wodzie prawie nie widziało się łodzi. Po dalszej telefonicznej debacie taksówka zawróciła i skierowała się w stronę budynków powstających nad samą wodą, połączonych chodnikami przerzuconymi na palach nad płycizną. Cały kompleks albo był jeszcze w trakcie budowy, albo z braku funduszy został porzucony przed ukończeniem. Obok niego wodę zatoki rozcinał szeroki, solidny pomost usłany pustymi paletami. Jones wystawił wolną rękę ponad fotelem pasażera i, używając pistoletu jak wskaźnika, kazał kierowcy zjechać na pomost. Taksówka zwolniła, prawie znieruchomiała, gdy taksówkarz wyraził sprzeciw.

Pan Jones jeszcze raz, z większym naciskiem, wskazał pomost, po czym cofnął rękę i - upewniwszy się, że taksówkarz widzi go w lusterku - odbezpieczył broń, oparł rękę na

kolanie i wycelował z pistoletu w sam środek fotela kierowcy.

Taksówka ostrożnie zjechała na pomost, dostatecznie szeroki, żeby zmieściły się na nim trzy takie pojazdy, i bez gazu posuwała się naprzód.

Kuter z kumplami Jonesa podchodził do brzegu, wzbudzając okazały kilwater.

- Okej - powiedział Jones. - Stop.

* * *

Nie było sensu dalej śledzić taksówki, która zjechała na pomost. Yuxia wcisnęła mikrobus między dwa budynki na nabrzeżu, dwieście metrów od pomostu, skąd mogli względnie dobrze ukryci śledzić rozwój wypadków. Taksówka ewidentnie na coś czekała, najprawdopodobniej na jakiś statek. Najlepszy kandydat właśnie przepływał im przed oczami, perkocząc rażno i wcale się nie kryjąc. Wiózł kilkunastu pasażerów płci męskiej, ubranych podejrzanie ciepło w tym dusznym upale.

Ciężkie westchnie Csongora przerodziło się w wybuch śmiechu. Wziął do ręki pistolet. Miał dwa magazynki: jeden schował do kieszeni, drugi wsunął do rękojeści pistoletu, aż coś pstryknęło i magazynek został zablokowany.

Marlon i Yuxia śledzili każdy jego ruch.

- Jest takie angielskie wyrażenie: „Dziewczyna kosztowna w eksploatacji” - powiedział. - Oczywiście, Zula nie jest moją dziewczyną. I nie zostałaby nią, nawet gdybyśmy nie wpakowali się w to bagno. A gdyby jednak nią była? Wcale nie byłaby kosztowna w eksploatacji. Nie ten typ. Jednak ze względu na specyficzne okoliczności dzisiaj jest najbardziej kosztowną w eksploatacji dziewczyną od czasów Kleopatry.

Jeżeli ten pistolet działał podobnie do innych, Csongor powinien coś zrobić, na przykład odciągnąć zamek, żeby wprowadzić do komory naboju pierwszy nabój ze świeżo włożonego magazynka. Zrobił to. Broń była gotowa do strzału.

- Co zamierzasz? - zapytał Marlon z godnym podziwu spokojem.

- Podejdę tam, jeśli mnie nie podwieziecie, i zastrzelę skurwiela.

Csongor szarpnął klamkę, ale z powodu wcześniejszych uszkodzeń drzwi nie ustąpiły od razu. Zanim zdążył się solidnie przyłożyć, Yuxia uruchomiła silnik, wrzuciła wsteczny bieg i zaczęła tyłem wyjeżdżać z zakamarka, w którym się schronili.

- Podwiozę cię - zaproponowała.

Csongor obawiał się, że jej interwencja tylko skomplikuje sprawę - i rzeczywiście. Następne słowa, jakie padły z jej ust, brzmiały:

- Może zadzwońmy po prostu po BBP?

- Proszę bardzo - powiedział. - Ale wtedy trafię na dłuższy czas do chińskiego

więzienia.

- Przecież jesteś dobrym facetem! - odparowała.

Marlon prychnął pogardliwie i po mandaryńsku wyłożył jej swoje poglądy na (jak domyślał się Csongor) zdolność chińskiego wymiaru sprawiedliwości do precyzyjnego odróżniania złych facetów od dobrych, nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach, nie wspominając o sytuacji, gdy rzeczony dobry facet jest cudzoziemcem, który nielegalnie przekroczył granicę, zadaje się z zagranicznymi gangsterami, zdeptał pół piwnicy (zawalonego już) bloku mieszczącego kryjówkę terrorystów i zostawił odciski palców na tajnym składziku broni i pieniędzy - tak przynajmniej przypuszczał Csongor, chociaż pod koniec tyrady Marlon zaczął również pokazywać na siebie, co mogło oznaczać, że porusza także kwestię swojej odpowiedzialności. Jakby nie było tego dość, raz i drugi wskazał też samą Yuxię, która podczas podróży po obwodnicy zdążyła im opowiedzieć o tym, jak przykuła nieszczęsnego ślusarza do kierownicy, łząc przy tym w żywe oczy miejscowemu krawężnikowi.

Cokolwiek powiedział, musiał trafić w czuły punkt, bo Yuxia zjechała na pobocze, żeby sobie chwilę cicho popłakać. Csongor czuł jednocześnie wdzięczność wobec Marlona i smutek z powodu efektu, jaki jego przenikliwość wywarła na Yuxii. Zanim jednak zdążył wykorzystać niezwykłą u Yuxii chwilę słabości i sięgnąć do klamki, opadł na siedzenie, wgnieciony w nie impetem ostro przyśpieszającego mikrobusu.

Marlon coś krzyknął; Csongor domyślał się, że było to coś w stylu: „Co robisz, do cholery?!”.

Gwałtowne zrywy i hamowania trochę go zaniepokoiły - przewoził przecież naładowany pistolet, który mógł przypadkiem wystrzelić. Przełączył bezpiecznik na broni.

- Chciałbym wysiąść - powiedział Marlon po angielsku, patrząc na Csongora.

- W porządku.

Csongor schował makarowa do naszytej na spodniach obszernej kieszeni i kolejny raz sięgnął do klamki.

- Myślałam, że chcesz pomóc dziewczynie, która ocalała ci tyłek - zauważyła złośliwie Yuxia, zerkając przez ramię.

- Bo chcę - przytaknął Marlon. - Tylko wolałbym w jakiś mniej bezsensowny sposób.

Csongor zdołał w końcu otworzyć drzwi mikrobusu. Marlon stanął chwiejnie i schylił się nisko, żeby nie zedrzeć sobie skalpu o poharatany dach. Wyjął z kieszeni telefon i baterię, połączył jedno drugim i wrzucił do uchwytu na kubek obok Yuxii. Tym samym płynnym ruchem zabrał podrzucony tam wcześniej przez Csongora jej telefon z baterią. Yuxia, godząc

się z tym, co nieuniknione, zwolniła. Marlon okręcił się na pięcie i, przechodząc przed Csongorem, wyciągnął z torby małą cegłówkę banknotów. Przytrzymując ją w zębach, zaczął tyłem wysiadać z toczącego się mikrobusu. Odbił się jeszcze po drodze od siedzenia obok Csongora, na wpół wypadł z wozu, przeturlał się po poboczu i został w tyle, gdy Yuxia dodała gazu.

Csongor zauważył brak jednego z dwóch granatów hukowych. Drugi schował do kieszeni kurtki. Pogubił się przez ten czas w terenie. Jechali w tej chwili jakąś nędzną uliczką, przy której ciągnęły się sklepiki i warsztaty w taki czy inny sposób powiązane z żeglarstwem. Wiedzę tę Csongor czerpał jednak nie z uważnej obserwacji otoczenia, lecz z przeblysków i woni iskier, dymu, ryb, terpentyny i gazu.

Nagle przecięli niewidzialną granicę terenu należącego do nowego właściciela i budynki zniknęły, odsłaniając widok na pomost. Taksówka nadal na nim stała. Kuter już prawie przybijał.

* * *

Jones nie mógł pokazać się publicznie, od kilku minut czekali więc w taksówce z włączonym silnikiem i obserwowali zbliżający się stateczek. Kierowca siedział nieruchomo, ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń; strużka potu spływała mu spod krótkich włosów na kark. Zula miała, rzecz jasna, świadomość, że we dwoje z taksówkarzem mogliby obezwładnić Jonesa, albo przynajmniej zaatakować go na tyle skutecznie, żeby kierowca mógł pobiec po pomoc. Wymagałoby to jednak możliwości porozumiewania się, co - dopóki Jones siedział między nimi - nie wchodziło w grę. Nawet gdyby znaleźli jakiś wspólny język.

Kuter podpłynął do końca pomostu i zgasił silniki. Pilot idealnie wyliczył prędkość: stateczek zwalniał po trochu, aż znieruchomiał na wprost samochodu. Różnica wysokości między pomostem i nisko położonym pokładem wynosiła dosłownie kilka stóp i nie stanowiła wielkiej przeszkody dla trzech mężczyzn, którzy wspięli się na pomost i wyszli taksówce na spotkanie. Jeden podszedł do drzwi kierowcy, pokazał mu wystającą zza paska spodni rękojeść pistoletu i ruchem głowy dał do zrozumienia: *Wysiadaj*. Taksówkarz pociągnął za klamkę, a kiedy tamten otworzył mu szeroko drzwi, nerwowym ruchem obrócił się w bok na siedzeniu, postawił stopy na ziemi i spojrzał pytająco na intruza.

Drugi mężczyzna stanął przy przednich drzwiach z drugiej strony, a trzeci otworzył drzwi Jonesowi i przywitał się z nim po arabsku. Jones odpowiedział mu w tym samym języku, po omacku szukając dłoni Zuli. Kiedy ich palce się splotły, przesunął się ku drzwiom, pociągając ją za sobą.

Przesiadka na kuter - a na to się zanosilo - byłaby z punktu widzenia Zuli

obezwładniająco fatalnym pomysłem. Wolną ręką chwyciła za klamkę drzwi po drugiej stronie, wczepiając się w nią i odmawiając wyjścia z auta.

Jones zatrzymał się w drzwiach i obejrzał na nią przez ramię.

- Wiesz, możemy to zrobić z krzykiem i kopaniem. Nas jest czterech. Ktoś może zauważy. Może wezwie BBP. BBP może zareaguje i może zdąży przyjechać na czas, żeby obejrzeć sobie ten stateczek i umieć go potem rozpoznać wśród tysięcy podobnych. Musisz jednak zrozumieć, że to śliska sprawa. Mamy wąski margines błędu i mało miejsca dla nadprogramowych pasażerów, dlatego, jeśli nie puścisz tej klamki i nie wysiądziesz ze mną z własnej woli, wrzucimy kierowcę do bagażnika i zepchniemy taksówkę do wody.

Zuła puściła klamkę i złapała Jonesa za rękę. Przesunęła się po kanapie do miejsca, w którym wystarczyło się obrócić na tyłku, żeby jej stopy znalazły się na skraju otwartych drzwi. Jones był silny, wiedziała już, że może polegać na jego uchwycie. Drugą ręką chwyciła go za przedramię i podskoczyła lekko na siedzeniu, wystawiając nogi na zewnątrz. Wysiadłszy na pomost, zerknęła na twarz Jonesa, który - bardziej z ciekawością niż zaskoczeniem - patrzył na coś, co zbliżało się od strony głównej drogi.

Dopiero w tej chwili (mózg czasem płata człowiekowi figle) rozpoznała w nim Abdallaha Jonesa, słynnego na całym świecie terrorystę. Czytała o nim w gazetach.

Podążyła wzrokiem za jego spojrzeniem. W tej samej chwili ryczący silnikiem mikrobus uderzył w tył taksówki.

* * *

Sokołow robił remanent. W walce człowiek ma skłonność do pozbywania się różnych przedmiotów w niewiarygodnym tempie, dlatego zarówno on sam, jak i inni przedstawiciele jego fachu lubili te naprawdę najważniejsze rzeczy trwale przytwierdzać do siebie. Przed niespełną godziną w piwnicy bloku mieszkalnego zrzucił strój emerytowanego chińskiego wędkarza i przebrał się w czarny dres i czarne adidas. Włożył także twarde ochraniacze na kolana, sportowe suspensorium z plastikową osłoną na genitalia, oraz pas z kaburą na makarowa i kieszeniami na dodatkowe magazynki. Obszerna kurtka skrywała czarną kamizelkę z systemem szelek, do których podwiesił noże, latarki, plastikowe obejmy i inne drobiazgi mogące mu się przydać. Na plecach miał camelbak z wodą. Dlaczego zabrał zapas wody na akcję, która miała trwać kwadrans? Dlatego że kiedyś w Afganistanie wybrał się z misją, która zamiast planowanych piętnastu minut trwała czterdzieści osiem godzin i kiedy półżywy wrócił do bazy (przeżył tylko dzięki temu, że pił swój mocz i wysysał krew z drobnych gryzoni i ptaków), obiecał sobie solennie, że nigdy więcej nie ruszy na akcję bez wody.

Rozwiązał worek z zabranym z biura sprzętem. Musiał wykonywać bardzo delikatne, dyskretne ruchy, żeby otaczający go tłumnie ludzie nie zorientowali się, że pod brezentem na wózku kryje się żywa istota. Wsunął rękę do worka, obmacał ciężkie elektroniczne pudła, aż w końcu natrafił na miękką skórzaną torebkę.

Większość jej zawartości była bezużyteczna albo prawie bezużyteczna. Na przykład, prezerwatywa: mógłby założyć ją na lufę makarowa dla ochrony przed piaskiem, ale w tej chwili nie miało to sensu. Znalazł za to portfel, a w nim oficjalny dowód osobisty ze zdjęciem mówiącej po rosyjsku i wyglądającej na Chinkę kobiety-szpiega, którą widział w biurowcu. Oto przykład sytuacji, w której specyfika mody kobiecej miała daleko idące konsekwencje, przynajmniej dla Sokołowa. Mężczyzna nosiłby portfel przy sobie - i uciekłby razem z nim; kobiece ubranie miało mniejsze możliwości, więc portfel trafił do torebki.

Zdjęcie znajdowało się z prawej strony dowodu, u dołu widniał wypisany zwyczajnymi cyframi numer seryjny, a resztę przestrzeni na karcie zajmowały różne pola informacyjne opisane niebieskim drukiem i wypełnione czarnym. Najwyższe z nich zawierało trzy chińskie znaki; Sokołow domniemywał, że jest to nazwisko właścicielki. Niżej znajdowały się dwa pola położone obok siebie - były mniejsze i każde zawierało tylko jeden znak; przypuszczał, że jedno z nich opisuje płeć posiadacza dokumentu. Dalej następowały trzy pola wypełnione liczbami, kolejno: 1986, 12 oraz 21, co z pewnością oznaczało datę urodzenia. Ostatnie pole było znacznie obszerniejsze. Chińskie znaki zajmowały pełne półtora wiersza, pod spodem jeszcze jeden wiersz był wolny. To musiał być adres właścicielki.

W jednej z kieszeni kamizelki miał notes i długopis. Wyjął je teraz i starannie przekopował adres, co ze względu na niewygodną pozycję zajęło mu sporo czasu, ale chwilowo i tak nie miał lepszego zajęcia.

Znalazł w torebce również telefon komórkowy, w którym natychmiast zaczął szukać zdjęć i innych informacji. Nie spodziewał się rewelacji. Jeżeli kobieta miała jakiegokolwiek pojęcie o szpiegowskiej robocie, musiała się z takimi urządzeniami obchodzić wyjątkowo ostrożnie. I rzeczywiście, zdjęć było niewiele i przedstawiały głównie nieruchomości, najczęściej biurowce, wśród nich także ten, w którym doszło do porannych wydarzeń. Znalazł jednak także kilka fotografii budynków mieszkalnych w jakiejś pagórkowatej, zielonej okolicy, przetykanych zdjęciami z pustego mieszkania oraz widokami z jego okien - skąd było widać wodę i centrum Xiamen.

Bardzo to było wszystko ciekawe, ale Sokołow na gwałt potrzebował planu działania od momentu, gdy wózkarz dostarczy go w końcu do hotelu. Znajdowali się już bowiem na nadmorskim bulwarze, gdzie wózek wyraźnie przyspieszył.

Otworzył telefon i dla odświeżenia pamięci przejrzał zrobione dwa dni wcześniej zdjęcia. Niewiele mu to pomogło: fotografie przedstawiały główne wejście luksusowego hotelu w zachodnim stylu, jaki mógłby równie dobrze stać w Moskwie, Sydney albo Los Angeles.

Przerzucał w kółko te same kilka fotek, szukając jakichkolwiek użytecznych szczegółów. Przy drzwiach kręcili się - co zrozumiałe - głównie taksówkarze i boye hotelowi. Jedni goście wchodzili, inni wychodzili, ci w garniturach, tamci ubrani jak turyści... Nie widział ani jednego komandosa w dresie.

Właśnie, dres. Coś jednak zwróciło jego uwagę, ale musiał jeszcze kilka razy obejrzeć zdjęcia, zanim to znalazł. Mężczyzna wchodzący do hotelu. Było go widać na dwóch następujących po sobie zdjęciach: na pierwszym jego odsłonięta noga i naga ręka ledwie załapały się w kadrze, na drugim skinieniem głowy pozdrawiał uśmiechniętego boya, który otworzył mu drzwi. Musiał być tuż po czterdziestce, wysoki, szczupły, łysiejący blondyn, skąpo ubrany w luźne szorty, kusą koszulkę z logo triathlonu i buty do biegania. Do pasa miał przypiętą saszetkę z butelką wody w czarnej siateczkowatej kieszeni.

Sokołow miał przy sobie trzy noże, z których jeden miał haczykowany czubek, przystosowany specjalnie do szybkiego rozcinania materiału. Powoli zaczepił haczyk o spodnie mniej więcej w połowie uda i wykonał okrężne cięcie, oddzielając dolną część nogawki od reszty. Powtórzył tę procedurę na drugim udzie i stał się posiadaczem czegoś, co, jak miał nadzieję, mogło uchodzić za sportowe szorty. Skrupulatnie, z najwyższą ostrożnością wyłuskał się z kurtki i wyplątał z szelek na sprzęt i pasa z bronią, aż został w samej koszulce.

Wypił z camelbaka, ile się dało. Nylonowy pojemnik miał wielkość bochenka chleba i służący do napełniania okrągły zawór w górnej części. Otwór był spory, mniej więcej wielkości wnętrza męskiej dłoni, co ułatwiało napełnianie camelbaka. Teraz Sokołow wrzucił do środka telefon kobiety, jej dowód osobisty i te rzeczy z portfela, które mogły pomóc w jej identyfikacji: kilka kart kredytowych i zapisanych karteluszków. Te drobiazgi zajęły niewiele miejsca, dorzucił więc jeszcze swój notes i dwa noże. Rozmontował makarowa, wrzucił do camelbaka wszystkie części pistoletu oraz dwa odpięte od paska magazynki. Wolne miejsce wypchał gotówką - po części dlatego, że mogła mu się przydać, a po części dlatego, że camelbak bardziej przypominał wtedy pojemnik pełen wody. Zamknął zawór.

W kieszeni kamizelki nosił schludnie złożony ręcznik - a właściwie połówkę pieluchy, tak przetartą, że po złożeniu zajmowała naprawdę minimum miejsca. Kolejna rzecz, którą nauczył się zawsze mieć przy sobie. Wyjął go teraz i wcisnął za pasek.

Resztę swoich rzeczy upchnął w worku z elektroniką. Nie musiał być już tak

dyskretny jak wcześniej, ponieważ na bulwarze nie było takiego tłoku jak w zaułkach. Plastikową obejmą zamknął worek.

Wyrzął spod brezentu i dwieście metrów przed sobą zobaczył charakterystyczną wieżę hotelu.

Jednakże, nawet gdyby przebranie biegacza miało się okazać idealne, nie bardzo mógł wyskoczyć z wózka na oczach boyów. Zresztą, nie tylko boyów, prawdę mówiąc. No i musiał się pozbyć worka. Włączył telefon i jeszcze raz obejrzał zdjęcia. Wtedy po obejrzeniu hotelu przeszli na drugą stronę ulicy, nad wodę, i zrobili tam mały rekonesans. Większość nabrzeża zajmowały zatłoczone przystanie promowe, ale dalej na północ rozciągały się obskurne, zaniedbane doki i puste, zaśmiecone wybrzeże. Znalazł zdjęcie przedstawiające te rejony i głośnym syknięciem zwrócił na siebie uwagę wózkarza.

Spojrzeni na siebie przez szparę pod skrajem płachty. Sokołow skinął zakrzywionym palcem. Wózkarz sięgnął pod brezent. Sokołow podał mu telefon. Wózkarz wziął go do ręki, obejrzał, pokiwał głową i oddał. Sokołow schował aparat do zewnętrznej kieszeni camelbaka.

Opracował sposób dyskretnego wyglądania spod płachty, dzięki czemu wiedział mniej więcej, gdzie są. Z bulwaru, na którym panował spory ruch, zjechali na węższą drogę, równoległą do niego, poprowadzoną bliżej wody i znacznie spokojniejszą. Dotarli nią do miejsca, w którym ruch zanikł prawie do zera. Sokołow słyszał chłopot fal i czuł charakterystyczną woń morskiego brzegu. Zamierzał odchylić brezent, ale wózkarz, nie odwracając się, pokręcił głową i rzucił jakieś ostrzeżenie. Sokołow znieruchomiał. Chwilę później wyprzedził ich pędzący rowerzysta.

Za to po kolejnej minucie wózek wtoczył się na pochylnię dochodzącą do rozklekotanego pomostu. Tam wózkarz się zatrzymał i zapalił papierosa. Pozaciągał się nim trochę, aż w pewnym momencie szarpnięciem zdjął brezent z pojazdu i coś mruknął.

Sokołow wyturlał się, ciągnąc za sobą worek, i natychmiast stanął na nogi. Obrócił się w miejscu o trzysta sześćdziesiąt stopni, wypatrując świadków, a kiedy żadnego nie dostrzegł, wykonał kolejny piruet, szybszy, i wyrzucił worek, który po przeleceniu jakichś czterech metrów zatonął. Woda w tym miejscu sięgałaby Sokołowowi pewnie najwyżej do pól uda, gdyby był na tyle głupi, żeby do niej wejść, ale to wystarczyło, by idealnie ukryć worek, ponieważ tutejsza woda nie była wybitnie przejrzysta, a worek był czarny.

Sokołow odwrócił się plecami do plusku i stwierdził, że wózkarz znalazł już napiwek czekający na niego na dnie pojazdu: następna cegła z czerwonych banknotów błyskawicznie zniknęła w kieszeni spodni Chińczyka, który coś powiedział do Sokołowa. Pewnie mu dziękował. Sokołow go zignorował i ruszył lekkim truchtem. W niespełną minutę wrócił na

bulwar i skręcił w stronę hotelu, przemykając od jednej plamy cienia do drugiej i starając się nie słyszeć rozbrzmiewających mu pod czaszką kolejnych dzwonek alarmowych. Od rana żył nadzieją, że nikt go nie zobaczy - a teraz był na widoku, wytykany palcami i wystawiony na komentarze tysiąca ludzi jednocześnie. Tyle że (o czym stale musiał sobie przypominać) zachowywali się tak wcale nie dlatego, że go znali. Tak samo wytykaliby palcami każdego westmana, który z braku piątej klepki wychodzi pobiegać w samo południe, kiedy jest największy upał.

* * *

Olivia zdążyła zbiec na parter, zanim dotarło do niej, że jest bosa. Podmuch eksplozji zdmuchnął jej buty z nóg i zostały w biurze, u rosyjskiego psa wojny.

W hipotetycznym wyścigu Olivii bosej z Olivią obutą w szpilki, rozgrywanym na nierównym, usłanym gruzem i szkłem podłożu, wynik wcale nie byłby oczywisty. Wszystko zależałoby prawdopodobnie od tego, ile czasu potrzebowałaby Olivia bosa, żeby nastąpić na odłamek szkła i rozciąć stopę. Pewnie niewiele - chyba że byłaby bardzo ostrożna.

Biurowiec miał dwie fasady: starą od strony uliczki i bloku, który przed chwilą wyleciał w powietrze, oraz nową, jeszcze niegotową, z drugiej strony, naprzeciwko powstającej tam dzielnicy handlowej. Dostęp do tej drugiej był utrudniony, stanowiła bowiem teren budowy, ale Olivia wiedziała, jak tam trafić, ponieważ ludzie, którzy szkolili ją w Londynie, wbili jej do głowy, że musi zawsze poznać wszystkie możliwe drogi wyjścia z budynku. Zamiast więc skorzystać z oczywistego wyjścia od frontu, które wyobrażała sobie jako głęboką do kostek strefę tłuczonego szkła, zawróciła i skierowała się na znaną już drogę ucieczki przez plac budowy. Jej przebieg zmieniał się z dnia na dzień, ponieważ budowniczowie regularnie stawiali lub burzyli zapory między powstającymi dopiero biurami i sklepami - dziś jednak uciekli, gdzie pieprz rośnie, zostawiając wszystkie drzwi szeroko otwarte. Wystarczyło więc, że Olivia biegła ku światłu, wypatrując porzuconych na podłodze sterczących gwoździ.

Nie znalazła ani jednego. Na Zachodzie zdarza się pewnie, że przy budowie spadnie na ziemię jakiś gwoździec. W Chinach gwoździec się zbiera.

W ten sposób wyszła przed względnie niezniszczoną fasadę budynku, który w tym miejscu graniczył z wykopanym przez ludzi kraterem o średnicy kilkuset metrów, otoczonym prowizorycznym ogrodzeniem. Przyjeżdżający do Chin turyści często mówili o „lesie dźwigów”, tutaj jednak wyglądało to bardziej jak sawanna, ponieważ nad rozległym otwartym terenem majaczyło stosunkowo niewiele dźwigów, rozstawionych w sporych odstępach. Zamieszkująca sawannę fauna składała się z robotników budowlanych, z których około

trzydziestu patrzyło właśnie w przybliżeniu na Olivię.

Nie, nie w przybliżeniu. Dokładnie na Olivię.

Teoretycy feminizmu mogą się spierać z konserwatywnymi socjologami, czy typowa dla kobiet skłonność do przesadnej dbałości o swój wygląd jest cechą naturalną (wynikiem działania sił darwinowskich), czy też przypadkowo wykształconym nawykiem społecznym. Bez względu jednak na źródła tej skłonności, kiedy Olivia wyszła przed biurowiec i znalazła się pod ostrzałem spojrzeń znacznej liczby obcych facetów, nagle poczuła się skrępowana w sposób, jaki jeszcze przed chwilą nie przyszedłby jej do głowy. Z braku lusterka dotknęła twarzy i włosów, spodziewając się, że ręce będzie miała całe w białym pyłe - ale nie. Jej ręce były czerwone i błyszczące.

Ojejku...

Olivia nie należała do dziewczyn, które łatwo mdleją. Nie sądziła też, żeby obrażenia wywołały utratę jakiejś poważniejszej ilości krwi. W uszach rozbrzmiał jej głos instruktora pierwszej pomocy: „Gdybym chlusnął ci w twarz sokiem pomidorowym...”.

Nie było jednak mowy, żeby ci goście pozwolili bosej, zakrwawionej kobiecie wyjść spokojnie na ulicę. Dwóch już biegło w jej stronę, wyciągając ręce w sposób, który w normalnych okolicznościach nie przystoi prawdziwym dżentelmenom. Coś, co na Zachodzie uznano by za wrogie środowisko, ogarnęło ją ze wszystkich stron, gdy liczne silne ręce dotknęły jej, pomogły wygodnie usiąść na krześle, które pojawiło się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, i zaczęły obmacywać głowę w poszukiwaniu guzów i ran. U jej stóp otworzyły się aż trzy osobne apteczki. Starsi i mądrzejsi mężczyźni zaczęli wyrażać sprzeciw wobec rozrzutnego użycia środków opatrunkowych, sugerując złowieszczo, że młodszy garną się do pomocy tylko dlatego, że Olivia jest śliczną dziewczyną. Pewien wyjątkowo dziarski młodzian podczołgał się do niej na kolanach (miał na nich twarde ochraniacze) i w pozie księcia z ostatniej strony *Kopciuszka* wsunął jej na stopy używane klapki.

Sprowadzenie karetki w tej konkretnej półgodzinie nie wchodziło w grę, robotnicy przewlekli więc dwa bambusowe pręty przez nogi krzesła i przywiązali je sznurami, tworząc w ten sposób prowizoryczną lektykę, w której ponieśli Olivię jak żydowską pannę młodą wokół krateru do miejsca, gdzie można było złapać taksówkę. Przejazdźka lektyką była o tyle zabawna, że Olivia nie mogła opędzić się od myśli o Brytyjczykach z MI6 i o tym, jak ją uczulali, żeby unikała wszelkich sytuacji, w których zwróciłaby na siebie niepotrzebną uwagę. Na szczęście, miała już głowę owiniętą kilometrami bandażu i nie wyróżniała się z tłumu anonimowych mumii i ofiar oparzeń.

* * *

Taksówka skoczyła naprzód i zniknęła za krawędzią pomostu. Towarzyszący temu odgłos - donośny łoskot zamiast plusku - odpowiedział Zuli, że samochód zanurkował na pokład kutra.

Prędkość mikrobusu spadła prawie do zera, dzięki czemu Zula mogła bez przeszkód zajrzeć do środka przez przednią szybę - a właściwie prawie bez przeszkód, ponieważ szyba była pokryta kurzem, a teraz także siateczką pęknięć po zderzeniu z taksówką. Za kierownicą dostrzegła wielki biały balon - poduszkę powietrzną. Była jednak pewna, że na ułamek sekundy przed zderzeniem mignęła jej tam twarz Yuxii.

Mikrobus toczył się naprzód na wyciągnięcie ręki od Zuli, która w chwili, gdy ją minął, w bocznym oknie wyraźnie zobaczyła profil Yuxii. Flaczejąca poduszka powietrzna odklejała się jej właśnie od twarzy, ale Yuxia patrzyła prosto przed siebie, otępiła po uderzeniu. Jej stopa musiała wciąż opierać się o pedał gazu.

- Yuxia! - krzyknęła Zula.

Wydawało się jej, że Yuxia się poruszyła, lecz wtedy mikrobus przyśpieszył i w ślad za taksówką zjechał z pomostu. Nie zniknął jednak całkowicie, ponieważ rozbite pojazdy zaczynały się piętrzyć na pokładzie stateczku i miejsca wystarczyło już tylko na to, żeby mikrobus przechylił się i znieruchomiał z zadartymi tylnymi kołami.

Nie co dzień widuje się takie sceny, widok przykuł więc uwagę wszystkich: Zuli, Abdallaha Jonesa, jego dwóch ocalałych współników (człowiek z pistoletem, który w momencie zderzenia nachylał się do wnętrza taksówki od strony kierowcy, źle skończył i leżał teraz nieruchomo na deskach pomostu) oraz taksówkarza. Z tego powodu upłynęła wyjątkowo długa chwila, zanim uświadomili sobie, że dołączył do nich nowy gracz. Zula, która zobaczyła go kątem oka, nie musiała się nawet odwracać, żeby po sylwetce rozpoznać Csongora. Na chwiejnych nogach szedł ku niej i Jonesowi. Był wyraźnie sponiewierany i desperacko próbował otrząsnąć się z zamroczenia; wyglądało na to, że tuż po zderzeniu wypadł przez boczne drzwi mikrobusu.

Zula już zaczęła rozkładać ramiona, żeby go uściskać, ale powstrzymała się, gdy poczuła szarpnięcie napinającego się łańcuszka kajdanek. Csongor sięgnął do kieszeni spodni.

Poczuła bolesne szarpnięcie za lewy nadgarstek, gdy Jones wyciągnął prawą rękę do góry, w poprzek jej ciała. Wierzchem dłoni otarł się o jej prawą pierś, gdy jego szorstkie paznokcie boleśnie wbiły się w jej biceps. Stal kajdanek wgryzła się w ciało. Ponieważ lewa ręka Zuli nie miała innego wyjścia, jak tylko podążyć za prawą ręką Jonesa, spoczęła ostatecznie na jej brzuchu.

Jones zacisnął palce na jej bicepsie, zgiął rękę, dźgnął Zulę łokciem w mostek i

obrócił ją w miejscu w ten sposób, że stanęła z nim twarzą w twarz, zwrócona plecami do Csongora. Zrobił z niej żywą tarczę.

Podniósł uzbrojoną w pistolet lewą rękę i, wykręcając ją niezręcznie, przystawił Zuli lufę do krtani. Celował przez nią na wylot. Zula usłyszała pstryknięcie zwalnianego bezpiecznika. W tej samej chwili Csongor wyciągnął prawą rękę ponad jej ramieniem i Zula ze zdumieniem dostrzegła w niej pistolet. Nie widziała reszty ciała Csongora, ale wyraźnie czuła jego bliskość. Nacisk lufy broni Jonesa na gardło był na tyle nieprzyjemny, że odsunęła się od niego i po chwili oparła głowę wygodnie o wzburzoną, drżącą, spoconą, beczkowaną pierś Csongora. Ponieważ Jones z Csongorem byli mniej więcej równego wzrostu, wzięli ją w ciasne kleszcze.

- To oryginalny makarow czy wersja węgierska? - spytał Jones lekkim, swobodnym tonem. - Z tej odległości nie widzę oznaczeń.

Była to aluzja do faktu, że Csongor przytknął mu lufę do czoła nad okiem.

- Zabrałem go Rosjaninowi.

- Czyli pewnie oryginał. Zakładam, że miałeś dość oleju w głowie, żeby wprowadzić nabój do komory. - Jones patrzył (jak przypuszczała Zula) prosto w oczy Csongora, szukając w nich potwierdzenia swoich słów. I coś musiał w nich wyczytać, bo mówił dalej z rozbawieniem w głosie: - Nie widzę stuprocentowej pewności, ale byłbym nierozważny, zakładając, że komora jest pusta. Tak się składa, że dobrze znam makarowy; w Afganistanie jest ich pełno. Widzę natomiast, że dla ciebie to nowinka. Dlatego zapytam z ciekawości: przełączyłeś bezpiecznik?

- Zapewniam cię, że w tej chwili pistolet jest odbezpieczony - odparł Csongor.

- Nie o to pytałem. Interesuje mnie, czy w którymś momencie po przeładowaniu zabezpieczyłeś pistolet. Wyglądasz mi na gościa, który tak właśnie by się zachował. Pamiętam, co mówił o tobie Iwanow. Pamiętam, jak chciałeś chronić Zulę. Jesteś ostrożny i rozsądny.

Csongor milczał.

- Widzisz, pytam o to dlatego, że makarow ma pewną interesującą cechę. Otóż zabezpieczenie broni zwalnia kurek, ale jej późniejsze odbezpieczenie nie powoduje bynajmniej jego ponownego napięcia. Trzymasz zatem w ręce pistolet, który jest wprawdzie naładowany, ale wcale nie gotowy do strzału. W przeciwieństwie do tej pięknej tysiąc dziewięćset jedenastki Iwanowa, która nie tylko jest naładowana, ale także ma odwiedziony kurek. Wystarczy, że delikatnie nacisnę spust, żeby całkiem spora bryła metalu przeszła najpierw szyję Zuli, a potem twoje serce. Zginiecie oboje tak szybko, że nawet się nie

zorientujesz, co się stało.

Syreny rozbrzmiewały coraz bliżej - więcej niż jeden radiowóz objeżdżał zatoczkę, kierując się w ich stronę. Jones na moment zerknął w tamtym kierunku, zanim znów spojrzął na Csongora.

- Nie doczekasz nawet tej romantycznej chwili, w której wykrwawisz się na śmierć nad jej bezgłowym trupem, ponieważ hydrostatyczna fala uderzeniowa popłynie przez aortę wprost do mózgu i błyskawicznie pozbawi cię przytomności. Kto wie, może nawet eksplodują ci oczy. Weź pod uwagę, że jeśli zdecydujesz się zadziałać, czeka cię bardzo długi ruch palca na cynglu. W makarowie pierwszy nabój z magazynka jest najgorszy. Ponieważ kurek jest zwolniony, trzeba bardzo mocno nacisnąć spust, żeby go napiąć; w dodatku ma się wrażenie, że trwa to całą wieczność. Biorąc zaś pod uwagę fakt, że twój palec wskazujący znajduje się jakieś dwa cale od mojego lewego oka, będzie ci diabelnie trudno zrobić to w taki sposób, żebym się nie zorientował. Zgodzisz się ze mną?

Csongor nie odpowiedział, ale Zula po zmianie w rytmie jego oddechu zorientowała się, że słowa Jonesa trafiają mu do przekonania. Policyjne syreny dodatkowo pozbawiały go woli walki.

- Jakie masz szanse, że oboje dożyjecie chwili, w której to długie pociągnięcie cyngla dobiegnie końca? - Jones patrzył Csongorowi w oczy. Nie mrugał. Czekał, aż Węgier się podda. - Mówiłem ci już, że wkurwia mnie przykucie kajdankami do tej suki? Bardzo chętnie bym się jej pozbył.

- Csongor? - odezwała się Zula. - Posłuchaj. Słyszysz mnie? Odezwij się.

- Tak - powiedział Csongor.

- Chciałabym, żebyś się dobrze przyjrzał pistoletowi, który pan Jones przystawił mi do szyi. Widzisz go?

Chwila ciszy.

- Widzę.

- Czy widok jego kurka coś ci mówi?

Jones, nadal wpatrzony w Csongora, w pierwszej chwili zdziwił się, że Zula włączyła się do rozmowy, ale teraz cały się rozpromienił. Zula odwalala jego robotę: przypominała Csongorowi (gdyby o tym zapomniał), że tysiąc dziewięćset jedenastka może w mikrosekundę zabić ich oboje.

Jakież więc było jego zdumienie, gdy palec Csongora drgnął i zaczął wykonywać dokładnie to długie i ciężkie pociągnięcie za spust, przed którym Jones go ostrzegał.

* * *

Boye, którzy mogli zobaczyć, jak Sokołow wbiega do hotelu, z pewnością nie widzieli, żeby z niego wcześniej wybiegał. W mniejszym hoteliku mogłoby to wzbudzić podejrzenia, ale w tym dwudziestopiętrowym molochu nikt nie zwróci na niego uwagi, jeżeli sam nie popełni jakiegoś błędu. A w fachu konsultanta do spraw bezpieczeństwa z pewnością nauczył się jednego: jak wchodzić do drogich hoteli, i jak z nich wychodzić.

Skręcił z bulwaru na obszerny, zakrzywiony podjazd, zwolnił do truchtu i zanurzył się w cień markizy nad wejściem, dostatecznie dużej, żeby pomieścić dwadzieścia samochodów. Przeszedł do żwawego marszu, spojrzął na zegarek i udał, że naciska jeden z jego małych guziczków. Z zewnętrznej kieszeni camelbaka wyciągnął ręcznik, rozłożył go, otarł twarz, po czym narzucił go sobie na głowę jak odesłany na ławkę koszykarz z NBA. Wziął do ust rurkę od camelbaka i, udając, że z niej popija, przez pół minuty spacerował w tę i z powrotem wzdłuż rzędu krzewów posadzonych na skraju podjazdu. Rosły one w prostopadłościennych betonowych skrzyniach, wypełnionych ziemią posypaną z wierzchu żwirkiem. Wśród nich rozstawiono podobne w stylu kosze na śmieci: na samej górze miały tackę z piaskiem, w której czekający na klientów taksówkarze mogli gasić papierosy, a nieco niżej szerokie szpary do wrzucania odpadków.

Sokołow nie miał do tej pory żadnego pomysłu, co zrobi, kiedy już znajdzie się w środku; zamierzał po prostu wejść do hotelu i spokojnie pomyśleć. Kiedy jednak zajrzał do jednego z koszy, dostrzegł w środku coś, co wyglądało jak karta kredytowa, tyle że opatrzona hotelowym logo: klucz elektroniczny do pokoju, porzucony przez wymeldowującego się gościa. Pewnie zostawił go w taksówce na siedzeniu, kierowca go znalazł i wyrzucił.

Udając, że sam coś wyrzuca, Sokołow zabrał kartę i ukrył ją w dłoni. Drugą ręką otarł twarz ręcznikiem (miał nadzieję, że utrudni w ten sposób późniejszą analizę zapisu wideo z kamer ochrony) i podszedł do wejścia. Schylił się, przez co ręcznik zasłonił mu twarz, i udał, że wyciąga kartę zza skarpetki. Uśmiechnięty boy otworzył mu drzwi i coś powiedział na powitanie. Sokołow skinął mu głową i wszedł do holu.

Gimnastyczieskij zal... Oni tu mają na to jakieś kretyńskie określenie. Sokołow starał się dyskretnie obejrzeć tabliczki informacyjne.

Fitness Center. Oczywiście.

Znajdująca się na drugim piętrze siłownia była całkiem ładna, miała okna wychodzące na morze i zamek na kartę. Sokołow przesunął kartę przez czytnik, a kiedy zapaliło się czerwone światelko, postukał nią w szybę, żeby zwrócić uwagę młodej kobiety z obsługi. Uśmiechnęła się i pośpiesznie otworzyła mu drzwi.

W siłowni goście mieli do dyspozycji małe butelki z wodą i banany. Chwała

Bogu... Ale powinien poćwiczyć, żeby nie wzbudzić podejrzeń. Stojąca przy wejściu szafka z przegródkami służyła gościom za przechowalnię drobnego bagażu podczas ćwiczeń. Sokołow włożył camelbak do jednej z przegródek; wypełniony pieniędzmi worek nie przelewał się i nie obwisał jak po napełnieniu wodą, wyciągnął go więc z powrotem i przeniósł na najwyższą półkę, gdzie mniej rzucał się w oczy. Zajęte było jeszcze sześć innych przegródek - w dwóch leżały damskie torebki, w pozostałych drobiazgi w rodzaju telefonów komórkowych i kart do pokojów. Sokołow poszedł do męskiej toalety, upewnił się, że jest sam, odkręcił wodę, schylił się i długą chwilę pił. Kurz porannych wydarzeń wgrzył mu się we włoski na rękach. Opłukał je, ochlapał twarz. Przy wyjściu z łazienki zgarnął dwie butelki z wodą i banana i podszedł do ustawionych w szeregu bieżni treningowych, nad którymi wisiały trzy duże płaskie telewizory - dwa nastawione na CNN, trzeci na jakiś chiński kanał informacyjny. Sokołow wybrał bieżnię bliżej telewizora z CNN, ale z dobrym widokiem na ten chiński, i trochę sobie pomaszzerował, popijając wodę, pogryzając banana i zerkając na serwis informacyjny. Większość newsów dotyczyła konferencji, ale trafił się też krótki materiał z czegoś, co wyglądało jak pożar w Xiamen - domyślał się tego z plansz informacyjnych i krótkich przebitek wideo, na których wozy strażackie i karetki przeciskały się zatłoczoną ulicą, a obsypani pyłem ludzie potykali się i kuleli, wspierani przez oszołomionych gapiów.

Oczywiście powiedzą, że to wybuch gazu, zawsze wszystko zwala się na wybuch gazu. Ale Sokołow wiedział, że śledczy z BBP nie będą tacy naiwni.

Poćwiczył czterdzieści pięć minut na bieżni i pół godziny na atlasie. Goście przychodzili i wychodzili, a Sokołow ich kategoryzował: płeć, narodowość, wzrost, sylwetka, wiek. W której przegródce zostawili rzeczy.

Do siłowni wszedł Azjata - Japończyk lub Koreańczyk, jak domyślał się Sokołow. Szczupły, dobrze zbudowany. Odłożył portfel i telefon do przegródki. Sokołow przeszedł obok niego, zmieniając przyrząd, i ocenił, że są podobnego wzrostu. Trudniej na oko ocenić rozmiar buta. Azjata przeszedł się po siłowni, obejrzał sprzęt, wybrał rower eliptyczny, nastawił półgodzinny program i zaczął przeglądać jakieś czasopismo.

Sokołow podszedł do wyjścia. Postawił na wpół pełną butelkę na kontuarze, ściągnął z półki camelbak, zarzucił go na jedno ramię, a kiedy próbował przewlec drugą rękę przez wolne ucho, strącił butelkę z blatu. Zaklął i podskoczył, żeby ją podnieść, ale większość wody zdążyła się już wylać, tworząc kałużę na podłodze. Recepcjonistka - zachwycona, że ma coś do roboty - podbiegła do niego, rzutem oka oceniła sytuację i wróciła po ręczniki, zapewniając Sokołowa, że to nic wielkiego i że wszystkim się zajmie.

Korzystając z tego, że jest odwrócona do niego tyłem, Sokołow wyjął z przegródki

portfel Azjata, otworzył go i w pierwszej, najłatwiej dostępnej przegródce, znalazł kartę do pokoju. Podmienił ją na tę wykradzioną z kosza na śmieci i odłożył portfel na miejsce.

Następnie udał się do sauny, w której nikogo nie było, i schował kartę do skarpetki. Przesiedział w saunie dwadzieścia minut.

Kiedy Japończyk lub Koreańczyk skończył ćwiczenia, zabrał rzeczy z przegródki i wyszedł z siłowni, Sokołow szedł już kilka kroków przed nim. Razem stanęli przy windach. Sokołow, udając, że rozmawia przez telefon, nie śpieszył się z wsiadaniem do windy, ale Azjata uprzejmie przytrzymał mu drzwi. Sokołow spojrzał na tablicę z przyciskami, wyciągnął rękę do guzika z numerem 21, zawahał się, widząc, że guzik już się świeci, po czym w końcu i tak go nacisnął. Jadąc na górę, udał, że połączenie zostało przerwane. Zaklął kilka razy pod nosem i spróbował ponownie nawiązać połączenie. Nadal bawił się klawiaturą telefonu, gdy drzwi windy otworzyły się i Azjata wysiadł. Sokołow bez pośpiechu ruszył za nim, zachowując bezpieczny dystans. Azjata zatrzymał się przed drzwiami pokoju 2139 i przeciągnął kartę przez czytnik, który zareagował zapaleniem czerwonej lampki. Sokołow minął go i zniknął za zakrętem korytarza.

Po chwili wyjrzał zza rogu. Azjata zawrócił. Szedł do windy, żeby zjechać do recepcji i poprosić o ponowne zakodowanie karty.

Sokołow wszedł do pokoju 2139 i pośpiesznie przejrzał zawartość szafy i komody. Gość nazywał się Jeremy Jeong i był obywatelem amerykańskim; zostawił paszport w szufladzie biurka. Sokołow uznał, że najlepsza kryjówka znajduje się pod łóżkiem. W większości hoteli nie byłoby o tym mowy, ponieważ typowe hotelowe łóżko było litą skrzynią i nie miało żadnego „pod”, ale to był lepszy hotel, z prawdziwymi łóżkami. Rozgościwszy się pod łóżkiem, otworzył camelbak, wygarnął zeń pliki pieniędzy i wyłuskał części makarowa, z których szybko poskładał kompletny, naładowany pistolet. Modlił się do Boga, żeby nie musiał go używać, ale pozostawienie go w kawałkach byłoby głupotą.

Upychał właśnie pieniądze z powrotem w camelbaku, kiedy usłyszał, jak drzwi się otwierają. Wrócił Jeremy Jeong.

* * *

Abdallah Jones nacisnął spust. Kurek śmignął w przód i boleśnie przytrzasnął mały palec prawej dłoni Zuli, oddzielający go od reszty broni. Dzięki temu nie uderzył w iglicę. Nic się nie wydarzyło.

Jones nie zdążył ani zarejestrować faktu, że pistolet nie wypalił, ani zrozumieć jego przyczyn. Widok poruszającego się palca Csongora wywołał u niego odruchową reakcję: odwrócił głowę w lewo, spychając jednocześnie lufę makarowa w bok.

Zula zobaczyła - i usłyszała - wystrzał. Widziała też, jak Jones szarpnął głową, robiąc unik.

Przed minutą złapał ją za rękę i przycisnął jej ciało do swojego, zasłaniając się nią jak tarczą. Teraz się rozplątali. Jones odskoczył od niej piruetem, wyrrywając zablokowany opuszką jej palca pistolet; Zula wiedziała, że lodowate mrowienie w czubku palca oznacza poważne uszkodzenie. Machnął na oślep lewą ręką, w której trzymał broń, żeby złapać równowagę. Jego prawa ręka zwolniła chwyt na bicepsie Zuli i oddalała się od niej, dopóki łańcuch kajdanek nie szarpnął nią jak psem na końcu smyczy. Zula poczuła, jak stalowa bransoleta maceruje jej kolejne warstwy naskórka, i poleciała do przodu. Jones kończył właśnie obrót o sto osiemdziesiąt stopni i przewracał się na pomost, na którym wylądował na wznak, z rozrzuconymi ramionami. Prawą ręką pociągnął za sobą Zulę, a lewą uderzył o deski - ale nie wypuścił pistoletu.

Przewracając się na Jonesa, Zula rzuciła się w zgrubnym kierunku tego pistoletu. Przy okazji wyrznęła Jonesa barkiem w splot słoneczny, wyciskając mu powietrze z piersi. Odbiła się od niego, wyciągnęła prawą rękę i przyszpiliła mu dłoń z bronią do pomostu.

Najpierw wzmocniła uchwyt tej ręki na przedramieniu Jonesa, wgniatając mu kolano w łokieć, a dopiero potem odważyła się spojrzeć na jego głowę. Zobaczyła coś czerwonego, ale była to czerwień oparzeń i startej skóry, a nie tryskającej fontanny krwi. Pistolet wypalił mu przy samej głowie, lecz kula ją ominęła.

Csongor o tym nie wiedział: stał tam, gdzie przed chwilą, i czekał, aż Zula i Jones znieruchomieją. Bał się wystrzelić drugi raz, żeby przez przypadek nie trafić Zuli, a poza tym nie spodziewał się chyba, że zajdzie taka potrzeba - raz już przecież strzelił Jonesowi w głowę. Pewnie wciąż był oszołomiony swoim zachowaniem.

Gdzieś nieopodal rozległy się głośnie huki. Zaniepokojony Csongor podniósł wzrok. Zula obejrzała się przez ramię i zobaczyła jednego z kompanów Jonesa, który stał dziesięć metrów dalej i na oślep strzelał z pistoletu; trzymał go w jednej ręce, zupełnie nie kontrolując odrzutu i nie próbując celować.

Taksówkarz wybrał ten właśnie moment, żeby rzucić się do ucieczki, i strzelec, powodowany jakimś tępym odruchem, który kazał mu strzelać do wszystkiego, co się rusza, odwrócił się do niego i strzelił jeszcze dwa razy. Taksówkarz padł na pomost jak ścięty.

Csongor spojrział na Zulę, która zachowała się w tym momencie wielce nierozważnie, ponieważ puściła uzbrojone ramię Jonesa i wolną ręką machnęła na Csongora, żeby odsunął się i schylił. Cofnął się o dwa kroki, podnosząc pistolet.

Widząc kątem oka jakiś szybki ruch, Zula obejrzała się na drugiego żywego

dżihadystę: dopadał właśnie do pistoletu należącego wcześniej do trzeciego z bojowników - tego, któremu zaszkodził bliższy kontakt z taksówką.

- Uciekaj! - krzyknęła. - Gliny i tak zaraz tu będą!

Csongor zrobił kolejne dwa kroki do krawędzi pomostu i w tej samej chwili, gdy napastnik otworzył ogień, odwrócił się i skoczył. W przeciwieństwie do taksówki plusnął całkiem głośno.

Zula usłyszała czyjeś kroki i nagle poczuła, jak coś twardego wgniata się jej w kark. Podniosła kolano, którym przyciskała do pomostu łokieć Jonesa.

- Dziękuję - powiedział Jones.

Był jeszcze trochę oszołomiony, ale szybko dochodził do siebie. Zgiął rękę w łokciu, podnosząc tym samym pistolet, i skinął nim najpierw na leżącego nieruchomo taksówkarza, a potem na miejsce, w którym Csongor zeskoczył z pomostu. Wydał po arabsku jakiś rozkaz. Pierwszy strzelec przytaknął z szacunkiem, podszedł do taksówkarza i od niechcenia strzelił mu w tył głowy, a potem zszedł na skraj pomostu i spojrzał do wody.

Spod pomostu dobiegł huk kilku wystrzałów. Dżihadysta runął do wody, nie wydawszy żadnego dźwięku.

- Jak niedźwiedź i foka - mruknął Jones.

Wyciągnął rękę z kajdankami, przez co złożył w pół ramię Zuli, i chwycił ją garścią za włosy, które - długie i kręcone - były z natury niezwykle podatne na takie chwyty. Mocnym, zamaszystym szarpnięciem obrócił jej głowę, wyrzwał jej twarzą o pomost i zwałił się na nią, przyszpilając ją całym ciężarem ciała.

- Wcale nie próbuję cię osłaniać - wyjaśnił. - Zasłaniam się tobą. Wiesz, jak polują niedźwiedzie polarne?

- Od dołu?

- Świetnie! Jak to miło mieć wykształconego rozmówcę... Ten twój Csongor patrzy przez szpary między deskami. Nie widzi wszystkiego dokładnie, ale dobrze wiedział, gdzie stoi mój człowiek.

Drugi strzelec musiał dojść do tego samego wniosku, bo, patrząc nerwowo pod nogi, przybliżył się pomału do końca pomostu, gdzie - na głębszej wodzie - czekał kuter.

Syreny wyły coraz bliżej. Jones dźwignął się na łokciach (przy okazji wyraźnie odciążył Zulę), spojrzał z zaciekawieniem w stronę łądu, po czym nie wiadomo dlaczego zerknął na zegarek. Krew ściekająca mu z rany na skroni kapała Zuli na policzek. Odwróciła głowę, czując, jak krew spływa jej po szyi. Mały palec pulsował bólem. Spojrzała nań, zobaczyła paznokcie zerwany u nasady i trzymający się na strzępach skórek, a pod nim

tętniącą krew.

Pomostem zatrzęsło i chwilę później rozległ się przeciągły, stłumiony grzmot. Nie był zbyt głośny, ale miało się wrażenie, że u źródła, które znajdowało się gdzieś daleko, musiał być naprawdę potężny i ogłuszający.

Zula nie widziała radiowozów, wiedziała jednak, że muszą być już bardzo blisko, nie dalej niż dwieście stóp od nich. Były dwa. Najpierw jeden, potem drugi wyłączyły syreny.

Przez pół minuty nic się nie działo. Jones czekał, zafascynowany. Znow spjrzał na zegarek.

Znow zagrały syreny. Samochody ruszyły z miejsca, dźwięk syren po dopplerowsku obniżył się i zaczął cichnąć w oddali.

Radiowozy oddalały się, i to z dużą prędkością.

- Anarchia zalewa świat - powiedział Jones z wykwintnym brytyjskim akcentem. Spojrzał na Zulę z taką miną, jakby nagle się zdziwił, że na niej leży. - Ten grzmot był odgłosem męczeńskiej śmierci pewnego bardzo odważnego człowieka, która nastąpiła nieopodal centrum konferencyjnego. Najwyraźniej udało mu się przyciągnąć uwagę glin. Taki był plan, rzecz jasna, chociaż dzisiaj musieliśmy ostro improwizować. A skoro o improwizacji mowa: odbędziemy teraz zgoła nieimprowizowany długi spacer po krótkim pomoście. Bądź grzeczna i nie stawiaj oporu, to nie stracisz zębów.

* * *

Jeremy Jeong starannie zamknął drzwi na oba zamki, co Sokołow przyjął z aprobatą. Ostrożności nigdy dość. Jeong zrzucił sportowy strój i poszedł pod prysznic.

Sokołow wyczołgał się spod łóżka, rozebrał do naga i resztki swojego ubrania wepchnął do hotelowego worka na pranie, który znalazł przypięty do wieszaka. Dorzucił tam również camelbak i zrolował całość w zgrabny pakunek. Dzięki wcześniejszemu rekonesansowi w garderobie, znalezienie i włożenie bielizny, skarpetek, koszuli i garnituru zajęło mu mniej czasu, niż gospodarzowi umycie głowy. Wepchnął krawat do kieszeni, wzał buty (ciut przyciasne, ale znośne) i wymknął się przez drzwi, zamykając je bezszelestnie za sobą. Zjechał windą na poziom antresoli, gdzie udał się do męskiej toalety. Znalazł wolną kabinę, przysiadł na sedesie, założył krawat i zawiązał buty. Wyjął z camelbaka notatnik z zapisanym adresem kobiety-szpiega. Wyszedł z kabiny, przejrzał się w lustro, poprawił przekrzywiony krawat, po czym zjechał windą do holu i z bezradnym uśmiechem zagadnął konsjerżkę:

- Przepraszam... Angielski słabo.

Konsjerżka - ołsniewająca trzydziestolatka - sprawdziła jego znajomość paru innych

europijskich języków, zanim w końcu postanowili zostać przy angielskim.

- Jest tu taka miła chińska pani. Bardzo pomogła naszej firmie. Ja chcę jej podziękować. Wrócę na Ukrainę i wyślę jej ładny prezent. Pani rozumie?

Konsjerzka rozumiała.

- To ma być niespodzianka. Miła.

Konsjerzka pokiwała głową.

- To jej adres; starałem się go dobrze spisać. Słabo piszę po chińsku, jak widać. Ale to chyba to.

Kobieta spojrzała na topornie przerysowane znaki. Przez niektóre jej wzrok prześlizgnął się gładko, o inne zahaczył; raz czy drugi zmarszczyła nieskazitelne brwi. W końcu jednak skinęła głową i rozpromieniła się.

- To adres mieszkania na wyspie Gulangyu - powiedziała.

- Tak. Mała wyspa, tam. - Sokołow machnął w stronę cieśniny. - Problem polega na tym, że kiedy wrócę na Ukrainę, nie mogę wpisać adresu po chińsku do dokumentów Fedeksu. Muszę go mieć po angielsku. Dlatego moja prośba do pani: czy mogłaby pani przetłumaczyć ten adres na angielski, tak dla Fedeksu?

- Ależ oczywiście! - Konsjerzka była zachwycona, że będzie miała swój udział w uroczej niespodziance dla jakiejś sympatycznej Chinki. - Proszę chwileczkę zaczekać.

Przez jakieś dwie minuty Sokołow przeżywał umiarkowaną nerwówkę, gdy konsjerzka przepisywała adres na hotelowej papeterii, obsługując po drodze jeszcze dwóch klientów. Przypuszczał, że Jeremy Jeong przez ładne kilka godzin nie zauważy braku garnituru (miał ich trzy), a nawet gdyby się zorientował, że jednego brakuje, prawdopodobnie wyda mu się to tak dziwne, że pewnie nie od razu poskarży się obsłudze. Zawsze istniała jednak możliwość, że jest przeczulony na tym punkcie i gotowy pod byle pretekstem zadzwonić na policję - wówczas Sokołow powinien jak najszybciej się stąd zmyć.

Konsjerzka posłała mu kolejny uśmiech i podsunęła po blacie kartkę papieru. Podziękował jej wylewnie, wyszedł z hotelu, złapał taksówkę i podjechał do następnego hotelu, odległego o pół mili. Tam usiadł przy jednym z komputerów w hallu z darmowym dostępem do Internetu i wpisał angielski adres kobiety-szpiega do Google Maps.

Uzyskał w ten sposób zbliżenie nieregularnej siatki dróg, które nic mu nie powiedziało. Zmniejszył powiększenie do momentu, gdy mógł ogarnąć wzrokiem całą wyspę. Sprawdził skalę mapy i potwierdził swoje wcześniejsze przypuszczenie, że Gulangyu ma najwyżej dwa kilometry szerokości. Postarał się zapamiętać jej układ, główne obiekty, najważniejsze kierunki - chciał mieć pewność, że nawet jeśli zabłądzi, będzie umiał wrócić na

przystań promową. Przełączył się na zdjęcie satelitarne i kilka rzeczy od razu rzuciło mu się w oczy. Po pierwsze, układ komunikacyjny wyspy był znacznie bardziej skomplikowany, niż sugerowała to uwidoczniiona na mapie siatka ulic, uwzględniająca najwyżej dziesięć procent wszystkich dróg. Może zresztą nie były to wcale drogi z prawdziwego zdarzenia, lecz dróżki, alejki i prywatne ścieżki wśród zabudowań. Po drugie, dachy domów były utrzymane w gustownie ziemistych kolorach, zupełnie innych od jaskrawych dachówek i blach chroniących przed deszczem domy w Xiamen. Po trzecie, okolica była bardzo zielona. Po czwarte: roilo się tam od szkół, akademii, college'ów i tym podobnych, a obecność owalnych bieżni lekkoatletycznych i innych podobnych udogodnień sugerowała, że są to bardzo przyjemne szkoły.

Parafrazując Tolstoja, bogactwo w różnych miejscach wygląda tak samo, natomiast każda bieda jest biedna na swój własny sposób. W slumsach Lagos, Belfastu, Port-au-Prince i Los Angeles grożące intruzowi niebezpieczeństwa miały zdumiewający różny zakres i charakter, tymczasem patrząc na mapę Gulangyu, Sokołow wiedział, że na ulicach wyspy będzie się czuł równie swobodnie i na miejscu, jak na zielonych przedmieściach Toronto czy Londynu.

Nie chcąc zwracać na siebie niepotrzebnie uwagi, zrezygnował z drukowania mapy, przerysował ją więc z grubsza na odwrocie otrzymanej od konsjerżki kartki. Obejrzał również dokładnie satelitarne zdjęcie interesującego go budynku, przyswajając sobie rozkład okolicy. Zauważył, że nieopodal znajduje się hotel, usytuowany na wyraźnym wzniesieniu. Z jego strony internetowej dowiedział się, że ma taras, na którym po południu są podawane drinki.

W sklepie w hallu hotelowym kupił sobie torbę, do której włożył camelbak i resztę nielicznych drobiazgów osobistych, po czym zszedł na przystań i najbliższym promem popłynął na Gulangyu.

* * *

W czasie piętnastu sekund, jakie upłynęły od chwili pojawienia się w umyśle Yuxii zamysłu staranowania taksówki do momentu jego realizacji, plan ów nie miał najmniejszych szans dojrzeć. Nie zdążyła, na przykład, zakomunikować swoich zamiarów - choćby częściowo - Csongorowi, który musiał wszystkiego domyślić się sam i w ostatniej chwili zabezpieczyć przed skutkami zderzenia poprzez zaparcie się głową o znajdujący się przed nim fotel. Jak to jednak często bywa z dobrymi planami, także ten był w swojej istocie niezwykle prosty. Żli ludzie planowali coś, do czego był im potrzebny kuter, więc Yuxia postanowiła wykorzystać jedyne posiadane narzędzie (mikrobus) do uszkodzenia rzeczzonego kutra i, tym samym, pokrzyżowania im ich niecnych zamiarów.

Jako dziewczyna z gór nie znała się na statkach i właśnie zaczynała się uczyć na własnej skórze, że domysły, jakie na ich temat żywiła, były w większości chybione. Przez myśl by jej nie przeszło, że zwalenie na pokład kutra taksówki (a już zwłaszcza taksówki do spółki z mikrobusem) nie doprowadzi do jego całkowitego zniszczenia. Dlatego oszołomiło ją stwierdzenie faktu, że statek nie uległ zagładzie i unosi się na wodzie, a więc nadal jest statkiem.

Oczywiście nie zamierzała trywializować ostatnich wydarzeń - z całą pewnością był to dla kutra bardzo ciężki dzień i nie można było wykluczyć, że wyrządzonych mu szkód nie da się już naprawić. Ale nadal pływał. Kiedy podwieszona pasami bezpieczeństwa do fotela patrzyła przez rozbitą przednią szybę, rozumiała, jak to możliwe: pokład był wprawdzie drewniany, ale kadłub stalowy. Ponieważ zaś kuter unosił się na wodzie, w momencie, kiedy coś spadało na pokład, woda działała jak amortyzator o praktycznie nieograniczonej pojemności. Na dobre wyszła mu nawet kruchość tworzących pokład desek, które, łamiąc się i gnąc, wchłonęły znaczną ilość energii. W dodatku, pod ciężarem taksówki załamała się zalegająca pokład sterta drewnianych palet, jeszcze mocniej amortyzując zderzenie.

Kolejny zdumiewający fakt: Qian Yuxia też znalazła się na statku! Nie taki był plan. Plan był taki, że Qian Yuxia zatrzyma się na pomoście. Zapomniała jednak o poduszce powietrznej i w chwili dezorientacji bezpośrednio po zderzeniu najwidoczniej wcisnęła pedał gazu.

- Csongor? - zawołała. Ale Csongora nie było już w samochodzie.

Zadzwoił telefon. Cudzy. Znajdował się gdzieś w okolicy jej nóg...

W jej bucie!

Telefon pofrunął pewnie w powietrze, odbił się od czegoś i wpadł jej do prawego kalosza. Zaklinował się na wysokości kostki.

Zgięła nogę, sięgnęła do kalosza i wyjęła aparat.

- *Wei?*

- *Wei? Yuxia?*

- Kto mówi?

- Marlon.

- Dlaczego dzwonisz na własny telefon? - Yuxia rozpoznała aparat.

- Nieważne. Nic ci nie jest?

- Przecież rozmawiam z tobą przez telefon, nie?

- Jesteś jeszcze w mikrobusie?

- Tak, ale mikrobus...

- Wiem, widzę. I radzę ci wysiąść.

- Czemu?

- Na pomoście źle się dzieje... O Boże!

Marlon nie musiał się tłumaczyć ze swojej reakcji, ponieważ w tej samej chwili Yuxia usłyszała strzały. Strzały i wycie syren.

Zaparła się prawym łokciem o kierownicę, przeniosła na nią większość ciężaru ciała i lewą ręką namacała klamkę. Pociągnęła ją. W drzwiach coś trzasnęło, ale się nie otworzyły; pewnie po którymś wstrząsie zaklinowały się na dobre. Nie pomogło uderzenie w nie barkiem. Przełożyła telefon do lewej ręki, a prawą wypięła się z pasów - przez co spadła na kierownicę i wcisnęła klakson.

- Oddzwonię! - zawołała, wyłączyła telefon i z braku lepszego miejsca wrzuciła go z powrotem do buta.

Czepiając się rękami i zapierając nogami o różne elementy wyposażenia mikrobusu, przelazła na tył, do otwartych bocznych drzwi.

Dalsza droga prowadziła przez wybitnie niebezpieczny teren, zajmowany głównie przez zgniecioną taksówkę i potrzaskane drewno. Delikatne kołysanie kutra, w połączeniu ze wstrząsem po oberwaniu poduszką powietrzną w twarz, przyprawiało ją o mdłości i utrudniało utrzymanie równowagi. Zobaczyła starszego mężczyznę, który wyszedł akurat ze sterówki, żeby oszacować uszkodzenia. On też ją zobaczył. Chciała coś powiedzieć, ale przyjrząwszy mu się, doszła do wniosku, że raczej nie zna mandaryńskiego. Zaciągnął się papierosem i posłał jej bardzo, bardzo nieprzyjemne spojrzenie, czym trochę ją wkurzył, dopóki nie przypomniała sobie, że przed chwilą zrobiła przecież wszystko co w jej mocy, żeby zniszczyć kuter, który najprawdopodobniej był dla niego jedynym źródłem utrzymania.

Mogłoby dojść między nimi do pojedynku na obelgi albo nawet na pięści, gdyby na skraju pomostu nie pojawiły się w tym momencie dwie postaci: wysoki Murzyn i Zula. Yuxia z trudem powstrzymała nedorzeczny odruch, który kazał jej pomachać do Zuli i zawołać „Cześć!”.

- Policzę do trzech - zapowiedział czarny mężczyzna. - Potem skaczę. Ty rób, jak chcesz.

Yuxia zdała sobie sprawę, że ponieważ jest przykuty do Zuli i znacznie od niej większy, jego słowa są jednocześnie żartem i groźbą.

Skoczyli we dwoje i wylądowali na pustym, niezniszczonym kawałku pokładu. Zula krzyknęła z bólu, osłaniając brzuch zakrwawioną pięścią. Ten widok dał Yuxii impuls do działania - postanowiła wygramolić się z mikrobusu i zorientować w sytuacji. Murzyn

spojrzał na nią z zaciekawieniem, ale zaraz odwrócił się do wnerwionego szypra i wydał mu jakieś polecenie w języku, którego Yuxia nie rozpoznała. Szyper potruchtał z powrotem w stronę sterówki.

Ból zelżał, Zula podniosła wzrok i zobaczyła Yuxię. Rozpromieniła się z wdzięczności, ale tylko na ułamek sekundy, bo zaraz krzyknęła ze zgrozą:

- Yuxia! Uciekaj! Skacz do wody!

Yuxia zawahała się i dopiero po chwili dotarło do niej, że dziewczyna dobrze jej radzi. Przez ten czas na pokład zeskoczył z pomostu jeszcze jeden człowiek, z pistoletem, który na rozkaz wysokiego Murzyna wycelował w Yuxię; trzymał broń oburącz i przez przyrządy celownicze patrzył na Yuxię. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, skinął lekko pistoletem, każąc jej podejść. Yuxia nadal przemyśliwała o posłuchaniu rady Zuli, ale w tej samej chwili ryknął silnik, kuter wyraźnie drgnął i nie pozostało jej nic innego, jak uskoczyć przed spadającym z taksówki mikrobusem. Tym sposobem znalazła się bliżej mężczyzny z pistoletem, który wykazał się godną podziwu koncentracją, ignorując samochodową lawinę schodzącą w zwolnionym tempie zaledwie kilka metrów dalej.

Od Zuli dzieliły ją dosłownie dwa metry. Podeszła do niej. Zula zarzuciła jej krwawiącą pięść na ramię, Yuxia objęła ją w talii obiema rękami.

- Dziękuję - powiedziała z płaczem Zula. - I przepraszam.

- To ja przepraszam, że nie wyszło.

Wysoki Murzyn zatknął pistolet za pasek i sięgnął do kieszeni.

- Skoro tak się kochacie - powiedział, wyjmując srebrny klucz - proponuję to zalegalizować.

Odpiął przykuwającą go do Zuli obręcz z prawego nadgarstka, złapał Yuxię za lewą rękę i zatrzasnął na niej kajdanki. Mając połączone lewe ręce, stwierdziły wkrótce, że trudno im będzie stanąć tak, żeby patrzeć w tę samą stronę; kiedy jedna szła do przodu, druga musiała iść tyłem, żeby poruszać się w tym samym kierunku - chyba że zrobiłyby coś dziwnego z rękami i szły ramię w ramię.

Porywacz doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Chwyciwszy łańcuch jedną ręką, zaciągnął je obok sterówki na rufę, gdzie płócienny daszek rzucał cień na kawałek pustego pokładu. Ze skrzynki z narzędziami wyjął młotek i solidny gwóźdź, który to gwóźdź wbił następnie do połowy w deskę pokładu. Przywłókł w to miejsce Zulę i Yuxię, zmusił je, żeby usiadły, i ułożył łańcuch kajdanek obok gwoździa, który następnie tak długo okładał młotkiem, aż gwóźdź zgął się nad łańcuchem w odwrócone U, a jego główka wgryzła się głęboko w drewno.

Unieruchomiwszy je w ten sposób, wrócił na dziób, gdzie pomógł reszcie załogi (zostało sześć osób) zepchnąć do wody najpierw mikrobus, a następnie taksówkę. Kuter wypłynął przez ten czas na środek zatoki i obrał kurs na most spinający jej brzegi przy ujściu do morza. Zatoka była w gruncie rzeczy płytka, ale przez środek musiał chyba biec specjalnie pogłębiony kanał żeglowny. Oba pojazdy szybko zatoniły i zniknęły w mętnej wodzie.

Miało się za to wrażenie, że po moście nad ich głowami pędzi cała chińska policja i pojazdy wszelkich możliwych służb ratunkowych. Wszyscy jechali w tym samym kierunku. Nikt nie zwracał uwagi na płynący dołem statek.

Kiedy mężczyźni byli zajęci wyrzucaniem samochodów za burtę, Yuxia poczuła mrowienie przy kostce. Wyjęła z kalosza telefon Marlona i spojrzała na ekran, na którym wyświetliła się wiadomość: WYŁĄCZ DZWONEK.

Gapiała się tępo na wyświetlacz, gdy pojawił się na nim następny komunikat: CZERWONY PRZYCISK Z BOKU.

Odwróciła aparat w dłoni, znalazła malutki suwak oznaczony symbolem dzwonka, przesunęła go w położenie WYŁĄCZONY i z powrotem wrzuciła telefon do buta.

* * *

Przykucnięty w płytkiej wodzie pod pomostem Csongor obserwował odpływający kuter. Wystawił nad powierzchnię tylko głowę, w dodatku dla pewności schował się za jednym z pali. Fale kołysały jego ciałem. Przekonał się już, że nie warto trzymać się kurczowo pala, ponieważ ten, pokryty gęsto pąklami, przypomina trójwymiarowe ostrze piły. Rozbijające się na pąklach małe falki miały odcień różowy od imponującej ilości krwi zastrzelonego przez Csongora człowieka, którego ciało unosiło się jeszcze na wodzie.

Dygotał na całym ciele, chociaż bynajmniej nie dlatego, że tkwił po szyję w wodzie. Większość wydarzeń, które zaszły w ostatnich godzinach, wykraczała daleko poza jego wcześniejsze doświadczenia, ale najbardziej wstrząsnęło nim to, że przystawił człowiekowi pistolet do głowy i pociągnął za spust. Nie wiadomo dlaczego, wzburzyło go to znacznie bardziej niż fakt, że do niego również strzelano. A już zastrzelenie człowieka zrobiło na nim zadziwiająco niewielkie wrażenie - chociaż spodziewał się, że w przyszłości będzie miał z tego powodu koszmary senne.

Nieprzemyślana reakcja niespecjalnie mu pomogła: skończyło się na tym, że z odległości paru metrów patrzył, jak banda terrorystów ucieka, zabierając ze sobą kogoś, kto był mu bliski. A teraz, choćby nie wiadomo jak długo rozmyślał, też nie poprawiłby swojej sytuacji. Spróbował frontalnego ataku - i tylko przytomności umysłu Zuli (skąd ona tyle wiedziała o broni?!) zawdzięczał ocalenie. Przewagę zaskoczenia szlag trafił. Mógł teraz co

najwyżej podejść bliżej, brnąć w płytkiej wodzie, i zacząć walić do nich z makarowa, ale oni pewnie tylko na to czekali, a on - z tej odległości, trzymając pistolet w trzęsących się rękach - mógł równie dobrze trafić Zulę albo Yuxię. Usłyszał wzmiankę Murzyna o zamachowcu-samobójcy. Na własne oczy widział, jak policjanci z dwóch radiowozów odebrali jakieś rozkazy przez radio, zawrócili i pognali na sygnale do innych, ważniejszych obowiązków. Zatem, nawet gdyby chciał po prostu oddać się w ręce policji, nikt by się nim nie zainteresował.

Oczywiście, strzelaninę na pomoście widziała cała masa świadków. Wszystkie łódeczki schroniły się przy brzegu, zatoka opustoszała, wody nie mąciła nawet najdrobniejsza fala - nie licząc wzburzonego kilwateru kutra terrorystów, z mozołem brnącego na otwarte morze, ciężko rozkołysanego pod ciężarem dwóch rozbitych samochodów. Wszystko poza tym znieruchomiało.

Z wyjątkiem odkrytej łódeczki motorowej, która wyprysnęła z odległej o kilkaset metrów przystani i, płynąc równoległe do brzegu, zmierzała w stronę pomostu, pod którym ukrył się Csongor. Dźwięk zaburtowego silniczka wznosił się i opadał jak głos głuchego, który usiłuje utrzymać jedną nutę, w dodatku na początku płynęła zygakiem, ale jej kapitan - wysoki i chudy mężczyzna w *douli*, tradycyjnym stożkowym kapeluszu chińskich robotników - najwyraźniej szybko się uczył. Płynął coraz pewniej i coraz szybciej, a zbliżając się do pomostu, odchylił kapelusz w tył, odsłaniając twarz. To był Marlon.

Csongor wyprostował się i uśmiechnął, co - biorąc pod uwagę okoliczności - było z jego strony zachowaniem wyjątkowo idiotycznym. Marlon odpowiedział mu uśmiechem, który jednak szybko zbladł, gdy chłopak uświadomił sobie, że pędzi wprost na błotnisty brzeg, nie ma się jak zatrzymać ani gdzie skręcić.

Csongor wyszedł spod pomostu, zastąpił łodzi drogę, pochylił się i zaparł o jej obity skrawkami starych opon dziób. Impet łódki zepchnął go kilka kroków w tył, ale Csongor zdołał ją zatrzymać i odwrócić w miejscu, żeby dziobem celowała w zatokę. Miała cztery metry długości i była węższa niż łódź wiosłowa, choć nie tak smukła jak kajak. Najnowsza warstwa farby, którą ją pomalowano, miała kolor czerwony, poprzednia żółty, a któraś z wcześniejszych z całą pewnością niebieski. Przeznaczono ją raczej do przewożenia towarów niż ludzi, nie przesadzano więc z wyposażaniem jej w ławki: jedna na rufie służyła operatorowi silnika, druga znajdowała się bliżej dziobu i bardziej przypominała półkę niż miejsce do siedzenia.

Csongor przewiesił sobie torbę Iwanowa na skos przez plecy. Kiedy chował się pod pomostem, unosiła się obok niego, pomалу nasiąkając wodą i tonąc. Ściągnął ją teraz przez

głowę i wrzucił do łódki, a sam chwycił się nadburcia, ugiął kolana i skoczył do łodzi głową naprzód, modląc się w duchu, żeby nie wywróciła się do góry dnem. Rzeczywiście, niewiele brakowało, żeby to zrobiła, ale ostatecznie złapała równowagę, Marlon dodał gazu, drewniany kadłub jęknął i wyszli wzdłuż pomostu na zatokę.

- Schowaj się - zasugerował Marlon.

Csongor zsunął się z przedniej ławeczki prosto w chlupoczącą na dnie brudną wodę, ale i tak czuł się potwornie odsłonięty. Na szczęście, wyglądając ponad dziobem, nie widział nigdzie statku terrorystów, co oznaczało, że oni też go nie widzą - a to było najważniejsze. Gdyby się odwrócili, zobaczyliby co najwyżej motorową łódkę prowadzoną przez człowieka w tradycyjnym kapeluszu. Zanim zaś dostrzegliby postawnego Węgra z długimi rękami, Marlon musiałby ich dogonić, a to wydawało się mało prawdopodobne.

- Kupiłeś ją czy ukradłeś? - spytał Csongor takim tonem, że było oczywiste, że odpowiedź jest mu całkowicie obojętna.

- Chyba kupiłem. - Marlon jedną ręką prowadził łajbę, drugą pisał wiadomość na telefonie. - Właściciel słabo znał *putonghua*.

Csongor zaczął się zapoznawać z zalegającym dno łodzi drobiazgami, których poprzedni właściciel nie zdążył usunąć, zanim doszło do niezwykle szybkiej i nadzwyczaj nieprzemysłanej transakcji kupna-sprzedazy. Wziął do ręki niebieski parasol, tak sfatygowany, że już się nie rozkładał; bawiąc się nim, odkrył, że może go zablokować w pozycji półotwartej i schować się pod nim przed słońcem. Dwa wiosła pełniły rolę zapasowego pędnika. Plastikowy pojemnik, w jakim na Zachodzie sprzedawano by jogurt, tutaj był kubelkiem do wybierania wody i Csongor, z braku lepszego zajęcia, tym właśnie się zajął. Strasznie chciało mu się pić. Rozejrzał się po łódce i stwierdził, że Marlon nie zdążył zabrać zapasu wody do picia.

* * *

Kiedy oddalili się na jakieś pół mili od brzegów Xiamen, Jones rozpiął obie obręcze kajdanek. Następnie zaanektował większą część zawartości apteczki, która nie wiadomo skąd pojawiła się pod ręką, z pomocą jednego z członków załogi przyłożył sobie do skóry płat wyjałowionej gazy i przybandażował go do głowy. Resztę środków Yuxia wykorzystwała do opatrzenia małego palca Zuli, która zdążyła się już przyzwyczaić, że przyciska zwiniętą w pięść dłoń do brzucha, toteż rozprostowanie jej ręki, a potem palca, było procedurą bolesną i krwawą zgoła nieproporcjonalnie do rzeczywistych rozmiarów obrażeń. Yuxia obmyła palec wodą z butelki, żeby spłukać zakrzepłą krew. Paznokcie nie dojrzały jeszcze do tego, żeby odpaść, więc zostawiły go w spokoju. Owinęły natomiast cały palec gazą i bandażem,

upodabniając go do małego kija baseballowego.

Tuż obok mężczyźni zajęli się parzeniem herbaty. Zula spędziła na pokładzie już dość czasu, żeby rozpoznać wszystkie elementy rytuału, który w tych okolicach wyglądał zupełnie inaczej niż gdzie indziej na świecie. W miejscowej procedurze ważne miejsce zajmowało rozlewanie napoju na wszystkie strony, które w tym wypadku ograniczono poprzez położenie na pokładzie blachy do pieczenia - tak powgniatanej, jakby w przeszłości służyła za tarczę policjantom w czasie zamieszek. Na blasze stanęła dziurkowana taca, a na niej maleńkie czarki, mniejsze od kieliszków na wódkę, stare i poplamione. Zula odniosła wrażenie, że załodze kutra ogromnie zależy na tym, żeby napiła się z nimi herbaty - więc to zrobiła. Pierwszy łyk uświadomił jej, jak bardzo jest spragniona. Pośpiesznie wychyliła czarkę do dna i odstawiła na tacę. Napelniona ponownie czarka trafiła do Yuxii, potem do Jonesa. Najwyraźniej traktowano ich jak gości.

Zula nigdy nie rozumiała tego całego zamieszania wokół herbaty - aż do tej chwili. Człowiek potrzebuje wody, żeby nie umrzeć, ale brudna woda zabija równie skutecznie jak pragnienie. Dlatego przed wypiciem trzeba ją zagotować. Kulturalna otoczka picia herbaty była więc stąpieniem po ostrzu noża rozdzielającym dwa różne rodzaje śmierci.

Mężczyźni tworzący załogę kutra nie wyglądali ani na Arabów, ani na Chińczyków, lecz w zależności od kąta padania światła i malujących się na ich twarzach emocji, przypominali raz jednych, raz drugich. Mówili też w innym języku niż chiński i arabski, ale przynajmniej jeden z nich (bystrzejszy z dwóch strzelców z pomostu, wyposażony dodatkowo w lornetkę i telefon) przechodził na arabski, kiedy chciał się porozumieć z Jonesem.

Zula odniosła wrażenie, że podczas pierwszego kwadransa rejsu zużyli znaczną ilość paliwa, najprawdopodobniej po to, żeby jak najszybciej zostawić kłopoty daleko za rufą. Okolica, w której doszło do strzelaniny z Csongorem, szybko opustoszała, była jednak doskonale widoczna z wielu pobliskich wysokościowców; wydawało się całkiem możliwe, że jakiś obserwator na wysoko położonym piętrze śledził zza firanki rozwój wypadków i widział statek opuszczający miejsce zdarzenia - ale nawet jeśli tak było, to Jones nie musiał się tym specjalnie przejmować, ponieważ ich stateczek niczym nie różnił się od tysięcy innych. Wytelepał się z zatoki i opłynął wyspę od północy, mijając po drodze koniec pasa startowego lotniska; podchodzący do lądowania odrzutowiec przeleciał im tak nisko nad głowami, że Zula mogłaby bez wysiłku policzyć mu koła w podwoziu. Łagodny łuk ku południowej stronie poprowadził ich do cieśniny oddzielającej Xiamen od jego przemysłowych przedmieść na stałym lądzie, gdzie panował największy ruch. Nad cieśniną przerzucone były olbrzymie mosty, a na wodzie tłoczyło się mrowie statków wszelkich rozmiarów.

- Bezduszna Wyspa - powiedział Jones, jakby wyczuwając ciekawość Zuli, dokąd płyną.

- Słucham?

Szyper przymknął przepustnicę i kuter, chłasknięty jeden raz w rufę falą własnego kilwateru, wyraźnie zwolnił. W wycieczkowym tempie włączyli się do ruchu, w którym uczestniczyły głównie takie same stateczki i promy pasażerskie, lawirujące wśród stojących na kotwicy ogromnych frachtowców jak strumyk opływający głazy.

Jones skinął głową w przybliżeniu w kierunku południowym, gdzie na horyzoncie roilo się od wysepek - albo może półwyspów azjatyckiego kontynentu, zapuszczających macki w głąb naturalnej zatoki.

- To główny ośrodek handlowej floty rybackiej - wyjaśnił. - Zjeżdżają tam wszyscy imigranci ekonomiczni z całych Chin, bo mają obiecaną robotę, ale kiedy dotrą na miejsce, okazuje się, że pracy nie ma, a ich nie stać na powrót. W ten sposób stają się niewolnikami. - Ruchem głowy wskazał jednego z załogantów, dolewającego właśnie herbaty do dzbanka. - Oczywiście, wyspa ma inną, oficjalną nazwę, ale tutaj wszyscy nazywają ją Bezduszną Wyspą.

Gdyby to była prawdziwa rozmowa, Zula mogłaby go dalej wypytywać - ale w tej chwili wydało jej się to niepotrzebne. Sama była w stanie poskładać klocki w całość. Załogę kutra stanowili muzułmanie pochodzący z zachodniej części Chin, zwabieni na Bezduszną Wyspę w sposób opisany przed chwilą przez Jonesa. Po tym, jak ich życie straciło sens, dali się zwerbować radykałom z siatki terrorystycznej utrzymującej kontakty z kumplami Abdallaha Jonesa. I kiedy Jones postanowił przyjechać do Chin, to właśnie oni udzielili mu niezbędnej pomocy.

Miała jednak wrażenie, że Jones jeszcze nie skończył. Patrzyła więc na niego cały czas, na co on odpowiedział spojrzeniem trudnym do zinterpretowania - nie dość, że z natury był człowiekiem skrytym, to teraz dodatkowo opuchlizna zniekształcała mu pół twarzy.

- Ci ludzie pracują dla mnie z własnej woli. Nie mam nad nimi żadnej władzy. Gdyby z jakiegoś powodu postanowili zlekceważyć moje rozkazy albo po prostu wyrzucić mnie za burtę i przypilnować, żebym utonął, nie ponieśliby żadnych konsekwencji, a ich życie stałoby się nagle o wiele prostsze i bezpieczniejsze. Dlatego, nawet gdybym był człowiekiem zdolnym wybaczyć ci i zapomnieć, że przed chwilą próbowaliście strzelić mi w głowę, musiałbym być niespełna rozumu, żeby okazać przed nimi taką słabość. W środowisku ludzi z Bezdusznnej Wyspy takie zachowanie nie przysparza mężczyźnie szacunku, sama rozumiesz.

Nie miała ochoty przyznawać, że rozumie. Złapała się na tym, że nie jest w stanie

dłużej patrzeć mu w oczy, przeniosła więc wzrok na Yuxię. Twarz Qian Yuxii stężała w maskę bez wyrazu. Nie chciała spojrzeć na Zulę, która doszła do wniosku, że jej przyjaciółka już zaczęła dostosowywać się do standardów tego, co Jones nazwał „środowiskiem Bezdusznej Wyspy”.

- Dlatego uprzedzam, że będzie źle - ciągnął Jones. - Od początku sprawy nie układały się najlepiej, ale radzę ci, żebyś w czasie rejsu zastanowiła się nad tym, co zrobić, żeby ci panowie nie stracili panowania nad sobą. Na początek zalecałbym schowanie głęboko w kieszeń ambicji, hartu ducha czy jak tam lubisz nazywać takie zachowanie, jakie okazałaś na pomoście, i zdecydowany zwrot w stronę *islam*, czyli poddaństwa. Taka luźna sugestia.

* * *

Olivia, jako uprzywilejowany przybysz z Zachodu, była wzbudzona przedłużającym się oczekiwaniem w szpitalu. Meng Anlan, cyniczna Chinka z wielkiego miasta, zastanawiała się zaś, komu powinna dać w łapę - dopóki nie przypomniała sobie, że nie ma pieniędzy. Nie miała również dowodu osobistego, warunku *sine qua non* istnienia jako Chinka. Nie dorobiła się żadnych liczących się znajomości. Mogłaby namówić wujka Binronga, żeby zadzwonił do szpitala i nawrzeszczał na administratora, ale Meng Binrong jako postać fikcyjna nie miał w Xiamen wielkiej siły przebicia, a zresztą, w tej chwili nie brakowało pewnie ludzi, którzy mieli ochotę powiedzieć kierownictwu szpitala parę nieprzyjemnych słów.

Z biegiem czasu Meng Anlan - chińska część Olivii - zaczęła dostrzegać pewną prostą logikę w tej całej sytuacji: została ranna kilka godzin temu, ale w gruncie rzeczy nic jej się nie stało. Rana (ukryte pod włosami długie na całe rozcięcie skóry głowy) przestała krwawić. Bolała ją głowa, co mogło być objawem słabego wstrząśnienia mózgu, ale nie miała żadnych problemów ze wzrokiem ani z normalnym funkcjonowaniem - co najwyżej małą lukę w pamięci w okolicy tamtej chwili, w której wylądowała wymięta pod ścianą zdewastowanego biura. Tylko że to mogła nie być luka w pamięci, a zwykłe odzwierciedlenie faktu, że w prawdziwym świecie (inaczej niż na filmach) eksplozje trwają niezwykle krótko, jak błyski fotograficznego flesza.

Przyszło jej do głowy, że mogłaby po prostu wstać i wyjść, nie zwracając sobie głowy ubieganiem się o pomoc medyczną. Zwłaszcza że przepracowany personel chyba na to właśnie liczył.

Jedyną przeszkodą byłoby wówczas wyjaśnienie tej decyzji dwóm budowlańcom, którzy przez cały ten czas jej towarzyszyli. Czuli się chyba zobowiązani doprowadzić tę przygodę to satysfakcjonującego finału, zamknąć historię, którą mogliby następnego dnia opowiedzieć kolegom z pracy. A może po cichu liczyli na nagrodę?

Olivia wpadła na pomysł, jak upiec dwie pieczenie na jednym ogniu: spisała ich nazwiska i numery telefonów, pożyczyła od nich drobne na bilet na prom i obiecała, że przy najbliższej okazji zwróci pieniądze z nawiązką, która wynagrodzi im ich trud. Zaprotestowali wprawdzie, ale sądziła, że kiedy przyjdzie co do czego, nie odmówią.

Następnie, po istic heroicznym boju na szpitalnym korytarzu wytargowała od pielęgniarki kawałek gazy i rolkę bandaża, głównie dzięki temu, że jasno dała do zrozumienia, że po ich otrzymaniu prawie natychmiast zniknie i więcej nie będzie ich niepokoić.

Poszła do łazienki, obmyła się najlepiej jak mogła, opatrzyła ranę i owinęła sobie głowę białym bandażem, który przywodził na myśl awangardowe nakrycie głowy - przynajmniej dopóki nie zaczęła się przezeń przesączać krew. Zgodnie z obietnicą, opuściła szpital i w otrzymanych za darmo klapkach pomaszerowała na przystań, gdzie za pożyczone od robotników pieniądze nabyła bilet promowy na Gulangyu.

Po drodze przeszła przemianę: z Meng Anlan, przedsiębiorczej Chinki, stała się znów Olivią Halifax-Lin, szpiegiem MI6. Podczas krótkiej przeprawy promowej kobieta-szpieg kilkakrotnie zadawała sobie pytanie, czy powrót do mieszkania to dobry pomysł, ale nie miała żadnych podstaw podejrzewać, że BBP zdążyła wpaść na jej trop. Zresztą, nawet gdyby już deptali jej po piętach, czy mogło być coś bardziej podejrzanego niż niewrócenie do mieszkania w sytuacji, gdy rozpaczliwie potrzebowała odpoczynku i zmiany ubrań? Na pewno powinna wyjechać z Chin, bez dwóch zdań. Wobec braku pieniędzy i dokumentów musiała poprosić przełożonych o pomoc. A ponieważ nie miała już laptopa ani komórki, będzie zmuszona udać się do *wangba* i wysłać zaszyfrowany meldunek.

Tylko że bez dowodu tożsamości nie będzie mogła skorzystać z komputera w *wangba*.

Nie miała nawet kluczy do mieszkania! Dlatego po dziesięciu minutach dreptania po stromych i krętych uliczkach Gulangyu, w za dużych klapkach, które przy każdej okazji usiłowały spaść jej z nóg, musiała odszukać administratora budynku, przeszkodzić mu w obiedzie i poprosić jego żonę, żeby wpuściła ją do jej własnego mieszkania.

Widok pokiereszowanej Olivii zaniepokoił żonę administratora i trzeba było długiego i uprzejmego przesłuchania na progu domu, żeby przekonać ją, że wszystko jest w najlepszym porządku i że Olivia o niczym innym nie marzy, jak tylko żeby dać jej święty spokój. Próbowwała nie sprawiać wrażenia, że celowo zasłania wejście i uniemożliwia pani administratorowej przekroczenie progu, ale w istocie tak właśnie zrobiła, a kiedy się okazało, że język ciała nie wystarczy, zmuszona była użyć innego języka. W końcu jednak wygrała tę potyczkę i dotarła do punktu, w którym czuła, że może bezpiecznie zatrzasnąć drzwi i

zamknąć je na oba zamki, nie urażając tym swojej rozmówczyni.

Wyjęła z lodówki butelkę z wodą i zaczęła z niej popijać. Z zamrażarki wyciągnęła torebkę mrożonego *baozi*, otworzyła ją i stwierdziła, że chiński paszport Meng Anlan jest na swoim miejscu.

Oczywiście nie była to kryjówka, jaką prawdziwy szpieg wybrałby do schowania ważnych dokumentów - za to w sam raz nadawała się na miejsce, w którym niebędąca szpiegiem młoda kobieta mogłaby schować swój prawdziwy paszport w obawie przed rabusiami. Mogła już więc oficjalnie podawać się za Meng Anlan i obejść się bez dowodu osobistego.

Kilka łyków wody wystarczyło, żeby jej nerki się ocknęły. Odstawiła butelkę, zostawiła paszport na blacie w kuchni i poszła do łazienki.

Ledwie znalazła się w środku, usłyszała - i poczuła - że ktoś kopniakiem zatrzasnął za nią drzwi. Od wewnątrz. Odwróciwszy się, zobaczyła napierającą na nią ścianę bieli: poduszka uderzyła ją w twarz, w tej samej chwili czyjaś dłoń spoczęła jej na karku. Olivia zdążyła raz krzyknąć, ale ten dźwięk nigdzie nie doleciał.

- Ani mru-mru - usłyszała przy uchu. - Zrozumiałaś?

Mężczyzna mówił po rosyjsku.

Skinęła głową.

Poduszka się cofnęła i Olivia spojrzała w niebieskie oczy mężczyzny, który nieco wcześniej tego dnia wskoczył przez okno do jej biura - tyle że przez ten czas przebrał się w garnitur i ogolił głowę, przy czym, sądząc z poszlak, to ostatnie zrobił u niej w łazience, nad umywalką, za pomocą plastikowej damskiej maszynki do golenia, którą znalazł w jej rzeczach.

- Najmocniej przepraszam - powiedział.

Odpowiedziała gestem łączącym wzruszenie ramion, skinienie głową i wzdrygnięcie się całym ciałem.

- Porozmawiamy miło? - zaproponował intruz po angielsku.

Wolała patrzeć gdziekolwiek, byle nie jemu w oczy.

- Wiem, że jesteś szpiegiem - ciągnął po angielsku. Może nie był pewien, jak ona radzi sobie z rosyjskim.

Teraz spojrzała mu w oczy. Spodziewała się (i obawiała) wyrazu triumfu. Wyższości. „Mam cię w garści”. Tymczasem dostrzegła w nich raczej... zawodową uprzejmość.

- Możliwe, że w całym Xiamen jesteś jedyną osobą, która ma bardziej przerąbane ode mnie. Nazywam się Sokołow. Naprawdę powinniśmy porozmawiać.

Raz kozie śmierć.

- Jestem Olivia.

* * *

Płynęli już całą godzinę. Miasto zostało daleko za nimi, a oni znaleźli się na otwartym morzu, wśród rzadko rozrzuconych skalistych wysepek. Jones przez większość czasu dyskutował (po arabsku) z człowiekiem z lornetką i telefonem, którego Zula postrzegła jako jego przybocznego. W pewnym momencie obaj zaczęli zerkać z ukosa na Zulę i Yuxię, aż w końcu przyboczny podszedł do Yuxii, odczekał, aż na niego spojrzy, i skinął do niej głową, jakby mówił: „Chodź ze mną”. Kiedy Yuxia nie zareagowała w żaden sposób na jego propozycję, interweniował Jones: podszedł, zmierzył oboje wzrokiem, wszedł między nich i przykucnął naprzeciw Yuxii, po czym w najłagodniejszych możliwych słowach wyjaśnił jej, że zamierza porozmawiać z Zulą w cztery oczy, w związku z czym Yuxia ma do wyboru albo grzecznie oddalić się na dziób, albo wyskoczyć za burtę i się utopić, przy czym to drugie rozwiązanie byłoby z jego punktu widzenia bardziej pożądane.

- Gdybyśmy chcieli zrobić ci krzywdę, już byśmy zrobili - dodał.

Yuxia przeszła więc w towarzystwie przybocznego Jonesa na dziób i tam usiadła.

- Mam dość tej twojej zabawy w Nancy Drew - zaczął Jones. - Utrzymanie cię przy życiu jest dla mnie kosztowne, a ponieważ twoja wartość jest praktycznie zerowa... Jak to mówią, sama sobie policz.

- Praktycznie zerowa? Czy naprawdę zerowa? Bo...

- No tak... Zapomniałem, że bystra z ciebie dziewczyna i lubisz rozkładać moje wypowiedzi na czynniki pierwsze. Ale dobrze, niech ci będzie. Rozejrzyj się. Zastanów. I współpracuj. Współpraca będzie polegała na odpowiadaniu na moje pytania. Później te same pytania zadam Yuxii. Dla wszystkich zainteresowanych byłoby dobrze, gdyby wasze odpowiedzi się pokrywały.

Zawiesił głos. Mógł tak czekać do wieczora.

Zula wzruszyła ramionami.

- Pytaj.

- Jak wyglądał dowódca oddziału Rosjan?

Zula opisała Sokołowa. Jones kiwał głową - najpierw ostrożnie, z wahaniem, później z większym zapalem, jakby chciał, żeby się już zamknęła.

- Widziałeś go? - zapytała, chociaż było to głupie pytanie, na które w dodatku znała odpowiedź.

Jones odwrócił wzrok. Nie odpowiedział.

Chciała zapytać, czy Sokołow żyje, ale się powstrzymała.

A Jones wypytał ją o niego szczegółowo. Nie marnowałby tyle energii na dopytywanie się o trupa, więc i na to pytanie odpowiedź była oczywista.

Nagle dotarło do niej, że o tym właśnie rozmawiał z przybocznym. Zrelacjonował mu poranne wydarzenia ze swojego punktu widzenia, do momentu, gdy objawiła się w nich oczywista luka: nie widzieli, jak Sokołow umiera. Nie widzieli jego ciała.

Świadomość, że Sokołow żyje, przyprawiła ją o irracjonalny dreszcz podniecenia i napęliła osobliwą nadzieją. Ze wszystkich ludzi, których w ostatnich dniach poznała, on jeden potrafił stanąć na wysokości zadania. Czy to naprawdę aż takie idiotyczne, mieć nadzieję, że będzie chciał jej pomóc? Jednakże, nawet gdyby faktycznie chciał, nie zrobi nic, dopóki nie wie, gdzie jej szukać. Ba, nie wie nawet, że ona jeszcze żyje. Zresztą, sam pewnie ma w tej chwili gorsze kłopoty i musi się ukrywać.

Ominęli kilka mniejszych wysp i obrali kurs na następną, nieco większą, chociaż i tak mierzącą najwyżej dwie mile szerokości.

Powinna zacząć myśleć jak wujek Richard. Ale nie wujek Richard z ro-zjazdu, tylko wujek Richard-biznesman. Tylko dwa razy widziała go w takiej roli (nie zapraszano jej na spotkania, na których grał rolę ważniaka), ale fascynowało ją, w jaki sposób wchodził w kostium zupełnie innej osoby i zapinał go na swoim starym „ja”.

Czego ten człowiek chce? I czy stoi to w sprzeczności z tym, czego ja chcę?

I wszystko to bez cienia fałszu. Bez ściemy. Bo ludzie by to wyczuli.

W tej chwili Jones chciał się dowiedzieć jak najwięcej o Sokołowie. Musiało między nimi zajść coś takiego, co wywarło na nim wrażenie.

- Niewiele wiem o jego przeszłości. Wiem, że ma medale...

- Medale?

- Trochę z nim rozmawiałam w samolocie Iwanowa, podczas lotu do Xiamen, potem w kryjówce i później, kiedy szukaliśmy autorów wirusa.

- Zaraz, zaraz, zaczekaj - przerwał Zuli Jones. Przy każdym kolejnym wypowiedzanym przez nią zdaniu coraz bardziej wytrzeszczał oczy.

Zula pierwszy raz napomknęła o tym, że samolot Iwanowa jest w Xiamen.

Bardzo dobrze. Odpowiedzi na te pytania zajmą kolejną godzinę.

Co się stanie, kiedy zabraknie jej materiału?

Wystarczy, że Jones wrzuci jej nazwisko do Google, i od razu dowie się o Richardzie. Następnym logicznym posunięciem będzie zażądanie za nią okupu.

Oczywiście, na razie nie wiedział jeszcze, jak się nazywa.

Przekleństwo rzadkiego imienia: wystarczyłoby wpisać „Zula” plus nazwa firmy, w której pracuje, żeby uzyskać ciekawe wyniki.

Na statku nie miał jednak dostępu do Internetu, a sądząc po wyglądzie wysepki, na którą się udawali, nie powinno się to prędko zmienić.

- Twierdzisz, że Rosjanie mieli kryjówkę? - Pytanie z brytyjską intonacją, pod koniec raczej opadającą niż wznoszącą.

- Tak.

- W Xiamen?

- Tak.

- Gdzie?

Zamiast opisywać budynek, Zula obejrzała się na miasto. Dzielilo ich od niego kilka mil, ale drapacze chmur w centrum były doskonale widoczne.

- W tamtym wieżowcu. Tym nowoczesnym, takim zakrzywionym. Z żółtym żurawiem na górze.

Jones kazał sobie podać lornetkę. Spojrzał przez nią, oddał ją Zuli, kilka razy powtórzyli ten manewr, aż Jones się upewnił, że dokładnie wie, o którym budynku mowa.

Spytał o piętro. Zula się zawahała. Patrząc przez lornetkę, zastanawiała się, czy Sokołow jest teraz w kryjówce, czy wygląda właśnie przez okno... Jeżeli odpowie, czy narazi go na niebezpieczeństwo?

Sokołow i tak doskonale wiedział, że jest w niebezpieczeństwie. Będzie umiał o sobie zadbać.

A tak przynajmniej mogła dać mu sygnał. Gdyby Jones wysłał kogoś na czterdzieste trzecie piętro, Sokołow zacząłby się zastanawiać, skąd ten ktoś zna położenie kryjówki, i może domyśliłby się, że to Zula była informatorką.

- Czterdzieste trzecie.

- Opisz mi... - zaczął Jones.

Szyper mu przerwał. Jones wysłuchał go, pokiwał głową, spojrzał na Zulę i ruchem głowy wskazał jej sterówkę.

- Zaraz zrobi się tłoczno - powiedział. - Schowaj się tam. Będziesz się mniej rzucać w oczy.

Zula nie pierwszy raz zadała sobie pytanie, jak bardzo powinna współpracować. Na razie jednak wyglądało na to, że Jones dobrze się bawi w jej towarzystwie i próbuje wyciągnąć od niej informacje, miała więc wrażenie, że sprawy idą kiepsko, ale nie beznadziejnie. Gdyby wyskoczyła za burtę i próbowała dopłynąć do brzegu - o tak, wtedy

zrobiłoby się beznadziejnie, natomiast współpraca teraz mogła zaowocować większym zaufaniem później. Wstała i przeszła do ciasnej, głośnej i wściekle gorącej sterówki, gdzie po chwili dołączyła do niej Yuxia. Zostały tam już do końca rejsu.

Zula domyślała się, że określenie „rojny” ukuto w przeszłości specjalnie po to, by celnie opisywać miejsca takie jak tutejszy port. Niestety, z czasem jego wymowa została beznadziejnie osłabiona i rozmyta przez określanie nim środowisk takich jak Manhattan z jego ruchem samochodowym, obfitująca w zwierzynę dżungla lub pszczeli ul, z których żadne nawet w przybliżeniu nie mogło się równać z portem na wysepce pod względem stopnia ożywienia i gęstości upakowania elementów składowych, bombardujących wzrok Zuli, gdy kuter z pracowitym pyrkotaniem posuwał się w głąb zatoczki. Wydawałoby się, że kiedy tak dużo wciśnie się w przestrzeń tak małą, aktywność powinna raczej osłabnąć niż się wzmóc, ponieważ w tłoku trudniej się poruszyć, ale mieszkańcy tej okolicy chyba nie zdawali sobie sprawy z istnienia takiego równania. Obrzeża zatoki były pocięte kratownicą tratwopodobnych konstrukcji wielkości kwartałów miejskich, złożonych z licznych kwadratowych zagród oddzielonych chodnikami i osłoniętych naciągniętą siatką. Chodniki wspierały się na wszelkiej maści pływakach - pustych plastikowych pojemnikach, olbrzymich piankowych kiełbaskach, albo po prostu torbach foliowych wypełnionych styropianowym groszkiem. Na każdej tratwie znajdował się nieduży szałas. Zula domyślała się, że ma przed sobą hodowlę ryb.

Liczba kutrów rybackich przechodziła wszelkie wyobrażenie i przewyższała najśmielsze szacunki. Było ich kilkaset razy więcej niż miejsca do cumowania, w którymś momencie zaczęto więc upychać je na plaży. Potem, kiedy plaża się zapełniła, wiązano je burta w burtę, jak kłody tratwy, w długie, ciągnące się w poprzek zatoki łuki; kiedy łuk sięgał już od brzegu do brzegu, rozpoczynano następny. Na obrzeżach zatoki były nawet takie dopiero zaczęte, złożone zaledwie z paru łódek.

Gdzieś tam, w głębi, musiała się znajdować sama wysepka i jakieś miasteczko portowe, ale jedno i drugie mignęło Zuli tylko przelotem, w jedynej przerwie w ciągnących się bez końca niby-tratwach: wybiegający z portu pomost, do którego właśnie przybijał prom pasażerski, rozcinał morze kutrów na dwoje. Droga z portu wspinała się dalej na wzgórze, tworząc kręgosłup miściny. Była z obu stron obudowana niskimi domkami i na w pół zablokowana przez setki siedzących na rozpalonej nawierzchni ludzi w *douli*, zajętych łataniem sieci rybackich lub oblekaniem stalowych lin w łyse opony. Zewsząd błyskały łuki spawarek, oślepiająco niebieskie, jaśniejsze niż słońce. Małe stateczki - takie jak ten, którym płynęła Zula - wypełniały każdy skrawek odsłoniętej wody dostatecznie duży, żeby je

utrzymać, jak mitochondria w komórce. Natężenie ruchu, złożoność rządzących nim prawideł i różnorodność osprzętu kutrów przytłaczały przybysza i rozplywały się w wilgotnej mgiele, zanim zdążył ogarnąć je rozumem.

Mina Yuxii świadczyła o tym, że dla niej widok ten jest równie obcy jak dla Zuli.

Wszystkie kutry rybackie wyglądały identycznie, jakby produkowano je masowo w jednej stoczni; wszystkie pomalowano na ten sam niebieski kolor. Zula nie mogła się nadziwić, że ludzie, którzy tu mieszkają i pracują, potrafią je rozróżnić. Jeden się jednak wyróżniał - głównie tym, że stał sam, w głębi zatoki, nieprzywiązany do żadnej innej łodzi. I oczywiście właśnie w jego stronę płynęli. Podeszli do niego od strony otwartego morza, żeby mniej rzucać się w oczy, i po zrzuconej za burtę drabince wspięli się na pokład. Podobnie jak wszystkie tutejsze kutry, ten również miał masywny dziób, wystający wysoko nad wodę i zawalony specjalistycznym sprzętem. Dalej ciągnął się kawał otwartego pokładu, zajmowany przez pospinane w stosy szare rury. Nad nimi wznosiła się dwupokładowa nadbudówka zajmująca prawie całą rufową połówkę kutra. Kabiny na parterze miały tylko małe iluminatory, dopiero na górze znalazło się miejsce na okna z prawdziwego zdarzenia oraz dwoje małych drzwi prowadzących na ciągnącą się wokół nadbudówki galerijkę.

Zula zdążyła zarejestrować to wszystko kątem oka, nim zapędzono ją do kabiny na parterze, która musiała być chyba regularnie używana przez rybaków, bo chwilę później zameldowało się w niej dwóch mężczyzn, którzy zabrali wszystkie swoje rzeczy. Zula została w pustej kajucie - jeśli nie liczyć bliskowschodniego dywanika na stalowym pokładzie i dwóch wyblakłych plakatów opisanych arabskim pismem, a przedstawiających brodaczy w turbanach, którzy, wskazując palcem na sufit, dzielili się z widzem głębokimi przemyśleniami na temat (to już były czyste domysły) światowego dżihadu. Kwadrans po zaokrętowaniu Zuli jedyny iluminator w kajucie został bezceremonialnie zasłonięty przyklejonym od zewnątrz kawałkiem papieru. Otwieraniu i zamykaniu drzwi towarzyszył szcęk i inne efekty dźwiękowe, z których wywnioskowała, że od zewnątrz są zamykane na łańcuch. W niemych - i w pewnym sensie wruszającym - akcie galanterii ktoś uchylił drzwi i wstawił do środka kubek. Yuxia również trafiła na pokład kutra, ale Zula nie miała pojęcia ani co się z nią dzieje, ani gdzie się w tej chwili znajduje.

* * *

- W barku jest wódka - powiedziała Olivia-szpieg po rosyjsku.

Sokołow domyślił się (po akcencie, tudzież po swobodzie, z jaką częstowała alkoholem), że jest Brytyjką.

- Dziękuję, ale mam dziwne, jak na Rosjanina, zwyczaje i nie zamierzam skorzystać z

tej okazji, żeby się upić.

Chwilę trwało, zanim rozebrała to zdanie na czynniki pierwsze, ale w końcu zrozumiała jego ogólną wymowę. Mówiła po rosyjsku chyba odrobinę lepiej niż Sokołow po angielsku. Będą musieli mieszać języki i bacznie się obserwować.

- A ja zamierzam korzystać z każdej nadarzającej się okazji - odparła.

Podeszła do barku (właściwie zwykłej szafki, zawierającej dosłownie kilka butelek) i wybrała jacka danielsa.

- Nie powinnaś wprowadzać się w stan upojenia - ostrzegł ją Sokołow. - Dalsze działania mogą wkrótce okazać się konieczne.

Spojrzała na niego z miną, która nie pozostawiała cienia wątpliwości: z trudem powstrzymała się od parsknięcia śmiechem.

Jaki popełnił błąd?

Załoczył, że mu zaufa.

Założenie było logiczne. Gdyby Olivia-szpieg miała większe doświadczenie, wiedziałaby, że zaufanie mu jest właściwym posunięciem - właśnie dlatego, że miał kompletnie przesrane i potrzebował pomocy kogoś takiego jak ona. Kogoś, kto mógł uchodzić za tubylca.

Skąd zatem ten brak zaufania?

Pewnie stąd, że najpierw wpadł do jej biura przez okno w wyjątkowo nieodpowiednim momencie, potem wycelował do niej z karabinu, a na koniec włamał się do jej mieszkania.

- Skąd się tu wziąłeś? - zapytała.

- Plan D - odpowiedział po angielsku.

- Co to jest plan D?

- Czwarty plan, który ułożyłem. Zajął mi całe popołudnie.

Mógłby jej to wytłumaczyć, ale nie było sensu dyskutować o przeszłości, skoro powinni zacząć planować przyszłość.

Nadal zerkąła na niego podejrzliwie znad szklanki whisky.

Jeden po drugim wyjął następujące przedmioty z kieszeni garnituru Jeremy'ego Jeonga i położył na kuchennym blacie: jej dowód osobisty, telefon, klucze i jeszcze kilka drobiazgów. Olivia przy każdym wydawała cichy okrzyk zaskoczenia i zachwytu.

- Dowód, że nie jestem skończonym skurwysynem.

Wzięła do ręki telefon i sprawdziła ostatnie połączenia, ciekawa, czy Sokołow był na tyle głupi, żeby próbować gdzieś z niego dzwonić. Odpowiedź (której mógł jej przecież udzielić osobiście) była przecząca.

- To dla mnie wielka rzecz - powiedziała, chowając dowód osobisty do kieszeni.
- W dowodzie nie jesteś Olivią?
- Nie. W dowodzie jestem Meng Anlan.
- Aha.
- Czyli nie znasz chińskiego ni w ząb.
- Zgadza się.
- Skąd ty się tu w ogóle wzięłaś? Zresztą, nieważne. Plan D.

Cały czas przeskakiwała z rosyjskiego na angielski i z powrotem. Sokołow wyczuwał, że rosyjskiego uczyła się w środowisku akademickim: dobrze radziła sobie z abstrakcjami i strukturą zdania, ale nie miała pojęcia o języku potocznym.

- Prowadziłaś obserwację dżihadystów? Czy hakerów z piętra niżej?
- Dżihadystów.
- Nazwisko przywódcy? Tego czarnego?
- Abdallah Jones.

Sokołow pokiwał głową. Słyszał o Jonesie. Widział jego zdjęcie w gazetach.

- Zatrudnia cię MI6?

Z wyraźnym wysiłkiem próbowała zachować kamienną twarz, zdała sobie sprawę, że nic z tego, i skinęła głową.

- MI6 ma procedurę awaryjnej ewakuacji?

- Ma zasoby, z których może skorzystać, żeby taką procedurę zaimprovizować - poprawiła Sokołowa Olivia.

Czyli ma procedurę.

- Jak się tę procedurę uruchamia?

- W sytuacji bez wyjścia mogłabym zadzwonić. Ale powinnam tego unikać, jeśli tylko mam dostęp do Internetu.

- Masz tu komputer?

- Już nie. Zresztą, nawet gdybym miała, nie załatwiałabym tej sprawy stąd, tylko poszłabym do *wangba*.

- Zrobiłaś to już?

Pokręciła głową.

- Bez dowodu nie daliby mi usiąść do komputera. Ale skoro już go odzyskałam... - Uśmiechnęła się.

- Idziemy do *wangba*?

Chciała chyba przytaknąć, gdy nagle jej twarz stężała.

- Jacy „my”, blada twarzy?

- Słucham?

Zamknęła oczy i pokręciła głową.

- To taki stary amerykański żart.

- Lubię żarty. Opowiedz.

- Znasz Samotnego Strażnika?

- Kowboj w masce? Ma przyjaciela Indianina?

- Tak, to on. Samotny Strażnik i Indianin Tonto wpadli w zasadzkę Komanczów.

Uciekając przed nimi, trafili w głąb wąwozu o stromych zboczach. Schowali się za kamieniami, strzelają do Indian, aż nagle Samotny Strażnik spogląda na przyjaciela i mówi: „Tonto, wygląda na to, że jesteśmy otoczeni”. Na co Tonto odpowiada...

- „Jacy »my«, blada twarzy?”.

- Właśnie.

- Śmieszny żart.

- Ciekawe, że tak mówisz. W ogóle nie widać po tobie rozbawienia.

- Rosyjskie poczucie humoru. Oschłe, jakbyście to wy powiedzieli.

- Okej.

- Żart ma sens.

- Tak, panie Sokołow. Ten żart ma sens.

- Dlaczego miałabyś pomóc biednemu wyruchanemu Rosjaninowi? To jego sens.

- Co ważniejsze: dlaczego MI6 miałoby ci pomóc? Bo w gruncie rzeczy to, co ja chcę albo co byłabym skłonna zrobić, nie ma żadnego znaczenia. Liczy się tylko to, czego chce MI6. O ile mogliby pójść na całość, żeby wyciągnąć mnie z Chin, o tyle nie jest wcale oczywiste, że uda mi się ich przekonać, żeby dla ciebie zrobili to samo.

- Powiedz im, że mam cenne informacje.

- A masz?

- Pewnie nie. - Sokołow wzruszył ramionami. - Ale to nieistotne.

- Jeżeli powiem im, że masz ważne informacje, a potem okaże się, że ich nie masz, wyjdę na idiotkę.

- Chyba są teraz ważniejsze sprawy od tego, czy wyjdiesz na idiotkę w Londynie, siedząc bezpiecznie w knajpie, jedząc rybę i pijąc piwo.

Przemyślała jego słowa.

- Ja znam Brytyjczyków - mówił dalej. - Wychodzenie na idiotów to ich cecha narodowa. Ciągle im się zdarza. Oni to rozumieją. Mają na to procedury.

- Będziesz mógł później zajrzeć do Internetu?

- Hm... To trudne. A co?

- W tej chwili muszę wrócić promem do miasta, pójść do *wangba* i nadać sygnał alarmowy. Domyślam się, że później dostanę instrukcje co robić i gdzie jechać. Będę ci musiała je jakoś przekazać.

Sokołow wybałuszył oczy.

- Zaraz, myślałeś, że pozwolę ci tu zostać? Otóż nie, nie pozwolę. Z oczywistych powodów rosyjski komandos-najemnik nie może sypiać u Meng Anlan na sofie. Musisz znaleźć sobie jakiś nocleg i wykombinować, jak wejść do Internetu. Jak już ci się uda, wyślę ci wiadomość przez czat albo w inny sposób.

- Hm... Jest rozwiązanie.

- Tak?

- Mam lokum. Z Internetem. Pójdę tam. Zaczekam na instrukcje.

Cisza.

- Naprawdę?

- Niebezpieczne - przyznał Sokołow. - Może nawet cholernie głupie. Ale może się uda.

- Czy w tym celu będziesz musiał związać albo zabić któregoś z moich sąsiadów?

- A masz sąsiadów, których nie lubisz?

Olivia nie wiedziała, jak zareagować.

- Żart - wyjaśnił Sokołow i ruchem głowy wskazał za okno. Słońce zachodziło nad prowincją Fujian, odbijając się pomarańczową barwą w oknach wieżowców po drugiej stronie cieśniny. - To tam. Dla ciebie żaden kłopot.

- W takim razie chodźmy. Oczywiście musimy wyjść osobno. Mogę stanąć na czatach: powiem ci, kiedy schody będą puste. Wtedy będziesz mógł bezpiecznie wyjść.

- Bardzo dobrze.

- Osobno pójdziemy na przystań i wsiądziemy na dwa różne promy. Niczego więcej nie mogę ci obiecać.

- Może wyciągniesz mnie z Chin, a może nie. Może zostanę złapany. Przesłuchany. Może będę im musiał powiedzieć, gdzie jest brytyjski sprzęt szpiegowski i dokumenty z biura.

Olivia w milczeniu obserwowała Sokołowa.

- Szczegóły, którymi możesz się podzielić z szefem, jak już będziesz w *wangba* - dodał.

* * *

Kiedy po jakimś czasie ktoś z załogi otworzył drzwi, żeby podać jej miskę makaronu i zabrać kubek, Zula stwierdziła, że na dworze jest ciemno.

Próbowała wykorzystać ten czas na myślenie. Nic nie przyszło jej do głowy. Wydawało jej się, że powinna oplakiwać Petera. Nawet przygotowała się do płaczu: usiadła na skraju stalowej koi, oparła łokcie na kolanach i czekała na łzy. I nawet parę pociekło, w sam raz, żeby oczy się jej zaszklily i pociekło z nosa, ale za mało, żeby popłynęły strugą po policzkach. Było jej smutno z powodu śmierci Petera - dostatecznie smutno, żeby wybaczyć mu (choć nie dość, żeby zapomnieć), że zostawił ją w piwnicy na chwilę przed tym, jak Iwanow go za to rozstrzelał. To właśnie było w jego śmierci najbardziej żalosne - jak się zachował tuż przed nią.

Później jednak umysł Zuli odplynał od tej wysilonej świadomej żałoby i złapała się na tym, że martwi się o Csongora. I o Yuxię.

Przypomniał jej się - i wstrząsnął nią nie mniej niż za pierwszym razem - widok twarzy młodego Chińczyka za oknem klatki schodowej, dosłownie kilka cali od niej.

Doszła do wniosku, że warto się pomodlić. Za zmarłych, zaginionych i siebie samą. Wziąwszy pod uwagę fakt, że wychowali ją ludzie bogobojni, aż dziw brał, że dopiero teraz przyszło jej to do głowy. Nie zanosilo się na to, by komunikacja z bóstwem mogła korzystnie wpłynąć na jakikolwiek aspekt jej sytuacji - może tylko z tym wyjątkiem, że ona sama poczułaby się od tego lepiej. Zresztą, wedle jej rozeznania taki właśnie był cel religii, w której ją wychowano: dzięki niej ludzie czuli się lepiej, kiedy wokół działy się przerażające rzeczy. A przy okazji związane z nią ceremonie przydawały klasy takim wydarzeniom jak wspólne zamieszkanie albo przysypanie trupa ziemią. W żaden sposób nie przeszkadzało to Zuli ani nie podważało jej wiary w użyteczność religii. Poprawianie humoru ludziom smutnym to piękna rzecz. Religia tego typu nie miała w sobie mocy, która kazałaby człowiekowi oddać majątek szarlatanowi, wypić truciznę albo obwiesić się ładunkami wybuchowymi. Nie nadawała się również najlepiej do zmagania się z obecną sytuacją, ale ponieważ wcześniej nie budziła zastrzeżeń Zuli, myśl o zamianie jej na coś bardziej płomiennego wydawała się jej niestosowna. Nie rozumiała tylko idei modlitwy o pomyślny rozwój wypadków. Tak jakby miała w tej kwestii coś do gadania. Kuter i tak popłynie tam, gdzie mu każą tamci.

Czyli gdziekolwiek. Dosłownie. Kutry rybackie służą do pływania po morzu. Po wodach międzynarodowych. Nie miała mapy, ale podejrzewała, że taka krypa może ich w parę dni przewieźć w dowolne miejsce Azji Południowo-Wschodniej. I taki pewnie był plan Jonesa.

Znów szczęknęło oprzyrządowanie drzwi, które po chwili się uchyliły i do środka wszedł Jones. Zamknął drzwi za sobą, usiadł po turecku na dywaniku i oparł się plecami o ścianę. Zula przysiadła na skraju koi.

- Opowiedz mi o tym odrzutowcu.

- Przylecieli nim z Toronto.

- To wiem. Gdzie teraz jest?

- Niecierpliwimy się, co?

Jones spojrzał na Zulę spode łba.

- Adrenalina zeszła. Straciłem dziś dziesięciu towarzyszy, z których połowę, jak przypuszczam, wykończył ten wasz Sokołow. W mieszkaniu wybuchła ściana ognia. Odcięła go od wyjścia. A on najpierw zabił jednego z moich ludzi, żeby zabrać mu karabin, a potem strzelał przez te płomienie. Trafił kilku moich w głowę. Wkurzył mnie, serio.

- Ilu jego ludzi ocalało?

- Ani jeden.

- No proszę.

- Po czymś takim przez kilka godzin człowiek chodzi jak na haju, a potem, jak adrenalina się skończy... przychodzi taki moment, w którym chrześcijan naprułby się do nieprzytomności.

- A co robi muzułmanin?

- Modli się i śni o zemście.

- W takim razie powiem ci, że nie mam pojęcia, gdzie jest Sokołow. Nie wiem nawet, czy żyje.

- Żyje. A ja wcale nie proszę cię, żebyś mi powiedziała, gdzie jest, bo zdaję sobie sprawę, że nie możesz tego wiedzieć. Pytałem cię o samolot.

- A ja myślę na głos. Nie wydaje mi się, żeby był własnością Iwanowa. Raczej został wypożyczony.

- Na jakiej podstawie tak twierdzisz?

- Niektórzy inni Rosjanie byli wyraźnie wzburzeni, jakby zachowanie Iwanowa bardzo odbiegało od normy.

- W to akurat jestem skłonny uwierzyć - przyznał Jones, a Zula ucieszyła się, że wreszcie powiedział coś pozytywnego. - Nie wiem, jaką koszą kasę, nie ma jednak mowy, żeby na co dzień rozbijali się prywatnymi odrzutowcami.

- Ja się na tym nie znam, to dla mnie obcy świat. Wychowałam się na farmie w Iowa. Ale słyszałam, że jeśli ktoś nie ma takiego samolotu, może go wynająć. I wydaje mi się, że to

właśnie zrobił Iwanow: wynajął odrzutowiec.

- Który stoi na lotnisku w Xiamen, tak?
- Tego nie wiem. Choć tam właśnie ostatni raz go widziałam.
- A piloci?
- Podrzuciliśmy ich do *Hyatta* przy lotnisku.
- Byliście w Xiamen od trzech dni.
- Dziś upływa trzeci pełny dzień - przytaknęła Zula.
- Miałaś jakieś przeczucie, co dzisiaj planowali Iwanow i Sokołow? Poza tym, że

chcieli dopaść tych hakerów?

- Kazali nam zabrać z kryjówki wszystkie rzeczy.
- Czyli zamierzali odlecieć. Dzisiaj.

Zula wzruszyła ramionami, dając Jonesowi do zrozumienia, że nie zamierza się bawić w czcze domysły.

- Samolot nadal tam jest - powiedział Jones. - Na lotnisku.
- Nie mam zielonego pojęcia.

- A ja jestem pewien. W lotnictwie największe koszty generuje paliwo, reszta przy tym to betka. Nie ma mowy, żeby zatankowali maszynę i gdzieś ją wysłali, żeby przez te trzy dni zaoszczędzić na rachunku za hotel dla pilotów. Co to, to nie. Możesz mi wierzyć, że przez cały czas waszego pobytu w Xiamen dzielni piloci siedzieli w *Hyatcie*, oglądali pornole i pili na rachunek Iwanowa, który pewnie kazał im się na dziś przygotować do odlotu. Teraz pewnie czekają i zachodzą w głowę, gdzie on się podział.

Zula dała się Jonesowi wygadać. I tak nie widziała dla siebie żadnej roli w tej rozmowie.

- Iwanow nie przyjedzie, bo go zabiłem - dodał Jones.

Pogrążony w myślach wstał, żeby pospacerować po kajucie, która jednak była tak mikroskopijna, że spacer bardziej przypominał irytujące przenoszenie ciężaru ciała z jednej nogi na drugą i z powrotem. Nie patrzył Zuli w oczy. Wpadł na jakiś pomysł i próbował go doszlifować.

- Jakie mają rozkazy na wypadek, gdyby szef nie wrócił? - myślał na głos. - Nie mogą przecież tak po prostu odlecieć, muszą na niego czekać. Taka praca: siedzisz i czekasz, aż szef pstryknie palcami.

Pomysł rodzący się w głowie Jonesa był tak bezczelny i szalony, że Zula nie od razu go ogarnęła - a potem musiała się ugryźć w język, zanim słowa nieproszone padły z jej ust: „Chcesz porwać ten samolot!”. O czym teraz myślał Jones? Potrzebował pilotów, którzy

poprowadzą maszynę. A do tego musiał mieć nad nimi władzę.

Nagle uświadomiła sobie, że Jones się w nią wpatruje.

- Ciebie na pewno zapamiętali - powiedział. - Rozpoznają cię po głosie przez telefon.

Próbowała nadać swojej twarzy nieprzenikniony wyraz, ale wiedziała, że już jest za późno. Jones wyczytał z niej prawdę.

* * *

Niespełna pół godziny po zakończeniu pogawędki w mieszkaniu Olivii Sokołow wrócił do kryjówki na czterdziestym trzecim piętrze wieżowca.

Wszystko zniknęło, zostały tylko śmieci i kupiony tu, na miejscu, komputer. Kiedy Iwanow nie posłuchał rady Petera, że takiego sprzętu lepiej nie zostawiać, Peter zaczął rozbierać obudowę maszyny, żeby wymontować z niej dysk i zabrać go ze sobą. Trwało to jednak zbyt długo jak na gust Iwanowa, który przerwał tę procedurę w połowie.

Tym sposobem Sokołow stanął teraz oko w oko z częściowo rozkręconym komputerem, którego twardy dysk - metalowa cegła wielkości kanapki - nadal tkwił w obudowie, chociaż został odłączony. Ponowne podłączenie go było dziecinnie proste, ponieważ wtyczki dało się włożyć w gniazdka tylko w jeden sposób. Sokołow włączył komputer, a ten uruchomił się bez przeszkód. Wyglądało na to, że Internet działa normalnie, ale Sokołow na razie wolał nie surfować po sieci, bo pierwsza lepsza strona mogła zwrócić uwagę BBP. Olivia wypisała mu na kartce adres popularnego w Chinach czatu, na którym użytkownikom zdarzało się czasem prowadzić rozmowy po angielsku. Wpisał go do paska adresów i wszedł na czat do wskazanego przez Olivię pokoju, gdzie panował zupełny spokój. Nie znalazł żadnego z zaszyfrowanych zdań, których kazała mu wypatrywać - w czym nie było nic dziwnego, ponieważ prawdopodobnie nie zdążyła jeszcze dotrzeć do *wangba*.

Naprawdę powinien się przespać, żeby jutro być w formie. Nie podobało mu się, że poświęci na sen noc, kiedy łatwiej mógł się poruszać po mieście, nie zwracając na siebie uwagi - ale nie było żadnego powodu, dla którego miałby się poruszać po mieście. Nie miał przecież nic do roboty. Kilka razy przespacerował się po biurze, podziwiając rozciągającą się w dole galaktykę kolorowych świateł i neonowych liter, których nie umiał odczytać.

Wiedział już, że mimo morderczego zmęczenia będzie mu trudno zasnąć.

Stracił dziś cały oddział. Wszystkich podwładnych. W Rosji zostawili żony, matki i dziewczyny, które się o nich niepokoją, nie wiedząc jeszcze, że odeszli na zawsze. Do tej pory starał się o tym nie myśleć, ponieważ rozpamiętywanie tego było bezproduktywne. Od dawna był dowódcą - odkąd po awansie na kaprała przydzielono mu własną drużynę. Ze względu na specyfikę miejsc, w których służył, ofiar w jego oddziałach było dużo, także

śmiertelnych. Pisywał wówczas listy do pogrążonych w żałobie żon i matek, używając zawsze tych samych komunałów o ludziach oddających życie za ojczyznę - nawet jeśli trudno było tak twierdzić podczas najazdu na Afganistan i niewiele łatwiej później, w Czeczenii.

Gdyby miał tu długopis, papier i adresy pogrążonych w smutku bliskich, jakie pocieszające kłamstwa mógłby im przesłać? Jego ludzie byli najemnikami w służbie szemranej, nastawionej na zysk organizacji.

Tak jak on.

Nawet gdyby można było mówić o osobistej lojalności wobec organizacji przestępczej (a coś musiało być na rzeczy, skoro ludzie regularnie walczyli i ginęli w obronie mafijnych karteli), nie dało się ukryć faktu, że nie była to normalna operacja, tylko jedna wielka pomyłka, kierowana przez defraudanta, który był niespełna rozumu.

Jednakże nawet to można by, od biedy, wytłumaczyć. Owszem, wymagałoby to pewnej pomysłowości, ale dałoby się poskładać z tego spójny, sensowny obraz sytuacji. Nijak nie zdołałby natomiast ująć w słowa faktu, że przypadkiem napatoczyli się na fabrykę bomb prowadzoną przez komórkę muzułmańskich terrorystów.

To wręcz naturalne, że Chińczycy zwałą wszystko na wybuch gazu. I nie chodzi o próbę tuszowania czegokolwiek - tak po prostu będzie łatwiej.

Gdyby miał coś przekazać rodzinom, poinformowałby je, że ich bliscy padli ofiarą eksplozji gazu, wypadku samochodowego albo innej bezsensownej i przypadkowej wojennej tragedii. Jak ci amerykańscy żołnierze, którzy ginęli porażeni prądem pod prysznicem w niechlujnie zbudowanych bazach. Ciekawe, kto pisał listy do ich rodzin.

Przechadzając się po biurze i podziwiając przelewające się i pulsujące światła miasta, zaczynał rozumieć, że tylko w jeden sposób może nadać sens całej tej sprawie - jeśli przez „nadanie sensu” rozumieć „zakończenie jej w taki sposób, żeby mógł napisać porządne listy do matek tych młodych ludzi, którzy dziś rano zginęli”. Musiał wytropić i zabić Abdallaha Jonesa.

Przykucnął. Sponiewierane mięśnie napięły się boleśnie, ale było to miłe uczucie. Oparł łokcie na kolanach, brodę położył na przedramionach i patrzył na Chiny. Wszystko było już jasne - poza jedną rzeczą: w jaki sposób się stąd wydostanie. W tej kwestii wszystko zależało od Olivii. Bosonogiej, samotnej, bezradnej jak dziecko - a zarazem w tych okolicznościach nieskończenie silniejszej i bardziej kompetentnej od niego.

Pod koniec rozmowy był taki dziwny moment, w którym Olivia uparła się, żeby wyniósł się od niej z mieszkania. Dziwne, że w ogóle o tym wspomniała - tak jakby Sokołow spodziewał się, że go przygarnie. A jednak uznała, że musi to powiedzieć wprost. Dlaczego?

Dlatego że ją pociągał, tak jak i ona jego. Dlatego trzeba było przestrzegać zasad.

Przyciągnął brodę do piersi, upadł do tyłu i rozprostował całe ciało, podpierając się rękami o dywan, żeby zamortyzować upadek, jak w kontrolowanym padzie w sambo. Nie byłoby to najgorsze miejsce, w jakim w życiu spał. A będzie jeszcze wygodniej, kiedy wyjmie makarowa zza paska spodni. Zrobił to i położył sobie pistolet przy głowie. Z kieszeni na piersi wyjął zapasowy magazynek, a z tylnej kieszeni spodni latarkę i odłożył je obok siebie. Rozsznurował buty Jeremy'ego Jeonga, ale zamiast je zdejmować, postanowił nauczyć się czegoś z doświadczeń Olivii i zostawił je na nogach. Na wypadek następnego wybuchu gazu.

Sen jednak nie przychodził. Sokołow cały czas rozmyślał o tym, jak bardzo byłby bezbronny, gdyby ktoś zaskoczył go w tej kryjówce.

Zarzucił camelbak na plecy i przeszedł do sali konferencyjnej. Główny stół miał łącze internetowe: pod blatem ciągnął się pęk spiętych plastikową obejmą szarych kabli. Paroma szybkimi ruchami noża odciął kilkumetrowy kawał kabla i przewiesił go sobie przez szyję. Postawił krzesło na blacie, wspiął się na nie, wypchnął jedną z płytek podwieszonoego sufitu.

Pamiętał, że górą biegnie zygzakowaty stalowy wspornik. Nie mógł go dosięgnąć, ale przy drugiej próbie udało mu się przerzucić przezeń kabel, który wkrótce obwił pod własnym ciężarem. Wtedy ściągnął go na dół i związał końce, tworząc pętlę zwisającą z dziury w suficie i kończącą się mniej więcej metr nad blatem.

Odstawił krzesło na podłogę, położył się na stole i zasnął snem sprawiedliwego.

* * *

- Każdy człowiek obdarzony minimum wyobraźni w lot pojąłby cel tego małego pokazu, a tobie z pewnością wyobraźni nie brakuje. Dlatego osobiście uważam, że to strata czasu, ale moi koledzy to proste chłopaki. Dla nich liczy się konkret. Nie dowierzają swojej zdolności porozumiewania się wskroś barier kulturowych i językowych.

Jones schodził przed Zulą po stalowej drabince w głąb ładowni kutra.

- A może po prostu są sadystami? - dodał pogodnym tonem.

Zula obróciła gwałtownie głowę i przed oczami mignęło jej obszerne, słabo oświetlone wnętrze, w którym znajdowało się kilku mężczyzn oraz siedząca między nimi na krześle Yuxia. Instykt - co zrozumiałe - kazał jej w tym momencie wiać, gdzie pieprze rośnie, ale przyboczny Jonesa (zorientowała się już, że ma na imię Khalid) szedł po drabince następny i prawie deptał jej po rękach.

Kilka minut wcześniej kuter uruchomił silniki i podniósł kotwicę. Wypłynęli z zatłoczonej zatoczki i zaczęli okrążyć wyspę, która po drugiej stronie sprawiała wrażenie

niezamieszkaną: nie dość, że była wystawiona na kaprysy morskiej pogody, to jeszcze nie miała naturalnego portu, przez co była dla żeglarzy bezużyteczna.

Pod pokładem wściekły łoskot silników był ogłuszający, ale kiedy Zula zeszła z ostatniego szczebelka na dno ładowni, sternik zdławił przepustnicę, zostawiając silnikom tylko tyle mocy, żeby kuter nie stracił sterowności.

Yuxia miała nogi związane w kolanach i kostkach, a ręce skrępowane z tyłu, za oparciem krzesła.

Za Khalidem zszedł na dół jeszcze jeden marynarz, uginając się pod ciężarem pięciogalonowego kubła wypełnionego po brzegi morską wodą. Całkiem sporo porozlewał jej na wszystkie strony, idąc chybottliwym krokiem po dnie ładowni, ale kiedy postawił kubek przed Yuxią, woda sięgała zaledwie dwa cale poniżej jego górnej krawędzi.

- Przestańcie - powiedziała Zula. - To zupełnie...

- Niepotrzebne. Zgadza się, też im tak powiedziałem - odparł Jones. - Dla nas dwojga niepotrzebne, dla niej tym bardziej, ale dla wszystkich pozostałych... Niezwykle ważne.

Khalid stanął za plecami Yuxii i scena rozgrywająca się na oczach Zuli na moment upodobniła się do tych ziarnistych filmików z kamer internetowych, na których terroryści mordują bezbronnego zakładnika.

To jednak nie była taka scena. Niezupełnie.

- Twoja przyjaciółka! - obwieścił Khalid i skinął na mężczyzn, którzy obstąpili Yuxię.

Podeszli teraz do niej i z nieporadnością, która w innych okolicznościach mogłaby się wydać zabawna, zdołali po dłuższej chwili podnieść ją z krzesła, odwrócić do góry nogami i wsadzić jej głowę do kubła. Nadmiar wody wychlupnął na deski.

- Nie - powiedziała półgłosem Zula.

- Wyobraź sobie, że jesteś w teatrze - poradził jej Jones.

- Każ im przestać, proszę.

- Źle mnie zrozumiałaś. To ty jesteś aktorką w tym przedstawieniu. Oni chcą zobaczyć, jak wpadasz w bezrozumną histerię. Im dłużej będziesz zgrywała twardzielkę, tym dłużej ona będzie musiała obejść się bez tlenu.

Zula rzuciła się naprzód - i prawie dopięła swego. Prawie, bo Jones podstawił jej nogę i wyrznęła jak długa, z prawą ręką dosłownie o kilka cali od kubła. Zebrała siły do drugiego skoku, ale wtedy ciężko obuta stopa przygniotła jej dłoń. Wykręciła szyję, zadarła głowę i spojrzała w oczy Khalida, który wpatrywał się w nią z fascynacją, jak w ekstazie. Lewą ręką uderzyła go po kostce. Khalid nosił wojskowe buty z haczykami do szybkiego sznurowania.

Opatrunek na małym palcu Zuli zaczepił o jeden z tych haczyków, rozwinął się w spiralę bandaża i przy okazji zerwał jej do końca paznokiec. Khalid drugą nogą przydepnął jej lewe przedramię. Zula przekręciła się na bok. Leżała z unieruchomionymi rękami tuż obok kubła, w którym Yuxia walczyła o życie. Jej równo przycięte czarne włosy chłostały półprzezroczyste ściany kubła, gdy miotła się rozpaczliwie, usiłując go przewrócić. Powierzchnia wody wzburzyła się od pęcherzyków powietrza uchodzącego z jej coraz bardziej pustych płuc.

A Zula nie czuła ani śladu emocji, których od niej oczekiwano. Zula chciała ich po prostu pozabijać - i gdyby nie dobra rada Jonesa, mogłaby nie dać im wyczekiwanej satysfakcji i nie odegrać roli, która miała ocalić Yuxię. Jednakże dwa szczegóły - unoszące się na wodzie włosy Yuxii i krew tryskająca z czubka małego palca - popchnęły ją ku czemuś w rodzaju amatorskiej metody Stanisławskiego, w której uwolniła cały żal i złość nagromadzone przez ostatnie dni w burzliwym emocjonalnym. Straciła panowanie nad sobą i zdegenerowała się do postaci lamentującej, zawodzącej, opętanej wariatki, którą ci faceci najwyraźniej chcieli zobaczyć.

Zrozumiała teraz, co Jones próbował dać jej do zrozumienia. Chcieli mieć pewność, że ją złamali - bo tylko wtedy będą mogli jej zaufać.

Nasuwało się tylko pytanie: po co mieliby jej ufać? Bo gdyby chcieli ją po prostu zabić...

Co takiego mogła dla nich zrobić, że była warta tyle zachodu?

- Proszę, proszę... - Usłyszała swoje chlupanie. - Błagam, puście ją!

Khalid podniósł stopę z jej dłoni i kopniakiem przewrócił kubek, który zakolebał się, wychylił spod głowy Yuxii i w końcu przewrócił. Woda rozlała się po podłodze, przemaczając ubranie Zuli na wylot. Yuxia, która nadal wisiała głową w dół tuż poza jej zasięgiem, zakaszła, wypluła trochę wody, wzięła głęboki wdech i zwymiotowała.

Poczekali, aż skończy, odwrócili ją i posadzili na krześle. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyła, była Zula, leżąca przed nią na podłodze i krwawiąca obficie ze zmasakrowanego palca. Zula nie bardzo mogła się jej przyjrzeć, dopóki Jones nie pomógł jej wstać. Miała ochotę objąć Yuxię i serdecznie przeprosić za wszystko, co się wydarzyło - zwłaszcza że było to następstwo ich spotkania sprzed paru dni, kiedy to Yuxia postanowiła zaprzyjaźnić się ze spacerującymi po Xiamen turystami. Jeden z ulubionych aforyzmów wujka Richarda brzmiał: „Wszystkie dobre uczynki zostaną ukarane”.

Jones złapał Zulę od tyłu za ramiona i pociągnął w stronę drabinki.

- No, czas na nas - powiedział. - Im szybciej zaczniemy, tym prędzej będzie wolna.

Obrócił Zulę twarzą do drabinki i pchnął ją z takim impetem, że musiała zasłonić się obiema rękami, żeby nie wybić sobie zębów o szczeble.

Obejrzała się przez ramię. Chyba zrobiła zdezorientowaną minę, bo Jones się skrzywił.

- Scena, której byłaś świadkiem, miała ci uświadomić, że twoja przyjaciółka będzie tu przetrzymywana jako zakładniczka. Jeżeli podczas nadchodzących wydarzeń nie będziesz absolutnie grzeczna, przyczepi się jej do ciała coś ciężkiego i wyrzuci ją za burtę, gdzie umrze śmiercią, której przedsmak miała przed chwilą.

Zula przeniosła wzrok na siedzącą na krześle Yuxię, ciężko zdyszana i wpatrzoną w przestrzeń przed sobą. Trudno było sobie wyobrazić, że tortura bliska śmierci przez utopienie może spływać po człowieku jak woda po kaczce. Może Yuxia była po prostu oszołomiona; może doznała uszkodzenia mózgu; a może stłamsiła w sobie głęboką traumę emocjonalną, która później da o sobie znać w sposób gwałtowny i nieprzewidywalny.

W tej chwili jednak wyglądała tak, jakby na zimno kalkulowała, w jaki sposób zemścić się na tych skurczybykach.

- Moja dziewczyno? - zagadnęła ją Zula. - Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby cię już więcej nie krzywdzili.

- Wiem - mruknęła Yuxia.

Jones popchnął Zulę w górę drabinki. Wspięła się po niej ku światłu gwiazd.

Mniejszy kuter - podobny do tego, którym przyплыли z Xiamen, tylko bez krateru po uderzeniu taksówki - wypłynął im na spotkanie i przycumował do ich burty. Dano Zuli do zrozumienia, że powinna zejść na jego pokład. Zrobiła tak i znalazła sobie miejsce do siedzenia, w którym nikomu nie przeszkadzała.

Co najmniej pół godziny upłynęło na dyskusjach i przygotowaniach. Wyglądało na to, że z kajut, ładowni i schowków na większym kutrze zabrano masę sprzętu, który następnie trzeba było przejrzeć, posortować, sprawdzić i przepakować. Wychowana wśród broni palnej Zula poznawała - po odgłosach, ciężarze, nawet po sylwetkach noszących paczki mężczyzn - że część pakunków zawiera broń. Bardzo ją interesowało, co mówią między sobą, i prawie, prawie rozumiała ich arabszczyznę - ale to „prawie” doprowadzało ją do szału. Na pewno rozpoznała słowa „samolot” i „lotnisko”, które zachwyciły drzemiącą w niej małą dziewczynkę (*Super! Lecimy na wycieczkę!*), podczas gdy bardziej rozwinięty fragment jej mózgu odhaczał na liście różne złe rzeczy, które mogą wynikać z kontaktu człowieka pokroju Jonesa z samolotem odrzutowym.

Była w zasadzie pewna, że usłyszała także słowo oznaczające „Rosjanina”, ale w

ogóle niewiele rozumiała, ponieważ wszystkie rozmowy prowadzone były *sotto voce*, a kiedy komuś zdarzyło się podnieść głos, inni pośpiesznie go uciszali.

Trwał jakiś proces selekcji. Zwróciła uwagę, że niektórzy z ludzi Jonesa mają bardziej bliskowschodnie rysy i przedkładają arabski nad język, którym porozumiewali się ci bardziej podobni do Chińczyków. Ci pierwsi przesiadali się na mniejszy statek, a ci drudzy zostawali na dużym kutrze.

Do złudzenia przypominało to pakowanie samochodu na rodzinną wycieczkę: dobrotliwe zamieszanie ustąpiło miejsca najpierw zniecierpliwieniu, później kategorycznym żądaniom, a na koniec nierozważnym i pochopnym decyzjom. W końcu cumy zostały oddane i mniejszy kuter zaczął się oddalać.

Jones oddelegował Khalida do pomiatania szyprem i nadzorowania rejsu, a sam przysiadł się do Zuli.

- Już wcześniej szukałem jakiegoś sposobu, żeby ci powiedzieć, że znalazłaś się wśród ludzi z przyjemnością kamienujących młode kobiety, kiedy te zachowują się niewłaściwie - zagał. Skinieniem głowy wskazał ludzi Khalida, którzy rozpakowywali, przeglądali i znów pakowali przyniesiony na pokład sprzęt. - Ale tego pewnie zdążyłaś się już sama domyślić. - Odwrócił się do niej z promiennym uśmiechem. - Za to później przypomniałem sobie coś na temat Khalida. Wiesz, który to?

- Ten, który właśnie patrzy na mnie spode łba?

Jones obejrzał przez ramię.

- Tak. - Znów zwrócił się do Zuli. - Kiedy walczył z krzyżowcami w Afganistanie...

- Masz na myśli rycerzy z czerwonymi krzyżami na tarczach?

- W tym wypadku chodziło mi o Amerykanów. Otóż zdarzyło się, że Khalid i jego ludzie zostali wygnani z rejonu, w którym od kilku lat rządili. Amerykanie zajęli go i zaczęli w nim wprowadzać swoje obyczaje. Wszystko się zmieniło. Otwarto szkołę dla dziewcząt.

- Niech zgadnę... Nie spodobało się to Khalidowi?

- Ani trochę. Nic jednak nie mógł zrobić: siedział wśród wzgórz, patrzył i czekał. Oczywiście, od czasu do czasu albo on sam, albo ktoś z jego ludzi zaglądał do miasteczka na przespiesi. Przebierali się wtedy... To ci się spodoba: przebierali się w burki i udawali kobiety. Khalid miał wiele zmartwień na głowie, nie tylko tę szkołę dla dziewcząt, ale nie zapominał o niej i urządzał czasem małe wypadki. Dwóch ludzi na skuterze, jeden prowadzi, drugi trzyma miękką butelkę z kwasem. Czekają, aż zobaczą idące do szkoły uczennice, przejeżdżają obok nich, ten z butelką celuje w twarz i psik, psik... - Jones wykonał stosowny gest, udając, że pryska Zuli w twarz. Z trudem powstrzymała dreszcz. - Niektóre udało im się

w ten sposób przepłoszyć, a użycie gazu trującego prawie doprowadziło do zamknięcia szkoły, ale nauczycielka była twarda. Niezlomna. Nieugięta. Tobie jeszcze do niej daleko, Zula. Szkoła, intensywnie wspierana przez Amerykanów, funkcjonowała więc mimo wysiłków Khalida. W końcu jednak Amerykanie uznali, jak to mają w zwyczaju, że wystarczająco spacyfikowali okolicę i mają dość oglądania, jak ich młodzież ginie od kul snajperów i bomb domowej roboty. Ogłosili zakończenie misji i wycofali się z miasteczka. Wiesz, co wtedy zrobił Khalid?

- Sądząc z tego, jak mi o tym opowiadasz, domyślam się, że doprowadził do zamknięcia szkoły, a nauczycielkę ukamienował albo coś w tym rodzaju.

- Szczególnie interesujące jest to, co jej zrobił przed ukamienowaniem.

- Mianowicie?

- Zgwałcił ją.

- Rozumiem. Ale po co właściwie mi to opowiadasz? Żeby pokazać, że wcale nie jest takim dobrym muzułmaninem, za jakiego chce uchodzić?

- Wprost przeciwnie. On to zrobił z jak najbardziej muzułmańskich pobudek. Przynajmniej z jego punktu widzenia, bo ja akurat mam w tym wypadku drobną wątpliwość natury teologicznej.

- Chcesz powiedzieć, że jego zachowanie ma jakieś teologiczne wytłumaczenie?

- Może raczej teologiczny motyw. Bo widzisz, poprzez gwałt zrobił z tej nauczycielki cudzołożnicę. A wiesz, co się dzieje z cudzołożnicą, kiedy zostanie ukamienowana?

- Idzie do piekła? - Zula starała się zgrywać twardą, ale głos jej się załamał.

- Otóż to. Dlatego Khalid w swoim mniemaniu nie tylko zabił tę nauczycielkę, ale także zrobił to w taki sposób, że skazał ją na...

- Wiem, co to jest piekło.

- Próbuję ci tylko uświadomić niebezpieczeństwo obcowania z takimi ludźmi jak Khalid.

- Domyśliłam się.

- Może i się domyśliłaś, ale dzięki mnie posuniesz się o krok dalej i, zamiast po prostu o tym myśleć, zaczniesz to także odczuwać, i to w stopniu, który wpłynie na twoje zachowanie.

- Tylko wpłynie? Czy będzie nim sterować?

- To rozróżnienie istotne tylko z punktu widzenia westmana. Ale mniejsza z tym. Dostali od ciebie to, czego chcieli: bezrozumną histerię. Ładnie to zagrałaś. Przez swoją oczywistą fałszywość było to nawet na swój sposób wzruszające.

- Dziękuję.

- Ja jednak, jako przybysz z Zachodu, potrzebuję czegoś bardziej intelektualnego.

- Mianowicie?

- *Islam*. Uległości.

- Mam ci być posłuszną.

- Twoje poranne cwaniactwo w piwnicy... Kiedy wysłałaś Sokołowa pod niewłaściwy adres? Sporo mnie to kosztowało.

- Jak ci się wydaje, jak ja się teraz czuję?

- Nie aż tak źle, jak na to zasługujesz.

Znała takich mężczyzn. Czaili się na zewnętrznych gałęziach drzewa genealogicznego, a na ro-zjazdy przybywali tylko po to, żeby psuć dzieciakom samopoczucie. Na szczęście, wujek John i wujek Richard nad nią czuwali, gotowi ich przepędzić.

Tylko że teraz, rzecz jasna, nie było ich przy niej.

Miała tego dość.

- Poddaję się.

- Koniec z brawurą?

- Koniec z brawurą.

- I z cwaniakowaniem?

- I z cwaniakowaniem.

- Absolutne i bezwzględne posłuszeństwo?

To było trudniejsze, ale nie aż tak trudne, gdy przypomniała sobie Yuxię i kubek pełen wody.

- Absolutne. I bezwzględne. Posłuszeństwo.

- Słuszny wybór.

* * *

Kiedy odwrócili ją do góry nogami, Yuxia najbardziej bała się nie tego, że zaraz wsadzą jej głowę do wiadra - ponieważ wyczuwała instynktownie, że to tylko pokazówka - ale tego, że telefon wypadnie jej z buta.

Ciekawa była, czy widzieli kiedyś jakiś film. Bo w filmach więźniów zawsze się przeszukuje, żeby sprawdzić, co mają przy sobie - tymczasem jej oszczędzono takiego traktowania. Może dlatego, że jako muzułmanie nie mogli dotykać kobiet. A może dlatego, że jako kobieta wydała im się niegroźna. Albo dlatego, że miała obcisłe dzinsy i równie obcisłą koszulkę bez rękawów, więc było oczywiste, że nic przy sobie nie ma. Tak czy inaczej, nie zrewidowali jej. Zabrali ją do dużej kabiny na pokładzie i tam przykuli do nogi od stołu. W

kabinie panował spory ruch - pełniła rolę kambuza i mesy dla całej załogi: jedli posiłki i pili herbatę przy tym samym stole, do którego przykuli Yuxię. Ani przez chwilę nie była sama, wołała więc nie wyjmować telefonu z buta. Od czasu do czasu buczenie przy nodze informowało ją, że dostała - a właściwie: Marlon dostał - nową wiadomość. Gdyby w kabinie było trochę spokojniej, martwiłaby się, że ktoś usłyszy buczenie aparatu, ale wśród pomruku silników, chlupotu i szumu fal rozbijających się o kadłub, szczęku i syku naczyń kuchennych oraz trzasków i głosów dobiegających z pokładowego radia nie musiała się niczego obawiać. Zulę wyprowadzono, zapewne po to, żeby ulokować ją w innej kabinie, i Yuxia zaczęła się zastanawiać, co by zrobiła z telefonem, gdyby miała chwilę samotności. W zasadzie miała dwie możliwości: nawiązać kontakt z Marlonem albo zadzwonić na policję i o wszystkim opowiedzieć.

Kiedy przyszli ją zwięzać i jeden z nich uklęknął przed nią, z trudem powstrzymała okrzyk zgrozy - przestraszyła się, że wie o telefonie w kaloszu i zaraz go jej zabierze. Skrzyżowała nogi w kostkach, próbując jakoś ukryć aparat, ale mężczyzny nie interesowała zawartość jej butów. Przeciągnął sznur z tyłu jej kostek i zawiązał go z przodu na kaloszach, powyżej telefonu, przez co uwięził go w bucie. Tak skutecznie, że nawet odwrócenie Yuxii do góry nogami nie spowodowało jego wypadnięcia.

Po strasznym spektaklu z kubłem wody zawlekli ją z powrotem na górę, do kambuza, gdzie jeden z członków załogi (odpowiedzialny za większość gotowania) postawił przed nią kubek z herbatą. Cała się trzęsła, kaszłała, miała mdłości i czuła ból w piersi, ale nic poważnego jej się nie stało, wzięła więc kubek ze stołu i, ściskając go mocno obiema roztrzęsionymi rękami, upiła ostrożny łyk. Prawdę mówiąc, herbata była całkiem przyzwoita - nie tak dobra jak *gaoshan cha*, ale niepozbawiona zdrowotnych właściwości. Każdy lekarz przepisałby ją pacjentce, która przed chwilą musiała oddychać wodą morską, w dodatku wisząc głową w dół.

Do tej pory do działania popychała ją głównie troska o los Zuli - o którą z resztą nadal szczerze się martwiła, ale to uczucie zostało chwilowo wyparte przez inne, znacznie silniejsze, a mianowicie życzenie śmierci wszystkim obecnym na pokładzie mężczyznom. Właściwie nawet nie tyle życzenie, co absolutna, niepodlegająca negocjacom żądza zabicia ich.

Ręce trzęsły jej się nie ze strachu, lecz z wściekłości.

Po jakimś czasie przenieśli ją do jakiejś kabiny, prawdopodobnie tej samej, w której wcześniej trzymali Zulę. Pytanie brzmiało więc: co zrobili z Zulą?

Z jakiegoś powodu postanowili zabrać ją do Xiamen. Celem ćwiczenia z kubłem było

zmuszenie Zuli do tego, żeby coś dla nich zrobiła.

Do tego stopnia pogrążyła się w tych rozmyślaniach, że nie od razu zwróciła uwagę na buczący w bucie telefon. Nie zahuczał tylko raz, jak przy nadejściu esemesa, ale odzywał się raz po raz, w równym rytmie.

W panice wyciągnęła go z kalosza, przerażona, że przełączy się na pocztę głosową, zanim zdąży go odebrać. Na ekranie wyświetlał się jej numer: Marlon dzwonił do niej z jej telefonu.

- *Wei?* - szepnęła. W tle było słychać rytmiczne poskrzypywanie. - Co to za odgłos?

- Csongor wiosłuje - odparł Marlon.

* * *

Podczas długiego rejsu na Bezduszną Wyspę Marlon i Csongor przekonali się na własnej skórze o czymś, co każdy wodniak wie z doświadczenia, a każdy inżynier z teorii fal: im dłuższy statek, tym szybciej płynie. Na początku dali kutrowi fory, żeby nie rzucało się w oczy, że go śledzą, a potem, wkrótce po wypłynięciu, stwierdzili, że zwierzyna im ucieka - mimo że rozkręcili silnik na cały regulator i mieli wrażenie, że kruchy z wyglądu kadłub łódeczki lada chwila roztrzaska się o fale. Tymczasem ścigany kuter niby wcale się nie śpieszył, a jednak systematycznie powiększał przewagę.

Udało im się trochę do niego zbliżyć, gdy podczas lawirowania wśród mniejszych wysepek mogli ścinać płycizny, które kuter musiał opływać szerokim łukiem. Zanim jednak zobaczyli wyspę, najprawdopodobniej będącą celem ich podróży, statek terrorystów zmniejszył się do rozmiarów ledwie widocznej kropki i Csongor musiał wspiąć się na wyżyny koncentracji, żeby nie zgubić go w tłumie innych łodzi.

Oczywiście, zbliżając się do celu, kuter zwolnił i Marlon z Csongorem wreszcie zdołali trochę nadgonić. Śledzenie go stało się nieco prostsze, a jeszcze bardziej ułatwił im życie, gdy zdecydował się nie pchać w najbardziej zatłoczone rejony portu i przybił do burty trzymającej się na uboczu innej, większej łodzi.

Csongor wcale nie miał pewności, że podczas nerwowego pościgu nie zgubił zwierzyny, toteż z narastającą ulgą rozpoznawał potrzaskane deski pokładu, połamane palety oraz inne znaki szczególne, które utkwily mu w pamięci w pierwszych minutach pogoni.

Wtedy właśnie skończyło im się paliwo i musieli wyciągnąć wiosła.

Pozostały czas w ciągu dnia zajmowały im sprawy niezwykle ważne, lecz zarazem nieprzytomnie banalne - takie jak zdobycie wody i pożywienia. Bez Csongora byłoby Marlonowi nieco łatwiej, lecz bynajmniej nie łatwo. Łatwiej, ponieważ nie musiałby się tłumaczyć, dlaczego trzyma w łódce ogromnego białego człowieka, ale wcale nie łatwo,

ponieważ żeglarska społeczność małej wysepki natychmiast by się zorientowała, że Marlon nie ma nic wspólnego z wilkiem morskim. Gdyby zjawił się w lśniącej białej motorówce z włókna szklanego, wzięliby go pewnie za nuworysza z nową zabawką i nikt by się nie przejął oczywistym w takiej sytuacji brakiem morskiego obycia. Tymczasem on przyplłynął starą i - mówiąc delikatnie - solidnie ujeżdżoną łajbą, która w ogóle nie powinna wypuszczać się tak daleko z Xiamen. Najłatwiejszym wytłumaczeniem tych niezwykłych faktów było domniemanie, że ukradł łódź uczciwemu xiamińskiemu rybakowi i zbiegł przed karzącą ręką sprawiedliwości.

Ze względu na oczywistość przytoczonych faktów nierozsądne byłoby wpłynięcie w największy ścisk w porcie. Dlatego - mimo że dokuczało im pragnienie i ogólne wyczerpanie - zmieniając się przy wiosłach, zaczęli opływać wyspę, szukając jakiejś mniej rzucającej się w oczy przystani. Wyminęli po drodze kuter, do którego przycumowała łajba terrorystów, zachowując bezpieczny kilkusetmetrowy dystans i starając się na niego nie gapić - co przyszło im tym łatwiej, że i tak niewiele mogli zobaczyć: w oknach mostku było widać dwóch ludzi, dwóch kolejnych wylegiwało się za nadbudówką. Nic nie sugerowało, że na pokładzie znajduje się ktoś inny niż zwyczajni chińscy rybacy.

Podczas odbywającego się w żółtym tempie okrążania wyspy stawało się coraz bardziej oczywiste, że z kształtu przypomina ona kość dla psa: na dwóch krańcach piętrzyły się wzgórza, a w zagłębieniu terenu pomiędzy nimi rozpościerało się miasteczko. Rozciągała się w przybliżeniu na linii północ-południe. Oba kutry terrorystów stały przy południowym skraju portu, gdzie tratwy z powiązanych łodzi rybackich rozplływały się w kratownicy pływających hodowli ryb. Dalej na południe miasteczko raptownie przestawało istnieć, ustępując miejsca niegościnnemu terenowi, na którym wiekowe, zwietrzałe brunatne skały osadowe wychylały się z wody i podlegały kolonizacji oliwkowoszarych sukulentów (w dolnych partiach) oraz skołtunionego kobierca ciemnozielonej roślinności tropikalnej (powyżej). Csongor głośno skomentował fakt, który wydał mu się niezwykle: w Chinach niektóre miejsca były niepospolicie gęsto zaludnione, inne niezamieszkane, a między tymi dwiema skrajnościami nie było żadnych stanów pośrednich. Marlon nie widział w tym nic niezwykłego: jeżeli ludzie postanowili gdzieś zamieszkać, starali się maksymalnie wykorzystać potencjał wybranego przez siebie miejsca, a jeżeli gdzieś ostała się dzicz, trzeba by być niespełna rozumu, żeby się tam przeprowadzić.

Csongor przypuszczał jednak, że przyczyną bezludności tego kawałka wyspy jest jego niewłaściwe nachylenie - dostatecznie małe, żeby skaliste płycizny (śmiertelna pułapka dla statków) ciągnęły się daleko od linii przyplwy, a zarazem wystarczająco duże, żeby

utrudniać budowę domów. Dlatego, mimo że poruszali się z prędkością ślimaka, w ciągu zaledwie pięciu minut przemieścili się z miejsca, gdzie mogły ich śledzić tysiące oczu, do miejsca, w którym stali się w zasadzie niewidocznymi. Skalne dno, którego składowe erodowały w różnym tempie, wyciągało ku morzu długie kościste palce porozdzielane głębokimi, osłoniętymi przed wiatrem rozpadlinami. Nad głowami wioślarzy wznosiło się zaś wzgórze, na którym jedynym dziełem ludzkiej ręki był ulokowany na samym szczycie maszt radiowy.

Po kolejnej półgodzinie stało się oczywiste, że opłynęli wyspę od południa i mają przed sobą jej wschodni brzeg. Między skrajnymi wzgórzami rozciągała się - jak żagiel między dwiema rejami - długa, całkowicie pusta plaża. W paru miejscach sterczały z niej zerodowane skałki, ale poza tym była idealnie gładkim pasem piasku naniesionego przez przybrzeżny prąd, który potknął się na okrążonym przed chwilą cyplu. Wznosiła się nad nią wydma, utrzymywana w kupie mnóstwem zielonych roślinek z żółtymi kwiatkami i zaśmiecona odpadkami, które musiały spaść na nią z góry, ponieważ pogmatwaną linię horyzontu ponad nią tworzyły przytulone do stromizny domki jedyne miasteczka na wyspie. Opłynęli pół wyspy i mieli przed sobą plecy miejsciny kulającej się przed kaprysmi aury Morza Południowocchińskiego.

Wyciągnęli łódź na piasek upstrzony śmieciem bardziej morskiej proveniencji i porzucili wśród na wpół rozpuszczonych głazów, gdzie nieco mniej rzucała się w oczy. Csongor usiadł pod parasolem w cieniu pobliskiej skały i czekał, licząc na to, że Marlon szybko wróci, a jego nikt nie zdąży zapytać, co tu robi. Marlon udał się tymczasem do miasteczka, zabrawszy odrobinę pieniędzy z zapasów Iwanowa. Wrócił po półgodzinie z dwiema zgrzewkami wody do picia i styropianowymi kubkami z zalanym wrzątkiem makaronem, który zdążył już wprawdzie ostygnąć, ale i tak sprawił Csongorowi ogromną przyjemność. Marlon, zjadłszy swoją porcję wcześniej, usiadł do wiosł i kiedy Csongor napełniał sobie żołądek, pchnął łódkę z powrotem na południe. Podczas pierwszego objazdu wokół południowego krańca wyspy wypatrzyli kilka głębokich szczelin skalnych - szerokich na dwa metry wodnych korytarzy, z których fale wygryzły miększy kamień. Dochodził wieczór i w szczelinach zalegał głęboki cień. Wpłynęli do jednej z nich i dali się nieść fali do miejsca, w którym kil łości przeszorował po żwirze i naniesionych wodą rupieciach dążących do wypełnienia cieśniny. Było tam chłodno, czuli się niewidzialni i bezpieczni - do tego stopnia, że ogarnęła ich nieprzeparta senność. Czuwali jednak na zmianę, aż ich żołądki poradziły sobie z jedzeniem i uczucie rozleniwienia minęło. Wtedy Marlon wygramolił się z cieśniny na górę i gdzieś zniknął.

Obudził Csongora potrząśnięciem za ramię. Niebo pociemniało. Zapadał zmierzch.

- Kuter płynie - oznajmił Marlon.

Csongor potrzebował chwili, żeby oswoić się ze świadomością, że naprawdę jest tu, gdzie jest. To nie był zwykły senny koszmar.

- Wraca do Xiamen?

- Nie. Płynie w naszą stronę!

Była pora odpływu, musieli więc wysiąść z łódki, przepchnąć ją kilka metrów i na nowo zwodować. W wąskiej szczelinie skalnej nie mogli użyć wiosł, nie pozostało im więc nic innego, jak odpychać się rękami od ścian i w ten sposób walczyć z falami - do miejsca, w którym wreszcie mogli wyciągnąć wiosła. Wtedy też Csongor zobaczył kuter. Drugiego stateczku - z kraterem taksówkowym na pokładzie - nie było nigdzie widać, a ten kuter przechodził dokładnie przed nimi, w odległości zaledwie kilkuset metrów. Zmierzał na ciemną, niezamieszkaną stronę wyspy.

Oczywiście nie mogli go śledzić, nie mając benzyny. Csongor spodziewał się, że kuter za chwilę zrobi zwrot na otwarte morze i wkrótce zniknie im z oczu, ale w tejże chwili przestawione na jałowy bieg silniki przygasły do cichego pomruku, a stateczek znieruchomiał na wprost plaży. Stał tak przez jakiś czas, co pozwoliło Csongorowi i Marlonowi przewiosłować połowę dzielącej ich od niego odległości, gdy wtem śmiertelnie przestraszył ich mniejszy stateczek, z grubsza podobny do tego, który przyjął na siebie ciosy taksówki i mikrobusu: z warkotem silnika opłynął wyspę od północy, skierował się prosto na kuter i ostatecznie przycumował do jego burty. Marlon i Csongor wycofali się w cień skał. Zrobiło się przez ten czas na tyle ciemno, że wystarczyło zachować rozsądny dystans, żeby nie musieli się obawiać wytopienia.

Minęła godzina. Ściszone głosy i stłumiony łomot sugerowały, że odbywa się transfer ludzi i ładunku z kutra na mniejszą łódź, która w końcu odpaliła silniki, ruszyła na południe i szybko zniknęła za cyplem. To sugerowało, że prawdopodobnie wraca do Xiamen.

Po jakimś czasie kuter również skierował się na południe, posuwał się jednak niezwykle wolno - może po prostu oszczędzał paliwo. Marlon z Csongorem zdążyli przez ten czas oddalić się od wyspy i ustawić dokładnie na jego kursie.

* * *

Łódź wioząca Zulę, Jonesa i jego ludzi wróciła tą samą drogą w cieśninę między Xiamen i Gulangyu. Minąwszy północną granicę ciągu przystani promowych, szyper zwolnił i skierował się do brzegu, celując w ciemną plamę na nabrzeżu, która widziana z bliska w świetle padającym z centrum miasta składała się z kilku lichych pomostów. Przeszkłone poczekalnie i małe knajpki nie budziły zaufania, a cumująca tu zbieranina małych łódek nie

poprawiała wizerunku pomostów, które jednak okazały się wystarczająco solidne, żeby dało się po nich jeździć samochodami: na jednym z nich stała taksówka, o którą opierała się ciemna ludzka sylwetka zawieszona pomiędzy niebieskawym ekranem telefonu i podrygującym ognikiem papierosa.

Poza szyprem, Zulą i Jonesem, na pokładzie było jeszcze sześciu ludzi. Dwaj z nich wspięli się na pomost i przycumowali łódź, po czym podeszli do taksówki i przywitali się z kierowcą.

Zula też zeszła na ląd, idąc - zgodnie z instrukcją - krok za Jonesem. Zaprowadził ją do taksówki i razem wsiedli na tylną kanapę, gdzie przyciemnione okna zapewniały im niewidzialność. Jeden z ludzi Jonesa z entuzjazmem wpakował się do bagażnika. Dwóch kolejnych wcisnęło się na tył obok Zuli i Jonesa, jeden usiadł z przodu obok kierowcy. Dwóch zostało na łodzi.

Pojechali do wieżowca, w którym ludzie Iwanowa mieli swoją kryjówkę. Pasażerowie zasypywali Zulę pytaniami. Jones najpierw tłumaczył je na angielski, a potem jej odpowiedzi na arabski. Były to proste pytania o wyjścia pożarowe, posterunki strażników, podziemny garaż i tym podobne. Przesłuchanie trwało dłużej, niż mogłaby trwać sama jazda, toteż kierowca był zmuszony kilka razy objechać kwartał, nim podwładni Jonesa zaspokoili swoją ciekawość.

W końcu zajechał pod to samo osłonięte wejście, przed którym dawno, dawno temu Zula, Peter, Csongor i Rosjanie wsiedli do wynajętego mikrobusu i zaczęli się przekomarzać z Qian Yuxią. Mężczyzna siedzący z przodu wysiadł i wszedł do recepcji budynku, gdzie wdał się w rozmowę z ochroniarzem usadowionym za olbrzymim, wykładanym marmurem biurkiem.

Minęło kilka minut, zanim odwrócił się bokiem do strażnika i, mając go na oku, skinął ręką w stronę taksówki. Przed samochodem znajdował się wjazd do podziemnego garażu - pochylnia zakończona metalowymi wrotami, które w tej chwili z jękiem drgnęły i się otworzyły. Taksówka wjechała do garażu i zajechała pod windy, gdzie się zatrzymała. Dwaj ludzie siedzący z tyłu wyskoczyli i oswobodzili pasażera jadącego w bagażniku. Przez ten czas drzwi jednej z wind otworzyły się i stanął w nich pierwszy pasażer w towarzystwie strażnika. Strażnik trzymał ręce za plecami. Miał pistolet przystawiony do głowy. Pozostali trzej wtoczyli się do windy i drzwi się za nimi zamknęły.

Taksówka wyjechała z garażu na nadmorski bulwar i w parę minut wrócili na przystań, gdzie dosiedli się do nich Khalid i jeszcze jeden dżihadysta. Jones kazał kierowcy jechać do *Hyatta* przy lotnisku, a kiedy włączyli się do ruchu, wyjął telefon, spojrział na Zulę i

powiedział:

- To jest ten moment, w którym wykazesz się fantastyczną wolą współpracy.

* * *

- O co ją pytasz? - zainteresował się Csongor.

Marlon na chwilę odsunął telefon.

- Z której strony statku się znajduje - wyjaśnił. Znow przyłożył aparat do ucha. - Z tamtej. - Machnął w kierunku otwartego morza.

Csongor obejrzał się na stojący sto metrów od nich kuter. Gdyby teraz przestał wiosłować, a kuter utrzymałby dotychczasowy kurs, przeszedłby im tuż przed dziobem, mając ich na sterburcie, czyli - w tym wypadku - od strony wyspy. A Marlon twierdził, że Yuxia jest zamknięta w kabinie na bakburcie.

Powiedzenie, że usiłują przechwycić kuter, sugerowałoby, że mają jakiś plan. To zaś z kolei sugerowałoby, że porozumieli się wcześniej w kwestii tego, co powinni zrobić. Żadne z tych dwóch stwierdzeń nie było prawdziwe. Do tej pory, korzystając z osłony ciemności oraz z faktu, że przy braku paliwa ich łódź nie była w stanie hałasować, ograniczali się do kręcenia się po okolicy i podglądania terrorystów. Niewiele brakowało, żeby źle się to dla nich skończyło, kiedy mniejszy i szybszy kuterek, który wypłynął na spotkanie łodzi rybackiej, z rykiem silników ruszył prosto na nich. Od tamtej pory Csongor wiosłował ze wszystkich sił - a po tym, jak nawodnił organizm kilkoma butelkami wody i napełnił sobie brzuch makaronem, sił tych miał całkiem sporo i mała łódeczka ślizgała się po wodzie jak nartnik. Po co jednak to robił? Jaki był plan? Tego nie wiedział.

- Co chcemy... - zaczął.

Marlon uciszył go gestem, rozłączył się i odparł:

- Kazałem jej *gao de tamen ji quan bu ning*.

- A co to znaczy?

Marlon wyszczerzył zęby w uśmiechu, a Csongor znieruchomiał, czekając na tłumaczenie.

- Nie dać spokoju nawet ich psom i kurom.

- Czyli?

- Rozpętać piekło. Mniej więcej.

- No dobra. Co dalej? - Csongor przestał wiosłować i spojrzał pytająco na Marlona.

- Koła - odparł Chińczyk, ruchem głowy wskazując kuter.

Csongor obejrzał się. Marlon użył niewłaściwego angielskiego słowa, ale było oczywiste, co ma na myśli. Csongor miał wrażenie, że wszystkie zużyte opony z całego

uprzemysłowionego świata trafiają na chińskie wybrzeże, którego mieszkańcy używają ich w tym samym charakterze, co ich żyjący w głębi łądu kuzyni bambusa - jako Substancji Uniwersalnej, z której można stworzyć wszelkie inne przedmioty materialne. Czasem powtórne ich użycie wymagało intensywnego przetworzenia, ale kiedy indziej nawet w nowej funkcji wciąż wyglądały zwyczajnie, jak opony. W tym wszechświecie każda łódź... nie, każdy obiekt pływający był ze wszystkich stron chroniony oponami, zwieszającymi się na linach z nadburcia w równych rzędach jak tarcze na statkach wikingów. Kuter, który mieli przed sobą, nie był wyjątkiem: opony zwisały tuż nad powierzchnią wody. Łatwo byłoby wyciągnąć rękę, chwycić taką oponę i wspiąć się po niej na pokład.

Koła.

- To nie gra komputerowa - powiedział Csongor. - To się dzieje naprawdę.

- Więc zacznij się zachowywać jak naprawdę, dupku.

Nie było to ani uprzejme, ani poprawne językowo, ale Csongor zrozumiał ogólną ideę.

- Chcesz przejąć kuter - powiedział. Chciał mieć pewność, że rozumieją się z Marlonem.

- Masz inny pomysł, jak wydostać się z Chin?

- I gdzie popłyniemy?

- Gdziekolwiek!

- A jak zamierzasz...

- Słyszałeś?! Zaczęła.

Csongor znów obejrzał się na kuter, który przez ten czas niepokojąco się przybliżył. Usłyszał łomot, huk, krzyk i gniewne męskie głosy. Szczęknęła metalowa zapadka, otworzyły się jakieś drzwi i kakofonia, do tej pory mocno przytłumiona, rozlała się po wodach morza: kobieta (w której Csongor z trudem rozpoznał po głosie Yuxię) krzyczała coś i przeklinała, a wszystkiemu towarzyszył odgłos tłuczonego szkła. Mężczyźni próbowali ją uciszyć.

- Pamiętasz? - spytał Marlon.

Csongor spojrzał na niego. Marlon był teraz odrobinę lepiej widoczny, ponieważ padało na niego rozproszone światło z okien kutra. Trzymał w ręce jeden z przedmiotów, w których wcześniej rozpoznali granaty hukowe.

- Weź oba - powiedział Csongor.

Wyjął z kieszeni drugi granat i podał go Marlonowi. Przerzucił sobie torbę przez ramię, żeby nie zgubić jej podczas nadchodzących wydarzeń, i wyjął pistolet, w którym Jones wcześniej rozpoznał makarowa. Odciągnął zamek - tylko trochę, żeby się upewnić, że nabój tkwi w komorze - po czym, pomny swojego wcześniejszego błędu, najpierw napiął kurek, a

dopiero potem przełączył bezpiecznik.

Wsunął broń za pas, chwycił za wiosła i zaczął wiosłować jak szalony. Właśnie dostrzegł swoją szansę - znikomą, ale jednak - na wydostanie się z Chin.

* * *

Sokołow obudził się w całkowicie cichym biurze, ale w pamięci krótkoterminowej utkwił mu dźwięk otwierających się drzwi windy. Siłą woli powstrzymał się od ponownego zaśnięcia i wkrótce usłyszał ściszone głosy.

Po omacku sprawdził, czy pistolet i latarka są tam, gdzie je odłożył - tuż obok jego głowy. Podciągnął do piersi najpierw jedną nogę zgiętą w kolanie, potem drugą, żeby zawiązać buty. Kimkolwiek byli niespodziewani goście, poruszali się ostrożnie i dużo dyskutowali. Nie była to wizyta w stylu: „Wyważamy drzwi i ładujemy się środka”.

Na pewno zatrzymają ich szklane drzwi, których skrzydła Sokołow spiął linką z kłódką. Spróbują znaleźć inną drogę, potem zastanowią się, czy nie stłuc szkła - hałas byłby potworny, ale przecież był środek nocy i biurowiec świecił pustkami.

Nie wiedząc, ilu ich jest i czego chcą, Sokołow postanowił się wycofać i przycisnąć. Wstał, oparł stopę na zawiązanej wcześniej pętli z kabla, przeniósł na nią ciężar ciała i wyprostował stopę. W ten sposób wydzwignął głowę i ramiona w głąb otworu w suficie.

Odłożył pistolet, magazynek i latarkę na sąsiednią płytkę, wyciągnął ręce i złapał się stalowego wspornika. Dalej poszło już łatwo: podciągnął kolana, zawisł do góry nogami i przeplótł podudzia przez trójkątne otwory w kratownicy wspornika. Mógł teraz wisieć głową w dół, mając wolne ręce. Wciągnął na górę zwój kabla i też zwinął go na sąsiedniej płytce.

Od strony wejścia dobiegło kilka badawczych łomotów, a potem przejmujący trzask i długie antycrescendo wysokich brzęknięć, kiedy odłamki szkła rozsypały się po podłodze korytarza. Sokołow nasłuchiwał przez chwilę, próbując policzyć intruzów i zorientować się, jak się poruszają, a potem wziął do rąk odsuniętą na bok płytkę, żeby zamknąć nią otwór w suficie.

W ostatniej chwili zauważył, że na stole zostawił telefon i kartkę papieru. Miał je w tylnej kieszeni spodni. Zwykle nosił spodnie z kieszeniami zapinanymi na suwak i pamiętał o ich zapięciu, dzięki czemu nie musiał się martwić, że coś mu z nich wypadnie, gdy przyjmie pozycję inną od pionowej i wyprostowanej. To pozwalało mu korzystać z bogatego arsenału mozolnie wyćwiczonych padów i przewrotów.

W garniturze Jeremy'ego Jeonga wytrenowane odruchy stały się złymi nawykami.

Nic nie mógł już na to poradzić, bo intruzi właśnie wchodzili do biura. Ostrożnie zamknął dziurę za sobą. Włożył latarkę - na razie wyłączoną - między zęby. Wziął do ręki

makarowa i powolnym, starannym ruchem przeładował, starając się wyciszyć szcęk zamka. Miał kłopot z zapasowym magazynkiem, ponieważ, wisząc głową w dół, wciąż nie mógł zaufać swoim kieszeniom - zostawił go więc w spokoju i tylko poćwiczył wymacywanie go w ciemności, żeby trafić na niego dłonią za pierwszym razem.

Przez następny kwadrans mógł już tylko słuchać, a i to z trudem, ponieważ od źródła podsłuchiwanego dźwięków oddzielał go podwieszany sufit, który celowo zaprojektowano w taki sposób, żeby tłumił dźwięki. Intruzi zaś starali się (przynajmniej na początku) zachowywać dyskretnie; nie wiedzieli, kogo zastaną w biurze ani jakiego przyjęcia powinni się spodziewać, dlatego zaczęli od zabezpieczenia terenu - zabezpieczenia w sensie wojskowym, czyli obejścia wszystkich pomieszczeń i sprawdzenia, czy przeciwnik gdzieś się nie czai. Sądząc z odgłosów, które do niego dochodziły, ci faceci znali się na rzeczy - zamiast chodzić jak idioci w kupie i wtykać głowy do kolejnych pomieszczeń, ubezpieczali się nawzajem, posuwali skokami od drzwi do drzwi i porozumiewali monosylabami oraz - najprawdopodobniej - gestami. Krótko mówiąc, zostali przeszkoleni. Musieli też być uzbrojeni; nie zachowywaliby się w taki sposób, gdyby nie trzymali w rękach broni gotowej do strzału.

W końcu jednak nadeszła chwila, kiedy zaczęli rozmawiać normalnie. Sokołow usłyszał też metaliczny dźwięk przestawianych bezpieczników na broni. Intruzi (musiało ich być czterech, może pięciu) nie mówili po chińsku. Nasłuchawszy się różnych języków środkowoazjatyckich, domyślił się, że porozumiewają się w jednym z nich, ale nie rozumiał ani słowa. Tylko raz usłyszał czyjąś nieporadną chińszczyznę i potulną chińską odpowiedź. Wzięli zakładnika.

Dobre kilka minut zajmowali się komputerem. Sokołow go wyłączył, bo dostawał dreszczy na myśl o dzieleniu pokoju z inteligentną maszyną na stałe podpiętą do Internetu. Intruzi go uruchomili i chwilę poklikali - ale taka zabawa szybko nudzi każdego, kto akurat nie klika, toteż jeden z nich zaczął się kręcić po całym biurze; Sokołow od czasu do czasu widział błysk jego latarki.

Zatrzymał się dokładnie pod Sokołowem. Przez moment stał nieruchomo, a potem zawołał kumpli. Zebrali się w kilku przy stole. Sokołow wiedział, że oglądają porzucony przez niego telefon.

Rozpoczęła się interesująca konwersacja: kilka głosów prawie jednocześnie wypowiadało jakieś słowo lub słowa, po czym następowała krótka pauza - i powtórka. Sokołow nie bardzo wiedział, co jest grane, dopóki nie usłyszał słowa „Westin”.

Przeglądali zdjęcia hoteli w telefonie i próbowali je rozpoznać.

Zdjęcia się skończyły i rozgorzała krótka dyskusja, która jednak donikąd nie prowadziła. Nie mogła. W pamięci telefonu nie było nic ciekawego. Zawierała tylko numery do paru nieżyjących osób.

Któryś z ludzi na dole odezwał się po chińsku. Zaczynał się i wahał, jakby czytał.

Sokołow wyraźnie usłyszał słowo „Gulanguyu”.

Znaleźli kartkę papieru, która wypadła mu na stół razem z telefonem. Znajdował się na niej adres Meng Anlan.

Kartka wywołała poruszenie, jakiego nie zdołał wzbudzić telefon. Jeden z ludzi wyjął swoją komórkę, gdzieś zadzwonił i przez chwilę rozmawiał w języku, w którym Sokołow rozpoznał arabski. Znał nawet kilka słów po arabsku, ale i tym razem jedynym słowem, które rozpoznał z drugiej strony sufitu, było chińskie „Gulanguyu”. Kilka razy powtórzyło się jeszcze „Okej”.

Krótką kalkulacją. Mógłby usunąć płytkę sufitu, przez którą wszedł na górę, i zacząć strzelać. Na pewno paru by załatwił, zanim zdążyliby odbezpieczyć broń i odpowiedzieć ogniem - kiedy już jednak zaczęliby strzelać, miałby ogromne kłopoty, żeby dokądkolwiek się wycofać z tej niezwykle niewdzięcznej pozycji. Wystarczyłoby, żeby opróżnili magazynki, celując z grubsza w jego kierunku, a wkrótce byłby trupem.

W dodatku był już całkowicie pewny, że nie ma wśród nich Jonesa. Porozumiewali się w jakimś środkowoazjatyckim języku, którego Jones nie mógł znać, ale podczas rozmowy telefonicznej przeszli na arabski. Z pewnością dzwoniли właśnie do Jonesa. Gdyby więc nawet Sokołow jakimś cudem zlikwidował ich wszystkich, i tak nie pozbyłby się Jonesa.

Nie można było wykluczyć, że planują teraz wypad do mieszkania Olivii. Gdyby rzeczywiście tak było, musiał ich powstrzymać.

Mógł poczekać, aż wyjdą, zejść z kryjówki na dół, pójść za nimi i zaatakować w dogodniejszym miejscu, gdzie załatwi wszystkich.

Tylko że właśnie podali Jonesowi adres mieszkania Olivii, więc mleko już się rozlało. Nawet jeśli zabije wszystkich tutaj, nie ochroni Olivii, do której Jones trafi już na własną rękę.

A skoro o tym mowa... Gdyby Sokołow udał się natychmiast na Gulanguyu, może udałoby mu się tam spotkać z Jonesem? Miałby sprawę z głowy, i to jeszcze dzisiaj.

Ledwie ten pomysł przyszedł mu do głowy, klamka zapadła.

Intruzi na dole poruszali się szybko, z determinacją, jakby chcieli czym prędzej opuścić biurowiec i rozpocząć nową misję. Odczekał, aż wyjdą. Odsunął płytkę na bok i wyrzwał. Nic.

Mogli jednak spodziewać się, że gdzieś się schował, i zostawić ukrytego zabójcę.

Złapał się wspornika, podciągnął, wyplątał nogi, opuścił je, puścił się - i po prostu przebił sufit, z łoskotem lądując na stole w konferencyjnej. Natychmiast wykonał pad i przetoczył się w stronę drzwi, które przesadził tygrysim skokiem. Przykucnął z bronią gotową do strzału, rozejrzał się. Nic.

Ale...

Śmiertelnie się wystraszył. Nie dalej niż dziesięć stóp od niego ktoś leżał.

Leżał nieruchomo, z rękami skrępowanymi z tyłu. Był nagi.

I kiedy mu się lepiej przyjrzeć, wcale nie leżał nieruchomo: drgał jeszcze. Z okolic jego głowy rozlewała się po podłodze coraz szersza kałuża. A sama głowa była odgięta pod dziwnym kątem.

Poderżnięto mu gardło.

Sokołow wygrzebał z zaścielającego stół gruzu i śmiecia zapasowy magazynek i inne drobiazgi. Wychodząc z biura, poświecił latarką w twarz trupa. Chińczyk.

Dlaczego zabrali mu ubranie?

Bo mogło się im przydać.

Mundur. Zabity był gliną. Albo ochroniarzem.

* * *

- *Ni yao gao de tamen ji quart bu ning.*

Łatwo Marlonowi mówić, znacznie trudniej zrobić, kiedy jest się - jak Yuxia - zamkniętym w stalowej kabinie, gdzie wszystkie sensowne rekwizyty są na stałe przyspawane do ścian i podłogi. Niewiele można było tu rozbić albo połamać, a przy próbie stłuczenia szyby w iluminatorze omal nie złamała sobie ręki. Miała jednak w kabinie krzesło, drewniane i do niczego nieprzykręcone; mogła złapać je za oparcie i tłuc nim w różne inne rzeczy. Pierwsze kilka prób nieszczęśliwie jej się udało i ostatecznie wyrznęła w drzwi z taką siłą, że krzesło zaczęło pękać, a odłamki suchego drewna prysnęły jej w twarz. Palcami wycesała drzazgi z włosów, chwyciła oburącz największy nietknięty segment krzesła i wróciła do pracy. W końcu nawet trafiła w iluminator, na którym nie zrobiło to większego wrażenia. Uderzyła mocniej. Wciąż nic. Nie wiadomo dlaczego, ten opór rozjuszył ją bardziej niż nieuczciwość Iwanowa i przykucie jej do kierownicy, porwanie Zuli przez Jonesa, włożenie głowy do wiadra słonej wody.

Za mało krzyczała. Dopiero teraz przy każdym uderzeniu uwalniała z głębi trzewi chrapliwy pomruk - jak ta amerykańska tenisistka, ta ogromna Murzynka, która tak krzyczy przy każdym trafieniu piłki. Krzyki na pewno powinny być elementem rozpętywania piekła,

prawda? Napięła mięśnie jak pałkarz baseballowy, zamachnęła się resztką krzesła, która w błyskawicznym tempie stawała się krótkim drewnianym drągiem, wrzasnęła ile sił w płucach i uderzyła. O włos chybiła iluminatora, co rozwścieczyło ją jeszcze bardziej. Wzięła wdech i z podobnym okrzykiem zadała kolejny niecelny cios. Zaczęła wplatać we wrzaski przekleństwa, których nauczyła się od kobiet ze swojej wioski, kiedy te złościły się na obecnych w ich życiu mężczyzn. W końcu trafiła w iluminator z taką siłą, że szkło pękło. Załoga łodzi zakleiła okienko papierem, który teraz ktoś zerwał i zajrzał do środka - w samą porę, żeby stać się świadkiem kolejnego ataku nogą od krzesła, tym razem celującą prosto w jego twarz. Zdążył zrobić unik, zanim pęknięcie się poszerzyło i na zewnątrz wyprysnęły okruchy szkła, a kiedy znów pojawił się w oknie, wrzasnął na Yuxię.

Po dalszych dwóch, trzech ciosach z oprawy wypadł kawał szkła w kształcie wycinka tortu, a po drugiej stronie do pierwszego wrzeszczącego mężczyzny dołączyło trzech następnych. To razem czterech! Na kutrze było ich w sumie sześciu.

Chwyciła nogę od krzesła jak tłuczek i zaczęła dźgać resztki iluminatora jakby ubijała coś w mózdzierzu - krótkimi, gwałtownymi uderzeniami. Zrobiła to przede wszystkim po to, żeby dać sobie chwilę na złapanie tchu, bo przed chwilą zapomniała oddychać.

Kiedy zobaczyła, że klamka się obraca, wiedziała, że po nią idą. Cofnęła się od drzwi, wzięła najgłębszy wdech, jaki tylko mogła, i pierwszego intruza powitała takim huraganem inwektyw, że - gdyby rozumiał używany przez nią dialekt - jądra skurczyłyby mu się jak rodzynki. Za tym pierwszym do środka wcisnęli się kolejni, przepychając się przez wąskie drzwi i rozstawiając wachlarzowato pod ścianami kabiny, poza zasięgiem morderczej nogi od krzesła. Na ich twarzach malował się autentyczny strach. Yuxia stała się kobietą obłąkaną. Albo wiedźmą. Tylko kobieta obłąkana albo wiedźma mogłaby się tak zachowywać, pozostając w niewoli mężczyzn, którzy w każdej chwili mogą ją zgwałcić i zabić.

W kabinie pojawił się jeszcze jeden mężczyzna. Wparował do środka z takim impetem, że omal nie przewracał pozostałych. Kapitan. Z nienawiścią rzucił się na Yuxię, która w odruchu obronnym uderzyła go nogą od krzesła. On jednak musiał znać jakąś sztukę walki, bo złapał tę prowizoryczną pałkę w locie, wyrwał ją Yuxii i pogardliwym gestem wyrzucił za drzwi, do wody.

Yuxia wyszarpnęła telefon zza cholewy.

- Zadzwoiłam na policję! - zawołała, podnosząc komórkę wyżej, żeby wszyscy ją zobaczyli. - Już jesteście martwi.

Była to chyba jedyna rzecz, która mogła w tej chwili powstrzymać kapitana. I powstrzymała. Na czas trzech uderzeń serca.

Jakiś nieduży, cylindryczny przedmiot wpadł do kabiny ponad progiem, odbił się od ziemi i znieruchomiał na środku podłogi. Yuxia już go kiedyś widziała - tego samego dnia, tylko wcześniej, Marlon z Csongorem znaleźli dwa takie obiekty w rzeczach Iwanowa. Rozmawiali o nich, używając angielskich słów, które kojarzyła jak przez mgłę - nie najpospolitszych, ale znajomych: „granat” i „hukowy”.

Naoglądała się dość filmów, żeby rozumieć koncepcję działania granatu. Ten, który wpadł do kabiny, nie przypominał granatu filmowego i nie rozpoznałaby go, gdyby nie podsłuchana szczęśliwym zbiegiem okoliczności rozmowa w mikrobusie.

A może to wcale nie był zbieg okoliczności?

Zauważyła, że granat nie ma zawlecзки.

Odwróciła się do niego plecami, zamknęła oczy i zatkała sobie uszy.

* * *

Zula nie pamiętała już takiej chwili, kiedy nie miała by wrażeń, że rzuca się w oczy. Zdążyła już do tego przywyknąć i, siedząc teraz samotnie w barze *Hyatta* w mokrych, wyraźnie sfatygowanych ciuchach, czuła się tam tak samo swobodnie, jak czułaby się gdziekolwiek indziej. Kilkunastu biznesmenów zerkało na nią ciekawie. Domyślała się, że zachodzą w głowę, skąd taka wyborowa zdzira wzięła się w Xiamen.

Tylko dwaj mężczyźni się jej nie przyglądali. Mieli środkowo-południowoazjatyckie rysy i siedzieli przy pobliskim stoliku, opatuleni w obszerne kurtki. Nawet oni jednak starali się kątem oka mieć na nią baczenie, na wypadek gdyby przyszło jej do głowy uciekać.

Nie musiała długo czekać na pilotów. Zeszli do baru w mundurach, przynieśli swoje aktówki, zabrali też walizki na kółkach, podążające za nimi jak kubistyczne pieski. Byli gotowi do akcji. Zula rozmawiała z nimi wcześniej z telefonu Jonesa. Zadzwoiła do *Hyatta* na centralę i poprosiła o przełączenie do pokoju Rosjan, którzy zameldowali się w hotelu przed trzema dniami o tej samej porze. Chwilę trwało, zanim obsługa namierzyła właściwe pokoje, ale potem pierwszy z pilotów, z którym się połączyła, Paweł, odebrał po pierwszym dzwonku. Wbrew przewidywaniom Jonesa wcale się nie obijał, nie oglądał pornoli i nie pił. Czekał.

Czekał, rzecz jasna, na głos mówiącego po rosyjsku Iwanowa, więc mówiąca po angielsku Zula była dla niego sporym zaskoczeniem. Udało jej się jednak przekonać go, że tak, dobrze się domyśla, jest tą dziewczyną, którą widział na pokładzie podczas wcześniejszych lotów. Wyjaśniła, że plan Iwanowa paskudnie się posypał i że Paweł naprawdę dobrze zrobi, jeśli zejdzie do baru i spotka się z nią.

Podeszli do niej ostrożnie - Paweł i drugi pilot, Siergiej. Zmierzyli ją wzrokiem od

stóp do głów.

W tej sytuacji każdy zdrowy na umyśle człowiek by się tak zachował.

- Proszę - powiedziała Zula. - Siadajcie.

Chwilę trwało, zanim dali się namówić.

Nie szkodzi. Nie musiała ich namawiać do niczego więcej. Wystarczyło, żeby usiedli przy stoliku.

Kiedy Paweł i Siergiej zajęli wskazane miejsca, dwaj mężczyźni w obszernych kurtkach dosiedli się do nich ze swoją wodą sodową. Paweł i Siergiej byli coraz bardziej zaskoczeni, ale w tym momencie przerwała im kelnerka, która przysłała przyjąć zamówienie. Zula z zadowoleniem odnotowała, że obaj piloci wzięli napoje bezalkoholowe.

Jeden z ludzi w kurtkach (Khalid) zapowiedział:

- Dzisiaj wieczorem lecicie do Islamabadu.

Uśmiechnął się przyjaźnie, gdy Paweł i Siergiej wybuchnęli nerwowym śmiechem.

- Gdzie Iwanow? - spytał Paweł.

Pytał o to kilkakrotnie już przez telefon, ale Zula unikała odpowiedzi.

Aż do teraz.

- Nie żyje - powiedziała, spoglądając znacząco na Khalida.

Paweł i Siergiej w pierwszej chwili nie chcieli jej wierzyć. Ale tylko w pierwszej chwili.

- Kto to jest? - zapytał Paweł, wskazując Khalida.

Khalid odstawił szklankę, podniósł rękę do szyi i rozpiął suwak od góry aż do brzucha. Poły kurtki rozchyliły się, odsłaniając płócienną kamizelkę, która na wysokości talii miała naszyty rząd podłużnych pionowych kieszeni. Kieszenie pękały w szwach. Z każdej z nich wystawał czubek zafoliowanego walca, jakby ktoś folią spożywczą owinął grube, lekko spłaszczone burrito z jakiejś biało-żółtej substancji, nieco podobnej do nierozwałkowanego ciasta. W każdym burrito tkwiły końcówki przewodów elektrycznych, które dalej łączyły się w jeden gruby pęk, biegły w górę do barku Khalida, a stamtąd w dół, w głąb rękawa kurtki. Khalid podniósł rękę, którą do tej pory trzymał na kolanach, i dyskretnie pokazał Pawłowi i Siergiejowi czarny plastikowy przedmiot opatrzony czerwonym guzikiem.

Piloci nie od razu zrozumieli, co widzą. Oczywiście była to kamizelka wybuchowa, ale jej widok z bliska, na ciele człowieka, był po prostu zbyt wstrząsający, żeby czyjkolwiek umysł mógł tak szybko go ogarnąć. To tak jakby człowiek wszedł do kuchni u siebie w domu i zastał tam Hitlera.

- Kazano mi powiedzieć wam mnóstwo okropnych rzeczy o tym, co się stanie, jeśli to

wybuchnie - wtrąciła Zula. - Naprawdę muszę to robić? Powiem krótko: nie tylko zginiemy na miejscu, ale przy okazji pół hotelu zwali się nam na głowy.

Paweł i Siergiej nie mieli nic do powiedzenia.

Khalid zapiął kurtkę.

Kelnerka podała napoje. Zula poprosiła o rachunek.

- Mam wam również przekazać, że przed hotelem czekają dwie taksówki. Paweł wsiądzie do pierwszej z nich, Siergiej do drugiej. Z każdym z was pojedzie jeden człowiek w takiej kamizelce, domyślam się, że w celu podtrzymania groźby. Pojedziemy prosto na lotnisko i odlecimy do Islamabadu, gdy tylko uporacie się z procedurą odlotu. Macie jakieś pytania?

Nie mieli.

Prowadząc czterech mężczyzn przez hotelowy hol, Zula czuła się jak terrorystka.

To było nawet fajne uczucie.

Nie groziło jej, że w najbliższym czasie się do nich zapisze - burki, kamienowanie i tym podobne praktycznie to wykluczały. Zbyt długo jednak (choć wcale nie aż tak długo, bo zaledwie od tygodnia) czuła się bezradna.

Kiedy wychodziła z *Hyatta*, świadomość, że ma za plecami ładunek pentrytu zdolny zawalić budynek, dawała jej dziwne poczucie zapożyczonej władzy. Zmęczeni biznesmeni w recepcji taksowali ją tym samym spojrzeniem, co tamci w barze, ale było jej już obojętne, co o niej myślą. Była ponad to, stała się częścią rzeczywistości znacznie większej i znacznie bardziej intensywnej, niż byliby to sobie w stanie wyobrazić. Oni sami i ich opinie przestały się liczyć. Byli żałośni.

Jak to jest, przez całe życie być bezradnym facetem? A jak to jest, mieć taką władzę? Czuć to, co w tej chwili poczuła? To musiał być najsilniejszy narkotyk na świecie.

Siadając na tylnej kanapie taksówki, po minie Jonesa poznała, że i on w tej chwili upaja się tym narkotykiem.

- Kusi mnie, żeby kazać kierowcy zawrócić i jechać do miasta - przyznał, bawiąc się telefonem.

- Po co?

- Znaleźliśmy Sokołowa.

Narkotykowy haj Zuli ulotnił się w mgnieniu oka. Miała nadzieję, że nie odbiło się to zbyt wyraźnie na jej twarzy.

- W każdym razie wiemy, dokąd się wybrał - dodał Jones. - Na Gulangyu.

„Co teraz będzie?” - chciała zapytać Zula, ale wołała nie pchać nosa w nie swoje

sprawy, żeby nie napytać sobie biedy.

Jones patrzył na nią takim wzrokiem, jakby czytał jej w myślach. Chciał jej powiedzieć. Chciał, żeby zapytała.

Postanowiła, że nie da mu tej satysfakcji.

- Już tam jadą - powiedział. - Zajmą się nim.

* * *

Jeżeli z historii z REAMDE płynęła dla Marlona jakaś nauka, to chyba głównie ta, że każdy plan prędzej czy później makabrycznie się komplikuje i nie da się z góry przewidzieć charakteru tych komplikacji. W tej chwili problem polegał na tym, że Csongor za szybko wiosłował.

Poznali się w wyjątkowo chaotycznych okolicznościach, a od tamtej pory Marlon miał dość innych spraw na głowie, żeby nie koncentrować się na gabarytach Węgra. Sam miał metr dziewięćdziesiąt wzrostu i uważał się za nieprzeciętnie wysokiego, ale, patrząc na Csongora, doświadczał niecodziennego uczucia, że ma przed sobą kogoś jeszcze wyższego. Kusilo go też, żeby założyć, że Csongor waży dobre dwa razy więcej niż on - chociaż wiedział, że to niemożliwe. Csongor miał sporo ciała, także w okolicy talii, ale na pewno nie nosił oponki w pasie. Głowę też miał dużą, szeroką, ale pozbawioną nadmiarowych podbródków. Siła, z jaką pociągał wiosłami, budziła u Marlona nieprzyjemne wrażenie, że coś wyrывa łódkę spod niego - i to przy zwyczajnym wiosłowaniu. Natomiast w ciągu ostatniej mniej więcej minuty przed zderzeniem z kutrem Csongor zrozumiał wreszcie, że walczy o życie - swoje, a zapewne także i Zuli - i z takim impetem naparł na wiosła, że Marlon odruchowo przysiadł i obiema rękami chwycił się burt.

Oczywiście, Csongor nie widział, dokąd płynie. Zamiast zdawać się w decydujących momentach na swój niepewny angielski, kierujący nim Marlon pokazywał mu na migi, w którą stronę powinien się kierować. Nie wziął pod uwagę odkosów idących na boki spod dziobu kutra, przez które łódka w ostatniej chwili ostro podskoczyła - po czym jedna z opon uderzyła w nią i momentalnie odwróciła ją do góry nogami. Marlon - który widział, co się święci - wybił się z obu nóg w tym samym momencie, gdy uderzenie wyrwało mu łódkę spod nóg, i udało mu się jedną ręką zahaczyć o skraj opony. Druga ręka błyskawicznie podążyła w ślady pierwszej - i dobrze się stało, bo gdyby nie ona, nie utrzymałby się na oponie. Kuter poruszał się szybciej, niż się to Marlonowi wydawało, i potężnie nim szarpnął. Przez ten moment musiał poświęcić oponie całą swoją uwagę i kiedy potem spojrział w stronę rufy, zobaczył tylko szybko oddalającą się wywróconą łódkę. Csongora nigdzie nie było widać.

Wtem spod wody wynurzyła się dłoń bezradnie obmacująca wywróconą łódeczkę.

Dołączyła do niej druga. Łódź nagle poszła pod wodę, jakby rekin złapał ją od spodu w zęby. Csongor desperacko próbował się na nią wgramolić. W końcu jego tułów wystrzelił z wody i Csongor uczeplił się ostatniej opony na burcie kutra. Natychmiast pochłonęły go własne odkosy, tak jak przed chwilą Marlona: wleczony przez morze na holu ze swojej własnej ręki, głową rozcinał fale. Dalszy wysiłek pozwolił mu wyciągnąć nad powierzchnię wody także i drugą rękę, którą chwycił się przytrzymującej oponę liny. W końcu podciągnął się, wydobył głowę z wody i zaczerpnął tchu.

Marlon oderwał od niego wzrok i dla odmiany skoncentrował się na własnych problemach. Dawno już wydzwignął nad powierzchnię górną część ciała, ale nogi dalej wlekły mu się w wodzie, stawiając silny opór, który groził ściągnięciem go z opony. Cał za całem, jak rasowy wspinacz, poprawił chwyt, podciągnął jedną nogę i zarzucił ją na sąsiednią oponę - co jednocześnie zmniejszyło opory ruchu i umożliwiło mu wykorzystanie dźwigni do wspięcia się jeszcze wyżej i namacania dalszych, jeszcze lepszych chwytów, aż w końcu udało mu się jedną nogą stanąć na krawędzi opony, wyciągnąć ręce nad głowę i obiema dłońmi uczeplić się krawędzi nadburcia.

Zaryzykował rzut oka do tyłu i stwierdził, że Csongor poczyna sobie podobnie. Łódź, którą przyплыnęli, zniknęła. Csongor jedną ręką przytrzymał się nadburcia, drugą sprawdził, czy pistolet i przerzucona przez ramię torba są na swoich miejscach, po czym zaczął się wspinać.

Marlon poszedł w jego ślady i po chwili zeskoczył na pokład, gdzie znieruchomiał w półprzysiadzie. W pobliżu nikogo nie było. Sądząc po odgłosach dobiegających z drugiej strony kutra, Yuxii doskonale szło rozpętywanie piekła.

Csongor przycupnął na rufie, spojrzał w tamtym kierunku, po czym odwrócił się do Marlona i wzruszeniem ramion dał mu do zrozumienia, że nic nie widzi. Wstał, wyjął z kieszeni pistolet, sprawdził bezpiecznik i zaczął obchodzić nadbudówkę z drugiej strony.

Marlon wyjął z kieszeni granat hukowy i zahaczył palcem o zawleczkę. Obszedł nadbudówkę od przodu, trzymając się blisko ścian, żeby nie było go widać z mostku. Wyjrzał zza rogu. Trzy metry od niego światło padało na pokład przez otwarte drzwi. Dwóch mężczyzn - jeden większy, drugi mniejszy - stało na zewnątrz i zaglądało do środka. Większy skrzywił się gniewnie i wszedł przez wysoki próg do kabiny. Zniknąwszy w środku, odsłonił widok aż po samą rufę kutra, gdzie Marlon dostrzegł krępa sylwetkę Csongora.

Ruszył w stronę rufy. Csongor ruszył w stronę dziobu. Mniejszy z dwójki marynarzy, ten, który wciąż stał przed drzwiami, najpierw zauważył Marlona. Całe jego ciało przeszedł gwałtowny dreszcz, na który nie mógł nic poradzić - był kompletnie zaskoczony widokiem

intruza na swoim kutrze. Marlon spojrział mu w oczy i znacząco skinął ku rufie. Marynarz odwrócił się i zobaczył Csongora celującego mu z pistoletu w twarz. Korzystając z nieuwagi nieszczęśnika, Marlon wyszarpnął zawleczkę granatu hukowego (co okazało się zdumiewająco trudne) i wrzucił go do kabiny, po czym, widząc, że drzwi otwierają się na zewnątrz, pchnął je, zatrzasnął i oparł się o nie całym ciałem - w samą porę, żeby poczuć, jak potężny grzmot wprawia stał w drżenie. Potylicę owionął mu podmuch gorącego powietrza niosący deszcz szklanych odłamków.

* * *

Sokołow miał kartę, którą mógł przywołać windę, ale przyszło mu do głowy, że dżihadyści mogą jeszcze być w holu, nieopodał wind. Mogliby wówczas zauważyć, że jedna z nich rusza i zatrzymuje się na czterdziestym trzecim piętrze, a wtedy z łatwością zabiliby go zaraz po otwarciu się drzwi windy. Dlatego postanowił zbiec schodami, podobnie jak niedawno zrobiła to Zula. Biegł szybko, przeskakiwał nad poręczami, odbijał się od ścian, ale i tak poruszał się znacznie wolniej niż tamci, jadący windą.

Przyszło mu do głowy, że wyjście przez drzwi pożarowe bezpośrednio na dwór może uruchomić alarm, i postanowił spróbować szczęścia w holu przy recepcji. Ostrożnie uchylił drzwi i wyjrzał. Zasadzki nie było.

Mogli się na niego zacząć gdzieś nieopodał, na dworze, ale gdyby naprawdę wiedzieli, że tu jest, i chcieli go zaskoczyć, załatwiliby to inaczej. Wyszedł więc spokojnie z budynku, przeszedł podjazdem i znalazł się na ulicy. Puścił się truchtem w stronę odległej o niespełna kilometr przystani promowej. Przez całą drogę rozglądał się za dżihadystami, ale nikogo nie zobaczył.

Na przystani pasażerowie wsiadali na prom na Gulangyu. Sokołow wyminął ją szerokim łukiem, unikając latarń ulicznych, i poszedł prosto do znajdującej się w pobliżu mniejszej, niżej położonej przystani, gdzie cumowało kilkanaście motorówek. Ich sternicy siedzieli nieopodał, paląc papierosy i rozmawiając. Były to szybkie taksówki wodne dla zamożnych klientów; Sokołow miał je na oku od samego początku pobytu w Xiamen.

W drodze na przystań podjął znaczną sumę pieniędzy z Banku Camelbaka i teraz pokazał sternikom plik czerwonych banknotów. Przyciągnął tym ich uwagę, chociaż nie zaskarbił sobie ich przychylności. Zrobili się nerwowi i podejrliwi.

Sokołowa nie interesowały ich rozterki emocjonalne. Nie miał na to czasu.

Skinieniem głowy wskazał drugi brzeg cieśniny i powiedział:

- Gulangyu.

Jeden ze sterników był minimalnie szybszy od pozostałych i Sokołow wylądował w

jego łodzi. Była to mała motorówka, jakich miliony widuje się na rzekach i jeziorach na całym świecie: biały kadłub z włókien szklanych z doczepionym na rufie potężnym silnikiem, bez dachu, mieszczący wygodnie sześcioro pasażerów. W otwartej balaście leżały pomarańczowe kamizelki ratunkowe, zapewne wymagane jakimiś przepisami, oraz cienkie foliowe poncha, na wypadek gdyby ulewa zaskoczyła lekko ubranych pasażerów.

Prom odbił już od brzegu. W środku nocy niewielu było chętnych na rejs na Gulangyu. Większość pasażerów siedziała w zadaszonej i oświetlonej kabinie promu, za pleksiglasowymi szybami, zapewne chcąc uniknąć delikatnej chłodnej nuty w powietrzu - chociaż w tym wypadku „chłodna nuta” oznaczała tyle, że wystawiona na wiatr kobieta w sukience na ramiączkach mogłaby ewentualnie dostać gęziej skórki.

Czterej pasażerowie płci męskiej, którzy zebrali się na pokładzie dziobowym, z pewnością nie marzli. Patrzyli w stronę Gulangyu, pokazywali ją palcami i zawzięcie dyskutowali.

Kiedy motorówka zrównała się z promem (poruszała się dwa razy szybciej), Sokołow sięgnął po foliowe poncho, narzucił je na ramiona, wystawił głowę przez otwór i naciągnął kaptur. Zdjął go dopiero dwie minuty później, kiedy sternik zgasił silnik i motorówka siłą rozpędu pokonała ostatnie kilkanaście metrów dzielących ją od przystani.

Schodząc na ląd, obejrzał się przez ramię. Prom był bliżej, niż się spodziewał. Motorówka na początku łatwo wysforowała się na prowadzenie, ale prom, kiedy już się rozpędził, osiągnął całkiem przyzwoitą prędkość.

Musiał być jednak jakiś powód, dla którego ludzie płacili ekstra za możliwość popłynięcia motorówką - i Sokołow podejrzewał, że chodzi o tłok w porcie. Na Gulangyu znajdowało się sporo parków, barów i innych atrakcji turystycznych przyciągających młodzież, która w tej chwili masowo wracała do Xiamen. Na przystani panował ścisk.

W pierwszej chwili chciał rzucić poncho, ale się rozmyślił. Sternik uniósł pytająco brwi. Sokołow wyciągnął przed siebie rękę z dłonią zwrócony do góry i spojrzał w niebo, usiłując zadać nieme pytanie: „Jak pan myśli, będzie padać?”. Nie miał pojęcia, czy sternik cokolwiek zrozumiał. W końcu Sokołow pociągnął za folię na piersi i pomachał w powietrzu dwoma czerwonymi banknotami. Sternik wziął je od niego i odwrócił się tyłem. Transakcja zakończona.

Sokołow znów zarzucił kaptur na łysą głowę. Zgolił włosy, żeby trudniej było go rozpoznać, gdyby okazało się, że BBP dotarła do świadków porannych wydarzeń albo nagrań z jakiegoś monitoringu. Teraz jednak łysina wyróżniała go w sposób, który niespecjalnie mu pomagał.

Przeszedł kawałek przez nadbrzeżny park, płosząc zakochane pary, zanim skręcił w głąb wyspy, pod górę, stromą uliczką wciśniętą między stare kamienne mury. Była to jedna z tych ulic, które naprawdę wyświetlały się na mapach. Wiła się i kluczyła, wspinała się zakosami na stromizny, omijała potężne szare skały porośnięte pnączami, ściśnięte monstrualnymi systemami korzeniowymi egzotycznych drzew, a w paru miejscach przyozdobione wykutymi w nich schodami. Od czasu do czasu Sokołow przystawał za zakrętem i oglądał się za siebie, czy ktoś za nim nie idzie. Niczego nie zauważył, ale sieć dróg na wyspie tworzyła istny labirynt, a do domu Olivii można było dojść z kilku stron.

Prawdę mówiąc, nie był wcale pewien, gdzie dokładnie się znajduje. Miał wrażenie, że powinien już być na miejscu, ale po ciemku nie umiał odszukać żadnego z wyznaczonych wcześniej punktów orientacyjnych.

Na chwilę widok zasłonił mu rząd wysokich drzew rosnących po wewnętrznej stronie muru i wyznaczających granicę terenu należącego zapewne do jakiejś szkoły lub instytucji rządowej. Potem znalazł się na skrzyżowaniu, gdzie wreszcie zobaczył długo wypatrywany punkt orientacyjny: hotel na kamiennym wzgórzu, z ogrodami i tarasami, z których rozpościerał się piękny widok na Gulangyu, cieśninę i rozciągające się za nią miasto. Przesiedział tam jakiś czas już wcześniej, dzisiaj, patrząc na dziedziniec przed domem Olivii, obserwując przychodzących i wychodzących ludzi i obmyślając plan C dostania się do jej mieszkania - po tym, jak odrzucił plany A i B jako zbyt ryzykowne.

Wiedział już więc, gdzie jest i jak ma dalej iść: skręcić na rozwidleniu w lewo, pod górę. Tyle że tą właśnie ulicą, wypełniając ją na całej szerokości, szła w jego kierunku grupa młodych mężczyzn, którzy po paru głębszych spacerowym krokiem wracali na przystań. Osiągnęli ten radosny i towarzyski stan upojenia, w którym zagadywali do wszystkich mijanych przechodniów w sposób pozornie przyjazny, w rzeczywistości zaś dość agresywny. Jeden z nich dostrzegł już Sokołowa, który - z wygoloną głową i w foliowym poncho - wprost nedorzecznie rzucał się w oczy. Pokazał go kumplowi. Sokołow skręcił w drugą uliczkę na rozwidleniu i, zniknąwszy im z oczu, przebiegł sprintem następne sto metrów, żeby znaleźć się poza zasięgiem konwersacji.

Skręcił w zaułek odchodzący w lewo. Idąc w stronę górującego nad okolicą hotelu, rozpoznawał kolejne znajome punkty. Wbiegł po kamiennych schodach, nad którymi zwieszały się gałęzie olbrzymich starych drzew, i znalazł się w nieco szerszej uliczce przebiegającej obok domu, w którym mieszkała Olivia. Natknął się tam na dwie starsze spacerowiczki, które spojrzały na niego jak na marmozetę w zoo. Skinął im uprzejmie głową i skręcił w stronę domu Olivii. Przez pobliską furtkę wyszły na ulicę dwie młode kobiety i

przez chwilę szły za nim, chichocząc i udając, że robią mu zdjęcia. Chciały mu zrobić fotkę, żeby pochwalić się przyjaciółkom. Odrzucił ich propozycję i przyśpieszył kroku.

Najwyższy czas spieszyć z tego porąbanego kraju.

No, nareszcie: furtka prowadząca do budynku, w którym mieszkała Olivia, była dość charakterystyczna, bo tuż obok niej na murze wyrosło drzewo, którego dziwaczne, jakby półpłynne korzenie rozlały się po kamieniu w poszukiwaniu prawdziwej ziemi, w którą mogłyby się wczepić. Wyglądało to trochę tak, jakby próbowało uciec przed namolnymi zalotami trzech różnych gatunków kwitnących lian, które upodobały je sobie jako trejaż.

Sokołow rozejrzał się, ale nie zobaczył na ulicy niczego niewłaściwego. Przeszedł przez furtkę i znalazł się w obwiedzionym murem ogrodzie wokół domu.

Rezydencję wybudowano w uogólnionym stylu europejskim, poddanym reinterpretacji przez tych miejscowych rzemieślników, których właścicielowi udało się przed stu laty znaleźć i zatrudnić. Miała więc z lekka klasycystyczny portyk z cherlawymi kolumnkami, na których wspierał się balkon pierwszego piętra. Przed portykiem stało czterech mężczyzn, wyraźnie widocznych na tle światła padającego od strony wejścia. Robili rekonesans, rozmawiali przez telefony, rozglądali się nerwowo. Sokołow - czując się jak dziecko uczestniczące w jakiejś absurdalnej zabawie - schował się za pnem drzewa, żeby nie zauważyli go, kiedy się odwróci. Minęło diabelnie dużo czasu, odkąd ostatnio musiał się chować za drzewami. Nie była to dla niego chwila zawodowego triumfu.

Jeden z tej czwórki miał na sobie za duży mundur.

Sokołow przykucnął i obserwował ich spomiędzy krzewów.

Mundurowy wszedł po schodach na portyk i pchnął jedno z czworga drewnianych drzwi, przeszklonych i opatrzonych żelazną kratą. Dalej znajdował się obszerny hol, który dawniej, kiedy w willi mieszkał bogaty i ważny biznesmen, pełnił zapewne rolę eleganckiego foyer. W nowym wcieleniu wyposażono go w kilka niskich stolików i ław oraz rząd wiszących na ścianie skrzynek pocztowych. Dwuskrzydłowe drzwi oddzielały go od schodów prowadzących do mieszkań; po poprzedniej wizycie u Olivii Sokołow wiedział już, że drzwi te nie są zamykane na klucz. Budynek obywateli się w ogóle bez ochrony, a jedyny zamek oddzielający intruzów od mieszkania Olivii znajdował się w drzwiach tego mieszkania.

Trzej kompani mundurowego ostatni raz rozejrzeli się po okolicy i też weszli do środka.

Sokołow wyskoczył z kryjówki i obiegł dom z boku, od strony cieśniny i Xiamen. Balkon mieszkania Olivii znajdował się w tej chwili dwa piętra nad jego głową. Przy narożu domu, nieco zbyt blisko ściany, rosło drzewo - najprawdopodobniej ochocza samosiejka ze

zrzutu dokonanego u zarania drugiej wojny światowej, która rosła sobie dziko przez te kilka dekad, kiedy nikt nie opiekował się ogrodem, do czasu aż jego nowi właściciele, widząc rosnące na ich terenie dorosłe piętnastometrowe drzewo, rzucili się na nie z piłami, poobcinali mu dolne gałęzie i przyszczygli je w kształt z grubsza odpowiadający współczesnym koncepcjom obowiązującym w architekturze krajobrazu. Nie było to ani najłatwiejsze, ani najtrudniejsze drzewo do wspinaczki, jakie Sokołow w życiu widział. Poprzednim razem nie wdrapał się na nie tylko dlatego, że za dnia łatwo byłoby go zobaczyć z mieszkań na niższych kondygnacjach.

Teraz się na nie wspiął, bez szczególnej powagi czy gracji, ale przynajmniej zrobił to szybko i nie spadł. Jedna z ocalałych gałęzi odchodziła od pnia w kierunku budynku. Wczołgał się na nią i znalazł się dwa metry ponad dachem domu i dwa metry od jego ściany. Skok nie był przesadnie trudny, chociaż eleganckie półbuty Jeremy'ego Jeonga zdradziły go w momencie wybicia i zamiast spaść płasko na dachówki, jak to sobie wyobrażał, wylądował brzuchem na krawędzi okapu. Desperackim wyrzutem lewej ręki dosięgnął wspornika anteny satelitarnej, a prawą uczepił się biegnącego od niej kabla koncentrycznego. Przeniósłszy obie dłonie na kabel, zsunął się po nim, aż młócącymi w powietrzu stopami natrafił na przeszkodę, którą musiała być betonowa balustrada balkonu Olivii. Stanął na niej, odchylił się, żeby prześlizgnąć się przez skraj okapu, okręcił się w miejscu i zeskoczył. Znieruchomiał w półprzysiadzie na balkonie, gdzie ledwie wystarczyło miejsca na krzesło i mały stolik. Dostępu do mieszkania broniły przeszklone, okratowane drzwi, za którymi widział sypialnię i znajdujący się dalej mały pokój dzienny.

Drzwi balkonowe były zamknięte. Kiedy był tu wcześniej, udało mu się je otworzyć poprzez wypchnięcie bolców z zawiasów, zauważył bowiem na zdjęciach w telefonie Olivii, że monterzy popełnili niewybaczalny błąd, montując zawiasy od zewnątrz. Tak czy inaczej, zajęło mu to wtedy dobre kilka minut.

Nie widział samej Olivii, tylko jej cień przesuwający się po ścianie i podłodze. Wyglądało na to, że kręci się przy wejściu.

Wyjął z torby latarkę, wsunął ją między pręty krat i głośno zastukał w szybę, po czym włączył latarkę i skierował sobie snop światła na twarz.

Cień znieruchomiał, a potem zaczął się przemieszczać w zwolnionym tempie. Olivia zajrzała do pokoju i gwałtownie cofnęła głowę. Widział, jak podniosła dłoń do ust, nim zaryzykowała drugie spojrzenie.

Co robi, kiedy go rozpozna? Telefon do BBP byłby całkiem racjonalną reakcją.

Zamiast tego zdecydowanym krokiem przeszła przez pokój, otworzyła drzwi

balkonowe i odsunęła się, żeby mógł wejść.

- Ktoś pukał do drzwi... - powiedziała. - Przedstawił się jako ochroniarz.

- Znajdź jakieś ciepłe, ciemne ubranie - odparł Sokołow. - Spakuj je do torby razem z zapasem wody i jedzenia. Nie zabieraj nic więcej.

- Co to znaczy?

- Wszystko.

Sokołow przeładował makarowa i wetknął go sobie za pasek.

Podszedł do drzwi wejściowych, odsunął zasuwkę i otworzył je na oścież.

Na progu stał mężczyzna w mundurze ochroniarza, z ręką uniesioną do kolejnego puknięcia w drzwi. Dwóch kumpli przyczało się dwa kroki za jego plecami, trzeci został nieco z tyłu, żeby mieć oko na schody.

Sokołow złapał „ochroniarza” za włosy, wciągnął go do mieszkania, zatrzasnął za nim drzwi i zamknął je na zasuwkę.

Ochroniarz wyciągnął nóż (Sokołow poznał to po jego ruchach) i spróbował dźgnąć nim Sokołowa prostym pchnięciem znad głowy. Sokołow sparował lewym przedramieniem cios na zewnątrz, złapał przedramię przeciwnika, wczepił się w nie jak liana aż do wysokości łokcia i szarpnął do góry. Rozległ się głośny trzask. Ochroniarz stał teraz bardzo blisko, lekko odwrócony bokiem do Sokołowa, który w tej samej chwili wyrznął go kolaniem w krocze. Kiedy zgiał się wpół, Sokołow wyprostował go dźgnięciem kciuka w krtań i uderzeniem głowy zdruzgotał mu nos. Na koniec wyjął z kieszeni nóż, zamachnął się na odlew, jakby chciał kantem dłoni uderzyć w szyję przeciwnika, i rozplątał mu gardło.

Zanim ochroniarz zdążył osunąć się na ziemię, Sokołow jeszcze raz otworzył drzwi i wypchnął go - krwawiącego z obu tętnic - na korytarz, prosto w ramiona jednego z kompanów.

Drugi kumpel ochroniarza stał nieco z boku. Sokołow złapał go za poły kurtki, przyciągnął do siebie i wbił mu nóż od spodu w gardło. Ostrze zgrzytnęło na żuchwie.

Szczęk repetowanej broni. Facet przy schodach. Sokołow cofnął się, zatrzasnął za sobą drzwi, zamknął je na zamek i wpakował w nie pół magazynka, mierząc w miejsce, w którym stał trzeci napastnik, ten podtrzymujący zwłoki ochroniarza.

Rozpętawszy strzelaninę, Sokołow zerknął na zegarek. Ciekaw był, ile czasu upłynie, zanim policja każe zamknąć przystań.

Kilka pocisków przeszło drzwi, lecąc w przybliżeniu w jego kierunku. Wystrzelone przez człowieka przy schodach, weszły pod niewielkim kątem w ścianę i przepadły, wymacując sobie drogę w jej wewnętrznej strukturze. Strzelec miał pistolet maszynowy,

wypluwający pistoletowe pociski z energią nieporównanie mniejszą niż karabin, ale zanim za chwilę podejdziesz do drzwi i zaczniesz przestrzeliwać je z bliska, Sokołow i Olivia powinni znaleźć się zupełnie gdzie indziej. Sokołow przeszedł do sypialni, gdzie Olivia upychała właśnie rzeczy w torbie. Nie zwalniając kroku, wyrwał jej torbę z ręki, wyszedł na balkon i zrzucił bagaż na dół. Drugą ręką zdążył w przelocie złapać Olivię za rękę powyżej łokcia i teraz ją również wyciągnął na balkon. Kazał się jej odsunąć od drzwi i stanąć plecami do ściany, która była zrobiona z cegły i powinna zatrzymać amunicję, jaką ocalały dżihadysta znacznie lada chwila wstrzeliwać przez drzwi do mieszkania.

Wskoczył na balustradę i obiema rękami uczepił się bluszczu, który, jak zauważył wcześniej, gęsto porastał ścianę budynku. Szarpnąwszy nim z całej siły, stwierdził, że wprawdzie po przyłożeniu wystarczająco dużej siły odrywa się od ściany, ale w gruncie rzeczy trzyma się całkiem solidnie. Z braku innych możliwości przysiadł na barierce, przerzucił nogi na zewnątrz i skoczył, zdzierając z muru kurtynę bluszczu, która obsypała go drobinami tynku i organicznym śmieciem. Kilkoma szarpnięciami opadł - niezbyt gwałtownie - o dwa metry, zanim bluszcz w końcu go zatrzymał. Na tej wysokości mógł już, czepiając się krat, zejść niżej, skąd skok na ziemię niczym mu nie groził. Lądując, przeturlał się, żeby zamortyzować upadek, stanął na nogi i pobiegł prosto do głównego wejścia. Wpadł do holu. Wbiegł po schodach na górę. Z mieszkań dobiegały krzyki lokatorów, ale on starał się nie myśleć o tym, co mogą oznaczać. Powstrzymał się również od nerwowego zerkania za zegarek. Po kolei.

Spojrzał w górę klatki schodowej, ale na górze nikogo nie zobaczył - strzelec porzucił zapewne stanowisko przy schodach i przemieścił się bliżej drzwi mieszkania. Rozległa się następna krótka seria z pistoletu maszynowego. Sokołow wbiegł na górę, przeskakując po trzy stopnie na raz, wyciągnął makarowa i wyszedł na korytarz na drugim piętrze.

Dżihadysta stał przed drzwiami, które właśnie skończył wyważać. Kątem oka zauważył Sokołowa, ale wykazał się klasycznym spóźnionym refleksem i musiał spojrzeć drugi raz, a przez ten czas Sokołow zdążył strzelić mu dwa razy w głowę. Widząc, jak upada, mógł stwierdzić, że obie kule trafiły w mózg i napastnik zginął na miejscu, ale podchodząc bliżej, na wszelki wypadek wpakował w niego jeszcze dwie kule. Podniósł z podłogi pistolet maszynowy, w którego magazynku, jak się domyślał, zostało już niewiele amunicji. Obejrzał zwłoki, dostrzegł wystający z kieszeni zapasowy magazynek. Zabrał go. Zauważył również telefon komórkowy, też go wziął, a na koniec trafiła mu się prawdziwa perełka: znalazł swój własny telefon, zabrany przez tego człowieka z kryjówki w biurówcu.

Wszedł do mieszkania, uprzedzając Olivię głośno, że się zbliża.

Z przerażeniem zauważył, że nie ma jej już na balkonie, ale, wyrzawszy przez barierkę, stwierdził, że udało jej się jakoś zejść na dół i nie połamać sobie przy tym kości; właśnie zbierała rzeczy, które wypadły ze zrzuconej przez niego torby.

Zagwizdał. Uniosła głowę. Wskazał jej furtkę na ulicę. Spojrzała w jej stronę i pokiwała głową. Okręcił się na pięcie i wyszedł z mieszkania. Po drodze zrzucił zakrwawione poncho i zbiegł ze schodów. Kiedy wpadł z holu na schody portyku, w furtce mignęła mu sylwetka Olivii.

- Na przystań - powiedział. - Bocznymi uliczkami.

Pomału odzyskiwał słuch. Coraz wyraźniej słyszał syreny.

Ruszyli pod górę, czego się nie spodziewał, ponieważ woda najczęściej znajduje się gdzieś w dole - ale Olivia zrobiła to tylko po to, żeby dostać się na teren szkoły po drugiej stronie ulicy. Przebiegli przez boisko, wyszli tylną furtką i ciągiem zaułków i schodów dotarli do jednego z ogromnych parków nad brzegiem cieśniny.

Kiedy ich oczom ukazała się przystań, Sokołow spojrzał na zegarek: od wybuchu strzelaniny upłynęły cztery minuty. Przeciętą policja nie zareagowałaby tak szybko, ale jeżeli po porannej awanturze w Xiamen miejscowi gliniarze zostali postawieni w stan podwyższonej gotowości, mogli obstawić przystanie gęściej niż zwykle. I rzeczywiście: przez szklane drzwi terminalu pasażerskiego było widać co najmniej pół tuzina funkcjonariuszy BBP nasłuchujących sygnałów z krótkofalówek.

Sokołow zwolnił kroku. Olivia, widząc to, co on, spojrzała na niego pytająco.

- Będzie nam potrzebna szybka taksówka wodna - powiedział.

Wskazała drogę przez park.

- Idź tam - powiedziała. - Zaczekaj przy wielkim posągu.

Wiedział, co ma na myśli, tak jak turysta w Nowym Jorku nie miałby wątpliwości, o jakim „wielkim posągu” mowa. Chodziło jej o kamienny pomnik Koxingi stojący na postumencie na skraju cieśniny, podświetlony reflektorami i widoczny z odległości wielu mil.

- Złapię taksówkę i zabiorę cię stamtąd - wyjaśniła.

Widział, że mówi szczerze. Ryzykował, ufając jej, ale zbliżenie się w tej chwili do przystani też byłoby ryzykowne. Skinął głową i wszedł do parku.

Park był spory i dotarcie pod pomnik zajęło mu dobre kilka minut. Stromy cokół wyrastał wprost z wody i niespecjalnie nadawał się na miejsce zaokrętowania, ale tuż obok znajdował się skrawek piaszczystej plaży. Na widok wpływającej do zatoki białej taksówki Sokołow zbiegł po stopniach na piasek i czekał, aż motorówka podpływie bliżej, żeby mógł podejść do niej w bród. Sternik tymczasem zgasił silnik i nie kwapił się z podejściem do

brzegu. Było słycać, że wdał się w nieprzyjemną konwersację z Olivią.

Być może, problem polegał na tym, że normalni ludzie nie brodzili w wodzie, żeby wsiąść do wodnej taksówki, i sam fakt, że jego pasażer coś takiego planuje, obudził podejrzenia sternika.

Sokołow się rozejrzył. Z prawej strony, sto metrów od miejsca, w którym stał, znajdował się cokół pomnika. U podstawy okalał go wąski chodnik, przechodzący w groblę, która przez kamienistą płyciznę prowadziła do wielkiego jak dom głazu, odległego o rzut kamieniem od brzegu. Na jego wierzchołku zbudowano jakąś świątynkę albo inny pawilon. Następna grobla łączyła głaz z drugim, mniejszym, na którym zainstalowano z kolei latarnię nawigacyjną.

Poświecił latarką na motorówkę, żeby zwrócić na siebie uwagę, i gestem wskazał mniejszą skałkę; wołał się nie odzywać, żeby nie zdradzić przedwcześnie, że nie jest Chińczykiem. Ruszył żwawym krokiem przez plażę, całą siłą woli powstrzymując się od puszczenia się sprintem, wszedł po schodkach na poziom grobli i przeszedł nią do pierwszego głazu. Grobla obchodziła go z boku i biegła dalej, do latarni. Zanim dotarł do jej drugiego odcinka, zobaczył zbliżającą się taksówkę. Kłótnia trwała.

Już swoim wcześniejszym zachowaniem wzbudził pewnie podejrzenia miejscowych wodniaków, wieść się rozeszła, a dodatkowo mogli usłyszeć strzały na wzgórzu.

W tym miejscu motorówka mogła podejść w zasadzie do samej grobli. Sokołow odwrócił się do niej tyłem i czekał.

- Nie chce nas zabrać - powiedziała Olivia po angielsku. - Więc zapytałam, co mam zrobić, wyskoczyć i popłynąć wplaw na ląd? Wtedy się zgodził, że mnie tu wysadzi. Podasz mi rękę?

- Naturalnie. - Sokołow odwrócił się do niej.

Sternik zrobił dokładnie taką minę, jak Sokołow sobie wymarzył, ale zdążył już zgasić silnik i podpłynąć bardzo blisko grobli. Wyciągnął rękę, żeby wrzucić wsteczny bieg, ale Olivia zahaczyła łokciem o jego łokieć i skutecznie uniemożliwiła mu ten manewr. Łódź zdryfowała jeszcze bliżej. Sokołow przeskoczył przez barierkę na grobli i spadł na dziób motorówki. Tygrysim skokiem przesadził przednią szybę i wylądował w kokpicie w samą porę, żeby powstrzymać rękoczynny, do których mogło dojść między Olivią i sternikiem. Tego drugiego unieruchomił prostym chwytem - lekko, tyle tylko, żeby chłopina mógł się lepiej skoncentrować - i pokazał mu pistolet maszynowy.

Sternik poszedł po rozum do głowy. Usiadł.

- Każ mu płynąć na północ - powiedział Sokołow. - Dookoła Xiamen.

Olivia coś powiedziała, sternik cofnął motorówkę od grobli i wyprowadził ją w głąb cieśniny. Po minięciu płycizn obrał nowy kurs, z Gulangyu po lewej i centrum Xiamen po prawej stronie. Dodał gazu.

Sokołow usiadł na rufie, wyjął z bakisty kamizelkę ratunkową i zajął się przywiązywaniem jej do torby Olivii. Nie zajęło mu to dużo czasu, a kiedy skończył, usiadł wygodniej, żeby podziwiać panoramę miasta, gigantyczne mosty łączące wyspę ze stałym lądem, port kontenerowy, olbrzymie frachtowce na redzie. Jednego był pewien: nigdy więcej nie zobaczy Xiamen.

Coś połaskotało go w nogę. Sięgnął do kieszeni i wyjął telefon zabrany zabitemu dżihadyście. Na ekranie wyświetliła się nowa wiadomość tekstowa, złożona z trzech znaków zapytania.

Przejrzał ostatnie połączenia i znalazł łącznie siedemnaście połączeń przychodzących i wychodzących z jednym i tym samym numerem. Wszystkie nastąpiły w ciągu ostatnich mniej więcej dziesięciu godzin.

Wahał się, czy na pewno powinien to zrobić. Nie byłoby to dla niego najbezpieczniejsze - ale wypłynęli już poza centrum, zaczęli okrążać wyspę od północy, od strony lotniska. Za parę minut zobaczą terytorium Tajwanu.

Wybrał opcję „Oddzwon”.

* * *

- Nic ci się nie stało? Gdzie Zula?

- Nic ci się nie stało? Gdzie Zula?

- Nic ci się nie stało? Gdzie Zula?

Mimo że odwróciła się tyłem i zamknęła oczy, po rozbłysku granatu w polu widzenia pływały jej olbrzymie fioletowe plamy. Nie widziała twarzy Csongora, ale rozpoznała go po głosie.

- Zabrali ją - powiedziała.

Csongor, który przytrzymał ją za ramiona, nagle ją puścił i do Yuxii dotarło, że podtrzymywał większość jej ciężaru po tym, jak przed chwilą dźwignął ją z podłogi. Zaczęła się osuwać na ziemię i zanim mocniej wsparła się na nogach i złapała równowagę, oparła się o stalowy wspornik metalowej koi. W kajucie było pełno dymu, który nadał buchał z tysięcy maleńkich węgielków rozsypanych po posłaniach i przepalających koce. Zakaszłała i wolną ręką zakryła usta.

Csongor tymczasem nie próżnował - raz po raz przestępował próg, wychodził z kajuty i po chwili wracał do środka. Zobaczyła, jak wchodzi i podnosi z podłogi leżącego na niej

człowieka. Zarzucił go sobie na ramię jak worek ryżu. Wyszedł. Rozległ się głośny plusk. Csongor wrócił i powtórzył procedurę od początku.

- Oni są ogłuszeni! - zaprotestował bez większego przekonania stojący na pokładzie Marlon.

- To ich ocuci - odparł Csongor.

Yuxii nie podobało się w jego postępowaniu tylko jedno: wyrzucenie tych ludzi za burtę mogło nie doprowadzić do ich śmierci. Wolałaby sama się tym zająć.

Nie słysząc warkotu silników, przypuszczała dotąd, że wciąż nie odzyskała słuchu po wybuchu granatu, ale teraz uświadomiła sobie, że nie czuje również charakterystycznego drżenia podłogi.

Marlon z Csongorem dyskutowali o czymś z ożywieniem na pokładzie. Yuxia wyszła z kabiny, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza, i zobaczyła skulonego przy relingu kucharza, który wcześniej podał jej herbatę. Widział, jak Csongor wrzuca do morza jego kumpli, i spodziewał się, że będzie następny.

- Ten był dla mnie miły - wtrąciła po angielsku.

Przechodząc na mandaryński, zwróciła się do kucharza z zapewnieniem, że nic mu się nie stanie. Nie była jednak pewna, czy facet rozumie po mandaryńsku.

Csongor i Marlon jej nie usłyszeli, ponieważ z głośnym tupotem wbiegali właśnie po metalowych schodach piętro wyżej, na mostek, gdzie po chwili rozpętał się istny festiwal krzyków i wrzasków.

- Zajrzyjmy na górę - zaproponowała facetowi od herbaty, wykonując przy tym gest „proszę przodem”.

Ciężko przerażony kucharz wszedł przed nią po schodach na mostek.

Csongor stał w kącie, celując z pistoletu do pilota, który - mimo zachodzących na dole wydarzeń - najwyraźniej ani na chwilę nie odszedł od steru. Marlon rozmawiał z nim po mandaryńsku.

- Nie masz wyboru - mówił właśnie, jakby odnosząc się do czegoś, co powiedział przed chwilą, a czego tępy pilot nie zrozumiał. - Musisz nas stąd zabrać: na Tajwan, na Filipiny, gdziekolwiek. Nie ma czasu do stracenia!

Pilot się wahał, aż w końcu kucharz odezwał się w dialekcie fujiańskim i poinformował go, że wszyscy pozostali załoganci zostali wyrzuceni za burtę, co zrobiło na pilocie spore wrażenie, bo w końcu odwrócił się do przyrządów i przestawił dźwignię, na skutek czego silniki weszły na wyższe obroty.

Yuxia poczuła, że kuter przyspiesza. To było miłe uczucie.

- Oddal się od brzegu! - polecił Marlon, jakby się obawiał, że pilot zechce celowo wprowadzić kuter na mieliznę.

Pilot delikatnie zmienił kurs i dziób kutra odchylił się od Bezdusznej Wyspy. Marlonowi jednak to nie wystarczyło, bo podszedł bliżej i szarpnął koło sterowe mocniej w tym samym kierunku, czym wywołał powódź panicznego fujiańskiego z ust pilota. Yuxia tłumaczyła na angielski:

- Mówi, że właśnie skierowałeś kuter prosto na Kinmen. Jeżeli utrzymamy kurs, zostaniemy zdmuchnięci z powierzchni wody.

Marlon puścił koło, odsunął się i pozwolił pilotowi zmienić kurs z powrotem na bardziej południowy. Nie wyzbył się jednak podejrzeń. Demonstracyjnie obszedł cały mostek dookoła, wyglądając przez wszystkie okna po kolei, żeby się upewnić, że nie zmierzają w stronę lądu.

- GPS. - Csongor ruchem głowy wskazał jeden z całej palety wbudowanych w pulpit ekraników.

Wszyscy skupili się wokół wskazanego przez Csongora przyrządu. Prawdę powiedziawszy, rozpoznanie w nim GPS-u wymagało uważnej obserwacji: w porównaniu z wyposażonymi w duże kolorowe ekrany urządzeniami, jakie ludzie zwykle wożą w samochodach, wyglądał raczej topornie. Mały, szary wyświetlacz pokazywał szczegóły, które mogły zainteresować tylko marynarza, czyli linie brzegowe, mielizny i boje. Na szczęście, u dołu ekranu wyświetlały się również dwa długie ciągi cyfr: współrzędne geograficzne. Poza tym, zgrubnie naszkicowane zarysy terenu i oznaczenia pełzły powoli do góry, gdy kuter płynął na południe.

- To się, kurwa, w pale nie mieści - mruknął Csongor. - Cztery dni temu siedziałem sobie w Budapeszcie i piłem piwko. Od tamtej pory zdążyłem się zakochać, zabić kilku ludzi i uprowadzić chiński kuter.

Nikt nie miał nic do powiedzenia na ten temat.

Marlon spojrzał na Yuxię i spytał po mandaryńsku:

- Było ich więcej?

- Chyba nie - odparła. - Ale lepiej się rozejrzeć.

Ustalili, że Csongor zostanie na mostku z bronią w ręku, a Marlon i Yuxia zapoznają się ze swoim nowym stateczkiem. Kucharz, który zszedł za nimi na pokład, zwrócił się do Yuxii:

- Na mostku jest broń. Pod pulpitem.

Wrócili więc na górę i kazali pilotowi cofnąć się od steru. Marlon opadł na czworaki,

chwilę pomacał pod pulpitem i znalazł spluwę - zabytkowy rewolwer, trochę podrdzewiały, ale naładowany i zdalny do użytku. Wyrzucił go do morza. Następnie na wszelki wypadek kazał kucharzowi i pilotowi rozebrać się do majtek i przeszukał ich ubrania. Znalazł jeden telefon komórkowy i dwa noże. Wyjął baterię z telefonu, potem to samo zrobił z telefonami swoim i Yuxii.

* * *

Zgodnie z zaleceniem Khalida pilot Paweł wsiadł na tylną kanapę kradzionej taksówki, gdzie przez cały czas czekał na niego Jones, niewidoczny za przyciemnioną szybą. Zula również wsiadła na tył, Khalid usadowił się obok kierowcy. Podobnie odbywało się zajmowanie miejsc w stojącej za nimi drugiej taksówce, którą wyłowili po prostu z kolejki przed hotelem: wylądował w niej Siergiej z drugim właścicielem wybuchowej kamizelki.

Kiedy wyjechali na obwodnicę i drugi samochód ułokował się im na ogonie (najwyraźniej jego kierowcy kazano po prostu jechać za poprzedzającą go taksówką), Jones zwrócił się do Pawła:

- W normalnych okolicznościach bardzo starannie zaplanowałbym nadchodzące wydarzenia. Gdzieś na jemeńskiej pustyni zbudowalibyśmy pewnie makietę odrzutowca, żeby na niej poćwiczyć. Dziś jednak sprawy ułożyły się inaczej; będziemy improwizować i powierzmy się opiece Allaha. Jeśli chcesz, możesz nazwać nas fatalistami. Wydaje mi się, że tak się nas tradycyjnie przedstawia na Zachodzie.

Paweł całkiem przekonująco udał, że nie rozumiał ani słowa z tej przemowy.

- Opowiedz mi zatem, jak wygląda terminal dla prywatnych odrzutowców w Xiamen - ciągnął Jones. - Nigdy przedtem nie miałem okazji podróżować w takim luksusie. Czy ktoś tam będzie chciał mi podstemplować paszport?

Pilot milczał.

- Mówię poważnie: muszę wiedzieć, czy czeka nas kontrola paszportowa. Czy będziemy musieli okazać jakieś dokumenty. Bo widzisz... - Tu Jones uśmiechnął się w sposób, który Zula uznałaby za uroczy, gdyby go lepiej nie znała. - Obawiam się, że mój brytyjski paszport przepadł na amen. Podobnie jak jej amerykański. - Skinieniem głowy wskazał Zulę.

- Skoro pytasz, jak to wygląda normalnie, to wyjaśnię ci, że normalnie zgłosiłbym plan lotu na lotnisko docelowe - odparł w końcu Paweł. - Wraz z listą pasażerów. Jeżeli lotnisko docelowe znajduje się w tym samym kraju, to oczywiście nie ma żadnej kontroli granicznej. Ale jeśli wylatujesz za granicę, powinieneś mieć stempel w paszporcie.

- Tylko że koleś, który lata sobie prywatnym odrzutowcem, jest pewnie zbyt zajęty,

żeby stać w kolejce po stempel. Mam rację?

- Najczęściej tak. To zależy od kraju. I trochę od lotniska.

- Rozwiń tę myśl.

- Nie każde lotnisko ma FBO...

- Słucham?

- Fixed Base Operator. Wydzielony terminal dla prywatnych odrzutowców.

- Dziękuję za wyjaśnienie.

- Jeżeli nie ma FBO, pasażerowie stoją w kolejce razem ze wszystkimi.

- A jeśli jest?

- Wtedy najczęściej załatwia się to już na pokładzie: idziesz do FBO, wsiadasz do samolotu, czekasz na urzędnika, urzędnik wsiada, liczy pasażerów, sprawdza z listą, stempluje paszporty, wysiada. Samolot odlatuje.

- Czy tutaj mają FBO?

- Naturalnie. Nasz samolot stoi tam od trzech dni.

- Jak w ogóle udało się wam wlecieć do Chin? Wszyscy macie wizy?

- Nie - przyznał Paweł.

Zula pokrótce wyjaśniła, jak tego dokonali. Jones przetrwał jej słowa.

- Co by się stało, gdybyś zgłosił plan lotu do jakiegoś chińskiego miasta, a potem poleciał do Islamabadu?

- Są miejsca, gdzie ktoś by to zauważył, i są takie, gdzie nie... - Paweł wzruszył ramionami.

- No dobrze. Jakie miasto leży mniej więcej w tym samym kierunku, co Islamabad?

- Duszanbe?

- Pytałem o chińskie miasta. Żeby nie był potrzebny międzynarodowy plan lotu.

- Rozumiem.

- Popraw mnie, jeśli się mylę, ale o ile dobrze cię zrozumiałem, po zgłoszeniu zamiaru lotu do miasta leżącego na terenie Chin straż graniczna nie musiałaby w ogóle wchodzić na pokład i stemplować nam paszportów.

- Zgadza się.

- Co zatem proponujesz?

- Urumczi? - zasugerował Paweł.

- A co powiesz na Kaszgar?

- No jasne. Kaszgar.

- Nigdy tam nie byłem, ale byłem w pobliżu - przyznał Jones. - W Tadżykistanie, z

drugiej strony granicy.

Paweł czekał.

Jones się uśmiechnął.

- Śmiem twierdzić, że jeżeli zgłosimy lot do Kaszgaru, a później ominiemy go i przeskoczmy do Islamabadu, nikt tego nie zauważy. A jeśli nawet, to i tak nie zdąży zareagować.

- To tylko kilkaset kilometrów od zachodniej granicy Chin - zgodził się z nim Paweł.

- W takim razie proponuję, żebyś wyjął laptop, czy czego tam używacie w takich sytuacjach, i załatwił tę sprawę.

- Kiedy odlot?

Jones spojrział na Pawła jak na kompletnego bałwana.

- Teraz. Właśnie jedziemy na lotnisko.

- Nie da rady.

- Jak to, nie da rady?

- Według chińskich przepisów loty trzeba zgłaszać z sześciogodzinnym wyprzedzeniem.

- Aha.

- To i tak ułatwienie, dawniej było to od trzech do sześciu dni.

Dłuższą chwilę jechali w milczeniu. Jones rozmyślał. Zula już zaczynała podejrzewać, że drzemie, kiedy się odezwał:

- Czekaliście w hotelu na Iwanowa.

- Tak - potwierdził Paweł.

- Gdyby Iwanow zgodnie z planem przyszedł dziś po was, pojechalibyście do FBO, wsiedli do samolotu... I co dalej?

- Polecilibyśmy do Calgary.

- A co jest w Calgary?

- Paliwo.

- Aha. Czyli w Calgary miał być tylko przystanek na tankowanie.

- Zgadza się.

- A lotnisko docelowe?

- Toronto. Stamtąd zaczęliśmy.

- W takim razie, czemu nie polecieć prosto do Toronto?

- Linie geodezyjne.

- Że co?

Paweł z westchnieniem wyciągnął przed siebie ręce, jakby ścisnął w nich sporą dynię.

- Zaczniemy...

- Wiem, co to jest linia geodezyjna, do cholery - przerwał mu Jones.

- Świetnie. Łatwiej będzie wyjaśnić.

- No to wyjaśnij.

- Linia geodezyjna stąd do Calgary przebiega wzdłuż wybrzeża Chin, dalej przez Koreę Południową, Sachalin, Kamczatkę, brzegiem Alaski do Kolumbii Brytyjskiej, gdzie przecina góry i dochodzi na miejsce. To bardzo popularny korytarz powietrzny, rozumiesz? Korzystają z niego wszystkie samoloty kursujące między Azją i Ameryką Północną. Nie przechodzi nad żadnymi wrażliwymi okolicami. Za to, gdyby wyrysować geodezyjną stąd do Toronto, sprawy mają się zupełnie inaczej: nad terytorium Chin docieramy do Korei Północnej, czyli początek jest fatalny. Dalej mamy kawał Syberii położony z dala od normalnych korytarzy dla ruchu lotniczego. Takiego planu lotu nikt by nie zatwierdził. Dlatego musimy lecieć grzecznie aż nad zachodnią Kanadę. Dalej jest łatwiej, ale po drodze tak bardzo oddalamy się od geodezyjnej, że musimy zatankować. Do tego najlepszym miejscem jest Calgary. I taki właśnie plan lotu złożyliśmy.

- Już złożyliście?

- Oczywiście.

- Mówisz „oczywiście” ze względu na te sześć godzin, o których wspomniałeś - domyślił się Jones. - Iwanowowi się śpieszyło. Chciał móc odlecieć w każdej chwili, co trudno zrobić, kiedy chiński rząd narzuca sześć godzin zwłoki. Dlatego plan lotu mieliście z góry przygotowany.

- Tym się właśnie zajmuję, kiedy czekam w hotelu. Taka praca.

- Czyli mógłbyś udać się w tej chwili prosto na lotnisko, wsiąść do maszyny, wystartować bez czekania i polecieć mniej więcej w kierunku Calgary.

- Nie mniej więcej, tylko dokładnie. Ale poza tym tak: na coś takiego bez problemu dostaniemy zgodę.

- Tyle że to byłby lot w sposób oczywisty międzynarodowy.

- To prawda.

- Czyli urzędnicy imigracyjni wsiedliby na pokład i chcieli nam stemplować paszporty.

- Tak.

- Wspomniałeś przed chwilą o liście pasażerów...

- Owszem. Przedstawiamy urzędnikom taki dokument.

Jones się skrzywił.

- Na pewno roi się w nim od rosyjskich nazwisk. Jest to o tyle niefortunne, że wszyscy ci Rosjanie, poza jednym, nie żyją.

- To żaden problem. Lista pasażerów to osobny dokument. Nie wchodzi w skład planu lotu, trafia do innych urzędników, nie wymaga zgłoszenia z wyprzedzeniem. Bo to jest tak, że lista zawsze może się zmienić: ktoś nagle zmieni plany i postanowi nie lecieć, albo ktoś inny dosiadzie się w ostatniej chwili. Dlatego składamy je tuż przed odlotem.

- Rozumiem. Czyli w najgorszym wypadku moglibyśmy zamącić trochę z listą pasażerów i wystartować w kierunku Kanady.

- Być może. To zależy od urzędników i paszportów.

Jones zbył wątpliwości pilota machnięciem ręki.

- Później będziemy się tym martwić. Na razie chciałbym jeszcze chwilę porozmawiać o planach lotu... - Tu znów nastąpiła dłuższa pauza, poświęcona na myślenie. - Nie, jednak będę się upierał przy międzylądowaniu w Islamabadzie. Prześledźmy wariant kaszgarski, krok po kroku.

- Wszystko zależy od tego, co planujesz po Islamabadzie. Jeżeli zamierzasz po prostu porzucić tam samolot, nie widzę przeszkód. Możemy zgłosić lot do Kaszgaru, po drodze skręcić do Islamabadu i nikt nas nie zatrzyma.

- Sęk w tym, że Islamabad nie jest celem mojej podróży. Po krótkim postoju chciałbym lecieć dalej.

- Jak krótkim?

- Dzień, może dwa. Góra trzy.

Paweł się zastanowił.

- To się może udać - orzekł w końcu.

Zastanawiał się jednak zbyt długo, czym zwrócił uwagę i obudził podejrzenia Jonesa, który wyjął teraz coś z kieszeni, opuścił rękę i zrobił coś, od czego Paweł się wzdrygnął. Zula zerknęła w dół. Światło mijanej latarni zaśniło na ostrzu przytkniętym przez Jonesa do boku dłoni Pawła.

- Dasz radę pilotować samolot bez jednego palca, prawda? - spytał Jones.

Paweł nie odpowiedział.

- Zmartwiłeś mnie trochę - ciągnął Jones. - Na moje wcześniejsze pytania odpowiadałeś bez wahania, czyli tak jak lubię. Ale na ostatnią odpowiedź musiałem długo czekać. To mi każe podejrzewać, że próbujesz grać ze mną w szachy. A ja sobie nie życzę, żebyś grał w szachy. Musisz zrozumieć, że powodzenie moich starań i twoje przeżycie to w

tej chwili jedno i to samo. Mnie byłoby bardzo przykro, a tobie okrutnie by zaszkodziło, gdybym za parę dni stwierdził, że w jakiś cwany sposób mnie wydymałeś, wykorzystując jakieś kruczki istniejące w świecie prywatnych odrzutowców, na którym kompletnie się nie znam.

- Rozważałem konsekwencje kilkudniowego pobytu w Islamabadzie - wyjaśnił Paweł.

- To godne pochwały. Pod warunkiem, że szczerze podzielisz się ze mną owocami tych przemyśleń.

- To skromne lotnisko. Nie można tak po prostu przylecieć tam prywatnym odrzutowcem i zaparkować go jak samochód w centrum handlowym. Będzie się rzucał w oczy. Pozostanie ślad.

- Na przyszłość gorąco zachęcam do informowania mnie o takich potencjalnych komplikacjach, ale sam fakt, że samolot zostanie zauważony, nie jest wcale taki najgorszy. Z Islamabadu będę chciał polecieć jeszcze tylko w jedno miejsce.

- Dokąd?

- Do dowolnego dużego miasta w Stanach Zjednoczonych. Najchętniej do Vegas, ale nie będę się upierał.

Khalid, który przez cały ten czas siedział bez słowa na przednim fotelu, rzucił teraz przez ramię coś po arabsku z angielskim wtrętem o „Mall of America”.

- Mój towarzysz uczynił bardzo celną uwagę - powiedział Jones. - Mianowicie, gdyby miało się okazać, że samolot ma za mały zasięg, żeby dolecieć do Vegas, równie dobrze może to być centrum handlowe Mall of America w Minneapolis. Tam chyba byłoby łatwiej dolecieć, prawda? To bardziej na północ.

- Zależy, jak wyglądają geodezyjne... - odparł spokojnie Paweł. - Mogę włączyć laptop?

Jones się zawahał.

- Miałem nadzieję, że da się to szybciej załatwić... Na razie mamy ważniejsze sprawy na głowie, ale potem, proszę bardzo, będziesz mógł wziąć i włączyć laptop.

Zajechali na tę samą przystań, co poprzednio. Łódź czekała w pewnej odległości od brzegu, ale zaraz podpłynęła im na spotkanie.

Pogrozili pistoletem kierowcy drugiej taksówki i kazali mu zejść na pokład. Jego miejsce za kółkiem zajął właściciel wybuchowej kamizelki, jadący z nim do tej pory jako pasażer. Bagażniki obu samochodów zostały wyładowane bagażem. Ostatni dwaj dżihadyści o bliskowschodnich rysach, którzy cały ten czas przesiedzieli na łodzi, wsiedli do drugiego wozu, obok Siergieja. Taksówki wróciły na obwodnicę, kierując się na lotnisko, a tam prosto

do terminalu dla prywatnych odrzutowców - czyli miejsca, które Paweł nazwał FBO. Wstępu na teren FBO strzegła brama ze strażnikiem, ale Paweł, ubrany w mundur pilota, najwyraźniej wiedział, co powiedzieć, bo strażnik ich przepuścił. Podjechali do samolotu. Jones, Zula i piloci od razu weszli na pokład, a reszta, pod kierownictwem Khalida, zajęła się przeładowaniem bagaży z taksówek do ładowni.

Wnętrze maszyny zostało wypucowane na wysoki połysk, doprowadzone do stanu, jakiego ludzie, których stać na takie podróżowanie, mają prawo oczekiwać. Nie zabrakło świeżych kwiatów, czekoladek i drinków w malusich lodówkach. Wyłożona boazerią kabina lśniła łagodnie w świetle pomysłowo zaprojektowanych halogenów. Po niewygodach ostatnich dni skórzane fotele przypominały czułe objęcia dziecka olbrzyma. Jones nie usiadł od razu; dłuższą chwilę spacerował w tę i z powrotem po pokładzie, na przemian pełen podziwu, rozeźlony niewyobrażalnym luksusem i chichoczący z rozbawienia.

Był akurat w kabinie pilotów, gdzie podziwiał najnowocześniejsze przyrządy, kiedy zadzwonił telefon. Spojrzał na wyświetlacz.

- No proszę... - mruknął. - Idealne dopełnienie idealnej chwili.

Otworzył klapkę, przyłożył aparat do ucha i powiedział coś słodkim tonem. Zula nie rozumiała jego arabszczyzny, ale domyślała się, że mówi coś w rodzaju „Słuchaj, stary, nie zgadniesz, skąd dzwonię!”.

Nagle Jones okręcił się na pięcie i wyszedł z kokpitu. Miał bardzo zdziwioną minę. Stanął w otwartych drzwiach samolotu, jakby próbował złapać lepszy zasięg, i przeszedł na angielski.

- Kto mówi? - zapytał.

* * *

- Sokołow - powiedział do telefonu Rosjanin. - Spotkaliśmy się wcześniej, kiedy zabiłem połowę twoich ludzi. Dziesięć minut temu zabiłem drugą połowę i zostałeś mi tylko ty, skurwysynu. Głupi kutas, który przez telefon wysyła lepszych od siebie na śmierć, a sam ucieka na lotnisko.

Siedząca przy drugiej burcie Olivia obserwowała go z zainteresowaniem i zastanawiała się, skąd wie, że jego rozmówca jest na lotnisku. Może słyszał w słuchawce ryk silników samolotu. Płynęli akurat wzdłuż północnego skraju Xiamen, gdzie znajdowało się lotnisko. Sokołow rozejrzył się i zobaczył, jak boeing 747 podrywa się ostro w powietrze i tnie nocne niebo. Ręka drgnęła mu odruchowo, jakby chciał sięgnąć po schowany pistolet maszynowy, i Olivia skuliła się na ławeczce, oczekując z mieszaniną zgrozy, zachwyty i podziwu, że Sokołow chwyci broń i spróbuje zestrzelić samolot. Na szczęście racjonalna

część jego umysłu szybko skontrolowała ten nie najlepszy pomysł.

- Ucieka jak szczur, kiedy w mieście na dole giną odważni ludzie - mówił dalej. - Prawdziwy z ciebie mężczyzna. Nadal masz Zulę? Jesteś dla niej miły? Dobrze ci radzę, Jones, bądź miły dla tej dziewczyny, bo kiedy cię znajdę, to zabiję cię szybko, jeśli okaże się, że dobrze ją traktowałeś. Ale jeśli się dowiem, że zrobiłeś jej jakąś krzywdę, zabiję cię w sposób, który nie będzie przyjemny. Wysłałem tysiąc dżihadystów do rajy na spotkanie z tymi ich dziewczynami, ale ciebie pošlę prosto do piekła.

Rozłączył się i wyrzucił telefon do wody.

Nastąpił trwający kilka długich minut okres spokoju, który Olivia postanowiła wykorzystać na poukładanie sobie w głowie wszystkiego, co się w ciągu dnia wydarzyło. Może był to z jej strony błąd; domyślała się, że tacy ludzie jak Sokołow nie tracą czasu na podobne introspekcje. Ale była to też nieodłączna część jej akademicko-analitycznego dziedzictwa, które w tym zaimprovizowanym pośpiesznym partnerstwie stanowiło jej jedyny atut. Umiejętności i talenty, jakimi Sokołow błysnął przez ostatnie pół godziny, sprawiały, że od czasu do czasu czuła się przy nim jak kawał mięcha, który Sokołow musi ze sobą taszczyć w ramach jakiegoś dziwnego rytuału otrzęsin (choć uratowała mu przecież życie, kiedy wynajęła taksówkę i przekonała sternika, żeby podpłynął do miejsca, w którym Sokołow mógł wskoczyć na pokład; zastanawiała się tylko, czy i on zdaje sobie z tego sprawę). Kusilo ją, żeby zdać się na niego i przyglądać się z boku, jak on będzie działał. Tyle tylko, że jego specjalności były użyteczne w konkretnych, bardzo specyficznych okolicznościach, które w normalnym życiu rzadko miały miejsce. Nadchodził czas, w którym Sokołow będzie tak samo bezradny i uzależniony od niej, jak ona od niego podczas ucieczki przed tajemniczymi napastnikami na Gulangyu.

Nawiasem mówiąc, widziała, co im zrobił, a mimo to, nadal nie potrafiła w to uwierzyć. Musiało się to zdarzyć naprawdę, bo upadli i już nie wstali. Na razie jednak pozostał jej tylko płaski deseń wrażeń zmysłowych namalowany na ekranie pamięci. Fakty do niej jeszcze nie dotarły, nie zostały zrozumiane, nie dostały nawet tej łaski, żeby przyznała, że naprawdę miały miejsce.

Sokołow miał zainstalowany w telefonie GPS i mapy, które studiował z wielkim zainteresowaniem, odkąd minęli lotnisko. Z rykiem silnika pędzili przez Xunjianggang, trzykilometrowej szerokości cieśninę oddzielającą wyspę Xiamen od północno-wschodniej dzielnicy Xiang'an. Cieśnina niczym lufa wycelowanego pistoletu mierzyła prosto w oddaloną o dziesięć kilometrów ciemną wyspę Kinmen, czyli Quemoy z zimnowojennej propagandy. Nie rozmawiali o tym wcześniej z Sokołowem (właściwie w ogóle o niczym nie

rozmawiali), ale nie ulegało wątpliwości, że tam właśnie się udają. Jeszcze przez minutę będą mieli terytorium ChRL na wyciągnięcie ręki, i to po obu stronach, toteż gdyby nawet ktoś śledził ich łajbę na radarze (i umiał ją dostrzec na tle olbrzymich kontenerowców i mniejszych kutrów i holowników), nie dostrzegłby w ich ruchach niczego niezwykłego. Kiedy jednak wystrzelą z Xunjiangangu na bardziej otwarte morze, zwrócą na siebie powszechną uwagę - wszystko, co leżało w tamtym kierunku, należało do Tajwanu.

Łąd na bakburcie - leżące na kontynencie Xiang'an - był rzadziej zabudowany niż ciągnące się na sterburcie Xiamen, a przy tym sięgał dalej na wschód niż wyspa i, płynąc przy nim, można było bezpieczniej zbliżyć się do Kinmen. Sokołow poinformował Olmę, że tak właśnie powinni zrobić, a ona przekazała jego polecenie sternikowi.

Sokołow przesiadł się na fotel obok sternika. Położył sobie na kolanach rozpiętą torbę, włączył latarkę, włożył ją do ust jak cygaro i poświecił do torby. Była pełna różnorakiego śmiecia, ale w jej zawartości dominował mdłoczerwony kolor chińskich banknotów o wysokim nominale.

Większość walała się luzem, mocno pognieciona. Sokołow zamieszał w nich dłonią i wyciągnął zafoliowany plik o grubości cala. Podniósł go do światła i spojrzął na sternika, żeby się upewnić, że ten go zauważył. Następnie wyciągnął torbę foliową - biały worek na pranie opatrzony logo luksusowego hotelu - wrzucił banknoty do środka i starannie zwinął worek w zgrabną paczuszkę.

Przeniósł wzrok na Olivię.

- Prowadź łódź, proszę.

- Przejmę ster - powiedziała Olivia do sternika po mandaryńsku. - Proszę się odsunąć.

Sternik nie zamierzał się ruszyć.

- Obserwuję tego człowieka już od dłuższego czasu i mam wrażenie, że nie krzywdzi ludzi, którzy nie są jego wrogami - dodała Olivia. - Wszystko będzie dobrze.

Nie spuszczać Sokołowa z oka, sternik cofnął się od przyrządów. Olivia przegramoliła się przez oparcie jego fotela i usadowiła za kierownicą. Wybrała jedno mającące w oddali światełko, obrała na nie kurs i postanowiła się go na razie trzymać.

Wyszli z cieśniny i morskie fale zaczęły targać motorówką. Na ugiętych nogach, z nisko umieszczonym środkiem ciężkości, sternik przemieścił się do ławeczki dla pasażerów. Usiadł. Sokołow uklęknął przed nim, rzucił mu pakiecik z pieniędzmi i na migi pokazał, żeby schował go do spodni. Sternik, rozdarty między skrajnym przerażeniem i bezgraniczną ciekawością, posłuchał go. Sokołow podał mu kamizelkę ratunkową i - również na migi - kazał mu ją włożyć.

- Blżej plaży, proszę - powiedział do Olivii, a ona posłusznie skrzyła ku przybrzeżnym pływaczom, które teraz, przy odpływie, rozciągały się daleko od brzegu Xiang'an i smętnie odbijały jego pomarańczowo-różowe światła.

Sternik włożył kapok i zapiął go w talii. Sokołow, niczym dowódca oddziału komandosów sprawdzający spadochron podwładnego, obejrzał go dokładnie, dociągnął pasek, a następnie przystawił sobie do żuchwy pięść z wyprostowanym kciukiem i małym palcem. Sternik zrozumiał ten uniwersalny gest i wyjął z kieszeni telefon, który Sokołow natychmiast skonfiskował.

A potem Rosjanin skinął znacząco głową i spojrział wyczekująco w oczy Chińczyka.

Sternik wcale nie chciał skakać do wody, ale wkrótce osiągnął stan, w którym wolałby się utopić, niż dłużej znosić to spojrzenie. Ścisnął dwoma palcami nos i przekoziółkował za burtę.

- Kinmen - powiedział Sokołow. - Gaz do dechy.

Olivia skrzyła kierownicę ostro na sterburtę i pchnęła dźwignię przepustnicy do oporu. Silnik zaskowyczał, motorówka skoczyła w ciemność i zaczęła z łoskotem przebijać się przez grzbiety fal. Sokołow usiadł obok Olivii i zaczął pstrykać przełącznikami na tablicy rozdzielczej, aż znalazł ten włączający światła pozycyjne.

Następnie przez chwilę koncentrował się na próbach odczytania czegoś z wyświetlacza telefonu, co bardzo utrudniały mu wstrząsy zmagającej się z falami motorówki.

- Tajwańskie wojsko ostrzela łódź? - zapytał.

- To możliwe.

- Pływasz?

- Bardzo dobrze.

- Lepiej ode mnie.

Sokołow ostrożnie przeszedł na rufę, skąd po chwili wrócił z dwoma kapokami. Jeden położył Olivii na kolanach, drugi sam włożył. Dopiero wtedy przejął ster, żeby Olivia mogła się ubrać.

Olivia nauczyła się myśleć o wyspie Kinmen jako leżącej dalej niż w rzeczywistości, ze względu na dzielącą ją od niej barierę polityczną i militarną. Jednakże wpłynięcie na jej wody terytorialne zabrało tak niewiele czasu, że ledwie zdążyli opatulić się kamizelkami, a już znaleźli się w odległości nadającej się do przepłynięcia wpraw. Sokołow na próbę puścił parę razy kierownicę i stwierdził, że motorówka sama trzyma w przybliżeniu prosty kurs.

A potem w pewnym momencie - znacznie wcześniej, niż Olivia była na to przygotowana - nagle skinął jej głową. Odpowiedziała takim samym gestem, ponieważ miała

wrażenie, że tego właśnie od niej oczekuje. Sokołow zakręcił kierownicą, odwracając motorówkę rufą do wyspy, wziął Olivię za rękę i jedną nogą stanął na nadburciu. W drugą rękę chwycił torbę, do której wcześniej przywiązał kapok. Jeszcze raz skinęli sobie głowami i skoczyli do wody.

Woda była ciepła jak na standardy oceaniczne, ale w pierwszym momencie Olivię ogarnęło przemożne uczucie zimna. Dopiero po chwili otrząsnęła się z niego i zaczęła płynąć.

Znajdowali się chyba po zawietrznej stronie Kinmen, bo fale nie były tu zbyt wysokie, za to zbiegały się z różnych kierunków i zderzały nagłymi wodnymi piramidami, które równie nagle pojawiały się i znikwały. Olivia wzięła zgrubny namiar na księżyc i płynęła, ile sił w ramionach. Najbardziej bała się, że jakiś niewidoczny prąd może ją wynieść na otwarte morze - i rzeczywiście, kiedy wyżej podniosła głowę, miała wrażenie, że przemieszczają się w bok co najmniej tak samo szybko, jak do przodu. Nie była wybitną żeglarką, była natomiast w dostatecznym stopniu Brytyjką, żeby wchłonąć w drodze osmozy co nieco specjalistycznej terminologii, takiej jak „martwa woda”, i była w zasadzie pewna, że z tym właśnie zjawiskiem mają w tej chwili do czynienia: odpływ się skończył, przypływ jeszcze nie zaczął, woda była prawie nieruchoma, ale w pobliżu Xiamen do morza uchodziły potężne rzeki, opływające wyspy w zatoce i z całą pewnością tworzące groźne prądy.

Po krótkiej huśtawce emocjonalnej uświadomiła sobie w końcu, że znajduje się w wodzie od niedawna i powinna po prostu bardziej przyłożyć się do pływania. Oboje z Sokołowem płynęli stylem bocznym, dla odpoczynku przechodząc czasem na grzbietowy. Płynąc na plecach, Olivia obserwowała helikopter, który kilkakrotnie przeleciał nad morzem bliżej Kinmen niż Xiang'anu, dżgając wodę szperaczem; najprawdopodobniej motorówka została dostrzeżona na radarze. Poczucie odsłonięcia i bezbronności było w tej sytuacji całkowicie naturalne, ale Olivia próbowała sobie wyobrazić, jak by się czuła w kabinie tego śmigłowca, nad rozciągającymi się w dole wielomilowymi połaciami ciemnej wody, z cieniutkim jak igła snopem światła reflektora. Gdyby była rozbitkiem, który marzy o tym, żeby ktoś go znalazł i uratował, pewnie wpadłaby w rozpacz, że nigdy jej nie wypatrzą. Dlaczego zatem teraz miałaby się tym martwić?

Sokołow zdjął kapok i na jakieś pół minuty zniknął pod wodą. Wynurzył się, sapiąc ciężko.

- Ze trzy metry - wykrztusił, najprawdopodobniej podając szacunkową głębokość w tym miejscu.

To nie brzmiało źle.

Pół godziny później, podczas ruchu ręki w dół otarła się o coś czubkiem palca - i nagle

okazało się, że może stanąć na dnie. Mogła to już pewnie zrobić jakiś czas temu.

Chwilę później spojrzała z góry na zaskoczoną twarz Sokołowa, który akurat płynął na plecach. Stanął w płytkiej wodzie i jedną ręką wykonał gest, który musiał oznaczać „Schyl się, idiotko!”.

Przykucnęli, wystawiając nad wodę tylko głowy, i w bladym świetle księżyca zaczęli obserwować brzeg wyspy. Olivia miała wrażenie, że widzi powyłamywane zęby olbrzymiego grzebienia.

- Zęby smoka - wyjaśnił Sokołow. - Zapora przeciwczołgowa, uniemożliwia desant. Dla nas żaden problem. Przynajmniej dopóki nie wsiądziemy do czołgu.

Żart. Olivia była zbyt roztrzęsiona, żeby go docenić.

Kiedy po strzelaniu i wybuchu wracała do domu z prowizorycznym opatrunkiem na głowie, zamierzała wczłgać się do łóżka i bardzo, bardzo długo z niego nie wychodzić. Z pewnym wysiłkiem (i nie bez pomocy Sokołowa) namówiła samą siebie na wypad do *wangba* i wysłanie wiadomości alarmowej. Przez ostatnią godzinę napędzała ją adrenalina. Kiedy jednak poczuła ziemię pod stopami i wyszła z trybu płyn-lub-zgiń, coś w niej pękło. Opadła na czworaki w płytkiej wodzie nie tylko po to, żeby mniej rzucać się w oczy, ale przede wszystkim dlatego, że nie miała siły dłużej stać. Jak prehistoryczna ryba, wypływająca na mieliznę na szczątkowych płetwach, brnęła za Sokołowem przez coraz płytszą wodę, aż w końcu dotarła na piaszczystą plażę strzeżoną przez ciągnące się w dal fortyfikacje - podwójny szereg nachylonych pod kątem pali, skierowanych w stronę morza. Zbliżywszy się do nich, stwierdzili, że każdy pal to w rzeczywistości kawał szyny kolejowej obłany masywną bryłą betonu i zaostrzony przez skośne ścięcie końcówki. W bryłach betonu zatopiono od góry masywne śruby oczkowe, które zapewne posłużyły do wyładowania ich z barki i rozrzucenia po plaży podczas jakiejś dawno zapomnianej zimnowojennej kampanii zbrojeniowej. Rdza nadgryzła stal, pąkle pogrubily ją i zmiękczyły jej kontury. Betonowe kloce poobracały się w różnych kierunkach. Sokołow miał rację, twierdząc, że nie stanowią dla nich przeszkody.

Dwa metry za tą zaporą wkroczyli do krainy zakopanych w piasku sześciokątnych bloków, które miały chyba zapobiegać erozji plaży. Tworzyły dramatycznie pofałdowany chodnik dziesięciometrowej szerokości i ciągnęły się w obie strony jak okiem sięgnąć (czyli w tych warunkach niezbyt daleko).

Dalej plaża wyglądała już całkiem zwyczajnie - tyle że żyła pod rękami Olivii: biegały po niej tysiące małych krabów, nie większych od żuków, które to wylaziły z wydrążonych w piasku otworów o średnicy ołówka, to się w nich chowały.

Zorientowała się, że zaszła za daleko, dopiero kiedy Sokołow na nią syknął.

Rozpłaszczyła się na piasku, zachwycona, że może się położyć i nie ruszać - nawet jeśli była przy tym przemoczona i zmarznięta. Kilka metrów za nią Sokołow, udrapowany na ciemnych sześciokątach chodnika, był niewidoczny nawet dla niej, chociaż wiedziała, gdzie patrzeć.

Przez kilka minut leżeli nieruchomo. Olivia, która pierwszych dreszczy dostała zaraz po wyjściu z wody, teraz dygotała już konwulsyjnie. Autentycznie szczękała zębami - pierwszy raz, odkąd skończyła cztery lata. Musiała szerzej otworzyć usta, żeby tak nie hałasować.

Światło księżyca w połączeniu z długą i cierpliwą obserwacją pozwoliły stwierdzić, że plaża kończy się długim stokiem bojowym z - jak domniemywała Olivia - piaszczystej ziemi, związanej korzeniami niskich roślinek z żółtymi kwiatami, nad którym wznosił się rząd nieregularnych, kanciastych, ciemnych konstrukcji. Kilkaset metrów od nich, z lewej strony, nad plażą górował biały bunkier zwieńczony baterią anten i reflektorów. Reflektory nie były jednak skierowane w stronę Olivii i Sokołowa i wszystko wskazywało na to, że nawet gdyby ktoś ich szukał, nie miałby szans ich tu wypatrzeć.

W końcu usatysfakcjonowany Sokołow porzucił nierówny chodnik z sześciokątów i, podpierając się na łokciach, przeczłogał się do miejsca, w którym piasek przylegał do kobierca żółtych kwiatów. Olivia ruszyła za nim. Sokołow prześlizgnął się pod stalową linką łączącą ustawione w rzędzie niskie słupki.

- Zaczekaj - powstrzymał ją.

Znieruchomiała przed linką.

Sokołow uniósł się na wyprostowanych rękach, podciągnął kolana do piersi i przysiadł na piętach. Wyjął nóż i dźgnął nim piasek. Odczekał chwilę, wyjął ostrze, posunął się kilka cali naprzód i znów wbił nóż w ziemię. I jeszcze raz. I jeszcze.

- Idź po moich śladach.

- Co robisz? - zapytała Olivia.

- Przeczytaj tabliczkę - poradził jej.

Uniósłszy się do pozycji klęczącej, spojrzała prosto w zawieszony na lince czerwony trójkąt przedstawiający czaszkę, skrzyżowane piszczele i podpis UWAGA MINY.

Ciekawe, pomyślała, czy dreszcze mogą spowodować wybuch miny.

Sokołow ciągnął za sobą torbę. Ponieważ torba nie znajdowała się jeszcze na polu minowym, Olivia podeszła do niej w kucki i wyjęła z niej spakowany wcześniej sweter. Był mokry, ale wełniany, więc i tak powinien grzać. Włożyła go i od razu poczuła się trochę lepiej. Zahaczyła sobie torbę o kolana i prześlizgnęła się pod linką, idąc dokładnie po śladach Sokołowa.

Czołganie się przez pole minowe trwało chyba z godzinę. Takie przynajmniej miała wrażenie.

- Miny bardzo stare - odezwał się w pewnym momencie Sokołow.

- To dobrze.

- Nie, to źle. Bardziej niebezpieczne.

To tyle, jeśli chodzi o rozmowę.

Jakby wyczuwając nastrój Olivii, Sokołow zagadnął:

- Możesz zadzwonić?

- Nie mam telefonu.

Zgubiła go, kiedy płynęli.

- To dobrze.

Musiała się zgodzić z Sokołowem. BBP na pewno przeszuka jej mieszkanie, ale nie znajdą tam niczego obciążającego *per se* - tylko rzeczy osobiste niejakej Meng Anlan. Wystarczy jednak trochę poszperać, żeby odkryć, że Meng Anlan nie istnieje. Dowiedzą się, że wynajęła biuro naprzeciwko epicentrum porannego zamieszania, a kiedy stanie się obiektem ich szczególnego zainteresowania, zaczną podsłuchiwać wszystkie połączenia z jej numerem telefonu. Nie miało to wielkiego znaczenia, skoro udało jej się opuścić terytorium Chin, ale nie było też sensu wysłać im sygnału „Tutaj jestem!”.

- Poszukaj w camelbaku - poradził jej Sokołow.

Nigdy wcześniej nie miała do czynienia z camelbakiem, ale domyśliła się, jak go otworzyć. W środku znalazła dwa telefony komórkowe.

- Którego mogę użyć?

- Małego samsunga.

- Czyj to aparat?

- Niczyj. Kupiony wczoraj. Nieużywany.

Włączyła telefon, który złapał słaby sygnał, zapewne z anteny po drugiej stronie cieśniny, w Xiang'an. Wpisała krótką wiadomość tekstową i wysłała ją na numer, który znała na pamięć i z którego nigdy przedtem nie korzystała. Element szkolenia. Co robić, kiedy wszystko się popieprzy. Nie używaj tradycyjnych e-maili ani numerów telefonów. Nie używaj swojej komórki. Wyślij wiadomość na ten specjalny numer, numer *Ożeż w mordę!*, którego nauczyłaś się na pamięć i który powtarzasz sobie w myślach codziennie po przebudzeniu i przed snem. Numeru *Ożeż w mordę!* możesz użyć tylko raz. Nie używaj go nigdy więcej.

Wiadomość brzmiała: POJECHAŁAM DO HAICANGU ODWIEDZIĆ BABCIE, a oznaczała: „Jestem na Kinmen. Zostałam zdemaskowana”.

Wyłączyła telefon.

Pół godziny później pole minowe się skończyło i wkroczyli w strefę bujnej zieleni, gdzie aloesy i kwitnące kaktusy obrastały stare, na wpół zagrzebane w ziemi betonowe bloki - przypuszczalnie bunkry zdolne wytrzymać ostrzał artyleryjski z kontynentu. Ich posadzki były usłane wojskowym śmieciem, ale poza tym zostały tylko koślawe, zardzewiałe uchwyty na ścianach, z których zerwano wiązki przewodów. Dalej wznosiła się lita ściana dziewiczej roślinności. Sokołow wszedł w nią i wrócił po jakimś czasie, ciągnąc gigantyczne ilości wyciętych i wyszarpanych z gąszczy zielonych pnączy. Spiętrzyli je na posadzce bunkra do wysokości połowy uda, ubrali się we wszystko, co mieli, położyli się i nakryli pozostałym zielskiem jak pierzyną. Sokołow objął Olivię, która wtuliła głowę w jego pierś. Spletli się nogami. Kwadrans później Olivia przestała dygotać i zasnęła snem tak głębokim, że graniczył ze śmiercią.

* * *

Jones niewiele mówił podczas tajemniczej rozmowy telefonicznej. Głównie słuchał. To, co usłyszał, bardzo zmieniło mu humor. Przestał się triumfalnie uśmiechać, za to coraz częściej okazywał irytację i ponaglał pozostałych, żeby wzięli się do pracy.

Do czego samolot był wprost stworzony. Główna kabina idealnie nadawała się na salę konferencyjną. W tylną ścianę wbudowano sprytnie schowany rzutnik, który wyświetlał obraz na rozkładanym ekranie na drugim krańcu kabiny. Zasłonili wszystkie okna i podłączyli laptop Pawła do rzutnika.

Dzihadyści, którzy prowadzili taksówki, odstawili je po prostu na parking przy FBO i pieszo wrócili do samolotu. Tym sposobem na pokładzie znalazło się łącznie dziewięć osób: piloci Paweł i Siergiej, Abdallah Jones, Zula, Khalid i czterech ludzi, przez Zulę nazywanych w myślach żołnierzami - ten, który przez cały dzień jeździł po Xiamen skradzioną taksówką, drugi posiadacz wybuchowej kamizelki, oraz dwóch zabranych ostatnio z łodzi. Dwaj ostatni wyglądali na młodszych - wiekiem i rangą. Z pewnością byli bardziej służalczy od pozostałych. Cała czwórka wcisnęła się do sypialni przy ogonie samolotu, zostawiając pozostałej piątce salę konferencyjną do dyspozycji. Zuli na spotkanie nie zaproszono, ale też nie kazano się jej wynosić. Zresztą, i tak nie mieliby jej dokąd wygonić. Co najwyżej mogliby ją zamknąć w toalecie.

I tak oto przed północą wrócili do przerwanej rozmowy o planach lotu i liniach geodezyjnych, tym razem dysponując pomocami wizualnymi. Paweł miał na laptopie program, który pozwalał wyliczać i wykreślać trasy lotu na kuli ziemskiej. Używał go właśnie do wytyczenia kursów z Islamabadu do różnych amerykańskich miast.

Maksymalny zasięg samolotu wynosił 10 700 kilometrów. Piloci tłumaczyli Jonesowi, że efektywny zasięg jest nieco mniejszy, ponieważ należy uwzględnić ewentualny wiatr od dziobu oraz manewrowanie w pobliżu lotnisk zarówno po starcie, jak i przed lądowaniem.

Wyglądało na to, że Islamabad znajduje się dokładnie po przeciwnej stronie globu niż Denver, czyli linia geodezyjna wytyczona nad biegunem północnym zaprowadziłaby ich prosto do celu - gdyby tylko samolot miał dostateczny zasięg. Ale nie miał. Prawdę mówiąc, obrawszy taki kurs, mogliby mówić o szczęściu, gdyby udało im się dotrzeć chociażby do Reginy w kanadyjskim Saskatchewan. Najprawdopodobniej musieliby lądować w Saskatoon, żeby zatankować.

Ta rozmowa wyraźnie popsuka Jonesowi humor. Ze złością wstał i zaczął spacerować w przejściu między fotelami, do momentu, kiedy trochę się uspokoił i zdradził pilotom pewien sekret. Przynajmniej takie sprawiał pozory, bo Zula dość się już napatrzyła na niego i jego podstępny, żeby wątpić, by kiedykolwiek szczerze podzielił się z kimś jakąś tajemnicą. Teraz stwierdził, że chce po prostu przekroczyć czterdziesty dziewiąty równoleżnik i wylądować na terytorium Stanów Zjednoczonych. Niekoniecznie na jakimś dużym lotnisku. Prawdę mówiąc, to nawet wolałby jakiś mniejszy, dyskretny port lotniczy. Na dobrą sprawę najlepsze byłoby pozbawione obsługi lądowisko w jakiejś głuszy. Chciał po prostu przemycić paru swoich ludzi do Stanów, gdzie wtopiliby się w tłum i czekali na dalsze rozkazy. Tyle że, jeśli odrzutowiec doleci najdalej do Saskatoon, to i tak nic z tego.

Nastąpiło dalsze kombinowanie z mapami i szczegółowe obliczenia, z których wynikało, że celowanie gdzieś w środek terytorium USA jest fatalnym pomysłem. Matematyka krzywych geodezyjnych była bezlitosna: z Islamabadu znacznie bliżej było do północno-wschodnich i północno-zachodnich zakątków kraju. Na tyle blisko, że może dałoby się tam dotrzeć bez międzylądowania.

Zaczęli więc wykreślać i badać krzywe geodezyjne łączące Islamabad z różnymi miastami w Nowej Anglii i na północnym zachodzie. Jones był zafascynowany dzielącymi je różnicami. Trasa do Bostonu, na przykład, wiodła nad zachodnią Rosją, Finlandią, Szwecją i Norwegią, wciskała się między Islandią i Grenlandią, przechodziła nad nadmorskimi prowincjami Kanady i nad Maine. Każde z tych miejsc budziło u Jonesa złe przeczucia. Za to, lecąc do Seattle, minęliby odludne połacie Syberii i Ocean Arktyczny, zawitali ponownie nad ląd na dalekim północnym zachodzie Kanady i ponad górzystymi pustkowiami Yukonu i zachodniej Kolumbii Brytyjskiej dotarliby do granicy amerykańskiej w odległości zaledwie kilku mil od celu. Trasa wiodła wyłącznie przez najdziksze, najbardziej bezludne rejony kuli ziemskiej. Gdyby lekko zboczyli w jedną lub drugą stronę, wylądowaliby na półwyspie

Olympic albo na górzystych pustyniach we wschodniej części stanu Waszyngton.

Kiedy zostało to ostatecznie ustalone, Jones wyzbył się wszelkich wątpliwości w kwestii dalszego postępowania.

- W Islamabadzie zgłosimy lot na Boeing Field w Seattle - powiedział. - Dolecimy tam bez międzylądowań. Ten pomysł mi się podoba, bo nie wzbudzi podejrzeń: to z Boeing Field odlecieliście ze Stanów.

- Ale gdybyśmy tam wylądowali... - zaczął Paweł.

- Aresztowaliby nas ludzie z Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego, to zrozumiałe. Tylko że my tam wcale nie wylądujemy. W ostatniej chwili zmienimy kurs, usiądziemy gdzieś na pustyni i się rozproszymy. Będziemy musieli uwzględnić w tym celu niewielką rezerwę paliwa.

- Chcesz przelecieć z Islamabadu do Seattle bez dodatkowego tankowania? - upewnił się Paweł.

- Czy nie taki właśnie był cel rozważań, którym poświęciliśmy ostatnią godzinę?

- Do tej pory wykreślaliśmy sobie trajektorie geodezyjne. To nie to samo, co przygotowanie planu lotu.

- Zdaję sobie z tego sprawę.

- Nie można tak po prostu przefrunąć sobie po geodezyjnej nad Rosją - powiedział Paweł, zaskoczony, że Jones jeszcze o tym nie wie. Wskazał czerwony łuk, który w jego laptopie biegł z Islamabadu na północ i w drodze do Arktyki rozcinał Syberię na pół. - Nie ma takiego korytarza powietrznego. Rosyjskie lotnictwo zestrzeli nas, gdy tylko przekroczymy granicę. Nie możemy tak lecieć.

- Kurde... - mruknął Jones. - Kurde, kurde, kurde. - Zastanowił się. - A gdybyśmy jakoś oblecieli bokiem rosyjską przestrzeń powietrzną?

- Od razu mogę ci powiedzieć, że na taki lot z Islamabadu do USA, który nie zahaczałby o terytorium Rosji, nie wystarczy nam paliwa.

- W takim razie polećmy z Islamabadu w jakiejś inne miejsce - zasugerował Jones. - Na przykład do Hongkongu. Tam zatankujemy i dalej polecimy już regularnym korytarzem.

- Co jest takiego ważnego w Islamabadzie? - zainteresował się Paweł.

- Nie twój interes. Ty jesteś od latania.

- Ale to ty nas potrzebujesz, nie my ciebie - zauważył Paweł, spoglądając na Siergieja, który skinął głową.

Podczas wcześniejszej dyskusji przechodzili czasem na rosyjski, żeby zamienić parę zdań. Wyglądało na to, że rozmawiali nie tylko o krzywych geodezyjnych.

- Fajnie jest tak sobie planować: z Islamabadu polecimy najpierw tutaj, potem tam, potem jeszcze gdzie indziej... Ale na razie tkwicie na FOB w Xiamen, skąd tylko my dwaj możemy was wyciągnąć.

Jones westchnął.

- Miałem nadzieję, że obejdzie się bez nadmiernej szczerości z mojej strony, ale fakty są takie, że albo zgłosicie nowy plan lotu i zabierzecie nas do Islamabadu, albo was zabijemy.

- W Islamabadzie - odparł Paweł, kompletnie niewzruszony groźbą - będą was chronić przekupieni urzędnicy. Będziecie też mogli skontaktować się z kumplami z Waziristanu, Afganistanu, Jemenu... Na pewno znajdziecie kogoś, kto umie pilotować samolot. Zabijesz nas w Islamabadzie, a potem zatrudnisz własnych pilotów.

Jones chciał chyba zaprzeczyć, ale Paweł uciszył go gestem.

- Daruj sobie - powiedział. - Nie bądź śmieszny. W Islamabadzie chcesz wziąć na pokład coś bardzo, bardzo złego, to oczywiste. Macie tam bombę atomową, broń biologiczną albo coś w tym rodzaju. Chcesz zapakować to coś do samolotu, przelecieć nim do jakiegoś miasta w Ameryce i tam go rozbić, żeby wysadzić miasto w powietrze, zatruć je albo rozprzestrzenić chorobę. Tak czy inaczej, wszyscy na pokładzie samolotu zginą. To niedorzeczne. Chyba masz mnie i Siergieja za idiotów, ale my nie jesteśmy idiotami. My rozumiemy. Pogodziliśmy się z myślą, że już jesteśmy martwi, więc po prostu zabij nas od razu. Śmiało. Zabij nas, a potem kombinujcie sobie do woli, jak wydostać się z Chin.

Przez chwilę Jones zastanawiał się, czy go nie posłuchać. Albo może po prostu potrzebował tej chwili, żeby opanować gniew.

- Rozumiem, że macie jakąś kontrpropozycję? - odezwał się w końcu. - Inny pomysł niż natychmiastowa egzekucja?

- Wyciągniemy was stąd, jak tylko uda nam się obmyślić plan, który zagwarantuje nam przeżycie. - Paweł z Siergiejem spojrzeli po sobie. Paweł skinął głową na Zulę. - Dziewczynie też.

Pierwszy raz ktoś w ogóle raczył ją zauważyć. Była za to Pawłowi dziwnie wdzięczna. Zdziwiło ją natomiast zachowanie Jonesa, który jakby zawstydzził się i zachnął. Podobną minę miał po zakończeniu tej rozmowy telefonicznej przy drzwiach samolotu.

Skąd taka reakcja?

Pewnie stąd, że faktycznie zamierzał ją zabić. A przynajmniej było mu obojętne, czy Zula przeżyje - co zupełnie mu nie przeszkadzało, dopóki była to sprawa prywatna, między nimi dwojgiem. Nie spodobało mu się, że ktoś trzeci mu o niej przypomina.

- Skoro mówimy o was i o tym, czego wy chcecie... - zaczął. - Myśleliście o tym, co

się z wami stanie, kiedy aresztują was w Chinach? Odpowiadacie za dostarczenie na terytorium Chin pewnych nader niesympatycznych jegomościów, nieprawdaż?

- Zgadza się, my też chcemy się stąd wydostać - przytaknął Paweł.

- I to zapewne jak najszybciej, ponieważ niedługo wyciągną z tamtej piwnicy trupa Iwanowa, sprawdzą, kim był, i w końcu trafią do tego samolotu, który na razie siedzi nieruchomo na lotnisku. A my w nim.

- Owszem.

- Nie możemy zgłosić lotu międzynarodowego, ponieważ wtedy urzędnicy imigracyjni chcieliby wejść na pokład i obejrzeć nasze papiery.

- Zgadza się.

- Nie pozostaje nam więc nic innego, jak zgłosić lot krajowy, odczekać sześć godzin, a potem... z braku lepszego słowa powiem tak: oszukać Chińczyków. Bo tak naprawdę jeśli chcemy przeżyć, to nie możemy wylądować w żadnym innym chińskim mieście. Dlatego będziemy musieli odstąpić od naszego pierwotnego planu i poszukać miejsca, w którym lądowanie zapewni nam choćby minimalną szansę przeżycia.

- Mniej więcej - zgodził się z Jonesem Paweł.

Jones rozłożył ręce.

- Oświećcie mnie, w takim razie, jak zamierzacie to zrobić?

Paweł wdał się w dyskusję z Siergiejem. Po rosyjsku. Widząc, że zanosi się na dłuższą rozmowę, Zula poszła do łazienki. Usiadłszy na sedesie, uświadomiła sobie, że uniknęła spojrzenia w lustro, jakby własne odbicie było wrogiem przebrany za przyjaciela, z którym wolała nie nawiązywać kontaktu wzrokowego. Zmusiła się więc do przekręcenia głowy w bok (w luksusowej łazience lustro zajmowało całą jedną ścianę), spojrzała sobie w oczy - i ze zdumieniem stwierdziła, że ma przed sobą tę samą co zawsze, starą, dobrą Zulę Forthrust. Oczywiście, trochę wymęczoną. Starszą. Ale nie taką naprawdę starszą, tylko taką, która więcej w życiu widziała. Zastanawiała się, jak postrzegają ją inni. Dlaczego, na przykład, taki Csongor za wszelką cenę chciał ją chronić? Po co Jones ciągnął ją ze sobą? Czemu Paweł i Siergiej postanowili (całkiem spontanicznie, jak się wydawało) włączyć ją do swojej umowy z Jonesem? No i najważniejsze: dlaczego Yuxia zrobiła dla niej to, co zrobiła? Nie to, że zanurkowała mikrobusem na kuter, bo to był wypadek, ale że wjechała w kufer taksówki na pomoście, obrywając przy tym poduszką powietrzną w twarz?

Przecież od rana jedynym przyzwoitym uczynkiem z jej strony była próba pomocy hakerom z trzeciego piętra. Yuxia tego nie widziała. Podobnie jak „Manu” i inni hakerzy, główni beneficjenci jej akcji. Tylko Csongor. Może to on im powiedział, jak było?

A może niepotrzebnie doszukuje się racjonalnych przyczyn, może Yuxia wcale nie wiedziała o nadanym bezpiecznikiem sygnale SOS i Zula zawdzięcza jej sympatię jakiemuś zjawisku nadnaturalnemu, takiemu jak łaska, która przenika życie ludzi, nawet jeśli nie rozumieją, dlaczego tak się dzieje.

Tym sposobem - kiedy tak siedziała na sedesie, z głową zwróconą w bok, w stronę lustra - przydarzyła jej się chwila czegoś bardzo bliskiego modlitwie. Jej wcześniejsze przemyślenia pozostały w mocy, nie była to więc modlitwa ze składaniem rącek i *Aniele Boży, stróżu mój*, lecz bardziej akt woli. Jeżeli bowiem jakaś siła wyższa, łaska, Moc, Opatrzność - cokolwiek - miała swój udział w wydarzeniach dzisiejszego dnia, to powinna teraz trafić na kuter, na którym przetrzymywano Qian Yuxię, a także wpłynąć jeszcze silniej na ciąg tajemniczych transakcji zawieranych tutaj, na pokładzie samolotu. I jeżeli świadomym wysiłkiem woli Zula mogła coś takiego sprawić, to była skłonna ten wysiłek podjąć.

Ogarnęła się, ochlapała twarz wodą i wróciła do kabiny. Paweł i Siergiej wciąż rozmawiali, przeglądając, powiększając i przesuwając rzucone na ścienny ekran mapy. Jones stał z telefonem przy jednym uchu, palcem w drugim, głupią miną i matowym wzrokiem. Powiedział coś po arabsku, przytłumionym głosem. Zuli wydał się nie tyle pokonany, ile śmiertelnie zmęczony.

Rozłączył się.

- Jesteś wolna. Możesz odejść - powiedział, patrząc jej w oczy.

- Co to ma znaczyć? - zdziwiła się. Umiała poznać, kiedy Jones popisuje się wrednym sarkazmem. To właśnie była jedna z takich chwil.

- Kuter, którym płynęła twoja przyjaciółka...

- Tak?

- Zniknął.

- Jak to?

- Normalnie. Zniknął. Przepadł bez śladu. Nie odpowiadają na wywołanie przez radio, nie odbierają telefonu, nie nadali sygnału SOS, nie znaleziono wraku.

- Skąd to wszystko wiesz?

- Pamiętasz chłopaków, z którymi rozstaliśmy się na przystani? Wrócili na wyspę. Nic tam nie ma.

Zula bardzo, bardzo chciała pokazać, jaka jest szczęśliwa, ale były inne, pilniejsze sprawy.

- Dlaczego mi o tym mówisz?

- Dlatego że to nie ma żadnego znaczenia. I tak nie wsiądziesz.

- Tak myślisz?

- Tak myślę. Wjechałaś do Chin nielegalnie. Masz powiązania z ludźmi, którzy w jeden dzień zamordowali tylu ludzi, ile normalnie w Xiamen ginie przez cały rok. Możesz się stąd wydostać tylko w jeden sposób: tym samolotem. - Jones ironicznie zamaszystym gestem wskazał Pawła i Siergieja. - W towarzystwie swoich białych rycerzy.

Rasistowski podtekst tych słów nie uszedł uwagi Zuli.

- U rycerzy kolor nie gra roli - odparła.

Pojedynek na słowa musiał jej wystarczyć, bo wiedziała, że Jones ma rację. Nie było innej drogi ucieczki.

- No dobrze - odezwał się Paweł. - Mamy plan.

- Jaki? - spytał Jones.

- Najpierw zgłosimy lot. Później będą wyjaśnienia.

- Róbcie swoje. Ja się chwilę zdrzemnę, do diabła.

DZIEŃ 5

Ciąg nerwowych i (czasami) absurdalnych nieporozumień zaowocował (po dłuższym czasie) następującym układem sił na kutrze: Mohammed (tak miał bowiem na imię pilot przy sterze) został na posterunku, prowadząc statek kursem, którym - jak twierdził - najszybciej opuszczają obszar chińskich wód terytorialnych, nie budząc przy tym podejrzeń, że płyną na Kinmen. Uzbrojony w pistolet Csongor został z nim na mostku. Miał mieć na oko na GPS i pilnować, żeby Mohammed nie próbował żadnych sztuczek. Yuxia z Marlonem i kucharzem, który przedstawił im się jako Batu, zaczęli się tymczasem rozglądać po pokładzie, żeby zaznajomić się z działaniem kutra. Imię, wygląd i akcent Batu zdradzały, że jest przedstawicielem mongolskiej mniejszości etnicznej; można się było domyślać, że na Bezduszną Wyspę trafił jako jeden z wielu imigrantów ekonomicznych. Z godnym podziwu spokojem przyjął zagarnięcie kutra przez uzbrojonych intruzów. Nowy układ odpowiadał mu chyba bardziej niż stary.

Zaczęli od wdrapania się na płaski dach nadbudówki bezpośrednio nad mostkiem. Tkwiła tam przymocowana biała kapsuła z włókna szklanego. Batu twierdził, że zawiera nadmuchiwaną tratwę ratunkową. Zniżony głos, skulona postura i lękliwe spojrzenia, którymi okraszył swoje wyjaśnienia, sugerowały niedwuznacznie, że obecność tratwy jest narzucona jakimś regulaminem i, co za tym idzie, stanowi epicentrum skomplikowanego wiru przepisów, kar, inspektorów i łapówek. Kuter nie miał żadnej szalupy ani jolki. Wyglądało na to, że w odwiedzanych przezeń portach do tego stopnia roi się od łódek, że wystarczy zamachać ręką, żeby któraś podpłynęła - nie było więc sensu wozić jolki na stałe ze sobą. Okrągła, płaska obudowa na szczycie metalowego masztu miała zawierać antenę radaru, ale Batu powątpiewał w jej sprawność. Maszt był wyposażony także w uchwyty do zainstalowania dodatkowych anten i reflektorów, z których tylko część została wykorzystana. Marlon ostrożnie obejrzał przedmioty uchodzące za anteny. Yuxia widziała, że śledzi przebieg przewodów schodzących po maszcie i znikających w otworach w dachu.

Poziom niżej znajdował się mostek i okalająca go wąska galeryjka. Do jej poręczy, na wprost przednich okien mostku, tkwiły przywiązane dwie kamizelki ratunkowe, w przeszłości jaskrawo pomarańczowe, z czasem wybielone przez słońce do odcienia żółto-karmelowego. Przeplecione przez podpory balustrady sfatygowane sznury z biało-zielonego sztucznego

włókna podtrzymywały skraj brezentowej płachty przesłaniającej większość fordeku. Właśnie pod jej osłoną, jak wyjaśniła Yuxia, odbyło się wcześniej przepakowanie i przygotowanie ładunku. Gdyby kuter był używany zgodnie ze swoim pierwotnym przeznaczeniem, tutaj właśnie rybacy mozoliliby się z sieciami, wciągali ryby na pokład i zajmowali się innymi rybackimi sprawami.

Pobieżnie obejrzeni kabiny w nadbudówce, głównie szukając w nich przedmiotów niebezpiecznych i/lub użytecznych, po czym zeszli pod pokład. Ładownia wyglądała zupełnie inaczej niż kiedy torturowano w niej Yuxię. Wtedy było w niej sporo miejsca, ponieważ cała jej zawartość była schludnie pochowana w skrzyniach. Od tamtej pory miało tu jednak miejsce jakieś wściekłe rozpakowywanie, bo wszędzie walały się przeróżne rupiecie i porozcinane kartony. Yuxia skomentowała to na głos, co doprowadziło do konwersacji z Marlonem, w której opowiedziała mu najzwyczajniej, jak umiała, o popołudniowych wydarzeniach. Pokazała też poharatane sznurem nadgarstki, czym do głębi go poruszyła. Ze zdumieniem stwierdziła, że zaszklily mu się oczy.

Postanowili zmyć się z ładowni i zostawić jej sprzątanie na później.

Batu zaprowadził ich do kambuza, gdzie dał się ponieść automatycznym odruchom i zajął się parzeniem herbaty. Widząc, jak odkręca kran i napełnia czajnik, Marlon zapytał o zapasy wody pitnej na kutrze. Batu zapewnił go, że wody mają pod dostatkiem; zbiorniki mieściły setki litrów, a on osobiście dbał o to, żeby zawsze napełnić je przed wyjściem w morze.

- Woda jest tania - wyjaśnił. - Nie to co paliwo!

Te słowa doprowadziły do oczywistego pytania - tak oczywistego, że Marlonowi, kiedy je już zadał, zrobiło się głupio, że zadaje je dopiero teraz: jaki zapas paliwa ma kuter?

Tego Batu nie wiedział, ale po jego minie dało się poznać, że może to być poważny problem.

- Pójdę na mostek, obejrzeć wskaźnik paliwa - powiedział Marlon i wstał.

Batu powstrzymał go gestem i wyjaśnił, że na takim kutrze nie ma wskaźnika. Ilość paliwa oceniało się poprzez wetknięcie patyka do zbiornika i sprawdzenie, jak wysoko się zamoczył. Marlon usiadł więc i razem z Yuxią czekał, aż zaparzy się herbata.

- Ten gość na mostku... Mohammed - zagaił Marlon. - Czy on...

- Co on? - spytała Yuxia.

- Był wśród tych, którzy ci to zrobili?

- Tak - przytaknęła krótko.

Trochę to zgasiło nastrój. Rozsiedli się wygodniej i skupili na popijaniu herbaty.

Yuxia przymknęła oczy. Otworzyła je z wysiłkiem.

- Zasypiam... - mruknęła po angielsku.

Znów przeszła na mandaryński i poprosiła Batu o większą porcję herbaty, nie taki naparstek, żeby mogła ją zanieść Csongorowi, który pewnie z trudem powstrzymuje senność.

Batu wygrzebał z siatkowej szafki kubek.

- Kiedy ostatnio tankowaliście? - zapytał tymczasem Marlon.

Batu nie umiał sobie dokładnie przypomnieć.

- Jakoś w zeszłym tygodniu przywieźli dwie beczki - odparł.

Postawił kubek na stole. Przytrzymał go jedną ręką, ponieważ kutrem zaczęło mocniej kołysać, odkąd oddalili się od brzegu i wyszli na otwarte morze, i nalał do pełna. Napelnił też imbryk.

- Dwie beczki - powtórzył Marlon. - To chyba niewiele na taką krypę?

Batu nic nie powiedział.

- Nie ma sensu tankować do pełna, dopóki nie wypływa się w dłuższy rejs - ciągnął Marlon, analizując sytuację. - A ten kuter nie wypuszczał się zbyt daleko, prawda?

- Ostatnio nie - zgodził się z nim Batu.

Przynajmniej odkąd stał się pływającą centralą komórki terrorystycznej - tak należało rozumieć jego słowa.

Yuxia dopiła herbatę, wzięła kubek dla Csongora i ostrożnie wstała z krzesła. Przeszła przez kambuz na szeroko rozstawionych nogach, amortyzując kołysanie statku, wyszła na zewnątrz i zaczęła się wspinać po drabince na mostek.

- Jak myślisz, jaki zasięg ma ta łajba? - spytał Marlon. - Wystarczy, żebyśmy dopłynęli na Tajwan?

Batu zrobił taką minę, jakby mówił: „Mongola pytasz o łódź?!”.

Usłyszeli, jak na górze Yuxia zadaje jakieś pytanie, a zaraz: potem wpada w złość i mówi coś podniesionym głosem. Rozległ się głuchy łomot, jakby ciała padającego na pokład, i trzask rozbitego kubka. Csongor krzyknął coś niewyraźnie. Dały się słyszeć dalsze łoskoty, a potem potrójny bardzo głośny huk.

* * *

Csongor wiedział, że nie powinien siadać; jeśli nie chciał zasnąć, powinien stać. Kiedy jednak kuter zaczął walczyć z dużymi falami, kołysanie pokładu dostarczyło mu jakże pożądanej wymówki. Wcześniej stał na środku mostku i patrzył przez przednie okna ponad ramieniem Mohammeda. Cały czas jednak przyzywała go ustawiona pod tylną ścianą ławeczka. Podobnie jak inne ważne na kutrze przedmioty, była przyspawana do pokładu; ci

ludzie używali spawarek w taki sam sposób, jak inni pistoletów do kołków.

Csongor powoli odsunął się od Mohammeda, na bieżąco kompensując wygibasy pokładu pod stopami, i osunął się na ławkę.

Gdzieś niedaleko usłyszał głos Yuxii. Dziwne, przecież nie było jej wcale na mostku.

Druga dziwna rzecz: miał zamknięte oczy. Nie przypominał sobie, żeby je zamykał. Kiedy je otworzył, zobaczył stojącą przy drzwiach Yuxię z kubkiem w ręce. Patrzyła na Mohammeda, którego poza zdradzała, że przed sekundą odwrócił się, zaskoczony, w jej stronę.

Zaskoczony i przestraszony.

Coś trzymał w ręce: szary plastikowy mikrofon, który zwoje czarnego kabla łączyły z elektroniczną skrzynką zawieszoną nad pulpitem sterowniczym. Zanim Csongor zamknął oczy, skrzynka była ciemna. Teraz świeciły na niej liczne diody.

Pilot rozmawiał z kimś przez radio. Albo szykował się do takiej rozmowy.

Csongor sięgnął po pistolet, zatknięty z tyłu za pasek spodni; drugą ręką odepchnął się od ławki, żeby wstać. Zdążył jeszcze zwrócić uwagę, że stopy jakoś nie bardzo chcą go słuchać.

Yuxia chlusnęła zawartością kubka na Mohammeda.

Ciało Csongora wychyliło się mocno w przód, lecz jego stopy pozostały dziwnie nieruchome i nagle zdał sobie sprawę, że za chwilę wyrznie jak długi o pokład. Odruchowo wyciągnął przed siebie ręce, żeby zamortyzować upadek; w jedną z nich zdążył już złapać pistolet. Kostki miał wykręcone w bardzo nieprzyjemny sposób. Nie dość, że szykował mu się niezręczny upadek, to jeszcze istniało ryzyko, że po drodze zahaczy Yuxię.

Upadał boleśnie, po kawałku, jak powalone przez burzę olbrzymie drzewo, które łamie się przy upadku. Pistolet wyleciał mu z ręki i znalazł się poza jego zasięgiem. Mohammed wyl z wściekłości i próbował wytrzeć zalewającą mu oczy herbatę. Yuxia cisnęła weń pustym kubkiem, a potem uklękła i podniosła pistolet. Wycelowała mniej więcej w kierunku pilota i pociągnęła za spust.

Nic się nie stało. Broń była zabezpieczona.

- Daj mi go! - wrzasnął Csongor i skinął ręką.

Yuxia popchnęła pistolet po pokładzie w jego stronę.

Mohammed pozbierał się na tyle, żeby znów wziąć do ręki mikrofon, który przez ten czas dyndał na końcu kabla. Podniósł go do ust.

Csongor odbezpieczył pistolet i napiął kurek. Wycelował w Mohammeda, gdy wtem widok w szczyrbince przesłoniła mu Yuxia, która rzuciła się przez cały mostek w stronę

pilota, usiłując wyrwać mu mikrofon. Wywiązała się szarpanina. Mohammed zdołał odepchnąć Yuxię, ale pociągnęła go za sobą, dzięki czemu Csongor mógł strzelić w radio. Jedna celna kula położyłaby kres radiowym ambicjom pilota. Wziął nadajnik na cel.

Mohammed chwycił latarkę, zawieszoną w uchwycie nad oknem, i dzielił nią Yuxię w głowę. Upadła na wznak, łapiąc się za twarz. Krzyknęła przy tym rozdzierająco, ale chyba bardziej ze złości niż z bólu. Mohammed podniósł mikrofon do ust. Csongor pociągnął za spust i ogłuchł. Pistolet go kopnął. W szybie nad radiem pojawił się otwór, po szkłe rozbiegła się pajęczyna rys. Csongor strzelił drugi raz - i wybił drugi otwór w szybie, kilka centymetrów od pierwszego. Minimalnie obniżył lufę i szybko, raz za razem, trzykrotnie pociągnął za spust.

Po wystrzeleniu pierwszej kuli Mohammed na ułamek sekundy znieruchomiał. Widząc wycelowaną mniej więcej w swoim kierunku broń, domyślił się, że Csongor mierzy w niego, i postanowił czym prędzej wynieść się z mostku. Traf chciał, że po drodze musiał przebiec przed radiem i co najmniej jeden pocisk z potrójnej kanonady trafił go w krtań. Padł jak święty.

* * *

Marlon pokonał pół drogi po schodach na mostek, ale zamarł bez ruchu, gdy przyszło mu do głowy, że za chwilę ktoś odstrzeli mu głowę. Kiedy jednak usłyszał najpierw głos Csongora, a potem także Yuxii, postanowił wejść na górę.

Csongor leżał na ziemi, wykręcony w dziwacznej pozycji. Yuxia siedziała w kącie, przyciskając krwawiącą ranę z boku głowy i popłakując. Mohammed leżał na pokładzie w wielkiej kałuży krwi, ściskając w ręce mikrofon, który poprzez napięty, biegnący prawie pionowo kabel łączył się z czarną skrzynką zainstalowaną w górnej części pulpitu. Skrzynka została przebita kulą z pistoletu, w szybie ponad nią widniały dwie dalsze dziury i siateczka pęknięć.

Mikrofon wysunął się z rozluźnionej dłoni Mohammeda i zawisł na kablu, podrygując jak zapomniane jo-jo.

Csongor zrobił coś z pistoletem, żeby go zabezpieczyć, i podczołgał się z powrotem do topornej ławeczki w tylnej części mostku. Coś było nie tak z jego kostkami. Marlon podszedł, żeby przyjrzeć się im z bliska, i stwierdził, że ktoś przywiązał je przewodem elektrycznym do zrobionych z metalowego kątownika nóżek ławki. Szpula kabla i nożyce do drutu leżały na pokładzie tuż obok.

Marlon rzucił nożyce Csongorowi, żeby ten mógł się uwolnić.

- Przysnąłem - przyznał Csongor. - Próbował użyć radia, pewnie chciał się

skontaktować z kumplami. Ale najwidoczniej bał się, że się obudzę, jak go usłyszę. Nie mógł mnie zaatakować, bo nie miał żadnej broni, więc zrobił to. Wiedział, że zdąży wysłać SOS, zanim się uwolnię i go powstrzymam. Ale przyszła Yuxia.

- Zdążyła mu przerwać?

- Nie wiem. Chyba tak.

Marlon przestąpił szeroką wstęgę krwi torującą sobie drogę po pokładzie i stanął przed Yuxią. Powstrzymując odrzę, podniósł turlającą się po podłodze umazaną krwią latarkę i włączył ją. Yuxia była przytomna, chociaż roztrzęsiona.

- Pokaż - powiedział Marlon. - Daj, zobaczę.

- Nic mi nie jest - odparła. - Naprawdę, to nic takiego.

- Daj mi obejrzyć.

- Nic mi nie jest.

- Ale ja chcę zobaczyć.

W końcu do Marlona dotarło, że Yuxia naprawdę nie przejęła się raną głowy i potrzebuje tylko odrobiny pociechy. Nie wydało mu się właściwe, żeby zacząć ją w tej chwili przytulać czy coś w tym guście, więc tylko położył jej wolną rękę na ramieniu i lekko uścisnął.

- Przyniosę lód od Batu - powiedział.

- Dzięki - odparła słabiutkim, dziecinnym głosem. Zupełnie nie jak ona.

Marlon wyszedł na galeryjkę i usłyszał dobiegający z góry głośny stukot i zgrzytanie. Batu - zamiast zostać w kambuzie, gdzie Marlon go zostawił - wgramolił się na dach. Donośny tupot sugerował, że nagle zaczął się bardzo szybko poruszać.

Ogromna biała kapsuła z włókna szklanego stoczyła się z łoskotem z góry i wylądowała za burtą. Po drodze omal nie uderzyła Marlona w głowę.

Batu przycupnął jak kot na poręczy okalającej dach. Przez jedno ramię przerzucił spłowiałą kamizelkę ratunkową.

- W ładowni jest zapas wody - powiedział. - W plastikowych beczkach. Oszczędzajcie ją, nie wiadomo, jak długo będziecie dryfować.

Odbił się z obu nóg i wylądował w wodzie dobre pięć metrów od burty.

Biała kapsuła podskakiwała na wodzie w kilwaterze kutra. Rozpękła się na dwoje i coś dużego i pomarańczowego zaczęło rozkwitać na wodzie - automatycznie napęlniająca się powietrzem tratwa ratunkowa. Batu, leżąc na kapoku, płynął pieskiem w jej stronę.

Marlon wrócił na mostek. Ostrożnie przestąpił zadziwiająco obszerną kałużę krwi, podszedł do steru i pociągnął za dźwignię przepustnicy. Zakręciwszy kołem sterowym,

skierował kuter prosto na wschód, w stronę Tajwanu.

- Dlaczego zwolniłeś? - spytała Yuxia.
- Oszczędzam paliwo.
- Uważasz, że nam zabraknie? - zaniepokoił się Csongor.
- Batu tak uważa.

* * *

W PORZĄDKU. DO ZOBACZENIA O JEDENASTEJ.

Tak brzmiała wiadomość tekstowa, którą Olivia znalazła w telefonie, kiedy włączyła go następnego dnia o 6:49 rano, sikając w gąszczu. Była to odpowiedź na wysłane wieczorem POJECHAŁAM DO HAICANGU ODWIEDZIĆ BABCIEŃ.

Prawdę mówiąc, cała wyspa była jednym wielkim gąszczem. Do sikania Olivia znalazła sobie skrawek nieco gęstszy od innych i przed przykucnięciem upewniła się, że nie czają się w nim węże ani insekty.

Do kontaktu z osobą po drugiej strony telefonu (najprawdopodobniej jej londyńskim agentem prowadzącym, który komunikował się z publiczną siecią telefoniczną poprzez niemożliwe do wyśledzenia łącze) wykorzystywała całkowicie otwarte, ogólnodostępne medium. Musieli zatem być dyskretni. Wiadomość POJECHAŁAM DO HAICANGU ODWIEDZIĆ BABCIEŃ została skonstruowana zgodnie z wcześniej ustalonym szyfrem, żeby nie budzić podejrzeń BBP, ale teraz Olivia spędziła w przysiadzie dobre dwie minuty, łamiąc sobie głowę nad DO ZOBACZENIA O JEDENASTEJ, zanim doszła do wniosku, że należy to chyba rozumieć jak najbardziej dosłownie. Kinmen miało z Tajwanem połączenie promowe (wykorzystywane głównie przez chińskich turystów) oraz lotnicze. W obecnych okolicznościach prom był bezużyteczny, ale ambasada brytyjska w Tajpej mogła z łatwością przysłać na Kinmen swojego człowieka, który spotka się z nią na lotnisku.

Trzymała w ręku dziewiczy telefon, niepowiązany ani z nią samą, ani w ogóle z nikim konkretnym, w dodatku i tak już znajdowała się na terytorium Tajwanu, bez wahania połączyła się więc z Internetem i sprawdziła rozkład lotów. O 10:45 przylatywał samolot z Tajpej.

Nie zastała Sokołowa w bunkrze, ale rozejrzawszy się po okolicy, dostrzegła go na skraju pola minowego. Patrzył ponad plażą w stronę Xiamen. Spojrzał na zegarek i odwrócił się do Olivii.

Wzięła go za rękę, a kiedy nie próbował się uwolnić, pociągnęła za sobą i zaczęła iść.

Wrócili do bunkra. Nie patrząc na Sokołowa, wspięła się na palce, objęła go za szyję, żeby nie stracić równowagi, i ostrożnie dotknęła wargami jego warg. Serce waliło jej jak

młotem, bardziej ze strachu niż z namiętności, bo bała się, że Sokołow ją odepchnie; że w nocy nie wykorzystał nadarzającej się okazji, bo po prostu nie jest nią zainteresowany. Kiedy jednak położył jej dłoń na pośladkach, stało się jasne, że po prostu czekał na przyzwolenie.

Zastanawiała się, jak to będzie, kochać się na wygniecionym po nocy posłaniu z pnączy, ale okazało się, że niepotrzebnie się martwiła, bo zrobili to na stojąco; musiała tylko oprzeć się plecami o ścianę. Po miesiącach ciężkiej pracy w Xiamen, wypełnionych strachem i samotnością, było jej tak dobrze, że z wdzięczności znalazła się o krok od płaczu i hysterii. Sokołow zaś, opuściwszy ją delikatnie w dół, opadł na podłogę, zamortyzował upadek uderzeniem obu rąk i legł jak ukrzyżowany w padających przez drzwi promieniach słońca.

- Nie jestem już biednym wyruchanym Rosjaninem - powiedział po jakichś dziesięciu minutach.

- Muszę ci coś powiedzieć, kotku...

- Nie. Nawiązuję do wczorajszej rozmowy. W mieszkaniu.

- Wydostałeś się z Chin, to fakt, ale...

- Nie. Mam użyteczne informacje.

- Serio.

- Tak.

- Jakie to użyteczne informacje?

Olivia Halifax-Lin, wasz szpieg, to beznadziejna zdzira.

- Informacje, którą mogą ułatwić twoim pracodawcom znalezienie Abdallaha Jonesa.

- Aha.

Sokołow podkulił nogi i dźwignął się do półprzysiadu. Sięgnął po spodnie, które podobnie jak reszta garderoby pofrunęły niedawno po krzywej balistycznej i znieruchomiały w punkcie zderzenia. Wstał i je włożył.

- Dostałaś wiadomość, prawda?

- Skąd wiesz?

- Poczulem wibracje telefonu.

Uprzejmie odwrócił wzrok, gdy Olivia wstała i przeprowadziła operację poszukiwawczo-ratunkową, której obiektem było jej ubranie. Chodząc po posadzce bunkra bosymi, brudnymi stopami myślała o tym, ile pieniędzy i wysiłku poświęcała codziennie na pielęgnację urody - i jak kompletnie nie miało to znaczenia w przypadku dwóch ostatnich jej znajomości o charakterze erotycznym.

- Dlaczego wcześniej mi nie powiedziałaś?

- Bo się ruchaliśmy.

- Nie o to chodzi. Dlaczego nie powiedziałeś mi wczoraj?
- Bo wczoraj jeszcze nie miałem tych informacji.
- Jakim cudem udało ci się czegoś dowiedzieć dziś rano?
- Niech to pozostanie tajemnicą - odparł Sokołow. - Na razie.

Zadarł jednak głowę, jakby odpowiedź na to pytanie była wypisana na niebie nad Xunjiangangiem.

* * *

Zulę obudziły wstrząsy i podskoki samolotu. Odczuwała zarówno nadzieję, jak i lęk, że padli ofiarą natarcia policji, ale gdy tylko otworzyła oczy, zobaczyła przemykające za oknem domy i nieruchome samoloty. Słońce wisiało nisko nad morzem i świeciło jej w oczy.

Znajdowała się w samolocie (albo innym pojeździe), który cholernie szybko się poruszał. Nie wiedziała nawet, czy startuje, czy ląduje.

Jakim cudem był już dzień? Musiała przespać kilka godzin.

Fakt, że leżała w ogromnym, dwuosobowym łóżku, wcale nie pomógł jej ogarnąć sytuacji.

Ziemia zostawała w tyle, bez dwóch zdań.

Po kolei. Była w samolocie. Samolot startował. Musiała być siódma, może ósma rano. Łóżko znajdowało się w prywatnej kabinie w tylnej części samolotu. W kabinie Iwanowa. Czowała na poduszce zapach jego olejku do włosów.

Miastem w dole było Xiamen. Wyglądając przez okno po prawej stronie, widziała w odległości mili lub dwóch zatokę, w której dzień wcześniej Csongor stawiał czoło Jonesowi; gdzieś na jej dnie spoczywały mikrobus Yuxii i rozbita taksówka. A kilka mil dalej w tym samym kierunku, po drugiej stronie cieśniny, znajdowała się większa z dwóch tajwańskich wysp - Zula doskonale widziała długą plażę najeżoną umocnieniami przeciwczołgowymi i wyłożoną błyszczącymi sześciokątami.

Wkrótce po oderwaniu się od ziemi samolot skręcił ostro w prawo, odsłaniając jeszcze lepszy widok na tajwańską wyspę Kinmen, zatoczył nad nią szeroki łuk i, wznosząc się szybko, skierował się na południe. Po paru minutach kolejny skręt wprowadził ich na bardziej południowo-zachodni kurs. Po lewej stronie było widać już tylko ocean, za to po prawej ciągnął się chiński ląd, od którego stopniowo się oddalali.

Musiała zasnąć na fotelu około pierwszej w nocy, kiedy tamci jeszcze dyskutowali o planach lotu. Ktoś przeniósł ją do sypialni na rufie i ułożył w łóżku. Czterej „żołnierze”, którzy wcześniej tu odpoczywali, najwyraźniej zostali wyeksmitowani do głównej kabiny. Może w pewnym momencie postanowią ją zastrzelić, ale musiała przyznać, że na razie bardzo

dbają o jej prywatność.

Jedną rzecz zapamiętała bardzo dobrze: sześć godzin. Tyle czasu zajmowało zatwierdzenie planu lotu krajowego w Chinach. Paweł musiał złożyć plan do akceptacji mniej więcej wtedy, kiedy zmorzył ją sen. Najwyraźniej dopiero przed chwilą dostali zgodę na start.

* * *

Zaczęli planować dojazd na lotnisko. Olivia ściągnęła na telefon mapę, z której wynikało, że znajdują się zaledwie trzy kilometry od niego.

Zaproponowała, żeby po prostu pójść tam piechotą, najkrótszą możliwą drogą. Ciągnąc za sobą niechętnego i pogrążonego w myślach Sokołowa, ruszyła przez gąszcz w głąb wyspy. Szybko przebyli wąski, jak się okazało, pas lasu na północnym skraju Kinmen i wyszli na płaski teren uprawny, pocięty kratownicą bitych dróg. Dwieście metrów od nich, z prawej strony, znajdowała się złożona z dwudziestu ciasno upakowanych domów osada. Cofnęli się instynktownie i zaczęli ją obchodzić szerokim łukiem, dopóki nie wyrosła przed nimi następna, większa wioska. Skręcili na przełaj na południe i wkrótce natrafili na szeroką drogę biegnącą ze wschodu na zachód. Nie było w tym nic niezwykłego, wyglądało bowiem na to, że populacja Kinmen skupia się głównie na jej (szeroko rozumianych) wschodnich i zachodnich krańcach, toteż kilka łączących je dróg wciskało się w wąską talię wysepki, którą Olivia i Sokołow przecinali w tej chwili w poprzek - skalistą grzędę porośniętą kępami drzew, a w najwyższym punkcie upstrzoną kopułami zimnowojennej stacji radarowej.

Wyspa miała znacznie dzikszy charakter niż stały ląd majaczący kilka mil dalej, po drugiej stronie cieśniny - przynajmniej wedle chińskich standardów, bo Olivia i Sokołow stale mieli w zasięgu wzroku przynajmniej jeden dom. Rowerzyści mijali ich pojedynczo i dwójkami, spoglądając na nich z zaciekawieniem. Olivia miała ochotę zignorować ich i po prostu iść przed siebie, ale Sokołow był wyraźnie skrępowany. Po przekroczeniu drugiej drogi wschód-zachód zauważył jakiś ciek wodny w cieniu drzew. Pociągnął Olivię w tę stronę.

Był to rów melioracyjny albo po prostu uregulowany strumień, przepływający przez betonowy przepust pod drogą. Sokołow rozejrzał się po otaczającym ich płaskim jak stół terenie. Byli tu całkowicie odsłonięci.

- Dobre miejsce na spotkanie - mruknął.

Olivia zdała sobie sprawę, że odkryty teren to broń obosieczna - byli z daleka widoczni, ale też nikt nie mógł się tu niepostrzeżenie zakraść i ich zaskoczyć.

Zagłębili się w nadwodne zarośla i ruszyli wzdłuż strumienia, przemieszczając się ponad dwa razy wolniej niż dotychczas. Przeszli prawie kilometr na południe, pod górę,

zanim wąziutki pas zieleni rozlał się szerzej i zmienił w las, który dalej łączył się z gęstym kobiercem drzew porastającym skalny kręgosłup wyspy.

W nocy skończyła im się woda do picia, a Sokołow ze względów ostrożności wolał nie zbliżać się do miejsc, w których mogliby kupić nowy zapas.

- Zaczynam się odwadniać - zauważyła w pewnym momencie Olivia, ale kiedy Sokołow odwrócił się do niej i posłał jej dziwne spojrzenie, postanowiła nie wracać więcej do tej sprawy.

Położenie lotniska stało się oczywiste. Znaleźli się dostatecznie wysoko, żeby móc śledzić wzrokiem podchodzący do lądowania samolot, który po chwili zniknął po drugiej stronie grani. Olivia spojrzała na zegarek: to był lot o 10:45 z Tajpej. Instynkt grzecznej dziewczynki kazał jej pędzić na lotnisko, żeby zaimponować łącznikowi punktualnością.

Ale Sokołow nie chciał o tym słyszeć.

- Poczeka - zauważył.

- Ale...

- Nie jesteś tu po to, żeby mu robić dobrze.

Temu nie mogła zaprzeczyć.

Sokołow przejął władzę nad telefonem i Olivia zerkała mu przez ramię, gdy przez dobre kilka minut oglądał mapę. Potrzebował jej pomocy lingwistycznej, żeby zlokalizować przystań, na którą przyływały regularne promy z Xiamen. Olivia znalazła ją na południowo-zachodnim koniuszku wyspy, skąd najbardziej oczywista trasa na lotnisko wiodła najgrubszą z kilku wschodnio-zachodnich dróg. Jeszcze jej nie przekroczyli, ponieważ biegła południowym zboczem centralnej grzędy.

Od lotniska dzielił ich w tej chwili niespełna kilometr, tysiąc długich kroków. Mimo to, Sokołow uparł się, żeby dalej ruszyć na wschód, oddalając się od przystani. Brnąc przez najtrudniejszy możliwy teren i przemykając górskimi drózkami, dotarli w pobliże dużego skrzyżowania. Sokołow znalazł sobie dogodny i dobrze ukryty punkt obserwacyjny, Olivii zaś kazał zejść na dół i złapać autobus, żeby na lotnisko dotarła „jak normalny człowiek”.

- Do zobaczenia w miejscu spotkania - powiedział jeszcze.

- Kiedy?

- Kiedy tam dotrzesz.

Olivia ostatni raz spróbowała doprowadzić się do jakiegoś takiego porządku, odczekała do momentu, gdy nikogo nie było widać, i wyszła spomiędzy drzew, wlokąc za sobą czterometrowy kawał kwitnącej liany, który dopiero po chwili zauważyła i odrzuciła kopniakiem. Autobus przyjechał po trzech kwadransach i zabrał ją w podróż, która na

piechotę zajęłaby jej dziesięć minut.

Czekając na skrzyżowaniu, przypomniała sobie o telefonie, którego używała, i znalazła na ekranie nową wiadomość: WYSZEDŁEM NA ZAKUPY SZUKAM PREZENTU ŚLUBNEGO DLA SIOSTRZENICY. CHYBA PRZYDAŁBY SIĘ JEJ NOWY NÓŻ KUCHENNY.

„Nóż kuchenny” i „prezent ślubny” nie miały ustalonych odpowiedników w szyfrze. „Wyszedłem na zakupy” sugerowało, że łącznik postanowił opuścić lotnisko i udać się gdzie indziej - tylko że Olivia nie miała pojęcia gdzie dokładnie. Zresztą, pierwszy autobus, który przyjechał, i tak jechał na lotnisko. Wsiadła. Z kilku wolnych miejsc siedzących wybrała takie przy przejściu, woląc nie pokazywać się w oknie.

Nadal głowiła się nad znaczeniem esemesa, gdy autobus zatrzymał się przed terminalem i ze środka wysiadło około dwudziestu osób - miejscowych, głównie pracowników lotniska. Ledwie spojrzała w głąb terminalu, w jej głowie rozdzwoniły się wszystkie możliwe dzwonki alarmowe. Wszystkie złe rzeczy, przed którymi ją ostrzegano, były tu widoczne czarno na białym, jak na szpiegowskim filmie szkoleniowym, którego scenariusz miał specjalnie uwzględniać najgorsze z możliwych okoliczności. Przy każdej ławce, knajpce i bramce z wykrywaczem metalu kręciło się dwóch czujnych facetów, udających, że są bez reszty zajęci swoimi telefonami. Niektórzy nosili ciemne okulary - mimo że przecież pracowali w budynku.

Zobaczyła na własne oczy, że sprawdziły się przewidywania Sokołowa: chińskie BBP przysłało porannym promem tabun swoich zbirów w cywilu, a ci obleźli lotnisko i wszystkie inne miejsca, w których Sokołow i Olivia mogli się pojawić. Wypatrywali białego mężczyzny, szczególną uwagę zwracając na białych mężczyzn, którym towarzyszy Chinka.

Nie była pewna, co mogliby zrobić, gdyby zobaczyli ich razem. To już było terytorium tajwańskie, nie mieli prawa ich tu aresztować. Publiczna strzelanina wydawała się mało prawdopodobna. Z pewnością mogliby ich obfotografować i później narobić im przykrości.

Jej łącznik na pewno doszedł do podobnych wniosków. Dlatego postanowił ewakuować się z lotniska.

Zamiast wysiąść z autobusu, osunęła się głębiej na siedzeniu i zerknęła na zewnątrz ponad dolnym skrajem brudnej szyby. Krępy mężczyzna w średnim wieku, w opiętym garniturze i lustrzanych okularach, stał oparty o gablotę reklamową. Palił papierosa i gniewnym tonem warczał coś do telefonu. Kiedy autobus ruszył, Olivia zwróciła uwagę, że w gablocie są wystawione sztuczne - tradycyjne chińskie noże w kształcie tasaków. Ten widok w

końcu ożywił jej pamięć. Wyspa znajdowała się w zasięgu ostrzału artyleryjskiego z Xiamen i w latach pięćdziesiątych XX wieku na jej terytorium spadło pół miliona pocisków odłamkowych. W ciągu następnych dwóch dziesięcioleci ich śladem podążyło pięć milionów kapsułek z ulotkami propagandowymi. Miejscowi rzemieślnicy wykopywali je z ziemi i z uzyskanej z nich stali robili tasaki.

* * *

Fabryka noży doskonale nadawała się na spotkanie, jeśli ktoś niepokoił się możliwością podsłuchu. Była to olbrzymia hala przemysłowa, zawałona tysiącami starych, zardzewiałych skorup o kształcie pocisku i rozmiarach arbuza. Robotnicy cięli je na fragmenty wielkości paczki papierosów za pomocą pił tarczowych, które były jak dusze potępione, tryskając na wszystkie strony białymi skrami piekielnego ognia. Po rozklepaniu mechanicznym młotem kawałki stali trafiały do huczącego pieca, gdzie poddawano je obróbce cieplnej. Później szlifierki, które wyglądały (i brzmiały) tak, jakby mogły w mgnieniu oka urwać człowiekowi palec, formowały z hartowanej stali ostrza i wygładzały je do połysku. Praktyka przerabiania pocisków na sztucce była na tyle niezwykła, że fabrykę można było zwiedzać. Olivia dołączyła do pięcioosobowej grupy przybyszów z Tajwanu, którzy przylecieli na Kinmen, żeby popodziwiać widoki i kupić noże.

Dojazd do fabryki zajął jej wystarczająco dużo czasu, by zdążyła przetrwać wszystkie implikacje tak licznej obecności policyjnych zbirów na lotnisku. MI6 miało aż nadto powodów, żeby chcieć bezpiecznie przewieźć ją do Londynu, więc o siebie nie musiała się martwić. Co innego Sokołow. Nikt z MI6 nie wiedział jeszcze, w jaki sposób dotarła na Kinmen. Nie mieli pojęcia, że ma towarzysza podróży. A odkąd znalazła się na terytorium tajwańskim, Sokołow stał się - żeby użyć brytyjskiego niedopowiedzenia - niewygodny. Tyle że, gdyby go tu zostawiła (co byłoby łatwe), do końca życia musiałaby unikać luster.

Gdyby rzecz działała się w okresie zimnej wojny i Sokołow był potencjalnym zbiegiem zza żelaznej kurtyny, może obmyśliliby jakiś przekręt, żeby wywieźć go na Zachód i tam zorganizować mu życie od nowa - w zamian za to on dostarczyłby im bezcennych wojskowych danych wywiadowczych. Tymczasem z tego, co zdołała się o Sokołowie dowiedzieć, wynikało, że pomieszkiwał po trochu w Toronto, Londynie i Paryżu i raczej nie znał sekretów, o których MI6 jeszcze by nie wiedziało.

- Meng Anlan?

Mężczyzna był Chińczykiem - a przynajmniej wyglądał na Chińczyka: zwalisty facet po pięćdziesiątce, w ciemnych okularach i krzykliwej koszuli turysty, którego nic a nic nie obchodzi, że wszyscy wiedzą, że jest turystą. Obserwował ją zza tych okularów.

Spojrzała na niego, nic nie mówiąc. Jeśli nie był pewien...

- Pozwoli pani, że się przyłączę? - zaproponował.

A właściwie wykrzyczał, bo stali akurat dwa metry od jednej z tych pił tarczowych. Wyglądało na to, że będą rozmawiali po mandaryńsku z fujiańskim akcentem. Olivia nie miała nic przeciwko temu.

Zrównali krok i rozpoczęli powolną procedurę zostawiania coraz dalej z tyłu za resztą zwiedzających. Nieznajomy niósł torbę na ramieniu. Olivia po cichu liczyła na to, że trzyma w niej jedzenie, ale to nie był dobry moment, żeby zapytać.

A zresztą... Raz kozie śmierć.

- Masz coś do jedzenia? Cokolwiek: batonik, orzeszki...

Po drodze udało jej się kupić wodę, ale od blisko dwudziestu czterech godzin nic nie jadła.

- Najmocniej przepraszam - odparł po angielsku.

Pogrzebał w torbie i w końcu udało mu się z niej wyciągnąć torebkę migdałów.

- Śmierząca sprawa - zagaił, kiedy Olivia zaczęła je pośpiesznie wpychać do ust. Jego akcent zdradzał, że wychował się w Anglii.

- Na pewno różni ludzie wpadli w furję, ale możemy zająć się tym później?

- Głodna łatwo się irytujesz.

- To nie głód. To niepewność, co będzie dalej.

- Nic ci nie grozi. Jesteś bezpieczna. Wrócisz do domu. Trzeba to jednak załatwić w taki sposób, żeby nie urazić uczuć tamtych. - Mężczyzna skinął głową w stronę kontynentu, którego wprowadzie stąd nie widzieli, ale jego cień sięgał daleko. - Obserwują promy. I przystanie. Gdybyś tak po prostu wmaszerowała na pokład samolotu i odfrunęła do Tajpej, odebraliby to...

- Jako poniżenie.

- Podobno było naprawdę dużo trupów.

- Cztery, ściśle rzecz biorąc.

- Cztery u ciebie w mieszkaniu. A tamten blok mieszkalny? Już zapomniałś?

- Pamiętam doskonale.

- Co się tam stało, na miłość boską?

- Długa historia. Kiedy indziej.

- Tu się zgadzamy.

- Wybacz, jeśli nadmiernie koncentruję się na detalach czysto praktycznych, ale jak niby mam wsiąść do samolotu, żeby to nie wyglądało tak, że „wmaszerowałam na pokład”?

- Fałszywe nazwisko. Zmiana wyglądu. I polecimy razem.

- Myślisz, że dadzą się nabrać?

- Prawdę mówiąc, tak właśnie myślę, ale nawet jeśli nie, to chodzi o to...

- Żeby nie urazić ich uczuć.

- Otóż to. - Mężczyzna (w jakiś sposób pominęli etap oficjalnej prezentacji) przysunął się do niej i przełożył torbę na jej ramię. - Ubranie - powiedział. - Pieniądze. Brytyjski paszport, oczywiście nie na twoje nazwisko. Prawdziwy róg obfitości środków higienicznych. Do tego parę drobiazgów.

- Może jakaś książka? Czy to już by był nadmiar szczęścia?

Parsknął śmiechem.

- Już się martwisz, co będziesz robić w samolocie do Londynu?

- Mniejsza z tym. Będę spała jak zabita.

Mężczyzna na chwilę skoncentrował się na wycieczce i słowach przewodnika, podziwiając napędzany hydraulicznie młot spadowy, który łomotał kawał rozpalonej stali przytrzymywany w szczypcach przez półnagiego robotnika.

Zaraz jednak znów zwrócił się do Olivii:

- Oczywiście jest wiele pytań.

- Oczywiście.

- W swoim czasie będziesz musiała na nie odpowiedzieć.

- Domyślam się.

- Jest jednak jedno takie, które kazano mi zadać od razu, na wypadek gdyby potem coś miało się nie udać.

- Gdyby, na przykład, wyszło mnie z samolotu.

- Fala monstualna. Uderzenie meteorytu.

- Rozumiem. Co to za pytanie?

- Kto zabił tych ludzi u ciebie w mieszkaniu?

Nie odpowiedziała.

- Ty?

Prychnęła.

- Nie wyglądasz nam na takiego szpiega. Nie ten typ.

- Zgadza się. To nie byłam ja.

- W takim razie, kto?

- Zmarnowałeś swoje jedyne pytanie na coś, o czym musiałabym opowiadać przez półtora dnia, żeby udzielić porządnej odpowiedzi.

- Czy powinniśmy się nim martwić? To tylko bezpodstawne domniemania z mojej strony, ale przypuszczam, że w grę wchodzi chromosom igrek, dlatego używam męskiego zaimka osobowego. Czy powinniśmy się niepokoić, że w najbliższym czasie mogą z jego ręki zginąć kolejni Chińczycy? W Chinach?

- To chyba nie byli Chińczycy, ale odpowiedź brzmi: nie. Nawiasem mówiąc, nie jest Brytyjczykiem.

- To dobrze. Aha, jeszcze jedno...

- Powiedziałeś, zdaje się, że masz tylko jedno pytanie.

- Kiedy się już zaczniesz, trudno się powstrzymać.

- W takim razie słucham.

- Gdzie jest Abdallah Jones?

- W tej chwili może być w dowolnym miejscu na świecie. Wczoraj wieczorem był na jakimś lotnisku.

- Co za pech.

- Istotnie.

- Na jakimś lotnisku? Ciekawy dobór słów...

Wzruszyła ramionami.

- Skąd wiesz, że był na jakimś lotnisku?

Nadeszła chwila, której się obawiała. Ale przecież nawet nie wiedziała, kim jest ten facet ani jaką ma władzę; co może dla niej zrobić, a czego nie. Instynkt jej podpowiadał, że to tylko pośrednik między nią i kimś w Londynie.

- Pan Igrrek - odparła.

- Ten od chromosomu?

- Tak.

- Zamieniam się w słuch.

- Pan Igrrek rozmawiał z Jonesem przez telefon.

- To musiała być ciekawa konwersacja.

- Ta jej część, którą wypowiedział pan Igrrek, z pewnością taka była. Zorientował się, że Jones jest na lotnisku. Podejrzewam, że usłyszał w słuchawce ryk silników albo polecenie „Zapiąć pasy”.

- Na tym jednak kończy się wiedza pana Igreka?

- Ciekawe, że o to pytasz... Bo pan Igrrek twierdzi, że w tej chwili ma już więcej informacji. I że są to informacje, które mogą być pomocne przy ustalaniu nowego miejsca pobytu Jonesa.

- A gdzie jest pan Igrek? Ukrywa się gdzieś w Chinach?

- Pewnie obserwuje cię w tej chwili zza krzaka. Ale lepiej się nie oglądaj.

- Nie zamierzam. Wprost nie umiem wyrazić, jak bardzo się cieszę, że ma dość rozumu, żeby się nie wychylać.

- To człowiek wszechstronnie utalentowany.

Te słowa sprowokowały zaciekawione, badawcze spojrzenie, a Olivia na wspomnienie porannych działań w bunkrze poczuła, że się czerwieni; miała nadzieję, że jej rozmówca złoży rumieniec na karb buchającego jej w twarz żaru z pieca do nawęglania. Pośpieszyła z ciągiem dalszym:

- Gdybyście chcieli mi umożliwić bezpieczne opuszczenie Tajwanu, co osobiście doradzam i zalecam, mogę zaaranżować spotkanie z nim i przekazać mu stosowne informacje.

- Nie mam gotowego paszportu dla dżentelmena odpowiadającego jego rysopisowi, co zrozumiałe, jeśli wziąć pod uwagę, że tego rysopisu nie znam. A nawet gdybym miał, to, żeby w takim dniu jak dziś biały mężczyzna mógł się przedostać na lotnisko i wsiąść do samolotu...

- Rozumiem. Sprawa jasna.

- Ale skoro o paszportach mowa...

Olivia nie od razu chwyciła aluzję, ale w końcu zrozumiała, o co chodzi, i wyjęła z kieszeni swój chiński paszport. Wart milion dolarów paszport Meng Anlan. Mężczyzna wziął go od niej i jednym ruchem nadgarstka posłał prosto w czeluść pieca. Paszport buchnął ogniem zanim zdążył spaść na palenisko. W kilka sekund nie został po nim żaden ślad.

- Żegnaj, Meng Anlan. Witaj, kimkolwiek jesteś, osobo z nowego paszportu. Już zapomniałem.

- Oczywiście bardzo się cieszę, że możecie wywieźć za granicę tę nową osobę, którą się stałam. Wolałabym jednak nie opuszczać wyspy, dopóki nie dowiem się, co się stanie z panem Igrekiem. Zdaję sobie sprawę, że nie możesz mi załatwić paszportu, ale może...

Pokiwał głową.

- Prawdę mówiąc, mamy plan awaryjny.

- Naprawdę?

- Tak. Jesteśmy dobrzy w te klocki. To taka sztuczka w starym stylu. Zimnowojenna. Twojemu koledze może się spodobać.

- Kieszonkowy okręt podwodny?

- Lepiej: kontenerowiec. Widać go z północnego skraju wyspy, kotwiczy na redzie. Panamska bandera, filipińska załoga, tajwański właściciel. W Xunjiangangu bierze na

pokład nowy ładunek.

Olivia wiedziała, że Xunjianggang to jeden z portowych rejonów Xiamen; nocą przepływali przez niego z Sokołowem.

- Za kilka godzin wypływa do portu kontenerowego w Long Beach. Mieliliśmy nadzieję, że uda się załatwić coś do Sydney, byłoby szybciej, ale najważniejsze to wydostać ciebie i twoją nieprzeciętnie zabójczą świtę jeszcze dzisiaj, zanim Chińczycy jeszcze bardziej się wściekną. Dlatego padło na Long Beach. Zajmie to jakieś... dwa tygodnie.

- Jak to zrobimy?

- Powinien przedostać się na statek tuż po zmroku. Będziecie to musieli załatwić na własną rękę, ale byłoby miło, gdybyście przy okazji nie usłali plaży trupami. Kiedy statek zacznie wychodzić z Xunjiangangu, powinno się wam udać podpłynąć do niego i wejść na pokład. Byle tylko nikt was nie zobaczył.

- Jak to, nikt nie zobaczył? To jakiś żart?

- Od strony lądu. Musicie podpłynąć od sterburty.

- Na pokładzie będą na to przygotowani?

- Dobrze by było, biorąc pod uwagę, ile im zapłaciliśmy.

* * *

Resztę nocy przeznaczili na zapoznanie się z fizyką kutra, co przyszło im tym trudniej, że wszyscy troje nie spali już od prawie dwudziestu czterech godzin.

Trzeba się było pozbyć ciała Mohammeda - czyli wyrzucić je za burtę, co wydawało się czynem okropnym i haniebnym. Przez jakiś czas udawało im się odwlekać decyzję, ale nie było mowy, żeby na dłuższą metę dzielili mostek z trupem. W końcu, po długich wahaniach i wykrętach, Csongor poszedł poszukać czegoś, co byłoby dostatecznie ciężkie, żeby pociągnąć zwłoki na dno, a zarazem dostatecznie lekkie, żeby dało się swobodnie przenieść. No i żeby nie było im potrzebne. Zadowolił się skrzynką z nabojami kalibru 7,62 milimetra, których kilkanaście wałało się po ładowni. Podłożył ją Mohammedowi pod kostki i uniósł mu nogi, żeby Yuxia mogła owinąć jedno i drugie folią do pakowania palet, po czym wywlókł trupa na pokład, dźwignął i przełożył przez poręcz. Zwłoki znieruchomiały na chwilę w tej pozycji. Csongor pomyślał, że chyba należałoby coś powiedzieć, ale doszedł do wniosku, że na taką okazję nie zna słów, które dla Mohammeda i jego kumpli nie byłyby skrajnym świętokradztwem. Zepchnął więc ciało za burtę. Foliowe więzy wytrzymały. Zwłoki zniknęły pod wodą.

Czerpiąc wodę wyrzucanym za burtę wiadrzem na sznurze, tak długo zmywali podłogę na mostku, aż splukali całą krew. Rozeznawszy się co nieco w topografii kutra, znaleźli

szczotki i środki czyszczące i porządnie umyli całą sterówkę, starli plamy krwi i odciski palców także z niektórych pionowych powierzchni. Marlon wyjął z uchwytu zniszczone radio i wyrzucił je do morza razem z wlokącym się za nim mikrofonem.

Interfejs użytkownika GPS-u był daleki od intuicyjnego, ale Marlon nauczył się w końcu powiększać mapę i przeglądać ją na małym ekraniku. Skupiwszy się wokół niego w ciemnościach, zaczęli się pomału orientować, gdzie byli wcześniej (GPS wykreślał przebytą przez kuter drogę) i dokąd płyną. Wyglądało na to, że przez pierwszą godzinę Mohammed sterował na południe, wzdłuż wybrzeża, po czym zmienił kurs na wschodni, prosto na Tajwan, dokąd kuter zmierzał z prędkością około dziesięciu węzłów. Tym sposobem w chwili rozpoczęcia konfrontacji i wybuchu strzelaniny znajdowali się około trzydziestu mil morskich od wybrzeża Chin.

W tym punkcie Marlon zmniejszył prędkość do około pięciu węzłów. Mogliby wprawdzie płynąć jeszcze wolniej, ale wtedy kuter, zamiast posuwać się realnie naprzód, tylko by myszkował - co potwierdzał zygzakowaty rysunek kursu widoczny na ekranie GPS-u, oglądany na dużym powiększeniu. Wyglądało na to, że ster, jeśli ma funkcjonować, musi być opływany przez wodę z pewną minimalną prędkością.

Marlon przekazał Csongorowi słowa Batu o wskaźniku paliwa (a dokładniej rzecz biorąc - o braku takowego). Csongor zszedł do maszynowni, gdzie poświęcił chwilę na rozgryzienie działania dieslowskich silników, aż w końcu znalazł przewód paliwowy i zasilającą go pompę. Podłączona do niej rurka przechodziła przez ścianę do pomieszczenia, w którym niemal całą przestrzeń wypełniały dwa cylindryczne zbiorniki imponujących - i uspokajających - rozmiarów: miały ponad metr średnicy i dobre trzy metry długości. Od góry miały przyspawane węże prowadzące na górę, do otworów w pokładzie, przez które, jak domyślał się Csongor, napełniano zbiorniki, gdy kuter zawijał do jakiegoś morskiego odpowiednika stacji benzynowej. Przyświecając sobie latarką i poruszając się po coraz szerszej spirali, natknął się w końcu na wskaźnik poziomu paliwa, czyli (jakżeby inaczej) bambusowy patyk przywiązany elastycznymi sznurkami do nadburcia, z naniesionymi mazakiem kreskami i niezrozumiałymi (dla niego) opisami. Zawołał na pomoc Yuxię. Razem otworzyli jeden zbiornik i wsadzili patyk do środka, po czym Csongor zaczął go wyciągać, przekładając na nim dłonie i modląc się w duchu, żeby jak najszybciej poczuć na skórze zimne i mokre dotknięcie ropy. Nastąpiło to jednak dopiero przy samym końcu bambusa. Yuxia odczytała najbliższą z naniesionych mazakiem cyfr - co wprawdzie nic im nie mówiło, bo nie mieli pojęcia, jak szybko silnik spala ropę, ale nie dało się ukryć, że była to ostatnia z cyfr na patyku.

- Musimy podejść do sprawy naukowo - powiedział Csongor.

Zaznaczył dokładny poziom paliwa i zapisał godzinę pomiaru.

Powtórzyli doświadczenie z drugim zbiornikiem i stwierdzili, że jest całkiem suchy. Csongor wrócił na dół, pomajstrował trochę przy zaworach i potwierdził swoje wcześniejsze przypuszczenie, że suchy zbiornik został na stałe odłączony od układu paliwowego; dżihadysty korzystali tylko z jednego zbiornika, którego w dodatku nigdy nie tankowali do pełna, bo kuter służył im wyłącznie do spokojnego pyrkotania po porcie i jego okolicach.

Yuxia wróciła na mostek, chcąc dotrzymać Marlonowi towarzystwa i pilnować, żeby nie zasnął na stojąco. Csongor poświęcił nieco więcej uwagi zapoznaniu się z zawartością ładowni.

Nie trzeba było Sherlocka Holmesa, by odgadnąć historię kutra. Przez lata był własnością prawdziwych rybaków, którzy ciężko pracowali i zgromadzili mnóstwo przewidywalnego śmiecia: sieci, lin, plastikowych tacek, polietylenowych desek do krojenia, sztuców, osełek, przeróżnych narzędzi, farb, smarów, rozpuszczalników i tym podobnych. Zapasy na dłuższe rejsy przewozili w białych plastikowych beczkach: woda do picia, worki ryżu, hurtowe opakowania sosu sojowego i oleju spożywczego.

W którymś momencie kuter przeszedł w ręce dżihadystów, którzy urządzili sobie tu pływający arsenał. Zapasów broni i amunicji nie wystarczyłoby może do prowadzenia wojny z prawdziwego zdarzenia, ale dopóki w grę wchodziło wysadzanie domów albo strzelaniny w bombajskim stylu, było ich aż nadto. Na jednej drewnianej palecie stała czarna metalowa beczka, pełna (sądząc po zapachu) oleju opałowego. Druga paleta była zawałona foliowymi workami zawierającymi biały proszek opisany jako NAWÓZ SZTUCZNY; należało się domyślać, że jest to saletra amonowa. Te dwa składniki po połączeniu tworzyły materiał wybuchowy, którego zdetonowanie - o czym Csongor wiedział z gazet - wymagało zainstalowania zapalnika. Nie miał wprawdzie zielonego pojęcia, jak taki zapalnik może wyglądać, ale wkrótce się dowiedział, ponieważ cały karton zapalników stał na podporządku na półce, obok plastikowego pudełka pełnego identycznych telefonów komórkowych.

Na innych paletach znajdowała się amunicja, głównie luźne naboje do karabinów w ciemnozielonych lub czarnych metalowych pudełkach. Te zapasy zostały jednak częściowo przetrzebione wcześniej, gdy ludzie Jonesa czynili pośpieszne przygotowania do odplynięcia. Csongor wiedział także, że nie znajdzie żadnej broni, ponieważ szukali jej tu już wcześniej.

Doszedłszy do wniosku, że lepiej byłoby nie mieć na pokładzie takich rzeczy, gdyby w końcu przechwycił ich kuter straży przybrzeżnej albo okręt marynarki wojennej, zaczął się zastanawiać, jak najłatwiej wyrzucić je za burtę. Zwrócił wcześniej uwagę, że znaczną część

fordeku zajmuje ogromny luk ładunkowy. Wszedł więc teraz na pokład, obejrzał luk, nauczył się go otwierać i poświecił latarką na zawieszony nad nim sprzęt - żurawiki, wyciągarki i liny, z pewnością zainstalowane specjalnie po to, żeby ułatwić wyciąganie różnych rzeczy spod pokładu. Gdyby tylko umiał je włączyć i obsługiwać. Niektóre wielokrążki były wyposażone w zwykłe ręczne korby, więc w razie konieczności chyba wystarczyłaby siła ludzkich mięśni. Dopiero teraz, po opuszczeniu Chin, zaczynał rozumieć i doceniać genialną skłonność Chińczyków do korzystania z prostych wytworów techniki, które nie wymagały żadnych instrukcji obsługi. W tym rejsie mogło się im to bardzo przydać.

Wrócił do ładowni i zaczął sortować jej zawartość na trzy kategorie: śmieci (na przykład puste kartony), przedmioty ewentualnie użyteczne (żywność), oraz przedmioty niebezpieczne i obciążające, których należało się pozbyć. Znalazł cztery owinięte folią kartony z makaronem błyskawicznym i trzy kartony wojskowych racji żywnościowych - gotowych posiłków w czarnych, hermetycznie zamkniętych torebkach. Z ciekawości otworzył jedną z nich i nagle stwierdził, że jest głodny jak wilk. Pochłonął jej zawartość na stojąco, pchając jedzenie do ust brudnymi palcami.

Znalazł papierosy i apteczki; jedno i drugie odłożył na stos „zostawić”.

Dużo czasu zajmowało mu nieustanne wymijanie beczki z olejem opałowym, aż w końcu - może dzięki energii z wojskowej racji żywnościowej, która dotarła także do mózgu - uświadomił sobie, że olej powinien się nadać na paliwo do silników kutra. Tylko jak go przetransportować? Wpadł na nieco głupawy pomysł, żeby za pomocą żurawika wydobyć beczkę z ładowni i z pokładu kutra wlać jej zawartość przez wlot do zbiornika. Po chwili zastanowienia (wyraźnie oswajał się z chińskim podejściem do techniki) wymyślił jednak, że wystarczy spuścić olej z beczki jak benzynę z samochodu, zwłaszcza że zbiorniki na paliwo znajdowały się na niższym poziomie niż reszta ładowni. Skombinował więc kawał gumowego węża i wsadził go do beczki. Popęłił kilka falstartów, część oleju rozlał, część wypluł, ale w końcu zmontował działający lewar, którym olej w pół godziny przepłynął z beczki do zbiornika.

Znów zanurzył bambusowy miernik w zbiorniku, spodziewając się dramatycznego wzrostu poziomu paliwa, i stwierdził, że cały jego wysiłek nic nie zmienił: przez czas, którego potrzebował na przelanie oleju, kuter zdążył spalić taką samą ilość paliwa.

Zanim skończył, niebo na wschodzie pojaśniało. Wszedł na mostek, gdzie zastał Yuxię samą: utrzymywała wschodni kurs i popłakiwała cichutko. Marlon poszedł się chyba przespać w którejś z kabin.

Domyślenie się powodu łez na policzkach Yuxii nie wymagało od Csongora

wielkiego wysiłku wyobraźni. Ostatnie kilka godzin zajęła im próba ucieczki z Chin, ogromnie ryzykowna i kosztująca ich wiele energii. Cofając się pamięcią do tych chwil, nie widział momentu, w którym mogliby zachować się inaczej. Nie mogli z Marlonem porzucić Yuxii na pastwę dżihadystów. Potem, kiedy nieoczekiwanie przejęli kuter, musieli coś z nim zrobić. Ucieczka z Chińskiej Republiki Ludowej wydawała się wówczas niezłym pomysłem. Dla Csongora była synonimem przybliżenia się do domu, a Marlon nie wyglądał na specjalnie załamane pośpiesznym i nieplanowanym rozstaniem z krajem ojców; dla niego była to pewnie przygoda, o jakiej marzy każdy młody człowiek, a poza tym i tak musiał oddalić się od mieszkania, w którym stworzył REAMDE, i ucieczka za granicę idealnie na to zapotrzebowanie odpowiadała. Tymczasem Yuxia została w ich sprawy wciągnięta tylko dlatego, że zapragnęła się zaprzyjaźnić z westmanami, których wypatrzyła błąkających się po ulicy. Miała przecież w Yongdingu rodzinę, która na pewno się o nią zamartwiała. A teraz Yuxia nawet nie wiedziała, czy jeszcze ich kiedyś zobaczy.

Jeśli nawet - to jak im opowie o niektórych wydarzeniach? O walce na przystani; o torturze z kubłem wody; o groźeniu Mohammedowi pistoletem; o próbie zastrzelenia go.

Nic dziwnego, że się rozkleiła.

- Daj, posteruję - zaproponował Csongor. - Ty idź coś zjeść. I prześpij się.

Yuxia ani drgnęła.

- Będzie dobrze - mówił dalej. - Wszystko się ułoży. Niczemu nie jesteś winna. Uda ci się wrócić do domu.

To ją miało pocieszyć, ale po tych słowach wybiegła z mostku, dławiąc szloch. Csongor ruszył za nią, bojąc się, że zaraz rzuci się do morza, ale zatupała na schodach, wbiegła do kabiny i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Utrzymując kurs na wschód słońca, postukiwał w przyciski GPS-u i próbował rozszyfrować ich funkcje. W sączącym się przez okna brzasku mógł się wreszcie rozejrzeć swobodnie po mostku i dostrzegł stos map morskich, które wcześniej, po ciemku, uszły jego uwagi. Rozkładał je po kolei i próbował coś z nich zrozumieć. Większość, wykreślona w dużej skali, przedstawiała szczegóły różnych fragmentów skomplikowanego chińskiego wybrzeża i miał kłopoty z umiejscowieniem ich w szerszym kontekście. Jedna zwróciła jego uwagę, ponieważ przedstawiała archipelag wysepek, których kształt wrył mu się w pamięć. Widział je już wcześniej na ekranie GPS-u. Na mapie były opisane jako Peskadory. Znajdowały się w samym środku Cieśniny Tajwańskiej, bliżej Tajwanu niż kontynentu, ale i tak kuter przy swojej obecnej pozycji miał do nich pięćdziesiąt kilometrów bliżej niż do samego Tajwanu. A że GPS dodatkowo sugerował, że Peskadory leżą blisko bieżącego kursu

kutra, wydawało się oczywiste, że właśnie tam powinni się udać. Csongor skorygował lekko kurs na bardziej południowy. Jeżeli dobrze czytał mapy i wskazania GPS-u, powinni dotrzeć w rejon Peskadorów około czwartej po południu. Pod warunkiem, że wystarczy im paliwa.

* * *

Samolot realizował całkiem zwyczajny, zdaniem Zuli, plan lotu: powoli wzbił się na wysokość przelotową i po linii prostej zaczął się oddalać od kontynentu, kierując się na południe nad Morzem Południowochińskim. Kiedy na wschodzie jakieś góry wystawiły głowy zza horyzontu, domyśliła się, że widzi Tajwan, ale wierzchołki szybko zostały z tyłu.

Nie mogła się zdecydować, czy wrócić do głównej kabiny, czy dalej tkwić w zamknięciu. W niewielkiej sypialni znajdowała się mała komoda. Zula przeszukała jej szuflady, ale znalazła w nich tylko dodatkowe poduszki i koce - co było zrozumiałe, Iwanow na pewno zabrał wszystkie swoje rzeczy. Był tam również sekretarzyk ze składanym blatem, na którym w sam raz zmieściłby się laptop, oraz wbudowane w szafkę nad nim urządzenie, które musiało być interkomem, zaopatrzone w ułożone w rzędzie przyciski z napisami: KABINA, KOKPIT, OGŁOSZENIE i ROZMOWA. Obok znajdowało się pokrętło do regulacji głośności.

Skręciła potencjometr do minimum i wcisnęła guzik z napisem KOKPIT. Odkryła, że kiedy się go wciśnie do oporu, blokuje się w tym położeniu i powoduje zapalenie diody podświetlającej napis NASŁUCH. Chwilę poeksperymentowała z potencjometrem i w końcu zaczęła słyszeć głosy: Paweł i Siergiej porozumiewali się po rosyjsku. Którego, rzecz jasna, nie znała ni w ząb, ale od czasu do czasu wychwytywała znajomo brzmiące słowa, takie jak „jumbo jet” albo „Tajpej”. Czasem radio eksplodowało angielszczyzną - domyślała się, że to kontrolerzy ruchu lotniczego z wież na kontynencie porozumiewali się albo z nimi, albo z innymi maszynami.

Nie rozumiała wprawdzie ani celu, ani treści tych transmisji, ale, przysłuchując się im, pomału zaczynała dostrzegać w nich pewne prawidłowości. Wiele zaczynało się od wypowiedzianych z chińskim akcentem słów „Xiamen Center”, po których następowała marka samolotu, na przykład „boeing”, „airbus” albo „gulfstream”, a dalej ciąg liter i cyfr i lakoniczne instrukcje odnoszące się do wysokości, kursu lub częstotliwości radiowej. Domyślała się, że autorzy tych komunikatów siedzą w centrum kontroli ruchu lotniczego odpowiedzialnego za porządek w przestrzeni powietrznej wokół Xiamen i dyrygują pilotami znajdujących się w okolicy samolotów. Prawie za każdym razem odpowiadał im inny głos, często z angielskim, amerykańskim lub europejskim akcentem: powtarzał ciąg liter i cyfr (najprawdopodobniej kod wywoławczy samolotu), potwierdzał krótkim „Roger” i głośno

powtarzał instrukcje - pewnie po to, żeby się upewnić, że dobrze je zrozumiał. Zdarzało się jednak, że odbiór transmisji nie został potwierdzony i wtedy centrum w Xiamen musiało ją powtórzyć. Jeżeli i to zawiodło, prosili inny samolot o przekazanie instrukcji. Wszystko odbywało się w absolutnym, niewzruszonym spokoju - co nie powinno nikogo dziwić, jeśli weźmie się pod uwagę, że ci ludzie robili dokładnie to samo dzień w dzień, tak jak inni pakują zakupy do toreb albo prowadzą ciężarówki. Dwa razy rozpoznała po głosie Pawła, gdy potwierdzał przyjęcie nowych instrukcji. W ten sposób poznała kod wywoławczy samolotu, którego była pasażerem. A właściwie więźniem.

Od czasu do czasu zdarzały się takie informacje jak „Połączenie z centrum w Hongkongu” albo „Połączenie z centrum w Tajpej”, uzupełnione ciągiem cyfr, oznaczającym, jak przypuszczała, częstotliwość radiową. Pilot przedstawiał się wtedy, jak zwykle potwierdzał przyjęcie transmisji, po czym rozłączał się z krótkim „Dziękuję”, „Na razie” albo „Bez odbioru” i więcej się nie odzywał. Przynajmniej nie na tym kanale. Domyśliła się, że słyszy meldunki samolotów odlatujących z Xiamen i przekazywanych pod opiekę innych centrów kontroli ruchu.

Nadszedł w końcu moment, w którym centrala w Xiamen wywołała ich samolot i podała im zamiar na centrum w Hongkongu. Paweł odpowiedział zgodnie z kanonem i pożegnał się z centrum w Xiamen.

Wymienili parę zdań z Siergiejem po rosyjsku i samolot nagle opadł, przechylając się pod stopami Zuli z gwałtownością, jaka nie zdarza się cywilnym maszynom pasażerskim. Musiała się zaprzeć obiema rękami, żeby przeciążenie nie rzuciło jej gwałtownie na drzwi. Samolot nie obniżał lotu w taki sposób, jak zwykle samoloty pasażerskie (które zmniejszają moc silników i wytracają wysokość w locie poziomym), lecz celował dziobem w dół i pchany silnikami leciał prosto do morza.

Zanurkowali tak ostro, że Zula praktycznie leżała na drzwiach. Wyraźnie słyszała dobiegający z drugiej strony łomot latających po kabinie bagaży, przerażone okrzyki zaspanych pasażerów i zachwycony śmiech tych bardziej przytomnych.

W pierwszej chwili pomyślała, że to tylko krótki manewr, mający na celu obniżenie lotu, ale kiedy nurkowanie się przeciągało, doszła do wniosku, że Paweł z Siergiejem postanowili popełnić samobójstwo i roztrzaskać samolot. To przecież niemożliwe, żeby dłużej dało się tak lecieć. Już trzy razy strzeliło jej w uszach.

Tymczasem samolot równie nagle jak przedtem zanurkował, teraz wyrównał lot, wciskając ją najpierw w drzwi, potem w miejsce styku drzwi z podłogą, a na koniec w samą podłogę z subiektywnym przeciążeniem kilkunastu g. Kiedy znów mogła się poruszać, na

początek odkleiła się od podłogi, wystawiła głowę ponad łóżko i wyjrzała przez okno. Zobaczyła bezkresną biel i spływające po szkle krople deszczu.

Oparła się na łokciach, wczołgała na łóżko, przytknęła twarz do szyby i spojrzała w dół. Gęste chmury i mgła dość skutecznie przesłaniały widok, ale w rzadkich przerwach między nimi zdołała dostrzec szarą powierzchnię oceanu prześlizgującą się nie dalej niż sto stóp pod brzuchem maszyny.

Samolot przechylił się w długim, zamaszystym skręcie w lewo i wszedł na nowy kurs.

Na ścianie u stóp łóżka wisiał płaski telewizor. Wcześniej nie próbowała go włączyć, bo nie przepadała za telewizją, ale w końcu dotarło do niej, że głupio się zachowuje. Włączyła go więc i na ekranie wyświetliło się menu opcji dostępnych na pokładzie samolotu: odtwarzacz DVD, kilka różnych gier oraz „MAPA”. Wybrała tę ostatnią możliwość i po chwili miała przed sobą mapę Morza Południowochińskiego, wygenerowaną chyba w tym samym programie, którego używają zwykle pasażerskie linie lotnicze - każdy, kto kiedykolwiek odbył jakiś dłuższy lot, od razu rozpoznałby ten styl rysunku i czcionkę. Xiamen było podane jako miejsce startu, natomiast punktem docelowym było Lotnisko Międzynarodowe Sanya Phoenix na południowym czubku dużej eliptycznej wyspy, rozmiarami porównywalnej z Tajwanem i leżącej u południowych wybrzeży Chin. Zula była niemal pewna, że jest to należąca do Chińskiej Republiki Ludowej wyspa Hajnan. Wykreślony na mapie plan lotu łączył Xiamen z Hajnanem linią łamaną złożoną z dwóch odcinków mniej więcej równej długości. Pierwszy z nich prowadził z Xiamen na południe, południowy zachód, wzdłuż wybrzeża. Drugi biegł bardziej na zachód i zahaczał o południowy cypel wyspy. Wyglądało na to, że kurs został specjalnie wytyczony w taki sposób, żeby z daleka ominąć leżący w połowie odległości rejon Hongkongu/Shenzhenz Makao/Kantonu. Należało się domyślać, że piloci postanowili unikać tamtejszej nieprzeciętnie zatłoczonej przestrzeni powietrznej.

Na mapie było naniesione także aktualne położenie samolotu oraz trasa, którą do tej pory faktycznie przebył. Wyglądało na to, że jeszcze kilka minut wcześniej leciał dokładnie po wytyczonej wcześniej trajektorii, ale po ostatnich manewrach skręcił na wschód z lekkim odchyleniem na północ. Na tym kursie powinni wyminąć Tajwan od południa i wylecieć nad ocean.

Zula niewiele by z tego rozumiała, gdyby wieczorem nie była świadkiem narady w głównej kabinie odrzutowca. Oczywiście, ani przez moment nie zamierzali lecieć na Hajnan. Wybrali znajdujące się tam lotnisko tylko dlatego, że był to lot krajowy, który nie zwróci uwagi urzędników imigracyjnych w Xiamen. Do tego wystarczyłoby dowolne chińskie

lotnisko, naturalnie, ale Hajnan miał tę dodatkową zaletę, że droga z Xiamen prowadziła nad oceanem - a nad oceanem uchodziły takie sztuczki, jak prześlizgiwanie się nad falami, poniżej zakresu radarów.

Domyśliła się, że manewry samolotu mają na celu wyprowadzenie w pole systemu kontroli lotów. Nigdy się tym bliżej nie interesowała, ale domyślała się, że radary mają ograniczony zasięg i fakt ten musi mieć swoje odbicie w konfiguracji systemu. Przestrzeń powietrzna kraju była podzielona na strefy zarządzane przez osobne centra kontroli lotów, wyposażone we własne radary. Centra przekazywały sobie lecące samoloty, gdy te przekraczały granice stref. W którymś momencie samolot, którym leciała Zula, opuścił strefę zarządzaną przez kontrolerów z Xiamen i albo znalazł się w strefie podlegającej Hongkongowi, albo - po tym, jak wyleciał nad ocean - znalazł się w przestrzeni niczyjej, której nikt nie kontrolował. Tak czy inaczej, przed chwilą najprawdopodobniej przekroczyli jedną z wytyczonych w systemie granic. Paweł i Siergiej pożegnali się z kontrolerami kierującymi strefą, którą opuścili, po czym natychmiast zanurkowali, zanim pojawili się na radarach i zwrócili na siebie uwagę kontrolerów z sąsiedniej strefy.

Mogła tylko zgadywać, dokąd lecą. Po minięciu Tajwanu będą mieli przed sobą już tylko Ocean Spokojny, wczoraj jednak naoglądała się mnóstwa krzywych geodezyjnych i rozumiała już, że nawet lecąc na wschód, tak jak teraz, niekoniecznie muszą przelecieć na jego drugi brzeg.

Kiedy po półgodzinie lotu znaleźli się na wschód od Tajwanu, samolot jeszcze raz skręcił w lewo, a przedstawiająca go na ekranie ikonka obróciła się w miejscu i wycelowała dziobem na północ z niewielkim odchyleniem ku wschodowi. Wyglądało więc na to, że zataczają ogromne U wokół tajwańskiej przestrzeni powietrznej.

Radio, od dłuższej chwili nieme, nagle ożyło; piloci musieli się przełączyć na nową częstotliwość, której najwyraźniej używało centrum kontroli lotów w Tajpej, bo wszystkie komunikaty dochodziły właśnie stamtąd. Sadząc po ich treści, z Tajpej naprowadzano wyjątkowo dużo boeingów i airbusów, identyfikowanych nie tylko poprzez kody wywoławcze, lecz także - co było ogromnie pomocne - przez porty startu i lądowania. Oczami wyobraźni Zula ujrzała ogromne lotnisko obsługujące jumbo jety przylatujące z (oraz odlatujące do) wielu odległych miejsc, takich jak Los Angeles, Sydney, Tokio, Toronto i Chongqing.

Po niecałej godzinie zostawili za sobą Tajwan z Tajpej, wykonali serię manewrów i rozpoczęli systematyczne wznoszenie, które Zula śledziła na bardzo pomocnych w tej sytuacji ekranach z parametrami lotu, wyświetlających się mniej więcej co minutę na telewizorze.

Musieli liczyć się z tym, że na wyższym pułapie zostaną namierzeni przez radary (o ile tylko jakiś radar będzie miał odpowiedni zasięg), ale z mapy w mniejszej skali, która też pojawiała się co jakiś czas na ekranie, wynikało, że w tej okolicy cała masa samolotów z Australii i Azji Południowo-Wschodniej kieruje się na północ, do Japonii i Korei. Może więc piloci liczyli na to, że w ogólnym zamieszaniu nikt nie zwróci na nich uwagi?

Jej pęcherz zasygnalizował, że nie zamierza dłużej czekać. Otworzyła więc w końcu drzwi i weszła do głównej kabiny, która była zatłoczona i śmierdziała spoconymi facetami. Czterej żołnierze siedzieli ściśnięci z tyłu: dwaj spali, trzeci czytał Koran, czwarty w skupieniu obsługiwał laptop. W przedniej części rozłożono stół, w tej chwili przykryty przez ogromne mapy lotnicze, na których Khalid i Jones musieli wcześniej śledzić tor lotu odrzutowca. Khalid nadal siedział przy stole i patrzył teraz na Zulę z nienawiścią, fascynacją lub jednym i drugim jednocześnie. Jonesa w pierwszej chwili nie zauważyła - dopóki nie zagłębiła się w przejście między fotelami, kierując się do łazienki, bo wtedy odkryła, że leży na wznak na podłodze. Nogi miał jeszcze w kabinie, głowę zaś już w kokpicie pilotów, skąd spoglądał przez okno niemal pionowo do góry. Paweł i Siergiej również wykręcali szyje w nader niewygodny sposób, obserwując coś, co musiało znajdować się nad nimi i nieco z przodu.

Skorzystała z łazienki. Kiedy wyszła, tamta trójka tkwiła w tych samych pozycjach co wcześniej - tyle tylko, że Jones chichotał z wyraźnym zadowoleniem.

Widząc stojącą nad nim Zulę, przyciągnął głowę do piersi, przeturlał się w przód, wstał i przywołał ją gestem. Wcisnęła się obok niego do kokpitu, przyklękła na jedno kolano i spojrzała w górę.

Niespełna sto stóp nad sobą zobaczyła brzuch boeinga 747.

To wyjaśniało, dlaczego tak swobodnie zwiększyli pułap. Zsynchronizowali swój plan lotu ze startem jumbo jeta, który z Tajpej leciał do Vancouver, San Francisco albo innego miasta na zachodnim wybrzeżu Ameryki. Wślizgnęli się pod niego, kiedy startował na północ z cypla na Tajwanie, a potem równo z nim wzbili się na wysokość przelotową, korzystając z faktu, że ślady radarowe obu maszyn zlewają się w jeden na ekranach instalacji cywilnych i wojskowych na całym wschodnim wybrzeżu Azji.

Z miniaturowego kambuza pokładowego wzięła puszkę coli i torebkę chipsów i wróciła do sypialni na rufie, czując na plecach wzrok Khalida.

Jones przysiadł się tymczasem do niego do stołu i razem pochylili się nad mapą północnego Pacyfiku.

Żołnierz z laptopem siedział tyłem do niej. Zerknęła mu przez ramię, zaciekawiona, co

tak przykuło jego uwagę. Grał w symulator lotu. Ćwiczył start z małego lotniska.

Nie chciała dać po sobie poznać, że ją to zainteresowało, przeszła więc obok, nie zwalniając kroku. Wróciła do sypialni i zamknęła za sobą drzwi.

* * *

Mężczyzna (który przedstawił się w końcu jako George Chow) zabrał Olivię do Jinchengu - miejsciny rybackiej na zachodnim skraju wyspy. Nieopodal przystani postawiono tam dwa hoteliki obsługujące turystów i biznesmenów; George Chow miał w jednym z nich wynajęty apartament. W podróży na wyspę towarzyszyła mu pewna Tajka, nieprzeciętnie utalentowana w dziedzinie fryzjerstwa i charakteryzacji. Była ostrzyżona na pazia, nosiła ostentacyjnie designerskie okulary i teatralny makijaż.

Na podłodze w pokoju rozłożyła gazety, umieściła pod ręką wszystkie nożyczki, grzebienie i szczotki. Olivia wzięła szybki prysznic, a wkrótce potem zyskała nową fryzurę - takiego samego pazia jak u Tajki, który w innych okolicznościach wydałby jej się zbyt ryzykowny. Okulary okazały się fałszywką: szkła nic nie dawały. Olivia dostała je razem z makijażem oraz - po chwili - ubraniem. Gliniarz z ChRL dysponujący niewyraźnym zdjęciem Meng Anlan nie zorientowałby się na pierwszy rzut oka, że ma przed sobą tę samą osobę. A każdy, kto dziś rano widział George'a Chow wysiadającego z samolotu z Tajką uwieszoną u ramienia, pomyśli, że wraca tam, skąd przyleciał, w towarzystwie tej samej kobiety.

Przez ten czas Chow zniknął na jakąś godzinę, a kiedy wrócił, oznajmił, że pozłatwiał pewne sprawy.

Jedną z nich musiało być wezwanie taksówki, ponieważ czekała na nich w zaułku na tyłach hotelu. Olivia domyślała się, że kierowca został sownie wynagrodzony za to, żeby niczego nie widzieć i o nic nie pytać. Pojechali w głąb wyspy, na wskazane wcześniej przez Sokołowa „dobre miejsce spotkania”. Jego zalety były oczywiste. Zatrzymali się przy przepuszczeniu i George Chow zaczął udawać, że robi Olivii zdjęcia na tle zalesionych wzgórz.

Sokołow, chociaż znajdował się tuż-tuż, mógł dowolnie długo pozostawać niewidoczny - do chwili, gdy z drogi zniknęły wszystkie samochody. Wtedy wyszedł z ukrycia i całkiem nieźle ukrył rozbawienie nowym wizerunkiem Olivii.

- Królowa mody - powiedział.

- Na dwie godziny. W Tajpej wszystkiego się pozbęde.

- Co potem? Londyn?

- Tak przypuszczam... Tak. Chodźmy.

- Dokąd idziemy? - spytał ostro Sokołow. Zbyt dobrze orientował się w sprawach tego świata, żeby się łudzić, że i on zostanie zabrany do Londynu.

- Wyjaśnię ci w samochodzie.

W miarę upływu dnia pogoda coraz bardziej szarzała, a teraz w dodatku zrobiło się wietrznie: z północy dmuchnęła silna bryza. Bardzo im to odpowiadało, ponieważ Sokołow miał wymówkę, żeby włożyć kupiony dla niego w Jinchengu płaszcz przeciwdeszczowy i narzucić kaptur na głowę. Na razie jednak skulił się jak mógł najbardziej na tylnej kanapie taksówki i słuchał objaśnień George'a Chow. Taksówkarz zawiózł ich przez ten czas z powrotem do miasta, skąd wyjechał na północ drogą równoległą do zachodniego wybrzeża, aż zostawili za sobą teren zabudowany (co zajęło im około trzydziestu sekund) i znaleźli się w kolejnym z tych dziwnych miejsc, których Chińczycy unikali najwyraźniej z tego powodu, że nie było tam innych Chińczyków. Dzika plaża przypominała tę, na którą Olivia z Sokołowem wypłynęli w nocy z morza. Nieco wyżej, gdzie korzenie rzadko rosnących traw spajały piasek, jakiś mężczyzna puszczał z synem latawce. Plaża ciągnęła się przez co najmniej kilometr. W pierwszej chwili wydało się Olivii, że jest najeżona przeszkodami przeciwczołgowymi jeszcze gęściej niż tamta, na którą wyrzuciły ich fale, ale przy bliższych oględzinach okazało się, że ma przed sobą tysiące betonowych słupków, które postawiono w strefie pływów, żeby małże miały gdzie mieszkać. Zbieracze właśnie szli przez plażę. Każdy niósł na ramionach bambusowy drąg z dyndającymi na obu końcach koszami lub workami. W gęstniejącym od nadciągającego deszczu powietrzu scena ta przypominała gigantyczny cmentarz - ale nie cmentarz we współczesnych Stanach, z równo ustawionymi wypolerowanymi nagrobkami, tylko tysiącletni przykościelny cmentarz angielski, na którym roi się od sfatygowanych i powykrzywianych we wszystkie strony szarych kamieni nagrobnych.

George Chow albo się domyślił, że przyda im się odrobina prywatności, albo po prostu chciał mieć oko na jadące nadbrzeżną drogą samochody. W każdym razie został w taksówce, kiedy Olivia z Sokołowem wysiedli i ruszyli na poszukiwanie słonej wody - przyjechali bowiem za wcześnie i jeszcze trwał odpływ. Olivia zostawiła torebkę w samochodzie. Szła boso. Sokołow włączył otrzymany od George'a Chow mały odbiornik GPS i kierował się na zaznaczony na ekranie punkt orientacyjny.

Znalazłszy się w miejscu, w którym mgła ukryła ich przed wzrokiem ludzi na drodze, usiedli na dwóch sąsiednich małżosłupkach, obranych przez zbieraczy do czysta, i patrzyli, jak morze powoli napływa ku brzegowi. Znajdowali się zaledwie sto metrów od „miejsca spotkania”. Olivia była dość skąpo ubrana i Sokołow, zamiast bez sensu dopytywać się, czy nie marznie, usiadł po nawietrznej stronie i zarzucił na nią swój płaszcz przeciwdeszczowy. Wtulila mu się pod ramię.

- Chyba popłynę z tobą - powiedziała Olivia po dziesięciu minutach milczenia.

- Nie chcesz lecieć samolotem?

- Nie. Po co? Przecież równie dobrze mogę wsiąść z tobą na łódź, a potem kontenerowcem popłynąć do Long Beach.

Sokołow długo rozważał jej słowa. Tak długo, że zaniepokoiła się, że wszystko popsuka. Podobała mu się dzisiejsza awanturka w bunkrze i pewnie podobałyby mu się kolejne w przyszłości, dopóki nie było mowy o zaangażowaniu, ale utknąć z nią na dwa tygodnie na statku... No, dużo by było tej bliskości. Jaki mężczyzna nie wzdrygnąłby się - choć odrobinę - na taką myśl?

- To by były bardzo ciekawe dwa tygodnie - przyznał w końcu. Przeszedł na rosyjski.

- Ale nie to powinnaś zrobić.

- A co?

- Znaleźć Jonesa. Ustalić, gdzie jest, i mi powiedzieć.

- Jeżeli go znajdziemy, zostanie zabity albo schwytany. Nie musisz go dla nas zabijać.

- Każdemu wolno marzyć.

- Czyli chcesz, żebym przez te dwa tygodnie poszukała Jonesa?

- Tak.

Odsunęła jego rękę, wyslizgnęła się spod płaszcza i zeskoczyła ze słupka. Woda sięgała jej do kostek, fale ochlapwały łydki.

- Przepraszam za ten syf na twarzy - powiedziała. - Głupio się z tym czuję.

- Nic nie szkodzi. - Speszony Sokołow odwrócił wzrok.

- Posłuchaj: trop Jonesa wystygł. Nie znajdę go w dwa tygodnie.

- Chyba że dam informacje.

- Zgadza się. Co chyba możesz teraz zrobić.

Olivia obejrzała się przez ramię. Mgła zasnuła cieśninę oddzielającą Kinmen od Xiamen. Dobiegało z niej terkotanie pracującego na niskich obrotach silnika łódki. Czasem przybierało na sile, gdy sternik popychał łódź w ślad za falą przyływu. Zbliżał się.

- Masz to, czego chciałeś: bezpiecznie wyjedziesz z Chin. Powiedz mi, co wiesz; wykorzystam tę wiedzę, kiedy ty będziesz płynął statkiem. Zadzwoń do mnie z L.A.

- Podam ci numer samolotu Jonesa - odparł Sokołow i wyrecytował ciąg liter i cyfr, który Olivia kazała mu kilkakrotnie powtórzyć. - Wystartował z Xiamen o siódmej trzynastcie czasu miejscowego i poleciał na południe.

- Dlaczego akurat na południe, jak myślisz?

- Mógł lecieć na Mindanao, dżihadyści mają tam obozy... Ale wątpię. To pewnie zmyłka. Wyleciał nad ocean, przypadł do powierzchni wody, zniknął z radarów, wyłączył

nadajnik i zrobił jakąś sztuczkę.

- Trudno będzie go znaleźć.

- Wcale nie. Zobaczysz.

Sokołow oparł się obiema rękami o słupek i zeskoczył; woda sięgała im już do kolan. Spojrzał ponad ramieniem Olivii, próbując zlokalizować łódź na podstawie warkotu silnika.

- Wywiad na pewno ma nagrania z radarów - mówił dalej. - Teraz już wiesz, kiedy wystartował i dokąd. Będziesz mogła przez chwilę śledzić go na nagraniu. Znajdziesz nowe wskazówki. Zorientujesz się, dokąd mógł polecieć. Zawężysz wybór. A potem... - Spojrzał Olivii w oczy. - Potem powiesz mi, dokąd skurwiel poleciał.

- Jeżeli za dwa tygodnie będzie nadal żył, powiem ci.

- Do widzenia. Pocałowałbym cię, ale nie chcę psuć tego profesjonalnego makijażu.

- Już się rozmazał - zauważyła Olivia.

- W takim razie w porządku.

Sokołow objął ją i pocałował - długo i porządnie, po czym odwrócił ją w miejscu i posadził na słupku, gdzie woda nie mogła jej dosięgnąć. Obrócił się do niej plecami, naciągnął kaptur i, brodząc w wodzie, ruszył na spotkanie pyrkoczącej we mgle łodzi.

- Idź już - powiedział. - Potem będziesz musiała płynąć.

Mimo tej dobrej rady czekała, aż łódź zawarczy głośniej, przyspieszy i zabierze Sokołowa.

Zamiast tego usłyszała trzy krótkie serie z broni maszynowej, kilka pojedynczych strzałów, a potem ryk silnika łodzi odpływającej z maksymalną prędkością.

* * *

Dwie godziny później Marlon wrócił na mostek z herbatą i dwiema wojskowymi racjami żywnościowymi. Pochłaniając żarłocznie jedną z nich, Csongor pokazał mu mapę Peskadorów, wyjaśnił, że obrał na nie kurs i ma nadzieję dotrzeć za parę godzin na miejsce. A potem zszedł do kabiny, wgramolił się do łóżka i starannie w nim ułożył - bo wiedział, że gdy tylko znieruchomieje, zaśnie natychmiast i nie poruszy się, dopóki coś go nie obudzi.

Obudziło go gwałtowne kołysanie kutra. Nie wiedział, która jest godzina, chociaż czuł, że trochę pospał - miał pełny pęcherz i czuł się wypoczęty, ale przez iluminator wciąż wpadało dzienne światło.

Wstał, zataczając się przeszedł do łazienki, załatwił, co miał załatwić, po czym pchnął drzwi kajuty; zmagał się przy tym z wiatrem i (ponieważ kuter się przechylił) grawitacją. W twarz uderzyło go coś pośredniego między deszczem i mgłą. Widział nie dalej niż na kilkaset metrów.

Silnik nadal działał. To był dobry znak.

Wszedł na mostek. Marlon nie ruszył się z miejsca, w którym Csongor widział go poprzednio. Cyfrowy zegar na ścianie wskazywał, że minęła trzecia po południu - czyli Marlon od siedmiu godzin sam pilotował kuter.

Podniósł wzrok znad GPS-u. Wyraz jego twarzy zaniepokoił Csongora - była wynędzniała i ściągnięta wyczerpaniem i stresem.

- To najgorsza gra komputerowa, jaką znam - powiedział.

- Trochę nudna - zgodził się z nim Csongor.

- Nudna i w dodatku nie działa. A interfejs użytkownika jest do dupy.

- W czym problem?

- Nie płynie tam, gdzie go skierujesz.

Nie płynie tam, gdzie go skierujesz. Co to mogło znaczyć?

Csongor podszedł bliżej i spojrzął na ekran GPS-u, na którym wyświetlała się droga przebyta przez kuter w czasie, kiedy on spał. Spodziewał się zobaczyć prostą linię wycelowaną w Peskadory, ujrzał zaś trajektorię, która na przemian to zakrzywiała się lekko ku południowi, to podskakiwała na północ. Tak jakby Marlon bardzo starał się utrzymać kuter na kursie - ten nieubłaganie dryfował na południe, a Marlon, gdy tylko to zauważył, dokonywał korekty. Efekt końcowy był jednak taki, że minęli Peskadory od południa o jakieś dziesięć kilometrów i w tej chwili z możem pięli się na północ-północny wschód, żeby ten błąd naprawić.

Mgła zgęstniała w deszcz, którego krople rozbijały się o okna na dziobie i bakburcie.

- Walczymy z wiatrem - zrozumiał Csongor.

- Teraz tak - przytaknął Marlon. - Ale od niedawna. Wcześniej coś innego spychało nas na południe.

- Prąd w cieśninie.

- Prąd?

- Jak nurt rzeki. Woda płynie tu na południe.

. - Kurwa! - zaklął Marlon. - Gdybym o tym wiedział, to już byśmy tam byli.

- Myślałem, że kuter jest jak samochód: płynie, gdzie mu każesz.

- No więc nie jest. Płynie, gdzie chce.

Drżenie, które odczuwali pod stopami przez cały czas pobytu na pokładzie, przeszło w serię kaszlnięć i stęknęć, na chwilę znów się ustabilizowało, a potem nagle ustało.

- Koniec ropy - powiedział Csongor.

- Koniec gry - odparł Marlon.

- Wcale nie. Właśnie weszliśmy na wyższy poziom.

* * *

Oburęczny młot miał trzonek z jaskrawożółtego plastiku - szczegół, który przechadzającemu się w tę i z powrotem odpowiednią alejką w markecie budowlanym Richardowi wydał się groteskowy. Długo szukał czegoś mniej żenującego, aż w końcu kierownik upomniął go, żeby się na coś zdecydował i wyszedł. Dochodziła dziewiąta, pora zamknięcia.

Kiedy kwadrans po dziewiątej stanął przed drzwiami mieszkania Zuli, trzymając nedorzeczne narzędzie w dłoniach odzianych w nowiuteńkie, ergonomiczne rękawice robocze (kupił je pod wpływem impulsu; wziął je ze stojaka na końcu alejki, kiedy kierownik popędzał go do kasy), zrozumiał, co mu się w nim nie podoba: wyglądało jak dwuręczny młot bojowy z *T'Rainu*. To spostrzeżenie tak nim wstrząsnęło, że pierwszym ciosem chybił: obuch młota omsknął się po ościeżnicy i omal nie strzaskał mu rzepki. Chwytał mocniej żółty plastikowy trzonek, sam też wziął się w garść, i poprawił - mocno, z bioder, celnie. Drzwi praktycznie eksplodowały. Jeżeli znajdzie Zulę całą i zdrową, zrobi jej wykład o zaletach różnych środków bezpieczeństwa i poświęci pół dnia na wzmocnienie drzwi.

Nowych drzwi, ściśle rzecz biorąc. Z tych zostało niewiele.

- Możecie już przyciszyć muzykę - powiedział do Jamesa i Nicholasa, którzy przyczaili się na schodach pięć stopni niżej.

James i Nicholas, mieszkający pod Zulą dwaj geje, troszczyli się o nią niemal jak rodzice. Wcześniej tego samego dnia, w tych - ha! - dawno zapomnianych czasach, gdy Richard próbował załatwić sprawę oficjalnymi kanałami, zgodnie zapewnili Richarda, że może się z nimi kontaktować o dowolnej porze dnia i nocy, jeśli uzna, że mogą mu w jakikolwiek sposób pomóc w rozwiązaniu zagadki zniknięcia Zuli. Przed trzema minutami poddał ich propozycję wieloaspektowej próbie: obudził ich, żeby zapytać, czy mieliby coś przeciwko temu, żeby piętro wyżej ktoś trochę pohłasował. Dotrzymali słowa; zaproponowali nawet, że podkreć na chwilę muzykę, by zagłuszyć odgłosy, które mogłyby zakłócić ciszę nocną okolicznym mieszkańcom. Najwyraźniej gejostwo nie szło u nich w parze ze ślepym uwielbieniem dla oficjalnych procedur policyjnych.

Tak jak u Richarda posiadanie zaginionej bratanicy.

- Byłoby naprawdę bardzo miło, gdybyście ściszyli muzykę - powiedział. Do Jamesa i Nicholasa w końcu dotarło, że chce, żeby się na chwilę zmyli.

Odwrócili się do niego tyłem i na paluszkach zeszli po wyłożonych dywanem schodach. Zajmowali pierwsze dwie kondygnacje (a Zula trzecią) wielkiego starego domu na

Capitol Hill - najdziwniej nazwanej dzielnicy w mieście, które nigdy nie było stolicą i nigdy nie zostało ozdobione budowlą przypominającą kapitol.

Ten moment - wejście do mieszkania i włączenie świateł - był zdecydowanie najgorszy, bo Richard bał się tego, co może tam znaleźć. Dorastanie na farmie wyrzyło mu w pamięci kilka zaskakujących, nieprzyjemnych obrazów, których nigdy nie zdołał do końca zapomnieć, ale wiedział, że widok zasztyletowanej lub uduszonej Zuli, leżącej na podłodze w swoim mieszkaniu, prześladowałby go nawet na łożu śmierci. A wcześniej stawałby mu przed oczami w najmniej oczekiwanych momentach.

W mieszkaniu zastał jednak tylko rozeźlonego kocura - miauczał wściekle i krążył wokół wypatroszonej torby z kocim żarciem, której zawartość rozwłóczył po podłodze. Logika kazała się domyślać, że pił wodę z sedesu. Poza tym wszystko było w najlepszym porządku: żadnego niedojedzonego jedzenia ani niezgaszonych świateł. W szafie brakowało zimowego płaszcza. Richard nie znalazł też nart ani innych rzeczy, które zabrała na wycieczkę do Elphinstone - co utwierdziło go w (skądinąd całkiem silnym) przekonaniu, że po pobycie w zamku nie wróciła do domu.

Nie znaczyło to jeszcze, że żyje i nic jej się nie stało, ale przynajmniej Richard uciszył swoje najgorsze lęki. Cokolwiek się jej przydarzyło, nie mogło być aż tak złe jak to, na co przygotowywał się jeszcze dziesięć sekund wcześniej.

No i przynajmniej miał co napisać w liście do domu. A właściwie w odpowiedniku listu z epoki Facebooka. Wyjął komórkę, zignorował cztery nowe esemesy od brata i napisał: JESTEM U Z W DOMU. WSZYSTKO OK.

John, który został w Iowa, myślał chyba, że bez jego częstych przypomnień Richard zlekceważy powagę sytuacji. Przekłety wynalazek wiadomości tekstowych skutecznie przewyciężył ewentualne opory Johna przed, jak to po dziś dzień mówił, „międzymiastowymi” rozmowami telefonicznymi. Chociaż miało to i dobre strony: Richard mógł meldować o postępach w śledztwie, unikając osobistego kontaktu z bratem.

Trzeba też było oddać Johnowi sprawiedliwość: po krótkim gderaniu Richarda zgodził się pełnić rolę rodzinnego łącznika w kontaktach z Seattle, dzięki czemu Richard nie musiał się tłumaczyć ze swoich postępów (lub ich braku) wszystkim po kolei. Tym zajął się John, wykorzystując do tego swoją stronę na Facebooku.

Richard na razie na nią nie zaglądał (grzebanie na Facebooku w takim momencie wydawało mu się niestosowne), ale domyślał się, że strona zawiera masę szczegółowych informacji o tym, co policja w Seattle robi, a czego nie robi w odpowiedzi na zawiadomienie o zaginięciu Zuli. Richard popełnił bowiem niewybaczalny, z perspektywy czasu, błąd, czyli

zaczął od kontaktu z policją i złożenia rzeczzonego zawiadomienia. Tym samym postawił się w sytuacji, w której mógł co najwyżej suszyć głowę funkcjonariuszowi prowadzącemu sprawę, który to funkcjonariusz wyjaśnił mu, że dopóki nie mają żadnych poszlak, że doszło do przestępstwa, nie bardzo mogą wszcząć regularne śledztwo.

Dopisał *post scriptum*: Z NIE WRÓCIŁA DO DOMU PO KOLUMBII.

John potrzebował piętnastu sekund na odpowiedź: DZWONIĘ DO KANADYJSKIEJ KONNEJ. Richard napomknął mu już wcześniej (co prawdopodobnie również było błędem), że na Północnym Zachodzie nie ma takiej zimy, żeby co najmniej jeden samochód nie wypadł gdzieś z górskiej drogi i nie utknął w zaspie; pasażerowie zmuszeni byli pić wodę ze stopionego śniegu w oczekiwaniu ocalenia, które często wcale nie następowało. W niższych partiach gór śnieg już zniknął, ale jeżeli Peter z Zulą postanowili jechać północną drogą, przez dolinę Okanagan, mogli utknąć na dowolnej z niezliczonych serpentyn.

Następny krok: ustalić, gdzie mieszka ten mały skurczybyk, Peter, i pójść do niego do domu z młotem.

Szkoda, że Richard nie zapamiętał jego nazwiska.

* * *

Noc ogarnęła samolot zniecka, z czego Zula wywnioskowała, że skręcili zdecydowanie na wschód, przecięli linię terminatora i pogrążyli się w cieniu Ziemi.

Przy okazji jednego z wypadów do łazienki dostrzegła na stole nową mapę, obejmującą kawał powierzchni planety - od Nowej Fundlandii po Florydę i od Wysp Aleuckich po Półwysep Kalifornijski. Zachodnie wybrzeże Kanady i Stanów Zjednoczonych było podzielone na ogromne wielokąty opisane wielkimi literami: SWO ALASKA, SIOL KRAJ, KSIOL WYBRZEŻE i tak dalej.

Aktualizowany co parę minut ciąg naniesionych długopisem znaczków posuwał się na północny wschód: po odłączeniu się od wschodnich brzegów Syberii biegł mniej więcej równoległe do archipelagu Aleutów. Pasował do obrazu, który widziała wcześniej na monitorze w sypialni.

Khalid i Jones przejawiali szczególne zainteresowanie geografiami Kolumbii Brytyjskiej, ale chyba bez przesadnych sukcesów, jeśli wziąć pod uwagę skalę mapy.

Aleuty i główny trzon Alaski mieściły się w rejonie SIOL KRAJ. Na południe od niego rozpościerał się kawał pustego oceanu opisany jako SWO ALASKA i ciągnący się aż do miejsca pod pachą Alaski, gdzie odchodząca na południowy wschód wypustka łączyła się z resztą terytorium stanu przesmykiem kilkumilowej szerokości.

Cały południowy wschód Alaski był odsłonięty i nieobjęty żadnym wielokątem. Zula

domyślała się, że OL to termin wojskowy, oznaczający zapewne „Obronę Lotniczą”. Pamiętała również - z lekcji historii o zimnej wojnie - o istnieniu systemów wczesnego ostrzegania, przypuszczała więc, że SWO to „Strefa Wczesnego Ostrzegania”, SIOŁ - amerykańska „Strefa Identyfikacji Obrony Lotniczej”, a KSIOL to jej kanadyjski odpowiednik.

KSIOL zaczynał się mniej więcej na wysokości Prince Rupert, miasteczka leżącego na południe od południowo-wschodniej wypustki Alaski, co oznaczało, że w systemie identyfikacji nadlatujących samolotów ziała szeroka na dobre pięćset mil luka oddzielająca system kanadyjski od amerykańskiego. Z militarnego punktu widzenia nie miało to wielkiego znaczenia, ponieważ rosyjskie bombowce miały przez nią dostęp tylko do górnego skrawka Kolumbii Brytyjskiej, Yukonu i Terytoriów Północno-Zachodnich; Rosjanie mogliby zrzucić tam atomówkę, żeby - w zależności od pory roku - stopić śnieg albo zabić trochę komarów, ale po drodze do dużych miast w Kanadzie i Stanach musieliby pokonać strefy identyfikacji leżące dalej na południe. Zresztą, żeby w ogóle dotrzeć do tej luki, musieliby najpierw długo lecieć niewygodnym południowym kursem, na którym samolot zużyłby masę paliwa.

Cały północno-zachodni kawał Kolumbii Brytyjskiej obejmujący mniej więcej trzecią część jej powierzchni leżał powyżej kanadyjskiej SI i poniżej amerykańskiej - i na nim właśnie koncentrowała się uwaga Jonesa. Na pierwszy rzut oka wydawał się potwornie górzysty i odludny, ale mapy lotnicze miały z natury skąpe opisy, nie uwzględniały dróg i nie podawały lokalizacji miast, jeśli nie było w nich ważnych lotnisk. W rzeczywistości okolica mogła zatem wyglądać nieco lepiej.

Khalid nie potrafił się chyba skupić na niczym dłużej niż przez trzydzieści sekund, był więc skazany na przewracanie oczami i desperackie wzdychanie podczas długich godzin poświęconych przez Jonesa na studia kartograficzne. Zula spotkała w życiu wielu takich mężczyzn jak on i mimo że nie spędziła teraz dużo czasu z Khalidem, wiedziała, czego się po nim spodziewać. Jediną rzeczą zdolną na dłużej przykuć jego uwagę była interakcja z inną istotą ludzką - przy czym charakter tej interakcji nie miał większego znaczenia. Trzech z czterech żołnierzy drzemało, czwarty wciąż ćwiczył na symulatorze, Jonesa pochłaniała mapa, a piloci byli bez reszty skoncentrowani na tym, żeby utrzymać się pod brzuchem jumbo jeta - Khalid nie miał z kim wejść w interakcję. Pozostała mu tylko Zula, która większość czasu spędzała w sypialni na rufie, za zamkniętymi drzwiami. Dlatego, gdy tylko je otwierała, natychmiast napotykała palące, natarczywe spojrzenie jego oczu, jakby domagał się jakiejś reakcji z jej strony. Te oczy śledziły każdy jej ruch. Nie mógł nie zauważyć, jak ponad ramieniem Jonesa zerka na mapę.

Za pierwszym razem jej ciekawość go zaskoczyła, a za drugim uraziła. Za trzecim razem wpadł w (dobrze wyćwiczony, zdaniem Zuli) szal: zerwał się na równe nogi i wkroczył w jej przestrzeń osobistą w taki sposób, że prawie musiała się przed nim cofnąć. Nie potrafiła rozgryźć stosowanej przez niego gramatyki, ale rozpoznała kilka niezbyt pochlebnych rzeczowników; gdyby był raperem, pewnie nazwałby ją suką i zdzirą. Obrzucał ją różnymi epitetami do momentu, gdy potok wyzwisk zmącił koncentrację Jonesa, który kazał mu przymknąć jadaczkę. Jones powiedział to znużonym, może nawet przygnębionym tonem, który dobrze oddawał panujący wśród dżihadystów nastrój ogólnego zniechęcenia.

Zula wróciła do siebie i zaczęła się nad tym zastanawiać. Zaledwie przed paroma godzinami, w Xiamen, Jones myślał, że uda mu się wylądować w gościnnym pakistańskim mieście, wziąć na pokład Bardzo Zły Ładunek (brudną bombę?), a potem zawrócić i urządzić mały Armagedon w Las Vegas. Zamiast tego - ze względu na złożone przepisy rządzące lotami międzynarodowymi, ograniczenia w korzystaniu z przestrzeni powietrznej, oraz fakt, że Paweł i Siergiej w decydującym momencie pokazali, że mają charakter - musiał się zadowolić skleconym naprędce planem awaryjnym, który wprawdzie pozwolił im bezpiecznie opuścić Chiny, ale spowodował, że nie wystarczy im paliwa na dotarcie do Stanów; będą musieli lądować na jakimś zadupiu i improwizować. Jones miał pewnie wrażenie, że trafiła mu się niepowtarzalna okazja, którą następnie sam zmarnował - chociaż przecież nie miał wielkiego wyboru. Zula widziała wyraźnie, jak wykształcony inżynier z Zachodu zмага się w nim z islamskim fundamentalistą: pierwszy chciał realizować starannie ułożone plany, drugi wolałby pójść na żywioł i zaufać przeznaczeniu. Większość jego towarzyszy, fatalistów z natury, krzywo patrzyła na decyzje, które podejmował.

Zaczęła się zastanawiać, co pomoże jej przetrwać w północnej Kanadzie o tej porze roku. Zima się wprawdzie skończyła, ale nadal było zimno, a nie wiedziała, czy dżihadyści spakowali do samolotu ciepłe ubrania. Wydawało się to mało prawdopodobne, biorąc pod uwagę fakt, że planowali akcję w Xiamen, leżącym na tej samej szerokości geograficznej co Hawaje. Z drugiej strony - sporo czasu spędzili na kutrze rybackim, a na takich łajbach zwykle trzyma się ubrania na gorszą pogodę.

Oni mogli więc mieć co na siebie włożyć, ale jej zostawały co najwyżej koce z sypialni w samolocie. Które i tak jej zabiorą, jeśli zajdzie taka potrzeba. W dodatku, na nogi mogła wzuć co najwyżej chińską podróbkę crocsów, które dostała we Władywostoku, a jeśli wyjdzie w nich na dwór, odmrożenia najpierw ją obezwładnią, a potem trwale okaleczą. Mogłaby ewentualnie podrzeć koce na pasy, owinać nimi stopy i dopiero wtedy nałożyć klapki. Lepsze to niż nic - ale byłoby jej o wiele łatwiej, gdyby miała nóż.

Krewniacy płci męskiej, ze swoimi obsesjami na punkcie noży i pistoletów, zawsze budzili w niej lekkie rozbawienie, musiała jednak przyznać, że warto czasem mieć przy sobie nóż, bo bywa użyteczny z wielu bardzo różnych względów. Dlatego od jakiegoś czasu rozglądała się po samolocie w poszukiwaniu przedmiotów, które mogłyby udawać noże. Plan A był taki, żeby stłuc monitor na ścianie, wyjąć szklaną drzazgę i dorobić jej uchwyt poprzez owinięcie jednego końca kawałkiem narzuty. Pomysł nie był zły, ale jego realizacja byłaby głośna i trudna do ukrycia, a w dodatku wytworzyłaby noże bardzo nierównej jakości.

Plan B był prostszy: należało ukraść prawdziwy nóż z pokładowego kambuza, wciśniętego w załom między łazienką i kabiną pilotów, obok którego przechodziła przy każdej wizycie w toalecie. Pomysł przyszedł jej do głowy po pierwszej takiej eskapadzie - tej, podczas której wyrzała przez okno z kabiny pilotów i zobaczyła lecącego tuż nad nimi boeinga. Za drugim razem ułożyła plan, który za trzecim zrealizowała: z szuflady wyjęła spory, ciężki nóż do steków. Schowała go do przedniej kieszeni spodni. Ostrze przebiło od środka kieszeń i przylgnęło jej do uda, a drewniany uchwyt zmieścił się w kieszeni. Gdyby trafił się jej większy nóż, byłoby to szaleństwo, ale ten nie mógł jej wyrządzić krzywdy, dopóki przylegał na płask do skóry.

Przy okazji przypomniwała sobie pewien ciekawy okrucuch wiedzy nabytej w harcerstwie - taki mianowicie, że dzins to najgorszy możliwy materiał ubraniowy na zimne i deszczowe dni. Gruba bawełna łatwo chłonie wodę, a mokra traci właściwości izolacyjne.

Uwięziona w sypialni (każde wyjście narażało ją na gniew Khalida), nie mogąc zasnąć i nie mając nic do roboty, postanowiła dla zabicia czasu obejrzeć jakiś film. Pomysł wydał jej się nieco absurdalny, ale mógł to być ostatni film w jej życiu - a nic innego i tak nie przychodziło jej do głowy. Wśród płyt DVD na półce znalazła *To właśnie miłość*, komedię romantyczną sprzed dobrych dziesięciu lat, którą widziała chyba ze dwadzieścia razy. Oglądanie jej z koleżankami ze studiów było jak rytuał, kiedy tylko dopadł je specyficzny nastrój.

Włączyła film.

Telewizor wisiał na tylnej ścianie sypialni, u stóp łóżka, zwrócony ekranem w stronę dziobu samolotu. Zula ułożyła z poduszek piramidę przy wezgielciu i usadowiła się wygodnie. Tym sposobem wejście do kabiny miała za plecami, nieco z boku.

Mniej więcej godzinę później uświadomiła sobie, że nie jest sama. Drzwi były uchylone. Ktoś zaglądał przez szparę i razem z nią oglądał film.

W pierwszej chwili odczuła głównie zakłopotanie. *To właśnie miłość* zawierał kilka rozładujących napięcie absurdalnych wątków komediowych, wśród nich wyjątkowo

rubaszną komedyjkę erotyczną. Przeciętny widz bez trudu odczytałby ją jako ironiczną autoparodię, ale tutaj, na pokładzie tego samolotu, znajdowali się ludzie, którzy byliby gotowi potraktować ją dosłownie.

Po pierwszym momencie zawstydzenia poczuła się bezbronna i skrępowana faktem, że leży wyciągnięta na łóżku. Sięgnęła po pilota, zatrzymała film i spuściła nogi na podłogę, żeby podejść do drzwi i zdemaskować podglądacza.

Dokładnie w tej samej chwili, gdy wstała, drzwi otworzyły się z impetem do wewnątrz i odrzuciły ją w tył. Krawędź łóżka podcięła ją pod kolanami i Zula wyciągnęła się na wznak na materacu.

Khalid wszedł do pokoju, zatrzasnął za sobą drzwi i zamknął je na zamek.

Zula usiadła, ale nie zdążyła już wstać z łóżka, bo Khalid uderzył ją na odlew w twarz. Udało jej się odskoczyć i częściowo uniknąć ciosu, lecz coś twardego i ostrego zacięło ją w policzek. Z impetem klapnęła na tyłek. W oczach zbierały jej łzy, chociaż był to raczej odruch po uderzeniu w twarz niż reakcja na ból. Czyżby uderzył ją pistoletem?

Podniosła rękę, żeby wytrzeć łzy, i poczuła, jak coś zimnego i twardego wbija się jej w czoło: lufa pistoletu. Nacisk był na tyle silny, że musiała się pod nim ugiąć i położyć na plecach. Legła na materacu na wznak, z głową opartą o tylną ścianę. Nad nią znajdował się telewizor i panel sterowania odtwarzacza DVD.

Pistolet się cofnął, a kiedy udało jej się wyostrzyć wzrok, zobaczyła, że celuje w nią z odległości dwóch stóp. Khalid trzymał go w prawej ręce, a lewą rozpiął i opuścił sobie spodnie, z których wyskoczył penis w pełnej erekcji. Zula nie była może światowej klasy specjalistką od penisów, ale zdawała sobie sprawę, że zwykle potrzebują trochę czasu, żeby tak stwardnieć, co dowodziło, że Khalid od dłuższej chwili stał pod drzwiami i szykował się do akcji. Najwidoczniej inni w kabinie posnęli.

Całe to straszenie pistoletem było idiotyczne: pocisk zrobiłby dziurę w poszyciu i rozhermetyzował samolot. Zula nie była pewna, czy Khalid zdaje sobie z tego sprawę, ale musiała założyć, że naprawdę jest aż takim durniem. Z kulą w głowie nie nacieszyłaby się widokiem tych kretynów tracących przytomność z niedotlenienia.

Tymczasem zaś, skoro zamiary Khalida stały się oczywiste, skoncentrowała się na jak najskuteczniejszym oddaleniu swoich bioder od jego bioder. Problem polegał na tym, że dała się zapędzić w kozi róg w głębi kabiny. Podparła się na łokciach, dźwignęła trochę, odsunęła najdalej jak się dało i usiadła. Khalid, który zinterpretował jej zachowanie jako brak woli współpracy, wściekł się. Rzucił się na nią, oparł kolano na materacu pomiędzy jej kolanami i wolną ręką złapał ją za dzinsy w pasie. Odepchnęła jego rękę. Zamachnął się, żeby znów ją

spoliczkować. Zablokowała uderzenie przedramieniem, ale impet ciosu obrócił ją w bok na materacu. Wyrznęła głową w panel odtwarzacza i usłyszała z tyłu ostry, mechaniczny dźwięk. Odtwarzacz wypluł płytę.

Korzystając z chwili nieuwagi Zuli, Khalid rozpiął jej spodnie i szarpnął w talię, usiłując je z niej ściągnąć. Nie bardzo mu to wychodziło - po części dlatego, że robił to jedną ręką, a po części dlatego (jak uświadomiła sobie Zula), że nóż, który miała w kieszeni, zaparł się o jej udo i nie pozwalał wywrócić džinsów na lewą stronę. Khalid szarpał wściekle, jak obłąkany, miotając Zulą na wszystkie strony. Zaparła się rękami o ścianę za plecami, żeby znów nie uderzyć w nią głową - i wtedy lewą ręką natrafiła na wysuniętą z odtwarzacza płytę.

Peter w tawernie na zamku. Złamał płytę DVD i skaleczył się w rękę.

Khalid miał chyba dość szamotaniny z użyciem tylko jednej ręki. Zrobił coś z pistoletem (przestawił bezpiecznik?) i rzucił go na dywan. Pistolet głucho stuknął o podłogę przy drzwiach, a Khalid zaczął czynić wyraźne postępy w oswabadzaniu bioder i pośladków Zuli z džinsów. Nóż odwrócił się w kieszeni i zadrasnął ją w udo.

Ponieważ Khalid był chwilowo zaaferowany tym, co robi, Zula wyjęła płytę z odtwarzacza i zgięła ją prawie na dwoje, ścisnąwszy w palcach lewej ręki. Bała się ją po prostu złamać, głośny trzask mógłby zwrócić uwagę Khalida.

Dżinsy przez ten czas utworzyły pomost łączący jej nogi na wysokości ud i skutecznie zastopowały starania Khalida. Zsuwając je w ten sposób, tylko pogorszył swoją sytuację. Spojrzawszy w dół na odsłonięty, lecz chwilowo niedostępny srom Zuli, zobaczył sterczący z jej kieszeni nóż.

Ryknął ze złości, zerwał się na równe nogi i kilkakrotnie z całej siły szarpnął dżinsy Zuli, wywracając obie nogawki na lewą stronę. Czując, jak jej tyłek podskakuje na materacu, Zula podsunęła pod niego rękę z płytą i poczuła, jak pod jej ciężarem DVD pęka na dwoje. Materac i jej ciało do spółki skutecznie zagłuszyły odgłos złamania płyty.

Dżinsy zawisły jej na kostkach, nóż znalazł się kompletnie poza jej zasięgiem. Khalid z triumfalną miną wyłowił go z kieszeni. Zbliżył się do Zuli, znów roztrącił kolanem jej kolana, a potem pochylił się i, oparłszy nasadę dłoni na jej podbródku, odchylił jej głowę do tyłu. Drugą ręką przystawił jej nóż do szyi.

Zula wybrała ten moment, żeby zamaszystym cięciem na oślepie, niczym kosą, chlasnąć ostrą krawędzią połówki płyty po członku Khalida.

I z całą pewnością w coś trafiła, bo Khalid odruchowo złapał się obiema rękami za kroczę, porzuciwszy nóż na jej brzuchu. Stracił przy tym oparcie dla tułowia i zaczął się przechylać w przód. Zaskoczony, wybałuszył oczy - co bardzo Zuli odpowiadało, bo w tej

samej chwili uderzyła obiema rękami, celując mu w oczy połówkami płyty DVD.

Jakiś instynkt kazał jej zacisnąć powieki, nie zobaczyła więc skutków swojego ciosu, za to usłyszała skowyt Khalida i poczuła, jak przewraca się do tyłu. Puściła połówki DVD i po omacku sięgnęła po leżący na brzuchu nóż. Udało jej się go strącić prosto w szparę między ścianą i materacem.

Trudno. I tak najważniejszy był w tej chwili pistolet. Przeturlała się w bok, spadła z łóżka i na czworakach pobrnęła ku drzwiom, gdzie, jak przypuszczała, powinna znajdować się porzucona broń. Khalid leżał tuż obok, trzymając się za twarz i wrzeszcząc wniebogłosy.

Dostrzegła pistolet i nakryła go dłonią w tej samej chwili, gdy ktoś z drugiej strony kopniakiem wyważył drzwi. Otworzyły się z impetem, przyciskając jej rękę z bronią do ściany.

Leżała więc jak długa na podłodze, spętana w kostkach wywróconymi na lewą stronę dżinsami, z jedną ręką wolną, a drugą zaciśniętą na kolbie pistoletu samopowtarzalnego, ale wciśniętą między drzwi i ścianę - a zatem niewidoczną, lecz skutecznie unieruchomioną.

Drzwi wyważył jeden z żołnierzy, który następnie oparł się o nie całym ciężarem i na amen przyspilił rękę Zuli do ściany. Abdallah Jones zaglądał mu przez ramię. Wszyscy krzyczeli.

Zula zaczęła czubkami palców badać pistolet, starając się odgadnąć, która z małych wypustek na jego powierzchni może być bezpiecznikiem. Nie chciałyby przez pomyłkę wcisnąć dźwigni zwalnającej magazynek. Bezpiecznik powinien znajdować się w pobliżu prawego kciuka... Znalazła coś, co pasowało do tego opisu, i przestawiła to coś w inne położenie.

Jones położył rękę na ramieniu żołnierza blokującego drzwi, odsunął go sobie z drogi, przeszedł przez próg i przyklęknął przed Khalidem. W sypialni zrobiło się nagle bardzo, bardzo ciasno. Na Zulę chwilowo nikt nie zwracał uwagi. Podciągnęła się do pozycji siedzącej i oparła o drzwi, które zatrzasnęły się pod jej ciężarem, co wywołało nową falę okrzyków i łomotów z drugiej strony. Zula spojrzała na trzymany w ręce pistolet, żeby sprawdzić, czy kurek jest napięty; wyglądało na to, że tak, chociaż nie znała tego modelu.

Khalid siedział cztery stopy od niej z kolanami podciągniętymi do piersi. Obiema rękami trzymał się za twarz. Jones klęczał przed nim i mówił coś zapalczywym tonem; próbował go przekonać do opuszczenia rąk, żeby móc ocenić obrażenia.

Zula wycelowała pistolet w środek tułowia Khalida i trzy razy pociągnęła za spust, przestrzelając mu, jak przypuszczała, serce i płuca.

Rozległ się ogłuszający, piskliwy wizg - albo dzwoniło jej w uszach, albo powietrze

uciekało przez dziury w kadłubie. A może jedno i drugie na raz. Coś ogromnego pofrunęło w jej stronę: to Jones porwał narzutę z łóżka i rzucił nią Zuli w twarz. Drzwi coraz mocniej napierały jej na plecy: powietrza w sypialni ubywało i wyższe ciśnienie w kabinie próbowało wcisnąć drzwi do środka.

Strzeliła jeszcze raz, z grubsza w tę stronę, z której Jones mógł się na nią rzucić. W tej samej chwili upadł na nią całym ciężarem, przyszpilając jej rękę z pistoletem do podłogi, a ją samą do drzwi. Jego kolano wgniotło się jej w mostek. Wolną ręką odrzuciła zasłaniającą jej widok narzutę. Jones, niedraśnięty, siedział na niej i wyciągniętą ręką sięgał po zwisający spod sufitu żółty przedmiot. Nie widziała wyraźnie, co to jest, obraz mglił się jej w oczach, ale w końcu rozpoznała maskę tlenową. Jones przyciągnął ją do siebie, nałożył na nos i usta i naciągnął gumkę na potylicę.

Spojrzał z góry na Zulę.

Instrukcja obsługi maski tlenowej w samolocie nakazuje najpierw założyć maskę sobie, a dopiero potem zająć się tymi, którzy potrzebują pomocy. Pierwszą jej część Jones wypełnił bezbłędnie, ale potem tylko przyglądał się z zaciekawieniem, jak Zula powoli usypia.

* * *

Brnąc przez wodę w kierunku, z którego dobiegał warkot silnika, Sokołow rozważał w duchu wszystkie możliwe sposoby, w jakie jego sytuacja mogła się skomplikować - o ile już się nie skomplikowała. Nabrał tego nawyku tak dawno, że już nie pamiętał jego początków. Służba w wojsku wzmocniła go tysiącrotnie, a przenosiny do branży ochroniarskiej bynajmniej mu nie zaszkodziły. Gdyby konsultanci do spraw bezpieczeństwa rządzili światem, wojskowi staliby się zbędni, ponieważ wszystkie ewentualne konflikty mogące w przyszłości doprowadzić do zastosowania przemocy zostałyby przewidziane - i rozwiązane - na długo przed tym, jak przerodziłyby się w wojny. Tak przynajmniej to sobie tłumaczył, kiedy musiał sam przed sobą usprawiedliwiać wybór swojej drugiej profesji.

Fakt, że widoczność spadła do znacznie poniżej stu metrów, był dla niego zarazem błogosławieństwem i przekleństwem. Cieszył się, że będzie mógł niepostrzeżenie dostać się na kontenerowiec, ale niepokoiło go, że nie widzi przybywającej po niego łodzi. W taksówce trochę wypytywał „George’a Chow” o to, jak dokładnie załatwił tę sprawę, skąd wziął przewoźnika i czy nie boi się, że będą śledzeni przez chińskich agentów. George Chow zapewnił go (z przesadnym entuzjazmem, zdaniem Sokołowa), że wszystko zostało zorganizowane perfekcyjnie. Taka pewność siebie często bywała sygnałem ostrzegawczym. Sokołow nie znał George’a Chow, nie wiedział nic o jego przeszłości wywiadowczej, nie miał

pojęcia, w jakim stopniu chińscy agenci przeniknęli w szeregi tajwańskiej policji i tajnych służb - dlatego najbezpieczniej było założyć, że Chow był śledzony od momentu wyjścia z hotelu, albo (co byłoby łatwiejsze i tańsze) obserwowany za pośrednictwem kamer monitoringu, gdy w Jinchengu zszedł na przystań w poszukiwaniu łodzi do wynajęcia. Jeżeli rzeczywiście tak było, agent z kontynentu mógł zaraz po odejściu Chow spotkać się z wybranym przez niego przewoźnikiem i - za pomocą zręcznej mieszanki gróźb i łapówek - wyciągnąć z niego wszystkie interesujące go informacje.

„Co dokładnie powiedziałeś przewoźnikowi?” - zapytał w taksówce Sokołow.

„Niewiele. Tylko tyle, że o określonej godzinie ma przy płynąć we wskazane miejsce i kogoś stamtąd zabrać” - usłyszał odpowiedź z przedniego siedzenia. „Sam mu powiesz, dokąd chcesz płynąć”.

Tak czy inaczej, nie można było wykluczyć, że łódź czekająca na niego w punkcie wskazanym przez otrzymany od George'a Chow GPS będzie pełna ludzi, którzy przybyli z kontynentu specjalnie w tym celu, żeby znaleźć Sokołowa i albo zabić go na miejscu, albo zabrać do Chińskiej Republiki Ludowej, gdzie czekało go przesłuchanie i Bóg jeden wie co jeszcze.

Jeżeli rzeczywiście tak było i jeżeli wybuchłaby strzelanina (a gdyby miał w tej kwestii coś do powiedzenia, to bez strzelaniny by się nie obeszło), jak by to wyglądało z punktu widzenia George'a Chow i Olivii? A właściwie - jak by to dla nich brzmiało, bo przecież niczego nie zobaczą? Seria strzałów, częściowo zagłuszonych szumem fal przypiływu torujących sobie drogę wśród tysięcy sterczących z piasku kamiennych palców. Nawet gdyby Olivia okazała się na tyle niemądra, żeby zapuścić się we mgłę i zbadać sprawę bliżej, niczego by nie znalazła. Łódź zdążyłaby dawno odpłynąć; może na wodzie unosiłoby się jeszcze jakieś ciało albo dwa, lecz szansa, że natrafi na takie niepodważalne dowody, była minimalna. Znacznie bardziej prawdopodobne było, że ani ona, ani George Chow o niczym się nie dowiedzą i ciężko przestraszeni będą chcieli jak najszybciej dostać się na lotnisko i uciec z wyspy.

Sokołow zainteresował się również tym, co się z nim stanie po zakończeniu rejsu, w Long Beach. Chow wyjaśnił mu, że w porcie wejdą na pokład kontenerowca przedstawiciele rządu USA, którzy przetransportują go w bezpieczne miejsce, gdzie wypytają go o Abdallaha Jonesa. Ułatwią mu również załatwienie formalności imigracyjnych.

Transportowanie, wypytywanie i ułatwanie nie interesowało Sokołowa. Miał już wizę B-1, która pozwalała mu w każdej chwili wjechać na terytorium USA. Gdyby miał przedostać się do Stanów z pokładu kontenerowca (co w porównaniu z kłopotami, z którymi zmagał się

przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny, powinno być łatwe jak nasikanie do wanny), największym jego problemem będzie brak potwierdzającej przekroczenie granicy pieczętki w paszporcie - fakt wprawdzie kłopotliwy, ale tak trywialny i odległy w czasie, że chwilowo nie było sensu zawracać sobie nim głowy. Przekazał Olivii wszystkie posiadane informacje na temat Abdallaha Jonesa, więc dalsze przepytывanie go w Los Angeles musiałyby dotyczyć zagadnień, których rozwinięcie tylko przysporzyłoby mu kłopotów - takich jak Iwanow, Wallace i wczorajszy poranek w bloku mieszkalnym w Xiamen. Gdyby zaś zdołał przekonać Amerykanów, że zginął w zasadzce we mgle u brzegów Kinmen, oszczędziłby sobie takich upokorzeń.

Pozostawała jeszcze sprawa Olivii.

Polubił ją i chciał, żeby była szczęśliwa. Przyglądając się jej, widział, że oszukuje się w kwestii łączącego ich związku, który w sposób oczywisty (przynajmniej dla niego) opierał się na prostej, zwierzęcej atrakcyjności. Czasem tak w życiu bywa, że niespodziewanie kogoś poznajemy i mamy ochotę rznąć się z nim do nieprzytomności; to pewnie feromony czy coś. Zwykle uczucie to pozostaje nieodwzajemnione, ale czasem udaje się dostroić do partnera, a wtedy wydarzenia toczą się z gwałtownością i intensywnością niepokojącą dla każdego zdrowego na umyśle człowieka, któremu się wydaje, że jego życie ma sens. Ale na tym koniec. Zabawili się w bunkrze; gdyby wylądowali razem w jakiejś bezpiecznej kryjówce, pewnie próbowaliby to pociągnąć, ale takie związki rzadko trwają dłużej. Olivia - kobieta wykształcona i racjonalna - nie była skłonna przyznać, że jest osobą zdolną wejść w taki związek, i przez cały czas, nawet teraz, łamała sobie głowę nad bajeczką, wedle której było w tym coś znacznie, znacznie więcej. Gdyby tak się zdarzyło, że byliby sąsiadami albo pracowali w jednym biurze, musiałyby przejść długotrwały, dramatyczny i niezwykle bolesny proces pogodzenia się z faktem, że łączące ich pierwotne przyciąganie nie może być fundamentem prawdziwego związku.

Na szczęście, w rzeczywistości sytuacja była o wiele prostsza. Nawet jeśli spotkanie z łodzią i rejs kontenerowcem odbędą się zgodnie z planem, on i Olivia najprawdopodobniej nigdy więcej się nie spotkają. Gdyby jednak Sokołow zginął w zasadzce u mglistych brzegów Kinmen, Olivia mogłaby raz na zawsze zamknąć drzwi za tym niezwykle satysfakcjonującym, lecz w gruncie rzeczy nic nieznaczącym romanssem, i wieść szczęśliwe, spokojne życie. Tego właśnie dla niej chciał.

Dlatego, słysząc przybliżający się terkot silnika łodzi, ułożył w głowie plan, którego realizacja w tym momencie wydawała mu się dziecinnie łatwa, a który miał bardzo uprościć życie zarówno jemu, jak i Olivii. Wszystko sprowadzało się do oddania paru strzałów z

pistoletu. Wprowadzie w ten sposób śmiertelnie przestraszy sternika, ale z tym akurat powinien sobie bez większych kłopotów poradzić. Potem, kiedy już uda się doprowadzić do spotkania z kontenerowcem, w jakiś sposób przekona kapitana, żeby ten zaprzeczył, że takie spotkanie nastąpiło: łódź nie dotarła na miejsce, Sokołow się nie zaokrętował. Za dwa tygodnie, już w USA, wymknie się z pokładu i, wykorzystując swoje kontakty w Long Beach, przypadnie do ziemi na jakiś czas. A potem wróci do Toronto, skąd cała eskapada się zaczęła. Szczegółowa inspekcja stempli w paszporcie mogłaby mu wprowadzie pokrzyżować szyki, ale nigdy jeszcze mu się nie zdarzyło, żeby ktoś dokładnie oglądał te pieczętki.

Dlatego, zbliżając się do miejsca, w którym czekała na niego łódź, wyjął najpierw makarowa, a potem także pistolet maszynowy zabrany wieczorem jednemu z dżihadystów i sprawdził, czy oba są sprawne (co bez względu na okoliczności było dobrym pomysłem). Doszedł do wniosku, że jeśli ma zasymulować strzelaninę, bardziej wiarygodnie wypadnie kilka strzałów z makarowa i jedna albo dwie serie z broni maszynowej. Oczywiście poczeka z tym wszystkim, aż wsiądzie do łódki, żeby nie spłoszyć przewoźnika. Z tego też względu nie chciał wynurzyć się z mgły z bronią w obu rękach. Schował makarowa do kabury przelotowej przy pasie, a pistolet maszynowy przewiesił przez plecy.

Woda sięgała mu już do piersi - w sam raz, żeby udźwignąć jakąś większą jednostkę pływającą. Przygarbił się, wystawiając nad powierzchnię tylko górną część głowy, chociaż trudno mu było utrzymać tę pozycję, kiedy zalewały go fale. Na ostatnim odcinku podejścia prześlizgiwał się z jednego obrośniętego muszlami słupka na drugi. W odległości zaledwie paru metrów słyszał chrobotanie kadłuba łodzi o słupki.

W końcu ją zobaczył: długi cień na wodzie. Cień przybliżył się i zgęstniał, tworząc linię grubych czarnych O - to były opony przerzucone za burtę, chroniące ją przed zmasakrowaniem przez betonowe słupki. Sokołow zobaczył sternika, który siedział wyprostowany na rufie i czekał, wypatrując tajemniczego pasażera. Z dziobu zwieszała się biała drabinka sznurowa - na bakburcie, a więc od strony brzegu; przewoźnik najwyraźniej spodziewał się, że pasażer przybędzie właśnie z tego kierunku i drabinka może mu się przydać.

Wyglądało jednak na to, że opony na burtach świetnie nadadzą się na stopnie i chwytły podczas wspinaczki na pokład, Sokołow uznał więc, że wcale nie musi zaokrętować się od strony łądu. Poświęcił zatem kilka dodatkowych chwil na okrążenie łodzi od strony rufy, na wpół brodząc, na wpół płynąc, aż znalazł się w miejscu, z którego dobrze widział wybraną oponę i pętlę liny, po których wdrapie się na pokład. Zanurkował i ostatnie metry pokonał pod wodą.

Kiedy nad głową zamajaczyło mu dno łodzi, podkulił nogi, przyciągnął kolana do piersi i opadł na dno morza, a następnie z całej siły wybił się z obu nóg do góry. Jego ręce pierwsze wystrzeliły z wody i wczepiły się w oponę. Podniósł lewą nogę, zahaczył stopą o wewnętrzną krawędź opony i przeniósł ręce na podtrzymującą ją linę. Podciągnął się na rękach, odbił z solidnie opartej stopy i wskoczył do wnętrza łodzi, przenosząc przez burtę najpierw prawą, wolną nogę.

Przez ułamek sekundy, spadając do wnętrza łodzi, objął nadburcie okrakiem. Sternik odwrócił się w jego stronę, zaniepokojony nagłym pluskiem. Sokołow spojrzał mu przelotnie w oczy, a potem przeniósł wzrok na dziób, gdzie na dnie zamiast ładunku dostrzegł trzech uzbrojonych mężczyzn. Leżeli na brzuchach, wpatrzeni w miejsce zawieszenia drabinki sznurowej.

Nie mógł nic poradzić na to, że impet odbicia przerzucił go nad burtą do wnętrza łodzi; postawiwszy jedną nogę na pokładzie, musiał kontynuować piruet. Obrócił się na nodze podstawnej (lewej), wciągnął do środka łodzi drugą (prawą) i na chwilę odwrócił się plecami do leżących. Podczas tego manewru siła bezwładności wprawiła pistolet maszynowy (pozostający na uwięzi na przewieszonym przez ramię pasku) w ruch wokół jego tułowia. Sokołow stanął mocno na nogach i odczekał, aż pistolet znajdzie się z przodu jego torsu, a wtedy chwycił go mocno w obie ręce, przyklęknął na jedno kolano i krótką serią przeciągnął najbliższemu strzelcowi po pośladkach. Pół tuzina pocisków weszło w ciało w rejonie miednicy i przez wnętrzości utorowało sobie drogę w przybliżeniu w kierunku mózgu. Drugi z mężczyzn dźwignął się na łokciu i obejrzał za siebie, żeby zorientować się w sytuacji. Sokołow unicestwił mu twarz. Trzeci, leżący najbliżej dziobu, jednym płynnym ruchem poderwał się na nogi i skoczył z dziobu do wody, ścigany kanonadą z pistoletu maszynowego.

Sokołow puścił broń, która zawisła na pasku, i przepchnął makarowa na wylot przez kaburę. Odwrócił się do sparaliżowanego strachem sternika i skinieniem lufy wskazał na otwarte morze, po czym rzucił się na płask na dno łodzi i przeczołgał po nim na dziób, wymijając dogorywających w konwulsjach strzelców. Wyjrzał na sekundę pomiędzy dwoma oponami i natychmiast schował głowę. Z odległości paru metrów dał się słyszeć potrójny huk: strzelał do niego trzeci agent, prawdopodobnie schowany za którymś z betonowych słupków. Sokołow strzelił kilka razy na oślep, żeby dać mu do myślenia. Całym ciałem czuł wzmożone wibracje silnika i drzenie rozpędzającego się kadłuba.

Kiedy następny raz wyjrzał znad nadburcia, betonowe słupki zniknęły we mgle, która tymczasem przeszła w mżawkę. Łódź wypłynęła na wstecznym daleko w morze. Dopiero wtedy sternik obrócił ją w miejscu i ruszył do przodu.

* * *

Szum i łoskot roztrzaskujących się fal przyływu prawie zagłuszył strzały. Pomruk silnika cichł w oddali, w miarę jak łódź oddalała się od brzegu. Olivia powstrzymała idiotyczny odruch, który kazał jej zawołać Sokołowa po nazwisku. Jeszcze przez chwilę siedziała na słupku z podkulonymi nogami, z dłońmi przystawionymi do uszu, nasłuchując... Czego właściwie? Wołania o pomoc? Przedśmiertnych okrzyków bólu? Trzasków zakłóceń w krótkofalówce? Niczego się jednak nie doczekała, aż w końcu sama zaczęła zadawać sobie pytanie, czy naprawdę coś słyszała.

Przyzwoitość - głupia przyzwoitość - kazała jej pobnąć przez wodę w kierunku, z którego dobiegły strzały. Spojrzała w dół i stwierdziła, że o brodzeniu nie może już być mowy i musiałaby popłynąć wplaw, a przyływ rzuciłby ją jak piłeczką wśród słupków najeżonych ostrymi jak brzytwy muszlami ostryg i pąkli. Mogła zrobić tylko jedno: odwrócić się plecami do tego, co się przed chwilą wydarzyło, i wrócić na brzeg. I musiała działać szybko, zanim wody przybędzie.

Zadarła sukienkę powyżej talii (co w gruncie rzeczy niewiele jej pomogło) i zdjęła majtki. Ponieważ chciała mieć obie ręce wolne, włożyła rękę w nogawkę majtek i podciągnęła je aż do barku, gdzie były bezpieczne. Skoczyła ze słupka do wody, która sięgnęła jej do pępka, i zaczęła brnąć w stronę brzegu. Wymagało to od niej małej zgadywanki, ponieważ powietrze zgęstniało od białej mgły upstrzonej maleńkimi, pędzącymi jak szalone kropelkami deszczu, która ukryła przed wzrokiem Olivii nie tylko słońce, ale w ogóle wszystkie punkty orientacyjne. Przyływ tworzył wiry i nieprzewidywalne prądy, kluczył wśród słupków i usiłował ją przewrócić. Poruszała się od słupka do słupka, opierając się o nie, żeby nie stracić równowagi, ale zarazem unikając mocniejszego kontaktu z ich oblepioną muszlami, zębatą jak brzeszczot piły powierzchnią. Z początku bała się trochę, że idzie w złą stronę, ale wkrótce zauważyła, że woda ochlapuje jej pośladki, a potem już tylko uda; szło się też coraz łatwiej. Zbliżała się do George'a Chow. Przynajmniej w przybliżeniu.

Nagle zaczęła sobie zadawać pytanie, czy na pewno chce go znaleźć.

Najbardziej paranoiczne wyjaśnienie wydarzeń z ostatniej półgodziny, jakie przychodziło jej do głowy, było takie, że Chow wcale nie jest agentem MI6, tylko chińskiego wywiadu (czyli, *de facto*, podwójnym agentem), i że oszukał ją, twierdząc, że pomoże jej i Sokołowowi wydostać się bezpiecznie z Chin. Zamiast tego wprowadził Sokołowa prosto w pułapkę.

Jednakże, im dłużej się nad tym zastanawiała, tym mniej podobała się jej ta teoria. Doszła do wniosku, że Chow naprawdę jest agentem brytyjskim, ale zaszła jedna z dwóch

okoliczności:

1. Ktoś go śledził albo zdradził podczas wcześniejszych ruchów w Jinchengu, dzięki czemu na łodzi czekali na Sokołowa chińscy szpiedzy, którzy z samego rana przyплыли promem na wyspę.

2. MI6 chciało śmierci Sokołowa i wynajęło miejscowych, żeby się tym zajęli.

Ta druga możliwość również trąciła paranoją, chociaż Sokołow bez wątplenia był dla MI6 niebezpiecznym i wysoce niewygodnym niezamkniętym wątkiem. Poza tym, Olivia z łatwością mogła sobie wyobrazić sytuację, w której rząd chiński głębokimi, mrocznymi kanałami kontaktuje z rządem brytyjskim i mówi tak: „Wczorajsze wydarzenia w Xiamen doprowadziły nas do szewskiej pasji. Żądamy głów. W przeciwnym razie możemy wam bardzo uprzykrzyć życie”.

Inaczej mówiąc, MI6 mogło dobić z Chińczykami targu: życie Sokołowa w zamian za zachowanie *status quo ante*.

Nasuwało się pytanie, czy sama Olivia również jest takim niezamkniętym wątkiem, którego należy się pozbyć w ramach tej samej umowy?

Przypuszczała jednak, że nie - chociażby dlatego, że Sokołow, tuż przed tym, jak pocałował ją na do widzenia, przekazał jej pożądane przez MI6 informacje umożliwiające znalezienie Abdallaha Jonesa.

* * *

- Dowiedziałas się? - Tymi słowami przywitał ją George Chow, gdy dotarła do samochodu. Bezpośredniość tego pytania, tak bardzo niepasująca do cechującej go wcześniej rezerwy godnej absolwenta Cambridge albo Oxfordu, nie pomogła jej wyzbyć się podejrzeń.

Zatrzymała się wcześniej, tuż nad wodą, poza zasięgiem jego wzroku, żeby włożyć bieliznę i nadać sukience należytą formę. Najlepsze, co można było powiedzieć na temat jej wyglądu, to że nie widać jej pupy. Chow, który czekał na nią i pilnował jej butów i torebki, taktownie odwrócił wzrok.

- Wiem wszystko to, co on wie - odparła. - Chociaż nie jestem pewna, czy nie należałoby powiedzieć „wiedział”.

Zaskoczony Chow rozdziawił usta.

Olivia odwróciła się w stronę morza. Udaje głupiego? Naprawdę nie słyszał strzałów? Bywa, że w niektóre dni - i w niektórych miejscach, takich jak to - dźwięk dziwnie się rozchodzi. Poza tym mógł przecież wsiąść do taksówki i zamknąć drzwi i okna, żeby mu nie padało do środka. A wtedy rzeczywiście nie usłyszałby tego, co ona.

Tak czy inaczej, nie zamierzała dzielić się z nim żadnymi użytecznymi informacjami,

dopóki nie znajdzie się w bezpiecznym miejscu, najlepiej w Londynie.

- Możemy już jechać? - zaproponowała i doskoczyła do drzwi taksówki, zanim Chow zdążył je przed nią otworzyć. - Nie ma sensu się tu kręcić, to kiepski pomysł.

Usiadł z tyłu, obok niej, i obserwował ją ciekawie, gdy taksówka zawróciła i ruszyła na lotnisko. Olivia uparcie wyglądała przez okno i dopiero po dłuższej chwili spojrzała na Chow.

- Masz mi coś do powiedzenia? - zapytała, patrząc mu w oczy.

- Będziesz musiała mi pomóc.

- Jeżeli pracujesz dla Chińczyków, lepiej od razu mnie zastrzel. A jeżeli nie, to bardzo cię proszę, rusz tą swoją zaśniedziałą mózgownicą, bo na razie jesteś bezużyteczny jak sto skurwysynów.

- Ależ Olivio! - wykrzyknął Chow tonem urażonego profesora uniwersytetu. - O ile mi wiadomo, wszystko poszło zgodnie z planem. Jeżeli posiadasz inne informacje, byłbym ci wielce zobowiązany...

- Nie wątpię. Zastanawia mnie co innego: jaki właściwie, do kurwy nędzy, był ten plan?

Chow milczał do chwili, gdy dojechali na lotnisko - czyli niezbyt długo, jeśli wziąć pod uwagę rozmiary wyspy. Potem na jakiś czas zajęła ich odprawa, kontrole, czekanie przy wyjściu do samolotu. Próbował zwabić Olivię do dyskretnego kącika, gdzie mogliby swobodnie porozmawiać, ale nie zamierzała mu nic mówić, dopóki nie oddalą się od Chin. Nic by jej to nie dało.

Najbliższym samolotem udali się do Tajpej.

Tam George Chow szedł za nią aż do sali odlotów, skąd wybierała się do Singapuru. Dalej miała zarezerwowany bezpośredni lot do Londynu. Wyglądało na to, że otrzymał nowe informacje przez telefon. Olivia modliła się w duchu, żeby jego rozmówca używał jakiegoś kuloodpornego szyfru.

- Pan Igrek nie stawiał się na spotkanie - oznajmił Chow.

- Gdzie?

- Na kontenerowcu płynącym do Long Beach.

- Musiałby mieć chyba nasrane we łbie, żeby pakować się na ten statek po tym, jak...

- Dobrze się stało - dodał Chow. - Przed wyjściem z portu statek został doścignięty i zatrzymany przez okręty chińskiej marynarki wojennej.

- Czyli całą operację szlag trafił.

- Właśnie. O czym ty, zdaje się, wiedziałś od samego początku.

Ożeż w mordę... Teraz będzie próbował zwalić to na nią.

- Ty naprawdę chcesz mi powiedzieć, że nie słyszałeś strzelaniny na plaży? Kurwa, przecież to było jak Dzikie Zachód...

- Nic nie słyszałem. Skoro jednak ty coś słyszałaś, powinnaś mi była o tym powiedzieć, żebyśmy mogli...

- Co? Dokończyć robotę?

- Że co?!

- Czy po prostu znowu udzielić biedakowi profesjonalnej pomocy?

Cisza.

- Lepiej na tym wyjdzie, jak sam o sobie zadba - dodała Olivia. - O ile jeszcze żyje. Co, jak się nad tym zastanowić, wydaje się chybionym założeniem.

George Chow lekko się zapienił.

Tym bardziej, że Olivia wcale nie była tu bez winy.

- Dopiero teraz zrozumiałem, jak bardzo osobiście podchodzisz do tej sprawy.

Dała sobie pół minuty na przetrwanie jego słów, zanim odparła spokojnie:

- Po prostu żałuję, że nie spisaliśmy się lepiej.

- W tej profesji to normalne. Witaj w klubie.

- Mój samolot przyjmuje już pasażerów.

- *Bon voyage*. Wypij za mnie piwko, jeśli łaska.

- Wypiję. Pewnie więcej niż jedno.

* * *

Kiedy Zula się ocknęła, ręce miała związane i przywiązane do kostek, najprawdopodobniej za pomocą podartej na pasy pościeli. Na głowie umocowano jej poduszkę, przytroczoną ścisłymi, lecz niezbyt mocnymi więzami; przeświecała przez nią zimna różowa poświata. Wijąc się, tarzając i przyciskając twarz do różnych rzeczy, Zula uzyskała potwierdzenie, że poświata sączy się przez okna samolotu.

Światło zaczęło fluktuować, na przemian zapalało się i gasło. Wycie silników to nasilało się, to przycichało. Coś uderzyło od spodu w samolot (albo to samolot w coś uderzył), maszyna podskoczyła, opadła, znów coś grzmotnęło, a potem nastąpiło najbardziej nierówne lądowanie w życiu Zuli. Kiedy w końcu - po serii łoskotów i drgawek - samolot znieruchomiał i silniki zaczęły przycichać, ich wizg utonął w chóralnym:

- Allah akbar!

Rozległy się liczne głuche odgłosy, jakby bliżej dziobu wybuchło jakieś zamieszanie.

Ktoś wszedł do sypialni. Jones. Nauczyła się go rozpoznawać po zapachu i sposobie

poruszania się. Rozciął więzy łączące jej nadgarstki z kostkami, złapał ją za stopy, przeciągnął na skraj łóżka i tam posadził z nogami spuszczone na podłogę. Odwiązał coś, co miała na szyi, i zdjął poduszkę. Zula zamrugła i potrząsnęła głową. Wydmuchnęła powietrze kącikiem ust, odsuwając w ten sposób opadający na oczy kosmyk włosów. Jones mógł jej pomóc, ale wolał się temu przyglądać z rozbawieniem.

Od zewnątrz do szyby była przyciśnięta ośnieżona sosnowa gałąź.

Khalid nadal leżał na podłodze, odwrócony na bok. Rozmiary kałuży krwi przekraczały najsmielsze wyobrażenia Zuli. Jones stał w samym jej środku.

- Paweł i Siergiej nie żyją - poinformował ją.

- Zginęli podczas lądowania? Czy...

- Powinienem dodać, że Pawła zgładziła spora gałąź, która wdarła się do kokpitu przez przednią szybę i wyrznęła go w szyję. Siergiejowi szło o wiele lepiej, dopóki jeden z moich kolegów nie zameldował się z nożem w kabinie pilotów i go nie wykończył.

Jones przyglądał się Zuli, gdy wyobraziła sobie tę scenę.

- Przecież wiedziałas, że tak będzie. I wiesz, dlaczego. Obaj służyli w rosyjskich siłach powietrznych. Zrzucali napalm na takich jak ja. Wzruszyłem się, kiedy włączyli cię do naszej umowy. Trzeba oddać Rosjanom sprawiedliwość: nienawidzę ich i chętnie spaliłbym ich kraj do gołej ziemi, ale wiedzą, jak traktować kobiety.

Zula spojrzała mu w oczy. Porównanie narzucało się samo.

- I w ten sposób dochodzimy do ciebie - przyznał z westchnieniem Jones.

Odwrócił się lekko, odsłaniając trzymany w prawej ręce pistolet. Kiedy Zula wzdrygnęła się odruchowo, natychmiast w nią wycelował. Odebrała tak staranne wykształcenie w dziedzinie strzelniczej etykiety, że kiedy Jones wziął ją na cel, był to dla niej szok znacznie większy niż dla przeciętnego, nieobytego z bronią człowieka.

- Było mi bardzo miło cię poznać - powiedział Jones takim tonem, jakby odprowadzał ją na pociąg. - Naprawdę. W idealnym świecie... Nie, w lepszym świecie powiedziałbym ci teraz coś w rodzaju: „Zula, przyjmij, proszę, islam, stań się *mujahid* i walcz z nami ramię w ramię”. Ty byś odpowiedziała: „Światło islamu spłynęło na mnie” i sprawa byłaby załatwiona. Problem z tym scenariuszem polega jednak na tym, że parę godzin temu dość szczerze i wiarygodnie udałaś uległość i chęć współpracy, a potem płytą DVD zabiłaś najlepszego z moich ludzi.

Zula spuściła wzrok. Nie było chyba sensu odczuwać wyrzutów sumienia?

- I jeszcze musiałaś użyć *To właśnie miłość*. Mam do tego filmu tajoną słabość, ale teraz już nie będę umiał się nim cieszyć tak jak przedtem. Dlatego też, mimo że wcale nie

mam na to ochoty, dla dobra sprawy muszę teraz...

- Mój wujek ma sześć milionów dolarów - wypaliła Zula.

Jonesa zamurowało.

- Nie mów... - mruknął po chwili.

- Mówię. Jeśli mi nie wierzysz, sprawdź. Jeżeli się okaże, że nie mam racji, zawsze pozostaje ci rozwiązanie w stylu Khalida.

- Mam cię potraktować tak, jak ty jego, czy tak, jak on nauczycielkę?

Na to Zula nie miała odpowiedzi.

- Wiesz, mogę zrobić jedno albo drugie, albo obie te rzeczy na raz, i to bez twojej zgody - zauważył.

- Mówię prawdę.

Jones się zamyślił.

- Ależ wierzę ci, wierzę - zapewnił Zulę, widząc, jak zerka na niego pytająco. - Po prostu zastanawiam się, czy to ma jakieś znaczenie. Sugerujesz... coś w rodzaju okupu? Naturalnie. Nie bardzo jednak wiem, jak mielibyśmy dobić targu ani co zrobiłbym z pieniędzmi, nawet gdybyśmy załatwili to w taki sposób, że nie dopadliby nas przy okazji wszyscy policjanci i tajni agenci tego świata. Nawet w Waziristanie byłoby to trudne, a co dopiero w Kanadzie.

Spochmurniał.

- Wujek może was przeprowadzić przez granicę.

Jones uśmiechnął się od ucha do ucha.

A Zula uświadomiła sobie, że naprawdę ją lubi. I że w gruncie rzeczy szuka usprawiedliwienia, żeby nie musieć jej zabijać.

- No proszę... To ten sam wujek?

- Ten sam.

- Czarna owca. - Jones poskładał elementy układanki w całość. - Ten sam, którego pojechaliście odwiedzić w Kolumbii Brytyjskiej.

- Jesteśmy w Kolumbii Brytyjskiej - przypomniała mu Zula.

- Naprawdę chętnie poznam tego gościa.

- To na pewno da się załatwić.

- W takim razie posłuchaj. Ja i moi towarzysze będziemy teraz przez pewien czas bardzo zajęci walką o przetrwanie. Jeżeli uda nam się przeżyć w komplecie kilka dni z rzędu, może wtedy wrócimy do twojej propozycji.

- Mogę wam jakoś pomóc? - spytała Zula.

- Przestań zabijać ludzi - zasugerował Jones.

CZEŚĆ 2

American Falls

DZIEŃ 6

Curtis. Peter Curtis. Ustalenie nazwiska chłopaka Zuli wymagało od Richarda wielu godzin chytrego googlania. Zwyczaj używania różnych pseudonimów w różnych systemach, do których Peter się logował, piekielnie utrudniał to zadanie. Gdyby przyjechali z Zulą do zamku jako zwyczajni klienci, Richard miałby przynajmniej dostęp do danych jego karty kredytowej, ale przyjął ich tam w swoim apartamencie jako osobistych gości.

Przełom w śledztwie dokonał się za sprawą Vicki - dziewczyny od wypadu grand marquisem po amunicję i anegdoty o dywaniku z niedźwiedziej skóry. Vicki studiowała na ostatnim roku w Creighton University i albo cierpiała na poważną bezsenność, albo po prostu miała spory podręczny zapas amfetaminy. Miała również dostęp do stron Zuli na Facebooku i w serwisie zdjęciowym Flickr, a w dodatku podczas ro-zjazdu napstrykała trochę pamiątkowych fotek. Wybrała z nich zdjęcia przedstawiające Petera, a następnie skorzystała z usług witryny internetowej, która w oparciu o technikę rozpoznawania twarzy pozwalała wyszukiwać w Internecie ludzi o takich samych lub podobnych rysach. Oczywiście uzyskała w ten sposób całą masę mylnych tropów, ale także kilku potencjalnych kandydatów do roli Petera - wśród nich człowieka ze zdjęcia zrobionego trzy lata wcześniej na DefConie, kiedy wystąpił z własną prezentacją ukryty pod pseudonimem 93+37. Richard nie miał zielonego pojęcia, jak coś takiego wymówić, ale zorientował się, że 93+37 widziane w lustrze wygląda następująco: dziewiątka przypominała literę P, dwie trójki upodabniały się do dwóch „E”, znak plusa - niezmieniony - mógł uchodzić za małe „t”, a kończąca zapis siódemka od biedy mogłaby udawać małe „r”. Razem układały się więc w imię „Peter”. Suma 93 i 37 wynosiła, rzecz jasna, 130. Richard rozpoczął więc forsowne przeczesywanie Internetu w poszukiwaniu kombinacji liczb 93, 37 i 130 ze słowami „bezpieczeństwo”, „haker”, „penpróba”, „Seattle” oraz „snowboard”, aż w końcu udało mu się znaleźć pewne tropy, w postaci grup dyskusyjnych i czatów, na których Peter (lub człowiek niepokojąco do niego podobny) regularnie się udzielał. Zaczął w ten sposób wyrabiać sobie pojęcie o zainteresowaniach Petera, towarzystwie, w jakim się obracał, oraz jego zajęciach w chwilach wolnych od pracy. Okazało się, na przykład, że bardzo interesuje go pewna szczególna metoda konserwacji zabytków, polegająca na łataniu ubytków w starych budowlach z cegły za pomocą utykanej w szpary świeżej zaprawy (historycznie poprawnej świeżej zaprawy, rzecz jasna).

Staranna analiza serii wiadomości opublikowanych w serwisie poświęconym snowboardowi pozwoliła Richardowi namierzyć sklep w Vancouver, w którym Peter kupił swoją supernowoczesną deskę i w której był taki rozkochany. Dalsze poszukiwania doprowadziły do ustalenia nazwiska właściciela sklepu. Richard zadzwonił do niego z samego rana, o godzinie, która w świecie snowboardowym najwyraźniej uchodziła za barbarzyńsko wczesną, ale po wyłożeniu problemu udało mu się go przekonać, żeby wygrzebał z dokumentacji nazwisko na karcie kredytowej, którą zapłacono za tę deskę. Potem wszystkie tamy w Google puściły. W rejestrach agencji nieruchomości King County Richard znalazł adres należący do Petera budynku w Georgetown. Około dziewiątej rano, niemal dokładnie dwanaście godzin po tym, jak włamał się do mieszkania Zuli, krążył samochodem wokół zawierającego ów budynek kwartału ulic.

Żółta rękojeść oburęcznego młota sterczała pionowo na fotelu pasażera; spojrzenie przez przednią szybę do środka wozu nie pozostawiało wątpliwości co do zamiarów jego właściciela. Jak czternastolatek, który usiłuje zapanować nad niesfornym członkiem w erekcji, Richard co chwila spychał młot w dół, ale ten za każdym razem sam się prostował. Identyfikacja właściwego domu okazała się banalnie prosta: całkiem niedawno ktoś świeżą zaprawą uzupełnił braki w spoinach między cegłami.

Richard, który w tym wypadku nie mógł liczyć na wyrozumiałych sąsiadów, zaparkował w bocznej uliczce i pierwszy raz podszedł do budynku jak zwyczajny przechodzień, bez młota w garści. Poranek był piękny i słoneczny, z rodzaju tych, które Seattle serwuje czasem swoim zrozpaczonym mieszkańcom wczesną wiosną. Dzikie rododendrony na pustej działce po drugiej stronie ulicy zakwitły czerwonymi kwiatami. Z Boeing Field startowały samolociki pilotów-hobbystów.

Podobijał się chwilę do - jak się domyślał - drzwi frontowych, po czym obszedł dom dookoła. Z zaułka na tyłach do wnętrza budynku prowadziło dwoje ogromnych wrót zamykanych stalowymi roletami i umieszczone pomiędzy nimi zwykłe drzwi ludzkich rozmiarów. Richard właśnie pukał do tych ostatnich, gdy półciężarówka wjechała w zaułek i zatrzymała się tak blisko, że gdyby chciał, mógłby jej dotknąć. Silnik zgasł, drzwi się otworzyły i z wozu wynurzył się szczupły, zarośnięty, krótko ostrzyżony biały mężczyzna po trzydziestce, ubrany w sfatygowaną kurtkę z brązowej skóry narzuconą na wyblakłą i wystrzępioną bluzę Carrharta.

- Szuka pan Petera? - spytał, podchodząc do rolety z prawej strony. Wsunął klucz do zawieszanej na skoblu masywnej, złodziejoodpornej kłódki i zanim Richard zdążył się odezwać, dodał: - Nie widziałem go od półtora tygodnia.

- Co pan powie...

- Też się wkurzam, bo jest właścicielem tego budynku i chciałem, żeby mi naprawił Internet. Nie wie pan, gdzie może być?

Nieznajomy przykucnął, złapał za uchwyt u dołu rolety i wstał, podnosząc ją i odsłaniając ciemny garaż zagracony spawarkami, narzędziami z nierdzewnej stali i stołami, jakie uwielbiają ludzie pracujący z gorącymi przedmiotami.

- Prowadzę śledztwo w sprawie jego zniknięcia.

Najemca odwrócił się do Richarda.

- Jest pan gliną?

- Prywatnym detektywem. Rodzina mnie wynajęła.

- Czyli oni też nic nie wiedzą?

- On i jego dziewczyna zaginęli tydzień temu.

- Dokładnie tydzień? Czy...

- Po raz ostatni widziano ich w poniedziałek po południu.

- A mój Internet padł w poniedziałek wieczorem. Późnym wieczorem.

- Słyszał pan coś niepokojącego? Może...

- Nie.

- Bywa pan tu tylko w godzinach pracy, domyślam się?

- Mam ruchomy czas pracy - odparł najemca. - Ale nie nocuję tutaj.

Richard skinieniem głowy wskazał drugą roletę, również zamkniętą na kłódkę.

- To jego garaż?

- Mhm.

- Pewnie nie ma pan klucza, co?

Spawacz zastanawiał się przez chwilę.

- Prawdę mówiąc... mam.

- Mógłbym pożyczyć?

- Przykro mi, ale nie wypożyczam swojego sprzętu.

- Słucham?

Tamten zagłębił się w ciemność, wyciągnął ręce, coś złapał, pociągnął - mocno, zapierając się nogami - i zaczął się cofać na uliczkę. Kiedy wyszedł na światło dzienne, Richard stwierdził, że holuje dwukołowy wózek, na którym jada dwa cylindryczne zbiorniki z gazem i reduktorami, kawał elastycznego przewodu i trój lufowa spawarka.

- Mój klucz - wyjaśnił. - Otworzy prawie wszystko.

Kiedy spawacz był zajęty przecinaniem kłódki Petera (po uruchomieniu spawarki cała

procedura trwała najwyżej trzy sekundy), Richard bez pośpiechu wyszedł na uliczkę i spojrzał w okna na piętrze, należące - jak przypuszczał - do mieszkania Petera: staromodne, osadzone w metalowych ramach, podzielone szprosami na mniejsze części. Zauważył, że w jednym z nich brakuje jednej szybki, tuż obok umieszczonego od wewnątrz zatrzasku.

- Zapraszam do środka - powiedział spawacz, cofnąwszy się od rolety. - Tylko proszę uważać na ręce, można się poparzyć.

Uważając na gorące części, Richard otworzył i podniósł roletę.

Do licha, ależ się tu namnożyło samochodów... Zupełnie jakby Peter prowadził złodziejską dziuplę. Szybko rozpoznał kanciasty wóz Petera (ten sam, którym przyjechali z Zulą do Kolumbii Brytyjskiej) i priusa Zuli, zepchniętego daleko w głąb pomieszczenia, chyba specjalnie po to, żeby zrobić miejsce dla sportowego autka wciśniętego w pozostałą wolną przestrzeń. Miało kanadyjską rejestrację (z Kolumbii Brytyjskiej) i kluczyki w stacyjce.

Richard przespacerował się po garażu z rękami w kieszeniach. Spawacz czekał na progu, rozsądnie powstrzymując się od wejścia na cudzą posesję.

- A oto i źródło pańskich problemów - oznajmił Richard.

Zatrzymał się przy przykręconym do ściany arkuszu sklejki, który posłużył za stelaż do montażu przeróżnych urządzeń telekomunikacyjnych: modemu kablowego, routerów, łączówek, aparatury telefonicznej. W dwóch miejscach przewody zostały przecięte, ale ktoś wepchnął ich odcięte końcówki w obudowę, żeby uszkodzenie nie rzucało się w oczy. Jeden kabel prowadził do telefonu, drugi - czarny koncentryk - łączył się z modemem.

Był to pierwszy dowód przestępstwa, na jaki natknął się Richard. Oczywiście, zniknięcie Zuli (a także, jak się okazało, Petera) samo w sobie było wystarczająco niepokojące, żeby od dwóch dni nie myślał o niczym innym, ale dopiero teraz natrafił na pierwsze ślady działania czyjejś złej woli. Spodziewał się tego, domyślał i obawiał, ale - jak mu to zawzięcie wytykał policyjny detektyw z Seattle przydzielony do sprawy zaginięcia Zuli - nie miał dowodów. Dlatego widok dwóch przeciętych kabli był dla niego przeżyciem równie silnym jak widok kałuży krwi albo pistoletowej łuski.

Wyjął telefon i napisał do Johna: ODWOŁAJ KAWALERIĘ. SAMOCHÓD PETERA JEST NA MIEJSCU. ZULI TEŻ. Postanowił nie wspominać na razie ani o trzecim samochodzie, ani o przeciętych kablach.

- Rozpoznaje pan ten sportowy wóz? - spytał. Własny głos wydał mu się śmiesznie oschły i napięty.

- Nie.

- Zajrzę na górę.

- Jasne.

Richard miał wcześniej nadzieję, że przy okazji wieczornego włamania do mieszkania Zuli ostatni raz narażał się na zobaczenie czegoś makabrycznego - tymczasem właśnie wchodził po następnych schodach na spotkanie kolejnej potencjalnej sceny zbrodni. Tym razem znacznie bardziej prawdopodobna wydawała mu się możliwość, że za chwilę zobaczy coś, co będzie go prześladować do końca życia - ale ponieważ uznał, że nie ma innego wyjścia, jak tylko podłożyć twarz prosto pod tę konkretną psychologiczną piłę tarczową, postanowił się nie cofać.

To, co zastał na górze, było jednak dalekie od jego oczekiwań. Mieszkanie Petera nie zawierało żadnych ludzi - żywych ani martwych. Nie było również śladów walki i przemocy, z dwoma wyjątkami. Jednym z nich (przewidywalnym) była wybita szyba w oknie, przez które ktoś najwyraźniej włamał się do loftu; pod oknem wciąż walały się okruchy szkła. Drugim była stojąca w kącie zniszczona szafka na broń. Ktoś paskudnie ją skrzywdził. Szeroka krecha spalonej okładziny ciągnęła się przez drzwiczki aż na tylną ścianę, jakby została zaatakowana termonuklearnym otwieraczem do konserw. Cały wierzch odcięto i rzucono na podłogę; gorące metalowe krawędzie wgryzły się w drewnianą podłogę. Richard odruchowo zerknął na sufit w poszukiwaniu wykrywaczy dymu: były na swoim miejscu, ale pootwierane. Ktoś powymywał z nich baterie.

Miał wrażenie, że traci czas, kiedy podszedł bliżej, zajrzał do szafki i stwierdził, że jest pusta. Zszedł na parter i odszukał spawacza.

- Chętnie zasięgnąłbym pańskiej profesjonalnej opinii...

- Przecinak plazmowy - orzekł spawacz po oględzinach zmasakrowanej szafki.

- Ma pan taki?

- Ależ skąd! - Spawacz spojrział na Richarda z urazą.

- Wcale pana nie oskarżam. - Richard uniósł ręce w obronnym geście. - Po prostu chciałem się dowiedzieć, jak takie coś wygląda.

- Skrzynka. - Spawacz rozłożył ręce, określając w przybliżeniu rozmiar przecinaka. - Tej wielkości.

- Czyli jest przenośny.

- Jak najbardziej.

- Dałoby się go wnieść przez to okno?

- Byłoby trudno... Łatwiej schodami.

- Czyli ktoś dostał się tu przez okno, a potem otworzył drzwi i wniósł przecinak

plazmowy po schodach.

- Na to wygląda. Tylko że przeciętny włamywacz nie taszczy zwykle przecinaka ze sobą.

- To prawda.

Spawacz zerknął ponad ramieniem Richarda w głąb mieszkania.

- Zauważył pan jeszcze coś... powalonego?

- Nie. Nic powalonego.

- Dziwne to, mówię panu - powiedział spawacz. - Dziwne jak cholera.

I wyszedł.

Richard obejrzał drzwi wejściowe na parterze, zaopatrzone w zasuwkę, łańcuch i okrągłą klamkę z wbudowanym zamkiem z blokadą. Zamek był zablokowany, ale zasuwka odsunięta, a łańcuch spuszczone. Włamywacz wszedł do środka przez okno, otworzył sobie drzwi, wniósł i wyniósł przecinak plazmowy, a potem wcisnął guzik w środku klamki, blokując zamek, i zatrzasnął drzwi za sobą.

Wyglądało więc na to, że sztuczki z przecinakiem i szafką dokonano już po tym, jak w mieszkaniu zabrakło lokatorów.

Tylko jak ten brak lokatorów miał się do obecności aż trzech wozów w garażu? I dlaczego właściciel sportowego auta zostawił w stacyjce breloczek z kompletem kluczy? Ludzie zwykle potrzebują kluczy na przykład do tego, żeby dostać się do domu.

Odwrócił się i dostrzegł czerwoną diodę, błyskającą do niego z góry szafki, w której Peter miał zwyczaj trzymać płaszcze, czapki i buty. Podszedł bliżej i zobaczył kamerkę internetową, zamocowaną na szafce za pomocą płataniny białych plastikowych obejm. Wychodzący z jej obudowy kabel ethernetowy znikał w dziurze w ścianie. Richard wytropił go ponownie w garażu, niedaleko sklejki ze sprzętem telekomunikacyjnym, w miejscu, gdzie dawniej musiał stać komputer - na półce pod blatem roboczym. Na samym blacie stał monitor, leżały klawiatura i mysz, których przewody zwisały swobodnie w przestrzeni. Był tu również przewód zasilający i kabel ethernetowy.

Richard doszedł do wniosku, że komputer został skradziony - i myślał tak do chwili, gdy chwilę później dosłownie się o niego potknął, obchodząc sportowy wóz dookoła. Jednostka centralna - zwykły prostopadłościan - została po prostu rzucona na podłogę i potraktowana przecinakiem: ślad cięcia szedł z góry do dołu przez cały bok maszyny i ułożone w stos twarde dyski.

Richard zaklął. Już zaczął sobie wyobrażać, że trafił na użyteczny ślad. Peter porozmieszczał w budynku kamery, któraś z nich mogła zarejestrować coś ciekawego, ale

intruz przewidział to i zniszczył dyski.

Obszedł wszystkie samochody, tylko zaglądnąjąc przez okna, żeby nie naruszać zastanych na miejscu śladów bardziej, niż już to zrobił. Samochód Petera nie został rozładowany. Cokolwiek się tu wydarzyło, nastąpiło niedługo po ich powrocie do domu w poniedziałkowy wieczór.

Zapisał sobie właśnie numer rejestracyjny wozu z Kolumbii Brytyjskiej, gdy do jego uszu dobiegło znajome *pstryk!* i *szuuu!* uruchamiającego się twardego dysku. Podążając za tymi odgłosami, wspomagany dogodnie ułożonymi kablami sieciowymi, wszedł pod drewniane schody prowadzące na piętro, do loftu Petera, i znalazł tam skrzyneczkę przymocowaną do prowizorycznej półki i ciągiem przedłużaczy podłączoną do prądu: router dostępowy sieci bezprzewodowej. Nieco większy od przeciętnego.

Był większy, zdał sobie sprawę Richard, bo nie był tylko routerem, lecz także urządzeniem backupowym. Miał wbudowany własny dysk.

* * *

Dżihadyści nie śpieszyli się z wyjaśnianiem Zuli czegokolwiek, ale z widoków za oknem i rozumianego piąte przez dziesiąte arabskiego poskładała sobie następującą historię.

Ocalił ich brzask, bo w jego świetle dostrzegli miejsce do lądowania: pas startowy, który jednak okazał się stanowczo za krótki dla maszyny tego typu. W dodatku kończył się ślepo w samym środku lasu, co jak na pas startowy było raczej dziwne, tyle że - jak stopniowo uświadamiała sobie Zula - ludzie, którzy postanowili go tu wybudować, nie mieli wielkiego wyboru. Znajdowali się w dolinie w wysokich górach. Była dość rozległa, obejmowała kilkanaście mil kwadratowych zimnego, wysoko położonego terenu, ale miała przy tym kręte kontury, a dno poźłobione wąwozami i upstrzone skalnymi ostańcami, tak że niewiele zostało w niej miejsca na pas startowy. Swoje dołożył też pewnie szok kulturowy - całkiem możliwe, że Paweł i Siergiej, przyzwyczajeni do dużych międzynarodowych lotnisk i *Hyattów*, nie wzięli poprawki na fantazję pilotów z dzikiej północy i niepotrzebnie przypisywali twórcom tego pasa ostrożność przy projektowaniu go. Albo przynajmniej rozsądek.

A może po prostu byli zdesperowani i nie mieli innego wyjścia. Albo ktoś przystawił im pistolet do głowy.

Pas startowy wchodził w skład kompleksu przemysłowego, który z punktu widzenia Zuli snuł się po całej dolinie bez żadnego planu, ginąc wśród drzew. Krzepiący był fakt, że należało do niego także skupisko budynków położone zaledwie sto metrów od pasa. Wyglądały identycznie: domki z prefabrykatów, które zwieziono ciężarówkami w jedno

miejsce, postawiono i skręcono w całość. Część wyglądała na magazyny, ale na dachu jednego z nich, pokrytym trzystopową poduchą śniegu, sterczał puchaty od rdzy komin. Południowa ściana tego konkretnego domku była ufortyfikowana co najmniej dwoma sągami ułożonego w stos drewna na opał.

Zula patrzyła przez okno, jak jeden z żołnierzy posuwa się z mozołem w jego kierunku, brnąc z szybkością około dziesięciu stóp na minutę przez sięgający mu do bioder śnieg. W końcu dotarł do drzwi. Krótką serią z pistoletu maszynowego unicestwił zamek i na drżących nogach wszedł do środka. Po paru minutach z komina zaczął się snuć dym.

* * *

Znalazłszy pod schodami router wi-fi z twardym dyskiem, Richard stanął na rozdrożu. Domyślał się, że dysk zawiera taką masę dowodów przestępstwa, że policja musiałaby wszcząć śledztwo. Ewidentny związek miejsca przestępstwa z Zulą (której samochód stał w samym jego środku) mógłby też pchnąć naprzód dochodzenie w sprawie jej zniknięcia. Jednakże Richard przemierzył już drogę policyjną i doszedł do wniosku, że nie jest nawet w połowie tak skuteczna jak jeżdżenie po mieście z dwuręcznym młotem pod ręką i współpraca z facetami uzbrojonymi w palnik acetylenowy.

Chociaż, z drugiej strony, gdyby gliniarze wzięli się w końcu na serio do roboty, mogliby zrobić rzeczy, których on zrobić nie może - na przykład, zdobyć bilingi telefoniczne. Albo przejrzeć akta wydziału komunikacji.

Obrał więc strategię asekuracyjną. Odpiął router od sieci, wrzucił go do samochodu i zawiózł do biura Korporacji 9592 w Seattle. Mieli tam departament informatyczny, a w nim małe laboratorium, w którym składali i naprawiali komputery. Nikogo w nim nie zastał, była niedziela. W sposób, który następnego dnia wywoła powszechne oburzenie (kiedy inżynierowie przyjdą do pracy i odkryją jego grabieżcze działania), powłamywał się do skrzynek z narzędziami, powyciągał komputery z magazynu i ogólnie narobił bałaganu na czymś warsztacie. Otworzył router i wymontował dysk. Kierując się pościąganyymi z Internetu wskazówkami (w tym także instruktażowym wideo z YouTube), podłączył dysk do komputera i skopiował z niego wszystkie pliki, po czym złożył router z powrotem, odwiózł do domu Petera i podłączył w taki sam sposób, jak początkowo był podłączony.

Dopiero wtedy zadzwonił na policję.

Miał ogromną ochotę pokręcić się i poobserwować ich przy pracy, ale zdawał sobie sprawę, że zaczną od wyrzucenia go z budynku i oklejenia wejść żółtą taśmą. Dlatego pokręcił się tylko chwilę - w sam raz, żeby przedstawić drastycznie skróconą relację z całego dnia pierwszemu gliniarzowi, który przyjechał na miejsce. Przyznał się do przecięcia kłódki i

rozglądania się po domu i przemilczał inne swoje działania.

Po czym wrócił do biura Korporacji. Po drodze przyszło mu do głowy, że właśnie przyznał się do włamania, ale jakoś nie martwił się perspektywą wniesienia oskarżenia przez Petera. Utknąwszy w korku spowodowanym istic demoniczną koniunkcją meczu Seattle Sounders i przejazdem powolnego pociągu towarowego, zadzwonił do C-plusa. Samochód był wyposażony w ustrojstwo przekazujące przez bluetootha rozmowę wprost do pokładowego systemu audio, który tym razem został nastawiony ciut za głośno i zgiełk z głośników omal nie wysadził szyb w oknach: pokrzykiwania, szcęk metalu i ciężkie dyszenie tworzyły przedziwną kakofonię. Richard czym prędzej ściszył dźwięk.

- Richard.

- Cześć, C-plus. Zajęty?

- Jak zawsze.

W tyle jakiś facet wykrzykiwał pojedyncze słowa po łacinie. Towarzyszył temu rytmiczny tupot.

- Ja pierdolę, co wy tam robicie?!

- Mamy manewry.

Coś przerwało C-plusowi. Rozległo się szuranie, jakby ktoś przyciskał telefon barkiem do ucha.

- Jesteś w Gwardii Narodowej? - zdziwił się Richard i natychmiast odrzucił tę możliwość. W Gwardii Narodowej nie mówili po łacinie.

- To rekonstrukcja historyczna. Jestem w rzymskim legionie.

- I co, paradujesz w sandałach i spódniczce?

- Rzymska *caliga* to nie jest zwykły sandał, przynajmniej we współczesnym tego słowa rozumieniu - zaczął C-plus. - Zaczniemy od tego...

- Dobra, zamknij się.

C-plus westchnął.

- Chcesz się zaangażować w coś o wiele ciekawszego niż to, za co obecnie ci płacimy?

- Richardzie, jeżeli chcesz mnie przyłapać na uzalaniu się na moją pracę...

- Do głowy by mi nie przyszło.

- Mimo to, podkreślę, że moja codzienna praca jest niezwykle interesująca i satysfakcjonująca.

- Zapamiętam to sobie. Ale w tej chwili potrzebuję twojej pomocy w sprawie osobistej. To robota detektywistyczna.

- Projekt REAMDE?

Pytanie wydało się Richardowi nieco dziwne. Na chwilę stracił wątek.

- Nie - odparł w końcu. - Gdyby chodziło o wirus komputerowy, nie próbowałbym ci wmawiać, że to coś interesującego.

- W takim razie, o co się rozchodzi?

- Przyjedź do laboratorium. Wszystko ci wyjaśnię.

- Mój legion od trzech miesięcy przygotowywał się do tych manewrów! - zaprotestował Corvallis podniesionym głosem. - Jako *pilus posterior* w swojej kohorcie mam pewne obowiązki...

- Chodzi o Zulę. To ważne.

- Będę za pół godziny.

Richard dotarł do biura jakieś piętnaście minut po tej rozmowie. Przeniósł komputer z laboratorium do małej sali konferencyjnej. Tam podpiął go do monitora i uruchomił.

Corvallis zjawił się ubrany w białawą tunikę z wełny, która wyglądała na naturalną (Richard żywił szczerą obawę, że C-plus samodzielnie utkał materiał na zbudowanych na rzymską modłę krosnach). Zamienił *caligae* na sportowe buty.

Bez zbędnych wstępów rozgościł się przy komputerze i zaczął się rozglądać w zawartości skopiowanej z routera Petera. Foldery i pliki miały nieintuicyjne, automatycznie generowane nazwy i zupełnie obce dla Richarda formaty.

W końcu ciekawość zwyciężyła.

- Zaraz... - odezwał się Richard. - Dlaczego, kiedy ci powiedziałem, że mam robotę detektywistyczną, wyskoczyłeś z pytaniem o REAMDE?

Corvallis wzruszył ramionami.

- Wiem, że pracowaliście nad tym z Zulą.

- Serio? - zdziwił się Richard. Przypomnił sobie jednak coś, co Corvallis powiedział kilka dni wcześniej, kiedy jechali jego priusem: Zula w jakiś sposób pomogła zawęzić obszar poszukiwań twórcy wirusa do Xiamen. - Od kiedy wiesz o naszej domniemanej współpracy?

- Od wtorku rano.

- Od wtorku?!

- Rany boskie, Richard, nie denerwuj się tak.

- O której dokładnie się dowiedziałeś?

- Wcześniej. Mógłbym sprawdzić w telefonie.

Cisza.

- Richard? O co tu, kurna, chodzi?

- Zula i jej chłopak przepadli bez śladu. Prawie od tygodnia nie dają znaku życia.

- Rany boskie... - jęknął wstrząśnięty Corvallis zupełnie innym tonem niż przed chwilą. - Kiedy dokładnie zniknęli?

- Widzisz, C-plus, jeden z problemów z zaginięciami ludzi polega na tym, że trudno jest precyzyjnie ustalić moment ich zniknięcia. Gdybyś mnie o to zapytał dwadzieścia cztery godziny temu... - Richard zawiesił głos, brnąc z mozołem przez wczorajsze wspomnienia. Dwadzieścia cztery godziny temu nie wiedział jeszcze, że Zula zniknęła. - Powiem tak: z tego, co wiem, wynika, że jesteś ostatnią znaną mi osobą, która z nią rozmawiała.

- O rany...

- Może mi więc powiesz, o czym, do kurwy nędzy, rozmawialiście?

- Nie opieraj mi się tak na ramionach, bardzo proszę.

- Że co?

- To nic nie da, a mnie się trudniej pisze.

- Okej.

Richard wypuścił z rąk wełnianą tunikę i z rozłożonymi rękami cofnął się od Corvallisa.

- Zula zarwała noc z poniedziałku na wtorek - wyjaśnił Corvallis. - Grała.

Znaczy: grała w *T'Rain*, domyślił się Richard.

- Powiedziała mi, że śledzi przepływ złota powiązany z REAMDE.

- To właśnie wydaje mi się dziwne. Tropienie wirusów to nie jej działka.

Corvallis, który usłyszał w tych słowach przyganę, poczerwieniał lekko.

- Trudno w to uwierzyć, ale wcześniej w ogóle nie słyszałem o REAMDE. A ty?

- Nie, ja też nie - przyznał Richard.

- Dlatego uwierzyłem jej na słowo. Mówiła, że zajęła się tym na twoje polecenie.

- Skłamała jak naoczny świadek. To zupełnie do niej niepodobne.

- Poprosiła mnie o zidentyfikowanie gracza, który w pewnym momencie rzucił na nią zaklęcie uzdrawiające. - Corvallis zdążył przez ten czas włączyć swój laptop i w przerwach między zdaniem coś na nim pisał. Im więcej pisał, tym bardziej degenerowały się wypowiedane przezeń zdania. - Na Pogórze Torgai. - Stuk, stuk, stuk w klawisze. - Jatka, mówię ci.

- To był ktoś z jej drużyny?

- Nie. Poszła tam z jednym tylko graczem. Często ginęli. Wtedy nie rozumiałem dlaczego.

- Bo nie wiedziałeś o REAMDE, bandytach i tak dalej.

- Mhm - odmruknął z roztargnieniem Corvallis, a po dalszych piętnastu sekundach pisania dodał: - Okej.

Richard się schylił, sięgnął w głąb wąwozu przecinającego na dwoje stół konferencyjny i wyciągnął poprowadzony tamtędy przewód wideo. Rzucił końcówkę Corvallisowi, który wpiął ją do laptopa. Na ściennym ekranie wyświetlił się obraz przedstawiający konsolę terminalu: wiersze niezrozumiałego (dla Richarda) tekstu - wyniki zapytań kierowanych przez C-plusa do bazy danych. W tej akurat chwili pojawiły się profile dwóch postaci z gry, przedstawione jako długie ciągi słów i liczb. Corvallis wpisał polecenie, po którym ich miejsce zajęły dwa okna prezentujące bohaterów z *T'Rainu* w bardziej przyjaznej dla użytkownika postaci: trójwymiarowy wizerunek, imię bohatera wpisane w zgrabny kartusz, tabelki i wykresy najważniejszych współczynników. Tak wyglądałyby akta policyjne, gdyby tworzyli je średniowieczni mnisi. W jednym oknie znajdowała się postać płci żeńskiej, w której Richard rozpoznał bohaterkę Zuli. Całe drugie okno wprost krzyczało - kolorami, czcionką i ozdobami - „ZŁO”. Portret bohatera nie był ustalony, lecz zmieniał się nieustannie, przechodząc przez wizerunki przedstawicieli różnych ras. Jednym z nich był rudowłosy T'Kesh.

- Co to za metamorf? - zainteresował się Richard.

- To postać, z którą Zula grała wtedy przez całą noc - odparł C-plus. Mówił powoli i trochę się zacinał, bo równolegle przeglądał profil klienta prowadzącego metamorfa. - To nasz stały klient, dużo gra. Nazywa się Wallace, mieszka w Vancouver, ale wtedy, tamtej nocy... - stuk, stuk, stuk - ... zalogowali się z Zulą z tego samego miejsca w... - stuk, stuk, stuk - ...Georgetown.

- To by się zgadzało z tym, co widziałem dziś rano: samochód Zuli i sportowy wóz z Kolumbii Brytyjskiej stoją w garażu jej chłopaka w Georgetown.

- Czyli musieli tam wtedy być...

- I stamtąd „zniknęli”. Im częściej używam tego słowa, tym mniej mi się ono podoba. Możesz mi powiedzieć coś więcej na temat tego Wallace'a?

- Musiałbym złamać firmowe zasady ochrony prywatności...

Corvallis skulił się pod spojrzeniem Richarda i zaczął szybciej stukać w klawisze.

Na ekranie wyświetlił się pełny profil klienta: imię i nazwisko Wallace'a, adres, informacje o nawykach w grze. Jeden z nagłówków rzucił się Richardowi w oczy.

- Sprawdź, kiedy ostatnio się logował.

- We wtorek rano. Potem już nie. - C-plus wklepał jakieś polecenie i wyświetlił okno z wykresami ilustrującymi zachowania Wallace'a w *T'Rainie* na przestrzeni lat. - Od dwóch lat

nie miał tak długiej przerwy.

- Jak to wygląda u Zuli?

- Tak samo. Też się później nie logowała. I jeszcze jedno: we wtorek żadne z nich nie wylogowało się jak należy. Ich połączenie z *T'Rainem* zostało przerwane w tej samej chwili i system sam ich wylogował, automatycznie.

- To mnie nie dziwi. - Richard przypomniał sobie przecięte przewody u Petera w warsztacie. - Ktoś tam wszedł i nożem przeciął kable, kiedy oboje grali.

- Kto mógłby to zrobić?

- Peter obracał się w podejrzanym towarzystwie.

W tej chwili domniemany rozwój wypadków do tego stopnia przypominał klasyczny scenariusz narkotyki-najście-morderstwo, że Richard musiał świadomym wysiłkiem woli przypomnieć sobie, po co w ogóle jeszcze zawraca sobie tym głowę.

- Zula coś od ciebie chciała - powiedział. - Tuż przed tym, jak się to wydarzyło.

- Właściwie tuż po, nie przed.

- Jak to?

- Połączenie zostało przerwane o 7:51. - Corvallis sięgnął po telefon i chwilę się nim pobawił. - A Zula dzwoniła o 8:42.

- Rozumiem. To interesujące. Zadzwoniła do ciebie, opowiedziała ci bajeczkę o tym, jak to razem prowadzimy dochodzenie w sprawie REAMDE, i poprosiła o pomoc w identyfikacji faceta, który rzucił na nią czar uzdrawiający.

- Właśnie. Okazało się, że to był jakiś Chińczyk. Logował się z Xiamen.

- I w ten sposób dowiedzieliście się, że wirus pochodzi właśnie stamtąd.

- No właśnie.

- I Zula pierwsza to sobie wykoncypowała.

- Mhm.

- Co wydaje mi się na maksa dziwne.

- Dlaczego?

- Dlatego że, jeżeli pominąć cały wątek REAMDE i Xiamen, sprawa wydaje się banalnie prosta: Peter handlował narkotykami albo coś w tym rodzaju; wdał się w interesy z niewłaściwymi ludźmi; ci ludzie włamali mu się do mieszkania, porwali go, wywieźli i zabili, a ponieważ Zula akurat też tam była, to samo zrobili z nią. Tylko ten cały Wallace nijak do tego nie pasuje. Tak jak nie pasuje zbieg okoliczności, że dokładnie wtedy, kiedy wszyscy z mieszkania zniknęli, Zula namierzyła twórców REAMDE w Xiamen.

- Wallace raczej się nie afiszował ze swoją obecnością w Internecie - zauważył

Corvallis.

- Fakt - przytaknął Richard, który śledził na ekranie postępy przeszukiwania Internetu: Google wypluł głównie trochę bezużytecznych stron poświęconych genealogii. - Ale założę się, że przynajmniej wiem, jak facet wygląda.

Przypomniał sobie mężczyznę, z którym Peter odbył tajemniczą rozmowę w zamku.

- Co wiemy o twórcach REAMDE? - zapytał.

- Ja się tym nie zajmuję - przypomniał mu Corvallis. - Od tego są specjaliści.

- Podobno to jakieś chińskie dzieciaki. Hakerzy.

- Też tak słyszałem.

- Wydaje mi się mało prawdopodobne, żeby ktoś taki był w stanie z kilkugodzinnym wyprzedzeniem zorganizować nalot na dom w Seattle.

- Chyba że mają tu przyjaciół albo znajomych. W I.D. nie brakuje różnych podejrzanych typów.

I.D. oznaczało International District, czyli położoną niedaleko Georgetown Dzielnicę Międzynarodową. W porównaniu z chińskimi dzielnicami w innych miastach na Zachodnim Wybrzeżu była malutka, nie umywała się do Chinatown w San Francisco czy Vancouver, ale i tak udawało jej się od czasu do czasu sprokurować masakrę w szulerni, jakiej nie powstydziliby się autor książek o Fu Manchu.

- Ale nawet gdyby ci od REAMDE wiedzieli, że Zula depcze im po piętach, jakim cudem mogli ją namierzyć w lofcie Petera w Georgetown?

- Nie mogli. Chyba że włamali się do chińskiej sieci Korporacji 9592 i mają dostęp do naszych logów.

- Rozumiem - powiedział w końcu Richard, gruntownie przemyślawszy słowa C-plusa.

Wyjął telefon i uruchomił małą aplikację, która pomogła mu ustalić, która godzina jest w tej chwili w Chinach. Odpowiedź brzmiała: około trzeciej nad ranem. Wysłał e-mail do Nolana: *Skontaktuj się ze mną przez kulę, jak się obudzisz.*

- Dobra, na razie wystarczy - powiedział, kiedy charakterystyczny szum z telefonu poinformował go, że e-mail został wysłany. - Dzwoniłem do ciebie w innej sprawie.

Położył dłoń na komputerze przyniesionym z laboratorium i opowiedział Corvallisowi o systemie monitoringu w domu Petera. Przełączyli kabel wideo z laptopa do komputera, podłączyli zasilanie, podpięli jakąś klawiaturę. Corvallis otworzył katalog z plikami zgranymi z routera.

- Mhm... - mruknął od razu. - Jakiej to marki router?

Richard mu powiedział. Corvallis wszedł na stronę internetową producenta i, poklikawszy trochę w dziale „Produkty”, znalazł w końcu zdjęcie routera, w którym Richard rozpoznał sprzęt Petera. Corvallis przekopiował oznaczenie modelu do Google, dopisał „sterownik pod Linuksa” i uruchomił wyszukiwanie. Na ekranie wyświetliły się adresy stron z oprogramowaniem open source.

- I wszystko jasne...

- Co robisz? - zaciekał się Richard.

- Nazwałś Petera świrem komputerowym, prawda?

- Tak. Jest konsultantem do spraw bezpieczeństwa komputerowego.

Corvallis pokiwał głową.

- Format plików sugeruje, że zostały utworzone pod Linuksem. Trochę poszukałem, jak widzisz, i bez trudu znalazłem linuksowy sterownik do routera. Czyli router jest przystosowany do współpracy z Linuksem. Domyślałem się, że Peter zmontował oparty na Linuksie system monitoringu, obejmujący obsługę kamer, automatyczny backup i tak dalej. Kupiwszy ten router, wyrzucił dołączony do niego z automatu soft windowsowy i przekonfigurował maszynę w taki sposób, żeby chodziła pod Linuksem.

- Co dla nas z tego wynika?

- Że mamy przerąbane. - Corvallis otworzył w edytorze tekstowym jeden z plików, do których wcześniej Richard nie umiał się dostać. - Widzisz? Nagłówek wskazuje, że plik jest zaszyfrowany. Wszystkie pliki przekopiowane z routera są zaszyfrowane w ten sam sposób. Peter nie chciał, żeby jacyś źli ludzie włamali mu się do systemu i zaczęli węszyć w archiwach nagrań z kamer, więc uruchomił skrypt, który szyfrował dane wideo przed zapisaniem ich na dysk. I router automatycznie backupował takie zaszyfrowane pliki.

- Które tu właśnie oglądamy.

- Otóż to. Tylko że my ich nie otworzymy. Może NSA miałyby jakąś szansę. My nie.

- A możemy się jeszcze czegoś dowiedzieć? Na przykład, kiedy powstały? Albo, jakie są duże?

Corvallis chwilę postukał w klawiaturę i wyświetlił tabelkę przedstawiającą rozmiary i daty utworzenia plików.

- Niektóre są ogromne - zauważył. - To pewnie nagrania wideo z kamer, o których mówiłeś. Inne są małe. Jeśli chodzi o daty i godziny...

Obaj przez chwilę w milczeniu przeglądali tabelę, szukając jakichś prawidłowości.

- Te małe pojawiają się regularnie - zauważył Richard. - Co godzinę. Zawsze o pełnej godzinie.

- A duże są zapisywane w przypadkowych odstępach. W takim razie te małe to robota jakiegoś crona.

- Czego?

- Cron to proces na serwerze odpowiedzialny za jakąś regularną czynność. To po prostu logi systemu, który wypływa je co godzinę, a router automatycznie robi kopie zapasowe.

- Czekaj, wróćmy do tych dużych plików wideo. System jest aktywowany czujnikami ruchu. Patrz: tu jest plik z piątku po południu; Peter pakował się wtedy na wyjazd do Kolumbii Brytyjskiej. Potem długo nic, z wyjątkiem tych logów co godzinę, aż do czwartku w nocy. To jest bardzo dziwne, bo przecież wiemy, że we wtorek rano sporo się tam działo. Dlaczego kamery niczego nie zarejestrowały?

- Wiesz co... Od północy we wtorek do dziesiątej rano nie ma na dysku dosłownie nic, nawet logów. - Corvallis zwrócił uwagę Richarda na tabelę i powiódł palcem w dół kolumny zawierającej znaczniki czasu. - Widzisz? Cron działał jak należy przez cały piątek, sobotę, niedzielę, poniedziałek, zameldował się w poniedziałek o jedenastej wieczorem...

- A potem jest dziura - przytaknął Richard. - Następny plik crona pochodzi dopiero z dziesiątej rano we wtorek.

- I do czwartku, do drugiej w nocy, cron znów działa po staremu - uzupełnił Corvallis.

- Zapisał się też jeden duży plik wideo. A potem już nic się nie zapisało, bo serwer został zniszczony. Ktoś wrócił do mieszkania w czwartek, dwa dni po zniknięciu Petera i Zuli. Pewnie wiedział, że loft będzie pusty; musiał być współnikiem albo przynajmniej kumplem jednego z bandziorów. Włamał się przez okno na piętrze. Zszedł na parter, przez co uruchomił kamerę i spowodował zapisanie ostatniego dużego pliku. Otworzył od środka drzwi wejściowe. Przyniósł przecinak plazmowy. Otworzył szafkę na broń Petera. Coś z niej zabrał. Zauważył komputer rejestrujący zapisy monitoringu i przecinakiem zmasakrował mu dyski. - Corvallis kiwał głową. - To by pasowało. Po zniszczeniu serwera logi przestały się zapisywać.

- Jedyne, co nie trzyma się tu kupy, to dziura we wtorek od północy do rana. Tak jakby zabrakło prądu. Ale to też bez sensu. Peter miał UPS-a.

Corvallis pokręcił głową.

- Odcięcie zasilania byłoby widoczne w logach. Niczego takiego nie widzę.

- No to jak to wytłumaczysz?

- Odpowiedź jest prosta i oczywista: pliki zostały wykasowane ręcznie. Ktoś wiedział, jak ten system działa, zalogował się między dziewiątą i dziesiątą rano we wtorek i wykasował

wszystkie pliki wygenerowane po północy.

- Ale my tu oglądamy dysk zapasowy - przypomniał Corvallisowi Richard. - Backup.

Corvallis spojrzał na niego.

- Dlatego powiedziałem, że ten ktoś musiał dobrze znać system. Wiedział o backupie i skasował zawartość obu dysków.

- Inaczej mówiąc, to robota Petera.

- To najprostsze wytłumaczenie.

- Albo poszedł na współpracę z bandziorami...

- Albo przystawili mu pistolet do głowy - odpowiedział Corvallis i wzdrygnął się na widok miny Richarda.

- To na czym stoimy? - zapytał cokolwiek retorycznie Richard.

- Te dane... - Corvallis wskazał komputer. - Policja je dostanie i przeanalizuje, tak jak my to zrobiliśmy. Ale jeżeli nie namówią NSA do współpracy przy deszyfracji plików, nie posuną się ani o krok dalej. Za to po inne informacje, takie jak logi z *T'Rainu*, które pozwoliły nam namierzyć Wallace'a, musieliby przyjść do nas, i to z nakazem sądowym.

- Na trop Wallace'a naprowadzi ich jego wóz w garażu.

- Wydaje mi się, że nie pozostaje ci nic innego, jak poczekać, aż dowiedzą się o nim czegoś więcej. Niech śledztwo chwilę się potoczy.

- Tego się właśnie obawiałem. Ale mam do ciebie jeszcze jedną prośbę. Mogę?

- Pewnie.

- Zaglądamy od czasu do czasu do logów z *T'Rainu*, dobrze? I daj mi znać, gdyby ktoś logował się na któreś z tych dwóch kont.

- Zuli i Wallace'a?

- Tak.

- Zaraz ustawię cron, żeby się tym zajął.

- Co godzinę?

- Myślałem raczej, że co minutę.

- To mi się podoba... - przyznał z aprobatą Richard.

- Coś jeszcze? - C-plus wyłamał palce. Przypominał trochę boksera, który przed walką podskakuje w narożniku.

- Domyślam się, że te dzieciaki z Xiamen też mają konta u nas w systemie. I jest ich cała masa.

- Teoretycznie tak... Aczkolwiek mam wrażenie, że jeśli chodzi o bezpieczeństwo, to znajdują się na rzeczy. Na przykład, nie noszą złota przy sobie, tylko gromadzą je w różnych

zakamarkach Pogórza Torgai.

- Czyli oprócz nich tylko my wiemy, gdzie to złoto się znajduje. Bo, wykorzystując uprawnienia administratorów, możemy przeczesać bazę danych i namierzyć każdy stosik sztuk złota w okolicy. Mam rację?

- Naturalnie.

- Następnie moglibyśmy z logów odczytać tożsamość bohaterów, którzy to złoto tam dostarczyli.

- Jak najbardziej.

- I wziąć ich pod obserwację. Oni się logują, my ich podglądamy. Patrzymy im na ręce. Sprawdzamy ich IP. Czy nadal są w Xiamen? Przenoszą się z miejsca na miejsce? Mają współników w innych miastach?

Corvallis milczał.

- Coś przegapiłem? - stropił się Richard.

- Nie, nic.

- No to dlaczego od tego nie zaczęliśmy?!

- Dlatego że to jest dokładnie takie działanie, o jakie poprosiłaby policja w śledztwie, a oficjalna polityka firmy każe w takiej sytuacji powiedzieć gliniarzom, żeby walili się na ryj.

- Czyli do tej pory stosowaliśmy doktrynę nieingerencji wobec tych koleśków od REAMDE - powiedział Richard, walcząc z oblewającą go żarem falą wstydu. Muzy i furie zaczęły się pojawiać na ekranie jego emocjonalnego radaru jak wynurzające się z dna sowieckie bombowce.

- Taaa...

- W takim razie, dopóki nie stwierdzimy, że nie mają związku ze zniknięciem Zuli, polityka firmy musi ulec zmianie.

* * *

Na wyposażeniu dżihadystów znajdowały się chińskie saperki - długie jak ramię dorosłego mężczyzny drewniane trzonki zakończone szpadlowatym ostrzem, które można było ustawić w kilku położeniach, upodabniając narzędzie do łopaty lub kilofa. Ludzie Jonesa, na przemian udeptując śnieg lub ryjąc w nim rzeczonymi narzędziami, wykopali w końcu dróżkę łączącą drzwi samolotu z prefabrykowanym domkiem, w którym znajdował się działający piec. Po tej dróżce przenieśli następnie cały bagaż. Samolot stał już na ziemi parę ładnych godzin i systematycznie się wychładzał; Zula opatulą się kolejnymi ściągniętymi z łóżka kocami, upodabniając się do zakutanej w burkę mieszkanki konserwatywnego świata muzułmańskiego. W pewnej chwili wystraszyły ją dobiegające z wnętrza samolotu łomoty i

zgrzyty - dopóki nie domyśliła się, że za pomocą saperek dżihadyści odzierają wnętrze maszyny ze wszystkiego, co może im się jeszcze przydać. Musiała jednak poprzestać na domysłach, ponieważ zamknęli ją w sypialni, a na próby otwierania drzwi reagowali wrzaskliwie i nieprzyjaźnie.

W końcu jednak nadeszła chwila, w której Jones otworzył drzwi, wpuszczając do sypialni falę zimnego, ale cudownie świeżo pachnącego powietrza, i skinął na Zulę, dając jej do zrozumienia, że skończyły się czasy latania prywatnymi odrzutowcami. Nie miała nic przeciwko temu.

W głównej kabinie samolotu zaskoczył ją półmrok: w zmasakrowanym wnętrzu zwisające ze ścian i sufitu kawałki plastikowej okładziny i strzępy izolacji cieplnej pozasłaniały okna, a zamknięte drzwi do kabiny pilotów odcięły dopływ światła od dziobu. Idąc przejściem między fotelami, potykając się i ślizgając na zalegających w nim śmieciach, zauważyła, że drzwi te zostały poważnie uszkodzone (prawdopodobnie przez tę samą gałąź, która zabiła Pawła) i że wypływająca spod nich kałuża krwi skrzepła lub zamarzła przy głównym wejściu do samolotu. Nie miała innego wyjścia, jak przejść przez nią i przenieść jej ślady na podeszwach na śnieg, już splamiony czerwienią na kilka metrów od maszyny. Kiedy podniosła wzrok znad krwawego szlaku terrorystów, ujrzała niebo równo zasnuwane białymi chmurami. Zaciągnęła się zapachem sosen i deszczu. Nie było to suche i mroźne powietrze arktycznej zimy na Środkowym Zachodzie, gdzie temperatury spadają grubo poniżej zera, lecz ciężki, wilgotny ziąb północno-zachodnich gór - który, o dziwo, przeszywał ją do szpiku kości, chociaż temperatura była wyższa o całe dziesiątki stopni. Otuliła się ciasniej kocami i ruszyła wydeptaną ścieżką do ogrzewanego domku. Nikt jej nie pilnował; miała wręcz wrażenie, że nikt nawet na nią nie patrzy. Wiedzieli równie dobrze jak ona, że gdyby próbowała uciekać, po pierwszym kroku utknęłaby w głębokim śniegu, a potem zamarzła na śmierć, nim zdążyłaby się oddalić poza zasięg strzału z karabinu.

Wnętrze było mroczne i duszne; przesadzili z tym piecykiem. Ostra woń rozpalonego żelaza przypomniała jej zapach krwi Khalida, wcale nie maskując przy tym pleśniowego smrodku dawno nieotwieranej szopy. Pomieszczenie od frontu rozciągało się na całą szerokość budynku, którą Zula oceniała na osiemnaście do dwudziestu stóp, ponieważ ten akurat domek powstał z połączenia dwóch mniejszych. W prawym rogu, w głębi, znajdował się aneks kuchenny w kształcie litery L. Drzwi szafek były pootwierane. Bez względu na to, kiedy dokładnie domek został opuszczony albo zamknięty na zimę, najpierw jego lokatorzy obrali go do czysta ze wszystkiego, co warto było wynieść. Zostawili tylko skąpą i przypadkową zbieraninę przyborów kuchennych, złożoną głównie z tanizny do dostania w

każdym Walmarcie. Piecyk stał w lewym przednim rogu pomieszczenia; na rozpalonej płycie kolebał się i skwierczał poobijany aluminiowy rondel, nabity śniegiem po brzegi. Obok stał prostokątny stół dla sześciu osób, najwyraźniej przeznaczony nie tylko do jedzenia, ale także do pracy, ponieważ za nim, przy ścianie, ustawiono biurko i szafkę biurową. Na prawo od wejścia stała sofa, krzesło, niski stolik i stary telewizor umieszczony na magnetowidzie - ten szczególnie najskuteczniej ze wszystkich poszlak wskazywał wiek domku. W ścianie naprzeciw wejścia znajdowały się drzwi prowadzące na korytarz. Zula przypuszczała, że gdzieś tam, w głębi, znajduje się pewnie łazienka i mniejsze biura lub sypialnie.

Dżihadyści mieli własne zapasy żywności w postaci żelaznych racji wojskowych oraz ryżu i soczewicy, które oczywiście mogli ugotować w wodzie ze stopionego śniegu; i wyglądało na to, że jeden z żołnierzy został wyznaczony do realizacji tego właśnie projektu. Dwóch kolejnych eksplorowało sąsiedni budynek, w którym dawniej chyba mieścił się warsztat. Szukali narzędzi i zastali sytuację analogiczną do tej z kuchni - co ciekawsze zabawki zniknęły, zostały zaś śmiecie, których nie opłacało się prznosić: zardzewiałe szufle i wyliniałe szczotki. Szufle bardzo się przydały, ponieważ wyglądało na to, że chwilowo najpilniejszym zadaniem jest przerobienie odrzutowca na trumnę dla Pawła, Siergieja i Khalida. Zula domyśliła się, że dżihadyści boją się, że ktoś wypatrzy ich z powietrza. Musiała przyznać, że piloci wyświadczyli im piękną przysługę, wpasowując samolot w drzewa. Maszyna wyryła wprawdzie długą bruzdę w ziemi, ale śnieg, który już zaczął padać, wkrótce miał ją przykryć. Pozostało więc tylko przysypać sam odrzutowiec śniegiem i pościnanymi gałęziami. Po wyzwoleniu narzędzi z warsztatu praca nabrała tempa, ale i tak zajęła Jonesowi i pozostałym czas do wieczora. Rozgrzewali się ciężką pracą, a kiedy robili sobie przerwy, chcieli jeść. Nie wiedzieć jak i kiedy, Zuli przypadła w udziale rola ich karmicielki. Było to niedorzeczne, ale nie bardziej niż inne rzeczy, które jej się przez ostatni tydzień przydarzyły, więc z udawaną pogodą ducha wzięła się do pracy, licząc na to, że w ten sposób zwiększy swoje szanse przeżycia i wywalczy sobie odrobinę swobody - przynajmniej będzie dla nich użyteczna, zamiast kulić się w pozycji płodowej pod stertą koców, na co miała największą ochotę. Od frontu okna pokoju wychodziły na trzy strony; miała nadzieję, że krzątając się po nim, zorientuje się choćby z grubsza, gdzie wylądowali.

Przez ostatnie dwie godziny lotu nie śledziła trasy na elektronicznej mapie, nie wiedziała więc, w której części Kolumbii Brytyjskiej się znaleźli. W pewnym sensie wyobrażała sobie tę prowincję jako ogromnie powiększony stan Waszyngton: od zachodu deszczowy las wspinał się na ośnieżone, choć nieszczerólnie wysokie góry; po ich przeciwnej stronie rozpościerała się olbrzymia niecka, raczej suchawa i szczerze upstrzona mniejszymi i

większymi wzgórzami; a jeszcze dalej, na wschodnich obrzeżach, ciągnęły się prawdziwe góry - Góry Skaliste i odchodzące od nich boczne pasma. Miejsce, w którym wylądowała z terrorystami, wyglądało na suche i skaliste, co mogłoby dowodzić, że zagłębili się dość daleko w interior - ale spędziła wystarczająco dużo czasu na pacyficznym północnym zachodzie Stanów, żeby zapoznać się z koncepcją mikroklimatu (godne uwagi przystosowanie u osoby wychowanej w regionie, gdzie klimat jest tak bardzo makro, że bardziej być nie może) i wstrzymać się teraz z wyciąganiem pochopnych wniosków - mogło się zdarzyć i tak, że od słonej wody dzieli ich zaledwie parę mil, a dolina jest sucha, ponieważ nadbrzeżne góry zatrzymują deszcz, z nad oceanu. Mogły ich otaczać ciągnące się całymi milami lasy - albo pustynie; może rzuciło ich aż hen, pod granicę z Yukonem, a może wylądowali trzy godziny jazdy od centrum Vancouver. Nie miała zielonego pojęcia. Prawdopodobnie nie miał go również Abdallah Jones.

Nie ulegało jednak wątpliwości, że placówka, w której się znaleźli, była dawniej kopalnią. Błędem byłoby nazwanie jej „porzuconą”, ponieważ drzwi budynków zostały starannie pozamykane, a tańsza infrastruktura pozostała nietknięta i dałoby się w przyszłości ponownie uruchomić wydobycie, gdyby jej właścicielom przyszła na to myśl. W pierwszej chwili Zula uznała, że kopalnię zamknięto po prostu na zimę, ale różne poszlaki wskazywały, że w rzeczywistości od lat nic się w niej nie dzieje. Znając się co nieco na geologii, miała świadomość płynności cen minerałów, która sprawiała, że niektóre złoża w pewnych okresach opłacało się eksploatować, w innych zaś lepiej było tymczasowo je sobie odpuścić.

Zająwszy ręce paleniem w piecu, a mózg takimi właśnie rozważaniami natury praktycznej, na śmierć zapomniała o końcówce nocnego lotu. Kiedy zaczęła ją sobie przypominać, była wstrząśnięta tym, jak niewielki wpływ miały na nią te wydarzenia - przynajmniej na razie, na krótką metę. Sformułowała w związku z tym trzy hipotezy:

1. Niedobór tlenu, który doprowadził do jej omdlenia tuż po tym, jak zabiła Khalida, naruszył mechanizm zapisu pamięci krótkoterminowej albo inne cholerstwo odpowiedzialne za wywołanie wstrząsu pourazowego.

2. Udało jej się odwlec nieuniknione, ale tylko chwilowo. Jeżeli pożyje odpowiednio długo, wstrząs wywołany nocnym koszmarem wróci z pełną mocą i namiesza jej w głowie.

3. Na skutek druzgocących przeżyć z dzieciństwa stała się kimś w rodzaju psychopatki. Urodzonej zabójczynie. Wygodne życie, jakie wiodła jeszcze do zeszłego tygodnia, skutecznie tłumilo jej mordercze skłonności, które teraz, pod wpływem stresu, zaczęły się ujawniać.

Hipoteza numer 3 wydała się jej wysoce nieprawdopodobna, ponieważ ani trochę nie

czuła się psychopatką, ale dołączyła ją do listy przez wzgląd na szacunek dla metody naukowej.

Było jednak jasne, że jedna rzecz się zmieniła: Zula stawiała opór i wyeliminowała jednego z przeciwników. Dlaczego nie miałyby tego zrobić ponownie?

Odpowiedź nasunęła się jej natychmiast. Po wylądowaniu Jones zamierzał ją zabić. Ocaliła życie, ofiarowując się do roli zakładniczki; stała się towarem, za który mógł wymusić okup od wujka Richarda. Domyślała się jednak, że było to jednorazowe ułaskawienie i następne zabójstwa spotkałyby się z ciut surowszą reakcją dżihadystów.

* * *

Telefon zaświergotał upiorną melodyjką jak z eterofonu. Richard przyjął połączenie. Na wyświetlaczu pojawił się obraz kryształowej kuli tonącej w skłębionych kolorowych oparach, które częściowo przesłaniały wizerunek Czcigodnego Mistrza Yanga. Podpis brzmiał: KONTAKT PRZEZ KULĘ.

Richard siedział w swoim biurze w siedzibie korporacji i przygotowywał sprawozdanie dla Johna. Wiedząc, że jego raport ostatecznie wyląduje na Facebooku, starał się jednocześnie zawrzeć w nim jak najwięcej informacji i nie zdradzić żadnych tajemnic firmowych. Nie szło mu najlepiej, więc ucieszył się, że chwilowo może zająć się czymś innym. Uruchomił aplikację Szklana Kula. Ekran się zmienił, miało się wrażenie, że Richard siedzi przy zbitym z desek stole w średniowiecznym zamku i w jednej ręce trzyma kulę magicznego kryształu wielkości grejpfruta, a drugą dłonią ją głaszcze. Dłonie należały do Edgoda, a twarz objawiająca się w kuli była twarzą Czcigodnego Mistrza Yanga, głównej postaci prowadzonej przez Nolana w *T'Rainie*, arcymistrza wschodnich sztuk walki, zdolnego zabić człowieka ruchem brwi.

- Dzwoniłeś?

- Która tam u was jest godzina? Nie za wcześnie?

- Jestem w Sydney - wyjaśnił Nolan. - Tu jest dwie godziny później.

Jego głos brzmiał znajomo, ale Szklana Kula przetwarzała go i upodabniała do głosu Czcigodnego Mistrza Yanga, którego wiek sięgał daleko w głąb zakresu liczb czterocyfrowych i który rzadko przemawiał głośniej niż szeptem, żeby przypadkiem nie zdekapitować rozmówcy dwudziestosiódmopoziomą mocą Ryk Lwa.

- Co robisz w Sydney?

- Pomyślałem, że dla odmiany warto przenieść się gdzieś, gdzie mają jakiś system prawny.

- W Pekinie zrobiło się gorąco?

- Nie gorąco, raczej... dziwnie. Harri chciała wyjechać.

Harri - zdrobnienie od Harriet - była żoną Nolana, czarnoskórą kanadyjską modelką reklamującą bieliznę, a przy okazji skrzydłową w drużynie koszykarskiej. Niektóre rzeczy w Chinach trochę ją zadziwiały.

- Ma to coś wspólnego ze śledztwem w sprawie REAMDE?

Gdyby Nolan był w Pekinie, Richard nie zadałby tego pytania tak otwarcie. Szklana Kula szyfrowała wprawdzie wszystkie połączenia głosowe, więc sama transmisja była bezpieczna, ale gdyby ktoś zainstalował podsłuch w pekińskim mieszkaniu Nolana, usłyszałby całą rozmowę.

- Do wczoraj miało.

- A co się stało wczoraj?

- Zaczęli mnie wypytywać o terrorystów.

Richard nie wiedział, co powiedzieć.

- I o Rosjan - dodał usłużnie Nolan.

- Zaraz. Chcesz powiedzieć, że ci sami gliniarze, którzy wcześniej naprzykrzali ci się z REAMDE, nagle zmienili temat i zainteresowali się terrorystami i Rosjanami?

- Nie. To był inny zestaw gliniarzy. Jakby jacyś nowi przejęli śledztwo.

- Powiedziałeś im coś? - wypalił Richard i natychmiast pożałował tych słów.

- A co miałem im powiedzieć?! Przecież to jedna wielka bzdura!

Dobrze, pomyślał Richard. I niech tak zostanie.

Wzmianka o terrorystach i Rosjanach wprawiała go w osłupienie, bo nie miała za grosz sensu. Podejrzewał, że chińskie władze mają mizerne pojęcie o jednych i drugich. Gdyby umyśliły sobie, że coś łączy ich z REAMDE, na pewno nie uprościłoby mu to rozwikłania tajemnicy zniknięcia Zuli.

- Macie tam w Chinach w ogóle jakichś terrorystów?

- Od przedwczoraj jednego mniej.

- A tak, faktycznie.

Szukając wcześniej w Google wiadomości z Xiamen (takich, które były w stanie przeczytać, czyli podanych po angielsku, było naprawdę niewiele), stwierdził, że kanały informacyjne toną w zalewie doniesień sprzed dwóch dni, kiedy to zamachowiec-samobójca, zatrzymany przez ochroniarzy przed bramą centrum konferencyjnego w Xiamen, wysadził się w powietrze i zabrał ze sobą na tamten świat dwóch strażników. Wtedy zinterpretował tę historię jako czystej wody szum informacyjny, zupełnie nieistotny z jego punktu widzenia.

- Ale jaki to by miało mieć związek z REAMDE? - zdziwił się. - Poza tym, że obie te

rzeczy wydarzyły się w jednym mieście.

- Żadnego - przyznał Nolan. - Tylko że to nie przeszkadza gliniarzom. Wiesz, jacy oni są.

Prawdę mówiąc, Richard nie miał pojęcia, jacy są chińscy gliniarze, ale postanowił tego nie komentować.

- Długo będziesz w Sydney?

- Aż Harri skończy zakupy... - odparł niepewnie Nolan. - Potem lecimy do Vancouver. Czyli ich głównego miejsca zamieszkania na półkuli zachodniej.

Błysk bieli w drzwiach: to Corvallis wpadł pędem do pokoju, z rozwianymi połami tuniki. Po jego twarzy było widać, że ma ważne nowiny.

- Muszę się rozłączyć - powiedział Richard. - Odezwij się z Vancouver. - Przerwał połączenie. - Co jest?

- Mam informacje o tych gościach - powiedział C-plus. Odwrócił laptop, pokazując Richardowi wykres: czerwona linia wspiwała się stromo, jak na skocznię narciarską, a potem opadała ostro w dół.

- Jakich gościach?

- O tych, co mówiłeś. Zacząłem monitorować *da G shou* i w ogóle wszystkich, którzy mogli mieć z nimi jakieś powiązania. Zliczyłem ich kliki.

Czyli przypadającą na minutę liczbę wciśnień przycisku myszy lub uderzeń w klawiaturę. Oczywiście, liczba ta powinna wynosić zero dla gracza niezalogowanego, osiągać niebotyczne wyżyny dla bohatera w ogniu walki, oraz lokować się gdzieś pośrodku w przypadku postaci załogowanych, ale zajętych po prostu wędrówką po świecie albo udzielających się towarzysko.

- Sprawdziłem statystyki dla około setki postaci powiązanych z *da G shou* w ostatnich dwóch tygodniach - dodał Corvallis.

Więcej mówić nie musiał, bo wykres był wystarczająco wymowny: zaczynał się w rejonach nisko-średnich, potem w ciągu kilku dni wystrzeliwał wykładniczo pod niebo, po czym zniemacka spadał prawie do zera. Kilka pików wybijało się później ponad szum tła, ale nie było niczego konkretnego.

- Z tej odległości nie widzę skali czasu - powiedział Richard.

- Ten gigantyczny skok to zeszły tydzień, kiedy REAMDE eksplodowało i poleciało do Torgai na zwiady. Wykres spłaszcza się w piątek około piątej po południu.

- Naszego czasu?

- Mhm.

Richard skonsultował się z aplikacją przeliczającą strefy czasowe.

- Ósma rano w Xiamen... Poczekaj chwilę. - Z historii przeglądarki wyłowił jedną z anglojęzycznych relacji o samobójczym zamachu w Xiamen. - Dwie godziny przed tym, jak ten terrorysta wysadził się w powietrze.

- Że co?!

- Nieważne.

- Od tamtej pory *da G shou* systematycznie traci wpływy na Pogórzcu Torgai na rzecz innych, silniejszych ekip. W tej chwili od północy zbliża się tam trzytysięczna armia K'Shetriae.

- Jaśni czy Szarzy?

- Jaśni.

- Hm... Pewnie brodzi się tam w złocie po kolana, co?

- W niektórych miejscach tak. Ale dużo złota zostało Ukryte. - Wyraźny akcent na ostatnie słowo sugerował, że C-plus użył wielkiej litery. Nie chodziło więc o to, że złoto zostało zakopane w stercie suchych liści, lecz Ukryte za pomocą magii. - Praktycznie całe złoto, które *da G shou* zdążyli odzyskać przed piątkiem, kiedy zniknęli z radaru, jest Ukryte. Ale reszta faktycznie leży i czeka na znalazcę.

- Ile go Ukryli?

- Sztuk złota? Czy...

- Dolarów.

- Około dwóch milionów.

- Rany boskie...

- A trzy miliony walają się po ziemi.

- I to jest okup z ostatnich dwóch dni, tak?

- Tak. Tyle że udało nam się opanować infekcję, więc tempo przyrostu okupu znacznie spadło. Dziewięćdziesiąt procent użytkowników ściągnęło już najnowszą łąkę zabezpieczającą. Tak że dużo więcej tej kasy już nie będzie.

- Rozumiem. Powiedzmy, że należę do *da G shou*. Wiem, gdzie jest Ukryte złoto warte dwa miliony dolców, ale straciłem władzę nad tym terytorium.

- Musisz się tam zakraść, powybierać złoto ze wszystkich kryjówek...

- ...a potem dyskretnie się ulotnić i dotrzeć do jakiegoś KWW, zanim mnie ktoś oskubie - dokończył Richard. Pomału zaczynał się martwić, jak wyjaśni to Johnowi, który o działaniu *T'Rainu* nie miał zielonego pojęcia. - Co może być trudne, jeśli Torgai wpadnie w ręce ludzi, którzy znają się na rzeczy. W grę wchodzi grubsza kasa. To najlepsza zachęta,

żeby otoczyć całą okolicę solidnym kordonem.

- Zapora Przeznaczenia kosztuje sztukę złota za metr - przypomniał Corvallis, mając na myśli czar tworzący niewidzialną barierę pola siłowego, którym dysponował każdy odpowiednio silny czarownik.

- Wyjdzie taniej, jeśli sam nazbierasz Mglistych Pajęczyn - zauważył Richard, nawiązując do głównego magicznego składnika niezbędnego do rzucenia Zapory Przeznaczenia.

- To nie takie proste. Pamiętaj, że Jaskinie Ut'tharn zostały niedawno obłożone Anatemą - odparował Corvallis, odwołując się, kolejno, do miejsca obfitującego w mgliste pajęczyny oraz potężnego zaklęcia kapłańskiego.

- Przez kogo?

- Przez pontifeksa Polan Enthoriońskich.

- To jakiś Szary, prawda?

- Bingo.

- Myślisz, że to jakieś strategiczne posunięcie w ramach reowojny?

- Nie znam najskrytszych myśli pontifeksa.

- Nieważne. Anatemą nie powstrzyma Szarych przed dostaniem się do Torgai, jeśli będą mieli Gałązkę Oliwną poświęconą przez rzeczzonego pontifeksa.

- Faktycznie, zapomniałem o Gałązce Oliwnej - przyznał przygnębiony Corvallis.

- Nie przejmuj się, jesteś tu nowy.

C-plus chwilę się zastanawiał.

- Chcesz powiedzieć, że Szarzy mogą mieć przewagę nad Jasnymi w walce o władzę nad Pogórzem Torgai.

- Mniej więcej.

Corvallis uniósł brwi.

- Ważniejsze jest coś innego - ciągnął Richard. - Możemy wykorzystać ten fakt i zachęcić Szarych do działania. Niech im się wydaje, że mają szansę odeprzeć tę trzytysięczną armię Jasnych K'Shetriae, o której wspomniałeś, i zgarnąć leżące na widoku złoto warte trzy miliony dolarów. Masz pojęcie, jaki to by był zastrzyk finansowy dla reowojny?

- Nie zechciałbyś rozebrać tego na czynniki pierwsze?

- Co chcesz rozebrać?

- Twój makiaweliczny podstęp. Bo mam wrażenie, że takiej kalkulacji i cynizmu, jaką mi właśnie zaserwowałeś, mój rozum po prostu nie jest w stanie ogarnąć...

- Ależ to proste. Czynniki są tylko dwa. Nie mamy jak wytropić chłopaków z *da G*

shou. Zresztą, co ja mówię, wytropić... W ogóle niczego się o nich nie dowiemy, dopóki się skurczybyki znowu nie zalogują. Mam rację?

- No tak. Chyba że wskoczmy chińskiej policji do łóżka.

- Świetny pomysł - zadrwił Richard. - Niestety, z powodów, których nie będę teraz wyłuszczał, dziś jest to jeszcze mniej prawdopodobne niż wczoraj. Z twojego wykresu wynika, że robią w gacie ze strachu i nie chcą się logować, ale przecież muszą zdawać sobie sprawę, że w Torgai mają Ukryte dwa miliony dolców. Prędzej czy później upomną się o tę kasę. Jeżeli tak się zdarzy, że Torgai zostanie podbite przez K'Shetriai, którzy za pozbierane z ziemi pieniądze postawią dookoła jakieś mury, pola siłowe, czary-mary i w ten sposób odetną *da G shou* od forsy, chłopaki stracą motywację, żeby tam w ogóle wracać. Przestaną się logować. Nigdy więcej ich nie zobaczymy. Jeżeli jednak uda nam się utrzymać pogórze w stanie sympatycznej destabilizacji i przemienić je w jedno wielkie chaotyczne pole bitwy, *da G shou* będą mieli niejedną okazję, żeby się tam zakraść i zacząć ryć w poszukiwaniu Ukrytego złota...

- Wtedy wyskoczą nam na monitoringu. - Corvallis pokiwał głową. - A my zaczniemy gromadzić informacje na ich temat.

- Otóż to.

- Najlepiej byłoby znaleźć ich lorda. Tylko on ma dostęp do całych dwóch milionów.

- Oczywiście! Zapomniałem o tym szczególe.

Czar Ukrycia działał w ten sposób, że kiedy wasal coś Ukrył, to nie tylko on sam mógł to coś później odUkryć - ten przywilej przysługiwał także jego seniorowi, seniorowi seniora i tak dalej, aż do stojącego na szczycie hierarchii lorda. Dwa miliony dolarów mogły zostać Ukryte przez setki wasali w strukturze feudalnej *da G shou*. Każdy z nich widział i mógł odzyskać złoto, które sam Ukrył, oraz to, które Ukryli jego wasale. Nad wszystkim musiał jednak czuwać lord, który miał prawo osobiście, w pojedynkę odzyskać całe złoto.

- Wiesz, kto jest ich lordem? - spytał Richard.

- Oczywiście. To znaczy, znam numer jego konta w grze. Bo nazwisko i adres są, jak zwykle, fałszywe.

- No dobrze. - Richard przysunął sobie laptop i poprawił kąt nachylenia ekranu. - Pogadam z DeKwadratem, a właściwie z jego trubadurem. Dam mu do zrozumienia, że na Pogórze Torgai wala się taka masa złota, że Koalicji Szarości wystarczyłoby go na rok. Zobaczymy, czy to pobudzi jego soki twórcze.

- A co z tymi trzema tysiącami K'Shetriai? - Corvallis zerknął nerwowo na mapę. - Może ten twój Edgod mógłby przywołać jakiś deszcz meteorytów, zarazę czy coś...

Richard posłał mu spojrzenie, które Corvallis (sądząc po jego reakcji) musiał odebrać jako wyjątkowo złowieszcze, bo uniósł ręce w obronnym geście.

- Żeby ich spowolnić, nic więcej!

- To się samo przez się rozumie, że Edgod mógłby zesłać na nich deszcz meteorytów albo zarazę - odparł Richard. - Wolałbym jednak uniknąć rozwiązania typu *deus ex machina*.
Wyślę ten e-mail i zwołam na jutro zebranie.

- W sprawie?

- Jak dyskretnie pokrzyżować Jasnym plany inwazji na Pogórze Torgai.

DZIEŃ 7

W głębi podwójnego domu mieściła się część sypialna, podzielona na tuzin małych pokoików ze skręconymi z kantówek piętrowymi pryzkami zaopatrzonymi w cienkie piankowe materace. Dżihadyści przydzielili Zuli osobny pokój, w którym ją zamknęli, po czym zabili drzwi gwoździami, a na oknie przybili od zewnątrz arkusz sklejki. Spędziła długą i mroźną noc, dygocąc z zimna pod cieniutką warstwą koców, która ledwie wystarczyła, żeby powstrzymać śmierć z wychłodzenia. Kiedy rano wyjęli gwoździe i otworzyli drzwi, przeszła do pokoju od frontu (w którym dzięki piecowi było ciepło), skuliła się na sofie, przykryła wszystkimi kocami, jakie udało się jej zgromadzić, i długo, bardzo długo się nie ruszała.

Wyłamali zamek w szafce i znaleźli w niej mnóstwo dokumentów firmy górniczej: listy płac, rachunki, analizy rudy, wydruki arkuszy kalkulacyjnych - ale przede wszystkim znaleźli topograficzną mapę okolicy oraz samochodową mapę Kolumbii Brytyjskiej.

Jones i najstarszy (z wyglądu) żołnierz - Afgańczyk imieniem Abdul-Wahaab - włożyli na siebie tyle ciepłych ubrań, ile tylko dali radę, opatulili się po uszy, spakowali jedzenie i wodę na dwa dni, a następnie, po dłuższym posiedzeniu nad mapą, wyruszyli w las. Zula, zerkając przez szparę w kocach, odprowadziła ich wzrokiem. To chyba był dobry pomysł - w lesie powinno być mniej śniegu, będą mogli szybciej się poruszać.

Do końca dnia nic się już nie wydarzyło. Zula prawie nie ruszała się z sofy. Trzej pozostali żołnierze wychodzili na zmianę (po dwóch) na rekonesans, ale wobec braku zimowej odzieży ich wypady nie trwały długo. Jeden zawsze zostawał w bazie, zapewne po to, żeby mieć oko na Zulę. Czasem przynosili trofea z innych budynków: narzędzia, apteczki, niesprawne latarki, znoszone bluzy z kapturem, rękawice robocze, pisemka pornograficzne, kostki mydła, puszki z olejem. Zbieractwo nabierało rozpędu, w miarę jak znajdowali coraz więcej ciepłych ubrań. Po południu włożyli sporo wysiłku w odkopanie spod śniegu przyczepy kempingowej zaparkowanej sto metrów od domku. Przyczepa, do wczoraj widoczna tylko jako nienormalnie wysoka zaspas śnieżna, okazała się najprawdziwszym airstreamem, długim na dobre dwadzieścia, może trzydzieści stóp. Postawiono ją na podnośnikach, żeby odciążyć koła. Z jednej strony miała doczepiony daszek z falistej płyty włókna szklanego, tworzący osłoniętą przestrzeń, w której - po odgarnięciu śniegu - dżihadyści znaleźli ogrodowe krzesła i stolik. Z samej przyczepy przynieśli kolejne naczynia,

koce, materac z pianki, kawę rozpuszczalną i owsiankę błyskawiczną.

Zula nie przespała porządnie już kilku nocy z rzędu. Tego popołudnia, zmęczona wyczerpaniem, przygnębieniem i zmianą stref czasowych zapadła w końcu w głęboki sen, z którego obudziła się dopiero po zachodzie słońca. Wstała i zajęła się topieniem śniegu. Zabrali jej klapki, musiała więc bosy chodzić po śnieg. Ból stóp uświadomił jej na nowo absolutną niemożność ucieczki, dopóki nie rozwiąże kwestii ekwipunku.

Zagrzała pełen garnek wody, zaniósła go do toalety i za pomocą gąbki umyła się cała, używając do tego mydła porzuconego trzy lata wcześniej przez wyjeżdżających górników. Wytarła się ręcznikami papierowymi (których duża rolka też została po górnikach) i wynurzyła się z łazienki, czując (co było dziwne i zgoła niestosowne), że rozpiera ją energia. Ugotowała ryż z soczewicą, który wszyscy zjedli, chociaż nikt nie okazywał przesadnego entuzjazmu; poza solą i pieprzem nie było w kuchni innych przypraw.

Trzej dżihadyści stanowili wdzięczny obiekt obserwacji. Dwaj z nich, Mahir i Sharif, urodzili się w arabskim obszarze językowym. Zula domyślała się, że z różnych krajów (Mahir wyglądał jak rasowy mieszkaniec Bliskiego Wschodu, Sharif miał lekko północnoafrykańskie rysy) zjechali do Afganistanu, gdzie weszli w skład organizacji Jonesa. Trzeci, Ershut, pochodził z Azji Środkowej i słabo znał arabski. Nie był wysoki, ale niski wzrost nadrabiał muskulaturą, przez co najczęściej trafiała mu się najcięższa robota, którą najwyraźniej nauczył się akceptować jako naturalną rzecz w swoim życiu. To on przeniósł większość ciężkiego ładunku z kutra rybackiego na mniejszą łódź, którą wrócili do Xiamen; to on przerzucił go potem z łodzi do taksówki, a na koniec z taksówki do samolotu. Był pobożny, choć daleki od chorego fanatyzmu nieżyjącego Khalida. Podczas jednej z nocnych wypraw do łazienki na pokładzie samolotu Zula zastała go modlącego się w przejściu między fotelami - najwyraźniej odgadł kierunek Mekki, kierując się wyświetlaną na monitorze mapą z trasą lotu. Jedną z pierwszych rzeczy, jakie zrobił po wylądowaniu, było wyszukanie w pokoju na tyłach kawałka dywanika i ułożenie go na ziemi na osi wschód-zachód z lekkim odchyleniem na południe.

Mahir i Sharif musieli być kochankami - a jeśli nie, to męską przyjaźń wzniesli na wyżyny rzadko spotykane w zachodniej kulturze. Zawsze siadali blisko siebie, a kiedy Sharif wychodził z Ershutem na poszukiwanie skarbów, Mahir przez cały czas siedział przy oknie i wzdychał.

Zula miała względną swobodę ruchów, dopóki sprawiała wrażenie, że robi coś użytecznego - czyli, na przykład, sprząta lub gotuje. Wykorzystując chwilę nieuwagi dżihadystów, zabrała do swojego pokoju notes o żółtych kartkach i kilka ołówków i wszystko

to schowała pod materacem. Kiedy znów zamknęli ją na noc w pokoju i zabili drzwi (po tym, jak wyblagała dodatkową porcję koców), usiadła przy świeczce (przynajmniej świec nie brakowało) i napisała list utrzymany w podobnym tonie do tego, który nagryzmoła na ręczniku papierowym i wepchnęła do odłączonego odpływu w łazience biurowca w Xiamen. Tym razem pozwoliła sobie na większy rozmach, bo też miała przed sobą dosłownie całą noc. Gotowy list również wcisnęła pod materac. Jej ciało nie wykazywało najmniejszego zainteresowania snem. Próbowwała się zmęczyć, wykonując wszystkie dyskretne ćwiczenia gimnastyczne, jakie przyszły jej do głowy: pompki, skłony i płataninę na wpół zapomnianych ruchów z jogi - ale w ten sposób tylko bardziej się nakręciła i pogorszyła sprawę.

Efekt był taki, że nie spała, gdy o czwartej nad ranem budynek zaczął z wolna drżeć od przenikających go basowych wibracji zbliżającego się silnika. Nie był to jednak równomierny dźwięk przelatującego samolotu, lecz nieregularna sekwencja gwałtownych wzrostów i spadków obrotów, która w końcu przybrała na sile do tego stopnia, że obudziła Ershuta. Przez szpary między skrajem sklejki i ramą okna Zula widziała, jak domek omiatają snopy światła z reflektorów zbliżającego się pojazdu, który podskakiwał wściekle i miotał się na wszystkie strony. Ershut zabębnił pięścią w (najwidoczniej zamknięte) drzwi pokoju, w którym Mahir i Sharif spali przytuleni na łyżeczkę, i nagle rozległ się głośny tupot, szczęk magazynków wsuwanych do karabinów i trzask otwieranych zasuw.

Gdzieś bardzo blisko zatrąbił klakson. Otworzyły się drzwi pojazdu. Mężczyźni zaczęli coś pokrzykiwać po arabsku, ale prawie od razu strzelanina zagłuszyła ich słowa. Ściany domku skutecznie tłumiły piskliwy wizg rykoszetów, lecz basowy łomot wystrzałów niósł się przez nie doskonale, aż Zulę zakłuło w nosie. Przypadła do ziemi, przez chwilę myślała nawet o tym, żeby wczołgać się pod łóżko, ale szybko się otrząsnęła i doszła do wniosku, że nic by jej to nie pomogło. Nagle usłyszała chrapliwe śmiechy i głośne pokrzykiwania:

- Allah akbar!

To nie była strzelanina. Dżihadysty strzelali na wiwat. Znaleźli sobie pojazd. A skoro ten pojazd jakoś dojechał do obozu, to równie dobrze mógł ich z niego zabrać.

* * *

Nie mogła się nadziwić dżihadystom, że dla zabawy strzelają w powietrze, znajdując się przecież głęboko na tyłach wroga. Czyżby całkiem postradali rozum? A może wiedzieli o tym miejscu coś, czego ona nie wiedziała? Czy to możliwe, żeby znaleźli się na takim odludziu, że żadne ludzkie ucho nie usłyszy serii z broni automatycznej w środku nocy?

Wkrótce się przekona. Kiedy gliniarze przyjadą i przewrócą obóz do góry nogami (co

prędzej czy później musiało przecież nastąpić), na pewno znajdą jej list. Ta świadomość ogromnie poprawiła jej samopoczucie, bo od dobrych dwóch dni zamartwiała się piekłem, przez jakie musi przechodzić jej wielopokoleniowa rodzina. I to nieznośne piekło niewiedzy będzie trwać, dopóki topniejący śnieg nie odsłoni samolotu i ktoś go nie zauważy.

Może za miesiąc, może za rok, ale w końcu ktoś znajdzie list, jej rodzina go przeczyta, zrozumie, co się stało, opłacze ją jak należy i - miała nadzieję - będzie z niej dumna.

Wypuścili ją, najwyraźniej spodziewając się, że z przyjemnością przyrządzi im śniadanie. Postanowiła udać, że tak właśnie jest. Kiedy wszyscy zjedli, a ona pozmywała, na dworze rozjaśniło się w końcu na tyle, że mogła obejrzeć maszynę ukradzioną przez Jonesa i Abdul-Wahaaba.

Od osi wzwyż pojazd wyglądał jak zwyczajny pick-up (tyle tylko, że należący do tych największych i najcięższych, jakie na farmach w jej rodzinnych stronach rozwoziły worki z cementem i holowały przyczepy), za to od poziomu osi w dół nie przypominał niczego, co do tej pory widziała. Koła zostały zdjęte i zastąpione urządzeniami do złudzenia przypominającymi miniaturowe gąsienice czołgowe. W każdym narożniku pojazdu, gdzie instynktownie spodziewała się ujrzeć koło, jej wzrok wbrew logice napotykał duży trójkątny obiekt - system pomalowanych na żółto dźwigni i kółeczek oplecionych gąsienicą z czarnych gumowych płyt, które łączyły się w zapętłony bez końca taśmociąg o szerokości półtorej stopy. Gąsienicowy taśmociąg na odcinku kilku stóp przylegał do ziemi, po czym zakrzywiał się do góry i owijał na żółtej trójkątnej ramie, przykręconej do osi (co nie uszło uwagi Zuli) za pomocą tych samych śrub, którymi mocowało się standardowe koła. Wyglądało na to, że te konstrukcje są po prostu bezpośrednimi zamiennikami kół, a ich rola polega na rozłożeniu ciężaru pojazdu na znacznie większej powierzchni. Doskonały patent w okolicach, gdzie śnieg pokrywa ziemię przez sześć miesięcy, a błoto przez dalsze dwa. Zresztą, w miarę jak robiło się coraz jaśniej, Zula zauważyła, że karoseria i lusterka wozu są zbryzgane właśnie zaschniętym błockiem. W górnej partii doliny jeszcze zalegał śnieg, ale pojazd ukradziono z miejsca, w którym wiosna zagościła już na dobre.

Kiedy ona była zajęta przy kuchni, Jones i jego ludzie przeglądali sprzęt zabrany z samolotu i znaleziony w górniczej osadzie i dyskutowali o tym, co zabrać i jak się spakować. Broń i amunicja miały najwyższy priorytet. Następne były ciepłe ubrania i koce. Wzięcie miały także płachty niebieskiego brezentu oraz zapas sznura - czyżby zamierzali biwakować po drodze? Najwyraźniej uwielbiali również łopaty, który to fakt budził u Zuli jednoznacznie makabryczne skojarzenia.

Pick-up miał przedłużoną kabinę i za przednimi fotelami mieściła się tylna kanapa dla

pasażerów. Wsadzili Zulę na tył, wciśniętą między Sharifa (z lewej strony) i Mahira (z prawej). Czowała się dziwnie niezręcznie, rozdzielili ich w ten sposób, jakby popełniła jakieś towarzyskie *faux pas*, ale może to Jones miał dość ich przytulank i postanowił ich odseparować. Jones prowadził, Ershut usiadł na miejscu dla pasażera, a Abdul-Wahaab wcisnął się między nich. Zula nie mogła się oprzeć wrażeniu, że tułając się po Kolumbii Brytyjskiej z takim zestawem facjat w kabinie, będą się trochę rzucać w oczy.

Co oczywiście będzie miało znaczenie dopiero, gdy dotrą do jakiejś drogi z prawdziwego zdarzenia, a na to się na razie nie zanosilo. Podczas eskapady z Abdul-Wahaabem Jones nauczył się z grubsza prowadzić pojazd i upewnił się, że na odpowiednio niskim biegu (a pick-up dysponował wyjątkowo niskimi przełożeniami) wjedzie dosłownie wszędzie. Zapakowali się do środka i ruszyli w górę doliny, unikając jej stromych zboczy i trzymając się dna, które - choć płaskie - było jednak kręte i rozgałęzione. Jones wyglądał, jakby zabawiał się w „połącz kropki” na mapie: co kilkaset metrów trafiali na wykarczowane polany nanizane na biegnący środkiem doliny trakt - a właściwie wrytą przez buldożery przesiekę. Trakt i polany zostały zaznaczone na mapie topograficznej, którą Abdul-Wahaab trzymał rozłożoną na kolanach, żeby Jones łatwiej mógł ją śledzić. Podczas częstych i gwałtownych sporów o interpretację jej treści, Zuli udawało się na nią czasem zerknąć. W pewnym momencie Jones wskazał przez szybę na niebo i spojrzał znacząco na Abdul-Wahaaba: najwyraźniej wskazywał pozycję słońca, używając jej jako karty atutowej.

Zatrzymali się na brzegu górskiego strumienia, który w większości był skutym lodem i dodatkowo przykryty grubą warstwą śniegu, ale tam, gdzie spod śniegu przebłyskiwała woda, było widać, że płynie wartko, rozlewa się płytko i można go bezpiecznie sforsować. Pick-up ryczał i telepał się na boki, ale w końcu przeprawili się na drugi brzeg, przejechali jeszcze pół mili wzdłuż strumienia, po czym skręcili w kierunku, który Zuli wydał się kompletnie przypadkowy - wryli się prosto w las i przypuścili szturm na strome zbocze, zamierzając w ten sposób wydostać się z doliny. Przednia szyba spychała namolne gałęzie, które albo w końcu łamały się pod jej naporem, albo odbijały z impetem, waląc w otwarte okno po stronie kierowcy, gdzie Jones stawiał im opór lewą ręką. Zula trochę mu się dziwiła, że po prostu nie zamknie okna, dopóki nie zauważyła rozsypanych po całej kabinie szafirowych sześcianików hartowanego szkła. Dopiero wtedy dotarło do niej, że szyba została stłuczona, najprawdopodobniej podczas wczorajszej kradzieży. Miała nadzieję, że po prostu wybili okno, żeby dostać się do przewodów i krótkim spięciem odpalić silnik, ale wtedy rzuciły się jej w oczy dyndające w stacyjce kluczyki. A więc znaleźli pick-up z kierowcą. I pewnie go zabili.

W deskę rozdzielczą było wbudowane CB-radio. Oddaliwszy się od obozu i znalazłszy przyzwoite miejsce na postój - kawałek płaskiego terenu w lesie, gdzie śniegu było niewiele, a od góry zasłaniały ich gałęzie drzew - Jones włączył odbiornik. Zerknął przez ramię na Zulę, otworzył nóż, przeciął przewód mikrofonu i wyrzucił go przez wybite okno. Mikrofon smyrgnął w krzaki jak spłoszony mały ssak, a Jones podkręcił głośność i zaczął przeszukiwać kolejne kanały.

Nic. Naprawdę znaleźli się w absolutnej głuszy.

Odbiornik był początkowo nastawiony na kanał czwarty. Jones przełączył go na niego z powrotem i nie wyłączał. Z głośnika czasem dobiegało jakieś charczenie, które jednak w niczym nie przypominało słów.

Jones wrzucił bieg i znów ruszyli pod górę. Zula miała wrażenie, że częściej jada do góry niż w dół, co wydawało jej się bez sensu, ale kiedy przetoczyli się przez kolejny grzbiet, nagle rozpostarła się przed nimi rozległa panorama. Wzgórza rzedły, kurczyły się i przechodziły w niepokrytą śniegiem nizinę.

* * *

Poprzedni dzień (poniedziałek) był jednym z tych, w które Dodge wcześniej zabierał się do pracy ze szczerym zamiarem zrobienia całej masy rzeczy, ale już niedługo po lunchu uświadamiał sobie, że nic z tego nie będzie. Bo w tej chwili niewiele już od niego zależało. Musiał pociągnąć za sobą całą firmę, pchnąć do działania całą piramidę wasali - a to trwa.

Wydawało mu się, że trzy miliony dolarów, które tylko czekają, aż ktoś się po nie schyli, przyciągną ich uwagę - ale przyswajanie sobie tego faktu szło opornie. Edgod musiał wziąć kilku bohaterów wiceprezesów za wirtualny kołnierzyk, przelecieć się z nimi do Torgai i pokazać walające się na widoku złoto, żeby w końcu pojęli, co jest grane.

Jakiś okólnik mógłby pewnie obudzić niektórych pracowników, ale Richard zawahał się z palcem zawieszonym nad przyciskiem „Wyślij”, uświadomiwszy sobie, że popełniłby fatalny błąd. Taki e-mail z pewnością wyciekłby poza firmę i wywołał gorączkę złota. Na ich korzyść działał fakt, że poza Corvallisem, Richardem i dosłownie paroma innymi osobami nikt nie zdawał sobie sprawy z tego, ile pieniędzy jest do wzięcia. Gdyby upublicznić tę informację, wszyscy gracze w *T’Rainie* ruszyliby najkrótszą drogą do Torgai (a właściwie nie najkrótszą, tylko najszybszą - przez linie geomantyczne) i sytuacja wymknęłaby się spod kontroli jeszcze bardziej niż teraz. Zwykła internetowa plotka o leżącym na Pogórze Torgai złocie już doprowadziła do całkiem nieźle zorganizowanej inwazji trzech tysięcy niebieskowłosych K’Shetriae, która w szerszej perspektywie była całkowicie bez znaczenia, a i tak wymagała od Richarda sporego wysiłku, jeśli chciał położyć jej kres w inny sposób, niż

zwalając jakąś kometę na głowę dowodzącego nimi lorda.

Przez cały dzień nic nie przyszło z Wyspy Man. Za to, kiedy obudził się we wtorek rano, znalazł w swojej skrzynce masę firmowych e-maili zatytułowanych *Fabula się komplikuje...* Wytropiwszy ich źródło, stwierdził, że wszystkie dotyczą liczącej pięćdziesiąt tysięcy słów nowelki, wrzuconej przez DeKwadrata przed paroma godzinami na oficjalną stronę *T'Rainu*. Nawiasem mówiąc, DeKwadrat kompletnie zaskoczył swojego menedżera/redaktora z Seattle, który nie miał zielonego pojęcia, że jego podopieczny planuje coś podobnego.

Richard kliknął w link i otworzył dokument, zaczynający się od słów „Pogórze Torgai”. Dalej nie czytał. Zamknął laptop, wstał z łóżka, ubrał się, zjechał windą na podziemny parking swojego apartamentowca w centrum Seattle, wsiadł do samochodu i pojechał prościutko na Boeing Field. Dopiero siedząc w przytulnym i wygodnym fotelu samolotu, który wysokim łukiem ponad Kolumbią Brytyjską zmierzał prosto na Wyspę Man, otworzył laptop i zatopił się w lekturze.

DZIEŃ 8

Pamiętała, jak podczas pierwszej wizyty w domu swoich adopcyjnych rodziców ujrzała (pośród wielu innych nieznanymi jej wcześniej cudowności) stojący na regale w salonie komplet tomów *Encyclopaedia Britannica*. Takie mnóstwo dużych książek w identycznej oprawie (różniły się tylko numerem tomu na grzbiecie) musiało przyciągnąć jej uwagę. Patricia - siostra Richarda i nowa mama Zuli - wyjaśniła jej, że zawierają wszystkie możliwe informacje na każdy wyobrażalny temat, po czym wzięła z półki jeden tom i otworzyła go na hasło „Erytrea”. Zula, która kompletnie opacznie to zrozumiała, zapewniła ją natychmiast, że nigdy, przenigdy nie będzie dotykać tych książek. Wstrząśnięta Patricia parsknęła śmiechem i powiedziała, że to nie tak i że wszystkie te książki stoją tu specjalnie dla niej - Zuli. Że one same i zawarta w nich wiedza są jej własnością.

Odziedziczoną po mamie *Encyclopaedia Britannica* ciągała uparcie ze sobą po kolejnych internatach, bursach i wynajmowanych mieszkaniach. Jej przybycie do Stanów zbiegło się w czasie z upowszechnieniem stałych i szybkich łączy internetowych, do korzystania z których również serdecznie ją zachęcano - ale dla niej to nigdy nie było to samo, co *Britannica*.

Tak oto od wieku lat ośmiu dorastała w środowisku, w którym najważniejszy był swobodny, nieskrępowany przepływ informacji trafiających wprost do jej młodego umysłu. Nie doceniała tego faktu, dopóki nie znalazła się w obecnej sytuacji, kiedy nikt nie uznawał za stosowne niczego jej wyjaśniać. Podróżując z bandą dżihadystów Jonesa, prawie z nostalgią wspominała dawne dobre czasy, epokę Iwanowa i Sokołowa, którzy przynajmniej tłumaczyli jej, co się dzieje. Przyswoili sobie zachodni światopogląd, w którym ważne jest, żeby rzeczy miały sens - a ponieważ potrzebowali usług Zuli, Petera i Csongora, musieli ich informować na bieżąco.

Csongor. Peter. Yuxia. Nawet Sokołow. Ilekroć wracała pamięcią do wydarzeń w Xiamen, te imiona i nazwiska czepiały się jej jak ciernie. Imiona. Twarze. Fakt, że w normalnych okolicznościach po śmierci Petera przez tydzień nie mogłaby się pozbierać. Sto razy dziennie zadawała sobie pytanie, co się stało z pozostałymi. Czy żyją? A jeśli tak, to czy zastanawiają się, co się z nią dzieje?

No właśnie, co właściwie się z nią działo? To by wymagało długich wyjaśnień,

których nie czuła się na siłach przedstawić, bo niewiele wiedziała. Poszlaki (kluczyki huśtające się w stacyjce) wskazywały, że dziwny pick-up-czołg został porwany (a nie skradziony). Najprościej było chyba założyć, że człowiek, któremu go zabrali, nie żyje - musieliby mieć źle w głowie, zostawiając właściciela przy życiu, żeby mógł wezwać Królewską Konną. Kto w porze błotnej jeździ taką machiną po górach w Kolumbii Brytyjskiej? Nie ulegało wątpliwości, że jest to pojazd roboczy, nie rekreacyjny, Zula doszła więc do wniosku, że jego właściciel musiał być dozorcą lub właścicielem czegoś w okolicy. Może kopalnia wcale nie była aż tak opuszczona, jak im się wydawało. A może podobnych placówek było w tych górach więcej i ich właściciel opłacał jakiegoś miejscowego magika, żeby od czasu do czasu je odwiedził i sprawdził, czy wszystko w porządku.

Jones na pewno zadaje sobie pytanie, ile ma czasu, zanim ktoś zauważy zniknięcie jego ofiary. Zwłaszcza że wehikuł, którym teraz podróżowali, rzucał się w oczy jak mało co (gorszy byłby chyba tylko sterowiec), a wepchnięcie do środka pięciu dżihadystów i czarnej dziewczyny bynajmniej nie pomagało się wtopić w codzienny ruch samochodowy na kanadyjskich bocznych drogach.

Na wbudowanym w deskę rozdzielczą zegarze dochodziła trzecia, kiedy zatrzymali się w miejscu, skąd rozpościerał się widok na ciągnącą się całymi milami jałową, kamienistą dolinę. Przez środek płynęła szeroka rzeka, szukając licznymi warkoczami wody drogi wśród porzuconych przez lodowiec głazów. Równoległe do niej z prawej strony biegła asfaltowa droga, przeskakująca kilka mil dalej po niskim moście na drugi brzeg. Nadal znajdowali się w lesie. Od dwóch godzin posuwali się w tempie niewiele lepszym od piechura, miażdżąc rośliny, które nie mogły oprzeć się nieustępliwemu natarciu maszyny, i wymijając drzewa, które były za duże, żeby je przewrócić. Czasem trawersowali takie stromizny, że Zula obiema rękami zapierała się o sufit w oczekiwaniu wywrotki; kiedy indziej znów pędzili jak lawina w dół stoków tak pochyłych, że prawie nic na nich nie rosło. Widziany z przodu pick-up przypominał kosiarkę pokrytą parocalową warstwą błota i roślinnej pulpy. Do miejsca postoju dotarli, jadąc wzdłuż pomniejszego strumienia - czasem jechali środkiem koryta, czasem zaś nurkowali między drzewa. Ostatecznie zatrzymali się na skraju lasu. Przed nimi teren stromo opadał, dopływ zeskakiwał z kilku kolejnych skalnych progów i wpadał do głównej rzeki. Pick-up miał szansę przetrwać stromy zjazd, a potem dotrzeć do drogi i przejechać nią jeszcze kawałek, zanim skończy mu się paliwo - gdyby jednak utknął wśród kamieni na zboczu lub rozbił się przy zjeździe (co wydawało się bardzo prawdopodobne), zostałby unieruchomiony w miejscu doskonale widocznym zarówno z drogi, jak i z powietrza. Dlatego najlepiej byłoby go po prostu zostawić. Tak przynajmniej Zula wyobrażała sobie myśli krążące po głowie

Jonesowi, który po chwili wrzucił wsteczny, cofnął wóz głębiej w gąszcz i zgasił silnik.

Dżihadyści Jonesa chyba nie pierwszy raz maskowali porzucony w górach pojazd.. Zostawiwszy chwilowo Zulę w kabinie, zasmarowali błotem wszystkie okna, lusterka i wszelkie inne błyszczące w słońcu powierzchnie. Wyładowali część sprzętu - tyle, ile byli w stanie unieść o własnych siłach. Zapuscili się w las na poszukiwanie paproci, borówek i żywotników, które wycinali lub wrywali z korzeniami i okładali nimi samochód ze wszystkich stron. W którymś momencie przypomnieli sobie o zamkniętej w nim Zuli: wywlekli ją przez tylne okno i przeciągnęli na tył skrzyni ładunkowej, trzymając za ręce i nogi, żeby przez myśl nie przeszło jej szarpać się ani uciekać. Tam Ershut pochylił się i złapał ją oburącz za prawą nogę, a Abdul-Wahaab owinął jej kostkę łańcuchem, na którym następnie zapiął kłódkę. Na migi zgonili ją ze skrzyni na ziemię, gdzie drugi koniec łańcucha został okręcony wokół nasady haka holowniczego.

A potem nastąpiło jedno z tych komicznych interludów, kiedy dżihadyści się pogubili i zaczęli sobie robić gorzkie wyrzuty.

Wyglądało na to, że brakuje im kłódki. W którymś momencie znaleźli w górniczym obozie kawał łańcucha, przy innej okazji natrafili na kłódkę z kluczem. Mogli więc zapiąć łańcuch na kostce Zuli. Pięknie. Potrzebowali jednak drugiej kłódki, żeby drugi koniec łańcucha przykuć do haka. Jedni tylko wrzeszczeli, inni bez sensu przekopywali się przez zabrane do samochodu graty.

- To żaden problem - powiedział w końcu Ershut. - Jedna kłódką wystarczy. Pokażę wam.

Powiedział to po arabsku.

A Zula go zrozumiała.

Interesujące.

Inni ludzie pewnie skupiliby się wokół Ershuta, ciekawi jego pomysłu, ale tutaj każdy realizował własną strategię. Z tyłu pick-upa znajdowała się skrzynka z narzędziami, również zamknięta na kłódkę. Abdallah Jones już przeglądał klucze zawieszony na kółku z kluczykami do stacyjki, całkiem rozsądnie założywszy, że jeden z nich będzie pasował.

Tymczasem Ershut przeplótł dłuższy odcinek łańcucha przez mocowanie haka, przyciągnął końcówkę w okolice kostki Zuli i najpierw poprosił o klucz do zapiętej na niej kłódki. Później go zażądał. Potem wrzasnął, żeby mu go podali. W końcu ktoś wcisnął mu go w dłoń. Rozpiął kłódkę, odciągnął kabłąk, naniznął nań jedno ogniwo z końcówki łańcucha i znów zatrzasnął kłódkę.

W tej samej chwili Jones uklęknął przy nim na jedno kolano, podsuwając mu otwartą

kłódkę zdjętą przed chwilą ze skrzynki z narzędziami. Widząc jednak, że Ershut znalazł już jednokłódkowe rozwiązanie problemu, upuścił kłódkę na ziemię, wstał i odszedł.

Zula została więc przykuta do samochodu łańcuchem długości ludzkiej ręki. Zanim dżihadyści wrócili do kamuflowania wozu, podrzucili jej kawał folii, śpiwór, butelkę z wodą i stosik wojskowych racji żywnościowych.

Na każdym innym etapie swojego życia stawiałaby większy opór przy takim traktowaniu i odczuwałaby stosownie do tego załamanie w chwili zatrzaśnięcia się kłódki. Stopniowo narastało w niej jednak przekonanie, że sytuacja z wolna obraca się na jej korzyść - czysty idiotyzm, biorąc pod uwagę jej obecne położenie: była przykuta za kostkę do haka pojazdu gąsienicowego gdzieś na odludziu w północno-zachodniej Kanadzie, a klucz do kłódki (i kluczyki do wozu) trzymali zamachowcy-samobójcy.

Zaczynała jednak odbierać subtelne sygnały, że współpraca przynosi jej korzyści. Już powodziło się jej o wiele lepiej niż w Chinach. Chwyciła za broń i zabiła jednego z tych gości. Naprawdę go zabiła. Niewiarygodne. W dodatku zaproponowała układ, w którym jej przeżycie stało się centralnym elementem planu Jonesa (jakikolwiek ten plan był). Wszystko się zmieniło. Dżihadyści sprawiali wrażenie ślepych na tę zmianę - tak jak ludzie mieszkający dokładnie nad epicentrum wielkiego trzęsienia ziemi mogą w ogóle nie odczuć jego skutków, pod warunkiem, że nastąpi odpowiednio głęboko.

Okalający ją maskujący mur zgęstniał do tego stopnia, że mężczyźni poruszających się po jego drugiej stronie widziała tylko w tych momentach, gdy przesłaniali pozostawione jeszcze tu i ówdzie wąskie szpary. Przyszła jej do głowy przerażająca myśl, że w rzeczywistości zbierają opał na ogromne ognisko, żeby spalić ją żywcem. Niedługo potem zauważyła jednak, że już ich nie słyszy. Zabrali plecaki i poszli sobie, zostawiając ją samą.

Hak holowniczy pick-upa stał się pępkiem jej osobistego wszechświata. Nad głową miała otwartą tylną klapę skrzyni ładunkowej, zapewniającą skromną ochronę przed niesprzyjającą aurą. Grunt był usłany kikutami ściętych przy ziemi roślin, jakby ktoś wszędzie rozsypał stępione gwoździe. Przez jakiś czas kopała je, łamała i wdeptywała w ziemię, a kiedy podłoże stało się względnie płaskie, rozpostarła na nim folię, ułożyła na niej śpiwór i wślizgnęła się do środka. Było ciepawo, sporo powyżej zera, ale przenikliwy wilgotny chłód zabije ją w kilka godzin, jeżeli nie będzie się ruszać i pracować.

- Zrobiłaś spore wrażenie na panu Sokołowie - powiedział do niej ni z tego, ni z owego Jones podczas pierwszej nocy w obozie górniczym. - Nie rozumiałem tego, dopóki nie załatwiłaś Khalida.

Wtedy ni w ząb nie rozumiała, o co mu chodzi, i wyparła te dwa zdania z pamięci.

Teraz sobie o nich przypomniwała.

Skąd Jones mógł wiedzieć, co myśli o niej Sokołow? Przez kilka godzin rozmawiał z nią o tym, co się wydarzyło w bloku w Xiamen - głównie wyciągał od niej interesujące go informacje, ale na podstawie pytań, które zadawał, udało jej się odtworzyć w miarę spójny obraz bitwy, jaka się tam rozegrała. Nie było mowy o tym, żeby Sokołow i Jones mogli wtedy porozmawiać; zresztą, gdyby im się udało, nie wdawaliby się w pogwarki o Zuli - nawet gdyby Sokołow chciał o niej pogadać w samym środku strzelaniny (co samo w sobie było niezwykle mało prawdopodobne), Jones nie wiedział jeszcze wtedy o jej istnieniu.

Dopiero teraz wszystko stało się jasne. Olśnienie spłynęło na nią, gdy jej świadomość zajmowała się innymi sprawami. Może jej uwagę zwrócił sposób, w jaki Jones jednym uchem nasłuchiwał skrzeknięć z CB-radia. Podobny wyraz twarzy widziała u niego już wcześniej, w samolocie na lotnisku. Odebrał wtedy telefon. Jego twarz rozpromieniła się w zachwycie, który po chwili ustąpił miejsca zaskoczeniu, a potem morderczej fascynacji.

To Sokołow do niego dzwonił. Zabił (a w każdym razie pokonał) nasłanych na niego ludzi Jonesa, zabrał jednemu z nich telefon i wybrał opcję „Oddzwon”. Wygłosił adresowaną do Jonesa krótką przemowę, w której wspomniał o Zuli. Tak to właśnie musiało wyglądać. To był jedyny moment, kiedy ci dwaj mogli się porozumieć.

Tylko po co Sokołow o niej mówił?

(Rozwiązanie tej zagadki wymagało czasu, ale czasu akurat Zula miała pod dostatkiem).

Tak naprawdę to było nie jedno, lecz dwa pytania. Po pierwsze: skąd Sokołow wiedział, że Jones i Zula są razem? I po drugie: skoro już wiedział, po co zadawał sobie trud, żeby powiedzieć coś o niej Jonesowi?

Odpowiedź na pierwsze pytanie miała już w głowie i teraz musiała tylko wygrzebać ją z pamięci. Na kutrze, dwa dni temu, po scenie na pomoście. Jones ją przesłuchiwał. Opowiedziała mu o kryjówce, pokazała właściwy wieżowiec, powiedziała o czterdziestym trzecim piętrze. Zastanawiała się wtedy, czy w ten sposób wysłała Sokołowowi komunikat; czy daje mu znać, że ona sama (albo ktoś inny z ich grupy) wciąż żyje. Bo przecież, jeżeli ludzie Jonesa pójdą powęszyć na czterdziestym trzecim piętrze tego wysokościowca, Sokołow będzie musiał zadać sobie pytanie, skąd wiedzieli o kryjówce.

Co się zaś tyczy drugiego pytania... Jones w pewnym sensie już na nie odpowiedział, właśnie tą uwagą: „Zrobiłaś spore wrażenie na panu Sokołowie”.

Co to miało znaczyć, do licha?

Może Sokołow powiedział: „Mam nadzieję, że zastrześliłeś tę dwulicową sukę!”

jednak to wydało się Zuli mało prawdopodobne. Traktowali się nawzajem z Sokołowem z największą uprzejmością i szacunkiem, jakich można oczekiwać po układzie porywacz - zakładnik. Było to dość dziwne, ale w pewnym sensie czuła się tak, jakby byli współnikami.

W przeciwnym razie nigdy by tego nie zrobiła.

Teraz to do niej dotarło. Podanie niewłaściwego numeru mieszkania, wysłanie Rosjan pod 505 zamiast 405. To było szaleństwo. Samobójstwo. Nic dziwnego, że Peter się na nią wściekł - do tego stopnia, że chwilę później zostawił ją na pastwę losu, przykutą do rury w piwnicy. Csongor też był wstrząśnięty, ale ślepa miłość kazała mu stanąć po jej stronie. Dlaczego obaj z takim niedowierzaniem potraktowali decyzję, która Zuli wydała się tak łatwa i oczywista?

Dlatego że żaden z nich nie zauważył znaczących spojrzeń i innych, niemal podprogowych sygnałów - mowy ciała, wyrazów twarzy, tego, że Zula, wsiadając z Rosjanami do windy, zawsze stawała blisko Sokołowa. Byli sojusznikami. On by ją ochronił przed tym, co szykował dla niej Iwanow. Mając świadomość tego parasola ochronnego, czuła się wystarczająco pewnie, żeby posłać ich pod 505, chociaż wiedziała, że troll mieszka piętro niżej.

Mogła to powtórzyć. Ba, już to powtórzyła - tym razem z Jonesem. Żeby sztuczka się udała, musiała wziąć się mocno w garść, nie krzyżeć, nie kopać, nie przechodzić załamania. Musiała udowodnić, że daje radę. Że można jej zaufać. Musieli się przyzwyczaić do jej obecności.

To dlatego odprężona i bez większych emocji przyjęła fakt, że przykuli ją do samochodu. To był drobiazg - ale drobiazg tego rodzaju, który Jones na pewno zauważył, nawet jeśli... zwłaszcza jeśli nie miał świadomości, że zwraca na niego uwagę.

Czy Jonesem naprawdę tak łatwo było manipulować? Przecież pod tyloma innymi względami wydawał się taki sprytny...

Nie rozumiałem tego, dopóki nie załatwiłaś Khalida.

To było wyjaśnienie. Jones nie pojmował, dlaczego Sokołow, jego najgorszy wróg, tak wysoko ceni Zulę, że uznał za konieczne wspomnieć o niej w ich jedynej krótkiej rozmowie telefonicznej. Nie widział, jak Zula i Sokołow oswajali się ze sobą nawzajem podczas tych kilku spędzonych razem dni - zresztą, nawet gdyby mógł ich wtedy zobaczyć, prawdopodobnie umknęłoby mu to tak samo jak umknęło Peterowi i Csongorowi. Dlatego też od chwili, gdy usłyszał w słuchawce głos Sokołowa, łamał sobie głowę nad jego słowami, usiłując pojąć, co Sokołow widział w Zuli. Kiedy zabiła Khalida, pomyślał, że o to właśnie musiało chodzić Rosjaninowi. Doszedł do wniosku, że zdecydował jej ducha walki, obeznanie

z bronią albo inna tego rodzaju cecha - coś, co zdaniem takiego człowieka jak Jones człowiek taki jak Sokołow powinien wysoko cenić.

Odsłonił się. Był bezbronny wobec tej samej taktyki, którą Zula zastosowała wobec Sokołowa - z tą różnicą, że w wypadku Sokołowa to wcale nie była taktyka, tylko przejaw instynktownego zaufania ze strony Zuli. Pytanie brzmiało: czy uda jej się wywołać podobny efekt u Jonesa za pomocą tych samych środków, które tym razem będą całkowicie nieszczerze i wyrachowane?

* * *

- Pewnego dnia, mój synu, to wszystko mogłoby być twoje - obwieścił melodyjnym głosem Edgod, zniżając lot nad Pogórzem Torgai.

Zwracał się do Anthrona (czyli, w uproszczeniu, człowieka), którego trzymał za kołnierz. Anthron miał na sobie najbardziej przeciętny z przeciętnych wełniany płaszcz. Pomiędzy jego bosymi stopami (nie chciał wydawać wirtualnych pieniędzy na buty czy choćby sandały), zaledwie kilkaset metrów niżej, przesuwały się w pędzie stare iglaste lasy Torgai.

- Nie zamierzam podawać w wątpliwość zawartości waszej bazy danych - odparł Anthron - ale nadal nie widzę...

- Tam! - zawołał Edgod. Skręcił ostro i opadł w stronę bazaltowego ostańca. - Przy skałach.

- Istotnie, widzę tam plamkę żółci, wydawało mi się jednak, że to kępka ealanthassali - przyznał Anthron, bez trudu wymawiając sześciosylabową nazwę kwiatu świętego dla górskiego szczepu K'Shetriae.

- Spójrz jeszcze raz. - Zawisli dosłownie parę metrów nad „plamką”, która przeobraziła się w kopiec złotych, błyszczących monet. - Upuszczę cię - uprzedził Edgod.

I tak właśnie zrobił.

- Na bogów! - wrzasnął Anthron.

Spadł na nogi, ale zaraz klapnął nieporadnie na tyłek, wywołując małe lawiny złota.

- Gdyby twoja postać miała wyższą Równowagę, którą mógłbyś nabyć, wydając punkty Cech, chociaż wystarczyłoby również odbyć specjalne szkolenie albo wypić właściwy eliksir, wylądowałaby nieco zgrabniej i przeturlała się jak spadochroniarz, zamiast odnieść drobne obrażenia zadu, tak jak właśnie się stało - skomentował to Edgod.

Były to cokolwiek cierpkie słowa w ustach istoty o niemal boskim charakterze, ale też ów Anthron wyjątkowo skąpił punktów przeznaczonych na Cechy i nie wiadomo po co trzymał je na później, nie czerpiąc z nich żadnych korzyści.

Skonsternowany Anthron nie zrozumiał ani słowa z tej paplaniny.

- Nieważne - dodał Edgod.

- A cóż to za stworzenia wychodzą z lasu? - zdziwił się Anthron. - O, tam, popatrz.

Zwrócił głowę w lewo.

Edgod (w tej chwili niewidzialny dla wszystkich w *T'Rainie* poza tym konkretnym Anthronem) okręcił się w powietrzu i zobaczył idących w jego stronę dwoje Dwinnów-rozbójników. Jednym był ciężkozbrojny spieszony katafrakt, który właśnie zdejmował kuszę z pleców, drugim czarodziejka, odziana wprawdzie tylko w zwykłe szaty, ale otulona wirująca mgławicą kolorowych świateł - magicznym polem siłowym, chroniącym ją od przypadkowych pocisków.

- Sam byś się zorientował, gdybyś wydał chociaż część punktów na Spostrzegawczość - odburknął Edgod.

Jeszcze bardziej obniżył lot, ustawiając się dokładnie na drodze nadlatującego bełtu z kuszy.

- Nic nie widzę! - poskarżył się Anthron.

- No tak, faktycznie... Jesteś jedyną osobą na tym świecie, dla której nie jestem przezroczysty. - Edgod odwrócił się do niego. - No to patrz.

- Ja cię kręcę, trafili cię!

Rzeczywiście, w szeroko pojętych okolicach wątroby Edgoda sterczał bełt z kuszy, który na oczach Anthrona sam wyskoczył z ciała, przeleciał dobry metr w powietrzu i przepadł w trawie. Zanim Anthron wrócił spojrzeniem do rany, ta zdążyła się już zasklepić, pozostawiając po sobie różową, błyskawicznie znikającą bliznę.

- To taka mała sztuczka - wyjaśnił Edgod. - Nauczyłem się jej chyba z tysiąc lat temu. Poczekaj tu chwilę, rozprawię się z tamtymi.

- Rozprawisz się?

- Wystarczyłoby, żebym na nich spojrział w pewien określony sposób, i spłonęliby żywcem, wtedy jednak wydałoby się, że po Torgai biega jakaś bardzo wysokopoziomowa postać. A takie wieści szybko się rozchodzą. Dlatego załatwię ich tak, jak mógłby to zrobić inny, słabszy bohater.

Edgod odwrócił się znów w stronę intruzów, podniósł ręce i wypowiedział kilka słów w martwym klasycznym języku *T'Rainu*.

Prawie.

- Źle odmienileś *turom* - wytknął mu Anthron.

- Co jednak nie wpłynęło na skuteczność zaklęcia - zauważył Edgod.

Z łąki oddzielającej ich od pary Dwinnów wyrósł las włócznie. Zaraz po nich spod ziemi wyszły hełmy, a następnie opancerzone ciała *turni*, czyli szybko mnożących się rdzennych wojowników z kanonicznej mitologii *T'Rainu*, nieco podobnych do *spartoi* z mitów greckich. Czarodziejka zamachała rękami, usiłując rzucić czar, który zamieszałby *turai* w głowach, może nawet doprowadził do tego, że rzuciliby się sobie nawzajem do gardeł - ale ich było zbyt wielu, a ona była spóźniona. Dwinnom nie pozostało nic innego, jak wycofać się do lasu. Ściągał ich tuzin *turai*, którzy okazali się odporni na zaklęcie czarodziejki.

- Dobra, załatwmy to wreszcie - powiedział Edgod. - Takie sytuacje będą się powtarzały, dopóki złoto leży tu i czeka na znalazcę.

- Co dokładnie mamy załatwić? - zdziwił się Anthron. Stał po kolana w złości i tak bardzo nie ogarniał sytuacji, że wydawało się to zarazem zabawne i wkurzające.

- Weź te zasrane pieniądze do ręki i schowaj do worka. Albo po prostu najedź kursorem na cały ten stos i zrób shift-opcje-kliknięcie prawym.

- Shift... opcje... To jakaś terminologia komputerowa?

- Poczekaj, już do ciebie idę.

- Myślałem, że już tu jesteś...

- Idę w realu.

* * *

Richard odrzucił laptop na materac, spuścił nogi na ziemię i wstał z Łoża, Na Którym Spała Królowa Anna (masywna rama z łączonych drewnianymi kołkami belek jęknęła tak, jakby królowa wcale go nie opuściła). Odczekał chwilę, aż ciśnienie krwi się ustabilizuje, i na palcach przemierzył pokój. Trochę tego przemierzania było, bo jeśli inne rejony Anglii były zatłoczone, zagracone i przyciasne, to wyłącznie dlatego, że ten apartament gościnny zajął przeznaczoną dla nich przestrzeń. Znajdował się w Trinity College; Richard przypuszczał, że wybudowano go osiemset lat temu w takim stylu, żeby goście mogli wjeżdżać konno wprost do sypialni, nie rozstając się z armią giermków i stadem wilczarzy. DeKwadrat (zwrócony do niego tyłem) stał w odległości dobrych trzystu stóp. W pokoju nie było telewizji ani centralnego ogrzewania, był natomiast masywny pulpit, na którym spoczywała czterocalowej grubości Biblia z autografem księcia Wellingtona. DeKwadrat postawił na Dobrej Księżce swój laptop, nad którym w tej chwili się garbił, mrużąc oczy i dziabiąc w klawiaturę.

Podczas krótkiej jazdy z FBO w Cranfield Richard kazał kierowcy czarnej taksówki zahamować z piskiem opon przy pierwszym napotkanym sklepie komputerowym. Sprzedawca - skory do pomocy i gorąco pragnący tego, żeby klient był zadowolony z zakupu - był niezwykle uprzejmy do momentu, gdy Richard przebił się w końcu do jego głowy z

komunikatem, że ma znacznie więcej pieniędzy niż czasu i czy mogliby wreszcie przejść do rzeczy. Pięć minut później Richard wsiadł do czekającej nań taksówki z nowym laptopem (pudełko zostawił na ladzie w sklepie, a ślad z kawałków folii i styropianu ciągnął się za nim aż do wyjścia) i pudełkiem płyt DVD zawierającym *Legendarne Luksusowe Platynowe Wydanie Kolekcyjne T'Rainu z Materiałami Dodatkowymi*. Jechali obrzeżami Bedford, gdy komputer skończył się wreszcie uruchamiać; gdzieś pod St. Neots Richard włożył do napędu pierwszy dysk instalacyjny. Kiedy skonsternowany taksjarski wysadził go przy Porter's Lodge w Trinity College, wskaźnik postępów instalacji dopełził do dwudziestu jeden procent. Richard niósł otwarty laptop oparty na biodrze, a ten, pomrukując i popstrykując, usiłował przepchnąć grzmącą ścieżkę dźwiękową *T'Rainu* przez maleńkie, popiskujące głośniczki.

Przybrany w meloniki personel przywitał go oschle i zaprowadził do olbrzymich pokojów gościnnych. Było około dziesiątej rano. Richard znalazł toaletę (mieszczącą się gdzieś w Oxfordshire), wykąpał się pod prysznicem, ogolił i włożył do laptopa następne DVD. Potem przespał się dwie godzinki, wypił lunch w towarzystwie DeKwadrata i sprowadził go do siebie, żeby wprowadzić w podstawy *T'Rainu*.

- To się robi tak - powiedział.

Stojąc nad DeKwadratem, sięgnął ponad jego ramionami i przejął kontrolę nad klawiaturą, omal nie zmuszając przy tym DeKwadrata do uskoczenia mu z drogi, a następnie zrobił coś, czym zawsze wkurzał go Corvallis: zaczął przyciskać klawisze w takim tempie, że żaden normalny człowiek nie był w stanie ogarnąć, co właściwie robi. Tyle że DeKwadrat, przyzwyczajony do tego, że inni ludzie robią wszystko za niego, zupełnie się tym nie przejął. Znacznie bardziej interesował go los fortuny, która zniknęła z ekranu.

- A złoto?! - wykrzyknął. - Gdzie ono się podziało?! Dwinnowie je zabrali?

Oskarżenie było pocieszne. Znacznie ciekawszy był leciutko oburzony wyraz twarzy DeKwadrata, oraz dominująca w tonie jego głosu nuta, której nie dałoby się nazwać inaczej niż „chciwą”.

Doskonale.

- Nie - odparł Richard. - Ty je wzięłeś. Podniosłeś i schowałeś do sakiewki bez dna.

- Jakim cudem taka masa złota zmieściła się w takim maciupeńkim woreczku?

- Na tym właśnie polega działanie sakiewki bez dna. To magia. Pozwala przenosić absurdalnie ogromne ilości DW. Nie uwierzyłybyś, jak to pompuje nasze zyski.

Don pokiwał głową. Nawet on wiedział, że skrót DW oznacza „dobra wirtualne”.

- Ale nie w tym rzecz - ciągnął Richard. - Chodzi o coś innego.

Wrócił do łóżka. Zajęło mu to tyle czasu, że grupa awanturniczych Var'ów, niemal

obelżywie Jasnych, zdążyła wysmyknąć spomiędzy drzew, żeby zbadać niezwykle zjawisko, jakim był samotny Anthron, niedawno stworzony, a więc pozbawiony wszelkich mocy, broni i ekwipunku (a nawet obuwia!), sterczący jak kołek w chyba najbardziej niebezpiecznym rejonie *T'Rainu*. Stanowił widok tak niecodzienny, że zbliżali się do niego przepelnieni czymś w rodzaju nabożnej trwogi.

Całkiem słusznie zresztą, ponieważ Richard - wykorzystawszy najpierw pewne magiczne moce do upewnienia się, że Var'owie przenoszą znaczne sumy pieniędzy - unicestwił ich zaklęciem, po którym pozostały z nich różowe chmurki w kształcie grzybów.

- Richardzie, jestem zdumiony! Nie sądziłem, że zniżysz się do takich metod!

- To była pokazówka. Zdmuchnąłem ich tak szybko, żeby nie zdążyli Zasekwestrować swoich rzeczy.

- Na litość boską, a cóż to znowu za wymysł?

- To oznacza, że możemy zabrać wszystko, co mieli przy sobie. Idź, pobieraj złoto z ziemi. A przy okazji znajdź sobie jakieś buty, do kurwy nędzy.

- Sugerujesz, że mam ograbić zwłoki?!

- Mniej więcej. Co by na to powiedziała królowa Anna?

- Nie mam pojęcia!

- Zdejmij laptop z Biblii, może dzięki temu poczujesz się mniej zbrukany.

- Nie ma takiej potrzeby. Jak mi nie mam, takie rzeczy w *T'Rainie* są na porządku dziennym.

Richard powstrzymał cisnącą mu się na usta odpowiedź: Są ludzie, którzy z tego żyją.

Kiedy DeKwadrat opanował w końcu działanie interfejsu użytkownika odpowiedzialnego za podnoszenie przedmiotów z ziemi i upychanie ich w sakiewce bez dna, zebrał Anthronem całe złoto i zgarnął Buty Władzy Nad Żywiołami oraz Diadem Jasnowidzenia, który wyjątkowo przypadł mu do gustu, Edgod znów złapał go (Anthrona, znaczy) za kark i przeleciał z nim (z prędkością, którą DeKwadrat opisał jako „przyprawiającą o lekkie mdłości”) pół świata, do kantoru, który - znajdując się praktycznie na antypodach Pogórza Torgai - zapewniał szybką obsługę i dobry kurs wymiany.

Można było wprawdzie normalnie porozmawiać z pracownikiem KWW, trzymając się w ten sposób realiów świata (tak jak aktor stara się nie wypaść z roli), ale niecierpliwy Richard wskazał DeKwadratowi okno interfejsu obfitujące w niby-średniowieczne przyciski i rozwijane menu.

- Chcesz zaproponować potłacz Argelionowi. Zaznacz trzecią opcję od prawej.

- Bogowi mamony?!

- Doskonale wiesz, kim jest Argelion.

- Ależ oczywiście! Nie przypominam sobie jednak żadnego potlacz w jego kontekście. Co więcej, idea potlacz wywodzi się z tradycji Indian zamieszkujących wybrzeże Pacyfiku i nijak ma się do...

- To jedna z tych rzeczy, które dodaliśmy do świata tak dawno, że wszyscy zapomnieli, że to nie był twój pomysł. Możemy się o to pospierać przy kolacji, jeśli chcesz. Połowa tych facetów przy stole profesorskim potajemnie gra w *T'Rain*, chętnie usłyszą, co według ciebie jest złego w potlaczach. Ale na razie gdybyś tak po prostu zaznaczył tę cholerną opcję...

- No dobrze, zaznaczyłem. O, jest coś nowego... - Te słowa wypowiedział DeKwadrat tym charakterystycznym tonem zadziwienia, jakim reagował na wiecznie zaskakującą go dynamikę interfejsu użytkownika. - Jedna czwarta, połowa, trzy czwarte, wszystko. Albo wpisz dowolną ilość.

- Możesz zdecydować, ile złota przeznaczasz na potlacz - wyjaśnił Richard. - Zaznacz „Wszystko”.

Ta sugestia uruchomiła w DeKwadracie te same skąpcze skłonności, które do niedawna kazały Anthronowi oszczędzać na obuwiu.

- Nie! Całe złoto zniknie?! Tak po prostu?

- Zniknie w świecie gry. Zrób to, proszę. Jeżeli będziesz niezadowolony z wyniku, przyniosę ci więcej złota.

Stłamszony, ale oburzony DeKwadrat kliknął „Wszystko” i wcisnął przycisk „Potlacz”.

- Łatwo przyszło, łatwo poszło. - Westchnął.

Richard, zajęty wylogowywaniem się, nie odpowiedział od razu.

- Dobra. - Zamknął laptop i ruszył w podróż powrotną do pulpitu z Biblią. Następnym razem przywiezie sobie rolki. - Będzie mi znów potrzebna twoja karta kredytowa.

- Po co?! - wykrzyknął don Donald, jakby tego się właśnie przez cały czas obawiał.

- Ta sama, której dane podałeś przy zakładaniu konta. Proszę...

Zanim Richard zdążył do niego dojść, DeKwadrat wyciągnął kartę z czegoś, co wyglądało jak portfel królowej Anny, i podał mu ją. Richard odwrócił ją w palcach, wyjął telefon, nastawił na głośnomówiący i wybrał wydrukowany na odwrocie karty numer biura obsługi klienta.

Z głośnika popłynął cudownie brytyjski głos, który wprowadził ich w rozgałęzione drzewko dostępnych opcji. Richard namierzył się na „Ostatnie transakcje” i wbił numer karty

DeKwadrata. Bezcielesny robot na drugim końcu linii telefonicznej stwierdził, że ostatnią transakcją było uznanie rachunku w kwocie 842 funtów i 69 pensów, zaksięgowane przed niespełna pięcioma minutami.

- Chyba wiesz mi drinka - powiedział Richard.

Don wytrzeszczył oczy i rozdziawił usta.

- Dzięki tej małej eskapadzie stałeś się bogatszy o osiemset funciaków... Tak je tu nazywacie, prawda?

- To był potlacz?

- Tak. Złoto znika z *T'Rainu* jako złożona Argelionowi ofiara i już tam nie wraca. To taka bajeczka, która umożliwia graczom wypłacanie prawdziwych pieniędzy.

- Rozumiem!

- Nie wątpię, Donaldzie.

- Oczywiście, już wcześniej wiedziałem, że takie transakcje są teoretycznie możliwe...

- Ale nie ma to jak mieć forszę w banku, prawda?

- Chyba faktycznie mógłbym ci postawić piwo, Richardzie.

- Z przyjemnością dam się namówić, ale kiedy już siądziemy przy kufelku, chciałbym porozmawiać z tobą o tym, co przez najbliższe dwa tygodnie może się stać z trzema milionami dolarów w złocie, które po prostu leżą sobie tam na ziemi i czekają na szczęśliwego znalazcę.

* * *

Zula zjadła jedną rację wojskową, wcisnęła pustą tackę w wybudowaną wokół pojazdu ścianę maskującą, zagrzebała się w śpiworze i zasnęła szybciej, niżby się spodziewała. Śniły jej się Chiny - nierealna i udziwniona wersja Xiamen, zawierająca kawałki Seattle, *Schlossu* i erytrejskich jaskiń-schronów, zgodnie z logiką snu prezentowała się całkiem wiarygodnie.

Obudził ją niepokojący dźwięk, w którym po chwili rozpoznała wycie wilków lub kojotów. Długo nie mogła potem zasnąć. Zjadła drugi posiłek, licząc na to, że z pełnym żołądkiem pręcej zmorzy ją sen, ale nic takiego się nie stało. Płaciła teraz za łatwość, z jaką wcześniej zapadała w drzemki. W końcu darowała sobie próby zasypiania i próbowała po prostu ułożyć się wygodnie na ziemi - ale ponieważ znów jej się coś przyśniło, gdzieś po drodze musiała mimo woli odpłynąć w sen.

Przez pierwsze dwie noce po wypadku z Khalidem nie śniła o nim, a przynajmniej nie pamiętała takich snów. Wczoraj jednak, podczas trwającej wieczność jazdy pick-upem, złapała się na tym, że wspomina moment, w którym wbiła mu w oczy odłamki płyty, i widok

krwi (albo innego płynu) pokrywającej jej dłoń. Dziś Khalid wrócił do niej w snach i pokonanie go wymagało sporego wysiłku. Nie musiała z nim walczyć w sensie fizycznym, lecz na wpół świadomie usiłowała oddzielić się od niego jakąś psychiczną barierą. Wyczuwała instynktownie, że jeśli będzie nawiedzał jej myśli za dnia i sny nocą, nigdy nie zniknie, a ona do dziewięćdziesiątki (jeśli pożyje tak długo, co w tej chwili wydawało się mało prawdopodobne) będzie wiecznie o nim śnić i w nieskończoność przeżywać tamte chwile w samolocie.

Słyszając dziwne pochlipywanie i pokastywanie, pomyślała, że chyba popłakała się przez sen i teraz słyszy własny szloch w ten dziwnie odcieleśniony sposób, jaki czasem przydarza się nam na granicy snu i jawy. Coś trzymało ją za kostkę. Łańcuch, naturalnie. Coś nią szarpało. W rzeczywistości to po prostu ona szarpała się na łańcuchu, wierząc się przez sen. Tyle że w tym śnie to jakiś mężczyzna ciągnął ją za nadgarstek. Interesujące, że we śnie nadgarstek może zastąpić kostkę. Miała przed sobą twarz starca, który w Erytrei mieszkał z nimi w jaskini i który udał się razem z nimi w długą bosonogą wędrówkę do Sudanu. Jaskinie pełniły między innymi rolę szpitala polowego dla ofiar wojny z Etiopią. Młodzi bojownicy przybywali tam z oparzeniami, ranami postrzałowymi i odłamkami wbitymi w ciało, a lekarze próbowali ich naprawiać. Niektórzy umierali. Niektórych nie dawało się naprawić i ci po amputacji kręcili się przez jakiś i czas po okolicy, zanim odeszli do jakiegoś innego miejsca. Był tam jednak pewien starzec (z perspektywy czasu widziała, że pewnie miał nie więcej niż pięćdziesiąt lat) o ściągniętej, zapadniętej twarzy upstrzonej kępkami siwawego zarostu i pałających ogniem piwnych oczach, który przyszedł do jaskiń zdrowy jak koń i nie chciał ich opuścić. Dopiero po jakimś czasie zorientowali się, że musiał odnieść obrażenia psychiczne. Każdy dorosły umiał stwierdzić, że staruszek ma nierówno pod sufitem, ale dzieci nie mają tak wyczulonego instynktu. Starzec zaś miał bardzo dużo do powiedzenia. Dorośli go unikali, udawali, że go nie słyszą, nawet próbowali przepędzać. Za to dzieci pozostawione samym sobie, bez opieki dorosłych (co często się zdarzało), chętnie dotrzymywały mu towarzystwa. Były dla niego jak balsam duchowy, potrzebny wszystkim ludziom, nawet starym, zwariowanym weteranom. Miał zwyczaj zwracać na siebie uwagę w ten sposób, że łapał człowieka za rękę i szarpał nią tak długo, aż spojrzało mu się w ogarnięte obłędem oczy.

Potem właściwie niewiele miał już do powiedzenia, ponieważ doznał urazu głowy, który uniemożliwiał mu artykułowanie słów. Mógł jednak gestykulować, spoglądać człowiekowi pytająco w oczy i czekać, aż zrozumie. Zula nie była pewna, czy nadaża za jego tokiem rozumowania, ale wydawało jej się, że próbuje ją (i inne dzieci, które udało mu się złapać za rękę) przed czymś ostrzec. Przed czymś bardzo wielkim, złym i przerażającym, co

czaiło się w wielkim świecie rozciągającym się poza tą doliną, w której znaleźli schronienie w jaskiniach.

W tym konkretnym śnie ostrzegał ją przed Khalidem. Próbowwała mu tłumaczyć, że Khalid z całą pewnością nie żyje, ale nie chciał jej uwierzyć. Nie wypuszczał jej ręki, szarpał i szarpał. Ten szloch i pokastywanie... To miał być jej płacz? Przecież nie płakała. Te dźwięki musiały mieć inne źródło.

Starzec nie ustępował. Bo Zula nie rozumie, co się dzieje. Nie pojmuje zagrożenia. Koniecznie powinna się obudzić.

W końcu rzeczywiście musiała się obudzić, gdy gdzieś niedaleko głośny grzmot i stłumiony łoskot wprawiły ziemię w drzenie, które przeniosło się aż na jej zębra.

Chwila absurdałnego zamętu w myślach, gdy jej umysł - jak pasażer w coraz szerszym rozkroku między pomostem i odbijającą od niego łodzią - usiłował spiąć sen z jawą.

I nagle już nie spała. Stary Erytrejczyk zniknął i poszedł w zapomnienie.

Chciała zawołać: „Jest tam kto?!”, ale krtań zacisnęła się jej spazmatycznie. Zresztą, jeśli to wracali ludzie Jonesa, nie było sensu ich nawoływać - wiedzieli, gdzie jej szukać, a ona z całą pewnością nie zamierzała wdawać się z nimi w pogawędki. Cokolwiek jednak czaiło się w ciemności, nie poruszało się jak człowiek. I nie myślało jak człowiek.

Za to z pewnością dorównywało człowiekowi wzrostem.

Okrażało dziwny zagajnik, który zniemacka wyrósł w jego rewirze łowieckim, obwąchiwało go, trącało na próbę łapą - aż stwierdziło, że zagajnik bardzo łatwo rozpada się na kawałki.

Niedźwiedź. Tak, na pewno niedźwiedź. Właśnie dobierał się do zakamuflowanego pick-upa od tyłu, gdzie leżała Zula.

* * *

Podczas przeprowadzki z Iowa do Seattle (holując śliczną przyczepkę wyładowaną *Encyclopaedia Britannica* i innymi rzeczami, bez których nie wyobrażała sobie życia) zajechała do północnego Idaho, żeby odwiedzić mieszkającego tam wujka Jacoba z rodziną - żoną Elizabeth, najstarszym synem Aaronem i dwoma młodszymi synami, których imiona, ku swemu zakłopotaniu, zapomniała. Liczni krewni ostrzegali ją, że Forthrastowie z Idaho to dziwacy, wujek Richard twierdził zaś, że to zupełnie normalni ludzie. Na miejscu przekonała się - jakżeby inaczej - że prawda leży pośrodku. Albo inaczej: zwyczajne aspekty ich egzystencji uwypuklały to, co w ich życiu wydawało się dziwaczne. Krzątając się po domu i ucząc dzieci (synowie Jacoba nie chodzili do szkoły), Elizabeth nie rozstawała się z samopowtarzalnym glockiem, schowanym w czarnej kaburze na szelkach nałożonej na stanik

długiej, sięgającej do kostek sukienki. A może spódnicospodni?

Tak czy inaczej, przy kolacji rozmowa w jakiś sposób zeszała na niedźwiedzie. Wujek Richard uprzedzał kiedyś Zulę, że niedźwiedzie są konwersacyjnym odpowiednikiem czarnej dziury, w tym sensie, że kiedy rozmowa zejdzie na ich temat, już się od niego nie wyzwoli. Biorąc pod uwagę rzadkość występowania niedźwiedzi w naturze oraz ich ataków na człowieka, Zula - wtedy jeszcze racjonalnie sceptyczna uczennica szkoły średniej - powątpiewała w celność spostrzeżenia Dodge'a. Może, myślała wtedy, wujkowi często przydarzają się takie sytuacje, bo przytrafiła mu się ta przygoda z niedźwiedziem, o której ludzie uwielbiają słuchać. Potem jednak sama dwa razy była świadkiem tego zjawiska: kiedy w stołówce internatu dziewiętnastoletnie dzieciaki, które w życiu nie widziały niedźwiedzia, przypadkiem zbłądziły na ten temat, rozmowa kręciła się wokół niego do czasu, aż wszyscy wstali i wyszli.

Wujek Jacob, który od rana do wieczora budował domy z bali, miał trociny w brodzie. Był zmęczony i rozdrażniony zachowaniem żywych jak iskierki synów, dopominających się o jego uwagę, i chyba chętnie napiłby się zimnego piwa. Ponieważ jednak w jego odmianie chrześcijaństwa taka rozpusta była surowo zakazana, trudno mu było przejść w tryb wujowski w stosunku do Zuli - do tego stopnia, że zaczęła się martwić, że wuj chyba nie uważa jej za prawdziwego członka rodziny. Na szczęście, z biegiem czasu okazało się, że był po prostu głodny i w końcu przy stole wywiązała się normalna rozmowa.

Drewniany dom Jake'a miał niski fundament, parter i dwa piętra, oraz piwniczkę pełniącą jednocześnie rolę spiżarni i podziemnego schronu. Wujek wykopał ją własnoręcznie, a potem wylał w niej żelbetowe ściany. Parter był poświęcony rzeczom praktycznym: w całości zajmował go garaż/warsztat z wydzielonymi kątami do takich przyziemnych czynności jak zarzynanie zwierzyny, uprawianie jej, puszkowanie mięsa i przeładowywanie broni. Na pierwszym piętrze znajdowała się ogromna otwarta przestrzeń kuchenneo-jadalno-gościenna, a na drugim sypialnie. Przesuwane drzwi (oraz okna) na pierwszym i drugim piętrze wychodziły na zabudowane tarasy w tej części domu, którą Zula uważała za jego tyły, ponieważ znajdowała się po przeciwnej stronie niż podjazd. Szybko jednak przekonała się, że dla Jake'a i Elizabeth to jest właśnie prawdziwy front domu. Roztaczał się stąd widok na dwuakrową równinę, rzadko zadrzewioną i rozbijającą się o podnóże stromego południowego zbocza Abandon Mountain. Górski strumyk, zwany Prohibition Creek, spływał ze stoku pod sam dom, dźwięcząc przecudnie po drodze do odległego o pół mili bobrzego stawu. Wokół stawu pobudowali domy sąsiedzi o podobnym do Jake'owego światopoglądzie, tworząc skromną społeczność pięciu rodzin i - łącznie - kilkudziesięciu dusz, rozrzuconą na obszarze

dwóch mil kwadratowych płaskawej, średnio urodzajnej ziemi w górze doliny ciągnącej się prawie do samego Bourne's Ford.

Siedzieli przy kolacji, gdy z dołu doliny nadciągnęła burza i zagarnęła dom przy wtórze kilku imponujących gromów i donośnego bębnienia deszczu o blaszany dach. Po burzy powiało rześkim powietrzem i wyszło słońce, malując tęczę, która jakby nurkowała z wyżyn w dolne partie doliny. Na tarasie zapachniało mokrymi od deszczu cedrami. Jacob rozsmarował świeży miód na chlebie, który Elizabeth przed godziną wyjęła z pieca. Życie nagle zrobiło się przyjemne.

Wuj zaczął wypytywać Zulę, jak minęła jej podróż, jakie ma plany na nowe życie w Seattle i co lubi robić w wolnym czasie. Wymieniła kilka rodzajów hobby, które - jako w pewnym sensie wielkowiejskie i technicyzowane - Jake jednym uchem przyjął, a drugim wypuścił. Wspomniała też, że lubi biwakować na łonie natury, mimo że wcale za tym nie przepadała. Owszem, sypiała pod namiotem w harcerstwie i na rodzinnych wycieczkach, ale miała wrażenie, że zdrowy młody człowiek planujący przeprowadzkę do Seattle koniecznie powinien lubić takie rzeczy. Przynajmniej udało jej się w ten sposób obudzić zainteresowanie wujka i przez jakiś czas o tym rozmawiali, krążąc wokół ziejącej w samym środku czarnej dziury, która cierpliwie czekała, żeby ich pochłonąć - aż w końcu rozmowa faktycznie zeszała na niedźwiedzie. Jacob powiedział, że poza Alaską niewiele już zostało miejsc, gdzie uchowały się grizzly (w przeciwieństwie do baribali), ale północne rejony Idaho są jednym z nich. Przez Góry Selkirka i Purcella łączyły się z obfitującymi w grizzly ostępami ciągnącymi się przez całą kanadyjską część Gór Skalistych aż do Alaski. Szczególnie dużo uwagi (aż do przesady, jak na gust Zuli, która zaczynała się czuć nieswojo) poświęcił teorii, wedle której menstruujące kobiety przywabiają niedźwiedzie, i szczerze odradzał jej biwakowanie w głuszy podczas okresu. Nowoczesna studentka-feministka w Zuli obruszała się w duchu na te z gruntu chybione i niestosowne uwagi, a sierota/uchodźca/Forthrast doceniała ich wartość praktyczną.

Wszystko to brzmiało jak zaczerpnięte z miejscowego folkloru bajki, ale oczywiście nic by jej to nie dało w dyskusji z Jacobem. Znaczna część jego przekonań wywodziła się z tradycji ludowej, a im bardziej ludowe były, tym usilniej przy nich obstawał. Nie potrzebowała wielkiej przenikliwości, żeby zauważyć, że wuj ma na pieńku z oficjalną nauką i edukacją; ostrzeżono ją zawczasu, żeby nie wspominała w jego obecności o tym, że Ziemia może jednak mieć więcej niż sześć tysięcy lat.

Nie miała z tym problemu. Od chwili przybycia do Iowa na każdym kroku spotykała takich mężczyzn. Mężczyźni chcą być silni. Jednym ze źródeł siły jest wiedza, a przecież tyle

było dziedzin, w których nikt bez doktoratu i dalszych studiów nie mógł uchodzić za dobrze poinformowanego... Broń i polowania stanowiły dogodną furtkę dla facetów, którzy chcieli uchodzić za mądrych, ale nie zamierzali tracić pierwszych trzech dekad życia na specjalizowanie się w mechanice kwantowej albo onkologii. Nie dało się pójść na strzelnicę i nie spotkać tam człowieka, który mógł godzinami rozprawić o balistyce pocisku kalibru .308 albo wadach i zaletach dubeltówek z pionowym i poziomym układem luf. Jeśli nie była gotowa na taką konfrontację, powinna była jej unikać - tymczasem z własnej woli weszła w paszczę lwa, przekraczając próg domu Jacoba i Elizabeth. Z uśmiechem kiwała głową i udawała zainteresowanie wiedzą wujka na temat niedźwiedzi, dopóki ciotka nie położyła chłopców spać i nie przysłała jej z odsieczą.

Tak czy inaczej, po przybyciu do Seattle sprawdziła rewelacje wujka Jake'a w Internecie (gdzieżby indziej!), gdzie znalazła (oczywiście) całą masę sprzecznych informacji nadesłanych przez ludzi o bardzo zróżnicowanym stopniu wiarygodności. Szczerze mówiąc, nie zrobiła się od nich wcale mądrzejsza, niż była bezpośrednio po rozmowie z wujkiem Jacobem. Mimo to, wzmianka o krwi menstruacyjnej wzbudziła w jej umyśle intensywny rezonans psychiczny (co oczywiście było pierwotną przyczyną rozpowszechnienia się mitu o niedźwiedziach) i kiedy tego ranka obudziła się przykuta do pick-upa i uświadomiła sobie, że istota, która węszy wokół niej i drapie pazurami, jest niedźwiedziem, jej mózg pognął wprost do jej łóżyska i zaczęła sobie zadawać pytanie, czy to możliwe, że straciła rachubę dni i w środku nocy dostała miesiączki. Na pewno się tak nie czuła. To zabawne, jak czasem działa ludzki mózg - w tej właśnie chwili Zula pozwoliła sobie na krótki wypad na terytorium metaironii, zastanawiając się, czy ktokolwiek kiedykolwiek w dziejach świata przeżył w ciągu tygodnia zagrożenie ze strony gangsterów, terrorystów i niedźwiedzi. Brakowało tylko piratów i dinozaurów.

W końcu jednak zobaczyła i zrozumiała, po co naprawdę przyszedł niedźwiedź, i uświadomiła sobie, że wszystkie te dywagacje o krwi menstruacyjnej były groźnym przejawem egocentryzmu. Niedźwiedzia zwabiło to, co zawsze wabi niedźwiedzie: śmieci. Puste tacki po wojskowych racjach żywnościowych. Przykuta do pick-upa i otoczona maskującą ścianą roślinności, nie mogła pozbyć się tacek w sposób zatwierdzony przez harcerki - czyli wrzucić do worka i zawiesić na gałęzi drzewa z dala od obozowiska.

Miała wrażenie, że zwierzę jest dosłownie na wyciągnięcie ręki, ale tłumaczyła sobie, że to lęk każe jej skracać rzeczywisty dystans. Został jej jeszcze jeden paczkowany posiłek. Zdarła z niego pokrywkę, pchnęła tackę w kierunku, z którego dobiegało węszenie i dyszenie, po czym wczołgała się pod podwozie pick-upa.

Osadzony na gąsienicach pojazd miał absurdalnie wysokie zawieszenie: próg kabiny znajdował się na wysokości bioder stojącej Zuli. Pod nim nie mogła wprawdzie stanąć wyprostowana, ale bez trudu mieściła się w kucki, z głową między wałem napędowym i ramą nośną. Przestrzeń pod pick-upem nie była pusta, przeciwnie, wypełniał ją gąszcz podszytu - krzewów i choinek-samosiejek, które bez przeszkód zmieściły się pod zderzakiem, zanim wóz znieruchomiał w obecnym położeniu. Sterczały wyprostowane, nienaruszone, dzięki czemu Zula schowała się jednocześnie w leśnej gęstwinie i pod pick-upem. Miała nadzieję, że to wystarczy, żeby ocalić ją przed niedźwiedziem. Wydawało jej się, że niedźwiedź jest ogromny (co było całkiem naturalne); miała nadzieję, że okaże się za gruby, żeby wleźć pod samochód, i zadowoli się łatwo dostępną racją żywnościową rzuconą w jego kierunku. Która, sądząc po odgłosach, faktycznie mu zasmakowała.

Zula zastanawiała się, co powinna zrobić, gdyby jednak się do niej wczołgał. Pięścią w nos? Nie, to podobno działa na rekiny. Z niedźwiedziem może się nie udać. Przy niedźwiedziu człowiek powinien udawać większego, niż jest w rzeczywistości, i nie uciekać. Nieuciekanie miała jak w banku, natomiast udawanie większej mogło być problematyczne. Łańcuch miał dwadzieścia stóp długości, z czego niespełna połowa poszła na przykucie jej do haka. Reszta po prostu wlokła się po ziemi. Zaczęła go zbierać, nawijając na lewą dłoń i tworząc z niej okutą metalem pałkę. Ciężar łańcucha wytrącił ją z równowagi, musiała zaprzeć się drugą ręką o ramę wozu - która wydawała jej się lita i solidna, i w większości taka właśnie była, ale w tej chwili pod dłonią Zuli poruszyło się coś drobnego i łamliwego.

Zamarła bez ruchu. Niedźwiedź nadal mlaskał z wielkim zadowoleniem, wyzerając wojskowy obiad do cna - po chwili jednak on również znieruchomiał, jakby coś go zaskoczyło i nasłuchiwał. W pierwszym odruchu Zula pomyślała, że zwróciła jego uwagę jakimś dźwiękiem albo wiatr zmienił kierunek i zdradził jej obecność.

Kiedy niedźwiedź znów się poruszył, skuliła się, spodziewając się, że będzie się przedzierał w jej stronę - ale on wcale tego nie zrobił. Pierwszy brzask przezierał przez potarganą ścianę kamuflażu. Przycupnięta Zula wsparła się wolną ręką o podwozie pick-upa i, wyglądając między tylnymi gąsienicami, zobaczyła oparte o ziemię tylne łapy zwierzęcia. Tylko tylne. Niedźwiedź stał wyprostowany, węszył i słuchał. Wydał dźwięk przywodzący na myśl urażone szczeknięcie, opadł na czworaki i nieśpiesznie się oddalił.

A pod prawą dłonią Zuli naprawdę coś się poruszyło. Obmacała okolicę czubkami palców i stwierdziła, że może to coś wyluskać z załomu ramy. Było to małe plastikowe pudełko.

Opuściła lewą rękę, odczekała, aż łańcuch odwinie się z niej spiralą i opadnie na

ziemię, a potem wyczołgała się z cienia pojazdu. Pudełeczko okazało się skrytką na klucze, zaopatrzoną w magnes na jednej ze ścianek. Zdjęła przesuwaną pokrywkę i znalazła w środku kółko z dwoma kluczami. Jeden z nich wyglądał jak zapasowy kluczyk do stacyjki pick-upa, drugi, wyraźnie mniejszy, mógłby pasować do kłódki. Przymierzyła go do kłódki spinającej łańcuch wokół jej kostki, ale nie była w stanie wsunąć go do dziurki. Nawet marka się nie zgadzała.

Jej wzrok padł na skrzynkę z narzędziami, porzuconą wczoraj przez Jonesa.

Z dołu zбочa dobiegły ją odgłosy rozmowy, na które prawdopodobnie zareagował niedźwiedź. Schowała kluczyki do kieszeni, wczołgała się z powrotem po wóz i odłożyła pudełko na miejsce.

Wrócili Abdul-Wahaab i Sharif.

Otwarta zbędna kłódka została na wpół wdeptana w ziemię. Zula ją podniosła, wyczyściła i przez chwilę po prostu trzymała w ręce, aż w końcu zatrzasnęła na ostatnim ogniwie łańcucha.

Abdul-Wahaab i Sharif byli tuż, tuż. Spodziewała się, że zauważą roztrącony kamuflaż i poszarpane tacki po posiłkach, z dziurami od niedźwiedziich kłów, ale nie zwrócili na nie uwagi. Byli wyczerpani, bardzo im się śpieszyło i interesowała ich tylko Zula.

Przedarli się przez zrobioną przez niedźwiedzia wyrwę w ścianie maskującej. Sharif przyklęknął na jedno kolano i rozpiął kłódkę na kostce Zuli. Odplątał łańcuch z haka, po czym znów spiął go kłódką, tak że łańcuch cały czas oplatał nogę Zuli. Jego wzrok prześlizgnął się po drugiej kłódce - tej ze skrzynki z narzędziami, zwisającej z końca łańcucha - ale nic z tego nie wynikło; i tak nie miał do niej klucza, a przede wszystkim nie miał czasu, żeby się z nią teraz bawić. Wziął do ręki wolny koniec łańcucha, wstał, odszedł kilka kroków i na próbę szarpnął łańcuchem jak psią smyczą.

- Idziemy - powiedział po arabsku.

Zula wstała, odwróciła się i schyliła, jakby chciała podnieść śpiwór.

- Ja go wezmę! - powiedział Abdul-Wahaab. - Idźcie już!

Zwróciła się więc z powrotem w stronę Sharifa, a on odwrócił się do niej plecami i razem wyszli spomiędzy drzew na opadający ku rzece nagi stok wzgórza. Na drugim brzegu, między rzeką i drogą, czekał na nich zielony Chevrolet suburban z wymalowanym na drzwiach niedźwiedziem.

DZIEŃ 9

Nie zdążyła nawet dobrze obejrzeć suburban, zanim przez tylne drzwi wepchnęli ją do środka. Zarejestrowała tylko coś, co z braku lepszego określenia można by chyba nazwać ogólnym wrażeniem artystycznym: leśna zieleń plus logo złożone z niedźwiedziego łba i dwóch skrzyżowanych strzelb. Przypuszczała, że samochód jest własnością firmy organizującej polowania, a zawartość wnętrza - śpiwory, namioty, kuchenka turystyczna itp. - potwierdziła jej podejrzenia.

Do tego ładunku jej porywacze dorzucili część rzeczy zabranych z zamaskowanego pick-upa. W obozie górniczym znaleźli masę badzewia, które mogło się okazać przydatne tylko w wyjątkowo rozpaczliwej sytuacji. Teraz weszli na wyższy poziom i chętnie pozbyli się tego śmietnika - wzięli tylko broń i garść starannie wyselekcjonowanych drobiazgów.

Jonesowi bardzo się śpieszyło. Zamknęli Zulę w tylnej części wozu, sami zajęli miejsca z przodu i ruszyli z kopyta. Cała piątka przeżyła noc, ale byli brudni, zmęczeni i tak tępo gapili się w przestrzeń, że Zula wołała nie patrzeć im w oczy. Miała nieodparte wrażenie, że całkiem niedawno popełnili morderstwo; zastanawiała się, czy nie brali przy tym jakichś narkotyków. Jak zwykle nikt jej niczego nie wyjaśnił, potrafiła jednak sporo się domyślić. Albo zatrzymali chevroleta gdzieś na drodze, albo zakradli się do obozowiska, przy którym był zaparkowany. Wymordowali myśliwych i przewodników, ukryli ciała i wrócili po nią, a teraz rozmyślali o tym, ile mają czasu, zanim ktoś zauważy nieobecność ofiar. Może kilka godzin. A może kilkanaście dni. Nie byli w stanie tego stwierdzić, starali się więc jak najbardziej oddalić od miejsca zbrodni, nie ściągając przy tym na siebie niepotrzebnie uwagi.

Przez pierwszy kwadrans nikt się nie odzywał; oswajali się z nową sytuacją. W końcu Jones, który prowadził, zerknął przez ramię na siedzącego w środku tylnego rzędu Ershuta, coś powiedział i przez chwilę rozmawiali po arabsku. Zula zorientowała się, że mówią o niej.

Ershut odwrócił się i na migi dał jej do zrozumienia, że chce się z nią zamienić miejscami. Nastąpiła faza niezręcznych manewrów, które dodatkowo skomplikował długi łańcuch przyczepiony do nogi Zuli.

Ershut pogrzebał trochę w skrzynkach na narzędzia i znalazł (między innymi) rolkę czarnej taśmy izolacyjnej oraz ogromną płachtę grubej czarnej folii. Z folii wyciął pas o szerokości wyciągniętej ręki i długości kilku metrów, przytrzymał go w pozycji poziomej nad

bocznymi i tylnymi oknami i poprzylepiał taśmą do podsufitki i słupków okiennych. Cała tylna część suburbana zniknęła pod czarną folią. Gdyby ktoś do niego zajrzał, pomyślałby zapewne, że samochód ma przyciemniane szyby Zula wiedziała, co się święci. Lada chwila mieli wyjechać na publiczną drogę, gdzie w końcu znajdują się w pobliżu innych pojazdów. Jones nie chciałby, żeby siedząca z tyłu zakładniczka zaczęła nagle gestami wzywać pomocy.

Nie chciałby również, żeby wybiła okna kopniakami, a to mogła zrobić nawet po zakryciu ich folią.

Dlatego zdjęli jej łańcuch z nogi i kazali wejść do śpiwora, który następnie ciasno owinęli taśmą, krępując w ten sposób jej nogi najpierw w kostkach, a potem także w kolanach.

- Domyślam się, że nie mam co marzyć o tym, żeby wyjść przypudrować nosek?! - zawołała do Jonesa, kiedy ją oklejali.

- Załatwisz to w śpiworze - odpowiedział. - Obrzydliwe to, ale krzywda ci się od tego nie stanie.

Skleili jej też ręce w nadgarstkach, na zewnątrz śpiwora, na wysokości talii, a na koniec owinęli jej taśmą ramiona, przyszpilając je do tułowia. Sharif znalazł (albo zabrał zabitemu myśliwemu) wełnianą czapkę, którą teraz założyli jej na głowę, ściągnęli na oczy i również przykleili taśmą.

A potem jechali całą wieczność.

Próbowała wymyślić jakiś sposób na określanie upływu czasu, ale jedynym wskaźnikiem były przerwy na tankowanie. Łącznie trzy. Przed każdym z nich Ershut gramolił się na tył wozu i wpychał Zuli do ust skarpetę, którą następnie unieruchamiał uzdą z taśmy izolacyjnej. Nie odstępował jej ani na centymetr, gdy ktoś - najprawdopodobniej Jones, który mógł uchodzić za Amerykanina lub Kanadyjczyka afrykańskiego pochodzenia - wkładał do baku lufę pistoletu dystrybutora i pompował kolejne trzydzieści galonów paliwa. Nie słyszała żadnych elektronicznych piknięć, więc raczej płacili gotówką, nie kartą.

Skąd mieli kanadyjskie pieniądze?

Pewnie od zabitych myśliwych.

Parę minut po drugim z tych przystanków suburban zjechał na jakąś płaską, utwardzoną powierzchnię (zapewne na parking) i Zula usłyszała dobiegający z przodu stukot klawiatury. Wyglądało na to, że Jones znalazł jakiś bar dla kierowców ciężarówek z bezprzewodowym Internetem i postanowił poszukać czegoś w sieci. Może sprawdzał, czy ktoś zgłosił ostatnio jakieś zaginięcia.

Surfowanie po sieci trwało około piętnastu minut, po czym znów wyjechali na drogę i

Ershut wyjął Zuli knebel z ust. Kwadrans później poszła w końcu na całość i zsiadała się w majtki. Szału nie było, ale poczuła się lepiej - a w każdym razie mniej źle - kiedy porównała to z losem, jaki spotkał jej przyjaciół: Yuxii z głową w wiadrze, Csongora ogłuszonego pistoletem i zabitego Petera.

W jakiś sposób pomogło jej to oswoić się z krwawymi obrazami Khalida, które - na wpół zapamiętane, na wpół wyśnione - wciąż stawały jej przed oczami. Mogło jej się to nie podobać, ale takie były realia gry, którą musiała podjąć. Podobnie jak jej przyjaciele - o ile jeszcze żyli. Ona przynajmniej miała tę przewagę, że grała w nią już wcześniej, chociaż w młodzieżowej lidze: w Erytrei.

Tego dnia jechali chyba z szesnaście godzin. Od czasu do czasu Zulę morzył sen, może na dwadzieścia minut, a może na trzy godziny - nie potrafiłaby tego określić. Niemal przez cały czas poruszali się z całkiem konkretną prędkością, co sugerowało, że pokonali odległość rzędu tysiąca mil. Podróż się dłużyła, ale w gruncie rzeczy nie była dużo gorsza od latania z kontynentu na kontynent klasą ekonomiczną. I podobnie jak takie loty, dopóki trwała, wydawało się, że nie ma końca, a potem, kiedy wreszcie się skończyła, łatwo się o niej zapominało, ponieważ nic się po drodze nie wydarzyło.

Niespodziewanie zwolnili, zjechali z asfaltu na żwir i ruszyli dość stromo pod górę. Ershut przegramolił się na tył wozu i pośpiesznie zainstalował Zuli knebel. Wyglądało to na jakąś nieplanowaną eskapadę. Ziemia pod kołami suburbana znów się wypoziomowała, pojazd wykonał kilka łagodnych manewrów i znieruchomiał. Zgrzyt - jakby zapinanego suwaka - towarzyszył zaciągnięciu hamulca ręcznego. Silnik zgasł. Drzwi się otworzyły i jedna osoba (zapewne Jones) wysiadła. Zula usłyszała chrzęst żwiru, chwilę później Jones się odezwał i ktoś przywitał się z nim wesoło.

I to nie jedna, lecz dwie osoby, które unisono odpowiedziały na jego powitanie: mężczyzna i kobieta.

Rozpoczęła się rozmowa. Zula nie rozumiała słów, ale brzmiały pogodnie; ot, takie przyjacielskie pogaduchy o niczym. Nie słyszała nic więcej - ruchu ulicznego, odgłosów miasta, nic. Dolatywał ją tylko przytłumiony szmer, którego źródłem prawie na pewno był płynący gdzieś blisko wartki górski strumień.

Po jakichś dziesięciu minutach rozmowa ucichła, a potem podjęto ją znacznie cichszym tonem. Niespełna minutę później Zula usłyszała, jak drzwi się otwierają, stopy dudnią na krótkich schodach i drzwi znów się zamykają.

Dwóch dalszych dżihadystów wysiadło z wozu, oddaliło się, chrzęszcząc na żwirze, i powtórzyła się ta sama sekwencja dźwięków: otwarcie drzwi, *tup-tup-tup* po schodach,

zamknięcie drzwi.

Przez kolejne dziesięć minut nic się nie działo. Tak bardzo nic się nie działo, że dwaj ostatni dżihadyści w samochodzie - Ershut i Mahir - zaczęli wymieniać nerwowe uwagi, lecz w pewnym momencie obaj wydali okrzyki zadowolenia. Tamte drzwi znów się otworzyły. Ktoś obiegł suburbana, otworzył tylne drzwi, złapał Zulę za nogi i wywlókł ją na zewnątrz. Ktoś zarzucił ją sobie na ramię. Jones. Przeniósł ją po żwirowej nawierzchni, a potem - z wyraźnym wysiłkiem - wniósł po schodkach do miejsca, które sprawiało wrażenie zamkniętej przestrzeni i pachniało jak dom. Jones obrócił się w miejscu, z Zulą na ramieniu zagłębił się w wąski przedpokój i przeszedł przez jakieś drzwi. Tam schylił się i rzucił nią przed siebie. Poleciała bezradnie na plecy, nie mogąc powstrzymać upadku, pełna obaw, że za chwilę rozbije sobie głowę, ale wylądowała miękko na sprężynującym łóżku. Jones zdążył już wyjść i zamknąć za sobą drzwi. Pod jego krokami cały dom lekko drżał.

To nie dom, zorientowała się Zula. To kamper, turystyczny samochód z częścią mieszkalną. Zaparkowany na płaskim żwirowym parkingu na brzegu górskiej rzeki.

Mężczyźni kursowali między nim i suburbanem, przenosząc sprzęt. W końcu ktoś odpalił silnik i podjechał chevroletem bliżej, żeby usprawnić przenosiny.

Zajęło im to najwyżej kwadrans, po czym Zula usłyszała warkot uruchamianego silnika. Dobiegał z daleka, z drugiego końca pojazdu - bo to był naprawdę duży pojazd, jeden z tych długich jak autokar ruchomych domów dla bogatych emerytów. Ruszył po żwirze, z początku powoli, jakby kierowca musiał się z nim oswoić, ale wkrótce przyśpieszył. Chevrolet ruszył za nim, skutecznie wybijając Zuli z głowy myśli o wykopaniu tylnego okna.

Dopiero po półgodzinie jazdy przyszedł Ershut i wyjął jej knebel. Powietrze gwałtownie napłynęło jej do ust, ożywiając zmysł powonienia, i poczuła charakterystyczny zapach krwi. Zapach kabiny odrzutowca i wykrwawiającego się Khalida.

- Nie ruszaj się - powiedział Ershut po arabsku i rozciął taśmę krępującą jej rękę. - Okej.

Wyszedł, zostawiając otwarte drzwi.

Poświęciła parę minut na odklejenie taśmy z nóg i zdjęcie opaski z oczu, skopała przesiąknięty moczem śpiwór. Chwilę trwało, zanim jej oczy znów zaczęły normalnie funkcjonować, a wtedy zobaczyła Mahira i Sharifa, którzy buszowali na czworakach po części kuchennej pojazdu, ścierając - papierowymi ręcznikami i środkiem czyszczącym w spryskiwaczu - krew z wyłożonej białym linoleum podłogi.

* * *

Wcześniej, pod wieczór długiego dnia jazdy, przydarzyło się interludium, które

dostarczyło Zuli małej zagwozdki. Od dłuższego czasu jechali jakąś zwykłą, wąską drogą, która - sądząc po wizgu przejeżdżających w odległości paru stóp samochodów - miała tylko dwa pasy ruchu, a w dodatku wiła się i kluczyła znacznie bardziej niż autostrada. W pewnym momencie Chevrolet zwolnił i, nie zbaczając z drogi, pokonał długi i prosty odcinek, lekko nachylony w dół. Cały czas wytracali prędkość, aż w końcu suburban - nadal stojąc na pochyłości - znieruchomiał. Przez następne piętnaście minut niewiele się działo, a potem usłyszała budzące się dookoła niej silniki licznych samochodów. Minął ich ciąg pojazdów jadących w przeciwnym kierunku. Zjechali jeszcze trochę niżej i nagle grunt zrobił się poziomy. Pod kołami szczerknęły metalowe płyty. Chevrolet znów się zatrzymał. Rozległo się basowe burczenie, które trwało przez kolejne dwadzieścia minut.

Domyśliła się już, że znaleźli się na promie. Nasuwał się więc wniosek, że płyną na wyspę Vancouver, ale Zula pływała wcześniej tymi promami i wiedziała, że są ogromne i droga dojazdowa do rozległej przystani powinna inaczej brzmieć i w ogóle robić inne wrażenie. Wjechali na pokład czegoś znacznie mniejszego. I rzeczywiście - przeprawa nie trwała długo. Wkrótce znów zagrały silniki samochodów, suburban wspiał się na długie, łagodnie nachylone zbocze, wyjechał na drogę i przyspieszył.

Podczas wypadu z Peterem do Kolumbii Brytyjskiej przekonała się, że w południowej części prowincji znajduje się spora liczba długich, wąskich i głębokich jezior, rozciągających się z północy na południe i - zapewne - wypełniających wyżłobienia pozostawione przez lodowce podczas ostatniego zlodowacenia. Były zbyt długie, żeby objeżdżać je dookoła, i zbyt szerokie, żeby przerzucać nad nimi mosty, więc drogi biegnące ze wschodu na zachód dochodziły do jednego brzegu jeziora, urywały się, i znów zaczynały po przeciwnej stronie. Brakujący kawałek pokonywało się promem.

Godzinę po tym, jak ukradli kamper, przez przednią szybę zobaczyła (niezbyt wyraźnie) jedną z takich właśnie przystani promowych. Zmrok zapadł już dawno, przystań była zamknięta, światła - jeśli jakieś były - pogaszono. Jones wyłączył reflektory, gdy mijali tabliczkę z ostrzeżeniem, że najbliższy kurs promu będzie miał miejsce o szóstej rano następnego dnia. Chwilę później także jadący za nimi Chevrolet zgasił lampy i przy świetle gwiazd oba pojazdy wymacały sobie drogę na prom. Droga - biegnąca nad jezioro prostą jak strzała przecinką wśród lasów - nad brzegiem się rozwidła. Prawa odnoga prowadziła na wzniesioną na słupach nadwodną platformę, zaopatrzoną w bramę, pochylnię i masywne pachołki do spółkowania z promem. Z lewej strony asfalt schodził w głąb wody. Wryto w nim dwa głębokie, proste rowki. Biegnące w nich stalowe szyny prowadziły na spory plac obok miejsca, w którym samochody czekające na przeprawę ustawiały się w kolejce. Wokół

placu stały szopy z podnośnikami i innym ciężkim sprzętem. Zula domyśliła się, że ma przed sobą plac serwisowy dla promu, który wyciągało się po szynach z wody i wprowadzało do wyżej położonego suchego doku. Zdążyła się dobrze przyjrzeć okolicy przez okna samochodu, ponieważ w tym właśnie miejscu Jones postanowił zrobić zawrotkę, na przemian cofając się kawałek i podjeżdżając trochę do przodu. Tymczasem kierujący chevroletem Abdul-Wahaab zatrzymał się na środku pochylni, przodem w dół, w stronę wody. Otworzył wszystkie okna, szyberdach i przesuwane tylne drzwi, w których dla pewności zaklinował kij. Z tej odległości Zula nie widziała, co znajduje się w samochodzie, ale spokojnie mogła to sobie wyobrazić. Przez godzinę spędzoną w sypialni kampera widziała dostatecznie dużo poszlak - zdjęcia rodzinne, przybory toaletowe, szklanki do moczenia sztucznych szczęk, ozdóbki - świadczących o tym, że pojazd należał do pary emerytów, których zwłoki znajdowały się teraz w tylnej części kabiny suburbana.

Abdul-Wahaab skończył przygotowania, jeszcze raz okrążył samochód, dokonując ostatniej inspekcji, po czym przez okno po stronie kierowcy sięgnął do wnętrza wozu. Zula usłyszała przytłumiony szczęk towarzyszący zwolnieniu hamulca ręcznego i suburban zaczął się staczać po pochyłości. Abdul-Wahaab najpierw siedł obok niego, potem zaczął biec, cały czas prawą ręką przytrzymując kierownicę. Odskoczył w ostatniej chwili, tuż przed tym, jak samochód zanurkował do wody. Suburban już na pierwszych paru metrach mocno wytracił prędkość, ale się nie zatrzymał. Wywołał koncentryczną falę, która rozbiegła się szeroko po jeziorze. Powietrze uciekło spod maski. Warkocz bąbelków powietrza pomału oddalał się od brzegu, gdy samochód zapadał się coraz głębiej. Teren w okolicy był stromy i kamienisty i Zula przypuszczała, że grunt pod wodą opada gwałtownie tuż za skrajem pochylni. Jezioro musiało mieć ze sto metrów głębokości, a suburban osiadł na samym dnie.

Jones wyjechał z placu serwisowego i ustawił się na drodze pod górkę. Abdul-Wahaab wparował do środka przez boczne drzwiczki, witany entuzjastycznymi gratulacjami i dziękczynnymi modlitwami kolegów. Wjechali na główną drogę. Jones włączył reflektory i ruszył w przypadkowym kierunku z prędkością, która Zuli wydawała się dużo niższa od obowiązujących ograniczeń.

DZIEŃ 10

- Posłuchaj... Widziałeś co się stało z tymi trzema tysiącami K'Shetriai? - spytał Richard. - W tym tygodniu?

Szkieletor spuścił wzrok i udał, że studiuje wzorek na czerwonym blacie z formiki.

- Z tymi, którzy próbowali zaprowadzić jakieś pozory ładu na Pogórze Torgai - dodał Richard.

- Wiem, o których ci chodzi.

Devin Skraelin pokręcił głową i smętnie wyjrzał przez okno przyczepy. Tydzień wcześniej Richard - niczym biwakowicz czmychający przed komarami - schronił się w przyczepie Devina przed jego namolnym personelem. Tą wizytą najwyraźniej zainicjował tradycję, w której przyczepa stała się nieoficjalnym miejscem spotkań Dodge'a i Szkieletora, takim ich Reykjavikiem albo Panmundzomem. Od tamtych odwiedzin upłynął zaledwie tydzień, a Richard miał wrażenie, że minęły wieki. Mało tego, wtedy spotkali się w jakimś równoległym wszechświecie, w którym Zula jeszcze nie zniknęła.

- Widziałem co nieco - przyznał Devin.

Richard otrząsnął się i wrócił... nie tyle do rzeczywistości, ile raczej właśnie do świata nierzeczywistego.

- Polewitowałem tam trochę w niewidzialności. - Devin dał Richardowi do zrozumienia, że jego postać nie użyła swoich super-hiper-biper talentów do przeważenia szali bitwy. - Jatka, po prostu jatka. Nie tego się spodziewaliśmy... To, znaczy, spodziewali.

- Spodziewaliśmy - poprawił go pośpiesznie Richard, rozkładając ręce. - Jestem jak najdalszy od twierdzenia, że pisarze muszą być, wiesz... neutralni i obojętni.

Szkieletor kiwał głową w taki sposób, jakby od lat czekał na chwilę, w której Richard wreszcie to zrozumie.

- Tak się nie da. Pamiętasz, jak rozmawialiśmy o konflikcie dobro-zło? I dlaczego nic z tego nie wyszło?

- Bo to była totalna bzdura - powiedział Richard takim tonem, jakby wyznawał Bóg wie jaki grzech. - Żałosne. Zastanawialiśmy się, jak sprowokować dwie grupy do walki? Co zrobić, żeby ze sobą rywalizowały? Ha, już wiem: jedna grupa będzie Dobra, druga Zła. Przecież to pomysł jakby żywcem wzięty z jakiejś korporacyjnej narady.

Szkieletor bez słowa kiwał głową. Głównie gapił się przez okno, ale od czasu do czasu zerkał na Richarda, zapewne wypatrując oznak sarkazmu.

- Powinniśmy byli dać wam wolną rękę - zakończył Richard.

- Dla mnie to jest trochę jak sport. Może nie jak piłka nożna, bardziej jak skrzyżowanie szermierki i szachów. Oczywiście potrzebuje fabuły jako motoru napędowego.

- Devin podniósł rękę jak uczeń zgłaszający się na ochotnika do wytarcia tablicy. - W czym z przyjemnością wam pomagam.

W zamian za astronomiczne wynagrodzenie, dodał w myślach Richard. Ale kiwał głową. Udawał zainteresowanie. Tak jakby mógł mieć jakieś wątpliwości, co będzie dalej.

- Kiedy jednak brakuje tego elementu współzawodnictwa, z biznesowego punktu widzenia zostajecie z pustymi rękami. Owszem, ci, którzy lubią wyprawy w pojedynkę albo walkę jeden na jednego, nie mogą narzekać, ale prawdziwą atrakcją jest sport zespołowy. Wymiar towarzyski. Przynależność do armii. Do sojuszu.

- Mundur - dodał Richard. - Wspólna maskotka.

- Otóż to. I czy tego chcieliśmy, czy nie, właśnie w coś takiego przerodziła się wojna Jasnych z Szarymi.

Tutaj Devin stąpał po kruchym lodzie. Tydzień temu Richard byłby na niego wściekły za tę zdradę, za to beztrioskie przyznanie się do winy. I może nawet Devin wyczułby pismo nosem, zorientował się, co się święci i uniknął takiej otwartej deklaracji. Teraz jednak walnął prosto z mostu, ponieważ instynktownie wyczuł, że Richardowi jest wszystko jedno. Richard poszedł naprzód.

- Wracam z Cambridge - powiedział Richard.

- W Massachusetts?

- W Anglii. Tam, gdzie Donald spędza pół życia.

- Aha.

- Chciałem ci powiedzieć, że nieźle sobie radzi w tej sytuacji.

Devin najwyraźniej nie spodziewał się, że rozmowa zejdzie na takie tory, bo nagle okazał zainteresowanie.

- Szybko się uczy - ciągnął Richard. - Myślisz, że to żart? Bynajmniej. Jak na faceta, który pierwszy raz w życiu gra na komputerze...

- Donald Cameron ma własną postać w *T'Rainie*?! - wykrzyknął Szkieletor takim tonem, jakim niedowierzający rzymski trybun mógłby zapytać: „Hannibal przeprowadził słonie przez Alpy?!”.

- Bardzo słabą, naturalnie - zapewnił go Richard. - Z początku nie miała nawet butów.

- Nie obchodzi mnie jego obuwie! Ważna jest jego...

- Społeczność wasalna, prawda? To zrozumiałe. Powiem ci, że w tej dziedzinie wcale nie jest taki bystry, jak można by się spodziewać. Na razie poznaje podstawy. Wprowadziłem go. Nie bardzo mu się uśmiechało złożenie przysięgi lennej wyżej postawionemu bohaterowi.

- Dziwisz mu się?! Parę wiadomości tekstowych i może być tam cesarzem!

- To prawda. Gdyby umiał wysyłać wiadomości tekstowe.

- Ilu ma wasali? Mocni są?

- Ostatni raz sprawdzałem to w FBO w Cranfield.

- Czyli?

- Dziesięć godzin temu. Nie wiem, jak jest teraz.

- Dlaczego nagle zaczął grać? Dlaczego właśnie teraz?

- Niech to zostanie między nami, Devin... Nie żartuję: to nie może wyjść poza tę przyczepę.

Richard pochylił się, rozłożył ręce i potarł kciukami opuszki palców wskazujących.

- Jak to możliwe, że brakuje mu kasy?

- Próbowaleś kiedyś płacić podatki w Wielkiej Brytanii? Odrestaurować piaskowcowy zamek na Wyspie Man? A to tylko jedna z jego posiadłości.

Ostatnie zdanie Richard zmyślił na poczekaniu.

- Jakie są inne?

- Pałace i coś tam jeszcze, co odziedziczył. Może i nasz profesorek wygląda na staruszkę-obdartusa, ale w rzeczywistości szasta forszą jak gwiazda rapu.

Devin szybko myślał.

- Nawiązujesz do pieniędzy z Torgai. Ponoć leżą tam tony złota i czekają, aż ktoś je pozbiera.

- Nie udawaj, dobrze wiemy, co sobie myślały te trzy tysiące K'Shetriae. Nikt nie wybiera się na Torgai, żeby podziwiać widoki.

- Jakie to oczywiste... - zadumał się Devin. - Jakie. To. Diabelnie. Oczywiście. Gra go nie interesowała, dopóki nie pojawiła się w niej kasa do wzięcia. Nigdy się nie zalogował, ani razu. Chciał tylko - Devin rozłożył ręce i zatrzepotał palcami jak fruująca wróżka przyskająca rosą na płatki róż - stworzyć wymarłe języki. Nasączyć historię *T'Rainu* gramatyką i retoryką.

- I pobierać honorarium.

- OTÓŻ TO! - Devin powiódł po wnętrzu przyczepy dziwnie wstrząśniętym, pruderyjnym wzrokiem, jakby sam w życiu nie przyjął ani centa. - Ale wystarczyło, żeby

jakiś troll rozrzucił parę ton złota, a ten już zakłada sobie konto i bawi się w Ramzesa, kurwa jego mać.

Instynkt odszeptywał Richardowi, że skoro już wprowadził Szkieletora w pożądaną stan, najlepszym sposobem utrzymania go w nim będzie demonstracyjna nonszalancja.

- Posłuchaj, Devin - zaczął spokojnym, rozważnym tonem. - Powiedziałeś, że to sport zespołowy. W drużynie musi być jakiś kapitan, papież... ktoś w tym rodzaju.

- Od początku prowadziłem w grze swoich bohaterów - przyznał bez ogródek Devin. - Łącznie ponad setkę.

- Tak właśnie mówi nasza baza danych.

- Nie będę ci wciskał kitu, że nikt nigdy nie złożył mi przysięgi lennej. Mam swoje piramidy wasali, to jasne. Niektóre nawet trzypiętrowe. Nie można zrozumieć, jak działa *T'Rain*, jeśli samemu nie gra się na takim poziomie.

Richard kiwał głową, od czasu do czasu unosząc wyrozumiale brwi.

- A mógłbym mieć nawet siedmiopiętrowe! - ciągnął Devin. - I to od lat!

Siedmiopoziomowa struktura wasalna oznaczałaby dziesiątki milionów podwładnych. Tylko jeden gracz w dziejach *T'Rainu* osiągnął taki poziom. Richard był dosłownie o włos od wysłania Edgoda, żeby go zlikwidować, kiedy gracz - siedzący samotnie przed monitorem w Ostheim vor der Rhön - niespodziewanie zakrztusił się kielbaską. Nie było przy nim nikogo, kto by zastosował na nim chwyt Heimlicha.

- Wiem, Devin, i uważam, że okazana przez ciebie powściągliwość w tym względzie dowodzi, jeśli można tak powiedzieć, typowej dla mieszkańca Środkowego Zachodu uczciwości i skromności. Oczywiście, jeden z problemów z nami, mieszkańcami Środkowego Zachodu, polega na tym, że...

- Dajemy sobą poniewierać. - Devin mimowolnie zerknął w stronę stalowego biurowca, w którym roilo się od obsługujących go prawników. - Wiem o tym.

- No cóż... - westchnął Richard, gdy milczenie się przedłużało. - Nie będę ci przeszkadzał w treningu.

- Nic nie szkodzi, lekarz i tak mnie zadręcza, żebym trochę odpuścił.

- Prawdę mówiąc, jadę odwiedzić rodzinę, ale pomyślałem, że wypada zajrzeć po drodze do ciebie i opowiedzieć o rozmowie z donem.

- Doceniam ten gest - mruknął Devin. Spojrzał czujnie na Richarda. - Podobno miałeś jakiś kłopot z bratanicą...?

- Nadal mam.

- Nie wróciła?

Richard nie był zachwycony tym sformułowaniem, ponieważ sugerowało, że Zula ma w tej kwestii coś do powiedzenia. Ciekawe, pomyślał, ilu ludzi sądzi, że zachciało jej się po prostu powłóczyć trochę po kraju i nie pomyślała o tym, co muszą przechodzić jej najbliżsi.

- Nie wiem, w jakie kłopoty się wpakowała, ale najwyraźniej wciąż w nich tkwi.

- Rozumiem... Daj znać, gdybym mógł jakoś pomóc.

Richard nie wiedział, jak uprzejmie powiedzieć: „Nawet się nie zorientujesz, kiedy mi pomożesz”, więc tylko pokiwał głową.

* * *

Po pozbyciu się suburbana jechali trzy godziny bez przerwy. Zula spodziewała się, że ruszą w stronę gór, ale zamiast tego trafili w rejon, w którym drogi były wyposażone w standardowe w Ameryce Północnej latarnie, sklepiki i światła na skrzyżowaniach. Pokręciwszy się kwadrans po okolicy, Jones zakręcił kierownicą i wprowadził olbrzymią maszynę na pusty parking. Po przedniej szybie prześlizgnęło się neonowe logo Walmarta. Jones zajął miejsce parkingowe (a właściwie kilka sąsiadujących ze sobą miejsc) i zgasił silnik. Jeszcze raz rozejrzał się badawczo po parkingu, po czym ściągnął zasłonkę na całą ośmiostopową połącz przedniej szyby, zapewniając sobie i współpiskowcom odrobinę prywatności.

Nieco wcześniej, jeszcze podczas jazdy, kazał Ershutowi i Abdul-Wahaabowi przykuć Zulę za kostkę do uchwyty w kabinie prysznicowej. Podobnie jak wiele rutynowych zadań wypełniających codzienne życie bandy terrorystów-wagabundów, także i to wywołało różnicę zdań, która mieszkance Iowa wydała się zajadłą kłótnią. Która to kłótnia w dziewięćdziesięciu procentach koncentrowała się na obecności tajemniczej kłódki na końcu łańcucha. Nikt nie pamiętał, skąd się wzięła (oczywiście dlatego, że nikt nie widział, jak Zula ją tam zapinała), ale zgodnie z oczekiwaniami Zuli nie rozgryźli jej sekretu. Jones, coraz bardziej rozdrażniony głośnością ich sporu, rzucił na nią okiem i rozpoznał kłódkę ze skrzynki z narzędziami ze skradzionego pick-upa. Z zewnętrznej kieszeni plecaka wygrzebał kluczyki do pick-upa i rzucił je Ershutowi, który po dłuższej chwili (na kółku było sporo kluczy) metodą prób i błędów otworzył kłódkę. Następnie użył jej do przypięcia końca łańcucha do uchwyty pod prysznicem i schował klucz do kieszeni - zakładając, co zrozumiałe, że jest to jedyny klucz, który ją otwiera. W następnej - i ostatniej już - fazie operacji należało jeszcze odpowiednio odmierzyć łańcuch, tak żeby Zula mogła bez przeszkód skorzystać z toalety albo wyjść do sypialni i tam zwinąć się w kłębek na podłodze, ale żeby przypadkiem nie dała rady wejść na łóżko, bo wtedy miałyby swobodny dostęp do okien. Do skrócenia łańcucha użyli tej drugiej kłódki, do której Zula nie miała własnego klucza.

Kiedy stało się oczywiste, że ta sytuacja ma się utrzymać przez dłuższy czas, z pościąganych z łóżka poduszek i koców uwiła sobie na podłodze gniazdko, w którym drzemała podczas jazdy. Po rozłożeniu wszystkich foteli, w samochodzie mógł nocować nawet i tuzin ludzi. Wszyscy dżihadyści - oprócz Jonesa - znaleźli sobie miejsca do spania i chrapali donośnie, wypoczywając po długim dniu morderstw i bezcelowej jazdy. Skulona w gniazdku na tyłach Zula gapiała się w głąb czterdziestostopowego tunelu między fotelami, na końcu którego Jones siedział w odwróconym tyłem naprzód ogromnym fotelu kapitańskim, z laptopem na kolanach. Białosina poświata padała mu na twarz, upodabniając ją do odbarwionej, kontrastowej maski. Jones sobie nie pośpi. Przynajmniej jeszcze nie teraz.

Byłaby zaskoczona wyborem parkingu Walmarta na miejsce do spędzenia nocy, gdyby nie fakt, że jej stryjeczni dziadkowie z Yankton w Dakocie Południowej od lat podróżowali takim wozem po kraju i na każdym ro-zjeździe opowiadali o swoich wozach i pokazywali slajdy. To od nich się dowiedziała, że w Walmarcie tacy turyści są zawsze mile widziani - do tego stopnia, że firma wprowadziła do sprzedaży własne wydanie atlasu samochodowego Randa McNally'ego, w którym były zaznaczone wszystkie ich sklepy. Prawie na pewno taki właśnie atlas znajdował się w schowku na desce rozdzielczej, gdzie nieodżałowani poprzedni właściciele mieli zwyczaj przechowywać tego rodzaju drobiazgi. Jones, rzecz jasna, nie mógł o tym wiedzieć, ale nie można mu było odmówić umiejętności adaptacji. Niewykluczone, że podjął decyzję w ułamku sekundy: zabłąkał się do miasteczka gdzieś w środkowej Kolumbii Brytyjskiej, przejeżdżając obok Walmarta, zauważył, że jedyne pojazdy na parkingu to nocujące przy sklepie kampery i przyczepy kempingowe, i przyjął strategię „Kiedy wlałeś między wrony?”. Bardziej prawdopodobne było jednak, że przed zabiciem poprzednich właścicieli chwilę z nimi porozmawiał, grożąc im nożem lub pistoletem. Poznał ich zwyczaje, przetrząsnął portfele i zmusił do podania pinów i haseł, obiecując - nieszczerze - że nie zrobi im krzywdy.

To nie był ten sam laptop, który Sharif miał w samolocie. Musiał stanowić część najnowszego łupu, który wpadł w ręce terrorystów razem z samochodem. Jonesowi najwyraźniej udało się połączyć z siecią wi-fi Walmarta, ponieważ głównie myszkował i klikał - klasyczne zachowanie przy przeglądaniu Internetu. Przydarzył się mu nawet jeden wybitnie komediowy moment, kiedy wszedł na stronę któregoś kasyna w Vegas i głośniki laptopa zagrzmiały głosem Franka Sinatry. Śpiący poruszyli się i kilku prawie zdążyło się obudzić, zanim wyciszył dźwięk.

Znów ta obsesja na punkcie Vegas. Jones wraca do swojej roboty. Na podstawie podsłuchanej w Xiamen rozmowy Zula miała całkiem niezłe wyobrażenie o planach swoich

porywaczy: zamierzali wejść do jednego z wielkich kompleksów rozrywkowych w Mieście Grzechu i pozabijać jak najwięcej ludzi - podobnie jak tamci pakistańscy terroryści, którzy urządzili krwawą jatkę na dworcu i w hotelach w Bombaju. Najtrudniej będzie Jonesowi przemycić przez granicę samego siebie, swoich kumpli i broń. Oczywiście, w Stanach też można kupić broń, ale Zula tyle razy widziała już załadunek i wyładunek taszczonego przez ludzi Jonesa sprzętu, że z grubsza wiedziała, co zawiera. Niektóre z tych zabawek, takie jak karabiny maszynowe i granaty, trudno było kupić nawet w słodkiej ojczyźnie wolności.

Jones kilka razy z rzędu wyłączył i uruchomił laptop; wyglądało na to, że zainstalował jakieś nowe oprogramowanie. Pewnie przystosowywał komputer do dyskretnych kontaktów z innymi dżihadystami.

Usypiająca natura procesu instalacji nowego software'u wpłynęła także na Zulę, która przymknęła na chwilę oczy. Kiedy znów je otworzyła, był dzień.

Jones zasnął tam, gdzie siedział, i w tej chwili to Abdul-Wahaab pochylał się nad laptopem. Ershut coś gotował; znad garnka buchały kłęby pary, a nos podpowiadał Zuli, że to ryż. I rzeczywiście, niedługo później podano jej ryż w plastikowej miseczce z pastelowym kwiatowym wzorkiem. Zastanawiała się, czy ci faceci zdają sobie sprawę, że znajdują się dwieście stóp od sklepu spożywczego, który jest pewnie ze sto razy większy od największego, jaki w życiu widzieli.

Jadła jeszcze, kiedy obok nich zaparkował jakiś samochód. Dżihadysty wyjrzeni dyskretnie zza zasłonek. Na ich twarzach najpierw odmalowała się zgroza, niewiele brakowało, żeby odruchowo sięgnęli po broń, ale zaraz się rozpromienili, a Mahir zaczął głośno wychwalać wielkość Allaha, czym obudził Jonesa, który szybko zorientował się w sytuacji i kazał się im wszystkim zamknąć. Wstał z przepastnego fotela kierowcy, na sztywnych nogach zszedł po schodkach, otworzył drzwi i cofnął się w głąb pojazdu, robiąc miejsce trzem przybyszom - uśmiechniętym od ucha do ucha brodaczo. Ich również uciszył i dopilnował, żeby zatrzasnęli drzwi i zamknęli je na zamek.

Wnętrze samochodu eksplodowało radosnymi powitaniem, śmiechem i większą ilością ciepłych słów na temat Allaha. Wyglądało na to, że jedyną rzeczą, która psuje ten odświętny nastrój, jest obecność Zuli, która nowo przybyłym (kiedy już ją zauważyli) wydała się szokująca, jeśli nie wręcz obraźliwa.

Wyglądali na Hindusów lub Pakistańczyków i wprawdzie mówili po arabsku, ale tak jak w przypadku Jonesa był to dla nich drugi lub trzeci język, przez co Jones wolał porozumiewać się z nimi po angielsku, w którym to języku mówili płynnie i prawie bez śladu obcego akcentu. Z zasłyszanych półsłówki Zula wywnioskowała, że w nocy dostali e-mail od

Jonesa i przyjechali tutaj (gdziekolwiek to „tutaj” było) z Vancouver najszybciej, jak się dało. Cmokierzy wszędzie są tacy sami: najbardziej wygadany z nowo przybyłych nie tylko starał się stale trzymać blisko Jonesa, ale w dodatku co rusz przeproszał go, że nie zjawili się wcześniej. Miał na imię Sharjeel. Wyglądał, ubierał się i zachowywał jak student albo pracownik umysłowy jakiejś nowoczesnej firmy, który w stu procentach zaaklimatyzował się na Zachodzie. Patrząc na niego, Zula miała przed oczami tych wszystkich przybyszów z Azji Południowej, którzy, nie będąc terrorystami, z powodzeniem zasymilowali się w amerykańskim społeczeństwie. Dla nich skurczybyk pokroju Sharjeela był najgorszym koszmarem.

Dołączenie Sharjeela i jego kumpli do ekipy Jonesa wprawilo Zulę w przygnębienie, którego przyczynę rozgryzła dopiero po dłuższym namyśle. Do tej pory wszystko wskazywało na to, że porażka ludzi Jonesa jest tylko kwestią czasu: prędzej czy później noga im się powinie, zostaną zauważeni i złapani. Jones mieszkał w przeszłości w Stanach, więc wiedział, jak ten kraj funkcjonuje. W dodatku nieźle naśladował sposób mówienia amerykańskich Murzynów i potrafił być czarujący; pewnie właśnie swoim urokiem osobistym uwiódł poprzednich właścicieli kampera, zanim sięgnął po broń. Nie mógł jednak czuwać 24/7, no i nie mógł być wszędzie naraz. Jego dotychczasowi towarzysze zostali zaś rzućeni na głęboką wodę - zanurzeni po uszy w obcej kulturze, nie znali języka i nie wiedzieli, na czym polega normalne zachowanie. W dziczy radzili sobie nieźle, ale w takim miejscu jak to nie można ich było nawet wypuścić z samochodu.

Sharjeel z kumplami byli więc dla Jonesa niezwykle użyteczni - czyli wysoce niepożądani z punktu widzenia Zuli.

Zresztą, natychmiast udowodnili swoją przydatność. Jeden z nich usiadł z przodu, w olbrzymim obrotowym fotelu kapitana Kirka. Jones zamierzał wyskoczyć do Walmarta razem z Sharjeelem i trzecim nowym i potrzebował kogoś, kto dobrze mówi po angielsku, żeby przez ten czas robił za lidera. Gdyby jakiś towarzyski podróżnik albo kutasina z ochrony sklepu zaczął się dobijać do drzwi, żeby koniecznie z kimś sobie pogadać, dobrze by było, żeby jego rozmówca nie musiał wytrząsać afgańskiego piasku z fałd turbana.

Jones wypożyczył notatnik ze schowka w desce rozdzielczej i zaczął sporządzać listę zakupów. Czasem pisał w milczeniu, kiedy indziej myślał na głos:

- Olej... środek na komary... zapalki... wiertarka z akumulatorem...

- Tampony! - zawołała Zula - Jaka firma? - zapytał natychmiast Jones. - Małe? Średnie? Duże?

- Rany, ty naprawdę miałeś kiedyś dziewczynę...

- Kupię ci jakąś dużą paczkę, a tę cyniczną uwagę potraktuję jako sygnał, że jest ci to obojętne. Coś jeszcze, skoro już jestem w różowej alejce?

- Chusteczki dla niemowląt, najlepiej bezzapachowe. Bielizna. Spodnie, w które nikt się nie zsiął.

- Dres może być?

- Obojętne. Jakies skarpetki, proszę.

- A cóż to, nagle użyłaś magicznego słowa?

- Coś z polaru, cokolwiek mają.

- Cokolwiek mają w Walmarcie, byle było z polaru... - powtórzył starannie Jones i zanotował. - Będzie tego parę ciężarówek. - Spojrzał na Zulę. - Coś jeszcze, czy mogę wrócić do planowania swoich okrucieństw?

- Nie krępuj się.

Sharjeel śledził tę wymianę zdań z wyraźnym niepokojem.

Niedługo potem Jones, Sharjeel i kumpel Sharjeela (Aziz, zdaje się) zeszli po schodkach do bocznych drzwi i, szurając nogami, ruszyli przez parking.

- Masz bardzo miłą rodzinę - powiedział ktoś po angielsku, kiedy minęło parę minut.

Zula zdążyła już zapaść w coś na kształt półśpiączki, odrętwienia, beczasowej obojętności, w której ostatnio spędzała coraz więcej czasu. Jak komputer wybudzony ze stanu uśpienia, potrzebowała chwili, żeby rozpędzić twardego dyska do pełnej szybkości, rozjaśnić ekran i zacząć reagować na sygnały z zewnątrz.

Podniosła wzrok i spojrzała do przodu, przez całą długość pojazdu, na trzeciego z nowo przybyłych, który rozsiadł się wygodnie na fotelu kapitana Kirka. Przejął władzę nad laptopem i - najwyraźniej - surfował po sieci. Zula domyślała się, że musiał wpisać jej nazwisko w Google.

Musiała użyć całej siły woli i samodyscypliny, jakie wykształciła przez ostatnie półtora tygodnia, żeby nie stracić panowania nad sobą. Powstrzymało ją tylko coś w rodzaju instynktownej świadomości, że temu gościowi chyba właśnie o to chodziło: celowo wypowiedział najbardziej prowokacyjną uwagę, jaka przyszła mu do głowy. Krążył wokół niej i poszturchiwał ją, jakby chciał stwierdzić, z jakiej gliny jest ulepiona. *Masz bardzo miłą rodzinę*. Nie do wiary. Naprawdę tak powiedział? Co za dupek.

Sama jednak uchyliła furtkę dla takich zaczepek, gdy kilka dni wcześniej, niedługo po awaryjnym lądowaniu w lesie, powiedziała Jonesowi, jak się nazywa. Oczywiście, kiedy tylko dorwał się do Internetu, zaczął od znalezienia informacji o niej, jej wuju i dalszej rodzinie. Na pewno zostawił w laptopie ślad po tych poszukiwaniach w postaci zakładek, z

których teraz skorzystał ten facet. Kto wie, może nawet założył specjalną Zula-wiki, na którą wszyscy dżihadysty z całego świata wrzucali teraz wszystkie wyszukane w necie strzępy informacji.

Sytuacja przedstawiała się więc następująco: Zula była przykuta za nogę do prysznic, daleko od laptopa, a intruz siedzący na fotelu kierowcy przeglądał - jak się domyślała - strony jej kuzynostwa na Facebooku, rodzinne albumy zdjęć i witryny internetowe, które w ubiegłym tygodniu wyrastały pewnie jak grzyby po deszczu, gdy wszyscy próbowali ustalić, co się z nią stało.

Gdyby choć na dziesięć sekund dorwała się do laptopa, sprowadziłaby na dżihadystów prawdziwy gniew Boży i raz na zawsze zakończyła tę sprawę. Co oni doskonale rozumieli. Stąd łańcuch. Oraz dwie kłódki - jedna na kostce, druga na uchwycie w kabinie prysznicowej.

Ta druga była o tyle wyjątkowa, że Zula przypadkiem miała do niej klucz.

Mogła w dowolnej chwili wyjąć go z kieszeni i w kilka sekund się uwolnić - co dałoby jej swobodę poruszania się po wnętrzu samochodu. Zawsze jednak ktoś czuwał, ktoś miał na nią oko. Klucz był jej jedyną szansą, musiała go mądrze wykorzystać. Drugiej próby nie będzie.

Facet z laptopem gapił się na nią wyczekująco, ciekaw jej reakcji, ale w końcu znów pochylił się nad komputerem. Przez chwilę poszturchiwał go i głaskał, a kiedy podniósł na chwilę wzrok, stwierdził, że Zula go obserwuje. Złapał laptop za brzegi, odwrócił go i nieco podniósł, żeby pokazać jej ekran. Siedziała prawie na drugim końcu wnętrza, więc nie widziała za dobrze, ale rozpoznała kilkanaście przedstawiających ją zdjęć zrobionych podczas ro-zjazdów i tym podobnych imprez. U góry ekranu biegł wypisany wielkimi literami nagłówek: KTOKOLWIEK WIDZIAŁ TĘ KOBIETĘ, opatrzony numerem telefonu z kierunkowym 712 (zachodnie Iowa).

Sam widok tej strony, mimo że oglądanej z odległości trzydziestu stóp, wzbudził w Zuli prawdziwą burzę sprzecznych uczuć. Radość i wściekłą dumę z rodziny, która rozpoczęła poszukiwania. Głęboki smutek, że cała sytuacja w ogóle ma miejsce. Gniew na człowieka, który próbuje w ten sposób manipulować jej stanem emocjonalnym. Zakłopotanie, że w pewnej mierze mu się udaje.

- Jak się nazywasz? - zapytała.

- Możesz mi mówić „Zakir”.

Mężczyzna pozwalający się nazywać Zakirem był wysoki i spasiony w porównaniu z innymi dżihadystami poznanymi ostatnio przez Zulę. W życiu zawodowym zamieszkiwał pewnie małą przegródkę w jakimś ogromnym biurze. Informatyk z firmy ubezpieczeniowej.

Znudzony pracą, bez dziewczyny, zły na siebie, że sprzedał się zachodniemu systemowi. Podczas odwiedzin u rodziny w Pakistanie spiknął się z bandą czubów powiązanych z Al-Kaidą i trafił na listę ludzi, do których członek ogólnoświatowej siatki może zadzwonić z Vancouver, gdyby pilnie potrzebował pomocy. I proszę, ktoś w końcu zadzwonił. Zakir był w siódmym niebie. Na pewno wstrząsnął nim fakt, że ktoś zwałół go z łóżka o trzeciej nad ranem, zapakował do samochodu i zawiózł na spotkanie pod jakiegoś Walmarta. Dla zabicia czasu zajął się czymś, na czym z pewnością się znał: bawił się komputerem.

Dżihadyści wracali ze sklepu pojedynczo; wyglądało na to, że rozdzielili się i każdy dostał własną listę zakupów. Aziz w każdej ręce taszczył po kilka pękatek foliowych toreb z działu spożywczego. Babska robota. Przyniósł głównie jedzenie, ale przy okazji kupił też zapakowaną w blister niedrogą kamerkę internetową w kształcie gałki ocznej oraz przedłużacz do wychodzącego z niej przewodu USB. Przyniósł również kobiece artykuły higieniczne, które z niesmakiem cisnął w głąb pojazdu, gdzie zrykoszetowały od ścian sypialni i poobijane znieruchomiały na łóżku.

Sharjeel uzupełnił ekwipunek turystyczny: kupił śpiwory, namioty, brezentowe płachty, sznury, sznurki i różne części polarowej garderoby. Rzucił ubranie Zuli i wrócił do sklepu. Kwadrans później wrócił z Jonesem i dwoma płaskimi wózkami sklepowymi. Przywieźli na nich pilarkę elektryczną, wiertarkę akumulatorową, zapas śrub budowlanych, piankę izolacyjną, kantówki, sklejkę. Pełnowymiarowe arkusze sklejki, mierzące cztery na osiem stóp, mogłyby się nie zmieścić nawet w obszernym wnętrzu kampera, Jones kazał je więc pociąć na pół, na czterostopowe kwadraty.

Wysłali Aziza jeszcze raz do sklepu, skąd przyniósł tym razem rolkę papy oraz zafoliowaną paczkę wielkości solidnie wypchanego worka na śmieci, opatrzoną rysunkiem Różowej Pantery: wata szklana.

Ekipa się podzieliła: kochasie Mahir i Sharif przesiedli się do mniejszego samochodu razem z niepocieszonym Azizem. Gruby Zakir - i wredny, kompetentny Sharjeel zostali w kamperze. Na dany przez Jonesa znak Zakir obrócił się z fotelem, uruchomił silnik i wyprowadził olbrzymi jacht lądowy na otwartą drogę. Jones rozpakował pilarkę. Generator w kamperze dostarczał prąd do rozmieszczonych wewnątrz gniazdek. Jones wykombinował, jak go włączyć, i zabrał się do mierzenia sypialni. Za każdym razem, kiedy wchodził lub wychodził, dyskretnie przemykał obok Zuli. Grubym ołówkiem stolarskim wyrysował na sklejce długie linie, po czym odpalił pilarkę i poprzycinał arkusze do żądanych rozmiarów, po dwa na raz, wypełniając wnętrze pojazdu trocinami, dymem i przenikliwym jazgotem. Gotowe kawałki sklejki prznosił kolejno na tył wozu, przykładając do okien i za pomocą

wiertarki z przystawką śrubokrętową przykręcał do ścian samochodu. Okna cały czas były zasłonięte, więc gdyby nawet ktoś z zewnątrz przyjrzał się kamperowi, nie zobaczyłby niczego poza zaciągniętymi zasłonkami.

Jones szybko uporał się z przykręceniem sklejki na wszystkich oknach, po czym zlecił Sharjeelowi umocowanie jej dodatkowymi śrubami, a sam zajął się planowaniem kolejnej fazy operacji. Sharjeel przyłożył się do wyznaczonego mu zadania, wkręcając śruby dosłownie co dwa cale. To była jasna deklaracja: tych desek nikt nie zdejmie.

Jones wziął się tymczasem do cięcia kantówek. Gotowe odcinki, wrzucane przez drzwi do sypialni, furkotały nad głową Zuli jak włócznie. Jones polecił Sharjeelowi umocować je do sklejki wkręcanymi na skos śrubami, co niespecjalnie mu wyszło. Zabieg ten, jak wiedziała Zula, rzeczywiście nie należał do najłatwiejszych.

Teraz Jones rozciął opakowanie waty szklanej, która zaczęła gwałtownie puchnąć, grożąc całkowitym wypełnieniem kampera. Mocując się z nią, deptając ją i klnąc, na czym świat stoi, zaczął odcinać bryły waty i podawać je Sharjeelowi, który za pomocą taśmy samoprzylepnej oklejał nimi sklejkę.

Po zaizolowaniu w ten sposób wszystkich okien zjechali na pobocze i Jones z mściwą miną wykopał resztę waty na zewnątrz, zostawiając sobie tylko jeden sześciostopowy kawał. Kamper ruszył w dalszą drogę, a Jones wrócił do pracy ze sklejką. Przycinając pierwszy komplet płyt, wycinał je parami, uzyskując po dwa egzemplarze każdego kawałka: jeden przykręcał na oknie, drugi zachowywał w zapasie. Teraz razem z Sharjeelem umocowali je śrubami do wcześniej przykręconych kantówek. Akademia Górnicza w Kolorado nie produkuje durniów.

W ten sposób cała sypialnia stała się mrocznym pomieszczeniem o ścianach z podwójnej, dodatkowo izolowanej sklejki. Wkrótce zresztą zrobiło się w niej jeszcze ciemniej, gdy Jones z Sharjeelem okleili ją papą: odwijali z rolki długie odcinki i zszywaczem tapicerskim przybijali je do ścian. W ten sposób oblepili całe wnętrze, włącznie z sufitem, okrywając je jednolitą czernią, w której z rzadka połyskiwały grzbiety zszywek. Po wykrojeniu sekatorem kółka w papie na wysokości lampy do środka wpadł słaby snop żółtego światła.

Odpięli Zulę od prysznic i dali jej do zrozumienia, że jej miejsce jest od teraz na łóżku. Przeszła w głąb sypialni, usiadła i zajęła się wybieraniem drewnianych odłamków i luźnych kłębków waty szklanej z narzuty (niemal na pewno ręcznie pikowanej przez zarżniętą wczoraj starszą panią). Jones i Sharjeel wzięli się zaś za drzwi sypialni: wzmocnili je sklejką, zaizolowali watą na grubość pięciu cali, i przybili drugi arkusz sklejki. Ponieważ zakryli w

ten sposób obrotową klamkę, Zula nie byłyby w stanie ich otworzyć, nawet gdyby nie były zamykane na zamek.

Jones umocował w wiertarce długie i grube wiertło, którym następnie przewiercił pogrubione drzwi na wylot i przez otwór przewłókł kabel od kamerki. Za pomocą pajęczyny plastikowych obejm, taśmy izolacyjnej i wkretów do płyt gipsowych przytwierdził gałkę oczną na wewnętrznej powierzchni drzwi, w pobliżu ich górnej krawędzi. Sharjeel przeciągnął kabel wzdłuż pojazdu aż do stołu kuchennego i tam wetknął wtyczkę do laptopa, a sam przewód unieruchomił na całej długości plastikowymi obejmami. Następnie rozpoczął się żmudny proces strojenia sprzętu: Jones zamykał drzwi (Zula zostawała sama w sypialni) i szedł obejrzeć obraz z kamery na komputerze. Wracał ciężkim krokiem, otwierał drzwi, kręcił kamerką w tę i w tę, szukając ustawienia, w którym (jak przypuszczała Zula) w kadrze mieściłby się cały pokój.

Cała procedura trwała około dwóch godzin. Podobnie jak wszystkie prace domowe, także przebudowę sypialni podjęto z ogromnym animuszem, który jednak powoli się wypalał, gdy Jones z Sharjeelem utykali na drobiazgach. W końcu jednak było po wszystkim i Zula została na amen zamknięta w pokoju: zatrzasnęli za nią drzwi i nie otwierali ich przez dobre sześć godzin.

DZIEŃ 15

Istniało bezpośrednie połączenie kolejowe między SeaTac i stacją w centrum Seattle, która znajdowała się praktycznie w piwnicy biurowca Korporacji 9592. Przejazd kolejką był pod każdym względem szybszy i bezpieczniejszy od staromodnej procedury wyjeżdżania po kogoś na lotnisko prywatnym samochodem i Richard bez cienia litości kazał ludziom po prostu wsiąść do tego zakichanego pociągu. Dziś jednak przylatywał John i nie było cienia wątpliwości, że osoba gościa wymaga całej tej starożytnej ceremonii: sprawdzenia faktycznego czasu przylotu na stronie Alaska Airlines, pojechania na lotnisko, krótkiej drzemki na parkingu, długiej ciszy w eterze przerywanej wykwitającymi na ekranie telefonu lakonicznymi esemesami (WYLĄDOWAŁEM. KOŁUJEMY. WCIAŻ KOŁUJEMY! KOLEJKA DO WYJŚCIA. GRUBA BABA BLOKUJE WYJŚCIE) i starannie wyliczonego w czasie skoku w chaos kłębiący się przy wyjściu z przylotów. John - senior, inwalida i weteran wojenny - mógł pod co najmniej trzema pretekstami domagać się specjalnego traktowania na lotnisku, ale chyba bawiło go to, że może o własnych siłach wyjść z hali na swoich protezach i obwieszony bagażem - a spakował się na długą podróż, aż do Chin - odszukać w samochodowym maglu wóz Richarda.

Odkąd Dodge wyjechał z Iowa, minęły raptem cztery dni, czyli znacznie poniżej wartości granicznej dla powitalnych uścisków - a skoro nie zamierzali padać sobie w ramiona, nie miało też sensu podawanie ręki. Zwłaszcza że ręce mieli zajęte zamykaniem tylnej pokrywy SUV-a. John jak zwykle wszedł w rolę starszego brata i zainicjował tę czynność; Richard (czując się jak niezręczny gospodarz) podniósł ręce ułamek sekundy później i dotknął klapy, gdy ta już zaczynała opadać. Cztery dłonie Forthrastów zatrzasnęły ją z doprawdy przesadnym impetem. Rozdzielili się, każdy obszedł samochód ze swojej strony i równocześnie wsiedli.

- Możesz go odsunąć - powiedział Richard, mając na myśli fotel Johna.

- Nie trzeba - odparł John z drugiego brzegu kulturowej przepaści, która z upływem lat tylko się pogłębiała.

Gdyby nawet fotel Johna naprawdę był wysunięty za bardzo w przód, zmniejszając przestrzeń na nogi i ograniczając wygodę podróży, sam akt cofnięcia go o kilka cali byłby (wedle obowiązujących na Środkowym Zachodzie standardów) niepotrzebnym wydatkiem

energetycznym oraz niewypowiedzianym wprost przyznaniem się do faktu, że cofacz stchórzył w obliczu w końcu niewielkiego utrudnienia.

Richard usiadł wygodnie w fotelu... i zawahał się. Czy na pewno powinien prowadzić? Po nieprzespanej nocy?

Wziął się w garść. Spojrzał w lusterka, sprawdził martwe pole i płynnie włączył się do ruchu. Jak na kursie na prawo jazdy.

- Będziesz musiał jakoś zabić czas do wieczora, bo dopiero wtedy wylatujemy do Chin - odezwał się, kiedy wyjechali na drogę I-5. Przyswoił już sobie specyfikę kulturową spotkania i nie użył takich określeń, jak „będziesz mógł się trochę zrelaksować”, „odświeżyć” albo „odpocząć”, które sugerowałyby, że jego zdaniem John źle znosi rygory współczesnych podróży lotniczych. Proste „zabić czas” dowodziło, że jego zdaniem sprawy posuwają się naprzód zbyt wolno. - Mój apartament jest dosłownie dwa kroki od biura. Jeśli chcesz, mogę cię tam podrzucić. Weźmiesz prysznic, pogrzebiesz w Internecie...

- Chciałbym, żebyśmy usiedli razem i jeszcze raz na to spojrzeli - odparł John.

- Nie zobaczysz nic nowego.

- Na moim egzemplarzu niektóre słowa są nieczytelne. Zula nigdy nie była mistrzynią kaligrafii...

- Nie ma mojego i twojego egzemplarza, John. Musisz to zrozumieć: to jest cyfrowy plik, idealna kopia oryginału, którą dostałem z Chin. Obejrzenie mojego egzemplarza nic nam nie da.

- Na drugiej stronie jest jedna wyjątkowo niewyraźna linijka - upierał się John.

- To odręczny list, napisany na ręczniku z szarego papieru. Facet rozpostarł go na jakimś blacie, sfotografował telefonem i pomodlił się do swoich bogów, żeby coś z tego wyszło. Jakość obrazu jest nędzna, ale twój egzemplarz niczym się nie różni od mojego. Jeżeli chcemy się dowiedzieć więcej, musimy polecieć do Chin. To jedyny sposób. Zrobimy to już za osiem godzin.

- Nie dało się szybciej? - zapytał John, chociaż znał odpowiedź.

- Wizy - przypomniał mu Richard.

* * *

Pięć dni wcześniej, bezpośrednio po spotkaniu ze Szkieletorem, Richard dał swoim pilotom wolne. Kazał im się rozkoszować atrakcjami Królestwa K'Shetriae, a potem czekać na niego w FBO w Sioux City, sam zaś wypożyczył grand marquisa i pojechał w stronę domu. Nigdy nie myślał ani nie mówił o farmie Johna jako „domu” - dopóki sytuacja nie była naprawdę fatalna.

Miał nadzieję, że taka przejażdżka dobrze mu zrobi; jego mózg dopominał się o jakieś zajęcie - jazda samochodem powinna być w sam raz. Przez ostatnie dni ostro się naharował nad wykorzystaniem najgorszych cech charakteru dona Donalda i Szkieletora: chciwości pierwszego i braku pewności siebie drugiego z nich. Taka pokazówka powinna ściągnąć mu na kark rozwścieczone muzy i furie, ale nic takiego nie nastąpiło. Milczały jak zakłęte. Może w końcu go porzuciły na rzecz innych byłych, którzy lepiej rokowali i dawali nadzieję, że zareagują na ich dobre rady. To wszystko sprawiło, że podczas czterogodzinnej jazdy jego mózg pozostawał dziwnie pusty i bierny.

Otrząsnął się z tego stanu dopiero tuż przed farmą, jadąc lokalną drogą, po której w dzieciństwie śmigał na rowerze. Znów nie mógł się nadziwić ogromowi stawianych przez Johna i Alice olbrzymich turbin wiatrowych.

Akurat całkiem przyzwoicie dmuchało i wirniki obracały się chyba z maksymalną dopuszczalną prędkością. Z tego powodu bardzo przyciągały wzrok - do tego stopnia, że miał kłopoty ze skoncentrowaniem się na drodze. Do czasu, aż skupił się na takim wiatraku, który wyrastał dokładnie przed nim; droga go omijała, bo małym zawijaszem obchodziła w tym miejscu zakręt strumienia. W dodatku był chyba akurat naprawiany, bo łopaty miał ustawione w chorągiewkę i nieruchome. Jedyne martwa rzecz w wirującej karuzeli białych ostrzy.

Zdażył jeszcze zjechać na pobocze i zaciągnąć ręczny, nim rozkleił się i rozplakał.

To dlatego jego mózg milczał. Wiedział, że Zula nie żyje.

U Johna i Alice zameldował się z zaczerwienionymi oczami - i zastał ich w takim samym stanie. Nie zapytali, co ostatnio porabiał, gdzie tyle latał. I bardzo dobrze. Gambit z DeKwadratem i Szkieletorem musiałby im się wydać absurdalnie naciągany i nie na temat.

Przenocował u nich. Przez cały czas chodził ze wzrokiem utkwionym w podłogę, żeby przypadkiem nie spojrzeć na jakieś zdjęcie Zuli. John niewiele mówił. Miał w komputerze bazę danych potencjalnych tropów, którą obsługiwał z obsesyjną natarczywością. Tyle że jego komputer (co Richard poznał na pierwszy rzut oka) był rozpaczliwie chory na wszelkie możliwe odmiany malware'u, przez co działał sto razy wolniej niż powinien i zawieszał się po kilka razy na godzinę. Richard myślał nawet o tym, żeby zaoferować bratu pomoc, ale fakt, że John potulnie znosił tę sytuację, dowodził, że poszukiwania utknęły w martwym punkcie, a on sam stracił nadzieję. Alice zablokowała się na jakimś tam etapie żałoby i trwała w apatycznym milczeniu - z wyjątkiem krótkich napadów, kiedy energia ją wprost roznosiła. Richard czuł się dobrze tylko w towarzystwie taty, dlatego większość wieczoru przesiedział u niego w jaskini, wsłuchując się w syki i piski bionicznego systemu podtrzymywania życia i oglądając w telewizji wszystko, co akurat tata postanowił wywołać na ekran za pomocą

pilota. Dzwonili różni ludzie, ale nikt nie wiedział, co robić, bo to nie była prawdziwa śmierć. Nie mogli przysłać kwiatów, a Hallmark nie drukuje pożegnalnych liścików z okazji zaginięcia. Trochę przypominało to sytuację po uderzeniu pioruna, który zabił Patricię - sprawa była zbyt dziwaczna, żeby gładko prześlizgnąć się dobrze nasmarowanymi kanałami żałoby i kondolencji.

Śniadanie wypadło trochę lepiej. Rozmawiali we troje o Zuli, z czułością wspominali historie z jej życia, jak to się zwykle robi po śmierci bliskich. Tata słuchał, kiwał głową i uśmiechał się we właściwych momentach. Richard przytulił brata i bratową, a potem wszedł do grand marquisa, pojechał na lotnisko i cztery godziny później wylądował w Seattle. To był piątek. Weekend spędził w domu, głównie w Internecie. W jednym oknie lewitował nad Torgai, w innych przeglądał w czasie rzeczywistym statystyki baz danych *T'Rainu*. Szczegóły go nie interesowały, wątpił, żeby to, co robi, w ogóle miało jakiś sens, ale gdzieś na początku tygodnia doszedł do wniosku, że chaos w rejonie Torgai pozwoli im zebrać więcej informacji, jeśli tylko pogórze nie wpadnie w ręce żadnego konkretnego lorda. Wizyty w Cambridge i Nodaway miały zagwarantować pożądaną poziom tego chaosu i wszystko wskazywało na to, że spełniły swoją rolę. Don Donald, po opornym początku, dorobił się już pięciopiętrowej struktury wasalnej. Na dodatek miał dość oleju w głowie, żeby w kwestiach militarnych zdać się na graczy, którzy już wcześniej wojowali w *T'Rainie*. Szkieletor zaś otrzepał z naftaliny swojego najsilniejszego bohatera, którym nie grał od miesiący, i dokonał nadzwyczaj imponującej próby przeniknięcia do samego serca zamku, w którym zaszył się bohater DeKwadrata, z zamiarem zamordowania go. W ostatniej chwili został wykryty i zgładzony tak błyskawicznie, że nie zdążył Zasekwestrować swoich DW. Tym sposobem cały ekwipunek wpadł w ręce Koalicji Szarości (która nie mogła go używać, tak był jarmarczny i krzykliwy), a postać Szkieletora wynurzyła się z Otchłani naga, uboga i znacząco słabsza. I chyba dobrze się stało, bo Szkieletor miał innych bohaterów, lepiej nadających się do roli królów-wojowników: byli słabsi, ale dysponowali gęstszą siatką poddanych.

Takie oto rozrywki pozwoliły Richardowi zapomnieć o Zuli przez weekend i większość poniedziałku, który poświęcił na długie, ryzykowne i fatalnie prowadzone dyskusje o tym, jak firma powinna zareagować na najnowsze wydarzenia na froncie rewojny. Wrócił do domu wieczorem, kupiwszy tajskie żarcie na wynos, uwalił się na sofie i próbował obejrzeć jakiś film, ale jego wzrok co rusz dryfował w stronę laptopa. Takie były skutki strategii Korporacji 9592. Wynajęli psychologów i wydali grube miliony na sabotaż kin - tak, tak: całego przemysłu filmowego - żeby wprowadzić swoich klientów/graczy/nałogowców w stan, w którym ci nie będą w stanie skupić się na dwugodzinnym rozrywkowym filmie, bo

zaraz rozdzwonią im się w głowie dzwonki alarmowe, każące natychmiast zalogować się do *T'Rainu* i sprawdzić, czy nic nie stracili.

Właśnie podczas jednego z takich wypadów - film na pauzie, w jednym oknie szalejąca w Torgai pożoga - zauważył nowy e-mail, nieśmiało oznaczony jako spam. Chińskie znaczki w tytule. Skasował go bez czytania, lecz coś nie dawało mu spokoju. Nie znał chińskiego, ale w ostatnich dniach intensywnie szukał informacji o tym miejscu zwanym Xiamen i regularnie odwiedzał jakieś przypadkowe strony internetowe - jedne były po angielsku, inne po chińsku, wiele było mieszanych. W ten sposób opatrzył mu się jeden chiński znak, wyjątkowo prosty w formie: kwadrat bez dolnej krawędzi, z ukośną kreseczką w lewym górnym rogu. Był to jeden z dwóch znaków składających się na nazwę „Xiamen”. I może już miał zwidy, ale wydawało mu się, że zobaczył ten znak w tytule skasowanego e-maila. Zajrzał więc do kosza, wyciągnął poszukiwaną wiadomość i otworzył ją.

Nie zawierała w ogóle tekstu, tylko trzy obrazki - zdjęcia szarego papierowego ręcznika, na których ktoś coś napisał czarnym atramentem.

Pierwszy wiersz zawierał adres e-mailowy Richarda, prowadzący do konta umieszczonego na serwerze Korporacji, ale używanego wyłącznie do komunikacji prywatnej. W drugiej linijce umieszczono datę, opatrzoną z przodu i z tyłu znakami zapytania: poprzedni piątek, czyli w przybliżeniu trzy dni po tym, jak Zula i Peter zniknęli z tamtego loftu w Georgetown. List miał zatem około dziesięciu dni.

Wujku Richardzie,

mam nadzieję, że przekażesz mój list Johnowi i Alice, jeśli tylko ktoś go kiedyś wygrzebie z rury odpływowej, gdzie zamierzam go ukryć. Pomyślałam, że lepiej będzie podać Twój adres, niż ich. Komputer Johna jest zarażony malwarem.

To mój pierwszy list w roli damy w opalach i mogę tylko mieć nadzieję, że uderzam we właściwą nutę. Mam jednak mnóstwo czasu i cały pojemnik ręczników, więc w razie potrzeby mogę go kilka razy przepisać.

Jak już zapewne wiesz, skoro czytasz te słowa, przebywam obecnie na czterdziestym trzecim piętrze niewykończonego wieżowca w centrum Xiamen. Zostałam uwięziona (nie cierpię tego słowa, ale pasuje idealnie) w damskiej toalecie obok biura, w którym kryjówkę urządził sobie pewien Rosjanin; przedstawił się nam jako Iwanow, chociaż z pewnością nie jest to jego prawdziwie nazwisko. Podejrzewam, że należał do organizacji specjalizującej się w przestępczości zorganizowanej, ale zdradził ją lub przynajmniej rozczarował zwierzchników do tego stopnia, że dziś obawia się o swoje życie. Zdefraudował pieniądze z

funduszu emerytalnego, potrzebował ich do jakiegoś przekreślenia finansowego. Pomógł mu w tym szkocki księgowy z Vancouver, niejaki Wallace, aktywny gracz w T'Rain. Kiedy komputer Wallace'a został zarażony REAMDE...

Przedstawiona w liście historia (choć pod wieloma względami dziwna i niewiarygodna) wyjaśniała większość zagadek, którymi Richard zdręczał się przez cały ubiegły tydzień. Narracyjna część listu urywała się w chwili wyjątkowego napięcia: po tym, jak Zula, Peter i jakiś trzeci gość zidentyfikowali trolla, Rosjanie zaczęli się szykować do porwania go. Zakładając, że Zula pisała te słowa w piątek nad ranem (chińskiego czasu), opis idealnie pasował do przedstawionych przez Corvallis statystyk, wedle których właśnie w piątkowy poranek troll i jego sługi zniecała wylogowali się i przepadli bez śladu.

Dalej znajdowały się osobiste dopiski skierowane do różnych członków rodziny, ewidentnie pisane przy założeniu, że Zula już ich nigdy nie zobaczy. Richard chyba z dziesięć razy próbował przeczytać całość, ale nie udało mu się wytrzymać do końca.

Oczywiście, natychmiast zadzwonił do Johna i Alice. Obudził ich swoim telefonem. John spakował się i od razu, nocą, wyjechał na lotnisko w Omaha; Alice telefonicznie zarezerwowała mu bilety na poranny lot do Seattle. Richard zadzwonił do firmy, w której wynajmował samoloty, z prośbą o pilne przygotowanie lotu do Xiamen. Tam go uprzedzili, że będzie mu potrzebna wiza, więc do rana siedział przy komputerze, zgłębiając tajniki chińskiej polityki wizowej, i dowiedział się, że musi sprawę załatwić za pośrednictwem jednego z konsulatów, z których najbliższy znajduje się w San Francisco. Dlatego też o piątym rano zawiózł do SeaTac swoją asystentkę, wcisnąwszy jej swój paszport i inne dokumenty niezbędne do załatwienia wizek w trybie ultra-super-błyskawicznym. Zadzwonił do Johna, kiedy ten miał międzylądowanie w Denver, i przekierował go do San Francisco, żeby tam spotkał się z tą samą asystentką i przekazał jej swój paszport, a potem najbliższym samolotem przyleciał do Seattle. Esemesy od asystentki sugerowały, że wszystko przebiega zgodnie z planem i powinna wrócić do Seattle samolotem o osiemnastej. Około dwudziestej miałby więc wizek w garści, a godzinę później wystartowaliby z Boeing Field.

* * *

- Śledzę stronę na Facebooku z uczuciem, które można by chyba nazwać trwogą - przyznał Richard. - Na razie nie ma żadnych przecieków na ten temat. - Poklepał wydruk wiadomości z ręcznika, przyklejony do deski rozdzielczej między kierowcą a pasażerem.

- I raczej nie będzie - odparł John. - Zadzwoniłeś w środku nocy, byliśmy w domu sami z Alice... Nikt o niczym nie wie.

Uzgodnili bowiem przez telefon, że na razie nie ujawnią istnienia listu Zuli. Taka nowina szybko by się rozeszła i mogłaby skomplikować śledztwo, czy jak tam nazwać to, co właśnie robią.

- Czy twój przyjaciel dowiedział się czegoś o autorze e-maila? - zainteresował się John.

- Nie wiemy na razie, czy to autor, czy autorka - przypomniał mu Richard. - Nolan ma się tym zająć, ale w tej chwili jest w Chinach środek nocy i ma związane ręce. W każdym razie twierdzi, że adres nadawcy to taki chiński odpowiednik adresu na Hotmailu.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytał z przekąsem John, który sam używał Hotmaila.

- Łatwe do założenia, anonimowe konto pocztowe, chętnie wykorzystywane do spamowania. Zmierzam do tego, że autorowi e-maila najwyraźniej zależało na tym, żeby nie dało się go wytropić.

- Może ten wieźowiec jest jakimś tropem?

- Nie wiemy, o który wieźowiec chodzi. Zula zapomniała o tym wspomnieć. Zakładała pewnie, że jeśli list w ogóle zostanie znaleziony, będzie oczywiste, skąd się wziął.

John się zamyślił.

- Czyli to jakiś dyskretny informator. Kapuś.

- Na to wygląda.

- Co na to gliniarze z Seattle?

- Nagrałem się detektywowi prowadzącemu śledztwo na pocztę głosową. Powiedziałem, że mamy dowody na to, że w piątek Zula, cała i zdrowa, była daleko od Seattle. Co chyba z jego punktu zamyka sprawę.

- Tylko kwestię zaginięcia, bo poza tym to przecież w Seattle dokonano paru przestępstw: morderstwo, uprowadzenie, napaść i Bóg jeden wie co jeszcze...

Richard pokiwał głową.

- I jestem pewien, że list Zuli ogromnie zainteresuje tych naszych policjantów, którzy takimi przestępstwami się zajmują. Tylko że to wszystko nie ma nic wspólnego z naszą próbą jej odbicia.

- Miałoby, gdyby osoby odpowiedzialne za porwanie udało się zidentyfikować, wytropić, dokonać ich ekstradycji...

- Wtedy w piątek, kilka godzin po tym, jak Zula napisała ten list, w Xiamen coś się stało - przerwał bratu Richard.

Do tej pory nie wspominał o tym, ponieważ nie miał pewności, że wydarzenia w

Xiamen mają coś wspólnego ze zniknięciem Zuli; nie chciał niepotrzebnie niepokoić brata i dorzucać mu kolejnych tropów do i tak już opasłej bazy danych.

- Mów - powiedział John, gdy zamiast ciągu dalszego usłyszał tylko szmer opon na mokrym asfalcie i przypominający pracę pralki rytmiczny szum wycieraczek na szybie. - Słucham.

Richard westchnął.

- Nie wiem, od czego zacząć. - Myślał o tym, ile energii wymagałoby od niego streszczenie poszukiwań prowadzonych do spółki z Corvallisem, sytuacji w Torgai i całej reszty. - Boję się, że zaraz zjadę w jakieś krzaki. Chodźmy do mnie, napijemy się kawy.

* * *

W mieszkaniu ich drogi trochę się rozeszły: ekspres do kawy, łazienka, komputer, telefon... Zanim Richard zdążył podjąć przerwana opowieść, John przysnął na sofie. Zanim zaś John się obudził, Richard kimał w najlepsze w swoim łóżku. Dopiero znacznie później trafiła się taka chwila, w której obaj byli przytomni. Zrobili sobie kanapki i podziwiali zachód słońca nad Górami Olimpijskimi. Spod ciężkiej i gęstej pokrywy chmur przeświecały czerwone promienie, jakby kilka mil od brzegu przyczały się Chiny we własnej osobie, pałające czerwienią olbrzymiej kuźni. Richard cały czas myślał o tym, że niedługo ruszą na zachód w pościg za tą czerwienią. John też nie był zbyt rozmowny. W Chinach wstał nowy dzień. Nolan - zaszyty w ciepełku swojego mieszkania w Vancouver - wysyłał e-maile, dzwonił, pociągał za sznurki, załatwiał tłumaczy i przewodników, którzy w Xiamen mieli czekać na braci Forthrastów. Próbował też wysondować zamiary BBP, ale sytuacja była wyjątkowo skomplikowana. Czy BBP w ogóle wie o liście Zuli? Może wysłał go jakiś anonimowy hydraulik, który chciał zrobić dobry uczynek, ale wolał się nie ujawniać? Albo BBP, które od początku o wszystkim wie, podsunęło Richardowi list jako przynętę, żeby zwabić go do Xiamen i tam przesłuchać? A może zamierzali utrzymać rzecz w tajemnicy, ale mają kreta, który na własną odpowiedzialność podesłał kopię Richardowi? Nolan nie mógł się zdecydować, czy odradzać Richardowi wizytę w Chinach, czy raczej pomóc mu jak najszybciej dotrzeć na miejsce. Sam Richard nie miał żadnych wątpliwości: członek rodziny znalazł się z niebezpieczeństwie i należało go ratować.

Corvallis, który monitorował lot powrotny asystentki z San Francisco, podjechał do domu Richarda i pomógł znieść bagaż Johna do swojego priusa czekającego w zatoczce przed budynkiem. Bracia wcisnęli się na tylną kanapę, żeby swobodnie porozmawiać w drodze na Boeing Field.

Prawdę mówiąc, Richard wcale nie miał ochoty na tę rozmowę, ale był to winien

Johnowi. Musiał go wtajemniczyć w sprawę, zanim wsiądą do samolotu.

- Wiemy o dwóch osobnych zdarzeniach - zaczął. - Nastąpiły w odstępie dwóch godzin. Zdarzenie numer dwa jest lepiej udokumentowane: zamachowiec-samobójca wysadził się w powietrze na posterunku ochrony przed międzynarodowym centrum konferencyjnym. Zginęło dwóch chińskich gliniarzy, odłamki i szkło raniły więcej osób.

- Jaki to ma związek z Zulą?

- Nie mamy zielonego pojęcia. Zdarzenie numer jeden jest bardziej tajemnicze, ale, być może, bardziej na temat. Niedaleko centrum w powietrze wyleciał blok mieszkalny. Tak przynajmniej brzmi wersja oficjalna, ale Nolan ma w Xiamen swoich informatorów, których może jutro poznamy osobiście. Popytali trochę wśród ludzi i podobno do eksplozji doszło podczas strzelaniny na górnych piętrach budynku.

Chwila ciszy. Richard, który sam wcześniej przez to przechodził, wiedział, co się dzieje w głowie Johna: tkwił w fazie wyparcia i usilnie szukał powodów, dla których wybuch nie miał nic wspólnego z Zulą.

- Z listu Zuli wiemy, że przyleciała do Chin z Rosjanami, którzy nielegalnie przekroczyli granicę, byli uzbrojeni i szukali trolla - ciągnął łagodnym tonem Richard.

- Hakerów, którzy napisali wirus - przetłumaczył sobie John.

- Zgadza się. Jeżeli udało im się ich wytropić, to ten cały Iwanow mógł być na tyle szurnięty, żeby wdać się w strzelaninę. Może nawet rzucili granaty. Odłamkowe albo burzące.

- Do czego im granaty burzące, u licha?! - zdziwił się John. Dawno już pogodził się z faktem, że ma brata-dekownika, ale nienawidził sytuacji, w których Richard wypowiadał się o sprawach, o których nie miał pojęcia, a które on, John, znał z własnego doświadczenia.

- Nie wiem, John. Po prostu nie pojmuję, dlaczego blok wyleciał w powietrze. Bo on się zawalił. Przestał istnieć.

- Granat burzący nie wystarczyłby do zawalenia bloku mieszkalnego.

- W porządku. Może w takim razie wybuchł gaz, nie wiem. Ale eksplozja była skutkiem strzelaniny.

- I nie miała nic wspólnego z Zulą!

- Zrozum, John, problem polega na tym, co zresztą Corvallis wyjaśniłby ci znacznie lepiej ode mnie, że w tym samym czasie, kiedy ktoś tam zaczął strzelać, troll zniknął z Internetu. I więcej się nie pojawił.

Kark Corvallis poczerwieniał. Mijali właśnie budynek Petera. Patrzyli bez słowa. Z listu Zuli wynikało, że w środku zamordowano człowieka, tego księgowego, Wallace'a.

Dośłownie dwie minuty później skręcili w drogę dojazdową do Boeing Field.

Biorąc pod uwagę zamożność klienteli, można by po tutejszym FBO spodziewać się większego splendoru, tymczasem terminal mieścił się w pudełkowatym jednopiętrowym budynku, wciśniętym między publiczną drogę przelotową i pas startowy. Po obu stronach ciągnął się okalający lotnisko wysoki płot przeciwwiatrowy. Wjechali na parking, na którym stało dosłownie kilka samochodów. Z drugiej strony zamykał go rzeczony płot, a właściwie wstawiona weń ogromna, przesuwana brama. Corvallis podjechał do niej i się zatrzymał. Richard wygramolił się z samochodu. Na widok jego znajomej twarzy ktoś z personelu nacisnął odpowiedni guzik i skrzydło bramy odsunęło się w bok.

Richard skinął Corvallisowi ręką i prius podjechał prosto do stojącego pięćdziesiąt stóp dalej prywatnego odrzutowca. Richard poszedł za nim pieszo i przywitał się z pilotem, zwracając się do niego po imieniu, kiedy ten wynurzył się z kabiny. Corvallis zaparkował w rozsądnej odległości od podwozia maszyny i otworzył bagażnik, po czym ustawili się we trzech jak brygada strażacka, przekazując sobie z rąk do rąk bagaż, który ostatecznie lądował w ładowni samolotu. Richard bardziej niż zwykle zwracał uwagę na takie drobiazgi, ponieważ w głowie wciąż kołatała mu się świadomość, że dwa tygodnie wcześniej Zula wjechała na lotnisko przez tę samą bramę, w towarzystwie Rosjan.

Pilot - jak zwykle - był gotowy do startu, musieli jednak zaczekać na asystentkę z wizami. Zaprosił pasażerów na pokład i powiedział, żeby się rozgościli. Stewardesa podała sushi. John, dla którego taki styl podróżowania wciąż był nowinką, ochocho skorzystał z zaproszenia, a Richard ruszył spacerkiem w stronę terminalu, żeby napić się bezkofeinowej kawy i znaleźć jakąś gazetę. Od strony lotniska w terminalu mieścił się salonik dla pasażerów, schludny i całkiem dobrze wyposażony, choć nie przesadnie luksusowy. O każdej porze dnia i nocy można było w nim zastać kilkoro ludzi - siedzieli sami lub w małych grupkach, przeglądali pocztę, czekali na samoloty - ale w tej chwili była tam tylko jedna osoba, dwudziestoparoletnia Azjatka z krótkimi włosami, ubrana w džinsy i sympatyczną marynarkopodobną górę, przy której džinsy nabierały nieco powagi. Czytała książkę i popijała herbatę. Richard podszedł do automatu z kawą i zaczął wciskać guziki. Jednym okiem zerkał za okno, wypatrując taksówki wiozącej asystentkę.

- Pan Forthrast?

Pytanie wypowiedziano z brytyjskim akcentem. Richard odwrócił się i ze zdumieniem stwierdził, że zadała je ta właśnie Azjatka. Stała w odległości dziesięciu stóp, w skromnej pozie, z rękami skrzyżowanymi na wysokości bioder, osłaniając lędźwie książką jak tarczą. Jakby chciała powiedzieć „Ja bardzo przepraszam, wiem, że to niezręczna sytuacja...”.

- We własnej osobie - przytaknął Richard.

Umiał odczytać oczywiste sygnały: miał przed sobą albo zażartą wielbicielkę *T'Rainu*, która koniecznie chciała sobie z nim pogadać o grze, albo dziewczynę szukającą pracy w Korporacji 9592. Stale miał do czynienia z ludźmi obu rodzajów i był wobec nich bardzo uprzejmy.

- Niech pan nie leci do Chin.

Do tej pory spokojnie się przyglądał, jak pianka ścieka do kubka z latte, ale teraz odwrócił się gwałtownie i spojrzał Azjatce w oczy. Minę miała przepraszącą, lecz stanowczą.

- Jasny gwint... Skąd pani wie, dokąd się wybieram?

- Zuli tam nie ma. To ślepy zaułek.

- Skąd pani to wie?!

- Byłam tam.

* * *

Patrząc na to z perspektywy czasu, nigdy wcześniej Olivia nie zrobiła tak dużo ani nie podróżowała tak daleko dla uzyskania tak mizernych efektów.

Pożegnawszy się na lotnisku w Tajpej z „George'em Chow”, poleciała do Singapuru. Nie mogąc się wyzbyć wrażenia, że ludzie dziwnie na nią patrzą, na dłuższą chwilę zagarnęła dla siebie umywalkę w lotniskowej łazience i zeskrobała cały ten kretyński makijaż, który kosmetyczka George'a Chow nałożyła jej na twarz w pokoju hotelowym w Jinchengu. Korciło ją, żeby powalczyć też z włosami, ale nie wolno przewozić nożyczek w bagażu podręcznym, a poza tym nie chciała robić z siebie większego widowiska niż to konieczne. Rozcięcie głowy nie zostało porządnie zszyte i miało tendencję do otwierania się i krwawienia w najmniej oczekiwanych momentach, więc tym bardziej nie należało w tej chwili bawić się fryzurą. Może w MI6 w Londynie znajdzie specjalistów, którzy jej pomogą - jakieś kosmetyczki wojenne albo stylistów urazowych. Jej zwierzchnicy podejmowali pewnie desperackie próby skontaktowania się z nią podczas tego międzylądowania, żeby jak najszybciej wydusić z niej wszelkie użyteczne informacje, ale nie przychodził jej do głowy żaden godny zaufania środek komunikacji. Nawet gdyby ktoś podszedł do niej w toalecie i zaczeplił ją osobiście, a ona rozpoznała w nim pracownika wywiadu, nie była pewna, ile byłaby skłonna mu powiedzieć. Na zamglonym wybrzeżu Kinmen ktoś zastawił pułapkę na Sokołowa, a ona nie wiedziała kto. W najlepszym wypadku chiński wywiad albo lokalni gangsterzy, w najgorszym MI6, które naprawdę chciało jego śmierci. To były możliwości skrajne, a przecież mogło być i tak, że chińscy agenci przeniknęli w struktury MI6 i uzyskali dostęp do jego sekretów. Tak czy inaczej, nie zamierzała bardziej wkopywać Sokołowa,

dopóki nie wróci do Londynu i nie dowie się czegoś więcej.

Do Londynu miała lot bezpośredni. Pierwszą jego część poświęciła upiciu się, drugą przespała.

Około szóstej rano samolot wylądował na Heathrow i podkołował do terminalu numer 5. Ze względu na jej wyjątkowo skomplikowany status imigracyjny przy wyjściu z samolotu czekali na nią dwaj mężczyźni: mundurowy i cywil. Zdarzało jej się czytać o ludziach, których „błyskawicznie” przeprowadza się przez formalności na lotnisku, ale pierwszy raz doświadczyła tego na własnej skórze - i musiała przyznać, że ma to swój urok. Zwłaszcza kiedy człowiek ma kaca i krwawi.

W drodze z terminalu numer 5 do stanowisk odprawy paszportowej i celnej należało zjechać niezliczoną liczbą schodów ruchomych: podróż zaczynała się wysoko nad ziemią, kończyła zaś głęboko pod jej powierzchnią. Mniej więcej w połowie drogi znajdował się podest, gdzie schody wypływały pasażerów dokładnie na poziomie gruntu. Wykonując zwrot o sto osiemdziesiąt stopni, prowadzący do następnego odcinka schodów, przez szklane drzwi i ściany widziało się drogę, po której pędziły samochody osobowe i ciężarówki. Drzwi zawsze pilnowali umundurowani strażnicy, żeby nikt z podróżnych nie zatrzymał się przedwcześnie i zjechał w głąb gmachu, do odprawy.

To znaczy, nikt oprócz garstki szczęściarzy przeznaczonych do odprawy „błyskawicznej”. Olivia miała szczerzy zamiar zrobić zawrotkę i pojechać dalej z innymi pasażerami, ale jej opiekunowie, zamiast zakręcić po zejściu ze schodów, ruszyli prosto przed siebie. Ponieważ tkwiła wciśnięta między nich jak nadzienie w kanapkę, zrobiła to samo, spodziewając się, że lada chwila strażnicy przy drzwiach wyrwą ją z tego uścisku, powalą na ziemię i zaczną gwizdać gwizdkiem. Tymczasem drzwi się przed nią otworzyły, wklepany w klawiaturę ciąg cyfr uciszył alarm - i nagle znalazła się na dworze. Wsiadła do land rovera i wyjechali na autostradę M4, zanim zaduch jumbo jeta zdążył na dobre ulotnić się z jej włosów i ubrania.

A potem jazda do gabinetu specjalisty prowadzącego niezwykle dyskretną i wysoce specjalistyczną praktykę lekarską, której podstawowym założeniem było nieprzejawianie sceptycyzmu i zaskoczenia. Skąd przyleciała? Z południowych Chin. Ogólny stan zdrowia? Dobry, do niedawna. A co się przydarzyło niedawno? Fala uderzeniowa, która cisnęła nią o ścianę, deszcz tłuczonego szkła, przysypanie gruzem, wyjście na bosaka ze zrujnowanego budynku, prowizoryczne opatrunki, ucieczka przed strzelającymi do niej ludźmi, kąpiel w zanieczyszczonym ujściu Rzeki Dziewięciu Smoków, czołganie się po polu minowym, noc na posłaniu z gałęzi. Lekarz kiwał głową z roztargnieniem, jakby skarżyła się na swędzenie w

genitaliach, po czym przepuścił ją przez tomograf wielkości atomowego okrętu podwodnego. Następnie starannie ją obmacał, poszturczał we wszystkie możliwe miejsca, pościiskał kości i organy, o których nawet nie wiedziała, że są z zewnątrz dostępne, pozaglądał w naturalne otwory ciała za pomocą przyrządów rodem z kreskówki i zadał serię pytań, które miały mu pomóc ocenić jej stan psychiczny. I nie tylko. Uprawiała pani ostatnio seks? O, tak. Może pani być w ciąży? Nie. Potraktował lidokainą rozcięcie na głowie, założył dwa szwy, zrobił coś, od czego zaśmierdziało palonymi włosami, i przekazał Olivię w ręce „specjalistki od iniekcji”, która z nieprzyzwoitą wręcz gorliwością zajęła się jej mięśniami naramiennymi, przedramionami, pośladkami i udami, wysysając z nich masę krwi do probówek i zastępując odebrane płyny obfitymi zastrzykami cieczy w jaskrawych kolorach. Wy tłumaczono jej, że wyżej wymienione duże mięśnie będą przez pewien czas obolałe i że będzie musiała wrócić po repety. Z początku cieszyła się, że ktoś poświęca tyle uwagi jej zdrowiu, dopóki nie zrozumiała, że przygotowują ją do morderczego przesłuchania i nie chcą, żeby im komplikowała procedury, skarżąc się na jakieś niejasne bóle i dreszcze. Mówisz, że cię zebra bolą? To ciekawe, na tomografie nic nie wyszło.

Została poinformowana - ustnie i na piśmie - że w bliżej nieokreślonej przyszłości będzie musiała udać się do określonych specjalistów i terapeutów. Zaplanowali jej też następną wizytę.

Pędem do siedziby MI6 na zaskakująco sympatyczne późne śniadanie i wstępną popijawkę z ludźmi na przyjemnie wysokich stanowiskach. A potem pozbawiona okien sala konferencyjna, której spodziewała się i obawiała. Pierwszym jej rozmówcą był nie kto inny, jak „Meng Binrong” - Anglik, który podczas jej pobytu w Xiamen odgrywał przez telefon rolę jej wuja. Miał siwiejące blond włosy, niebieskie oczy i rumianą cerę angielskiego opoja. Był energiczny i mógłby uchodzić za mężczyznę tuż po pięćdziesiątce, lub nawet tuż przed, gdyby nie pewne drobiazgi - takie jak siateczka popękanych naczynek na twarzy albo fakt, że uznał za konieczne przystrzygać brwi - zdradzające, że w rzeczywistości jest starszy. Nie narzucał się z opowiadaniem o sobie, ale z jego wiedzy (i niewiedzy) oraz znajomości kantońskiego i mandaryńskiego (pierwszym mówił płynnie, przy drugim trochę się zacinał) można było się domyślać, że dzieciństwo i młodość spędził w Hongkongu. Dla Olivii był dotychczas szorstkim głosem w telefonie, wujem, szefem i jedynym łącznikiem ze wszystkim tym, co dla niej stanowiło prawdziwy świat - ale cały czas widziała w nim tylko wynajętego aktora. Dopiero teraz, słuchając go na żywo i śledząc jego rozumowanie, zaczęła się domyślać, że ten oto człowiek (który przecież się nawet nie przedstawił) w istocie kierował całą operacją.

Nie mogła nie zadać sobie pytania, jaka jest dziś jego sytuacja. Czy z punktu widzenia MI6 akcja zakończyła się sukcesem, czy porażką? Może zresztą naiwnością było sądzić, że MI6 nadaje takie proste etykiety tak skomplikowanym przedsięwzięciom. Podobno, podsłuchując Jonesa, zdobyli masę bezcennych informacji, więc na tę część operacji nie mogli narzekać. Owszem, tak się niefortunnie złożyło, że sam Jones im się wymknął, ale nie można było przecież przewidzieć...

- Co tam się stało, do chuja wafla? - zapytał wujek Binrong, miarowo i melodyjnie cedząc słowa.

- Wszystko, co wiem, wiem od pana Igreka - odparła Olivia, używając pseudonimu, którym nazywała Sokołowa w rozmowach z George'em Chow.

- Znasz jego prawdziwe nazwisko?

- A jakie to ma w tej chwili znaczenie?

Wujek Binrong tylko patrzył na nią tymi swoimi niepospolicie jasnymi oczami.

- Myślałam, że chodziło nam o Jonesa.

- Dobrze wiesz, że tak.

- Cała ta sytuacja z panem Igrekiem jest dla mnie w najwyższym stopniu niezrozumiała - przyznała Olivia. - Ze względu na to, co zdarzyło się na końcu.

- Podobno słyszałaś strzały. Tak twierdzi pan Chow.

- Potwierdzam.

- Pan Igrek to prawdziwy magnes na kłopoty.

- Zostałam zaliczona do kategorii kłopotów?

- A co? Przyciągnął cię?

- Powiedziałabym, że przyciąganie było obustronne.

Wujek Binrong przetrwał jej słowa.

- Rozumiem. Żywisz sentyment wobec pana Igreka. Wydaje ci się, że słyszałaś, jak uczestniczył w wymianie ognia z nieznanymi osobami. Działo się to w osnutym mgłą Oriencie. Martwisz się o niego. W ten sposób nasza rozmowa straciła sens, bo koncentruje się na osobie pana Igreka.

- Zgadza się.

- Porozmawiajmy więc o Jonesie.

- Dobrze.

- Celem zaokrętowania pana Igreka na ów statek zmierzający do Long Beach było zapewnienie sobie jego współpracy. Liczyliśmy na pozyskanie od niego informacji odnoszących się do miejsca pobytu Jonesa. Czy uzyskałaś od niego te informacje?

- Jones wszedł w posiadanie prywatnego odrzutowca zaparkowanego w FBO na lotnisku w Xiamen. - Olivia wstała, podeszła do tablicy i wypisała na niej numer rejestracyjny samolotu. - Pan Igrek obserwował start tego samolotu o godzinie siódmej trzynastie rano czasu miejscowego. - Godzinę również zapisała. - Samolot skierował się na południe.

Sala konferencyjna była dobrze zaopatrzona w młodych asystentów obojga płci. Na dany przez wujka Binronga znak jedna z asystentek zaczęła zajadle stukać w klawiaturę.

- Jak się przekonacie, samolot został wypożyczony lub jest własnością pewnego Rosjanina z Toronto, który kilka dni wcześniej przybył do Xiamen.

- Czy ten Rosjanin i pan Igrek to jedna i ta sama osoba?

- Nie. Rosjanin zatrudniał pana Igreka w charakterze konsultanta do spraw bezpieczeństwa.

- To eufemizm na określenie faceta, po którym został stos trupów pod drzwiami twojego mieszkania.

- Zasłużyli sobie.

Wujek Binrong uniósł przystrzyżone brwi, ale nie było w tym geście dezaprobaty.

- Wiemy, kto jeszcze znajduje się na pokładzie tego samolotu?

- Nie znam się na organizacji tego rodzaju przelotów, ale dużo o tym myślałam i wydaje mi się prawie pewne, że za sterami usiedli stali piloci tej maszyny. Jones w jakiś sposób zmusił ich do współpracy.

- Niewykluczone, że masz w tej kwestii rację, ja jednak miałem na myśli tych przeklętych terrorystów.

- Podejrzewam, że mało kto z jego ludzi przeżył eksplozję w tamtym bloku. Dziwię się, że sam Jones wyszedł z niej cało, ale ponieważ wątpię, żeby działał sam, musiał mieć jakąś drugą kryjówkę albo kontakt z inną komórką.

- Jachtklub - powiedział wujek Binrong.

Było to określenie z żargonu, który wypracowali sobie z Olivią w podczas operacji. Nie udało im się ustalić szczegółów, ale byli praktycznie pewni, że Jones przyplłynął z Filipin na Tajwan, skąd następnie przedostał się do Xiamen, i że w podobny sposób organizuje sobie zaopatrzenie i ściąga ludzi. Najprawdopodobniej używał do tego małych kutrów rybackich, niepostrzeżenie kursujących w tę i z powrotem.

Narysowali na tablicy oś czasu, na której zaznaczali kolejne wydarzenia. Między eksplozją w bloku i niespodziewanym pojawieniem się pana Igreka na balkonie u „Meng Anlan” (które, widziane z perspektywy czasu, miało w sobie coś wzruszająco romeowskiego) ziała kilkugodzinna dziura. Musiało to mieć jakiś związek z poczynaniami Jonesa, ponieważ -

jak zakładali Olivia i wujek Binrong - przysłani do jej domu bojownicy wykonywali jego rozkazy. Olivia w przybliżeniu określiła czas rozmowy telefonicznej pana Igreka z Jonesem, która odbyła się na pokładzie skradzionej taksówki wodnej i z której słyszała tylko kwestie wypowiedziane przez Sokołowa. To wtedy Sokołow się zorientował, że Jones jest na lotnisku, i domyślił się, że towarzyszy mu kobieta imieniem Zula. Zagroził również Jonesowi, że znajdzie go i zlikwiduje w wyjątkowo okrutny sposób, jeśli rzeczonyj Zuli stanie się krzywda.

Dalej na osi czasu znów ziała luka do godziny 7:13 (czasu chińskiego) poprzedniego dnia rano, kiedy to odrzutowiec wystartował z Xiamen. Następna dziura - bardzo długa - obejmowała trzydzieści sześć godzin od tamtej chwili aż do TERAZ. Później w tej przestrzeni pojawiło się kilka ostrożnie postawionych znaczków: kontakt z George'em Chow, zniknięcie Sokołowa we mgle, przelot Olivii z Kinmen do Tajpej, z Tajpej do Singapuru i z Singapuru do Londynu.

Zapadło krępujące milczenie.

- Nie wykluczam, że byłoby lepiej, gdybyśmy nieco wcześniej niż w tej chwili dowiedzieli się, że Abdallah Jones podróżuje samolotem o takim to a takim numerze bocznym - przyznał wujek Binrong.

Olivia była na ten zarzut przygotowana. Zdążyła przemyśleć odpowiedź.

- Zanim sama się o tym dowiedziałam od pana Igreka, Jones był w powietrzu już od ośmiu godzin. Ze względu na rozwój wypadków, w szczególności strzelaninę, uznałam, że operacja została zdekonspirowana i nie mogę ufać George'owi Chow, dlatego nie podałam mu numeru samolotu. Musieliśmy pilnie odlecieć z Kinmen, a zanim dotarliśmy do Tajpej, od startu Jonesa upłynęło co najmniej dziesięć godzin. Na Tajwanie nie miałam dostępu do bezpiecznych kanałów łączności, a zanim znalazłam się w Singapurze, Jones prawie na pewno zdążył już gdzieś wylądować.

Wuj Binrong wciąż miał wątpliwości, ale zanim zdążył pociągnąć ten niezręczny temat, jedna z pochylonych nad komputerem asystentek obwieściła szebioczącym głosikiem następującą nowinę:

- W dniu wczorajszym ktoś zgłosił zaginięcie osoby imieniem Zula. Adoptowana sierota z Erytrei, stąd takie niecodzienne imię. Amerykanka, dwadzieścia kilka lat, zamieszkała w Seattle. Tam też zgłoszono zaginięcie.

- Dowiedz się o niej więcej - polecił wujek Binrong. - Bardzo mnie ciekawi, jakim cudem znalazła się na pokładzie prywatnego odrzutowca uprowadzonego z Xiamen przez Abdallaha Jonesa. Jak również, dlaczego pan Igrek, osobnik niezwykle wręcz krwiożerczy, do tego stopnia przejął się losem przypadkowej kobiety.

- Jesteś niesprawiedliwy dla pana Igreka - wtrąciła Olivia.

Wszyscy spojrzeli na nią pytająco.

- To dżentelmen - dodała, nie znajdując lepszych słów.

- Ach tak... - mruknął wujek Binrong. - Czemu od razu nie powiedziałaś?

* * *

Dalsze wydarzenia toczyły się bez udziału Olivii. Zgromadzili mnóstwo informacji na temat Zuli i jeszcze więcej na temat Rosjan. Domniemywali (czego Olivia nie potwierdziła), że pan Igrek to Sokołow. Sprowadzili gości z RAF-u, którzy znali się na samolotach i radarach, rozpięli na tablicach mapy lotnicze, uruchomili symulator lotu, zaprogramowali odtwarzanie wskazanego typu odrzutowca i spróbowali wylecieć nim z Xiamen. Wyglądając przez okno wirtualnego kokpitu w symulatorze, Olivia ujrzała tę samą plażę na Kinmen, na której stała z Sokołowem; wyobraziła sobie, że gdyby tylko trochę bardziej wyteżyła wzrok, udałoby jej się wypatrzeć tam dwie kolumny pikseli, niewyraźne podobizny jej samej i „pana Igreka”, jak z zadartymi głowami wpatrują się w symulowany samolot. Niezwykle dziecinne/romantyczne. Prawdziwym i najzupełniej poważnym celem symulacji było odkrycie możliwych planów lotu, które Jones mógł wybrać po starcie. Kilkanaście z nich wytypowano do prześledzenia „w warunkach bojowych”, co brzmiało fajnie, dopóki nie wyszło na jaw, że dziewięćdziesiąt procent „warunków bojowych” wynika z wewnętrznej polityki centrów sterowania lotem i protokołów zgłaszania planów lotu w różnych krajach w Azji Południowo-Wschodniej.

Jedna grupa analityków usilnie starała się udowodnić, że Jones mógł polecieć do Pakistanu, ale znawcy tematu nie zostawili na ich scenariuszu suchej nitki, wskazując rozległe rejony zamkniętej przestrzeni powietrznej wokół spornych terenów przy granicach Indii z Chinami, Pakistanu z Indiami i tak dalej.

Inny zespół upierał się, że Jones poleciał prosto do Ameryki Północnej. Uzasadnienie tej tezy wymagało jednak nieprzeciętnych wygibasów myślowych: nie dość, że odrzutowiec musiałby niezauważony przez radary przemierzyć zatłoczony i intensywnie monitorowany korytarz powietrzny, to jeszcze nie bardzo było wiadomo, dlaczego z początku obrał kurs południowy, nieroztropnie wytracając paliwo. Dla wytłumaczenia tych manewrów analitycy powoływali się na niuanse mechanizmu odbywania lotów krajowych w obrębie Chin. Nikt nie umiał wykazać błędu w ich rozumowaniu, lecz sama jego złożoność budziła nieufność.

Zdecydowanie najprościej i najbardziej wiarygodnie prezentował się scenariusz, w którym Jones przypadł do powierzchni morza, poleciał prosto na Mindanao i tam pozbył się samolotu. Olivii ta teoria przypadła do gustu chociażby z tego powodu, że - jeśli była

prawdziwa - Jones zdążył wylądować na Filipinach i utopić odrzutowiec, zanim Sokołow podał jej jego numer rejestracyjny. Nikt więc nie mógł mieć do niej pretensji, że nie przekazała im go wcześniej.

Postanowili się jednak zaasekurować na wypadek, gdyby teoria o locie do Ameryki okazała się prawdziwa. W tym celu skontaktowali się ze swoimi kolegami po fachu w Kanadzie i USA i poradzili im uważać na rzeczony prywatny odrzutowiec. Najbardziej prawdopodobne było, że wylądował na jakimś lotnisku na odludziu albo kawałku pustej drogi i został tam porzucony. Obstawiwszy tę bazę (żeby użyć zapożyczonej od Jankesów terminologii baseballowej), sami skupili się na scenariuszu filipińskim.

Te działania zajęły im prawie dwie doby; Olivia uczestniczyła w nich przez cały czas, kiedy akurat nie spała, przy czym samo określenie „nie spała” było w tym wypadku dyskusyjne ze względu na *jetlag*, dręczący ją jak nigdy w życiu, prawdopodobny zespół stresu pourazowego i/lub objawy wstrząśnienia mózgu. Przez co najmniej połowę czasu, który spędziła w sali konferencyjnej, tylko udawała, że bierze udział w naradzie, w rzeczywistości zaś poświęcała całą uwagę i energię projektowi niezaśnięcia kamiennym snem. Złapała się na tym, że co dziesięć sekund wierci się na krześle - tylko po to, żeby zwalczyć senność. Kiedy inni dyskutowali o doniosłych i skomplikowanych sprawach, miała wrażenie, że znajduje się na pokładzie pancernika i podsłuchuje ich przez bardzo, bardzo długą rurę głosową.

Kiedy w końcu litowali się nad nią i odsyłali ją na krótko „do domu”, zaszywała się w kryjówce w Londynie - zupełnie zwyczajnym georgiańskim domu, który przejęto i zaadaptowano do nowej roli. W tych niezwykle rzadkich momentach, gdy nie spała i nie pracowała, nie miała nic do roboty. Nie mogła stać się na powrót Olivią Halifax-Lin, na to było jeszcze za wcześnie; nie mogła pobawić się Facebookiem czy co tam dziś było w modzie. Znalazła fryzjerkę strzygącą Azjatki i załatwiła sprawę włosów, co skończyło się niby-paziem jakby żywcem wyjętym z pornoła (w życiu by nie zaryzykowała takiej fryzury, gdyby życie jej do tego nie zmusiło). Rozmasowała obolałe pozaszczepiane mięśnie. Ponieważ uprzedzono ją, że czeka ją podróż za granicę, kupiła trochę ubrań: wypchała podręczną torbę lekkimi, szybkoschnącymi syntetykami, i dokupiła marynarkę, którą mogła narzucić na ramiona, gdyby potrzebny był ukłon w stronę elegancji. Pojawił się nowy paszport - tak szybko, że zaczęła się zastanawiać, jak to się robi w MI6. Mają własną fabrykę paszportów? Czy tylko osobny pokój w Centralnej Brytyjskiej Fabryce Paszportów, gdzie w razie potrzeby mogą na szybko drukować po parę sztuk?

Odbyła następną, może ciut przedwczesną sesję ze specjalistką od iniekcji. Dostała tabletki antymalaryczne i wysłuchała poważnej pogadanki o tym, dlaczego środki przeciw

komarom są fajne. Wujek Binrong przyjechał po nią i odwiózł ją (swoim samochodem, tak to przynajmniej wyglądało) na Heathrow. Po drodze zatrzymali się na kawę i ciastko.

- Polecisz do Manili - powiedział wujek Binrong. - Przez Dubaj.

- Domyślam się, że Manila też nie jest moim portem docelowym?

- Tam zrezygnujesz z usług komercyjnych linii pasażerskich. Prześpisz się w hotelu, żeby trochę dojść do siebie, i znajdziesz się w towarzystwie Seamusa Costello, emerytowanego kapitana armii USA.

- Emerytowanego? To co on właściwie teraz porabia? Wypoczywa?

Wujek Binrong nie zamierzał nagradzać jej żartu bezpośrednią odpowiedzią.

- Interesuje mnie przede wszystkim to, czy pracuje dla jakiejś agencji rządowej, czy działa na własną rękę - dodała Olivia.

- Ależ Olivio, przecież nie spiknęlibyśmy cię z najemnikiem - odparł lekko urażony wuj.

- Rozumiem. Czyli był komandosem, ale ktoś tam uznał, że facet marnuje talent, i go awansowano.

- Amerykański aparat bezpieczeństwa wewnętrznego jest olbrzymi i niezgłębiony - brzmiała odpowiedź Binronga. - Zawiera wiele jednostek i działów, które, jak można się domyślać, nie przetrwałyby generalnego remontu służb specjalnych. Mechanizm rozrostu jest samowystarczalny: poszczególni aktorzy, którzy zwątpili, że kiedykolwiek uda im się zrozumieć całość systemu, dodają do niego własne improwizowane komórki, a te w miarę napływu pieniędzy zostają zinstytucjonalizowane. Ci, którzy są biegli w politycznych rozgrywkach, ciągną do Waszyngtonu; ci, którzy nie są, lądują w hotelach w takich miejscach jak Manila, gdzie czekają na takich ludzi jak ty.

- Na pewno ma jeszcze jakieś inne obowiązki?

- Naturalnie. Większość czasu spędza na Mindanao, gdzie obserwuje bojowników Abu Sayyaf.

Wujek Binrong miał na myśli (o czym Olivia doskonale wiedziała) islamskich buntowników z południa Filipin, którzy przez kilka miesięcy gościli u siebie Abdallaha Jonesa i udzielali mu pomocy. Amerykańscy komandosi, działający ręka w rękę ze swoimi filipińskimi kolegami po fachu, przeprowadzili atak na obóz w dżungli, w którym widziano Jonesa. Zastali obóz pusty, za to intensywnie zaminowany. Zginęło dwóch Amerykanów i czterech Filipińczyków. Kilka tygodni później udało się wytropić Jonesa w Manili, gdzie w bloku mieszkalnym założył fabrykę materiałów wybuchowych, w której wyprodukował bomby użyte następnie w precyzyjnie zaplanowanej serii zamachów z użyciem samochodów-

pułapek. Dalej trop się urywał i mieli tylko poszlaki i plotki, dopóki Olivia nie namierzyła Jonesa w Xiamen.

- Costello od dawna ściga Jonesa - domyśliła się. - Jest dumny ze swojej pracy, a przynajmniej był, bo Jones już nieraz go wykiwał. Zabijał jego ludzi, stosując podstępne i tchórzowskie metody. Wysadzał w powietrze cywili, kiedy Costello powinien go mieć na oku. A potem zwał i ukrył się w kraju, w którym był nie do ruszenia. Costello utkwiał na zadupiu.

- To facet w twoim typie - odparł półgłosem wujek Binrong. - Ale bardzo cię proszę, spróbuj się z nim nie bzykać.

- A Jamesowi Bondowi to wolno, tak?

* * *

Do Dubaju lecieli z nią sami bogaci Arabowie i biznesmeni z City. Za to z Dubaju do Manili samolot niemal w całości opanowali wracający do domu filipińscy służący. Rozziew kulturowy i rasowy był stanowczo zbyt wielki, żeby sobie nim zawracać głowę, więc oglądała filmy i grała w Tetrisa, aż w końcu zasnęła - pół godziny przed tym, jak rozpoczęli podejście do lądowania w Międzynarodowym Porcie Lotniczym imienia Ninoya Aquino.

Było późne popołudnie. Od rozstania z Sokołowem na Kinmen minęły cztery dni.

Przysłali po nią samochód, który zawiózł ją do hotelu w Makati. Zjadła zamówiony do pokoju stek, odświeżyła się, wzięła tabletki na malarię i poszła spać.

Przespała trzy budziki i zeszła do holu piętnaście minut spóźniona. Seamus Costello czekał w restauracji. Zamówił jajka sadzone na bekonie, przysmażone z dwóch stron. Czerwonawo-żółty odcień płynnych żółtek idealnie pasował mu do koloru brody, ale Costello mimo wszystko z zakłopotaniem otarł podbródek serwetką, zanim wstał i podał Olivii rękę na powitanie. Wyglądał jak podstarzały tramp, facet, którego można by spotkać w rozklekotanym autobusie w Bhutanie albo na Ziemi Ognistej, pogadać, wysepić jointa, zapytać o radę, gdzie warto, a gdzie nie zatrzymać się na noc. Był chudy jak pasek bekonu, który za długo leżał na patelni. Miał ciut więcej niż sześć stóp wzrostu i zielone oczy, które wydały się Olivii nieco zbyt wytrzeszczone - chociaż musiała uczciwie przyznać, że każde nie czarne oczy sprawiają takie wrażenie, jak człowiek pomieszka trochę w Chinach. Mówił z bostońskim akcentem, którym można by zdrapywać rdzę z pokryw studzienek. Był jednak wykształcony (w tym fachu każdy ma pewnie co najmniej magistra) i kiedy pamiętał o tym, żeby się wysilić, umiał wysławiać się kwiecicie.

Teraz akurat nie pamiętał.

- Niewiele brakowało - powiedział, rozsuwając kciuk i palec wskazujący na odległość

jednej ósmej cala.

Wypowiedziane niewłaściwym tonem, słowa te można by wziąć za przyganę albo wręcz szyderstwo, ale na twarzy Costello błąkał się półuśmieszek, a w głosie brzmiała filozoficzna nuta.

On jej gratulował.

Wzruszyła ramionami.

- I tak za dużo.

- Mimo wszystko... Jakie to uczucie? Siedzieć tam tak dzień w dzień, podsłuchiwać tego faceta i jego ekipę...

- Niestety, nie znam arabskiego.

- Ja bym nie wytrzymał - przyznał z żalem Costello. Wyrzwał przez okno i jego twarz przybrała figlarny wyraz, gdy wyobraził sobie (jak przypuszczała Olivia), jak przechodzi na drugą stronę tej ulicy w Xiamen, idzie prosto do mieszkania numer 505 i nożem wypruwa Jonesowi flaki. - Skurwysyn... - Spojrzał na Olivię. - No dobrze. Waszym zdaniem facet jest na Mindanao, tak?

- Niedaleko półwyspu Zamboanga jest taka osłonięta zatoczka, w sam raz, żeby dyskretnie porzucić i utopić samolot, tak żeby stał się niewidoczny dla...

- Pływałem w niej.

- Aha. - Olivia zrobiła zdziwioną minę.

- Czytałem raport - wyjaśnił Costello. - Wiem, jaką macie teorię: utopili samolot w zatoczce i wyszli na brzeg. Roi się tam od ludzi z Abu Sayyaf. Jones łatwo by się spiknął ze swoimi braćmi.

Przy słowie „braćmi” podkreślił swój bostoński akcent do maksimum.

- Co ty o tym sądzisz?

- Zabiorę cię tam, rozejrzemy się.

- Ale jakie jest twoje zdanie?

- To bez znaczenia. Posłuchaj, polecimy tam sobie, ja cię oprowadzę, a za parę dni, jak się lepiej poznamy i stworzymy związek oparty na zaufaniu, zaczniemy sobie nawzajem mówić, co naprawdę myślimy. - Nachylił się nad stolikiem. - No co? - zdziwił się, na twarzy Olivii pojawił się bowiem lekki uśmiech. - O co chodzi?

- Myślałam, że jesteś tutaj dlatego, że nie znasz się na polityce.

Złożył dłonie jak do modlitwy, chowając kciuki w brodzie - jak chłopczyk z amerykańskiego Południa idący do Pierwszej Komunii Świętej.

- Wolę myśleć, że jestem tu dlatego, że kiepsko przyswajam sobie nowe umiejętności.

Co na Zamboanga akurat się przydaje. Zjesz coś?

- A nie śpieszymy się na samolot?

- Poczekają na nas.

* * *

Powód, dla którego Costello się nie śpieszył, stał się oczywisty, gdy wyszli z hotelu i zagłębili się w ścisku na manilskich ulicach. Słowa takie jak „potworny” czy „apokaliptyczny” kompletnie nie sprawdzały się w roli deskryptorów tutejszego ruchu ulicznego. W dwie godziny nie ujechali nawet mili.

- Masz ochotę na spacer? - zaproponował Seamus.

- Mam ochotę na wszystko, byle tylko stąd wysiąść.

Zapłacili więc taksówkarzowi i ruszyli dalej pieszo. Olivia była niezmiernie dumna z siebie, że spakowała tak niewiele rzeczy; w dodatku zmieściła je w torbie, z której łatwo dało się zrobić plecak. Seamus szarmancko zaproponował, że go poniesie, ale zbyła go wzruszeniem ramion. Z początku szli między unieruchomionymi pojazdami, aż w końcu Seamus wykierował ich oboje na skraj ulicy. Upał był niewiarygodny, żar buchał spod samochodów i przypiekał odsłonięte nogi Olivii; zelżał trochę, gdy z zakorkowanej głównej ulicy skręcili w boczne zaułki. Seamus kupił od ulicznego sprzedawcy dwie tandetne parasolki. Jedną dał Olivii, a drugą rozłożył sobie nad głową dla osłony przed słońcem. Olivia poszła w jego ślady.

Namierzywszy się na słońce, Seamus zaprowadził ich do dzielnicy mieszkalnej, która z początku wyglądała na zamożną, ale im bardziej oddalali się od Makati, tym szybciej to wrażenie się ulatniało. Mimo to, Olivia ani przez moment nie czuła się zagrożona, chyba dzięki niezbyt mądrymu przeświadczeniu, że przy kimś takim jak Seamus nic złego jej się stać nie może. Setki ludzi zauważały ich i śledziły wzrokiem; dziesiątki próbowały za nimi iść.

- Pani?! - wołali za nią. - Pani?!

- Drażni ich, że sama niesiesz swój bagaż - wyjaśnił Seamus.

W końcu więc oddała mu plecak, zostawiając sobie tylko sakwę przy pasku (pełniącą w tej chwili rolę portmonetki) i parasolkę. Myślała, że próbują dotrzeć na lotnisko, które z całą pewnością znajdowało się gdzieś po lewej, na południu, ale Seamus uparcie prowadził na zachód, przecinając na skos cmentarze i boiska do koszykówki, aż drogę zagroził im niesympatyczny strumień wypełniony prawie stojącą wodą, dławiący się od śmieci i cuchnący ściekami. Olivia nie umiała powiedzieć, w którą stronę płynie, ale Seamus postawił jakąś hipotezę i ruszył wzdłuż brzegu. Od czasu do czasu podawał Olivii rękę, żeby nie wpadła do

wody, aż dotarli do miejsca, gdzie strumień tworzył rozlewisko, po którym pływały najprawdziwsze łodzie - długie, smukłe, z podwójnymi bocznymi pływakami i zaburtowymi silnikami. Seamus bez trudu przekonał właściciela jednej z nich, żeby powiózł ich w kierunku Sangley Point.

Kadłub był tak wąski, że, oparłszy łokieć na jednej burcie, Olivia mogła dotknąć dłonią drugiej. Usiedli w środku jego długości, pod daszkiem ze spalonego słońcem płótna: Olivia z przodu, oparta plecami o plecak, Seamus za nią.

Przynajmniej kojarzyła słowo *sangley*. pochodziło z chińskiego dialektu używanego w rejonie Xiamen i znaczyło - całkiem dosłownie - „biznes”.

Przez kwadrans płynęli coraz szerszymi kanałami. Gęsto zabudowana dzielnica mieszkalna ustąpiła miejsca gigantycznym strefom przemysłowym i rozległym podmokłym nizinom, a potem kanał zniecka wypuł ich prosto do Zatoki Manilskiej. Dopiero teraz Olivia mogła się trochę rozejrzeć i zorientować, gdzie właściwie się znajduje. Płynęli w kierunku wbitego w zatokę lądowego szponu, odległego o dwie mile. Wymiana zdań między Seamusem i sternikiem, prowadzona w mieszaninie tagalskiego i angielskiego, doprowadziła do szerszego otwarcia przepustnicy, które następowało etapami, po trochu, aż zaczęli skakać i ślizgać się po grzbietach fal. Piana bryzgała Olivii w twarz.

- Boi się, że ci się to nie spodoba - wyjaśnił Seamus. - Przez wzgląd na ciebie chce zwolnić.

Olivia odwróciła się, nawiązała kontakt wzrokowy ze sternikiem, uśmiechnęła się do niego i pokazała mu wyprostowany kciuk.

Morska piana i rześkie powietrze stanowiły doskonałą odtrutkę na morderczy upał korka samochodowego, dzięki czemu na przystań w Sangley Point dotarli oblepieni solą i (mimo że przydałby się im prysznic) w miarę odświeżeni. Była to placówka wojskowa, baza lotnicza, jak wyjaśnił Olivii Seamus, dawniej amerykańska, dziś należąca do Filipińskich Sił Powietrznych. Umundurowany pilot wyszedł po nich na przystań (najwidoczniej Seamus uprzedził personel bazy - telefonicznie lub esemesem - o swoim przybyciu) i zaprowadził ich do podstawionego humvee, którym pojechali na jedyny w bazie i bardzo długi pas startowy. Zatrzymał się tuż obok dwusilnikowego samolotu pasażerskiego z wojskowymi oznaczeniami. Chwilę później wystartowali i polecili na zachód, prosto w kierunku wąskiego wylotu rozległej zatoki, gdzie skręcili w lewo i południowym kursem ruszyli w długi lot na półwysep Zamboanga.

Dzielące ich od niego pięćset mil pokonali w mniej więcej dwie godziny. Seamus głównie spał, a Olivia, wyglądając przez okno, próbowała zobaczyć niezliczone filipińskie

wyseпки, zatoczki i kanały oczami Abdallaha Jonesa.

- I co o tym myślisz? - spytał Seamus, kiedy prawie, prawie przysnęła.

Wzdrygnęła się, spojrzała na niego - siedzieli naprzeciw siebie przy małym stoliku, zajmującym gros przestrzeni w kabinie - i spróbowała otrząsnąć się z ogarniającego ją podstępnie letargu wywołanego zmianą stref czasowych.

Ciekawe, jak długo ją obserwował. Decyzja o porzuceniu taksówki w Manili i pójściu dalej piechotą miała wyglądać na spontaniczny wybryk swobodnego ducha, ale Olivia nie miała złudzeń: Seamus ją sprawdzał. Nie była to - w żadnym razie - próba ciężka ani trudna, tylko nieprzewidziany protokołem moment, gdy mogła opuścić gardę i ujawnić jakiś aspekt swojej natury, który w innych okolicznościach trudno byłoby dostrzec. Przesypiając większość lotu, dawał jej do zrozumienia, że zdała egzamin, obojętne na czym polegał, i teraz mogą się wziąć do pracy.

- Po wylądowaniu: milion kryjówek - odparła. - Ale ktoś, kto by tu przyleciał za dnia prywatnym odrzutowcem, rzuciłby się w oczy tak, że bardziej nie można.

Seamus ledwie dostrzegalnie skinął głową, odwrócił się i wyjrzał przez okno.

- Słuszna uwaga - przyznał. - Taka właśnie jest ŚWJ.

- To znaczy?

- Światowa Wojna z Jonesem.

* * *

Posterunek ŚWJ na półwyspie Zamboanga okazał się fragmentem bazy lotniczej zbudowanej na płaskim terenie przybrzeżnym, na którym poza nią rozciągały się poletka ryżowe, a dalej średniej wielkości miasto, regionalny ośrodek administracyjny. Cała baza była przyzwoicie ogrodzona i chroniona, ale narożnik zagarnięty przez Seamusa i jego zespół wyglądał jak prawdziwa forteca; wjazdu strzegły ustawione jedno na drugich metalowe kontenery, łańcuchy i drut kolczasty. Przyjeżdżające samochody musiały pokonać slalom pomiędzy kontenerami, które, jak wyjaśnił Olivii Seamus, były wypełnione ziemią, żeby wybuch samochodu-pułapki nie zdmuchnął ich łatwo z drogi. Kiedy jednak pokonali te fortyfikacje, znaleźli się w maleńkiej kopii Stanów Zjednoczonych: kompleksie modułowych domków zwieńczonych ryczącymi klimatyzatorami, zasilanymi z ustawionego na zawietrznej potężnego dieslowskiego generatora. W kilkunastu modułach mieściły się koszary dla Seamusa i jego ekipy; jeden przeznaczono na zakwaterowanie gości (takich jak Olivia), a w jednym podwójnym ulokowano kuchnię-jadalnię i salkę konferencyjną.

W obozie, podobnie jak wszędzie indziej na całym świecie, ludzie najchętniej przesiadywali w kuchni. Dlatego Olivia również (po tym, jak się rozpakowała i wzięła

prysznic) wróciła do podwójnego modułu, gdzie zastała Seamusa i dwóch jego ludzi. Leżeli na sofach albo siedzieli wyprostowani przy stole, skoncentrowani na swoich laptopach, popijając amerykańskie napoje. Cała ta scena wydała jej się do bólu amerykańska, co w praktyce (jak sama przed sobą chętnie przyznawała) niewiele znaczyło, ponieważ w Stanach spędziła bardzo niewiele czasu. Ludzie Seamusa, pochodzący chyba ze wszystkich możliwych ras, najwyraźniej czuli się nieswojo w szortach-bojówkach i koszulkach z krótkim rękawem - tak jakby woleli włożyć mundur. Byli obwieszani mnóstwem gadżetów: kaburami z bronią, nożami, krótkofalówkami; nawet okulary przeciwsłoneczne mieli zawieszane na gumce na głowie. Już wcześniej Seamus przedstawił ich pobieżnie Olivii, więc teraz skwitowali jej przybycie jednym spojrzeniem i skinieniem głowy. Byli bez reszty skoncentrowani na tym, co działo się na komputerach - a toczyła się tam jakaś zajadła walka.

- Sukinsyny zachodzą nas z lewej!

- Widzę. Zastąpię im drogę, ale potrzebuję posiłków.

- Będę cię osłaniał, jak tylko wycofam się z walki z czarnoksiężnikiem. Niech ktoś drania wykończy. Parę Królewskich Strzałów powinno wystarczyć, Shame.

- W porządku - przytaknął Seamus. - Zmienię broń, osłaniaj mnie. No, już mam... Kurwa mać!

Wszyscy odsunęli się od komputerów i ryknęli nerwowym śmiechem, tak głośnym, że Olivii zadzwoniło w uszach.

- Ja pierdołę! - zawołał niski Afroamerykanin. - Usmażył cię.

- Mamy przejebane - odezwał się Latynos. - Sekwestrujcie, co macie, nim będzie za późno.

Wściekle klikanie i stukanie w klawiaturę, któremu towarzyszyły wybuchy nerwowego śmiechu, gdy (jak domyślała się Olivia) kolejni bohaterowie ginęli w świecie gry.

Na parapetach, na blacie kuchennym, w ogóle w całej jadalni stały plastikowe lalki - podobizny trolli i elfów w wyrafinowanych strojach, uzbrojone po zęby w wymyślny, niby-średniowieczny oręż. Każda miała wykonany z imitacji kamienia postument, na którym wryto jej imię. Olivia wzięła jedną z nich do ręki (bardzo ostrożnie, ponieważ wyglądało na to, że pełni jakąś ważną rolę) i odwróciła do góry nogami. Na dolnej powierzchni postumentu znajdowało się logo Korporacji 9592.

Znała więc już przynajmniej odpowiedź na pytanie, które bała się zadać, żeby nie wyjść na najgłupszą kobietę na świecie: Gracie w *T'Rain*? Sama nie grywała na komputerze i nie umiałaby odróżnić jednej gry od drugiej.

- Olivia?

Podniosła wzrok i spojrzała w oczy Seamusa, który przyglądał się jej sponad krawędzi ekranu, z wysiłonym spokojem cedząc słowa:

- Odlóż... trolla... na miejsce... i cofnij się. Powoli.

W porządku, Seamus żartował. Olivia odstawiła lalkę i z miną niewiniątka splotła ręce za plecami. Pozostali wydali zbiorowe westchnienie ulgi, jakby ktoś przy nich właśnie rozbroił bombę.

- Przepraszam, że dotknęłam tej lalki - powiedziała Olivia. - Nie wiedziałam, że Thorakks tyle dla ciebie znaczy.

Cisza. Nie bardzo wiedzieli, jak się zachować wobec taktycznie użytego określenia „lalka”.

- Nie jestem specjalistką od *T’Rainu*... - ciągnęła Olivia. - Czy Thorakks to jakaś ważna postać w tym świecie?

- To moja postać - odparł Seamus.

- No proszę... Jakie to uczucie, kiedy produkują lalki na wzór twojego osobistego bohatera?

- To nie lalka, tylko figurka bohatera. I nie ma w niej niczego nadzwyczajnego. Każdy, kto ma postać w *T’Rainie*, może wypełnić wniosek online i wysłać im pięć dych, a oni zrobią taką figurkę na drukarce 3D i przyślą. Żołnierze służby czynnej mają zniżki.

- Jesteście żołnierzami służby czynnej?

- Nie, ale mamy swoje sposoby, żeby ich naciągnąć.

- To wasze prywatne laptopy? - zainteresowała się Olivia.

- A czemu pytasz? - zaniepokoił się Seamus, obawiając się oskarżenia o niewłaściwe wykorzystanie rządowej własności.

- Tak sobie. Byłam ciekawa, czy nie znalazłby się jakiś wolny komputer dla mnie.

- Chcesz wysłać bezpieczny e-mail?

- Nie. Pograć w *T’Rain*.

- Mówiłaś, że nie grasz.

- Bo nie gram. Ale to się musi zmienić.

- Musi?!

- Z powodów zawodowych.

Olivia wiedziała już, że zaginiona kobieta imieniem Zula jest powiązana z Korporacją 9592 (jest bratanicą jej założyciela, ściśle rzecz biorąc) i jej uprowadzenie z Seattle do Chin miało jakiś związek z działalnością hakerów będących sąsiadami Jonesa. Nie zamierzała spędzać zbyt wiele czasu w *T’Rainie* (z całą pewnością nie zamierzała posuwać się do

kupowania przedstawiającej jej postać lalki), ale czuła, że musi się czegoś o samej grze dowiedzieć.

Dwanaście godzin później wiedziała więcej, niż jej to było potrzebne - ale chciała wiedzieć coraz więcej. Gdzie znajduje się kryjówka Czarnych Pereł z Q'rith? Jakie połączenie zaklęć i ziół pozwoli obudzić księżniczkę Elicasse z trwającego wiek snu w Złotej Altanie Nar'thorionu? Skąd wziąć qaldaqiańską szarą rudę - surowiec do uzyskania stali namaskiej, z której następnie wykuje nowe groty do strzał do Kompozytowego Łuku Aratara? i czy ten łuk będzie skuteczną bronią przeciw Torlokowi, który broni jej wstępu na most w Enbarze?

Wyjaśnienia mogłaby uzyskać od Seamusa i jego bandy zaginionych chłopców, zdawała sobie jednak sprawę, że wszelkie odpowiedzi zrodzą tylko dodatkowe wątpliwości, a i bez tego wystarczająco już narzucała im się z pytaniami. Zwłaszcza że w tej chwili byli czymś bardzo, bardzo zajęci.

Coś planowali.

Coś z użyciem przemocy.

W prawdziwym świecie. Gdzieś niedaleko.

Takie przynajmniej wrażenie odnosiła w tych krótkich chwilach kontaktu z rzeczywistością, kiedy odrywała się od gry, żeby o coś zapytać, wziąć sobie coś do jedzenia albo pójść do łazienki. W takich momentach nabierali wody w usta i demonstracyjnie odwracali wzrok, dopóki znów nie pogrążyła się w świecie gry.

Dochodziła trzecia nad ranem, kiedy wróciła do swojego domku. Do świtu wierciła się i rzucała na łóżku, a pod powiekami wciąż stawały jej sceny z *T'Rainu*, ale w końcu zasnęła.

Było popołudnie, kiedy obudził ją dobijający się do drzwi Seamus.

Obwiesił się jeszcze większą liczbą zabawek niż wcześniej: miał camelbak, dodatkowe magazynki do swojego siga i twarde ochraniacze na kolana. Wprosił się do środka, przykucnął pod ścianą i oparł się o nią plecami.

- Dziś w nocy zginą ludzie - powiedział. - Wszystko przez tę waszą teorię, którą wymyśliliście z kolegami w Londynie.

- W myśl której Jones przyleciał właśnie tutaj.

- Otóż to. Pomyślałem, że wpadnę do ciebie z wizytą towarzyską, zanim ludzie zaczną ginąć w imię tej teorii, zwłaszcza że sam mogę być jednym z nich. Myślałem, że trochę sobie pogadamy, a ja cię zapytam, czy nadal w nią wierzysz. Okazuje się jednak, że kiedy przygotowuję się do akcji, tracę ochotę na pogawędkę.

Olivia pokiwała głową.

- Poleciał na południe. Gdyby od razu przeprowadził jakąś męczeńską operację, czyli

wleciał w coś tym samolotem, wiedzielibyśmy o tym. Gdyby gdzieś wylądował i jego lądowanie zostało zauważone, też byśmy wiedzieli. Nie zrobił więc żadnej z tych dwóch rzeczy. Poleciał w miejsce, w którym mógł dyskretnie posadzić maszynę. Zamboanga jest blisko Xiamen, Jones ma tu przyjaciół i kontakty...

- Mówiłaś o tym już wcześniej - przerwał jej Seamus.

Nie odpowiedziała.

- Chcę powiedzieć tylko tyle, że stoję tu teraz przed tobą. Ja, Seamus, cały i zdrowy. Nie jestem twoim najlepszym kumplem, ale zdążyliśmy się trochę poznać i chyba mnie nie znienawidziłaś. Tolerujesz moją obecność, może nawet troszkę mnie lubisz. A ja lecę na akcję. Przypuśćmy, że jutro rano wrócę z niej w czarnym worku na zwłoki. Tylko przypuśćmy. Wsiądziesz do samolotu i polecisz do Londynu. Jestem ciekaw, czy podczas tego długiego lotu, kiedy znajdziesz się akurat nad Indiami, Arabią, Krętą czy diabli wiedzą czym jeszcze, zrobisz tak... - Złapał się za głowę, przewrócił oczami, zrobił zawiedzioną minę. - I pomyślisz: kurna, ta teoria była gównem warta. Będzie tak?

- Nie. Lepszej nie mamy.

- Wy? Czyli kto, jacyś goście siedzący przy stole w Londynie?

- Tak.

- A ty sama, Olivia? Ty też nie masz lepszej teorii?

Odpowiedź przyszła zaskakująco szybko:

- Czy to ważne?

Twarz Seamusa stężała na chwilę, ale potem uśmiechnął się słabo.

- Nie - odparł. - Oczywiście, że nie.

Odepchnął się od ściany, wstał, okręcił się w miejscu na palcach (miał na nogach czarno-czarne buty do biegania) i wyszedł.

Olivia siedziała bez ruchu przez następne dwadzieścia minut, aż usłyszała startujące helikoptery.

Dopiero wtedy poszła do pustej jadalni, włączyła laptop Seamusa (udostępnił jej na nim gościnne konto) i grała w *T'Rain* do wieczora, a potem przez całą noc. Od czasu do czasu robiła sobie przerwę, próbując oszacować, czy jest dostatecznie zmęczona, żeby iść spać - ale wiedziała doskonale, że nie może być mowy o spaniu, dopóki Seamus i jego ludzie nie wrócą.

Wrócili około dziewiątej rano. Olivia wbrew sobie przysnęła jednak na sofie, na jakieś trzy godziny. Weszli wszyscy razem, w sześciu, brudni, spoceni, niektórzy zakrwawieni, ale żaden nie został poważnie ranny. Obudziły ją ich głośne, swobodne głosy, które jednak prawie ucichły, gdy znad oparcia sofy wychynęła jej rozspana głowa. Spojrzała na Seamusa.

Ich oczy się spotkały. Wpatrywał się w nią natarczywie, zdejmując i odrzucając na podłogę kolejne elementy ekwipunku. Pozostali rozproszyli się, poszli do siebie, a ona nie mogła się oprzeć wrażeniu, że mieli ochotę rozebrać się i odprężyć w jadalni, a ona swoją obecnością popsuła im frajdę.

Seamus obszedł sofę dookoła. Pod pachą trzymał laptop w szarej plastikowej obudowie. Postawił go na niskim stoliku i usiadł przy nim na krześle ustawionym pod kątem prostym do sofy. Oparłszy ręce na kolanach, najpierw zetknął dłonie czubkami palców, a potem wyłamał po kolei palce, jakby sprawdzał, czy wszystkie stawy działają prawidłowo. Krwawił z knykci.

Spojrzał Olivii prosto w oczy i spytał rzeczowo:

- Chcesz się rznąć?

Musiała zrobić zdziwioną minę, bo dodał pośpiesznie:

- Przepraszam, że pytam tak wprost, ale po takich akcjach zawsze jestem strasznie napalony. I jeszcze po pogrzebach. Kręcą mnie. Więc pomyślałem, że zapytam. Bo czuję, że teraz mógłbym strzelić zajebisty numer. Dlatego pytam. Na wszelki wypadek. Gdybyś miała ochotę na, rozumiesz, ostry i kompletnie niezobowiązujący seks...

Olivia oczami wyobraźni już widziała się w tej roli: figlarny uśmiech wypływa jej na usta, przemykają dyskretnie do jej pokoju i wciskają się razem pod prysznic, gdzie nabity hormonami facet-dzieciak rżnie ją do nieprzytomności.

- Prawdę mówiąc, miałabym - przyznała z zapalem. - Ale na razie postaram się zapanować nad tą pokusą. - Czuła, że to wymaga dalszego wyjaśnienia. - Dostałam oficjalny zakaz.

To mu zaimponowało.

- Poważnie?

- Tak.

- Ktoś wydał ci konkretny zakaz odbycia ze mną stosunku.

- Mhm. Chyba przez wzgląd na mnie i moją reputację. Raczej nie chodzi o ciebie.

Seamus nie krył rozczarowania.

- Chociaż nie wątpię, że i ty masz się czym pochwalić! Reputacją, znaczy.

Pokiwał głową.

- Udało się wam? - spytała Olivia.

- Tak... Pewnie. Czemu pytasz?

- Jesteś cały zakrwawiony.

- Chyba wiesz, jak zarabiam na życie?

Nie miała ochoty na dalsze przekomarżanie się.

Z obszernej kieszeni Seamus wyjął czarne pudełko. Otworzył je, odsłaniając zestaw małych śrubokrętów. Odwrócił laptop do góry nogami, wybrał śrubokręt i zaczął odkręcać małe śrubki.

- Celem operacji było wkroczenie do jednego z ich obozów i uprowadzenie przynajmniej jednego obiektu do przesłuchania. Oraz zdobycie innych, potencjalnie użytecznych dowodów. - Poklepał laptop. - Takich jak to. Nie był to nawet prawdziwy nalot. Musieliśmy wylądować kawałek dalej, podkraść się na piechotę, zaskoczyć ich...

- „Zaskoczenie” to pewnie dość łagodne określenie tego, jak ich potraktowaliście?

- Na pewno określenie niekompletne, bo zaskoczeni to oni byli jak najbardziej. - Seamus wykręcił wszystkie śrubki, które udało mu się znaleźć. Zawahał się teraz, spoglądając badawczo na laptop, ale nie otwierając go jeszcze. - Jones lubi montować bomby w komputerach i porzucać je w różnych miejscach. Ale ten nie było porzucony: kiedy weszliśmy, jeden z tamtych go używał.

Zdjął pokrywę maszyny. Olivia wzdrygnęła się mimowolnie. W środku nie było jednak grudek plastiku. Seamus sięgnął po inny śrubokręt i zaczął wykręcać twardy dysk.

- Włączę przesyłanie plików do Langley i pójdę się wykapać.

- A druga część misji?

- Urowadzenie obiektu?

- Mhm.

- Załatwione.

- Gdzie teraz jest?

- W rękach naszych filipińskich kolegów.

* * *

Seamus podłączył mały twardy dysk do urządzenia, które wessało całą jego zawartość, nie zmieniając jej ani na jotę, po czym szerokopasmowym łączem pchnęło ją do Stanów, w celu - jak domyślała się Olivia - deszyfracji i analizy. Potem poszedł do siebie, żeby się wykapać. Olivia też wzięła prysznic; nie czuła się brudna, ale dokuczalo jej to nieprzyjemne, watowate uczucie, jakie ma człowiek po całym dniu wylegiwania się na sofie i grania w głupkowatą grę. Miała ochotę poruszać się, coś poćwiczyć, ale nie wiedziała, jak to zrobić. Na podwórku ludzie Seamusa zainstalowali jakiś system do ćwiczeń z linami i ciężarkami; poprzedniego dnia widziała nawet, jak tam ćwiczą, ale były to ćwiczenia z tezą „Jak teraz poćwiczę, w czasie misji będę miał większe szanse”, a ona chciała po prostu zrobić coś dla zdrowia. Na przykład, pospacerować.

Przez następne dwie godziny niewiele się działo. Zjedli. Sprawdzili e-maile. A potem Seamus odwrócił laptop w stronę Olivii: na ekranie szła transmisja wideo w całkiem przyzwoitej rozdzielczości. Kamera znajdowała się w małym, pozbawionym okien, jasno oświetlonym pokoju. Półnagi mężczyzna siedział na krześle. Ręce trzymał z tyłu, za oparciem, jakby miał je tam skute. Z rysów wyglądał na Malaja lub Filipińczyka z niechlujnym zarostem. Jedno oko napuchło mu potężnie. Tam, gdzie płytko pod skórą twarzy znajdowały się kości, rozciętą skórę posklejano plastrami. Opuchlizna rozpływała się spod oka aż na policzek. Być może, pomyślała Olivia, facet ma złamaną szczękę. Mamrotał w języku, którego nie rozumiała.

Jeden z ludzi Seamusa (ten, którego na początku sklasyfikowała jako Latynosa) podbiegł do stolika, wpiął do gniazdka laptopa duże (i chyba drogie) słuchawki i przystawił je do ucha, a po chwili zaczął rzucać urywki z dań po angielsku:

- Już mówiłem... przysięgam na Boga... wiecie chyba, że powiem wszystko, co chcecie... chcecie prawdy... a prawda jest taka, że go nie widzieliśmy. O niczym nie wiedzieliśmy. Dopiero kilka dni temu dostaliśmy cynk... Mieliliśmy zacząć wysyłać e-maile. Obojętne jakie. Dowolne.

- Analitycy z Langley twierdzą, że z tego laptopa od paru dni masowo wysyłano e-maile - wyjaśnił Seamus.

- Spam? - zapytał ktoś.

- Wycinali i wklejali kawałki jakichś instrukcji obsługi. Potem to szyfrowali i wysyłali w świat, żeby stworzyć złudzenie ruchu w sieci. Taki fałszywy zgiełk.

Seamus przeniósł wzrok na Olivię i leciuteńkim ruchem głowy wskazał drzwi. Wstała i wyszła. Poszedł za nią. Spotkali się u niej w pokoju.

- Rozumiem, że nie chodzi ci o rżnięcie? - upewniła się Olivia.

Przewrócił oczami.

- Nie, teraz kompletnie nie mam nastroju. I żałuję tego, co wcześniej mówiłem.

- To dobrze - odparła obojętnie.

- Chociaż fryzurkę masz milutką.

Seamus ewidentnie próbował zarzucić przynętę. Olivia nie odpowiedziała. Miała nadzieję, że nic nie dała po sobie poznać.

- Chciałem ci powiedzieć, że... Masz to, po co przyjechałaś.

- A jak ci się wydaje, po co przyjechałam?

- Po dowody na poparcie teorii, w którą naprawdę wierzysz.

- Czyli?

- Mnie pytasz?

- Chciałam usłyszeć twoją opinię, zanim odsłonię karty.

Seamus w zadumie wypchnął policzek językiem.

- To nie poker - mówiła dalej Olivia. - Mówiąc mi, co myślisz, nic nie tracisz. Oboje polujemy na tego samego szczura.

- Czy gdyby Jones dorwał taką fajną zabawkę jak prywatny odrzutowiec, użyłby go do zaszcucia się w najbliższej dziurze? Nie wydaje mi się.

- Zrobiłby coś naprawdę fajnego. - Olivia pokiwała głową. - Na przykład, wbił się nim w jakiś budynek.

- Nie, nie, nie. - Seamus podniósł rękę z wyprostowanym palcem wskazującym. - Wtedy by zginął, nieprawdaż?

- Najprawdopodobniej.

- A on przecież nie chce umrzeć.

- Jak na człowieka, który nie chce umrzeć, ma zwyczaj pakować się w niewąskie tarapaty.

- Zmaga się sam ze sobą, tak przypuszczam. Kiedyś zostanie męczennikiem. Kiedyś. Tak sobie powtarza. A potem się rozgląda, patrzy na tych wszystkich świrów i kozojebów, z którymi musi pracować, i uświadamia sobie, jak wiele może z siebie dać, dopóki trwa przy życiu. Ma doświadczenie, zna języki, umie się wtopić w tłum... I w ten sposób odkłada swoje męczeństwo na później.

- Wygodne, trzeba przyznać.

Seamus uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

- Tak naprawdę, to nie wiem, czy facet jest tchórzem, czy po prostu nie chce umierać, bo stara się jak najlepiej spożytkować swoje umiejętności. Z przyjemnością bym go o to zapytał, zanim wbiję mu nóż w brzuch.

- Rozumiem. Czyli nie było go tutaj, nie wbił się samolotem w żaden budynek ani nie został złapany. Dokąd poleciał?

- Instynkt na pewno popchnął go w kierunku Stanów.

* * *

Czas do wieczora zajęło im pisanie raportów dla przełożonych. Następnego dnia rano Olivia i Seamus wrócili do Manili. On miał coś do załatwienia w ambasadzie amerykańskiej, a ona musiała zarezerwować lot do domu. Droga powrotna przez miasto była niemal dokładnym odwróceniem drogi w tamtą stronę, włącznie z pieszą wędrówką w skwarze, żeby nie stać w korku. O 10:12 dotarli do hotelu, a o 10:13 do baru, gdzie, grzecznie wyżłopawszy

po kilka szklanek wody w celu nawodnienia organizmu, przeszli do alkoholu.

- Nie wmówisz mi, że prywatny odrzutowiec miałby za mało paliwa, żeby dolecieć do Stanów - powiedział Seamus.

Olivia zakołysała dłonią w powietrzu.

- Gdzieś na północ...

- Bam! Mall of America! - zasugerował Seamus, wolną od drinka ręką odgrywając scenę nurkowania samolotu i uderzenia w cel.

- Raczej coś na północnym wschodzie. Seattle, naturalnie.

- Żegnaj, Space Needle.

- Kiedy ostatnio sprawdzałam, Space Needle stała na swoim miejscu, więc jeśli twoja teoria...

- Nasza teoria, droga pani.

- Dobrze, już dobrze: jeśli nasza teoria jest słuszna, przedostał się niepostrzeżenie do Stanów i wylądował gdzieś na odludziu.

- Czy wasi analitycy mają jakiś pomysł, w jaki sposób unikną radarów?

- Są dwie możliwości: mógł lecieć bardzo nisko, tylko że wtedy spaliłby jakieś makabryczne ilości paliwa. Albo mógł lecieć w formacji z samolotem pasażerskim, trzymając się tuż pod jego brzuchem.

Seamus rozłożył ręce.

- No proszę. Dlaczego tak trudno to pojąć? - Nie mógł się nadziwić. - Dlaczego tak ciężko przekonać ludzi, że Jones byłby do tego zdolny?

- Brzytwa Ockhama. Teoria z Mindanao miała mniej ruchomych części, należało więc ją potwierdzić lub wykluczyć na samym początku, nim zaczniesz się dyskutować o innych.

* * *

Pożegnali się niewinnym cmoknięciem w policzek i każde poszło w swoją stronę: Seamus utonął w powodzi samochodów, a Olivia udała się na górę, do swojego pokoju, gdzie zajęła się bukowaniem biletów. Nie zamierzała wracać do Londynu. Chciała się dostać na północny zachód Stanów Zjednoczonych.

Straciła cały dzień, siedząc w pokoju. Najpierw musiała odczekać kilka godzin, aż ludzie w Londynie się obudzą. Następnie musiała ich przekonać, że najlepiej spożytkuje czas, weryfikując hipotezę „Jones poleciał do Ameryki Północnej”. Żaden z jej rozmówców nie sprzeciwił się temu pomysłowi wprost, a mimo to, sprawa ugrzęzła w martwym punkcie. Musieli trzymać się procedur; nie mogła tak po prostu wylądować sobie w USA i z miejsca zacząć bawić się w szpiega - najpierw należało nawiązać kontakt z amerykańskim

kontrwywiadem. Tylko że w Stanach wszyscy jeszcze spali, musiała więc poczekać kolejne kilka godzin. Wysłała setkę e-maili, zeszła do siłowni, poćwiczyła, wróciła, wysłała następne e-maile, zadzwoniła w parę miejsc. Pograła w *T'Rain*. Poszukała w sieci dalszych informacji o Zuli i klanie Forthrastów. Zajrzała na rozdzierającą serce stronę na Facebooku, która miała pomóc w odnalezieniu Zuli. Znowu odpisała na e-maile.

W końcu, przyblokowana na wszystkich frontach, za własne pieniądze kupiła bilet do Vancouver. Kanada należała do Wspólnoty Narodów, Olivia miała tam znajomych i kontakty, jej nagłe pojawienie się nikogo nie wzburzy, a w razie potrzeby łatwo będzie mogła przedostać się stamtąd do Seattle. Na pewno lepiej lecieć tam, niż kisić się w Manili, gdzie znalazła się chyba najdalej od Jonesa jak to możliwe bez opuszczania powierzchni Ziemi.

Bogatsza o doświadczenie obcowania z manilskim ruchem ulicznym, przeznaczyła cztery godziny na pokonanie taksówką trzech mil dzielących ją od lotniska i następnego dnia o dziewiątej rano była już w powietrzu. Pokażną liczbę godzin później wylądowała w Vancouver o godzinie - jak ją poinformowano - jedenastej rano we wtorek (po drodze przekroczyli Linie Zmiany Daty, co trochę skomplikowało rachunki).

Zamierzała po prostu paść na łóżko w jakimś hotelu, ale po lądowaniu stwierdziła, że jest dziwnie podekscytowana i rwie się do akcji. Po części wynikało to pewnie z faktu, że wydała fortunę na bilet: zabrakło miejsc w klasie ekonomicznej, więc leciała business class i naprawdę udało jej się trochę pospać. Przebudziwszy się z długiej drzemki gdzieś nad oceanem, stwierdziła, że w jej głowie zrodził się nowy pomysł i nowe postanowienie: porozmawia z Richardem Forthrastem. Dużo o nim czytała, poświęcone mu hasło w Wikipedii znała na pamięć. Interesujący człowiek. Skomplikowany. Pewnie martwi się o zaginioną bratanicę, a z całą pewnością wie o REAMDE i *T'Rainie* rzeczy, na jakie Olivia sama w życiu by nie wpadła.

Czekając w kolejce do odprawy paszportowej, sprawdziła wiadomości w telefonie. Okazało się, że MI6 faktycznie nawiązało kontakt z amerykańskim kontrwywiadem i że Amerykanie są gotowi na jej przybycie, może więc bez przeszkód rezerwować bilet do Seattle. Esemes pochodził sprzed zaledwie godziny, co oznaczało, że gdyby czekała na pozwolenie w Manili, dopiero teraz zaczynałaby obdzwanianie biur linii lotniczych. Dzięki zdecydowanemu działaniu zaoszczędziła więc cały dzień. Tyle że może mieć kłopoty z wydębieniem zwrotu za bilet.

Załatwiwszy formalności imigracyjne, wypożyczyła samochód i ruszyła na południe. Nie miała ochoty zdradzać swoim amerykańskim kolegom idei spotkania z Richardem Forthrastem. Jak każdy pracownik dużej organizacji, który wpadnie na jakiś pomysł, uznała

ten plan za swoją własność i nie chciała się nim dzielić. Bała się, że dostanie szlaban. Albo, co byłoby jeszcze gorsze, współpracowników. Tyle że przekroczenie granicy dzień wcześniej, niż została zapowiedziana, i podjęcie na własną rękę próby kontaktu z obywatelem amerykańskim nie byłoby chyba najlepszym wstępem do tej nowej znajomości. Nie powinna zresztą zapominać, że rozmowa z Forthrastem to tylko dodatek do głównego zadania, którym było odszukanie Jonesa w Ameryce Północnej. Dlatego zjechała na pobocze i zaczęła dzwonić.

Około piątej po południu trafiła do bezpiecznego pokoju w federalnym biurowcu w centrum Seattle, gdzie zaprzyjaźniła się ze swoim oficjalnie zaaprobowanym kontaktem, agentką FBI nazwiskiem Marcella Houston, która na okrągło gadała o wytropieniu Jonesa i ani słowem nie zająknęła się o Richardzie Forthraście. Spędziły razem dwie godziny, zanim Marcella pod wieczór wróciła do domu, złożwszy solenną obietnicę, że od następnego dnia rano zaczną na poważnie polować na Jonesa.

Olivia zameldowała się w hotelu w centrum miasta. Odkryła w swojej bezpiecznej skrzynce e-mailowej list z Londynu, z informacją, że Richard Forthrast w towarzystwie swojego brata Johna przed kilkoma godzinami uzyskali chińskie wize z prawem jednokrotnego wjazdu na terytorium Chin oraz złożyli na Boeing Field plan lotu, wskazując w nim Xiamen jako port docelowy. Start zaplanowali wkrótce.

Wszystko przez opóźnienia w trybach maszyny biurowej. Wskoczywszy do samolotu do Vancouver i przemknąwszy przez granicę do Seattle, dotarła do biura FBI całą dobę wcześniej, niż się jej spodziewali, na dodatek pod sam koniec normalnego dnia pracy. Marcella zasiedziała się w pracy ciut dłużej, żeby ją grzecznie przywitać i obiecać, że od jutra wezmą się do roboty. Marcelli chodziło zresztą wyłącznie o Jonesa. Sugestia Olivii, żeby spotkać się z Richardem Forthrastem, albo przeszła całkiem bez echa, albo, w najlepszym razie, została przekazana wyżej, do kogoś, kto pewnie nawet jej jeszcze nie widział na oczy - bo gdyby ktoś ważny ją przeczytał, to albo zakazałby Olivii rozmawiać z Forthrastem, albo uparłby się, żeby przydzielić jej kogoś ze swoich ludzi do towarzystwa.

Tymczasem samolot Richarda Forthrasta właśnie grzał silniki na pasie startowym Boeing Field, a jej nikt nie zabronił pojechać tam i z nim pogadać.

* * *

Po tym, jak za Zulą zamknęły się drzwi więziennej celi na kółkach, na kilka dni czas się dla niej zatrzymał. Mogła więc do woli nienawidzić się za to, że nie uciekła, kiedy miała ku temu okazję.

W każdym razie coś w rodzaju okazji. Kiedy parkowali pod Walmartem, zanim

jeszcze kupili sklejkę i zbudowali podwójnie izolowaną celę, mogła - teoretycznie rzecz biorąc - wejść pod prysznic i odpiąć łańcuch przykuwający ją do uchwytu w łazience. Następnie mogła rzucić się do drzwi, otworzyć je i zawołać o pomoc, zwrócić czyjąś uwagę. Mogła również wrócić do sypialni, wybić któreś okno i wyskoczyć. Teraz, kiedy zamknęli ją na amen w celi, z łatwością wmówiła sobie, że powinna była zrobić jedną z tych dwóch rzeczy, a skoro nie zrobiła, to znaczy, że jest tchórzem i idiotką.

Ale przecież (jak regularnie upominała się w duchu, żeby nie postradać zdrowych zmysłów) jeszcze wtedy nie wiedziała, że zamierzają zrobić z kampera ruchome więzienie. Spodziewała się, że bardzo długo będzie w ten sposób skuta, może więc spokojnie czekać na dogodny moment, kiedy wszyscy posną lub coś odwróci ich uwagę. Pośpiech mógł ją tej szansy pozbawić.

Dzień po wizycie w Walmarcie usłyszała dobiegające zza drzwi odgłosy piłowania i kolejne uderzenia młotka.

Z sypialni na przód wozu prowadził wąski korytarz o długości około ośmiu stóp. Z jednej strony znajdowały się w nim drzwi prowadzące do toalety, z drugiej do prysznica. Były to osobne pomieszczenia niewiele większe od budki telefonicznej. Toaleta znajdowała się bardziej z tyłu. Przy następnym otwarciu drzwi sypialni Zula stwierdziła, że Jones z Sharjeelem przegrodzili korytarz pomiędzy toaletą i prysznicem czymś w rodzaju furtki, w której rolę drzwi pełniła zamocowana na zawiasach drewniana rama obita drucianą siatką. Dzięki niej Zula uzyskała nieograniczony dostęp do toalety, a dalej do przodu przedostać się nie mogła. W ten sposób dzihadyści uwolnili się od obowiązku (niezwykle uciążliwego, sądząc po ich zachowaniu) wypuszczania jej czasem z celi, żeby mogła się wysikać - ale przy okazji sami zostali od toalety odcięci: żeby się do niej dostać, musieli odpiąć kłódkę zamykającą furtkę i wejść do zajmowanej przez Zulę tylnej strefy pojazdu. Zdarzało się to jednak rzadko, ponieważ nauczyli się korzystać z kabiny prysznicowej zamiast pisuaru i splukiwać ją puszczoną na chwilę wodą z prysznica. Furtkę musieli więc otwierać tylko przy okazji załatwiania potrzeby numer 2.

Ta innowacja znacząco poprawiła jakość życia Zuli, która mogła teraz, siedząc na łóżku, wyglądać przez przednią szybę kampera podczas niemającej końca bezcelowej włości po Kolumbii Brytyjskiej. Pole widzenia miała mocno ograniczone, trochę jakby oglądała ekran telefonu trzymanego w wyciągniętej ręce, ale lepsze to niż wpatrywanie się w sklejkę.

Nie widziała żadnych słabych punktów strategii Jonesa. Nigdy nie zatrzymywali się zbyt długo na kempingach i pod Walmartami. Kempingi są wprawdzie z natury tworami

przejściowymi, ale dynamiką społeczną do złudzenia przypominają małe, senne miasteczka - co w szczególności oznaczało, że większość mieszkańców stanowili biali emeryci z klasy średniej i złożona z Pasztunów i Jemeńczyków ekipa Jonesa rzucałaby się w oczy. Za to na autostradzie kamper był odizolowany od reszty świata w sposób niemal doskonały. Wszystkie instalacje pokładowe - elektryczna, hydrauliczna, napędowa i grzewcza - były niezależne i mogły działać w nieskończoność, byle tylko regularnie dolewać paliwa i wody do zbiorników i wypompowywać ścieki. Czasem zatrzymywali się, żeby zaczerpnąć lub pozbyć się płynów. Zula niewiele widziała, ale domyślała się, że Jones wybiera stacje benzynowe na odludziu i płaci za paliwo od razu przy pompie, unikając wchodzenia do sklepiku i kontaktów z ludźmi. Kart kredytowych miał chyba sporo; niektóre ukradł zapewne zabitym właścicielom kampera, inne dostarczyło trio z Vancouver.

Dopóki kamper był sprawny, Kolumbia Brytyjska była dla nich najlepszą kryjówką na świecie; czasem całymi godzinami nie widywali innych samochodów. Droga - nieskończona jasnoszara wstęga - wiła się i kluczyła w dzikim, górskim terenie. Zdarzało się, że przez godzinę czy dwie towarzyszyły im leciutko przyprószone rdzą tory kolejowe; kiedy indziej jechali wzdłuż rzek, zygzakując po wąwozach z szarobrunatnych skał porośniętych wściekle zielonym, wysokim chyba do kolan mchem. Rzeki i tory pojawiały się i znikaly, a droga biegła przed siebie bez końca. Czasem mignęła Zuli stacja benzynowa, drewniana chałupa, targana zimnym, porywistym wiatrem kanadyjska flaga, stado kruków na tle nieba albo dom stojący nie wiadomo dlaczego w miejscu, gdzie droga lekko się rozszerzała, i upstrzony bezmyślnie przeszczepionymi ozdóbkami rodem z przedmieść. Skrzyżowanie z inną drogą było wydarzeniem tak doniosłym, że zapowiadano je z wyprzedzeniem i pompą godną dwustulecia niepodległości. Jechali przez las deszczowy; wspinali się dolinami, gdzie rozległe połacie nagiej, kamienistej, rdzawej ziemi z rzadka porastała bylica i karłowata sosna, a wyżej rozciągały się prerie jak w okolicach Wielkiego Kanionu. Doliny pełne Indian w starych pick-upach przechodziły w doliny pełne kowbojów na koniach, z nieodłącznymi psami pasterskimi. Cielęta uczeplone wymion matek. Olbrzymie, regularne w kształcie deformacje górskich stoków - zapewne pozostałości ambitnych przedsięwzięć górniczych. Wąwozy wyłożone marmurem barwy miodu i krwi. Patykowate rusztowania i metalowe koła systemów nawadniających, przyczajone na skraju uprzątniętych pól jak sprinterzy na linii startu i czekające na rozpoczęcie nowego sezonu. Góry, nadciągające z przeciwka zwartymi szeregami, jeden za drugim, jakby chciały powiedzieć: „Tam, skąd przybywamy, jest nas więcej”. Pączkujące liśćmi drzewa na niżej położonych zboczach, zagarniające ciemne i samotne iglice choinek spienioną, wzburzoną falą jasnej zieleni. A powyżej nich wyższe

partie gór, wybiegające asymptotycznie ku skłębionym nawisom puchatych białych obłoków, matowych jak kłębki bawełny. Czasem przez lukę w chmurach udawało się Zuli zajrzeć jeszcze wyżej, gdzie drzewa przyprószała biel skroplonej i zamarznętej na gałęziach mgły, jakby góry chciały jej dać do zrozumienia, że kamper prześlizguje się wśród nich na niskim, nic nieznaczającym poziomie, wyżej zaś piętrzą się dalsze warstwy krajobrazu, nieskończenie bardziej złożone i dramatyczne, jedne oświetlone blaskiem słońca, inne chłostane deszczem.

Na horyzoncie pojawili się kolejni nowi ludzie. Domyślała się, że Jones przy pierwszej nadarzającej się okazji rozesłał z laptopa e-mailową falę uderzeniową, rozprzestrzeniającą się w zaufanej, bezpiecznie szyfrowanej sieci. Sharjeel, Aziz i Zakir zgłosili się pierwsi, zaledwie kilka godzin jazdy od Vancouver. Dwa dni później usłyszała obce głosy i zobaczyła wynurzające się spod prysznica nowe twarze. Najwidoczniej e-mail Jonesa dotarł do uśpionych komórek terrorystycznych we wschodniej Kanadzie, których członkowie czym prędzej wsiedli do samochodów i ruszyli na zachód na spotkanie kampera. Zresztą, jeśli mieli wiarygodne przykrywki i niebudzące wątpliwości dokumenty, mogli przyjechać także ze Stanów. Różnorodność etniczna ekipy Jonesa z każdym dniem rosła, toteż większość rozmów prowadzono w języku angielskim bądź arabskim. Dżihadyści woleli ten drugi, ale coraz częściej używali tego pierwszego, gdyż kamper z wolna zapełniał się ludźmi, którzy od lat mieszkali w Ameryce Północnej. Czasami, przy zahaczaniu o niektóre tematy, posyłali kogoś, żeby zatrzaskał Zuli drzwi przed nosem. i drzwi pozostawały zamknięte, aż komuś zechciało się je znów otworzyć.

Rozmowy często dotyczyły codziennych tematów - zarządzania ludźmi, pojazdami, żywnością i finansami. Kamper miał ograniczoną pojemność i nadmiar aktywistów trzeba było lokować w innych samochodach. Czasem było je widać przez przednią szybę: Zula miała niejasne wyobrażenie, że są co najmniej trzy. Zdarzało się, że jechały w kawalkadzie z kamperem, ale najczęściej rozdzielały się i różnymi drogami docierały na umówione miejsce spotkania na kempingu lub pod Walmartem. Jeden samochód pełnił też rolę wahadłowca kursującego między kamperem i kryjówką w Vancouver - to Aziz zrobił ze swojego mieszkania lokum awaryjne, gdzie zmęczeni i brudni dżihadyści mogli odpocząć, zrobić przepierkę i doprowadzić się porządku przed powrotem do służby w kamperze.

Wyglądało na to, że każdy nowy członek ekipy musi obowiązkowo spędzić trochę czasu przy furtce, gapiąc się na Zulę i taksując ją wzrokiem. Początkowo po prostu gapiła się na nich tak jak oni na nią, ale po niedługim czasie nauczyła się ich ignorować.

W którymś z Walmartów Jones kupił sobie drukarkę. Drukował na niej obrazy z Google Maps, które następnie sklejał w olbrzymie zielone gobeliny. Puste kartridże wały się

po podłodze. Utrzymywanie porządku nie było mocną stroną dżihadystów.

Któregoś dnia Jones wygonił wszystkich swoich ludzi do innych samochodów i zaprosił Zulę na przód kampera, do jadalni przerobionej na salę odpraw. Na stole leżała jedna z takich posklejanych z kawałków map, upstrzona kolorowymi pinezkami z Google. Ściany i okna były całe oklejone zdjęciami wydrukowanymi na tej samej zapracowanej drukarce.

Były to zdjęcia wykonane przez Zulę. Wiele z nich przedstawiało Petera i wujka Richarda. Zrobiła je podczas wizyty w *Schlossie*, dwa tygodnie temu.

- Znalazłem twoje konto na Flickrze - wyjaśnił Jones. - Rozumiem, że ściągnęłaś sobie aplikację?

- He? - Skołowana widokiem fotografii Zula nie była w stanie wydusić z siebie nic sensowniejszego.

- Do obsługi Flickr - wyjaśnił Jones, nie tracąc cierpliwości. - Automatycznie synchronizuje biblioteczkę fotografii w telefonie ze stroną w necie.

- Tak - przytaknęła Zula. - Miałam ją.

Czas przeszedł, ponieważ wydawało jej się, że jej telefon został gdzieś w Chinach, pod gruzami albo w policyjnym laboratorium.

- Wygląda na to, że twoja historyjka jest prawdziwa - powiedział Jones, jakby za sam ten fakt należała się Zuli pochwała.

- Dlaczego miałyby nie być?

- Bez powodu. - Jones parsknął śmiechem. - Chciałem ci tylko powiedzieć, że mogę wejść na twoje konto i obejrzeć zdjęcia, które zrobiłaś dwa tygodnie temu, podczas wizyty u Dodge'a w *Schloss* Hundschüttler. - Przy tej nazwie przewrócił oczami i zaznaczył palcami cudzysłowy w powietrzu.

- Skąd wiesz, że przezywali go Dodge?

- Z hasła w Wikipedii.

Była to ich pierwsza rozmowa na temat Richarda (a właściwie na jakikolwiek temat inny niż bieżące sprawy) od czasu krótkiej wymiany zdań tuż po lądowaniu w Kanadzie, kiedy to Jones chciał zastrzelić Zulę, a ona uświadomiła mu, że ma wujka, który (a) jest bardzo bogaty i (b) zna się na przemycaniu różnych rzeczy przez granicę kanadyjsko-amerykańską. Od dawna spodziewała się dalszego przesłuchania, ale Jones był człowiekiem rzetelnym, skutecznym, myślącym strategicznie i Zula z wolna uświadomiła sobie, że wszystko, co robił od tamtej pory, dotyczyło wujka Richarda i możliwości wykorzystania go do przekradnięcia się przez granicę. Sala odpraw wojennych w kamperze nie miała (na razie) nic wspólnego z masakrą w kasynie w Vegas; tym zajmą się po przekroczeniu granicy.

Tymczasem wszystko kręciło się wokół Richarda i zamku Hundschüttler.

Jej umysł pomalutku rozpracowywał sens nadrukowanych na mapie wirtualnych pinezek. Każda odpowiadała jednemu ze zdjęć, które Jones ściągnął z Flickr'a i także wydrukował. Po iluś tam dniach spędzonych w celi potrzebowała czasu, żeby wrócić do internetowej rzeczywistości, w której spędziła większość swojego posterytrejskiego życia. Przypomniała sobie, że miała kiedyś telefon. Telefon miał wbudowany aparat fotograficzny i odbiornik GPS, które umiały się dogadać. Za pozwoleniem użytkownika (a Zula była w zasadzie pewna, że takiego pozwolenia udzieliła) GPS opatrywał każde zdjęcie współrzędnymi geograficznymi, które można było później nanieść na mapę i zobaczyć, gdzie zrobiono którą fotografię. Podczas odwiedzin w *Schlossie* włączyła się popołudniami z Peterem i wujkiem po okolicy, na quadach albo na raketach śnieżnych. Pinezki na mapie były jak wysypany okruszkami chleba ślad ich wędrówek: każde pacnięcie palcem w umieszczony na ekranie telefonu przycisk zwalniający migawkę zostawiało jeden taki okruszek.

Zarumieniała się po czubki uszu, jakby Jones przyłapał ją na czymś okrutnie zawstydzającym.

Mimo to, miło było sobie przypomnieć, że miała kiedyś życie, w którym znalazło się miejsce na takie luksusy, jak chłopak i telefon.

- Większość zdjęć jest oczywista, jeśli człowiek poświęci im trochę uwagi - powiedział Jones. - Na przykład, to: Peter zakłada rakiety, a w tle widać górę, która w dolnych partiach jest porośnięta lasem, ale ma też spore nagie zbocze; domyślam się, że pod śniegiem jest tam skalne rumowisko. Zostało zrobione około południa; na siedzeniu quada widać resztki drugiego śniadania. Z tego wniosek, że cienie powinny padać na północ. O dziwo, kiedy spojrzymy na zdjęcie satelitarne w Google (zrobione latem), widzimy na nim górę zwróconą nagim skalnym zboczem w kierunku tej pinezki, czyli mniej więcej na południe. Wszystko się zgadza. Strona zamku Hundschüttler dostarcza wyjątkowo dużo informacji. Odbyłem wirtualną wycieczkę po całej posiadłości, wypilem wirtualne piwo w wirtualnej gospodzie... Jako bogobojny muzułmanin nie pijam innego piwa niż wirtualne...

Jones odbiegł trochę od tematu, być może dlatego, że Zula wciąż nie mogła się otrząsnąć z szoku i ośpienia wywołanego widokiem tych wszystkich znajomych twarzy i miejsc. Pchnął w jej stronę po blacie jeden wydruk, który po chwili ujął jak w nawias w dwa inne, dodane po bokach. Wszystkie trzy przedstawiały zdjęcia z jej telefonu.

- Niektóre tajemnice wciąż jednak pozostają niewyjaśnione - powiedział. - Co to jest, do ciężkiej cholery? Wiem, gdzie to jest - postukał palcem w miejsce na mapie, gdzie kilka

mil na południe od zamku wykiełkował pęk pinezek - ale nie wiem, co widzę. Nie wspomina o tym strona zamku, milczy nawet WikiTravel.

- To była opuszczona kopalnia... - Zula zawiesiła głos, zaskoczona jego dziwnie obcym brzmieniem, i poprawiła się: - To jest opuszczona kopalnia.

Nauczyła się myśleć o swoim życiu i wszystkich życiowych doświadczeniach jako należących wyłącznie i nieodwołalnie do przeszłości.

- Co oni tam wydobywali? Drzewa?

Zula pokręciła głową.

- Chyba ołów, czy coś... Nie wiem.

- Ja pytam poważnie: co to za kopalnia, która potrzebuje miliona metrów sześciennych drewna?

Na zdjęciach dominowały bowiem posrebrzone wiekiem deski i belki, całe ich tysiące, rozrzucone na skutek jakiejś spowolnionej katastrofy na zboczu niedużego pagórka. Wyglądało to tak, jakby w gigantycznej, największej na świecie rynnie do spławu drewna, w której płynął istny wodospad tarcic, nagle odcięto wodę i deski przymarzły do gruntu i siebie nawzajem.

- Zawsze mi się wydawało, że kopalnie znajdują się pod ziemią - dodał Jones.

- Skończyłeś Akademię Górniczą w Kolorado?

Jones ten jeden raz wyraźnie się zmieszał.

- Powinni chyba zmienić nazwę. Wykładają tam różne przedmioty, mnie interesowało wysadzanie różnych rzeczy w powietrze. Guzik wiem o kopalniach.

- Dla mnie to oczywiste, że z tego drewna zbudowali jakąś konstrukcję na powierzchni. Jaką i po co? Tego nie wiem. Ale ciągnie się spory kawał po zboczu i wygląda mi na jakąś instalację do grawitacyjnej separacji minerałów. Może coś przepłukiwali wodą? W niektórych miejscach widać tylko te wielgachne rynny.

Zula wskazała rynnę w tle jednego ze zdjęć przedstawiających wuja Richarda, a potem zaczęła przekładać wydruki, aż znalazła fotografię starej drewnianej chaty, koślawej jak po przejściu jakiejś fali uderzeniowej.

- Gdzie indziej zachowały się platformy, na których stoi szalas albo nawet taka chałupa - ciągnęła. - Ale większość została spłaszczona, jak na tym pierwszym zdjęciu.

- Cokolwiek to jest, znajduje się osiem koma cztery kilometra od *Schlossu*, za to niemal dokładnie na tej samej wysokości.

- To przez kolej.

- Jaką kolej? - zainteresował się Jones.

Zula pokręciła głową.

- Nieistniejąca. Kiedyś wąskotorowa kolejka jeździła z Elphinstone na południe, w głąb doliny. Blisko miasteczka stał *Schloss*, czyli rezydencja barona i ośrodek jego imperium, a wyżej znajdowały się kopalnie, źródło jego fortuny...

- I to jest jedna z nich. - Jones obrzucił spojrzeniem zdjęcia, które przed chwilą oglądali. - Ale dlaczego powiedziałaś „to przez kolej”?

- Chodziło mi o wysokość. Zwróciłeś uwagę na niewielką różnicę wysokości. Rzecz w tym, że...

- Pociągi najlepiej jeżdżą po płaskim. - Jones pokiwał głową.

- Otóż to. Podobnie jak rowerzyści i narciarze biegowi. Dlatego...

- Już rozumiem. Na stronie *Schlossu* z dumą opisują szlak turystyczny w głąb doliny.

- Został poprowadzony po śladzie torów.

- Jasne... - Jones zadumał się i skoncentrował na zilustrowanych na mapie zawijasach terenu. - Tak się zastanawiam, jak można trafić na ten szlak?

Zula oparła łokcie o blat, pochyliła się nad stołem, spróbowała skoncentrować się na mapie. Pokręciła głową.

- Za dużo informacji - powiedziała. - Po kolei. - Odwróciła jedno ze zdjęć, wzięła do ręki gruby ołówek stolarski z Walmarta i na odwrocie wydruku narysowała poziomą kreskę. - Granica. - Druga linia, prostopadła do pierwszej. - Góry Selkirka. - Następna pionowa krecha, dalej na wschód. - Góry Purcella. Między nimi jezioro Kootenay. - Wydłużony owal na północ od granicy, rozciągający się południkowo. - Autostrada numer 3 stara się biec równoległe do granicy, ale ze względu na przeszkody terenowe musi zygzakować. - Meandrująca linia przecinająca Góry Selkirka i Purcella w niektórych miejscach ocierała się o granicę, w innych wyraźnie odginała się na północ. W jednym z tych wygięć, na południe od wielkiego jeziora, Zula narysowała gruby „X”, stojący okrakiem nad drogą. - Elphinstone - wyjaśniła. - Snowboard i sushi.

Ze względu na wybrzuszenie autostrady w kierunku północnym, pokaźny kawał terenu znalazł się w potrzasku między tym meandrem i granicą amerykańską. W jego środek Zula wrysowała linię, która wychodziła z miasteczka na południowy zachód, ale potem zataczała łuk i ostatecznie biegła w kierunku południowo-wschodnim: olbrzymie „C”, którego północny ogonek zahaczał o Elphinstone, a południowy ciągnął się i ciągnął, aż w końcu dochodził do Stanów. Pocięła tę linię poprzecznymi kreseczkami, jak kartograf zaznaczający linię kolejową. Na koniec, gdzieś na południe od granicy, poniżej haczykowato wygiętej trasy kolejki, postawiła drugi „X” i poinformowała Jonesa, że jest to Bourne's Ford w stanie Idaho.

- Mój wujek jest ekspertem, jeśli chodzi o historię tej kolei - dodała. - Umiałby lepiej wytłumaczyć.

- Poproszę go o to, kiedy już się spotkamy - zapewnił ją Jones.

Te słowa uderzyły Zulę jak wymierzony prosto w nos kij baseballowy. Chwilę trwało, zanim się otrząsnęła i podjęła wątek:

- Bourne's Ford leży w dolinie rzeki.

- Jak większość brodów⁵ - zauważył cierpko Jones.

- To prawda. Dociera tam kolej, po rzece kursują statki... Z początku wyglądało na to, że jeśli kopalnia barona ma przynosić zyski, najlepiej będzie poprowadzić kolej na drugą stronę granicy i tam włączyć ją w sieć linii kolejowych obsługujących kopalnie w USA. - Zula dorysowała kilka kresek rozchodzących się promieniście z Bourne's Ford w stronę Kanady. - Abandon... - mruknęła pod nosem.

- Słucham? - zdziwił się Jones.

- Abandon Mountain. Jest gdzieś tutaj. - Zula bez przekonania naniosła na mapę kółko między Bourne's Ford i granicą.

- Ładna nazwa⁶.

- Kiedyś ludzie mieli talent do nazw. Tak czy inaczej, wywiązał się spór o to, czy lepiej wozić rudę na południe, do Bourne's Ford i Sandpoint, i w ten sposób uzależnić cały ten region od Amerykanów, czy raczej spróbować go włączyć w kanadyjską sieć transportową. Doprowadziło to do swobodnego wyścigu w budowaniu kolei, a cwany baron grał na dwa fronty. Kiedy Amerykanie próbowali przebić się ze swoją linią od południa, udawał, że wyjdzie im wąskotorówką na spotkanie. - Zula postukała w dolny ogonek „C”, przeniosła ołówkę wyżej i poskrobała górną część literki. - Tymczasem Kanadyjczycy w rozpaczliwym pośpiechu budowali ostatnie tunele kolejowe, które umożliwiłyby połączenie Elphinstone z resztą kraju. Ponieważ Kanadyjczycy wygrali, baron połączył swoją linię z ich linią od północy i Elphinstone rozkwitło. A południowy odcinek kolei, który chyba i tak był tylko podpuchą, żeby zmusić Kanadyjczyków do szybszego drażnienia tych tuneli, został porzucony i zapomniany.

- Ale nadal tam jest.

- Pomierzyli go i wytyczyli aż do granicy, ale splantowali krótszy kawałek, bez paru mil. Doszli do miejsca, w którym zaczynałyby się wiadukty i tunele i trzeba by naprawdę

⁵ Ford (ang.) - bród (przyp. tłum.).

⁶ Abandon (ang.) - porzucić, zaniechać. (przyp. tłum.).

zacząć coś budować, a więc wydać pieniądze. Tym sposobem szlak rowerowo-narciarski kończy się pięć mil od granicy, dochodząc właściwie do ściany urwiska.

- Istnieje jednak jakaś droga na drugą stronę granicy.

- Na pewno. Kiedy mój wuj prznosił na południe skórę niedźwiedzia...

- Skórę niedźwiedzia?

- To długa historia, opowiem ci kiedy indziej. Nie wspominają o niej w Wikipedii. Chodzi o to, że wujek chciał się przedostać do Stanów, ale nie wiedział, jak to zrobić. Z Elphinstone wyruszył po torach tej wąskotorówki, szedł po podkładach.

- Przyjemny spacer po płaskim.

- W rzeczy samej. Doszedł do końca linii i albo obszedł bokiem zagrażającą mu drogę skałę, albo jakoś przebił się przez nią na wylot. W każdym razie dotarł do granicy i ruszył dalej na południe... - Tu Zula nakreśliła bladą, niepewną, opartą na domysłach linię, która przecinała kółko oznaczające Abandon Mountain i schodziła do Bourne's Ford. - Prawdę mówiąc, nie był na tej trasie pionierem. - Podniosła wzrok. Jones patrzył na nią wyczekująco. - Podążał śladem przemytników whiskey sprzed czterdziestu, pięćdziesięciu lat. Z czasów Prohibicji.

Prohibition Creek. Ciekawe, czy Google Maps o nim słyszały.

- Szlakiem wykorzystywanym później przez szmuglerów marihuany - dodał Jones.

- Jeśli wierzyć plotkom, to tak.

Jones się zniecierpliwiał.

- Plotki czy nie, Richard wiele razy przemierzał ten szlak. - Powiódł palcem po narysowanej przez Zulę kresce. - I wiele razy mijał ruiny rezydencji barona, aż w końcu postanowił je kupić i zainstalować się w nich z uczciwym biznesem.

- O ile mi wiadomo, w tych kwestiach hasło w Wikipedii nie odbiega od faktów.

* * *

- Była pani tam... To znaczy w Chinach, tak? - spytał Richard.

- Byłam tam, kiedy ten blok mieszkalny wyleciał w powietrze.

Richard wytrzeszczył oczy.

- Ten, w którego piwnicy znajdowała się wtedy pańska bratanica - dodała kobieta.

- Domyślam się. Nie opowiadałaby mi pani przecież o innym wysadzonym w powietrze bloku w Chinach.

- Przepraszam.

Richard spojrział na nią w zadumie.

- Pewnie się pani nie przedstawi, co?

- Raczej nie. Ale może mnie pan nazywać... Laurą, jeśli imię ma panu w czymś pomóc.

- Dlaczego interesujesz się tą sprawą, Lauro? Co ci z tego przyjdzie, że odwiedzisz mnie od wyjazdu do Xiamen?

Laura się skrzywiła. Próbowwała oddzielić to, co może powiedzieć, od tego, co musi przemilczeć.

- To ma coś wspólnego z Rosjanami? - dopytywał się Richard. - Jest pani jakoś zamieszana w tę sprawę?

- Nie w taki sposób, jak mogłoby się panu wydawać, ale rzeczywiście, kilka dni temu poznałam jednego z nich. Dowódcę.

- Iwanowa czy Sokołowa? - spytał Richard i z satysfakcją odnotował malujący się na twarzy Laury wstrząs.

- Doskonale... - przyznała. - Miałam przeczucie, że rozmowa z panem może mieć nieprzewidziane następstwa.

Richard znał nazwiska Rosjan, ponieważ Zula wspominała o nich w swoim liście, o którego istnieniu Laura najwyraźniej nie wiedziała.

- Którego z nich ma pani na myśli?

- Sokołowa. - Laura musiała chyba dostrzec płomyk nadziei w oczach Richarda, bo natychmiast ostrożność przesłoniła jej twarz, jak okiennica okno. - Z przykrością muszę jednak panu powiedzieć, że nijak nie pomoże to w odnalezieniu Zuli. W każdym razie nie bezpośrednio.

- Jak to nie pomoże? O ile mi wiadomo, Iwanow ją uprowadził, a Sokołow jest jego pachołkiem.

- Iwanow nie żyje, a Sokołow, po tym, jak Iwanow zniknął ze sceny, był gotowy pomóc Zuli. Sprawy jednak potoczyły się inaczej... Nie po jego myśli. Zula nie jest już w tej chwili w rękach Rosjan.

- A w czyich?

Było widać, że Laura zna odpowiedź, ale waha się z udzieleniem jej.

- Moglibyśmy porozmawiać w jakimś innym miejscu?

- Najpierw musiałaby mnie pani przekonać, żebym nie leciał do Chin.

- Zuli od dziesięciu dni nie ma już w Chinach.

- A gdzie jest?

- Jestem przekonana, że gdzieś niedaleko stąd.

DZIEŃ 17

Nawet po tym, jak na bakburcie zamajaczył w końcu ląd, *Szelanya* sunęła równolegle do jego ciemnej kreski przez większość dnia, zanim wiatr wreszcie się zmienił i mogli podejść do brzegu. Linia brzegowa była fraktalnie ząbkowana - płytkie, szerokie na kilka mil zatoki (często wytyczone półwyspami lub wysepkami, które przy odpływie łączyły się z lądem) same miały niezliczone wrąbki. Minąwszy jedną z nich, załoga *Szelanyi*, nienawykła do nawigowania w pobliżu lądu (a właściwie, prawdę mówiąc, w pobliżu wszelkich twardych obiektów), strymowała żagle i przestawiła ster w takie położenie, żeby wejść do następnej. Łukowaty brzeg ciągnął się około dziesięciu kilometrów, zanim zatoka kończyła się wysepką połączoną z lądem poprzez błotnistą równinę zalewową. Wystarczyło obrać kurs na nią, żeby mieć pewność, że wkrótce natrafią na stały ląd, i to raczej prędzej niż później, bo nawet gdyby chcieli, nie zdołaliby już wydostać się z zatoki, ponieważ *Szelanya* nie była z założenia żaglowcem. Stała się nim niespełna dwa tygodnie temu, i to tylko w takim sensie, w jakim każdy unoszący się swobodnie na wodzie przedmiot jest napędzany wiatrem. Przerobienie jej na obiekt, który naprawdę żegluje, odbyło się zmusną metodą prób i błędów. Głównie błędów.

Szelanya wiozła pokaźny zapas brezentowych płacht, ale szybko się okazało, że brezent źle znosi naprężenia, jakim jest poddawany na wietrze. Z kolei sieci rybackie, choć mocniejsze, kiepsko łapały powietrze. Musieli więc połączyć jedno z drugim, żeby powstały prowizoryczne żagle: układali sieci na rozpostartym brezencie i zszywali je ze sobą za pomocą plastikowych obejm, drutu, nici i taśmy klejącej. Uzyskany w ten sposób kompozyt wytrzymał napór wiatru, lecz na rogach i krawędziach - czyli wszędzie tam, gdzie siłę należało za pośrednictwem lin przenieść na kadłub statku - rwał się przy pierwszym mocniejszym podmuchu. Krawędzie i rogi wymagały więc dalszych eksperymentów i improwizacji, których efekty nie były może najpiękniejsze, ale przynajmniej od dawna nic się nigdzie nie wyrwało. Dopiero kiedy rozwiązali ten problem i rozpięli pierwszy żagielek na osprzęcie przeznaczonym do manipulowania sieciami, Inżynier przyniósł z pentry butelkę piwa i ku wielkiej konsternacji pozostałych oficerów roztrzaskał ją o dziób statku, chrzcząc go imieniem *Szelanya*, czyli „Matka Wiatru”.

- Jeżeli taki byt w ogóle istnieje, może mu to pochlebić - wyjaśnił. - Wtedy nas nie

wydyma.

Cieśnina Tajwańska biegnie z północy na południe. W pierwszych kilku godzinach rejsu przekonali się, że płynie w niej stały prąd morski, spychający statki z kursu ku południowi, a podczas następnych kilku dni stwierdzili, że prąd ów jest solidnie wspomagany przez silny i stały wiatr wiejący z północnego wschodu, wypychający ich z cieśniny na Morze Południowochińskie.

Do czasu rozpoczęcia swojej wielkiej morskiej przygody Kapitan pływał wyłącznie na promach pasażerskich. Mimo to, podczas pierwszych - krytycznych! - czterdziestu ośmiu godzin opanował podstawowe zasady żeglowania z szybkością i biegłością, które Inżynierowi wydały się wręcz nadnaturalne. Podobnie jak nastolatek, który zaczyna grać w nową grę na komputerze, nie zwracając sobie głowy czytaniem instrukcji, po prostu próbował różnych rzeczy i obserwował ich skutki, następnie odrzucał to, co się nie sprawdziło, i agresywnie wykorzystywał wszelkie, nawet najmniejsze sukcesy. Jego umysł wręcz tryskał nowymi ideami. Nie istniały dla niego pomysły z założenia złe, ale - co chyba jeszcze ważniejsze - nie istniały również pomysły z założenia dobre: każdy należało wypróbować i na chłodno ocenić jego efekty. Było oczywiste, w jaki sposób został w rodzinnym mieście swoistym szefem gangu. Nikomu nie narzucił swojego przywództwa, lecz z takim uporem podsuwał, oceniał i wykorzystywał nowe pomysły, że koledzy nie mieli innego wyjścia, jak tylko pójść za nim.

Kiedy już do spółki z pozostałymi oficerami stworzył żagle, które nie pękały przy byle zefirku, i nauczył się jako tako żeglować, zaczął studiować mapy porzucone na mostku przez poprzednich właścicieli kutra. W oparciu o wskazania i zgrubne rachunki GPS-u doszedł do wniosku, że jeżeli dadzą się bezwolnie popychać prądom i wiatrom morskim, za kilka tygodni wylądują gdzieś w Malezji lub Indonezji. Zmontowany ze znalezionych na pokładzie przedmiotów prymitywny takielunek wykluczał halsowanie pod wiatr czy nawet rejs półwiatrem, ale Inżynier, który swego czasu żeglował co nieco po Balatonie, uważał, że przy odpowiednim ustawieniu żagla i delikatnym skręceniu steru mogliby wykorzystać północno-wschodni wiatr do własnych celów i dać mu się zagnać na leżącą na południowym wschodzie wyspę Luzon, co pozwoliłoby skrócić rejs o tydzień lub dwa. Obrali więc kurs na Filipiny i choć po pierwszym dniu wyniki ich starań nie były zachęcające, z czasem nauczyli się tak kierować *Szelanyą*, że najczęściej płynęła na południe z lekkim odchyleniem na wschód.

Potem pozostało im tylko czekanie, obserwacja nieba i dumanie, co się stanie, gdy nadciągnie sztorm - co wydawało się nieuniknione. Przyszło im do głowy (poniewczasie, rzecz jasna), że nie powinni byli wysysać ze zbiorników resztek paliwa, bo mogło się jeszcze przydać do uruchomienia generatora zasilającego pompę w zębie. GPS i reszta

elektronicznego drobiazgu jakoś tam jeszcze dychały, czerpiąc prąd z akumulatorów, ale wszystkie bardziej prądożerne urządzenia stały się bezużyteczne. Kiedy musieli naciągnąć linę, używali ręcznego kabestanu, a jeśli żadnego nie było akurat pod ręką, *ad hoc* montowali dziwnie aborygeński z wyglądu kłęb sznurów i dźwigni, który spełniłby pożądaną funkcję. Wkrótce statek zaczął sprawiać wrażenie, że tylko niezliczone metalowe obejmy trzymają go w kupie.

Przetrwali sztorm, który - widziany z perspektywy czasu - nie był żadnym sztormem, tylko po prostu deszczowym dniem na wzburzonym morzu. Z niewiadomych przyczyn Pilotka okazała się najmniej podatna na chorobę morską, spędzała więc najwięcej ze wszystkich czasu na mostku, gdzie kołysanie kutra najbardziej dawało się we znaki. Przy spokojnej pogodzie Kapitan z Inżynierem przychodzili tam do niej w odwiedzinach, nauczyli się jednak traktować mostek jak jej prywatną kajutę i za każdym razem wahali się chwilę przed wejściem. Oczywiście, kiedy morze było wzburzone, najczęściej byli zajęci stawianiem żagli i naprawianiem wszystkiego, co akurat się popsuło. Sposób Inżyniera na chorobę morską polegał na zdaniu się na łaskę żywołów: kładł się na brzuchu na fordeku i wpatrywał w jeden punkt na horyzoncie, nie bacząc na zalewający go deszcz i fale. Kapitan wolał zaś wycofać się do swojej kabiny, gdzie przez nikogo nieobserwowany mógł do woli upajać się swoim cierpieniem. Żadna z tych dwóch strategii nie wchodziłaby w grę, gdyby nie Pilotka, która potrafiła godzinami trwać na mostku, obsługując ster i mając baczenie na GPS i kompas.

Wspomniany już deszczowy dzień na wzburzonym morzu spełnił przynajmniej rolę próby przed sztormem z prawdziwego zdarzenia. Inżynier, który jak przez mgłę pamiętał czasy, gdy jego maciupenką żaglówkę na Balatonie zalały fale kilwatu przepływającej nieopodal motorówki, był przeświadczony, że najwłaściwszym sposobem postępowania w takich sytuacjach jest ustawienie statku prostopadle do grzywaczy. Zmniejszyło to prawdopodobieństwo wywrotki. Oczywiście gdyby mieli sprawne silniki, mogliby ustawiać *Szelanyę* jak dusza zapragnie, lecz w obecnej sytuacji Inżynier doszedł do wniosku, że powinni wciągnąć jakiś niewielki żagiel - wystarczająco duży, żeby wiatr popychał ich przed sobą, a przy tym dostatecznie mały, żeby wściekła wichura nie rozdarła go na strzępy. Zabrał się więc do pracy nad skleceniem takiego żagla z brezentu, sieci i innych drobiazgów, których nie zużyli jeszcze do innych celów. Ten akt żaglomistrzostwa obudził stare, dawno pogrzebane wspomnienia, strzępki przyswojonej za młodu wiedzy żeglarskiej, czerpanej z węgierskich przekładów takich książek jak *Mo by Dick* i *Wyspa skarbów*. Kiedy się ocknął, w jego głowie zmateriałizowało się niejasne przekonanie, że dobrze by było zrzucić za rufę

przywiązany na linie duży, stawiający opór wodzie przedmiot. Kiedy wiatr będzie popychał *Szelanyę* do przodu, dryfkotwa wykręci jej rufę wstecz, umożliwiając zachowanie kierunku, który z grubsza rzecz biorąc powinien być prostopadły do fal.

Poświęcił w tym celu stolik, który po zaplątaniu w sznurową kołyskę uwiązał na końcu liny i zepchnął z pawęży. Pierwsza próba, przeprowadzona w spokojniejszych warunkach, nie wróżyła stolikowi najlepiej podczas prawdziwego sztormu, dlatego do spółki z Kapitanem, którego przekonał do swoich racji, poświęcili większość dnia na ulepszenie projektu.

Z całą pewnością nie mieli nic innego do roboty.

Okazało się, że pogodny dzień poświęcony przygotowaniu dryfkotwy i żagla sztormowego był cichy dokładnie w sensie „ciszy przed burzą” i kolejne dwa dni spędzili w rozpaczliwej niedoli. Gdy tylko stało się jasne, co się święci, postawili żagiel sztormowy i zrzucili dryfkotwę. Następnie zakrzętnęli się przy zamknięciu wszystkich luków, przez które woda mogłaby dostać się do środka, i weszli na mostek, do Pilotki. System sterowniczy kutra składał się z koła sterowego, płetwy sterowej i łączących je łańcuchów i w chwilach największego zamętu jego obsługa wymagała więcej siły niż miała jej Pilotka, zwłaszcza Pilotka wyczerpana długą wachtą. Wówczas Kapitan przejmował ster do czasu, aż się zmęczył albo działające na koło siły zaczynały go przerastać. Wtedy ostatnią instancją był Inżynier, który stawał do samotnego pojedynku z *Matką Wiatru*. Nie było podczas sztormu takiej sytuacji, żeby bezrozumna siła fizyczna Inżyniera okazała się niewystarczająca. Problem polegał na tym, żeby umiejętnie łączyć ją z inteligencją.

Nic nie było widać. Deszcz i miotana wiatrem morską piana zalewały szyby. Okno wychodzące na dziób, bezpośrednio przed kołem sterowym, miało wbudowany obrotowy szklany dysk, który powinien wirować ze znaczną szybkością i w ten sposób oczyszczać się z wody, ale nie byli w stanie uruchomić obsługującego go silniczka. Dlatego w najgorszych momentach sztormu, kiedy naprawdę dobrze byłoby widzieć fale, żeby podejmować racjonalne decyzje w kwestii sterowania kutrem, byli całkiem ślepi i do oceny kształtu powierzchni oceanu musiały im wystarczyć przechyły i wierzganie pokładu pod stopami - a wtedy, naturalnie, było już za późno na jakąkolwiek reakcję. Najlepsze, co mógł zrobić Inżynier, to założyć, że następna fala nadejdzie mniej więcej z tego samego kierunku co bieżąca, i odpowiednio zakręcić kołem sterowym. Już prawie wmówił sobie, że niepotrzebnie traci czas, a jego oparte na fantazjach wysiłki idą na marne, gdy jego chwilowa dekoncentracja doprowadziła do tego, że *Szelanya* następną falę przyjęła na burtę i na długą chwilę legła na boku. Cała trójka - podobnie jak wszystkie luźne przedmioty na mostku -

zwaliała się na powierzchnię, która do niedawna stanowiła lewą ścianę mostka, a teraz nagle stała się podłogą. Leżeli tam jak zgniecione śmieci, dopóki kuter leniwie się nie wyprostował. Może nie grzeszył urodą, ale przynajmniej był dobrze wyważony.

Kiedy sztorm zelżał, nikogo nie zdziwiła konstatacja, że i żagiel sztormowy, i dryfkotwa gdzieś zniknęły. Sześć dni później wpłynęli do zatoki na Luzonie.

Na gładkiej i lśniącej wodzie zaroilo się nagle od olbrzymich nartników. Wydawały dziwne, bzyzące odgłosy, a przy bliższych oględzinach okazały się długimi, smukłymi łodziami z dwoma bocznymi pływakami. Z początku obierały kurs równoległy do kutra, zachowując bezpieczny dystans, ale kiedy stało się oczywiste, że *Szelanya* zamierza się wpakować na mieliznę, zaczęły się przybliżać, najwidoczniej zwabione jej tajemniczym zachowaniem. W każdej płynęło od jednej do sześciu osób - szczupłych, brązowoskórych i okazujących *Szelanyi* szczerze, radosne zainteresowanie.

* * *

Csongor wyobrażał sobie, że wpłyną kutrem prosto na plażę, ale *Szelanya* z sykiem piasku trącego o dno zatrzymała się o rzut kamieniem od brzegu, w wodzie o głębokości paru metrów. Dzięki temu zwinne łodzie tubylców, mające znacznie mniejsze zanurzenie, mogły ją okrążyć. Wystarczyło kilka minut, żeby *Szelanya* została otoczona kordonem długich łajb i co najmniej tuzin przybyszów wprosił się na jej pokład. Byli tak weseli i tak - w pewnym sensie - dobrze ułożeni, że załoga kutra nie od razu zorientowała się, że przybyli go złupić. GPS rozplątał się w powietrzu, zanim ktokolwiek zorientował się, co jest grane. Elektronika błyskawicznie zniknęła z mostku, anteny z masztu, garnki i patelnie z kambuza. Zewsząd dobiegał wizg pił, klucze zapadkowe ćwierkały jak świerszcze. Csongorem targały sprzeczne uczucia: złość, że go okradają - i zakłopotanie, bo przecież najpierw to on z Marlonem i Yuxią ukradli cały kuter, dopuścili się aktu piractwa i zabili człowieka; przyprawiająca o zawrót głowy ulga, że w końcu przybili do brzegu - i coraz silniejszy lęk, że znaleźli się w obcym kraju, wśród złodziejskich (choć uprzejmych) tubylców; paranoiczny, przeszywający do szpiku kości strach, że owi tubylcy mogą właśnie kraść coś, co do niego należy - i nagła świadomość, że ma tylko ubranie i to, co ukrył w kieszeniach.

Oraz torbę Iwanowa.

Do tej pory spacerował w tę i z powrotem po pokładzie, teraz zaś okręcił się na pięcie i wparował do kabiny, w której sypiał - w samą porę, żeby stanąć twarzą w twarz z młodym człowiekiem, który wychodził właśnie przez próg z rzeczoną torbą przewieszoną nonszalancko przez ramię. Młodzian skręcił całe ciało, żeby wyminąć Csongora, ten jednak przyspieszył, całkowicie zablokował drzwi, a następnie, zderzywszy się pierś w pierś ze

złodziejem, wepchnął go z powrotem do kabiny. Zwrócił tym uwagę rabusiów na trapie, prowadzących handel wymienny zwojami stalowych lin, plastikowymi beczkami na ryby, wojskowymi racjami żywnościowymi i innymi wyciągniętymi z ładowni skarbami. Csongor zatrzasnął i zablokował drzwi i odwrócił się do młodego tubylca, który w jednej ręce zaborczym gestem ścisnął torbę, w drugiej zaś trzymał nóż.

Był lepiej ubrany niż Csongor - w nieskazitelnie czystą koszulkę Boston Celtics i kwieciste surferskie szorty z ciężko obwisłymi naszytymi kieszeniami, w których jego nogi wydawały się jeszcze chudsze niż były w rzeczywistości. Jeszcze dwa tygodnie temu Csongor byłby w takiej sytuacji przerażony, teraz jednak skrzywił się tylko pogardliwie, złapał w garść rąbek poszarpanej i sztywnej od soli koszuli i podciągnął ją, odsłaniając wetkniętego za pasek szortów makarowa.

Nie od razu uzyskał pożądany efekt, ponieważ w pierwszej chwili intruz nie był w stanie oderwać wzroku od olbrzymiego i owłosionego tułowia. Nie był on ani tak wypukły, ani tak ziemście blade jak jeszcze przed dwoma tygodniami, ale nawet w tej szczuplejszej i bardziej opalonej wersji był jak ósmy cud świata dla młodego Filipińczyka, który na dodatek kompletnie nie pojmował wymowy tego dziwaczного gestu. Czyżby Csongor podsuwał mu swój brzuch do dźgnięcia? W końcu jednak jego oczy zbłądziły niżej i spoczęły na kolbie pistoletu. Csongor zdawał sobie sprawę, że groźba jest trochę na wyrost; gdyby napastnik przyłożył się do użycia noża, mógł go poważnie pokaleczyć, może nawet ranić śmiertelnie, zanim on zdążyłby wyciągnąć i odbezpieczyć broń - miał jednak przecucie, że Filipińczyk nie jest poważnym nożownikiem i, blefując, próbuje wywalczyć sobie wyjście z kłopotliwej sytuacji. Wystarczyło zatem podbić stawkę i przebić blef blefem.

Atak nie nastąpił. Csongor patrzył intruzowi w oczy, aż w końcu tamten schował nóż. Wówczas Csongor wskazał torbę i skinął zakrzywionym palcem. Filipińczyk przewrócił oczami, westchnął, zrzucił torbę z ramienia i kopniakiem posłał ją w stronę Csongora, który zgarnął ją z podłogi i odsunął się w bok, robiąc mu miejsce przy wyjściu.

Trzydzieści sekund później znaleźli się na pokładzie jednej z łodzi, przyjąwszy ofertę przewiezienia na brzeg. Po upływie dalszych trzydziestu sekund stali już na suchym lądzie i targowali się z przewoźnikiem, który nie posiadał się ze zdumienia, że ktoś mógł się nie spodziewać opłaty za przejazd. Trudno było się im dogadać, dopóki Yuxia (która od chwili lądowania na przemiał to skakała po plaży, jakby testując trwałość jej konstrukcji, to klękała na piasku i całowała go z wdzięczności) nie zauważyła, że Filipińczyk posługuje się w miarę zrozumiałym dialektem fujiańskiego. Zerwała się na równe nogi, rozchlapując wodę podbiegła do łodzi i zaczęła wypróbowywać na nim różne słowa, formując sylaby

oblepionymi piaskiem wargami. Csongor zauważył, że choć ta forma komunikacji pozostawia wiele do życzenia, to jednak udaje im się wymieniać jakieś kluczowe pojęcia. Marlon (który do tej pory leżał na wznak na plaży i w uniesieniu wrzeszczał wniebogłosy) usiadł teraz i nadstawił ucha, ale wyglądało na to, że z rozmowy rozumie tyle samo co Csongor.

Csongor oddalił się trochę, żeby przewoźnik nie mógł mu zajrzeć do torby, postawił ją na piasku, uklęknął przy niej i odpiął suwak.

Padł na niego cień. Podniósł wzrok i zobaczył przyglądającą mu się ciekawie dziewczynkę, na oko ośmioletnią, z dzieckiem na biodrze. Zahaczył rękę o pas naramienny torby i wstał, podnosząc ją w ten sposób na pułap nieosiągalny dla dziecka, po czym ją otworzył. Dziewczynka przysunęła się i wspięła na palce, usiłując zajrzeć do środka. Dziecko wyciągnęło obślinioną rączkę, ucapiło za skraj otwartej torby i pociągnęło w dół, jakby chciało pomóc starszej siostrze w zaspokojeniu ciekawości.

Sytuacja się skomplikowała. Csongor nie bardzo mógł wdać się w przepychanki z cudzym dzieckiem, ale naprawdę nie chciał, żeby ktoś tu się dowiedział, jaką masę chińskiej waluty taszczy ze sobą.

Słońce zajrzało w głąb głównej komory torby. Jego promienie padły na garść luźnych czerwono-fioletowych banknotów. Forsa zniknęła.

Csongor przypomniał sobie spotkanego w kabinie młodego mężczyznę. Miał takie wypchane kieszenie spodni... Odwrócił się i spojrzał na ugrzęźniętą w piasku *Szelanyę*: na pokładzie rojła się setka ludzi, a wciąż dochodzili nowi. Inni zabrali już to, po co przyплыnęli, i łodzie zaczynały się rozpraszać. Sytuacja stawała się beznadziejna. Nawet gdyby zapłacił komuś, żeby przewiózł go na wrak, albo dopłynął nań wpław i w jakiś sposób zmusił do posłuszeństwa znaczną liczbę ludzi (w większości uzbrojonych pewnie przynajmniej w noże), szansa na to, że tamten młodzian nadal kręci się w pobliżu, była znikoma.

Zajrzał do portfela i znalazł w nim sporo węgierskich pieniędzy oraz kilka zabłąkanych banknotów euro.

Przeniósł wzrok na przewoźnika, który - gdyby mierzyć go standardami filipińskimi - wyglądał na stuprocentowego Azjatę. Co łączy tych ludzi z Chinami? Mają jakąś niejasną świadomość, że przed setkami lat właśnie stamtąd przybyli ich przodkowie? Czy regularnie kursują tam i z powrotem?

- Jakie pieniądze go interesują? - spytał Yuxię.

- Weźmie renminbi.

- A inne?

Yuxia przetłumaczyła jego pytanie i Csongor sam usłyszał odpowiedź tubylca:

- Dolary.

Dziewczynka, stwierdziwszy, że w torbie nie ma żadnych cudów, straciła zainteresowanie nią, odkleiła od niej paluszki dziecka i wycofała się, żeby z oddalenia kontynuować obserwację. Csongor ruszył nieśpiesznie w stronę Yuxii i przewoźnika. Sięgnąwszy do jednej z bocznych kieszeni torby, namacał w niej strunową torebkę z rzeczami Petera. Wyjął z niej i otworzył należący do Petera nylonowy portfel. Znalazł w nim uwięziony pod foliowym okienkiem dokument, który wziął za wydane przez stan Waszyngton prawo jazdy, oraz plastikowe karty i świstki papieru w rozkładających się w wachlarz foliowych etui: legitymację ubezpieczeniową, kartę rejestracyjną wyborcy, prostokątny karteluszek z zapisanymi długimi ciągami przypadkowych cyfr, liter i znaków interpunkcyjnych (zapewne hasłami). Nie było ani jednego zdjęcia Zuli, co potwierdzało niezbyt życzliwą opinię o Peterze, jaką Csongor wyrobił sobie przy pierwszym spotkaniu. W kieszonkach portfela - karty kredytowe i debetowe. Przegródka na banknoty zawierała dwa amerykańskie banknoty i znacznie więcej innych, bardziej kolorowych, których w pierwszej chwili nie rozpoznał, a potem zorientował się, że pochodzą z Kanady. Bardzo dziwnie się czuł, stojąc na plaży na Luzonie i obracając w rękach pamiątkę po dawno nieżyjącym człowieku z innego świata.

Rozmowa Yuxii z przewoźnikiem utknęła w martwym punkcie, gdy ten ostatni zajrzał w głąb portfela.

Korzystając z faktu, że udało się odwrócić jego uwagę, Csongor zwrócił się do Yuxii:

- Musimy się dostać do miasta, w którym da się wynająć pokój w hotelu, wejść do Internetu, kupić bilet na autobus do Manili czy gdzieś tam... Jak daleko jest stąd do takiego miasta? I czy łatwiej się tam dostać morzem, czy lądem?

Od czasu do czasu słyszeli bowiem ciężarówki, pędzące na złamanie karku drogą biegnącą kilometr, może dwa od plaży. Wzbijane przez nie tumany kurzu wznosiły się nad dżunglą jak kłęby dymu.

- On nie jest głupi - wytknęła Csongorowi Yuxia. - Wiesz, co odpowie.

- Możesz to ubrać w dowolne słowa, byleś nas stąd wyciągnęła.

Dzięki temu Yuxia i przewoźnik znów mieli temat do rozmowy, a Csongor mógł zajrzeć do drugiej torebki, tej z rzeczami Zuli. Otwarcie jej portfela wywołało falę uczuć, które wstrząsnęły nim jak strzał z obrzyna. Wstyd, że zachowuje się tak nie po dżentelmeńsku. Zgrozę, że - być może - grzebie w rzeczach nieżyjącej już osoby. Natarczywą ciekawość wszystkich aspektów życia Zuli. Przeszywające poczucie straty. Postanowienie, że spróbuje ją odszukać - o ile jeszcze żyje. Lęk, że nie znajdzie żadnych pieniędzy, a potem

niedorzeczna ulga, gdy wśród kanadyjskich banknotów o różnych nominałach odkrył kilkanaście nowiutkich amerykańskich dwudziestodolarówek.

- Na południe stąd znajduje się nadmorskie miasto z hotelem, w którym zatrzymują się turyści - obwieściła Yuxia.

- Filipińscy? Czy...

- Mówi, że biali mężczyźni.

- Daleko?

- Przy tej pogodzie trzy godziny łodzią. Albo możemy wyjść na drogę i łapać stopa.

Marlon pozbierał się z plaży i podszedł bliżej, żeby przysłuchiwać się rozmowie. Był cały utyłany piaskiem i uśmiechnięty od ucha do ucha. Bez słów porozumiał się z Csongorem i Yuxią: wyglądało na to, że zgadzają się płynąć łodzią.

Csongor wyciągnął dwudziestkę z portfela Zuli, podniósł ją wysoko i wręczył przewoźnikowi. Ten wprawdzie się uśmiechnął, ale Yuxia wtrąciła lodowatym tonem: „Chce więcej”, dając Csongorowi do zrozumienia, że dawno został wykiwany i przebity w targach.

Csongor odwrócił się w stronę *Szelanyi* otoczonej mrowiem łódek, z których wiele prezentowało się nie gorzej od tej, przy której stali.

- Powiedz mu, że dostanie więcej po dowiezieniu nas na miejsce. A jeśli mu się to nie spodoba, zapytaj, co się stanie, kiedy zaczną brodzić w stronę wraku, wymachując takimi dwudziestkami nad głową.

- Dlaczego płacisz amerykańskimi pieniędzmi? - zdziwił się Marlon.

Kiedy Yuxia tłumaczyła słowa Csongora, ten pokazał Marlonowi pustą torbę i, widząc szok malujący się na jego twarzy, ruchem głowy wskazał *Szelanyę*.

- Dałem się przechytrzyć - wyjaśnił.

Przewoźnik pokłócił się trochę z Yuxią, żeby zachować twarz, ale w końcu podszedł do swojej łodzi i gestem zaprosił ich na pokład.

Kadłub miał całkiem okazałe rozmiary (dobre dwanaście metrów długości i metr szerokości w najszerszym punkcie) i przekrój w kształcie głęboko wykrojonej litery „V”, przez co burty sterczały wysoko jak ściany. Można było odnieść wrażenie, że w tych rejonach żadna jednostka pływająca, bez względu na wielkość i przeznaczenie, nie może się obejść bez bocznych pływaków. Ta łódź również nie była wyjątkiem: rolę pływaków pełniły dwa długie i cienkie pnie drzew, pomalowane (jak prawie cały kadłub) na niebiesko. Trzy kolejne niebieskie kłody podobnych rozmiarów zostały przerzucone w poprzek kadłuba jako rusztowanie dla pływaków. Uśmiechnięci pomagierzy kapitana łodzi - jeden dwudziestoletni chłopak i jeden dwa razy młodszy - śmigali po tym rusztowaniu i samych pływakach ze

zwinnością linoskoczków. Trudno było powiedzieć, czy zawsze są tacy roześmiani, czy po prostu w ten sposób reagują na korzystne warunki zatrudnienia. Wykonywali różne drobne i uciążliwe prace, podczas gdy patriarcha siedział na rufie i obsługiwał silnik. Marlon, Yuxia i Csongor rozgościli się pod rozpiętą w środkowej części kadłuba markizą z niebieskiego brezentu. Od chwili zakończenia targów o wynagrodzenie gospodarze okazywali im wręcz zawstydzającą gościnność: młodszy podsuwał im wodę butelkowaną i kolorowe napoje w kruchych plastikowych butelkach, a starszy ugotował na małym betonowym palenisku ryż.

Wbrew zapowiedziom podróż zajęła im bliżej dwóch niż trzech godzin, mimo że przez większość czasu płynęli pod żaglami - po wyprowadzeniu łajby poza rejon płycizn i cizbę łódek stłoczonych wokół *Szelanyi*, przewoźnik zgasił silnik, a chłopcy wciągnęli płótna na maszt. Wyglądały niewiele schludniej od prowizorycznych żagli Csongora, Marlona i Yuxii, ale działały o niebo lepiej i łódź pomknęła chyżo wzdłuż wybrzeża.

Czas upływał Csongorowi na rozpamiętywaniu spotkania z chłopakiem w koszulce Celtics, napawaniu się wieloaspektowością swojej głupoty i katalogowaniu przegapionych okazji do odwrócenia sytuacji na swoją korzyść i odzyskania pieniędzy.

Marlon chyba czytał mu w myślach. Uśmiechnął się i szturchnął go w ramię.

- Jest spoko - powiedział.

Csongor w tym wieku powinien już być odporny na zapewnienia spoko dzieciaków, że sam jest spoko, ale i tak reakcja Marlona ogromnie poprawiła mu humor.

- Serio? - spytał.

Zerknął na Yuxię, która spała kamiennym snem, z lekko rozchylonymi ustami. Nagle uderzyło go, jaka jest piękna. Jak Madonna z kościoła. Kiedy nie spała, energia i siła osobowości rozświetlały od środka jej twarz i nie pozwalały zobaczyć jej takiej, jaką naprawdę była - podobnie jak trudno docenić szkło żarówki, kiedy jest włączona. W innym wszechświecie mogłaby mu się wydać pociągająca; w tym na zawsze pozostanie jego młodszą siostrą.

Obejrzał się na Marlona, który nie spuszczał go z oka. Podczas rejsu *Szelanyą* miał wrażenie, że Marlon z Yuxią darzą się wzajemną sympatią, i zastanawiał się, czy może ich połączyć romantyczny związek. Do tej pory wykluczała go okrutna rzeczywistość. Czyżby Marlon miał nadzieję, że teraz to się zmieni? A jeśli tak, to czy odczuwał zazdrość, kiedy Csongor przyglądał się śpiącej Yuxii? Niczego takiego nie było po nim widać, a ponieważ Csongor sam nigdy nie umiał ukrywać uczuć, miał nadzieję, że Marlon właściwie odczyta wyraz jego twarzy.

- W jakim sensie spoko? - zapytał. - Masz jakiś plan?

- Muszę zajść do jakiegoś *wangba* i rozejrzeć się po Torgai. Mogę zgarnąć grubszą kasę.

- Tyle, żebyśmy mieli za co dostać się do Manili?

Marlon wyszczerzył zęby w uśmiechu, rozczulony naiwnością Csongora.

- O wiele więcej - odparł.

* * *

Richard Forthrast zawiózł ich do znajdującej się nieopodal lotniska dzielnicy Georgetown. Skręcił na jednym ze skrzyżowań, zwolnił w pół drogi do następnego i pokazał jej budynek, z którego, jak utrzymywał, dwa tygodnie wcześniej uprowadzono jego bratanicę i niejakiego Petera Curtisa. Stamtąd udali się po pobliskiego lokalu gastronomicznego, przed którym parkował długi szereg harleyów. Barmanka - poważna kobieta z mnóstwem tatuaży - przywitała Richarda po imieniu i zapytała:

- Są jakieś nowiny?

Sposepniała, kiedy pokręcił głową.

Zajęli ostatni wolny boks. Kelnerka wiedziała już wprawdzie, co zamówi Richard, ale przyniosła karty dla Olivii i Johna. Olivia, która w duchu szykowała się na żółte, rozwodnione amerykańskie piwo, ze zdumieniem odkryła w karcie ze dwadzieścia odmian porządnych piw beczkowych o różnej mocy i charakterze. Zamówiła kufel *bittera* i hamburgera. John Forthrast wziął butelkę pabsta blue ribbon i też hamburgera, co najwyraźniej roznieciło jakieś tłące się od niepamiętnych czasów wzajemne braterskie żale.

- Jesteś w mieście, w którym możesz zamówić dowolną potrawę - upomniał Johna Richard. - Korona by ci z głowy nie spadła, gdybyś... Zresztą, nieważne. - Tu rzut oka na Olivię i konstatacja, że to nie czas i miejsce na wskrzeszanie jałowego sporu.

- Nie lubię ostrego jedzenia - mruknął z uporem John.

- To prawdziwy robotniczy bar czy tylko imitacja? - spytała Olivia.

- Jedno i drugie - odparł Richard. - Zaczynał parę lat temu, przed kryzysem, jako stuprocentowa imitacja dla dwudziestoparolatków, którzy posłuszni modzie przeprowadzali się do Georgetown, nosili ciuchy od Carhartta i spódnice robocze. Podróbka wyszła jednak tak doskonale, że zaczęła przyciągać prawdziwe niebieskie kołnierzyki. A potem przyszedł kryzys, modni dwudziestolatkowie nagle sami stali się robotnikami i uświadomili sobie, że tak już może być zawsze. Dlatego spotkasz tu tokarzy, którzy mają stopnie naukowe i kolorowe irokezy na głowach. Prawdę mówiąc, dopiero szukam dla nich jakiegoś dobrego określenia. Może „jasnoniebieskie kołnierzyki”?

- Dużo ludzi zagląda tu po drodze na terminal dla prywatnych odrzutowców?

- Zdziwiłabyś się.

Pojawienie się zamówionego jedzenia i picia spowodowało przerwę w konwersacji. Potem Olivia spróbowała opowiedzieć co nieco o sobie, starannie unikając deklaracji, dla kogo dokładnie pracuje (choć to chyba musiało być oczywiste) i skąd wie to, co wie.

- Ponieważ sama niewiele mogę powiedzieć, liczyłam raczej na to, że dowiem się czegoś od was - dodała na zakończenie. - Fakt, że znane są wam nazwiska Iwanowa i Sokołowa, dowodzi słuszności moich oczekiwań.

Richard wyświetlił na ekranie iPada zdjęcia napisanego na papierowych ręcznikach listu Zuli, który Olivia przeczytała ze zrozumiałą fascynacją.

Z punktu widzenia MI6 sprawa Zuli i Rosjan była fałszywym tropem. Chcieli tylko dorwać Jonesa, a przedtem zebrać jak najwięcej informacji na jego temat. W Xiamen nieźle się ustawili i prowadzili całkiem satysfakcjonującą operację, którą przerwała dopiero interwencja Rosjan. Wszystko, co wiązało się z *T'Rainem* i REAMDE, tylko niepotrzebnie odwracało ich uwagę. Olivia mogła się spotkać przy piwie z założycielem i prezesem Korporacji 9592 w czasie wolnym, dla rozrywki, ale w żadnym razie nie powinna mylić takiej wizyty w barze dla motocyklistów z prawdziwą pracą zawodową. Tyle oficjalna wykładnia. Ponieważ jednak dopiero co zakończyła długie i kosztowne szukanie wiatru w polu na półwyspie Zamboanga - oficjalnie zatwierdzoną misję, w której naraziła Seamusa i jego ludzi na poważne niebezpieczeństwo i najprawdopodobniej przyczyniła się do kilkunastu zgonów - w tej chwili traktowała oficjalną linię partii z dużą dozą sceptycyzmu. Miała zresztą niewyraźne przeczucie, że wspólne piwo z Richardem Forthrastem może się na dłuższą metę okazać bardziej produktywnie niż wypad do Manili. Ponieważ jednak na razie nie mogła tego udowodnić, nie zamierzała też prosić o zwrot wydatków na cele reprezentacyjne. Co zresztą nie miało żadnego znaczenia, bo przed odwiezieniem jej do hotelu Richard zapłacił cały rachunek.

Dopiero o jedenastej rano następnego dnia mogła przystąpić do pracy nad GPA, czyli Gambitem Północnoamerykańskim, bo tak ochrzciła swoją teorię, w myśl której Jonesowi udało się kradzionym odrzutowcem dotrzeć z Xiamen prosto do Ameryki. W biurze FBI w Seattle przekonała się, że agenci, z którymi się kontaktuje, podlegają rozkazom ludzi z Waszyngtonu, którzy całkiem poważnie zamierzają systematycznie rozpracować tę teorię, krok po kroku. Miało to swoje dobre i złe strony. Oczywiście cieszyła się, że traktują ją poważnie i angażują się w dochodzenie, ale ktokolwiek nadzorował całe to przedsięwzięcie z Waszyngtonu, był stuprocentowym Człowiekiem Korporacji; miał skrupulatny charakter inżyniera i przejmował się głównie kwestią odpowiedzialności za projekt. Inaczej mówiąc,

nie był Seamusem Costello. Miała wrażenie, że masę zbędnego wysiłku poświęca się w FBI odtworzeniu tego hipotetycznego lotu w symulacjach i grach wojennych, które MI6 przeprowadziło już z górami tydzień temu. „Uruchamiano” coraz nowsze i lepsze „zasoby”, coraz więcej „przeróżająco bystrych” analityków „angażowano w sprawę” i „zapoznawano z aktualną sytuacją”.

O tych wydarzeniach Olivia dowiadywała się z drugiej i trzeciej ręki. Ton otrzymywanych e-maili i wyraz twarzy jej rozmówców jasno dowodziły, że powinna się cieszyć z takich postępów w śledztwie. Jednakże tutaj, tysiące mil od waszyngtońskiej sali konferencyjnej, w której zapadały decyzje, wszystkie te usprawnienia nie przynosiły efektów innych niż przeciągająca się zwłoka. Dopiero dwadzieścia cztery godziny po spotkaniu z Richardem Forthrastem zaczęto jej udostępniać informacje niezbędne do poważnej weryfikacji GPA: listę numerów rejestracyjnych prywatnych odrzutowców, które wylądowały na amerykańskich lotniskach w interesującym ją okresie (od tamtej pory minęło już półtora tygodnia - wystarczająco dużo czasu, żeby miała świadomość, że porusza się po beznadziejnie wystygłym tropie), oraz zdjęcia satelitarne przedstawiające (w wysokiej rozdzielczości) odludne zakamarki północnego zachodu Stanów Zjednoczonych, na których algorytmy przetwarzania obrazu wykryły białe kształty od biedy przypominające kadłub samolotu.

Wczesnym popołudniem dostała esemesa, w którym Richard Forthrast informował ją, że znajduje się w pobliżu, na odległym dosłownie o parę przecznic dworcu autobusowym, i pytał, czy nie miałyby ochoty napić się z nim kawy. Prawdę mówiąc, tkwiła po uszy w robocie i nie bardzo miała czas, ale wiadomość brzmiała uwodzicielsko i tajemniczo, obietnica kawy była kusząca, a towarzystwo Richarda sympatyczne. Zjechała więc windą na parter i piechotą poszła na dworzec, gdzie Richard z Johnem siedzieli na ławce, czytali - odpowiednio - „New York Timesa” i „Reader’s Digest” i czekali na autobus ze Spokane, który miał opóźnienie z powodu niesprzyjających warunków pogodowych na przełęczy Snoqualmie. Jacob Forthrast postanowił porzucić swoją posiadłość w Idaho i spędzić trochę czasu ze starszymi braćmi.

- Czuje się nieprzydatny - wyjaśnił Richard (była to przygnębiająca i bezlitosna analiza, jaka może mieć miejsce tylko w rodzeństwie). - Kiedy się dowiedział, że jednak nie lecimy do Chin, od razu złapał autobus.

Patrzył na Olivię znad „New York Timesa” i okularów do czytania i musiał chyba wyczytać w jej twarzy pytania („To Jake nie ma samochodu? Nie stać go na bilet lotniczy?”), których przez uprzejmość nie chciała zadawać, bo złożył gazetę i zaserwował jej krótki

wykład na temat wierzeń Jake'a. Wygłosił go w sposób, który sugerował, że dla niego to nie pierwszozna i zależy mu na tym, żeby zrobić to jak należy. Mówił wystudiowanym, niezobowiązującym tonem, dając jej do zrozumienia, że pod żadnym względem nie podziela zdania Jake'a, ale nic nie można na to poradzić, więc nie ma sensu czepiać się ogólnej absurdalności tych poglądów.

Wkrótce po zakończeniu tego krótkiego wprowadzenia przyjechał autobus. Jake wysiadł w tłumie ludzi starszych, przedstawicieli mniejszości etnicznych, młodziaków, którzy jeszcze nie mogli prowadzić samochodu, oraz życiowych pechowców. Olivia, która mimo najszczerszych wysiłków braci Forthrastów czuła się tam dziwnie nie na miejscu, przespacerowała się z nimi do księgarni, którą Jake koniecznie chciał odwiedzić. Wiedząc, że Jake wierzy w całą masę różnych dziwactw, Olivia była zaintrygowana, że pierwszym punktem programu wizyty musi być księgarnia, ale przynajmniej nadarzała się okazja do przełamania lodów. Nie miała pojęcia, jak ktoś taki zareaguje na obecność jej - kobiety innej rasy niż biała - lecz Jake okazał się uprzejmym kompanem i sympatycznym rozmówcą, zwłaszcza że wychodził ze skóry, żeby przedstawić się jako „czubek” i „świr”, jakby myślał, że w ten sposób pomoże Olivii (czy raczej „Laurze”, jak nadal się przedstawiała) oswoić się ze sobą. Było widać, że jest na bieżąco ze sprawą Zuli i wie, jaką rolę odgrywa w niej „Laura”. Rozmyślał o tym, jadąc autobusem, i miał teraz masę pytań i kilka teorii, z których większość sprawiała wrażenie wytworów bystrego i aktywnego umysłu. Olivia uświadomiła sobie, że Jake inteligencją co najmniej dorównuje Richardowi, a może nawet go przewyższa.

- Dlaczego mieszkasz na takim odludziu? - zapytała w końcu.

Siedzieli naprzeciw siebie przy stoliku w księgarnianej kafejce. Jake zaraz po wejściu znalazł książkę, o którą mu chodziło (podręcznik rolnictwa organicznego), za to Richard z Johnem zblądzili w dalsze rejony sklepu i trudno było powiedzieć, kiedy wrócą. Postawiła Jake'owi kawę, a on znów sygnął autoironicznymi żartami na temat swojego stylu życia, które zaczynały pomału nużyć Olivię. Tak kręcili się w kółko wokół tematu tabu, dopóki nie uznała, że najlepiej będzie zapytać wprost. Była obca w obcym kraju i powinno jej to ująć na sucho.

- Zaczęło się chyba od eseju Emersona *O samodzielności*, potem poszedłem dalej tym tropem - odparł. - „Spójrz, oto koniec pysznego świata... Niech rozpocznę na nowo. Niech to, co skończone, pozna swojego pana”. Takie myśli nachodziły mnie już wcześniej, po śmierci Patricii... Dodge ci o tym opowiadał?

Pokręciła głową.

- Nie, ale coś czytałam...

- W Wikipedii, domyślam się. Tak czy inaczej, i tak nie miałem wtedy lepszego zajęcia, więc postanowiłem poświęcić lato na zbudowanie wokół tego swojego nowego życia.

- Wokół samodzielności w rozumieniu Emersona, tak?

- Mhm. Z lata zrobił się cały rok, przez ten rok poznałem Elizabeth, a potem... no, kości zostały rzucone. Dodge miał w północnym Idaho kawał ziemi, kupiony dawno, dawno temu, na tym etapie życia, który, jeśli się nie mylę, też jest szczegółowo opisany w Wikipedii.

Olivia uśmiechnęła się uprzejmie, słysząc ten unik, co chyba dodało Jake'owi pewności siebie.

- Był to, jeśli dobrze zrozumiałam, południowy kraniec jego... szlaku. Czy jak to tam nazwiemy. Zaledwie kilka mil od granicy, a zarazem w zasięgu sieci dróg.

- Zgadza się. Tak się przy okazji składa, że to jedno z najpiękniejszych miejsc, jakie można sobie wyobrazić: górne partie niedużej doliny, płaski teren, w sam raz pod budowę i uprawy, a zarazem dosłownie parę minut od gór, gdzie roi się od zwierzyny, borówek, dzikich kwiatów i wodospadów.

- Rzeczywiście, brzmi pięknie.

- Kiedy wysiadłem z autobusu w Bourne's Ford, bo tak się nazywa najbliższe miasto, jakiś starszy człowiek powitał mnie słowami „Witaj w krainie Boga”. Pomyślałem, że to jakiś kit, ale kiedy przemierzyłem tamtą dolinę i dotarłem na ziemie Dodge'a... Tak, wtedy zrozumiałem. Na początek zamieszkaliśmy z Elizabeth w namiocie turystycznym. Napisałem do Dodge'a i zapytałem, czy nie będzie miał nic przeciwko temu, żebyśmy trochę ułatwili sobie życie. Zaczęliśmy budować, a potem już poszło samo.

- Gdzie w tym wszystkim miejsce na chrześcijańską prawicę? Skąd się to wzięło?

Na rozpromienionej w błogim wyrazie twarzy Jake'a odmalowała się ostrożność.

- Kiedy pojawiły się dzieci, religia znów zagościła w naszym życiu. To się często zdarza. W tym wypadku Elizabeth była moją przewodniczką. Dla mnie najważniejsza jest w tym przynależność do wspólnoty, której nie wyznaczają pieniądze ani bliskość w sensie geograficznym, lecz wartości duchowe. W górach nie ma katedr. Człowiek sam sobie buduje swój kościół, polując, uprawiając ziemię, rąbiąc drewno na opał. Takie życie może się wydawać proste i toporne komuś, kto mieszka wśród katedr i szkół teologicznych.

- A co z polityką?

Jake się zamyślił. Zrobił zniechęconą minę, jakby wątpił w sens wykładania czegoś takiej kosmopolitycznej outsiderce jak Olivia.

- Powtórzę: „Spójrz, oto koniec pysznego świata... Niech rozpocznę na nowo”. To, co widzisz, to nie jest polityka. To brak polityki. To nasza próba życia w taki sposób, żebyśmy

nigdy więcej nie musieli znosić obecności polityki i polityków. A to oznacza, że kiedy politycy nas prześladowają, kiedy próbują ingerować w nasze życie, musimy się bronić. Kiedy to tylko możliwe, stosujemy bierny opór, ale czasem...

- Sięgacie po broń?

- W pełni wykorzystujemy nasze prawa wynikające z DP.

- DP?

- Drugiej poprawki.

- W tej chwili też masz przy sobie broń?

- Oczywiście. I założę się, że w promieniu stu stóp wokół nas jest jeszcze z dziesięć uzbrojonych osób. Chociaż nie umiałabyś ich wskazać - dodał Jake, gdy Olivia odruchowo zaczęła się rozglądać.

Rzeczywiście, nie zauważyła żadnych rzucających się w oczy rewolwerowców - dostrzegła za to Richarda i Johna, którzy, zagadani przy wyjściu, zerkali znacząco w ich stronę.

- Chyba wychodzimy - powiedziała, wstając.

- Przyjeźdź nas odwiedzić - wypalił Jake.

- Słucham?

- Wiem, że to na uboczu; pewnie nigdy nie znajdziesz się bliżej niż pięćset mil od Prohibition Creek, chyba że lecąc samolotem, ale gdyby tak się zdarzyło, zapraszam. Wpadnij do nas, posiedź chwilę w naszej dolinie. Mówię poważnie. Zobacysz, wszystko będzie normalnie; nie będziesz się czuła skrępowana, nikomu nie będzie przeszkadzało, że nie jesteś Amerykanką ani że wyglądasz inaczej niż my. Spodoba ci się. Nikt nie będzie cię nawracał.

- To bardzo uprzejma propozycja i... rzeczywiście taka wizyta mogłaby mi się chyba spodobać.

- To dobrze.

- Teraz potrzebuję tylko pretekstu, żeby polecieć... Dokąd? Do Spokane?

- Albo do Elphinstone. Albo do *Schlossu* Richarda. Tam w odległości jednego dnia jazdy jest dużo ładnych miejsc.

* * *

Olivia była wzruszona, że Richard uwzględnił ją w planach rodzinnego spotkania, - dopóki nie uświadomiła sobie, że na pewno nie jest sentymentalnym durniem i zrobił to wyłącznie z powodów taktycznych. Od tego momentu już tylko udawała wzruszoną. Powiedziała Forthrastom bez ogródek, że widzi, że mają coś do przedyskutowania. A ona miała przecież robotę. Pożegnali się więc w księgarni i wróciła do biurowca FBI, do swojego

dochodzenia.

Zasiedziała się do późna, czekając, aż Londyn zacznie pracę: chciała naradzić się z kolegami i podsunąć im kilka tropów do sprawdzenia w czasie, kiedy sama będzie spała. Nagle zadzwoniła jej komórka i na ekranie wyświetliło się nazwisko Richarda.

- Tak dzwonię, żeby zapytać, co sływać - wyjaśnił.

Zapadła krępująca cisza. Olivia czekała, co Richard powie, ale po chwili zrozumiała, że dzwoni, żeby sprawdzić, czy od czasu ostatniego spotkania udało jej się czegoś dowiedzieć, znaleźć jakiś okruczek nadziei. Nie była w stanie odpowiedzieć mu inaczej niż korporacyjnymi banałami: drążę, poszerzam zakres, wytyczam nowe granice przestrzeni poszukiwań. Jeżeli w jego uszach brzmiały równie fatalnie jak w jej, to prawdziwy cud, że nie zabrał Jake'owi pistoletu i nie skrócił sobie mąk.

Poinformował ją, że przez cały dzień siedzieli we trzech u niego w mieszkaniu, smętni i przygnębieni, „doprowadzając się nawzajem do szału”, aż postanowili, że zamiast dalej tracić czas w ten sposób, najlepiej będzie z samego rana wyjechać z miasta. Zamierzali polecieć do Elphinstone, żeby doprowadzać się nawzajem do szału w pięknych okolicach *Schlossu* Hundschüttler. Olivia, która dobrze się bawiła przy piwie w barze dla jasnoniebieskich kołnierzyków, wyraziła szczerzy żal, że nie będą już mieli okazji się zobaczyć. Dane zaczęły w końcu napływać od tych przerażająco bystrych analityków z Waszyngtonu, a ponieważ poprzedniego dnia głównie skarżyła się (choć uprzejmiem) na brak postępów, nie mogła o tej porze tak po prostu wyjść z biura na piwko w towarzystwie absolutnie niezwiązanego ze sprawą pana Forthra.

Następne dwadzieścia cztery godziny minęły jak z bicza trzask - pewnie dlatego, że wzięła się do pracy (albo przynajmniej do jej ironicznej namiastki, jak tamte jasnoniebieskie kołnierzyki). A kiedy człowiek pracuje, czas płynie szybko.

Przełożeni z MI6 dopominali się o codzienne sprawozdania z prac nad GPA, więc przed pójściem spać napisała dla nich raport, który wcale nie sprawił jej przyjemności. Przez cały dzień „czyniła postępy” mierzone abstrakcyjną metryką przeczytanych i napisanych e-maili, przeczesanych baz danych, odhaczonych punktów na listach, przeanalizowanych zdjęć.

Ponieważ jednak wszystkie te wysiłki nie doprowadziły do wykrycia poszukiwanego odrzutowca ani choćby dowodów, że w ogóle znalazł się na terytorium USA, był to postęp wyłącznie w sensie negatywnym. Jeszcze jeden dzień takich „postępów” i GPA zostanie pogrzebany, a ona znajdzie się w samolocie do Londynu.

Kiedy leżała w łóżku w swoim pokoju hotelowym, nie mogąc zasnąć, jej umysł błędził za kanadyjską granicą, odległą tu zaledwie o sto mil.

O tym też rozmawiali. Kanada była cholernie wielka. Wszyscy to wiedzieli, ale człowiek uświadamiał to sobie, dopiero posiedziawszy nad mapami; sama Kolumbia Brytyjska ma powierzchnię zaledwie osiem razy mniejszą od całych kontynentalnych Stanów Zjednoczonych (bez Alaski). Nie zdołali jednak stworzyć sensownej teorii, która wyjaśniałaby, dlaczego Jones, dysponując własnym prywatnym odrzutowcem, miałby chcieć tam lądować. Oczywiście nie mieli nic przeciw Kanadzie jako takiej, wszyscy byli zgodni, że to uroczy kraj, ale najzwyczajniej w świecie nie było w nim nic, co stanowiłoby dostatecznie atrakcyjny cel dla człowieka formatu Jonesa. Gdyby Kanada sprzedawała broń Izraelowi i za pomocą bezzałogowych samolotów masakrowała Pakistan, Jones z rozkoszą rozwaliby im CN Tower albo wjechał samochodem-pułapką w lodowisko hokejowe, ale wobec faktów był bezsilny: albo jakoś wjedzie do Stanów, albo stanie się pośmiewiskiem.

Oczywiście, legalny wjazd do USA przez któreś z przejść granicznych nie wchodził w grę. Jones musiałby przekraść się przez granicę. Jeżeli zatem mknął już na południe prywatnym samolotem - czy to na niskim pułapie, czy w cieniu pasażerskiego odrzutowca - nie było sensu lądować przedwcześnie, po północnej stronie granicy.

Ale, ale, ale... Każdy plan może spalić na panewce. Traktowanie Jonesa jak supermana byłoby błędem. Może zabrakło mu paliwa? Albo wystąpiły komplikacje, które zmusiły go do skrócenia lotu? Obie te hipotezy brzmiały prawdopodobnie, tylko że obie wprowadzały GPA do królestwa swobodnych spekulacji. Analitycy CIA i MI6 mogliby pewnie przez następny rok wymyślać takie i podobne hipotetyczne scenariusze - wszystkie równie wiarygodne i, co za tym idzie, równie bezużyteczne.

Następnego dnia był piątek - jej trzeci i, jak się domyślała, ostatni dzień w Seattle. Agenci FBI i analitycy z Waszyngtonu chętnie przepracowaliby weekend i tego samego oczekiwali od niej, ale poranne e-maile z Londynu sugerowały jednoznacznie, że jeśli do wieczora nie wygrzebie spod ziemi choćby cienia dowodu na poparcie GPA, lepiej będzie, jeśli jej talent zostanie spożytkowany do innych celów.

Z dawnych lat pozostały jej wciąż kontakty wywiadowcze w Vancouver - sympatyczni ludzie, z którymi czasem chodziła na herbatę, kiedy, studiując na tamtejszym uniwersytecie, bawiła się w „szpiegowski Disneyland”. Skontaktowała się z nimi i dyskretnie wysondowała możliwość badania SGPA, czyli Skróconego Gambitu Północnoamerykańskiego, a kiedy nie spławili jej od razu, przycisnęła mocniej, uciekając się do ordynarnych kłamstw. W rozmowach z Kanadyjczykami sugerowała, że Jankesi mają w nosie bezpieczeństwo Kanady, bo ich zdaniem na północ od granicy nie ma nic ciekawego; rozmawiając zaś z Brytyjczykami, czyniła rozliczne aluzje do zabójczo inteligentnych

amerykańskich analityków i wyrafinowanych technologicznych gadżetów, którymi posługują się przy szukaniu dowodów.

* * *

Pod rozległym błękitnym niebem, na którym żwawe cumulusy miały aż nadto miejsca do hasania i karamboli, zaopatrzona w pływaki łódź sunęła na południe prawie bezgłośnie - tylko z przodu dał się czasem słyszeć cichutki szmer idących od dzioba odkosów, a czasem głośniejszy trzask, gdy ostry dziób natrafił na grzywacz i spadł w dolinę po jego drugiej stronie. Przesuwająca się za bakiem linia brzegowa stopniowo się cywilizowała, maszty radiowe coraz częściej łamały panoramę przybrzeżnych wzgórz i nadmorskich wiosek. Na plaży stały chatynki z dachami i markizami z kolorowego brezentu, a w wodzie przed nimi, na wbitych w dno sfatygowanych palach oplecionych brązowymi pnączami, suszyły się zielone rybackie sieci. Drakoński wyrąb ogołocił wzgórza z drzew, zostawiając na nich okrywą zielska koloru khaki, poprzerzynaną wypłukanymi przez wodę wąwozami, które plamiły białe niegdyś plaże brzęką koloru gówna. Nastąpił w końcu moment, w którym nie potrafili już przypomnieć sobie chwili, gdy w zasięgu wzroku nie było żadnych zabudowań. Zaraz potem opłynęli niewielki półwysp - wychłostany wiatrem i deszczem kawał brunatnej skały w kształcie zaciśniętej pięści - i ich oczom ukazało się miasteczko z prawdziwego zdarzenia. Przy odległej o kilka mil półksiężycowatej plaży stały nawet siedmiopiętrowe domy, na widok których Csongor, Marlon i Yuxia zareagowali rozdziawieniem ust niczym dzicy z dżungli, a bliżej ciągnęła się tradycyjna niska zabudowa, z ulokowanymi nad samym morzem targowiskami pod gołym niebem, których ciąg przecinał na dwoje potężny, wybiegający daleko w morze pomost. Jego romboidalna kratownica łączyła się od strony lądu z budowlą, która nie mogła być niczym innym jak tylko przystanią promową. Marlon i Yuxia nie mieli co do tego wątpliwości, bo u siebie widywali takie przystanie na każdym kroku. Nawet Csongor, choć dorastał w kraju pozbawionym dostępu do morza, z łatwością się tego domyślił. Na dochodzącej do przystani szerokiej drodze stłoczyło się kilkanaście autobusów i trochę samochodów osobowych. Sternik ich łódki wskazał na otwarte morze: z południa sunął ciężko ogromny statek, otulony kłębamii czarnego dymu. Prom pasażerski z Manili. Jego przybycie tłumaczyło obecność pojazdów na podjeździe.

Zrzucili żagle, sternik uruchomił silnik i chwilę później dziób łodzi jak nóż werznął się w piasek plaży. Wszyscy miejscowi chłopcy, od berbecia do nastolatka, zbiegli się wokół nich, z radosnym zapalem odgrywając pantomimę pod tytułem „Chętnie pomożemy”, w nadziei na zarobienie - albo po prostu wyłudzenie - jakiegoś napiwku. Marlon, Yuxia i Csongor zeskoczyli do ciepłej wody, która sięgała im tu do kolan, dobrnęli do brzegu, po

czym rozpoczęła się niemająca końca ceremonia pożegnalna, obfitująca w uśmiechy, uściski dłoni i kiwanie głowami. Trwała tak długo, że prom zdążył przez ten czas przybić do pomostu. W końcu rozstali się z przewoźnikami, przeszli przez plażę w asyście tłumu zafascynowanych, bezustannie pozdrawiających ich dzieciaków i, przelazszy przez niewysoki falochron z betonowego gruzu, znaleźli się na asfaltowym podejździe. Temperatura wzrosła o dziesięć stopni, nagle zaczęli się pocić. Pierwszy raz od tygodni uderzyła ich w nozdrza woń tłumu i cywilizacji - dym z węgla drzewnego, dieslowskie spaliny, nieprzetworzone ścieki, papierosowy dym, czosnek. Marlon zaproponował, żeby natychmiast zaokrętowali się na prom i popłynęli do Manili, gdzie spodziewał się nawiązać kontakt z krewniakami, ale rzut oka na rozkład jazdy wyjaśnił im, że prom odpływa dopiero za kilka godzin.

Wpływając do miasteczka, widzieli wyraźnie ciągnący się na południe od przystani rząd nadbrzeżnych budynków, które zdradzały wszelkie oznaki bycia hotelami. Ponieważ w gruncie rzeczy nigdzie im się nie śpieszyło, postanowili pojechać autobusem do miasta i znaleźć sobie pokoje w hotelu, który tutaj na pewno będzie tańszy niż w metropolii, a następnie sprawdzić, czy w nadmorskim kurorcie nie znajdzie się jakaś kafejka internetowa, gdzie mogliby (jak twierdził Marlon) zgarnąć dość złota, żeby opłacić apartamenty w *Manila Hotel* i kupić bilety pierwszej klasy do dowolnego miejsca na świecie. Wtopili się więc w schodzący z pokładu tłum, który liczył dobre dwieście osób, i zaczęli się zastanawiać, do którego autobusu powinni wsiąść.

Procent białych w tłumie był znacznie wyższy, niżby się tego można spodziewać po prowincjonalnej filipińskiej mieścinie. Rozsądne wydało się więc założenie, że są to turyści udający się do hoteli na plaży. W dodatku, większość z nich sprawiała wrażenie, jakby nie pierwszy raz była w tym mieście i dokładnie wiedziała, dokąd iść. Chyba nikt nie był zaskoczony, gdy turyści skierowali się ku czekającym przed terminalem dużym autokarom; mniejsze pojazdy, chałupnicze hybrydy furgonetki z autobusem, przyciągały wyłącznie Filipińczyków. Csongor usłyszał, jak jeden z białych mówi coś po angielsku, przeciskając się przez ciżbę w stronę jednego z autobusów, dogonił go więc i zapytał, czy ten autobus jedzie do dzielnicy hotelowej. Mężczyzna zatrzymał się, odwrócił i zmierzył go wzrokiem od stóp do głów, po czym oschłym tonem odparł, że owszem, tam właśnie jedzie. Csongor skinął na Marlona, który wyrastał ponad tłum, Marlon przekazał nowinę Yuxii, która z kolei zupełnie ginęła w tłumie, i wszyscy troje wsiedli do autobusu.

W środku pachniało perfumami, dieslem i papierosami. Co najmniej połowa pasażerów była biała, ale w tej chwili było także widać, że nie mają nic wspólnego z jakąś

demograficzną przeciętną, bo wszyscy byli mężczyznami i większość z nich miała powyżej pięćdziesiątki. Ubrali się jak na safari i nie zdejmowali okularów przeciwsłonecznych - nawet w autobusie, za przyciemnionymi szybami. Po angielsku mówili z akcentem, którego Csongor w pierwszej chwili nie rozpoznał. Brał ich za Brytyjczyków, dopóki Yuxia nie wyprowadziła go z błędu.

- Goście z krainy Oz - powiedziała, kiedy stłoczyli się we troje na fotelach w ostatnim rzędzie. Widząc, że jej słowa niczego nie wyjaśniły, dodała: - Australia. Albo może Nowa Zelandia.

Wyglądało na to, że wie, co mówi; w swoim poprzednim życiu regularnie miała do czynienia z zagranicznymi turystami. Csongor gapił się więc w głąb autobusu pełnego Australijczyków-albo-może-Nowozelandczyków i zastanawiał się, skąd się tu wzięli. Może przyjechali na jakiś zlot branżowy: gromada emerytowanych hydraulików albo kowbojów wynajęła pół hotelu, żeby przez tydzień zażyć supertaniego relaksu na słońcu? Coś tu nie pasowało. Nie znali się, nie rozmawiali (co poniekąd tłumaczyło, dlaczego ten zagadnięty na przystani tak dziwnie spojrzał na Csongora), w miarę możliwości nie siadali zbyt blisko jeden drugiego. Woleli albo siedzieć w pojedynkę, albo w towarzystwie młodych Filipinek. Profil demograficzny autobusowego wycinka filipińskiej populacji był tak samo niezwykły: same kobiety, część z nich bardzo młoda, część zaś w zaawansowanym wieku średnim. Ze względu na strój i makijaż młode Filipinki mogły uchodzić za dwudziestolatki, ale z bliska było widać, że mają raczej od szesnastu do dziewiętnastu lat. Niektóre podróżowały w pojedynkę, większości jednak towarzystwa dotrzymywały - na odległość - starsze kobiety, wystarczająco dojrzałe, żeby uchodzić za ich matki, i z całą pewnością niestarájące się udawać atrakcyjnych.

Takie wrażenia docierały do nich podczas trwającej kwadrans przejażdżki do nadbrzeżnej dzielnicy, którą widzieli z łodzi. Wszyscy troje siedzieli sztywno, patrząc przed siebie, jakby się bali kontaktu wzrokowego, który mógłby ujawnić, co dzieje się w ich głowach. Kiedy autobus zajechał na przystanek przed hotelem, odczekali, aż wszyscy wysiądą, i dopiero wtedy ruszyli do wyjścia, Csongor z przodu, Marlon z tyłu, Yuxia w środku jak w kleszczach. Obeszło się bez słów, bez spojrzeń - taka konfiguracja zrodziła się samoczynnie. Stanąwszy u szczytu schodów, Csongor skutecznie zablokował drzwi i stanął twarzą w twarz z półtuzinem filipińskich dziewcząt, które przyglądały mu się z różną dozą entuzjazmu: niektóre uśmiechały się szeroko, inne się krzywiły, demonstracyjnie okazując znudzenie lub wrogość. Kiedy jednak ruszył w dół schodów i stało się oczywiste, że towarzyszy mu drobniutka Azjatka, za którą z kolei podąża Azjata, wszystkie Filipinki musiały nagle dojść do tych samych wniosków, bo jak na komendę odwróciły się do nich

plecami i zdryfowały w stronę innych, podjeżdżających właśnie autobusów.

Okolica była schludna, porządna i nie miało się wrażenia, że człowiek nagle wylądował w slumsach. Zdaniem Csongora miasteczko niewiele różniło się od Xiamen. Zabudowa składała się z postawionych tanim sumptem domów liczących od dwóch do pięciu pięter, sklejonych w ciągle kwartały pocięte zatłoczonymi uliczkami, ozdobionych krzykliwymi szyldami i zaopatrzonych w prowizoryczne mechanizmy antywłamaniowe. Innymi słowy, był to typowy krajobraz miejski rozwijającej się azjatyckiej gospodarki, a jego jedynym niecodziennym elementem były angielskie szyldy (przynajmniej przy głównej ulicy, bo w zaułkach angielszczyzna przeplatała się z czymś, czego Csongor nie umiał rozpoznać).

Wiele względów przemawiało za tym, by jak najszybciej się stąd zmyć i pierwszym promem płynąć do Manili, ale Csongor zafiksował się na wizji znajdujących się na wyciągnięcie ręki hoteli, obfitujących w całkiem nowoczesne pokoje wyposażone w łóżka i prysznic. Trudno było powiedzieć, czy są w nich również sprawne telefony, lecz po drugiej stronie nadmorskiej ulicy, naprzeciw stojących w rzędzie hoteli, na odcinku od jednego skrzyżowania do drugiego naliczył trzy kafejki internetowe. Dlatego też bez dalszej dyskusji skierowali się do hotelu, który wydał im się największy i najnowszy, i wkrótce wylądowali w jego ciemnej i niezbyt przestronnej recepcji, gdzie rozparte w nielicznych fotelach młode kobiety w obcisłych sukienkach taksowały ich wzrokiem, gdy wybierali pokoje. Początkowo zamierzali wziąć dwa pokoje (jeden dla Marlona i Csongora, drugi dla Yuxii), kiedy jednak się okazało, że pokoje te byłyby usytuowane na różnych piętrach, Yuxia oznajmiła, że woli spać na podłodze lub kanapie u chłopaków. Wzięli więc wspólny pokój i okazało się, że zaoszczędzą w ten sposób dość, żeby mogli za niego zapłacić dolarami z portfela Zuli, zamiast kartą kredytową Csongora. Csongor nie wiedział wprawdzie, czy policja - chińska, węgierska lub jeszcze jakaś inna - namierza jego kartę, ale najrozsądniej było nie posługiwać się nią, dopóki nie będzie to absolutnie konieczne.

Mały i ciemny pokój na trzecim piętrze śmierdział tytoniem, alkoholem i seksem. Na podłodze leżał poplamiony kosmaty dywan. Yuxia natychmiast dopadła do okna i otworzyła je najszerzej, jak się dało (czyli na jakieś sześć cali), wpuszczając odrobinę morskiego powietrza.

Ponieważ zanosilo się na to, że prysznic będzie przez dłuższy czas niedostępny, Csongor zszedł na parter i udał się do kantoru, który już wcześniej zauważył. Wymienił wszystkie swoje euro i kanadyjskie dolary Petera na miejscową walutę. Poczul się lekko dotknięty (choć bynajmniej nie zaskoczyło go to), że nie chcieli przyjąć węgierskich forintów. Przy okazji zajrzał do czterech różnych kafejek internetowych i stwierdził, że wśród klientów

dominują biali mężczyźni przeglądający świńskie zdjęcia. Kafejki różniły się wielkością, jakością sprzętu, godzinami pracy i przyjaznością personelu. Tylko jedna, *NetXCitement!*, miała ponoć być otwarta przez całą dobę, co mogło mieć znaczenie, ponieważ wieczór już zapadł, a oni jeszcze przez dobre parę godzin będą się myć, jeść i ubierać.

Kupił chińskie żarcie na straganie i zaniósł je na górę, do pokoju, z najwyższym trudem powstrzymując się od rozszarpania pachnących czosnkiem pojemników i zanurzenia twarzy w ich zawartości. Na górze powitała go odręcznie wypisana tabliczka NIE PRZESZKADZAĆ!, przytrzymywana w miejscu poprzez przytrzaśnięcie drzwiami. Otworzył drzwi, wniósł jedzenie do środka, wrócił i starannie zawiesił kartkę z powrotem.

- Po co nam to? - spytał Yuxię, która siedziała na łóżku owinięta ręcznikiem od pach w dół. Marlon buszował w łazience.

- Kurwy - odparła. - Co chwila przyłazą i pytają, czy nam „niczego nie potrzeba”.

Ostatnie słowa ujęła w nakreślony w powietrzu cudzysłów.

Csongor czuł, że powinien w tym momencie przeprosić pokornie za wszystkich białych mężczyzn w dziejach świata, ale nie wiedział, jak zacząć. Jeszcze nie do końca przyswoił sobie ideę tego miejsca i tego, co się tu naprawdę dzieje. Nie pasowały mu zwłaszcza te panie w średnim wieku, zachowujące się w przybliżeniu jak alfonsi, ale niesprawiające wrażenia profesjonalistek. Bardziej już przypominały mu przyzwoitki, tyle że wyjątkowo nieskuteczne.

- Przykro mi, że tak wygląda pierwsze miejsce poza granicami Chin, do którego trafiłaś - powiedział. - Nie wszędzie tak jest. Kiedyś zabiorę cię na Węgry i pokażę ci Budapeszt. Jest zupełnie, zupełnie inny.

- Najpierw musimy się stąd wydostać - przypomniała mu Yuxia.

- Mam trochę miejscowych pieniędzy. Wystarczyło na to. - Ruchem głowy wskazał jedzenie, którego zapach wywabił już z łazienki przepasanego ręcznikiem Marlona. - Możemy kupić sobie jakieś niedrogie ciuchy i zostanie nam pewnie na jeszcze jedną noc w hotelu.

- Dlaczego nie skontaktujesz się z matką? - spytała wyraźnie poruszona Yuxia. - Mogłaby ci przecież przysłać pieniądze.

Csongor zastanowił się nad odpowiedzią. Wydawałoby się, że, spędziwszy ze sobą tyle czasu, powinni znać się z Yuxią i Marlonem jak lyse konie. Sęk w tym, że trudy morskiej podróży pozostawiły niewiele czasu na zacieśnianie znajomości. Mówił Yuxii, że jego ojciec nie żyje, ale poza tym niewiele wiedziała o jego rodzinie.

- Moja mama to sympatyczna starsza pani, która cierpi na nadciśnienie i co chwila ma

jakiś wylew. Dam jej znać, że wyjechałem za granicę w interesach, ale nie ma mowy, żebym napisał prawdę. Równie dobrze mógłbym ją zrzucić z mostu. Mój brat mieszka w Los Angeles, pisze tam doktorat, a ja rozmawiam z nim najwyżej cztery razy w roku.

Yuxia była wyraźnie wstrząśnięta tym, że można mieć tak małą - i tak źle zorganizowaną - rodzinę.

- Natomiast z całą pewnością zamierzam poszukać w sieci informacji o czarnoskórym, anglojęzycznym islamskim terrorysty, który używa prawdziwego lub zmyślnego nazwiska Jones - dodał Csongor.

„Chciałabym, żebyś się dobrze przyjrzał pistoletowi, który pan Jones przystawił mi do szyi”, powiedziała wtedy Zula na pomoście.

- Może w Internecie są jakieś jego zdjęcia? - ciągnął. - Mógłbym się wtedy dowiedzieć, jak naprawdę się nazywa, pójść na policję i powiedzieć im: „Słuchajcie, taki a taki był dwa tygodnie temu w Xiamen i miał zakładniczkę”.

- Na którą policję? - zainteresował się Marlon.

- Nie mam pojęcia - przyznał Csongor.

- Najlepiej taką, która się tym przejmie - poradził mu Marlon.

Rzucili się - dosłownie - na jedzenie i przez dłuższą chwilę niewiele mówili. Było to najwspanialsze danie, jakie Csongor jadł w życiu. Przeklinał się w duchu, że nie kupił go dziesięć razy więcej.

- Chcesz się skontaktować z rodziną, Yuxia? - spytał, kiedy znów mógł swobodnie mówić.

Sprawił jej tym pytaniem ból, który odbił się na jej twarzy i zdumiał jego samego i Marlona.

- O niczym innym nie marzę - przyznała - ale wolałabym z tym poczekać, aż znajdziemy się gdzieś, gdzie będę się czuła bezpieczniej.

Csongor wszedł do łazienki. Wszędzie wisiały mokre ubrania Yuxii i Marlona. Od dwóch tygodni wszyscy nosili non stop te same łachy, płucząc je tylko czasem w słonej wodzie. Odkręcił prysznic i wszedł w ubraniu pod strumień wody. Najpierw natarł się mydłem i przez jakiś czas wyciskał pianę z ciuchów, a potem rozebrał się do naga i rzucił je na dno brodzika, a sam zaczął się myć. Mydliny spływały z jego ciała na ubranie, które ugniatał stopami. Na koniec, przez minutę płukał je w czystej wodzie, zanim wyłączył prysznic i zaczął się wycierać. Był mocno owłosiony, niczym żywa reklama przemysłu depilacyjnego; miał wrażenie, że w futrze jest w stanie przechować nawet litr wody. Wyjął ubranie najlepiej, jak się dało, i porozwieszał je, gdzie tylko się dało, ale nie robił sobie

wielkich nadziei na jego wysuszenie. Na szczęście, na półeczce pod umywalką znalazł suszarkę do włosów, którą wysuszył sobie najpierw bieliznę, potem spodnie (które dawno już przyciął na wysokości kolan, robiąc z nich szorty), a na koniec koszulę.

Wyszedł z łazienki ubrany, ustępując miejsca najpierw Yuxii, a potem Marlonowi, którzy w podobny sposób osuszyli swoje rzeczy i się ubrali. Razem zeszli na parter i udali się do *NetXCitement!*, żeby rozeznąć się w sytuacji. Tutejsze standardy i praktyki były diametralnie różne od stosowanych w chińskich *wangba* i Marlon potrzebował chwili, żeby się z nimi oswoić. Nikt nie pytał go o dowód tożsamości, nie było też policjantów, którzy zagładaliby człowiekowi przez ramię. Jak na standardy filipińskiej prowincji, kafejka wydawała się dość duża, chociaż w porównaniu z *wangba* była niewielka: miała najwyżej dwadzieścia maszyn, do tego dochodził kontuar, przy którym drugie tyle ludzi mogło usiąść i podłączyć do sieci własne laptopy. No i zamiast chińskich nastolatków grających w gry sieciowe wszędzie siedzieli podstarzali biali faceci. Większość oglądała świńskie zdjęcia, tylko nieliczni pisali e-maile albo udzielali się na czatach.

Pokonawszy kulturalne katarakty, Marlon zawłaszczył najszybszy i najdroższy komputer w kafejce, twierdząc, że *T'Rain* wymaga ogromnej pamięci i olbrzymiej mocy obliczeniowej. Csongor usiadł obok, przy innej, prostszej maszynie.

Kolejny szok kulturowy nastąpił, gdy Marlon stwierdził, że na jego komputerze w ogóle nie ma zainstalowanego *T'Rainu* i będzie go musiał ściągnąć z Internetu i zainstalować. W niektórych kafejkach trwałoby to kilka godzin, ale tutaj zajęło mu dwadzieścia minut. Z niewiadomych powodów *NetXCitement!* miał niezwykle szybkie łącze.

Csongor rozmyślał tymczasem o sytuacji Yuxii.

- Chyba wiem, jak mogłabyś przesłać wiadomość rodzinie, nie zdradzając swojego położenia - powiedział w końcu.

Odkrył już, że komputer, przy którym siedzi, jest tak zainfekowany spywarem, trojanami i wirusami, że ledwie da się go używać. Podjął się więc zadania odtworzenia maszyny od zera. Podzielił dysk na dwie partycje, dużą i małą, i na dużą przeniósł zainstalowaną na komputerze piracką kopię Windows wraz z całym nielegalnym oprogramowaniem, wirusami i resztą śmiecia. Na małej partycji zainstalował Linuksa, a że przy tej okazji musiał w kółko restartować komputer, miał aż nadto czasu, żeby wyłuszczyć całą sprawę Yuxii.

- Uruchomię na nim program, który nazywa się Tor. Przy użyciu odpowiedniej przeglądarki Tor zanonimizuje cały ruch IP i uniemożliwi wykrycie naszego adresu. Jeżeli nie napiszesz swoim bliskim wprost, gdzie jesteśmy, nikt nas nie namierzy.

Nowina, że już niedługo nawiąże kontakt z bliskimi, wywarła ogromny wpływ na Yuxię. Csongor cierpliwie tłumaczył jej, dlaczego cała procedura tyle trwa; dlaczego wciąż na nowo uruchamia komputer; po co ciągle otwiera jakieś małe pliki pełne uniksowego żargonu i nanosi w nich małe poprawki; co to znaczy, że instaluje i konfiguruje Tor. W końcu uruchomił sprawnego, bezpiecznego, osłoniętego firewallem i całkowicie anonimowego Linuksa i oddał jej komputer do dyspozycji. Sam zaś wstał z krzesła i przeszedł pięć kroków dzielące go od stanowiska, na którym Marlon kończył właśnie uruchamiać *T'Rain*.

- Jak to działa? - zapytał. - Twój bohater pójdzie tam...

- On tam cały czas jest - przerwał mu Marlon. - Czeka w swojej BD, itz, się znowu zaloguję.

- Rozumiem. Ma jakichś wasali?

- Około tysiąca.

- Nieźle...

- Wystarczy dwudziestu, może trzydziestu prawdziwych graczy. Członków *da G shou*.

Ale każdy z nich ma po kilka animków...

- Animków?

- Bohaterów. I oni wszyscy mają swoich wasali, niskopoziomowe animki, takie roboty, które nic, tylko biegają po całym świecie. Nieważne, grunt, że ja jestem ich lordem. Widzę całe złoto, które ukryli, i mogę je zebrać. Jest moje.

- Twój animek pójdzie w tamto miejsce...

- Torgai.

- No właśnie. Tam, gdzie mieszkasz. Gdzie mieszka troll.

- On tam nie musi iść, bo już tam jest. Jego BD znajduje się w jaskini w samym środku pogórza.

- Jasne. Czyli może wyskoczyć z tej jaskini i ganiać po okolicy, widząc złoto, które dla innych pozostaje niewidzialne. Może je też pozbierać do wora.

- Pod warunkiem, że faktycznie będzie mógł wyjść.

Csongor zwrócił uwagę, że zamiast od razu logować się do *T'Rainu*, Marlon otworzył w drugim oknie przeglądarkę, w której przegląda chińskie czaty. Csongor ni w ząb nie rozumiał tekstu, ale cała oprawa graficzna nie pozostawiała wątpliwości, że chodzi o *T'Rain*. Było to jakieś forum dyskusyjne, na którym gracze wymieniali się informacjami i opiniami. Chiński tekst był gęsto przetykany różnymi „LOL”, „FFS”, „wOOt” i podobnymi nieodłącznymi składnikami wiadomości tekstowych.

- Dlaczego miałyby nie móc?

- Ktoś może na mnie czekać. Może całą okolicą zawładnęła armia, która grabi złoto. Rzuciliby się na mnie, ledwie wyściubiłbym nos.

- A nie możesz się jakoś schować? Użyć niewidzialności?

- To zależy, jacy są mocni. Daj mi chwilę poczytać, chcę się zorientować, co się tam dzieje.

Spławiony Csongor wrócił do Yuxii, która w przeglądarce komponowała właśnie wiadomość dla rodziny. Nie mógł się doczekać, kiedy skończy, żeby samemu dyskretnie posurfować po sieci, ale jej się nie śpieszyło. I dobrze. Jak miała wytłumaczyć, co się z nią dzieje?

- Tylko pamiętaj - odezwał się. - Chińscy gliniarze cię nie wytropią, ale mogą przeczytać twój e-mail. Nie pisz niczego, czego nie chciałybyś im zdradzić.

- Nie jestem głupia - odparła spokojnie.

Spławiony po raz drugi Csongor wrócił do Marlona, który najwyraźniej zakończył krótki rekonesans.

- Mamy fart - powiedział. - Zapanował chaos. Totalne bezkrólewie. Dla mnie to idealna sytuacja.

- Brzmi niebezpiecznie.

- Z bandytami i rabusiami sobie poradzę - zapewnił Csongora Marlon. - Bałem się tylko armii.

Uruchomił *T'Rain*, wpisał nazwę użytkownika, podał hasło. Na ekranie wyświetliła się galeria postaci, dyszących, mrugających, drapiących się. Pod każdą z nich widniał zwój o fakturze pergaminu z naniesionym, jak domyślał się Csongor, imieniem bohatera. Większość imion była napisana po chińsku, ale Csongor zwrócił uwagę na jedno z tych wypisanych łacińskim alfabetem. Już je kiedyś widział: było na liście z żądaniem okupu. To był troll. Jego imię, wypisane wielkimi drukowanymi literami, brzmiało REAMDE.

Marlon kliknął dwa razy na Reamde i jego sylwetka wypełniła ekran, zwiększając rozdzielczość i nabierając przestrzenności; pozostali bohaterowie zbladli i się spłaszczyli. Reamde odwrócił się plecami do Marlona i Csongora, którzy zerkali mu teraz ponad ramieniem. Do tej pory spał w jaskini. Teraz, przebudzony, wstał i zaczął się rozglądać. Szybkimi, predefiniowanymi ruchami włożył ubranie, zbroję i buty, przypasał broń i zarzucił torbę na ramię. W odpowiedzi na polecenia płynące z palców Marlona truchtem ruszył w stronę wyjścia z jaskini. W otworze o poszarpanych krawędziach prześwitywało wygwieżdżone nocne niebo. Chwilę później Reamde znalazł się w świetle *T'Rainu*.

DZIEŃ 18

- Bingo! - powiedział Corvallis. - Jest online, właśnie wyszedł ze swojej jaskini. Chyba zamierza trochę podziać.

Była 8:23 rano. Richard stał obok swojego land cruisera zaparkowanego przy pasie startowym małego lotniska w Elphinstone. Odprowadził wzrokiem cessnę, która wzbijała się w powietrze i skręciła ostro na południe. Przed chwilą wepchnął do niej Johna i Jake'a i wcisnął pilotowi w garść dwa stare frankliny.

Zaledwie dwadzieścia cztery godziny wcześniej wylądowali tu we trójkę. Jeden dzień beczynnego siedzenia w zupełności im wystarczył, John zaproponował więc, żeby wypożyczyć samochód i skoczyć w odwiedziny do mieszkającej tuż za granicą, w Idaho, rodziny Jake'a. Richard (modląc się w duchu, żeby nie zinterpretowano tego jako próby pozbycia się braci) zadzwonił do znajomego pilota i w pół godziny załatwił im transport lotniczy.

Ryk silnika cessny zagłuszył dzwonek telefonu, ale Richard poczuł wibracje w tylnej kieszeni i odebrał na ułamek sekundy przed tym, jak włączyła się poczta głosowa.

- Wiemy, gdzie jest?

- Pracujemy nad tym. Wygląda na to, że na Filipinach.

- To by nawet miało sens... Rozpierducha w Chinach, facet ucieka z kraju, przyczajają się, ale w końcu potrzebuje gotówki, więc musi się wynurzyć.

Cessna stała się cicho bucącym punkcikiem na tle zaróżowionych świtem chmur. Richard przysiadł ciężko na obszarpanym fotelu kierowcy land cruisera.

- Kurde... - Spojrzał bezradnie na dźwignię zmiany biegów. - Nie mogę prowadzić samochodu z ręczną skrzynią i jednocześnie rozmawiać przez telefon.

- Może to i dobrze? Te kręte górskie drogi...

- Pilnujcie go, dobrze? Nie róbcie niczego, co mogłoby go spłoszyć.

- Nawet się nie zalogowałem, śledzę go tylko po zapytaniach do bazy danych.

- Co robi?

- Głównie szuka kumpli. Zbiera ekipę.

- Żeby pozierać złoto. Za pół godziny będę w *Schlossie*. W razie czego dzwoń.

Richard rozłączył się i schował telefon do kieszeni kurtki. Otworzył drzwi, wylał

letnią kawę z turystycznego kubka i schował go. Na desce rozdzielczej walały się jakieś rupiecie. Zrzucił je na podłogę, gdzie prędzej czy później i tak by wylądowały. Dodał gazu, wyjechał z parkingu i zaczął się wlec w stronę zamku.

* * *

Csongor, który nie grywał w *T'Rain*, był zaskoczony tym, jak niewielką część ekranu zajmuje przedstawienie świata gry. *T'Rain* wyglądał pięknie: realistycznie i szczegółowo odwzorowane formy terenu, sunące po niebie rozproszone chmury podświetlone pełnią księżyca, drzewa, których gałęzie i liście całkiem przekonująco poruszały się na wietrze. Przed wejściem do jaskini kołował nietoperz. Świerszcze (albo coś innego) ćwierkały w podszycie. Wszystko to jednak Csongor postrzegał jakby przez prostokątny iluminator, niewiele większy od rozpostartej dłoni i umieszczony na środku ekranu, którego obszar zajmowały poza tym inne okienka: pełnowymiarowy portret Reamde, opatrzony masą zmiennych współczynników kreślonych kolorowymi widgetami; dwie mapy - jedna w większej, druga w mniejszej skali, ilustrujące położenie Reamde w *T'Rainie*, coś w rodzaju ekranu radarowego, po którym przesuwali się różnokolorowe plamki; trzy osobne okna czatów, w których dyskusje (w siedemdziesięciu pięciu procentach prowadzone po chińsku, w dwudziestu pięciu po angielsku) przewijały się skokowo z dołu do góry, jak para buchająca z garnka na kuchni; okno poszatkowane na przegródki dla broni, eliksirów i magicznych zabawek, które Reamde miał przy sobie; długa lista obecności, biegnąca z lewej strony przez całą wysokość ekranu, opatrzona małymi portretami bohaterów, ich imionami (po chińsku lub alfabetem łacińskim) oraz polami danych, które, jak domyślał się Csongor, wskazywały, czy dany gracz jest załogowany, a jeśli tak, to gdzie się podziewa i co knuje. Lista zawierała dobre trzy tuziny postaci, z których większość była szara, wygaszona. Tylko trzy były kolorowe. Ledwie Csongor zwrócił na to uwagę, a Marlon kliknął w górną część listy, czym spowodował jej przesortowanie i ci kolorowi wylądowali na samej górze. Kliknął na jednego z nich i zaczął pisać w okienku, które nagle wyświetliło się obok portretu bohatera.

Proces pisania po chińsku był dla Csongora kompletnie niepojęty. Kiedy palce Marlona skakały po całej klawiaturze, jakiś kawałek oprogramowania, który próbował się domyślić, co właściwie Marlon próbuje powiedzieć, wyświetlał w małym okienku podpowiedzi. Zmęczony umysł Csongora nie ogarniał ilości i różnorodności danych, które wyskakiwały na Marlona z olbrzymiego ekranu, generowane chyba przez tysiąc odrębnych widgetów. Wyglądało jednak na to, że podczas rejsu Marlon zbierał siły właśnie do takiej chwili, w której będzie mógł się zająć tym, co umie najlepiej.

Na ekranie pulsował zbliżający się czerwony punkcik i Csongor zaniepokoił się, że

zaferowany czatami Marlon może go przegapić - gdy ten nagle jakąś skomplikowaną kombinacją klawiszy wyłączył większość okien, pozostawiając tylko te użyteczne podczas walki. A potem coś się wydarzyło, tak szybko, że Csongor (który zdawał sobie sprawę, że jego wizja walki w grze komputerowej z pewnością jest beznadziejnie przestarzała) nie zdążył się zorientować w sytuacji. W tych nielicznych wypadkach, kiedy w kafejkach internetowych w Budapeszcie próbował grywać w różne popularne gry sieciowe, przegrywał w ciągu mikrosekund z przeciwnikami, którzy - sądząc po szyderstwach, do których się uciekali - byli bardzo młodzi, może nawet nie dziesięcioletni. W tej chwili miał wrażenie, że Marlon jest jednym z takich dzieciaków, który dorósł, nie tracąc nic ze swoich umiejętności.

Czyhający na Reamde nieprzyjaciel zginął, a jego zwłoki zostały ograbione w czasie, którego Csongor potrzebowałby na sięgnięcie po stojący przy klawiaturze kubek z kawą. Wszystkie okna wróciły na swoje miejsca na ekranie i Marlon podjął przerwana rozmowę na czacie.

Csongor spodziewał się dotąd, że najwłaściwszym zachowaniem z jego strony będzie pełne szacunku, bezwzględne milczenie, ale widząc wielozadaniowość Marlona, zrozumiał, że jego opory to niedorzeczna, staroświecka etykieta rodem ze Starego Świata.

- Kontaktujesz się z *da G shou*? - zapytał.

- Tak.

- Czyli nic im się nie stało?

- Przynajmniej niektórym. - Marlon stukał chwilę w klawiaturę. - Czekali.

- Na ciebie?

- Na okazję, żeby wyciągnąć kasę.

- Jak właściwie zamierzacie to zrobić?

Csongor wiedział już, że chłopaki z *da G shou* używają kont z autorozliczeniem, czyli niepołączonych z kartami kredytowymi. Rozwiązanie to było wygodne dla początkujących w grze dzieciaków z Chin, ale utrudniało transfer zysków poza ramy *T'Rainu*.

- To nic trudnego - zapewnił go Marlon. - Niektórzy pośrednicy specjalizują się w takich transferach pieniędzy. Zazwyczaj współpracujemy z Chińczykami, ale jak będzie trzeba, znajdą się inni; oni są wszędzie, na całym świecie. A tutaj mogą nam przesłać pieniądze przez Western Union. - Marlon oderwał wzrok od ekranu pierwszy raz, odkąd się zalogował. Spojrzał na Csongora. - Widziałem szyld Western Union, kiedy jechaliśmy autobusem. Pięćset metrów stąd.

- Czyli gotówka mogłaby na nas czekać jutro rano, jak tylko otworzą.

- Mogłaby czekać na mnie - poprawił Csongora Marlon. - Ale chętnie się z wami

podzielię.

Csongor się zarumienił, ale niezrażony spytał:

- Jaka jest procedura?

- Muszę znaleźć więcej chłopaków z *da G shou*. Niech się zalogują. Jeden poszuka pośrednika, który wysyła pieniądze za granicę, a reszta zacznie zbierać złoto.

- Nigdy przedtem nie robiliście interesów z zagranicznymi cinkciarzami? Nie-Chińczykami?

- Nie, po co?

- Posłuchaj, ja też mam kontakty. - Csongor zerknął na komputer, który wcześniej osobiście zabezpieczył. Yuxia skończyła pisać i surfowała po Internecie. - Mógłbym znaleźć kogoś takiego na Węgrzech. Albo w Austrii.

- A to blisko... czekaj, nie wiem, jak to się nazywa... kropka ce ha?

Csongor zmarszczył brwi. Dopiero po chwili go olśniło, że Marlon ma na myśli domenę internetową .ch.

- Szwajcaria - wyjaśnił. - *Confederatio Helvetica*.

- To miejsce z bankami.

- Zgadza się. I owszem, Szwajcaria leży blisko Węgier i Austrii.

- W takim razie spróbuj z tą Szwajcarią - zasugerował ostrożnie Marlon i wrócił do gry.

W tym samym momencie kolejne dwie twarze z szarych zrobiły się kolorowe i wskoczyły na szczyt listy obecności. Oczami wyobraźni Csongor ujrzał rozsianych po Chinach nastolatków - ciężko przerażonych uciekinierów, którzy od dwóch tygodni o włos wymykają się glinom, kryją w podłych noclegowniach albo żebrzą o wolne łóżko u odległych krewnych z prowincji - którzy, otrzymawszy na telefon komórkowy wiadomość od Marlona, pędzą na łeb, na szyję do najbliższego *wangba*, sadowią się na krzesłach, wyłamują palce i ruszają do akcji.

Przeszedł do stolika Yuxii i zajrzał jej przez ramię. Uruchomiła przeglądarkę i weszła na stronę Wikipedii, gdzie odszukała artykuł zatytułowany „Abdallah Jones”. Załączono do niego zdjęcie człowieka, któremu Csongor próbował strzelić w głowę na pomoście w Xiamen.

- To ten skurwysyn! - wykrzyknął teraz Węgier.

Yuxia odwróciła się nieśpiesznie i spojrzała nań badawczo.

- Los zesłał nam budzącego grozę przeciwnika - przyznała.

- W takim razie my też powinniśmy zrobić coś budzącego grozę. Jak największą.

- To nie takie łatwe, kiedy tkwi się w światowej stolicy perwersji.

Yuxia powiedziała to na głos. Głowy uniosły się znad monitorów w całej kafejce i zwróciły w jej stronę, ona zaś, nie zwracając na nie uwagi, wróciła do swoich zajęć. Czytając o dokonaniach i ofiarach Jonesa, pokręciła gwałtownie głową.

- To naprawdę kawał skurwiela.

- Wiedziałas to już wcześniej - zauważył Csongor.

- Co prawda, to prawda.

* * *

W drodze przez Elphinstone Richard nie zaskarbił sobie sympatii miejscowych, ale ponieważ Kanadyjczycy mają pewien wstydlivy sekretik (jeżdżą jak skończone świry), pędząc na złamanie karku i przelatując na czerwonym przez skrzyżowania, wcale nie odbiegał od normy tak bardzo, jak miałyby to miejsce na południe od granicy. Droga w górę doliny, do *Schlossu*, wytyczyła kierunek rozwoju miasteczka i z biegiem lat powyrastały przy niej sklepy i biura, którym pryncypialna fatwa tradycji historycznej odmawiała miejsca w centrum. Prawda jednak była taka, że w Elphinstone, małej mieścinie, żyła ograniczona liczba klientów kawiarni i salonów samochodowych, w związku z czym tego rodzaju przybytki kończyły się w martwej strefie nieopodal nieczynnego tartaku. Potem droga zwężała się do jednego pasa w każdym kierunku, a kilka mil dalej zaczynała się wic jak wąż i wierzgać jak muł.

Było więc nie do uniknięcia, że właśnie na tym odcinku przyklei się do zadu olbrzymiego kampera, i to zaledwie trzydzieści sekund od miejsca, za którym wyprzedzanie nie wchodziło w grę. Rozmiarami kamper niewiele ustępował tirowi, miał rejestrację z Utah, dawno nie był w myjni, tylny zderzak miał upstrzony tradycyjnymi naklejkami wychwalającymi zalety przetrąbiania spadku wnucząt - i jechał najwyżej trzydzieści mil na godzinę. Richard wcisnął ostro hamulec, włączył światła (żeby zaznaczyć swoją obecność) i cofnął się do miejsca, z którego widział lusterka wsteczne kampera. Po czym zaczął przeklinać w duchu Internet. Dawniej takie rzeczy się nie zdarzały, ponieważ ta droga donikąd nie prowadziła. Za *Schlossem* asfalt się kończył, a żwirówka pokonywała z mozołem jeszcze kilka zakrętów, zanim skończyła się dwie mile dalej, w opuszczonym obozie górniczym, gdzie kierowca mógł co najwyżej zawrócić (było tam trochę szerzej) i ruszyć z powrotem w dół. Kłopot w tym, że miłośnicy geocachingu uwielbiali właśnie w okolicach tej zawrotki ukrywać (na drzewach lub pod kamieniami) plastikowe pojemniki i stare skrzynki po amunicji zawierające różne przypadkowe drobiazgi, dzięki czemu inni gracze odwiedzali to miejsce i zostawiali potem swoje bobki w Internecie, zachwycając się pięknym widokiem, brakiem tłumów i obfitością borówek. Zazwyczaj o tej porze roku Richard i inni mieszkańcy

zameczku mieli jeszcze zapewniony co najmniej miesiąc spokojnej jazdy, ale ci zapaleńcy najwyraźniej postanowili uprzedzić sezon turystyczny i pierwsi objechać najciekawsze miejsca.

Richard odczekał trzydzieści sekund, jak tego wymagała przyzwoitość, po czym nacisnął klakson i nie przestawał trąbić, aż - ku jego miłemu zaskoczeniu - po niespełna minucie kamper przyhamował i zjechał prawymi kołami na skromne pobocze w miejscu, w którym wyprzedzenie go było już tylko trochę, a nie bardzo ryzykowne. Oczywiście, z przeciwka nic nie jechało, ale Richard, który podstaw wyprzedzania uczył się w Iowa, wiedział, że dopóki człowiek nie widzi, że drugi pas jest pusty aż po horyzont, lepiej poczekać. Z rykiem silnika wyprzedził kamper. Gdyby nie był pogrążony w myślach, opuściłby szybę i przyjaźnie pomachał kierowcy, ale w tej sytuacji nawet się nie obejrzał. Zresztą, kierowca kampera siedział chyba ze trzydzieści stóp nad powierzchnią jezdni i z fotela Richarda trudno byłoby zajrzeć mu do kabiny.

Piętnaście minut później zameldował się w *Schlossie*. Odczuwał nieprzepartą chęć, żeby natychmiast włączyć komputer, ale wiedząc, że posiedzi przy nim dłuższą chwilę, postanowił najpierw uporządkować inne sprawy. W innych okolicznościach zająłby się tym u siebie w apartamencie, trwał jednak Błotny Miesiąc i zamek świecił pustkami. Postanowił więc rozgościć się w tawernie, gdzie znajdował się ogromny monitor, który można było podłączyć do laptopa. A ponieważ miał służyć podczas narad Korporacji 9592, był mocny, nowoczesny i perfekcyjnie konserwowany (zdalnie) przez znajdujący się w Seattle dział IT, z którym komunikował się przez szerokopasmowe łącze internetowe. Sygnał audio został wyprowadzony przez zainstalowany w tawernie wysmienity sprzęt nagłaśniający. Przed ekranem można było się rozsiąść na wygodnych skórzanych fotelach lub sofach.

Złupił kuchnię, z której przyniósł kilka tysięcy kalorii w przekąskach i napojach, czym wywołał czerwony alarm u muz i furii. W apartamencie mógłby je ugłaskać, chodząc po bieżni w czasie grania, w tawernie brakowało jednak takiego wyposażenia. Postawił laptop na niskim stoliku i podłączył do zasilacza. Ostatni raz przespacerował się do toalety. Wracając z niej, zauważył wsunięty pod kontuar kubeł, porzucony zapewne przez Cheta lub kogoś z ekipy sprzątającej. Posłuszny wieloletniemu instynktowi zabrał go z łazienki i postawił obok miejsca, w którym zamierzał usiąść do gry. Dawno już nie grał z takim zaangażowaniem, żeby musieć sikać do pojemnika, i spodziewał się, że teraz też przesadza, ale był w *Schlossie* sam, więc nikt się nie dowie, a on miał już ponad pięćdziesiąt lat i łatwy dostęp do napojów zawierających kofeinę.

Włączył sprzęt i odpalił *T'Rain*. Czekając, aż gra się uruchomi, zauważył, że

wpadające przez okno światło dnia nieprzyjemnie odbija się w monitorze. Wstał więc i opuścił drewniane żaluzje - najpierw na tym jednym oknie, a potem, dla pewności, także na wszystkich pozostałych - bo przecież słońce, jak wiadomo, ma fatalne maniery: z czasem mogło się przesunąć i zaglądać do sali z innych stron. Kończył właśnie zasłanianie okien, gdy jego uwagę zwrócił jakiś ruch na zewnątrz: kamper, który wcześniej wyprzedził, wspinał się mozolnie drogą. Sunął jeszcze wolniej niż przedtem, żeby pasażerowie mogli do woli podziwiać zameczek. Richard posłał mu złowieszcze spojrzenie, usiłując telepatycznie dać kierowcy do zrozumienia, żeby stąd spadał. Zdarzało się, że tacy przypadkowi goście skręcali na podjazd, przychodzili do *Schlossu* i prosili o udostępnienie toalet lub jadalni. Richard nie miał nic przeciwko temu - pod warunkiem, że na miejscu był personel, który by się nimi zajął. Teraz jednak obawiał się, że sytuacja rozwinęłaby się paskudnie, gdyby jacyś sympatyczni emeryci-turyści, dysponujący ogromną ilością wolnego czasu, mieli przekroczyć próg zameczku. Dlatego z ulgą patrzył, jak olbrzymi kamper przyśpiesza i z rykiem silnika mija hotelowy podjazd.

- Już zapinam pasy - zameldował Corvallisowi przez słuchawkę z bluetoothem, którą przed chwilą przytwierdził sobie do skroni.

Zwalił się na obitą skórą sofę, upewnił się, że wszystko, czego mógłby potrzebować, jest w zasięgu ręki, i wziął na kolana bezprzewodową klawiaturę.

- Ciągle jest w sieci - poinformował go C-plus. - Zbiera oddział.

- Ilu już ma?

Odpowiedź Corvallisa (jeśli w ogóle jej udzielił) została zagłuszona zgiełkiem fanfar, łomotem kotłów, dudnieniem organów i pseudogregoriańskim chórem, którym ryknęły otaczające Richarda subwoofery, głośniki nisko- i wysokotonowe oraz inne wytwory techniki służące do robienia hałasu.

- Rozumiem, że logujesz się jako Edgod - odezwał się ostrożnie Corvallis, gdy uznał, że może bezpiecznie wyczołgać się spod swojego biurka w Seattle.

- Jeśli kiedykolwiek miało to sens, to...

- Zdajesz sobie sprawę, że jeśli troll zacznie podejrzewać, że Edgod wie o jego istnieniu...

- Edgod nawet w nosie nie podłubie, dopóki nie włoży na siebie wszystkich możliwych przebrań i nie rzuci wszystkich czarów zabezpieczających znanych naszym serwerom.

- On jest sprytny. I szybki. Widziałem, jak rozprawił się z paroma potworami. Ekipę też ma niekiepską.

- Robiłeś kiedyś pułapkę na szopa pracza?

- Nie. Odkąd usłyszałem, że szopy roznoszą wściekliznę, nie bardzo rozumiem, po co ktoś miałby je łapać.

- Wierci się dziurę w pniu drzewa albo czymś podobnym, dostatecznie dużą, żeby szop mógł tam włożyć łapę. Otwór nabija się dookoła gwoździami, które zakrzywia się do wewnątrz, tak żeby, wsuwając tę drobną łapkę do środka, musiał to zrobić powoli i ostrożnie. W głębi dziury kładzie się przynętę. Szop chwyta przynętę, ale jeżeli jej nie puści, nie cofnie łapy. W ten sposób łąduje w potrzasku, spętany swoją niezdolnością do oddania zdobyczy.

- Naprawdę kiedyś tak robiłeś? To znaczy, wiem, że dorastałeś na farmie i w ogóle...

- Oczywiście, że nie! - prychnął Richard. - Co ja bym zrobił z przyspawanym do pniaka wściekłym zwierzakiem?

- Właśnie dlatego pytałem...

- Podejrzewam, że ten sposób w ogóle nie jest skuteczny. To tylko metafora...

Richard nie skończył myśli, gdyż chwilowo pochłonęło go nakładanie kolejnych warstw przebrań, tarcz i ochron niezbędnych Edgodowi przed wyjściem z domu. Jak podstarzała aktorka, która robi sobie makijaż, kładzie krem z filtrem, zakłada okulary przeciwsłoneczne i kapelusz...

- Domyślam się, że zastosowanie praktyczne metafory ma być następujące - odezwał się w końcu Corvallis. - W tej chwili troll może się w każdej chwili wylogować i nic nie traci. Jest jak szop, który jeszcze nie wsadził łapy do pniaka. Wygląda jednak na to, że zbiera ekipę, żeby wyjść i odUkryć masę złota, które mają pochowane po całym Torgai. Potem będzie chciał je przetransportować do kantoru: na tym etapie będzie już szopem, który złapał przynętę. Jeżeli wtedy go zaatakujesz i zginie albo po prostu się wyloguje, straci pieniądze, których potrzebuje.

- Rozpracowałeś mnie. To właśnie wtedy zamierzam kutafona przyszpilić i uciąć sobie z nim pogawędkę.

* * *

Csongorowi zawsze najlepiej się myślało, kiedy przechadzał się w tę i z powrotem - co chyba wyjaśniało, dlaczego w tradycyjnym środowisku akademickim nie potrafił w pełni wykorzystać swojego potencjału. Teraz bardzo mu się ta cecha przydała. To, co robił Marlon, było niesamowite; bardziej fascynowała Csongora złożoność całego procesu oraz zajadła dbałość Marlona o najdrobniejsze szczegóły, niż same wydarzenia zachodzące na ekranie, zwłaszcza że Reamde oddalił się na zaledwie kilka wirtualnych kroków od wyjścia z jaskini. Csongor nie mógł od niego oderwać oczu - ale zarazem nie był w stanie przyglądać mu się

dłużej niż przez minutę albo dwie. Stąd konieczność spacerowania.

Drugi komputer - ten z nowo zainstalowanym czystym Linuksem i anonimowym łączem do Internetu - znajdował się dosłownie pięć kroków dalej i Csongor stale do niego wracał. Yuxia wdała się w coś w rodzaju czatu z jakąś znajomą osobą z Chin, z którą wymieniały teraz sporadyczne wiadomości. Pozwoliło jej to zrzucić z serca potężne brzemie emocjonalne, z którym zmagala się od początku tej przygody. W ich komunikacji zdarzały się jednak dłuższe przerwy, kiedy mogła swobodnie przeczesać sieć w poszukiwaniu informacji o Abdallahu Jonesie, a także (w miarę postępów śledztwa i pojawiania się nowych tropów) Zuli, Richardzie Forthraście oraz - przy okazji - Csongorze i jego mieszkającym w L. A. bracie. Chyba pierwszy raz korzystała z sieci, która nie byłaby okulawiona działaniem chińskiego Wielkiego Muru Internetowego, i powoli zaczynała się od niej uzależniać.

Niewiele brakowało, żeby Csongor musiał w nieuprzejmy sposób przepędzić ją sprzed komputera, żeby choć na chwilę się do niego dorwać.

Uruchomił w Google wyszukiwanie witryn zawierających jednocześnie słowa „Zula” i „Abdallah Jones”. Wskoczyło mu kilka stron poświęconych terroryzmowi w Rogu Afryki, z odniesieniami do portu i zatoki Morza Czerwonego, którym Zula zawdzięczała swoje imię, ale nie znalazł nic na temat Zuli Forthrast.

Czyli nic się nie wydarzyło. Do sfery publicznej nie przedostały się jeszcze żadne informacje, które pozwalałyby powiązać te dwie osoby. Spróbował połączenia „Jones” i „Xiamen”. Nic. Z pomocą Yuxii znalazł w chińskich mediach doniesienia o wybuchu gazu i nieudanym zamachu terrorystycznym w Xiamen, do których doszło w interesujący ich poranek, w żadnym jednak nie było wzmianki o Jonesie, Zuli ani innych zamieszanych w nie osobach. Przepływ informacji został więc stanowczo - i skutecznie - odcięty.

* * *

- Flara - zabrzmiał w telefonie znajomy głos.

Po krótkiej chwili dezorientacji Olivia rozpoznała „wujka Binronga”. Pewnie dzwonił z Londynu.

Była zdezorientowana, ponieważ dopiero co rozmawiała z funkcjonariuszami Kanadyjskiej Królewskiej Policji Konnej w Vancouver i nie spodziewała się telefonu z Londynu.

- Halo?

- Jestem, jestem, przepraszam - zmięgowała się. - Jaka flara?

- Na scenie ŚWJ pojawił się nowy aktor - odparł wujek Binrong.

Przyswoił sobie ukuty przez Seamusa Costello skrót na oznaczenie walki, w której

wszyscy wspólnie uczestniczyli - MI6, FBI, Kanadyjska Konna oraz rodzina Forthrastów.

- Co robi?

- Próbuje w Google połączyć Zulę z Abdallahem Jonesem, Xiamen, Csongorem.

- Kto to jest Csongor, u licha?

- Pojęcia nie mam. Ale zastanawiam się, czy ten nowy aktor się nam mimowolnie nie przedstawił.

- Gdzie jest?

- Nie wiem. Kimkolwiek jest, zna się na bezpieczeństwie komputerowym. Postawił sobie czyściutką, dobrze strzeżoną instalację Linuksa. Świeżutką. Naprawdę, nówka sztuka. W dodatku stosuje jakiś hakerski software do anonimizacji transmisji. Nie potrafimy ustalić miejsca jego pobytu.

- Na publicznie dostępnych stronach są jakieś ślady?

- Nic nie znaleźliśmy.

- Czyli nasz nowy aktor nie chłapie ozorem.

- Nie. Po prostu łowi. Rozgląda się. Sprawdza, czy ktoś jeszcze wie to, co on. Na razie wygląda na to, że nie.

- Jest coś, co chcielibyście, żebym zrobiła?

- Już mi pomogłaś, twierdząc, że nie wiesz, kim jest Csongor. Dam ci znać, gdybym jeszcze czegoś potrzebował - dodał wujek Binrong i się rozłączył.

W samą porę, bo telefon zasygnalizował następne połączenie, i to - sądząc po prefiksie - z biura Kanadyjskiej Królewskiej Policji Konnej w Vancouver.

Transgraniczna aktywność telefoniczna Olivii stanowiła poniekąd powtórkę - w miniaturze - jej własnych przeżyć z pierwszego dnia lub dwóch pobytu w Stanach: zaczynała od ludzi, których nazwiska i numery znała, od nich uzyskiwała kolejne nazwiska i numery i tak brnęła na oślep przez kręty labirynt organizacyjnej hierarchii, aż w końcu udało się jej nawiązać kontakt z kimś, kto nie uważał jej za wariatkę i z kim mogła się podzielić jakimś okruczem tajnej wiedzy. W przeciwieństwie do Stanów Zjednoczonych, gdzie aparat wywiadowczy przywodził na myśl Wieżę Babel, Kanada oferowała proste zakupy pod jednym dachem - czyli Kanadyjską Królewską Policję Konną. Mieli wprawdzie również agencję wywiadowczą (Kanadyjską Służbę Bezpieczeństwa i Wywiadu), ale gdy tylko jej pracownicy posłuchali zadawanych przez Oliwię pytań, odesłali ją do Królewskiej Konnej jako lepiej przygotowanej do udzielenia odpowiedzi.

Jej nadzieje się ziściły, bo właśnie dzwonił inspektor Fournier, co do którego inni jej rozmówcy byli zgodni: to właśnie z nim powinna porozmawiać. Wyszła z pokoju, w którym

w towarzystwie agentów FBI przeglądała mapy lotnicze, i zamknęła się w pobliskim pustym biurze, z którego miała widok na niebieskie wody Zatoki Elliota. Był piękny wiosenny dzień - błękitne niebo, góry widoczne jak na dłoni; patrzyła na rozstawiane w porcie kontenerowce, tak naprawdę wcale ich nie widząc. Po wymianie zdawkowych uprzejmości poprosiła inspektora Fourniera o poświęcenie jej kwadransa swojego cennego czasu, a gdy się zgodził, streściła mu teorię SGPA i naturę jego potencjalnych powiązań z zakresem obowiązków inspektora.

* * *

Po pierwszym google'owym zrywie Csongor popadł w głęboką zadumę na dwie godziny. Podczas całego rozpaczliwego rejsu *Szelanyą* wyobrażał sobie, że gdyby tylko mógł dorwać w swoje ręce komputer podłączony do Internetu, natychmiast zacząłby działać. Z perspektywy czasu widział, jak nierealistyczne było to założenie, ale przynajmniej pozwoliło mu przetrwać tajfun albo dwa.

Nie mieli czasu, żeby się wyluzować po tej morskiej podróży. Na tym polegał problem. Gdyby przybili do brzegu w jakiejś zatoczce na odludziu, popluskali się w ciepłej wodzie, pojedli kokosów... Może teraz byłby psychologiczne gotowy rzucić się w sam środek zgotowanych im przez los wydarzeń. Jednakże, kiedy *Szelanya* zgrzytnęła o dno i znieruchomiała, pozwolił sobie na trwającą trzydzieści sekund chwilę odprężenia - i podczas tych trzydziestu sekund stracili w zasadzie wszystkie pieniądze. Od tamtej pory ciągle coś się działo, a teraz się przekonał, że ten jego ukochany Internet wcale nie pomoże mu wytropić Zuli.

Zasnął tak nagle i tak nieodwracalnie, jakby fala zmyła go z pokładu łodzi w mrok.

* * *

Polowanie na trolla trwało już od kilku godzin, gdy bluetoothowa słuchawka w uchu Richarda zaczęła beczeć załośnie, ostrzegając o rozładowaniu akumulatora. Przerwał połączenie telefoniczne z Corvallisem, którego użyteczność i tak szybko malała, w miarę jak zdobywał nowe informacje. Obleczony w bodaj dwudziestowarstwowy komplet czarów i przebrań poleciał prosto na Pogórze Torgai, rezygnując z uczęszczanej sieci linii geomantycznych, która zmusiłaby go do pojawienia się w miejscu, w którym Edgod (a właściwie jego zamaskowane alter ego) mógłby zostać zauważony. Przeszkadzały mu wbudowane w mechanikę gry naturalne ograniczenia. Nie chciał, żeby ktoś się zorientował, że Edgod wszedł do akcji, więc przebrał go za Ur'Qata, wojownika-maga z rasy K'Shetriae, znacznie słabszego, ale wciąż wystarczająco potężnego, żeby nie zginął w rozdartym wojną Torgai.

Narzucano się jeszcze jedno rozsądne zabezpieczenie: niewidzialność. Edgod mógł rzucić takie zaklęcia niewidzialności, w których byłby niewidzialny prawie dla wszystkich pozostałych uczestników gry - zawsze jednak istniała (niezwykle mało prawdopodobna) możliwość, że czar nie zadziała. Dzięki takim zabiegom gra była interesująca: słabszy bohater zawsze miał szansę pokonać silniejszego. Nawet takiego Edgoda można było wykryć. Dlatego lepiej było najpierw przebrać się za mniej potężnego Ur'Qata i dopiero Ur'Qatowi kazać użyć niewidzialności. Każde zaklęcie rzucone przez Ur'Qata byłoby słabsze, a więc i łatwiejsze do zneutralizowania od zaklęć Edgoda. Należało się zatem liczyć z tym, że gdyby Ur'Qat wjechał do Torgai po linii geomantycznej, zauważono by go bez względu na działanie niewidzialności. A wówczas albo zostałby natychmiast zaatakowany, albo, co chyba jeszcze gorsze, byłby dyskretnie śledzony, kiedy zacząłby węszyć wokół Reamde. Niewykluczone, że depczący mu po piętach osobnik byłby sługą trolla.

Edgod zawsze mógł błyskawicznie dostać się na Pogórze Torgai - gdyby uznał, że zachodzi taka potrzeba. Na razie jednak wszystko wskazywało na to, że Reamde powoli i cierpliwie snuje plany bitwy, których realizacja zajmie mu kilka godzin. W takiej sytuacji Edgod zadowolił się po prostu przeleceniem ze swojej fortecy do Torgai - co i tak zajęło mu sporo czasu, chociaż poruszał się z prędkością naddźwiękową, ale przynajmniej podczas lotu Richard zdążył odświeżyć sobie znajomość pewnych zaklęć i przedmiotów magicznych, które wkrótce mogły się okazać użyteczne. No i dopóki bluetooth do reszty nie wyzionie ducha, mógł liczyć na kontakt z Corvallisem i informacje na temat współników, których Reamde ściągał chyba z całych południowych Chin.

* * *

Csongora obudziło niejasne przeczucie, że powinien robić coś użytecznego - i po chwili rzeczywiście przypomniał sobie, co to takiego: miał znaleźć specjalistę od wymiany t'rainowych pieniędzy, najlepiej w Szwajcarii, a w ostateczności gdziekolwiek indziej, byle nie w Chinach. Była 3:41 rano; przespał prawie trzy godziny, siedząc na krześle. Odwrócił się i spojrzał na Marlona, który nawet nie zmienił pozycji. Siedząca przy drugim komputerze Yuxia podpierała się nosem.

Spróbował się poruszyć, a kiedy stwierdził, że kark mu zeszywniał, poświęcił minutę na rozciągnięcie i rozmasowanie mięśni. W końcu wstał, nieśpiesznie podszedł do Marlona, zajrzał mu przez ramię i ze zdumieniem stwierdził, że troll imieniem Reamde nadal nie ruszył się sprzed jaskini. Błędem byłoby jednak myślenie, że nic się przez ten czas nie wydarzyło: lista obecności z lewej strony ekranu była od góry do dołu wypełniona kolorowymi portretami bohaterów z fluktuującymi i na bieżąco aktualizowanymi wykresami cech. Kiedy Csongor

spół, Marlon zwerbował kilkudziesięciu pomocników i kiedy teraz wcisnął jeden z klawiszy funkcyjnych, lista rozszerzyła się prawie na cały ekran, a następnie przybrała kształt rozgałęzionego drzewka, na którego szczycie znajdował się Reamde.

- To schemat twojej organizacji? - domyślił się Csongor.

- Raczej „organizacji” - odparł Marlon.

* * *

Inspektor Fournier oddzwonił około wpół do czwartej po południu. Poinformował Olivię, że w archiwach policyjnych nie ma żadnych śladów tajemniczego lądowania prywatnego odrzutowca, którym podróżowałyby banda bliskowschodnich terrorystów. Jedynym umiarkowanie niecodziennym wydarzeniem było odnotowane dziesięć dni temu zniknięcie grupy myśliwych w północno-środkowej Kolumbii Brytyjskiej.

Czterdzieści pięć minut później, po szybkim nalocie na swój hotel w celu spakowania się i wymeldowania, Olivia jechała już I-5 na północ - a właściwie niemal cały czas stała w nieuniknionym piątkowym korku w godzinach szczytu. Była jednak w ruchu. I miała głębokie przekonanie, że podąża w przybliżeniu w kierunku Abdallaha Jonesa.

* * *

Pod pewnymi względami dzihadysty byli do tego stopnia zagubieni, że prawie - ale tylko prawie - wzbudzali współczucie Zuli i budzili w niej szczątkowy instynkt macierzyński. Na niektórych sprawach znali się jednak wyśmienicie i załatwiali je z godną podziwu fachowością. Jedną z tych dziedzin było biwakowanie, a po tygodniu bezcelowej włóczęgi po większych i mniejszych drogach Kolumbii Brytyjskiej o niczym innym tak nie marzyli, jak o rozbiciu gdzieś obozowiska.

Wyobrażała sobie, że w miarę zbliżania się do *Schlossu* będą ją czasem wpuszczali na przód kampera i prosili o wskazówki. Wyglądało jednak na to, że w którymś z rozlicznych nawiedzonych po drodze Walmartów kupili GPS i za jego pomocą namierzali się po prostu na współrzędne geograficzne zaczerpnięte z jej zdjęć, zrobionych kilka tygodni wcześniej przy opuszczonej kopalni. Zamknęli ją na amen w tylnym przedziale wozu, żeby im nie przeszkadzała, przez co ostatnie kilka godzin podróży spędziła samotnie, w ciemności, wykonując obmyślony przez siebie program gimnastyczny i usiłując odgadnąć swoje położenie na podstawie nielicznych wskazówek sensorycznych docierających przez zaizolowane ściany samochodu. Dojechali do miasta - przypuszczalnie do Elphinstone. Kupili jedzenie - zapewne w Safewayu. Następnie wyjechali z miasta i ruszyli krętą drogą pod górę (strzelało jej w uszach) - niemal na pewno tą prowadzącą do *Schlossu*. Ktoś ich wściekle obtrąbił, a potem wyprzedził; Zula przez chwilę zabawiała się myślą, że mógł to być wujek

Richard - a potem nagle uświadomiła sobie, że to musiał być on, nikt inny.

Potem skończył się asfalt, zaczął żwir i silnik zgasł. Z punktu widzenia Zuli przez następną godzinę nic się nie działo. Czuła, jak kamper kołysze się na resorach, kiedy pasażerowie wysiadali - pewnie na rekonesans. Z przedniej części wozu dobiegały przytłumione głosy. Ktoś wyładowywał ekwipunek. Nie mieli zresztą innego wyjścia, bo przez ostatni tydzień nagromadzili tyle gratów, że w samochodzie trudno było się poruszać.

A potem usłyszała dźwięk, na który czekała od chwili, gdy zamknęli ją w tej specjalnie zbudowanej celi: szczęk ciężkiego łańcucha, który ktoś wygrzebał ze schowka.

Chrobot przy drzwiach. Ktoś otworzył drzwi kopniakiem i w progu stanął Zakir, grubas z Vancouver, w przekrzywionych okularach, z naręczem łańcucha. Przez ostatnie dni nie upierał się specjalnie przy kąpaniu i goleniu.

- Będzie mi potrzebna twoja szyja - obwieścił z sarkastyczną uprzejmością.

* * *

Csongor nie miał pojęcia, jak nawiązać kontakt ze specjalistą od prania t'rainowej gotówki, ale doszedł do wniosku, że metoda bezpośrednia nie zaszkodzi. Zaczął więc od Google i wkrótce wyrobił sobie zgrubne pojęcie o właściwych słowach kluczowych i parametrach wyszukiwania.

Główny problem, jak się okazało, polegał na tym, że żaden z tych cinkciarzy nie miał własnej strony internetowej z prawdziwego zdarzenia. Działali w środowisku postwebowym i poste-mailowym. Żeby się z nimi skontaktować, należało się spiknąć z ich animkami w *T'Rainie*.

Zaczął więc ściągać linuksową wersję *T'Rainu*, a przez ten czas podczytywał coś na jego temat. Chciał opanować podstawy, żeby po wejściu do świata gry nie czuć się całkiem bezradnym.

Program ładujący był bardzo elegancki, miał nawet własną muzyczkę, która ryknęła z głośników, zanim Csongor zorientował się, jak ją przyciszyć, i zwróciła uwagę Marlona.

- Wchodzisz? - zapytał Marlon z niepokojem w głosie.

- Będę szukał cinkciarza.

- Przecież nie masz animka.

- To prawda.

- Musiałbyś go sobie stworzyć od zera. To na nic. Będziesz co chwila ginął.

- No to co mam zrobić?

- Kiedyś z chłopakami żyliśmy z tego, że sprzedawaliśmy gotowe animki takim jak ty.

- Oni nie byli tacy jak ja.

- Mniejsza z tym. Pożyczę ci jednego ze swoich. Za darmo.

* * *

- Najprawdopodobniej udało nam się zidentyfikować Csongora - zabrzmiał w telefonie Olivii głos wujka Binronga, bez żadnego wstępnego „cześć” i pogawędki o pogodzie. - Twój e-mail bardzo nam pomógł.

Po poprzedniej rozmowie przesłała wujowi e-mail z opisem sporządzonego na papierowych ręcznikach rękopisu Zuli.

Długa cisza. Przez korek próbował się precyzyjnie włączyć wóz straży pożarnej: włączył koguta, wcisnął klakson i czekał, aż samochody przed nim rozpełzną się na boki.

- Wszystko w porządku? - spytał w końcu wujek Binrong.

- Tak. Jadę autostradą wolniej, niżbym szła piechotą. - Przez pół godziny nie wyjechała nawet z miasta. - Co macie?

- Csongor Takacs, lat dwadzieścia pięć, zamieszkały w Budapeszcie. Konsultant internetowy, administrator, wolny strzelec. Ma powiązania z przestępczością zorganizowaną. Od trzech tygodni nie logował się na swoje serwery, Facebooka i tym podobne.

Olivia powinna była pewnie myśleć o czymś innym, ale zaczęła się właśnie zastanawiać, czy nie powinna dać znać Richardowi - cały czas chodziło jej po głowie, że ten Csongor szukał w Internecie Zuli. To by oznaczało, że ją zna, ale nie wie, gdzie jest. Czy nadinterpretacją zwykłego google’owego wyszukiwania byłoby twierdzenie, że Csongor się o nią martwi?

Czyli, innymi słowy, jest porządnym facetem?

- Co z tego dla nas wynika? - zapytała.

- Nic, jak to zwykle bywa z informacjami na temat Rosjan - odparł wujek Binrong. Bez urazy, co najwyżej z lekkim rozżaleniem. - To ciekawy materiał dodatkowy, częściowo wyjaśnia wydarzenia, które doprowadziły do ucieczki Jonesa z Xiamen. Za to, sądząc po charakterze poszukiwań Csongora w Google...

- Działa tak samo po omacku, jak my. Proszę, dajcie mi znać, gdyby to się zmieniło.

- Z pewnością się zmieni - zapewnił Olivię wujek Binrong i rozłączył się równie gwałtownie, jak wcześniej rozpoczął tę rozmowę.

Olivia przez jakieś trzydzieści sekund obgryzała paznokcie kciuka. Przyszło jej do głowy, że mogłaby zjechać na bok i przez pewien czas prowadzić śledztwo z pobocza. W korku była bezradna.

Sięgnęła po telefon, wybrała „ostatnie połączenia” i znalazła numer Richarda Forthrasta.

Telefon zadzwonił kilka razy, zanim w końcu usłyszała głos Richarda:

- No proszę, brytyjska tajna agentka...

- Tak o mnie myślisz?

- Możesz mi podać lepszy identyfikator?

- Nie spodobało ci się moje przybrane imię?

- Wyleciało mi z pamięci. W telefonie mam cię wpisaną jako „brytyjską dziewczynę-szpiega”.

- Pomyślałam o tobie i doszłam do wniosku, że zadzwonię. Co słychać? Jak bracia?

Richard parsknął śmiechem.

- Omal nie pozabijaliśmy się nawzajem, więc rano wsadziłem ich w samolot do Bourne's Ford.

- Hm... Urocze.

Olivia słyszała jakby z oddalenia swój głos sączący pozbawione znaczenia słówka. Zastanawiała się, co powinna powiedzieć Richardowi, a co zataić.

- Troll się zalogował - poinformował ją.

- Naprawdę?!

- I wziął się do roboty. A ja go śledzę. Co oznacza, że jestem zajęty. Zadzwoni na ten numer. - Richard wyrecytował numer poprzedzony kierunkowym 206. - Porozmawiaj z Corvallisem, wprowadzi cię w szczegóły.

- Jakie szczegóły? - spytała z roztargnieniem Olivia, starając się przede wszystkim zapamiętać numer.

- Adres IP trolla. Będziecie go mogli po nim wytropić. Jest na Filipinach. Znając wasze możliwości, zdołacie pewnie ustalić dokładne współrzędne geograficzne i zbombardować go z samolotu bezzałogowego. Albo coś w tym rodzaju.

- Bez komentarza.

- Ale nie róbcie tego, zanim nie uzyskam od niego pewnych informacji - ciągnął z naciskiem Richard. - Potem możecie go nawet rozstrzelać hellfire'ami.

Olivia nie wiedział, co powiedzieć. Poczucie humoru Richarda sprawiało jej pewien kłopot.

- Możecie go sobie tropić do woli - spróbował jeszcze raz. - Tylko go nie spłoszcie. No i najważniejsze: nie próbujcie go ścigać w *T'Rainie*. Zorientuje się. I w ułamku sekundy rzuci się na was.

Olivia się rozłączyła i wybrała numer Corvallisa na jedną dziesiątą sekundy przed tym, jak na wieki ulotnił się z jej pamięci.

W słuchawce zabrzmiał nieznany głos:

- Brytyjska... ehm... kobieta-szpieg?
 - Możesz mówić „dziewczyna”, jeśli wolisz. Nie złożę skargi.
 - Próbowaliśmy go przekonać, żeby odbył trening wrażliwości, ale nas zbywa.
 - Spokojnie, w porównaniu z innymi ludźmi, z którymi mam do czynienia, wasz szef jest człowiekiem wręcz wyrafinowanym. Nie przejmuj się tak.
 - Richard uprzedzał mnie, że możesz zadzwonić.
 - Wiem. Twoim zdaniem, troll jest na Filipinach, tak?
 - Tak. Tylko że nie mamy środków, żeby namierzyć go tam dokładniej. Jego adres IP należy do puli obejmującej dość duży obszar geograficzny. Zapiszesz czwórkę z kropkami?
 - Z przyjemnością, ale w tej chwili prowadzę. Mniej więcej. Dlatego na razie zrobię coś innego.
 - Mhm, rozumiem... Co dokładnie?
 - Podam ci numer mojego znajomego, który jest teraz na Filipinach. Niejaki Seamus Costello. Będzie wiedział, co robić.
 - Cieszę się, że się przydam.
 - A potem, jak znam życie, zasypie cię pytaniami o to, jak wzmocnić swoją postać.
- Corvallis od dłuższej chwili stukał w klawisze.
- Ten jego Thorakks już jest diabelnie mocny.
 - Skąd wiesz?!
 - *T’Rain* to taka jedna wielka baza danych i do moich obo... Powiem inaczej: ja rządę tą bazą danych.
 - Tylko mi nie mów, że Seamus jest w tej chwili załogowany.
 - Wyłączył się trzy godziny temu. Tam jest teraz siódma rano.
 - Tam? To znaczy gdzie? Wiesz, skąd się logował?
- Stukot klawiatury.
- Z hotelu *Shangri-La* w Manili. Sala klubowa. Podać ci numer jego pokoju?
 - Mam do niego komórkę... Ale gdybym chciała się z nim rznąć, a chcę, to chyba lepiej zadzwonić na stacjonarny, nie uważasz?

* * *

- Ten przeklęty telefon jest przyczepiony kablem do ściany - powiedział Seamus Costello z mieszaniną niesmaku i zgrozy, kiedy już obudził się na tyle, żeby ogarnąć podstawowe fakty. - Jakim cudem dzwonisz do mnie po kablu?!
- Musisz się jeszcze sporo nauczyć o szpiegach i szpiegowaniu - zbesztła go surowo

Olivia. - Naprawdę mnie zaskoczyłeś. Mam nadzieję, że mogę ci powierzyć pewne zaufane informacje.

- Jakie dokładnie?

- Właściwie nie jestem pewna. Mam trop. Na Filipinach. Gdzie akurat utknąłeś.

- Specjalnie pomieszkuję w takich hotelach jak ten, żeby nic mi o tym nie przypominało.

- Zajmij się tą sprawą. To może być twój bilet wyjazdowy.

- Ma jakiś związek z ŚWJ?

- Naturalnie.

- A gdzie ty w ogóle jesteś, do cholery?

- Pędzę międzystanową piątką na północ z zapierającą dech w piersi prędkością trzech mil na godzinę. A nie, przepraszam: właśnie stanęłam.

- Jak w Manili, co?

- Tyle że tutaj nie mogę porzucić auta.

- Jedziesz na północ... skąd? San Diego? L.A.?

- Z Seattle - odparła Olivia i pokrótce streściła swoje poczynania od czasu opuszczenia Manili.

- Pięknie... - podsumował Seamus, przyswoiwszy sobie te informacje. - Czyli, z twojego punktu widzenia, dochodzenie koncentruje się na SGPA, a ty właśnie jedziesz do Vancouver, żeby tam podjąć potencjalny trop... No dobrze, ale co to ma wspólnego ze mną?

- Seamus... Jesteś wszechstronnym, doskonale wyszkolonym żołnierzem. Masz świetny refleks i niezrównany instynkt zabójcy.

Seamus, który domyślał się już, że w coś go wrabiają, postanowił milczeć.

- Tysiące wojowników padły od zamasztych ciosów twojej Targadzkiej Kolczastej Maczugi Bojowej.

- Jak tylko zaczniesz mówić do rzeczy, będę słuchał.

- To misja wymarzona dla takiego wojownika jak ty - dodała Olivia, po czym przeszła do objaśnienia sytuacji trolla. Wszystko co najważniejsze zawarła w pierwszych paru zdaniach, dalej miała już nieodparte wrażenie, że rozplywa się w błahostkach.

Tymczasem na autostradzie coś drgnęło, mogła zmienić pas - i nagle ta wielozadaniowość zaczęła ją przerastać. W końcu Seamus jej przerwał:

- Chcesz powiedzieć, że ten dzieciak przez ileś tam miesięcy mieszkał dziesięć stóp od Jonesa? A potem znalazł się w samym środku tego „wybuchu gazu” w Xiamen?

- Tak. I tak.

- Nic więcej nie musisz mówić. Gdzie znajdę tego kutasinę?

- To właśnie macie wykombinować ty i ten twój niewiarygodny aparat wywiadowczy.

Olivia podała Seamusowi adres IP.

- Się robi - powiedział.

- Jedna sprawa...

- Tak? - Seamus, który na początku rozmowy był przyjemnie rozespany i słodko zdekoncentrowany, teraz na dobre się rozbudził, zaczynał się niecierpliwić i nie przejmował się tym, czy Olivia to zauważy.

Prawdę mówiąc, chciał, żeby zauważyła.

- Ten chłopak jest naprawdę niezły. Nie podskakuj mu.

- Thorakks sobie z nim poradzi. Powodzenia z SGPA.

Seamus się rozłączył.

Dobrze się złożyło, bo chwilę potem oddzwonił wujek Binrong. Olivia uświadomiła sobie, że w Londynie dochodzi właśnie pierwsza w nocy. Głos wujka brzmiał jak głos człowieka podbitego i zmęczonego jednocześnie. Pewnie siedział w tym swoim klubie.

- Wygląda na to, że Csongor, o ile to właśnie on używa Google przez Tor, próbuje nawiązać kontakt z jakimś t'rainowym cinkciarzem.

Olivia, której myśli błądziły wokół kilku tematów jednocześnie, nie od razu zrozumiała, co to oznacza.

- Są razem! - wypaliła w końcu. - Csongor i troll są razem. Ale dlaczego? - spytała po kilku zmianach pasa.

- Nie wiemy. Może niech ten twój człowiek po prostu ich o to zapyta. Ja idę spać.

* * *

Zula potrzebowała sporo czasu, żeby znów przyzwycząić się do tego, że otacza ją otwarta przestrzeń, a nad głową rozpościera się niebo.

Znajdowali się przy zawrotce na końcu drogi, kilka mil za *Schlossem*, u stóp lawiny desek - pozostałości starego kompleksu górniczego. Lawina wznosiła się nad ich głowami pod kątem, który wydawał się bliski czterdziestu pięciu stopniom, Zula wątpiła jednak, by było tam aż tak stromo. Wachlarze z desek, spięte przy jednym końcu powykręcanyimi gwoździami, rysowały się na tle nieba jak promieniste czarne słońca. Borówki i bluszcz desperacko splatały w całość to, co zniszczyły gmachówki i grawitacja. Zula wiedziała, że kilkaset metrów wyżej stary ślad torów kolejowych przecina to drewniane rumowisko; miesiąc temu szli po nim z Peterem w rakietach śnieżnych, za miesiąc będą po nim jeździć rowerzyści, na razie zaś był pokryty błotnistą mazią, a woda żłobiła w nim sezonowe rowki,

które później trzeba będzie wypełnić żwirem i mocno ubić, nim szlak zacznie się do czegoś nadawać. Za kilka tygodni ekipy remontowe przystąpią do pracy, na razie jednak okolica była absolutnie bezludna.

Spodziewała się, że właśnie tutaj jada, a mimo to, wrażenie było surrealistyczne, jak ze snu: muśnięcia rześkiego powietrza na skórze, zapach cedrów i błota - oraz, naturalnie, towarzystwo dżihadystów i zapięty na kłódkę łańcuch na szyi. Odkąd wreszcie znaleźli się w głuszy, dżihadyści nie musieli już zgrywać cywilizowanych i zaczęli obnosić się z bronią. Jeden siedział po turecku na dachu kampera, który zaparkowali w poprzek drogi, blokując wjazd na zawrotkę, gdzie wyładowali cały sprzęt biwakowy i zajęli się jego porządkowaniem. Mężczyzna na dachu trzymał na kolanach karabin, a na szyi miał zawieszoną lornetkę, przez którą od czasu do czasu spoglądał w dół doliny. Zula nie miała wątpliwości, że gdyby dostrzegł jadących z dołu turystów lub miejscowych policjantów, odczekałby, aż wyraźnie zobaczy białka ich oczu za szybą samochodu, a potem by ich zastrzelił.

Przez ostatni tydzień fluktuacja kadr przybrała takie rozmiary, że Zula zaczynała się z wolna gubić w tłumie uczestników wycieczki. Z tych trzech, którzy przyjechali z Vancouver dzień po kradzieży kampera, zostali Zakir (w tej chwili trzymał koniec zapiętego na jej szyi łańcucha, jakby wyprowadzał psa na spacer) oraz Sharjeel - pyskata i pracowita gnida, która najwyraźniej awansowała na jednego z ważniejszych zastępców Jonesa. Ershut - barczysty robotnik, który leciał z nimi samolotem - pełnił rolę, do której był przyzwyczajony: przenosił rzeczy z miejsca na miejsce i układał je w stosy. Mahir i Sharif, dwaj kochankowie, gdzieś przepadli. Podobnie jak Aziz, trzeci z vancouverczyków. Abdul-Wahaab przechadzał się dostojnym krokiem, gapiąc się w przestrzeń, rozmawiając przez jeden z kilku posiadanych telefonów i zerkając na zegarek. Było też jednak co najmniej czterech nowych: snajper na dachu kampera, drugi mężczyzna z bronią, pełniący chyba rolę strażnika (znalazł sobie kryjówkę wśród drzew, ale Zula nadal go widziała), oraz dwóch żylastych brodaczy, którzy wyglądali jak myśliwi przygotowani na długie łowy na grubego zwierza. Zresztą, nawet po zakończeniu tych rachunków miała wrażenie, że nie widziała wszystkich i jeszcze paru krąży po okolicy w samochodach, które ekipa Jonesa zdążyła skombinować w ciągu dwóch tygodni włości.

Cokolwiek mieli robić, nie szło im najlepiej i Sharjeel regularnie wydierał się na pozostałych, żeby ruszyli tyłki i wzięli się do roboty. W ciągu godziny wypakowali do granic możliwości kilka plecaków, po czym przywiązali do nich i przypinali od zewnątrz masę dodatkowego ekwipunku, a nadmiar sprzętu wepchnęli do worków na śmieci i plastikowych chłodziarek. Zebrali to wszystko i z mozołem zagłębili się w las, podążając ścieżką

wytyczoną wcześniej przez jednego ze zwinniejszych członków ekipy. Ścieżka prowadziła wzdłuż drewnianej ruiny w górę zbocza. Szli wyjątkowo powoli, marsz utrudniały im stromizna, zarośla i błoto, ale chyba po jakiejś półgodzinie (choć subiektywnie trwało to znacznie dłużej) wyszli, cali spoceni, na spłachetek względnie poziomego terenu wielkości kortu do badmintonu, rzadko porośnięty starymi, wysokimi zimozielonymi drzewami, które częściowo zasłaniały ich od góry, ale zarazem dostatecznie duży i odsłonięty, żeby dało się na nim rozbić namioty i położyć śpiwory. Zakir na początek owinął wolny koniec łańcucha Zuli wokół olbrzymiego drzewa na środku placu i zapisał go na kłódkę, po czym, mając już pełną swobodę ruchów, wyciągnął się na niebieskiej karimacie. I leżał tak, dopóki Abdul-Wahaab nie zrugął go za lenistwo, bo wtedy wstał i wziął się do roboty. Zula podkrađła mu karimatę i przysiadła na niej. Do tej pory starała się nie przyglądać spinającym łańcuch kłódkom, bojąc się, że taki nadmiar zainteresowania może ją zdradzić; o wiele lepiej było udawać beznadziejną apatię. Teraz jednak, kiedy nikt nie zwracał na nią uwagi, jej wzrok zbłądził wzdłuż łańcucha aż do drzewa, do którego została przykuta. W kosmosie Zuli istniały dwie kłódki: jedna zabrana z obozu górniczego, duża, ciężka, zrobiona z mosiądzu i odporna na kaprysy żywiołów, i druga zdjęta ze skrzynki z narzędziami w pick-upie - mniejsza, stalowa, z wtopionym gumowym ochraniaczem, żeby nie obijała się o skrzynkę podczas transportu. Do tej drugiej Zula miała klucz. Z początku trzymała go po prostu w kieszeni, ale kiedy stało się oczywiste, że wkrótce coś się wydarzy, zaczęła się łapać na tym, że nie może spać, bo cały czas martwi się perspektywą rewizji i konfiskaty klucza. Dlatego wzięła tampon, nasączyła go wodą, włożyła do środka klucz i wsadziła go sobie w tyłek, gdzie tkwił do tej pory.

Łańcuch został przypięty do drzewa dużą mosiężną kłódką. Kłódki na szyi Zula nie widziała, ale, obmacawszy ją, wyczuła gumowy pierścień ochronny w dolnej części. Tę kłódkę mogła otworzyć.

* * *

Kiedy *da G shou* tworzyli nowego bohatera z myślą o ewentualnym sprzedaniu go jakiemuś bogatemu i leniwemu westmanowi, zamiast tracić czas na wymyślanie fajnych imion, tworzyli przypadkowe zbitki słów, zaczerpniętych pewnie ze spamu i przypadkowych wyników z Google - tak przynajmniej domniemywał Csongor, włączając się po *T'Rainie* w przebraniu spasionego kupca imieniem Totolotek Póldarmo. Za skromną opłatą mógłby zmienić imię (tudzież odchudzić bohatera), bał się jednak, że jeśli na samym początku ulegnie pokusie manipulowania takimi drobiazgami, upłyną długie godziny, zanim zrobi coś naprawdę pożytecznego. Na razie dopiero uczył się chodzić.

Zmaterializował się w pokoju na piętrze gospody stojącej przy ważnym skrzyżowaniu

traktów tuż za południowo-zachodnią bramą Carthinias, które - jak dowiedział się z błyskawicznego przelotu przez Google i wiki - było jednym z pięciu największych miast w *T'Rainie*. Wojny omijały je z daleka, ponieważ wszyscy chętnie zaopatrywali się na tutejszych bazarach, a miasto zachowywało neutralność. Przy tak zrędlivej populacji żaden trwały konsensus polityczny nie wchodził w grę. Ostatnia próba wplątania Carthinias w zagraniczne intrygi zakończyła się obaleniem i defenestracją władcy przez dobrze zorganizowany tłum...

No proszę, znów dał się wciągnąć w bagno uwodzicielskich szczegółów. Cała ta historia nie miała żadnego znaczenia: ważne, że Carthinias jest centrum handlowym, a więc najlepszym miejscem do nawiązania kontaktu z cinkciarzami. Kontakt ów należało nawiązać w miejscu zwanym Giełdą.

Minęło zaledwie kilka minut od przebudzenia w gospodzie, gdy Totolotek wszedł do miasta chwiejnym, nierównym krokiem znamionującym absolutnego nowicjusza. Od tamtej pory przemierzał wąskie uliczki miasta, zataczając się jak pijany i wypatrując rzeczonyj Giełdy - a właściwie usiłując rozgryźć działanie interfejsu użytkownika, co na jedno wychodziło.

Csongor, który coś tam słyszał o grach internetowych, był ciężko zdziwiony, że nikt go jeszcze nie napadł i nie zabił dla zabawy. Na ulicach nie brakowało postaci, które z pewnością byłyby do tego zdolne, ale po prostu nie zwracały na niego uwagi. Od czasu do czasu jakiś kupiec albo inny mało ważny bohater, na przykład goniec, kłaniał mu się, uchylał kapelusza i pozdrawiał go uprzejmie. Wyglądało na to, że Totolotek Póldarmo ma pewien status, co przejawiało się między innymi w taki sposób, że postaci nieskore do stosowania przemocy traktowały go z szacunkiem. Csongor miał jednak wrażenie, że im dłużej włóczy się bez celu, tym mniej szacunku okazują mu inni. I rzeczywiście, po kolejnej wizycie na wiki oraz rozgrzebaniu interfejsu użytkownika stwierdził, że od momentu opuszczenia gospody jego status systematycznie spada - najprawdopodobniej dlatego, że sam zapomniał się kłaniać i nieznajomi, których w ten sposób mimowolnie uraził, zaczęli się na niego skarżyć. Nauczył się więc zdejmować kapelusz (załatwiało się to jedną prostą kombinacją klawiszy) i przez jakiś czas kłusował ulicą w tę i z powrotem, kłaniając się uprzejmie wszystkim napotkanym nieznajomym. Musiał odbudować swoją reputację, zanim ktoś go zabije.

W końcu i tak ktoś go zabił, zmuszając do zapoznania się z procedurą wydobycia bohatera z Otchłani i ponownego wprowadzenia do świata żywych. Niedługo potem Totolotek dotarł w końcu na Giełdę i zaczął się przechadzać pod jej złoconymi kolumnami, kłaniając się, uchylając kapelusza i przysłuchując się pogawędkom, których prawie nie

rozumiał, ponieważ mieszkańcy *T'Rainu* formułowali swoje wypowiedzi w silnie skompresowanym żargonie dostosowanym do potrzeb użytkowników nieanglojęzycznych, którzy na dodatek lubią przy pisaniu nadużywać Caps Locka. Był to, jak nagle uświadomił sobie Csongor, taki t'rainowy odpowiednik systemu tajemniczych znaków używanych przez brokerów giełdowych do przekazywania zwięzłych komunikatów w panującym na parkiecie zgiełku i chaosie.

Co zrozumiałe, wejście w dowolny wirtualny świat wymagało choćby częściowego zawieszenia niewiary i zanurzenia się w konsensualnej halucynacji. Do tej pory doświadczył tego tylko przez krótki czas, głównie przy wykonywaniu prostych czynności, takich jak objęcie się o ściany w pokoju w gospodzie albo spacer ulicą. Tutaj jednak kompletnie sobie z tym nie radził - po części dlatego, że nie rozumiał, co się dzieje, a po części dlatego, że ze wszystkich elementów t'rainowej scenerii Giełda miała wystrój najbardziej pretekstowy. Jedynym celem jej istnienia było przenoszenie pieniędzy między wirtualną gospodarką *T'Rainu* i gospodarką świata rzeczywistego. Wyprowadzane z *T'Rainu* pieniądze musiały zostać zniszczone, permanentnie i nieodwołalnie usunięte z t'rainowego wszechświata. Efekt ten uzyskiwano poprzez złożenie ich bogom w ofierze. Przeznaczoną do wymiany porcję złota zanosilo się do jednej z kilku świątyń wybudowanych na poszczerbionych wzgórzach wokół miasta i tam oddawało w ręce kapłana lub kapłanki, którzy odprawiali stosowny rytuał: jedni wrzucali złoto do szczelin w skorupie ziemskiej, gdzie nadnaturalne siły dokonywały jego dezintegracji, inni kładli je na wysokich podniebnych ołtarzach, skąd (po odśpiewaniu nad nim stosownych inkantacji) po prostu znikalo bez śladu. Przerażony i zde gustowany tryskającymi żargonem handlarzami Csongor zablakał się na wzgórze, żeby podejrzeć niektóre z tych ceremonii. Wszystko odbywało się całkiem otwarcie, na oczach nielicznych gości zebranych na galeriach widokowych, chyba po to, żeby udowodnić, że sprawa jest czysta i żaden kapłan nie upycha sobie złota po kieszeniach. Podczas trwającej kwadrans obserwacji Csongor był świadkiem, jak z jednego takiego ołtarza zniknęło około pół miliona sztuk złota. Biorąc pod uwagę, że był to tylko jeden z półtuzina takich przybytków w okolicy i że wszystkie one działały przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, można było się spodziewać, że (tu szybkie rachunki w pamięci) w ciągu roku z *T'Rainu* wypływa około dziesięciu miliardów dolarów.

Dziesięć miliardów rocznie. A Marlon chciał wyprowadzić dwa miliony.

Csongor ukrył twarz w dłoniach, jak to miał w zwyczaju, kiedy intensywnie nad czymś myślał. W hotelu zadał sobie trud ogolenia się i teraz dziwnie się czuł, czując pod palcami gładkie policzki. Rachunki nie sprawiły mu większych trudności, ale był zmęczony i

skołowany.

Dziesięć miliardów rocznie dawało około miliona dolarów na godzinę. Albo na dwie godziny zmonopolizują Giełdę w Carthinias, albo będą musieli wymieniać pieniądze po trochu, przez dłuższy czas. Nagle dotarło do niego, że z tego właśnie żyją kupcy, od których roi się pod kolumnadą: łączą drobne transakcje w większe albo rozbijają te nieporęcznie wielkie na mniejsze, żeby święte piece do palenia pieniędzy mogły przez całą dobę pracować z równomiernym obciążeniem.

Ta konstatacja pomogła mu otrząsnąć się z beznadziejnej rozpacz, w którą popadł na początku, na etapie błędzenia po omacku. W pewnym momencie Totolotek Półdarmo znalazł się sam jeden na marmurowej ławce na galerii dla publiczności w świątyni, w której gigantyczny żuk połykał złoto, trawił je i wysrywał bezwartościowy gnój. Csongor mógł bezpiecznie odejść na chwilę od komputera.

Wstał, żeby rozprostować nogi. Yuxia skuliła się na krześle w pozycji płodowej i zasnęła. Marlon wyglądał dokładnie tak samo, jak przez ostatnie kilka godzin, ale kiedy Csongor zaszedł go od tyłu i spojrzął na ekran komputera, stwierdził, że jego „orkanizacja” rozrosła się jak dwustuletni klon. Marlon zebrał armię, która na pierwszy rzut oka liczyła dobry tysiąc żołnierzy.

Oczy Csongora poraził padający gdzieś z boku dziwny blask. Zdziwiony spojrzął w tę stronę i stwierdził, że właśnie wschodzi słońce.

* * *

Inspektor Fournier był zaskoczony i chyba nieco poirytowany, że Olivia nawet nie napomknęła mu o tym, że wybiera się do Vancouver. Instynktownie wyczuwała, że jego zdaniem polityka imigracyjna Wspólnoty Narodów mogłaby być odrobinę bardziej restrykcyjna, co utrudniłoby wścibskim brytyjskim szpiegom swobodne skakanie z kraju do kraju. Na pewno nie pomógł jej fakt, że był piątek - Fournier mógł mieć plany na wieczór albo nawet na cały weekend, a tu nagle się dowiedział, że będzie musiał (przynajmniej teoretycznie) przyjąć brytyjską agentkę.

- Gdzie pani jest w tej chwili?

- Stoję w kolejce na przejściu granicznym - odparła Olivia.

Ze wskazań elektronicznej tablicy wynikało, że przejedzie za dziesięć minut, osobiście jednak uważała tę zapowiedź za nadmiernie pesymistyczną. Po drugiej stronie znajdzie się od razu na przedmieściach Vancouver, skąd po godzinie dotrze do centrum. Była zakłopotana. Kiedy mniej więcej piętnaście sekund po zakończeniu pierwszej rozmowy z Fournierem dotarło do niej, że musi natychmiast jechać do Kanady, przeszła od myśli do czynów, nie

tłumacząc się z nich nikomu, nawet swoim gospodarzom z FBI. Nie miała czasu na wyjaśnienia; uznała, że podzwoni z samochodu i wszystko wszystkim wytłumaczy - tylko że w samochodzie zajęła się Richardem, wujkiem Binrongiem, Seamusem i tajemniczym Csongorem i na śmierć zapomniała, że miała też zadzwonić do Fourniera. Nic dziwnego, że się wkurzył. Musiał zostać w biurze, chociaż urzędy skończyły pracę dwie godziny temu. Odwlekał kolację, coraz życzliwiej myślał o kieliszku wina i czekał na grzecznościowy telefon z opisem postępów śledztwa, a zamiast tego dowiedział się, że Olivia właśnie forsuje granicę jego kraju.

- Proszę mnie zrozumieć - tłumaczyła. - Chciałam się przenieść do Vancouver, żeby jak najszybciej podjąć trop.

- Prawdę mówiąc, to nie jest żaden trop - wytknął jej Fournier. - A „jak najszybciej” oznacza w tym wypadku poniedziałek, ponieważ właśnie zaczyna się weekend.

Olivia postanowiła na razie nie naciskać.

- Są jakieś nowe informacje?

- Pojechali na niedźwiedzia. Jeden SUV: dwaj przewodnicy, trzech myśliwi i cały niezbędny sprzęt. Wyjechali jedenaście dni temu i miało ich nie być przez tydzień, czyli mają w tej chwili cztery dni spóźnienia, a nie dali znaku życia. Przepadli jak kamień w wodę.

- Podczas naszej pierwszej rozmowy mówił pan, zdaje się, że od dziesięciu dni są uważani za zaginionych.

- Może pani tak to usłyszała, ale ja tak nie powiedziałem. Ich kłopoty mogły zacząć się już jedenaście dni temu albo dopiero cztery dni temu.

- Widzi pan, samolot, którego szukam, lądował około trzynastu dni temu.

- Czyli daty nie bardzo pasują.

- Jeśli jednak wylądowali i na dwa dni gdzieś się zaszyli...

- Ale gdzie? Dlaczego nikt nie zauważył lądowania? Albo tego zaszycia się?

Cisza. Olivia przesunęła się o długość samochodu naprzód i zatrzymała na czerwonym świetle. Przed nią w kolejce do przekroczenia granicy stał już tylko jeden wóz.

Co by zrobił Jones, gdyby znalazł się na północ od tej umownej linii na mapie?

Gdyby dysponował SUV-em wyladowanym sprzętem biwakowym?

Zdarzało mu się przez rok i dłużej żyć w afgańskim interiorze. W porównaniu z tym przejście przez Góry Kaskadowe to kaszka z mleczkiem.

- On gdzieś tam u was jest - uparła się. - Chyba że już udało mu się przekroczyć granicę.

Fournier westchnął.

- Skoro dopuszcza pani myśl, że przekroczył granicę, dlaczego nie zostanie pani po jej południowej stronie?

- Ponieważ nie mam innego wyjścia, jak podążać jego tropem. A ten trop mogę podjąć tylko w Kanadzie.

Cisza. Oczami wyobraźni Olivia widziała, jak inspektor zdejmuje okulary, przeciera zmęczone oczy, znów myśli o tym kieliszku wina.

Światło zmieniło się na zielone. Poprzedzający ją samochód wjechał na terytorium innego kraju.

- Muszę kończyć - powiedziała. - Przejeżdżam przez granicę.

- *Bienvenue a Canada*, pani Halifax-Lin - odpowiedział inspektor Fournier i się rozłączył.

* * *

Do Edgoda dołączył przed chwilą jeden z ulubionych bohaterów Corvallis - wagabunda z rasy K'Shetriae, od kilku dni sprzymierzony z Koalicją Szarości. Jako wieloletni badacz *T'Rainu*, Corvallis nauczył się doceniać szczęście rozumiane jako prawdopodobieństwo korzystnego wyniku wypłutego przez generatory liczb losowych Korporacji 9592. Zależnie od typu i charakteru, niektóre postaci miały tego fartu więcej niż inne. Wagabundy K'Shetriae były największymi farciarzami w całej grze. A kiedy Richard niedawno postanowił przeważać szale losu na korzyść Koalicji Szarości, dzięki czemu jej członkowie mieli ciut więcej szczęścia niż ich przeciwnicy z Sił Jasności, Corvallis natychmiast to wykorzystał i czym prędzej zamienił Jasny strój na bardziej gustowny i stonowany Szary.

- Ruszył się - powiedział Richard do swojego komputera.

Tylko w ten sposób mógł się teraz porozumieć z C-plusem. Kilka godzin po śmierci bluetoothowej słuchawki nastąpił także zgon telefonu, a człowiek, który od sześciu godzin sikał do wiadra, z pewnością nie miał czasu przekopywać pokoju w poszukiwaniu ładowarki. Dopóki jednak Clover (bo tak nazywał się nieprzeciętny farciarz Corvallis) znajdował się w zasięgu głosu Edgoda, Corvallis słyszał wszystko, co mówił Richard - tyle że w postaci cyfrowo przetworzonego, budzącego nabożną trwogę głosu Edgoda.

- To już nie jest „skurczybykiem”? - zdziwił się Clover.

Miał wysoki, piskliwy głosik, w niczym nieprzypominający głosu Corvallis. W dodatku mówił z irlandzkim akcentem. Tę cechę chętnie wybierali amerykańscy gracze, którzy chcieli, żeby ich postaci mówiły jak bohaterowie filmów.

- Przestał być skurczybykiem, odkąd zgromadził armię liczącą tysiąc dwieście postaci

na wysokich poziomach i rozlokował ją w szyku bojowym na całej planowanej trasie przemarszu. Muszę przyznać, że kiedy zastanawiałem się, czemu tak zwleka z wyruszeniem sprzed jaskini, nie spodziewałem się, że planuje powtórkę marszu Shermana nad morze.

- Zwróciłeś uwagę, jaką ma ruchliwą kawalerię? Co za wymiennosc pozycji...

- Tak, kurwa, zwróciłem na nią uwagę!

- Po prostu pomyślałem, że to fajny detal - odparł niepewnie Clover.

- Zanim zupełnie się zatracisz w podziwianiu tego skurwiela od wirusów, przypomnę ci, że może mieć informacje o mojej bratanicy.

Clover pociągnął nosem.

- W czym mogę pomóc?

- Podawaj mi na bieżąco, ile zebrał złota. Najlepiej od razu w przeliczeniu na dolary.

- Sto pięćdziesiąt dolarów.

- Na razie nędzne zmiotki. Facet jeszcze dobrze nie zaczął.

- Zgadza się. Coś jeszcze?

- Podzwoń po kumplach, zobacz, czy dałoby się zmontować wysokopoziomową grupę uderzeniową. Nie potrzebujemy takiej wielkiej armii, jaką ma troll, wystarczy kilkadziesiąt osób, które znają się na rzeczy.

- To nie będzie trudne.

- Daj znać, jak będziecie gotowi. Uderzymy z flanki i zobaczymy, jak zareaguje. Będę obserwował z góry.

- Jak bóg olimpijski.

- Jakiś problem?

- Pytasz, czy grupie t'rainowych weteranów będzie przeszkadzało, że Edgod patrzy, jak wojują? Nie sądzę, doprawdy.

- To dobrze.

- Aha, jeszcze jedno: w tej chwili ma tysiąc trzysta dolarów.

* * *

Zula dawno już osiągnęła stan, w którym nic, co robią dżihadyści, nie było jej w stanie ani zaskoczyć, ani - tym bardziej - rozżłościć. Domyślała się, że tak działają wszyscy radykałowie: talibowie, Świetlisty Szlak, faszyci. Kiedy już wdepczą w ziemię tradycyjnie pojmowaną przyzwoitość i porzucą wszelkie wyczucie proporcji, zaczyna się wewnętrzna rywalizacja - kto kogo prześcignie w tej dziedzinie. Dalej była już czysta komedia, o ile tylko ktoś potrafił przymknąć oko na konsekwencje. Tak czy inaczej, postawili kuchnię, chłodziarki z zapasami, bukłaki z wodą i torby z jedzeniem z Walmarta naprzeciw drzewa, do którego

była przykuta, i czekali, aż zrobi jedzenie i pozmywa.

Niby tak samo wyglądało to dwa tygodnie wcześniej, w opuszczonym obozie górniczym, ale Zula odczuwała to jakoś inaczej. Dopiero co przeżyli awaryjne lądowanie, przyszłość wydawała się niepewna, tkwili razem w przytulnym schronieniu i - choć zabrzmiało to niedorzecznie - łączące ich wspomnienie przebytych trudności sprzyjało wspólnej pracy. Oczywiście, teraz sprawy wyglądały inaczej, i to nie tylko dlatego, że była przykuta łańcuchem do drzewa. Problem polegał na tym, że przez ten czas jakość personelu spadła wprost katastroficznie. W świecie technologiczno-biznesowym funkcjonowało takie powiedzonko: „A zatrudni A, B zatrudni C” - czyli dopóki werbuje się najlepszych, ci najlepsi przyciągają kolejnych, ale wystarczy raz obniżyć standardy, żeby drugorzędni pracownicy zaczęli sprowadzać trzeciorzędnych, ponieważ potrzebują wiernych sług do realizacji własnych planów. Zula nie mogła się oprzeć wrażeniu, że w ciągu zaledwie dwóch tygodni włóczęgi po zachodniej Kanadzie mogła prześledzić ten proces w miniaturze. Jones bez wątplenia był A. Z perspektywy czasu rozumiała, że ludzie, których zabrał na pokład samolotu, również należeli do tej kategorii, każdy na swój sposób. Za to już Sharjeel, archetypiczne B, ściągnął ze sobą Zakira - typowe C, z rodzaju tych, których ludzie cytujący powyższe powiedzonko bali się sprowadzać do swoich organizacji.

Jones, jak na rasowe A przystało, widział, co jest grane, i zareagował stosownie do okoliczności. Pierwsze godziny w nowym obozowisku upływały tak spokojnie, że Zula zdrzemnęła się na karimacie. Zakutana w cztery warstwy taniego polaru mogła spać właściwie wszędzie; nie potrzebowała ani koców, ani śpiwora. Po przebudzeniu zauważyła, że Zakir przygląda się jej w sposób, od którego dawniej, przed poznaniem Wallace’a i Iwanowa, przeszyłyby ją ciarki, ale teraz zastanawiała się tylko nad tym, czy nadal byłby tak samo podniecony, gdyby owinęła mu łańcuch wokół szyi i wbiła kolano w kręgosłup. Podczas uwięzienia w kamperze zrobiła bardzo dużo pompek i przysiadów.

Mniejsza z tym. Obudziło ją przybycie okazałego kontyngentu dżihadystów: do tej trójki, która została na straży obozu, nagle dołączyło chyba z dziesięciu nowych. Wyglądało na to, że kilka samochodów podjechało na zawrotkę w tym samym czasie, wypuściło pasażerów, po czym ruszyło w drogę powrotną. Odprowadzały je osoby, które Jones uznał za zbędne - jakieś trzeciorzędne C, może nawet D. Znaleźli się więc u kresu drogi (w sensie jak najbardziej dosłownym), pozbawieni środków transportu (kamper odjechał już wcześniej), za to zaopatrzeni w taką ilość sprzętu biwakowego, broni i amunicji, że nie byli tego w stanie unieść.

Ściemniało się. Naciągnęła kaptur na głowę, żeby nie było widać, że się rozgląda, i

dyskretnie kontynuowała oględziny. Broni mieli tylko tyle, ile przewieźli samolotem i zabrali myśliwym. Słusznie: tam, dokąd się wybierają, o broń będzie łatwiej. Nie było sensu taszczyć zbędnego bagażu przez granicę.

Chyba lepiej będzie zinwentaryzować ludzi niż wyposażenie.

Pierwsza piątka była w komplecie: Jones, Abdul-Wahaab, Ershut i para kochanków. Drużyna A, jeśli można tak powiedzieć. Z zespołu vancouverkiego zostali gnidowaty Sharjeel i pulchny Zakir. Trzeciego z tej ekipy, którego imienia Zula nie pamiętała, najwyraźniej postanowiono się pozbyć. Być może należał do grupy kierowców, którzy po odprowadzeniu samochodów mieli się ulotnić. To dawało łącznie siedem osób, ale dżihadystów było w tej chwili trzynastu; udało jej się policzyć ich dokładnie dopiero przy wydawaniu kolacji.

Z pozostałej szóstki większość widziała lub słyszała przynajmniej raz podczas podróży kamperem, w miarę jak zlatywali się do Jonesa ze wszystkich zakątków Ameryki Północnej, ale dwóch było zupełnie nowych. Ze sposobu, w jaki powitano ich w obozowisku, wnosiła, że dopiero co dołączyli do taboru, a pozostali albo nie widzieli ich od lat, albo nie mieli pojęcia, kim są. Zaliczyła ich do kategorii A - po części dlatego, że Jones traktował ich z wyjątkowym szacunkiem, ale nie tylko z tego powodu. To po prostu było widać. Erasto pochodził z Rogu Afryki, najpewniej z Somalii. Mówił po angielsku bezbłędnie, z akcentem z amerykańskiego Środkowego Zachodu, zerkając przy tym ukradkiem na Zulę i napawając się jej reakcją. Prawdopodobnie został tak jak ona adoptowany i wychował się w okolicach Minneapolis, ale w odróżnieniu od niej postanowił wrócić do ojczyzny i poświęcić się sprawie ogólnoświatowego dżihadu. Miał sześć stóp i cztery cale wzrostu, posturę charta i twarz dziecka; nie musiał się nawet golić. Prawdziwy model Benettona.

Abdul-Ghaffar („Sługa Tego, Który Wybacza” - Zula na tyle już odświeżyła swoją znajomość arabskiego) był jasnowłosym i niebieskookim Amerykaninem w wieku około czterdziestu pięciu lat (choć równie dobrze mógł mieć dziesięć lat więcej i po prostu dbać o formę). Był krzepki, szczupły i ewidentnie wysportowany; mógłby być piłkarzem lub zapaśnikiem, w każdym razie przedstawicielem dyscypliny, w której wzrost nie był kluczową cechą, bo mierzył zaledwie pięć stóp i siedem cali. Jego ojczystym językiem był, rzecz jasna, angielski, przez co miał jeszcze większe kłopoty z nadążeniem za rozmowami dżihadystów niż Zula, która rozumiała może co trzecie ich słowo. Jego przybrane imię nasuwało naturalne pytanie - co takiego miało mu zostać mu wybaczone? - które na razie musiało pozostać bez odpowiedzi. Było jednak oczywiste, że późno nawrócił się na islam i chce nadrobić stracone lata. Pewną wskazówką był ślad po przeszczepie skóry na czubku głowy, skrawek wielkości

znaczka pocztowego. Zula widziała podobne blizny u swoich mieszkających na farmach jasnoskórych krewnych: Abdul-Ghaffar miał raka i zapewne mniej niż rok życia przed sobą. Dopóki nie zwróciła na to uwagi, nie rozumiała, jakim cudem Jones widzi w nim coś więcej niż wtykę FBI.

Potęga lenistwa nie przestawała jej zadziwiać. Oczywiście, dżihadyści nie mieli monopolu na lenia, ale czy naprawdę nie mogli sobie sami gotować? Tylu ich było w obozowisku... Nie mogli ustawić się w kolejce jak w stołówce i sami, bez kobiecej pomocy, nałożyć sobie jedzenia na talerz? A na ten czas przykuć ją do jakiegoś innego drzewa, poza zasięgiem głosu? Im jednak najwyraźniej zależało na tym, żeby zniewolona kobieta ich w tym wyręczała. Wystawili ją na pokaz, jak Kleopatrze wiedzioną ulicami Rzymu. Jones chciał pokazać pozostałym, jak niewierna dziewczyna poddała się jego woli.

Mimo że wcale się nie poddała, rzecz jasna. Ale na potrzeby tego jednego posiłku z przyjemnością weszła w narzuconą jej rolę. Nawet włożyła kaptur na głowę, niby czador. I przysłuchiwała się ich rozmowom, zaskoczona, że aż tyle z nich rozumie.

Z początku po prostu jedli - zaspokajali głód, żartowali i gadali o niczym, dopóki Jones nie przemówił poważnym, rzeczowym tonem. Zapowiedział, że wcześniej uderzy w kimono, ponieważ musi wstać na długo przed wschodem słońca i rozpocząć następną fazę operacji; potem przez kilkanaście godzin nie będą się widzieć. Kazał się swoim ludziom wyspać, ale nie wylegiwać się zbyt długo i przygotować wszystko do podziału obozowiska na dwa: bazowe i ekspedycyjne. Druga grupa, większa od pierwszej, miała się szykować do spotkania z wielką przygodą, nie zmieniało to jednak wagi grupy pierwszej, nie umniejszało jej przyszłej chwały ani nagrody czekającej w niebiosach...

(Zula uświadomiła sobie, że uczestniczy w zwyczajnym zebraniu korporacyjnym, na którym brakuje tylko prezentacji w PowerPoincie. Niektórzy członkowie grupy, prawdopodobnie należący do kategorii C, mieli dostać najbardziej gównianą robotę, więc Jones musiał ich najpierw zmiękczyć wspólnym posiłkiem i udawanym braterstwem).

Czterej dżihadyści zostawali w obozowisku, żeby dalej rozkoszować się doskonałą kuchnią biwakową Zuli: Zakir, Ershut i dwóch nowych. Jednego z nich, Sayeda, Zula sklasyfikowała w myślach jako studenta, mimo że dobiegał już chyba czterdziestki. Wyjątkowo źle się czuł w środowisku turystyczno-kempingowym. Dla Zuli powody ich odrzucenia były oczywiste, sama też dokonałaby takiego wyboru. Obaj sprawiali wrażenie, jakby zarazem rozczarowali się i odetchnęli z ulgą.

Za to Ershut całkiem osłupiał. Podobnie zresztą jak Jahandar, Afgańczyk, którego Zula widziała ostatnio na dachu kampera z lornetką i karabinem snajperskim. Sama Zula

również musiała się odrobinę wysilić, żeby ukryć zaskoczenie, bo jeżeli ktoś miał tu się nadawać do długiej górskiej wędrówki w obcym terenie, to właśnie Jahandar - do tego stopnia, że Zula nie bardzo wyobrażała sobie, jak udało im się przemyścić go tak daleko w głąb zachodniej demokracji. Musieli go uspić, zapakować do skrzyni, przesłać bezpośrednim frachtem lotniczym z Tora Bora, a potem aż do teraz trzymać gdzieś na szczycie wysokiej góry. Z takim wyglądem - kapeluszem, brodą, spojrzeniem spode łba i bliznami wojennymi - powinien zostać natychmiast aresztowany w każdym mieście na zachód od Morza Kaspijskiego. Ale mniejsza o szczegóły: jakoś im się to udało, Jahandar był tutaj i był wkurzony. Co z kolei sprowokowało małomównego z natury Ershuta do wyrażenia pewnych wątpliwości odnośnie do planu Jonesa.

Co rusz zerkali na nią takim wzrokiem, jakby chcieli powiedzieć: „Ilu facetów trzeba do upilnowania jednej przykutej do drzewa dziewczyny?”.

Jones też odwrócił się w jej stronę i posłał jej znaczące spojrzenie: „Wiem, że rozumiesz więcej, niż dajesz po sobie poznać”. Pchnął brudny talerz w jej kierunku, wstał i skinął na Ershuta i Jahandara, żeby poszli za nim. Oddalili się od ogniska, znaleźli miejsce, gdzie trudno było ich podsłuchać, i zaczęli rozmawiać przyciszonymi głosami. Jones wykladał im aspekty planu, które na razie nie musiały być znane wszystkim.

Albo nie musiały być znane Zuli, bo w pewnym momencie, po kilku minutach konwersacji, wszyscy trzej jak na komendę spojrzeli w jej stronę, na sekundę zawiesili głos, po czym odwrócili się do niej plecami i podjęli przerwana dyskusję, już bardziej rzeczowym tonem. Z ich języka ciała ulotniło się wszelkie napięcie.

Postanowili ją zabić.

Nie zrobią tego od razu, ale w którymś momencie, kiedy trzon ekipy ruszy w stronę granicy, Ershut albo Jahandar poderżnie Zuli gardło (zapewne dopiero po tym, jak Zula ugotuje im posiłek i pozmywa), po czym ruszą w ślad za główną grupą. Znając tych dwóch, nie będą mieli trudności z jej doścignięciem. A Zakir i Sayed zostaną, żeby zakopać zwłoki.

Kolacja się skończyła, mężczyźni rozproszyli się w ciemności poza zasięgiem światła ogniska, a jej została sterta brudnych plastikowych talerzyków do pozbierania i gary, z których część wymagała oskrobania. Większość dżihadystów położyła się spać. Jahandar zaparzył sobie herbatę z wody, którą Zula grzała na zmywanie, po czym wycofał się na pozycję na stoku wzgórza, skąd miał widok na cały obóz i dolinę. Wziął ze sobą karabin.

Zmywając, Zula wyobrażała sobie, jak na jej czole krzyżują się nitki celownika.

* * *

Po pierwszych kilku rozpaczliwych godzinach Csongor nabrał mglistego przekonania

(bardziej w duszy niż w myślach), że zaczyna rozumieć funkcjonowanie Giełdy w Carthinias i role występujących na niej rozlicznych aktorów. W jej centrum znajdowała się sala transakcyjna - zagłębiony w ziemi okrągły amfiteatr z polerowanych kamiennych stopni, mierzący u góry około trzydziestu metrów średnicy (mniej więcej tyle wynosił tu skuteczny zasięg krzyku) i zwężający się do małego płaskiego parkietu o średnicy najwyżej trzech metrów. Dzielił się na dwie niemal idealnie równe części - mimo braku parawanu, płotu czy innych widomych oznak takiego podziału. Po prostu było widać, że ludzie skupiają się po jednej lub drugiej stronie, w zależności od profesji: jedną połówkę wypełniali gromadzący gotówkę kupcy, drugą kapłani, konkurujący z innymi kapłanami o możliwość pełnego wykorzystania własnego talentu do anihilacji pieniędzy.

Tak wyglądał przekrój poziomy, ale Csongor wyczuwał również instynktownie istnienie stratyfikacji w pionie. Wysnuł nawet teorię, że im bliżej dna amfiteatru, tym większe sumy przechodzą z rąk do rąk, natomiast wyższe miejsca są zarezerwowane dla płotek. Na pierwszy rzut oka ani kupcy nie przynosili dużo złota na parkiet, ani kapłani za wiele go nie wynosili. Csongor zaczął więc podejrzewać, że transakcje są zawierane na papierze, a transfer żywej gotówki odbywa się gdzie indziej, w jakimś banku lub magazynie. Potem jednak zauważył przechodzące z rąk do rąk małe, błyszczące przedmioty: przemieszczały się od siedzących w wyższych rzędach płotek w dół, do rekinów. Poczytawszy wiki, odkrył, że w świecie *T'Rainu* istnieje kilka metali droższych od złota - chociaż przeciętny bohater nie ogląda ich zwykle na oczy, ponieważ są używane do załatwiania transakcji w iście gigantycznej skali. Moneta z tak zwanego czerwonego złota była warta sto sztuk zwykłego złota. Moneta niebieska miała wartość stu czerwonych, a indygowa (zwana w skrócie indygoldem) stu niebieskich. To zaś oznaczało (jeśli Csongor nie pomylił się w rachunkach), że jeden indygold był wart około siedemdziesięciu pięciu tysięcy prawdziwych dolarów amerykańskich.

Kierownicy artystyczni *T'Rainu* uznali chyba za punkt honoru nadanie tym monetom wyglądu tak krzykliwego, jak sugerowałyby to ich wysoka wartość, dlatego, zmieniając właścicieli, mieniły się i błyskały kolorowym światłem na wszystkie strony. Zwykłym żółtym kruszcem handlowano na okalającym amfiteatr placu. Włóczący się po nim cinkciarze chętnie wymieniali go hurtowo na czerwone złoto, które następnie trafiało w górne rejony amfiteatru, gdzie brało udział w licznych transakcjach, rozświetlając trybuny czerwoną konstelacją jakby z migających diod LED. Niżej dominował kolor niebieski, na samym dnie pogłębiający się do indygowego.

Transakcja, do której przymierzał się Marlon, wymagałaby użycia około trzydziestu

indygoldów albo trzech tysięcy niebieskich monet. Ponieważ taszczenie ze sobą trzech tysięcy monet dowolnego rodzaju byłoby wysoce nieporęczne, Csongor nie miał innego wyjścia, jak tylko nawiązać kontakt z jednym z rekinów działających na samym parkiecie - takim, który (a) obsługuje transakcje w indygoldach, oraz (b) jest sterowany przez graczy mogących przesłać pieniądze na Filipiny. Tyle tylko, że właśnie ze względu na ogromne sumy, jakimi obracano na parkiecie, zabezpieczenia były tu wprost dławiące. Najniższego kręgu amfiteatru strzegł pierścień wyjątkowo groźnie wyglądających strażników: stali bark w bark, zwróceniem plecami do parkietu i ze wszystkich stron okryci zwielokrotnionymi oponami migotliwego światła, przedstawiającymi, jak domyślał się Csongor, ochronne zaklęcia. W *T'Rainie* porównanie siły dwóch postaci było znacznie trudniejsze niż w innych grach tego rodzaju, w których wystarczyło porównać wyrażone liczbami poziomy. Csongor miał za mało doświadczenia, żeby jednym spojrzeniem ocenić możliwości przeciwnika, ale swoje wiedział i nie miał cienia wątpliwości, że nawet cinkciarska drobica z górnych pięter amfiteatru mogłaby jednym spojrzeniem spopielić Totolotka Póldarmo.

To podsunęło mu pewien pomysł: może właśnie dzięki swojej nieszkodliwości miałby szansę przedostać się bliżej środka amfiteatru? Spróbował po prostu przejść przez plac do skraju amfiteatru i zejść na jedną z najwyższych ławek. Nikt mu w tym nie przeszkodził. Totolotek zszedł poziom niżej. Wciąż nic. Zaczynało się robić tłoczno, musiał więc schodzić kupcom z drogi, ale nikt nie zwracał na niego uwagi. Znalazł się na tyle blisko linii dzielącej kupców od kapłanów, że słyszał, jak ci drudzy pokrzykują „Błogosławieństwo!”, zbliżając się do tych pierwszych, żeby dokonać wymiany. Wiedział już z wcześniejszej lektury, że „błogosławieństwo” to mechanizm umożliwiający wprowadzanie prawdziwych pieniędzy do świata *T'Rainu*: bohater modlił się do jakiegoś bóstwa, Korporacja 9592 obciążała jego kartę kredytową i złoto pojawiało się gdzieś na jakimś ołtarzu albo w garncu na krańcu tęczy, na leśnej polanie rządzonej przez takich czy innych duchownych, którzy następnie za pośrednictwem Giełdy dostarczali je pobożnemu bohaterowi. Podszuchawszy kilka takich transakcji, Csongor zorientował się, że operuje się w nich sumami rzędu tysięcy sztuk złota, czyli garścią czerwonych monet. Kiedy zszedł niżej, w strefę środkową amfiteatru, gdzie z rąk do rąk przechodziły już niebieskie monety, usłyszał, jak jeden z kapłanów zamiast „błogosławieństwa” ogłasza „cudowne dobrodzieństwo”. Okazało się, że od czasu do czasu postać modląca się o błogosławieństwo otrzymuje sumę stu lub nawet tysiącrotnie wyższą od żądanej (i opłaconej przez gracza). Było to szczęśliwe zrządzenie losu, jak znalezienie studolarówki w paczce chipsów.

Tego właśnie potrzebował, żeby zacząć układać plan. Zszedł najniżej jak się dało,

najbliżej jak mógł strażników i okalającej ich kopuły czarów. Kiedy zaklęcia ochronne zaczęły ranić Totolotka, a strażnicy spojrzeli w jego stronę i sięgnęli po broń, cofnął się o krok, usiadł i zaczął śledzić handel w wewnętrznym kręgu amfiteatru. Wszędzie dostrzegał fioletowe błyski. Miliony dolarów przechodziły z rąk do rąk. Kupców na parkiecie było około dwudziestu. Każdy z nich mógł przeprowadzić transakcję, o jakiej myślał Csongor.

Słowa padające z ust Marlona wyrwały go z wyimaginowanego świata *T'Rainu* z powrotem do filipińskiej kafejki internetowej. Marlon, który przez ostatnie dwie godziny grał w milczeniu, porozumiewał się teraz (po mandaryńsku) z kapitanami swojej armii. Albo może z generałami, bo przecież Csongor nie miał pojęcia, ilu ma żołnierzy. Mówił spokojnie, niezbyt głośno, ale tonem nieznoszącym sprzeciwu. Jego palce skakały po klawiaturze jak pająki po rozpalonej patelni.

Ponieważ Totolotek Półdarmo nie robił nic konkretnego (po prostu śledził handel na parkiecie Giełdy), Csongor wstał, przeciągnął się i przespacerował do Marlona. Mandaryński obudził także Yuxię, która uchyliła powieki - i nagle zeszywniała, gdy dotarło do niej, gdzie jest. Zogniskowała wzrok na czymś, co znajdowało się po drugiej stronie pokoju. Csongor też spojrział w tę stronę i zorientował się, że w kafejce pomału gromadzi się poranna zmiana użytkowników. Przez ostatnie kilka godzin mieli całą kafejkę dla siebie, teraz zaś pojawiło się dwóch nowych, którzy zajęli miejsca przy komputerach z widokiem na Yuxię; jeden z nich właśnie odwracał wzrok. Csongor, który miał pewne pojęcie o ukradkowym zerkaniu na dziewczyny, domyślił się, że Yuxia przyłapała go na gapieniu się i spiorunowała go wzrokiem. Postanowił się do tego nie mieszać. Wstał i stanął za plecami Marlona.

Nie pierwszy raz patrzył mu przez ramię na monitor. Nigdy dotąd nie zobaczył ani kawałka wirtualnego świata magii i miecza; zamiast tego oglądał niezliczone nakładające się okna zawierające rozgałęzione drzewa orkowych bohaterów, słupki, wykresy statystyczne i przewijające się czaty. Teraz wszystko to zniknęło, a na ekranie rozgrywała się zajadła walka na wąskiej przełęczy wśród wzgórz. Armia Marlona - nie główne siły, raczej część straży bocznej - została zaatakowana podczas forsowania wypływającego spod przełęczy strumienia. Zasadzka została starannie przygotowana i pół tuzina ofiar już legło na płyciźnie, ale do strefy walki błyskawicznie napływały posiłki - ziemią, wodą i powietrzem - wciągając napastników w pojedynki, które przeradzały się w większe starcia i znów rozpadały na mniejsze, gdy walczący pomagali sobie nawzajem lub stawiali czoło nowym przeciwnikom.

- Kłopoty? - zaniepokoił się Csongor.

- Nie - odparł Marlon. - Skopimy im tyłki.

- Ty też? - spytał Csongor, widząc, że Reamde stoi na głazie na środku strumienia i

nic nie robi.

- Nie ma potrzeby. Obserwuję.

- I co widzisz?

Marlon długo milczał, a kiedy w końcu przemówił, sprawiał wrażenie, jakby na bieżąco werbalizował napływające skojarzenia:

- Dobrzy są. Bardzo dobrzy. Doświadczeni. To nie dzieciaki. Ale nigdy wcześniej nie walczyli razem.

- Skąd wiesz?

- Nie umiemą sobie pomagać, tak jak to robią doświadczone ekipy. I różnią się wyglądem. - Marlon podniósł rękę znad klawiatury (zdaniem Csongora zrobił to pierwszy raz od kilku godzin) i wskazał jednego z napastników. - Widzisz? Ten na pewno jest Jasny. - Wskazał kolejnego. - A ten Szary. Tylko dlaczego walczą po jednej stronie?

Nagle coś mu chyba przyszło do głowy, bo uderzył dłonią o klawiaturę i kombinacją klawiszy zmusił Reamde do zadarcia głowy. Spojrzał prosto w gwiazdziste niebo, na którego tle unosiły się dwie postacie, magicznie zawieszona w powietrzu. Marlon kliknął na nie, powodując wyświetlenie ich portretów i imion. Z tej odległości Csongor nie był w stanie odczytać mikroskopijnych literek.

- Kto to? - zapytał.

- To nie gra roli. Na pewno nie są tym, za kogo się podają.

- Jak to?

- To nie jest prawdziwy atak. Prawdziwy atak nastąpi później.

- Ile macie pieniędzy?

- Dwa miliony sztuk złota.

Csongor przeliczył w pamięci: sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Przy tej liczbie napastników wychodziło mniej więcej po pięć tysięcy na głowę. Ale co w tym ataku było „nieprawdziwego”? Kto by się spodziewał, że zarobi więcej niż pięć kafli za pół minuty walki w grze komputerowej?

- Cały czas masz nadzieję zebrać sumę, o jakiej wcześniej mówiliśmy?

- Nie mamy już odwrotu. Dziś w nocy albo zdobędziemy wszystko, albo nic.

- Prawdę mówiąc, jest już dzień. Od paru godzin.

- Nieważne.

* * *

Zanim Olivia dojechała do hotelu w centrum Vancouver, zdążyła poważnie rozbujać w sobie lęk przed inspektorem Fournierem i jego domniemaną niechęcią do jej śledztwa. Była

więc mile zaskoczona, gdy przyjmująca ją recepcjonistka zerknęła z zaciekawieniem na ekran komputera i rozpromieniona poinformowała ją, że ma dla niej wiadomość. Spod kontuaru wyjęła szarą kopertę, która - sądząc z ciężaru - musiała zawierać od dziesięciu do dwudziestu kartek papieru. Olivia rozgościła się w pokoju, odświeżyła i wyjęła z koperty przefaksowane raporty policji - lokalnej i Królewskiej Konnej.

Jej przełożeni w MI6 upierali się, żeby na bieżąco informowała ich o swoim położeniu. Ponieważ od wyjazdu z Seattle zaniedbała ten obowiązek, teraz się zameldowała (w Londynie było około szóstej rano) i zasiadła do czytania doniesień o zaginionych: emerytowanym inżynierze-nafciarzu z Arizony i jego dwóch synach (lat trzydzieści dwa i trzydzieści siedem, zamieszkali - odpowiednio - w Luizjanie i Denver). Wszyscy byli doświadczonymi myśliwymi. Wyprawili się do Kolumbii Brytyjskiej, żeby uczcić sześćdziesiąte piąte urodziny seniora ustrzeleniem grizzly. Wynajęli przewodników z firmy szczytującej się tym, że obsługuje tylko poważnych myśliwych, wiernych starej szkole. Sądząc z promocyjnych tekstów na jej stronie internetowej, miała się w ten sposób wyróżniać na tle konkurencji oferującej wyprawy bardziej wykwintne (i zapewne droższe). Klienci udający się na tygodniowy wypad w góry dostawali gwarancję, że przez ten czas na pewno ustrzelą niedźwiedzia; w przeciwnym razie przysługiwał im zwrot pieniędzy.

Najwidoczniej ta reklama przemówiła synom do wyobraźni, którzy zrzucili się na wykupienie polowania-niespodzianki dla taty. Zarówno z raportów policji, jak i z brutalnie przygnębiającej strony WWW, którą zdesperowana rodzina stworzyła, żeby na niej błagać cały wszechświat o informacje, wynikało, że trzech łowcy nie byli dyletantami. Ojciec z powodów zawodowych pomieszkował w różnych zakątkach świata i gdziekolwiek się znalazł, korzystał z każdej okazji, żeby zapolować na grubego zwierza. Często zabierał wtedy synów ze sobą. Przewodnicy też nie wypadli sroce spod ogona: jeden z nich (współzałożyciel firmy) pracował w branży od trzech dekad, a drugi był Indianinem, którego przodkowie mieszkali w tym rejonie od dziesiątków tysięcy lat. Pojechali dwuletnim chevroletem suburbanem z napędem na cztery koła, wyposażonym w łańcuchy, wyciągarkę i w ogóle wszystko, co niezbędne, żeby wydostać się z tarapatów lub przetrwać, gdyby wydostanie się nie powiodło.

Zresztą, to właśnie metody ich pracy przysporzyły tyle problemów policji. Ponieważ nie mieli bazy wypadowej w żadnym przytulnym domku myśliwskim, mogli wędrować swobodnie tam, gdzie najłatwiej coś ustrzelić, a biorąc pod uwagę, że w razie niepowodzenia gwarantowali zwrot pieniędzy, mieli solidną motywację, żeby tak właśnie robić. Podczas tygodniowego polowania mogli odwiedzić nawet kilkanaście niedźwiedziach rewirów, rozrzuconych na obszarze liczącym tysiące kilometrów kwadratowych, górzystym i wciąż

ledwie przejezdnym bez użycia skuterów śnieżnych. Najrozsądniej brzmiała teoria, wedle której zapuścili się gdzieś o kilometr za daleko, wpadli w poślizg, spadli z drogi i utknęli w zaspie albo strumieniu.

Tak się przynajmniej wydawało przez pierwsze dwa dni po zgłoszeniu zaginięcia. Od tamtej pory ratownicy przeczesywali teren z pokładu lekkich samolotów, wypatrując rozbitego samochodu albo ogniska sygnałowego i prowadząc nasłuch na wszystkich częstotliwościach, na których myśliwi mogliby nadawać sygnał SOS. Sieć komórkowa na tym obszarze prawie nie istniała, ale Chevrolet był wyposażony w CB-radio. Można było się spodziewać, że myśliwi uruchomią je, gdy tylko zobaczą - lub usłyszą - samolot, i zaczną nadawać.

Usłyszenie było zresztą bardziej prawdopodobne, ponieważ prawie przez cały czas utrzymywało się duże zachmurzenie i piloci wcale nie byli przekonani, że rzetelnie przeszukali teren. Śledztwo od paru dni tkwiło więc w martwym punkcie. Rodziny zaginionych - które zleciały się do Kolumbii Brytyjskiej i w hotelu w Prince George (najlepszej namiastce dużego miasta w okolicy) urządziły coś na kształt centrum kryzysowego - upierały się, że stało się coś złego, i naprawdę niewiele brakowało, żeby zaczęły nader nieuprzejmie wyrażać się o Kanadyjskiej Królewskiej Policji Konnej i o tym, jak prowadzi dochodzenie.

Kto umiał czytać między wierszami, nie miał wątpliwości, jak przedstawia się sytuacja. Policja (która za żadne skarby nie powiedziałaaby tego wprost) uważała, że myśliwi i przewodnicy nie żyją, najprawdopodobniej po tym, jak we mgle spadli samochodem w przepaść. Gdyby ich chevrolet gdzieś utknął, daliby znać przez radio albo pieszo dotarli do jakiejś drogi - na co z pewnością wystarczyłoby im i sprzętu, i doświadczenia. Tylko że policjanci nie mogli powiedzieć tego prosto z mostu, więc żeby nie stracić kontroli nad sytuacją, zapewniali wszem wobec, że poszukiwania z powietrza prędzej czy później przyniosą efekty. Poza tym musieli się ograniczyć do wydawania pocieszycielskich i uspokajających odgłosów, ilekroć jakiś dziennikarz lub zrozpaczona małżonka dopadli ich w jakimś zakamarku.

Nie trzeba chyba dodawać, że Olivia miała zupełnie inną teorię, ale też trudno było sobie wyobrazić wizję bardziej zwariowaną od tej, w której międzynarodowa banda terrorystów uprowadza z Xiamen prywatny odrzutowiec, ląduje nim w górach Kolumbii Brytyjskiej, morduje całego chevroleta myśliwych i szykuje się do przekroczenia granicy.

Hipoteza miała jednak swoje dobre strony - chociażby łatwość weryfikacji. Suburban mógł mieć napęd na cztery koła, było jednak mało prawdopodobne, by Jones przejechał nim

tysiąc kilometrów po samych bezdrożach. Z pewnością poszedłby po linii najmniejszego oporu.

Co więcej, jak uświadomiła sobie Olivia, studiując Kolumbię Brytyjską w Google Maps, linia najmniejszego oporu była jedyną możliwą linią. W tym rejonie nie było sieci dróg - była jedna droga i jeżeli terroryści nie pojechali okrężną trasą jakimiś leśnymi duktami dla drwali (co o tej porze roku raczej nie wchodziło w grę) albo nie zapuścili się daleko na wschód, do północnej Alberty, musieli ruszyć na południe drogą numer 97.

Właściwie czemu nie? Gdyby Jonesowi udało się w kompletnej głuszy zdobyć chevroleta, na pewno zdawałby sobie sprawę, że ma najwyżej kilka dni (jeśli nie kilka godzin!), żeby go jakoś sensownie użyć, zanim ktoś zacznie go szukać. Pojechaliby więc prosto do granicy ze Stanami - drogą numer 97 przez Prince George (przed frontem hotelu, w którym rodziny jego ofiar założyły bazę) na południe prowincji, gdzie system dróg był bardziej rozgałęziony. Gdyby nie udało mu się z marszu przekroczyć granicy, porzuciłby chevroleta w miejscu, w którym nikt go nie znajdzie, i znalazł sobie inny środek transportu.

I dopiero wtedy wymyśliłby, jak przekroczyć granicę, pewnie na jakimś odludziu. Trudno byłoby mu w tym przeszkodzić, nawet gdyby policja wiedziała, co planuje, i prowadziła szeroko zakrojone poszukiwania.

Nie musieliby robić zakupów; wystarczyłyby im zapasy zabrane myśliwym. Zresztą, przez dzień mogliby przecież nie jeść, to dla nich nie pierwszozna.

Potrzebowaliby jednak paliwa. Benzyny.

Rzut oka na mapę.

Gdyby faktycznie porwali suburba w okolicy, w której trwały poszukiwania, do tego z jako tako pełnym bakiem, dojechaliby do Prince George bez tankowania. Oczywiście, przy drodze na północ od miasta było trochę rozproszonych stacji benzynowych (ludzie musieli przecież gdzieś tankować), ale Jones instynktownie by ich unikał, żeby nie zostać zapamiętanym przez właścicieli, którzy mogliby rozpoznać samochód miejscowej agencji przewodnickiej. Wolałby dojechać do zapewniającego względną anonimowość Prince George i kupić benzynę na największej, najbardziej bezosobowej stacji benzynowej, jaką udałoby mu się znaleźć.

Jutro Olivia pojedzie do Prince George. Któraś z kamer monitoringu musiała zarejestrować interesujący ją obraz. Gdyby zdołała przekonać właściciela, żeby dał jej kopię nagrania, mogłaby użyć jej jako swoistej zwrotnicy i przekierować na sensowniejszy tor marnującą się w tej chwili energię zużywaną na szukanie Jonesa.

Ale na razie musiała się wyspać. Prawdę mówiąc, już spała.

* * *

Większość czasu w *T'Rainie* upływała Csongorowi na bezradnym bląkaniu się. Gra miała wbudowane procedury ułatwiające nowicjuszom życie. Można było zagrać w „trybie zabawy”, który ukrywał przed użytkownikiem trzy czwarte zaawansowanych funkcji i lokował bohatera w starannie wydzielonym rejonie, gdzie nie groziły mu większe niebezpieczeństwa, a nawigacja nie wymagała encyklopedycznej wiedzy o świecie. Przejawszy Totolotka Póldarmo, który osiągnął stosunkowo wysoki poziom, Csongor obszedł cały ten mechanizm zabezpieczający i stanął oko w oko ze skomplikowanym, niebezpiecznym i kapryśnym światem. Wyłącznie wieloletnie doświadczenie w roli administratora systemów komputerowych, zmagającego się z programami o isticie bizantyjskich proporcjach, powstrzymało go od wpadnięcia w rozpacz i rezygnacji. Nie znaczyło to bynajmniej, że administratorska wiedza mogła mu się tu w jakikolwiek sposób przydać; ważniejsze było nastawienie psychiczne, naiwna i chojracka wiara, że waląc głową w problem, w końcu się przezeń przebiję, byle tylko tłuł dostatecznie długo. Postępy w rozgryzaniu funkcjonowania Giełdy w Carthinias podniosły go na duchu, nawet jeśli przyglądanie się prowadzącemu wojnę Marlonowi podkopywało jego morale: niewiarygodna siła jego bohatera, zasób czarów, broni i przedmiotów magicznych, którymi dysponował, rozmiary armii, którą prowadził, a także umiejętność przyswajania faktów z masy tabel i wykresów na ekranie oraz natychmiastowego reagowania na te informacje... Wszystko to zdradzało wieloletnie doświadczenie w grze. Csongor zdawał sobie sprawę, że nie ma się co równać z Marlonem, tak jak nie miałby czego szukać na boisku podczas Mistrzostw Świata w piłce nożnej, ale uparty administrator nie chciał przyznać się do porażki i tępo zerkał Marlonowi ponad ramieniem, próbując ogarnąć sytuację i podłapać jakieś strzępki wiedzy, które pozwolą mu lepiej wykorzystać okrutnie ubogi arsenał Totolotka.

Z tego powodu był kompletnie zaskoczony i zupełnie nieprzygotowany, kiedy Qian Yuxia przebiegła na drugą stronę kafejki i chlusnęła wodą z kubka prosto w twarz siedzącego tam od pół godziny mężczyzny.

- Nie jestem żadnym T-birdem, do diabła! - wrzasnęła. Powtórzyła to jeszcze raz i dodała: - Interesują cię T-birdy, to znajdź sobie inne miejsce!

Csongor nie znał słowa „T-bird”, ale ponieważ Yuxia wypowiedziała je już trzy razy, był przynajmniej pewien, że dobrze słyszy. Nie miał pojęcia, o co jej chodzi.

Ofiarą jej napaści padł wysoki i szczupły blondyn z postrzępioną brodą i zielonymi oczami, które wyrażały teraz raczej czujność i zdziwienie niż złość. Chlusnięcie wodą w twarz go zaskoczyło, zaraz jednak zerwał się z krzesła i odwrócił do napastniczki - nie tak,

żeby natychmiast jej zagrozić (zachował bezpieczny dystans), ale w taki sposób, żeby było jasne, że dalsze akty agresji spotkają się z jego zdecydowaną reakcją. Z zainteresowaniem obserwował Yuxię, z pewnością jednak nie bał się jej ani nie wyglądał na zakłopotanego. Ledwie jednak Csongor się poruszył, mężczyzna natychmiast zareagował: odwrócił się lekko w jego kierunku, szykując się do odparcia ewentualnego zagrożenia. Zielone oczy szybko otaksowały Węgra od stóp do głów i zatrzymały na dłużej na prawej przedniej kieszeni workowatych spodni, w której - tak się akurat złożyło - spoczywał naładowany makarow. Nieznajomy najwidoczniej domyślił się zawartości kieszeni i wszystko się zmieniło. Wyciągnął przed siebie ręce z dłońmi rozpostartymi w geście wyrażającym jednocześnie „Spójrz, nie mam broni” i „Ani kroku dalej”. Csongor się zawahał, nie dlatego, że chciał mu być posłuszny, po prostu zachowanie intruza zbiło go z tropu.

- Byłoby najlepiej dla nas wszystkich - powiedział tamten po angielsku z dziwnym akcentem - gdybyś trzymał ręce dużo powyżej pępka, tak jak ja to robię, i nie zbliżał się do mnie. Wtedy będziemy mogli sensownie porozmawiać. Dopóki tego nie zrobisz, będziemy się musieli skoncentrować na tym, co kto ma przy sobie, a ponieważ jesteś tu nowy, zapewniam cię, że na to terytorium nie chcemy się zapuszczać.

Jeżeli Csongora słuch nie mylił, facet właśnie zagroził, że go zastrzeli.

Jakby dla potwierdzenia słuszności takiej interpretacji jego słów, dwaj pozostali klienci czmychnęli z kafejki. Zostali tylko Csongor, Yuxia, Marlon i nieznajomy.

Csongor potraktował wprawdzie groźbę najzupełniej poważnie, wywarła na nim jednak mniejsze wrażenie, niż mogłaby przed wydarzeniami w Xiamen.

- Już raz znalazłem się na terytorium, na które nie chciałem się zapuszczać, i nie zawaham się tego zrobić ponownie, jeśli będziesz się naprzykrzał mojej przyjaciółce - odparł.

Yuxia, która instynktownie wyczuła, że pomyliła się w ocenie sytuacji, cofnęła się o dwa kroki i przysunęła do Csongora. Siedzący przy kasie pracownik kafejki, Filipińczyk, wetknął głowę do sali komputerowej, zaciekawiony, co się dzieje. Csongor zerknął niepewnie w jego stronę. Na ten widok blondyn również się do niego odwrócił, opuścił ręce i coś powiedział (zapewne po filipińsku). Cokolwiek to było, brzmiało bardzo swobodnie, przyjaźnie, bez nerwów. Wyraz zaniepokojenia zniknął z twarzy Filipińczyka, który skinął głową, uśmiechnął się i wrócił do siebie.

- Co mu powiedziałaś? - zainteresowała się Yuxia.

- Nie powinienem ci chyba mówić, skoro jesteś taka wrażliwa na punkcie T-birdów... Powiedziałem mu, że się poprzytkaliśmy. To normalna rzecz w takim miejscu. Ale już się pogodziliśmy.

- Co to jest T-bird? - spytał Csongor.

- Chłopczyca - odparł nieznajomy. - A w tym konkretnym kontekście lesbijka, niekoniecznie prawdziwa, obsługująca fagasów, których to kręci.

Csongor był jak najdalszy od sięgnięcia po broń i zastrzelenia tego faceta. Przeciwnie, mógłby tak stać cały dzień i zasypywać go pytaniami. Miło było wreszcie spotkać kogoś, kto wiedział, co się dzieje.

- Jak się nazywasz? - spytała Yuxia.

- James O'Donnell - zdecydował nieznajomy.

- Jesteś fagasem?

- Nie. Ale nie mów nikomu, proszę.

Yuxia parsknęła śmiechem.

- Dlaczego? Wstydzisz się, że nie jesteś obrzydliwym zbokiem?

- To jedyny powód, żeby tu przyjechać, prawda? - domyślił się Csongor.

Człowiek, który przedstawił się jako James, skinął głową.

- W takim miasteczku każdy biały facet, który nie przyjechał tu dla seksu, musi budzić podejrzania i ciekawość. Ale podejrzewam, że to on najbardziej fascynuje tubylców.

Ruchem głowy wskazał Marlona, który podczas tej sceny raz lub dwa podniósł głowę znad komputera, ale kiedy stwierdził, że nie zanosì się na strzelaninę, postanowił nie odrywać się od pracy.

- Powinniście porozmawiać - orzekła Yuxia, zerknąwszy na monitor maszyny Jamesa.

James również grał w *T'Rain*. Zaintrygowany Csongor stwierdził, że bohater Jamesa kręci się w okolicy podobnej do Pogórza Torgai... Prawdę mówiąc, góra w tle wyglądała bardzo znajomo. Postać Jamesa znajdowała się nie dalej niż kilka kilometrów od bohatera Marlona.

- Śledzisz nas - powiedział Csongor. - W dwóch światach jednocześnie.

James pokiwał głową.

- Nie będę kłamał, śledzę was od paru godzin.

- Chcesz się załapać na złoto? - spytała Yuxia.

- Pieprzyć złoto. Chcę usłyszeć, co wiecie o Abdallahu Jonesie.

* * *

Miałem ci powiedzieć, kiedy przekroczy milion - przypomniał Corvallis, - Wydaje mi się, że właśnie przekroczył.

- Wydaje ci się?!

- Suma fluktuuje, bo rabusie co chwila coś mu kradną. A włóczy się ich za nim cała

masa.

- Ktoś ważny?

- Nie, nie ma drugiej tak dużej ekipy jak nasza. Było za mało czasu na mobilizację. Ale rozeszła się wieść, że na Torgai coś się dzieje. Coś poważnego. Spodziewam się, że w ciągu godziny zaczną go napadać dobrze zorganizowane bandy po sto i więcej postaci.

- To nawet dobrze - odparł Edgod po chwili zastanowienia. Richard grał w tej chwili od czternastu godzin bez przerwy i poziom jego umiejętności interpersonalnych dramatycznie się obniżył. - Będzie miał większą motywację. OdUkrył złoto warte milion doliczów...

- Milion sto - poprawił go Clover. - Właśnie zgarnął grubszą kasę.

- Mniejsza o szczegóły. Rzecz w tym, że próba ponownego Ukrycia złota, kiedy tylu ludzi ma go na oku, byłaby trudna. Będzie musiał spróbować dziś je wymienić.

- Co to dla nas oznacza? A właściwie dla ciebie, bo ja to jestem wpływowy jak bakteria żyjąca w brzuchu Chucka Norrisa...

- To oznacza, że nadszedł czas.

- Co zamierzasz?

- Masz słuchawki?

- Mam.

- Radzę ci je zdjąć.

* * *

- Spodziewałem się chińskiego autora wirusów - powiedział człowiek, który przedstawił się jako James, skinąwszy głową w stronę Marlona. - Nie wiedziałem, że będzie miał dziewczynę i węgierskiego ochroniarza z pistoletem w kieszeni.

Przenieśli się w kąt pomieszczenia, gdzie mogli spokojnie rozmawiać i googlać do woli. Kafejka zappełniała się fagasami.

- Nie jestem jego dziewczyną - zaprotestowała Yuxia. - On chyba nie lubi chłopczyc.

- *De gustibus non est disputandum* - odparł blondyn.

- Co to znaczy?

- Że jest skończonym durniem.

Csongor - nieco zaskoczony flirtem Seamusa z Yuxią - poczuł, że oddała się na obrzeża sfery ważności.

- Lubię go - przyznała Yuxia - jak brata, ale... - Podniosła dłoń z rozcapierzonymi palcami i zachybotła nią w powietrzu.

- Jasne. - James przyglądał się jej zafascynowany. A potem jakby nagle przypomniał sobie o dobrym wychowaniu i przeniósł wzrok na Csongora. - A ty co masz do powiedzenia,

brachu? To nie twoja bajka, co?

Csongor nie był wprawdzie całkowicie odporny na niefrasobliwy urok Jamesa, ale jego myśli zaprzętała Zula, odwrócił więc wzrok i wyjrzał przez okno z miną, która musiała uchodzić za zadumaną. Złapał się na tym, że bębni palcami w blat: stwardniałe, wysuszone słońcem opuszki tłukły o laminat jak małe młoty kowalskie.

- Strzeliłem mu w głowę - powiedział w końcu. Odwrócił się do Jamesa, który tym razem nie miał gotowej riposty. - Strzeliłem. Mu. W. Głowę.

- Zaraz... Mówisz o Jonesie?

- Tak. Niestety, było to tylko... Jak wy to mówicie? - Csongor na migi pokazał kulę rykoszetującą mu od skroni.

- Draśnięcie. Nienawidzę takich sytuacji. - James przetrwał słowa Csongora. - Strzeliłeś Abdallahowi Jonesowi w łeb.

- Zgadza się. Z tego. - Csongor poklepał się po kieszeni.

- Z daleka?

- Z bliska. Zbyt bliska.

I Csongor opowiedział, jak było. Trochę to trwało. Miał wrażenie, że był to najdłuższy okres milczenia w całym życiu Jamesa, odkąd jako berbecę posiadał umiejętność mówienia. Zanim James zdążył zadać pytanie o któryś z najciekawszych aspektów tej historii - na co z pewnością miał ogromną ochotę - przerwał im głośny okrzyk Marlona:

- Ajaaa!

Marlon pierwszy raz od początku tego spotkania wyraził choćby minimalne zaniepokojenie czymkolwiek... Chociaż nie, to nie było zwykłe zaniepokojenie. To brzmiało jak okrzyk zgrozy. Oderwał obie ręce od klawiatury (nigdy przedtem mu się to nie zdarzyło), złapał się za głowę i wybałuszył oczy. Na jego twarz padło migotliwe białe światło.

James zerwał się na równe nogi i podbiegł do miejsca, z którego widział monitor Marlona.

- W mordę jeża... - mruknął. - To może być tylko jeden czar. Ale chyba nikt go jeszcze nigdy nie użył.

- Raz - poprawił go Marlon. - Zabito nim całą dynastię tytanów.

- Kto go rzucił?

- Edgod.

- Zassę cię - powiedział James i pędem wrócił do komputera, na którym grał.

- Nie dasz rady - ostrzegł go Marlon. - Mam osłony.

- To je wyłącz i czekaj. Nazywam się Thorakks.

Csongor z Yuxią wcisnęli się tymczasem w przestrzeń opróżnioną przez Jamesa i patrzyli, co robi Marlon. Pozsuwał okienka z czatami i wykresami na boki ekranu, dzięki czemu oglądali *T'Rain* sponad ramion Reamde - czyli *de facto* zaglądali przez ramię dwóm osobom jednocześnie: Marlonowi i trollowi. Troll stał na odsłoniętej rzecznej równinie zalewowej. Z prawej strony było widać końcówkę łańcucha gór przechodzącego w łagodnie pofalowane pogórze pokryte szachownicą zielonych pól i upstrzone punkcikami wiosek. Czyli prawie opuścił Pogórze Torgai i był bliski dotarcia do miejsc zamieszkałych, w których mógłby znaleźć takie udogodnienia jak kantory wymiany walut i skrzyżowania linii geomantycznych. Csongor, który nauczył się już rozumieć co nieco z interfejsu użytkownika, zauważył, że Reamde ma przy sobie 9 indygoldów, 767 monet z niebieskiego złota, 32 198 z czerwonego i 198 564 ze zwykłego, żółtego. Od tych liczb mogło się zakręcić w głowie każdemu mieszkańcowi *T'Rainu*, w którym kilkaset sztuk tradycyjnego złota uchodziło za fortunę, o jaką warto się bić. Nigdy przedtem żaden bohater w *T'Rainie* nie prznosił w pojedynkę takiej masy pieniędzy. Nawet po pobieżnych rachunkach było oczywiste, że po przeliczeniu na prawdziwe pieniądze suma wyniesie ponad milion dolarów, może nawet bliżej dwóch milionów.

Nic więc dziwnego, że Reamde gęsto otaczały inne postaci, zbyt liczne, by Csongor mógł je choćby wyraźnie zobaczyć, nie mówiąc już o porachowaniu. Szli przez równinę zwartym szykiem, wykonując manewry w tak idealnie skoordynowanym rytmie, że musieli być sterowani jakimś algorytmem komputerowym. Csongor domyślał się, że inni gracze podporządkowali swoich bohaterów ruchom Reamde i zdjęli ręce z przyrządów. Marlon sam prowadził całą armię.

Już same te fakty - ogromna suma pieniędzy wchodząca w grę i gigantyczna formacja bojowa - przykułyby uwagę nawet najbardziej zajadłych i doświadczonych graczy, ale jakby tego było mało, całą scenę zdominowało coś jeszcze większego i jeszcze wyraźniej dopominającego się o uwagę: nadlatująca kometa. Jej rdzeń świecił najjaśniejszym światłem, jakie potrafił wygenerować monitor Marlona, rzucając upiorną poświatę na wszystko, co zwrócone w jej stronę, i topiąc resztę świata w nieprzeniknionym cieniu.

W tym momencie zachodziło ciekawe zjawisko psychologiczne, związane z postrzeganiem światła i barw. Znajdowali się w słabo oświetlonym pomieszczeniu i patrzyli na monitor komputera - płaskie plastikowe pudełko z wbudowanymi jarzeniówkami w głębi i okienkiem z przodu. Okienko było pokrojone na kilka milionów mikroskopijnych zaworków świetlnych z ciekłego kryształu, które można było zamykać, otwierać lub częściowo uchylać. Gdyby wszystkie te zaworki zostały otwarte na oścież i przepuszczały sto procent światła,

widzieliby płaskie plastikowe pudełko z wbudowanymi jarzeniówkami, które wcale nie byłyby jakoś oślepiająco jasne. Równie dobrze mogliby się wpatrywać w jarzeniową lampę wbudowaną w sufit biura - z pewnością świeci solidnie, ale nie da się jej porównać z blaskiem słońca zalewającym ziemię nawet w najbardziej pochmurny dzień. Ktoś, kto wszedłby w takiej chwili z dworu i spojrzał na świecące pudełko, nie postrzegąby go jako jasnego. Mógłby nawet mieć wątpliwości, czy monitor jest włączony.

Mimo to, Marlon, Csongor i Yuxia mrużyli powieki, odwracali wzrok, nawet zasłaniali oczy rękami przed światłem przedstawionej na ekranie komputera wyimaginowanej komety. Dla nich była nieznośnie jasna. Zgoda, od przesiadywania w półmroku mieli rozszerzone źrenice, ale psychologia też wtrącała tu swoje trzy grosze. Byli nauczeni odwracać wzrok od wyjątkowo jasnych obiektów, które robiły to, co w tej chwili światło w fikcyjnym świetle *T'Rainu* - świeciły z nieba i rzucały czarne cienie. Im bardziej zbliżała się kometa, tym silniej odzywał się ów instynkt. Na dodatek, podłączony do komputera subwoofer wszedł w fazę poważnego przesterowania, powodując wyraźną nerwowość pornolubnej klienteli kafejki, którą najprawdopodobniej uprzedzano, że na Filipinach często zdarzają się trzęsienia ziemi, wybuchy wulkanów oraz tsunami. Jeden z mężczyzn zerwał się nawet od komputera i popędził do drzwi, jakby się bał, że lada moment lawina popiołu pogrzebie go żywcem. Csongor, wyrwany gwałtownie ze stanu zawieszenia niewiary, podszedł do biurka i przekręcił potencjometr, przycinając basy do znośniejszego poziomu.

Dzięki temu usłyszeli w końcu niosący się z drugiego krańca kafejki krzyk Jamesa:

- Gościu, to jest Kometarny Jeździec. Celuje ci prosto w dupę. Zginiesz, jeśli cię nie Zassę.

Dłonie Marlona śmigały po klawiaturze jak płomyki, zmieniając ustawienia interfejsu. Csongor mniej więcej wiedział, co Marlon robi, ponieważ musiał nauczyć się podobnych sztuczek, żeby dostrzec wszystkie zaklęcia ochronne na stałe zabezpieczające parkiet Giełdy w Carthinias. Teraz aury czarów ochronnych stały się widoczne (choć brzydko wypalone w blasku komety) także wokół Reamde i jego falangi - co najmniej tuzin koncentrycznych warstw kolorowych pól siłowych, kopulastych, stożkowych i cylindrycznych, w różnych barwach i o różnej fakturze, do odbijania pocisków ze zwykłej broni i powstrzymywania magicznych kul ognia, do ujawniania postaci niewidzialnych i do zadawania obrażeń intruzom, którzy chcieliby je sforsować.

Przy okazji zabezpieczały przed Zassaniem. Zassanie było czarem, którego zazwyczaj używano we wrogich zamiarach: pozwalało porwać bohatera z miejsca, w którym się znajdował, i z niewyobrażalną prędkością przerzucić wprost pod stopy rzucającego zaklęcie

czarownika.

Marlon zaczął zdejmować kolejne kurtyny zabezpieczające. Wystawiał w ten sposób siebie i swoich żołnierzy na atak, ale armia i tak mu się rozsypywała, pierzchając we wszystkie strony na cztero- i sześciopodnych skrzydlatych rumakach, latających dywanach, czarodziejskich motocyklach i magicznych prądach powietrznych, starając się jak najszybciej oddalić od Reamde, który - co było już oczywiste - stał się celem komety.

W chwili, gdy ekran całkiem zbieleł, a subwoofer próbował wywrócić się na nice, w samym środku kadru pojawiła się widmowa sylwetka Thorakksa, wyciągającego do Reamde pięść w pancernej rękawicy. Ekran wyraźnie pociemniał i poczęstował ich animacją, w której zostali zwiastowani przez przętyk zbudowany z upiornie pokolorowanych dymów i wijących się macek. Wylądowali na półce skalnej na zboczu jakiejś góry, patrząc na Thorakksa, z jednej strony podświetlonego oślepiającą bielą, a z drugiej całkowicie czarnego.

Marlon obrócił punkt widzenia i spojrział w tym samym kierunku, co Thorakks, czyli w dół, w głąb doliny, gdzie właśnie wyrznięła w ziemię ognista kula wielkości Staten Island. Csongor musiał całkiem wyłączyć subwoofer.

Stali tak przez dobrą minutę, rozkoszując się widowiskiem. Fala uderzeniowa rozchodziła się z miejsca uderzenia, jak zmarszczka po wodzie na stawie - do chwili, gdy skamieniała i utworzyła krawędź nowego krateru. Słupy pary z gotującej się rzeki były pod niebo, z którego spadł deszcz drzew i kamieni (obaj - Thorakks i Reamde - rzucili czary zabezpieczające ich przed zmiżdżeniem przez lecące z góry śmieci). Gigantyczny bąbel światła i dymu zgęstniał w kolumnę, która uformowała się w dwunogą postać człowieka z długą siwą brodą, spoglądającego na krater z taką miną, jakby przed chwilą zapalił światło w spizarni i wypatrywał karaluchów. Siwobrody (dopiero teraz dotarło to do Csongora) naprawdę przyleciał na komecie, jak dziecko zjeżdżające po śniegu na pokrywce od pojemnika na śmieci.

- Edgod - wykrztusił Marlon. W jego głosie brzmiało intrygujące połączenie nabożnej czci, niedowierzania i strachu, od którego można się było spompować w gacie.

- Nie sądziłem, że kiedyś zobaczę go w grze - mruknął niewyraźnie James z drugiej strony sali. Ułamek sekundy później jego słowa powtórzył (tyle że z innym akcentem i chrapliwym, metalicznym głosem) Thorakks.

Marlon zajął się rzucaniem czarów, żeby jak najszybciej odbudować osłony, które musiał zrzucić, żeby dać się Zassać. Csongor przypuszczał, że przy okazji próbuje się stać niewidzialny.

- Ty tak na serio? - spytał z lekkim rozbawieniem Thorakks. - Chcesz walczyć?

- Tak.
- Przed Edgodem się ucieka.
- Nie mam wyboru.
- Wiesz, kto go prowadzi?
- Oczywiście, że wiem.
- A wiesz, że jest wujem twojej koleżanki Zuli?

Marlon zamarł w bezruchu, a Csongor wyobraził sobie, że przed oczami stanęła mu scena, o której opowiadał im podczas rejsu: niedługo po tym, jak Iwanow został zastrzelony, a Csongor stracił przytomność, Zula z Marlonem spojrzeli na siebie z dwóch stron brudnej szyby. Ich oczy na moment się spotkały.

Marlon z powrotem przeniósł wzrok na ekran.

- Porozmawiam z wujkiem Zuli, jak już dostanę pieniądze i rozdám je chłopakom - powiedział. - Ich dom wyleciał w powietrze, muszą się ukrywać przed policją i w ogóle wszystkimi. Liczą na mnie. Muszę to dociągnąć do końca.

- No to ruchy! - ponaglił go James.

Marlon znieruchomiał z dłońmi nad klawiaturą. Spojrzał na Csongora.

- Jesteś gotowy?
- Będę, kiedy tam dotrzesz.

* * *

- Ty, Wielka Stopa... - odezwał się Corvallis. - Przemodelujesz planetę tak szybko, że serwery nie nadążają.

- I dobrze - mruknął Richard. - Potraktuj to jako test systemu i bierz się do roboty.

- Wiesz, nie pomaga nam, że robisz to o pierwszej w nocy, kiedy większość naszych ludzi śpi.

- Jest sobota. Nie śpią, tylko imprezują. Od czego są telefony?

- Spróbuję ich namierzyć, ale...

- Zanim to zrobisz, powiedz mi, gdzie się skurczybyk podział.

- Czyli znów wracamy do skurczybyka?

- Mam pod nogami mnóstwo zmiażdżonych i spalonych szczątków, ale on powinien przeżyć... Tuż przed uderzeniem komety rzuciłem na niego czar ochronny.

C-plus długo stukał w klawiaturę, zanim odparł:

- Nie ma go tam. W ostatniej chwili został Zassany przez niejakiego Thorakksa. Mogę ci podać współrzędne, ale oni szybko się poruszają i baza danych nie nadąży.

- Wystarczy, że podasz mi jakiś punkt, od którego mógłbym ich tropić. - Richard z

każdą chwilą upodabniał się do Edgoda. - Albo nie, czekaj.

- Słucham?

- Na pewno lecą do SLG - powiedział Richard, używając popularnego skrótu na określenie „skrzyżowania linii geomantycznych”. - Taką sumę mogą przenieść tylko w jedno miejsce.

* * *

Dopóki Zula zajmowała się uprzątnięciem pobojowiska po obiedzie, udawało jej się nie myśleć o kluczach i kłódkach. Zjedli posiłek na jednorazowych plastikowych talerzykach, które oskrobała z resztek nad workiem na śmieci, zebrała na stos i wrzuciła do drugiego worka. Do mycia garnków użyła wody zagranej na kuchence, po czym zostawiła je do wyschnięcia. Łańcuch, co zrozumiała, ograniczał dostępne jej terytorium do okręgu. Postanowiła już, że położy się spać możliwie jak najdalej od worków ze śmieciami, na wypadek gdyby ich zapach miał zwabić jakieś mniejsze lub większe leśne szkodniki, a na razie wcisnęła je (nie były jeszcze zbyt wypchane) do chłodziarki, żeby zabezpieczyć przed leśnym drobiazgiem w rodzaju myszy. Przyszło jej do głowy, żeby uprzedzić dżihadystów, że powinni powiesić jedzenie na gałęziach, ale ostatecznie postanowiła tego nie robić. Przetawiała chłodziarkę jak najbliżej namiotów, w których mieli spać, i tam ją zostawiła. Niech sami się zmagają z miejscową fauną; w najgorszym wypadku będzie miała jakąś rozrywkę, w najlepszym może będzie jej łatwiej o dyskretną ucieczkę. Odsunawszy się najdalej jak się dało w przeciwnym kierunku (czyli na drugą stronę drzewa, do którego była przykuta) - zaczęła urządzać własne małe obozowisko. Składało się z maleńkiego jednoosobowego namiotu, w którym ledwie mieścił się jej śpiwór.

Nie było mowy o ustępie. Dżihadyści chyba po prostu chodzili do lasu, kiedy musieli się wypróżnić. Terrorysty srający po lasach? Na to wyglądało. Zula nie miała jednak takiej możliwości, zaopatrzyli ją tylko w dużą chochlę. Przyświecając sobie otrzymaną również od nich diodową latareczką, oddaliła się od drzewa na odległość, na jaką pozwalał jej łańcuch, usytuowała się w punkcie równo odległym od śmietnika i namiotu i tam chochlą zaczęła kopać płytki dołek. Z początku szło łatwo, ale już kilka cali pod powierzchnią gruntu splątane korzenie drzew i krzewów skutecznie uniemożliwiły jej dalsze kopanie. Stała nad dołkiem, postawiła zapewniający odrobinę prywatności parawan z zielonej folii, po czym spuściła spodnie i kucnęła, tworząc w ten sposób namiocik rozświetlony od środka blaskiem latarki. Schyliła się i naciągnęła folię na głowę, żeby widzieć, co robi. Pierwszy wyszedł zwitek wilgotnej bawełny; udało jej się go przechwycić, zanim poleciała reszta. Kiedy było po wszystkim, wyjęła klucz i schowała go do zapinanej na suwak kieszeni na udzie. Dopiero

wtedy wstała, ubrała się i odrzuciła folię na bok, po czym zasypała dołek, przyklepała ziemię i na wszelki wypadek narzuciła na wierzch trochę luźnych kamyków i igieł z drzew.

Mężczyźni już dawno poszli spać - wszyscy poza Jahandarem, który po kolacji zniknął wśród drzew, żeby (jak się domyślała) pełnić straż. Ponieważ Zula była jedyną poruszającą się osobą w okolicy, musiała założyć, że Jahandar obserwuje właśnie ją. W takim razie widział ją jako punkcik lodowato białego diodowego światła, kręcący się po obozie i zajęty swoimi obowiązkami.

Wróciła z toalety, zrzuciła klapki (cały czas nie pozwalali jej nosić innego obuwia) i w ubraniu wczołgała się do śpiwora. Zamknęła namiot na suwak, pozostawiając tylko mały otwór u dołu, którędy wychodził łańcuch.

Przez kilka minut leżała nieruchomo i nasłuchiwała. Zastanawiała się, czy ktoś przyjdzie sprawdzić, co robi. Nikt się do niej nie pofatygował. Od czasu do czasu słyszała jakieś szmery, ale to tylko Jahandar rozprostowywał nogi, zmieniał pozycję, przeciągał się, spacerował.

Najciszej, jak potrafiła, sięgnęła do kieszeni na udzie. Pomału otworzyła suwak, namacała klucz i go wyjęła. Podniosła rękę z kluczem do szyi, drugą dłonią objęła kłódkę, żeby zagłuszyć ewentualny metaliczny szczęk, i wsunęła klucz w dziurkę. Kłódka otworzyła się z cichym trzaskiem, łańcuch na szyi Zuli się rozluźnił. Nie powinna być zaskoczona, ale w jednym z prześladowających ją koszmarów kłódka nie chciała się otworzyć.

W pewnym sensie popełniła błąd - nagle ogarnęła ją nieprzeparta, niemal fizyczna chęć, żeby wyczołgać się ze śpiwora i rzucić do ucieczki. Całkiem poważnie rozważała ten plan, dopóki z oddali nie dobiegł jej syk gazu i pstryknięcie zapalniczki. Płuca Jahandara wypełniły się papierosowym dymem.

Gdyby wyszła z namiotu i oddaliła się na długość łańcucha, udając, że idzie za potrzebą, a potem znenacka rzuciła się do ucieczki - to czy zdążyłby wpakować jej kulkę, zanim zniknęłaby wśród drzew? Czy, siedząc na swojej grzędzie, cały czas miał ją na muszce, czy po prostu trzymał karabin na kolanach i bezmyślnie wodził wzrokiem po obozie?

Wydawało się mało prawdopodobne, żeby trafił ją pierwszym strzałem; było ciemno, a on powinien być zaskoczony. Jednakże sama świadomość, że taka możliwość mimo wszystko istnieje, zmuszała do zastanowienia. Nawet gdyby Jahandar spudłował, wszystkich by obudził. W pogoń ruszyłoby trzynastu ludzi z latarkami, w solidnych butach, z których przynajmniej niektórzy mieli doświadczenie górsko-myśliwskie. Musiałaby albo gdzieś się przyczołgać, a wtedy dogoniliby ją i otoczyli, albo cały czas biec, szeleszcząc w krzakach i łamiąc stopami gałązki.

Gdzieś niedaleko rozległ się świst rozpinanego suwaka, lekko przytłumiony. Pewnie czyjś śpiwór. Drugi suwak - głośniejszy i ostrzejszy dźwięk. Ktoś otworzył namiot. Pewnie pójdzie się odlać. Kroki. Ktoś rozsiadł się wygodnie na kempingowym krzeselku. Plastikowy stukot, a potem przesłodzony przeciągły dźwięk uruchamiających się Windowsów.

Zula przetoczyła się na brzuch, oparła na łokciach i uchyliła połę namiotu, przesuwając wózek zamka błyskawicznego po jednym ząbku, żeby nie hałasować. Wyrzawszy przez utworzoną w ten sposób dziurkę, zobaczyła Jonesa: siedział na krzeselku trzydzieści stóp od niej, widmowa poświata monitora padała mu na twarz. Powiercił się chwilę, wyprostował jedną nogę, wsunął dłoń do kieszeni z przodu spodni i wyjął z niej coś małego, co wetknął w obudowę laptopa: pendrive. I wziął się do pracy.

Gdyby Jones (uzbrojony w pistolet w kaburze pod pachą) nie rozsiadł się przed jej namiotem, byłaby to najtrudniejsza decyzja w jej życiu - a tak nie pozostało jej nic innego, jak z powrotem zapiąć kłódkę. Schowała klucz do kieszeni i starannie ją zapięła.

Rozpacz byłaby całkiem zrozumiałą reakcją, ale Zula raz po raz upominała się w duchu, że przecież nie będą wszyscy siedzieć w nieskończoność w tym obozie. Wkrótce większość z nich sobie pójdzie, zostawiając tylko paru ludzi, żeby mieli na nią oko. A wówczas jej szanse wzrosną. Tak jak Jahandar nie może noc w noc czuwać. Prędzej czy później zmieni go Zakir, który błyskawicznie zaśnie na warcie.

Spróbowała więc odpocząć. Nie liczyła na to, że uda się jej zasnąć, ale mogła przynajmniej poleżeć nieruchomo, rozluźnić mięśnie, spokojnie potrawić i zgromadzić trochę energii.

Musiała przysnąć, bo obudziły ją dobiegające z czyjegoś telefonu metaliczne dźwięki arabskiej piosenki - raczej budzik niż dzwonek sygnalizujący połączenie. Nie miała zielonego pojęcia, która może być godzina, ale było jeszcze ciemno i miała wrażenie, że nie spała zbyt długo. Z któregoś namiotu dobiegły ją szmery i przyciszone głosy.

Wyrzała przez dziurkę w zapięciu namiotu. Jones nawet nie drgnął, odkąd poprzednio go widziała, za to po ziemi płynęły w podskokach plamki światła z latarek. Dwaj ludzie (sądząc po głosach, Ershut i Abdul-Ghaffar) wyszli z jednego namiotu. Z drugiego wygramolił się Sharjeel i natychmiast podbiegł do Jonesa, żeby mu się popodlizywał. Jones, pochłonięty swoimi sprawami, kazał mu spadać. Stopniowo cała trójka zebrała się w luźnym półkolu w pobliżu Jonesa, górującego nad nimi jak król na tronie. Kiedy zdarzało się, że któryś poświecił latarką na namiot Zuli, musiała ze wszystkich sił powstrzymywać wzdrygnięcie; niemożliwe, żeby ją dostrzegli przez tę mikroskopijną szparkę. Skupili się wokół kuchni, dosłownie kilka jardów od namiotu Zuli, i zaczęli tłuc garnkami. Poczula

całkowicie niedorzeczny przyпіływ złości, jakby w jakiś sposób naruszyli jej prywatną przestrzeń. Bałaganili jej w kuchni! Jakże dziwnie funkcjonuje ludzki umysł... Nalali wody do garnka, rozpalili pod kuchnią i zaczęli parzyć herbatę, pogryzając przyniesione w torbie z zakupami banany.

Kiedy wszyscy trzej się rozbudzili, Jones przemówił. Mówił po arabsku i od razu tłumaczył wszystko na angielski, żeby Abdul-Ghaffar też wiedział, o co chodzi. Arabski Sharjeela też był daleki od doskonałości, z kolei Jahandar znał tylko pasztuński i arabski, więc rozmowa z konieczności musiała się toczyć w dwóch językach.

Właściwie nie była to wcale rozmowa, tylko odprawa.

- Jest trzecia trzydzieści - zaczął Jones. - Za chwilę wyruszamy. Według moich szacunków potrzebujemy pół godziny, żeby tam dotrzeć, i kolejne pół godziny na rekonesans. Potem wchodzimy i pokazujemy mu to. - Wyciągnął z laptopa pendrive, podniósł go wysoko, jakby w ten sposób mógł wszystkim pokazać jego zawartość, po czym schował go do zapinanej na rzep kieszeni na piersi. - Przypuszczam, że będzie się musiał spakować, co zajmie pewnie następne pół godziny. Kolejne pół godziny do miejsca spotkania na dole. Czyli umówmy się, że macie czas do piątej trzydzieści. Potem spotykamy się i ruszamy w drogę. Sharjeel, daj ludziom pospać jeszcze godzinę. Ją zbudź o czwartej, żeby na czwartą trzydzieści zagrzała wodę i zrobiła śniadanie. Wystarczy wam czasu na zjedzenie, poranną modlitwę i spakowanie się. Jahandar i Ershut przyjdą tu, *inszallah*, około piątej trzydzieści i dadzą wam znać, że jesteście gotowi. Kiedy ich zobaczysz, sprowadź wszystkich na szlak. Ershut, pamiętaj, że może będziemy musieli ją pokazać.

Minutę później Jones, Abdul-Ghaffar, Ershut i Jahandar zagłębili się w las, zmierzając w dół, w stronę porzuconego kompleksu górniczego. Sharjeel został sam na straży i Zule kusilo, żeby wykorzystać ten moment na ucieczkę - tyle że wpakowałyby się wówczas między rozbudzony obóz i ekipę Jonesa. Kiepski układ. Za to po piątej trzydzieści większość dżihadystów zniknie na dobre, a z nią zostanie tylko czterech strażników, w tym dwie ofiermy. Wtedy będzie najlepszy czas na ucieczkę.

Ściśle rzecz biorąc, musiała uciec między piątą trzydzieści i chwilą egzekucji, która na razie nie została zaplanowana - a jeśli nawet, to dżihadyści zrobili to dyskretnie, tak że niczego nie słyszała. Należało zadać inne pytanie: dlaczego jeszcze jej nie zabili? Jaką korzyść mieli z zachowania jej przy życiu - poza tym, że im gotowała?

Kiedy krótko po awaryjnym lądowaniu Jones przystawił jej pistolet do głowy, podała mu dwa powody, dla których nie powinien jej jeszcze zabijać: pierwszy był taki, że jej wuj jest bogaty, a drugi taki, że jej wuj może ich przeprowadzić przez granicę. Jones stwierdził, że

pieniądze go nie interesują, za to perspektywa dyskretnego przekroczenia granicy musiała mu się wydać dostatecznie atrakcyjna, żeby odwlec rozstrzelanie.

A teraz właśnie wybierali się do wujka Richarda, żeby mu coś pokazać. Coś na pendrivie. Coś, nad czym Jones pracował przez całą noc.

To musiał być jakiś film. Nie można żądać okupu, nie mając dowodu, że porwana jest cała, zdrowa i w naszych rękach. Zula była ciekawa, jak zamierzają to załatwić. Spodziewała się, że albo sprowadzą Richarda do obozu, albo ją zabiorą do niego. Nie wzięła jednak pod uwagę kamerki internetowej. Jej cela w kamperze była wyposażona w kamerę, najprawdopodobniej włączoną przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Jones lub któryś z jego ludzi siedział nad laptopem i obserwował Zulę, kiedy chciał. Nic nie stało na przeszkodzie, żeby od czasu do czasu uruchamiać nagrywanie i gromadzić materiał wideo. A teraz Jones pewnie go przemontował i skopiował filmik na pendrive, żeby pokazać go Richardowi i wymusić na nim zapłacenie okupu - nie w pieniądzu jednak, lecz w postaci przysługi.

Jak to wszystko się miało do pytania: kiedy ją zabiją?

„Ershut, pamiętaj, że może będziemy musieli ją pokazać”.

Obawiali się, że Richard nie pójdzie na współpracę na podstawie samego filmu i będzie chciał zobaczyć bratanicę na własne oczy. Żywią. W najgorszym razie mieli ją więc zabić zaraz potem. Czyli za kilka godzin od teraz.

Ale (mogli sobie pomyśleć) Richard może nabrać podejrzeń; poprowadzi ich szlakiem przez góry i po dniu albo dwóch zażąda kolejnych dowodów. Wtedy zachowaliby ją przy życiu do momentu, gdy Jones da im znać, że przekroczył granicę. A to mogło potrwać kilka dni. Co by wyjaśniało, po co w obozowisku takie zapasy jedzenia.

Mogło im również zależeć na okupie w obu postaciach: najpierw wymusiliby na Richardzie bezpieczne przeprowadzenie ich przez granicę, a potem przycisnęli go jeszcze o pieniądze. Wówczas musieliby w nieskończoność odkładać zabicie Zuli.

Tego jednak nie mogła być pewna. Musiała założyć, że zamierzają ją zlikwidować jeszcze dziś, tylko nieco później.

Zresztą, nawet gdyby miała pewność, że jej życiu nic nie zagraża, miała obowiązek uciec przy pierwszej nadarzającej się okazji. Po awaryjnym lądowaniu, mając pistolet przystawiony do głowy, wypaliła, co jej ślina na język przyniosła, byle nie zginąć na miejscu. I ani Richard, ani nikt inny z rodziny nie będzie raczej miał o to do niej pretensji. Jednakże na skutek wypowiedzianych przez nią wtedy słów Richard wkrótce znajdzie się w rękach dżihadystów. Jeżeli przeprowadzi ich swoją tradycyjną ścieżką przemytniczą, trafią do

północnego Idaho, prosto do domu wujka Jake'a. Musiała zrobić co w jej mocy, żeby wyciągnąć ich z tarapatów, w które ich wpakowała.

Poza tym powinna pomyśleć o butach. Zakir był wysoki i miśkowaty, ale Sayed-student był o cal niższy od niej. Postanowiła przyjrzeć się, co Sayed ma na nogach, kiedy tylko wyściubi nos z namiotu.

* * *

Totolotek Póldarmo dostatecznie długo kręcił się w dolnych rejonach giełdowego amfiteatru, żeby jego właściciel z grubsza ogarnął funkcjonowanie Giełdy. Z początku kompletnie dał się zwieść faktowi, że *T'Rain* jest doskonale przystosowany do komunikacji głosowej; najłatwiejszym sposobem porozumiewania się z innymi bohaterami była zwyczajna rozmowa. Software zmieniał barwę głosu, dostosowywał akcent do typu bohatera i tak przetworzone słowa trafiały do uszu wszystkich postaci w zasięgu głosu. Gdyby Csongor musiał na własną rękę poznawać świat, mógłby przez długie miesiące nie odkryć, że w *T'Rainie* wcale nie zrezygnowano ze staroświeckiego interfejsu tekstowego. Inaczej mówiąc, można było - tak jak w zamierzchłej przeszłości czynili to internetowi pionierzy - pisać krótkie komunikaty, które wyświetlały się na ekranach wszystkich zainteresowanych. Korporacja 9592 zniechęcała użytkowników do pisania, ukrywając mechanizm czatu w piątej podwarstwie menu, i czyniła to bardzo skutecznie; Csongorowi, który zakładał, że koneserzy zawsze wybiorą rozwiązanie najbardziej wyrafinowane technicznie, w ogóle nie przyszłoby do głowy go szukać. Było jednak oczywiste, że Marlon i reszta *da G shou* nie wyobrażają sobie bez niego życia. Kiedy więc po raz kolejny zainteresował się handlem walutą, postanowił poeksperymentować z interfejsem tekstowym - zwłaszcza że zauważył pewną ciekawą prawidłowość: w amfiteatrze panowała dziwna cisza. Wizualnie był bardzo krzykliwy, dużo się w nim działo, ale prawie nikt się nie odzywał.

Sprawa się wyjaśniła, gdy zajrzał na czat i odkrył co najmniej tuzin odrębnych kanałów, do których mógł się podpiąć. Ledwie to uczynił, zalała go istna lawina specjalistycznego żargonu.

Snarph: S CZ 50 BUX PP OR.

Csongor nałożył okno przeglądarki na ekran gry, pogooglał trochę i nauczył się tłumaczyć tego rodzaju wypowiedzi. S oznaczało „Sprzedam”. Czyli bohater imieniem Snarph miał złoto, które chciał wymienić na gotówkę. „CZ 50” przekładało się na sumę pięćdziesięciu monet z czerwonego złota. „BUX” oznaczało dolary amerykańskie (były też inne popularne kody: EUR, LBS, YEN i RMB), PP wskazywało PayPal jako platformę transakcji, a OR znaczyło „od ręki”.

Mozolnie, podpierając się znalezionym na wiki kluczem do tego dziwnego szyfru, Csongor napisał:

Totolotek Póldarmo: S IG XX BUX WU IG.

Czyli: „Za godzinę będę chciał wymienić nieznaną na razie ilość indygoldów na dolary za pomocą przekazu pieniężnego Western Union”.

Zamiast jednak wcisnąć „Enter”, co spowodowałoby rozesłanie oferty do wszystkich poważnych kupców w najgłębszych otchłaniach giełdowego parkietu (bo na takim kanale napisał swoją wiadomość), czekał. Był nikim, a proponował transakcję o wartości co najmniej kilkuset tysięcy dolarów z użyciem indygoldów, których nawet nie miał jeszcze w rękę. Widział już, jak innych niedoszłych sprzedawców, składających znacznie mniej niecodzienne oferty, wyłapywano i zabijano na miejscu. A mogło być jeszcze gorzej: jako że w *T’Rainie* śmierć była tylko przejściową niedogodnością, mogli go wygnać ze świata. Na amen.

Dlatego czekał i patrzył. Mógł bowiem, zamiast wystawiać ofertę na ogólnodostępnym kanale, zwrócić się z nią bezpośrednio do wybranego handlarza. Wystarczyło tylko znaleźć odpowiedniego kandydata - a po odkryciu czata i złamaniu jego szyfru Csongor miał wrażenie, że i tego jest w stanie dokonać. Na początek postanowił zignorować kanały, na których nie wypowiadają się największe giełdowe rekiny. Pozamykał więc zbędne okna i zaczął wypatrywać odpowiednio wyglądających linijek kodu. Rzuciła mu się w oczy jedna szczególnie atrakcyjna:

Dogshaker: K IG 2 EUR WU OR.

Najeżdżając kursorem na kolejne postaci widoczne na ekranie, Csongor zidentyfikował Dogshakera jako dystygowanego kupca z rasy K’Shetriae, w lśniących fioletowych szatach; może taką deklaracją mody chciał podkreślić, że handluje ultracennym indygoldem. Po krótkiej chwili podszedł do niego inny bohater, który najwyraźniej miał indygold na zbyciu. Ich język ciała sugerował, że porozumiewają się szeptem - czyli na prywatnym kanale czatowym negocjują warunki umowy. Trwało to dobre kilka minut, aż Csongor zaczął się niecierpliwić, ale w końcu podali sobie ręce i się rozstali. Sprzedający wspiął się na szczyt niecki amfiteatru i oddalił od Giełdy, a kupiec został na swoim miejscu.

Cały ten rekonesans trwał dość długo. Przez ten czas Marlon i James prawie bez przerwy pokrzykiwali do siebie z przeciwnych kątów kafejki, najwyraźniej pomagając sobie nawzajem w pokonaniu ciągu niewiarygodnie trudnych przeszkód, utrudnień i potrzasków. Początkowo ich niesamowite poczynania nie szły w parze z biznesem, bo zgiełkliwa eskapada spod znaku magii i miecza skutecznie unicestwiła wabiącą fagasów erotyczną atmosferę i Csongor obawiał się, że za chwilę zostaną wyrzuceni z kafejki. Na szczęście Yuxia zadbała

już o to i skutecznie odwróciła uwagę pracownika kafejki, chociaż zamiast użyć swojego uroku osobistego, próbowała po prostu zamieszać mu w głowie. Kiedy zaś to przestało wystarczać, przestawiła się na wyciąganie pieniędzy z portfela Jamesa i kupowanie DD, „damskich drinków”, czyli makabrycznie drogich napitków, które musiały chyba być głównym źródłem dochodów miejscowego przemysłu turystycznego. Dzięki temu Marlon z Jamesem mogli bez przeszkód kontynuować swoje wirtualne przygody.

Ostatnio jednak trochę się uspokoiło, a gdy Csongor oderwał się na chwilę od gry i spytał, co się dzieje, James wyjaśnił mu, że przebili się do skrzyżowania linii geomantycznych i są już w drodze do Carthinias.

Teraz albo nigdy. Csongor otworzył nowy czat i zlecił Totolotkowi nawiązanie kontaktu z Dogshakerem.

- Ile macie indygoldów?! - zawołał.

- Dwadzieścia! - odkrzyknął Marlon.

Totolotek Półdarmo: S IG 20 BUX WU OR.

Po kilku sekundach dostał odpowiedź:

Dogshaker: GDZIEŚ TY BYŁ? CAŁE ŻYCIE CIĘ SZUKAŁEM.

Nieco zbity z tropu Csongor odpisał:

Totolotek Półdarmo: Cała przyjemność po mojej stronie.

Dogshaker: Nie masz ich przy sobie.

Totolotek Półdarmo: Mój przyjaciel je przyniesie.

Dogshaker: Napisałeś OR.

Totolotek Półdarmo: Zaraz tu będą. Przy SLG.

Dogshaker: Mają ochronę? Kuszący cel dla złodziei.

Totolotek Półdarmo: Mają. Chociaż może nie wystarczyć.

Dogshaker: Które SLG?

(Jednym z powodów, dla których Giełda w Carthinias znajdowała się w tym konkretnym miejscu, była bliskość nie jednego, ale aż czterech ważnych skrzyżowań linii geomantycznych).

Csongor powtórzył pytanie na głos.

- Kto pyta? - zainteresował się James.

- Potencjalny kupiec.

- Chce nas obrobić - wtrącił Marlon.

- Wygląda na porządnego człowieka. Robi poważne interesy na Giełdzie. Boi się, że ktoś was okradnie.

- Ja też - przyznał James.

- I ja - zawtórował mu Marlon.

Rozmówca Csongora zaczynał się niecierpliwić.

Dogshaker: Przybywają może z Pogórza Torgai?

- Domyślił się, że lećcie z Torgai - obwieścił Csongor.

- To zrozumiałe - odezwał się James. - Facet na pewno wie, że coś się tam stało.

- Kometarny Jeździec zwraca powszechną uwagę - dodał Marlon, być może dla lepszego efektu komicznego. Potrafił żartować z tak idealnie kamienną twarzą, że Csongor często miał wątpliwości, czy faktycznie żartuje.

Dogshaker, któremu najwyraźniej nie spodobała się rezerwa w zachowaniu Totolotka, zaczął wychodzić z amfiteatru, kierując się (jak domyślał się Csongor) w stronę tego skrzyżowania linii, którego najczęściej używali przybysze z Torgai.

- Idzie do waszego SLG - poinformował Csongor. - Idę za nim.

Położył ręce na klawiaturze i pchnął Totolotka w pościg za waluciarzem.

- Ma obstawę?

- Nie.

- Klasa postaci?

- Kupiec.

- W takim razie chyba okej - orzekł James. - Chyba że tylko udaje kupca.

Podczas tej rozmowy odsunął się od klawiatury i, korzystając z chwili spokoju, przeciągał się z rozkoszą. Csongor domyślał się, że podczas przejażdżki linią geomantyczną niewiele się dzieje. Nagle jednak James spojrział na ekran, wyprostował się i położył palce na klawiszach.

- Zresztą i tak już nie mamy wyjścia - dodał.

- Jesteście przy SLG?

- Właśnie wyskoczyliśmy.

Csongor zerknął na Marlona, który też już bez reszty skoncentrował się na komputerze.

- Przyprawdzą go do was - zaproponował i wpisał w oknie czatu:

Totolotek Póldarmo: Pan pozwoli za mną.

Na co waluciarz zareagował lakonicznym „K”, czyli czatowym skrótem od nieporęcznego, bo aż dwuliterowego „OK”.

Przy SLG panował spory ruch. Przylegający do niego obszar miał rozmiary i kształt zbliżone do boiska krykietowego. Otaczały go kramy zajmowane głównie przez drobnych

cinkeciarzy. Po placu kręciło się chyba ze sto postaci - niektóre stały samotnie, inne w grupkach, jeszcze inne brały udział w pojedynkach, którym często towarzyszyły widowiskowe efekty świetlne. Totolotek Póldarmo stanął jak wryty i zaczął się rozglądać.

Dogshaker: To oni?

Totolotek spojrzął we wskazanym kierunku i rozpoznał zbliżających się Reamde i Thorakksa. Zanim zdążył napisać „T” w odpowiedzi, Dogshaker już biegł w ich stronę. Totolotek pobiegł za nim. Okienko czatu uległo dziwnej rekonfiguracji, tak jakby właściciel Dogshakera udostępnił rozmowę innym odbiorcom, których komentarze na chwilę przykuły uwagę Csongora. Na ekranie rozkwitł tymczasem kolejny pokaz świetlny - to jakiś prowadzący pojedynek wysokopoziomowy bohater rzucił potężne zaklęcie.

- O Boże - stęknął Marlon.

Csongor przeniósł wzrok na ekran i zobaczył, że ziemia ucieka spod nóg Totolotka Póldarmo. Coś podniosło go w powietrze. Jego dwóch towarzyszy również.

James zaśmiał się smutno.

- Ja pierdolę... - mruknął. - Mamy przerabane.

Reamde, Thorakks i Totolotek Póldarmo stali na czymś niebieskobiałym i przezroczystym, jakiejś platformie wznoszącej się dobre sto metrów nad poziom gruntu. Csongor obrócił kamerę w grze i z najwyższym zdumieniem ujrzał spoglądającą na nich z góry olbrzymią, nachmurzoną twarz. Kompletnie zbity z pantaląku zmniejszył powiększenie obrazu, żeby obejrzeć olbrzymia w całości.

Dopiero teraz dotarło do niego, że razem z Reamde i Thorakkssem stoją na dłoni wielkiej jak kort tenisowy. Dłoń należała do podobnego bogom kolosa, który wznosił się nad Carthinias: jedną stopę postawił w okolicy skrzyżowania, drugą kilometr dalej, nieopodal Giędzy.

Marlon otrząsnął się już z pierwszego szoku i wściekle uderzał w klawisze, najwyraźniej usiłując rzucać jakieś czary. Wokół dłoni rozkwitały mu bańki światła, które jednak natychmiast gasły, zdmuchnięte przeciwzaklęciem olbrzymia. Csongor w końcu też oprzytomniał, najechał kursorem na głowę giganta i dowiedział się, że ma na imię Edgod.

- Ty dupku - przemówił Edgod głosem, który znów zmusił całą trójkę graczy do panicznego sięgnięcia do potencjometrów. - Mógłbym cię po prostu zabić i zabrać ci złoto, gdyby o to mi chodziło.

Zrozpaczony Marlon oklapł na krześle i złapał się za głowę.

- Przenieśmy się w jakieś dyskretniejsze miejsce - zaproponował Edgod.

Csongor zauważył, że chmury przelatują obok nich w pędzie. W dół.

Spuścił wzrok i zobaczył, że Carthinias maleje w oddali pod obutymi w sandały stopami Edgoda, który wynosił ich w górę jak rakieta Saturn V. Wskaźniki życia i zdrowia Totolotka Półdarmo spadały równie szybko, jak on sam się wznosił - głównymi winowajcami były niedotlenienie i hipotermia, jak się okazało. Nagle jednak zorientował się, że ktoś rzuca na niego (na pozostałą dwójkę pewnie też) czary ochronne, takie jak Niebiańskie Ciepło albo Tchnienie Bogów. Wskaźniki znów zaczęły rosnąć.

- Ajaaa! - wrzasnął znowu Marlon i zakrył twarz dłońmi.

- Chcę was słyszeć - zarządził Edgod.

James, Csongor i Marlon włożyli zgodnym ruchem zestaw słuchawkowe. Edgod mówił dalej:

- Transakcja odbędzie się zgodnie z planem, ale najpierw chcę usłyszeć wszystko, co wiecie o Zuli.

- Ja nic nie wiem - odparł James.

Chwilę później to samo, chociaż innym głosem, powtórzył Thorakks.

- Później się tobą zajmę, Seamusie Costello! - zagrmiał Edgod.

Csongor, Marlon i Yuxia unieśli brwi, spoglądając na „Jamesa”, który zaczerwienił się po czubki uszu.

Marlon wiedział więcej niż Seamus, był jednak zbyt zaskoczony (i wyczerpany), żeby sensownie odpowiedzieć. Spojrzał na siedzącego po drugiej stronie kafejki Csongora.

- W porządku - powiedział Csongor. - Oto jak się sprawy mają.

I wdał się w opowieść o tym, co wydarzyło się dwa tygodnie wcześniej w Xiamen. Richard Forthrast (Csongor sprawdził już w Google, że Edgoda prowadzi nie kto inny, jak właśnie sam Richard) zaskoczył go swoją wiedzą na temat kryjówki Iwanowa w Xiamen i ogólnie obsady dramatu. Csongor nie miał pojęcia, skąd tyle wie, ale bał się przerywać swoją relację. Przynajmniej dopóki Richard nie wtrącił:

- Ty musisz być tym hakerem z Europy Wschodniej.

- Wolimy określenie „Europa Środkowa” - poprawił go Csongor. - Skąd o mnie wiesz?

- Zula wspomina o tobie w swoim liście.

To zamknęło Csongorowi usta na tyle skutecznie, że Seamus musiał przejąć inicjatywę.

- Cały czas mamy połączenie, wielkoludzie... - zapewnił Richarda. - Po prostu faceta zamurowało.

- Zula się odezwała?! - wykrztusił w końcu Csongor, zerknąwszy z niedowierzaniem

na Marlona i Yuxię.

- Napisała list - przytaknął smętnie Richard - zanim jeszcze wszystko się pochrzało. Od tamtej pory, niestety, milczy.

Csongor, który zdążył już sobie pozwolić na odrobinę nadziei, znowu zaniemówił, gdy mu tę nadzieję odebrano. Przeniósł wzrok na Seamusa. Ten patrzył na niego znacząco.

- No dobrze... - mruknął Csongor i zrelacjonował szturm Rosjan na blok mieszkalny, podstęp Zuli ze skrzynką z bezpiecznikami i skutki obu tych wydarzeń.

Richard słuchał w milczeniu, aż w którymś momencie skonstatował:

- Czyli Peter nie żyje.

- Tak - przytaknął ostrożnie Csongor.

W głosie Richarda nie było jednak przesadnego żalu.

- Jesteś pewien.

- Na sto procent.

- Przykre to i pewnie kiedyś będę się czuł z tego powodu fatalnie, ale na razie trzeba się skupić na bieżących sprawach. Śmierć Petera to dla mnie poważny problem, bo odcina mnie od jedyne go niezależnego tropu, którym mogłem podążyć.

- Jakiego tropu? - zainteresował się Seamus.

- Peter miał w mieszkaniu monitoring. Kamery najprawdopodobniej zarejestrowały to, co wydarzyło się tamtej nocy, kiedy Wallace zginął, a Peter i Zula zostali uprowadzeni. Te pliki zostały wykasowane, ale później ktoś tam wrócił, domyślam się, że był to wspólnik napastników, i został nagrany. Niestety, plik jest zaszyfrowany. Liczyłem na to, że uda mi się zdobyć klucz do szyfru, ale skoro Peter nie żyje...

- Zaczekaj chwilę - wtrącił się Csongor.

Na podłodze, między nogami, trzymał skórzaną torbę Iwanowa. Pieniądze, które w niej nosił, przepadły, ale portfele Zuli i Petera ocalały, wraz z różnymi drobiazgami osobistymi popakowanymi w foliowe torebki. Wyciągnął portfel Petera, znalazł właściwą przegródkę i wyjął z niej zapisany skrawek papieru.

Coś poruszyło się na ekranie: dołączyła do nich piąta postać, niejaki Clover - najwyraźniej zaproszony przez Edgoda gość.

Na karteluszkach było pięć wierszy tekstu: każdy zaczynał się od słowa, które musiało być nazwą komputera, a potem następował ciąg znaków, niemogący być niczym innym, jak tylko hasłem.

- Masz nazwę hosta albo serwera, na który chcesz się włamać? - spytał Csongor.

- To nie był serwer, tylko sieciowy dysk zapasowy - odpowiedział Clover.

- Marki Li-Fi?

- Tak, zgadza się.

- Dyktuję hasło - powiedział Csongor i przeczytał na głos odpowiedni ciąg znaków.

- Biorę się do roboty - odparł Clover i znieruchomiał, co oznaczało, że jego właściciel, kimkolwiek był, zajął się czymś innym niż gra w *T'Rain*.

- Mów dalej, z łaski swojej - ponaglił tymczasem Csongora Richard.

I Csongor wrócił do przerwanej historii, wspomagany teraz przez Marlona, uzupełniającego te fragmenty, przy których Csongor był nieobecny bądź nieprzytomny. Byli właśnie przy eksplozji i próbie wyciągnięcia Csongora z piwnicy, kiedy znów włączył się Clover:

- Hasło pasuje. Rozkodowałem plik.

- Możesz mi go wysłać e-mailem? - poprosił Richard.

Z tego wynikało, że Richard i gracz prowadzący Clovera znajdowali się w dwóch różnych miejscach.

- Rozkodowałem go bezpośrednio na twoim serwerze - wyjaśnił Clover. - Nie musiałem go ruszać, wystarczyło wydać polecenie.

- Czyli mam ten plik tutaj, u siebie - powiedział po krótkiej chwili Richard, jakby chciał się upewnić, że dobrze go rozumie.

Clover w odpowiedzi podał mu ścieżkę dostępu do pliku.

Csongor z Marlonem znów podjęli opowieść, z lekkim wahaniem, bo instynktownie wyczuwali, że Richard nie poświęca im już całej swojej uwagi. Podejrzenie to potwierdziło się chwilę później, gdy Richard wychrypiał:

- Widzę go. - Cedził słowa, jakby był lekko zaskoczony. - Facet włamuje się do środka. Nic nie słyszę, widzę tylko język ciała, ale powiem wam, że w swoim czasie zatrudniałem różnych ludzi i ten gość... To jakiś drechol. Żul. Epsilon minus.

Csongor nie znał żadnego z tych określeń, ale ton głosu Richarda nie pozostawiał wątpliwości.

- Po cichu liczyłem, że może to będzie Sokołow - wyjaśnił Richard. - Chociaż to chyba niemożliwe, bo wszyscy byliście już wtedy w Xiamen. A dzień później Sokołow zniknął nieopodal Kinmen.

Csongor spojrzał pytająco na Yuxię i Marlona, którzy odpowiedzieli bezradnym rozłożeniem rąk.

- Myślisz, że Sokołow przeżył wybuch? - spytał.

- Wiemy, że tak - wtrącił Seamus.

- Trudno w to uwierzyć - przyznała Yuxia. - Gdybyś tam był...

- Dysponujemy niezwykle przekonującym świadectwem z pierwszej ręki - zapewnił Seamus, poruszając przy tym znacząco brwiami, czym przyprawił Yuxię o rumieniec zakłopotania.

- Sokołów żyje... - podsumował Csongor. Nadal nie mógł w to uwierzyć.

- Tego nie powiedziałem - zastrzegł się Richard. - Dzień później brał udział w strzelaninie u wybrzeży Kinmen.

- Coś ci powiem - odparł Csongor. - Jeżeli Sokołów brał udział w strzelaninie, to bardziej niż o niego martwiłbym się o tych, do których strzelał.

Seamus spojrział na niego z aprobatą i pokiwał głową.

- Żuł podchodzi do drzwi frontowych - ciągnął Richard. - Ma ze sobą zabawkę, w której na podstawie innych informacji rozpoznaje przecinak plazmowy. Idzie z nią na górę, kładzie przy szafce na broń i grubym przedłużaczem podłącza do takiego dużego, przemysłowego gniazdka w garażu na dole.

- Szafce na broń? - zdziwił się Csongor.

- Nie jesteś stąd, to widać - mruknął Richard. - Widzisz, może ci się to wyda nieprawdopodobne, ale pancerne szafki na broń są w kraju wolnych i dzielnych ludzi równie popularne jak, powiedzmy, bidety we Francji. Ale mniejsza z tym. Dalej obraz się knoci, bo facet odpala przecinak i odcina pokrywę szafki. Przewijam do przodu, gość chyba czeka, aż metal ostygnie... A potem sięga do środka i wyjmuje... Rany, kto by pomyślał, że Peter ma takiego świra na punkcie karabinów?

- Co widzisz? - spytał Seamus.

- Eleganckie metalowe pudełko, a w środku naprawdę wypasiony AR-15 - odparł Richard, po czym wyrecytował mnóstwo określeń, które dla niego i Seamusa miały chyba ogromne znaczenie, ale Csongorowi nic nie mówiły: - Cztery szyny montażowe Picatinny, a na nich luneta od Swarovskiego i coś, co mi wygląda na celownik laserowy. Do tego latarka taktyczna, podnózek... No, Peter mógł mieć różne wady, ale na pewno umiał wrzucać zakupy do wózka.

- A ten muł zauważył szafkę podczas porwania i postanowił wrócić i zobaczyć, co jest w środku.

- Jeśli tak, to trafił mu się prawdziwy skarb: taka giwera musi być warta ze cztery koła. Chcecie zobaczyć zdjęcie?

- No pewnie.

Nastąpiła krótka przerwa wypełniona stukaniem w klawiaturę.

- Mam - powiedział w końcu Seamus i skupił się na czymś, co wyświetliło mu się na ekranie.

Csongor, nie mając chwilowo nic lepszego do roboty, wstał od komputera i stanął za plecami Seamusa. Wyglądało na to, że *T'Rain* ma wbudowany mechanizm przesyłania obrazów między użytkownikami, bo Edgod przesłał zdjęcie w formacie JPEG do Thorakksa. Miało zaskakująco wysoką rozdzielczość, a przedstawiało krępego mężczyznę z ogoloną na tyso głową, który trzymał w rękach karabin bez magazynka i sprawdzał działanie zamka.

- Nie znam się na tym - przyznał po krótkich oględzinach Seamus - ale zgadzam się, że Peter miał świra na punkcie broni, a pan Kartofel jest na tym zdjęciu bardzo z siebie zadowolony.

- Poznajecie go? - spytał Richard.

Csongor musiał wrócić na stanowisko i założyć słuchawki.

- Nie - odpowiedział. - Kiedy współpracowałem z Iwanowem, w Xiamen i gdzie indziej, nigdy nie widziałem tego człowieka.

- To jakiś miejscowy tłumok - orzekł Seamus. - Pracownik tymczasowy.

- W takim razie prześlę to zdjęcie gliniarzom z Seattle - powiedział Richard. - Przynajmniej domkną sobie tam jakiś wątek.

- Oszczędzę ci kłopotu - zaproponował Seamus. - Dostarczę fotkę glinom, mogę im nawet pomóc, ale nam to nie pomoże znaleźć Zuli.

- Wiem.

Cisza się przedłużała. Csongor sam przed sobą nie chciał tego przyznać, ale - mimo że machinacje, jakie od dwóch godzin prowadzili w *T'Rainie*, trochę go rozerwały, a okazja do wymiany informacji z Richardem zapowiadała się z początku przełomowo - wyglądało na to, że zabrnęli w kolejną ślepą uliczkę. W najlepszym razie sprawa skończy się aresztowaniem pana Kartofla oraz wyjaśnieniem morderstwa Wallace'a i porwania Zuli i Petera w sposób satysfakcjonujący z punktu widzenia policji w Seattle. Nie znajdą jednak Zuli ani nie powstrzymają Jonesa.

Richard musiał chyba dojść do tych samych wniosków.

- Ciekawe to... - przyznał. - Ale raczej mało użyteczne.

Seamus był na to przygotowany.

- Tego nie wiesz - zaproponował. - Trzeba iść takim tropem do oporu i czekać na przełom. Tak to działa. Poczyniliśmy ogromny postęp, nawet jeśli na razie nie widzisz światełka w tunelu.

- Wiem tylko, że od dwudziestu czterech godzin siedzę na dupie - odparł Richard.

Brzmiał tak, jak Csongor się czuł. - Z nadzieją, że powiecie mi, gdzie jest Zula. Dochodzi piąta rano, jestem wykończony, a my nadal nie mamy nic konkretnego. Na dodatek, jakiś zasrany turysta dobija mi się do drzwi; pewnie chce opróżnić kibel albo dopytać się o kryjówkę miłośników geocachingu. Muszę sobie zrobić chwilę przerwy.

I rzeczywiście, chmury leciały tym razem do góry, a Carthinias rosło w oczach, gdy pędzili mu na spotkanie. Po chwili wylądowali łagodnie w tym samym miejscu, z którego wcześniej wzbili się w powietrze. Edgod skurczył się do ludzkich rozmiarów.

- A pieniądze? - przypomniał Marlon. - To nie dla mnie, tylko dla moich przyjaciół w Chinach.

- Clover dopilnuje, żeby *da G shou* wymienił kasę po dobrym kursie - zapewnił go Richard. - Powodzenia w przesyłaniu pieniędzy do Chin.

W tle odezwał się dzwonek u drzwi, którego dźwięk - dziwnie niepasujący do tego miejsca - poniósł się nad całym Carthinias.

* * *

Richard zdjął słuchawki i zrzucił klawiaturę z kolan. Edgod był chwilowo niemy i nieruchomy. Richard namacał ustawiony między nogami kubek z moczem i odstawił daleko na bok, żeby go przypadkiem nie przewrócić. Wstał bardzo powoli; nie dość, że cały zeszytniał, to jeszcze nie chciał ryzykować gwałtownego odpływu krwi z mózgu. Zegarek wskazywał 4:42 rano. Kto o tej porze może dzwonić do drzwi wejściowych? Zresztą, nie tylko dzwonić, bo od dobrych paru minut łomotał też we wszystkie inne drzwi i okna, jakich udało mu się dosięgnąć. Wszystko wskazywało na sytuację kryzysową małego kalibru, taką jak pijane nastolatki na rowerach, z których jeden przekoziołkował przez kierownicę, albo kamper, który wypadł z drogi. Coś takiego zdarzało się parę razy w roku, chociaż nigdy tak wcześnie, przed początkiem sezonu.

Niezgrabnie powłócząc nogami, wyszedł z tawerny do holu. Wciąż dręczyły go wątpliwości - czy było warto? Pierwszą część całej historii znał już z listu Zuli, od brytyjskiej dziewczyny-szpiega poznał większość ciągu dalszego... Czyli okrągła doba nawalania non stop w *T'Rain* przyniosła mu tylko zdjęcie jakiegoś durnia, który kradnie karabin Petera, garść szczegółów na temat wybuchu w Xiamen, oraz pokazną sumę pieniędzy w indygoldach.

Było warto. Dowiedział się, jak Zula zachowała się podczas najazdu na tamten blok mieszkalny, i mógł być z niej dumny. Reszta rodziny też będzie dumna, kiedy wszystko pojawi się na Facebooku; w przyszłości będą sobie o tym opowiadać na ro-zjazdach. Bez względu na to, czy Zula żyje, czy - co wydawało się bardziej prawdopodobne - jest martwa.

- Już idę! - zawołał.

Podszedł do głównego wejścia i włączył światło na podjeździe przed hotelem.

Stali tam dwaj mężczyźni, jak gdyby owinięci wokół siebie nawzajem. Wyglądali na turystów.

Jeden - krępy, w średnim wieku - podtrzymywał drugiego, wysokiego, po uszy zakutanego w ciepłe ciuchy, z kapturem narzuconym na głowę. Ten drugi miał jedno podudzie zamknięte w prowizorycznych łubkach z patyków, taśmy klejącej i liny wspinaczkowej. Zwiesił głowę, jakby tracił przytomność albo zmagał się z wielkim bólem.

Nic, czego Richard by wcześniej nie widział. Odsunął zasuwkę i otworzył drzwi.

- Dzięki Bogu, że pana zastaliśmy, panie Forthrast! - wykrzyknął przybysz bardzo głośno, jakby chciał, żeby usłyszał go ktoś jeszcze. Ktoś, kto nie stoi tuż przed nim, na progu.

Światła zgasły.

Ranny, do tej pory przewieszony przez ramię towarzysza, wyprostował się i przeniósł ciężar ciała równomiernie na obie nogi.

Richard zorientował się już, że dzieje się coś dziwnego, ale był zbyt otępiąły z braku snu i nadmiaru *T'Rainu*, żeby zrobić coś więcej niż patrzeć, jak wydarzenia toczą się same - niczym scenka z gry komputerowej.

Wysoki odrzucił kaptur, ale Richard nadal nie widział go zbyt dobrze. Było ciemno.

- Dzień dobry, Richardzie - powiedział nieznajomy.

Mówił jak Murzyn, ale z dziwnym akcentem. Jego kompan rozpiął kurtkę i wyjął coś zza pazuchy. Richard usłyszał szcęk naboju wprowadzanego do komory samopowtarzalnego pistoletu. Towarzysz Murzyna cofnął się i wycelował pistolet w twarz Richarda.

Richard się wzdygnął. Od wielu lat miał do czynienia z bronią, ale jeszcze nigdy nikt do niego nie celował.

- Jones, jak rozumiem? - powiedział.

- Dobrze rozumiesz. Możemy wejść? Trafiłem na twoją stronę w Internecie, tę, na której ciągle pytasz, czy ktoś widział Zulę. Mam informacje, więc przyszedłem upomnieć się o nagrodę.

- Zula żyje?

- Nie tylko żyje, Richardzie, ale wyłącznie od ciebie zależy, czy nadal będzie żyła.

* * *

- No to po wszystkim - orzekł Seamus. Skrzyżował ręce na piersi i nogami odepchnął się wraz z krzesłem od komputera.

Csongor już wcześniej się wylogował; wątpił, żeby Totolotek Póldarmo miał jeszcze kiedyś spacerować po ulicach Carthinias. Marlon dalej rozmawiał na czacie z Cloverem,

który był kimś w rodzaju księgowego Edgoda. Na ekranie Clover i Reamde stali tak blisko siebie, że prawie stykali się głowami. Thorakks pałętał się parę metrów od nich, a Edgod - nagle wzruszający w swojej niewielkości i samotności - po prostu stał obok.

Yuxia oparła się o blat obok Seamusa.

- Co dalej, panie i panowie? - spytał ten ostatni.

Gramatyka pytania sugerowała, że jest skierowane do wszystkich, chociaż, zadając je, patrzył na Yuxię.

I bardzo dobrze, bo Csongor nie miał zielonego pojęcia, co mu odpowiedzieć. Zanosilo się na to, że dostaną jakieś pieniądze. Powinno wystarczyć na bilety lotnicze - tylko dokąd? I czy będzie mógł w ogóle legalnie opuścić Filipiny? Ostatni stempel w paszporcie miał z Moskwy, z lotniska Szeremietiewo. Od tamtej pory nielegalnie wjechał na teren Chin, a następnie przekradł się na Filipiny. Bóg jeden wiedział, czy nie jest już poszukiwany w Chinach za jakieś przestępstwa. Czy Filipiny mają podpisaną umowę o ekstradycji z Chinami? A Węgry?

Mógł tylko dumać, martwić się i słuchać, jak Yuxia bierze Seamusa w krzyżowy ogień pytań:

- Kim ty w ogóle jesteś?

- Już mówiłem - odparł Seamus z miną niewiniątka.

- Gliną? Szpiegiem?

- Seksturystą.

Yuxia roześmiała mu się w twarz.

- Musiałbyś pojechać dużo, dużo dalej, żeby znaleźć kogoś, kto chciałby to z tobą zrobić.

Te słowa wydały się Csongorowi tak wstrząsająco niegrzeczne, że aż odwrócił głowę, żeby upewnić się, że naprawdę padły z ust Qian Yuxii.

Tak, naprawdę.

A Seamus gładko je przełknął.

- W porządku, nie jestem seksturystą.

- Dlaczego zapytałeś, co dalej zamierzamy?

- Po prostu miałem wrażenie, że pojawił się między nami załóżek przyjaźni, i chciałem mieć pewność, że będziecie umieli o sobie zadbać. Tyle.

- Jeżeli chcesz zadbać o mnie - odparła Yuxia - to odstaw mnie z powrotem do domu.

Seamus się skrzywił.

- To nie takie proste... Do niedawna nic o was nie wiedziałem.

Przez „do niedawna” rozumiał rozmowę, która wypełniła większość ostatniej godziny i w której Csongor, z małą pomocą przyjaciół, opowiedział ich historię.

- Co z tego? Teraz wiesz wszystko.

Yuxia udawała niefrasobliwą, ale Csongor zdążył już poznać ją na tyle dobrze, by wiedzieć, że coś ją trapi. Uciekała wzrokiem w bok, a na jej twarzy malowało się przygnębienie.

- Wiem tyle, że gdybym był chińskim prokuratorem, mógłbym przedstawić wam listę zarzutów długą jak moja ręka - odparł Seamus. Dopiero później zauważył chyba wyraz twarzy Yuxii, bo wyciągnął przed siebie ręce w takim geście, jakby próbował coś zatamować.

- To jeszcze nie znaczy, że Chińczycy to robią. A wracając do tego, co wiem... Po prostu radzę ci się dobrze zastanowić, zanim pognasz z powrotem do Chin.

- Ja nie wracam - wtrącił Marlon. - To moja ojczyzna, kocham ją, ale nie mogę wrócić.

I wrócił do prania pieniędzy.

- O, tajemniczy nieznajomy! - zwrócił się Csongor do Seamusa. - Czy możesz nam jakoś pomóc?

- Przez najbliższe pół godziny niespecjalnie. Muszę wykonać przynajmniej jeden telefon w sprawie tego mięśniaka z giwerą. Poza tym chciałbym mieć oko na Edgoda, martwię się o niego. Potem spróbuję coś wymyślić. Może będziecie mogli nam pomóc.

- Jakim „wam” i w czym mielibyśmy pomóc?

- Nam, czyli tym dobrym. W zabiciu Jonesa.

- Jestem za! - Yuxia podniosła rękę jak uczennica wrywająca się do odpowiedzi.

Csongor, od dziecka uczony większej rezerwy w wypowiedziach, w milczeniu rozważał słowa Seamusa. Zainteresowało go coś innego.

- Dlaczego niepokoisz się o Edgoda?

- Przetawiał się na wykonywanie autoczynności.

- Czyli?

- Będzie próbował piechotą wrócić do domu. A do domu ma chyba z pięć tysięcy mil.

- Co to znaczy? - spytała Yuxia.

- To znaczy, że albo Richardowi zepsuł się komputer, albo padło mu łącze internetowe.

- A może po prostu zasnął? - zasugerowała Yuxia.

- Może. Może pije kawę z gośćmi, a komputer sam przeszedł w stan uśpienia. Tak czy inaczej, najpotężniejsza postać w całym *T'Rainie* spaceruje sobie po świecie na autopilocie.

- Co chcesz zrobić?

- Nie wiem, może po prostu się do niego podłączę... Jakbym odprowadzał do domu wstawionego prezydenta po długiej popijawie.

- Mówiłeś, zdaje się, że musisz gdzieś zadzwonić?

- Rząd Stanów Zjednoczonych tak mnie wyszkolił, że potrafię robić kilka rzeczy naraz.

* * *

- Pięknym za nadobne - zabrzmiał w słuchawce odrażająco pogodny głos z południowobostońskim akcentem.

Olivia jęknęła.

- Która godzina?

- U ciebie? Koło piątej. W sam raz, żeby wstać i brać się do roboty.

- Co się dzieje?

- Wiadomość z ostatniej chwili. Jestem w takim miejscu, że nie mogę powiedzieć wszystkiego, co bym chciał, ale powiem tak: namierzyłem ich, podczepiłem się pod nich, a w magicznym świecie *T'Rainu* bardzo dużo się wydarzyło, kiedy ty sobie smacznie spałaś.

- Znalazłeś ich fizycznie. - Olivia usiadła na łóżku. Było jeszcze ciemno, za oknem widziała nocne światła centrum Vancouver. - Jesteś tam, gdzie oni.

- Zgadza się. Dzięki Filipińskim Siłom Powietrznym i licznym długom wdzięczności, na które musiałem się powołać.

- Świetna robota. Wiedziałaś, że tylko udajesz głupszego, niż naprawdę jesteś.

- Prawdę mówiąc, jestem dokładnie tak głupi, jak ludziom się wydaje. Tu po prostu miałem trop wyraźny jak po przejściu stada słońi.

- Udało ci się z nimi porozmawiać?

- W pewnym sensie. Opowiedzieli mi swoją historię, nawet było czego posłuchać, nie powiem. Ale to teraz nieważne.

- A co jest ważne?

- Dzisiaj może się coś zadziać tam u was. Pomyślałem, że dam ci cynk.

- W Vancouver?

Cisza.

- Kurde, przepraszam. Zapomniałem, że wyjechałaś do Vancouver.

- Czyli coś się może zadziać... gdzie, w Seattle?

- Być może. Produktem ubocznym ostatnich wydarzeń jest fotografia jednego z ludzi, których Sokołów wynajął w Seattle. Kilka dni po tamtej akcji facet wrócił, włamał się do

domu Petera i ukradł karabin z sejfu.

- Co to ma wspólnego...

- Nic.

- Tak myślałam.

- Kompletnie fałszywy trop, jeśli chodzi o ściganie Jonesa.

- To dlaczego mnie zbudziłeś, żeby mi o tym powiedzieć?

- Myślałem, że nadal jesteś w Seattle i współpracujesz z FBI. Chciałem, żebyś wiedziała...

- Że się tym zajmą.

- No właśnie.

- Że tamtejsze śledztwo, zepchnięte na ten fałszywy trop, zostanie całkowicie zdeorganizowane.

- Otóż to.

- Dzięki. Tak się jednak składa, że ja będę dziś zajęta zupełnie czymś innym.

- A cóż to takiego?

- Jadę do Prince George, gdzie zamierzam szukać strategicznie rozmieszczonych kamer monitoringu, a potem wyłagiewać od właścicieli kopie nagrań.

- Baw się dobrze.

- A ty co planujesz, Seamus?

- Muszę wymyślić, co zrobić z tym wędrownym cyrkiem.

* * *

Zula niechętnie chwaliła dżihadystów za cokolwiek, ale musiała przyznać, że okazują godną podziwu powściągliwość, jeśli chodzi o komunikację radiową. Może tak właśnie przejawiał się darwinowski mechanizm doboru naturalnego: ci, którzy nie przestrzegali ciszy radiowej, zostali odstrzeleni przez samoloty bezałogowe.

Odkąd Jones opuścił z trzema kompanami obóz, cisza radiowa i telefoniczna obowiązywała przez dwie i pół godziny, do chwili, gdy wrócili Ershut z Jahandarem, zdyszani, ale zadowoleni. Przez ten czas pozostali członkowie ekspedycji (wszyscy poza Zakirem i Sayedem) zjedli śniadanie, pomodlili się i spakowali. Pakowanie pochłaniało ogromne ilości energii emocjonalnej i przypominało Zuli tradycyjny bałagan przed wyjazdem na rodzinne wakacje, jakiego nieraz bywała świadkiem w cywilizowanym świecie, z solidną domieszką krzątający zrozpaczonych uchodźców udających się na wygnanie do Sudanu; brakowało tylko szczekających psów i płaczących dzieci. Dżihadystom nie pomógł fakt, że musieli zabrać ze sobą masę broni. Zmywając naczynia i sprząając okolice kuchni, mogła bez

przeszkód śledzić wywiązujące się przy okazji spory i wynikającą z nich hierarchię priorytetów - która sprowadzała się do prostego rachunku: jaki towar, w przeliczeniu na kilogram, pozwala zabić najwięcej ludzi? Na pierwszym miejscu znalazł się plastik w kostkach. Dużym zainteresowaniem cieszyła się również broń palna, nieco mniejszym zaś amunicja, której hurtowe ilości zamierzali nabyć dopiero w Stanach (nawet Zula musiała przyznać, że to bardzo rozsądny plan; jeżeli ich broń nie wymagała jakichś udziwnionych nabojów, wszystko, czego im potrzeba, kupią w sklepie myśliwskim). Amunicja z natury rzeczy musiałaby dużo ważyć, a waga była ich głównym zmartwieniem, gdy na próbę podnosili plecaki z ziemi i spoglądali w siną dal, zastanawiając się pewnie, jak to będzie, wędrować z takim obciążeniem przez góry.

W przypiływie kuriozalnego i wyjątkowo niesmacznego zaangażowania emocjonalnego (co zdarzało się jej ostatnio coraz częściej) Zula zaczęła się niepokoić, że nie zdążą. Może jeszcze nie nabawiła się syndromu sztokholmskiego, ale zaczynała rozumieć, skąd się to ludziom bierze.

Tak czy inaczej, kiedy Ershut z Jahandarem wrócili do obozowiska, stwierdzili, że ich kompani są spakowani zaledwie w siedemdziesięciu pięciu procentach, na co tak się wściekli, że pozostałe dwadzieścia pięć procent procesu pakowania przebiegło już szybko i sprawnie. Przez ten czas Zula została (z braku lepszego określenia) wystawiona na widok publiczny. Mianowany na klucznika Ershut odpiął łańcuch od drzewa, po czym użył go w charakterze bardzo długiej (i bardzo ciężkiej) smyczy, na której sprowadził Zulę kawałek w dół zbocza. Poniżej obozowiska, ale powyżej miejsca, w którym zaczynała się drewniana lawina, sterczał z ziemi granitowy ostaniec wielkości piętrowego domu, spod którego rozpościerał się widok na prawie całą dolinę. Było widać koryto potoku Blue Fork, który brał początek wśród skalnych rumowisk i górskich śniegów na południu (czyli z lewej strony) i przepływał pod urwistymi zboczami Bayonet Ridge (w dole), by przy *Schlossie* (po prawej) połączyć się z drugim strumieniem. Stok był gęsto zalesiony, ale kiedy spojrzano się pod odpowiednim kątem, było widać fragment drogi i kończące ją miejsce do zawracania.

Na środku zawrotki stało trzech mężczyzn. Z tej odległości Zula nie widziała ich twarzy, ale po sylwetkach rozpoznała Jonesa, Abdul-Ghaffara i wujka Richarda. Wiedziała, że oni też ją widzą.

Dziecinny odruch nakazywał jej unieść rękę i pomachać wujowi, ale powstrzymała go i straciła całą trójkę z oczu, przesłoniętą przez łzy. Zawstydzona odwróciła się do nich plecami i zaczęła brnąć pod górę, z powrotem do obozowiska, nie bacząc na ciężar łańcucha. Ershut przykuł ją z powrotem do drzewa i zostawił przy pniu, skuloną i zapłakaną.

Co za żalosna sytuacja. Nie zasługiwała na nic lepszego, właśnie zdradziła własnego wuja. To przez nią wpadł w ręce ludzi, którzy na pewno go zabiją, gdy tylko przestanie im być potrzebny.

* * *

Sokołowa przeszył irracjonalny lęk, że nigdy nie doleci do wody, ale powstrzymał się od spojrzenia w dół, żeby nie dostać od oceanu pięścią w twarz. Zresztą, i tak by nic nie zobaczył. Obciągnął stopy i przycisnął nogi do siebie, żeby uniknąć uderzenia wodnym młotem w genitalia, gdy wtem wstrząs przeszedł mu przez nogi, a uszy rozdarło ogłuszające *szszszuuu!*, natychmiast zresztą stłumione rytmicznym basowym dudnieniem - to śruby kontenerowca pracowicie mlóciły wodę tuż za jego plecami. Stary nawyk podpowiedział mu, że powinien zacząć płynąć, tyle że od stóp do szyi był szczelnie wpięty w pomarańczowy kombinezon ratunkowy, który sam umiał wypłynąć na powierzchnię. Dlatego czekał. Opływała go gęsta lodowata woda, wzburzona śrubami jak spieniony śluz.

Jego głowa przebiła powierzchnię wody i znów mógł oddychać. Przez chwilę przebierał intensywnie nogami (choć niewygodny kombinezon trochę mu to utrudniał), obracając się wokół własnej osi, dopóki nie dostrzegł malejącej w oczach rufy kontenerowca, który zdążył przez ten czas oddalić się na całkiem pokaźną odległość. Wtedy spojrzał w prawo i zobaczył to, co kilka sekund wcześniej widział już z pawęży statku: miedzianą poświatę kładącą się od spodu na chmurach - były to światła wielkiego miasta i, być może, poranny brzask. Jaśniejsze i ostrzejsze światła połyskiwały na odległej o kilometr pochyłości - wyrastającym z morza urwistym brzegu, zadrzewionym, ale też gęsto upstrzonym domami, wśród których biegły szerokie ulice z szyldami centrów handlowych i fast foodów.

Obrał kurs na KFC i zaczął płynąć.

* * *

Niewzruszona pewność siebie, z jaką dwa tygodnie wcześniej na mglistych wodach wokół Kinmen sternik pomógł mu zrzucić trupy z łodzi, przekonała Sokołowa, że jest to facet, z którym warto mieć dobre układy. Przyszło mu do głowy, że to „George Chow” go znalazł; że nie jest to pierwszy lepszy przewoźnik, z łapanki, jeśli można tak powiedzieć, tylko lojalny pracownik na usługach miejscowej społeczności szpiegowskiej.

Bo jeśli nie, to musiałyby być psychopata, a psychopatów Sokołow bał się bardziej niż wszystkich innych przeciwników, z którymi się ostatnio rozprawił.

Zdarzało mu się czasem, że na początku misji wszystko szło jak po grudzie; jakby brnął pod górę pod wiatr; jakby przydarzało mu się wszystko co najgorsze; jakby nie miał za grosz szczęścia. Ale w pewnym momencie sytuacja się zmieniała - i od tej pory wszystko

układało się po jego myśli. Wszystko szło jak po maśle. Tak też stało się i tutaj. Pozbył się Olivii, kuszącej, lecz wysoce kłopotliwej osoby w jego życiu. Wydostał się z Chin, wydostał się z zatłoczonego centrum Xiamen, do tego skryła go mgła, a pomocy udzielił mu odważny przewoźnik, na którym widok trzech uzbrojonych po zęby intruzów, którzy przejęli jego łódź, zrobił mniejsze wrażenie niż widok Sokołowa wskakującego na pokład i przeciągającego po nich serią z pistoletu maszynowego.

Ponieważ minęli już strefę przyływu, Sokołow nie zdziwił się zbytnio, gdy wkrótce potem mógł się wspiąć po drabince sznurowej do wjazdu na rufie olbrzymiego kontenerowca, szykującego się do wyjścia na otwarty ocean. Łatwo dogadał się z filipińską załogą i za ocalałe w kieszeniach resztki gotówki kupił sobie prawo przejazdu na drugą stronę Pacyfiku, włącznie z kają, którą dostał do własnej dyspozycji. Następne dwa tygodnie przypominały wakacje na metalowej plaży, długo wyczekiwaną okazję do wypoczynku i zalecenia odniesionych w Xiamen drobnych urazów. Dopiero przez ostatnie dwa dni zaczął częściej wstawać z koi i ćwiczyć na pokładzie upadki i przewroty, ku wielkiej uciechu załogi.

* * *

Przyływ pchał go ku brzegowi. Zobaczył plażę i skierował się w jej stronę, na ile było to możliwe w pękatym kombinezonie. Nie potrzebował dodatkowej wyporności skafandra, ale bał się go teraz zdjąć, żeby nie umrzeć z wychłodzenia, mając łód w zasięgu wzroku. Do wschodu słońca zostało jeszcze sporo czasu, zresztą zanosilo się na to, że nawet kiedy słońce zbierze się w sobie i wzniesie nad horyzont, pozostanie ukryte za grubą warstwą chmur, ale niebo zdecydowanie pojaśniało i Sokołow dostrzegł pierwsze szczegóły na plaży: wyrzucone przez morze pnie, kręgi na ogniska, toaletę publiczną.

Brnąc przez las brunatnych wodorostów, dotarł w końcu do miejsca, gdzie wyczuł skaliste dno pod stopami i ostrożnie, z mozołem zaczął się przemieszczać w kierunku wyrzuconego na piasek kloca drewna. Szedł powoli, nie chciał skreślić kostki w bezrozumnym pośpiechu. Kiedy woda sięgnęła mu kolan, przykucnął za kłocem, żeby ukryć się przed wzrokiem ewentualnych obserwatorów z domostw na zboczu, i zdjął kombinezon. W środku trzymał zawinięte w worek na śmieci suche ubranie, które teraz na siebie włożył; oszczędził tylko skarpetki i buty, wieszając je sobie na sznurówkach na szyi. Kombinezon mógł zwrócić czyjąś uwagę, wepchnął go więc do worka i przerzucił przez ramię, po czym wyszedł na plażę i ruszył na południe. Nie miał pojęcia, gdzie jest, ale statek płynął na południe, można więc było rozsądnie założyć, że gdzieś tam właśnie znajduje się port i miasto.

Wokół resztek ogniska kuliło się kilkoro nastolatków. Porozrzucone wszędzie butelki

po piwie i papierki po fast foodzie niedwuznacznie świadczyły o tym, jak spędzili wieczór. Okazali się na tyle przewidujący, żeby przynieść koce i śpiwory i przenocować na plaży. Jeden z nich wstał właśnie i zataczając się, oddalił kawałek od ogniska, aż uznał, że może bezpiecznie wyłuskać prącie ze spodni i oddać mocz, nie urażając dziewczyn, gdyby się okazało, że już nie śpią. Chyba nieco przesadzał z tą ostrożnością, bo co rusz oglądał się przez ramię, ale Sokołow pochwalił go za to w duchu.

Wciąż sikał z pozazdrosczenia godnym młodzieńczym animuszem, gdy nieznajomy zbliżył się do niego na odległość umożliwiającą rozmowę. Chłopak zmierzył Sokołowa wzrokiem i na jego twarzy odmalowała się czujna ciekawość, choć bez cienia strachu. Doszedł do wniosku, że intruz nie jest ani włóczęgą, ani bandytą.

- Co to za miejsce? - spytał Sokołow.

- Golden Garden Park - odparł młody człowiek ze wzruszająco naiwnym przekonaniem, że Sokołowowi to coś powie.

- Jak nazywa się miasto, proszę?

- Seattle.

- Dziękuję.

Kiedy Sokołow mijał chłopaka, ten zapytał:

- Z pociągu wyskoczyłeś, czy co?

Rzeczywiście, plażę od miasta oddzielała bocznicą kolejowa.

- Czy co - przytaknął Sokołow i ruchem podbródka wskazał w bok. Tam autobus?

- Tak. Przy marinie.

- Dzięki. Miłego dnia.

- Nawzajem. Wyluzuj, gościu.

- Nie zamierzam. Ale dziękuję. Miłego siku.

DZIEŃ 19

Olivia, której zamarzyło się, że szybko zbierze się z hotelu i wczesnie zacznie dzień, wykazała się zawstydzająco niemądrym optymizmem, i to z kilku powodów. Wieczorem zasnęła w ubraniu, zostawiwszy kilka niezalutowanych spraw, takich jak prysznic, sprawdzenie poczty i telefon do inspektora Fourniera, którego uprzejmości zawdzięczała dostęp do policyjnych raportów. Kiedy więc Seamus obudził ją swoim telefonem, zabrała się za te właśnie rzeczy. Prysznic udał się zgodnie z planem - ale tylko prysznic. To, co wyobrażała sobie jako szybkie przejrzenie służbowych e-maili, wciągnęło ją jak bagno. Kiedy następnym razem spojrzała na zegarek, stwierdziła, że uciekło jej półtorej godziny, a ona brnie coraz głębiej. Listy wysłane na początku całej eskapady spłodziły długie wątki odpowiedzi, w których ugrzęzła po uszy i ludzie zaczęli jej wygrażać zwołaniem telekonferencji. Część jej kolegów po fachu zirytowała się jej nagłym zniknięciem z siedziby FBI, a część nie bardzo wiedziała, co się dzieje; pierwszych musiała uspokoić, drugich zapoznać z rozwojem wypadków. Przez ten czas ci sami ludzie dowiadawali się o zakodowanym nagraniu wideo z kamer w mieszkaniu Petera, a ona śledziła rozprzestrzenianie się tej wiedzy po łączach e-mailowych i pączkującą dyskusję o dalszych działaniach. Była sobota rano i agenci FBI odpisywali na e-maile bezpośrednio z boisk, na których kibicowali swoim grającym w piłkę pociechom. Odpowiedzi „Nie ma mnie w biurze” śmigały na wszystkie strony jak kule bilardowe. Droga, jaką to nagranie trafiło do ich rąk (klucz do szyfru znalazł w portfelu zabitego człowieka Węgier przebywający na Filipinach, który skontaktował się z Amerykaninem przebywającym w Kanadzie, a ich rozmowa odbyła się w nieistniejącym, wirtualnym świecie) była dość skomplikowana, toteż Olivia musiała co rusz interweniować i wszystko tłumaczyć.

A to i tak było tylko FBI w Seattle. Popęliła ten błąd, że wspomniała o swoim pomysle z kamerami w Prince George niektórym swoim kolegom z Londynu, co spowodowało kilobajty nikomu niepotrzebnych dyskusji i bezproduktywnych prób pomocy.

Tym, co uratowało ją od utonięcia na cały dzień w powodzi e-maili, był telefon od Fourniera, który nagle zrobił się niezwykle gościnnie i koniecznie chciał się z nią umówić na kawę. Umówiła się z nim w holu hotelowym za pół godziny, spakowała (nie wymagało to od niej wielkiego wysiłku, ponieważ nie zdążyła się rozpakować, a połowa kłopotów i tak

została na dole, w samochodzie) i w ostatniej chwili sprawdziła jeszcze w Google Maps drogę do Prince George.

Wynik tych poszukiwań zatrzymał ją przy komputerze na dłużej. Siedemset pięćdziesiąt kilometrów miało jej zająć jedenaście godzin, bez przerw na jedzenie i sikanie. Te liczby trochę ją oszołomiły, pomyślała nawet, że Google wytyczył jej jakąś absurdalnie okrężną trasę - ale nie, linia na mapie była względnie prosta. Tam naprawdę było tak daleko, jak z Londynu do John O'Groats na północnym czubku Wielkiej Brytanii. Jazda zajmie jej cały dzień, a i tak nie zdąży przed zmierzchem. Jutro niedziela.

Sprawdziła rozkład lotów, spodziewając się połączeń co godzinę. Wynik był zgoła inny: kilka lotów dziennie, w tym jeden poranny, na który ewentualnie mogłaby zdążyć, gdyby odwołała spotkanie z Fournierem i pognąła na lotnisko na złamanie karku. Nie byłoby to jednak najlepsze posunięcie ze względów politycznych, zabukowała więc miejsce na lot późnym przedpołudniem.

A potem na parter, do holu, na kawę i babeczkę z inspektorem. Nie wiadomo dlaczego, spodziewała się quebeckiego odpowiednika porucznika Columbo, wymiętego mężczyzny w średnim wieku, Fournier zaś okazał się szczupłym trzydziestoparolatkiem w modnych okularach, które go dodatkowo odmładzały. Olivia domyślała się już, że to, co początkowo wzięła za nieprzychylność, było po prostu wywodzącą się z Europy dbałością o formy, kontrastującą z towarzyską atmosferą amerykańskiego akademika, w której obracała się przez ostatnie dni. Przypuszczała, że spędził kilka lat we Francji (sam zresztą wkrótce potwierdził te podejrzenia), gdzie przyswoił sobie zawodowe maniery i francuski gust do okularów. Status Olivii - agentki MI6 działającej na obcym terenie - pewnie dodatkowo go spinał, Fournier był jednak uroczy i opiekuńczy.

W obecnej sytuacji nie mogła mu nie wspomnieć o tym, że wybiera się do Prince George w poszukiwaniu strategicznie rozmieszczonych kamer monitoringu. Fournier rozsiadł się wygodnie, pogładził po modnie nieogolonym podbródku i przetrwał jej słowa.

- W idealnym świecie nie musiałabyś tam jechać osobiście - powiedział, po czym bardzo wyraziście wruszył ramionami i przekrzywił głowę. - Fakty jednak są, jakie są, i obawiam się, że nie masz wyboru. Załatwienie czegoś takiego oficjalnymi kanałami, kiedy nie mamy ani żadnego dowodu na to, że Jones znalazł się w promieniu chociaż tysiąca mil od granic Kanady, ani żadnych konkretnych powodów do podejrzeń, że maczał palce w zaginięciu myśliwych, byłoby... jak by to grzecznie powiedzieć... czasochłonne.

Podświadomie spodziewał się jakiejś wariacki, ale kiedy zobaczył Olivię i usłyszał, co ma do powiedzenia, historia trafiła mu do przekonania. Jego przeświadczenie, że myśliwi po

prostu zaginęli albo najzwyczajniej w świecie zamazali na śmierć, zostało naruszone. Teoria Olivii wyglądała interesująco i w najgorszym wypadku przynajmniej nieco ożywi nudnawę poza tym dochodzenie.

Olivia zaś miała coraz większy problem z koncentracją. Nie powinna była sprawdzać poczty; teraz jej myśli wciąż krążyły wokół zalewającej jej skrzynkę powodzi e-maili. Adwersarze formułowali kontrargumenty, które pozostawały bez odpowiedzi, a współpracownicy prosili o pomoc i domagali się wyjaśnień, których nie mogła im udzielić. Wiedziała, że powinna być wdzięczna Fournierowi i napawać się każdą chwilą tej rozmowy, tymczasem ulżyło jej, gdy zajrzał do swojej pustej filiżanki i zaczął podsumowywać spotkanie:

- No cóż...

Obiecała, że odezwie się z Prince George, pożegnała się i pojechała na lotnisko. Świadomie nie włączała telefonu, dopóki nie oddała wypożyczonego samochodu i nie wsiadła do autobusu, który miał ją zawieźć pod terminal.

Dopiero wtedy stawiała czoło kolejce nieprzeczytanych e-maili, której długość wykraczała daleko poza najczarniejsze koszmary Olivii. Nagłówki kompletnie się już rozjechały i trudno się było zorientować, o czym ci ludzie w ogóle dyskutują, ale jeden z listów w górnej części stosu (pochodzący dosłownie sprzed paru minut) miał w tytule związane „Mamy go”. Przysłał go jeden z agentów FBI z Seattle.

Zadzwoiła na jego bezpośredni numer. Agent Vandenberg, rudzielec z Grand Rapids w stanie Michigan.

- Ogłaszam bankructwo e-mailowe - obwieściła.

- Każdemu się zdarza, Liv - uspokoił ją agent Vandenberg, któremu daleko było do europejskości inspektora Fourniera.

- Co tam się urodziło?

- Sam jeszcze nie wiem - odparł filuternie Vandenberg.

- Widzę „Mamy go” w tytule. Kogo macie?

- Powinno chyba być „Rozpoznaliśmy go” - przyznał Vandenberg po krótkiej, kłopotliwej pauzie. - Jeden z naszych rozpoznał złodzieja karabinu. Wiemy o nim wszystko. To Igor. - Prychnął lekceważąco. - Przewija się w wielu naszych śledztwach. Jest legalnym imigrantem, ale to chyba jedyna legalna rzecz z nim związana. Pierwszy raz mamy go jak na tacy.

- Zgarniecie go?

- Nie jest zagrożeniem. Wątpliwe, żeby chciał zrobić coś bardzo złego. Przez półtora

tygodnia, odkąd zwędził tę giwerę, nie wychylał się. Wyciągnęliśmy sędziego z wyrka, załatwiliśmy nakaz, zleciliśmy obserwację miejsca zamieszkania... To taki gówniany domek w Tukwili.

- A gdzie to jest?

- No właśnie. Mieszka tam z jeszcze jednym Rosjaninem, od bodajże czterech lat.

- Macie już coś ciekawego?

- Ciągle czekamy na tłumacza, więc na razie nie bardzo wiemy, o czym tam we trójkę rozmawiają.

- We trójkę?

- No tak. W domu jest trzech Rosjan.

- Mówiłeś o dwóch: Igorze i jego współlokatorze.

- Mają gościa, niedawno przyjechał. Czym chyba cholernie ich zaskoczył. Nie do końca wiemy, co się tam dzieje. Igor i ten drugi wylegiwali się na fotelach i oglądali mecz hokejowy na satelicie, a tu nagle pukanie do drzwi. Oni ciężko zdziwieni: „Kto to może być?”; tak wnioskuje z tonu ich głosu. Jeden wstaje, podchodzi do okna, wygląda i mówi: „Kurde, to Sokołow!”. Obaj byli ciężko przerażeni, ale w końcu go wpuścili.

Dobrze się złożyło, że agent Vandenberg był taki gadatliwy, bo ciągnął swoją opowieść dostatecznie długo, żeby Olivia zdążyła ochłonąć.

- No to mniej więcej wiem, na czym stoję - powiedziała, gdy uznała, że zapanuje nad drżeniem głosu, a Vandenberg zrobił przerwę dla nabrania tchu. - Powiedziałeś „Sokołow”? Tak się nazywa ten niespodziewany gość?

- Tak, prawie na pewno. A co? Kojarzysz gościa?

- To popularne rosyjskie nazwisko... Byli zaskoczeni, tak?

- Zaskoczeni i nie na żarty przestraszeni. Sokołow musiał trzy razy dzwonić do drzwi. Trzymali go na ganku chyba z pięć minut i dyskutowali, co z nim zrobić. Nie wiem, kim jest ten facet, ale na pewno nie dystrybutorem Avonu.

- Dzięki. To interesujące.

* * *

Skończyło się na tym, że Zula schowała się do swojego namiociku i naciągnęła sobie śpiwór na głowę. Naturalna reakcja na wstyd. Potrzebowała po prostu chwili prywatności, żeby w spokoju przestać się mazać, co miało ten niezamierzony (acz wielce użyteczny) skutek uboczny, że wszyscy o niej zapomnieli.

Nie dosłownie, rzecz jasna. Ten przeklęty łańcuch włókł się przecież po ziemi i zniknął w namiocie, więc wszyscy dokładnie wiedzieli, gdzie jej szukać, ale jakiś irracjonalny

czynnik psychologiczny kazał im się zachowywać tak, jakby znajdowała się zupełnie gdzie indziej, a nie dosłownie parę jardów od nich.

Zula nie była pewna, czy to dobrze, czy źle. Mogło się zdarzyć, że wymuszą im się jakieś użyteczne informacje, z którymi nie zdradziliby się, gdyby mieli ją na oku - ale, z drugiej strony, łatwiej chyba zarządzić egzekucję człowieka, którego się nie widzi.

Abdul-Wahaab, prawa ręka Jonesa, ostatni wychodził w góry. Przed zarzuceniem plecaka na ramiona zwołał tych, którzy zostawali w obozie.

Zebrali się wokół niego, dwadzieścia stóp od Zuli: Ershut, Jahandar, Zakir i Sayed. Stanęli wokół kuchni, popijając herbatę.

- Będę mówił po arabsku - zapowiedział Abdul-Wahaab, właściwie niepotrzebnie, bo już mówił po arabsku.

Starając się nie szeleścić zbyt głośno nylonem, Zula zsunęła śpiwór z twarzy, przeturlała się bliżej wejścia namiotu i wyteżyła słuch. Od dwóch tygodni przebywała w towarzystwie ludzi mówiących po arabsku i chodziła wiecznie sfrustrowana, że tak mało rozumie, kiedy jednak porównywała swoją obecną znajomość tego języka do tej sprzed dwóch tygodni, musiała przyznać, że zrobiła ogromne postępy. Pobyt w obozie dla uchodźców zasiał ziarno, które długo nie chciało wykiełkować, za to teraz z dnia na dzień rosło coraz szybciej.

- Rozmawiałem z naszym przywódcą - zaczął Abdul-Wahaab. - Przewodnik opowiedział mu trochę o drodze na południe.

Zula ledwie nadała z tłumaczeniem, na szczęście Abdul-Wahaab nie był krasomówcą: wypowiadał krótkie, zwarte zdania, w dodatku porozdzielane łykami herbaty. W rozumieniu tekstu Zula opierała się głównie na rzeczownikach: „przywódca”, „droga na południe”, oraz *dalii* - słowo, które w ostatnich dniach regularnie przewijało się w rozmowach i które w końcu zidentyfikowała jako oznaczające „przewodnika”.

- Droga jest trudna, ale przewodnik zna różne tajne ścieżki i skróty - ciągnął Abdul-Wahaab. Użył angielskiego słowa na „skróty”. - Według niego, za dwa dni powinniśmy przekroczyć granicę. Dzień później, może dwa dojdziemy do miejsca, gdzie jest Internet.

Reszta słuchała i czekała na rozkazy. Abdul-Wahaab znów napił się herbaty i mówił dalej:

- Jeżeli po czterech dniach się nie odezwiemy, zabijcie ją i jedźcie, gdzie chcecie. Postaramy się jednak dać znać braciom czekającym w Elphinstone, wtedy po was przyjadą. Prześlemy koordynaty GPS opisujące drogę na południe. Z Bożą pomocą dołączycie do nas przed męczeńską operacją.

- Czy wtedy też mamy ją zabić? - spytał Zakir.

- Wydamy nowe instrukcje. Może się nam jeszcze przydać. - Tu łyk herbaty. - Przewodnik twierdzi, że nie będzie zasięgu komórek, może tylko z najwyższych szczytów, a i wtedy musielibyśmy mieć dużo szczęścia. Gdybyśmy złapali zasięg, dostaniecie esemesa z instrukcjami.

Dalej rozmowa zeszła na to, co będą robić po przekroczeniu granicy - jakie przeszkody mogą napotkać i jak gorliwie zamierzają wykorzystywać okazje do urządzenia krwawej jatki. Abdul-Wahaab temperował nadmierny zapał towarzyszy, upominając ich, że w najbliższych dniach kluczowa będzie absolutna koncentracja. W pewnym momencie chyba dotarło do niego, że wstrzymuje wymarsz, bo pośpiesznie dopił herbatę i wspomagany przez Ershuta zarzucił sobie ciężki plecak na plecy. Uściskał wszystkich na pożegnanie, odwrócił się i wszedł na ścieżkę.

Zula postanowiła uciec jeszcze tej nocy.

* * *

Dorastając w Związku Radzieckim, Sokołow regularnie czytał artykuły prasowe i oglądał w telewizji programy, które miały ilustrować nędzę życia w kapitalizmie. Reporter znajdował jakiś zaniedbany zakątek Appalachów albo południowego Bronksu, pstrykał przygnębiające fotki, notował (lub zmyślał) równie przygnębiające anegdoty, po czym z jednych i drugich montował historyjkę, z której miało jednoznacznie wynikać, że w ZSRR wcale nie żyje się najgorzej. I wprawdzie nikt nie był tak głupi, żeby wierzyć w tę propagandę bez zastrzeżeń, ale wszyscy (poza najgorszymi cynikami) domyślali się, że jest w tym trochę prawdy. Zgoda, na Zachodzie standard życia mógł być wyższy; wszyscy o tym wiedzieli. Ale mógł też być niższy.

Podczas godzinnej podróży z Golden Garden do domu Igora Sokołow przemierzył całe spektrum takich scenerii, od jednej skrajności do drugiej. Czekał na autobus na przystanku przy marinie, w której cumowało mrowie jachtów. Autobusem dojechał do eleganckiego, nowoczesnego centrum miasta, gdzie po krótkich zakupach wsiadł do kolejki na lotnisko. W miarę upływu czasu widok z okien pociągu coraz bardziej przypominał rozkładówki zdjęciowe z sowieckich artykułów propagandowych. Linia kolejowa wiała się przez najuboższe dzielnice. Te najbliższe centrum, gęsto zabudowane, zamieszkiwała mieszanina Czarnych i imigrantów z całego świata; może i nie było tu pięknie, ale przynajmniej okolica udawała jeszcze miasto. Dalej, w strefie buforowej, dominował lekki przemysł, który oddzielał właściwe Seattle od białego getta na przedmieściach, gdzie tory poprowadzono po wysokim żelbetowym wiadukcie. Można było zajrzeć z góry wprost na

zaśmiecone podwóreczka próchniejących parterowych domków.

Sokołow wysiadł na ostatnim przystanku przed lotniskiem i przeszedł półtorej mili, zagłębiając się w dzielnicę takich właśnie chałup. Nie kupił sobie jeszcze telefonu, zdobył natomiast w księgarni plan miasta, a adres Igora miał zapisany w notesiku, który towarzyszył mu podczas wszystkich przygód.

Dom Igora stał na końcu ślepej uliczki i przylegał tyłem do oplecionego kobiercem borówek i bluszczu nasypu autostrady. Roślinna mata przykryła i zabiła kilkanaście drzew, a ostatnio rozpoczęła polowanie na szopę za domem, za to sam dom, który Igor dzielił ze swoim kumplem Władem, wyróżniał się wśród swoich sąsiadów schludnością. Dwa zaparkowane przed nim samochody wyglądały na sprawne, żaden nie pokrył się mchem. Na ganku nie gromadziły się śmieci. Okna od frontu zostały - całkiem rozsądnie - zasłonięte parawanami z gęstej metalowej siatki, a drzwi miały wzmocnione zamki.

Lęk gospodarza był odrobinę irytujący, ponieważ wszystko opóźniał, ale w gruncie rzeczy Sokołow nie mógł mieć do Igora pretensji o nadmiar ostrożności. Wyjął ręce z kieszeni i rozłożył je, pokazując puste dłonie.

- Dwie godziny - powiedział. - Potem zniknę. Na zawsze.

* * *

Decyzja o wyborze akurat tego miejsca była mocno kontrowersyjna, delikatnie rzecz biorąc. Sokołow zastanawiał się nad tym przez cały rejs.

Musiał się gdzieś udać i coś zrobić. Znał tylko jeden fach - konsultant do spraw bezpieczeństwa, a fakt, że mówił płynnie tylko po rosyjsku i miał rosyjski paszport, mocno ograniczał mu możliwość wykonywania tej profesji. Mógłby wrócić do Rosji, zamieszkać w lesie i do końca życia rąbać drewno i polować na jelenie, przywykł jednak do życia w miastach, godnej płacy i (z braku lepszego określenia) szacunku dla tego, kim jest i co robi. Większość jego klientów w niczym nie przypominała Iwanowa, a Sokołow postanowił, że więcej dla takich Iwanowów pracował nie będzie, ktoś jednak musiał wyłuszczyć przykre fakty właścicielom *obszczaku*, z którego Iwanow podkradł pieniądze, oraz rodzinom ofiar Abdallaha Jonesa. Nawiasem mówiąc, Sokołow był święcie przekonany, że wszystko da się wyjaśnić, ponieważ właściciele *obszczaku* to w gruncie rzeczy rozsądni ludzie i uprzejmością można u nich wiele wskórać. W losach Iwanowa i Wallace'a na pewno dostrzegą poetycką sprawiedliwość. Iwanow sprowadził na siebie śmierć, której w gruncie rzeczy sam szukał: zginął, próbując odzyskać pieniądze. Jego historia miała wielkie walory edukacyjne: oto, co przytrafia się tym, którzy sprzeniewierzą powierzone im pieniądze. Wszystko się ułoży, jeśli będzie miał okazję opowiedzieć tę historię ludziom zdradzonym przez Iwanowa.

Nie był wprawdzie pewien, że mu wybaczą, nikt nie mógł mu dać takiej gwarancji, ale przynajmniej mógł liczyć na to, że dostanie uczciwą szansę. Gdyby zaś próbował ich zwodzić i unikać, jego brak manier z pewnością zwróciłby uwagę tamtych i zaczęliby go traktować podejrzliwie.

Do takich wniosków doszedł już w pierwszej połowie rejsu przez Pacyfik, wciąż jednak pozostała kwestia nawiązania kontaktu z „tamtymi”. Zadzwonienie do nich z automatu na plaży byłoby niedyskretne i załatywałoby desperacją.

Natomiast pojawienie się od razu w domu Igora było rozsądnym posunięciem. Desperat by się tak nie zachował - na pewno nie desperat, który ma coś do ukrycia, bo było oczywiste, że wieść o pojawieniu się Sokołowa rozejdzie się lotem błyskawicy. Tak, to był dobry i dyskretny sposób na to, żeby zakomunikować ludziom zdradzonym przez Iwanowa: „Przeżyłem. Wydostałem się z Chin, nikt mnie nie ściga, nie mam nic do ukrycia. Odezwę się, gdy tylko mocniej stanę na nogi”.

Była to więc w pewnym sensie wizyta kurtuazyjna. Miał jeszcze dość pieniędzy, żeby zapłacić za hotel i kupić bilet autobusowy. Niczego od Igora nie potrzebował.

Spotkanie towarzyskie, nic więcej.

A jednak Igor instynktownie wyczuwał, że coś tu nie gra. Dlatego był taki zaniepokojony. Taki podejrzliwy.

Mniejsza z tym. Grunt, że w końcu wpuścił Sokołowa do domu. Nastąpiły wyjątkowo niezręczne powitania, po których usiedli we trzech z Władem przy kuchennym stole zawalonym rosyjskimi gazetami, kubkami z zimną niedopitą kawą i miseczkami po płatkach. Zimne srebrzyste światło, tak typowe dla tego rejonu świata, sączyło się przez zakryte siatką okno; wszystko było w nim widoczne, a jednak nic nie było oświetlone.

- Przypłynąłem z Chin, właśnie zszedłem z pokładu kontenerowca - zaczął Sokołow. Gdyby Igor miał puścić w świat tylko tę nowinę, dobrze by było, żeby wszyscy wiedzieli, że to był jedyny powód dwutygodniowego milczenia Sokołowa. - Nie miałem telefonu ani dostępu do Internetu. Nie było ze mną kontaktu.

- A teraz już gdzieś dzwoniłeś?

- Nie mam telefonu. Przecież powiedziałem: dwie godziny temu zeskoczyłem z tego pieprzonego statku i przyjechałem prosto do was.

- Czyli na dwa tygodnie wypadłeś z obiegu.

- Prawie na trzy. W Xiamen też niespecjalnie dzwoniłem po ludziach.

- Musisz się zameldować. Ludzie nie wiedzą, co się dzieje. Są wkurwieni.

Sokołow się uśmiechnął.

- I co, naprzykrzali ci się?

- Myślałem, że już jestem trupem - odparł Igor, bynajmniej nie ubawiony.

Sokołow zerknął na Włada, mając nadzieję, że uda się go wciągnąć do rozmowy, lecz Wład - młodszy od Igora, chudy, długowłosa i rozczochrana - odsunął się z krzesłem w kąt kuchni i po prostu siedział nieruchomo, z rękami w kieszeniach obszernej skórzanej kurtki, niedwuznacznie grożąc Sokołowowi tym, co ma w kieszeni. Podczas najazdu na mieszkanie Petera odegrał niewielką rolę, ale był umoczony jak wszyscy. Sokołow podejrzewał, że bierze metamfetaminę.

Startujący z SeaTac samolot przeleciał dokładnie nad domem, chwilowo uniemożliwiając dalszą rozmowę.

- Dla mnie wyglądasz jak żywy - powiedział Sokołow, kiedy już uznał, że odezwanie się ma sens.

Igor pokiwał głową.

- Przeprowadzono... śledztwo, tak by to chyba można nazwać. Pewni ludzie pytali, gdzie się podział Iwanow i co zrobił. Byli bardzo podejrzliwi. Próbowałem im tłumaczyć, o co chodziło z Wallace'em i wirusem. - Igor wzruszył potężnymi ramionami; w jego wykonaniu był to gest tak zamaszysty, jakby ogromna beczka stoczyła się z ciężarówki. - A co ja o tym wiem? Mogłem im powiedzieć tylko to, co słyszałem. Haker z Chin. *T'Rain*. Zula. Sam tego nie rozumiałem, ale po jakimś czasie trochę się uspokoili.

- No proszę... Tego się właśnie spodziewałem. Wystarczyło im wszystko wyjaśnić. Świetnie się spisałeś. - To ostatnie zdanie nie było właściwie przeznaczone dla uszu Igora, lecz dla tych, którzy od niego usłyszą tę historię. Widząc wyczekujące spojrzenie Igora, Sokołow pośpieszył z zapewnieniem: - Od tej chwili biorę ich na siebie.

- To dobrze.

- Muszę tylko się z nimi skontaktować w taki sposób, żeby nie mieć kłopotów z prawem. Imigracja, rozumiesz.

- Oczywiście.

- Dlatego przyjechałem tutaj. Nie sprawię ci kłopotu: wezmę prysznic, coś przekąszę, zbiorę myśli i już mnie nie ma.

- Potrzebujesz pieniędzy? - spytał podejrzliwie Igor.

- Właściwie nie.

Igor wyraźnie się rozluźnił.

- Mógłbym ci trochę pożyczyć...

- Muszę się tylko ogarnąć, to wszystko, ale... Policzę kasę, zobaczymy.

- Tam jest prysznic. - Igor spojrzeniem wskazał mu łazienkę.

* * *

Podłoga była gąbczasta, wypaczona i nierówna; Sokołow domyślał się, że od spodu zżera ją robactwo do spółki ze zgnilizną. Framuga drzwi do łazienki przekrzywiła się i zmieniła w równoległobok, ale same drzwi - kruche, z dykty, puste w środku - zachowały kształt prostokąta, musiał je więc dopchnąć barkiem i zamknąć na haczyk, który zainstalowano, gdy wbudowany zamek przestał działać.

Łazienka stanowiła epicentrum pleśniowej woni przenikającej cały dom. Odkręcił prysznic i zasunął zasłonkę, żeby woda nie zachlapała podłogi, po czym usiadł w ubraniu na sedesie (znajdującym się tuż za drzwiami), wyjął makarowa i wprowadził nabój do komory. Sytuacja, w której Igor wyważa kopniakiem drzwi łazienki, a Wład ostrzeliwuje prysznic, była mało prawdopodobna, Sokołow nie mógł jej jednak wykluczyć. Gdyby naprawdę do niej doszło, byłby niepokieszony, że się odpowiednio nie przygotował.

Spojrzał na zegarek i odprężył się na całe piętnaście minut. Przez ten czas rozmyślał o Olivii, Zuli, Csongorze, Yuxii i Peterze. Ponieważ widział tylko Zulę, jak uciekała z budynku, przypuszczał, że Csongor i Peter zginęli, a Yuxia wpadła w ręce Biura Bezpieczeństwa Publicznego. Cóż, pech; nic nie mógł na to poradzić. Co do dalszych losów Zuli, mógł tylko snuć domysły. W księgarni, w której kupił mapę, przejrzał również gazety codzienne. Nie znalazł żadnej wzmianki o Abdallahu Jonesie. Przesunął się do stojaka z tygodnikami, licząc na jakieś podsumowanie wydarzeń z ostatniego tygodnia lub dwóch. Na próżno.

W paru miejscach rzuciły mu się w oczy plakaty przedstawiające Zulę - czasem samą, czasem w towarzystwie Petera. Wisiały, poprzipinane zszywkami, na słupach telefonicznych i tablicach ogłoszeń na przystankach, nieco poźółkłe i z wolna ustępujące pola ogłoszeniom o zaginionych psach i szukających pracy gosposiach.

Z Google dowiedziałby się więcej, ale już w gazetach wyczytał dość (czyli, ściśle rzecz biorąc, nie wyczytał zupełnie nic), by przypuszczać, że Jones gdzieś się przyczaił, a Zula, jeśli jeszcze żyje, jest z nim.

Co się zaś tyczy Olivii... Miał nadzieję i głęboko wierzył w to, że bezpiecznie wróciła do domu i pomału o nim zapomina. Na Kinmen uspokoił go widok malującej się na jej twarzy inteligentnej powściągliwości. „Nie mogę uwierzyć, że naprawdę się z nim bzykam!”. Trochę się martwił, kiedy posyłała mu spojrzenia pełne nadziei i uwielbienia, ale teraz, po trwającym dłuższą chwilę rozstaniu, racjonalna część jej mózgu na pewno zdążyła wyrwać ster z rąk tej części, której ktoś taki jak Sokołow mógł się wydać atrakcyjny, i Olivia wróciła na spokojny, bezpieczny kurs.

Nie był z tym do końca szczęśliwy. W innej sytuacji chyba warto byłoby podtrzymać tę znajomość, szkoda, że teraz nie było to możliwe. Ale są na świecie gorsze rzeczy.

Ściany domku były cienkie i głos Igora był słyszalny poprzez szmer prysznic jako niewyraźne dudnienie, niezrozumiałe poza tymi rzadkimi momentami, w których wypowiadał krótkie, wyraziste słowa, takie jak *Da, da*". W chwilach, gdy Igor milczał, Wład bynajmniej się nie odzywał, co oznaczało, że Igor rozmawia z kimś przez telefon. Sokołow nie był tym wcale zaskoczony. Ba, specjalnie udał, że idzie się wykąpać, żeby dać Igorowi okazję do wykonania następnego ruchu - podjęcia próby zabicia go, albo zadzwonienia do kogoś, kto puści w obieg wieść o jego powrocie.

Wyłączył prysznic i odkręcił kran. Wyjął z torby jednorazową maszynkę do golenia i ogolił się, używając do tego porzuconego na brzeżku umywalki skrawka mydła. Pistolet trzymał w zasięgu ręki, chociaż, gdyby Igor z Władem mieli czegoś spróbować, spróbowaliby, kiedy myśleli, że jest pod prysznicem.

Goląc się, usłyszał, że Igor dzwoni gdzieś jeszcze. Tym razem mówił po angielsku. Wyglądało na to, że zamawia pizzę z Domino's.

Nie tak chyba zachowuje się człowiek, który zamierza zamordować gościa. Sokołow trochę się rozluźnił, lecz zaraz pojawiły się nowe pytania. Skąd u Igora ta nagła gościnność? Każdy człowiek przy zdrowych zmysłach chciałby jak najszybciej pozbyć się Sokołowa z domu. Czyżby telefoniczny rozmówca Igora kazał mu zatrzymać gościa jak najdłużej? Do czasu, aż przyśle kogoś, kto się z tym gościem rozprawi?

Oplukał twarz, ochlapał wodą szczecinę na głowie, jakby naprawdę wyszedł spod prysznic, zebrał rzeczy, wyszarpnął drzwi z koślawej futryny i wrócił do pokoju gościnnego. Wład grał w coś na błyskającym świetlekkami pececie podłączonym do dużego płaskiego monitora. Igor zaglądał mu przez ramię i komentował na bieżąco, ale na widok Sokołowa oderwał się od gry.

- Rozgość się - powiedział, pochyliwszy się na sofie, jakby zamierzał wstać. W ręce trzymał piwo. - Może piwko? Przyniosę ci.

- Nie, dziękuję. Nie teraz.

- Zamówiłem pizzę, powinna być za czterdzieści minut. Pewnie jesteś głodny?

- Brzmi smakowicie. Już nie pamiętam, kiedy jadłem pizzę.

Słowa płynęły z ust Sokołowa trochę mechanicznie. Zbyt intensywnie myślał, żeby prowadzić rozmowę z prawdziwego zdarzenia.

- Dwa tygodnie ryżu z makaronem, co?

- Że co?

- Na frachtowcu pewnie cały czas jedliście chińszczyznę.

Sokołow pokręcił głową.

- Załoga była filipińska, oni jedzą coś trochę innego. Było w porządku, tylko bez pizzy.

- Jakim cudem wprosiłeś się na pokład, co? Podobno chińskie gliny dostały pierdolca, tak słyszałem.

- To duży port. - Sokołow wzruszył ramionami. - Słynie z przemytu. Z takich miejsc zawsze można się jakoś wydostać.

- Zgoda, ale ty byłeś sam. I nie znasz chińskiego.

No, przynajmniej jedna rzecz się wyjaśniła: kimkolwiek był rozmówca Igora, kazał mu wypytać Sokołowa o wszystko, co wydarzyło się między strzelaniną w wysadzonym w powietrze bloku w Xiamen i jego przybyciem do Tukwili, i wysondować nieścisłości w jego opowiadaniu. Igor zresztą całkiem zgrabnie to rozegrał; niewykluczone, że manewr opóźniający z pizzą miał mu tylko dać więcej czasu na pytania. Chociaż równie dobrze mógł już ruszyć w drogę samochód z ekipą, która przechwyci Sokołowa i podda go bardziej drobiazgowemu przesłuchaniu. Tak czy inaczej, nie powinien więc gardzić pizzą i uciekać; sugerowałoby to, że ma coś do ukrycia.

Oczywiście, na samym początku rozejrzał się w poszukiwaniu wyjść i zwrócił uwagę, że mimo niewielkich rozmiarów domu Igora wcale nie byłoby go łatwo opuścić. W okolicy musiało często dochodzić do kradzieży, a ponieważ Igor i Wład z pewnością parali się paserstwem (a może i rozprowadzaniem narkotyków), starannie zabezpieczyli wszystkie okna, zakładając w nich albo metalową siatkę, albo stalowe sztaby. Można było wyjść tylko przez drzwi.

- Dobra, co sobie będę żałował - powiedział Sokołow. - Napiję się piwa. Nie, nie wstawaj, sam sobie wezmę.

Igor zapadł się już bowiem z powrotem w otchłań czarnej skórzanej sofy, a nie wyglądał na faceta, który chciałby się szybko z takiej sofy poderwać. Sokołow przeszedł do kuchni i upewnił się, że jest z niej wyjście - przez sień - na podwórko za domem. Wyszedł do sieni i obejrzał drzwi, delikatne z natury, ale wzmocnione siatką i dodatkowymi zasuwami, które natychmiast poodsuwał. Teraz do otwarcia drzwi wystarczyłoby mocniejsze szarpnięcie.

Wrócił do pokoju z piwem w ręce. Niepokoił się trochę, że wypad po napoje chłodzące trwał zbyt długo i Igor mógł nabrać podejrzeń, ale gospodarz był znów pochłonięty grą Włada. Sokołow podsunął sobie krzesło w takie miejsce, z którego mógł przez okno obserwować całą dochodzącą do domu uliczkę.

Następne czterdzieści pięć minut wypełniła im zdawkowa rozmowa. Od czasu do czasu Igor pytał o Xiamen, wtedy Sokołow opowiadał mu jakiś kawałek tamtej historii, ale prędkiej czy później i tak wracali do śledzenia gry.

W uliczce pojawił się mały samochód: dostawca pizzy.

- Przyniosę jeszcze piwa - zaproponował Sokołow i wyszedł do kuchni.

W szafce obok kuchenki znalazł duży garnek, wstawił go do zlewu i zaczął napełniać ciepłą wodą z kranu. Wyjął z lodówki kilka piw i przetransportował je do pokoju. Igor wstał z sofy i właśnie otwierał drzwi wejściowe, za którymi stał chłopak z pizzerii. Sokołow postawił piwo na stoliku obok sofy, po czym wrócił do kuchni, wyjął ze zlewu garnek zawierający już kilka litrów ciepłej wody, przestawił go na kuchenkę i włączył palnik na maksimum. Wrząca woda mogła się przydać jako broń. Nie zabije, ale może przynajmniej odwróci uwagę.

Zjedli pizzę, zapili piwem. Wład zatrzymał grę. Grał na komputerze, nie na konsoli. I to nie na zwyczajnym nudnym beżowym pudełku, jakie widuje się w biurach, tylko na pececie zaprojektowanym specjalnie dla młodych graczy płci męskiej, którzy mają świra na punkcie techniki: opływowa obudowa udawała statek kosmiczny obcych ozdobiony kolorowymi diodami. Kiedy Sokołow pierwszy raz go zobaczył (przed dwiema godzinami, zaraz po wejściu do domu Igora), coś go tknęło. I choć wtedy odpuścił sobie dalsze główkowanie, komputer nie dawał mu spokoju. Tyle że do tej pory miał ważniejsze sprawy na głowie.

Teraz go olśniło. Przypomniał sobie, gdzie go przedtem widział.

To był komputer Petera. Ten sam, który stał u niego w pokoju. Ten, na którym Peter grał.

Igor z Władem wrócili do mieszkania Petera, kiedy Sokołow ugrzązł w Chinach, i ukradli wszystko, co im się spodobało.

Musieli to zrobić wkrótce po tym, jak Sokołow i inni polecili do Xiamen, bo po zgłoszeniu zaginięcia Zuli i Petera policja na pewno pojechała do mieszkania i zrobiła z niego miejsce zbrodni, do którego niebezpiecznie byłoby się włamywać.

To oznaczało, że policja dotarła tam dopiero po włamaniu.

A to z kolei oznaczało, że zamiast zastać mieszkanie starannie wyczyszczone przez Sokołowa ze wszystkich śladów i dowodów, znaleźli w nim ślady rzeczonoego włamania.

- Nie patrz tak na mnie, bo się denerwuję! - poskarżył się Igor.

Sokołow podniósł wzrok. Igor rzeczywiście wyglądał na zirytowanego.

Sokołow odchrząknął.

- Wróciliście tam i coś zabraliście - powiedział.

Nie zdziwiłby się, gdyby w tym momencie Igor zerknął na podrasowany komputer, który stał na podłodze tuż obok niego, tak blisko, że mógłby postawić piwo na obudowie. Tymczasem wzrok Igora powędrował w kąt pokoju za plecami Sokołowa, który najwyższym wysiłkiem woli powstrzymał się od odwrócenia głowy i sprawdzenia, co się tam znajduje - musiał to być łup z mieszkania Petera, który dla Igora był cenniejszy (lub w jakimś sensie ważniejszy) od peceta.

Co takiego mógł trzymać w domu człowiek pokroju Petera, żeby Igor się tym zainteresował? Atrakcyjność komputera była zrozumiała; wszyscy młodzi mężczyźni lubią sobie pograć. Ale co jeszcze? Peter nie handlował narkotykami.

I wtedy przypomniał sobie, jak Igor zatrzymał się u szczytu schodów, mierząc wzrokiem szafkę na broń. I jak go zapewniał, że jest zamknięta.

- Nie przeczę.

Wzruszenie ramion Igora miało sugerować, że to nic wielkiego. Nerwowy śmiech świadczył o czymś wręcz przeciwnym.

- Iwanow za mało wam płacił?

- Za taką robotę każde pieniądze byłyby za małe. Kurna, myślałem, że robię za czujkę, w najgorszym razie za ochroniarza, a skończyło się na...

Sokołow pokiwał głową.

- Wiem, co czujesz, sam też byłem zaskoczony. Tak tylko pytam. Po prostu muszę poznać fakty. Kiedy tam wróciliście?

- Ze dwa dni później? - Igor spojrzał na Włada, szukając u niego potwierdzenia. - Najpierw, w nocy, zrobiliśmy rekonesans. Upewniliśmy się, że nie ma glin i nikt nie obserwuje domu. Potem weszliśmy, po cichutku, grzecznie.

I znów to spojrzenie w kąt.

- A jak otworzyliście sejf? - zaryzykował Sokołow. - Też po cichutku?

- Przecinakiem plazmowym - wypalił Wład.

Igor posłał mu mordercze spojrzenie. Wład nawet się nie zorientował, że wpadł w zastawioną przez Sokołowa pułapkę.

- Nie baliście się, że uszkodzicie broń?

- Była w metalowym pojemniku - wyjaśnił Wład.

Kiedy skinieniem głowy wskazał ten sam kąt pokoju, Sokołow miał wreszcie pretekst, żeby się odwrócić i spojrzeć. Na regale, mniej więcej na wysokości wzroku stojącego człowieka leżał podłużny pojemnik z polerowanego aluminium, w sam raz nadający się do tego, żeby miłośnik broni nosił w nim swój ulubiony karabin. Na jednym końcu był upstrzony

ciemnymi kropkami i zaciekami zastygłego metalu.

- I co? - spytał Sokołow, odwracając się do swoich rozmówców. - Czujniki dymu się nie włączyły?

- Obeszliśmy cały dom - wyjaśnił Igor - znaleźliśmy czujniki i powyjmowaliśmy baterie.

- Kiedy tak chodziliście po domu, szukając czujników dymu... Zauważyliście może, że są tam kamery?

- Tak, dwie. Od razu przecięliśmy przewody.

Sokołow, który wiedział, że kamery były trzy, a nie dwie, z całej siły zacisnął zęby i czekał, aż przejdzie mu ochota do krzyku.

- To zrozumiałe. Ale wcześniej, zanim przecięliście przewody, kamery was widziały.

- Wład się zna na komputerach - powiedział Igor.

Wład pokiwał głową, jakby potwierdzał jego opinię.

- Internet odcięliśmy od razu przy pierwszej wizycie - odparł. - Więc kamery nie mogły wysyłać obrazu poza budynek.

- A w środku?

- Wład sprawdził przebieg kabli - wtrącił Igor.

- Zgadza się, sprawdziłem. Prowadziły do serwera w warsztacie. Tam zapisywane były pliki z kamer. Wzięliśmy przecinak i zniszczyliśmy dyski.

- Zauważyłeś, że kable prowadziły również do routera pod schodami?

- No jasne.

- A wiesz, że router miał wbudowany dysk? Dysk, na którym zapisywały się kopie zapasowe całego ruchu w sieci?

Cisza.

Wład-komputerowiec zaczął czerwienić. Igor, który natychmiast to zauważył, położył mu rękę na ramieniu w uspokajającym geście.

- Minęło już... ile? Dwa tygodnie? I nic się nie stało. Policja o niczym nie wie. Nie wpadną na to, żeby sprawdzić taki ślad.

Sokołow siedział spokojnie i czekał, aż Igor sam wyciągnie wnioski.

- Skoro znaleźli nagranie, to czemu jeszcze nas nie aresztowali? - dopytywał się tymczasem Igor tonem szlachetnego, prawego obywatela oburzonego samozadowoleniem miejscowych gliniarzy.

- Bo nas obserwują - odpowiedział mu Wład.

- Po co? Przecież już mają dowody.

- To jest grubsze śledztwo. Nie chodzi o włam, tylko o porwanie, morderstwo i tak dalej. Szpiegostwo międzynarodowe. Tacy jak my ich nie obchodzą: para włamywaczy! - prychnął Wład. - Lepiej mieć nas na oku i czekać, aż pojawi się ktoś ważniejszy.

Spojrzenie czworga oczu spoczęło na Sokołowie.

Zapadła długa cisza. Igor przytknął wielkie jak szufle dłonie do skroni, żeby jak klapki na oczach pomogły mu skupić wzrok na Sokołowie.

- Ty zasańcu jebany! Dlaczego w ogóle wpuściłem cię do domu?!

- Ty durny, chciwy kutafonie - odparował Sokołow. - Kasy ci było mało? Musiałeś wrócić i kraść?!

- Hej, uspokójcie się! - zapiszczał Wład. - Nawet nie wiemy, czy gliny znalazły film!

- Wuj Zuli jest miliarderem, debilu - powiedział Sokołow. - Na pewno ściągnął własnych detektywów, a tacy goście znajdują wszystko.

- Kurwa mać! - zaklął Igor, który najwyraźniej doznał olśnienia.

Sięgnął po komórkę. Ręka Sokołowa odruchowo podskoczyła do schowanego w kieszeni makarowa, ale powstrzymał się od wyciągnięcia broni. Podobnie jak Wład, który uważnie go obserwował.

Igor wcisnął tylko jeden guzik: powtórzenie numeru.

- Lepiej nie przyjeżdżaj - powiedział. Jego rozmówca rzucił taką wiązanekę, że Igor na chwilę aż odsunął słuchawkę od ucha. - Nie, to nie o to chodzi. Później wszystko wyjaśnię. Zawróć. Nie przyjeżdżaj.

- Zaprosiłeś kumpli na pizzę? - spytał Sokołow, gdy Igor się rozłączył, przerywając potok przekleństw.

Igor wyciągnął przed siebie rękę.

- Słuchaj, ja cię bardzo przepraszam, ale mam swoich przełożonych. Kiedy się pojawiłeś, musiałem ich o tym poinformować.

- Czy wydymałeś mnie jeszcze w jakiś inny sposób, o którym na razie nie wiem?

Grube łapska Igora upodobniły się do pary pistoletów, gdy wycelował palce wskazujące w oczy Sokołowa.

- Nie powinienem był z tobą pracować. Teraz przyjdą po mnie gliny, pójdę siedzieć, a na koniec mnie deportują.

- Pójdiesz siedzieć, będziesz miał kłopoty... To chyba normalne, kiedy człowiek włamuje się ludziom do domów i kradnie, nie uważasz? Gdybyś słuchał moich rozkazów...

- Dlaczego miałbym ich słuchać, ty skurwysynu?

- Bo ja wiem, co robię.

- Tak? To jak to się stało, że wpięprzył się w to bagno?

To było celne pytanie. Sokołow zaniemówił.

Tymczasem Wład coś zauważył.

- Jada - powiedział.

Sokołow spojrzał w jego stronę: Wład wyglądał przez frontowe okno.

- Kto? - spytał Igor.

- A co ja, kurwa, wróżka jestem?

Sokołow instynktownie przykucnął i ponad parapetem okna spojrzał w głąb zaułka. Uliczką sunął ciemny SUV z włączonymi reflektorami. Jechał niewiele szybciej niż mógłby iść pieszy.

- Po co mu światła? - zdziwił się Wład.

- Chce nas oślepić! - odparł Igor.

- To wóz z wypożyczalni - wyjaśnił Sokołow. - Światła włączają się automatycznie.

- Kto wypożycza samochód do takiej akcji?

- Nie gliny - domyślił się Wład. - To jacyś prywaciarze.

- Jak to prywaciarze?

- Nie wiem, detektywi wynajęci przez wujka-miliardera?

- Kurwa! - zaklął Igor.

Ciężkim krokiem podszedł do regału i zdjął z niego metalowy futerał z bronią.

- Co zamierzasz z tym zrobić? - spytał Sokołow, ponieważ przyszły mu do głowy tylko dwie możliwości: można było albo schować karabin, żeby nie posłużył jako dowód rzeczowy, albo rozpakować go i użyć.

- Nie wrócę do Rosji - zaperzył się Igor, tak jakby to była odpowiedź na pytanie Sokołowa. A nie była. - Z tyłu jest drugie wyjście.

- Głupi jesteś? Przecież na pewno je obstawili - zauważył Wład, zapewne całkiem słusznie. - Dwóch kroków nie ujdiesz!

SUV zatrzymał się przed domem. Dzień był pochmurny i przy włączonych reflektorach nie dało się odczytać tablicy rejestracyjnej.

Otworzyły się drzwi po stronie kierowcy i najpierw na asfalt wysunęły się nogi w niebieskich dżinsach, a potem kierowca wysiadł i trzasnął drzwiami. Krótko przystrzyżone włosy bynajmniej nie maskowały faktu, że jest kobietą. Azjatką.

Kobieta przesunęła się w bok, oddalając się od reflektorów.

To była Olivia. I najwyraźniej przyjechała sama.

- Co to ma być, do kurwy nędzy?! - wrzasnął Wład i rozłożył pytająco ręce. Prędzej

by się spodziewał armii uzbrojonych po zęby agentów federalnych niż czegoś takiego.

Sokołow okręcił się na pięcie i przytknął palec wskazujący do ust. Zerknął przy tym znacząco na sufit; każdy Rosjanin musiał rozpoznać ten gest: *Pamiętaj, oni nas słyszą.*

Wład wybałuszył oczy, ale zrozumiał i po chwili wahania skinął głową. *Dobra, już będę cicho.*

Ich uwagę zwrócił nagle przenikliwy metaliczny szczęk w głębi pokoju. Igor wyjął z futerału karabin, którąś z odmian AR-15, a metaliczny szczęk wydał odciągnięty zamek broni. Sokołow patrzył, jak Igor wyławia z futerału jeden z poniewierających się w nim magazynków, wsuwa go w przeznaczoną nań lukę i uderzeniem w bok karabinu blokuje magazynek na miejscu.

Sokołow zorientował się, że trzyma w rękach makarowa i celuje w Igora.

Olivia zadzwoniła do drzwi.

- Padnij! - krzyknął Sokołow po angielsku.

Nie wiedząc, czy go usłyszała, okręcił się na pięcie i strzelił w drzwi wysoko nad głową Olivii. To jej powinno dać do myślenia.

- Zabij go! - wrzasnął Igor, najprawdopodobniej do Włada, a sam wycelował z karabinu w drzwi wejściowe.

Wład gmerał już w kieszeni, ale ponieważ był słabo wyszkolony, miał poważny kłopot z wydobyciem broni.

- Uciekaj tylnym wyjściem - poradził mu Sokołow. - Nikogo tam nie ma.

- Skąd wiesz?

Sokołow wycelował we Włada.

- Rób, jak mówię, albo cię zabiję.

- Mówiłem, że nas wystawi?! - Igor opuścił karabin i wolną ręką wyciągnął zza paska rewolwer. - Ty skurwysynu!

Sokołow odwrócił się, strzelił mu dwa razy w korpus, odczekał, aż się przewróci, i poprawił jeszcze raz.

Wład przykucnął na podłodze obok komputera, z rękami założonymi na głowę, kompletnie bezradny. Okrutny zwierzęcy instynkt podpowiadał Sokołowowi, żeby zlikwidować tę nędzną kreaturę, która może mu tylko przysporzyć kłopotów, ale nie potrafił się do tego zmusić.

- Dobrze ci radzę: uciekaj. I to szybko.

- A po co? Przecież nas obserwują?

- Ktoś nas obserwuje - zgodził się z Władem Sokołow. - Nie wiemy kto.

Podniósł z ziemi karabin, odłożył na chwilę makarowa, odblokował i odciągnął zamek, uwalniając załadowany przez Igora nabój. Schował broń do futerału, zatrzasnął go i dopiero teraz otworzył drzwi. Olivii już przed nimi nie było, a SUV właśnie kończył zawrotkę na trzy, szykując się do ucieczki ze ślepego zaułka.

Nagle samochód znieruchomiał.

Przez chwilę nic się nie działo.

A potem Olivia kopniakiem otworzyła drzwi po stronie pasażera.

* * *

Nie licząc faktu, że jego bratanica jest zakładniczką, a on sam jeńcem przejawiających mordercze skłonności dżihadystów, były to najwspanialsze wakacje Richarda od dziesięciu lat. Prawdę mówiąc, jedyne wakacje od dziesięciu lat. Nigdy nie rozumiał idei urlopu, jakoś do niego nie przemawiała. Zdarzało mu się jednak rozmawiać z ludźmi, którzy ją rozumieli i z niej korzystali, i z ich opowieści wyłaniała się wizja oderwania się od powszednich trosk, odsunięcia ich na bok, poznawania nowych miejsc i zdobywania nowych doświadczeń - doświadczeń, które były czystsze, ostrzejsze i prawdziwsze (pod tym względem miały przypominać dziecięce postrzeganie świata) właśnie przez swoją abstrakcyjność, swoje nieprzystawanie do codzienności.

Do czego Richard był absolutnie niezdolny. Z perspektywy czasu rozumiał, że większość rozstań z kobietami, które po dziś dzień żerowały na jego superego pod postacią muz i furii, wynikała z prób wspólnego wyjazdu na wakacje. On nie wyobrażał sobie urlopu w miejscu, w którym nie byłoby szybkiego Internetu; nawet prywatny odrzutowiec, którym się na ów urlop udawał, musiał mieć szerokopasmowe łącze. Świadczyło to pewnie o tym, że ma nierówno pod sufitem, ale niczego tak nie lubił, jak na Bali usiąść sobie półnago na plaży, pod palmą, sączyć egzotyczne drinki serwowane w skorupach orzechów kokosowych, patrzeć na wypełzające na brzeg błękitne fale i za pośrednictwem trzymanego na kolanach laptopa włączyć się po *T'Rainie*, zgłaszać technikom usterki i rozsyłać notatki służbowe. Nic innego go tak nie odprężało.

Poza tym, czym zajmował się w tej chwili. Gdyby tylko odrzucić te niesympatyczne aspekty. Całkiem poważnie myślał o tym, żeby - jeśli przeżyje - otworzyć nową firmę, która organizowałaby wakacje dla zamożnych i zapracowanych klientów. Jej pracownicy zjawialiby się bez zapowiedzi u klienta w domu i porywali go na urlop.

* * *

Jones i spółka bardzo wiarygodnie zagrali scenkę z rannym turystą: udawali do momentu, gdy Richard otworzył im drzwi, a potem natychmiast odcięli prąd i Internet.

Musieli wcześniej zrobić rekonesans. Znaleźli szopę przy tamie, włamali się do niej i zostawili w niej jednego człowieka ze szczypcami do cięcia drutu. Pewnie Ershuta. Richard obserwował ludzi Jonesa, poznawał ich imiona i charaktery, i Ershut najbardziej przypominał mu Barneya, postać z serialu *Mission: Impossible* - staroci, którą kojarzyli tylko dziadkowie z richardowego rocznika oraz szpanerzy oglądający antyczne produkcje telewizyjne na YouTube. Tak czy inaczej, jeśli ktoś miał wylądować na posterunku w szopie, to właśnie Ershut. Ten drugi, Jahanilar, siedział pewnie gdzieś na drzewie i śledził rozwój wydarzeń przez celownik optyczny karabinu, a po otwarciu drzwi i przecięciu kabli przeniósł się na inne stanowisko, bliżej budynku, skąd miał widok na tamę i drogę do Elphinstone. Jones, Ershut i Mitch Mitchell wprosilili się tymczasem do *Schlossu*.

Mitchem Mitchellem ochrzcił Richard na swój użytek *gringo*, który okrutnie się upierał, żeby nazywać go Abdul-Ghaffarem. Ponieważ Richard nie miał zielonego pojęcia, jakie prawdziwe nazwisko figurowało w jego akcie urodzenia (a nie umiał się zmusić, żeby poważnie traktować całą tę sprawę z Abdul-Ghaffarem), wymyślił takie, które pasowało mu do twarzy i osobowości tamtego⁷.

- Ile ci zostało? - Tak brzmiało pierwsze pytanie, które zadał Mitchowi Mitchellowi po tym, jak zauważył bliznę po zoperowanym raku.

- *Inszallah* dostatecznie długo, żeby zadać cios w imię wiary - odparł Mitch. Richard z największym trudem powstrzymał się od przewrócenia oczami, ale Mitch i tak wyczuł cień drwiny w jego reakcji. - Zależy, czy dotarł do mózgu.

- Bez komentarza - powiedział Richard.

- Przepraszam, że przeszkadzam, kiedy wy tu się tak świetnie dogadujecie... - wtrącił Jones. - Ale chcę, Richardzie, żebyś zobaczył pewien filmik.

- Czy ten filmik odpowie na moje pytania dotyczące Zuli?

- Na wiele z nich z całą pewnością.

Do tego momentu Richard prowadził wojnę na spojrzenia z Mitchem Mitchellem, który chyba bardzo chciał go przekonać, że rak faktycznie przegryzł mu się do mózgu i, być może, wyżarł część naturalnych zahamowań, te słowa jednak wydały się Richardowi na tyle ważne, że przeniósł wzrok na Jonesa. Wcześniej widział jego zdjęcia w Internecie i na łamach „The Economist” i wciąż nie otrząsnął się z tej dziwnej dezorientacji, która ogarnia nas w obecności sławnych ludzi.

- W takim razie przejdźmy do tawerny - zaproponował. - Jeśli nie przeszkadza ci, że

⁷ Mitch Mitchell - angielski perkusista The Jimi Hendrix Experience (przyp. tłum.).

podaje się tam alkohol.

- Byle nie serwowano go tam w tej chwili.

- Żartujesz? Jest piąta rano.

Żart przeszedł bez echa.

Richard zaprowadził gości do tawerny, gdzie na dużym monitorze nadal wyświetlał się obraz z *T'Rainu*. Wokół Edgoda zebrał się całkiem spory tłumek postaci wykonujących proste autoczynności, takie jak oddychanie, drapanie się i przestępowanie z nogi na nogę, ale nic poza tym się nie działo, a to dlatego (jak obwieszczało nałożone na ten obraz wielgachne okno dialogowe), że Richard stracił połączenie z Internetem, więc to, co widział, nie miało nic wspólnego z tym, co naprawdę dzieje się w *T'Rainie* - cokolwiek to „naprawdę” miałoby tu znaczyć.

Kombinacją klawiszy zamknął grę i na ekran wrócił normalny pulpit Windowsów. Przez ten czas Jones wsunął do portu z przodu komputera pendrive, który system rozpoznał jako przenośny dysk. Richard otworzył go i znalazł na nim tylko jeden plik: Zula.mpeg.

- Mój komputer nie złapie od tego wirusa? - upewnił się Richard.

Rany, jak trudno było rozbawić tych facetów...

Kliknął dwa razy na ikonę filmu i Windows Media Player odtworzył mu nędzny obraz z kamerki internetowej. Zula siedziała na wymiętym łóżku w pokoju o czarnych ścianach. W ręce trzymała wczorajszy numer „Vancouver Sun”.

- Próbowałem dostać „Globe and Mail” - wtrącił przepaszająco Jones - ale wykupili.

Wszystko jasne. To Jones chciał zgrywać cwaniaka o ciętym języku.

Richard się rozplakał i na parę minut musieli go zostawić samego.

* * *

- Na początek wystarczy nam twoja pomoc w przedostaniu się przez granicę - odparł Jones, kiedy Richard doszedł do siebie i zapytał, czego od niego chcą.

Trochę go to zaskoczyło, bo przywykł już, że ludzie najczęściej chcą od niego pieniędzy. Fakt, że Jones zażyczył sobie jego przemytniczych usług, obudził w nim dumę i coś na kształt wdzięczności, jakby Jones wyświadczył mu przysługę, okazując szacunek dla jego ukrytych zalet, które wszyscy inni od dawna mieli w dupie.

- To niedaleko stąd - odparł. - Idźcie na południe, na pewno traficie.

- Mam powody przypuszczać, że w rzeczywistości sprawa przedstawia się nieco trudniej, niż byłeś nam łaskaw to przedstawić - wycedził Jones, uśmiechając się półgębkiem. - A ty podobno jesteś mistrzem dyskretnego przechodzenia na drugą stronę.

Drzemiący w Richardzie gorliwy i skory do pomocy skaut z Iowa był gotowy od razu

narysować mapę i udzielić szczegółowych wskazówek, ale Jonesowi nie o to chodziło. Właściwie nie trzeba było oficjalnie formułować warunków transakcji, Jones zresztą chyba wolał nie wypowiadać ich na głos (w ten sposób przejawiała się ocalała w nim resztką brytyjskiej skłonności do niedomówień), ale należało się spodziewać, że zostawił Zulę w rękach ludzi, którzy ją zabiją, jeśli on i jego ekipa nie zostaną bezpiecznie przeprowadzeni przez granicę.

To zaś oznaczało, że Richard uda się na małą wycieczkę. Będzie dzielił los terrorystów.

- Chyba powinienem się spakować - powiedział.

- Mamy ze sobą większość rzeczy, które mogą ci się przydać - zapewnił go Jones. - Ale jeśli potrzebny ci jest jakiś szczególny sprzęt, coś do ubrania, jakieś leki...

- Broń?

Krzywy uśmiech wrócił na twarz Jonesa.

- Broni mamy pod dostatkiem.

* * *

Kiedy mu ją pokazali - stojącą na stoku wzgórza, z łańcuchem na szyi - rozplakał się drugi raz. To były łzy radości. Trochę dziwne. Jednakże pewność jest stokroć lepsza od niepewności, a pewność, że Zula żyje, była jeszcze piękniejsza.

Z początku wędrowali prosto na południe, wzdłuż dawnej linii kolejowej. Szlak stawał się coraz bardziej stromy, aż w końcu zaczął się ocierać o granicę możliwości dziewiętnastowiecznych lokomotyw. Wszystko przez to, że zlewnia Blue Fork była od południa i wschodu zamknięta pasmem gór do złudzenia przypominających kształtem Cape Cod: mięsistym bicipsem wyrastającym ku wschodowi z Gór Selkirka, połączonym z kościstym przedramieniem biegnącym z północy na południe, gdzie ostatecznie stapiało się z bocznym grzbietem Gór Purcella. Przez pierwszy dzień trawersowali stoki tego „przedramienia”, wznosząc się coraz wyżej nad dno doliny, i szlak zaczynał trochę meandrować - zapuszczał się w boczne dolinki, żeby tam przeskakiwać nad dopływami Blue Fork, a potem wymacywał sobie drogę dookoła oddzielających dolinki skalistych żeber. Kiedy owe żebra zrobiły się bardziej urwiste, budowniczości poczęli dynamitem torować sobie przez nie drogę, wykuwając w nich krótkie tunele. W owych czasach musiało to być przedsięwzięcie wściekle trudne i makabrycznie kosztowne, za to jego efekty po latach dostarczały rozrywki korzystającym ze szlaku rowerzystom i narciarzom.

Ugrzęźli w końcu w załomie terenu, gdzie drogę przegrodził im pękaty „biceps” rozciągający się - niczym zwieńczone śniegiem fortyfikacje w kolorze piasku - w

przybliżeniu ze wschodu na zachód i na tyle wysoki, że w górnych partiach pozbawiony roślinności. Znajdowali się kilkanaście mil na północ od granicy. Richard, który zwiedził wszystkie podobne do zębatych wydm wierzchołki „bicepsa”, wiedział, że w rzeczywistości są granitowymi iglicami, które panujący w tym rejonie absurdalnie surowy klimat od milionów lat struga i szlifuje. Każde małe zwycięstwo żywiołów nad skałą zostawało uczczone lawinką, gdy kamulec wielkości domu, samochodu, dyni lub imbryka odrywał się od granitowej wieżycy i pędził w dół, dopóki nie zatrzymały go inne, starsze. W efekcie powstał tu obszar złożony z usypisk spiętrzonych pod mniej więcej tym samym kątem, wspinających się po wysokich, niemal pionowych urwiskach, z których obrywały się kamienie. Na piargach nic nie chciało rosnąć, nie było więc nigdzie skrawka cienia, schronienia przed kapryсами pogody ani (rzecz niebagatelna, jeśli idzie o dobre samopoczucie wędrowców) niczego, na czym można by zaczepić oko. Przejście po tym rumoszu było istnym koszmarem, i to nie z powodu samej jego stromizny, lecz ze względu na nieregularność podłoża, uniemożliwiająca złapanie jakiegokolwiek rytmu marszu. Na dobrą sprawę sposób przemieszczania się wymuszany na każdym, kto okazał się na tyle głupi lub pechowy, żeby zapędzić się na piargi, trudno było nawet nazwać „marszem”.

Właśnie w tej okolicy baron porzucił w końcu ideę wybudowania linii kolejowej. Zresztą, dociągnięcie jej tak daleko na południe i groźbę, że przedłuży ją do Idaho, traktował tylko jako wybieg mający zmusić Kanadyjczyków do podjęcia zwąwszych działań w okolicach Elphinstone - zwłaszcza że w końcu dotarł do miejsca, w którym musiałby przebić milowej długości tunel przez górę. Dla uwiarygodnienia blefu kontynuował prace i kazał poszerzyć istniejący tunel górniczy, ale porzucił ten plan, gdy tylko uzyskał to, o co naprawdę mu chodziło, czyli lepsze połączenie z kanadyjską siecią kolejową w Elphinstone.

Na początek mieli dotrzeć do miejsca, w którym tor kolejowy urywał się w niedokończonym tunelu. Jones poradziłby sobie z tym sam, bez niczyjej pomocy; wyglądało na to, że Zula udzieliła mu stosownych informacji. Tajemna wiedza przewodnicka Richarda miała znaleźć zastosowanie dopiero następnego dnia.

Wędrówka nie nastroczała szczególnych trudności i naprawdę przypominała beztrioskie wakacje. Uwolniony z oków Internetu umysł Richarda błądził swobodnie, gdzie mu się żywnie podobało. Najwięcej uwagi poświęcał Richard refleksjom nad swoją reakcją na wieść, że Zula nadal żyje. Od paru dni przymierzał się, jeśli można tak powiedzieć, do myśli o śmierci bratanicy i próbował ogarnąć ją rozumem. Z całą pewnością nie pierwszy raz musiałby się pogodzić ze śmiercią kogoś, kogo znał. Osiągnął wiek, w którym ze dwa razy do roku bywał na pogrzebach różnych swoich rówieśników; dorobił się nawet garnituru i pary

butów przeznaczonych specjalnie na takie okazje. Tyle że każda śmierć była inna, tak jak wszyscy ci ludzie byli różni za życia. Po każdej znikwały z tego świata pewne konkretne idee, wyobrażenia i reakcje, i to na zawsze, przypominając Richardowi, że pewnego dnia znikną także jego idee, wyobrażenia i reakcje. Nigdy nie czuł się z tym dobrze, lecz w przypadku Zuli wydawało mu się to szczególnie nieuczciwe. Jeśli więc miał teraz przehandlować swoje życie za jej, to w ogólnym rozrachunku tak na pewno będzie lepiej. A Jones dobrze wiedział, że Richard na to pójdzie.

Dopiero świadomość, że śmierć może nastąpić całkiem niedługo, skierowała jego myśli na tory, którymi ostatnio jego umysł podążał coraz częściej, zwłaszcza gdy, siedząc w prywatnym odrzutowcu, gapił się na przesuwany się w dole krajobraz. Nie miał sprecyzowanych wierzeń religijnych, ale bez względu na to, czy jego dusza przetrwa śmierć ciała, czy też umrze razem z nim, dręczyła go dokuczliwa świadomość, że w tym wieku (i swej bieżącej sytuacji) naprawdę powinien zadbać o rozwój duchowy, zwłaszcza że z całą pewnością bliżej mu było do śmierci niż do narodzin. Tymczasem on robił coś wprost przeciwnego - odczuwał coraz mocniejszy związek ze światem materialnym. Nie umiał sobie nawet wyobrazić, jak mógłby być istotą kompletną i inteligentną, nie czując przy tym zapachu cedrów. Nie widząc koloru czerwonego. Nie czując smaku pierwszego łyku *bittera*. Nie czując dotyku materiału starych, wytartych dżinsów na udach. Nie oglądając lasów, pól i gór z okna samolotu. Gdyby tego wszystkiego zabrakło, jak mógłby być żywy, świadomy, rozumny w jakimkolwiek sensownym znaczeniu tych słów?

Kiedy indziej z takiej zadumy szybko wyrwałoby go pojawienie się e-maila albo esemesa, ale kiedy wspinał się w górę doliny Blue Fork na czele kolumny spoconych i mamroczących pod nosem dżihadystów, którzy niespecjalnie chcieli z nim rozmawiać, miał aż nadto czasu na rozmyślania. Które zresztą donikąd nie prowadziły. Starał się więc cieszyć wonią cedrów i błękitem nieba, dopóki miał do tego odpowiednie wyposażenie.

* * *

Bez przeszkód dotarli do głównej drogi, biegnącej na północ przez rzadko zabudowaną strefę przemysłową na południowych obrzeżach Seattle. Dojechali nią do autostrady I-5 przecinającej całe miasto z południa na północ, przejechali przez Seattle na wylot i kiedy pół godziny później, pokonawszy północny pas przedmieść, wjechali do mniejszego miasteczka, Olivia włączyła kierunkowskaz i zjechała na wschód. Droga długimi i prostymi goblami przecinała niekończące się w tym rejonie niziny zalewowe. Z przodu, na wschodzie, z równiny wystrzeliwało znienacka pasmo gór. Droga wspięła się na wyżej położony i suchszy teren, odbiła na południe i zaczęła się wic na boki, jakby spłoszona

wyroślą przed nią gigantyczną barierą, aż w końcu wpadła niczym w lejek w szeroką dolinę upstrzoną licznymi miejscinami. Dolina się zwężała, powietrze chłodziło, miasteczka się kurczyły, drzewa rosły, aż stało się jasne, że wspinają się na przełęcz.

Oboje się odprężyli. Bez szczególnej przyczyny. Nie było żadnego powodu, dla którego we współczesnym świecie mieliby być bezpieczniejsi i bardziej anonimowi na krętej górskiej drodze niż na autostradzie w sercu wielkiego miasta. Mimo to, jakaś atawistyczna część umysłu podpowiadała im, że w jakimś tam sensie udało im się uciec. Że coś uszło im płazem.

- Nie podobają mi się twoi kumple - odezwała się Olivia.

Były to pierwsze słowa, jakie padły między nimi, odkąd Sokołow wskoczył do SUV-a przed domem Igora.

Sokołow udał, że nie słyszy.

- Skąd wiedziałaś, gdzie jestem?

- Skoro już zadajemy sobie podchwytliwe pytania, to ja też mam jedno takie: czy ty albo ktoś inny w tym domu powiedział coś na głos na mój widok? Na przykład: „O rety, to musi być Olivia, agentka MI6”?

- Ja nic takiego nie powiedziałem, to chyba oczywiste.

- Ty nie. A tamci? Może: „Co to za Chincezka w ciemnym SUV-ie”?

- Nic z tych rzeczy. Ja zrobiłem tylko taki gest. - Tu Sokołow przytknął palec do ust i spojrzał znacząco w górę.

- No, to mogło pomóc. Przynajmniej trochę.

- Powtórzę: skąd wiedziałaś, gdzie jestem?

- Byłam rano na lotnisku w Vancouver, wybierałam się do Prince George, żeby tam szukać śladów Abdallaha Jonesa. I wtedy usłyszałam, że dom twojego znajomego znalazł się pod obserwacją.

- Bo ten debil poszedł do mieszkania Petera i dał się nagrać kamerom.

- Otóż to. Przy okazji dowiedziałam się również, że niejaki Sokołow złożył mu wizytę.

- Aha.

- No właśnie. Byłam za to poniekąd odpowiedzialna.

Sokołow spojrzał na Olivię pytająco, ale ona patrzyła na drogę.

- Dlaczego?

- Widzisz, pliki wideo były zaszyfrowane, tak że nikt nie mógł ich otworzyć. Tylko że po tym, co zrobiłam dziś rano, udało się znaleźć klucz do szyfru.

- Gdzie?

- W portfelu Petera.

- Peter nie żyje, prawda?

- Nie żyje. Iwanow zastrzelił go w Xiamen. Potem Jones zastrzelił Iwanowa, porwał Zulę i uciekł.

- To gdzie jest portfel Petera?

- Csongor zabrał go do Manili.

- Csongor jest w Manili?!

- Kilka godzin temu jeszcze był. Razem z Yuxią i Marlonem.

- Kto to jest Marlon?

- Haker, który napisał wirusa.

Przejechali kawałek w milczeniu, gdy Sokołow przyswajał sobie nowe informacje.

- Tak to wygląda - odezwała się znów Olivia, gdy wyczuła, że jest gotowy na ciąg dalszy. - Udało mi się doprowadzić do tego, że wszyscy ze wszystkimi porozmawiali. Dodge dostarczył plik z filmem...

- Dodge?

- Richard Forthrust.

- Bogaty wujek Zuli.

- Nie wiedziałam, że jesteś fanem *T'Rainu*.

- Czytałem w gazetach, dziś rano, w księgarni. Nie dziwi mnie, że ktoś taki zdobył ten film. Czyli tak: on dostarczył plik, Csongor klucz...

- A potem cała armia gliniarzy i szpiegów obejrzała Igora kradnącego to coś. - Ruchem głowy Olivia wskazała rzucony na tylne siedzenie karabin. - Po co go właściwie zabrałeś?

- Upoluję łosia. Będzie na grillu.

- Z przyjemnością zjadłabym z tobą grillowanego łosia, ale chyba powinniśmy najpierw zaplanować nasz następny ruch.

- Nasz? To my działamy razem? Wspólnicy?

Ton głosu Sokołowa był szorstki i sceptyczny.

- To właśnie musimy ustalić.

Zadzwoił telefon. Olivia odebrała i przez dobre dwie minuty słuchała kogoś na drugim końcu.

- Dobrze - powiedziała w końcu. - Dam znać, jak przejadę przez granicę. - Rozłączyła się i oddała telefon Sokołowowi. - Zrobisz coś dla mnie? Zniszcz go.

- Z przyjemnością.

Na początek Sokołow wykombinował, jak wyjąć baterię z aparatu, po czym, na wypadek gdyby telefon miał jakieś zapasowe źródło zasilania, położył go na desce rozdzielczej, wyjął makarowa, obejrzał go dokładnie i zamachnął się nim jak młotkiem.

- Nie, zaczekaj - powstrzymała go Olivia. - Muszę wysłać jeszcze jednego esemesa.

Sokołow odłożył pistolet na podłogę i włożył baterię do telefonu.

Jechali akurat wyjątkowo krętym odcinkiem drogi i Olivia, skoncentrowana na prowadzeniu samochodu, musiała przeprowadzić Sokołowa przez proces włączania telefonu i wybierania kolejnych opcji z menu.

- W „Ostatnich połączeniach” będzie telefon z dziś rana, do niejakiego Seamusa.

- Mam - przytaknął po chwili Sokołow.

- Bądź tak miły i wyślij pod ten numer wiadomość: „Wtopiłam, znikam”. Coś w tym guście.

Sokołow spojrzał na Olivię z niedowierzaniem.

- Nie, czekaj. Napisz dokładnie tak, jak powiedziałam.

Chwilę trwało, zanim Sokołow napisał i wysłał esemesa. Potem znów wyjął baterię, położył telefon na desce i sięgnął po makarowa. Dla pewności zerknął jeszcze na Olivię.

- Śmiało, wal.

Kolba pistoletu spadła na czarną bryłkę plastiku, która wydała miły dla ucha trzask. Sokołow uderzył jeszcze parę razy, po czym zaczął przesiewać szczątki, wypatrując w nich czegoś, co należałoby dobić.

- Ktoś jest na ciebie zły? - spytał.

- Mój szef, w Londynie - odparła spięta Olivia. - Ludzie gadają.

- Ktoś cię widział u Igora?

- Nie, ale moja obecność w Stanach to tajemnica poliszynela. Pomagam lokalnemu FBI w poszukiwaniach Zuli i Jonesa. Znają nazwisko, którego używam, to z paszportu. Kiedy rano dowiedziałam się, że widziano cię u Igora, złapałam pierwszy samolot do Seattle. Leci się pięćdziesiąt minut, króciutko. Na lotnisku wypożyczyłam samochód i pojechałam do Igora.

- Skąd miałaś adres?

- Ściągnęłam na telefon .pdf nakazu sądowego. - Skinieniem głowy wskazała resztki telefonu, które Sokołow sumiennie zgarniał do woreczka na śmieci. - Jak sam dobrze wiesz, Igor mieszka niecały kilometr od lotniska. Czas, jaki upłynął, odkąd w Vancouver dowiedziałam się o tobie, do momentu, kiedy zameldowałam się u Igora w domu: niecałe

dwie godziny.

- Po co?

Olivia uniosła brwi.

- Jak to po co?

- To wariactwo. Zepsułaś operację FBI.

- Wszystko by odkryli. Wszystko. Wyszłoby na jaw, że w tamtym mieszkaniu doszło do porwania, morderstwa... Do końca życia nie wyszedłbyś z więzienia.

- To i tak jeszcze nie jest wykluczone - zauważył Sokołow, wspomniawszy skulonego na podłodze Włada.

- W Chinach ty i ja zawarliśmy umowę. W zamian za twoją pomoc w wytropieniu Abdallaha Jonesa, mój pracodawca miał cię wyciągnąć z kłopotów. Coś poszło nie tak, nie wiem co.

Sokołow zbył Olivię wzruszeniem ramion.

- BBP zinfiltrowało siatkę tak zwanego George'a Chow.

- Ja staram się być wierna przynajmniej duchowi tej umowy. Zresztą leży w naszym interesie, to znaczy interesie MI6, żeby Amerykanie nie zawlekli cię na salę sądową i nie urządzili ci pokazowego procesu. Za dużo spraw wyszłoby na jaw.

- Chińskich spraw.

- Chińskich spraw, które miałyby wpływ na stosunki między Chinami, USA i Wielką Brytanią. Dlatego musiałam cię wyciągnąć z domu Igora.

- Dobrze się spisałaś. Bałem się... - Sokołow ugryzł się w język.

Za późno.

- Bałeś się, że jestem wariatką, która prześladowuje swojego kochasia.

- Właśnie.

Olivia westchnęła.

- Żeby to ja miała czas na takie rozrywki...

- To teraz co, wpadłaś w gówno po uszy? - zainteresował się Sokołow, potrząsając workiem ze szczątkami telefonu.

- Zostawiłam dość śladów, po których FBI prędzej czy później zorientuje się, że pojechałam do Igora i spieprzyłam im operację: lot do Seattle, wypożyczenie samochodu... Już zaczynają zadawać krępujące pytania moim przełożonym.

- Co w takim razie powinnaś zrobić?

- Cokolwiek zrobię, i tak mam przesrane, ale najlepiej byłoby przedostać się do Kanady. Władza FBI tam nie sięga, a Kanada należy do Wspólnoty Narodów, jest silnie

związana z Wielką Brytanią... Stamtąd łatwiej będzie mi załatwić bezpieczny powrót do domu.

- A więc do Kanady! Mnie też Kanada bardziej odpowiada, mam wizę z pozwoleniem na pracę. I koneksje biznesowe.

- Będziemy musieli nielegalnie przekroczyć granicę.

- Wiesz gdzie?

- Dokładnie nie, ale znam ludzi, którzy nam pomogą.

- Przemytnicy?

- Właściwie nie są przemytnikami... Po prostu nie uznają istnienia granic.

* * *

Wtopiłam, znikam.

Miała dziewczyna styl. Każdy dzień Seamusa zaczynał się ostatnio od dramatycznego esemesa albo telefonu od Olivii. Jeżeli zamierzał kontynuować tę współpracę, powinien nauczyć się chodzić wcześniej spać. Wcześniej i może nawet na trzeźwo.

O północy dotarli do Manili i zameldowali się w należącym do międzynarodowej sieci hotelu niedaleko amerykańskiej ambasady, do której Seamus wybierał się z samego rana, gdy tylko dział wizowy otworzy swoje podwoje. Tajemnicza wiadomość od Olivii posłużyła mu więc za budzik.

Przy wynajmowaniu pokoju skorzystał z karty kredytowej i fałszywej tożsamości, w którą zaopatrzone go na wypadek, gdyby musiał podróżować dyskretnie, nie obnosząc się z prawdziwym nazwiskiem. Łóżko (stojące w wydzielonej sypialni) oddał Yuxii. Sam położył się spać na podłodze przy drzwiach, z pistoletem pod poduszką. Marlon i Csongor rzucili monetą, żeby ustalić, komu dostanie się sofa. Marlon wygrał, więc Csongor wykroił sobie posłanie na podłodze w kącie.

Seamus nie miał pojęcia, jak dużą ostrożność należy zachować w takim miejscu. Trójka ludzi, z którą podróżował, wkurwiła połowę żyjących Chińczyków, a przy okazji zrobiła sobie wroga z wyklętego i działającego na własną rękę rosyjskiego mafiosa. W wolnym czasie okradli miliony graczy w *T’Rainie*, przysporzyli poważnych kłopotów wielkiej międzynarodowej korporacji (właścicielce gry), po czym z niekłamanym entuzjazmem przypuścili szturm na Al-Kaidę. Gdyby ich lokalizacja była powszechnie znana, żadne środki bezpieczeństwa nie byłyby wystarczające. Seamus bardzo lubił swój pistolet, ale nawet on na niewiele by mu się zdał, gdyby Chiny najechały Filipiny albo któryś z kumpli Abdallaha Jonesa postanowił wlecieć zatankowanym pod korek boeingiem w hotel *Best Western*. Postanowił na razie przyjąć założenie, że nikt nie wie, gdzie są, i raniutko zagonić

całą trójkę do amerykańskiej ambasady. Może tam coś wykombinują.

Zanim się położyli, porozmawiał z Csongorem - takie dyskretne męskie pogaduchy w przedpokoju (przez ten czas Marlon i Yuxia na zmianę zajmowali łazienkę). Rozmawiali o broni. Instynkt podpowiadał Seamusowi, że powinien skonfiskować pistolet Csongora, bo z jego obecności może wyniknąć więcej złego niż dobrego. Jednakże Węgier nosił go od dwóch tygodni i dwa razy już w złości wyciągnął, więc żądanie zdania broni nie byłoby chyba najlepszym pomysłem pod względem układów interpersonalnych w ich małym zespole. Poza tym Seamus miał swoje zasady i nie mógł zabrać człowiekowi gnata, z którego ten wypalił Abdallahowi Jonesowi w łeb. Spędził w towarzystwie Csongora dość czasu, żeby wyrobić sobie opinię na jego temat, i ufał mu, że zachowa umiar i dyskrecję. Obawiał się tylko sytuacji, w której w nocy obudzi ich łomotanie do drzwi, Csongor spanikuje, wyciągnie spluwę i coś spieprzy.

Dlatego o tym właśnie rozmawiali. Przedpokój był pusty, Seamus odsunął się więc od Csongora i, trzymając ręce na widoku, poprosił go, żeby wyjął pistolet i pokazał, jak się sprawdza, czy nabój jest w komorze, jak się zabezpiecza broń, jak się wkłada i wyjmuje magazynek. Csongor wykonał wszystkie polecenia bez pytań i bez wahania. Seamus pogratulował mu wprawy, pilnując się, żeby ani nie przesadzić z pochwałami, ani nie wpaść w protekcyjalny ton. Csongor nie był rozpieszczonym amerykańskim gnojkiem, który nie może się obejść bez nieustannego wsparcia.

- Zostawię włączone światło, tylko je przygaszę. Będziemy się widzieć nawzajem, gdybyśmy zbudzili się w nocy. Żadnych pomyłek, żadnego strzelania do niewyraźnych kształtów. Rozumiemy się?

- Naturalnie.

- Cieszę się - powiedział Seamus, a ponieważ łazienka wciąż była zajęta, zapytał: - Co zamierzasz?

Csongor wyglądał na potwornie zmęczonego.

- Znasz Donkiszota? - spytał w końcu, po chwili namysłu tak długiej, że Seamus prawie zasnął na stojąco.

- No, osobiście to nie, ale...

- Jasne. Ale wiesz, o co tam chodzi?

- Pewnie. Walka z wiatrakami. Dulcynea.

Seamus nie czytał wprawdzie książki, ale widział musical i pamiętał tytułową piosenkę.

- Ja też mam taki wiatrak. I taką Dulcyneę.

- Nie gadaj...
 - Serio.
 - Kto to taki, brachu? Bo przecież nie Yuxia.
- Csongor pokręcił głową.
- Nie, nie Yuxia.
 - To dobrze, bo ja nawet lubię Yuxię.
 - Zauważyłem.
 - Więc kto?

Seamus starał się podtrzymać sympatyczną rozmowę, ale interesował się Csongorem także z przyczyn zawodowych. Zanim przyjdzie mu spędzić więcej czasu na włączędze po różnych dziwnych miejscach z tym węgierskim czołgiem w ludzkiej skórze, powinien się dowiedzieć, co go kręci. Na przykład: co mu kazało szlajać się po Chinach i wdawać w strzelaniny z groźnymi terrorystami?

- Zula Forthrast.

- No, no... Nie idziesz na ławiznę, co? Zobaczmy... Mieszka w kraju, do którego trudno ci wjechać. Jest bratanicą superbogatego faceta. I zakładniczką potwornie niebezpiecznego terrorysty, który nie wiadomo gdzie ją przetrzymuje, a w dodatku cię nienawidzi, bo próbowałeś mu odstrzelić głowę.

Csongor rozłożył ręce w geście rezygnacji.

- A nie mówiłem? Wiatrak.

Seamus podszedł bliżej i po przyjacielsku klepnął go w ramię.

- Lubię takich, co walczą z wiatrakami.
- Wiesz cokolwiek?
- O tym, gdzie Jones mógł ją wywieźć?
- Mhm.

W tym miejscu Seamus pokrótce wyłożył Csongorowi brane pod uwagę teorie: oczywisty wątek południowofilipiński, który został zweryfikowany negatywnie; wciąż niepotwierdzony Gambit Północnoamerykański; oraz Skrócony GPA, czyli najnowszy pomysł Olivii, która, jak przypuszczał, właśnie w tej chwili podąża jego tropem do Prince George w Kolumbii Brytyjskiej. Te wyjaśnienia nie zadowolily Csongora, ale bez wątpienia ulżyło mu, gdy się dowiedział, że ważni ludzie w Londynie i Langley dyskutują o tej sprawie i próbują coś zdziałać.

- Jak mogę się tam dostać? - zapytał.
- Tam? To znaczy na północny zachód USA?

- Tak.

Dziwne to, ale pierwszy raz rozmawiali o tym, co zamierzają dalej robić. Do tej pory było oczywiste, że muszą dostać się do Manili, poświęcili więc temu wszystkie siły i nie wybiegali myślami do przodu. Seamusowi od początku chodziło po głowie, żeby jakoś przemyścić troje włóczęgów do Stanów (dlatego wybrał hotel blisko ambasady), ale do tej pory nie było okazji o tym pogadać.

- Masz paszport? - zapytał Csongora.

- Trudno w to uwierzyć, ale tak.

- Węgrzy nie potrzebują wiz do Stanów, prawda?

- Tak.

- W takim razie wystarczy, że wypełnisz formularz w Internecie i wyrzucisz pistolet. Wjedziesz bez problemu. Jeśli zaś chodzi o naszych chińskich przyjaciół... No, to się zapowiada interesująco.

- Marlon ma dwa miliony dolarów. Może to pomoże?

- Na pewno nie zaszkodzi.

* * *

A teraz, kurwa, była piąta rano, on nie spał, za to otaczali go ludzie śpiący tak smacznie i głęboko, jakby ktoś potraktował ich eterem. A Olivia - która powinna badać w Kanadzie swoją zwariowaną teorię SGPA - obwieszczała mu radośnie, że została zdemaskowana i znika.

Jak można dać się zdemaskować w Kanadzie? I po co się wysilać, żeby tam zniknąć? I tak nikt nie zauważy różnicy.

Nie miał nic przeciwko Wielkiej Białej Północnej Krainie, ale naprawdę w szpiegowskim świecie trudno było sobie wyobrazić coś bardziej niegroźnego niż sytuacja agenta MI6 w Kanadzie.

Odpalił laptopa, znalazł sieć bezprzewodową, włączył szyfrowanie i skontaktował się ze Stanem - kolegą po fachu i dawnym towarzyszem broni z okolic Waszyngtonu. Wprawdzie Waszyngton pomału kończył pracę, zwłaszcza że była sobota, ale Stana zawsze można było zastać w biurze o dziwnych porach. Seamus zapytał go, czy wytropienie źródła pewnego esemesa nie byłoby nadmiernym wyzwaniem dla jego intelektu, a także wyraził wątpliwość, czy Stan nie okaże się frajerem, który nawet takiej pierdoły nie umie załatwić po cichu, tylko musi obudzić połowę sieci antyterrorystycznej.

Potem wziął prysznic. Kiedy wrócił do komputera, czekała już na niego wiadomość od Stana, który dopytywał się, co taki esemes może mieć wspólnego z prawdziwym

powołaniem Seamusa, którym jest, jak wiadomo, jedzenie węży i molestowanie młodych chłopców gdzieś na południu Filipin. Dalej Stan informował, że na skutek pytania o proveniencję esemesa w Departamencie Bezpieczeństwa Wewnętrznego ogłoszono czerwony alert terrorystyczny, a prezydenta ewakuowano do schronu w Nebrasce. Po tych wstępnych uprzejmościach zdradził, że esemes odebrała antena telefonii komórkowej nieopodal Przełęczy Stevensa, położonej na północny wschód od Seattle, w granicach USA. Z rejestrów operatora wynikało, że wysyłający wiadomość telefon przemieszczał się wówczas w kierunku wschodnim. Nic więcej nie było wiadomo, ponieważ od tamtej pory sieć nie zarejestrowała już pojawienia się urządzenia. Coś jeszcze?

Ależ naturalnie, przytaknął Seamus. Zastrzegając się, że nie chciałby odrywać Stana od sadomasochistycznego gejowskiego porno, które ogląda dzięki opłaconemu przez podatnika szerokopasmowemu dostępowi do Internetu, przyznał, że interesowałyby go wszelkie informacje na temat pewnej młodej damy, która mogła ostatnio kupować bilety lotnicze lub wypożyczać samochody w stanie Waszyngton lub w kanadyjskiej Kolumbii Brytyjskiej.

Po kilku minutach otrzymał e-mail z wyjaśnieniem, że interesująca go mistrzyni tańca na rurze istotnie zostawiała za sobą szeroki na milę elektroniczny trop i że jeżeli Seamus naprawdę chce ją wytropić i odzyskać swoją skradzioną nerkę, może go zainteresować informacja, iż rzeczona sama rano przyleciała z Vancouver do Seattle, gdzie wypożyczyła granatowego chevroleta trailblazera.

W uprzejmym liściku pożegnalnym Seamus przypomniał Stanowi, żeby zapiął rozpiętkę, kiedy skończy, i obiecał postawić mu drinka, gdy tylko Stan odwiedzi półwysep Zamboanga - oczywiście pod warunkiem, że wystarczy mu odwagi, żeby zbliżyć się choć na tysiąc mil do tak egzotycznego miejsca.

Wyświetlił w Google Maps obraz Przełęczy Stevensa. Przechodziła przez nią podrzędna jednojezdniowa droga, która zniknęła z obrazu już po drugim kliknięciu w „Pomniejszenie”. Przy kolejnych kliknięciach na ekranie pojawiło się najpierw Seattle, potem Vancouver, a później także Spokane, leżące już daleko na wschodzie, przy granicy z Idaho.

Po co jej taki duży SUV? Nic innego nie mieli w wypożyczalni? Czy po prostu spodziewała się, że będzie musiała zjechać z asfaltu?

Słowa Csongora nie dawały mu spokoju. Wgryzały mu się w mózg nawet przez te kilka krótkich godzin snu.

Marlon ma dwa miliony dolarów. Może to pomoże?

Drwiąca odpowiedź (takie zawsze najszybciej przychodziły mu do głowy) brzmiałaby:

„Pewnie, że tak. Za te pieniądze może polecieć do Stanów prywatnym odrzutowcem”.

Zaczął rozmyślać o korytarzach powietrznych i formalnościach imigracyjnych. Pomysł był niedorzeczny, wart rozważenia wyłącznie w kategorii eksperymentów myślowych, ale co by się stało, gdyby tak właśnie zrobili: wynajęli samolot i polecili nim na północny zachód Stanów Zjednoczonych?

Nadal pozostałby niezalutowany drobiazg w postaci braku wiz u Yuxii i Marlona, który pokrzyżowałby im szyki, gdyby wylądowali w SeaTac, na Boeing Field albo gdziekolwiek indziej, gdzie pasażerowie przechodzą kontrolę paszportową. Czemu jednak nie mieliby wylądować gdzieś na pustkowiu i po prostu uniknąć kontroli?

Odpowiedź: radary by ich namierzyły.

Teoretycznie. Chyba żeby wymyślili sposób oszukania radarów. Co by ich miało wtedy powstrzymać - poza tym, że pilot nie poszedłby na taki układ z obawy przed więzieniem?

Tak, to był tylko taki zwariowany eksperyment myślowy. Miał jednak skutek uboczny: zmusił Seamusa do snucia takich samych rozważań, jakie dwa tygodnie wcześniej zaprzętały głowę Abdallaha Jonesa. Jones miał przed sobą taką samą mapę, śledził przebieg tych samych gór, powiększał wycinki obiecujące łatwe przekroczenie granicy. I z jakiegoś powodu Seamus nagle uwierzył - całkowicie i bez zastrzeżeń - w teorię Olivii. Jones naprawdę poleciał prosto do Ameryki Północnej. To było absolutnie wykonalne.

Nie wiadomo dlaczego (w gruncie rzeczy przyczyna nie była istotna) Jones nie doleciał do Stanów i musiał się ratować lądowaniem w Kanadzie. Gdyby wylądował w Stanach, już by zaczął działać. Jego przedłużające się milczenie sugerowało, że przekrada się w stronę granicy i szuka dogodnego miejsca do jej przekroczenia.

Jak chciał to zrobić?

- Co oglądasz? - zapytał ktoś za jego plecami.

To Csongor się obudził i spojrział tępo na włączony laptop Seamusa.

- Ja też mam swój wiatrak.

- Jonesa?

- Tak. Podejrzewam, że on jest gdzieś tutaj, na tej mapie. - Seamus miał przed oczami stumilowy południowy obszar Kolumbii Brytyjskiej, większość stanu Waszyngton oraz wyciągniętą na północ wypustkę Idaho. - I założę się, że ma ze sobą twoją Dulcyneę. Słodką królową twojego serca...

- Na co czekamy?

- Na otwarcie ambasady i...

- I co?

Seamus obiema rękami złapał się za włosy i pociągnął.

- Na jakąś wskazówkę, gdzie dokładnie Jones chce przekroczyć granicę. Ja piernicę, jak się wyjedzie poza Vancouver, to później jest już tylko dzicz, aż do Sault Ste. Marie.

I wtedy go olśniło. Może dlatego, że był naprawdę inteligentny. Może miał szczęście. A może sprawiła to mała migająca zakładka u dołu ekranu. Zakładka z napisem „*T’Rain*”.

Kliknął w nią. Okno się powiększyło. Thorakks szedł w tłumie postaci podążających za Edgodem przez jakąś pustynię. Właśnie zostali zaatakowani przez oddział konnych łuczników.

- Naprawdę zamierzasz teraz grać? - spytał z niedowierzaniem Csongor.

- Daj mi minutkę. Skopię tym gnojom tyłki, a potem odpowiem na twoje pytanie.

Seamus wszedł do akcji. Wyrwany z letargu Thorakks założył tarczę na ramię i rzucił zaklęcie ochronne. Jednego jeźdźca ściął błyskawicą, drugiego zdjął z siodła cięciem miecza.

Ale to nie Thorakks był celem ataku, lecz Edgod.

Jeźdźcy chcieli zaliczyć trafienie. Oczywiście żaden z nich nie liczył na to, że uda mu się zabić tak silną postać, ale mogli zostać sławnymi bohaterami, którzy zadali cios najstarszemu i najpotężniejszemu bohaterowi w całym *T’Rainie*.

Edgod nie reagował. Nie próbował się bronić. Wykonywał tylko autoczynności - czyli, w tym wypadku, usiłował wrócić na piechotę do odległej o tysiące mil BD.

- Gdzie jesteś? - spytał Marlon. Obudziły go odgłosy walki w *T’Rainie*. - A niby skąd mam, kurwa, wiedzieć? Nie wylogowałem się wtedy w kafejce, a wcześniej kazałem Thorakskowi iść za Edgodem. Jestem tam, dokąd zawędrował. Ile czasu minęło?

- Około dwunastu godzin - odparł Csongor.

- Dwanaście godzin temu Richard Forthrast wstał od komputera, poszedł otworzyć drzwi i już nie wrócił. Nie wylogował się. Edgod przeszedł w tryb autoczynności. Co nam to mówi?

Csongor wzruszył ramionami.

- Nic.

- Że poszedł spać? - podsunął Marlon. - Nie spał przez całą dobę.

- Szlag! - burknął Seamus. - Tego się właśnie bałem: że któryś z was wyskoczy z takim racjonalnym wytłumaczeniem.

- A ty masz jakieś nieracjonalne? - zainteresowała się Yuxia, która słodko rozespana wyłoniła się z sypialni i zdążyła usłyszeć końcówkę rozmowy.

- Owszem - przytaknął Seamus, poświęciwszy chwilę na podziwianie Yuxii.

Zmniejszył okno *T'Rainu*, przełączył się znowu na Google Maps i powiększył odcinek granicy kanadyjsko-amerykańskiej od wypustki Idaho po miasteczko Elphinstone. - Abdallah Jones właśnie przekracza granicę gdzieś w tej okolicy. A Richard Forthrast mu w tym pomaga.

* * *

Kiedy zjechali z przełęczy w gęściej zaludnione doliny po suchej stronie Gór Kaskadowych, Olivii zaczęło dokuczać przekonanie, że jadąc SUV-em z wypożyczalni, rzucają się w oczy tak, że bardziej już nie można. Nie miała zielonego pojęcia, co sobie myślą w FBI i na policji. „Wujek Binrong” powiedział tylko tyle, że FBI zadaje mu krępujące pytania - a to nie musiało jeszcze oznaczać, że rozpoznali ją, kiedy przyjechała do Igora. Na pewno mieli tam założony podsłuch, ale raczej nie kamery, mogli więc nie wiedzieć o jej wizycie. Co nie zmieniało faktu, że jej wcześniejsze zachowanie wydało im się dziwaczne i podejrzan.

Gdyby wszczęli oficjalne dochodzenie i poszli jej elektronicznym tropem, zorientowaliby się, że przejechała na drugą stronę przełęczy i gdzieś w jej okolicy wyłączyła telefon. Mieliby więc pewne pojęcie o tym, gdzie jej szukać. Mogli (choć nie musieli) wiedzieć, że jedzie pożyczonym SUV-em, tak jak mogli (choć nie musieli) wiedzieć, że jest z nią Sokołow.

Najlepiej było spodziewać się najgorszego i zachowywać w taki sposób, jakby wylądowali z Sokołowem na terytorium wroga, zdekonspirowani i ścigani przez policję. Wobec tego ich obecne zachowanie było najgłupszym z możliwych i zakrawało na cud, że nikt ich jeszcze nie zatrzymał i nie zakuł w kajdanki.

Mogli bez większego wysiłku pozbyć się samochodu i znaleźć inny środek lokomocji, ale krótkowłosa Azjatka podróżująca w towarzystwie szczupłego, ostrzyżonego na jeża blondyna nie uszłaby uwagi miejscowych patroli, gdyby centrala rozesłała stosowny okólnik z rysopisem.

- Musimy się rozdzielić - zaproponowała Olivia.

- Zgadzam się.

- Przynajmniej na jakiś czas - dodała pośpiesznie, gdy jakiś śmieszny instynkt podpowiedział jej, że pierwsze zdanie mogło zabrzmieć zbyt ostro, a nie chciała przecież zranić uczuć Sokołowa.

Zerknęła na niego. Nie wyglądał na zranionego.

- Miejsce, do którego się udamy, leży w okolicy Bourne's Ford, w stanie Idaho - mówiła dalej.

- Bourne's Ford, Idaho - powtórzył Sokołow.

- Nie mogę ci podać żadnego punktu orientacyjnego, bo nigdy tam nie byłam.

Utknęli w korku za półciężarówką z napisem WALMART.

- Znajdź najbliższego Walmarta - poradziła Sokołowowi Olivia. - Na pewno jest jakiś w promieniu trzydziestu mil. Musi być. Spotkamy się w dziale sportowym między dwunastą i pół do pierwszej. Będę tam przychodziła dzień w dzień, aż w końcu się pojawisz.

Sokołow wziął z tylnego siedzenia futerał i położył sobie na kolanach. Otworzył go, odsłaniając karabin. Wyłuskał dwa bolce i złamał broń na dwie części mierzące nie więcej niż po półtorej stopy długości. Po złożeniu kolby karabin skurczył się jeszcze bardziej i Sokołow schował go do plecaka (kupionego w sklepie Eddiego Bauera w centrum Seattle), do którego dorzucił następnie pałętające się luzem drobiazgi: trochę nabojów, dwa puste magazynki, przybory do czyszczenia.

- Naprawdę myślisz, że ci się przyda?

- To kwestia odpowiedzialności. Nie mogę go zostawić w porzuconym wozie. Zwłaszcza że są na nim odciski palców Igora. - Sokołow zasunął zamek plecaka. - Wysadzę cię na przystanku, potem zlikwiduję samochód.

- Co chcesz z nim zrobić?

- Trochę wyżej, w lesie, są takie parkingi, gdzie turyści zostawiają samochody przed wyjściem w góry na ten, no, nie wiem, jak to się nazywa...

- Na szlak.

- No właśnie. Wydaje mi się, że w takim miejscu można zostawić auto nawet na kilka dni. Legalnie. Znajdę parking z dala od drogi, samochód nie będzie się rzucał w oczy. Cofnę się, zostawię go, zejść z powrotem do drogi.

- I co dalej?

- Złapię stopa. - Sokołow się zawahał. - Wiem, to niebezpieczne, jeździć z obcymi ludźmi. Ale z karabinem w plecaku mniej niebezpieczne.

Już wcześniej mijali tabliczki przystanków autobusowych. Po kilku milach znaleźli taki, który znajdował się przy parkingu, gdzie mogli na chwilę bezpiecznie zjechać z drogi. Olivia sprawdziła rozkład i stwierdziła, że autobus do pobliskiego Wenatchee przyjedzie za dwadzieścia minut. Wróciła do SUV-a i zabębniła palcami w tylną szybę. Sokołow zdążył się już przesiąść na fotel kierowcy i teraz otworzył jej bagażnik. Olivia dźwignęła klapę i wyjęła swoją torbę.

Ich spojrzenia spotkały się w lusterku wstecznym.

- To do zobaczenia - powiedziała Olivia.

- Do zobaczenia.

Trzasnęła pokrywą bagażnika, zarzuciła torbę na ramię i poszła na przycinek. Sokołow wrzucił bieg, zawrócił i pojechał tam, skąd przyjechali, wypatrując zjazdu na leśny parking.

* * *

Ze względu na budzącą szacunek długość i zróżnicowanie listy wrogów Csongora, Marlona i Yuxii, spacer przez pięć przecznic dzielących hotel od ambasady był jednym z bardziej pobudzających wydarzeń, jakie ostatnio przytrafiły się Seamusowi. Nie dlatego, że coś naprawdę się wydarzyło (wtedy przynajmniej wiedziałby, jak zareagować), ale dlatego, że każdy z mijających ich ludzi - pieszych oraz pasażerów samochodów, *jeepneyów* i skuterów - mógł się okazać pałającym żądzą zemsty maniakiem ze spluwą w garści. Pokonałby te pięć przecznic chyba ze dwa razy szybciej, gdyby po prostu chwytem strażackim zarzucił sobie Yuxię na plecy i puścił się biegiem; Csongor i Marlon jakoś by za nim nadążyli - byli długonodzy i wysocy, najniższy z nich trzech miał sześć stóp i dwa cale wzrostu, a wszyscy zdawali sobie sprawę, że zbyt długie przebywanie na otwartym terenie nie jest w tej chwili pożądaną strategią. Inaczej rzecz się miała z Yuxią, nie dlatego, że była niska i drobna (gdyby jej się chciało, pobiegłaby najszybciej z nich wszystkich), ale dlatego, że traktowała wizytę w Manili jako fascynującą eskapadę do nowego, nieznanego świata, w którym należało nawiązać bliskie stosunki międzykulturowe z możliwie jak największą liczbą spotkanych na ulicy ludzi. Większość odbywanych przez nią konwersacji była sympatycznie zwięzła, pewnie dlatego, że rozmówcy Yuxii co rusz zerkali niepewnie na Csongora i Seamusa, którzy szli po obu jej stronach, trzymali ręce w kieszeniach i z niepokojącą czujnością przepatrywali okolicę. Marlon za to nieustannie ponaglał dziewczynę, mamrocząc do niej po mandaryńsku i wchodząc w rolę jej roztrzęsionego i poirytowanego chłopaka.

Ambasada była olbrzymia, prawdziwe miasto w mieście, a ze względu na znaczną liczbę aktywnych komórek terrorystycznych na Filipinach nie dało się do niej, ot, tak, po prostu wejść. Seamus bywał w niej na tyle często, że większość strażników (rekrutujących się z piechoty morskiej) znała go z widzenia, ale troje jego przyjaciół musiało się - tak jak wszyscy - wylegitymować i przejść przez wykrywacze metalu. Seamus wcisnął ich do stróżówki, w której przyjemnie klimatyzowanym wnętrzu poczekali na oficera dyżurnego (co trwało całe trzydzieści sekund), po czym wyłuszczył mu niecodzienny charakter swojej wizyty. Csongor został sprawnie - aczkolwiek uprzejmie - rozbrojony, wszyscy przeszli przez bramki i poddali się rewizji. Dopiero wtedy Seamusowi pozwolono wprowadzić gości na teren ambasady, rozpościerającej się na olbrzymim terenie wydartym morzu na skraju Zatoki

Manilskiej. Zarówno Amerykanie, jak i Japończycy - chociaż w różnych okresach - rządili stąd Filipinami i prowadzili poważne wojny. Na środku znajdował się stary gmach kancelarii, wtłoczony między dwa nowsze budynki mieszczące tysiące amerykańskich i filipińskich pracowników ambasady. Mnóstwo przestrzeni przeznaczono na wszelkie sprawy związane z wizami. Seamus miał nadzieję, że uda mu się jeszcze dzisiaj doprowadzić do spotkania Marlona i Yuxii z kimś ważnym z sekcji wizowej.

Najpierw jednak musiał ich namówić do odwiedzenia Stanów Zjednoczonych. Był z natury szowinistą i uważał, że każdy nie-Amerykanin przy zdrowych zmysłach wprost marzy o tym, żeby pojechać do USA. Ponieważ jednak pół dorosłego życia spędził w egzotycznych zakątkach świata, siłą rzeczy nabył odrobinę talentów dyplomatycznych.

Stanął w cieniu dużego drzewa rosnącego przed kancelarią i zebrał pozostałą trójkę w kręgu wokół siebie.

- Ja lecę do Ameryki, gdy tylko znajdzie się dla mnie miejsce w samolocie - zaczął. - Wybieram się tam, ponieważ moim zdaniem tam właśnie znajduje się nasz dobry znajomy Abdallah Jones, który prawdopodobnie przetrzymuje Zulę jako zakładniczkę. Csongor leci ze mną. Ma łatwo: wystarczy, że wypełni dostępny w sieci formularz, żeby go wpuścili do Stanów. Wy dwoje - zwrócił się do Yuxii i Marlona - możecie zrobić, co chcecie, ale czuję się zobowiązany przypomnieć wam, że przebywacie na Filipinach nielegalnie. Obywatele Chin powinni mieć filipińską wizę, a ja idę o zakład, że kradnąc terrorystom kuter i pozbywając się jego szypra, nie myśleliście o wizach. Nie radziłbym wam wracać do Chin. Przeciwnie, powinniście udać się do kraju, który nie jest Chinami, i to najlepiej zaopatrzeni w dokumenty, które uniemożliwią wasze natychmiastowe aresztowanie i deportację. A to właśnie was czeka, jeśli wyjdziecie tam - nieokreślonym machnięciem ręki wskazał okolice bulwaru Roxas - i ktoś was przyuważy.

Ostatnie słowa Seamus skierował do Yuxii, która przez ostatnie pół godziny robiła dosłownie wszystko, żeby rzucać się w oczy. Zrozumiała aluzję i lekko się nadała, co było do niej zupełnie niepodobne i prawie zabiło Seamusa.

Ale teraz przynajmniej oboje z Marlonem słuchali go z uwagą. Sam pomysł wycieczki do Stanów Zjednoczonych mógł im się podobać albo nie, ale Seamus najpierw zaintrygował ich wzmianką o Jonesie i Zuli, a potem śmiertelnie przeraził, wykładając kawę na łąkę w kwestiach formalnych.

- Być może, uda mi się jakoś temu zaradzić - dodał.

Nabożne skupienie.

- Domyślam się, że nie macie paszportów.

Marlon pokręcił głową.

- Dostajemy paszporty dopiero kiedy chcemy wyjechać z Chin - wyjaśniła Yuxia. - Ja nigdy nie wyjeżdżałam.

- Aż do teraz. - Seamus rozłożył ręce, przypominając Yuxii, że znajduje się w Manili. Uśmiechnęła się. - Ale mniejsza z tym. Brak paszportu raczej nie ułatwi wam uzyskania amerykańskiej wizy. - Próbował w tym miejscu zastosować cierpkie niedomówienie, wątpił jednak, by Yuxia i Marlon docenili jego poczucie humoru. - Znam jednak ludzi tu, w ambasadzie, którzy mogą to załatwić.

* * *

- Pojechało cię? - zdziwił się kilka minut później rezydent CIA.

Marlon, Yuxia i Csongor zostali w kawiarni we względnie ogólnodostępnym sektorze ambasady. Seamus z rezydentem - Amerykaninem filipińskiego pochodzenia imieniem Ferdinand („mów mi Freddie”) - rozmawiali w innej części budynku, zgoła nieogólnodostępnej.

- Freddie... Zdajesz sobie sprawę, że ten pokój jest tak wyciszony i zabezpieczony, że mógłbym cię tu teraz udusić i nikt by się o tym nie dowiedział.

- Nikt poza dwójką komandosów z pistoletami maszynowymi, którzy stoją za drzwiami.

- To moi kumple od kieliszka.

- Bez żartów, Seamus, zastanów się, o co mnie prosisz. Mam wydrukować dwa fałszywe chińskie paszporty?

- Łatwiej byłoby wydrukować dwa prawdziwe amerykańskie.

Freddie całkiem poważnie rozważył tę ewentualność.

- Moglibyśmy powiedzieć, że są obywatelami amerykańskimi, którym w Manili skradziono paszporty. Tylko że taka bzdura wyjdzie na jaw, jeśli komuś w Departamencie Stanu zechce się ruszyć tyłek i zajrzeć do akt.

- Spróbuj mnie zrozumieć, Freddie. W wojnie z terroryzmem zdarzają się najdziwniejsze sytuacje. Cały czas robimy rzeczy, które na dobrą sprawę są sprzeczne z prawem. Kurczę, sama moja obecność tutaj jest naruszeniem suwerenności Filipin! Twoja zresztą też.

- Więc chcesz się podczepić pod wojnę z terroryzmem?

- Otóż to. Stary, daj spokój, przecież od początku o to mi chodziło.

Freddie spojrzał na Seamusa wyczekująco. Kiedy Seamus wracał później myślami do tej chwili, wiedział, że powinien był dostrzec pułapkę.

- Wiem, gdzie jest Jones - powiedział. - Jestem w stanie zawęzić obszar poszukiwań do dziesięciu mil kwadratowych. Albo dziesięciu kilometrów kwadratowych, dla wygody naszych kanadyjskich przyjaciół.

- Ma to może przypadkiem jakiś związek z twoją współpracą z... - tu Freddie wziął do ręki teczkę opatrzoną stempelkiem „Tajne” - ...z tą Brytyjką? Olivią Halifax-Lin?

- Mówisz o tej dzielnej i bystrej Brytyjce, która w pojedynkę wytropiła Jonesa w Xiamen i przez długie miesiące gromadziła bezcenne informacje wywiadowcze na temat działań prowadzonej przez niego komórki terrorystycznej? Bo jeśli tak, to chyba jest to ta sama Olivia.

- Może powinna częściej myśleć o urlopie? Może ta praca jednak jej nie leży? Wiesz, chodzi mi o styl życia...

- Do czego zmierzasz?

- Coś jej wczoraj odpieprzyło. Porzuciła poważną i drogą operację antyterrorystyczną FBI, po prostu wyszła z pokoju bez słowa wyjaśnienia. Trysnęła do Vancouver, wcale się z tym zresztą nie kryjąc. Nawet do ciebie się przecież odezwała, prawda? Tam zameldowała się w hotelu i zaczęła tą swoją teorią zdręzczać jakiegoś Bogu ducha winnego facecika z Królewskiej Konnej.

- Kiedy mówisz o „tej jej teoryjce”, masz na myśli rewolucyjną teorię, nad którą we dwoje pracowaliśmy?

- Ach, więc jednak z nią współpracowałeś.

- Mów dalej.

- Powiedziała, że jedzie do Prince George, jakiejś dziury zabitej dechami w Kolumbii Brytyjskiej. Kupiła bilet lotniczy, odprawiła się, ale do samolotu już nie wsiadła. Za gotówkę kupiła nowy bilet, tym razem do Seattle, i wróciła do Stanów, w dalszym ciągu nie zwracając sobie głowy żadnymi wyjaśnieniami. Nie raczyła nawet zadzwonić do FBI. Niedługo po tym, jak jej samolot wylądował w SeaTac, doszło do strzelaniny w odległym o niecałą milę domu pełnym Rosjan, obserwowanych przez FBI kryminalnych plotek. Cała inwigilacja poszła w diabły. Na dodatek nikt nie wie, gdzie podziała się dziewczyna. Zniknął również jeden z facetów, którzy byli pod obserwacją: rosyjski konsultant do spraw bezpieczeństwa, były komandos, jakoś powiązany z wydarzeniami w Xiamen.

- Sporo ostatnio rozmawiasz z FBI...

Freddie nie odpowiedział. Podniósł tylko wzrok znad papierów i spojrzał na Seamusa sponad okularów.

- Hm? - mruknął pytająco.

- Co na to nasi agenci?

- Czemu pytasz?

- Mają czasem informacje, których FBI mieć nie może. I nie lubią się nimi dzielić.

- Ta Olivia... Wysłała ci dziś rano esemesa, prawda?

Seamus parsknął śmiechem.

- Wiedziałem! - Usiadł prosto i przysunął się do stołu. - FBI i gliny nic nie wiedzą, nie mają pojęcia, gdzie się mogła podziać, ale wywiad namierzył jej telefon! Przynajmniej coś wiedzą.

- Z grubsza. Z każdą minutą ta wiedza im się rozplywa. W każdym razie podejrzewają, że chce się przekraść przez granicę do Kanady, gdzie będzie jej o niebo łatwiej wyprostować zakręcone sprawy wizowe i wrócić do domu w jednym kawałku.

- I tego właśnie chcieliby nasi chłopcy-wywiadowcy. Dlatego nikt jej nie sypnie.

- Jeżeli nie straci głowy, to najdalej za dwa tygodnie będzie w Londynie, gdzie z radością powita perspektywę czterech dekad siedzenia za biurkiem.

- No dobrze, pożartowaliśmy sobie, ale tak naprawdę to chciałbym porozmawiać o Jonesie.

- Oczywiście. Znasz jego miejsce pobytu. Odkryłeś je, grając przez całą noc na komputerze w prowincjonalnej kafejce internetowej, której głównymi klientami są australijscy seksturyści.

- W skrócie... tak właśnie było.

- Przełomowym momentem, który umożliwił ci poskładanie klocków w całość, była rozmowa telefoniczna z Olivią Halifax-Lin, która miała miejsce podczas jej poprzedniego nagłego zniknięcia z radaru FBI.

- Nie mam gotowej prezentacji w PowerPoincie, jeśli tego właśnie oczekujesz - zastrzegł się Seamus.

- A gdybyś miał, byłoby w niej imię Olivii?

- Tylko gdyby mogło być użyteczne.

- To było pytanie retoryczne. Wszyscy wiedzą, że to był jej pomysł.

- Domyślam się, że to źle?

- Jeżeli nie masz mocnych dowodów wskazujących miejsce pobytu Jonesa, mamy do czynienia z opartą na domysłach hipotezą. Rozważaną, choć nigdy nie przedstawioną na piśmie, przez agenta, którego reputacja gorsza być już nie może.

- Więc jednak chodzi o PowerPointa.

Freddie udał, że nie słyszy.

- Jesteś żywą ilustracją Zasady Petera - powiedział.

Seamus z udawaną zgrozą spojrział w dół, w kierunku swoich genitaliów.

- Nie Piotrusia Pana, tylko Petera - wyjaśnił Freddie. - Zresztą, nieważne. Chodzi o to, że awansowałeś w hierarchii najwyżej, jak to możliwe, bez podejmowania odpowiedzialności.

Seamus na wpół zerwał się z krzesła. Freddie powstrzymał go gestem.

- Pierwszy zaświadczę, że kiedy chodzi o twoich podwładnych, jesteś najbardziej odpowiedzialnym człowiekiem w dziejach świata - uspokoił go. - Gdybym miał wrócić do czynnej służby, chciałbym mieć cię za przełożonego. Sęk w tym, że powyżej poziomu, który osiągnąłeś, musisz umieć uzasadnić swoje działania i wydatki stosowną dokumentacją, a także angażować się w różnego rodzaju polityczne podchody, żeby mieć pewność, że właściwi ludzie obejrzą twoje powerpointowe prezentacje we właściwym momencie. W przypadku teorii, którą do spółki z Olivią wysmażyliście, bardzo dużo ci do tego etapu brakuje. Dlatego nikt nie będzie wystawiał się na strzał, udzielając wam poparcia.

- Zrozum, Freddie, nawet gdybym był takim facetem, jak mówisz, to nie mamy czasu! Trzeba działać natychmiast!

- Daj mi coś.

- Ale ja nic nie mam!

- Z mojego punktu widzenia twoja prośba to po prostu koszmar: miałbym wydać fałszywe paszporty dwójce chińskich dzieciaków. Co ty właściwie próbujesz w ten sposób ugrać, Seamus? Chcesz z nich zrobić obywateli USA? Objąć programem ochrony świadków?

- Ja po prostu muszę tam polecieć i sprawdzić, jak się sprawy mają.

- Nie zatrzymuję cię.

- Wiem, ale te dzieciaki są ze mną i nie mogę ich tutaj zostawić.

- Słucham uważnie.

- Mogę w każdej chwili złapać taksówkę i pojechać na lotnisko, a wtedy oni, jeśli mają choć odrobinę oleju w głowie, poproszą was o azyl. I to dopiero będzie koszmar.

- Grozisz mi?

- Nie, Freddie. Ja tylko mówię tak: oni już tu są i nie zamierzam odsyłać ich do Chin. I albo odlecą razem ze mną, albo rozbiją namiot na trawniku ambasady i wystąpią o azyl. Musisz wiedzieć, że są naprawdę świetnie obeznani z Internetem.

Freddie zmartwiało. Zaczynał się pocić.

- Gdybym chciał ci grozić, uderzyłbym tam, gdzie boli - dodał Seamus.

- Czyli gdzie?

- Abdallah Jones zabił ci paru ludzi.

- To byli twoi ludzie.

- Jestem twoim podwładnym, ty wydajesz rozkazy, więc nazwijmy ich twoimi ludźmi.

A teraz ja wiem, gdzie jest Jones. Mógłbym go dorwać, gdyby nie te sieroty...

- Jakie sieroty?

- Sieroty. Łażą za mną dwie chińskie sieroty i jeden trochę mniej sierotowaty Węgier.

Uniemożliwiają mi dopadnięcie Jonesa. To będzie twoja wina.

- Niepotrzebnie komplikujesz sprawę - orzekł Freddie po chwili zastanowienia. - Chciałbyś wpakować ich jakoś do samolotu w Manili, a potem wysadzić w Stanach w taki sposób, żeby służby imigracyjne ich nie przechwyciły.

- Tak, na początek to by wystarczyło. Szczegóły dogramy później.

- Szkoda, że nie możemy ich wcisnąć na jakiś wojskowy lot.

- Dlaczego szkoda?

- Wylecieliby z bazy tutaj i wylądowali w bazie tam. Wojskowi też sprawdzają papiery, ale o wiele łatwiej byłoby to ominąć.

- Jak to, ominąć?

- Gdybym chciał, żeby straż graniczna w takim miejscu jak SeaTac przymknęła oko na przemyt dwojga Chińczyków bez dokumentów, musiałbym w to wciągnąć chyba ze stu ludzi z piętnastu różnych służb i agencji. Zastanawialiby się, wahali, zgłaszali sprzeciw...

- Myślałem, że to twoja specjalność. Prezentacje w PowerPointcie. Wypracowywanie kompromisów.

- Pod warunkiem, że mam jakąś podkładkę i dużo czasu. Z wojskowym lotem wszystko byłoby prostsze.

- Ile by kosztował prywatny czarter?

- Skąd mam wiedzieć? Czy ja wyglądam na człowieka, który lata prywatnymi odrzutowcami?

- Ty nie. Ale Marlon tak.

- Kto to jest Marlon?

DZIEŃ 20

Po tym, jak trzon ekipy wyruszył na południe, znacznie zmniejszyła się liczba namiotów (zostały dwa, nie licząc jednoosobowej budki Zuli), wyraźnie zaś powiększyło się poobozowe śmietnisko. Większość zakupów trafiała do obozu prosto ze sklepów i Walmartów, w oryginalnych opakowaniach. Podczas porannego szaleństwa pakowania dżihadyści powywlekali wszystko z torebek i pudełek, które następnie po prostu rzucili na ziemię. Wiatr poroznosił je po okolicy, miotając nimi do czasu, aż uwięzły gdzieś w gałęziach drzew i krzewów. Zula zastanawiała się, czy fakt, że czuje się urażona tą profanacją środowiska naturalnego, świadczy o jej głupocie, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę dalsze zamiary dżihadystów i liczbę zabitych już przez nich ludzi.

Ershut i Jahandar przesпали większość popołudnia. Zula nie umiała powiedzieć, czy wynika to z wczesnej pobudki, czy raczej z planów nocnego wartowania.

Ona przez ten czas pokroiła baraninę na kebaby. Sayed spędzał czas na modlitwach i czytaniu, a Zakir wyciągnął się na karimacie w plamie słońca i albo zerkał spod kapelusza na Zulę, albo chrapał. Kiedy chrapał, Zula zebrała okrawki tłuszczu i kości, dorzuciła parę kawałków prawdziwego krwistego mięsa i popakowała je w papierowe torby po zakupach, które następnie zrzuciła w dół stoku, w stronę namiotów. W każdej porządnej studenckiej bazie namiotowej jej postępowanie skończyłoby się dochodzeniem na skalę porównywalną z procesami czarownic w Salem, tu jednak, biorąc pod uwagę zamiłowanie dżihadystów do śmiecenia, nikt nie zauważył dodatkowych paru toreb - nikt poza dzikimi zwierzętami, naturalnie. W nocy niedźwiedzie dały im spokój, ale ponieważ było to rzadko używane obozowisko, zwierzyna nie miała powodu go odwiedzać, dopóki nie nauczy się go kojarzyć z obecnością pożywienia.

Przez cały czas prowadziła w głowie debatę z samą sobą, czy to na pewno dobry pomysł. Jeżeli nie zabiją jej przed zachodem słońca, będzie miała szansę im uciec nawet bez pomocy miejscowej społeczności *Ursus arctos horribilis*. Nie zamierzała siedzieć przez pół nocy z kluczykiem do kłódki w rozpalonej dłoni, czekając, aż niedźwiedzie przyjdą, zanim rzuci się do ucieczki. Jeżeli faktycznie się zjawią, z równym powodzeniem obudzą jej prześladowców, jak ukryją jej ucieczkę; gdyby zaś miały ochotę zabić i zjeść człowieka, to przecież równie dobrze wybór może paść na nią. Mimo wszystko postanowiła rozrzucić

mięso, doszła bowiem do wniosku, że w ten sposób najlepiej okaże pogardę porywaczom.

Popołudnie wlokło się w nieskończoność. Śpiący obudzili się, gdy słońce opadło dosłownie na szerokość dłoni ponad grań Gór Selkirka i zaczęli się kręcić w pobliżu kuchni w sposób typowy dla ludzi głodnych, którzy oczekują od innych ludzi, że ci zrobią im coś do jedzenia. Zula pokazała nadziane na rożny i gotowe do pieczenia kebaby i dała do zrozumienia, że będą smaczniejsze po przyrządzeniu nad żarem z ogniska niż nad fioletowym płomieniem kuchenki turystycznej. Ershut i Sayed ruszyli w las na poszukiwanie drewna na opał.

Zdążyła się już przyzwyczaić do ich ciężkich kroków i trzasku gałązek, toteż chrzęst deptanych igieł sosnowych i szurgot rozgarnianych krzewów z początku wcale jej nie zaniepokoił. Kiedy zaś w końcu odgłosy te przebiły się do jej świadomości, natychmiast sobie uprzytomniła, że słyszy je już od dłuższego czasu.

Dlaczego Ershut tak się skrada? - zastanawiała się już wcześniej. Przecież w ten sposób będzie zbierał opał do rana.

I wtedy zobaczyła Ershuta wchodzącego do obozowiska z przeciwnej strony, z obfitym naręczem drewna.

Zatem to nie był on, tylko Sayed? Ale nie, Sayed wynurzył się z gąszczu dwa kroki za Ershutem.

Czyli to obleśny Zakir skradał się do niej przez las. Tylko po co? Przecież tkwiła przykuta do drzewa. Drugi raz nie musieli jej łapać.

Czyżby słyszała Jahandara, jak szuka sobie nowego stanowiska snajperskiego? Nie, widziała przecież, jak z pustym bukłakiem w ręce oddalał się w stronę rzeki.

Więc jednak Zakir.

Kiedy dwie minuty później układała świeże drewno na wypalonych niemal do cna resztkach ogniska, usłyszała głośny zgrzyt suwaka. Odwróciwszy się, zobaczyła gramolącego się z namiotu Zakira, który przebrał się właśnie w cieplejsze ciuchy. Szykował się na wieczorne ochłodzenie. Słońce wyglądało jak czerwony bąbel przyklejony do Gór Selkirka.

Kto w takim razie przemykał po lesie? Kto - albo co?

Niezmiernie podekscytowana wyobraziła sobie, że ktoś przybył ją uwolnić. Pewnie snajper z Kanadyjskiej Królewskiej Policji Konnej robił rekonesans przed zakrojoną na ogromną skalę akcją ratunkową z użyciem śmigłowców. Pielęgnując tę iluzję, celowo unikała spoglądania w las i okazywania mu przesadnego zainteresowania.

Wkrótce jednak - kiedy płomień najpierw wystrzelił wysoko, a potem przygasł, piętrząc żar wśród zrzuconych na stertę polan - pokręciła głową, zawstydzona, że dała się

ponieść tak naiwnym wyobrażeniom. Nikt jej nie uratuje. Sama musi to zrobić. Może to i lepiej? Uciekając nocą przez las, przynajmniej będzie miała jakieś szanse; gdyby zaś wokół niej wybuchła strzelanina, to - przykuta do drzewa - długo by nie pożyła. I, co gorsza, nie byłaby w stanie zmienić swojej sytuacji.

Całe te dywagacje nijak nie odpowiadały na jej pytanie.

Dyskretnie zerknęła w stronę lasu. Żaden z dżihadystów tego nie zauważył. Nie przejmowali się nią.

Za długo zwlekała. Słońce zniknęło za górami i miało się wrażenie, że ognisko daje więcej światła niż niebo. Zula była jednak cierpliwa. Stała plecami do ogniska i zachodu słońca i czekała, aż oczy przyzwyczają się do leśnego mroku.

Niczego nie zobaczyła. Nie było niczego do zobaczenia.

Nie mogła się jednak uspokoić. Po wszystkim, co wycierpiała z rąk ludzi, wydawało się niemożliwe, żeby świat natury był w stanie przejąć ją zgrozą, a jednak coś się tam czaiło, i ona tego czegoś się bała. Nie w sensie intelektualnym, jak „Mam nadzieję, że Jones nie kazał im mnie zabić”, ale na innym, znacznie głębszym poziomie.

Czuła mrowienie na potylicy. Coś podobnego przydarzyło się jej dosłownie kilka razy w życiu. Włoski na karku jeżyły jej się jak sierść u psa, który na widok czegoś, co jest dostatecznie duże, żeby go zabić, sam chce się wydać większy.

Jakkolwiek długo wpatrywałaby się w ciemność, niczego w niej nie wypatrzyła. W końcu postanowiła dać sobie spokój i zająć się gotowaniem. Okręciła się na pięcie w stronę ogniska.

Kątem oka dostrzegła dwie czerwone iskierki.

Na nowo przyswajała sobie prastare nauki: ruch łatwiej rejestruje się na obrzeżach pola widzenia niż w jego centrum. Odwróciła się w stronę lasu, kręcąc głową jak wilk łowiący zapach. I znów mignęły jej te same dwie iskierki.

W końcu je namierzyła. Dwa świecące czerwone punkciki.

Przedtem je przeoczyła, ponieważ nie znajdowały się na poziomie gruntu, gdzie szukała, lecz wysoko na drzewie.

Prawie zdołała sobie wmówić, że to po prostu krople żywicy, w których odbija się światło ogniska, gdy nagle mrugnęły: na ułamek sekundy zgasły i znów się pojawiły.

* * *

Na dobre czy na złe, strategia „zwać zwierzęta do obozu” zaowocowała kilka godzin później. Zula nie wiedziała, która jest godzina (przydałby się jej zegarek), ale niebo na wschodzie jeszcze nie zaczęło się rozjaśniać. Mogło być koło trzeciej.

Zdrzemnęła się. Obudził ją szelest przy namiotach dżihadystów.

Otworzyła kłódkę i złożyła ciche, uroczyste ślubowanie, że nie da jej sobie więcej założyć.

Mogła wreszcie pozbyć się przynajmniej części wkładanych przez głowę polarów, których nie zdejmowała, odkąd dżihadyści ją skuli. Na wierzchu nosiła zwykle bluzy i kurtki zapinane na suwak, które mogła wkładać i zdejmować bez odpinania łańcucha, ale dziś zdjęła je już wcześniej, kładąc się spać. Rozebrała się do granatowych kalesonów i bieliźnianej koszulki z długim rękawem. Pękate polary upchnęła w śpiworze w taki sposób, żeby na pierwszy rzut oka wydawało się, że nadal w nim leży. Wcześniej, za dnia, przyszykowała również głowę tego manekina: wypchała igliwem foliową torbę na zakupy i naciągnęła na nią wełnianą czapkę. Włożyła ją teraz do kaptura bluzy, związała ściągające go troczki, na wierzch naciągnęła śpiwór i zaaranżowała wewnątrz namiotu w taki sposób, żeby przy pobieżnym błysnięciu latarką wydawało się, że śpi skulona w śpiworze, naciągnąwszy sobie jego skraj na twarz. Pod śpiwór wcisnęła także końcówkę łańcucha.

Już wcześniej dopilnowała tego, żeby namiot był otwarty. W tej chwili wystarczyło jej minimalnie rozchylić jego poły, żeby mogła wyrzeć na zewnątrz.

W świetle księżyca dostrzegła co najmniej dwa stworzenia bobrujące wśród podrzuconych przez nią resztek. Hałasowały jak małe niedźwiadki, teraz jednak rozpoznała w nich szopy pracze.

Poniewczasie zrozumiała, że wyłożenie jedzenia było błędem. Mięso przywabiło zwierzęta dostatecznie duże, żeby obudziły dżihadystów, ale przy tym za małe, żeby mogły dla nich stanowić zagrożenie.

Ona jednak nie mogła w nieskończoność czaić się w kucki przy wejściu do namiotu; prędzej czy później ktoś się obudzi. Wyszła. W wilgotnym powietrzu ziąb przeszył ją do szpiku kości, ale wiedziała, że już niedługo będzie się pocić z gorąca. Nie bacząc na zimno, poszła prościutko, najkrótszą drogą, do namiotu Zakira i Sayeda. Buty turystyczne tego drugiego - nówki z Walmarta - stały na baczność przed namiotem. Zgarnęła je szybkim ruchem ręki (ćwiczyła go w myślach przez całą noc), skręciła w miejscu i ruszyła w stronę namiotu Ershuta i Jahandara. Zamierzała im także zabrać buty i wyrzucić w lesie. Zakirem się nie martwiła, ale gdyby ci dwaj zostali na bosaka, bardzo by jej to pomogło.

Coś przemknęło dwadzieścia stóp od niej - ciemnoszara plama poruszająca się na tle ciemnoszarego nieba. Wybuchło zamieszanie i dał się słyszeć wrzask, jakby cofający samochód rozjechał dziecko. Zula zamarła. Nie był to może najmądrzejszy pomysł, ale jej umysł nie funkcjonował teraz na poziomie pomysłów.

Szamotanina zatrzęsa ściankami namiotu Ershuta i Jahandara. Coś potoczyło się po ziemi, patyki i śmieci pofrunęły na wszystkie strony.

Szop został zaatakowany przez inne, większe zwierzę, które na niego polowało.

Zula puściła się biegiem.

* * *

Nie dowiedziała się (i nieszczególnie ją to interesowało), jak potoczyły się wydarzenia w obozowisku. Niemożliwe, żeby Ershut i Jahandar dalej spali. Wygramoliwszy się z namiotu z bronią w rękach, ujrzeli scenę walki na śmierć i życie jakby żywcem wyjętą z filmu przyrodniczego - albo tylko jej krwawe pokłosie. Nie wiedzieli, że sto metrów od nich, w lesie, Zula siedzi na ziemi i wciąga na nogi buty Sayeda. Adrenalina tętniła im w żyłach. Mogli wybuchnąć śmiechem, gdy dotarło do nich, że sprawcami zamieszania są buszujące po nocy zwierzęta. Ich śmiech mógł z kolei obudzić Zakira i Sayeda (jeśli jeszcze się nie obudzili). Może Sayed wyrzwał z namiotu i zauważył brak butów. Może Ershut zajrzał do namiotu Zuli, poświecił latarką i przejrzał jej podstęp.

A może nie.

Wiedziała tylko, że nie dalej niż kwadrans po jej ucieczce latarki zatańczyły na deskach drewnianej lawiny za jej plecami. Kierowały się w stronę szlaku, którym pędziła na złamanie karku.

Na ich widok jeszcze przyśpieszyła.

Dopadła ją fala mdłości; musiała się zatrzymać i zwymiotować. Ręce ją mrowiły. Przyswajała za mało tlenu, biegła anaerobowo. Nie miała innego wyjścia, jak następne dwie mile pokonać w spokojniejszym tempie. Z tyłu, mniej więcej w odległości mili, widziała rytmicznie podskakujące światło latarki, której posiadacz biegł po szlaku. Mogła sobie wyrobić pewne pojęcie o tym, ile będzie miała czasu, żeby po dotarciu do *Schlossu* wezwać policję - na razie nie wyglądało to najgorzej. Była jeszcze roztrzęsiona po wymiotach, ale poczuła się lepiej, gdy serce i płuca zaczynały pomału odrabiać dług tlenowy. Przyśpieszała więc systematycznie, aż do osiągnięcia największej prędkości, jaką miała szansę - i nadzieję - utrzymać.

W jej głowie odległość do *Schlossu* rosła z każdą godziną, gdy tkwiła przykuta do drzewa, zdziwiła się więc, gdy w blasku księżyca nagle mignął jej skrawek dachu. Zaskakująco szybko pokonała ten dystans. Kiedy zaryzykowała zwolnienie tempa i rzut oka wstecz, ujrzała goniące ją światełko: może nieco się zbliżyło, ale nadal dzieliło ich dobre kilka minut.

Na wszelki wypadek nacisnęła klamkę w drzwiach frontowych, ale wujek

najwidoczniej zamknął je, wychodząc. Nic nie szkodzi. Już wcześniej w myślach obejrzała gmach ze wszystkich stron i postanowiła, którądy włamie się do środka. Obiegła *Schloss* od strony tamy. Była to najmniej widokowa część posesji, dlatego tu właśnie znalazły się zabudowania gospodarcze i parkingi. W pokojach, których okna wychodziły na tamę, mieściły się głównie biura i sale konferencyjne.

Podniosła z ziemi otoczek wielkości melona, element ozdobnej aranżacji ogródka. Trzymając go oburącz, podbiegła w stronę okna jednego z biur i rzuciła kamieniem w szybę. Szkło rozprysnęło się z trzaskiem, który musiał być słyszalny aż w Elphinstone. Stojąc na jednej nodze, drugą powyłamywała sterczące z framugi ostre odłamki, po czym sięgnęła do środka i otworzyła okno.

Po chwili była już w biurze. Podniosła słuchawkę telefonu... i niczego nie usłyszała.

Światła też nie było.

Nie było prądu, telefonów ani Internetu.

Jones musiał poprzecinać kable, zanim złożył wizytę wujkowi Richardowi.

Naszła ją nieprzeparta chęć wybuchnięcia płaczem, ale odwróciła się do niej plecami, jeśli można tak powiedzieć, unikając jej jak niemile widzianego gościa na imprezie, i spróbowała zebrać myśli.

Cały jej plan opierał się na założeniu, że uda jej się zadzwonić ze *Schlossu*. Albo przynajmniej włączyć alarm. Syrena, migające światła - tego właśnie było jej trzeba, żeby zwrócić uwagę kogoś w niższych partiach doliny. Najlepiej Cheta, który miał dom pięć mil od zameczku. W cichą noc mógłby usłyszeć alarm z takiej odległości.

Ze stojącego na prawym brzegu Blue Fork *Schlossu* nie dało się zejść w dół doliny tą samą stroną strumienia, ponieważ wyrastająca nieco niżej góra Baron's Rock opadała w nurt pionową kamienną ścianą, wściekle smaganą lodowatą wodą. Zula musiałaby przejść po tamie na lewy brzeg, skąd miałyby jeszcze około dwudziestu mil kiepskiej drogi do Elphinstone. Jahandar (była praktycznie pewna, że to on ją ściga) zmniejszył dzielący ich dystans, a w dodatku był od niej szybszy. Gdyby po prostu biegła drogą, mógłby ją albo zastrzelić, albo dogonić i zadźgać nożem.

Musiałaby skrócić z drogi i ukryć się wśród drzew.

Stałyby się wówczas dwie rzeczy. Po pierwsze, dżihadyści przejęliby całkowitą kontrolę nad drogą i Zula, chcąc dotrzeć do miasta, musiałaby najpierw wspiąć się na wyrastające nad strumieniem zalesione wzgórza, a następnie przedzierać się przez gąszcz aż do Elphinstone. Po drugie, szybko zaczęłaby odczuwać głód i pragnienie, ponieważ, rzucając się do ucieczki, postawiła wszystko na jedną kartę: nie zabrała ani ciepłego ubrania, ani

żadnych zapasów.

Jedyne, co jej przyszło do głowy w kwestii zwrócenia na siebie uwagi, to podpalenie zamku i czekanie, aż ktoś zauważy ogień i dym.

To zaś mogło poskutkować, lecz wcale nie musiało. W dodatku wymagałoby czasu, a ona nie mogła czekać na ratunek w płonącym budynku. Znowu musiałyby ukryć się w lesie i tam przetrwać co najmniej kilka godzin.

Zostało jej dosłownie parę minut, żeby wyekwipować się na wędrowną przez dzikie góry, która nie wiadomo ile miała potrwać.

Na razie nic nie widziała. Do telefonu dobrnęła prawie po omacku, wykorzystując słabe odbłaski poświaty księżyca. Jedynym źródłem światła w tym pomieszczeniu była czerwona dioda, ulokowana przy ścianie, nisko, na wysokości kolan.

Jej widok przywołał niewyraźne wspomnienie: *Schloss* był wyposażony w akumulatorowe latarki awaryjne, po jednej w każdym pomieszczeniu, na co dzień wetknięte w gniazdko i ładujące się bez przerwy, przynajmniej dopóki nie odcięto prądu.

Narzuciwszy sobie spokojny, ostrożny krok, żeby nie potknąć się o coś i nie wyłożyć na tłuczonym szkłe, przeszła na drugą stronę pokoju, pomacała w dół ściany i znalazła latarkę. Latarka rozbłysła oślepiająco i Zula musiała zakryć ją dłonią; nie chciała stanowić dogodnego celu dla kogoś, kto obserwowałby wewnątrz przez celownik karabinu. Przenikający pomiędzy palców wąski plasterk światła zaprowadził ją do wyjścia.

Wyszła na korytarz i zaczęła się oddalać od głównego wejścia. Po prawej mijała ciąg biur i magazynów zawierających głównie wyposażenie kuchni. z drugiej strony mieściła się kuchnia tawerny. Zula wślizgnęła się do środka i zaryzykowała odsłonięcie latarki; kuchnia nie miała okien. Z magnetycznego uchwyty na ścianie ściągnęła długi i ostry nóż rzeźnicki, oraz drugi, mniejszy nożyk do obierania. Wrzuciła je do białego plastikowego kubła pod zlewem, po czym, używając go w charakterze koszyka na zakupy, zgarnęła jeszcze trochę drobiazgów, które mogły się przydać - na przykład dwie rękawice kuchenne, które zastąpią jej ciepłe rękawiczki, jeżeli nie znajdzie nic lepszego. Oczywiście nie znalazła żadnego świeżego jedzenia, bo hotel został zamknięty na okres Błotnego Miesiąca, ale zabrała butelkę oleju rzepakowego (wstawiono go do lodówki, żeby nie zjełczał) i trochę półlitrowych butelek wody. W szafkach były pochowane chipsy i inne przekąski, a także ryż, makaron i rodzynki. Kubełek był prawie pełen, kiedy doszła do wniosku, że kalorii wystarczy jej na dobre kilka dni w głuszy - pod warunkiem, że wymyśli jakiś sposób, żeby to wszystko ugotować.

No właśnie, przydałaby się kuchenka i jakieś naczynia. Czy to naprawdę takie niecodzienne wyposażenie hotelu dla narciarzy?

Ktoś opukiwał badawczo drzwi wejściowe, zastanawiając się zapewne, jakiej siły wymagałoby ich wyważenie. Czyli już ją dogonili.

Dlaczego nie przestrelili zamków? Przecież na pewno mieli broń.

Bali się, że huk wystrzałów poniesie się w dół doliny.

Wujek Richard też trzymał tu broń.

Świetny pomysł. Ale nierealistyczny. Broń była zamknięta w sejfie w apartamencie wuja.

Zula pamiętała z grubsza, że sprzęt turystyczny jest przechowywany w podziemiach. Wywieszony na ścianie plan ewakuacji budynku wskazał jej drogę do schodów. Zeszła do piwnicy.

Gdzieś z przodu budynku trzasnęło wybite okno.

Na chwilę ogarnęła ją przemożna chęć ucieczki. Tyle że w tej chwili ucieczka skończyłaby się dla niej śmiercią z wychłodzenia.

Nos podpowiadał jej, że nie myliła się w kwestii ekwipunku biwakowego. Na dobrą sprawę zapach nie był nawet nieprzyjemny, po prostu taki sprzęt zawsze po jakimś czasie pachnie tak samo. Poświeciła latarką. Wszystko, czego potrzebowała, leżało porzucane na podłodze.

No jasne. Jeżeli Jones zmusił Richarda, żeby mu towarzyszył, Richard musiał wziąć własny plecak, a w nim coś ciepłego do ubrania, śpiwór, namiot... Dlatego zeszli na dół i przetrząsnęli piwnicę.

Przynajmniej to jedno obróciło się na jej korzyść, bo teraz niemal potknęła się o pusty plecak, duży wór z zewnętrznym aluminiowym stelażem. Odstawiła kubel, obejrzała plecak i stwierdziła, że jest w całkiem niezłym stanie. Chwyciła leżący na ziemi śpiwór w worku i dwiema elastycznym taśmami przypięła go do plecaka. Do górnej komory przesyła całą zawartość kubła, jak leci. Przy okazji przypomniała sobie o dwóch wrzuconych na samo dno kubelka nożach, które trudno byłoby tak schować. Odłożyła je więc chwilowo na bok.

Na półce leżał stosik złożonych w kostkę zielonych brezentowych płacht. Wzięła trzy. Jedną, po wycięciu dziury w środku, posłużyła za poncho. Drugą rozłożyła na ziemi, do spania, z trzeciej zrobiła prowizoryczny namiot. Z drugiej półki zgarnęła zwój liny. Zabrała też camelbak, suszący się do góry nogami na haku.

W hotelu nagromadziło się tyle używanych kurtek, spodni i rękawic narciarskich, że trzymano je po kątach, poupychane w workach na śmieci. Rozdarła dwa takie worki i przekopawszy się przez ich zawartość wybrała kurtkę i spodnie bardziej przez wzgląd na ich kolor (czarny) niż rozmiar (za duży). Do tego dwie pary granatowych rękawiczek. Wełniana

czapka. Przyciemniane gogle - nie miała okularów przeciwsłonecznych, a może będzie musiała wyjść na śnieg.

Plecak sztywniał w miarę napełniania. Zula wróciła po noże i ostrożnie wsunęła je między stelaż i nylonowy wór plecaka: nie wypadną, a ostrza jej nie pokaleczą ani nie uszkodzą reszty sprzętu. Rączki noży wystawały ponad plecak; w razie potrzeby będzie mogła po nie sięgnąć ponad ramieniem.

Ostra woń drażniła ją w nozdrza. Paliwo do kuchenki. Otworzyła najbliższą szafkę i znalazła półkę z palnikami i akcesoriami do nich.

Dżihadystom jakoś zupełnie się nie śpieszyło. Ktoś buszował na górze, ale, sądząc po odgłosach, był sam.

To zrozumiałe. Jahandar pierwszy dotarł na miejsce, ale zamiast wejść do środka, zajął stanowisko na drodze przy tamie (albo na samej tamie), żeby uniemożliwić Zuli przejście na drugi brzeg rzeki. Może i Kolumbia Brytyjska nie była jego żywiołem, z pewnością jednak miał dość afgańskiego oleju w głowie, żeby rozumieć, że jeżeli Zula nie przedostanie się na lewy brzeg Blue Fork, nie dotrze do Elphinstone.

Ershut przybiegł pewnie parę minut później i to on rozbijał się teraz na parterze, próbując wykurzyć ją ze *Schlossu* pod lufę karabinu Jahandara. Spasiony Zakir i bosy Sayed nieprędko się pojawiają.

Znalezione w szafce palniki nie miały własnych zbiorników paliwa; nakręcało się je wprost na butlę. Zula wrzuciła do bocznej kieszeni plecaka palnik, pudełko wodoodpornych zapalek i garść świec. Mały zestaw kuchenny - garnuszek, patelnia i talerz, sprytnie zagnieżdżone jedno w drugim i spięte w całość - trafił do głównej komory. Bez niego kuchenka na nic by się Zuli nie zdała.

Butelki z paliwem - aluminiowe cylindry z wydłużoną szyjką zatkaną wkręcanym plastikowym korkiem - leżały w szafce porozrzucane jak kręgle po dobrym trafieniu kulą. Otworzyła jedną z nich, przykucnęła i przytrzymując ją między kolanami, wzięła z dolnej półki kanciastą jednogalonową puszkę z paliwem i zdjęła z niej nakrętkę. Następnie przekonała się na własnej skórze, jak trudno jest trzęsącymi się rękami przelać benzynę z jednego naczynia z wąską szyjką do drugiego. Połowa się rozlała i wsiąkła jej w spodnie; powinna o tym pamiętać, gdyby w najbliższym czasie znalazła się w pobliżu otwartego ognia.

A taki właśnie miała zamiar. Wystarczyło ćwierć zawartości puszkę, żeby napełnić butelkę. Reszta przyda się do innych celów.

Na początek starannie zakręciła butelkę i schowała ją do plecaka. Następnie wyciągnęła dwie ze spakowanych wcześniej zapalek i, przytrzymując je w zębach, wstała i

zarzuciła plecak na ramiona. Podczas tych poszukiwań wpadła jej w ręce stara latarka z prawie wyczerpanymi bateriami. Włączyła ją, położyła na podłodze wycelowaną w schody i tak zostawiła. Dzięki temu mogła wyłączyć swoją latarkę. Z puszką benzyny w ręce weszła po schodach najszybciej, jak umiała, nie robiąc przy tym za dużo hałasu. Zabawa w berka z Ershutem w *Schlossie* byłaby fatalnym pomysłem, spotkanie z nim w piwnicy też nie było pożądane, ale absolutnie najgorsza wydawała jej się ewentualność, że wpadłaby na niego na schodach.

U szczytu schodów przystanęła, wstrząśnięta wyjątkowo nieprzyjemną myślą, że Ershut może się czaić po drugiej stronie drzwi do piwnicy. Pomysł ten kazał jej sięgnąć badawczo w tył ponad ramieniem i potwierdzić, że rączka rzeźnickiego noża tkwi w miejscu, w którym na pewno będzie mogła jej dosięgnąć.

Odczekała w ciemności do momentu, gdy usłyszała łoskot dobiegający gdzieś z głębi budynku. Przypuszczała, że to Ershut wyważył drzwi któregoś pokoju w skrzydle dla gości.

Pchnęła drzwi piwnicy, spodziewając się katastrofy albo przynajmniej jakiegoś poruszenia w pobliżu. Nic się jednak nie wydarzyło, jeśli nie liczyć następnego odległego łomotu wyłamywanych drzwi.

Po omacku przemierzyła dwa kolejne zakręty korytarza i znalazła się w tawernie. W czerwonym blasku latarki przeświecającej jej przez dłoń przeszła przez jadalnię do zakątka z barem, telewizorem i miękko tapicerowanymi meblami wypoczynkowymi. Kłęb papierków po chipsach i pustych puszek po coli znaczył miejsce, w którym wypoczywał wujek Richard, kiedy Jones złożył mu wizytę.

Naprawdę nie miała ochoty tego robić, bo wiedziała, jak bardzo wuj uwielbia tawernę - ale kiedy pianka w sofach zajmie się ogniem, będzie się palić jak marzenie. Połała benzyną sofę i stojące przy niej fotele, a z reszty zrobiła kałużę na podłodze.

Przed zapaleniem zapalki wyjrzała przez okno wychodzące na północną część posiadłości. Potwierdziło się jej podejrzenie, że Jahandar (albo ktoś inny z latarką) czeka właśnie tam, na środku drogi, w miejscu, gdzie zaczyna opadać ku tamie.

Ershut w dalszym ciągu dawał niedwuznacznie do zrozumienia, gdzie się znajduje - a znajdował się daleko od niej.

Wyjęła jedną zapalkę z ust, zapaliła ją i rzuciła. Za szybko: zapalka chybiła celu, spadła na dywan i zgasła. Za to kiedy benzyna zapaliła się od drugiej, płomień poraził przywykłe do ciemności oczy Zuli. Dla Jahandara - czy ktokolwiek tam stał na czatach - ogień nawet przy zaciągniętych zasłonach musiał się wydać jasny jak światło dnia. Pomysł wyjścia drzwiami znajdującymi się w pobliżu pożaru uznała za wysoce nierozsądny,

skierowała się więc do skrzydła dla gości, ale innego niż to, w którym szalał Ershut. Trafiła do długiego, prostego korytarza, biegnącego w przybliżeniu w kierunku południowym, z pokojami po obu stronach. Truchtając najszybciej jak mogła z ciężkim worem na plecach, dobiegła korytarzem do samego końca, z impetem otworzyła znajdujące się tam wyjście ewakuacyjne (zdusiwszy w sobie niedorzeczne zakłopotanie grzecznej dziewczynki - przecież z wyjścia ewakuacyjnego powinno się korzystać wyłącznie w uzasadnionym przypadku) i najkrótszą drogą dopadła do najbliższej osłony, którą w tym wypadku był odległy o sto stóp skraj lasu nad strumieniem.

Ze zdumieniem stwierdziła, że całkiem nieźle widzi bez latarki. Pomyślała w pierwszej chwili, że to płomienie wzierające przez okna tawerny oświetlają jej drogę, zanim dotarło do niej, że poranny brzask z wolna rozświetla niebo na wschodzie. Ktokolwiek napisał, że „najciemniej jest tuż przed świtem”, najwidoczniej niewiele czasu spędził na północnym zachodzie Ameryki Północnej, gdzie słońce na długie godziny przed wychynięciem ponad widnokrąg maluje siną poświatą spód stale utrzymującej się pokrywy chmur.

Rozdzwonił się dzwonek i Zula natychmiast poczuła ukłucie winy w swoim niemądrym sercu grzecznej dziewczynki, myśląc, że uruchomiło go otwarcie drzwi ewakuacyjnych. Ale nie, przecież w zamku nie było prądu. To nie był zwykły dzwonek elektryczny; jego dźwięk bardziej przypominał brzęk uderzanego młotkiem kawałka blachy. Był słaby i zanikający, jakby napędzające go urządzenie dogorywało, ale i tak w nieruchomym powietrzu niósł się daleko w głąb doliny.

Na tle ognistych okien tawerny zarysowała się sylwetka krępego mężczyzny. Ershut. Wybiegł na dwór, kiedy zrozumiał, że budynek się pali, i okrążał go od frontu, kierując się najprawdopodobniej w stronę źródła dźwięku. W końcu przepadł w ciemności, a Zula wróciła spojrzeniem do okien. Ogień dramatycznie przygasł.

W tawernie musiały się włączyć zraszacze, zapewne podłączone do jakiegoś dzwoniącego ustrojstwa z przodu gmachu. Przeptywająca w systemie gaśniczym woda obracała turbinę, której młoteczek uderzał w dzwonek i sygnał alarmowy rozbrzmiewał nawet przy braku zasilania.

Ogromne okna tawerny eksplodowały jedno po drugim - ktoś wybijał je od środka młotem albo kolbą karabinu, żeby wypuścić dym. W miejscach, których nie sięgała woda ze zraszaczy, było widać słabe pomarańczowe przeblyski. Wkrótce potem Zula usłyszała powtarzający się syk gaśnicy. Małe ogniska gasły po kolei, ale dzwonek dzwonił w najlepsze - i będzie dzwonił, dopóki woda nie skończy się albo nie zostanie odcięta jakimś zaworem.

Wszystkich tych spostrzeżeń dokonała, przemykając przez las. Starła się trzymać północnych zboczy wzgórz, żeby mieć oko na *Schloss*. Niebo wyraźnie pojaśniało. Kiedy dotarła do zamku, widziała tylko odbłask księżyca na dachu i plamy światła z latarek. Teraz widziała wyraźnie cały kompleks, szary na szarym tle. Kręcący się przy nim Ershut i Jahandar nie musieli włączać latarek, żeby ich zauważyła.

Wszystko to działało na jej korzyść, ale zarazem sugerowało, że powinna zagłębić się bardziej w las, zanim w świetle dnia łatwo będzie ją wytropić. Cofnęła się o dalsze sto jardów od *Schlossu*, niepokojąc się trochę hałasem, jaki robi przy przeciskaniu się przez gąszcz z pękatym plecakiem. Dopiero wtedy odwróciła się i spojrzała ponownie w stronę zamku - po tym, jak kątem oka dostrzegła jakieś jasne światła.

Do tamy zbliżał się samochód. Zulę najpierw ogarnęło podniecenie na jego widok, a zaraz potem zgroza na myśl, że ktokolwiek nim przyjechał, zostanie za chwilę rozstrzelany.

Tymczasem Jahandar wyszedł na środek drogi, wymachując rękami, i zmusił kierowcę do zatrzymania się przed tamą, jeszcze na tamtym brzegu strumienia. Z przewieszonym przez ramię karabinem pochylił się do okna i zaczął rozmawiać z kierowcą.

Przyjechała ekipa rezerwowa. Dwa dni wcześniej odprowadzili kamper do Elphinstone i tam porzucili na jakimś parkingu. Po ucieczce Zuli, Jahandar albo Ershut skontaktowali się z nimi przez telefon albo krótkofalówkę i kazali im jak najszybciej przyjechać.

Otworzyły się tylne drzwi wozu. Wsiadło dwóch ludzi. Wyciągnęli ze środka plecaki i zarzucili na plecy.

Jeszcze chwila rozmowy, samochód zawrócił i ruszył drogą w dół, do Elphinstone.

Coś trzasnęło za plecami Zuli. Złamana gałązka.

Odwróciła się i zobaczyła skradającego się Sayeda. Był nie dalej niż trzydzieści stóp od niej i nie odrywał od niej wzroku. Na nogach miał różowe klapki, które zostawiła w obozie. Poruszał się trochę niezgrabnie, zarówno z powodu kłapek, jak i trzymanej oburącz strzelby powtarzalnej.

Zula może i nie była mistrzynią gracji, ale zdawała sobie sprawę, że musi trzymać się jak najdalej od tej spluwy. Cofnęła się więc. Sayed, widząc, że został zdemaskowany, przyspieszył kroku, ślizgając się, potykając na stromiźnie, osuwając na kolana i niebezpiecznie wymachując strzelbą. Prychał przy tym, parskał, pluł i postękiwał, gdy gałązki cięły go po twarzy.

Nagle coś szarpnęło za plecak Zuli. Pomyślała, że wpakowała się plecami na drzewo i gałęzie zaplątały się w paski. Odwróciła się w miejscu.

I poleciała na twarz. Wyciągnęła ręce, żeby zamortyzować upadek, ale dłonie jej się rozjechały i legła płasko na brzuchu, przygnieciona najpierw plecakiem, a później także czymś znacznie cięższym. I ruchomym.

- Mam ją! - oznajmił Zakir.

Jego głos dobiegał gdzieś sponad głowy Zuli; Zakir musiał chyba uklęknąć jej na plecaku. Nagle jednak nastąpiło jakieś gwałtowne przemieszczenie i zmiażdżył ją całym ciężarem, z siłą zdolną bez mała pogruchotać jej żebra, a na pewno wydusić resztki powietrza z płuc.

- I co, suko? Jakie to uczucie, być trupem?

Miała tylko jedno wyjście, co ogromnie ułatwiło jej decyzję.

Zgięła gwałtownie rękę w łokciu i prawą dłońią sięgnęła ponad lewy bark. Namacała rączki dwóch noży, wybrała większy z nich. Zaklinował się w miejscu pod ciężarem Zakira, ale desperackim, konwulsyjnym szarpnięciem udało jej się go wydobyć. W następnym ułamku sekundy dźgnęła na oślep w tył i do góry, mierząc z grubsza w źródło głosu.

Zakir zakrztusił się własnym wrzaskiem i sturlał z plecaka. Zula poczuła, jak uchwyt noża obraca się jej w ręce. Zaciśnęła mocniej dłoń, szarpnęła, poczuła tryskającą fontannę krwi. Zaparła się obiema rękami o ziemię, dźwignęła na czworaki, przeturlała na bok i znieruchomiała, siedząc na piętach.

Zakir klęczał, trzymając się obiema rękami za usta. Jego przedramiona spływały czerwienią. Krew pociekła mu na ziemię najpierw z jednego łokcia, potem z drugiego.

Zula usłyszała krzyk - nie Zakira, który stracił głos, lecz Sayeda, który (nadal w kłapkach) stał tuż obok ze strzelbą w bezwładnie zwieszonych rękach i ze zgrozą wpatrywał się w Zakira.

W tej chwili z całą pewnością znajdowała się w zasięgu strzelby. A na plecach miała plecak ważący połowę tego, co ona sama, który skutecznie unieruchamiał ją w pozycji siedzącej. Pierwszy raz od dłuższego czasu nie miała żadnego pomysłu, co dalej. Zmęczyło ją to ustawiczne myślenie.

Przez dłuższą chwilę patrzyli sobie w oczy, zanim Sayed spuścił wzrok i zobaczył zakrwawiony nóż w jej ręce.

Chciał chyba przyjść z pomocą Zakirowi, który powoli osuwał się po pniu drzewa, flaczejąc coraz bardziej, gdy wypływały z niego krew i powietrze - ale bał się znaleźć w zasięgu noża. Powinien po prostu zdmuchnąć ją jednym strzałem, lecz tego z kolei nie potrafił zrobić.

Mieli więc impas.

Jakiś kształt śmignął w powietrzu za plecami Sayeda. Mógłby być ptakiem, gdyby tutejsze ptaki dorównywały ciężarem Zuli. Jednakże było w jego ruchach coś bardzo ptasiego, jakieś niezwykle, niemal nadnaturalne połączenie szybkości i bezgłośności.

Sayed runął na ziemię jak potrącony przez samochód. Strzelba wypadła mu z rąk, potoczyła się po ziemi i do tego stopnia zafascynowała Zulę, że ta, nie bacząc na nic, wyswobodziła się z plecaka i rzuciła w jej stronę, żeby wygrzebać ją z grubej warstwy suchego igliwia i liści.

Dopiero potem podniosła wzrok - i spojrzała prosto w złocisty pysk olbrzymiego kota, który przyglądał się jej z odległości sześciu stóp. Miał zakrwawione kły. Przednie łapy oparł na plecach Sayeda. Jego pazury nurzały się w rozlewającej się coraz szerzej kałuży krwi, pochodzącej głównie z karku ofiary, który praktycznie przestał istnieć. Wielki kot powalił Sayeda i, niesiony impetem skoku, przegryzł mu kręgosłup.

Zula przypomniała sobie, że trzyma strzelbę, i wycelowała ją w pumę - bo tak właśnie nazwał kota jej umysł, kiedy wreszcie (z pewnym opóźnieniem) uruchomił mechanizm klasyfikowania gatunków. Najprawdopodobniej była to ta sama puma, która wieczorem kręciła się wokół obozowiska, a potem zaatakowała szopy. Zula zastanawiała się, czy Sayed zachował dość przytomności umysłu, żeby wprowadzić nabój do komory i odbezpieczyć broń. Pociągnęła ruchome łożo strzelby, uchylając zamek, aż w szczelinie błysnęła jej żółta łuska. Kciukiem namacała bezpiecznik. Odwiodła go pstryknięciem, odsłaniając czerwoną kropkę. Czerwone znaczy krew.

Spojrzała na pumę, która nie ruszyła w jej stronę, ale też nie spuszczała jej z oka. Warczała i szczyrzyła kły, dając Zuli do zrozumienia, że nie jest tu mile widziana.

Pilnowała zdobyczy.

Trzymając w prawej ręce strzelbę wycelowaną w pumę, Zula kucnęła, przewlekła lewą rękę przez pas nośny plecaka i dźwignęła ciężar na ramię.

Zirytowany kocur zareagował prychnieniem i obnażaniem kłów, ale Zula już zaczęła się wycofywać i dzielący ich dystans rósł z każdą chwilą.

Zahaczyła o coś nogą i ze zgrozą stwierdziła, że to Zakir łapie ją zakrwawioną ręką za kolano, nie tyle próbując ją zatrzymać, co raczej błagając o pomoc. Odkopnęła jego ramię w bok i szła dalej. Dopiero po stu stopach włożyła plecak jak należy i zapięła pas biodrowy.

Przez ten czas dziwne rzeczy działy się z jej słuchem i dopiero teraz zorientowała się, że Ershut (albo ktoś inny) wyciszył dzwonek - chociaż nie całkiem, bo wciąż było słychać ciche, bezdźwięczne terkotanie, które jednak niosło się najdalej na kilkaset metrów.

Dzięki temu do jej uszu dotarły dwa odgłosy zagłuszane wcześniej przez jazgot

dzwonka: dobiegające z tyłu wrzaski Zakira, który najwyraźniej odzyskał głos, nawet jeśli brzmiała w nim dziwna, bulgotliwa nuta, oraz warkot nadjeżdżającego od strony Elphinstone motocykla.

Była praktycznie pewna, że to harley-davidson.

To musiał być Chet. Usłyszał dzwonek alarmowy i przyjechał sprawdzić, co się dzieje.

To ona go tutaj zwabiła, podpalając tawernę, a teraz dżihadyści go zabijają.

Usłyszała Jahandara, który krzyknął coś do telefonu albo krótkofalówki, I zobaczyła, jak cofa się spod tamy i zajmuje pozycję za węglem *Schlossu*.

Cheta nie było jeszcze widać, ale reflektor motocykla oświetlał drzewa przy drodze w odległości pół mili. Zula wyraźnie słyszała, jak silnik zmienia obroty, pokonując znajome zakręty.

* * *

Od dnia, w którym Chet postanowił się ustatkować, związać swój los z losem Dodge'a i zaangażować się w jego zwariowany pomysł ze *Schlosssem*, nie było godziny, żeby nie rozmyślał o zameczku i otaczającym go terenie. Najczęściej czymś się niepokoił. Cóż, takie życie. Wcale nie narzekał, po prostu czasem to życie wymagało wstania z łóżka w środku nocy, podjechania do *Schlossu* i ugaszenia pożaru.

Nie dosłownie. W zamku nigdy nie wybuchł poważniejszy pożar i Chet wątpił, by kiedykolwiek mogło do niego dojść, biorąc pod uwagę możliwości zraszaczy, które zainstalowali we wszystkich pokojach, nie oglądając się na horrendalny koszt takiej instalacji. System był jednak bezradny wobec pożarów metaforycznych - drobnych włamań, przecieków w dachu, szpaków pod okapem, niedźwiedzi i szopów w śmietniku. Z czasem personel rozrósł się na tyle, że Chet miał komu zlecić takie drobiazgi. Wtedy kupił kawałek ziemi parę mil dalej i postawił tam sobie dom, żeby mieszkać w miarę blisko *Schlossu*, a zarazem dostatecznie daleko, żeby mieć odrobinę prywatności i czasem odpocząć od związanych z nim obowiązków i kłopotów.

Wyjątkiem był Błotny Miesiąc, kiedy cała ekipa brała urlop i zniknęła z zamku. Do powrotu personelu nikt nie pilnował *Schlossu* i Chet albo Dodge musieli być pod telefonem dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Dodge od paru dni był na miejscu. Dzięki temu Chet mógł odpocząć, nadgonić braki w lekturach, pojeździć na motocyklu z żyjącymi jeszcze Paladynami Północy. Kilka godzin przed zachodem słońca wrócił akurat z jednego z takich wypadów na zachodni brzeg jeziora Kootenay. Zjadł stek z grilla, rozprawił się z połową butelki *cabernet*, wcześniej położył się

spać i spał jak zabity. Jednakże na godzinę przed świtem obudził się, przekonany, że słyszy dobiegający z góry doliny dziwny dźwięk. Dzwonek.

Cholerne zraszacze! Pewnie znowu coś pociekło.

Przecież niemożliwe, żeby to był prawdziwy pożar. Gdyby tak było, zareagowałby system alarmowy i automatycznie wezwał straż pożarną, a Chetowi przysłał esemesa na komórkę. Wozy strażackie z rykiem syren właśnie mijająby jego dom. No i Dodge by zadzwonił.

Pewnie coś zahaczyło o głowicę zraszacza i uruchomiło całą maszynę; woda zatapia właśnie jeden z pokojów. To już się zdarzało i zawsze kończyło się strasznym bałaganem. Najprawdopodobniej na wpół śpiący Dodge próbował z rakietą do badmintona w garści gonić zabłąkanego nietoperza. Zapomniał o delikatnych zraszaczach, machnął, chybił, a teraz tkwił w *Schlossie* sam jak palec, mokry i upokorzony. Duma nie pozwoliła mu wezwać pomocy.

Chet zwał się z łóżka, odlał się i wciągnął skórzany strój motocyklowy bezpośrednio na piżamę. Niezbyt to dostojne, ale nikt prócz Dodge'a go nie zobaczy, a on przed Dodge'em nie miał żadnych tajemnic. Wyszedł na żwirowe podwórko, gdzie trzymał motocykl - brudny, zajeżdżony, dopominający się o wymianę oleju. Jazda po ciemku będzie niewygodna, w dodatku było zimno... Normalny człowiek wolałby wsiąść do stojącego obok SUV-a, Chet jednak pod wpływem impulsu wybrał motocykl. I tak musiał już wstać po nocy, miał przed sobą cały dzień uprzątań narobionych przez Dodge'a bałaganu... Dużo gorzej być nie mogło.

Usiadł okrakiem na harleyu, odpalił go kopniakiem, zawrócił na żwirze i wjechał na drózkę dojazdową łączącą jego dom z główną drogą. Była to dawna droga górnicza, którą raz w roku trzeba było wyrównywać, po tym, jak wiosenna odwilż zrobiła z niej poślizgnięty koleinami wąwóz. Inaczej mówiąc - gorzej niż dziś nie mogła już wyglądać. Wpatrzony w hiperboloidę światła z reflektora, przez pierwsze dwie minuty koncentrował się tylko na tym, żeby nie wylądować w którymś z głębszych kanałów, które woda zdążyła wyrzeźbić w dnie, odkąd śnieg zaczął topnieć. Powolna jazda była w gruncie rzeczy błogosławieństwem; gdyby choć trochę przyspieszył, wyrzucone spod kół grudy na wpół zamrożonego błota kleiłyby się do wewnętrznej powierzchni błotników.

Blżej rzeki drzewa rzedły, odsłaniając niebo na wschodzie, które przybrało perłoworóżowy odcień. Kusilo go, żeby zgasić reflektor i jechać dalej po ciemku, tak jak to robił dawniej. Przed wypadkiem. Wypadek wlał mu jednak trochę oleju do głowy (jeżeli można w ten sposób opisać wbicie kukurydzianych łodyg w mózg, a zamieszawszy w

Kolumbii Brytyjskiej, przekonał się, że o tej porze najłatwiej spotkać żyjące w pobliżu zwierzęta - było już dość jasno, żeby widziały, co robią, a zarazem dość ciemno, żeby nie rzucały się drapieżnikom w oczy. Dlatego właśnie na krótko przed świtem samotny motocyklista miał największe szanse zginąć w zderzeniu z łośiem. Mięsożercy też zresztą nie próżnowali, tropiąc nocne ofiary: wypatrywali ich jarzącymi się w mroku ślepiami i nasłuchiwali ruchliwymi, wyczulonymi jak radar uszami. Góry Selkirka cierpiały na nadpodaż drapieżników zajmujących pozycję na czubku łańcucha pokarmowego (samych czworonogów było sporo - dwa gatunki niedźwiedzia, wilk, kojot, puma plus kilka mniejszych kotów), przez co ten „czubek” łańcucha upodabniał się raczej do płaskowyżu. Jeżeli zderzenie motocykla z jeleniem można określić słowami „tragiczny wypadek”, to jak nazwać zderzenie z grizzly polującym na tego jelenia?

Dlatego z włączonym reflektorem skręcił w główną drogę i ruszył na południe. Przyśpieszał bardzo ostrożnie; odczekał dobre ćwierć mili, żeby toczące się po czystym asfalcie opony zgubiły futrzastą skorupę zmarzniętego błota, zanim otworzył przepustnicę i, ścinając zakręty, pognął do *Schlossu*. Przyśpieszał na prostych, lekko zwalniał przed ślepyimi zakrętami, gdzie sarny mogły się paść w gęstym poszyciu, które o tej porze roku budziło się do życia w przydrożnych rowach i na poboczach.

Po paru minutach - nazbyt szybko, prawdę mówiąc, bo jazda zaczynała mu sprawiać przyjemność - szerokim zakrętem w lewo wjechał w cień Barons Rock i poczuł, jak droga opada ku tamie. W tym miejscu asfalt rozlewał się szerzej, żeby długie i ciężkie pojazdy, które nie powinny wjeżdżać na tamę, miały gdzie zawrócić. Przy okazji tworzył też nieoficjalny parking dla turystów, którzy chcieli połowić ryby albo urządzić sobie piknik przy samochodzie z widokiem na Barons Rock, rzekę i kamienne wieżyczki zamku wyzierające sponad drzew na drugim brzegu.

Ze względu na las i zabiegi architektów panoramę *Schlossu* można było podziwiać w pełni dopiero znalazłszy się w połowie długości tamy. W tym właśnie miejscu Chet (który i tak jechał już niezbyt szybko) odpuścił manetkę gazu i puścił motocykl siłą rozpędu, zauważył bowiem kilka rzeczy, które wydały mu się dziwne. Dzwonek alarmowy nadal dzwonił, miał jednak głuchy, stłumiony dźwięk, jakby próbowano go czymś wyciszyć. Dlaczego Dodge po prostu nie zakręcił zaworu i nie odciął dopływu wody, żeby bardziej nie niszczyć budynku? Druga sprawa: nigdzie nie paliły się światła. Owszem, Dodge był sam, więc nie należało się spodziewać jakiejś przesadnej iluminacji, ale jakieś światło na pewno by mu się przydało - zwłaszcza jeśli próbował naprawić uszkodzony zraszacz.

Tym jednak, co najbardziej zaniepokoiło Cheta, był zapach: smród palonego plastiku,

typowy dla pożarów domów. Na dodatek niebo pojaśniało już wystarczająco, żeby było widać snujący się wśród drzew i nad rzeką biały dym.

Czyli naprawdę wybuchł pożar.

Dlaczego w takim razie system alarmowy - ten elektroniczny - nie wysłał sygnału?

Czyżby z tego samego powodu, dla którego nie było światła? Z braku prądu?

Tylko że system przeciwpożarowy miał zasilanie awaryjne; prądu w akumulatorach powinno wystarczyć na całą dobę.

Może telefon też nie działał?

W pierwszym odruchu chciał wbiec do zamku i szukać Dodge'a, ale naczytał się za dużo opowieści o ludziach, którzy tak właśnie robili, zgrywali bohaterów, a potem nawdychali się dymu i ginęli razem z tymi, których próbowali ratować. Przede wszystkim należało wezwać pomoc. Zatrzymał motocykl na końcu tamy po stronie *Schlossu* i wyjął z kieszeni komórkę.

BRAK USŁUGI, poinformował go wyświetlacz.

Kolejna ciekawostka: *Schloss* miał własny maszt telefonii komórkowej, zasięg powinien być idealny. Ale najwyraźniej antena też padła.

Jakim cudem tyle rzeczy mogło się naraz zepsuć?

Zastanawiał się nad tym, kiedy usłyszał strzał.

Huk dobiegł z niezbyt bliska, w dodatku Chet był pewien, że strzelano ze strzelby, nie ze sztucera ani karabinu.

Instynkt kazał mu wiać, gdzie pieprz rośnie. Ścisnął mocniej prawą manetkę, dodał gazu, wrzucił bieg, puścił sprzęgło. Tylne koło zaczęło się ślizgać na zaścielającym asfalt piasku i suchych igłach. Chet wykorzystał to, żeby odwrócić motocykl w miejscu i ustawić go przodem do tamy.

Już, już miał puścić hamulec i śmignąć przez tamę na drugi brzeg, gdy wtem dostrzegł dwie męskie sylwetki biegnące przez parking w jego kierunku. Wynurzyły się spomiędzy drzew. Było w nich coś dziwnego: ich nogi poruszały się normalnie, ręce zaś pozostawały nieruchome.

Zorientował się, że intruzi nie ruszają rękami, ponieważ każdy z nich trzyma oburącz pistolet. Obaj patrzyli prosto na niego.

Gdyby chciał wrócić na drugą stronę tamy, musiałby wjechać prosto w nich, bo w tej chwili stali mu już na drodze. A wtedy mieliby aż nadto czasu, żeby wystrzelić w niego całe magazynki.

Ponieważ wykonał już obrót o sto osiemdziesiąt stopni, postanowił go kontynuować i

dociągnąć do trzystu sześćdziesięciu. Tym sposobem ustawił się znowu tyłem do tamy i przodem do *Schlossu*. Do samego zamku nie było sensu uciekać; kimkolwiek byli tamci dwaj, na pewno już tam byli i zrobili co chcieli (czyżby jakieś dawne pretensje na tle handlu trawką?): odcięli prąd, przecięli kabel telefoniczny, podpalili budynek. W tej chwili musiał przede wszystkim się od nich oddalić. Wycelował więc motocykl nie na sam *Schloss*, lecz w mijającą go bokiem drogę. Odkręcił przepustnicę do maksimum, puścił sprzęgło i na moment udało mu się postawić harleya na tylnym kole, kiedy ruszył z kopyta.

Mijając zameczek, kątem oka dostrzegł coś, co wyglądało jak płomienisty żółtopomarańczowy kwiat, i uświadomił sobie, że patrzy wprost w lufę jakiejś broni, która celuje prosto w niego. Tłumik na końcu lufy rozdzielał ogień na sześć równomiernie rozmieszczonych płatków. Z głośnym mechanicznym łoskotem broń wystrzeliła raz, potem drugi, trzeci i czwarty. Za plecami Chet słyszał ostre *pop-pop-pop* pistoletów w rękach strzelców przy tamie.

Zakręcił w prawo i drzewa oddzieliły go od szaleńców, którzy próbowali go zabić. Dopiero teraz poszedł po rozum do głowy i wyłączył przednią lampę. Jego ramię poruszało się dziwnie ociężałe. Jak przez mgłę pamiętał, że przed chwilą coś go uderzyło w żebra, pewnie kamień wystrzelił spod koła i trafił w jakiś nerw. Przywykł już, że stare, wyeksploatowane ciało od czasu do czasu skarży się na różne dziwne przypadłości.

Między drzewami migało światło. Migało i podskakiwało jednocześnie, jakby ten, kto trzymał latarkę, zbiegał po zboczach wzgórza. Nie biegł prosto w stronę Cheta, lecz bardziej w przód, jakby chciał przeciąć mu drogę. Miganie światła nie było wcale złudzeniem; nie wynikało bynajmniej z faktu, że latarka czasem zniknęła za drzewami. Jej właściciel na przemian włączał ją i wyłączał. Jakby chciał zwrócić na siebie uwagę.

Dziwne zachowanie jak na kogoś, kto chciałby go zastrzelić z zasadzki.

Plama światła wyskoczyła na drogę. Sylwetka z latarką poświeciła sobie w twarz, ale z tej odległości Chet nie widział jej wyraźnie i najchętniej wcale by się do niej nie zbliżał - z tej odległości nie musiał się bać strzału ze strzelby czy pistoletu, ale gdyby ten ktoś miał karabin...

- Chet! To ja! Zula!

Dodał gazu, podjechał bliżej i zatrzymał się obok Zuli. Z zainteresowaniem odnotował, że dziewczyna trzyma strzelbę.

- Myśleliśmy, że nie żyjesz - powiedział.

- Żyję.

- Gdzie Dodge?

- Tu go nie ma. Chodź, musimy jechać.

- Co ty powiesz...

Chet słyszał już głosy ścigających ich intruzów z pistoletami.

Zula zabezpieczyła strzelbę. Na plecach miała ogromny, byle jak spakowany plecak. Oparła jedną stopę na podnóżku dla pasażera, przrzuciła drugą nogę przez kanapę motocykla i usiadła.

Gdy tylko Chet poczuł jej ciężar przy swoich plecach, zwolnił sprzęgło i ruszył - najpierw z prędkością biegnącego człowieka, żeby strzelcy przestali ich doganiać, a potem stopniowo coraz szybciej, gdy upewnił się, że Zula złapała równowagę i nie spadnie mu z motocykla.

Przez jakiś czas po prostu jechali. Chetowi bardzo się to podobało: pędził drogą bez świateł, pod łososiowym niebem, z Zulą trzymającą go w pól.

Nie rozmawiali, dopóki nie dotarli do zawrotki nieopodal porzuconej kopalni, gdzie lawina miliona poszarzałych ze starości desek usiłowała osunąć się do rzeki. Mogli stąd wjechać krótką żwirową pochylnią na szlak narciarsko-rowerowy, ale na razie najrozsądniej było się zatrzymać.

- Musimy jechać dalej - zauważyła Zula. - Nie mamy wyboru.

- Ale tam nic nie ma. - Chet ruchem głowy wskazał szlak.

- Poza Stanami Zjednoczonymi Ameryki Północnej. Wiesz, jak się tam dostać, prawda?

- Nie na harleyu! Na nim dojedziemy najdalej do tunelu.

- To i tak kolejne kilka mil, które oddzieli nas od dżihadystów.

- Od kogo?

- A ty znasz dalszą drogę. Pieszą. Mam rację? Chodziłeś tam z Richardem.

- Wieki temu, dziewczyno...

- Ale drogę znasz. A oni nie. Możemy im uciec.

- Powinniśmy poczekać, aż nas wyprzedzą, a potem zawrócić.

- Będą się tego spodziewali. Są inteligentni. Wystawią straż przy tamie.

- Moglibyśmy nie wychodzić z lasu. Przekraść się...

- Posłuchaj. Ich kumple mają Richarda. Mają Dodge'a, rozumiesz?

- Nic mu się nie stało?

- O ile wiem, to nie. Ci z Richardem są gdzieś na południe od nas i nie mają motocykla. Może udałoby się nam ich dogonić.

- Po co mielibyśmy ich doganiać?!

- Chcę się pokazać wujkowi Richardowi, żeby wiedział, że już nie jestem ich zakładniczką. Wtedy będzie mógł im uciec i schować się w lesie.

Chet nie odpowiedział - chociaż nie dlatego, że nie zgadzał się z Zulą. Po prostu nie mógł się skupić.

- Muszę go ratować - dodała Zula prawie rzeczowym tonem.

Rozumiem, wyraziłam się nie dość jasno... Tak się sprawy mają, że muszę tam iść i go ratować.

Chet uczepił się jej słów. Teraz przynajmniej miał się na czym skoncentrować.

- Skoro tak sprawę stawiasz, to podwiozę cię do tunelu - powiedział i skierował pomrukujący silnikiem motocykl na żwir pochylni.

Zanim dojechali do końca, jakimś cudem zorientował się, że krwawi. Nie mógł sobie przypomnieć, skąd to wie ani kiedy pierwszy raz sobie to uświadomił. Jak przez mgłę pamiętał, że siedząca za nim dziewczyna, Zula, powiedziała o tym Chetowi, na co Chet tylko się roześmiał i dodał gazu.

A potem nagle zauważył, że leży na wznak i patrzy w błękitne niebo.

Mieli wypadek? Nie, harley stał tuż obok.

Zula rozwinęła karimatę, na której teraz przysypiał. Przykryty śpiworem.

Przykucnęła obok niego i odwinęła śpiwór, odsłaniając prawy bok Cheta. Nie miał na sobie koszuli i naga skóra skurczyła się na zimnie. Zula zrobiła smutną minę, ale nie była zaskoczona tym, co zobaczyła. Już wcześniej go oglądała.

- Dawno się tu zatrzymaliśmy? - zapytał.

- Niezbyt.

Za bardzo się wstydził, żeby wprost zapytać, co się z nim dzieje, czuł jednak, że sprawa jest oczywista.

Zula zrobiła coś z bandażem. Miała ze sobą załośnie małą apteczkę.

- Daj spokój - powstrzymał ją łagodnie. - Szkoda czasu.

- Co chcesz zrobić?

- Wyprawić cię w drogę. Ratuj Dodge'a. Dogonię was.

- Dogonisz... nas?

- Będziesz szła dużo szybciej ode mnie, ale nie ma sensu, żebym zostawał tutaj. Chcę umrzeć na czterdziestym dziewiątym równoleżniku.

Siedziała obok niego na piętach, obejmując ramionami kolana. Spojrzała na południe, pod słońce, w stronę granicy, a potem zwiesiła głowę i zaczęła szlochać.

- Nie płacz - powiedział. - Wszystko jest w porządku.

- Wcale nie. Zginęli ludzie. - Podniosła głowę i klapnęła na pupę. Rozprostowała nogi.
- Nie zabiłam ich, ale zginęli z powodu tego, co zrobiłam. Ma to sens? Peter. Piloci. Ludzie z kampera. Żyliby, gdybym podejmowała inne decyzje.

- Ale nie pomagasz mordercom - zauważył Chet. Odpoczynek na karimacie i niespodziewany przyływ szczerości u Zuli trochę go ożywiły. Czuł się prawie normalnie.

- Oczywiście, że im nie pomagam!

- To ty strzelałaś, prawda? Ze strzelby. Żeby mnie ostrzec.

- Jahandar, ich snajper, brał cię na cel. Tak, chciałam cię ostrzec.

- Czyli walczysz z nimi.

- Naturalnie. Tylko jaki to ma sens, jeżeli jedynym efektem mojej walki jest śmierć innych ludzi?

- To dla mnie za trudne pytanie. Po prostu robisz, co możesz, ślicznotko.

Próbowała z tym walczyć, ale kącki ust uniosły się jej w uśmiechu.

- Wszystkie kobiety tak nazywasz.

- Owszem.

- Dawno nie słyszałam takich słów.

Chet skromnie wzruszył ramionami.

- Jeżeli teraz nie ocalę wujka Richarda, śmierć ich wszystkich pójdzie na marne - ciągnęła Zula. - Potem poszukamy pomocy, ale najpierw muszę dotrzeć do granicy. Bez ciebie nie dam rady.

- American Falls. Tam pójdziemy.

- Ale jak się tam dostanę... to znaczy, jak się tam dostaniemy?

Chet odwrócił głowę, podniósł sprawną rękę i wskazał góry na południu: brzytwę z kremowego granitu, u góry upstrzoną płatami śniegu, a od dołu obramowaną usypiskiem z głazów, które od milionów lat odrywały się od niej i staczały w głąb doliny. Szlak zaprowadził ich mniej więcej do połowy wysokości stoku, wyniesiony na nasmołowanych podporach ponad rumowisko, i kończył się przed wyrastającą spośród luźnych kamieni litą ścianą skalną, w której za pomocą dynamitu wykopano tunel wycelowany poziomo prosto w serce masywu.

- Żeby ominąć tego drania, trzeba przejść tunelami. Nie trzeba się wspinać. To by trwało wieki i by mnie zabiło. Ciebie zresztą też. Tunele. To je odkrył Richard. To jego sekret. Wyjdziemy z drugiej strony, potem wzdłuż rzeki do wodospadu. Czterdziesty dziewiąty równoleżnik. Tam ja się zatrzymam, a ty pójdiesz dalej.

- W takim razie chodźmy. Jeśli tego właśnie chcesz...

- Tak. Tego właśnie chcę.

* * *

Tunel był dostatecznie obszerny, żeby pomieścić kolejkę wąskotorową - co oznaczało, że spokojnie zmieściłby się w nim samochód osobowy i jeszcze zostałyby sporo luzu. W celu powstrzymania takich zakusów właściciele kopalni przyśrubowali do skały masywną kratę, która blokowała przejazd w odległości dziesięciu metrów od wlotu tunelu. Na tych dziesięciu metrach rozpętało się istne tornado obscenicznych graffiti na ścianach, na ziemi zaś zebrała się sięgająca kostek warstwa śmieci: butelek po piwie, torebek po chipsach, zużytych przerwy i wyczerpanych baterii. Przy samym wejściu znajdował się krąg na ognisko. Zula przeszła w tryb pracy Sherlocka Holmesa i stwierdziła, że popiół jest wciąż gorący. Jones i jego ludzie mieli jakieś dwie godziny przewagi.

W środku kraty znajdowały się lite stalowe drzwi, w sam raz na rozmiar człowieka - zamykane na kłódkę i dewastowane, zapinane na łańcuch i dewastowane oraz spawane i znów dewastowane tyle razy, że powtarzające się regularnie przypadki wandalizmu zaczynały grozić strukturze całej kraty. W tej chwili były uchylone. W świetle latarki (Zula poświeciła przez kratę) było widać, że graffiti po ich drugiej stronie jest tylko odrobinę rzadsze, a śmietnik tylko trochę mniejszy. W nozdrza uderzył ją znajomy ostry zapach: świeża farba w sprayu. Poświeciła na drzwi i zobaczyła wypisane na nich arabskie litery. Nie umiała ich odczytać. Dotknęła jednej z nich i na palcu została jej świeża zielona farba.

- Uważaj! - zawołał wlokący się za nią Chet.

- Na co?

- Kiedyś zakładali tu pułapki.

- Kto?!

- Dawne czasy. Konkurencja się zaostrzyła, zrobiło się nieprzyjemnie, w branży pojawiły się jakieś czuby... Mogli człowieka zabić. To wtedy postanowiliśmy z Dodge'em się wycofać.

Zula dokładnie oświetliła uchylone drzwi. U góry coś błysnęło metalicznie. Drut. Został przywiązany do zewnętrznej pionowej krawędzi drzwi, przecinał lukę między drzwiami i futryną i biegł dalej w poprzek i w dół kraty, aż do ściany tunelu, gdzie zniknął w stercie odpadków nagromadzonych w kącie między kratą i ścianą.

Zanim Zula poskładała fakty w całość, Chet ją dogonił i, oparłszy się o kratę, prześledził wzrokiem przebieg drutu. Oddychał ciężko, bulgotliwie.

- Ożeż ty w mordę... Nie spodziewałem się, że naprawdę coś tu znajdziemy.

- Myślisz, że coś jest schowane w tych śmieciach?

- Na bank.

Chet wyjął z kieszeni przyborek uniwersalny marki Leatherman, zaopatrzone między innymi w szypce do cięcia drutu. Kazał Zuli wyjść z tunelu i przytulić się od zewnątrz do skalnej ściany i dopiero wtedy przeciął drut i pchnął drzwi. Nawet Zula usłyszała jęk masywnych zawiasów.

Chet policzył do dziesięciu.

- Droga wolna - obwieścił. - Ale zanim wejdziemy, ja sobie tu chwilę odpocznę, a ty przyniesiesz coś z motocykla.

Tym czymś okazała się gruba stalowa linka z kłódką. Zula pomogła Chetowi przewlec ją przez pręty kraty i skutecznie zamknąć furtkę od wewnątrz.

Posuwali się naprzód z niezwykłą ostrożnością, co nawet nie było szczególnie trudne, ponieważ Chet nie mógł iść zbyt szybko, a kiedy przedarli się przez zasypane śmieci zaścielające ziemię w pobliżu kraty, praktycznie zabrakło miejsc, w których można by chować dalsze niespodzianki. Zresztą, sądząc po tej pierwszej pułapce, Jones zamierzał je opisywać sprayowanymi arabskimi ostrzeżeniami, żeby druga część ekipy - czyli Jahandar, Ershut i inni, których uznano za godnych pójsia w ślady wodza - nie zrobiła sobie krzywdy. Zula wyczuliła więc nos na gryzącą woń, a oczy na fluorescencyjną zieleń używanej przez niego farby.

Po kilku minutach tunel kończył się litą ścianą, gdzie przebito otwór, w którym wyprostowany Chet ledwie się mieścił.

- Sztolnia - wyjaśnił Chet. - Tak górnicy nazywają poziomy tunel, którym można puścić wagoniki z urobkiem. Prosto do serca góry, pod samo złożę. Pierwsza część została poszerzona dla kolejki wąskotorowej, teraz wejdziemy w prawdziwą sztolnię.

Natrafili na kolejny stos śmieci. Metalowe drzwi broniły wstępu w głąb sztolni, ale zostały wyłamane i zwisały krzywo z futryny. Doskonale nadawały się na następną pułapkę, Zula nie widziała jednak śladów farby ani nie czuła jej zapachu, a przeprowadzona przez Cheta drobiazgowo inspekcja drzwi i śmietniska nie ujawniła niczego podejrzanego. Zagłębili się w sztolnię i odkryli, że - jak zwykle - grafficiarze i imprezowicze byli tam pierwsi.

- Trzeci w prawo - zasygnalizował Chet.

Zakaszłał i splunął czymś ciemnym na ścianę. Tak go to wyczerpało, że zachwiał się i musiał oprzeć o skałę, ale dzielnie pobrnął naprzód. Uparł się, że będzie szedł pierwszy.

Trzeci co? - chciała zapytać Zula, ale przypuszczała, że wkrótce sama się przekona, a nie było sensu zagadywać i męczyć Cheta. Zaczęła się domyślać, kiedy minęli otwór w ścianie. Poświeciwszy weń głębiej, dostrzegła drugą sztolnię, odchodzącą pod kątem prostym

i prowadzącą zapewne w głąb złoża. Otaczająca ich skała wyglądała zupełnie inaczej niż ta, którą widziała na zewnątrz: była ciemniejsza, kolorowo żyłkowana i mieniąca się kryształkami, zwłaszcza w tych miejscach, gdzie woda sączyła się ze szczelin i spływała do wyrytej w podłożu rynny. Chwilę później minęli kolejny wylot bocznego tunelu. Na dalszych dwudziestu metrach korytarz przebijał się przez inne podłoże, potem jednak znów znaleźli się w srebronośnej skale i stanęli przy sztolni numer trzy. Co zresztą dało się poznać po zapachu, gdyż w tym miejscu woń farby stała się wyraźnie silniejsza. Na ścianie obok wejścia do bocznej sztolni ktoś natryśnął kilka linijek arabskiego tekstu.

Przystanęli na chwilę, żeby Chet mógł odpocząć. Wypijał wodę w zatrwającym tempie i wciąż uskarżał się na pragnienie.

- Pójdiesz tą sztolnią jakieś sto stóp, do szybu w dnie komory. Powinna tam być metalowa drabinka; kiedyś była winda, ale się zepsuła. Po drabinie na sam dół, to będzie około pięćdziesięciu szczebli. Wylądujesz w kolejnej sztolni, która doprowadzi cię do takiego samego skrzyżowania jak to.

- To znaczy, że dalej ze mną nie idziesz?

- To była przenośnia - odparł Chet po chwili zastanowienia. - Muszę zebrać siły przed tą przekłętą drabiną.

Droga wyglądała w przybliżeniu tak, jak Chet ją opisał. W komorze na końcu sztolni znajdowała się olbrzymia machina, która musiała zostać zniesiona na dół w częściach i zmontowana na miejscu. Jej głównym elementem było gigantyczne zardzewiałe koło z wyciętymi na obwodzie rowkami. Przechodzące przez rowki liny znikły w dole w ciemnej czeluści. Było oczywiste, że ustrojstwo od wieków nie działa i gdyby Zula była speleologiem-amatorem, w tym miejscu pewnie by zawróciła. Chet jednak upierał się, że można zejść na dół, a świecące w ciemności zielone graffiti chyba potwierdzało jego słowa.

Obeszli maszynę od tyłu. Zula zaczęła rozumieć, że okrągły w przekroju szyb został podzielony na mniejsze, bardziej prostokątne pionowe tunele. W największym z nich, środkowym, kursowała napędzana olbrzymim kołem winda, mniejsze zaś zarezerwowano dla okablowania, wentylacji, ręcznych wyciągów do wydobywania rudy oraz drabiny, z której można było skorzystać, gdyby cała maszyna zawiodła. Chet dokładnie obejrzał jej górną część, wypatrując pułapek. Następnie rozpiął pasek, przeplótł go przez pętlę przy latarce, i z powrotem zapiął (latarka zawisała mu na wysokości krocza, świecąc w dół), po czym zaczął się zsuwać po drabinie z taką prędkością, że Zula wystraszyła się, że spada, zamiast schodzić. Chyba po prostu chciał jak najszybciej mieć to z głowy. A może spodziewał się pułapki na dole i chciał, żeby zadziałała na długo przed przybyciem Zuli?

Takie myśli nie skłaniały jej do pośpiechu. Chwyciwszy latarkę w taki sposób, żeby świecić w dół, zaczęła schodzić po drabinie i bardzo szybko znalazła się w środowisku, które mogłaby odbierać jako wściekle klaustrofobiczne, gdyby miała takie skłonności. Najwidoczniej przestrzeń w szybie była bezcenna i inżynierowie nie chcieli jej marnować na rzeczy zbędne: jej plecak co rusz o coś zahaczał albo zawieszał się na kotwach w ścianie. Przy każdej takiej okazji Zula musiała się opierać wzbierającej fali paniki.

- Chyba znów będzie pułapka - zauważyła, mijając świeży napis zieloną farbą.

- Wiem, też to widziałem. Zaczekaj chwilę.

Zula znieruchomiała na drabinie i zmusiła się do spojrzenia w dół. Chet zatrzymał się blisko dna szybu i właśnie wyjmował leathermana. Usłyszała dźwięczny odgłos, gdy szczypce przecięły drut.

Odczekali kilkanaście sekund w absolutnej ciszy, czekając na wybuch.

- Chyba wszystko gra - orzekł Chet.

Tej pułapki dżihadyści nawet nie starali się ukryć: prostopadłościenna kostka leżała na podłodze pod drabiną, unieruchomiona plastikowymi obejmami.

- Mina przeciwpiechotna - wyjaśnił Chet. - Wycelowana prosto w górę. Zdmuchnęłaby człowieka z drabiny.

- Jak się czujesz? - spytała Zula, nie mając wiele do powiedzenia na temat min.

- Całkiem nieźle! - odparł nieco zaskoczony Chet. - Ale usiądę tu sobie i chwilę odpocznę. Spotkamy się przy skrzyżowaniu korytarzy, tam. - Poświecił latarką w głąb jednej z trzech sztolni rozchodzących się promieniście z dna szybu. - Sto stóp stąd. Potem skręcimy w drugą sztolnię w lewo.

Zula zwróciła uwagę, że stan Cheta wyraźnie się poprawia, gdy sytuacja powoduje gwałtowny przyływ adrenaliny, pogarsza się zaś, kiedy akurat nie dzieje się nic ciekawego. W tej chwili wydawał się nakręcony i energiczny, zdziwiła się więc, że chce odpocząć - ale może w ten sposób chciał jej grzecznie dać do zrozumienia, że musi zostać sam, żeby się wysikać; wody na pewno wypił wystarczająco dużo.

Podeszła więc sztolnią do drugiego tunelu po lewej, gdzie wyczuła i zobaczyła nowe graffiti. Poczula jednak coś jeszcze: dobiegający z bocznego korytarza powiew świeżego powietrza.

Zgasiła latarkę, poczekała, aż oczy przyzwyczają się do ciemności, i wmówiła sobie, że widzi odbłaski dziennego światła rykoszetujące na wilgotnych ścianach sztolni.

Unicestwiła je powódź blasku z latarki Cheta, który skończył sikać (czy co tam chciał zrobić na osobności) i dogonił Zulę. Ciężko szurał nogami, wyraźnie przechylony, jakby bez

podparcia się o ścianę nie mógł ustać. Skórzaną kurtkę zapiął pod szyję, jakby broniąc się przed przenikliwym chłodem.

- Tu jest wyjście - odezwała się Zula. Było to na wpół pytanie, na wpół stwierdzenie faktu.

- Dalej już trafisz sama - przytaknął Chet. - Tylko się nie śpiesz i wypatruj pułapek.

Puścił ją przodem. Pokonała jakieś pięćdziesiąt stóp, zanim zatrzymała się i poczekała na niego. I jeszcze raz, tak samo. Znalazła się na następnym skrzyżowaniu, ale dalsza droga była oczywista, napływającego tunelem światła i świeżego powietrza nie dało się nie zauważyć. Bardzo zwolniła kroku, celowo nie wysforowując się naprzód; nie było sensu się śpieszyć, skoro i tak musiała potem czekać, a kiedy szła powoli, mogła uważniej patrzeć pod nogi.

Dotarli do tunelu, który musiał chyba być główną południową sztolnią kopalni. Zastali tam sprawny wagonik - płaską platformę, która mogłaby pojechać po przytwierdzonych tu do podłoża szynach. Zula obejrzała wagonik w poszukiwaniu drutów i min, po czym zmusiła Cheta, żeby na nim usiadł. Opierając mu ręce na ramionach, zaczęła go popychać razem z platformą po szynach.

Trwało to zaskakująco długo. Z każdym pokonanym zakrętem robiło się coraz jaśniej, aż w końcu wyjechali z za ostatniego załomu i oślepiło ich światło słońca, wpadające niemal wprost w wylot sztolni. Miejsce doskonale nadawało się do założenia trzeciej pułapki, a ponieważ niewiele widzieli, zatrzymali się i odczekali dłuższą chwilę, pojadając zapasy. Chet łąpczywie opróżnił kolejną butelkę wody, a potem wstał i ostatnie sto jardów pokonali pieszo, bardzo ostrożnie, noga za nogą.

Ostatnią pułapkę uruchamiał zwykły drut-potykaç przecignięty od ściany do ściany na wysokości kostek, dosłownie kilka jardów od wylotu tunelu, gdzie zniecierpliwiony mozolnym marszem wędrowiec najłatwiej mógł przyśpieszyć.

Chet kazał Zuli przestąpić nad nim i oddalić się w bezpieczne miejsce, zanim sam przeciął go leathermanem. Obawiał się, że może to być wyjątkowo wredna odmiana prowizorycznej bomby, która wybucha po przecięciu drutu - nic takiego się jednak nie wydarzyło i niedługo potem Chet chwiejnym krokiem wytoczył się z tunelu. Wyglądał jak duch górnik, który sto lat temu zginął we wnętrzu góry.

W linii prostej pokonali niecałą milę, a mimo to znaleźli się w innym świecie. Do rozpościerającej się przed nimi doliny wiatry musiały przynosić znaną Pacyfiku ogromne ilości wody: powietrze było tu wyraźnie wilgotniejsze niż po drugiej stronie gór, a roślinność wyglądała zupełnie inaczej. Weszli do kopalni na suchych, kamienistych pustkowiach, a

wyszli z niej w samym środku czegoś, co prawie mogłoby uchodzić za las deszczowy.

Dziki las deszczowy. Po tej stronie nie było napisów na skale, nie było śmieci. Dostrzegli krąg na ognisko, a wokół niego kawałki płaskiego terenu, na których turyści mogliby rozbić namioty, gdyby się tu zapuścili. Jednakże w porównaniu ze stroną kanadyjską, gdzie do kopalni można było szybko dojechać z Elphinstone albo podejść spacerkiem z przytulnego *Schlossu*, tutaj znaleźli się w zupełnej głuszy, na skrawku ziemi niczyjej wciśniętym między granicę państwową i prawie nieprzeniknioną zaporę skalną wznoszącą się w tej chwili za ich plecami. Gdyby jeszcze panorama okolicy była bardziej efektowna, może przywabiłaby turystów pieszych i rowerowych, ale dotarcie do takich miejsc jak pobliskie Glacier i Banff wymagało niewielkiego nakładu sił, a tamtejsze widoki zapierały dech w piersi. Dlatego też okolica była uczęszczana wyłącznie przez przemysłowców i terrorystów. Wszędzie dookoła widać było wśród drzew wyoblone wiosenną odwilżą płyty śniegu, które rozbijały się o stromiznę jak fale o brzeg i dorzucały swoje trzy grosze do ogólnego odpływu wód, przesączających się przez błądź i spływających drobnymi strużkami do bulgoczących potoków, milę dalej łączących się w pędzącą doliną rwącą rzekę. Samej rzeki wprawdzie nie widzieli, wyraźnie jednak słyszeli łoskot wodospadu, leżącego niemal dokładnie na granicy, nieopisanego na mapach, którzy miejscowi znali jako American Falls.

* * *

Olivia została, rzecz jasna, uprzedzona, że praca w MI6 nie będzie specjalnie romantyczna. Inaczej mówiąc - że nie będzie tak jak na filmach. Fakt, że w ogóle musiano jej o tym przypominać, był z lekka żenujący. Żaden człowiek dostatecznie inteligentny i obyty w świecie, żeby pracować dla MI6, nie pomyślałby chyba, że będzie następnym Jamesem Bondem, prawda?

Od samego początku spodziewała się więc monotonnej harówki i absolutnie nieromantycznych sytuacji, i misja w Xiamen z nadatkiem spełniła te oczekiwania. Kończące ją fajerwerki były, oględnie rzecz biorąc, nietypowe.

Żadne jednak wysiłki przełożonych zmierzające do zabicia w niej nadziei i unicestwienia oczekiwań nie przygotowały jej na podróż publicznymi środkami transportu z Wenatchee do Bourne's Ford. Dopisało jej szczęście: na dworzec w Wenatchee dotarła dosłownie kilka minut przed odjazdem autobusu do Spokane, który miał pół godziny spóźnienia. Pryszcz. Kupiła bilet za gotówkę i wsiadła do umęczonego autobusu dalekobieżnego, zalatującego pleśnią i odświeżaczem powietrza. Spędziła w nim następne kilka godzin, oglądając wyżynne pustynie wschodniego Waszyngtonu i starała się nie zapisać

w pamięci jadących razem z nią niezamożnych staruszków i robotników sezonowych. Wsiadła na dworcu autobusowo-kolejowym w centrum Spokane - miasta, które z całą pewnością miało swoje zalety, lecz oglądane o zmierzchu z poziomu gruntu wydawało się bezbarwne i anonimowe. Było tu o dziesięć stopni zimniej niż na wybrzeżu. Najbliższy autobus do Bourne's Ford odjeżdżał dopiero następnego dnia rano, a ona nie mogła się zameldować w hotelu: musiałaby okazać dowód tożsamości i w ten sposób się ujawnić. Poszła więc do w miarę sympatycznej włoskiej restauracji, gdzie zjadła długą, nieśpieszną kolację, za którą zapłaciła gotówką. Następnie wybrała się do kina, gdzie zdążyła na ostatni seans komedii, której docelowym odbiorcą musiały chyba być nastolatki. O pierwszej w nocy kino wypluło ją na parking. Wszystko było pozamykane, nawet bary, Olivia szła więc po prostu przed siebie, udając zaaferowaną; nawet gdyby przyszło jej tak maszerować przez najbliższe pięć godzin, nie będzie to jeszcze koniec świata. Miała wygodne płaskie buty, a dopóki będzie się ruszać, nie zmarznie nawet w tym trochę za lekkim ubraniu.

Po mniej więcej dwóch godzinach wałęsania się po głównym ciągu handlowym znalazła otwartą przez całą dobę *Perkins Family Restaurant*. Zjadła w niej największe śniadanie w życiu, spędziła jeszcze godzinę na lekturze zaczytanego „USA Today”, po czym zapłaciła i wróciła na ulicę.

O szóstej niebo zaczęło jaśnieć, pojawili się pierwsi biegacze, otworzyły się Starbucksy. W jednym z nich wytraciła następną godzinę, a potem wróciła na dworzec i złapała autobus do Sandpoint i Bourne's Ford o 8:06. Ten etap podróży do złudzenia przypominał poprzedni, z tą tylko różnicą, że cały czas towarzyszyło jej nieuchwytnie wrażenie, że przemierza zamieszkaną przez górskich pionierów Dziki Zachód. Z Wenatchee do Spokane jechało się przez pustynię, w większości jałową, tylko od czasu do czasu zmeliorowaną, co nadawało jej przyjemnie wiejski charakter. W miarę jak zbliżali się do Spokane, widziało się coraz więcej ocalałych drzew - z początku samotne okazy, potem kępy, w końcu całe zagajniki. Za to na północ od miasta las ciągnął się już bez przerwy, droga wila się wśród całkiem pokaźnych wzniesień, a stojące przy niej domy coraz mniej przypominały farmy, coraz bardziej zaś - wysunięte faktorie handlowe. Pojawiły się również akcenty zdecydowanie ekscentryczne: billboardy złorzeczące ONZ oraz ręcznie wypisane jeremiady o zagrożeniu deficytem w budżecie federalnym. Oczywiście zwracała na nie uwagę tylko dlatego, że ich wypatrywała, bo tak naprawdę, to za oknem przewijały się głównie fast foody i małe sklepy, jak wszędzie w Stanach, z przerwami na domki letniskowe (nad każdym jeziorem i co ładniejszych odcinkach rzek), rancza (na płaskim i odsłoniętym terenie) oraz polacie wiejskiej biedy w najlepszej appalaskiej tradycji. Czasem przecinali jakiś górski

grzbiet i wjeżdżali w teren, który wydawał się jej kompletnie dziki i bezludny, dopóki nie dostrzegła zygzakujących dróg do zwózki drewna.

A potem nagle wjechali do ładniutkiego miasteczka (Sandpoint, jak się wkrótce dowiedziała) wykazującego wszystkie cechy (pub z mikrobrowarem, galeria sztuki, sala do pilatesu, tajska restauracja) miejsca, które pozwala wyborcom Demokratów cieszyć się wysokim standardem życia, zachować stałą łączność ze światem i zagłuszyć wyrzuty sumienia związane z globalnym ociepleniem, *fair trade* i niefortunnymi skutkami ubocznymi Objawionego Przeznaczenia. Autobus zatrzymał się na chwilę. Sporo pasażerów wysiadło, tylko kilku wsiadło - co nie powinno nikogo dziwić, gdyż widoki za oknem dowodziły, że północne Idaho nie jest miejscem, w którym można żyć bez dostępu do jakiegoś własnego pojazdu mechanicznego. Klientela skromnego transportu publicznego ograniczała się głównie do młodzieży, starszków, kudłaczy, których tylko krok dzielił od włóczęgostwa, oraz kobiet w sięgających do kostek sukienkach, jakby żywcem wyjętych z *Domku na prerii* - najprawdopodobniej członkiń jakiejś surowej sekty religijnej.

Godzinę później Olivia wylądowała w znacznie mniejszym i mniej demokratofilnym Bourne's Ford, a po kolejnej półgodzinie (okazało się bowiem, że trzeba przejść spory kawałek na piechotę) znalazła się w miejscowym Walmarcie.

Czekała na taką chwilę w swojej podróży, kiedy zacznie się obłąd; kiedy przekroczy niewidzialną granicę oddzielającą zdroworoządkową Amerykę od subkultury, w której żyje Jacob Forthrast z rodziną i sąsiadami. Na razie bardziej przypominało to płynne przejście niż przekroczenie granicy, ale w Walmarcie poczuła, że jest coraz bliżej. Weszła od strony działu spożywczego i chemii gospodarczej, który sam w sobie był chyba większy od dowolnego sklepu w Wielkiej Brytanii. Już samymi rozmiarami zachęcał klientów do robienia zakupów hurtowych i zapewniał w tym celu stosownych rozmiarów wózki, które jednak i tak nie wszystkim wystarczały. Potężnie zbudowany brodacz w typie „Grizzly” Adamsa obnoszący się z pistoletem na biodrze miał dwa wózki: jeden pchał przed sobą, drugi ciągnął z tyłu. Oba wylądował do granic możliwości wielgachnymi torbami z psim żarciem, fasolą, bekonem i makaronem. Sąsiednią alejką zawładnęła rodzina ludzi rozkochanych w tych długich sukienkach: mama, dwie nastoletnie córki, jedna młodsza dziewczynka, berbecę płci męskiej (wożony w koszyku, do którego został przypięty pasami) oraz jeszcze jedno stworzenie, ścigane w tej chwili przez młodego mężczyznę, który mógł być jego ojcem lub starszym bratem. Mężczyźni byli ubrani normalnie, nie nosili śmiesznych kapeluszy ani zarostu. Rodzinka prowadziła pociąg złożony z trzech wózków, a mama odhaczała kolejne pozycje z długiej na cztery strony listy zakupów wydrukowanej na laserowej drukarce. Inni klienci nie

różnili się jednak niczym od ludzi, których można spotkać w dowolnym innym spożywczo w Stanach. Albo i w Wielkiej Brytanii.

Czyli na razie obłąd jeszcze się nie zaczął. Poświęciwszy nieco czasu (którego miała aż nadto, przemierzając hektary maszynowo pucowanego wnętrza) na introspekcję, Olivia doszła do wniosku, że w rzeczywistości szuka czegoś, dzięki czemu jej podróż nie popadłaby w absolutny banał. Gdyby policja przepłoszyła ich z miejsca strzelaniny w Tukwili; gdyby musieli porzucić samochód w Górach Kaskadowych i na własną rękę przedzierać się na północ; gdyby na ciemnych ulicach Spokane ścigali ją członkowie gangu narkotykowego; gdyby wśród gór północnego Idaho roilo się od obłąkanych hitlerowców... Tak, wtedy jej sytuacja byłaby w jakiś sposób wyjątkowa. Ponieważ jednak nie zaszła żadna z wyżej wymienionych okoliczności, ostatnie dwa dni Olivia spędziła w najnudniejszy sposób, jaki umiała sobie wyobrazić, przekraczając po drodze jedną z najłatwiejszych do przekroczenia granic na świecie, oddzielając dwa względnie spokojne i potulne kraje.

Tak przynajmniej sobie wmawiała, dopóki nie znalazła się w tej części sklepu, w której wystawiono na sprzedaż telewizory. Setka klientów stała plecami do niej, śledząc na płaskich ekranach transmisję na żywo z jakiegoś wydarzenia.

Telewizory były nastawione na różne kanały: niektóre odbierały Fox News, inne CNN, jeszcze inne lokalne stacje z Sandpoint i Spokane - wszystkie jednak relacjonowały tę samą scenę ilustrowaną podobnymi obrazami: widziana z helikoptera droga przecinała zieloną, odsłoniętą okolicę. Zbliżając się do konstrukcji, która wyglądała jak punkt poboru opłat, rozszerzała się z dwóch do kilkunastu pasów, na których tłoczyły się stojące samochody. W samym środku tego korka ziała szara dziura. Krater. Jak po uderzeniu meteorytu. Pojazdy przy skraju dziury zostały zmiażdżone, potrzaskane i odrzucone od miejsca wybuchu, na dodatek wciąż dymiły, mimo systematycznego polewania wodą przez stojące w pobliżu wozy strażackie. Stłoczone w korku samochody zostały otoczone przez migające kogutami pojazdy służb ratunkowych. W ciżbie przeciskali się ratownicy z noszami. Z boku układano nieruchome kształty w czarnych workach na zwłoki.

Podeszła bliżej, żeby odczytać wiadomości na pasku u dołu ekranu.

EKSPLOZJA W OKANAGAN

WYBUCH W KOLUMBII BRYTYJSKIEJ

TERROR PUKA DO DRZWI USA?

Na kręconym z poziomu ziemi ujęciu flagi kanadyjska i amerykańska powiewały obok siebie. Wyglądało to na ulubione tło dla wszystkich reporterów na miejscu zdarzenia; Olivia doszła do wniosku, że muszą tam stać jeden przy drugim z mikrofonami w rękach. Ponieważ

mówiło ich kilku jednocześnie, rozdzielenie ich wypowiedzi sprawiało jej nieco kłopotu. Co rusz słyszała charakterystyczne frazy, których dziennikarze używają przy każdej okazji, gdy nie mają pojęcia, co się naprawdę dzieje. Od czasu do czasu któryś z nich streszczał wydarzenia „specjalnie dla widzów, którzy dopiero teraz do nas dołączyli”. Z paru takich streszczeń wywnioskowała, że do wybuchu doszło w Kanadzie, tuż przed granicą z USA, a to, co wzięła za punkt poboru opłat, było w rzeczywistości przejściem granicznym. Jeden z zatrzymanych do kontroli samochodów eksplodował, i to najwidoczniej z niezwykle impetem. Liczba ofiar śmiertelnych dobijała do setki, a nie uwzględniono w niej ciał, które po prostu wyparowały. Pracownicy służb ratunkowych nadal wyciągali nowych rannych i zabitych zakleszczonych w samochodach. Przeszukiwali również zgłiszcza zabudowań po obu stronach granicy.

Spikerzy w studiach zadawali reporterom oczywiste pytania: czy wiadomo, jak wyglądał samochód przewożący bombę? Czy znane są rysopisy jego pasażera lub pasażerów? Sytuacja była jednak w oczywisty sposób beznadziejna. Samochód i pasażerowie byli praktycznie niewidzialni dla wszystkich poza tymi, którzy utknęli w korku tuż przy nich - a ci z pewnością nie żyli.

* * *

- Nigdy nie było mi tak smutno, że miałam rację - powiedziała Olivia do Sokołowa, znalazłszy go popychającego wózek w alejce ze sprzętem turystycznym.

Zrównała się z nim i obrzuciła spojrzeniem zawartość koszyka. Zastanawiała się, czy zbiera zupełnie przypadkowe towary, żeby tylko uwiarygodnić swój kamuflaż klienta Walmarta, czy naprawdę zamierza kupić naboje kalibru 5,56 milimetra, filtr do wody, suszoną wołowinę, środek na komary, kapelusz maskujący, grube rękawice, liofilizowane jedzenie, rolkę czarnej folii, linkę spadochronową, baterie, składaną piłę i lornetkę w maskującej powłoce.

- Mówisz o wybuchu?

- Tak, mówię o wybuchu. Dojechałeś bez przeszkód?

Zamiast odpowiedzi Sokołow posłał jej podejrzliwe spojrzenie, niepewny, czy pyta serio.

- Nieważne - powiedziała. Przeszli kawałek w milczeniu. - Staram się po prostu ustalić, czy po powrocie do Londynu będę bohaterką, czy kozłem.

- Kozłem?

- Osobą, na którą zwali się całe niepowodzenie.

Sokołow tylko wzruszył ramionami, co nieszczególnie podniosło ją na duchu. Tak

jakby mówił: „Zawsze coś może się nie udać. I zawsze znajduje się kozioł ofiarny. Czasem tym kozłem jesteś ty”.

- To dla odwrócenia uwagi - obwieścił znieścacka Sokołow.

- Ciekawa myśl... Dlaczego tak uważasz?

- Taka potężna eksplozja? To bez sensu. Chodziło o to, żeby ciała wyparowały. Żeby zniszczyć dowody.

- Twoim zdaniem Jones wysłał paru swoich ludzi, żeby wysadzili się w powietrze gdzieś na widoku i w ten sposób ściągnęli na siebie uwagę...

- W tej chwili Jones przekracza granicę w Manitobie. - Sokołow znów wzruszył ramionami. - Tracimy czas.

Okazało się, że naprawdę zamierza kupić cały ten sprzęt. Nie dlatego, że przewiduje dla niego jakieś konkretne zastosowanie, ale po prostu dla zasady: po prostu wierzył, że należy przy każdej okazji zaopatrywać się w takie towary.

Świetnie by się wpisał w tutejszy krajobraz.

Ale tak naprawdę to chciał kupić rowery górskie. Przespacerował się już alejką z rowerami (musiał dotrzeć do Walmarta ładne kilka godzin wcześniej) i dokonał niepodważalnie logicznego wyboru. Musieli się jakoś dostać do posiadłości Jake'a Forthrasta nad Prohibition Creek (a właściwie „Kryk”, jak z uporem powtarzali mieszkańcy Iowa). W linii prostej dzieliło ich od niej trzydzieści mil, drogą nieco więcej. Autobusów nie było. Na rowerach, jeśli narzucą sobie przyzwoite tempo, powinni dotrzeć na miejsce przed zmrokiem.

Dopiero teraz Olivia zrozumiała, co miał na myśli, mówiąc o traceniu czasu: „Ja dojechałbym tam w dwie godziny, ale z tobą, na tym twoim babskim rowerku, będziemy się telepać ze cztery”.

Zakupy nie stanowiły problemu (jednej zalety nie sposób szpiegom odmówić - zawsze noszą przy sobie masę gotówki) i po niedługim czasie na tyłach Walmarta rozegrała się scena jak z rozpakowywania świątecznych prezentów: wyjęli rowery z wielkich płaskich pudeł, zmontowali je i wyrzucili karbowaną tekturę do kontenera na śmieci. Sokołow, który wzgardził butelkowaną wodą, napełnił kilka nowych kanistrów wodą z hydrantu, po czym za pomocą linki spadochronowej i elastycznych taśm zaczął mocować osprzęt na bagażnikach rowerów. Olivia uznałaby to nawet za zabawne, gdyby nie scena, którą niedawno oglądała w telewizji.

Ruszyli na północ. Ku wzgórzom.

* * *

Chmury rozproszyły się na krótką chwilę - w sam raz, żeby dać im niezaprzeczalny

dowód, że na dole jest zimno.

Seamus zapomniał o zimnie.

Będą musieli kupić cztery kurtki, w tym jedną w rozmiarze XXXL. Cztery czapki. Cztery pary rękawiczek.

Kiedy ostatni raz spłacał swoją kartę kredytową?

Nieważne, Marlon wyłoży kasę. Cztery kurtki to i tak betka w porównaniu z wynajęciem odrzutowca, którym właśnie lecieli, prawda? A Marlon nie tylko kupi kurtki, ale przy okazji zadba, żeby były stylowe, jakieś najmodniejsze wdzianka narciarskie albo coś w ten deseń. Może w jednym kolorze i w tym samym kroju; wyglądałoby wtedy jak Fantastyczna Czwórka.

Zafascynowany celnością tej analogii, Seamus obracał ją w głowie na wszystkie strony. Samolot zaczął podejście do lądowania. Stewardesa (wyglądało na to, że jedna stewardesa należy do standardowego wyposażenia prywatnego odrzutowca) ostatni raz przespacerowała się po kabinie, zebrała puste kieliszki i talerze z niedojedzonym sushi.

Csongor był oczywiście Benem Grimmem, Rzeczą. Seamus to Reed Richards - niezdamy lider, dziwnie elastyczny i wiecznie załatany. Marlon jak nikt inny nadawał się na Człowieka-Pochodnię. Yuxia byłaby więc...

Niewidzialną Dziewczyną? Fajnie by było.

Samolot przysiadł na ziemi i wkrótce potem znieruchomiał, a Seamus wyczuł falę melancholii ogarniającą całą Fantastyczną Czwórkę. Wynajęcie samolotu, przemknięcie się - nielegalne - na jego pokład w bazie wojsk lotniczych pod Manilą i wystrzelenie pod niebo (bo te samolociki miały niezłego kopa) było dla nich najbardziej upajającym doświadczeniem w życiu. Nawet Seamus, który zarabiał na życie walką z terrorystami, poczuł dreszczyk podniecenia. Dlatego lądowanie w szarej i smętnej bazie Lewis-McChord musiało wypaść przygnębiająco.

Wieloletnie doświadczenie w lataniu samolotami po całym świecie podpowiadało mu, że może się odprężyć, bo minie jeszcze dobre pół godziny, zanim będą mogli wsiąść, ale oczywiście prywatne odrzutowce rządzą się innymi prawami. Przez otwarte drzwi napłynęło wilgotne, pachnące sosnowym lasem powietrze i Seamus uświadomił sobie, że w każdej chwili może wyjść na zewnątrz.

- Dzięki za przejażdżkę, Marlon - powiedział. Wstał i kolejny raz wyrznął głową w sufit.

- Dzięki, że mnie stamtąd wyciągnąłeś - odparł z uśmiechem Marlon. Również wstał, ale przygarbił się ostrożnie.

Seamus pogroził mu palcem.

- Podziękujesz mi za kwadrans - uprzedził.

* * *

- Wyjaśnijmy to sobie - powiedział szef Freddiego przez hiperszyfrowane łącze głosowe z Langley. Nie jest dobrze, kiedy takie słowa padają z ust człowieka, który ogromnie przewyższa nas w służbowej hierarchii.

- Nie prosimy o pieniądze - zastrzegł Seamus, zanim Freddie zdążył zareagować.

- Rozumiem - przyznał szef. - Zawsze to jakiś plus.

- Nie prosimy też o drukowanie paszportów ani szachrajstwa w papierach.

- Problem polega na tym - wtrącił cokolwiek nerwowo Freddie - żeby w papierach nie został żaden ślad.

- Dwoje Chińczyków i Węgier pojawiają się w Stanach znikąd i nie zostaje po tym żaden ślad w dokumentacji, tak?

- Węgier jest w porządku, ma wizę.

- Czyli dwoje Chińczyków.

- Tak.

- Biorąc pod uwagę, że do Seattle regularnie przyływają całe kontenery nielegalnych chińskich imigrantów, dwoje więcej nie zrobi różnicy.

- I o to chodzi! - wtrącił się Seamus. - Zwłaszcza że to nie są biedacy szukający roboty. Dajcie im dwa tygodnie, a oboje staną na czele wielkich korporacji.

- Chyba że nie dostaną zielonej karty.

- Z tą dziewczyną to ja się chyba ożenię - przyznał Seamus. - Tak sobie myślę. To by wyklarowało jej status.

Freddie spojrział na niego z niedowierzaniem.

- Ona o tym wie?

- Nie. To tylko przeczucie.

- Twoje przeczucie.

- Robię postępy.

- Interesuje mnie raczej to, czy więzecie z tymi ludźmi jakieś długofalowe plany, inne niż matrymonialne, które mogłyby później zrodzić komplikacje - powiedział szef.

- Nie ma sensu koncentrować się na hipotetycznych komplikacjach - zauważył Seamus. - Najważniejsze jest to, że cała trójka miała osobisty kontakt z Abdallem Jonesem: staranowali jego samochód, strzelili mu w głowę, byli przez niego torturowani... I to wszystko bardzo, bardzo niedawno. Nie uważa pan, że są warci darmowego biletu do Langley?

Moglibyśmy im chociaż kawę postawić...

- Możemy im postawić kawę w Manili - zauważył przytomnie szef.

- Ale wtedy ryzykujemy, że zostaną aresztowani. A wówczas informacje posypią się jak cukierki z przedziurawionej *piñaty*.

- Po naszej stronie nie widzę przeszkód, o ile wylądują w bazie wojskowej - przyznał szef. - Ale wsadzenie ich tam u was do samolotu, z pominięciem formalności... No, to już nie moja działka.

- Wystarczy, że wyprzecie się wszelkiej wiedzy o naszych działaniach - zaproponował Seamus. - Resztę sami załatwimy.

Zerknął na Freddiego w poszukiwaniu potwierdzenia. Freddie się skrzywił (był w tym mistrzem) i pokiwał głową.

- To najłatwiejsza decyzja w moim życiu. Możecie się uważać za wypartych.

* * *

Ale po tej rozmowie Seamus nadal nie miał zielonego pojęcia, czego się spodziewać, kiedy dwadzieścia godzin później schodził po małych schodkach na posadzkę hangaru. Baza Lewis-McChord była wspólną placówką sił lądowych i powietrznych, i to dość ważną w światowej wojnie z terroryzmem, ponieważ stacjonowały w niej intensywnie wykorzystywane w Afganistanie Stryker Brigades. Przy okazji była również istotną bazą sił specjalnych. Seamus dobrze ją znał. Znajdowała się godzinę jazdy na południe od Seattle, wśród wilgotnych i błotnistych lasów, przy których klimat Seattle wydawał się wręcz pustynny.

Surrealistycznie ascetyczne realia bazy przywodziły na myśl filmy Davida Lyncha. Samolot (najwyraźniej na polecenie z wieży kontrolnej) po lądowaniu pokołował wprost do niedużego hangaru, który był prawie pusty. Potężne reflektory próbowały wypchnąć mglistą szarugę napływającą przez napędzane silniczkami elektrycznymi wrota, które właśnie zamykały się z turkotem.

Poza samolotem w hangarze znajdował się brunatny mikrobus z naklejką uwaga dziecko w samochodzie na oknie i mnóstwem wstążeczek wspieramy naszych żołnierzy na tylnych drzwiach. Obok stał ubrany po cywilnemu mężczyzna, którego postawa i fryzura zdradziłyby żołnierza, nawet gdyby Seamus nie wiedział, kogo ma przed sobą: Marcus Shadwell, major z miejscowej jednostki sił specjalnych. W przeszłości bywali z Marcusem w różnych zabawnych miejscach i sytuacjach.

Ale to miejsce i ta sytuacja były chyba najzabawniejsze ze wszystkich.

- Gdzie oni są? - spytał na dzień dobry Marcus.

- Kurde, Marcus, są w środku! Spodziewałeś się, że przywiążemy ich do bagażnika na dachu?

- Czas nagli. Mam rozkaz wywieźć was z bazy do świata cywilów.

Marcus rozłożył ręce, pokazał puste dłonie i udał, że się wycofuje, po czym zatarł ręce, jakby je umywał.

* * *

Odstawił ich na oddalone o parę mil lotnisko cywilne na przedmieściach Olympii, które było wystarczająco duże, żeby miały tam swoje biura dwie wypożyczalnie samochodów. Seamus wszedł do jednej z nich i wziął SUV-a; przynajmniej do tego przydała się karta kredytowa. Marcus pomógł im przenieść mikroskopijny bagaż z mikrobusu do ich nowej bryki. Marlon i Yuxia skulili się na tylnym siedzeniu, zabijając ręce i drżąc z zimna. Csongor przeciwnie - był w swoim żywiole i rozglądał się z zaciekawieniem, które z lekka drażniło Seamusa. Na lotnisku znajdował się urząd celny i Seamusa dręczył paranoiczny lęk, że lada moment wyroją się z niego uzbrojeni celnicy w mundurach i zażądają dokumentów.

Nic takiego jednak nie nastąpiło.

- Ja spadam - powiedział Marcus.

- Doceniam to, co zrobiłeś. Może w przyszłości jakoś się odwdziczę - odparł Seamus, ale Marcus już odwrócił się do niego plecami i pomykał ku otwartym drzwiom mikrobusu, jakby spodziewał się, że za chwilę wybuchnie strzelanina.

Nie przekraczając dozwolonej prędkości (co przyszło mu z trudem), Seamus wyjechał na międzystanową i cofnął się parę mil do wybudowanego na odludziu centrum handlowego, które zauważył i otaksował wzrokiem, kiedy Marcus wiózł ich do świata cywilów. Jego ośrodkiem był supermarket myśliwsko-turystyczny Cabela, w którym powinni bez problemu kupić ciepłe ubrania. Cabela była - jak zwykle - otoczona wianuszkami mniejszych sklepików, punktów usługowych i restauracyjek, które karmiły się klientelą giganta, nie konkurując z nim bezpośrednio.

Wylądowali w knajpce serwującej *teriyaki*, gdzie na płaskim telewizorze ze ściszym dźwiękiem mogli śledzić wiadomości z przejścia granicznego, na którym wybuchła bomba.

Ta właśnie eksplozja stała się przedmiotem rozmowy telefonicznej Seamusa z jego szefem w Langley. Wyszedł na dwór i przechadzał się tam i z powrotem przed oknami restauracji, patrząc, jak Rzecz, Człowiek-Pochodnia i Niezupełnie Niewidzialna Dziewczyna pochłaniają swoje *teriyaki*. Nad ich głowami widział w telewizorze krater i ciała w workach, a tu, na zewnątrz, deszcz pluł mu w twarz, co wydało mu się dziwnie stosowne.

- Moim zdaniem nasza operacja została zakończona - powiedział szef. - Pozostało

tylko napisanie raportów.

- Niemożliwe - zaproponował Seamus. - Przecież ta bomba w samochodzie to oczywista...

- ...pozoracja, za pomocą której Jones odwrócił naszą uwagę od swojego prawdziwego planu - dokończył za niego szef.

Seamus zaniemówił, co było dla niego stanem niezwykłym.

- Też się domyśliłeś? - wykrztusił w końcu.

- Owszem. Nie ty jeden wiesz, co to jest pozoracja.

- Ale w takim razie...

- Przez najbliższe cztery doby, może nawet i przez tydzień, nie będzie to miało żadnego znaczenia. Dlatego, że ten manewr się udał, Seamus. Czy ci się to podoba, czy nie, czy to była pozoracja, czy nie, fakty są takie, że terrorysta-samobójca wysadził się w powietrze na przejściu granicznym, zabierając ze sobą do grobu stu piętnastu obywateli Kanady i USA, i w najbliższym czasie całe FBI, Królewska Konna i wszyscy inni na tym właśnie skoncentrują swoje wysiłki.

- No to co ja mam zrobić?

- Macie samochód?

- Mhm.

- A pieniądze? Karty kredytowe? Nikt ci nie choruje?

- Wszystko jest w najlepszym porządku, do diabła!

- W takim razie ruszajcie na wschód. Po drodze pokaż dzieciakom Mount Rushmore.

Może kiedy tu do nas dotrzecie, uda mi się wykroić trochę czasu i przepytam twoich kumpli. Jest jeszcze Little Bighorn. Cudzoziemcy łykają takie bzdety jak mała kit.

- A co z Olivią? Co ona kombinuje?

- Olivia! - wykrzyknął szef. - Ma dziewczyna szczęście, że ten klient się wysadził.

- Niby jak?

- Ano tak: (a) to dowodzi, że miała rację; (b) FBI i miejscowe gliny mają teraz ważniejsze sprawy na głowie, niż biadolenie na zamieszanie w Tukwili.

- Co to jest Tukwila i co zrobiła tam Olivia?

- Wszystko ci opowiem, jak przyjedziecie.

- A co robi w tej chwili?

- Nie mam pojęcia. I zapewniam cię, że to dobrze.

* * *

Zakupy w Cabeli przebiegły z grubsza tak, jak Seamus zaplanował, z tą tylko różnicą,

że wyszli ze sklepu ubrani w panterki. Taki towar: w Cabeli sprzedawali wyłącznie ubrania w maskujących barwach. Amatorzy modnych kurtek narciarskich w jaskrawych kolorach musieli poszukać innego sklepu.

Domyślił się, że kultura myśliwska w Chinach nie jest przesadnie rozwinięta.

- Czy to tutaj żołnierze kupują mundury? - spytała Yuxia, gapiąc się na ciągnące się kilometrami regały z wszelkimi możliwymi częściami garderoby w kilku najnowocześniejszych deseniach maskujących.

Jej zdumienie było nawet zrozumiałe: niedawno wjechała na terytorium obcego kraju, a Seamus nie bawił się w tłumaczenie, gdzie przebiega granica między olbrzymią bazą wojskową, w której wylądowali, i światem cywilnym. Teraz musiał poświęcić kilka minut na wytłumaczenie jej i Marlonowi, że w tych okolicach dużo ludzi poluje, a jeszcze więcej lubi obnosić się ze swoimi myśliwskimi zamiłowaniem; dla nich kamuflaż jest wyznacznikiem kulturowym, dlatego ubierają się w Cabeli. Inaczej mówiąc, Marlon, Csongor i Yuxia mogli kupić w tym sklepie co tylko dusza zapragnie, nie narażając się na oskarżenia o bezprawne noszenie mundurów i insygniów sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych. Kiedy pierwszy wstrząs minął, Yuxia była tym wszystkim serdecznie ubawiona.

Fantastyczną Zagraniczną Czwórkę oszołomiły także rozmiary i różnorodność asortymentu w dziale z bronią palną. Tym sposobem stracili dalsze trzy kwadransy na przeżywanie szoku kulturowego w czystej postaci. Seamus widział, że Csongor pożądlawie zerka na M1911; na szczęście wymagane przy takim pistolecie formalności uniemożliwiły dokonanie zakupu, więc ten związek nie mógł wyjść poza fazę platoniczną. Ze względu na nietypowy sposób przekroczenia granicy Seamus nie musiał się rozstawać z pistoletem (miał sig sauera), ale został mu już tylko jeden magazynek. Kiedy więc pozostała trójka pochłonęło bieganinę od przymierzalni do wieszaków i z powrotem, nabył dwa zapasowe puste magazynki i cztery pudełka naboju, oraz kaburę, w której mógł nosić broń ukrytą pod kurtką. Nie spodziewał się, żeby musiał jej użyć - czy choćby dobyć - jadąc przez Stany i oprowadzając podopiecznych po Mount Rushmore, ale skoro już miał pistolet, musiał go nosić w jakiś bezpieczny i nie rzucający się w oczy sposób. Nie mógł tak po prostu wrzucić go luzem do plecaka.

Załatwiwszy sprawę sig sauera, zgarnął Yuxię strojącą miny do lustra i ubraną w strój maskujący, w którym wyglądała jak miniaturowa enta. Kręciło się jej trochę w głowie, co złożył na karb *jetlagu*, szoku kulturowego i traumy emocjonalnej po wyrwaniu z łona ojczyzny i rodziny. Biorąc jednak pod uwagę, że po tej stronie Pacyfiku żyło całe mnóstwo Chińczyków z pochodzenia, których przodkowie przybyli do Stanów w najbardziej

popieprzonych okolicznościach, jakie można sobie wyobrazić, Seamus podejrzewał, że gdyby całą tę eskapadę zorganizować profesjonalnie, może nawet z udziałem psychologów, mógłby dać Yuxii namiary na odpowiednie grupy wsparcia. Ponieważ jednak na razie nie mieli innego wyjścia niż wrócić do SUV-a i ruszyć w dalszą drogę, chwilowo będzie musiała z tym żyć. A on będzie musiał mieć ją na oku.

Oto jak się rozgościli: Csongor usiadł z przodu, obok kierowcy. Yuxia skuliła się z tyłu w kącie, w przytulnym gniazdku uwitym z nowo nabytych ciuchów maskujących, i poszła spać. Marlon usiadł na samym środku tylnej kanapy, zasłaniając Seamusowi widok w lusterku wstecznym, i z należytą ciekawością obserwował przesuającą się za oknami Amerykę. Seamus czuł się trochę jak jeden z tych emerytowanych wojskowych, którzy zatrudniają się jako ochroniarze sławnych ludzi i obwożą gwiazdy rocka po kraju.

Odczuwał niewytłumaczalną potrzebę szybkiego oddalenia się od metropolii Seattle-Tacoma, skierował się więc na wschód przez góry, za którymi rozpościerała się pustynia, gdzie miało się wrażenie, że już nic nie stoi na drodze pomiędzy nimi i Oceanem Atlantyckim. Przeszedł w tryb podróży, wcisnął gaz do dechy i pognał międzystanową dziewięćdziesiątką na złamanie karku, jakby jutra miało nie być. Autostradowa gorączka poniosła go prawie do granicy stanu i tylko takie przyziemne problemy jak ograniczona pojemność pęcherza i zbiornika na paliwo zakłócały ten idealny sen kierowcy. Co rusz dostrzegał drogowskazy do czegoś, co nazywało się Spokane. Kojarzył tę nazwę. Okazało się, że jest to całkiem przyzwoitej wielkości miasto z nieodłącznym zestawem centrów handlowych i sieciowych hoteli. Ponieważ jednak żaden z hoteli nie wydał mu się idealny, jechał dalej, aż niepostrzeżenie wjechał do Idaho - i to nie wyjeżdżając ze Spokane, które wypuściło nibynóżkę podmiejskiej zabudowy na drugą stronę granicy stanu, wymacując sobie drogę do miejsca zwanego Coeur d'Alene. Właśnie tam Seamus wypatrzył niedrogi sieciowy hotelik swoich marzeń, stojący w samym środku ciągnącego się przez osiemset mil pasa zabudowy, zawierającego także (w odległości nie przekraczającej kilkuset jardów od wejścia do hotelu) stację benzynową z dwunastoma dystrybutorami i sklepem wielobranżowym, oraz restaurację, po której można się było spodziewać własnego mikrobrowaru i piwa z kija. Posługując się swoją kartą kredytową (która, o dziwo, nadal nie została zablokowana), wynajął trzy pokoje: osobny dla Yuxii, bo była dziewczyną; osobny dla Marlona, bo - jakkolwiek by patrzeć - to on *de facto* za wszystko płacił i własny pokój mu się po prostu należał; oraz wspólny dla siebie i Csongora, ponieważ nawiązała się między nimi nie porozumienia granicząca z przyjaźnią.

Umówili się na spotkanie godzinę później w recepcji, skąd mieli się przenieść do

restauracji, w której była szansa na dobre piwo.

Seamus pierwszy wszedł do holu, gdzie nie pozostało mu nic innego, jak wziąć się za przeglądanie broszur reklamowych na stojaku w recepcji - folderów promocyjnych ośrodków narciarskich, reklam parków rozrywki, ulotek zachęcających do wycieczek po kopalniach złota, wypraw wędkarskich i przejażdżek na skuterach wodnych po pobliskim jeziorze. Szybko się znudził i usiadł, ale wciąż dręczyła go jakaś uparta myśl. Myśl, której nie miał w głowie, gdy schodził do holu. Wstał, podszedł do stojaka i prześlizgnął po nim wzrokiem w poszukiwaniu źródła tej podprogowej irytacji.

Winnego znalazł dopiero przy trzecich powolnych oględzinach: słowo „Elphinstone”.

To była schematyczna mapa Międzynarodowej Pętli Selkirka złożonej z odcinków amerykańskich i kanadyjskich autostrad łączących się na granicy i - sądząc po zdjęciach - poprowadzonych wśród pięknych gór i jezior. Broszura usilnie starała się przekonać Seamusa, że w ciągu jednego lub dwóch dni nieśpiesznej jazdy motocyklem albo kamperem można zatoczyć takie koło, nasycić się pięknem przyrody, pojeść dobrych rzeczy i nakupować fajnych pamiątek. Krótko mówiąc, była to rasowa broszura turystyczna, w której nie byłoby niczego interesującego, gdyby nie to jedno słowo: Elphinstone.

Tak się nazywało miasteczko, w którym znajdował się ośrodek narciarski Richarda Forthrastra. Miejsce, w którym dwa dni temu Richard przepadł bez wieści.

Poprawka: Seamus nie miał żadnych twardych dowodów na zaginięcie Richarda, który po prostu nagle przestał grać w *T'Rain*. A to wątpa poszlaka. Uplłynęło jednak około dwudziestu czterech godzin (trudno to było dokładnie ocenić przy tych zmianach stref czasowych, ale na pewno minęło sporo czasu), odkąd Seamus ostatni raz interesował się Edgodem. Sądząc ze słów szefa, Olivia miała własne problemy, związane z miejscem, człowiekiem lub obiektem o nazwie „Tukwila”. Jones i jego zausznicy podkładali bomby, żeby zwabić w wybrane miejsce gliniarzy z całego świata. Było więc całkiem prawdopodobne, że chwilowo nikt się nie zajmował nieco tajemniczą sprawą prawdopodobnie zaginionego producenta gier komputerowych. Seamus też o tym nie myślał, przynajmniej nie świadomie, odkąd najważniejszą sprawą stało się przemycenie trójki podopiecznych do Stanów; co najmniej przez ostatnią dobę bazował głównie na instynkcie i odruchowych reakcjach. Kiedy człowiek utknie w amerykańskiej ambasadzie w Manili z trójką nielegalnych imigrantów, którym w każdej chwili grozi aresztowanie i deportacja, trudno się skupić na hipotetycznych wydarzeniach rozgrywających się - albo i nie - na granicy Idaho i Kolumbii Brytyjskiej.

Teraz jednak znalazł się na miejscu, i to jak najbardziej dosłownie, bo kiedy

wyciągnął ze stojaka broszurę poświęconą Pętli Selkirka, na samym dole mapy znalazł Coeur d'Alene. Jego wzrok przeskakiwał z góry na dół i z dołu do góry: Elphinstone, Coeur d'Alene, Elphinstone, Coeur d'Alene.

Jedynym problemem była pozioma linia przecinająca pętlę na dwoje: granica amerykańsko-kanadyjska. Marlona i Yuxii za diabła przez nią nie przemyci.

Ale może nie będzie musiał. Może to, czego szuka, samo do niego przyjdzie.

- Seamus?

Podniósł głowę. Stali przed nim Csongor, Marlon i Yuxia, świeżo wypucowani i jakby żywcem wyjęci z xiameńskiego oddziału oficjalnego fanklubu Lynyrd Skynyrd. Miał wrażenie, że przyglądają mu się już dłuższą chwilę, czekając, aż otrząśnie się z zadumy.

- Głodny? - spytał Csongor, chociaż, prawdę mówiąc, miał to w dupie. Ważne, że on, Csongor, był głodny.

Jakaś część umysłu Seamusa zadała sobie pytanie, dlaczego po prostu nie poszli do restauracji i nie zamówili sobie czegoś do jedzenia, jeśli o to im właśnie chodziło. Kłopot w tym, że to on ich tu przywłókł i wpakował w sytuację, w której byli całkowicie od niego uzależnieni. Sam się mianował doktorem Reedem Richardsem w tej drużynie superbohaterów, musiał więc wziąć na siebie odpowiedzialność za nich.

- Pewnie - przytaknął. - Po prostu planowałem jutrzejsze ekstrawagancje.

- Super! - ucieszyła się Yuxia. - Ekstrawagancje!

Przełożyła koncept ekstrawagancji na mandaryński na użytek Marlona, który bez przekonania pokiwał głową.

Csongor, który nie był do końca pewien, ile sarkazmu zawiera się w stwierdzeniu Seamusa, przyglądał mu się teraz ze wzmożoną czujnością.

- Co ci chodzi po głowie? - zapytał.

- Sam widzisz, że ubraliśmy się jak na polowanie.

- Nie mamy broni.

- Mów za siebie.

Csongor zrobił się jeszcze bardziej podejrzliwy. Seamus zerwał kontakt wzrokowy i odwrócił się do stojaka z reklamówkami.

- Żartowałem - powiedział i powiódł palcem wskazującym po rządku ulotek, szukając w nim czegoś, co wcześniej zwróciło jego uwagę. Jest! Wyjął broszurkę i ruszył do wyjścia. - Idziemy jeść - zarządził.

Tamci jednak nie dali się tak łatwo spławić: doskoczyli do niego i zaczęli mu zaglądać przez ramię albo zza łokcia, usiłując odczytać tytuł na okładce: Loty helikopterem nad

Górami Selkirka.

* * *

Przeprowadziwszy terrorystów przez kopalnię, Richard uzmysłowił sobie, że przysła pora na najgenialniejszą akwizytorską sztuczkę w jego życiu: musiał przekonać Abdallaha Jonesa, że ominięcie American Falls nie będzie dziecinną igraszką i umiejętności przewodnika w dalszym ciągu (mówiąc językiem tego, no, jak-mu-tam... dyrektora generalnego Korporacji 9592) „mają krytyczne znaczenie dla powodzenia misji”; innymi słowy - że Richard nadal może mieć cenny wkład w tę eskapadę.

Nie umiał się jednak do tego zmusić, i to z tego samego powodu, dla którego - gdy tylko Korporacja 9592 nadmiernie się rozrosła - nie potrafił wysiedzieć spokojnie na zebraniach i pomału zdryfował na peryferie gremiów decyzyjnych. Wolał brać sprawy w swoje ręce i coś robić. Był z natury farmerem. Hydraulikiem. Lokomotywą.

Znacznie gorzej radził sobie z manipulowaniem innymi ludźmi, przekonywaniem ich do swojego punktu widzenia, namawianiem, żeby go w czymś wyręczyli. Po prostu uważał, że mogą walić się na ryj i nie zamierzał w najmniejszym stopniu angażować się w tłumaczenie im czegośkolwiek.

Wynikało to prawdopodobnie z zaszczepionego mu dawno temu przekonania, że istnieje rzeczywistość obiektywna, którą wszyscy warci uwagi ludzie są w stanie dostrzec i zrozumieć. I dopóki zadawał się wyłącznie z takimi ludźmi - którzy mieli dość rozumu, żeby tę rzeczywistość dostrzec i zrozumieć - nie musiał tracić czasu na zbędne gadki. Kiedy nad prerii nadciąga burza, zdejmuje się pranie ze sznurka i zamyka okna; nie trzeba do tego zwoływać zebrania i angażować działu handlowego.

Stąd właśnie wziął się u niego nowy przypływ zaangażowania w sprawy firmy, kiedy na horyzoncie pojawiły się kłopoty przypisywane reowojnie. Reowojna sprawiła, że musiał zrobić coś konkretnego - przyszedł więc i to zrobił. Tak samo było z poszukiwaniem Zuli - dopóki istniały drzwi, które dało się rozwalić młotem, poświęcał się temu bez reszty, natomiast później, kiedy możliwości działania sprowadziły się do utrzymywania na Facebooku strony *Gdzie jest Zula?* i podlizywania się policji, stał się apatyczny i bezużyteczny.

Następna sprawa: Jones mu zagroził, że jeśli nie przeprowadzi go przez kopalnię, zabije Zulę - więc Richard spakował śpiwór, trochę ciepłych ubrań i wziął się do roboty. O wschodzie słońca przebili się na drugą stronę gór i z południowego stoku mogli podziwiać widok, który w innych okolicznościach sprawiłby mu wielką przyjemność. Nisko zawieszone słońce podpałało przeświecające, poszarpane zasłony mgły wznoszącej się znad wiekowych

cedrów, w oddali huczał spęczniały od topniejącego śniegu wodospad, Góry Selkirka, Purcella i inne pasma maszerowały w dal, a ich szczyty wznosiły się nad błękitnymi jeziorami i przepastnymi dolinami. Kilka mil na południe od granicy z piarzystych fortyfikacji wznosił się granitowy masyw Abandon Mountain. Stroma wschodnia ściana lśniła w gęstym złotym blasku wschodzącego słońca.

Misja zakończona. Spojrzawszy stąd na drugą stronę granicy, Jones z pewnością rozumiał (każdy głupi by zrozumiał), że może teraz palnąć Richardowi w łeb i zostawić trupa tu, gdzie stoją. Nawet bez jego pomocy udałoby im się jakoś obejść wodospad i przeniknąć do Stanów.

Inaczej mówiąc, nadeszła pora, by zaangażować w transakcję dział handlowy: należało zaprosić Jonesa na lunch, dopieścić go, ukształtować jego percepcję rywalizacji i wykuć partnerską relację. Czyli zająć się dokładnie tym, od czego Richard przez całe swoje życie skutecznie się migał, nawet jeśli w grę wchodziły ogromne sumy pieniędzy.

Teraz na szali spoczęło jego życie, nie miał nikogo do pomocy, a mimo to nadal nie umiał się do tego zabrać. Nie był w stanie wyzbyć się przekonania, że Jones może walić się na ryj, bo on, Richard, nie zamierza w żaden sposób zabiegać o jego względy. Może dlatego, że za bardzo kojarzyło mu się to z płaszczaniem się przed Jonesem. Tak, na tym polegał prawdziwy problem: Richard nienawidził się podlizywać.

Przy wyjściu z kopalni zatrzymali się na chwilę, żeby popodziwiać widoki, zastawić ostatnią pułapkę, zaparzyć herbatę, pomodlić się i sprawdzić zasięg w telefonach. Całkiem rozsądnie. Miało się wrażenie, że cała północna wypustka Idaho znajduje się tu w zasięgu wzroku, więc gdzieś tam musiał się znajdować maszt telefonii komórkowej. Eksperyment zakończyłby się bardzo szybko, gdyby zasięgu nie było w ogóle, okazało się jednak, że niektórzy dżihadyści łapią na wyświetlaczach jedną kreskę - pod warunkiem jednakże, że staną we właściwym miejscu, przyjmą właściwą postawę, chwycą telefon we właściwy sposób i wezwą na pomoc siły wyższe. Richard miał ochotę doradzić im kąśliwie, żeby zwrócili się w stronę Mekki, uznał jednak, że nie pomogłoby mu to przedłużyć życia. W pewnym momencie cały ten rytuał telefoniczny stał się niedorzeczny, ponieważ jednak ci faceci byli pozbawieni nowoczesnego poczucia humoru, nie potrafili dostrzec ironii tej sytuacji.

Nie, to nie tak. Przecież większość z nich żyła od jakiegoś czasu na Zachodzie i miała poczucie humoru wyrobione nie gorzej od przeciętnego amerykańskiego czternastolatka, który, siedząc na kanapie, ogląda powtórki *South Parku* i wyzłośliwia się na Tweeterze. Tyle że oni świadomie je odrzucili i niczym palacze lub alkoholicy, którzy niedawno rzucili nałóg,

trwali w swojej czystości z dogmatyzmem większym niż ci, którzy znaleźli się w tym samym punkcie w sposób naturalny. Tylko Jones miał dość pewności siebie, żeby pozwolić sobie na odrobinę rozbawienia. Dlatego też właśnie z nim Richard złapał kontakt wzrokowy.

- To jak będzie? - spytał Richard, gdy nacieszyli się tą chwilą. - Zastrzelisz mnie od razu, czy mam wam jeszcze pokazać najdogodniejsze obejście American Falls?

- Na razie odpowiada mi obecny układ - odparł Jones. - Jeżeli coś się zmieni, pierwszy się o tym dowiesz. O ile się zorientujesz.

- Poruszyłeś ciekawą kwestię... Pytanie brzmi: czy się zorientuję? Co to ma być, przewlekłe ścięcie? Czy szybka kula w łeb?

Richard z niejaką fascynacją obserwował, jak Jones naprawdę się nad tym zastanawia.

- Biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, wolałbym, żebyś zdążył się wcześniej pomodlić. Może nawet spisać oświadczenie. Ale jeżeli niespodziewanie znajdziemy się w jakiejś niezręcznej sytuacji, może nie być na to czasu.

- To jest twój program motywacyjny dla mnie? Wbudowana w system kara za „niezręczne sytuacje”?

- W programie motywacyjnym, z czego z pewnością zdajesz sobie sprawę, główną rolę odgrywa Zula. Niestety, z powodu braku zasięgu nie możemy się porozumieć z naszymi towarzyszami. Możesz więc bezpiecznie założyć, że Zula nadal żyje. Możesz ten stan przedłużyć, unikając pakowania nas w niezręczne sytuacje, tudzież wyświadczać nam inne przysługi.

- Chcesz powiedzieć, że gdybyście złapali więcej niż jedną kreskę, kazałbyś zabić Zulę?

- Nie trzymamy się sztywnego planu. Oceniamy sytuację na bieżąco.

- W takim razie jak oceniasz fakt, że siedzimy w odsłoniętym miejscu, i z dołu doskonale nas widać? Na co czekamy?

- To jest Abandon Mountain? - spytał Jones, jakby nie słyszał słów Richarda. Ruchem głowy wskazał znajdujący się na południu szczyt.

- Tak.

- Z drugiej strony biegnie tam droga.

- Zgadza się, dochodzi do podnóża góry. Tam właśnie musimy się dostać.

- W takim razie ruszajmy. - Jones wstał i otrzepał tyłek z kurzu.

Richard właśnie go zadaniował: powiedział, że muszą się przenieść, bo ich obecna pozycja jest zbyt odsłonięta. Jones, który nie chciał okazać mu posłuszeństwa, udął, że go nie słyszy, ale już chwilę później postąpił zgodnie z jego sugestią, zachowując się jednak tak,

jakby sam wpadł na ten pomysł. O, i to był ciekawy projekt psychologiczny, wart zaangażowania Richarda, gdyby tylko udało mu się znaleźć - lub stworzyć - dalsze okazje do jego rozwinięcia.

Sposobność taka nadarzyła się już niebawem, gdy znaleźli się w miejscu, z którego oczywista ścieżka odchodziła mniej więcej w kierunku Abandon Mountain. Każdy złotodziób w branży szmuglowania trawki przez granicę próbował pójść tą ścieżką, tylko po to, żeby dwie godziny później stwierdzić, że znalazł się w ślepym zaułku. Aby się upewnić, że istotnie jest to ślepy zaułek, należało poświęcić dalsze kilka godzin na próby wydostania się zeń - i w ten sposób stracić większość dnia. Dlatego w tym momencie Richard był zmuszony wczuć się w rolę akwizytora i przekonać Jonesa, że lepiej będzie zboczyć z łatwej i oczywistej ścieżki i przez następne parę godzin przedzierać się w dół zbocza, które, gdyby wytyczyć na nim szlak z prawdziwego zdarzenia, pokryłoby się nieskończonym ciągiem gęsto upakowanych zygzaków. Nikt jednak nie zdołałby poprowadzić tu szlaku bez użycia taktycznej broni atomowej. Powierzchnię stanowił pierwotny piarg pokryty zwalonymi kłodami, które z kolei okrywała luźna i śliska piana mchu i gnijącej roślinności. Po stosownym oznakowaniu rozdroża zieloną farbą fluorescencyjną, poświęcili cztery godziny na zejście w dół zbocza. Na mapie przemieścili się przez ten czas o jakieś pół mili.

W czasach, kiedy był przemytnikiem narkotyków, Richard przemierzył tę drogę trzy lub cztery razy, zanim kompletnie stracił do niej cierpliwość. Pierwszy raz przyszedł tu zaopatrzony tylko w zapas jedzenia i śpiwór, i strawił kilka dni na poszukiwaniu szybszej i łatwiejszej drogi na dół - którą w końcu znalazł: ryzykowny skrót schodził najpierw na dno suchego łożyska potoku, skąd już znacznie łatwiej wyprowadzał do miejsca nieco powyżej wodospadu. Gdyby nie to odkrycie, jego rodząca się dopiero kariera szmuglerska zostałaby zdławiona w zarodku przez czystą nieatrakcyjność tego odcinka trasy.

Nie odczuwał jednak szczególnej potrzeby, by podzielić się wiedzą o skręcie z Jonesem i jego ludźmi. Na razie utknęli w miejscu pozbawionym zasięgu telefonii komórkowej, co znacząco ograniczało możliwość wyrządzenia przez nich szkód. Im dłużej utrzyma się ten stan rzeczy, tym większa szansa, że ktoś znajdzie ślady jego pośpiesznej wyprowadzki ze *Schlossu* i uruchomi śledztwo z prawdziwego zdarzenia.

W dodatku, czy tego chciał, czy nie, prowadził ich prosto do miejsca zamieszkania Jake'a. Robił to jednak po to, żeby ocalić życie bratanicy, i wszystko wydawało się proste, dopóki nie wyszli z kopalni i nie zobaczył Abandon Mountain - bo od tej pory bardzo intensywnie myślał o tym, że prowadzi bandę terrorystów wprost do małego domku w górach, w którym znajdują się dwaj jego bracia, jedna bratowa i trzech bratanków.

Dlatego podczas długiego przedpołudnia poświęconego na zejście w dolinę rzeki ułożył sobie w głowie plan, w myśl którego jeszcze tej nocy miał się wymknąć z obozowiska, dotrzeć do domu Jake'a i wszystkich ostrzec.

Nad rzeką urządzili sobie długą sjestę, znów się pomodlili, zrobili obiad, dali odpocząć obolałym mięśniom i poowijali skręcone kostki bandażami. Richard nasunął kapelusz na twarz i udawał, że drzemie; w rzeczywistości nie zmrużył oka i szlifował w myślach swój plan. Po tej przerwie będzie dziś jeszcze jeden zryw, w którym przeprowadzi ich na drugą stronę wodospadu - to kolejna zdumiewająco trudna operacja. Potem rozbiją obóz na noc. Jones go zabije albo nie. Jeśli nie, Richard odczeka do zmroku i spróbuje uciec. Wodospad znajdował się w głębokiej niecce skalnej, której dno porastała karmiąca się wodną mgiełką roślinność. Gąszcz był tam taki, że nawet sygnał GPS nie miał szansy się przebić, a co dopiero zwykła komórka.

Gdyby tylko miał jeszcze latarkę... Nagle przypomniał sobie, że przecież ma latarkę - małą diodę w breloczku do kluczy. Wody zaczerpnie z rzeki. Przydałyby się jakieś batoniki energetyczne. Miał dwa w plecaku, wystarczy, że przełoży je dyskretnie do kieszeni i załatwione.

W ciągu kilku godzin, od beznadziejnego cynizmu przeszedł (poprzez narodziny wariackiego pomysłu i jego dopracowanie) do fazy, w której uznał, że to się może udać. I że tego właśnie spróbuje.

Kiedy ruszyli w dalszą drogę, kierując się z biegiem rzeki w stronę wodospadu, wybiegł myślami na kilkanaście mil naprzód, usiłując odtworzyć w pamięci drogę, którą wydobędzie się z doliny na zbocza góry.

Znaleźli się na terytorium Stanów Zjednoczonych, który to fakt stwierdzili tylko dzięki temu, że jeden z dżihadystów potknął się i prawie przewrócił o omszały słupek graniczny. Wodospad znajdował się niedaleko przed nimi, lekko po prawej. Żeby znaleźć się nad rzeką poniżej wodospadu, musieli pokonać urwisty występ skalny położony na wschód od niego. Chcąc iść dalej na południe, należało zejść z urwiska nad samą rzekę - co było możliwe, jak wytłumaczył im Richard (w przeciwnym wypadku nie dałoby się tą drogą wrócić), ale znacznie łatwiej i szybciej pokonywało się to urwisko po linie. Ponieważ ostrzegł o tym Jonesa znacznie wcześniej, Jones dopilnował, żeby zabrali ze sobą solidne, długie liny. Zrobili więc krótki postój i podziwiali piękne widoki, podczas gdy ci, którzy znali się na rzeczy (lub przynajmniej się za takich podawali), umocowali linę do olbrzymiego cedru przy skraju urwiska. Połowa ekipy zeszła na dół na rekonesans. Potem kazali zejść Richardowi, a na koniec zjechała druga połowa. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że cała akcja była dokładnie

przemyślana. Zaczynali się denerwować, że może im próbować uciec, i woleli mieć pewność, że na obu końcach liny będzie miał go kto pilnować.

U stóp urwiska Jones wydał jakiś rozkaz Abdul-Ghaffarowi (białemu džihadyście ze Stanów) i skinął znacząco na Richarda. Richard przetwarzał jeszcze tę sytuację, gdy Abdul-Wahaab (dla Richarda po prostu „drugi Abdul” i prawa ręka Jonesa) wyjął pistolet, przeładował i z odległości ośmiu stóp wycelował w pierś Richarda.

- Chciałbym, żebyś stanął w lekkim rozkroku - wyjaśnił Abdul-Ghaffar swoim beznamiętnym środkowozachodnim głosem i wyjął z plecaka pęk grubych obejm z czarnego plastiku, w niczym nie przypominających chudzonek używanych do kielznięcia niesfornych kabli ethernetowych w środowisku biurowym. Miały ćwierć cala szerokości i dwie stopy długości.

Nie wyglądało to bynajmniej na przygotowania do egzekucji, a zresztą zmęczony Richard i tak dał się kompletnie zaskoczyć. Zgodnie z poleceniem stanął w rozkroku. Abdul-Ghaffar przyklęknął za nim i zapiął mu po cztery grube obejmy na butach powyżej kostki, tworząc z nich solidne kajdany. Następne obejmy wsunął pod nie i połączył w łańcuch, skuwając Richardowi nogi czymś w rodzaju końskich pęt. Kiedy skończył, Richard mógł się poruszać sześciocalowymi kroczkami - pod warunkiem, że grunt był poziomy. Podobnemu zabiegowi Abdul-Ghaffar poddał także jego ręce (w nadgarstkach), zostawiając mu jakieś osiem cali luzu, ale przynajmniej skuł mu je z przodu, pewnie po to, żeby Richard mógł obsługiwać rozporek oraz podnosić jedzenie i picie do ust.

Mózg Richarda nie nadążał za wydarzeniami, tak szybko się potoczyły, i dopiero po fakcie uświadomił sobie, co to wszystko oznacza. Nie zamierzali go zabić, przynajmniej nie w najbliższym czasie, ale najwyraźniej czytali mu w myślach i domyślili się, że przemyśliwuje o ucieczce. Został też dokładnie zrewidowany, pewnie dla sprawdzenia, że nie ma przy sobie scyzoryka albo obcinacza do paznokci, którymi mógłby w nocy poprzecinać więzy.

Noc zresztą przyszła szybko, znajdowali się bowiem na dnie niecki i niebo było tylko wąskim paskiem nad ich głowami, w którym słońce pojawiała się zaledwie na parę godzin dziennie. Rozbili namioty na płaskim skrawku kamienistego gruntu nad rzeką, ćwierć mili od wodospadu. Na rzecznej wodzie ugotowali obfity posiłek z błyskawicznego ryżu i liofilizowanego żarcia turystycznego.

Nie mając nic lepszego do roboty, Richard wgramolił się do przydzielonego mu namiotu, w ubraniu i butach wślizgnął się do śpiwora, i bez większych problemów zasnął.

* * *

Przejechali przez Bourne's Ford, rozgrzewając się powoli. Dwa razy musieli się zatrzymać, żeby podokręcać śrubki w rowerach i sprawdzić umocowanie bagaży. Podobnie jak większość amerykańskich miasteczek, także i to tuliło się do drogi. Na tyłach fast foodów i centrów handlowych rozciągały się pola uprawne. Olivia miała pewne ogólne pojęcie, że jadą na północ doliną rzeki, która płynęła na lewo od nich; czasem zbliżała się do drogi, tak że mogli się jej dobrze przyjrzeć, kiedy indziej odbiegała daleko w bok. Nie była to rwąca górską rzeką, lecz leniwy potok, meandrujący po całej okolicy niczym mierzący sto stóp przedłużacz ciśniony na dziesięciostopowy kawałek podłogi. Cała dolina miała najwyżej pięć mil szerokości, ale, sądząc po intensywności upraw, musiała być niezwykle żyzna. Z prawej strony z równiny wyrastały niskie pagórki, przesłaniające w tej chwili inne, wyższe wzgórza, leżące już w głównym masywie Gór Skalistych. Po lewej widok był zgoła odmienny, bo tuż za rzeką piętrzyły się wysokie, zalesione góry. Ruch na drodze był niewielki, a większość samochodów miała rejestracje z Kolumbii Brytyjskiej. Nie licząc posępnych gór na zachodzie, krajobraz przypominał sielankowy wycinek Środkowego Zachodu i Olivia doskonale rozumiała, dlaczego ludzie, którzy chcieli wieść proste życie i mieć święty spokój, zjeżdżali z całej Ameryki, żeby tutaj zamieszkać.

Pola łączyła nieregularna sieć wiejskich dróg, z których jedna prowadziła do przerzuconego przez rzekę mostu. Skręcili w nią i przejechali na drugi brzeg, kierując się prosto na litą ścianę gór, i wtedy Olivia doceniła wartość pośpiechu: w tych okolicach słońce zachodziło dobrą godzinę wcześniej niż gdzie indziej, zapadając za wysoki grzbiet Gór Selkirka.

Most łączył się z drogą biegnącą z północy na południe tuż za pierwszymi drzewami, wytyczoną nieco powyżej brzegu rzeki, i dzięki temu bezpieczną od wiosennych powodzi. Olivia coraz częściej odwoływała się do mapy naszkicowanej odręcznie na serwetce ze Starbucksa, ponieważ Jake Forthrast podał jej przybliżone współrzędne swojego domu, ale nie miał adresu z prawdziwego zdarzenia, a przynajmniej twierdził, że rząd amerykański nie ma prawa mu go przydzielić.

Wkrótce dotarli do skrzyżowania z asfaltową drogą, która opadała na nie stromo od zachodu. Pasowała do drogi, którą Olivia narysowała na serwetce, wrzucili więc znacznie niższy bieg i zaczęli piąć się w górę. Wysokie drzewa rosły bardzo blisko po obu stronach. Pół mili dalej miejsce asfaltu zajął żwir, droga jednak stała się wyraźnie mniej stroma i zaczęła biec wzdłuż strumienia pędzącego z gór na spotkanie leniwej rzeki w dolinie.

Olivia cały czas była bardzo wyczulona (tak jej się przynajmniej zdawało) na wszelkie przejawy czającego się w tych okolicach Szaleństwa. Granica państwowa upodobniła się w jej

umyśle do krańca świata, pionowego urwiska opadającego wprost do piekła, i spodziewała się, że w miarę asymptotycznego zbliżania się do niej sceneria będzie coraz bardziej apokaliptyczna, a ludzie, którzy postanowili tu zamieszkać, stosownie dziwaczni. Co było, rzecz jasna, absolutnie niedorzeczne, ponieważ po drugiej stronie tej linii leżała Kolumbia Brytyjska, zamożna i praworządna kraina powszechnej opieki zdrowotnej, dwujęzycznych drogowskazów i Kanadyjskiej Konnej.

A jednak ta linia naprawdę tam przebiegała, na wszystkich mapach. To znaczy, prawdę mówiąc, stanowiła górną krawędź większości map, za którą rozpościerała się pustka. Ponieważ ludzie nie mogli fruwać i oglądać świata z perspektywy ptaków i bogów (przynajmniej dopóki nie pojawiło się Google Earth), mapy zastępowały im prawdziwy widok świata, przez co urojenia geodetów i konwencje kartografów stawały się nie mniej rzeczywiste od prawdziwych rzek i skał - a może nawet bardziej, bo na mapę człowiek mógł zerknąć, kiedy zechciał, obejrzenie zaś granicy w terenie wymagało znacznego wysiłku. Dla miejscowych zatem naprawdę mógł to być kraniec świata, co odpowiednio kształtowało ich sposób myślenia.

Kiedy jednak zaczęli wjeżdżać między wzgórza, stwierdziła, że istoty ludzkie wraz z wytworami swojej myśli i swoich rąk stanowią najmniej istotną część środowiska. Niezwykłość tubylców nie miała znaczenia, kiedy było ich tak mało, w dodatku rozrzuconych na tak dużym i trudno dostępnym obszarze.

Z trafiających się sporadycznie przy drodze tabliczek, gęsto podziurawionych śrutem, a czasem nawet grubszymi nabojami, wynikało, że właścicielem tych terenów jest National Forest Service, agencja odpowiedzialna także za tutejsze drogi. Widywali zwirowe drogi wrzynające się stromo w głąb gór, gdzie obecnie lub w nieodległej przeszłości prowadzono wyrąb. Często jednak - zwykle w pobliżu mostków - jechali po terenie względnie płaskim i możliwym do ogarnięcia. Zwykle wyrastały tam niewielkie rancza, a czasem po kilka domów łączyło się w coś na kształt rozproszonej wśród cedrów i sosen osady. Nie znajdowały się dostatecznie blisko, żeby ich mieszkańcy mogli nazywać się nawzajem „sąsiadami”, lecz tworzyły ewidentne wspólnoty, mimo że pozbawione nazw i nie zaznaczone na mapach. Niektóre świadczyły o ubóstwie, jakie Olivia kojarzyła głównie z Appalachami, jeśli nie wręcz z Afganistanem, ale im wyżej wjeżdżali w dolinę, tym mniej widywali takich farm (niewykluczone, że poległy w starciu z żywiołami). Stawało się bowiem oczywiste, że chociaż nie trzeba być człowiekiem zamożnym (ani nawet w miarę dobrze sytuowanym), żeby przetrwać w tym środowisku, to jednak tutejsi mieszkańcy muszą odznaczać się cechami, które w innym, bardziej cywilizowanym otoczeniu bez wątpienia przyniosłyby im

bogactwo. Zapasy drewna na opał złożone schludnie pod dachami z blachy falistej (całkiem pokaźne nawet teraz, pod koniec długiej i surowej górskiej zimy), podobnie jak wiele innych szczegółów, sugerowały, że ci sami ludzie, gdyby przenieść ich do Spokane, szybko uruchomiliby własne firmy i stanęli na czele zrzeszeń obywatelskich.

Zagłębili się w zmierzch, gdy dalszą drogę zastąpiły im dwa wielkie psy, które zaliczyły ich do intruzów. Każdy ważył więcej od Olivii, przy czym jeden miał w sobie sporo z nowofundlanda, a drugi był przynajmniej w części (jeśli nie całości) wilkiem. Oba jednak miały obroże i były zadbane.

- Nie patrz im w oczy - poradził Olivii Sokołow. Zeskoczył z roweru i odgrodził się nim od psów. - Odwróć rower. Jeśli będzie źle, uciekaj. Jedź drogą w dół.

Pozbawiona wszelkich heroicznych zapędów Olivia zawróciła rower i zatrzymała się, ale nie zsiadła z siodła. Sokołow stał nieruchomo. Zdawała sobie sprawę, że mógłby wpakować obu psom po kuli z pistolem, który miał przy sobie, i powstrzymuje go jedynie obawa przed narażeniem się ich właścicielowi.

Szczekanie zwróciło w końcu czyjąś uwagę, bo z pobliskiej zagrody wyjechał mężczyzna na quadzie; zdaniem Olivii wybrał quad najprawdopodobniej dlatego, że przy swojej tuszy nie przepadał za chodzeniem pieszo. Był uzbrojony w duży nóż sprężynowy i samopowtarzalny pistolet w kaburze na biodrze - przynajmniej tyle było widać. Od razu zaczął nawoływać psy, ale te nie bardzo chciały się uspokoić, więc nie obeszło się bez dłuższych pokrzykiwań i demonstracji, kto naprawdę jest samcem alfa, zanim wreszcie przysiadły na zadach i stuliły pyski. Mężczyzna prawie nie odrywał wzroku od Sokołowa - co najwyżej po to, żeby rzucić okiem na Olivię.

Olivia nie miała pojęcia, jakie są poglądy tubylców na kwestie rasowe. Przez cały dzień spotkali znacznie więcej Indian niż Azjatów i przypuszczała, że miejscowi mogliby ją od biedy wziąć za przedstawicielkę któregoś z tutejszych plemion, ale temu facetowi było to chyba kompletnie obojętne. W każdym razie nie stał się przez to bardziej wrogi i podejrzliwy niż był na wstępie. Trudno było natomiast przewidzieć, jak zareaguje na obecność mężczyzny mówiącego z silnym rosyjskim akcentem.

Położyła rower na środku jezdni, podeszła do Sokołowa i wtuliła mu się pod ramię. Kobieta zawłaszczona przez dominującego samca to zupełnie inny byt niż kobieta do wzięcia.

- Jedziemy do Jake'a Forthra - wyjaśniła, spłaszczając samogłoski i siląc się na amerykański akcent. - Zaprosił nas do siebie.

To wszystko zmieniło. Mężczyzna, który przedstawił się imieniem Daniel („jak ten od Księgi Daniela”), w ogóle nie chciał słyszeć o tym, że dokończą podróż na rowerach.

Odprowadził quad do garażu, skąd po chwili wyjechał ogromnym dieslowskim pick-upem. Sokołow wrzucił rowery na tył i sam usiadł obok nich, a Olivia zajęła miejsce pasażera w szoferce obok Daniela. Sądząc z tego, jak o tym opowiadał, spodziewała się długiej podróży, okazało się jednak, że do pokonania zostało im już dosłownie kilka mil - za to z przygodami, bo droga stawała się coraz gorsza i coraz bardziej stroma. Olivia miała wrażenie, że naprawdę zbliżają się do krańca świata. W końcu prześlizgnęli się wąskim przesmykiem między granitową ścianą, po której spływały strugi wody z topniejącego śniegu, i wściekłą rzeką, i znaleźli się w niedużej dolince, szerokiej najwyżej na milę, gdzie cztery odrębne farmy okalały stawek, za którego powstanie, jak się domyślała, odpowiedzialne były bobry. W wodzie odbijała się stojąca po drugiej stronie stawu samotna góra. Znajdowała się tak blisko, że farmy stały praktycznie u jej podnóża, od strony południowej.

Wokół stawu biegła bita droga. W jednym miejscu odchodziła od niej prostopadle druga, która przechodziła między dwiema farmami i, wspinając się na południowo-wschodnie zbocze góry, znikwała w lesie. Daniel skręcił w nią. Jechał bardzo powoli, machając na powitanie wszystkim dzieciom, psom i gospodarzom, którzy zwrócili na nich uwagę.

Krajobraz wyraźnie się zmienił, powietrze stało się chłodniejsze, wilgotniejsze i pachniało cedrem. Po kilkuset metrach stanęli przed bramą z grubych bali, skutecznie blokującą przejazd. Do bali przybito kilka różnych dokumentów w ochronnych foliowych koszulkach. Olivia zerknęła na nie przelotnie, podchodząc do bramy i otwierając ją na oścież - Daniel zapewnił ją bowiem, że spokojnie może to zrobić. Jednym z dokumentów była Konstytucja Stanów Zjednoczonych, której kilka ustępów podkreślono. Drugim był jakiś manifest, wywieszony chyba w celu oświecenia agentów federalnych, którym przyszłoby do głowy przyjechać tu w sprawie należnych podatków lub spisu powszechnego. Znalazło się również miejsce dla ulubionych cytatów z Biblii oraz wybranej stronicy z Kodeksu Stanu Idaho, na której precyzyjnie opisano, co obywatel może zrobić, a czego nie może intruzowi nachodzącemu go w domu.

Wszystko to wyglądało przerażająco i pewnie skutecznie przepłoszyłoby Olivię, gdyby przyjechała bez przewodnika. Tymczasem Daniel uważał chyba, że do obejścia wszystkich zasieków i systemów obronnych Jake'a wystarczy intensywne trąbienie klaksonem. Skądś wypadły pędzące psy. Olivia ledwie zdążyła zamknąć bramę za samochodem i wskoczyć na tylny zderzak, skąd Sokołow wciągnął ją na skrzynię ładunkową na ułamek sekundy przed tym, jak dopadła jej ich nowa psia eskorta.

Jechali przez kolejną minutę; Jake najwyraźniej uważał, że brama wjazdowa posesji wcale nie musi się znajdować w pobliżu samego domu. Droga ominęła skalną ostrogę,

zakręciła i dopiero wtedy ich oczom ukazał się dom - wysoki i wąski, gdyby mierzyć go standardami górskich chałup, przycupnięty po drugiej stronie rzeczki, której brzegi spinał most z bali i desek. Pick-up przejechał po moście i zajechał pod dom od tyłu, skąd aż po podnóże zalesionego zbocza rozciągał się mierzący dobre kilkanaście akrów płaski, częściowo odsłonięty teren, którego topografię komplikowały zagrody dla zwierząt, grządki i szopy.

Z drewnutni wyszedł akurat chłopak z siekierą. Kobieta w długiej sukience pojawiła się na balkonie. Jacob i John Forthrastowie wyszli z za węgła, wycierając czarny smar z rąk.

- Znalazłem dwoje włóczęgów - zażartował Daniel, kciukiem wskazując na tył pick-upa.

Ponieważ samochód już się zatrzymał, Olivia wstała. Padło na nią światło automatycznych reflektorów, które zareagowały na sygnaturę ciepłą samochodu, zanim jednak zdążyła się przypomnieć Forthrastom, Jake się odezwał:

- To Olivia.

Może spodziewał się, że mający słabszy wzrok John nie rozpozna jej od razu w powodzi światła.

Olivia trochę się zdziwiła, że z tymi Forthrastami też jest na „ty”.

- Cześć, Olivia! - zawołał John. - A kim jest twój przyjaciel?

- To długa historia... Ale przyjechał ze mną, bo chce pomóc Zuli.

- W takim razie jest także naszym przyjacielem - zapewnił Olivię Jake. - Witajcie w Prohibition Creek.

DZIEŃ 21

Richard obudził się po dwóch godzinach, dręczony paskudnymi wyrzutami sumienia, że tak łatwo udało mu się zasnąć. Po kilkudniowej nieobecności, muzy i furie wytropiły go na tym odludziu i rzuciły mu się do gardła. W namiocie zrobiło się tłoczno.

Dżihadyści mogli chcieć zabić go rano, ale to wydało mu się mało prawdopodobne. Gdyby mieli taki zamiar, załatwiliby go od razu wieczorem, zamiast bawić się w te plastikowe kajdanki.

A skoro nie zamierzali go zabić, to rano każą mu się poprowadzić starym szlakiem przemycnym przez Abandon Mountain do Prohibition Creek. W tym celu będą musieli mu zdjąć pęta z nóg, co da mu sposobność ucieczki. Której skutkiem byłby najprawdopodobniej pościg, pojmanie i rytualna dekapitacja.

Będzie więc musiał wypatrywać miejsca, w którym udałoby mu się błyskawicznie zejść im z linii strzału i na dodatek utrudnić pogoń.

Bohater filmowy zeskoczyłby wczoraj z urwiska wprost pod wodospad, by po krótkiej chwili niepewności wynurzyć się daleko w dole rzeki. Richard zdawał sobie sprawę, że to niezbyt praktyczna strategia, ale nie wykluczał, że gdzieś dalej trafi się odcinek rzeki, który mógłby wykorzystać w podobny sposób i przepłynąć wpraw jakiegoś bystrza.

Problem polegał na tym, że ich trasa nie biegła bynajmniej wzdłuż tej rzeki, ona bowiem płynęła na południowy zachód, a oni powinni się kierować raczej ku wschodowi. Dlatego plan na następny dzień był taki, żeby przejść wschodnim brzegiem mniej więcej milę z biegiem rzeki, a potem odbić stromo w lewo, pod górę, i niekończącym się zboczem wspiąć się powyżej linii drzew, gdzie Abandon Mountain wypuszczała skalną ostrogę. Stamtąd mieli przeciąć piarżysty zachodni stok trawersem, z którego w odpowiednim momencie spadną wprost w dolinę Prohibition Creek. W takim terenie jedyną nadzieję na szybką ucieczkę dawało poddanie się przyciąganiu ziemskiemu i ześlizgnięcie lub sturlanie po stromiźnie - co mogłoby być zabawne (albo przynajmniej przeżywalne) na piaszczystej wydmie albo płacie śniegu, lecz tutaj doprowadziłoby co najwyżej do powolnej śmierci wskutek licznych złamań i wielonarządowych obrażeń wewnętrznych.

Mimo to nie przestał rozważać tej możliwości podczas długich godzin nocnych, ponieważ tylko w ten sposób mógł uciszyć muzy i furie. Chętnie przystał na ich podstawowe

założenie, takie mianowicie, że ponieważ zamierzał zaprowadzić bandę uzbrojonych po zęby terrorystów prosto na farmę, na której jego najbliżsi krewni w spokoju zajmują się swoimi sprawami, jego życie i tak w tej sytuacji się nie liczy.

Mógł, oczywiście, zastosować wybieg, o który aż się prosiło, czyli zaprowadzić terrorystów gdzie indziej. Tyle że to „gdzie indziej” miało swoje granice. Nie ulegało wątpliwości, że Jones odrobił pracę domową: szczegółowo przesłuchał Zulę, przeszedł poświęcone Richardowi hasło w Wikipedii, wydrukował sobie mapy z Google’a, sięgnął nawet do stanowego archiwum po wyciąg z rejestru nieruchomości. Prawdę mówiąc, mógłby już dojść aż do Pocatello bez niczyjej pomocy, co kazało Richardowi podejrzewać, że nie jest mu już potrzebny jako przewodnik, lecz raczej jako zakładnik i potencjalny obiekt okrutnej egzekucji przed kamerą internetową. Oczami wyobraźni widział już tę stronę na YouTube: Dodge kłęczy na dywaniku z workiem na głowie, za jego plecami stoi Jones z nożem, a u dołu, pod małym ekranikiem, najświeższe z tysięcy wypisanych kapitalikami komentarzy, nadesłanych przez pojebów, bez których świat byłby lepszy.

Dlatego jedyną kartą, jaką mógł w tej sytuacji zagrać - jedynym sposobem, w jaki mógł pomóc swoim bliskim - było ostrzeżenie Jake’a, Johna i pozostałych. Jones chyba nie zdawał sobie sprawy, że dolina Prohibition Creek jest zamieszkana. Na zdjęciach w Google’u na pewno zauważył wyzierające spomiędzy drzew dachy, ale mógł dojść do (całkiem rozsądnego) wniosku, że są to domy letniskowe stomatologów ze Spokane, o tej porze roku zabite na głucho, ciche i spokojne. A nawet gdyby wiedział, że ktoś tam mieszka przez cały rok, nie domyśliłby się - bo skąd? - że będzie miał do czynienia z najciężej uzbrojonymi cywilami w dziejach ludzkości, fanatycznymi miłośnikami broni palnej, przy których Pasztunowie przypominiliby kwakrów. Oczywiście nawet fanatyków można wziąć przez zaskoczenie, ale gdyby Richard zdołał im jakoś dać znać, że grozi im niebezpieczeństwo, na pewno spisaliby się na medal.

Dlatego plan, na który ostatecznie się zdecydował, gdy pierwsze zbłąkane fotony zaczęły przenikać przez płótno namiotowe wprost do jego szeroko otwartych oczu, był taki, że będzie się zachowywał grzecznie do czasu, gdy znajdą się dość blisko farmy Jake’a, żeby jej mieszkańcy usłyszeli ewentualne strzały. Wtedy rzuci się do ucieczki, dżihadyści zaczną strzelać (i pewnie trafią) i cała dolina usłyszy kanonadę.

I rozpęta się piekło.

Udało mu się nawet przysnąć na chwilę, może na godzinkę, kiedy zaś się obudził, do namiotu sączyło się znacznie więcej światła, a z zewnątrz dobiegał syk rozpalanej kuchenki turystycznej.

Coś kazało mu się ruszyć. Wyczołgał się ze śpiwora, usiadł, obrócił na tyłku, wystawił obute (i skute) nogi na dwór i ruchem gąsienicy wygramolił się z namiotu.

Zobaczył tylko dwóch z dziewięciu dżihadystów: wysokiego Somalijczyka z Minnesoty imieniem Erasto oraz faceta, którego imię za każdym razem uciekało mu z pamięci - Egipcjanina, któremu na czole zrobiło się ciemne zgrubienie od bicia głową w ziemię podczas modlitwy. Wstawili wodę, pewnie po to, żeby później zrobić z niej owsiankę.

Richard podszedł kołyszącym krokiem do kuchenki, przykucnął i wyciągnął rękę, żeby ogrzać je nad płomieniem. Erasto pogryzał batonik energetyczny. Egipcjanin tępo gapił się w przestrzeń.

Richard uświadomił sobie, że musi zrobić kupę. I to natychmiast.

Wyprostował się. Erasto nie spuszczał go z oka. Richard spojrzał w stronę zaimprovizowanego sraczyka położonego sto stóp od obozu, u stóp skalnej ściany, po której wczoraj zjechali na linach.

- Macie papier? - spytał.

Żadnej reakcji.

- Ej, gościu, ja naprawdę muszę. Nie żartuję.

U Erasto niedowierzanie walczyło o lepsze z niesmakiem, że musi się zajmować takimi sprawami.

- Jabari! - burknął, czym zwrócił uwagę Egipcjanina.

Richard uczeplił się tej szansy, żeby wreszcie nauczyć się jego imienia: Jabari, przez „dż”. Jak „dziabnąć”. Albo „dźgnąć”.

Erasto zadał jakieś pytanie. Jabari otrząsnął się z zadumy i zaczął grzebać w leżącym obok niego plecaku, najwyraźniej w poszukiwaniu srajtaśmy. Richard przestępował z nogi na nogę - na tyle, na ile umożliwiały mu to więzy. Kwestia tego, czy zdąży się oddalić i znaleźć odpowiednie miejsce, stawała się coraz bardziej dyskusyjna.

- Zacznę pomału kuśtykać tam, gdzie chciałbym się wysrać - oznajmił. Starał się mówić spokojnie, bez podnoszenia głosu, żeby dżihadyści, dla których angielski był językiem obcym (tacy jak Jabari), nie nabrali niepotrzebnych podejrzeń. - Możecie mnie śledzić, możecie strzelić mi w plecy... Obojętne. Coś trzeba zrobić.

Wagę jego słów podkreśliło imponujące pierdnięcie, które też okazało się środkiem komunikacji znacznie skuteczniejszym od wszystkiego, co wcześniej Richard wypuścił swoim drugim końcem. Kolebiąc się w miejscu, odwrócił się plecami do Erasto, po czym drobiaż kroczył w poprzek obozu. Oddalał się od rzeki w stronę zarośli pokrywających teren między jej brzegiem i urwiskiem. Po mniej więcej pół minucie zmagania z krzakami (w

tym miejscu wyjątkowo gęstymi, bo spijającymi wodną mgiełkę z wodospadu), podskoków, przekleństw i wściekłego pierdzenia, dotarł do skrawka wolnej przestrzeni przy urwisku, upstrzonego odchodami i kawałkami zużytego papieru toaletowego.

„Urwisko” było określeniem nazbyt skromnym, by należycie opisać wznoszący mu się nad głową fenomen geologiczny. Nie była to właściwie wyrastająca z podłoża pionowa ściana, tylko raczej gwałtowna stromizna, która na wysokości dwunastu, może piętnastu stóp nie tylko stawała całkowicie do pionu, ale nawet lekko się przewieszała. W dodatku nie była żadnym monolitem, lecz konglomeratem głazów, nieustępliwych roślin i mocno ubitej ziemi, który - tak się akurat złożyło - bardzo stromo się wypiętrzył. Richard nie widział jej szczytu, wiedział jednak, że znajduje się na wysokości około pięćdziesięciu stóp. Tak czy inaczej, doszedł do wniosku, że to będzie właściwe miejsce. Kilkoma podskokami odwrócił się w pożądanym kierunku i zaczął majstrować przy pasku.

Rzucona przez Jabariego z odległości dwudziestu stóp rolka papieru w torbiece strunowej odbiła mu się od piersi i spadła na ziemię.

- Dziękuję - powiedział i opuścił spodnie.

Jabari odwrócił się i cofnął kawałek w stronę obozowiska. Richard - który, przykucnięty, obserwował go przez wierzchołki krzewów - zobaczył, jak podnosi ręce i macha rażno do kogoś w obozie. Najwyraźniej ktoś (pewnie Abdul-Wahaab) zainteresował się, co tam się dzieje, do ciężkiej cholery, i trzeba go było uspokoić.

Był w połowie procedury, gdy jakiś ciemny przedmiot spadł z nieba i z głuchym stuknięciem wylądował tuż przed nim na ziemi. W pierwszej chwili wziął go za odłamana gałązkę z rosnącego na urwisku drzewa, ale kiedy lepiej mu się przyjrzał, stwierdził, że ma regularny, prostokątny kształt, aż w końcu rozpoznał przybornik uniwersalny, jakiegoś leathermana lub coś w tym rodzaju, w czarnym nylonowym pokrowcu.

* * *

- To nie może być zbieg okoliczności - powiedział Seamus.

Automat zapiszczał przenikliwie, sygnalizując konieczność obrócenia gofra, co też Seamus zrobił. Fantastyczna Czwórka stała przy bufecie śniadaniowym w hotelu w Coeur d'Alene. Poza Seamusem żadne z nich nie widziało wcześniej samoobsługowej gofrownicy, dlatego to on musiał im naprędce zademonstrować, co najlepszego Ameryka ma do zaoferowania.

- Nie wiem, jak będzie „zbieg okoliczności” po chińsku albo węgiersku - ciągnął - ale sytuacja wygląda tak: wybieramy się na spotkanie z moim szefem, który urzęduje akurat na drugim końcu kraju. Musimy jechać samochodem, bo bez dokumentów nie wpakuję was do

żadnego samolotu. Tak się składa, że znaleźliśmy się bardzo blisko miejsca, w którym, jak przypuszczam, Jones będzie próbował przekroczyć granicę. Kiedy ostatnio zalogowałem się w *T’Rainie*, czyli pół godziny temu, Edgod nadal wędrował przez pustynię w towarzystwie chyba ze dwustu chwalipięt i gapiów. Co potwierdza moją teorię.

- Serio? - zdziwiła się Yuxia.

- Dobrze, zapomnijmy o Edgodzie; można w to wierzyć albo nie, ja akurat wierzę. W każdym razie zadzwoniłem do tego kolesia, który ma helikopter. - Seamus poklepał wystającą mu z tylnej kieszeni spodni broszurkę reklamową rzezonego kolesia. - Zabierze mnie na przejażdżkę. To potrwa ze dwie godzinki, nie więcej; jeszcze dzisiaj ruszymy dalej, po południu, może nawet na noc dojedziemy do Missouli. Na razie możecie trochę wyluzować, iść do kina, co tylko chcecie. Tylko nie dajcie się aresztować. I nie róbcie nic, co mogłoby zwrócić czyjąś uwagę na wasz skomplikowany status imigracyjny.

- Ja też chcę lecieć - powiedziała Yuxia.

- Helikopter jest za mały.

Yuxia wyjęła z kieszeni kurtki drugi egzemplarz broszury.

- Tu piszą, że pomieści czterech pasażerów.

Nastąpiła chwila krępującego milczenia, w której Seamus przeniósł wzrok na Csongora i Marlona i stwierdził, że obaj wpatrują się w niego wyczekująco. Wszyscy zapomnieli o gofrze.

- Ten duży - przytaknął. - Ja myślałem o tym małym.

- Co ty właściwie chcesz zrobić? - zainteresował się Csongor.

- Przelecieć nad interesującym mnie obszarem, porobić zdjęcia, poczuć atmosferę...

- A w jaki sposób nasza obecność w helikopterze miałaby ci to uniemożliwić? - zdziwił się Marlon.

Seamus wzruszył ramionami.

- Może w żaden.

- Czy ty nas nie okłamujesz? - zaciekawiła się Yuxia.

- Po co miałbym was okłamywać?

Gofrownica znów zapiszczała.

- Dziwnie się zachowujesz. Nie wiem, zamierzasz gdzieś tam wylądować i walczyć z Jonesem?

- Nie, nie zamierzam walczyć z Jonesem. To zupełnie nie o to chodzi.

- To dobrze, bo inaczej powinieneś uprzedzić pilota.

- Gofr się wam spali! - wrzasnął poirytowany gość hotelowy z drugiego końca sali.

Yuxia odepchnęła Seamusa, rozgryzła sposób otwierania gofrownicy i przerzuciła jej parującą zawartość na talerz. Piski ucichły.

Teraz Csongor postanowił spróbować zrobić gofra. Wziął do ręki buteleczkę z ciastem, wlał je do maszyny i patrzył smętnie, jak przenika w doliny między wypustkami.

- Ależ naturalnie - przytaknął Seamus. - Gdybym podejrzewał, że istnieje choćby minimalne niebezpieczeństwo wplątania się w walkę z dżihadystami, wypadałoby powiedzieć o tym pilotowi.

- Zdecydowanie - zgodziła się z nim Yuxia.

- Czyli to bezpieczna wycieczka - podsumował Csongor.

- Najbezpieczniejsza na świecie - potwierdził Seamus. Nie wierzył w ani jedno swoje słowo, ale dał się zapędzić w kozi róg.

- Jeśli zostaniemy tutaj, możemy się wpakować w jakieś kłopoty - ciągnął Csongor. - A ty jesteś za nas odpowiedzialny.

- Niestety tak.

- Gdyby helikopter się zepsuł, utknąłbyś gdzieś na północy, a my tu zostalibyśmy bez kluczyków do wozu, bez pokoju w hotelu, bez dokumentów...

- Dobrze już, dobrze. Możecie lecieć ze mną i przez całe przedpołudnie gapić się z dużej wysokości na tutejsze lasy.

* * *

Pokrowiec wyglądał znajomo. Richard był praktycznie pewien, że należy do Cheta, który nosił leathermana przy pasku. A teraz ten sam leatherman leżał pięć stóp od niego.

Wypróżniwszy się opadł na kolana, potem na czworaki, wyciągnął się jak struna i czubkami palców zagarnął przyborek, po czym znów dźwignął się do pozycji kucznej. Położył sobie przyborek tuż obok nogi i sięgnął po torebkę z papierem toaletowym.

Słyszał, jak sto stóp od niego następni dżihadysty wychodzą z namiotów. Zgodnie z codziennym rytuałem powinni najpierw namierzyć się na Mekkę, a potem uklęknąć na karimatach i zacząć się modlić.

Skończył używać papieru. Schował resztę rolki do torebki, po czym jedną ręką zaczął ją szarpać i miętosić, żeby szeleszczeniem folii zagłuszyć trzask rzepa na zapięciu pokrowca, który w tym samym czasie próbował otworzyć palcami drugiej dłoni. W końcu wyjął przyborek i wywrócił go na lewą stronę, robiąc z niego szczypce do cięcia drutu, które szybko rozprawiłyby się z plastikowymi kajdanami, tyle że wydałyby przy tym charakterystyczny dźwięk, ostry trzask, który Jabari z pewnością by rozpoznał - gdyby go usłyszał. Grzmot pobliskiego wodospadu i huk bystrej rzeki na pewno częściowo by go

zagłuszyły, ale Richard i tak starał się ciąć obejmy z minimalną siłą, raczej przeryzując się powoli przez czarny plastik, niż gwałtownie go rozdzierając. Zresztą i tak pozbył się tylko „łańcuchów” łączących mu nogi w kostkach i ręce w nadgarstkach, same obręcze kajdanek zostawił zaś nietknięte.

Złożył przyborek i zamierzał go schować do kieszeni, gdy przyszło mu do głowy, że nóż może się przydać. Leatherman zawierał kilka ostrzy, pilników i tym podobnych narzędzi. Richard wybrał z nich najostrzejsze (i najbardziej przypominające zwykły nóż), otworzył je i zablokował w takiej pozycji.

Odłożył przyborek, dźwignął się lekko, podciągnął spodnie, zapiął je i zapiął pasek. Nadal na wpół przykucnięty, sięgnął po leathermana i przemieścił się kawałek wzdłuż urwiska, po względnie niezarośniętym terenie. Do tej pory nawet nie próbował patrzeć do góry, bo wiedział, że zobaczy co najwyżej oddaloną o kilkanaście stóp przewieszkę, ale teraz szybko znalazł się w strefie, gdzie przewieszka wtapiała się w stok. Zadarł głowę, spodziewając się ujrzeć Cheta.

Zobaczył zaś czarne loczki wymykające się spod zimowej czapki.

Chwilę trwało, zanim dotarło do niego, że ma przed sobą Zulę - która akurat wyciągnęła przed siebie rękę, pokazując mu coś na ziemi, za jego plecami. To Jabari postanowił sprawdzić, co się z nim dzieje.

Zula wymachiwała rozpaczliwie rękami, każąc mu biec dalej wzdłuż urwiska. Sama również wstała i zaczęła się przemieszczać w tę stronę, ponagłając go gestami.

Do tej pory Richard posuwał się powoli, chcąc ukryć fakt, że pozbył się pęt. Teraz jednak Jabari zbliżał się do miejsca defekacji, za chwilę zobaczy pocięte obejmy. Richard zaczął biec.

Parę sekund później Jabari deptał mu po piętach.

Trudno było jednocześnie biec, uważać na Jabarięgo i zerkać do góry na Zulę, ale w którymś momencie zorientował się, że Zula daje mu znak wyciągniętymi przed siebie rękami, żeby się zatrzymał.

Bez sensu. Po co miałby się zatrzymywać?

Obejrzał się przez ramię: Jabari był znacznie bliżej, niż mu się zdawało. Wyciągnął już nawet pistolet z kabury, chociaż na razie nie mógł wycelować, bo obiema rękami roztrzącał utrudniające mu bieg krzaki.

Richard zadarł głowę i zobaczył, że Zula stoi na skraju urwiska z naręczem patyków, które w tej samej chwili cisnęła przed siebie.

Jabari wynurzył się z gąszczu. Stał może z dziesięć stóp od Richarda i ze zdumieniem

mierzył go wzrokiem, nie pojmując, jakim cudem więzień się uwolnił.

Richard znów podniósł wzrok i zobaczył, jak w przestrzeni nad jego głową rozwija się jakaś rachityczna konstrukcja: dwie biegnące równoległe cienkie linki spadochronowe, połączone przywiązanymi w regularnych odstępach patykami.

Drabinka sznurowa.

Jabari też ją zobaczył i był tylko trochę bardziej zaskoczony od Richarda.

Drabinka, do tej pory ciasno zrolowana, rozwijała się w locie. Jeden ze szczebli, wyraźnie dłuższy i cięższy od pozostałych, ciągnął całość w dół i powodował napinanie się linek, które dzięki temu się nie plątały. Richard zorientował się, że za chwilę oberwie drabiną w głowę. Zdążył się cofnąć pod ścianę urwiska. Drabinka opadła tuż przed nim, kołysząc się i podrygując dziko.

Jabari stał z zadartą głową, wypatrując człowieka, który zrzucił drabinę. Celował z pistoletu prawie pionowo do góry.

Richard nie widział, co Egipcjanin bierze na cel, zauważył natomiast pewną ciekawostkę - taką mianowicie, że najniższy szczebel drabinki (i zarazem najcięższy, ten, dzięki któremu rozwinęła się bez przeszkód) stanowi czarna strzelba powtarzalna.

Jabariego bez reszty pochłonęła próba rozpoznania natury zagrożenia czającego się na szczycie urwiska. Tymczasem Richard zrobił krok w przód, chwycił strzelbę, odwiódł bezpiecznik i lekko odciągnął zamek, żeby zajrzeć do komory: nabój był na swoim miejscu.

Linki i szczeble nie ułatwiały manewrowania strzelbą, ale przy dzielącej go od Jabariego odległości trzech jardów nie potrzebował aptekarskiej precyzji. Pociągnął kolbę do siebie, oparł ją o ramię i wymierzył w Egipcjanina.

Ten ruch w końcu zwrócił uwagę Jabariego, który spuścił wzrok i zaczął opuszczać rękę z bronią - zbyt wolno, żeby mogło to coś zmienić.

- Przykro mi - powiedział Richard, gdy spojrzeli sobie w oczy.

Pociągnął za spust i odstrzelił Jabariemu głowę.

* * *

Poglądy Seamusa na kwestie czasu i planowania ukształtowało najpierw dorastanie w Bostonie, a następnie zatrudnienie na placówkach w tętniących życiem metropoliach Trzeciego Świata (takich jak Manila): nauczył się, że gdziekolwiek będzie chciał dojechać, zajmie mu to kilka godzin, co przyprawiło go o komiczną dezorientację o godzinie pół do siódmej rano w Coeur d'Alene. Na lotnisko dotarli tak szybko, że szyby SUV-a były wciąż jeszcze zaparowane.

Łądowisko dla śmigłowców znajdowało się tuż za bramą. Dwa helikoptery, duży i

mały, stały na placyku obok urządzonego w kontenerze biura. Przed biurem stał pick-up, ustawiony przodem do większego śmigłowca, z włączonymi reflektorami dodatkowo oświetlającymi maszynę na użytek mężczyzny w granatowej kurtce pilota, który leżał na wznak w kabinie pod pulpitem sterowniczym i, zwiesiwszy nogi na zewnątrz, na płożę, majstrował przy elektryce.

- To nigdy nie jest dobry znak - mruknął Seamus, parkując przed biurem.

Wygląd kontenera i lądowiska wyraźnie wskazywał, że nie jest to przedsięwzięcie nastawione na dopieszczanie turystów. Głównymi klientami byli interesanci związani z przemysłem drzewnym, a dopiero gdy ich zabrakło, firma organizowała loty rekreacyjne. Sto procent budżetu przeznaczonego na tę gałąź działalności poszło na druk broszurki reklamowej, co było całkiem rozsądną decyzją, bo kiedy zachęcony broszurą klient docierał na lotnisko i odkrywał, jak spartańskie warunki mu się oferuje, było już po zawodach. Nikt, kto zajechał tak daleko, nie wycofałby się tylko dlatego, że nie może posiedzieć w gustowniej urządzonej poczekalni, a na pokładzie nie dostanie café latte i ciasteczek.

Yuxia była gotowa wyciągnąć faceta w granatowej kurtce za nogi, na szczęście Seamus zdołał ją przekonać, że na dłuższą metę lepiej będzie, jeśli dadzą mu spokojnie dokończyć to, co zaczął.

Poranek był zdumiewająco zimny. Siedzieli w samochodzie z włączonym silnikiem, czekając, aż wewnątrz się zagrzeje. W końcu mechanik wysączył się ze śmigłowca i wstał. W ręce trzymał jakiś elektroniczny gadżet ze sterującym kablem. Seamus wysiadł z wozu.

- Cześć, Jack - przywitał się z mechanikiem. W tej okolicy nazwiska nie były w modzie.

- Ty jesteś Seamus, tak? Poznają po akcencie.

Jack, zapewne emerytowany wojskowy, miał okrągłą, nieco pulchną twarz i równo przystrzyżoną rudobrazową brodę.

- Kłopoty z elektryką?

- Myślałem, że szybko to naprawię - odparł Jack, podnosząc pudełko. - Już byśmy byli w powietrzu, gdyby nie to, że złączka nie pasuje.

- Czyli technika nie działa zgodnie z przeznaczeniem. Jestem wstrząśnięty.

- Nieważne. Ilu masz ludzi? - Jack zerknął w stronę SUV-a. - Bo pomyślałem, że może upchnę was w trzysetce. - Ruchem głowy wskazał mniejszy śmigłowiec. - Mniej wygodna, ale gdyby wam to nie przeszkadzało...

- Nie ma problemu. Ilu może zabrać pasażerów?

- Dwóch. Trzech na wcisk.

- Duży jest uziemiony, tak?

- Pięćsetka? Dziś nie polecą, nie ma mowy.

- Poczekaj chwilę.

Seamus wrócił do wozu.

- Zmiana planów. Duża maszyna się zepsuła, a do małej zmieszczą się najwyżej trzy osoby. Jedno albo dwoje z was musi tu zostać i poczekać.

- Ja na pewno się nie zmieszczę do tej miniatarki. - Csongor z niedowierzaniem spojrzał na mały helikopter. - Zresztą i tak byłoby mi niewygodnie.

Yuxia podskakiwała nerwowo na fotelu, bojąc się, że padnie na nią. Miało się wrażenie, że jest gotowa wyskoczyć z samochodu i uczepić się płozy śmigłowca, byle tylko lecieć. Widząc to, Marlon spojrzał na Seamusa.

- To ja też zostanę - zaproponował. - Pogrzebię sobie w sieci.

Zdażył już bowiem pożyczyć laptop Seamusa, zalogować się na konto gościa i odkryć fale niezabezpieczonej sieci wi-fi emanujące z biura w kontenerze.

Seamus zgasił silnik i wyłączył stacyjkę SUV-a, po czym przekręcił kluczyk w położenie pomocnicze, żeby laptop mógł ssać prąd z gniazdka zapalniczki.

- Tylko nigdzie mi nie jeździć! - uprzedził i skinął na Yuxię, która od razu wyskoczyła na asfalt.

Przed odlotem wywiązała się jeszcze dyskusja na temat planu i czasu wycieczki. Według szacunków Jacka potrzebowali czterdziestu pięciu minut, żeby dolecieć w interesujący Seamusa rejon, drugie tyle, żeby stamtąd wrócić, plus dwa, trzy kwadransy na parę kółek i rozejrzenie się po okolicy. W tej chwili była za piętnaście siódma, powinni więc wrócić około dziewiątej, najpóźniej pół do dziesiątej.

Z tyłu w trzysetce było bardzo niedużo miejsca na nogi; Seamus cieszył się, że Marlon postanowił nie lecieć. Po bardzo pobieżnym wykładzie o bezpieczeństwie lotu upchnęli Yuxię na tył, a Seamus usiadł z przodu, na miejscu drugiego pilota, które wprawdzie nie wygrałoby w konkursie na najprzystrojnniejszy i najwygodniejszy fotel lotniczy, ale też nie stwarzało warunków znacząco gorszych od tego, z czym w swojej profesji stykał się na co dzień.

Jack obszedł maszynę dookoła, dokonując standardowego przeglądu przed startem. Csongor wysiadł z SUV-a, żeby popatrzeć, jak odlatują. Jack wsiadł do helikoptera, podał Seamusowi i Yuxii sfatygowane, lecz wciąż użyteczne słuchawki, po czym sam nałożył inne, nowsze i ładniejsze, które następnie podłączył do wewnętrznego systemu nagłośnienia i przeprowadził jego krótki test.

Po krótkiej wymianie zdań z wieżą kontroli lotów otworzył przepustnicę i na chwilę

wokół śmigłowca zrobiło się bardzo głośno i wietrznie; przyglądający mu się z niedaleka Csongor skulił się i odwrócił wzrok. A potem ziemia została w dole, trzyssetka pochyliła dziób, zwróciła się na północ i zaczęła przyspieszać i wznosić się.

* * *

Całkiem nietrywialną kwestią sporną było to, jak Richard ma się wspiąć po drabince sznurowej obwieszony strzelbą i pistoletem (glockiem 27) zabranym Egipcjaninowi, który martwy spoczął u stóp urwiska. Nie był to może problem, nad którym byłby skłonny cały dzień łamać sobie głowę, lecz mimo wszystko trochę go spowolnił. Glock nie miał osobnego bezpiecznika, ale mechanizm zabezpieczający był wbudowany w spust, więc teoretycznie nie powinien wypalić sam z siebie. Richard schował go do zapinanej kieszeni kurtki, żeby przypadkiem go nie zgubić. W którymś momencie z tego podniecenia upuścił nóż. Teraz sobie o nim przypomniał, gdy nadepnąwszy na coś twardego cofnął stopę i wydłubał przybornik z zimnej i wilgotnej gliny, po czym odciął dwa kawałki linki mocujące strzelbę do drabinki. Jeden był przywiązany do muszki na końcu lufy, drugi do przewężenia plastikowej kolby, tuż przy bezpieczniku. Ze strzelby zwieszała się skomplikowana pajęczyna czarnego nylonu, którą przeciążony umysł Richarda sklasyfikował jako rodzaj upręży taktycznej. Nie miał czasu, żeby w tej chwili rozgryzać jej funkcjonowanie: po prostu przełożył przez nią rękę i szarpnięciem upewnił się, że nie chce odpaść od strzelby. Zgiął nogę w kolanie, postawił stopę na szczeblu i przeniósł ciężar ciała na drabinkę.

To zachowanie wydało mu się nagle szalenie ryzykowne; nigdy by się na to nie zdecydował, gdyby nie ścigająca go przez las brygada wściekłych, uzbrojonych po zęby dżihadystów. Zakładał, że go ścigają, choć pewności nie miał, bo po wystrzale dzwoniło mu w uszach i nasłuchiwanie nie przynosiło żadnych użytecznych informacji. Linka miała grubość jednej ósmej cala. Domyślał się, że jej znamionowa wytrzymałość wystarczy do tego, żeby para takich linek udźwignęła jego ciężar (nieco ponad dwieście pięćdziesiąt funtów) - ale to była tylko teoria. Gdyby linki były uszkodzone, albo zawiązane przez Zulę węzły puściły...

Mniejsza z tym. Zaczął się wspinać, a właściwie zaczął przyciągać ku sobie kolejne szczeble, bo linka była elastyczna i nie od razu poddała się obciążeniu. W końcu jednak po którejś z rzędu próbie szczeble stawily opór jego palcom i stopom, i urwisko zaczęło się przed nim przesuwać w dół. Wspiął się jakieś dziesięć stóp ponad ziemię, kiedy zaczęło go kusić, żeby się odwrócić i rzutem oka ocenić postępy ścigających go dżihadystów, domyślał się bowiem, że na dźwięk strzału rzucili się pędem w jego kierunku. Doszedł jednak do wniosku, że nic by mu to nie dało, i skupił się na wspinaczce. Po paru dalszych szczeblach zadart

głowę: szczyt był wciąż przygnębiająco odległy. Na dodatek Zula gdzieś zniknęła... Nagle dostrzegł ruch i zdał sobie sprawę, że cały czas miał ją przed oczami: leżała na brzuchu na skraju przepaści i tylko jej głowa wystawała znad drabinki, gdzie ginęła w wizualnym szumie piętrzącego się nad nią lasu. Słońce rozbłysło w jej okularach, gdy spojrzała na ziemię za plecami Richarda i zaczęła się denerwować.

- Rzuć mi pistolet! - zawołała.

Richard znieruchomiał. Tuląc się do wilgotnej skały, poklepał się po kieszeni z boku i namacał twarde kształt pistoletu. Otworzył suwak, wyjął broń, wyciągnął rękę jak najdalej od ściany i wysokim lobem cisnął pistolet do góry, wkładając w ten rzut całą swoją siłę; nie chciałby, żeby glock chwilę później przeleciał mu koło nosa, objając się o skałę. Zula zadarła głowę, śledząc jego lot, a potem nagle zerwała się na czworaki i zniknęła.

Do tej pory to grawitacja przyciskała Richarda do ściany urwiska, która nie była ściśle pionowa. Teraz jednak przepaść lekko się przewieszała, za co odpowiedzialność ponosił znajdujący się piętnaście stóp wyżej gruby nawis skalny. Wspinaczka po drabince sznurowej nagle stała się utrudniona, ponieważ jego stopy popychały ją w pustkę, a ciało odchyliło się do tyłu i całym ciężarem zwisało na prawie wyprostowanych rękach. Wyraźnie zwolnił i złapał się na tym, że pomalutku popada w coś na kształt paniki, bo tak rozpaczliwie chciał przebrnąć ten odcinek i znaleźć się powyżej nawisu, który przypuszczalnie osłoniłby go przed strzałami z dołu. Szarpiąc się, rozkołysał drabinkę i poniewczasie spostrzegł, że ostra krawędź nawisu wrzyna się w lewą linkę.

Miał nawis prawie w zasięgu ręki, dzieliły go od niego dosłownie dwa szczeble, gdy linka pękła. Z drabinki został jeden sznur z przywiązanymi w równych odstępach patykami. Richard poleciał na prawo, obracając się bezradnie wokół swojej osi. Świat zawirował mu przed oczami, a jego wzrok padł w końcu na brzeg rzeki i roztrącane wściekle zarośla, gdy dżihadyści pędzili przez nie na złamanie karku, nawołując Jabariego. Nieco dalej jakaś wysoka postać wspięła się na olbrzymią zwaloną kłodę, żeby z większej wysokości śledzić rozwój wydarzeń. Jones. Jego wzrok padł najpierw na jaskrawą plamę krwi w miejscu śmierci Jabariego, a potem przesunął się w górę drabinki sznurowej do Richarda. Spojrzeli sobie w oczy.

Richard nie cofał się zwykle przed pojedyńkiem na spojrzenia, ale w tej chwili miał inne zmartwienia. Wierznął, obrócił się twarzą do skały i tak długo mlócił nogami, aż udało mu się chwycić szczebel drabiny między kostki. Wyprostował nogi w kolanach, jednocześnie podciągając się z całej siły na rękach i jedną po drugiej przełożył dłonie wyżej. Ugiął nogi, złapał następny szczebel między kostki nóg i powtórzył całą procedurę.

Coś świsnęło mu koło ucha i z wizgiem odbiło od skały w zakłęśnięciu pod nawisem. Powtórzyło się to raz, potem drugi, w końcu usłyszał dobiegający z dołu odgłos strzałów. Nie było żadnego racjonalnego powodu, dla którego miałyby go to powstrzymać przed dalszą wspinaczką, wręcz przeciwnie, lecz mimo to na kilka sekund znieruchomiał.

Druga seria wystrzałów rozległa się nagle znacznie bliżej, nad jego głową. Zerknąwszy w górę, dostrzegł u szczytu drabinki błysk ognia z lufy glocka.

I znowu: wyprost nóg, przełożenie rąk, aż w końcu w pompowanej adrenaliną desperacji udało mu się złapać pierwszy szczebelek powyżej zerwanej linki. Chwycił go oburącz, podciągnął się, jeszcze trochę powierzgał, aż w końcu znalazł oparcie dla stóp na górnej części nawisu. Następne kilka szczebli pokonał bardzo szybko.

Nagle drabinką zaczęło gwałtownie miotać na wszystkie strony - albo ktoś pod urwiskiem próbował się po niej wspiąć, albo uwiesił się na niej i zaczął szarpać, żeby ją zerwać. Richard zatrzymał się na chwilę, wyjął nóż i odciął przebytą część drabinki tuż poniżej szczebla, na którym stał. Drabinka odskoczyła od ściany i zniknęła w dole - czego nie powinien był oglądać, bo od tego widoku zakręciło mu się w głowie. Na dole dostrzegł również liczne błyski wystrzałów, ale otuchy dodawał mu fakt, że linię strzału prawie w każdym wypadku przesłaniały gęste zimozielone drzewa. Dżihadyści strzelali na oślep, próbowali celować przez luki w listowiu albo biegali w poszukiwaniu dogodnej pozycji do strzału.

Powiedzenie o kimś w wieku Richarda, w dodatku obdarzonym jego tuszą, że „śmiga” po drabinie, byłoby nadużyciem, on jednak miał wrażenie, że właśnie śmignął po ostatnich dziesięciu szczeblach i w końcu padł na brzuch na szczycie urwiska. Prawie dokładnie w tym samym momencie Zula cofnęła się ze swojej grędy i razem przebiegli dobre sto stóp przez las, zanim się zatrzymali, tak jakby kule mogły zakręcić nad urwiskiem i wytropić ich wśród drzew. Oczywiście kule tego zrobić nie mogły, ale Jones i jego ludzie - jak najbardziej. Tyle że drabinka (co Richard zrozumiał, gdy tylko ją zobaczył) dawała jemu i Zuli olbrzymią przewagę.

Zula wyprzedziła go, zawróciła gwałtownie, wpadła na niego z impetem i z całej siły objęła go ramionami, zaciskając je jak olbrzymie plastikowe obejmy. Wtuliła twarz w jego pierś i rozplakała się. Właściwie to Richard powinien się w nią wtulić i rozplakać, ponieważ to ona uratowała jego, nie odwrotnie, ale chwilowo nie zamierzał się o to awanturować. Był tak oszołomiony rozwojem wypadków w ciągu tych paru minut, jakie upłynęły, odkąd posłuszny zewowi natury oddalił się skokami z obozowiska, że stał jak wrośnięty w ziemię i czekał na zawał serca, który w tej sytuacji wydawał mu się nieunikniony. Złapał głowę Zuli w

zgięcie łokcia, przycisnął ją mocno do piersi, stanął w rozkroku i po prostu oddychał.

* * *

Zula pierwsza się otrząsnęła. Richard usłyszał jakieś stłumione dźwięki i uświadomił sobie, że Zula próbuje coś powiedzieć. Przestał ją przytulać. Podniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

Cud. Do końca życia, ilekroć będzie oglądał tę twarz, za każdym razem nazwie to cudem.

Jej usta się poruszały.

- Co? - zapytał.

- Chet został powyżej wodospadu. Jest poważnie ranny.

- Szlag by to... Wiesz, że musimy się przebić do Prohibition Creek, ostrzec Jake'a?

- Wiem. Tak tylko mówię.

W jej głosie pobrzmiewała nuta zaskoczenia, że Dodge'owi mogło w ogóle przyjść do głowy, że nie wróci do Cheta. Przypominała w tym muzy i furie.

- Ci skurwiele go postrzelili? - Richard skinął głową w kierunku, z którego przyszli.

- Inni skurwiele. Ale z tej samej bandy, jak się pewnie domyślasz. Prawdę mówiąc, nie wiem nawet, czy jeszcze żyje. Naprawdę kiepsko wyglądał.

- Trafisz stąd do Jake'a?

Te słowa na sekundę osadziły Zulę w miejscu.

- Sugerujesz, żebyśmy się rozdzielili? Ja pobiegnę do Jake'a, a ty okrężną drogą cofniesz się po Cheta?

- Tak pomyślałem. Znam skrót, migiem tam wrócę.

- Nie ma chyba innego wyjścia.

Zula wyglądała, jakby lada chwila miała się znów rozplakać, ale tym razem byłyby to zupełnie inny rodzaj płaczu. Przed chwilą musiała uwolnić skumulowane emocje. Teraz płakałaby z żalu, że po tak krótkiej przerwie znów będzie zdana tylko na siebie.

- Problem polega na tym... - zaczęła i zawahała się, jakby zawstydzona tym, co zamierzała powiedzieć.

- Trzeba dać znać ludziom z ro-zjazdu.

- No właśnie.

- Muszę im powiedzieć, że wróciłaś z Xiamen cała i zdrowa, potem przeżyłaś dwa tygodnie piekła, a na koniec w pojedynkę poszłaś ostrzec pozostałych.

- Otóż to. A to znaczy, że musisz przeżyć.

- Tylko jeśli ty nie przeżyjesz - zauważył Richard.

- W rzeczy samej - przytaknęła, jakby komentowała celne spostrzeżenie na spotkaniu biznesowym.

- Z drugiej strony...

- Ja muszę przeżyć, gdyby tobie miało się nie udać. Ale uda się. Zawsze ci się udaje.

- Zawsze to się nikomu nie udaje. Ale zrobię, co w mojej mocy, bo mam świadomość, że tylko wtedy będę miał zaszczyt i przyjemność opowiedzenia światu twojej historii.

- Taka tam historia... - mruknęła nieśmiało Zula.

- Nie gadaj głupstw. Skup się: Chet jest umierający, a ci francowaci terroryści maszerują prosto do Jake'a. Musimy zrealizować nasz plan, nawet jeśli jest żalony i świat wcale nie stanie się od niego lepszy. Zgadzasz się ze mną?

- Tak.

Zula wyciągnęła przed siebie rękę w rękawiczce. Uścisnęli sobie dłonie.

- Zawsze byłeś dla mnie bohaterką.

- A ty dla mnie... wujkiem.

- To dla mnie zaszczyt.

- Do zobaczenia.

- Ruszaj się. I pamiętaj: jeżeli będziesz już niedaleko, to wystarczy, że opróżnisz ten magazynek w powietrze, żeby wprowadzić Jake'a i tych jego i czubów w stan gotowości. Niewiele im trzeba.

- Zapamiętam.

Zula odwróciła się i zaczęła oddalać. Po paru pierwszych wolnych krokach puściła się biegiem.

- To pewnie oczywiste - zawołał za nią Richard - ale kocham cię!

Obejrzała się nieśmiało przez ramię i pognała przed siebie.

* * *

Cheta było widać z odległości pół mili: leżał wyciągnięty na wznak na głazie i przywodził na myśl spadochroniarza, któremu nie otworzył się spadochron. Krew spływała z boku po kamieniu. W jednej ręce trzymał jakiś przedmiot o dziwnym kształcie, w którym Richard, wspinając się po zboczu (wydawało się, że trwa to wieki), rozpoznał w końcu lornetkę.

Opląciły się te wszystkie treningi na orbitreku. Przeciętny mężczyzna jego postury i w jego wieku dawno już wyciągnąłby kopyta. Już nie pamiętał chwili, w której nie dyszałby ciężko i nie pocił się jak mysz w połogu.

Był w zasadzie pewien, że Chet nie żyje, kiedy nagle ręka się poruszyła, ciało usiadło

i podniosło lornetkę do oczu. Niewiele brakowało, żeby Richard wrzasnął przeraźliwie - jak każdy na widok trupa, który ożywa. Prawie stracił chęć podchodzenia bliżej, na szczęście, rozpaczliwie wolne tempo marszu po rumowisku dało mu mnóstwo czasu na zapanowanie nad pierwotnymi emocjami.

- Sie masz, Chet! - zawołał, znalazłszy się w zasięgu głosu.

Chet położył się przez ten czas na głazie i od dłuższej chwili się nie poruszył.

- Dodge. Przyszedłeś.

- Zdziwiony?

- Wiem, że jesteś zajęty. Masz tonę zmartwień.

- Dla ciebie zawsze znajdę czas. I zawsze chciałem, żeby to było dla ciebie jasne.

- Było. Doceniam to. Zawsze doceniałem.

- Nie mów tak.

- Daj spokój, Dodge, wiesz przecież, że jestem trupem.

- Nie pierwszy raz. Poprzednio to było na polu kukurydzy. Pamiętasz?

- Nie. Dostałem amnezji. Pamiętasz? - Chet parsknął śmiechem.

Richard się uśmiechnął.

- Wtedy doznałem olśnienia w kwestii południków i równoleżników - ciągnął Chet. - Zrozumiałem, że żyjemy w zakrzywionej przestrzeni. Równoleżniki biegną prosto i są równoległe. A południki zakrzywiają się ku sobie i łączą na końcach. Kiedy *Nautilus*, pierwszy atomowy okręt podwodny, dopłynął na Biegun Północny, nadał wiadomość. Wiesz jaką?

- Nie - skłamał Richard, mimo że chyba ze sto razy słyszał, jak Chet opowiada tę historię zasłuchanym Paladynom Północy.

- „Dziewięćdziesiąt stopni szerokości geograficznej północnej”. Rozumiesz? Nie mogli podać długości geograficznej, bo tam, na biegunie, południki się łączą. *Nautilus* znajdował się na wszystkich jednocześnie, a więc nie znajdował się na żadnym. To się nazywa „osobliwość”.

Richard pokiwał głową.

- Narodziny i śmierć - mówił dalej Chet. - Dwa bieguny ludzkiej egzystencji. Jesteśmy jak południki, wszyscy zaczynamy się i kończymy w tym samym miejscu. Na początku rozdzielamy się i każdy idzie swoją drogą, przez morza, góry, wyspy i pustynie. Każdy snuje własną opowieść i nie ma wśród nich dwóch takich samych. Ale na koniec znów spotykamy się w jednym punkcie, a nasz koniec jest tak samo wspólny jak początek.

Richard tylko kiwał głową. Bał się, że głos mógłby go zawieść.

- Wiesz, gdzie jesteśmy? - spytał Chet.

- Gdzieś cholernie blisko granicy - wykrztusił w końcu Richard.

- „Blisko” to za mało powiedziane. Spójrz.

Chet wyciągnął rękę w bok, po czym przeniósł ją łukiem nad głowę niczym ostrze gilotyny do papieru, tak że wskazywała przeciwny kierunek niż przed chwilą. Podążając za nią wzrokiem, Richard dostrzegł rozrzucone w terenie słupki geodezyjne.

- Jesteśmy na czterdziestym dziewiątym równoleżniku. Nogi mam w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, a głowę w Kanadzie. - Mina Cheta dowodziła, że fakt ten uważa za wielce doniosły, więc Richard tylko skinął głową i starał się zachować powagę. - Przegradzam im drogę. Ich południki tu się kończą.

- Co ty wygadujesz?

Chet machnął ręką z grubsza w kierunku północnym i podał lornetkę Richardowi, który podniósł ją do oczu, dopasował sobie rozstaw okularów, oparł łokcie na głazie i spojrzał na północ, na opadające spod grani piarżyska. Już gołym okiem widział na nich dwie ludzkie sylwetki, schodzące ostrożnie wśród kamieni w mniej więcej stustopowym odstępnie. Przez lornetkę dostrzegł uzbrojonych ciemnowłosych mężczyzn, odpowiadających stereotypowemu rysopisowi dżihadystów. Ten na przedzie był krępy i niósł na ramieniu pistolet maszynowy. Drugi, idący z tyłu, był żylasty i uzbrojony w przewieszony skosem przez plecy karabin. Snajper.

- Straż tylna - wyjaśnił Chet. - Gonią główne siły. - Zachichotał i zakaszłał głośno. Richard, który miał całkiem niezłe pojęcie, czym Chet kaszle, wołał nie patrzeć. - Tak się skupili na tym gonieniu, że nie przyszło im do głowy obejrzeć się za siebie.

Zaskoczony Richard oderwał wzrok od lornetki i z wysiłkiem skupił spojrzenie starych oczu na Checie, który kiwał do niego głową i znacząco zerkał w górę. Krwawa mgielka opryskała mu podbródek i osiadła na szarej szczecinie zarostu. Richard jeszcze raz namierzył dżihadystów, po czym przeniósł wzrok wyżej po zboczu, aż dostrzegł jakiś ruch. Trudno było mu się rozeznąć, co właściwie widzi, ponieważ poruszający się obiekt idealnie maskował się na płowym tle zwietrzałych skał. Przesuwał się płynnie, przepływał między kamieniami jak kropla gliceryny. Nie odrywając od niego oczu, Richard uniósł lornetkę i wstawił ją sobie na linię wzroku. Trochę musiał poszukać, ale w końcu zogniskował szkła i wyraźnie zobaczył schodzącą z grani pumę. W blasku wschodzącego słońca jej ślepia pałały ogniem jak płonący fosfor. Nie odrywała ich od schodzących przed nią ludzi.

- A niech mnie... - mruknął Richard. Chet dostał następnego ataku śmiecho-kaszlu. - Ci goście są kompletnie z innej bajki. Mam nadzieję, że szybko ich dopadnie.

- Już dopadła. Podobno zeżarła jednego marudera. Zula tak powiedziała.

- Aha. Więc to ludojad.

- Pумы boją się ludzi. Zostaw je w spokoju, to one zostawią w spokoju ciebie - odparł Chet, przedrzeźniając świętoszkowatych ekologów.

W tym okolicach pумы regularnie atakowały ludzi i upór miłośników natury, którzy nie byli w stanie pojąć, że dla drapieżnika człowiek jest po prostu jedną z wielu form chodzącego mięsa, wielokrotnie bywał źródłem gorzkich żartów w barze w *Schlossie*.

W jego słowach Richard dostrzegł szansę.

- W takim razie sprawa jest jasna, Chet: nie mogę cię tu zostawić. Na pewno cię już zwęszyła.

- Aż tak śmierdzą?

- Wiesz, o co mi chodzi. Nie mogę cię tak zostawić, jesteś bezbronny. Albo dorwą cię dżihadyści, albo puma.

- Nie jestem bezbronny.

Chet rozpiął kurtkę motocyklową, odsłaniając intrygująco makabryczny stan rzeczy. Spodnią warstwę jego ubrania stanowiła termoaktywna koszulka, w tej chwili z jednego boku całkowicie przesiąknięta krwią i powybrzuszana od opatrunków lub opuchlizn. Na wierzchu Chet miał kurtkę, ale pomiędzy tymi dwiema warstwami znajdował się okazały przedmiot: gruba, lekko wypukła metalowa płyta, którą przywiązał sobie do piersi i podwiesił do szyi za pomocą chaotycznej plątaniny linek spadochronowych. Na płycie widniał namalowany od szablonu napis w cyrylicy.

- To chyba oznacza „Tą stroną do przeciwnika”, albo coś w tym rodzaju - wyjaśnił, po czym, nie widząc u Richarda ani śladu zrozumienia, dodał: - To rosyjska mina przeciwpiechotna.

Richard przez dłuższą chwilę nie miał nic do powiedzenia.

- Oni mogą, to ja też - dodał Chet.

- Ale co, wysadzić się w powietrze?

- Mhm.

- Nigdy mi nie wyglądałeś na zamachowca samobójcę.

- To nie samobójstwo, kiedy już jesteś trupem.

Richard znów nie znalazł odpowiedzi.

- A teraz słuchaj - wyręczył go Chet. - Najwyższy czas, żebyś stąd spieprzał. Jesteś już w zasięgu tego z karabinem. Spadaj. Twój południk jeszcze się nie kończy, musisz przejść kawał drogi na południe. Co innego mój: ja zakrzywiam się już przy samym biegunie. A ci

dwaj... dotrą na biegun razem ze mną.

- Tam się spotkamy. - Tylko tyle zdołał wykrztusić Richard.

- Już nie mogę się doczekać.

Richard objął Cheta, próbując zrobić to delikatnie, ale Chet zarzucił mu rękę na kark i przyciągnął go z całej siły, wgniatając mu minę w pierś i szorując zakrwawionym zarostem po twarzy. W końcu jednak go puścił, Richard odwrócił się i ruszył na południe. Łzy zamglily mu wzrok i musiał iść prawie na czworakach, żeby nie skreślić kostki na kamieniach.

Zdawał sobie sprawę, że Chet celnie ocenił zasięg karabinu snajperskiego, więc w pierwszym odruchu chciał jak najszybciej zejść z linii strzału, który to efekt łatwo było osiągnąć, wykorzystując ogólne pofalowanie terenu i trafiające się od czasu do czasu kępy zdesperowanych drzew. Nie mógł się jednak poruszać zupełnie swobodnie, dopóki nie znajdzie się w lesie, od którego dzieliło go dobre pół mili osypiska. Kiedy, wspinając się do Cheta na górę, brnął ciężko po kamienistym osypisku, najróżniejsze mięśnie wrzeszczały na niego z bólu, po tym, jak poprzedniego dnia niemiłosiernie je wykorzystał. Wtedy wybrał nieco okrężną ścieżkę, wymijając rozrzucone po stoku nadtopione śnieżne pola, które teraz obiecywały znaczne skrócenie drogi w dół. Było to wprawdzie ryzykowne, ale odkąd pożegnał się z Chetem, odczuwał niemal paniczny imperatyw, który kazał mu gnać na południe, żeby ostrzec Jake'a i - być może - dogonić Zulę. Podszedł więc bokiem, jak krab, na skraj olbrzymiego płata śniegu, który schodził aż do granicy lasu, i natychmiast się poślizgnął. Zamiast jednak klapnąć po prostu na tyłek, ostrożnie pochylił się i zaczął na stojąco zjeżdżać na butach. Takie narciarstwo bez nart. Była to całkiem zwyczajna procedura, którą dzięki działalności w branży narciarskiej wielokrotnie miał okazję ćwiczyć na dogodnych stokach, gdy tylko pozwalały na to warunki pogodowe.

Pokonanie dystansu dzielącego go od lasu zajęło mu ułamek czasu, jakiego potrzebowałby, gdyby musiał kluczyć wśród kamieni. Po drodze przewrócił się trzy razy, przy czym ostatni upadek był zaplanowanym nurkiem w zaspę, który pozwolił mu wytracić prędkość, zanim uderzy w drzewa.

W mięciutkiej zaspie powstało zagłębienie w kształcie Richarda, w którym jego poobijane i zmęczone ciało znalazło niezwykle miłą i wygodną gošcinę. Ziab nie od razu zaczął się przesączać przez ubranie, więc Richard tylko odwrócił głowę i potwierdził, że chwilowo zniknął dżihadystom z oczu.

Kusiło go, żeby się zdrzemnąć. Wepchnął sobie garść śniegu do ust, pogryzł i przełknął. Podczas zjazdu serce waliło mu jak młotem i teraz doszedł do wniosku, że nic się nie stanie, jeśli chwilę odpocznie, wyrówna oddech, da odsapnąć ciało, odczeka, aż tętno mu

się uspokoi...

Czego ono wcale nie zamierzało zrobić. Cały czas odczuwał równe łomotanie w piersi. Zaczynał się zastanawiać, czy nie są to przypadkiem początki arytmii serca.

Na to się jednak nie zanosilo, ponieważ stabilny rytm uderzeń był wręcz ewidentny, niemal mechaniczny w swojej doskonałości. Przycisnął rękę do żeber pod prawą pierś i stwierdził, że ów rytm nie ma nic wspólnego z jego sercem.

Pochodził spoza ciała.

Przenikał powietrze.

Helikopter.

Przeturlał się na nogi i, wymachując rękami, chwiejnie wytoczył się na otwartą przestrzeń.

* * *

Z wysokości dwóch tysięcy stóp korytarz autostrady I-90 w okolicy Coeur d'Alene wyglądał jak każdy inny pas amerykańskiej zabudowy przydrożnej, może tylko ciut częściej niż inne biegł przez las. Kierując się na północ, przelecieli nad paroma małymi jeziorkami, nad którymi pobudowano domy mieszkalne i chatki myśliwskie. Następnie znaleźli się nad niejednorodnym, sporadycznie zagospodarowanym terenem, gdzie niewysokie góry wznosiły się nad wąwozami rzek i usianą jeziorami równiną. Wyższe i bardziej strome partie gór pokrywało gęste, zielone futro iglaków, tu i ówdzie upstrzone drzewami liściastymi, których świeża zieleń zdawała się przy nich wręcz fosforyzująca. W innych miejscach góry zostały podzielone na prostokątne działki pod wyrąb; część drzew wycięto niedawno, część na tyle dawno, że poręby zdążyły zarosnąć albo zielskiem, albo równiutkimi nowymi nasadzeniami. Na nizinach rozpościerały się farmy i rancza, z rzadka przetykane mniejszymi i położonymi przy drogach parcelami sklepów i tartaków. Gdzieniedzie domy skupiały się w małe osady, ale na ogół ludzie woleli zachowywać zdrowy dystans do sąsiadów, toteż osiedla te rzadko osiągały zagęszczenie kwalifikujące je do miana miasteczek. Dopiero kiedy dwadzieścia minut po starcie znaleźli się nad Sandpoint, zobaczyli miasto z prawdziwego zdarzenia, ale nawet ono rozsnuło się w nicość, gdy przelecieli nad szarym jak nagrobek Walmartem i znów zawisli nad polami.

Po dalszych dwudziestu minutach dotarli do Bourne's Ford, gdzie pilot zmienił kurs i skierował się wprost ku górom, które nazwał Górami Selkirka i które od pół godziny systematycznie wznosiły się z lewej strony nad równiną.

Wtedy Seamus doznał olśnienia. Góry, które nagle wypełniły przednią szybę, wznoszące się z płaskiej doliny gdzieś powyżej jego głowy, wyglądały znajomo, i to

bynajmniej nie dlatego, że już wcześniej był w tych okolicach - bo nie był. Widział jednak wiele takich pasm górskich na całym świecie. Wszelkiej maści bojownicy uwielbiają się ukrywać w takich górach.

Bojownicy nie przepadają za widowiskowymi ośnieżonymi szczytami; śnieg utrudnia poruszanie się i zwiastuje zimno, „widowiskowy” zaś równa się „widoczny z daleka”, a oni nie lubią być widoczni. Lubią też pasma obejmujące znaczny obszar i przecinające granice państwowe, dostatecznie wysokie i dzikie, żeby zniechęcić przypadkowych turystów i utrudnić działania wojska i policji, ale zarazem na tyle niskie, żeby rosły na nich drzewa i nie było wiecznie zimno. Cechy, które przyciągają turystów, najczęściej odstraszały bojowników; odstrasza ich zwłaszcza sama obecność turystów.

Seamus na pierwszy rzut oka poznał, że mało który turysta będzie chciał zapuszczać się w te rejony, kiedy parę godzin jazdy na wschód dzieli go od Gór Skalistych, a podobna odległość w przeciwnym kierunku - od Gór Kaskadowych. Góry Selkirka były niskie, niewarte uwagi, niegościnne dla narciarzy, posiekane drogami do poręb i w znacznej mierze wylesione w sposób, który wprawdzie dawał zatrudnienie miejscowym, ale turystom zwyczajnie się nie podobał.

Nic dziwnego, że przyciągały prawicowych świrów. Nic dziwnego, że kusily przemytników.

Czuł się nieswojo. Właściwie nie było w tym nic dziwnego: zawsze czuł się podobnie, lecąc helikopterem w takie góry, ponieważ zwykle zapowiadało to rychłą walkę. Tyle że teraz musiał cały czas upominać się w duchu, że pulsująca mu w żyłach adrenalina pójdzie na marne - bo jeśli nie, jeśli adrenalina się nie zmarnuje i coś naprawdę się wydarzy, to będzie bardzo źle, ponieważ towarzyszący mu ludzie nie byli fizycznie ani psychicznie przygotowani do walki.

Zakładając (całkiem rozsądnie), że turyści chcą zobaczyć najwyższe góry, pilot zamaszystym łukiem wprowadził maszynę w głąb doliny, po której dnie wiła się biała kreska wezbranej od stopionego śniegu rzeki. Po paru minutach rzeka rozszczepiła się na kilka dopływów zbierających wodę z kilkumilowego odcinka grzbietu Gór Selkirka. Wszystkie szczyty w grani wnosiły się wysoko ponad zasięgiem lasu. Ponura panorama jałowych skalistych turni wyrastała z rozległych osypisk skalnych, nagich, jeśli nie liczyć pojedynczych drzew-wybryków natury. W krótkim czasie spalili sporo paliwa, żeby z łoskotem wzbić się wyżej i przelecieć nad niską przełęczą, za którą nagle rozpostarł się widok na kolejne miłe oku bojownika łańcuchy górskie. Ich pochod przecinało dopiero długie, rozciągnięte z północy na południe jezioro.

Znów skręcili na północ i pilot skierował śmigłowiec łagodnym łukiem wzdłuż grani, w stronę granicy. Minęli kilka wyższych szczytów, ale potem górski grzbiet opadł o dobre dwa tysiące stóp i zanurkował poniżej linii drzew. Tylko jeden wierzchołek sterczał ponad lasem kilka mil na południe od granicy (Abandon Mountain, jak nazwał go pilot), a poza tym karłowate drzewa, plackowate pola śnieżne i piarżyska ciągnęły się daleko w głąb Kanady. Dopiero daleko, daleko przed nimi Góry Selkirka wyskakiwały w górę i przeradzały się w prawdziwie majestatyczne pasmo, ale to już była Kolumbia Brytyjska, gdzie - co oczywiste - wszystko było większe i lepsze.

Seamus jednak oglądał wyłącznie wijące się w dole ciemne doliny. To była prawdziwa dzicz. Przecinało ją kilka starych dróg prowadzących do szeroko rozrzuconych kopalń i obozów drwali, ale poza tym była to chyba najdziksza i najmniej tknięta ludzką ręką okolica w całych kontynentalnych Stanach poza Alaską. Kiedy pilot na prośbę Seamusa zwolnił i zniżył lot, doliny nagle nabrały trzeciego wymiaru, głębi, której wcześniej nie zauważył, zupełnie jakby, siedząc w kinie, dopiero teraz założył okulary 3D. Zaglądając z bliska w głąb wąwozów, docenił tutejsze stromizny. Wściekle spienione rzeki potwierdzały to spostrzeżenie.

- Co chcielibyście zobaczyć? - zapytał pilot, gdy od dwóch minut wisieli nad wodospadem, lśniącym jak klejnot osadzony w głębokiej mglistej niecce.

Seamus wypatrywał ścieżek. Tropów bojowników przekradających się przez las.

- Granicę - odparł.

- Właśnie ją widzicie. - Pilot wskazał na północ. - Wolałbym jej nie przekraczać, ale jeśli chcecie, podlecimy bliżej.

- Chętnie.

Przelecieli nad częściowo zarośniętym zboczem wznoszącym się znad wodospadu aż do nierównego plateau usłanego głazami, płatami śniegu i kępami drzew. Nad nim z kolei wznosiło się znacznie szersze i wyższe rumowisko, ciągnące się (jak twierdził pilot) równoległe do granicy w odległości mili lub dwóch na północ od niej. W wyrastającej z niego skalnej ścianie widniał wykuty ludzką ręką otwór, najwidoczniej wlot sztolni starej kopalni.

- Ktoś pomalował skałę - zauważyła Yuxia.

- Gdzie? - zainteresował się Seamus.

- Dokładnie pod nami.

Wzrok Seamusa był do tej pory skierowany poziomo na północ, kiedy jednak teraz spojrział w dół, stwierdził, że Yuxia ma rację. Coś, co przed chwilą wziął za powykęcane drzewo pokryte świeżutkimi liśćmi, przy bliższych oględzinach okazało się bryzgiem zielonej

farby na kamieniu. Jak graffiti. Tyle że całkiem bez sensu.

Dostrzegł za to ledwie widoczną ścieżkę prowadzącą do graffiti od północy, mniej więcej od strony wylotu kopalnianego tunelu. Na skalnym rumoszu była właściwie niewidoczna, ale w paru miejscach wypatrzył świeżo wzruszone kamienie, a w jednym punkcie był absolutnie pewny, że ktoś zjechał na butach po płacie śniegu. Wyrysowane na nim dwa równoległe ślady były jeszcze ostre i wyraziste, jakby nie minęła nawet godzina, odkąd zostały wystawione na ciepło słońca.

Powiódł wzrokiem od początku śladu w górę zbocza i ze zdumieniem ujrzał trupa leżącego na wznak na ogromnym głazie.

- O kurde... - mruknął pilot, który również go zobaczył.

- Przyjrzyjmy mu się z bliska - zaproponował Seamus, który znów poczuł to charakterystyczne wrażenie, kiedy serce pompuje czystą adrenalinę.

Śmigłowiec opuścił nos i ruszył na północ.

Przelatywali nad poślubionym butami polem śnieżnym, kiedy Yuxia jęknęła tak głośno, jakby krzyknęła z bólu.

- On do nas macha! - zawołała.

- Niby kto? - spytał z powątpiewaniem Seamus, bo człowiek rozpostarty na głazie na pewno do nikogo nie machał, a on nikogo innego nie widział.

- To chyba jest wujek Zuli - odparła Yuxia. - Widziałam go na Wikipedii.

Gdzieś nad nimi rozległ się ostry, głośny huk. Zaraz po nim dwa kolejne.

- Co jest, kurna...? - zdziwił się pilot.

Zrobiło się cicho. Niepokojąco cicho.

Cisza w helikopterze nie wróży niczego dobrego.

- Ktoś do nas strzela - odparł Seamus, który nie pierwszy raz słyszał takie odgłosy. Tyle że wojskowe śmigłowce zwykle znoszą je nieco lepiej. - Unieruchomił nam silnik. Weźcie coś w zęby.

Odwrócił się do tyłu, otworzył szeroko usta, wsadził w nie broszurkę reklamową właściciela helikoptera i demonstracyjnie zagryzł, odsłaniając zęby, żeby Yuxia widziała, co robi.

Wpatrując się w niego, podniosła rękę, przygryzła maskującą rękawicę i wysunęła z niej dłoń.

- Przygotujcie się na uderzenie... - ostrzegł pilot.

Zanim dokończył swoją kwestię, Seamus przestał go słyszeć w słuchawkach - wyglądało na to, że następna kula przebiła deskę rozdzielczą i rozpieprzyła elektrykę.

Trzeba było oddać pilotowi sprawiedliwość: facet znalazł się na rzeczy. Umiejętnie manipulując sterami, wprowadził wirnik w autorotację, która przejęła część energii spadającej maszyny i minimalnie spowolniła upadek. To - w połączeniu z faktem, że uderzyli w pochyły płat śniegu, zamiast rozbić się na poziomym terenie - ich uratowało. Mimo to Seamus miał wrażenie, że od impetu uderzenia poluzowały mu się zęby w dziąsłach. Zacisnąwszy wcześniej szczęki, uniknął szczęknięcia zębami i odgryzienia sobie języka. Miał nadzieję, że pozostała dwójka też miała tyle szczęścia.

Maszyna zaryła nosem w śnieg i zaczęła sunąć w dół zbocza jak olbrzymi niesterowalny tobogan. Przed nimi były drzewa. A przed drzewami Seamus zobaczył - dokładnie tak, jak to zapowiedziała Yuxia - Richarda Forthrasta, znanego również jako Dodge.

Richard uskoczył.

Drzewa nie.

* * *

Dziesięć lub piętnaście sekund, jakie dzieliło pojawienie się śmigłowca na niebie od jego znieruchomienia wśród drzew, zaledwie kilka jardów od miejsca, gdzie Richard rzucił się na ziemię, dostarczyło mu mnóstwa całkowicie nowych wrażeń, które w innych okolicznościach wymagałyby tygodni przesiewania i układania, zanim zdołałby z nich coś zrozumieć. Jego nowoczesny umysł powtarzał w kółko: „Że też nie mogłem tego sfilmować!” i: „Ależ miałbym zarąbisty wpis na blogu!”. Ponieważ jednak nie powiodło mu się ani jedno, ani drugie, chciał przynajmniej poleżeć sobie chwilę bez ruchu i zastanowić się, czy to się wydarzyło naprawdę.

Za potrzaskaną szybą maszyny zaczęli się poruszać ludzie, którzy z początku leżeli nieruchomo, całkiem oszołomieni. W malutkim szklanym bąblu kabiny trudno było policzyć pasażerów; na pierwszy rzut oka Richard dostrzegł dwie osoby, po czym chwilę później uznał, że jednak się pomylił, bo z tyłu siedziała jeszcze jedna, drobniejsza. Chyba kobieta.

Pilot albo był nieprzytomny, albo nie miał ochoty się ruszać. Siedzący obok niego tykowały mężczyzna o rudawoblond włosach i brodzie wymachiwał kończynami jak pająk w wannie, usiłując wyplątać się z pasów, ponaglany przez osobę z tyłu, która nie mogła się wydostać, dopóki on nie wysiądzie, a sądząc po głosie (który brzmiał jak chiński i zdecydowanie należał do kobiety), bardzo chciała się wydostać. Mężczyzna miał maskujący strój, co sugerowało, że przyleciał na polowanie. Nie był to najlepszy sezon, ale mógł być kłusownikiem, który przyleciał tu specjalnie po to, żeby nie narażać się leśnikom.

Richard spojrział w górę zbocza, wypatrując snajpera, ale ten albo jeszcze nie zszedł

dostatecznie nisko, albo po snajpersku skutecznie się ukrywał. Tak czy inaczej, wkrótce będzie miał ich na muszce. Należało koniecznie uprzedzić o tym nowo przybyłych i pomóc im się wydostać z wraku. Z wysiłkiem dźwignął się na nogi i, brnąc przez śnieg, dopadł prawego boku maszyny - gdzie powitał go widok lufy pistoletu, który w jakiś precudowny sposób pojawił się w prawej dłoni pasażera i mierzył teraz prosto w Richarda.

- Spokojnie - powiedział Richard, pokazując puste ręce. - Po czymś takim też byłbym zdenerwowany.

- Nie w tym rzecz. Masz mossberga pięćsetkę w uprzęży taktycznej. - Pasażer ruchem głowy wskazał strzelbę przewieszoną przez ramię Richarda.

- To prawda.

- I nazywasz się Richard Forthrast. - Mężczyzna opuścił broń, ale jego spokój zmaćła seria wściekłych kopniaków w oparcie fotela.

- Grasz w *T'Rain*? - spytał Dodge.

- Prawdę mówiąc, gram, ale to jest coś więcej niż przypadkowe spotkanie twórcy gry z jej fanem. Mamy informacje o twojej bratanicy. A właściwie ona je ma. - Seamus skinął głową za siebie. - Nie miałem okazji poznać Zuli osobiście, ale słyszałem, że to piękna młoda kobieta.

- Widziałem się z nią przed godziną.

Kopanie w fotel ustało i zza oparcia wychynęła zaciekawiona twarz.

- Ona żyje? - spytała młoda Azjatka.

* * *

Wydostanie się z helikoptera wymagało popracowania nożem, ponieważ fragmenty wgniecionej do wewnątrz deski rozdzielczej pozahaczały o pasy bezpieczeństwa i ubrania pasażerów. W końcu jednak mężczyzna (który przedstawił się jako Seamus) i kobieta (Yuxia) wygramolili się ze środka i obeszlą śmigłowiec dookoła, żeby sprawdzić, co z pilotem, który przez ten czas zdążył się ocknąć. Richard, uwarunkowany wieloletnim oddziaływaniem Hollywoodu, z początku zastanawiał się, kiedy śmigłowiec eksploduje i stanie w ogniu, lecz w miarę upływu czasu wydawało mu się to coraz mniej prawdopodobne. Zbiornik paliwa nie przeciekał, nigdzie też nie było widać potencjalnych źródeł zapłonu.

Pilot całkiem spokojnie zameldował, że wszystkie części jego ciała od pępka w dół chyba poszły spać - wprawdzie nie stracił w nich czucia, mógł nawet nimi poruszać, ale mrowiły go jak wściekle. Wyglądało na to, że impet zderzenia sprasował mu nieco kręgosłup, być może uszkodził część kręgow, i rdzeń kręgowy zwariował. Na razie obeszło się bez paraliżu, ale mogliby mu zaszkodzić, gdyby spróbowali go poruszyć „jak banda

dobrodusznych półmózgów”, cytując Seamusa.

Yuxia i Seamus wyszli z wypadku prawie bez szwanku, nie licząc otarć i siniaków, które dopiero następnego dnia zaczęły im się dawać we znaki.

Resztę załatwiła adrenalina oraz - w przypadku Yuxii - potężny kop endorfinowy wywołany wiadomością, że Zula żyje (a przynajmniej przed godziną żyła).

Kiedy Seamus wypytywał pilota i zastanawiał się, co dalej, Yuxia skoncentrowała się na Richardzie.

- Twoja bratanica bardzo cię ceni.

- Już wiem, kim jesteś. Pisała o tobie na papierowym ręczniku.

Upewniwszy się, że śmigłowiec nie zamierza wybuchnąć, i biorąc pod uwagę fakt, że razem mają dwie sztuki broni palnej, Richard poczuł przypływ optymizmu, jakby nie zostało im nic innego jak aresztować bandziorów i kupić ludziom bilety powrotne do domów.

- Reszta jest w drodze? - spytał Seamusa.

- Jaka reszta? O czym ty mówisz?

- No... posiłki?

- Jesteśmy sami.

- Ale wiedzieliście, że tu jestem... i że dżihadyści tu są.

- Gdybyśmy wiedzieli, że oni też tu będą, przywieźlibyśmy ze sobą całą cholerną Gwardię Narodową stanu Idaho. A potem nie wisielibyśmy w powietrzu jak ciółki, żeby dać się zestrzelić jakiemuś frajerowi z giwerą.

Richard patrzył na Seamusa.

- Działam na własną rękę - mówił dalej Seamus. - Sprawdzam pewną hipotezę. Nikt mi nie wierzy. Dopóki nie przestrelili nam silnika, miałem tylko niewyraźne przeczucie, że Jones może się gdzieś tutaj przekradać.

- Zdążyliście wysłać sygnał alarmowy...

Richard ugryzł się w język, Kiedy dotarło do niego, że robi z siebie głupka. Widział przecież, jak ich zestrzelono. Nie zdążyli niczego wysłać.

- No dobrze, ale ktoś w końcu zwróci uwagę, że helikopter nie wrócił...?

- To jednoosobowa firemka. Zanim ktoś coś zauważy, mogą minąć godziny. Przez ten czas będzie po wszystkim.

- To znaczy, po czym?

- Po tym, co się niedługo wydarzy. Nawiasem mówiąc, gdzie jest Jones, do ciężkiej cholery?

- Faceci, którzy was zestrzelili, to jego straż tylna. Jones zszedł już dalej na południe.

Chętnie wskażę ci drogę do niego, ale na początek radziłbym zainteresować się tymi, którzy do nas strzelają.

Wzrok Seamusa powędrował w górę zbocza, mniej więcej w stronę rzeczonych niedobrych ludzi... i tam się na czymś zafiksował.

- Ktoś już się chyba nimi zainteresował - powiedział. - Trup wstał.

* * *

Wędrownica na południe obfitowała w wydarzenia, które Ershut mógłby sklasyfikować jako rozczarowania, trudności i przeciwności losu, gdyby dorastał w zniewieściałej zachodniej demokracji. Ponieważ jednak było inaczej, prawie ich nie zauważał. Niepokoilo go tylko to, co przytrafiło się biednemu Sayedowi. Długi krwawy trop prowadził przez las do niewysokiego drzewka, na którym trzy metry nad ziemią wisiało ciało Sayeda, zaklinowane w rozwidleniu konarów. Głowa opadła mu na pierś, a nos dotknął mostka, kiedy zwiotczały kark przestał stanowić jakiegokolwiek oparcie. W brzuchu miał wyszarpaną schludną dziurę, przez którą wyrwano mu wątrobę. Przez swoją dziwaczość śmierć ta była dla Ershuta o wiele bardziej niepokojąca od zgonu Zakira, który zginął śmiercią niezwykle krwawą, lecz znacznie bardziej konwencjonalną.

Zawrócili z Jahandarem do obozowiska, trzymając się blisko ścieżki, żeby uniemożliwić motocykliście zawrócenie i wymknięcie się z doliny. Na zmianę raz jeden, raz drugi pilnował szlaku, a jego towarzysz przynosił z położonego wyżej obozu rzeczy, które miały być niezbędne podczas przejścia na drugą stronę gór. Ruszyli w górę doliny po śladach motocykla, gdzieniegdzie upstrzonych plamkami krwi, które sprawiały ogromną satysfakcję Jahandarowi, przekonanemu, że oddał jeden dobry, celny strzał.

Przejście przez góry zaczęło się nieszczerólnie, okazało się bowiem, że furtka przy wejściu do tunelu jest zapięta na blokadę motocyklową. Próby jej przestrzelenia spełzły na niczym, ale tylko słaby i do cna zepsuty niewierny mógłby pomyśleć, że taka przeszkoda powstrzyma takich ludzi, jak Ershut i Jahandar. Wycofali się spod kopalni i po prostu przeleźli górą na drugą stronę grzbietu. Zabiwakowali na grani, skąd mieli doskonały widok na wszystkie strony, i o brzasku ruszyli dalej. Ershut źle spał, prześladowany wizjami Sayeda na drzewie. Nie mógł pojąć, kto - lub co - dopuścił się takiego okrucieństwa. Sam był mocno zbudowany i ponadprzeciętnie silny, ale nie sądził, żeby udało mu się wciągnąć bezwładne ciało Sayeda na taką wysokość po drzewie pozbawionym dogodnie rozmieszczonych gałęzi. Widok głębokich, równoległych bruzd na korze, pozostawionych przez potężne łapy opatrzone czterema pazurami, kazał mu podejrzewać, że sprawcą mordu było jakieś drapieżne zwierzę, które następnie wciągnęło zdobycz na drzewo, żeby ochronić ją przed szakalami czy

zamieszkującymi te góry odpowiednikami szakali. Jahandar wykpił tę teorię; był przeświadczony, że to robota człowieka, który, chcąc ich zastraszyć, okaleczył zwłoki Sayeda i zostawił je w miejscu, w którym nie mogli ich nie zauważyć.

Tak czy inaczej, spali czujnie, z bronią pod ręką. Stojąc na warcie, Ershut był przekonany, że coś się kręci wokół obozowiska. Raz nawet, kiedy omiatał mrok latarką, dałby sobie głowę uciąć, że przez ułamek sekundy mignęła mu para błyszczących ślepi. Zanim jednak poświecił specjalnie w ich kierunku, zniknęły.

Rozsądek nakazywałby więc oglądać się przez ramię podczas porannego zejścia spod grani, ale z przodu wydarzyły się dwie rzeczy, które przykuły ich uwagę. Pierwszą była kanonada z broni palnej, która poniosła się echem po dolinie wkrótce po tym, jak wyruszyli z noclegu, drugą zaś leżący na głazie człowiek, który od czasu do czasu odzyskiwał świadomość, podnosił do oczu lornetkę i spoglądał przez nią w górę stoku. Musiał być pijany lub w inny sposób upośledzony, bo długimi chwilami leżał bez ruchu, a kiedy się poruszał, robił to bardzo niezbornie. Jahandar mógłby znaleźć sobie dogodne stanowisko strzeleckie i pozbyć się intruza, zanim się do niego zbliżą, ale mężczyzna wydawał się tak kompletnie bezbronny, że nie było sensu się nim przejmować. Może kiedy do niego zejda, uda się wydobyć z niego jakieś informacje?

Dyskusję przerwało im zresztą niespodziewane przybycie helikoptera i dalsze wydarzenia, będące skutkiem ostrzelania go przez Jahandara. Z niejakim rozczarowaniem przyjęli fakt, że maszyna zsunęła się po śniegu poza ich pole widzenia, nie mogli bowiem ani sprawdzić, czy pasażerowie żyją, ani, tym bardziej, do nich strzelać. Musieli najpierw zejść znacznie niżej, co też uczynili najszybciej jak to możliwe; pozbyli się nawet plecaków, żeby zyskać większą swobodę ruchów, skakać po kamieniach i zjeżdżać wraz z małymi osypiskami drobnego piargu. Plan był taki, że Jahandar, trzymając się z tyłu, znajdzie sobie dogodne stanowisko do ostrzelania helikoptera, a Ershut (uzbrojony w skuteczny na znacznie krótszym dystansie pistolet maszynowy) zejdzie niżej, do miejsca, w którym będzie mógł strzelać z innej strony. Kiedy Ershut otworzy ogień, pasażerowie helikoptera (o ile jacyś przeżyli) zaczną się oczywiście kryć wśród drzew i skał, gdzie Jahandar wyłowi ich jednego po drugim. Ponieważ zwykle trudno jest ocenić, skąd strzela snajper, zginą, zanim zdążą ustalić położenie Strzelca. Może nawet nie zorientują się, że strzelców jest więcej niż jeden.

Ershut do tego stopnia skoncentrował się na swojej części zadania, że na śmierć zapomniał o dziwaku z lornetką - przynajmniej dopóki nie znalazł się obok zakrwawionego głazu, na którym mężczyzna wcześniej leżał. Teraz jednak na głazie nikogo nie było, natomiast to, co z góry wyglądało jak lity występ skalny, okazało się pokruszoną skalną

ostroga, która osypała się w dół stoku serią olbrzymich kamiennych płyt. Płyty tworzyły dogodną ścieżkę, na której Ershut byłby skutecznie ukryty przed wzrokiem znajdujących się na dole ludzi. Dосkoczył do nich i zaczął posuwać się w dół stoku.

I w tej samej chwili uświadomił sobie, że mężczyzna w czarnej skórzanej kurtce wcale nie zszedł na dół, żeby z bliska obejrzeć rozbity helikopter, lecz tylko wcisnął się w szczelinę między dwoma głazami. Na widok Ershuta wynurzył się z kryjówki, podnosząc ręce nad głowę na znak, że jest nieuzbrojony.

Wyglądał chyba jeszcze gorzej niż Sayed. Sayed był przynajmniej martwy i przez to wydawał się spokojny; nikt nie musiał się obawiać, że zejdzie z drzewa i na kogoś się rzuci. A ten człowiek brnął w stronę Ershuta z szerokim uśmiechem na twarzy. Bok tułowia miał cały zakrwawiony, a jego twarz byłaby trupio blada, gdyby Ershut nie widział jej na tle śniegu, na którym wydawała się szara. Mówił coś po angielsku, czyli w języku, którego Ershut praktycznie nie znał, i cały czas szedł naprzód, chwiejąc się na nogach, krok za krokiem zmniejszał dystans. Ershutowi niezbyt to przeszkadzało, ponieważ wciąż dzieliło ich parę ładnych metrów, trzymał intruza na muszce, a ten miał puste ręce. Wolałby jednak, żeby tamten się zatrzymał, ponieważ jego bladość, mina i sposób mówienia wydały mu się mocno niepokojące.

Spojrzał w dół zbocza, wypatrując wraku śmigłowca. Na końcu wyrytej w śniegu długiej rynny mignęły mu pogięte końcówki łopat wirnika, widział również ludzi, którzy kręcili się przy maszynie i patrzyli do góry. Na niego.

Szary człowiek powiedział coś o Ameryce.

Ershut przeniósł na niego wzrok i stwierdził, że w mężczyzna w jednej ręce trzyma sznurek, którego drugi koniec znika w rękawie jego motocyklowej kurtki. W tej samej chwili nieznajomy wyprostował rękę i pociągnął za sznurek.

* * *

Dobrze się złożyło, że Olivia lubiła patrzeć na Sokołowa, ponieważ jego zachowanie od czasu przybycia do domu Jake'a sprawiało jej ogromną przyjemność. Było po nim widać, że nie wyobrażał sobie dotąd, że są jeszcze na świecie tacy ludzie - mieszkający w głuszy, świadomie odcięci od cywilizacji, uzbrojeni po zęby i żyjący w taki sposób, jakby każdy dzień miał być ostatnim dniem ludzkiej cywilizacji. Podczas przejażdżki rowerowej z Bourne's Ford próbowała go przygotować na to spotkanie. Sokołow kiwał głową, od czasu do czasu nawet nawiązywał kontakt wzrokowy, ale Olivia wyczuwała, że jest to z jego strony wyłącznie uprzejmość. Nie wierzył jej, dopóki nie zobaczył kobiety w długiej, staroświeckiej sukience, z nałożoną na stanik kaburą naramienną mieszczącą pistolet i dwa zapasowe

magazynek. Od tego momentu wszystko przyjmował z mieszaniną konsternacji i fascynacji. Jake, który natychmiast to zauważył i postanowił zinterpretować na korzyść Sokołowa, oprowadził go po okolicy: pokazał mu system oczyszczania wody, stanowisko do elaboracji amunicji, zapasy żywności, antybiotyków i filtrów do masek przeciwgazowych, oraz żelbetowy schron, zakopany na podwórku sześć stóp pod ziemią. Sokołow bacznie obserwował Jake'a, Olivia Sokołowa, a John, starszy brat podążający parę kroków za nimi na swoich sztucznych nogach, obserwował Olivię obserwującą Sokołowa i od czasu do czasu wymieniał z nią kpiarskie spojrzenia. Sokołow wkrótce zwrócił na nie uwagę i sam do tej wymiany spojrzeń dołączył, toteż zanim weszli w końcu do domu, usiedli przy stole, podali sobie ręce, pomodlili się i zaczęli spożywać skromny, lecz obfity i zrównoważony posiłek, osiągnęli porozumienie bez słów. Jake wierzył w słuszność swojego wyboru. Elizabeth również, chyba nawet bardziej od niego. Jake rozumiał jednak, że nie każdy postrzega świat tak jak oni; nawet jego bracia różnili się w tym względzie od niego, a przecież wszyscy trzej pozostali sobie bardzo bliscy. Wcale mu to nie przeszkadzało, ba, umiał się nawet śmiać sam z siebie i wskazywać humorystyczne paralele między tą częścią świata i Afganistanem. John nauczył się chyba zatykać uszy na te słowa Jake'a, które uważał za bzdury, ale kiedy tylko Jake potrzebował pomocy przy wymianie oleju w generatorze albo przeciągnięciu kabla w ścianie i zainstalowaniu nowego gniazdka, zawsze mógł na niego liczyć. Miał też zawsze czas i nieskończone pokłady cierpliwości dla synów Jake'a, którzy ewidentnie go ubóstwiali. Olivia podejrzewała, że John całkiem świadomie stara się im dać do zrozumienia - nie mówiąc niczego wprost - że jeśli w przyszłości postanowią dołączyć do cywilizacji, o której ich rodzice twierdzili, że jest zepsuta do szpiku kości i skazana na zagładę, w jego domu będą zawsze mile widziani.

Tak czy inaczej jego umiejętność bezkonfliktowego współżycia z tymi ludźmi, których przekonań absolutnie nie podzielał, stała się swoistym wzorcem dla Olivii, która mogła dzięki temu nawiązać przyjazne, a nawet serdeczne stosunki z gospodarzami przy wspólnym stole. W większości sytuacji towarzyskich zachowywali się jak zupełnie zwyczajna, szczęśliwa i stabilna rodzina.

Dość mętnie wyłuszczyła powody, dla których znaleźli się z Sokołowem w tej okolicy. W innym towarzystwie pewnie wypadłoby to nie najlepiej, ale Jake, który nie był fanatycznym zwolennikiem praw i granic, z radością zgodził się pokazać im drogę do Kanady. Tłumaczył im, że pierwsze kilka mil może być nieco mylące, nawet jeśli mają GPS; prawdę mówiąc, GPS mógł im nawet zaszkodzić, ponieważ będzie próbował wykierować ich w różne ślepe zaułki. Jake zaś, który bardzo lubił piesze włóczęgi, obiecał zaprowadzić ich do

takiego miejsca na zboczach Abandon Mountain, z którego dalszą drogę do granicy widać już jak na dłoni. Większość tego pierwszego odcinka będą mogli zresztą pokonać na rowerach; w paru miejscach trzeba je będzie przenieść, co jest męczące, ale opłacalne, bo kiedy przejdą przez starą kopalnię na drugą stronę, dobrze utrzymany szlak zaprowadzi ich aż do Elphinstone.

- Na piechotę to by były trzy dni drogi - wyjaśnił. - A tak dziś wieczorem będziecie popijać latte w Elphinstone.

Jake miał własny rower górski, solidny i nie efekciarski. Rano - po prysznicu, sutym śniadaniu (złożonym z naleśników) i spakowaniu rzeczy - utworzyli czteroosobową karawanę: Olivia, Sokołow i Jake wsiedli na rowery, a towarzyszący im John dosiadł quada. Na początku wrzucili na quada cały bagaż, dzięki czemu przez pierwszą godzinę bardzo szybko posuwali się pod górę zygzakowatym traktem, który wyprowadził ich z doliny Prohibition Creek, po czym rozplynął się na granicy lasu. Dalej Jake poprowadził ich okrężną i - zgodnie z zapowiedzią - wcale nieoczywistą drogą, przecinającą teren, który bardzo szybko stał się praktycznie nie do przejścia. Wkrótce dotarli do stromego, absolutnie nieprzejezdnego osypiska, które należało przetrawersować pieszo. John zgasił silnik quada, pomógł im przenieść bagaż na rowery, po czym rozsiadł się wygodnie na siodełku i zaczął zajadać drugie śniadanie. Jake poprowadził Olivię i Sokołowa wspomnianym trawersem; czasem pchali rowery, czasem je nieśli, ale jechać się nie dało. Kierowali się w stronę kremowej granitowej turni sterzącej na zachód od wierzchołka Abandon Mountain. Około tysiąca stóp niżej, u jej podnóża, znajdowały się pozostałości czegoś, co Olivia wzięła za starą kopalnię - droga dojazdowa, rozpadające się zabudowania, parę zardzewiałych ciężarówek, porzucona maszyna. Teraz rozumiała już, przed czym ostrzegali ich Jake: GPS sprowadziłaby ich właśnie tam, na dół, skąd droga - biegnąca, niestety, w niewłaściwym kierunku - wyprowadziłaby ich na manowce. Dlatego należało ominąć kopalnię tym właśnie uciążliwym, wysokim trawersem. Wyglądało na to, że granitowa turnia przegradza im drogę, Jake zapewnił ich jednak, że wcale nie jest taka groźna, na jaką wygląda - i rzeczywiście: kiedy się do niej zbliżyli, Olivia dostrzegła ciąg naturalnych półek i pochyłych płyt, które obiecywały znacznie lepsze oparcie dla nóg niż osuwający się spod stóp piarg. Widziana z daleka, w perspektywnym skrócie, skalna wieża wydawała się piekielnie stroma, niemal jak pionowe urwisko, tymczasem z bliska okazała się całkiem niegroźna i możliwa do pokonania.

W końcu dotarli do miejsca, w którym stanęli na twardym i w miarę poziomym gruncie. Olivii marzył się postój i przekąska, ale Jake namówił ją do wspięcia się na szczyt

skalnej ostrogi, co przyszło im z łatwością; mogli nawet kawałek podjechać rowerami. Wreszcie wylądowali na w miarę płaskim wierzchołku, skąd widzieli przebytą drogę oraz Johna, który dwie mile od nich w dalszym ciągu siedział na czerwonym quadzie. Mogli też podziwiać widok na północ, do tej pory niedostępny.

W odległości kilku mil drogę przegradzał im potężny grzbiet górski, biegnący w przybliżeniu ze wschodu na zachód; Jake zapewnił ich, że znajduje się już na północ od granicy. Nieco bliżej, za to dużo niżej, znajdowała się otulona wodną mgiełką ciemnozielona kotlina, z której dobiegał stłumiony odległością łoskot. Jake wyjaśnił, że huczący w niecce wodospad American Falls znajduje się, jak sama nazwa sugeruje, jeszcze po południowej stronie granicy. Mając do dyspozycji takie dwa punkty orientacyjne oraz kompas, łatwo było sobie wyobrazić biegnący między nimi czterdziesty dziewiąty równoleżnik.

Teraz musieli już tylko się tam dostać, co zdaniem Jake'a, nie powinno im nastręczyć problemów. Wydrukował im mapy okolicy, które opatrzył odręcznymi notatkami, wskazując przydatne punkty orientacyjne oraz przestrzegając przed zagrożeniami.

Inaczej mówiąc, dotarli do miejsca, w którym Jake miał ich opuścić. Olivia podziękowała mu, nawet go objęła, mając nadzieję, że nie przekracza w ten sposób żadnych granic moralno-religijnych. Sokołow uściśnął mu dłoń i podziękował - uprzejmie, choć, zdaniem Olivii, nieco oziębłe. Może później wypyta go, co naprawdę myśli o Jake'u i jego rodzinie. Zresztą, mogła po prostu źle odczytać sygnały. Może ten rosyjski spokój i ewidentny pośpiech w wymianie uprzejmości świadczyły tylko i wyłącznie o jego zaangażowaniu w bieżącą misję (bo z pewnością tak właśnie o tym myślał - jak o misji), której celem było wydostanie się ze Stanów i przygotowanie na dalsze niespodzianki. W takim stanie ducha widok granicy z pewnością zrodził w Sokołowie silną potrzebę jak najszybszego jej przekroczenia.

Jake zawrócił i zjechał do miejsca, w którym stromizna robiła się niebezpieczna. Tam zeskoczył i, prowadząc rower, zaczął trawersować rumowisko. Oliwię, miewającą czasem żal do przyjaciół, że spodziewają się, że odwiezie ich na Heathrow, postawa Jake'a przyprawiała o zakłopotanie. W tej chwili przebywała jednak w towarzystwie człowieka, który nie miał czasu na takie rozważania, toteż, przełknąwszy parę łyków wody i zjadłszy po batoniku, bezzwłocznie ruszyli w dalszą drogę. Północne zbocze turni wyglądało zgoła odmiennie od tego, które przed chwilą pokonali: było bardziej płaskie, gładziej i - przynajmniej z początku - znacznie łatwiejsze do pokonania. Musieli pchać (a czasem także przenosić) rowery, klucząc wśród olbrzymich głazów, które strząsnęła z siebie góra, i zmierzając w stronę kolejnego osypiska, po którym powinni zejść do odległej o dwieście jardów w pionie linii drzew.

Olivia usłyszała stłumione *uaka-uaka-uaka*.

- Helikopter - wyjaśnił po chwili Sokołow i schował się w cień jednego z głazów, spojrzeniem dając jej do zrozumienia, że powinna zrobić to samo. Położyli rowery i przykucnęli.

Minutę później niewielki śmigłowiec nieśpiesznie przeleciał nad szeroką doliną na zachód od nich, kierując się z grubsza na północ. Nad wodospadem zwolnił jeszcze bardziej, obniżył lot i na dwie minuty zawisł w miejscu, zanim zadarł ogon i znów ruszył w kierunku północnym.

- Myślisz, że to nas szukają? - spytała Olivia. - To nie gliny.

Sokołow intensywnie o tym rozmyślał, ale w końcu wzruszył ramionami.

- Ja bym to zrobił inaczej - odparł. - Ale na pewno ktoś tu czegoś szuka i lepiej byłoby mu się nie pokazywać.

- Niedługo wejdziemy między drzewa - zauważyła Olivia, odwołując się do notatek na mapie Jake'a.

- W takim razie chodźmy, póki tamci są gdzie indziej.

Sokołow wstał i podniósł rower.

Helikopter, lecący w tej chwili bardzo nisko, zniknął wśród wijących się grani i dolin. Sokołow narzucił takie tempo, że Olivia z trudem za nim nadążała. Był dżentelmenem, więc nie zostawiłby jej daleko w tyle, ale ona ze swojej strony nie chciała zmuszać go do zatrzymywania się i czekania. Dość szybko wynurzyli się spomiędzy głazów i po osypisku zaczęli schodzić ku drzewom. Zdradliwe podłoże wymagało od Olivii sporej koncentracji i niewiele brakowało, żeby zderzyła się z Sokołowem, kiedy ten zatrzymał się i uciszył ją gestem.

- Co jest? - spytała. Próbując uniknąć zderzenia, wyminęła go z lewej strony i prawie się zrównali.

- Strzały - odparł. - Może.

Stali nieruchomo przez minutę. Potem drugą. I trzecią. W końcu Sokołow zaczął głębiej oddychać i interesować się najbliższym otoczeniem. Wskoczył na siodełko, oparł nogę na pedale i zmierzył wzrokiem piarżysty stok. Zastanawiał się, czy da radę zjechać.

Olivia modliła się w duchu, żeby sobie odpuścił.

- Ciekawe, że helikoptera już nie słysząc - zauważył.

- Może wylądował.

- Wirnik nadal by pracował, tak myślę.

Temu zdaniu towarzyszył donośny grzmot, imponująco głośny, mimo że dobiegający

ze znacznej odległości. Kolejne fale echa, odbite od coraz to nowych zboczy, docierały do nich chyba przez następne sześćdziesiąt sekund.

Spojrzeni po sobie. Sokołow dostrzegł wahanie w oczach Olivii, może nawet odczytał jej myśli, kiedy gotowa była już wysunąć teorię, że słyszeli trzask łamiącej się grubej gałęzi albo huk dynamitu w którejś z pobliskich kopalń.

- Artyleria - powiedział.

- Słucham?

- Mamy tu małą wojnę - wyjaśnił Sokołow, a widząc malujące się na twarzy Olivii niedowierzanie lub niezrozumienie, dodał: - Jones tu jest.

* * *

Seamus nie widział, co wydarzyło się powyżej, ale zarejestrował coś w rodzaju krwawej komety, która zerwała się do lotu tuż przed tym, jak huk eksplozji praktycznie wgniótł mu bębrenki uszne w głąb czaszki. Kometa spęczniała w oczach i rozplynęła się w chmurę różowej mgły, litościwie zepchniętej w inną stronę przez wiejący z dołu doliny lekki wietrzyk.

Yuxia stała obok helikoptera i przekomarzała się z pilotem, starając się odwrócić jego uwagę od poważniejszych problemów. Poniewczasie zasłoniła sobie uszy rękami i zastygła w bezruchu, z ustami otwartymi w literę o i oczami strzelającymi niepewnie na boki. Richard sprawiał wrażenie, że zakręciło mu się w głowie: usiadł ciężko na ziemi, objął kolana ramionami i mętym wzrokiem spoglądał w kierunku, z którego dobiegła eksplozja. Seamus zwrócił uwagę (z zainteresowaniem i aprobatą), że nawet osuwając się na ziemię, Richard nie zapomniał o strzelbie przewieszanej przez ramię w uprząży z nylonowej siatki i postarał się, żeby nie wbiła się lufą w grunt, co groziłoby jej zatkaniem.

- Chcesz mi coś powiedzieć? - zapytał Seamus, gdy tylko uznał, że ma jakie takie szanse usłyszeć odpowiedź.

- To był mój przyjaciel Chet - wyjaśnił Richard.

- Ten ranny na skałach?

Richard skinął głową.

- Przypiął sobie do piersi minę przeciwpiechną. Chciał jej użyć przeciw tamtym, jeśli nadarzy się sposobność.

- Wygląda na to, że się nadarzyła - przyznał Seamus.

Nie było to specjalnie delikatne z jego strony. Richard natychmiast spojrzał na niego podejrzliwie, spodziewając się ironicznego uśmiechu, ale widząc, że Seamus mówił całkiem serio, zmrużył oczy i przeniósł wzrok w górę zbocza.

- Nie wiemy, ilu załatwił.

- A było dwóch?

- Plus puma ludojad.

Teraz to Seamus spojrział ciekawie na Richarda, szukając na jego twarzy oznak sarkazmu. Richard zachował kamienną minę.

- Gdyby mieli choć trochę oleju w głowie, nie stanęliby blisko siebie - zauważył Seamus. - Musimy założyć, że co najmniej jeden z nich przeżył. Bezpieczniej będzie przyjąć, że przeżył snajper.

- A my mamy strzelbę i pistolet.

- Co masz w tym mossbergu? Breneki czy...

- Gruby śrut. Cztery naboje.

- Co to za słowa? - zainteresowała się Yuxia.

- Broń, którą mamy, nadaje się do strzelania do rzeczy, które są blisko - wyjaśnił Richard. - A tam, na górze, znajduje się człowiek z karabinem, który może strzelać na dużą odległość.

- Jeżeli Wikipedia nie kłamie na twój temat - odezwał się Seamus po chwili zastanowienia - znasz dalszą drogę.

- To akurat jest prawda - przyznał Richard.

- Jeżeli ruszymy dalej we trójkę, będzie tak - zaczął Seamus. - Snajper zejdzie tutaj i...
- Ruchem głowy wskazał śmigłowiec i przesunął kciukiem po gardle, sugerując prawdopodobny los rannego pilota. - Potem zejdzie naszym śladem w dolinę i będzie próbował wyeliminować nas po kolei. Dlatego tak nie zrobimy.

- Kurwa, gościu, kim ty właściwie jesteś? - zdenerwował się Richard.

- Człowiekiem w swoim żywiole. Zrobimy tak: ja znajdę sobie kryjówkę, a wy dwoje pójdziecie sobie w cholerę i postaracie się ująć z życiem. Jeżeli snajper zejdzie tutaj, zabiję go; jeżeli ruszy za wami, pójdę za nim. Pilotowi wyjdzie to na dobre. Ma dość ciepłych ciuchów, wody i jedzenia, żeby chwilę tu przeżyć, jeśli tylko żaden snajper się na niego nie uweźmie.

- A co z pumą ludojadem? - przypomniała Yuxia.

- Kurwa mać! - zaklął Seamus i natychmiast się zmieszał, gdy Yuxia się wzdrygnęła. - Nie wiem. Ostrzegę pilota. Powiem mu, żeby nie otwierał drzwi.

Minęła chwila.

- Na co czekacie? - zapytał Seamus.

* * *

Tuż przed przebudzeniem śniła jej się ucieczka z Erytrei - sześciomiesięczny marsz do Sudanu, boso, w poszukiwaniu obozu dla uchodźców, który by ich przygarnął. Twarze ulotniły jej się z pamięci, ale krajobrazy, roślinność i marsz wryły się w nią i stanowiły podkład wielu snów. Najczęściej była to północna Erytrea, przemierzana na samym początku wędrówki, a jej umysł łapczywie chłonał nowe widoki i wrażenia, które - gdy tylko wyszli z jaskiń, w których spędziła wczesne dzieciństwo - napotykała dosłownie na każdym kroku. Brunatne wzgórza ciągnęły się we wszystkich kierunkach, porozdzielane suchymi wąwozami okresowych strumieni i skąpo przyprószone pustynną roślinnością. Tamta okolica w niczym nie przypominała tej, przez którą teraz biegła - gęsto zalesionej olbrzymimi cedrami i usłanej dywanem paproci - ale wiedziała, że kiedy wejdzie wyżej, znajdzie się w terenie bardzo podobnym do tego, przez który dzień wcześniej podróżowali z Chetem, wśród nagich i stromych gór, gdzie wzrok sięga na całe mile wokoło. Nie miała jednak innego wyjścia, wilgotna dolina rzeki wypływającej na południe z American Falls zaprowadziłaby ją w niewłaściwym kierunku, do rozległego systemu jezior, z których wody spływały dalej na południe. Mogłaby błąkać się wśród tych jezior nawet ze dwa dni, zanim znalazłaby kogoś, kto udzieli jej pomocy.

Po drodze do domu wujka Jake'a musiała wspiąć się na zbocze doliny, powyżej linii lasu, i przetraversować dolne partie Abandon Mountain na odcinku kilkunastu mil, aż do źródeł Prohibition Creek. Zdawała sobie sprawę, że czeka ją najtrudniejszy odcinek drogi, i będzie musiała sięgnąć do tych samych rezerw, z których przywódcy erytrejskich uchodźców czerpali w najcięższych chwilach wędrówki - wyczerpani, pozbawieni wody i żywności, ścigani przez uzbrojonych ludzi.

Swojej szansy upatrywała tylko w tym, że chwilowo wyprzedzała dżihadystów, których w dodatku czekała dłuższa wspinaczka. Tyle że ona też będzie musiała wkrótce pokonać sporą różnicę wysokości. Bała się, że zmniejszą dzielący ich dystans, może nawet ją dogonią, zanim wyjdzie ponad las i znajdzie się w odsłoniętym terenie, gdzie nie sposób się ukryć.

Nie pozostało jej nic innego, jak pędzić jak na skrzydłach, bez przystanków. Zabrała cały posiadany zapas wody (napęczniony w trzech czwartych camelbak ze *Schlossu*), wypchała kieszenie batonikami energetycznymi, po czym zaczęła biec we wskazanym przez Richarda kierunku. Znajdujący się w dole zbocza dżihadysty ułatwiali jej zadanie, pokrzykując i porozumiewając się przez głośno nastawione krótkofalówki.

Pierwszym jej celem (który osiągnęła jakieś pół godziny od rozstania z Richardem) był szlak turystyczny, który zakosami wyprowadzał na skraj wąwozu. Pomysł podążania

znakowanym szlakiem był w pewnym sensie niedorzeczny, ponieważ dżihadyści też z niego skorzystają, przez co cały czas będą jej deptać po piętach, ale teren nie pozostawiał jej wyboru. Stok widziany z dołu wydawał się prawie pionowy, w dodatku był usłany starymi, próchniejącymi wiatrołomami. Przedarcie się przez gąszcz na grań zajęłoby jej kilka dni, o ile w ogóle byłoby możliwe, a Richard zapewnił ją, że trzymając się szlaku - nawet z ciężkim plecakiem - można dotrzeć w to samo miejsce w kilka godzin.

Nie miała chyba aż tyle czasu.

Na widok szlaku stanęła jak wryta, a potem cofnęła się kilkanaście kroków i przycupnęła wśród paproci, żeby się zastanowić. Przy okazji napiła się z camelbaka i wmusiła w siebie batonik. Biegając, coraz słabiej słyszała hałasy czynione przez dżihadystów - co oczywiście było lepsze niż sytuacja odwrotna, ale jednak niespecjalnie ją pocieszało. Gdyby poszli po rozum do głowy, mniej by gadali, a więcej biegali, żeby po dotarciu na brzeg rzeki znaleźć początek szlaku, od którego dzieliło ją zaledwie kilkaset metrów w pionie.

W biegu zdejmowała kolejne elementy ubrania, przewijając się nimi w pasie, aż została w samej koszulce na ramiączkach i bojówkach z podwiniętymi do kolan nogawkami. W końcu dotarło do niej, że musi się pozbyć nadmiaru odzieży, który tylko ją spowalnia. W dodatku jasne, pastelowe kolory były widoczne z odległości wielu mil. Harcerka w jej duszy wrzeszczała wniebogłosy, że to zły pomysł, bo gdy tylko przestanie biec, narazi się na hipotermię. Gdyby jednak przestała biec, śmierć z innych powodów nastąpiłaby znacznie szybciej niż z wyziębienia. Zrzuciła więc polary, których Jones nakupował jej w przeróżnych Walmartach, i wepchnęła je pod spróchniałą kłodę, gdzie biegnący szlakiem mężczyźni nie powinni ich zauważyć, i została w tym, co miała na sobie, z camelbakiem przerzuconym przez plecy.

A potem były już tylko zakosy szlaku, jeden za drugim, na pozór bez końca. W każdej sekundzie walczyła z pokusą, żeby zwolnić albo wręcz zatrzymać się i odpocząć, ale za każdym razem upominała się w duchu, że ścigający ją ludzie śmigają po afgańskich górach jak kozice. A Jones pewnie poganiał ich z pistoletem w garści. Spróbowała sobie przypomnieć, co czuła, kiedy przystawił jej pistolet do głowy, i zmobilizować się w ten sposób do większego wysiłku. Strach kazał jej co rusz oglądać się przez ramię, ale rozum pilnował, żeby patrzyła do przodu, wypatrując kolejnego zygzaka na zboczu, ponieważ zakosy drogi miały nie tylko ułatwić posuwanie się w górę, ale także ograniczyć erozję gruntu i w niektórych miejscach można było ściąć zakręt, pobiec skrótem i na odcinku pięćdziesięciu stóp zaoszczędzić sobie kilkuset stóp marszu. Wypatrzyła kilka takich okazji i natychmiast z nich skorzystała, ślizgając się i wymachując rozpaczliwie rękami, gdy jakaś część mózgu

powtarzała uparcie: „Gdybym trzymała się szlaku, już dawno byłabym dalej, niż jestem!”. Parę razy posłuchała tego wewnętrznego głosu i odpuściła sobie skrót, lecz wtedy rozlegał się inny głosik, który twierdził: „Idąc skrótem, wysforowałabyś się daleko naprzód!”. Nie mogła uciec przed tymi głosami, starała się więc korzystać ze wszystkich tych skrótów, które wyglądały sensownie, i cały czas miała świadomość, że dżihadyści nie będą mieli takich dylematów, bo po prostu się rozdziela: część pobiegnie szlakiem, część na skróty. Wygrają lepsi.

Gdyby rzeczywiście tak to wyglądało, rozproszyliby się po szlaku. A wtedy nie musiałyby się ścigać ze wszystkim jednocześnie.

Cieszyła się, że Jahandar został w obozie, ale, dokonawszy w myśli przeglądu uzbrojenia pozostałych, doszła do wniosku, że i tak mają dość broni, by z dużej odległości zrobić jej krzywdę.

Nie miała pojęcia, jak szybko płynie czas, pogubiła się też w rachubie zakosów, widziała jednak wyraźnie, że w górze, przed nią, listowie rzednie, światło staje się coraz jaśniejsze, a zakręty mniej liczne, w miarę jak stok się spłaszcza.

W pewnym momencie nie miała już siły biec, zwolniła więc i dziarsko maszerując, napiła się wody (za mało piła do tej pory, camelbak wciąż był w połowie pełny) i zjadła kolejne dwa batony. Teraz czuła się prawie jak na prawdziwej górskiej wycieczce. Wciąż zdobywała wysokość, ale nie miała już poczucia, że musi się w tym celu kurczowo czepiać urwiska, a spoglądając do przodu, w coraz liczniejsze luki wśród drzew, dostrzegała surowy górski teren, którego od początku podejścia zarazem wyczekiwała i obawiała się. Wyżej wznosiła się naga Abandon Mountain, która nijak nie nadawała się na atrakcję turystyczną - chyba że ktoś był wielbicielem wszystkiego co przygnębiające. Widok przywodził na myśl okładkę miesięcznika science fiction: górski szczyt na jakimś jałowym księżycu Jowisza.

To właśnie podczas tej krótkiej przerwy w biegu usłyszała warkot helikoptera i przyszło jej do głowy, że mogłaby wybiec na otwarty teren i spróbować zwrócić na siebie uwagę. Sprawa wyglądała jednak beznadziejnie: maszyna była daleko, a drzewa dokumentnie zasłaniały widok.

Szkoda, że wyrzuciła wszystkie jasne, pastelowe ubrania; teraz mogłaby przynajmniej nimi pomachać w powietrzu.

A skoro już o powietrzu mowa... Zimny wiatr boleśnie chłostał jej odsłonięte ramiona. Przełknęła ostatni kęs batonika i zmusiła się najpierw do przejścia w trucht, by za chwilę przyśpieszyć do biegu.

Ledwie zdążyła się rozpędzić, gdy nagle usłyszała donośny grzmot. Dźwięk w taki

sposób odbijał się od gór i dolin, że nie potrafiła dokładnie określić jego źródła, była jednak praktycznie pewna, że dobiegł z kierunku, z którego przybiegła. Z odległości kilku mil.

Nie umiałyby wskazać konkretnego momentu ani miejsca, w którym nastąpiła zmiana. Drzewa rzedyły, potencjalna linia strzału stawała się coraz dłuższa, teren wznosił się coraz bardziej stromo, aż w pewnej chwili zauważyła, że, zamiast biec po płaskim, tak jak to robiła jeszcze niedawno, gramoli się (niemal na czworakach) po stromym piargu. Obejrząwszy się przez ramię, stwierdziła, że już ćwierć mili kompletnie odsłoniętego terenu dzieli ją od ostatnich karłowatych zarośli, które nieco niżej przechodziły w las z prawdziwego zdarzenia.

A wśród drzew coś się ruszało: co najmniej jeden człowiek, może dwóch. Miała nad nimi najwyżej pięć minut przewagi - w gęstym lesie to wystarczało, żeby ocalić jej życie, lecz tutaj, na rumowisku, mogło co najwyżej utrudnić strzał jej prześladowcom.

Spojrzała do przodu, na piętrzące się zbocze, szukając jakiejś kryjówki. Pod wieloma względami gorzej trafić nie mogła. Podczas studiów geologiczno-informatycznych poznała pojęcie kąta stoku naturalnego, czyli nachylenia, które sterta sypkiego materiału przyjmuje samoczynnie w miarę upływu czasu. Kąt stoku naturalnego (inny dla każdego materiału) tłumaczył kształt mrowisk, kopczyków cukru, hałd żwiru oraz górskich piargów. W tym konkretnym wypadku jego dokładna wartość nie miała znaczenia; liczył się fakt, że wszędzie dookoła materiał jest ten sam, a więc i nachylenie zbocza musiało być identyczne, jak od linijki. Nie widziała żadnych wybrzuszeń ani kopców, za którymi mogłaby się ukryć.

Poza tym (o czym, chcąc nie chcąc, co chwila sobie przypominała) usypany w ten sposób stok jest z natury niestabilny. Większe kamienie nie osypywały się pod jej ciężarem, ale gdy tylko zapuściła się na żwirowe lub piaskowe podłoże, natychmiast wywoływała małe lawinki - nie dość duże, żeby mogły zagrozić jej samej lub (niestety!) jej prześladowcom, ale wystarczające, żeby nie mogła wyzbyć się wrażenia, że wspina się po nachylonej bieźni treningowej. Spalała energię, ale niczym Syzyf nie przybliżała się do końca mordęgi.

Przeżyła jakieś dwie trzecie tego snajperskiego rajy, kiedy z dołu dobiegły pierwsze odgłosy strzałów. Najpierw była krótka, nieregularna seria czterech lub pięciu puknięć, najprawdopodobniej z pistoletu. Jeden pocisk zrykoszetował na kamieniu wielkości piłki futbolowej, jakieś dziesięć stóp od niej. Poruszony kamulec toczył się po zboczu ze stałą prędkością, spychając czasem jakieś mniejsze odłamki, ale daleki był od wywołania rzetelnej lawiny. Strzelec chybił więc okrutnie, co przy tej odległości (i przy tym typie broni) było do przewidzenia, ale sam fakt, że ktoś do niej strzela, oraz widok kul roztrzaskujących obiekty tuż obok niej, zmroziły Zulę i sparaliżowały ją na kilka długich chwil - chwil, w których powolniejsi ludzie Jonesa nadrabiali stracony wcześniej czas.

Zmobilizowała się więc do ruchu, kierując w stronę odległego o dwadzieścia stóp skrawka stoku, na którym zaległy kamienie większe od innych; może wystarczająco duże, żeby zdołała pod ich osłoną przypaść do ziemi. Wszystko szło zgodnie z planem przez jakieś trzy sekundy, kiedy to z dołu dobiegł piekielny jazgot, tak oszalamiający, że źle postawiła stopę, straciła równowagę i wyrznęła jak długa, objając sobie łokieć i niemal rozbijając twarz o kamienie. Powietrze wokół niej zgęstniało od ostrego pyłu i świszających kawałków kamieni. Ktoś strzelał do niej z broni maszynowej. Zaryzykowała spojrzenie w dół stoku i w chmurze kurzu zobaczyła jednego z dżihadystów, który stał w lekkim rozkroku i strzelał z biodra. Nie miał prawdziwego karabinu maszynowego, który wystrzeliwałby pociski z dużą prędkością, lecz pistolet maszynowy, ładowany pistoletową (a więc słabszą) amunicją, która oczywiście w zupełności wystarczyłaby, żeby rozszarpać ciało Zuli na strzępy, ale miała mniejszy zasięg. Broń do walki w mieście. Do koszenia pasażerów w autobusach.

Towarzysz Strzelca (ten, który chwilę wcześniej strzelał z pistoletu) krzyknął do niego coś, co kazało mu podnieść broń do ramienia. No tak, teraz porządnie wyceluje.

Zula zerwała się do biegu.

Kolejne pokrzykiwania z dołu. Właściciel pistoletu maszynowego dał się przekonać, że będzie lepiej, jeżeli rozłoży składaną kolbę i oprze ją sobie o bark.

Przez ten czas Zula ostatnim wysiłkiem wykonała ciąg rozpaczliwych skoków; ilekroć desperackie gramolenie się na czworakach nie przynosiło pożądanych efektów, zatrzymywała się, brała głęboki wdech, zapierała się rękami i nogami o kamienie - i wypychała ciało w górę.

Jazgot pistoletu maszynowego znów rozbrzmiał i zaraz ucichł. Grad kamiennych odłamków obsypał jej plecy. Coś szarpnęło ją za luźny materiał spodni na udzie; bała się przyjąć do wiadomości, że pocisk właśnie przeszył je na wylot. Chwila ciszy - i następna seria zagrzecotała na rozrzuconej przed Zulą mozaice kamieni wielkości arbuza. Strzelec domyślił się, gdzie próbuje się schronić, i zamierzał jej to uniemożliwić, ale ona już zaczęła biec i nie mogłaby zmienić kursu, nawet gdyby zmieniła zdanie.

Coś uderzyło ją w usta. Rzuciła się na ziemię po górnej stronie mikroskopijnej kamiennej barykady. Nie widziała stąd Strzelca (to dobrze), ale pociski rykoszetowały tuż obok jej stóp. Wierzgnęła rozpaczliwie, roztrzając sterczące kamienie i zagrzebując nogi w piarg na głębokość kilku cali. Kluczowych kilku cali.

Dławiła się czymś, co jednocześnie było zimne, ostre, twarde, gorące, lepkie i mokre. Odkasznęła, splunęła i poczuła, jak jakiś twardy przedmiot wypadł jej z ust. Ból przeszył jej czaszkę.

Właściwie był to nie jeden twardy przedmiot, lecz dwa, zatopione w krwawej ślinie:

odłamek kamienia wielkości ziarna groszku, tyle że graniasty i ostry, oraz ząb, ścięty na krawędzi dziąsła, kiedy tenże odłamek wpadł jej do ust - które wtedy, zdyszana, miała szeroko otwarte. Obmacawszy dziąsła językiem, odkryła ociekającą krwią dziurę po prawym górnym kle. Górna warga była w tym miejscu pozbawiona czucia i wydawała się dziwnie wielka. Niedługo zaczęła boleć. Jeśli tylko pożyje dostatecznie długo.

Jeszcze kilka krótkich serii przeczesano malutki kamienny szaniec, ale obeszło się bez przykrych dla Zuli skutków - poza psychologicznym. Słyszała, jak tamci dwaj rozmawiają, a właściwie pokrzykują, bo igraszki głośnymi zabawkami chwilowo ich ogłuszyły.

Pożegnała się z zębem, wytarła zakrwawioną rękę w koszulkę i sięgnęła w kierunku uda, gdzie w naszytej kieszeni miała glocka. Wyjęła go teraz i podstawiała sobie przed oczy. Nie wiedziała, ile naboju jej zostało, ale ponieważ chwilowo nigdzie jej się nie śpieszyło, wyjęła magazynek i podniosła go do światła, żeby przez dziurki w tylnej części policzyć amunicję. Przeznaczony na siedemnaście naboju magazynek zawierał ich w tej chwili dziewięć, dziesiąty tkwił w komorze pistoletu. Wsunęła magazynek z powrotem w rękojeść, upewniła się, że mocno siedzi, i ostrożnie oparła palec na spuście. Glock był załadowany i gotowy do strzału.

* * *

Yuxia zrobiła w tył zwrot i na złamanie karku pognęła w las. Richard popędził za nią najszybciej, jak umiał. Niewiele brakowało, żeby Seamus poczuł się urażony determinacją, z jaką młoda dama przystała na jego plan i przystąpiła do jego realizacji. Spodziewał się raczej długiej i nużącej fazy przejściowej, w której będzie zmuszony przekonywać ją - wbrew targającym nią kobiecym emocjom - żeby zostawiła go samego w tej śmiertelnie niebezpiecznej sytuacji, na odsłoniętym terenie, w obliczu wroga dysponującego bronią skuteczną na daleki zasięg, a przy tym z ograniczoną swobodą manewru, bo przecież nie mógł porzucić Jacka pilota.

Kiedy Richard i Yuxia zniknęli mu z oczu, zajął się przede wszystkim poruszaniem się po okolicy w nadzwyczaj specyficzny sposób, który (tak byłoby najlepiej) uniemożliwiłby snajperowi dostrzeżenie go albo (gdyby to okazało się niemożliwe) przynajmniej utrudnił celny strzał. Jak na ironię, kamuflujący strój niespecjalnie mu w tym pomagał. Helikopter ugrzązł w małym i rzadkim zagajniku, z trzech stron otoczonym przez oślepiająco białe płyty śniegu, na których Seamus rzucałby się w oczy jak karaluch w wannie. Nie pozostało mu więc nic innego, jak przemieścić się w dół stoku, do obrośniętego krzewami i karłowatymi choinkami płytkiego wąwoziku, który zbierał wodę z całego zbocza, a dalej przechodził w dopływ rzeki tworzącej American Falls. Tamtędy właśnie uciekli Richard z Yuxią i Seamus

nie miał wątpliwości, że chwilowo są bezpieczni. Liczył na to, że ruch i hałas, jakiego narobili, biegnąc po suchym podłożu i krusząc stopami gałązki, zwrócą uwagę snajpera, który postanowi pobic za nimi i w ten sposób wystawi mu się na strzał. Snajper nie mógł przecież wiedzieć, ilu pasażerów ocalało z katastrofy, tak jak nie miał pojęcia, ilu pobiegło w głąb wąwozu. Przy odrobinie szczęścia założy, że pobiegli wszyscy, i po prostu ruszy w pościg.

Znalazł sobie odpowiednie miejsce: usadowił się w płytkim zagłębieniu terenu, skąd między drzewami mógł zerkać w górę stoku. Naciągnął kaptur na głowę, mocno ściągnął i zasnurował tasemki, żeby ukryć włosy i jak największą część twarzy. Utrudniało mu to nasłuchiwanie i ograniczało pole widzenia, ale i tak było chyba lepsze od podsunęcia snajperowi okrągłego celu w kolorze skóry. Założył okulary przeciwsłoneczne, usiadł wygodnie i czekał.

Powtarzał sobie, że zachowanie Yuxii nic jeszcze nie znaczy. Od dwóch tygodni żyła w warunkach dalekich od normalności, a przecież nawet wcześniej była twarda i stanowcza. Ludzie z jej wioski pewnie mieli ją za dziwaczkę. To było dla niego oczywiste. A potem ta sprawa z Rosjanami, z Jonesem, wypadek na Filipiny, wypadek śmigłowca... To tylko uwypukliło jej naturalne cechy. Po prostu chciała ujść stąd z życiem.

Zadowolony z tej konkluzją, zaczął się zastanawiać, czy właściwie osądził sprawę Jacka pilota. Gdyby chodziło tylko o usztywnienie mu kręgosłupa do czasu sprowadzenia pomocy lekarskiej, zostawienie go przypiętego pasami do fotela byłoby słusznym posunięciem. Ale w obecnej sytuacji wystawienie go na widok - i ostrzał - z góry trąciło makabrą.

Jack poruszał rękami, ale Seamus nie bardzo wiedział po co. Chciał zrobić coś konkretnego? Czy po prostu wił się z bólu? Zdarza się, i to wcale nierzadko, że sam uraz nie jest bolesny, a ból przychodzi później; może to właśnie przytrafiło się Jackowi. Trudno było stwierdzić, co tam się właściwie dzieje. Przednia szyba maszyny była mozaiką pęknięć i odłamków.

- Seamus! - zawołał Jack. - Muszę się stąd wydostać!

- Kurwa mać! - zaklął pod nosem Seamus.

- Seamus, stary... Pomóż mi! Boli! Boli jak diabli!

Seamus ugryzł się w język. Miał ochotę powiedzieć Jackowi, żeby się zamknął, ale nie wiedział, gdzie jest snajper i czy przypadkiem go nie usłyszy. Niemniej jednak Jack dał już wyraźnie do zrozumienia, że nie jest sam i że towarzyszy mu jakiś Seamus.

Usłyszał charakterystyczny, niemożliwy do zapomnienia dźwięk przelatującego w pobliżu pocisku karabinowego, ostry metaliczny szczęk od strony śmigłowca i, zaraz potem,

huk wystrzału w górze zbocza.

Pokusa była oczywista: powinien błyskawicznie zacząć się przemieszczać w stronę maszyny - ale na to właśnie czekał snajper. Seamus zadowolił się więc ruchem gałek ocznych i obrzucił helikopter badawczym spojrzeniem. Wrak był w takim stanie, że na pierwszy rzut oka trudno było stwierdzić skutki trafienia. Kiedy jednak na niego patrzył, usłyszał drugi strzał i tym razem zobaczył ślad po trafieniu - za kabiną, pod silnikiem. Tuż obok, odległy zaledwie o szerokość dłoni, widniał otwór po pierwszym strzale.

I nagle między tamtymi dwoma pojawił się trzeci.

Skurwysyn trenował sobie na helikopterze. Ustawiał celownik.

Nie, to nie tak... Co to za zapach?

- To benzyna! - wrzasnął Jack. - Dziura w zbiorniku. Spadam stąd, Seamus!

Jack wyplątał się z uprzęży, szarpnął się i uwolnił z kabiny, wydając przy tym okrzyk bólu. Jak każdy człowiek, który nie jest kompletnym socjopatą, Seamus współczuł mu i chętnie by mu pomógł, albo przynajmniej krzyknął coś, żeby dodać otuchy, lecz piękny altruistyczny instynkt chwilowo przegrywał z kalkulacjami taktycznymi. Pilot robił dokładnie to, co należało, i nie potrzebował do tego ani pomocy, ani nawet zachęty. Gdyby Seamus poruszył się teraz lub zawołał, poszedłby snajperowi na rękę, a Jackowi i tak by nie pomógł, ponieważ, jeśli prawidłowo ocenił sytuację, strzelec domyślał się, że gdzieś w pobliżu śmigłowca przebywa człowiek, który ma na imię Seamus i najprawdopodobniej jest w pełni sprawny. Tyle przynajmniej wynikało ze słów Jacka. Snajper zamierzał wywabić Seamusa z ukrycia i w tym celu groził, że spali pilota żywcem.

Odkąd jednak Jack zaczął się poruszać, snajper musiał strzelać bezpośrednio do niego, jeśli chciał, żeby jego groźba pozostała wiarygodna. To zaś nie było łatwe, gdyż helikopter skutecznie zasłaniał mu cel. Jack wytoczył się przez drzwi kabiny i runął na ziemię w sposób, który z pewnością był dla niego bardzo nieprzyjemny. Teraz zaś - po tym, jak strach przed eksplozją pomógł mu przezwyciężyć ból pleców - czołgał się (choć bardzo wolno) w dół zbocza, w stronę wąwoziku.

W tych warunkach benzyna musiała być lodowata i zapalenie jej wcale nie będzie łatwe; samo strzelanie do niej z daleka mogło nie wystarczyć i tylko niepotrzebnie zużywało amunicję. Natomiast Seamus, jako koneser fotografii przedstawiających wystrzały i pociski, doskonale wiedział, że pióropusz płonącego prochu i rozpalonych gazów z lufy jego sig sauera najprawdopodobniej podпалиłby paliwo - gdyby tylko strzelił z dostatecznie bliska.

Niestety, w tej chwili od maszyny dzieliło go dobre dwadzieścia stóp.

Jak na człowieka z poważnym urazem kręgosłupa, opierający się na łokciach Jack

czołgał się z godną podziwu sprawnością.

Seamus wstał. Przez dwie sekundy po prostu stał i patrzył w górę zbocza. Obejrzał sobie snajpera, który usadowił się na skale z karabinem i patrząc ponad zamocowaną na lufie lunetą, po prostu rozglądał się po okolicy. Zareagował - całkiem szybko - podniesieniem broni do ramienia i przyłożeniem oka do celownika, próbując namierzyć nowego wroga, ale (z czego Seamus doskonale zdawał sobie sprawę) coś takiego zawsze chwilę zajmuje, a Seamus dość dobrze wiedział, jak długo taka chwila może potrwać. Przejście od normalnego widzenia do oglądania świata przez celownik optyczny zawsze jest dla wzroku nieprzyjemne i dezorientujące, choćby człowiek nie wiadomo jak długo ćwiczył. Luneta nigdy nie była od razu nakierowana na cel, trzeba było obrócić broń, a w pośpiechu zwykle zamiatało się lufą zbyt daleko, zwłaszcza jeśli poszukiwany obiekt gwałtownie się poruszał.

A o Seamusie z całą pewnością można było to powiedzieć. Utrwaliwszy sobie w pamięci wizerunek snajpera, odwrócił się i pobiegł w stronę śmigłowca, jednak nie po linii prostej, lecz dzikim zygzakiem, jak Nate Robinson przebijający się przez strefową obronę przeciwnika. Znalazłszy się w miejscu, z którego widział mokry od tryskającej benzyny bok helikoptera, dopadł do niego, przymierzył z pistoletu, zaparł się mocno nogami, żeby błyskawicznie odskoczyć, i najszybciej jak umiał trzy razy pociągnął za spust. Nie czekając na wynik, odwrócił się i z całej siły wybił z obu nóg, dzięki czemu w ułamku sekundy oddalił się o sześć lub osiem stóp od maszyny. Rzucił się na ziemię i przejechał brzuchem po gulaszu topniejącego śniegu i lodowatego blocka, który nagle rozjarzył się takim światłem, jakby ktoś otworzył żaluzje i wpuścił do zagajnika słońce. Dwa koziołki oddaliły go od płonącego wraku, a przy okazji (miał nadzieję) ugasiły ewentualny pożar kurtki na plecach. Wczołgał się w głąb wąwozu, podążając wyżłobionym przez Jacka rowem w śniegu.

Dogonił go w całkiem niezłym miejscu, w gęsto zarośniętym przewężeniu wąwozu, w którym trudno było coś zobaczyć, a jeszcze trudniej go ostrzelać. Znajdowali się dosłownie rzut kamieniem od helikoptera, ale z taktycznego punktu widzenia był to całkiem inny świat.

Na migi dał Jackowi do zrozumienia, żeby się zatrzymał i ułożył wygodnie. Nie próbował mu grozić sigiem, ale też nie krył się specjalnie z faktem, że trzyma w ręce gotowy do strzału pistolet.

- Jeśli choćby miaukniesz, to cię zastrzelę - powiedział. - Przykro mi, takie są zasady. Zrozumiałeś?

Jack pokiwał głową.

- Snajper ma problem. Podejrzewa, że nadal żyjemy. Dlatego najchętniej zostałby tutaj i zajął się nami. Wie jednak, że posłaliśmy już innych przodem. Musi ich dogonić i zabić.

Zakładam, że psychologiczny skutek tego, co przed chwilą zaszło, będzie taki, że powie sobie: „Pierdołę, idę szukać tamtych”. Ominie ten wążozik, który wygląda groźnie, ponieważ wyrównuje szanse: długa broń mu tu nie pomoże, musiałby podejść blisko, a wtedy znajdzie się w zasięgu tego. - Seamus skinął znacząco sigiem. - Minie nas. Wtedy ja pójdę za nim, a ty zostaniesz tutaj. Jeśli chcesz, możesz wrócić do helikoptera, jak już przestanie wybuchać. Dorzucisz drewna, rozgrzejesz się.

Jack ponownie skinął głową.

- Dobra. Stąd gównem widać, więc wygramolę się z tej dziury i trochę rozejrzę. Sprowadzimy pomoc, jak tylko się da najszybciej. Hm?

Potakujący ruch głowy.

- Powodzenia. Obyś nigdy więcej nie musiał przeżywać tak beznadziejnego dnia jak ten.

Seamus zabezpieczył broń, schował do kabury pod pachą i, opierając się na łokciach i kolanach, zaczął się wyczołgiwać z wążozu. Znalazłszy miejsce, w którym mógł się swobodnie położyć, zagrzebał się w suchych liściach i szpilkach z drzew i czekał bez ruchu. Nie musiał czekać długo, gdy snajper przeszedł obok niego, stąpając ciężko i ślizgając się niezdarnie na śniegu. Poruszał się równoległe do skraju zagajnika, na tyle daleko, że trafienie go z pistoletu zakrawałoby na cud, i zerkał nerwowo ku drzewom. Wiedział (albo przynajmniej się domyślał), że jest obserwowany przez kogoś, kto zamierza go później śledzić, ale Seamus miał rację: nie mógł dłużej zwlekać. Miał do załatwienia pilną sprawę na dole, w dolinie.

Oczywistą sztuczką z jego strony byłoby zejść gdzieś w bok, zatrzymać się, ukryć i poczekać, aż Seamus wejdzie mu pod lufę. Dlatego Seamus się nie śpieszył. Poruszał się (kiedy już uznał, że może zaryzykować poruszenie się) pod osłoną gęstych zarośli porastających brzegi wążozu, który za przewężeniem, gdzie zostawił Jacka, rozszerzał się stopniowo i w końcu przechodził w dolinę z prawdziwego zdarzenia, niezaśnieżoną i gęsto zalesioną. Przez kwadrans szedł śladem snajpera, nie wystawiając się na strzał, w końcu jednak ścieżka zboczyła w las, zmuszając go do podbicia stawki. Od tej pory musiał tropić intruza jak dzikiego zwierza. Nim zanurkował w głąb doliny, zatrzymał się na jej skraju, rozejrzał i utrwalił sobie w pamięci obraz okolicy, żeby nie przegapić niczego, co mogło się później okazać istotne - gdyby, na przykład, dżihadyści mieli jeszcze jedną straż tylną. Wstyd byłoby jej nie zauważyć.

Drugiej ariergardy nie zobaczył, niepokoiło go jednak przecucie, że coś jeszcze podąża po śniegu śladem snajpera. Niczego nie widział. Powiódł wzrokiem w górę i w dół

pozostawionego przez dżihadystę tropu i upewnił się, że nic tam nie ma. Od czasu do czasu trop zbaczał jednak ze śniegu na wyzierające spod topniejącego śniegu brunatno-zielone skały i Seamus musiał przyznać, że były to miejsca idealne dla ukrycia czegoś, co przypadkiem miałoby jasnobrazowy kolor. Po długim wyteżaniu wzroku (i mózgu) wmówił sobie, że coś chyba przycupnęło na jednym z tych skalnych placków i teraz obserwuje go, wyczekując chwili, w której odwróci wzrok, żeby mogło swobodnie się poruszyć.

Mogło to być coś prawdziwego albo tylko wytwór jego wyobraźni. Jeżeli było prawdziwe, to mógł tak siedzieć cały dzień i nic by się nie wydarzyło. Odwrócił się więc i zaczął skradać przez las.

* * *

Przebywając w towarzystwie dżihadystów, Zula często zdumiewała się ich swobodnym i byle jakim traktowaniem niektórych spraw. Rozpoznawała u nich elementy znajomego dziedzictwa kulturowego, charakterystyczny sposób myślenia i zespół nawyków, których wyzbyła się dopiero po zamieszkaniu w Iowa, a które miały coś wspólnego ze sposobem oceniania ryzyka. Niektórzy nazwaliby to fatalizmem religijnym. Inni zauważyliby pewnie, że nie ma nic dziwnego w tym, że ludzie pochodzący z różnych rejonów, w których wojny, choroby i głód są na porządku dziennym, podobnie reagują na zagrożenie.

Dlatego, kiedy uzbrojony w pistolet dżihadysta spokojnie wyszedł na odsłonięty teren i zaczął się wspinać po zboczu prosto w jej stronę, nie była jego widokiem aż tak oszołomiona, jak mogłaby być, gdyby w przeszłości nie miała do czynienia z mieszkańcami Trzeciego Świata i ich specyficznym podejściem do ryzyka.

Może po prostu nie wiedział, że Zula ma broń. Ostatnio z niej nie strzelała, a wcześniej na pewno się nią nie chwaliła. Może wyobrażał sobie, że po prostu wejdzie na górę i zastrzeli ją z bliska.

A może znów chcieli ją wziąć żywcem?

To bez znaczenia. Tak czy inaczej, nieuchronnie zbliżał się moment, w którym Zula - w pozycji leżącej, niezle osłonięta kamieniami - wyceluje z glocka w środek ciężkości dżihadysty i pociągnie za spust. Im bliżej go dopuści, tym łatwiej będzie jej trafić. Zgodnie z przewidywaniami mieszkającej w jej duszy harcerki marzła i ręce zaczynały się jej trząść, musiała więc zwalczyć pokusę przedwczesnego oddania strzału. Niech cel spokojnie urośnie na muszce. Byle nie za bardzo, bo w końcu zobaczy pistolet w jej rękach.

Leżała lekko na boku, wtulona w zagłębienie wśród kamieni. Była to pozycja niezręczna i niewygodna, ale przynajmniej ten z pistoletem maszynowym nie mógł trafić jej inaczej jak tylko odłamkami, więc nie warto było się ruszać. Mała zmiana pozycji, która jej

wydałaby się nic nieznacząca, mogła wystawić jakąś część jej ciała na strzał.

Pokusa była jednak silna. Kamienie trochę przesłaniały jej mężczyznę z pistoletem. Gdyby zgięła się w pół i przesunęła odrobinę w przód, nie tylko lepiej by go widziała, ale też mogłaby oprzeć ręce na płaskim kawałku kamienia i oddać pewny strzał z większej - a więc i bezpieczniejszej - odległości.

Takie właśnie myśli chodziły jej po głowie, kiedy leżała i czekała, dygocząc i sztywniejąc z zimna. Zastanawiała się, co było źródłem potężnej eksplozji, którą słyszała wcześniej. W naturalny sposób narzucała się jej wizja Cheta odpalającego minę. Zastanawiała się, jak mogło to wpłynąć na dalsze losy Cheta oraz Richarda, który poszedł sprawdzić, co z przyjacielem. Zastanawiała się też, o co chodziło z tym helikopterem i czy można liczyć na jego szybki powrót.

Z tej zadumy wyrwał ją niespodziewany ruch, który dostrzegła kątem oka. Patrzyła prosto na dżihadystę z pistoletem. Mężczyzna - widoczny od ramion wzwyż - z mozołem gramolił się w górę tego samego stoku, który nie tak dawno sama przemierzyła. Teraz jednak odwróciła głowę i spostrzegła, że człowiek z bronią maszynową również zaczął się przemieszczać, szukając lepszego miejsca do oddania strzału.

Przez moment patrzyli sobie w oczy. Podekscytowany dżihadysta uniósł broń do ramienia, biorąc Zulę na cel.

Podczołgała się kilka metrów do przodu. Ten drugi, z pistoletem, znajdował się już niepokojąco blisko. Młócił ramionami, starając się nie stracić równowagi. Zula wyprostowała ręce, oparła nadgarstki na kamieniu, zgrała muszkę ze szczerbinką i wycelowała w brnącego pod górę napastnika.

Gdzieś z góry dobiegł huk pojedynczego wystrzału. Z góry. Tak przynajmniej sugerował słuch Zuli, a zachowanie intruza, do którego mierzyła, chyba to potwierdzało, bo znieruchomiał i spojrzał na zbocze ponad jej głową.

Pociągnęła za spust, poczuła impet odrzutu, zobaczyła, jak łuska z brzękiem spada na ziemię.

Intruz stał nieruchomo z miną wyrażającą *O kurde!* I w pierwszej chwili pomyślała, że musiała chybić. Wtedy jednak nagle postanowił usiąść, co trudno jest zrobić, kiedy podchodzi się po stromiznie. Nogi pofrunęły mu w powietrze, zanim jeszcze dotknął ziemi pośladkami, a potem pokoziołkował w dół, nabierając szybkości.

Zula zerknęła w bok, wypatrując drugiego dżihadysty, ale ten gdzieś zniknął. Kiedy jednak ostrożnie wyjrzała zza swojego szańca, dostrzegła go leżącego na wznak u stóp piarżyska.

Skraj lasu rozbłysnął wystrzałami z dwóch różnych sztuk broni należącej do nowo przybyłych dżihadystów, którzy byli świadkami najświeższych wydarzeń. Jeśli jednak celowali w Zulę, to chybili o milę.

Za to z góry ktoś odpowiedział im ogniem: pojedyncze, mierzone strzały zniechęciły czających się na dole napastników. Zula obróciła się na plecy, oparła głowę na tym samym płaskim kamieniu, z którego strzelała, i próbowała się zorientować, skąd padają strzały. Oczywistą odpowiedzią był wystający z pochyłego rumowiska lity blok skalny, wielki jak kwartał domów w dużym mieście. Domyślała się, że ma płaski wierzchołek, na którym przyczał się człowiek z karabinem.

Jakiś ruch znów przyciągnął jej wzrok. Z boku tego skalnego bloku ktoś machał kawałkiem materiału. Koszulką. Zula przyjrzała się jej uważnie i po chwili pomachała w odpowiedzi.

Jakiś człowiek wynurzył się zza skały i zaczął wykonywać wyraźne zapraszające gesty. Jakby mówił: „Biegnij do mnie!”.

Zula nie miała wprawdzie pojęcia, kto to jest, ale mimo to wstała i zaczęła biec. Miała dość marznięcia i samotności i była gotowa spróbować wszystkiego. Nawet jeśli miałyby się to wiązać z ryzykiem. Kto chce, może to nazwać fatalizmem. Dobiegający z góry głośny łoskot - wystrzały z karabinu, siekące skraj lasu ze szczytu skalnej wieży - dał chyba dżihadystom do myślenia, bo żaden nie próbował do niej strzelać.

* * *

Sokołów błyskawicznie zareagował na głośny huk: zrzucił plecak, otworzył go i zaczął składać wyjęty z niego karabin zabrany Igorowi, który wcześniej zabrał go z domu Petera. Logika jego zachowania nie była w żadnej mierze oczywista dla Olivii. Znajdowali się zaledwie dwie mile od terytorium kraju, w którym posiadanie takiej broni było spektakularnie sprzeczne z prawem. Nie licząc Forthrastów, od rana nie widzieli żywej duszy. Sokołów jednak uparcie twierdził, że huk, który słyszeli, nie był odgłosem detonacji w kopalni, lecz dowodem odpalenia taktycznego urządzenia wojskowego, wskutek czego znaleźli się w stanie wojny z niewidocznym i nieznanym wrogiem.

I wtedy Olivia doznała olśnienia. To miało sens. Prawdę mówiąc, od początku o tym wiedziała, ale swoisty instynkt biurokratyczny kazał jej wyprzeć ten fakt ze świadomości: bała się, że na zebraniu nie przekona nikogo do swoich racji. Jones oczywiście przesłuchał Zulę, przeczytał poświęcone Richardowi hasło w Wikipedii, poznał jego przemytniczą historię, pojechał do zameczku nieopodal Elphinstone i, używając Zuli jako zakładniczki, zmusił Richarda do przeprowadzenia go przez granicę. A wczorajszy wybuch na przejściu

granicznym miał po prostu odwrócić uwagę.

Bo Jones był teraz tutaj.

Od jak dawna Sokołow o tym wiedział? Do momentu wybuchu nie zdradził się z podejrzeniami, że w każdej chwili mogą się znaleźć w strefie działań wojennych prowadzonych przez uzbrojonych po zęby dżihadystów, ale z pewnością spodziewał się tego już wcześniej.

Czyli co, po prostu ją wykorzystał?

Nie, sprawa była chyba bardziej skomplikowana. Sokołow postawił wszystko na jedną kartę. Mieli z Olivią słuszne powody, żeby przekroczyć granicę, i mogli to zrobić gdziekolwiek. On po prostu wybrał miejsce, w którym spotkanie z Jonesem było najbardziej prawdopodobne.

Poświęcili kwadrans (choć wydawało się, że trwa to znacznie dłużej) na taktyczny odwrót w górę zbocza, przez rumowisko, na szczyt skalnej wieży, gdzie Jake ich opuścił.

W plecaku Sokołowa znajdował się drugi, mniejszy worek uszyty z cienkiego nylonu, służący do przechowywania zrolowanego śpiwora. Sokołow znalazł dogodnie miejsce do położenia się na skale, wyciągnął worek z plecaka i odłożył go na bok. Worek zagrzecotał metalicznie, a Olivia uświadomiła sobie, że wypełniają go ciężkie, twarde i kanciaste przedmioty. Złożywszy karabin, Sokołow otworzył worek i wysypał jego zawartość: pół tuzina zakrzywionych plastikowych pudełek, które okazały się magazynkami do karabinu. Sądząc po ciężarze, musiały być pełne.

Sokołow, dotarłszy do Bourne's Ford przed Olivią, przeszedł się po miejscowych sklepach z bronią, zrobił zakupy i napełnił magazynki. Na wszelki wypadek.

No dobrze, więc jednak ją wykorzystywał. Doszła do wniosku, że wcale jej to nie przeszkadza. Zwłaszcza że w pewnym sensie ona wykorzystwała jego, kiedy od początku miała nadzieję, że sytuacja mniej więcej tak się właśnie rozwinie.

Tak czy inaczej, nie miała teraz czasu na takie metafizyczne rozważania. Sokołow, który zdążył się już podczołgać do skraju płaskiego wierzchołka, przywołał ją i pokazał jej, co widać na dole: młoda kobieta, czarnoskóra i czarnowłosa, w koszulce bez rękawów i bojówkach, z wysiłkiem brnęła w górę osypiska, ewidentnie pełna obaw o swoje życie. Słyszeli też serie z broni maszynowej, choć samego Strzelca z początku nie było widać, zanim zaś przesunęli się w takie miejsce, że Sokołow namierzył go przez lunetę, tamten przestał strzelać i czekał, co zrobi jego towarzysz, który - uzbrojony w pistolet - również ruszył pod górę.

- Zejdź tam - polecił Olivii Sokołow - i przyprowadź Zulę.

Jego słowa zaskoczyły ją bardziej niż wcześniej helikopter, niespodziewane pojawienie się karabinu czy wstrząsające serie z pistoletu maszynowego.

- To ona?!

Sokołow oderwał wzrok od celownika i posłał jej spojrzenie, które było bardzo męskie i bardzo rosyjskie.

- No dobrze - zgodziła się. - A ten facet z pistoletem?

- Zula zaraz go zabije.

- Serio?

Znowu to spojrzenie.

- Serio. Ale potem będzie miała bardzo mało czasu, jak wy to mówicie... krótkie okno? Kiedy może przebiec w bezpieczne miejsce. Położę ogień zaporowy.

* * *

Wszyscy Chińczycy, jakich Richard miał okazję poznać, byli wyrafinowanymi mieszczuchami, spodziewał się więc, że prędzej czy później przyjdzie mu nieść Yuxię na barana. Szybko się jednak okazało, że Yuxia jest w rzeczywistości półkozicą (czy jaki tam jest chiński odpowiednik kozicy). Najlepiej dowodził tego fakt, że cały czas widział jej twarz - a to dlatego, że biegła przodem i co rusz oglądała się, zaniepokojona, co go znowu zatrzymało.

Bał się chwili, w której to ona zapyta jego, czy nie potrzebuje pomocy.

W jednym z takich momentów (dość szybko, dosłownie ze dwie minuty po tym, jak zaczęli uciekać) na jej twarzy odmalowała się nabożne zdumienie. Richard miał wrażenie, że całkiem niezłe zna Yuxię, między innymi dzięki listowi Zuli spisanemu na papierowym ręczniku. Miała ładną, wyrazistą twarz, która jednak rzadko wyrażała zdumienie. Najczęściej malowało się na niej żywe zaciekawienie, często także przelotny uśmiech, jakby cieszył ją zrozumiały tylko dla niej żarcik. Nie pozwalała sobie na okazywanie szczerego zaskoczenia, dopóki sprawa nie była naprawdę poważna. Dlatego teraz Richard zawahał się, zatrzymał i odwrócił, a potem zatoczył się jeszcze dwa kroki w tył. Nad miejscem katastrofy wyrosła grzybkształtna chmura żółtego ognia, która na ich oczach wywracała się na lewą stronę.

- Na pewno wszystko jest w porządku - wypalił, odwracając się do Yuxii i delikatnie kładąc jej dłoń na ramieniu.

Chciał ją w ten sposób zachęcić, żeby również obróciła się w dół zbocza i biegła dalej. Cofnęła się przed jego dotykiem, chociaż nie w sposób, który wyrażałby: „Nie molestuj mnie, ty stary zbereźniku”. Raczej wyglądało na to, że w wypadku odniosła poważniejsze obrażenia, niż dawała to po sobie poznać. Kiedy w końcu się odwróciła, zrobiła to sztywno i

chwiejnie, a Richard zrozumiał, że zwawość, której jej pozazdrościł, była przynajmniej częściowo udawana. Próbowwała nie okazywać bólu, bo nie chciała, żeby mężczyźni musieli ją osłaniać. A rycerskość miewa swoją cenę.

- Nie zdążyłem zbyt dobrze poznać Seamusa - przyznał Richard. - Miałem wszystkiego pięć minut, w czasie których najpierw rozbił się helikopter. - Przyśpieszył kroku, usiłując pociągnąć za sobą dziwnie niezdecydowaną Chinę. - Ale wygląda mi na bystrego faceta, który wie, co robi. Nie sądzę, żeby kręcił się przy maszynie, która w każdej chwili może wybuchnąć.

Yuxia ruszyła się w końcu z miejsca; jej ambicja chyba trochę ucierpiała, kiedy nieruchawy starszy pan wyprzedził ją o dobre kilka metrów. Dopiero teraz Richard zauważył jej sztywny kark i zaaferowaną minę osoby walczącej z potężnym bólem głowy.

- Posłuchaj - odezwał się po dłuższej chwili. - Nikt nie wie, jak długo będziemy się ganiać po tych górach z dżihadystami, dlatego chciałbym ci przedstawić naszego nowego przyjaciela i towarzysza podróży, pana Mossberga.

Rozejrzała się demonstracyjnie dookoła, głównie wodząc wzrokiem, bo jej szyja niespecjalnie chciała się poruszyć.

- Nie widzę go.

- Ależ widzisz. - Richard pokazał jej strzelbę. Potencjalne konsekwencje zapoznania Yuxii z mossbergiem trochę go przerażały, ale w głębi duszy czuł, że postępuje właściwie. - Na pewno widziałaś taką broń na filmach.

- I w grach. Trzeba pociągnąć to suwadło.

- No właśnie. To suwadło to ruchome łożo. Czasem trzeba pociągnąć dość mocno, słabe szarpnięcie nic nie da.

- W porządku, jestem silna.

- Czerwone znaczy krew - dodał Richard, pokazując bezpiecznik. Pstryknął nim kilka razy, na przemian odsłaniając i zakrywając czerwoną kropkę. - Masz, spróbuj. Tylko pamiętaj: trzymaj palce w ten sposób.

Pokazał jej, że palec wskazujący, przyciśnięty do boku kolby, nie dotyka spustu.

- Jasna sprawa. - Yuxia pokiwała głową.

Przestali biec i poruszali się teraz zwawym marszem, ale Richard uznał, że warto zaryzykować, jeśli Yuxia ma się nauczyć obchodzić z bronią. Wyplątał uprząż spod ubrania i podał jej strzelbę. Z aprobatą zauważył, że jej palec wskazujący automatycznie ułożył się we właściwej pozycji.

- Odciągnij lekko łożo strzelby; zobaczysz nabój gotowy do wystrzelenia.

- Nabój, czyli kulę.

- Nabojem nazywamy każdy rodzaj amunicji; w tym wypadku to nie jest jedna kula, tylko mnóstwo małych kuleczek. - Richard wymownym gestem zademonstrował rozpraszające się w locie śruciny. - Mocna rzecz, ale musisz być blisko celu, bo inaczej kuleczki polecą na boki i chybią.

- Jak blisko?

- Dwadzieścia metrów, nie więcej. Warto też wycelować.

Yuxia spojrzała na niego podejrzliwie, wyczuwając sarkazm.

- Nie żartuję - zapewnił ją. - Oprzyj broń o bark, przyciśnij policzek do kolby, to znaczy uchwytu, i spójrz wzdłuż lufy. Obojgiem oczu.

Yuxia przystanęła, żeby to przećwiczyć. Wycelowała w odległe o dziesięć jardów drzewo.

- Chcę do niego strzelić - oznajmiła. Własna nagła chęć wydała jej się fascynująca i zabawna.

- Zaproszę cię kiedyś na zjazd rodziny Forthrastów, to postrzelasz sobie do woli - obiecał jej Richard. - Ale teraz nie. Mamy tylko cztery naboje, a poza tym nie chcemy, żeby Jahandar nas usłyszał.

- No dobrze - mruknęła Yuxia. Wyraźnie spochmurniała. - Weź ją z powrotem.

Richard spojrzał na nią podejrzliwie, a wtedy ona uśmiechnęła się od ucha do ucha.

- Ale cię nabrałam!

- Tak chyba będzie najlepiej - przytaknął Richard. - Jahandar pewnie najpierw strzeli do osoby z bronią. Wtedy zabierzesz mi strzelbę, schowiasz się i poczekaasz, aż podejdziesz bliżej.

Te słowa odarty całą sytuację z resztek wesołości, oboje więc przyśpieszyli i skoncentrowali się na sprawnym pokonywaniu przestrzeni. Richard był zaskoczony, jak szybko dotarli do miejsca, w którym wcześniej rozstał się z Zułą. Punkt ten doskonale nadawał się na krótki odpoczynek albo przynajmniej zwolnienie kroku i ocenę sytuacji.

- Cieszę się teraz, że objadłam się gofrów - powiedziała Yuxia, zerkając pytająco na Richarda.

- Ja gonię już na oparach - przyznał, czym chyba nie dodał jej otuchy. Wyprostował się więc i poklepał po brzuchu. - Na szczęście mam zapasy.

Spojrzała podejrzliwie na jego zbiornik paliwa.

- Za pół godziny dotrzemy do szlaku. Potem czeka nas długa wspinaczka zakosami.

- Jak to zakosami?

- Zygzakiem. Powinnaś wtedy zostawić mnie i iść szybciej, będę cię tylko opóźniał.

- Kto weźmie broń?

Richard się zastanowił. Jego zmęczony mózg działał wyjątkowo ospale i potrzebował długiej chwili, żeby stwierdzić, że było to pytanie retoryczne. Nie mieli wyboru. Musieli trzymać się razem.

A to znaczyło, że musiał wziąć się w garść i ruszyć dupę.

- Dzięki - powiedział i zmusił się do zrobienia następnego kroku.

- To tam poszła Zula? - zapytała Yuxia.

- Mam nadzieję. Jones i reszta pewnie poszli za nią.

- A teraz my pójdziemy za nimi.

- A Jahandar za nami.

- Jeśli tak, to mam nadzieję, że Seamus pójdzie za nim.

Ta świadomość bardzo podniosła Yuxię na duchu, więc Richard ugryzł się w język i powstrzymał od spekulacji o pumie, która mogła jeszcze zająć ostatni wagon w tym pociągu śmierci.

- Tak się cieszę, że Zula żyje! - odezwała się Yuxia kilka minut później. Richard nie miał wątpliwości, że próbuje w ten sposób odciągnąć jego myśli od tego, jaki jest obolały i wyczerpany. - Myślałam, że już po niej. Strasznie płakałam.

- Ja też.

- Wypytywałam ją o rodzinę, ale niewiele mi powiedziała. Teraz rozumiem dlaczego: nie chciała, żeby inni podsłuchali takie informacje.

- Bystra dziewczyna. Nie chciała, żeby dowiedzieli się o mnie.

- Dlatego o tobie dowiedzieliśmy się później. Jesteś myśliwym. Polujesz na grubego zwierza.

- To prawda, poluję na grubego zwierza. - A teraz inny myśliwy poluje na mnie, dodał w duchu Richard i zaproponował: - A może ty opowiesz mi coś o swojej rodzinie?

- Ach, moja rodzina! Moja rodzina jest smutna. Smutna i może mieć kłopoty.

- Przez to, co się z tobą stało?

- Przez to, co zrobiłam - poprawiła Richarda Yuxia. - To nie stało się tak po prostu.

- Kiedy sprawa się wyjaśni, wszystko się ułoży.

- O ile wcześniej nas nie zabiją - przypomniała Chinka i tak gwałtownie przyśpieszyła, że Richard stracił ją z oczu w zaroślach (maskujące ubranie spisało się na medal) i musiał kawałek przetruchtać, żeby ją dogonić.

- Patrz! Ktoś zostawił ubranie! - obwieściła Yuxia długą, spoconą chwilę później,

ciągnąc za wystający spod zwalonej kłody długi rękaw.

- To Zuli. - Richard rozpoznał bluzę. - Wyrzuciła zbędne ciuchy przed wspinaczką.
- Będziemy się wspinać?
- Już za momencik.

Richard wyminął Yuxię, przedarł się przez zarośla i wyszedł na poprowadzony zygzakiem szlak.

Przy każdej ze sporadycznie prowokowanych przez muzy i furie prób odchudzania się brutalnie uświadamiał sobie pewien podstawowy fakt odnoszący się do ludzkiej fizjologii, taki mianowicie, że metabolizm tłuszczowy do pięt nie dorasta węglowodanowemu; człowiek robi się powolny, zmęczony i otypały. Dopiero kiedy zachowywał się naprawdę głupio i irytująco (co sprawiało, że nie mógł ani pracować, ani cieszyć się życiem), miał pewność, że naprawdę chudnie, i w takim właśnie stanie włókł się teraz po szlaku do góry. Jednakże, nawet mimo swojej żalosnej kondycji, szybko wychwycił podstawową cechę geometryczną biegnącej zakosami ścieżki, która już wkrótce mogła się okazać niezwykle istotna. Otóż jeden wędrowiec mógł wyprzedzać drugiego nawet o milę, gdyby mierzyć odległość wzdłuż ścieżki, a zarazem dzieliliby ich nie więcej niż sto jardów w linii prostej, gdyby znaleźli się na odpowiednich odcinkach zygzaka. Jeżeli Jahandar ich ścigał (a takie założenie po prostu musieli przyjąć), to na razie mieli nad nim sporą przewagę i Richard miał nadzieję, że jej nie stracą, jeśli tylko utrzymają dotychczasowe tempo. Mógł jednak przyjść taki moment (za minutę albo za godzinę, tego nie wiedział), kiedy spojrzą w dół, Jahandar spojrzy w górę i zmierzą się wzrokiem z odległości nie większej niż zasięg strzału z karabinu, a może nawet ze strzelby.

Chciałby umieć sobie wmówić, że Jahandar przegapi tę możliwość, ale Jahandar wyglądał na faceta, który pół życia spędził na takich zygzakach i doskonale orientuje się w ich specyfice.

Nagle dotarło do niego, jak to się wszystko skończy. I nagle zrozumiał, że mętlik w głowie, guzdralstwo i skłonność do irytacji nie były tylko skutkiem głodu. To jego mózg próbował mu coś powiedzieć.

A jeśli czegoś się w swojej chaotycznej karierze nauczył, to na pewno jednej rzeczy: w takich momentach warto było wsłuchać się w gadanie mózgu.

Który właśnie tłumaczył mu, że ich plan można o kant dupy potłuc.

A to dlatego, że Jahandar na pewno kiedyś ich dogoni (najprawdopodobniej systematycznie zmniejszał dzielący ich dystans) i w końcu wyląduje w takim miejscu, że będzie mógł do nich strzelać z niżej położonego odcinka szlaku. Ba, znajdzie sobie pewnie

miejsce, w którym spokojnie się rozsiądzie, oprze wygodnie karabin i poczeka, aż Richard z Yuxią przed nim przedefilują - raz w jedną, raz w drugą stronę, raz w jedną, raz w drugą, jak durne kaczuszki na strzelnicy.

„Kocham cię, ale mam dość bycia dziewczyną świętego potwora”.

Tak powiedziała mu Alice, jedna z jego eks, tuż przed wstąpieniem do panteonu muz i furii. Trochę trwało, zanim rozszyfrował jej słowa (sama Alice nie była w nastroju do długich dyskusji), ale w końcu doszedł do wniosku, że to właśnie z tego powodu Korporacja 9592 nie ma innego wyjścia, niż go zatrzymać. Prawie wszystko, czym się w niej zajmował - współpraca ze specami od prania pieniędzy, instalacja Ethernetu, rekrutacja pisarzy fantasy, pilnowanie Plutona - można było zrobić lepiej i taniej, gdyby zlecić to człowiekowi wybranemu przez jakąś nowoczesną agencję personalną. Ostatecznie jego rola została zredukowana do tego, że siedział w kącie na zebraniach albo przeglądał firmowe fora dyskusyjne, nie robił nic konkretnego, zrzędził, naburmuszał się, aż w którymś momencie wyskakiwał z czymś, co obrażało całą masę ludzi i popychało korporację na nowe tory. Dopiero później wszyscy dostrzegali rafy i mielizny, na których osiedliby niechybnie, gdyby nie jego zaskakująca, gderliwa interwencja.

To była jedna z takich sytuacji.

I pozostała im tylko jedna sensowna reakcja: musieli się zatrzymać, znaleźć kryjówkę, poczekać na Jahandara, powstrzymać się ze strzelaniem, dopóki nie podejdzie na dwadzieścia jardów, a potem zastrzelić go, zanim zdąży odpowiedzieć ogniem.

- Zaczekaj - powiedział półgłosem.

- Wszystko w porządku, wielkoludzie? - zaniepokoiła się Yuxia.

- W najlepszym - zapewnił ją. - Ale przyszedł czas, żeby stanąć do walki.

- Jestem za. A będę mogła zastrzelić któregoś z tych skurwieli?

- Po moim trupie.

* * *

Csongor ostro wrzucił bieg, wcisnął pedał gazu i SUV z rykiem silnika wyjechał z parkingu. Silnik mieli cały czas włączony, bo laptop Marlona wymagał stałego zasilania.

- Co jest, kur...?! - zdziwił się Marlon na widok zanikającego sygnału wi-fi.

Csongor nie był pewny, czy Marlon podkradł ten wykrzyknik z dymków jakiegoś komiksu, czy tylko czyni aluzję do chińskich dziwaków komputerowych, którzy w ten naiwny sposób podłapywali fragmenty angielskich dialogów. U Marlona czasem trudno było się połapać, co jest co.

- Coś się musiało stać.

- Mówiłeś, że nie możesz prowadzić.
- Oficjalnie nie mogę. To wbrew prawu.
- Aha.
- Ale, jak widzisz, umiem jeździć.
- Robiłem przelewy - powiedział Marlon.

Nie skarżył się, nie biadolił - po prostu dawał Csongorowi do zrozumienia, że przerwał mu ważną czynność.

- Robiłeś przelewy przez ostatnie trzy godziny, kiedy ja siedziałem nad mapą i zegarkiem. - Csongor machnął mapą Idaho, dzień wcześniej kupioną przez Seamusa na stacji benzynowej. - Dawno powinni wrócić, nie ma siły. *Da G shou* długo czekali na pieniądze, więc mogą poczekać jeszcze trochę.

Dzięki ślęczeniu nad mapą wiedział, jak wyjechać z Coeur d'Alene na północ, w kierunku Sandpoint i Bourne's Ford. Jadąc tą trasą, starał się skrupulatnie przestrzegać przepisów, żeby nie dać policji pretekstu do zatrzymania ich. Wątpił, żeby węgierskie prawo jazdy pomyślnie przeszło tutejszą kontrolę.

- Może po prostu znaleźli coś ciekawego?
- Nie w tym rzecz. Helikopter ma ograniczony zapas paliwa, nie mógłby tak długo latać.

Csongor intuicyjnie wyczuł, że Marlon spogląda na niego z niedowierzaniem.

- Sprawdziłem w Google - wyjaśnił - kiedy poszedłeś się odlać.
- Okej...
- Wiem, co teraz powiesz: może mieli awarię i musieli lądować. Tylko że wtedy zadzwoniliby, żeby powiedzieć, że się spóźnią.
- Jak bardzo są spóźnieni?
- Bardzo.

Marlon patrzył na Csongora wyczekująco.

- Z matematycznego punktu widzenia paliwo skończyło im się... - Węgier zerknął na zegarek na desce rozdzielczej. - Piętnaście minut temu.
- Może powinniśmy zadzwonić...
- Do kogo? - spytał Csongor z czymś na kształt okrutnej satysfakcji, ponieważ sam przemierzył już w głowie wszystkie odgałęzienia tej drogi i napotkał same ślepe zaułki. Czekał tylko, aż Marlon dojdzie do tych samych nie-wniosków.

Przemknęli przez coś, co wyglądało jak ważne skrzyżowanie dróg na obrzeżach Coeur d'Alene i śliczną, prostą autostradą pognali na północ. Zapowiadał się piękny dzień.

- Co zamierzasz?

- Nie ja, tylko my. Pojedziemy do Bourne's Ford, to jest ta okolica, gdzie mieli polatać. Pójdziemy na lotnisko Boundary County i popytamy, czy ktoś coś wie o zaginionym śmigłowcu.

Pół godziny później jechali długą groblą przecinającą jezioro. Przed nimi rozpościerało się Sandpoint. Csongor zauważył, że Marlon usiłuje zapuścić żurawia na prędkościomierz, a kiedy sam nań spojrział, stwierdził, że jedzie dziewięćdziesiąt na godzinę.

- To nie są kilometry - poinformował go Marlon. - W układzie metrycznym to będzie chyba z pięć tysięcy.

- Bez przesady - mruknął Csongor, ale odpuścił gaz i zwolnił do osiemdziesięciu. Po chwili mówił dalej: - Podejrzewam, że Seamus poleciał szukać Jonesa. Od początku taki miał plan, ale nie mógł tego powiedzieć na głos. Ale potem Yuxia się uparła, że też chce lecieć, skoro to ma być tylko zwiedzanie, i wpadł we własne sidła.

- Yuxia jest niezła w te klocki.

- Co ty w ogóle o niej myślisz? Jest twoją dziewczyną?

- Przez moment tak myślałem - przyznał Marlon - ale potem doszedłem do wniosku, że jest bardziej jak siostra.

- Aha.

- Chiny są śmieszne, wiesz? Polityka jednego dziecka... Wszyscy szukamy sobie rodzeństwa.

Csongor pokiwał głową.

- To znacznie lepszy system od tego, który mamy na Węgrzech.

- Jak to?

Csongor spojrział na Marlona.

- Wy przynajmniej możecie wybierać.

Marlon się uśmiechnął.

- Ach tak...

Csongor znów skupił się na drodze.

- Masz brata w Kalifornii - przypomniał sobie Marlon.

- Mam. Co z tego?

- Odwiedzisz go?

- A chcesz zobaczyć Kalifornię?

- Pewnie! - Marlon się wyraźnie rozpromienił.

- Byłoby ci tam chyba lepiej niż mnie... Ale jeśli pojedę, zabiorę cię ze sobą. Ty

będziesz gwiazdą, a ja twoim...

- Ochroniarzem?

- Nie chrzań. Myślałem o orszaku.

- Kalifornio, nadchodzimy! - wykrzyknął Marlon.

Csongor wystawił serdelkowaty palec przez okno, wskazując tabliczkę z napisem KANADA 50 MI/80 KM.

- Na razie jedziemy w przeciwnym kierunku - zauważył. - Bo przed Kalifornią musimy najpierw wpakować się w kłopoty, a potem z nich wykaraskać.

Marlon wzruszył ramionami.

- Taka nasza rola.

Csongor skinął głową.

- Taka nasza rola.

* * *

Zanim Csongor wyhamował z prędkości autostradowej do miejskiej, przejechali połowę Bourne's Ford i niewiele brakowało, żeby przelecieli przez miasteczkę na wylot.

Zajechali na stację benzynową, żeby chwilę odsapnąć i zorientować się w terenie. Zapłacił kasjerowi czterdzieści dolarów gotówką (Seamus wydzielił im skromne kieszonkowe), bez pośpiechu wrócił do samochodu i zaczął się przymierzać do tankowania. Pierwszy raz w życiu widział taki dystrybutor, przez co czuł się trochę niezręcznie i miał wrażenie, że wszyscy na niego patrzą, ale w końcu udało mu się uruchomić pompę i mógł spokojnie oprzeć się o samochód, czekając, aż olbrzymi bak się napełni. Marlon zdążył tymczasem zaliczyć szybką wizytę w toalecie i już siedział z powrotem na fotelu pasażera, przeczesując eter w poszukiwaniu dostępnych sieci bezprzewodowych.

Niebieskie subaru kombi skręciło z głównej drogi i zatrzymało się po przeciwnej stronie wysepki z dystrybutorami. Cały przód miało gęsto upstrzony truchłami owadów. Do bagażnika na dachu przyczepiono i przywiązano masę różnych rzeczy. Samochód przyjechał z daleka i Csongor z zaciekawieniem zerknął na rejestrację: Pensylwania.

Subaru stało z włączonym silnikiem, a Csongor słyszał stłumione odgłosy toczącej się w środku dyskusji, zapewne końcówki jakiegoś dłuższego sporu wśród turystów, którzy zbyt długo tkwią w zamknięciu.

Otworzyły się drzwi i zza kierownicy wysiadł biały mężczyzna wyglądający jak typowy mieszkaniec Środkowego Zachodu. Miał krótko przystrzyżoną brodę i ciemne okulary zachodzące daleko na skronie. Podszedł do kasy, wręczył kasjerowi kilka banknotów, po czym wrócił do subaru i zaczął tankować.

Drugi mężczyzna - czarny, szczupły i kościsty, w pewnym sensie podobny do Zuli - wygramolił się z tylnej kanapy i udał się do toalety. Wrócił z dużą książką w czerwonej miękkiej oprawie, którą najwyraźniej przed chwilą nabył: *Idaho: atlas samochodowy i informator turystyczny*.

Widząc kątem oka jakiś ruch, Csongor zerknął w lusterko SUV-a zamocowane po stronie pasażera: Marlon przestawił je w taki sposób, żeby móc spojrzeć mu w oczy, i zrobił pytającą minę: „Czy to się dzieje naprawdę?!”.

Csongor odwrócił wzrok i skinął głową.

Doszedł do wniosku, że chce odjechać z tej stacji ostatni, więc po zakończeniu tankowania wrócił do budynku, jakby zamierzał skorzystać z łazienki. Zamiast tego zaszył się na tyłach sklepika, udając, że oszołomił go wybór suszonej wołowiny w paczkach. W rzeczywistości cały czas miał subaru na oku.

- Pętla Selkirka... - Kasjer westchnął w zadumie, również zapatrzony w niebieskie kombi. - Przyciąga najróżniejszych ludzi.

Kierowca wyjął pistolet dystrybutora z wlotu baku. Csongor przeszedł do kasy, położył na ladzie kilka torebek suszonej wołowiny i dwie butelki wody, i na dokładkę dorzucił wzięty ze stojaka *Idaho: atlas samochodowy i informator turystyczny*.

- Sprzedają się dziś jak świeże bułeczki - zauważył kasjer.

Csongor nie odpowiedział. Kasjer wziął go za Amerykanina, a on nie zamierzał wyprowadzać go z błędu otwarciem swojej niewyparzonej gęby.

Kierowca subaru następny udał się do toalety i Csongorowi nie pozostało nic innego, jak wyjść, wsiąść do SUV-a i uruchomić silnik. Wyjechali na drogę, przejechali wzdłuż rzędu sklepów i w połowie drogi do następnej przecznicy skręcili na parking przed lokalem z fast foodem. Kiedy się okazało, że restauracja obsługuje klientów zmotoryzowanych, Csongor zamówił dwa hamburgery, po czym objechał budynek od tyłu, zatoczył wielkie U, ustawił SUV-a przodem do głównej drogi i zapłacił przy okienku.

Mężczyzna w okienku właśnie pakował ich zamówienie, kiedy Marlon powiedział:

- Są!

Csongor wyrztał przez przednią szybę w samą porę, żeby zobaczyć niebieskie subaru mijające ich z bezpieczną, przepisową prędkością.

Trochę się denerwował, że na skutek gambitu z fast foodem mogą stracić zwierzynę z oczu, ale kiedy po chwili dodał gazu i wyjechał na drogę (zasysając z wiaderka potężną porcję mountain dew), zobaczył subaru kilkaset metrów przed sobą, spokojnie pokonujące kolejne skrzyżowania ze światłami.

Następny odcinek był wyjątkowo nerwowy, ponieważ - w zależności od sekwencji świateł - na przemian to zostawali niepokojąco daleko w tyle, to znów nieprzyjemnie zblizali się do subaru. Szybko jednak stało się oczywiste, że pasażerowie subaru jadą na północ; Marlon przekartkował *Idaho: atlas i informator...* i znalazł stosowną mapę.

- Parę kilometrów na północ stąd jest skrzyżowanie - obwieścił. - Jeżeli pojedą prosto, to jadą do Kanady i nas nie interesują. Ale jeśli skręcą w lewo, przez most na rzece, to dotrą w te same rejony, w które rano wybrali się Seamus i Yuxia.

- Można tę rzekę przekroczyć w jakimś innym miejscu? Żebyśmy nie musieli ich śledzić w tak oczywisty sposób?

- Tak, skręć tutaj.

Darowali sobie bezpośrednią pogoń za subaru, zagłębili się w miasteczko i przejechali innym mostem, który wyprowadził ich z Bourne's Ford na zachód, prosto w stronę gór. Zanim jednak zrobiło się stromo, Marlon kazał Csongorowi skręcić w prawo w zwirową drogę biegnącą prościutko na północ, równoległe do rzeki. W ciągu trzech godzin spędzonych na lotnisku i wypełnionych intensywną nudą Csongor wczytał się w instrukcję obsługi SUV-a na tyle, żeby umieć przełączyć napęd na cztery koła, więc teraz poświęcił na to chwilę, a potem rozwinął na zwirowce wariacką prędkość. Wątpił, żeby gdzieś w pobliżu czaiły się gliny, a gdyby nawet, to wystarczy im przecież powiedzieć, że po okolicy kręcą się terroryści w niebieskim subaru.

Na dobrą sprawę powinni byli tak zrobić przed opuszczeniem Bourne's Ford, tyle że status nielegalnych imigrantów trochę utrudniał im racjonalne podejmowanie decyzji, kiedy ukrywać się przed policją, a kiedy prosić ją o pomoc. Poza tym nie mieli przecież pewności, że ci w subaru to terroryści; mogli być przecież niewinnymi turystami. Kiedy Marlon wspomniał, że mogą na skrzyżowaniu pojechać prosto, do Kanady (najprawdopodobniej z zamiarem przemierzenia Pętli Selkirka), brzmiało to całkiem rozsądnie i Csongor nie mógł się nadziwić swojej głupocie, która narzuciła mu rasistowski stereotyp terrorysty.

Teraz zaś wylądował w jakiejś głuszy i przeklinał się w duchu za przeoczenie rzeczy oczywistej.

Wjechali na niewielkie wzniesienie w samą porę, żeby Marlon dostrzegł subaru przejeżdżające po moście: skręciło w lewo, w stronę gór. Chciał coś powiedzieć, ale Csongor był szybszy:

- Kurwa mać!

- To jest ten moment, kiedy wpakujemy się w kłopoty?

- Na to wygląda. Nie zgub ich! - powiedział Csongor, który całą uwagę i siłę musiał

poświęcić utrzymaniu SUV-a na nierównej drodze. Zawieszenie pracowało tak intensywnie, że chwile, w których wszystkie cztery koła dotykały nawierzchni, należały do rzadkości.

- W lewo - powiedział Marlon minutę później.

Zbliżali się do rozwidlenia, skąd węższa bita droga prowadziła w głąb rozciągającej się po lewej stronie doliny.

- Widziałeś, że tam skręcili?

- Nie, nie widziałem.

- To skąd wiesz?

- Zostawili ślad w powietrzu. Jak samolot.

Rzeczywiście, nad boczną drogą unosił się tuman kurzu wzniecony kilka minut wcześniej kołami samochodu. A nad biegnącą na północ główną drogą powietrze było czyste.

Na skrzyżowaniu stał drogowy znak - zardzewiały, poharatany przez plugi śnieżne i ostrzelany ze śrutówki - o treści PROHIBITION CREEK ROAD.

- Proszę bardzo - powiedział Csongor. Skręcił kierownicę i dodał gazu.

* * *

Nie miała się jak porozumieć z ludźmi na górze, widziała tylko, że ktoś macha do niej koszulką, ale całkiem nieźle orientowała się w sytuacji. Pozycja, którą zajmowała przez ostatni kwadrans, była absolutnie nie do obrony: ktoś z karabinem mógłby ją tam skutecznie przygwoździć, podczas gdy jego kompani zaszliby ją z boku, realizując procedurę zwaną (tego była w zasadzie pewna) „flankowaniem”. A nawet gdyby nikt do niej nie strzelał, w końcu umarłaby z wychłodzenia. Tymczasem osoba wymachująca koszulką nie wahała się wstać i pokazać w całej okazałości. Albo była idiotką (Zula nabierała coraz większego przekonania, że ma do czynienia z kobietą, i to Azjatką), albo wiedziała o czymś, o czym Zula nie wiedziała.

Wszystko się wyjaśniło, gdy dźwignęła się do pozycji przykucniętej i zaczęła wspinać. Miejsce, w którym się przyczaiła, znajdowało się w naturalnym punkcie przegięcia zbocza. Niżej rozciągał się piarg, usypany pod kątem stoku naturalnego, ale powyżej spadek był łagodniejszy, prawdopodobnie z powodu przewieszanej skalnej wieży, która, wyrastając z wiecznej powolnej lawiny, zaburzała jej naturalny nurt.

Nagłe pojawienie się Zuli sprowokowało kilka wystrzałów od strony lasu, ale każdemu z nich odpowiadał ostry huk karabinu ze szczytu skały wznoszącej się nad jej głową. Strzelcy na dole (którzy, jak się domyślała, strzelali z pozycji stojącej, bezpośrednio po pokonaniu sprintem kilku ostatnich zakosów szlaku) nie mieli czasu, żeby się odpowiednio ustawić i porządnie przymierzyć. Mimo to, kilka razy miała wrażenie, że słyszy

przypominający wściekłego trzmiela basowy wizg pocisku o dużej prędkości początkowej. Na szczęście wspinaczka była w tym miejscu znacznie łatwiejsza niż wcześniej, nie tylko dlatego, że stok lekko się kładł, ale także ze względu na solidniejsze oparcie dla nóg: więcej litej skały, mniej luźnych kamieni. Zmusiła się do pokonania co najmniej stu stóp, nim zaryzykowała spojrzenie wstecz. Skraj lasu zniknął jej z oczu. Wychynał znad horyzontu dopiero kiedy ostrożnie próbowała się wyprostować, ale rozważnie przypadła do ziemi, zanim ktokolwiek zdążył wziąć ją na cel i pociągnąć za spust, i pobiegła, zgięta wpół, w kierunku rozpaczliwie miotającej się koszulki. Tym razem przebiegła dwieście jardów, nim obejrzała się przez ramię. W tym miejscu mogła się już bezpiecznie wyprostować, nie narażając się na strzał. Zmęczona, zdyszana i dręczona lodowatym bólem w ukruszonym zębie, który jak uderzenie czekana przeszywał ją przy każdym hańcie suchego, zimnego powietrza, zwolniła i pozwoliła sobie ostatni odcinek pokonać żwawym marszem, zanim w końcu znalazła się w zasięgu głosu wywijającej koszulką Azjatki.

Wbrew rozsądkowi żywiła nadzieję, że może będzie to Qian Yuxia, ale już z odległości stu jardów rozpoznała swój błąd. W głosie, który ją powitał, pobrzmiwał angielski akcent:

- To ty, Zula?

Zula wołała nie ufać swojemu głosowi, więc tylko uśmiechnęła się szeroko i skinęła głową. Angielka wyszła zza skały i podała jej rękę.

- Jestem Olivia. Widzę, że jesteś ranna w usta, przykro mi. Boli tak bardzo, jak źle wygląda?

Zula przewróciła oczami i pokiwała głową.

- Chciałabym móc ci powiedzieć, że mamy karetkę, helikopter czy coś w tym rodzaju, ale obawiam się, że to niemożliwe. Będziemy musieli przejść kawałek pieszo. Dasz radę?

- My? To znaczy kto?

- Chyba znasz człowieka, który czeka tam, na górze. - Olivia ruchem głowy wskazała szczyt skały. - Nazywa się Sokół.

- Ktoś powinien mu nadać jakieś imię - wysepleniała Zula.

- Zgadzam się, trochę to nieuprzejme, cały czas zwracać się do niego po nazwisku.

- Ale co on tu w ogóle robi? Poza tym, co oczywiste.

- Chyba uważa, że ma u ciebie dług wdzięczności.

- Można tak powiedzieć.

Zula ruszyła za Olivią. Wspinały się po bocznej powierzchni skalnej wieży. Znow zrobiło się stromo; Zula wyraźnie widziała bruzdy w piargach w miejscu, gdzie Olivia

ześlizgnęła się w dół.

- Za chwilę będzie taki kawałek, kiedy trzeba się pochylić - uprzedziła Olivia, wskazując w górę zbocza. - Inaczej ci z dołu nas zobaczą.

Zula obejrzała się i skinęła głową.

- Nie przewidział, że sprawy aż tak się skomplikują. - Olivia wróciła tymczasem do tematu Sokołowa. - Miał cię pilnować, ale nie chciał zrobić ci krzywdy.

- Też odniosłam takie wrażenie, chociaż nie miałam pewności.

- Obawiam się, że odkąd na horyzoncie pojawił się Jones, Sokołow potraktował jego ingerencję bardzo osobiście. Inaczej mówiąc, teraz już nie chodzi o ciebie.

- Jestem z tego powodu bardzo szczęśliwa.

- To jak? Gotowa?

- Chyba tak - przytaknęła Zula, chociaż, prawdę mówiąc, była skrajnie wyczerpana.

- Ostatni zryw i będziemy na górze.

I Olivia zaczęła miesić nogami piarg, spuszczać po nim małe lawinki, przez które Zula musiała przeskakiwać. Pokonanie tego ostatniego odcinka nie szło im chyba aż tak sprawnie i szybko, jak Olivia to sobie wyobrażała. W pewnym momencie przyblokowana przez nią Zula zaryzykowała spojrzenie w dół. Rzeczywiście było je teraz widać ze skraju lasu, ale przy tej odległości tylko karabin snajperski z celownikiem optycznym dawał nadzieję na celny strzał. W dodatku przyjęta przez Sokołowa polityka posyłania pocisków o dużej prędkości początkowej w miejsca, gdzie dostrzegał rozbłyski ognia z luf, musiała solidnie podkopać morale dżihadystów. Kiedy następny raz obejrzała się przez ramię, zobaczyła już tylko kamienie i odtąd mogły z Olivią spokojnie gramolić się płytkim żlebem wyprowadzającym wprost na szeroki i z grubsza płaski wierzchołek olbrzymiej skalnej wychodni.

Do tej pory Zula miała tylko zgrubne pojęcie, gdzie znajduje się na mapie, co zresztą w niczym jej nie przeszkadzało, bo i tak niewiele miała czasu na myślenie strategiczne. Kiedy jednak stanęła na szczycie skały, wszystko stało się jasne. Za plecami miała Abandon Mountain. Patrząc w dół na terytorium, które niedawno przemierzyła, była zwrócona w przybliżeniu na zachód. Po prawej stronie w odległości kilku mil znajdował się grzbiet górski, który dzień wcześniej pokonali z Chetem, idąc starymi tunelami. Po lewej długi i łagodnie zakrzywiający się piarzysty stok ciągnął się przez dwie mile i dochodził do długiej grani odchodzącej na południe od Abandon Mountain. Z opisów Richarda wiedziała, że gdyby przeszła na drugą stronę tej grani, zeszlaby wprost w dolinę Prohibition Creek, do domu Jake'a.

Gromadziła te spostrzeżenia, wlokąc się za Olivią noga za nogą (była wykończona) w stronę urwiska, z którego Sokołow ostrzeliwał dżihadystów. Im bardziej Olivia zbliżała się do Sokołowa, tym bardziej się garbiła, następnie opadła na czworaki, aż w końcu zaczęła się czołgać. Zula, potwornie znużona tak nieefektywnymi formami ruchu, wzdragając się przed zbliżeniem się do skraju przepaści. Powoli przesunęła się do miejsca, od którego musiałyby posuwać się na czworakach, tam zatrzymała się i przysiadła w kucki, żeby rozciągnąć obolałe uda i łydki. W odległości trzydziestu stóp widziała podeszwy butów Sokołowa (obcasy u góry, czubki na dole), leżącego przy samej krawędzi i patrzącego w dół przez lunetę zamontowaną na wypasionym AR-15, który wydał się jej dziwnie podobny do karabinu w sejfie Petera. Olivia leżała obok niego na boku i szeptała mu do ucha. Sokołow kiwał głową i odpowiadał monosylabami. Coś w języku ciała Olivii, jakieś niemal całkowite rozluźnienie w obecności Sokołowa, podpowiadało Zuli, że jest świadkiem czegoś w rodzaju chwili prawdziwej bliskości między tymi dwójkiem. Poczuli się niezręcznie. Chwilę później Olivia odczołgała się wstecz, a Sokołow odwrócił się i spojrzał na Zulę tymi swoimi niebieskimi oczami. Amerykanin wykonałby w tym momencie jakiś sentymentalny, trącający ckliwością gest, ale Sokołow zadowolił się ledwo dostrzegalnym skinieniem głowy i cieniem porozumiewawczego mrugnięcia. W odpowiedzi Zula podniosła dłoń i poruszyła palcami w zamiastce przyjaznego machnięcia ręką. Sokołowowi w zupełności to wystarczyło, bo natychmiast odwrócił głowę i wrócił do przerwanej zajęcia.

Olivia zaprowadziła Zulę do miejsca, gdzie ukryli z Sokołowem rowery. Oba były obciążone sprzętem, który w obecnej sytuacji do niczego by im się nie przydał. Mógł być jednak użyteczny dla Sokołowa, więc Olivia odpięła wszystkie bagaże i zrzuciła je na ziemię. Przywieźli ze sobą pokaźne zapasy jedzenia i wody; Zula pochłonęła znaczną ich część, czekając, aż Olivia posortuje resztę rzeczy. Przyniosła również większą od zalecanej dawkę dostępnych bez recepty środków przeciwbólowych, które znalazła w apteczce. Olivia pomogła jej ustawić siodełko (najwidoczniej Zuli miał przypaść rower Sokołowa) i razem podjechały kawałek wyżej, w stronę wierzchołka. Po mniej więcej minucie dotarły do miejsca, z którego ledwie widoczna ścieżynka trawersowała piarżyste zbocze w pożądanym kierunku.

Trawers włókł się w nieskończoność. Na samym początku trochę ożywienia wniosły strzały z dołu, prawdopodobnie wymierzone właśnie w Zulę i Olivię; wyglądało na to, że dżihadysty sondują drogę w kierunku południowym, próbując obejść lasem stanowisko strzeleckie Sokołowa lub zająć go z flanki. Widoczny u podnóża piargu opuszczony obóz górniczy zapewniłby im doskonałą ochronę, gdyby tylko zdołali się do niego przebić. Olivia i

Zula znajdowały się jednak daleko poza ich zasięgiem, a Sokołów w dalszym ciągu strzelał do wszystkich, którzy próbowali strzelać do nich, dzięki czemu Zula wkrótce przestała martwić się dżihadystami i skoncentrowała się na przeżyciu najbliższej godziny albo dwóch. Czasem udawało im się podjechać kawałek na najniższym przełożeniu (które było naprawdę bardzo niskie), ale najczęściej lepiej było prowadzić lub wręcz nieść rower. Olivia upierała się, że rowery są warte tego wysiłku, bo w dalszej podróży będą nieocenione. Zula nie reagowała i właściwie było jej to obojętne. Zapadła w podobne do śpiączki odrętwienie, w którym wszystkie zachodzące wokół niej wydarzenia wyglądały jak rzucone na przydymiony ekran przez zdychający projektor z fatalnym systemem nagłośnienia.

W końcu jednak dotarli do punktu, z którego całkiem wyraźny szlak prowadził w głąb gęsto zalesionej doliny. Zula przypomniała sobie opowieść Richarda o tym, jak przed laty trafił nad Prohibition Creek po długiej i mozolnej wędrówce przez odsłonięte, prazone słońcem zbocze. Wiedziała już, że od tego miejsca rodzinny instynkt sprowadzi ją bezpiecznie na dół, zignorowała więc pytania zatroskanej Olivii i zamiast posłuchać uprzejmej sugestii, żeby zrobić postój i coś przekąsić, przerzuciła nogę przez ramę roweru i dała się grawitacji pociągnąć w głąb doliny. Co sekundę albo dwie mocno zaciskała hamulce, żeby nie stracić panowania nad rowerem. Słyszała, że Olivia w podobnym stylu zjeżdża za nią. Ten szlak również obfitował w serpentyny, ale zjazd po nich rowerem i tak był cudowny w porównaniu z pieszą wspinaczką. Zula cieszyła się więc jazdą, zwłaszcza na początku, kiedy zjazd dodawał jej otuchy i przywracał część sił, do momentu, w którym głos Olivii zabrzmiał ostrzegawczo gdzieś na obrzeżach jej świadomości. Wyhamowała z poślizgiem i zaczęła nasłuchiwać. Z dołu dobiegał warkot silnika. Nie była to piła spalinowa, lecz jakiś pojazd, na przykład motocykl krosowy. Albo quad.

- To mogą być twoi wujowie - zauważyła Olivia.

Chyba nie była to najlepsza rada, bo na te słowa Zula puściła hamulce i zaczęła zjeżdżać. Rower szybko osiągnął prędkość, przy której niewiele brakowało, żeby wyleciał z drogi na następnym wirażu. Przyhamowała, z najwyższym trudem pokonała zakręt i znów zaczęła się rozpędzać, ale już po chwili musiała z całej siły hamować, żeby nie zderzyć się czołowo z jadącym w przeciwnym kierunku quadem.

Wujek Jake prowadził, wujek John jechał na składanym siedzeniu z tyłu. Obaj mieli zatroskane miny, obaj też byli uzbrojeni w karabiny, Zula miała nadzieję, że na zawsze już zapamięta przemianę, jaka dokonała się na ich twarzach na jej widok. Bardzo chciałyby móc o niej opowiedzieć na ro-zjeździe.

* * *

Richard - co zrozumiałe - pakował się w pośpiechu: Jones chodził za nim po *Schlossie*, trzymał go na muszce i ciągle poganiał. W ciepłych ubraniach mógł przebierać do woli, ale wszystko to były stroje narciarskie, bo przecież nikt nie przyjeżdżał do *Schlossu* na polowania. Dlatego miał teraz na sobie żółtą kurtkę i czerwone spodnie, oraz białe rękawiczki i niebieską czapkę do kompletu. Pod spód włożył zieloną flanelową koszulę i niebieskie dżinsy. Mógłby więc zrzucić zewnętrzną warstwę ubrania i trochę mniej rzucać się w oczy, lecz tylko za cenę rychłego zamarznięcia na śmierć.

Za to Qian Yuxia była ubrana wręcz idealnie na tę okazję, w kamuflaż od stóp do głów. Kiedy Richard zwrócił jej uwagę na to, jak bardzo do siebie nie pasują (bawił go czarny humor tej sytuacji), natychmiast zaproponowała mu wymianę. To jednak nastroczało pewnych problemów, bo straciliby w ten sposób sporo czasu, jej ubranie okryłoby tylko niewielką część jego ciała, a ona albo zostałaby w białźnie i wkrótce zamarzła, albo mieniłaby się jak choinka w celowniku Jahandara.

Zaproponowała więc, że weźmie strzelbę, znajdzie dobrą kryjówkę i zastrzeli Jahandara, kiedy będzie obok niej przechodził. Richard nie potraktowałby tej propozycji poważnie, gdyby złożyła mu ją inna kobieta zbliżona do Yuxii wiekiem i posturą, ale w jej wypadku zabrzmiało to całkowicie wiarygodnie. Kłopot w tym, że nigdy wcześniej nie strzelała, a szansę będzie miała tylko jedną. Musiałaby odczekać, aż Jahandar podejdzie bardzo blisko; gdyby źle oceniła odległość i strzeliła za wcześnie, chybiłaby, albo tylko lekko go zraniła. Wtedy on poszatkowałby ją pociskami z karabinu, a Richard, również ukryty, mógłby tylko bezradnie się temu przyglądać. Nie miał ochoty w taki sposób spędzić ostatnich chwil na tym świecie.

Za dużo czasu tracili na gadanie. Yuxia zaczynała sprawiać Richardowi kłopot, ponieważ nie zadowalało jej żadne inne rozwiązanie niż osobiste zaangażowanie w zabicie Jahandara. Z dołu dobiegały jakieś szelesty, które można było tłumaczyć na wiele różnych sposobów, ostrożność nakazywała jednak założyć, że są to odgłosy zbliżającego się snajpera.

Umówili się następująco: Richard zszedł ze szlaku i schował się za korzeniami olbrzymiego wiatrołomu, który runął prosto w dół zbocza. Kula oblepionych brunatnym błotem i porośniętych mchem korzeni (rozłożystych, lecz płtykich) miała co najmniej dwanaście stóp średnicy, przypominała kostropate słońce o poplątanych promieniach i wznosiła się nad Richardem niemal pionową ścianą. Nie mógłby być lepiej osłonięty. Jahandar mógł do woli wypatrywać sobie oczy, nawet po dotarciu na odcinek szlaku przebiegający dziesięć stóp od tej kryjówki, a i tak za skarby świata nie domyśliłby się jego obecności. Jednakże z tego samego powodu Richard nie będzie widział Jahandara.

Yuxia przeniosła się tymczasem w miejsce położone dokładnie nad Richardem, gdzie, przycupnąwszy w gęstym poszyciu, stawała się niewidzialna dla obserwatorów z dołu, sama zaś miała rozległy widok na rozpościerający się pod nią stok. Miała tam czekać, aż posuwający się zakosami Jahandar znajdzie się na odcinku szlaku położonym tuż pod kryjówką Richarda (kula korzeni powinna go wtedy zasłonić również przed jej wzrokiem) i wtedy dać Richardowi znak podniesieniem obu rąk.

Richard czekał, obserwując Yuxię i nasłuchując leśnych odgłosów.

Upłynęło dziesięć minut czegoś, co byłby skłonny nazwać stanem szczęśliwości. Zula żyła, widział ją na własne oczy. Ale to nie to było powodem jego błogości. Jakkolwiek by na to patrzeć, Chet zginął, a ranny pilot wciąż czekał na ratunek. Smutna świadomość tych dwóch faktów powinna przeważać nad szczęściem, jakim nappełnił go widok Zuli.

Tak że nie, nie w tym rzecz.

Znajdował się na łonie natury, w pięknej okolicy, którą znał od blisko czterdziestu lat. Po prostu siedział i czekał, żywy i czujny, poobijany, w lekkim szoku, ale za to pewnie taplał się po uszy w endorfinach i adrenalinie. Nie było z nim kontaktu przez telefon, e-mail, Twittera ani Facebook, nikt nie zawracał mu głowy. Pierwszy raz od niepamiętnych czasów mógł się bez reszty skoncentrować na jednej sprawie.

Gdzieś z góry dobiegały sporadyczne łoskoty. Domyślał się, że to jacyś ludzie strzelają do siebie nawzajem, ale większość strzałów sprawiała wrażenie niepewnych, jakby próbnym... Jak to John nazywał? Rozpoznanie walką. Potem jednak nastąpiła dłuższa wymiana ognia, powietrze przecięły dziesiątki kul z broni maszynowej i nie tylko. Richard miał wrażenie, że była to decydująca chwila.

Wiedział, że jedną stroną w tej małej wojence są Jones i jego dżihadyści, ale kogo mieli za przeciwników? Czyżby w końcu przybyły gliny? A jeśli tak, to czemu bez śmigłowców?

Pogrążony w takich rozmyślaniach chwilowo się zdekoncentrował. Przestał też nasłuchiwać stłumionych odgłosów z dolnych partii zbocza.

Nagle uświadomił sobie, że Yuxia wściekle gestykuje. Poczł wyrzuty sumienia, ponieważ zdał sobie sprawę, że wcześniej przez dłuższą chwilę dawała mu bardziej dyskretne znaki, a on je przegapił, czym zmusił ją do odsłonięcia się.

Nagle Yuxia zrobiła przerażoną minę i zniknęła mu z oczu.

Potężny huk rozległ się tuż ponad jego ramieniem (takie przynajmniej miał wrażenie) i ziemia i mech eksplodowały z miejsca, w którym przed ułamkiem sekundy znajdowała się głowa Yuxii. Jahandar musiał dotrzeć na szlak poniżej kryjówki Richarda, minąć ją i spojrzeć

w górę. A wtedy zobaczył Yuxię wymachującą rękami.

Richard usłyszał szcęk przeładowywanego karabinu. Pusta łuska wypadła z komory, nowy nabój zajął jej miejsce. Szelest ubrania. A potem szcęk - niewiarygodnie wyrazisty w czystym i cichym powietrzu - odciąganego kurka rewolweru.

Dlaczego Jahandar wyciągnął krótką broń?

Dlatego że widział, jak Yuxia gestykuluje, żeby zwrócić uwagę kogoś ukrytego w niższych partiach zbocza. Domyślił się więc, że gdzieś niedaleko ktoś się ukrywa. I teraz na niego czekał. Oczywiście kryjówką był wykrot pod korzeniami wiatrołomu, odległego zaledwie o kilka jardów od miejsca, w którym Jahandar się zatrzymał. W takim starciu karabin snajperski nie na wiele by się zdał.

Powolny, cichy szelest. Jahandar zszedł ze ścieżki i zagłębił się w las, szukając obejścia wiatrołomu.

Richard już wcześniej sto razy sprawdził, czy w komorze naboowej mossberga znajduje się świeży nabój, i teraz dzielnie powstrzymał się od zrobienia tego po raz sto pierwszy, żeby nie hałasować. Sprawdził jeszcze bezpiecznik: czerwona kropka była widoczna. Strzelba była gotowa do strzału.

Wtulił się w zagłębienie wśród korzeni, co mogło nie być najlepszym pomysłem, ponieważ ograniczył sobie w ten sposób możliwość ruchu. Zastanawiał się właśnie, jak poprawić ten stan rzeczy, nie dając się przy tym zabić, gdy jego wzrok padł na okrągły kamień wielkości piłki baseballowej, który przed setkami lat uwiązł w korzeniach drzewa, a teraz sterczał ze zbitego błota na wysokości jego kolan. Przypomniał sobie zabawę z dzieciństwa, podczas której tropili się nawzajem z Johnem w wąwozie przecinającego farmę strumyka, zadziałał instynktownie, bez namysłu. Do tego momentu grzązł w czymś na kształt psychologicznej zimnej melasy, teraz jednak sięgnął lewą ręką po kamień, wyrwał go z ziemnej matrycy i rzucił w prawo, w rosnące pięć metrów dalej krzaki. Kamień - bezgłośny i najprawdopodobniej niezauważony - przefrunął w powietrzu, po czym zaszeleścił w zaroślach i ze zdumiewająco donośnym głuchym łoskotem spadł na ziemię. Jahandar zareagował natychmiast: strzelił w tamtym kierunku i znów napiął kurek rewolweru. W ten sposób zdradził swoją pozycję. Stał z prawej strony, wystarczająco daleko, żeby Richard, chcąc mieć czysty strzał, musiał wychylić się z kryjówki.

Teraz albo nigdy, pomyślał Richard, i pośladkami wypchnął się pomiędzy korzeni wiatrołomu. Obrócił się na mocno stojącej prawej nodze, zataczając lewą łuk jak nóżką cyrkla kreślącego ćwiartkę okręgu. Podnosząc strzelbę do ramienia i spoglądając wzdłuż lufy przez szczerbinkę i muszkę, zastanawiał się, kiedy, do cholery, Jahandar pojawi się w jego polu

widzenia. W końcu dostrzegł go kątem oka i zdał sobie sprawę, że wykonał zbyt krótki obrót. Skręcił biodra jeszcze odrobinę, ale lewa stopa już opadała ku ziemi, nieco przedwcześnie, jak na jego gust. Próbował jeszcze zgiąć nogę w kolanie, opóźnić postawienie stopy, nadać ciału dodatkową odrobinę rotacji, ale osiągnął tylko tyle, że zahaczył paluchem o wystający korzeń, paskudnie wykręcił nogę i stracił równowagę. Zaczął się przewracać w lewą stronę, wciąż nie mając oparcia dla stopy, która z impetem wyrznęła w coś, co się akurat pod nią znajdowało. Cokolwiek to było, było śliskie i nierówne i stopa przekręciła się w sposób sprzeczny z naturą. Nie czuł bólu, przynajmniej na razie, ale na ułamek sekundy spuścił Jahandara z oczu i zanim znów wycelował, dżihadysta zniknął. Musiał wykonać jakiś unik i uskoczyć z powrotem na szlak. Richard miał ochotę strzelić na oślep, ale powstrzymał się od naciśnięcia spustu, pomny ograniczonej liczby nabojów w magazynku. Z jego punktu widzenia rozpoznanie walką nie byłoby najlepszym pomysłem.

Przypadnięcie do ziemi wydało mu się dobrym pomysłem, osunął się więc w korzenie, co zresztą i tak musiało nastąpić. Stopę miał okrutnie skancerowaną, pierwszy kolec bólu właśnie pokonał drogę od kostki do mózgu. Zdjął lewą rękę z łoża strzelby (kierując broń pionowo do góry), żeby zamortyzować nią upadek, i klapnął ciężko na tyłek.

Podniósł wzrok i zobaczył Jahandara, który z odległości dziesięciu stóp patrzył na niego przez lukę w zwisających korzeniach i właśnie podnosił rewolwer do strzału.

Richard, jeszcze przed chwilą całkowicie zdany na łaskę grawitacji, nagle odkrył, że jest zbyt słaba, żeby dostatecznie szybko ściągnąć lufę strzelby do pozycji poziomej. Zamiast biernie czekać na strzał Jahandara, szarpnął się do tyłu, upadł na plecy i przetoczył się w bok, na brzuch. Młodszy człowiek w łatwiejszym terenie dokończyłby pewnie obrót po ziemi, zerwał się na nogi i od razu zaczął strzelać, ale Richard uwiązł w pół drogi wśród korzeni i kamulców i znalazł się w najgorszym możliwym położeniu: na czworakach, zwrócony tyłem do Jahandara, ze strzelbą taplającą się w błocku.

Jakim cudem wszystko mogło się aż tak popieprzyć? Przypominało to wietnamskie opowieści, które John zaczynał snuć, kiedy za dużo wypił i płakał. Pistolet walił ogłuszająco, raz za razem. Richard jeszcze nie umarł. Odgłos wystrzałów wydał mu się jakiś dziwny, ale chwilowo nie miał czasu się nad tym zastanawiać. Całą wieczność później klapnął ciężko na tyłek, wreszcie zwrócony twarzą do przeciwnika - i wreszcie ze strzelbą wycelowaną we właściwym kierunku. Spodziewał się zobaczyć twarz Jahandara, wymierzony w siebie rewolwer i ogień tryskający z lufy, który osmali mu kurtkę. Dżihadysta odwrócił się jednak bokiem i przykucnął, zwrócony w dół stoku, tak że w gęstwinie było widać tylko łuk jego zgarbionych pleców.

Huk wystrzałów nie pochodził z rewolweru Jahandara. To musiał strzelać znajdujący się gdzieś dalej Seamus.

Wykorzystując nachylenie zbocza, Richard przetoczył się w przód, wstał, wycelował w środek ciężkości Jahandara i pociągnął za spust, po czym natychmiast osunął się do tyłu między korzenie, gdy wywichnięta kostka nie utrzymała ciężaru ciała. Jakiś odłamany korzeń dziabnął go w oko. Odruchowo zasłonił się ręką i krzyknął. Strzelba spadła mu na kolana.

W całkowitej ciszy - cichy krok, bardzo blisko. Podniósł głowę z jedynym sprawnym okiem, ale zobaczył tylko przesuwany się obok las. Mossberg wyslizgnął mu się z rąk jak obdarzony własną wolą.

Qian Yuxia szarpnęła łożę strzelby wstecz. Mocno. Pusta łuska pofrunęła w powietrze i uderzyła Richarda w głowę. Yuxia przeładowała i podniosła broń do ramienia.

- *Allah akbar* - wykrztusił ktoś bulgotliwie, ale ostatnia sylaba utonęła w huku wystrzału.

- Nieźle - zabrzmiał czyjś głos. Głos Seamusa. - Ale na drugi raz nie stawaj tak blisko. Byłbym cię puknął, do diabła!

- Śnij dalej - odparła Qian Yuxia.

* * *

Odprowadzając wzrokiem oddalające się Olivię i Zulę, Sokołow odczuwał ogromną ulgę - uczucie, o którym (co rozumiałe) nigdy nie będzie mógł nawet napomknąć tym dwóm wspaniałym kobietom. Poznał je wystarczająco dobrze, żeby zdawać sobie sprawę, że zachowują więcej zimnej krwi i są lepszymi towarzyszkami w trudnych chwilach niż dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć kobiet na tysiąc, lecz w ich obecności musiał poświęcać znaczną część uwagi zaspokajaniu ich potrzeb, odpowiadaniu na pytania i utrzymywaniu ich przy życiu. W innych okolicznościach nie miałby nic przeciwko temu, a ich towarzystwo byłoby dla niego aż nadto wystarczającą zapłatą, ale teraz, w obliczu poważnych kłopotów, musiał się bez reszty skoncentrować na bieżącej sytuacji.

Środowisko - postrzegane kompleksowo - pod wieloma względami do złudzenia przypominało Afganistan. Dżihadyści z pewnością czuli się tu jak w domu, wiedzieli, jak się poruszać, jak reagować i gdzie się ukrywać. Oczywiście, Sokołow też służył w Afganistanie, ale to było dawno, a od tamtej pory najczęściej pracował w środowisku miejskim. Przewaga: Jones.

Mieli przewagę liczebną. Sokołow był sam, przynajmniej do czasu, aż Zula i Olivia dotrą do tamtych fanatyków, tych amerykańskich talibów, dysponujących bronią palną oraz zapasami żywności i amunicji. Zresztą, i tak trudno było przewidzieć, czy tamci będą w stanie

szybko sformować skuteczny oddział. Krewni Zuli z pewnością byli dobrze uzbrojeni, a w życiorysach mogli chwalić się umiejętnościami strzeleckimi na poziomie zaawansowanym. Kłopot w tym, że prawdziwi wojskowi rekruci niewiele czasu poświęcają na strzelanie do celu, bo inne elementy szkolenia są o wiele ważniejsze, więc nawet gdyby założyć, że wynurzą się ze swoich bunkrów uzbrojeni w karabiny i drogie noże, mogą się okazać większym zagrożeniem niż atutem dla Sokołowa. Nie miał jak się z nimi skontaktować, przez co równie dobrze mogli go wziąć za wroga, jak za przyjaciela, a wtedy zamiast jednej miałby przeciwko sobie aż dwie grupy uzbrojonych ludzi. Przewaga: Jones.

Sokołow działał sam, co wprawdzie stawiało go w niekorzystnej pozycji wobec liczniejszego przeciwnika, ale zarazem dawało mu przewagę innego rodzaju, taką mianowicie, że nie musiał z nikim koordynować swoich działań. Brak komunikacji oznaczał brak wpadek. Nawet najmniejszy skrawek osłony mógł się okazać użyteczny. Przewaga: Sokołow, pod warunkiem, że zachowa dystans do przeciwnika i nie da się okrążyć.

Właśnie niedopuszczenie do okrążenia było więc tym, co Amerykanie nazywają „gwoździem programu”. Zaskakujące wynurzenie się Zuli z lasu zmusiło go do ujawnienia zajmowanej pozycji. Gdyby nie to, poczekałby, aż wszyscy dżihadyści wylegną na piarżysty stok, i spokojnie ich powystrzelał.

Według Olivii, która zasięgnęła informacji u Zuli, rankiem oddział Jonesa liczył dziewięciu ludzi. Jeden z nich zginął w jakiś sposób kilka godzin wcześniej. W zakończonej przed chwilą akcji zbrojnej Sokołow i Zula odstrzelili po jednym. Zostało sześciu. Może ogień zaporowy Sokołowa dosięgnął któregoś w lesie, ale wydawało mu się to wątpliwe.

Kolejny szczegół: Zula mówiła, że godzinę albo dwie za główną grupą podąża straż tylna, w nieznaney sile, ale prawdopodobnie licząca najwyżej dwóch ludzi. Jeden z nich był snajperem.

Narzucalo się pytanie: czy któryś z ludzi Jonesa w lesie poniżej stanowiska Sokołowa również ma karabin snajperski? Już kilkakrotnie doszło do wymiany ognia, ale przy sporej liczbie przeciwników, którzy w dodatku kryli się wśród drzew i ostrzeliwali go z różnych kierunków, trudno było rzetelnie skatalogować ich uzbrojenie. Sądząc po dźwiękach wystrzałów, większość z nich była uzbrojona w pistolety maszynowe i karabiny szturmowe, ale huk strzelającego ogniem pojedynczym karabinu snajperskiego mógł utonąć w ogólnej kanonadzie. Poza tym, niektórzy dżihadyści mogli mieć celowniki optyczne w plecakach; kto wie, może właśnie w tej chwili montowali je na karabinach. Karabin Sokołowa był ładny, drogi i wyposażony w śliczną lunetkę, ale konstrukcja lufy i amunicja ograniczały jego skuteczny zasięg. W pojedynku strzeleckim z przeciwnikiem uzbrojonym w broń snajperską z

prawdziwego zdarzenia musiałby przegrać.

Już wcześniej Olivia przyniosła mu śpiwór, jedzenie i wodę na skraj przepaści, gdzie uwił sobie gniazdko, które wyszło mu tak wygodnie, że zaczęło zagrażać jego życiu, ponieważ nie miał ochoty się z niego ruszać nawet po tym, jak zdradził wrogowi swoją pozycję. W pierwszym etapie porzucania go odczołgał się wstecz do miejsca, gdzie nie było go widać z dołu. Poświęcił kilka minut na wywabienie śpiwora z worka i luźne upchnięcie go we wnętrzu kurtki. Wypchał także kaptur, nadał mu okrągły kształt i zacisnął ściągacze, po czym nałożył na „twarz” okulary przeciwsłoneczne, a jej dolną część przewiązał szalikiem. Dręczyło go umiarkowane zakłopotanie, że ucieka się do tak prymitywnej sztuczki, ale przeczytawszy wszystkie propagandowe historyjki o snajperach ze Stalingradu, wiedział, jak dużo osiągnęli, właśnie stosując najprostsze środki. Poczłgał się z powrotem, popychając gotową kukłę przed sobą, tak żeby jej głowa wychyłała się na długo przed tym, jak on sam stanie się widoczny. Przydałoby mu się w tym momencie lusterko, którego, niestety, nie miał. Musiał zdać się na słuch.

Skutkiem eksperymentu była kanonada chyba z czterech różnych sztuk broni, z których większość strzelała w trybie samopowtarzalnym, czyli pojedynczymi pociskami (zamiast serią) przy każdym naciśnięciu spustu. Inaczej mówiąc, dżihadysty starali się celować. Może Jones dotarł w końcu do skraju lasu i zaprowadził jaką taką dyscyplinę w szeregach. Niektóre pociski trafiły w skałę obok kukły, inne z wizgiem przeszły górą. Sokołow zamknął oczy i nasłuchiwał powolnego, ciężkiego rytmu karabinu powtarzalnego, wystrzeliwującego kule z dużą prędkością początkową. Poczłgał się za rękę, kiedy kukła została trafiona w głowę. Okulary zaklekotały plastikowo na kamieniu i spadły w przepaść.

Czyli przynajmniej jeden strzelec miał dobre oko i sensownie ustawiony celownik. Jeżeli jednak dysponowali prawdziwym karabinem snajperskim, to postanowili go nie używać, co w obecnej sytuacji było decyzją niezwykłą. Zula powiedziała Olivii, że w straży tylnej znajduje się snajper. Może tylko on jeden miał taką zabawkę.

A może jakiś fantastyczny karabin snajperski był cały czas wycelowany w jego stanowisko, ale jego właściciel, dysponujący fenomenalną lunetką, przejrzał żalną maskaradę Sokołowa i postanowił nie odkrywać kart?

Mało prawdopodobne. Dlaczego Jones podjął taką decyzję? Wszystko wskazywało na to, że zamierza przeprowadzić atak w bombajskim stylu na jakiś gęsto zaludniony obiekt na terenie Stanów, do czego będą mu potrzebne granaty i broń maszynowa. Owszem, snajper też mógł być użyteczny, ale w przeciwieństwie do granatów i broni maszynowej, karabiny

snajperskie wraz z odpowiednią optyką były w Stanach dostępne w wolnej sprzedaży. Po co zatem marnować cenną przestrzeń w plecaku na szmuglowanie ich przez granicę?

Sokołow zgarnął kilka rzeczy, które mogły mu się przydać przez najbliższe kilka godzin, i wycofał się znad przepaści. Nawet jeśli awangardę oddziału Jonesa stanowili skończeni idioci, to darwinowski mechanizm doboru naturalnego wyeliminował ich z walki i w grze zostali tylko ci bystrzejsi i ostrożniejsi, prawdopodobnie dowodzeni osobiście przez Jonesa. Nie musieli już wystawiać mu się na strzał. W przypiływie zadziorności mogli ewentualnie postarać się zająć go z boku i wziąć w krzyżowy ogień, ale zajęłoby im to z pół dnia, a dobrze wiedzieli, że nie mają tyle czasu. Las ciągnął się na południe aż do... no, bardzo daleko. Marsz tamtędy nastęrczałby trudności i wymagał czasu, ale lepsze to, niż narażać się na strzały z góry, i dlatego Sokołow był niemal pewien, że dżihadyści wybiorą takie właśnie wyjście. Zostawią tylko jakąś straż tylną, która będzie miała na niego oko i przypilnuje, żeby nie zaszedł ich od tyłu.

Jego rozeznanie w terenie nie było doskonałe, ale zdawał sobie sprawę, że w drodze ku gościnnym autostradam USA będą musieli przejść w pobliżu osiedla amerykańskich talibów. Gdyby nie fakt, że Zula z Olivią również tam zmierzały, kusiłoby go, żeby urządzić zasadzkę na maruderów, o których wspominała Zula. Amerykańscy miłośnicy survivalu na pewno umieliby sami o siebie zadbać, a on żywił wobec obu grup podobne odczucia, która można by streścić frazą „zaraza na oba wasze rody”.

Jednakże w obecnej sytuacji czuł się zobowiązany podążyć śladem dżihadystów. Zdażyli sobie wprawdzie wypracować sporą przewagę, ale powinien ją szybko zniwelować, ponieważ będzie szedł w odsłoniętym terenie i głównie w dół.

Przebiegł po płaskim wierzchołku skały, w przybliżeniu po śladach Zuli i Olivii, i z rozważą zaczął schodzić po piarżysku. W dole widział zabudowania porzuconej kopalni, którym specjalnie się nie przyglądał, kiedy mijali je z Olivią kilka godzin wcześniej. To, co teraz widział, potwierdzało jego półświadome wspomnienie ruin zarośniętych wysokimi chwastami i karłowatymi drzewkami. Kopalnia znajdowała się na granicy najwyższej strefy roślinności. Poniżej niej rozciągał się wysoki las, przez który dżihadyści albo już przeszli, albo lada chwila przejdą.

Na tym zboczach był zupełnie odsłonięty; na szczęście, nie brakowało na nim sporych głazów, za którymi w pojedynkę mógł się swobodnie kryć, przypadać do ziemi i robić krótkie przerwy na obserwację i nasłuchiwanie. Przez mniej więcej połowę drogi w dół stoku niczego nie widział ani nie słyszał. Dżihadyści (o ile w ogóle posuwali się w tym kierunku) byli zmuszeni obejść okrągłą wypustkę grzbietu, czyli w praktyce przejść dwa kilometry, żeby

przemieścić się kilometr w linii prostej. Sokołow zaś brawurowo zbiegał po południowym zboczu tej samej formacji terenu, więc faktycznie z początku nie powinien ich widzieć. Mieszkający w jego duszy siedemnastoletni szeregowiec miał ochotę zbiec jak najszybciej na sam dół i schronić się wśród gościnnych kopalnianych zabudowań, dogodnie rozrzuconych u stóp zbocza. Weteran wolał się czołgać od kamienia do kamienia, nie wstawać, nie wychylać się. Z początku to szeregowiec wygrywał, ale im niżej schodził, tym groźniejszy wydawał się las i w końcu weteran wziął górę. Znalazłszy się tak nisko, że niemal na równi z potencjalnymi napastnikami, nie miał kłopotu z ukrywaniem się.

W końcu dotarł do miejsca, w którym wyraźnie słyszał brnących przez gąszcz dżihadystów, i od tego momentu wszystko sprowadzało się do kalibracji: miał do przebycia znacznie krótszą drogę niż na początku, ale musiał zachować większą ostrożność. Chyba nie spodziewali się, że Sokołow jest w pobliżu - może po trafieniu w kukłę uznali, że go zabili, a może pogubili się trochę w terenie. Tak czy inaczej, nie zdawali sobie sprawy, że zaszedł ich z innej strony, i dopóki będą trwać w tej niewiedzy, on będzie miał ogromną przewagę, którą jednak może roztrwonić jednym nierozważnym posunięciem. Dlatego też ostatni odcinek wędrówki poświęcił na powtórkę najgorszych momentów komandoskiego szkolenia: cały czas się czołgał, najpierw po ostrych kamieniach, a potem po lodowatym błocie najeżonym kłującą i dżgającą roślinnością.

Dzięki temu przynajmniej dotarł bezpiecznie do górniczego obozu - położonego na skraju lasu skrawka płaskiego terenu, który w ostatnich tygodniach zmienił się w błotne bagnisko po tym, jak przyjął więcej stopniałego śniegu, niż był w stanie wchłonąć. Obóz zajmował całą pięćdziesięciometrową przestrzeń między podnóżem rumowiska i lasem i ciągnął się kilkaset metrów w kierunku równoległym do zbocza. Wszędzie było pełno porzuconych pick-upów, przyczep i szop z blachy, ale Sokołow dostrzegł też budowlę, która wyglądała jak najprawdziwsza chata z bali, i skierował się w jej stronę. Dach dawno się zawalił i cedrowy gont zasłał podłogę. Naniesione wiatrem igły, liście i inne śmieci potworzyły metrowej wysokości kopczyki przy ścianach. Sokołow zakopał się w jednym z nich, po czym wyciągnął rękę i przysypał się liśćmi i igłami, tak że ze sterty wystawała tylko lufa makarowa. Odprężył się i pociągnął łyk wody z camelbaka.

Dziesięć minut później słuchał, jak Jones (stojący zapewne nie dalej niż dwadzieścia metrów od niego) wydaje rozkazy swoim ludziom. Arabski Sokołowa nieco zardzewiał, ale nawet bez ocalałych w pamięci resztek słownika domyślał się - w oparciu o realia taktyczne sytuacji - co mówi Jones. Jednemu lub dwóm ludziom kazał się ukryć w obozie i mieć oko na wznoszące się nad nim zbocze. Jeżeli ktoś będzie tamtędy schodził, należy odczekać, aż

znajdzie się w zasięgu łatwego strzału i go zastrzelić. Każdemu, kto próbowałby trawersować stok w poziomie, należało uprzykrzyć życie kanonadą z daleka, która (nawet jeśli chybi celu) z pewnością da mu do myślenia, a przy okazji ostrzeże Jonesa i pozostałych, że są śledzeni z góry.

I Jones z głównymi siłami ruszył w dalszą drogę.

Ci, których zostawił, przez chwilę rozmawiali półgłosem, a potem zaczęli się rozglądać po obozowisku w poszukiwaniu miejsca, w którym mogliby się przycząić i poczekać. Sokołow był już pewien, że jest ich dwóch.

Jeden - wysoki, szczupły i dość młody Afrykanin ze wschodniej Afryki - wszedł do chaty. Sokołow strzelił mu dwa razy w pierś i (kiedy chłopak jeszcze stał i zastanawiał się, czy to się dzieje naprawdę) raz w głowę.

Zawczasu zapoznał się ze wszystkimi drogami ucieczki z chaty. Teraz wynurzył się ze sterty igieł, wskoczył na stary stół i wyskoczył przez otwór po oknie. Był pewien, że w ten sposób odgrodził się chałupą od drugiego napastnika, który postanowił zaznajomić się bliżej z porzuconym pick-upem. Sokołow obszedł chatę, docierając do miejsca, z którego widział rzeczony pick-upa, zdjął karabin z ramienia, wycelował i cztery razy w różnych miejscach przestrzelił kabinę, w której przerażony dżihadysta najpewniej rzucił się na podłogę.

W odpowiedzi został ostrzelany z krzaków rosnących dziesięć metrów od samochodu i musiał przykucnąć. Kiedy chwilę później uniósł głowę, zobaczył mężczyznę pędzącego na złamanie karku w kierunku wygodki. Skuteczny strzał do ruchomego celu, z tej odległości i przy tej prędkości jego poruszania się, nie wchodził w grę. Sokołow wziął więc na cel wygodkę i ją również przestrzelił czterema pociskami. Przeszły na wylot i pewnie w nic po drodze nie trafiły, ale na pewno podgrzały atmosferę.

Zaczął się wycofywać w stronę lasu. Ta strzelanina wybuchła zbyt szybko, bo niespełna minutę po wymarszu grupy Jonesa. Wróć, znajdą go i otoczą. Gdyby miał więcej czasu, wygrałby pojedynek z człowiekiem ukrywającym się za kiblem, ale teraz nie pozostało mu nic innego, jak znaleźć sobie możliwie najlepszą kryjówkę i poczekać na ruch tamtych.

Jak na zamówienie, czterej pozostali dżihadysty wypadli spomiędzy drzew, strzelając nieskoordynowanymi seriami. Człowiek za wygodką krzyknął, żeby nie strzelali, i wstał, wystawiając się na widok w sposób graniczący z beczelnością. Był jednocześnie niegłupi i odważny, chciał sprowokować Sokołowa, żeby ten do niego strzelił i zdradził swoją pozycję. Wyczołgujący się z obozowiska Sokołow miał ochotę tak właśnie zrobić, ale zostawiał za sobą wyraźny ślad w błocie, który dżihadysty wkrótce znajdą i nim podążą, więc przez najbliższy kwadrans zamierzał tylko biec i się ukrywać. Jeśli to przeżyje, dżihadysty sobie

pójdą i będzie mógł znów zacząć na nich polować.

* * *

SUV osiągnął dno zagłębienia, skręcił ostro pod górę i prawie wyskoczył w powietrze na szczycie pagórka. W tej samej chwili przed Csongorem i Marlonem odsłonił się widok na szerszy odcinek drogi i rozwidlenie: wąska dróżka odchodziła w tym miejscu w lewo, w stronę gór. Dwa samochody postanowiły wykorzystać to miejsce na postój. Jednym z nich było subaru kombi, które ścigali, drugim oblepiona brudem toyota camry. Otwarte drzwi obu pojazdów znalazły się w położeniu idealnym, żeby pędzący SUV zahaczył je zderzakiem i wyrwał z zawiasów. Ludzie, którzy wysiedli z samochodów, stali za camry i naradzali się nad czymś. Część oglądała mapy rozpostarte na tylnej szybie auta, jeden z mężczyzn postawił na masce subaru otwarty laptop i coś pokazywał na nim drugiemu, trzeci przechadzał się po poboczu w tę i z powrotem i rozmawiał przez wielgachny telefon... Nie, to nie był telefon, tylko krótkofalówka. Większość paliła papierosy. Było ich co najmniej ośmiu, na pewno więcej, niż dałoby się policzyć jednym rzutem oka. Odwrócili się zaniepokojeni w stronę SUV-a, którym zarzuciło wściekle na pagórku, gdy ręce Csongora drgnęły na kierownicy i przez ułamek sekundy olbrzymi samochód prawie całkowicie stracił kontakt z nawierzchnią, po czym z impetem wylądował, potężnie obciążając zawieszenie.

- W lewo! - krzyknął Marlon. - Skręć w lewo!

Csongor dodał gazu i skręcił w odchodzącą w lewo drogę. Kiedy mijali zaparkowane na poboczu samochody, Marlon wyszczerzył zęby w uśmiechu i pomachał pasażerom, którzy nie odwzajemnili tych uprzejmości. Kiedy w chwili skrętu auto na ułamek sekundy straciło przyczepność, Csongor instynktownie napiął wszystkie mięśnie karku i pleców, czekając na grad kul dziurawiących tył SUV-a, ale chwilę później jechali już boczną drogą, znacznie wolniej niż dotychczas, ponieważ była jeszcze bardziej stroma, kręta i wyboista od poprzedniej.

- Jedź, nie zatrzymuj się.

- Jadę.

- Są uzbrojeni.

Csongor spojrzał pytająco na Marlona.

- Widziałeś broń?

- Nie, ale kiedy wyjechaliśmy zza wzniesienia, tak poruszyli rękami... - Łokieć Marlona drgnął, jakby sięgał po schowany pistolet.

- Szlag by to... Ilu ich było, ośmiu?

- Co najmniej.

- Skąd przyjechała ta camry?

- Skądś, gdzie jest dużo błota.

Csongor stopniowo zmniejszał prędkość i wkrótce SUV poruszał się niewiele szybciej od pieszego. Szybko zdobywali za to wysokość i po chwili jechali skrajem zbocza tak stromego, że niektórzy nazwaliby je urwiskiem. Było zbyt strome, żeby rosły na nim drzewa, dzięki czemu Marlon miał doskonały widok na płynącą w dole rzekę i wijącą się wzdłuż niej główną drogę.

- Dobra, ruszyli - obwieścił ze swojego olimpijskiego punktu obserwacyjnego.

- Spłoszyliśmy ich.

- Powinniśmy zawrócić. Ta droga prowadzi donikąd.

Ale Csongor, który, nie mając tak powalających widoków, skoncentrował się na obrazie przed przednią szybą, nie zgodził się z Marlonem.

- To są drogi dla ludzi, którzy wycinają drzewa - odparł. Nie był pewien, jak po angielsku nazywa się przedstawicieli tej profesji, a nawet gdyby znał odpowiednie słowo, Marlon mógł go nie rozpoznać. - Pełno ich tutaj.

I rzeczywiście, kiedy po kilkuset metrach zjechali z urywającego się stromizną bocznego grzbietu większej góry, droga znów się rozwidliła: lewa odnoga prowadziła w głąb gór, prawa nurkowała z powrotem w dolinę. Csongor wybrał tę drugą. Kilka sekund później pokonali kolejne takie skrzyżowanie i znaleźli się na krótkim grzbiecie schodzącym nad rzekę. Znów jechali bitą drogą, ale las dookoła zrobił się tak gęsty, że widzieli najwyżej na sto metrów do przodu. Subaru i camry mogły być tuż przed nimi, wystarczająco blisko, żeby skutecznie ostrzelać SUV-a. Dla ukojenia nerwów Csongor upominał się w duchu, że tamte dwa samochody wzbijają potwornie gęsty tuman kurzu. Ich pasażerowie mogli sobie do woli wyglądać przez tylne okna, a i tak niewiele przez nie zobaczą.

Na zakręcie rzeki dostrzegli pierwszy wóz: camry jechała niedaleko przed nimi. Marlon przekonał Csongora, żeby zwolnili, nim zostaną zauważeni.

- Cholera jasna! - zaklął Csongor. - A co zrobimy, jeżeli droga się skończy?

Na to pytanie Marlon zareagował rozdziawieniem ust i głupią miną, a Csongor zdał sobie sprawę, że urodzony i wychowany w gęsto zabudowanym i zaludnionym mieście Chińczyk jest kompletnie pozbawiony odruchów, które byłyby przydatne w takiej dzicy.

- Schowamy się - odparł Marlon - i poczekamy, aż będą wracać. Wtedy pojedziemy za nimi, a kiedy wrócimy do miasteczka, zatrzymamy ich i wezwiemy gliny.

- Moglibyśmy to samo zrobić tutaj.

- Tutaj nie ma się gdzie schować.

Marlon stwierdził oczywisty fakt: jechali wąziutkim paskiem żwiru wciśniętym między górę i rzekę. W ogóle jednak odzywał się coraz rzadziej i po tej uwadze zamilkł na dłuższą chwilę.

- Powinniśmy zacząć się rozglądać za jakąś kryjówką - zasugerował Csongor. - Może dalej coś będzie.

Dolina rozszerzała się, jakby rzeka zamierzała się rozdzielić na kilka dopływów. Odległość do rzeki gwałtownie wzrosła i wkrótce jej koryto przesłonił gęsty iglasty las, tu i ówdzie rozjaśniany świeżymi liściastymi samosiejkami. Droga prowadziła pod górę, ale znacznie łagodniej niż wcześniej, jakby wjeżdżali w głąb szerokiej górskiej doliny. Jeszcze niedawno Csongor podejrzewał, że opuścili cywilizowane okolice i znaleźli się w najprawdziwszej dzicy, teraz jednak rozumiał, że musieli po prostu pokonać naturalne przewężenie. Pola, żywy inwentarz, skrzynki pocztowe i domy mieszkalne zaczęły komplikować krajobraz.

- Jedźmy dalej - zaproponował. - Może tam jest jeszcze jakieś miasto, czy coś.

- Na mapie nic nie ma - odparł Marlon, zafiksowany na *Atlasie i informatorze*. - Tylko góra, która nazywa się Abandon Mountain. A potem już Kanada.

- Może podjechać do któregoś domu i poprosić o pomoc?

Csongor zwolnił i skręcił w pierwszą w prawo. Dróżka biegła przez kilka metrów (w sam raz, żeby zmieścić się na niej zaparkowany samochód) i kończyła się bramą.

- INTR WSTĘP WZBR BĘDZIEMY STRZELAC - przeczytał Marlon słowa nasprayowane stopowej wysokości literami na arkuszu sklejk zasłaniającym większość bramy. - Co to jest „intr”? Jakies zwierzę?

- Intruzi. Czyli my - odparł Csongor. Wrzucił wsteczny i wrócił na główną drogę.

W milczeniu przejechali następny kilometr, zanim dotarli do miejsca, w którym tuman kurzu wypełniał cały przeznaczony pod drogę korytarz, od jednej ściany lasu do drugiej. Csongor zdjął nogę z gazu i SUV toczył się do przodu siłą rozpędu. Przednia szyba była tak brudna, że otworzył okno i wystawił głowę, żeby coś widzieć.

Dzięki temu zobaczył, że na przeciwnym pasie stoi duży samochód, czerwony pick-up, zwrócony przodem w ich kierunku. Za kierownicą nie było nikogo widać, co wydało się Csongorowi bardzo podejrzane.

Z obłoków kurzu wynurzyła się najpierw jedna ludzka postać idąca wzdłuż pick-upa po stronie kierowcy, a zaraz za nią druga. Pierwszy mężczyzna chwycił za klamkę i spróbował otworzyć drzwi, a kiedy okazały się zablokowane, sięgnął do wnętrza kabiny (okno najwidoczniej było otwarte) i otworzył je od środka. Towarzyszyły temu dziwne

drapiące gesty, po których jakieś błyszczące drobinki spadły z okna i rozsypały się po ziemi.

- Rozbite szkło - zorientował się Marlon.

Mężczyzna pociągnął drzwi do siebie i odskoczył od nich, jakby przerażony widokiem wnętrza szoferki. Znieruchomiał, odpiął od paska krótkofalówkę i coś do niej powiedział, po czym odwiesił ją z powrotem i skinął na swojego towarzysza. Pochylili się obaj, sięgnęli w głąb szoferki i pociągnęli zgodnym ruchem.

To, co wyciągnęli, z pewnością było bezwładnym ciałem ludzkim, nawet jeśli zamiast głowy miało rozmięktłą, grzybokształtną grudę, za którą snuły się wilgotne szare pasma - zapewne mózg. Na końcu wysunęły się stopy w wysokich roboczych butach. Pięty odbiły się od schodka i opadły na ziemię.

- Kurde, Csongor! Csongor! CSONGOR! - darł się Marlon.

Csongor jak zaczarowany wpatrywał się w zwłoki, do tego stopnia, że całkiem przestał zwracać uwagę na wlokących je żywych mężczyzn. Dopiero teraz zarejestrował tępo, że obaj patrzą mu prosto w oczy z odległości nie większej niż dziesięć metrów.

Poczuł uderzenie z góry w kolano, kierownica wyrwała mu się z ręki i SUV skoczył naprzód. Skręcił ostro w lewo, w prawo i znów w lewo. Wlokący trupa mężczyźni wypełnili przednią szybę, a potem zniknęli pod dolną krawędzią maski. Samochód wierzgnął z głuchym odgłosem, kiedy przewrócił ich na drogę i po nich przejechał.

Csongor spuścił wzrok. Lewa ręka Marlona spoczywała na jego kolanie, przyciskając mu nogę do podłogi (a razem z nią pedał gazu), prawa trzymała kierownicę. Marlon musiał się rzucić w poprzek wozu i prawie wskoczył Csongorowi na kolana.

- Trzymam! - powiedział Csongor. - Już trzymam! Puść.

Marlon cofnął ręce i wrócił na swój fotel.

- Może by wrócić i zabrać ich broń? - zasugerował.

- W grze komputerowej tak byśmy właśnie zrobili - odparł Csongor, w swoisty sposób wyrażając aprobatę dla propozycji Marlona. Na chwilę zdjął nogę z gazu.

Marlon krzyknął ostrzegawczo, gdy tuż przed maską SUV-a zamajaczył tył subaru. Stojący wokół samochodu mężczyźni z przerażeniem podnieśli wzrok, a Csongor odruchowo skręcił kierownicę, żeby ich wyminąć. Zaraz jednak przypomniał sobie, że to przecież tych właśnie ludzi miał rozjechać, spróbował naprawić swój błąd i poczuł, jak SUV przechyła się i staje na dwóch kołach.

Kątem oka dostrzegł, że coś się zbliża. Wyjrzał przez okno po stronie Marlona i stwierdził, że to droga wybiega im na spotkanie. Marlon próbował się od niej odsunąć i zasłonić twarz rękami.

Fakt, że dachowali, był oczywisty, ale dopiero po chwili zorientowali się, że SUV przekoziołkował o pełne trzysta sześćdziesiąt stopni i stanął na kołach w poprzek drogi, kołysząc się lekko na resorach.

Przez otwarte okno po swojej stronie Csongor zobaczył, jak dżihadyści (przyszła pora, żeby zacząć ich tak nazywać) sięgają za pazuchy, powtarzając gest Marlona sprzed paru minut.

Skręcił kierownicę.

- Padnij! - wrzasnął.

Posypał się na nich deszcz szkła. Podczas dachowania drzwi po stronie Csongora wyskoczyły z zawiasów. Pchnął je teraz i otworzył na oścież, robiąc sobie miejsce do przyjęcia pozycji leżącej. Obserwując skraj drogi skierował SUV-a we właściwą stronę (taką przynajmniej miał nadzieję) i wcisnął pedał gazu.

Chwilę później usiadł prosto za kierownicą - w samą porę, żeby stwierdzić, że jedzie prosto na czołowe z quadem prowadzonym przez jakiegoś otyłego mężczyznę z karabinem na kolanach. Z obu stron nastąpiły rozpaczliwe manewry kierownicą i cudem uniknęli zderzenia.

Zerknął w bok i stwierdził, że Marlon przynajmniej się rusza. Podczas dachowania rozciął sobie głowę i teraz próbował zatamować krwotok zmiętą kartką z *Atlasu i informatora*.

Droga łagodnie skręcała w lewo. Mijali wiejskie domki, głównie po prawej stronie. Niektóre wyglądały znajomo... Csongor zdał sobie sprawę, że jeździ w kółko. Droga w dolinie kończyła się obszerną pętlą. Dalej jechać się nie dało.

Chyba że skręci w drogę dojazdową do któregoś z domów. Coś musiał zrobić, bo za chwilę pojawią się dżihadyści, którzy pewnie też kręcą kółka na tej samej pętli. Zatrzymał się przy skręcie w jedną z bocznych drózek i zobaczył idącego nią białego mężczyznę z karabinem szturmowym. Wojskowym karabinem szturmowym! Dodał gazu i przeskoczył do następnego zjazdu, który jednak natychmiast kończył się zamkniętą bramą i nie dawał żadnego schronienia przed żądnymi zemsty dżihadystami.

Za to następna droga dojazdowa wiła się kawałek przez las. Csongor bez zastanowienia skręcił w nią, modląc się, żeby nie zobaczył go żaden z prześladowców, bo tej decyzji nie będzie mógł cofnąć. Nie mógł liczyć na to, że także na końcu tej dróżki znajdzie się dogodna pętla do jazdy w kółko.

Za pierwszym zakrętem droga kończyła się masywną drewnianą bramą. SUV podjechał do niej, chrzęszcząc na żwirze, a Csongor postanowił wykorzystać nieco szerszy placyk pozostawiony przed bramą specjalnie dla zbłąkanych pojazdów i zawrócić.

Odwrócenie potężnej maszyny w tak ograniczonej przestrzeni wymagało wielu drobnych ruchów w przód i w tył i zaaferowany nimi Csongor złapał się na tym, że z zaciekawieniem gapi się na wachlarz dokumentów, które po zafoliowaniu przybito zszywkami do drewna. Nie widział wśród nich grózb, bardziej przypominały pozwy prawne i polityczno-religijne manifesty.

Jedno ze słów, które rzuciło mu się w oczy, wymagało dłuższej analizy, ale kiedy tylko mózg je sobie przyswoił, Csongor natychmiast wcisnął hamulec, wrzucił wsteczny i zaczął cofać najwolniej jak umiał, przebiegając wzrokiem przybite do bali dokumenty. Nie wierzył własnym oczom.

- Co jest, brachu? - zdziwił się Marlon. - Ajaaa! - zawył po chwili, gdy Csongor gwałtownie zahamował, szarpiąc samochodem, Marlonem i jego obolałą głową.

- Chyba zaczynam rozumieć - powiedział Csongor.

- Co?

- Co się dzieje.

Miał przed sobą dokument, coś w rodzaju listu otwartego, którego autor podpisał się u dołu. Podpis był na tyle schludny, że dało się odczytać imię i nazwisko, które brzmiały JACOB FORTHRAST.

* * *

Wujek John prowadził quada w drodze powrotnej do domu Jake'a. Zula siedziała z tyłu, na bagażniku, a Jake jechał na jej rowerze.

Olivia i Jake wspaniałomyślnie zaproponowali, żeby dwójka na quadzie pojechała przodem jak najszybciej, oni zaś dojadą za nimi rowerami. John jednak stanowczo sprzeciwiał się wszelkim planom podziału grupy, a intensywność jego reakcji sugerowała niedwuznacznie, że ma to coś wspólnego z jakąś nieudaną wietnamską operacją. Tym sposobem drogę powrotną pokonywali w trybie zółwia i zająca: quad wysforowywał się kilkaset metrów naprzód, po czym zatrzymywał się i czekał, aż Olivia i Jake go dogonią.

Podczas tych przerw w jeździe John próbował kontaktować się z różnymi nieobecnymi osobami. Mieszkańcy doliny Prohibition Creek sprowadzili się do niej specjalnie po to, żeby odciąć się od świata, toteż zasięg telefonii komórkowej nie znajdował się zbyt wysoko na liście ich priorytetów. Nie należeli do ludzi, którzy patrzyliby spokojnie, jak technicy z firm telekomunikacyjnych kręcą się po okolicy, zakopują kable w ziemi i stawiają jakieś tajemnicze anteny, które wypełnią każdy cal sześcienny ich przestrzeni życiowej zakodowanymi transmisjami. Mimo to, czasem udawało się złapać jedną kreskę na wyświetlaczu - trzeba było tylko znaleźć wysoko położone, odsłonięte miejsce, podnieść

telefon do góry i przyjąć odpowiednią pozycję. Na razie jednak znajdowali się zbyt daleko od rozmieszczonych w niższych partiach doliny nadajników i zbyt głęboko wśród górskich grzbietów odchodzących od Abandon Mountain.

John miał przy sobie również krótkofalówkę; tutejsi Forthrastowie mieli zwyczaj zabierania krótkofalówek (dla bezpieczeństwa) na wszelkie wypadki do lasu, polowania czy zbieranie jagód. Był to aparat pospolitej marki, kieszonkowy i słynący z kapryśności przy próbach użycia w skomplikowanym krajobrazie Gór Selkirka. Czasem udawało się nawiązać łączność z kimś znajdującym się dwadzieścia mil dalej, a czasem lepiej było po prostu pokrzyczeć do siebie nawzajem. Pierwsze próby skontaktowania się z Elizabeth, która została w domu, nie przyniosły powodzenia.

Zula zabrała mu krótkofalówkę i wpadła na pomysł przeszukania innych częstotliwości; aparat pozwalał wybrać jeden z aż dwudziestu dwóch kanałów. John nastawił go na kanał jedenasty, którego używali Forthrastowie. Zula wcisnęła guzik DOWN i przebiegła po indeksie kanałów aż do jedyńki, przy każdym zatrzymując się na moment i nasłuchując ruchu w eterze. Następnie wróciła do jedenastki i kilka razy spróbowała wywołać Elizabeth. Bezskutecznie. Kanał dwunasty. Nic. Trzynasty.

Z głośnika dobiegł taki jazgot, że musiała ściszyć odbiornik. Kilkanaście osób nadawało jednocześnie i wszystkie krzyczały.

- Co takiego szczególnego jest w kanale trzynastym?! - zawołała do Jake'a jadącego pięćdziesiąt stóp za quadem.

- To społecznościowy kanał kryzysowy - odparł. - Czemu pytasz?

- Chyba macie jakiś kryzys.

- Dlatego Elizabeth nie odpowiada - domyślił się John. - Też przełączyła się na trzynastkę.

Dodał gazu i zafundował Zuli kilkuset jardową ostrą przejażdżkę do miejsca, gdzie szlak okrążał boczną ostrogę góry, za którą rozciągała się panorama doliny, odległa, zamglona od kurzu i częściowo przesłonięta przez drzewa. Dobiegały stamtąd odgłosy strzałów i ryk silników.

Głosy na kanale trzynastym stały się nieco wyraźniejsze, ale nadal nakładały się i szatkowały nawzajem. Jakiś człowiek próbował zaprowadzić odrobinę dyscypliny:

- Dość tego bełkotu!

- Przyjąłem.

- ...tablice z Pensylwanii...

- Powtórz.

- ...kilka pojazdów...
- ...czarny SUV, dwie osoby...
- ...Frank nie żyje, powtarzam, zaskoczyli go w samochodzie...
- ...camry...
- ...maszynowej...

Przetrawienie tych nowin zajęło Zuli dłuższą chwilę. W pierwszej chwili pomyślała, że wieść o przybyciu Jonesa poprzedziła go, a to, co słyszy w radiu, to odgłosy dolinnej społeczności szykującej się na inwazję z północy. Nie umiała tego jednak pogodzić z powtarzającymi się doniesieniami o samochodach, które musiały przecież przyjechać z południa.

- To jego kumple - skonstatowała w końcu. - Wyszli mu na spotkanie.

John wiedział, o jakim „nim” mowa i co ów „on” porabia, ponieważ podczas jazdy Zula wprowadziła go w temat. Skwitował jej słowa wzruszeniem ramion.

- Można się było spodziewać, że nie będzie jeździł autostopem i ma w Stanach jakichś sojuszników. Wygląda na to, że ci sojusznicy są teraz tutaj. - Zastanowił się i obejrzał na doganiających ich zasapanych Jake’a i Olivię. - Ciekawe, czego się spodziewali. Pewnie pustych dróg na poręby. Osada Jake’a nie ma nazwy, nie ma jej na mapach... Ale to i tak dziwne, że od razu zaczęli od strzelaniny.

Jake’owi, który nie słyszał chaosu w eterze, wystarczyły odgłosy wystrzałów. Miał minę, której Zula wolałaby nigdy więcej nie oglądać u bliskiego sobie człowieka. On był tutaj, a jego żona i dzieci tam, na dole, gdzie toczyły się walki.

John również to zauważył.

- Wiedzą, co robić - przypomniał młodszemu bratu. - Na pewno zamknęli się w schronie i są bezpieczni.

- Muszę do nich jechać.

John bez słowa zszedł z quada i oddał go Jake’owi. Zula zeskoczyła z bagażnika. Zachwiała się lekko przy lądowaniu, ale czuła się już znacznie lepiej.

Jake skierował quada w dół i pognał na złamanie karku, przy każdej okazji ścinając serpentyny szlaku.

- To jakiś kilometr stąd - powiedział John. - Schodzenie po stromiznie nie jest moją mocną stroną, sugeruję więc, abyście wy, zdrowe, młode damy ruszyły razem, a ja pójdę sobie na końcu.

Przez plecy miał przerzucony staroświecki sztucer z kolbą z brązowego drewna i celownikiem optycznym. Zula wiedziała, że nosi go przy sobie tylko na wypadek spotkania z

rozjuszonym niedźwiedziem, ale teraz zdjął go z pleców i podał jej.

- Pompka - wyjaśnił. - Kaliber .30-06, cztery naboje w magazynku.

Jakaś częśćka Zuli (jej małomiasteczkowe wychowanie) chciała zaprotestować, powiedzieć: „Ależ wujku, nie mogę!”, ale ugryzła się w język. Wyraz twarzy wujka (który od piętnastu lat praktycznie był jej ojcem) sugerował, że nie będzie tolerował sprzeciwu. Przypomniała sobie tamten dzień, kiedy ćpuny przyszły im ukraść amoniak.

Dlatego powiedziała tylko jedno słowo:

- Dzięki.

* * *

Olivia okazała się całkiem dziarską biegaczką i w swoim obecnym stanie Zula nie była w stanie dotrzymać jej kroku. Staraly się trzymać szlaku, który od czasu do czasu krzyżował się ze śladem wrytym przez gnający w dół zbocza quad. Zula spodziewała się, że Jake szybko zostawi je daleko w tyle, nie miała jednak racji. Kiedy quad jechał, był oczywiście szybszy od nich, ale poza tym masę czasu tracił na wymijanie przeszkód i objeżdżanie nadmiernych stromizn. Dlatego cały czas słyszały go gdzieś z przodu, i to całkiem niedaleko, tylko chwilami wystrzały zagłuszały warkot silnika. Jakiś dziwny, zgoła niestosowny instynkt rodzinnej rywalizacji kazał Zuli dogonić go i wyprzedzić, zanim jednak do tego doszło, zobaczyła dom Jake'a - wtulony między drzewa dach kryty zieloną blachą - i od tej pory myślała już tylko o tym, żeby jak najszybciej się przy nim znaleźć.

Forthrastowie przeczesywali cały las w promieniu stu metrów od domu, karczowali krzaki i zarośla i przycinali suche gałęzie, które mają w zwyczaju sterceć jak szczeble drabiny z dolnych części pni dojrzałych drzew iglastych. Miało to zapobiegać rozprzestrzenianiu się pożarów lasu (ogień, który nie mógł posuwać się jak burza po suchym poszyciu, nie mógł też zagrozić domowi), ale efektem ubocznym tej praktyki była radykalna poprawa widoczności. W tych okolicach, w nietkniętym ludzką ręką lesie człowiek widział najwyżej na kilkanaście jardów, gdyż dalej jego wzrok grzął w gęstwinie. Tymczasem z okien domu Jake'a rozpościerał się widok aż do zewnętrznej granicy oczyszczonej strefy. Zula doszła do wniosku, że taki stan rzeczy ma również zalety taktyczne, ponieważ utrudnia podkradnięcie się pod dom. Bez względu jednak na cel przyświecający Forthrastom, efekt ich starań był taki, że gdy tylko Zula z Olivią znalazły się w granicach tej strefy, otworzył się przed nimi widok aż po tylną ścianę domu, przy której Jake właśnie zeskoczył z quada i skierował się prosto do drzwi do piwnicy - dwuskrzydłowych, z grubej blachy stalowej, osadzonych w ukośnej żelbetowej oprawie. Na oczach Zuli wrota się otworzyły i z piwnicy wybiegła Elizabeth. Oprócz glocka, z którym się nie rozstawała, miała teraz również strzelbę.

Rzuciła się mężowi na szyję i pocałowała go.

Nie było to jednak długie i czułe powitanie, ponieważ chwilę potem ujęła twarz Jake'a w obie dłonie i powiedziała mu coś, co musiało być niezwykle ważne. Skinęła przy tym znacząco w stronę frontowej części domu.

Jake pokiwał głową, cmoknął żonę w policzek i się cofnął. Elizabeth zeszła po schodach do piwnicy i zamknęła za sobą ciężkie drzwi. Zula, którą od domu dzieliło najwyżej pięćdziesiąt kroków, chciała zawołać: „Nie! Zaczekajcie na nas!”, ale była tak zdyszana, że mogła tylko głośno sapać. Zresztą, po namyśle uznała, że uwięzienie w schronie bombowym w towarzystwie Elizabeth i jej synów wcale nie jest atrakcyjną perspektywą.

Jake zdjął broń z ramienia, przeładował i zaczął się poruszać w sposób, którego nauczył się albo uczęszczając na seminarium z taktyki, albo oglądając filmy sensacyjne na DVD, a którego istotą było celowanie w tym samym kierunku, w którym patrzył, i bardzo ostrożne obchodzenie narożników.

- Jestem za tobą, wujku! - zdołała wykrztusić Zula. W ruchach Jake'a było coś takiego, co sugerowało, że nie byłby zachwycony, gdyby znienacka do niego doskoczyła.

Odwrócił się i uciszył ją gestem, po czym skręcił za róg i zniknął jej z oczu.

Zula nic z tego nie rozumiała. Gdyby przed domem czaiła się armia uzbrojonych po zęby ludzi, Jake powinien schować się do schronu razem z rodziną, a po drodze zgarnąć Olivię i ją. Czyli cokolwiek działo się od frontu, nie było bardzo groźne.

- Muszę to zobaczyć - oznajmiła. Zwolniła kroku, skręciła i szerokim łukiem obeszła ten sam róg domu, za którym zniknął Jake. - Może się przydam.

- Mogę iść z tobą? - wysapała Olivia między jednym ciężkim wdechem i drugim.

- Pewnie - przytaknęła Zula.

I tak by się od niej nie opędziła.

Teren był tu nierówny, linię strzału zakłócały nie tylko drzewa, ale także sterty drewna na opał i zabudowania gospodarcze. Olivia i Zula szły szerokim łukiem, Jake zaś najkrótszą drogą dopadł domu, musiały więc poświęcić nerwową i chaotyczną minutę na znalezienie miejsca, z którego będą go mogły obserwować, nie pokazując się ewentualnym intruzom zbliżającym się od strony bramy. Po drodze napatoczyły się na pogrodzone gęstą siatką kawałki ziemi, gdzie Forthrastowie próbowali chronić swoje warzywa przed królikami, kurczaki przed kojotami i rysiami, a kozy przed wilkami i pumami, ale kiedy w końcu przemierzyły drucziany labirynt (co zajęło im nedorzecznie dużo czasu), Zula znów dostrzegła Jake'a. Widziała go od pasa w górę, jak stoi na podjeździe, celuje do czegoś z karabinu i pokrzykuje.

Przystanęła ostrożnie. Na wysokości brzucha Jake'a pojawiły się dwie męskie głowy. Czyżby klęczeli? Trzymali ręce na głowach, z palcami splecionymi na ciemieniach.

Jeden z nich wyglądał okrutnie znajomo, ale to nie mogła być prawda. Sprawdziła, czy sztucer jest zabezpieczony, podniosła go do ramienia i przez lunetkę obejrzała mężczyznę klęczącego po prawej stronie. Był wysoki, nawet na klęczkach niewiele ustępował Jake'owi wzrostem. Krępy. Krótko ostrzyżone rude włosy. Spalony słońcem kark.

- O mój Boże... - stęknęła.

- Dwóch wchodzi bramą - ostrzegła ją Olivia. - Nie podobają mi się.

Zula powiodła sztucerką wzdłuż drogi dojazdowej, aż przecinające się nitki w celowniku spoczęły na olbrzymiej bramie z bali. Była uchylona, a przez szparę było widać na wpół rozbity SUV, który blokował drogę. I tak jak Olivia powiedziała, dwaj mężczyźni obeszlili właśnie samochód i lada chwila mieli się wynurzyć zza skrzydła bramy. Idealnie pasowali do profilu dżihadystów, wśród których Zula obracała się przez ostatnie trzy tygodnie. Jeden z nich miał w ręce pistolet, drugi karabinek, który w tej chwili uniósł do ramienia, najwyraźniej biorąc na cel Jake'a, jako najbardziej oczywisty cel. I najbardziej bezbronny.

Zula wycelowwała w tego z karabinkiem i pociągnęła za spust. Nic się nie stało.

- Uwważaj! - wrzasnęła Olivia.

Zula odbezpieczyła sztucer i strzeliła drugi raz. Chybiła - była zdyszana, nie wstrzymała oddechu, o nic się nie oparła - ale nawet ten niecelny strzał miał niezwykle wpływ na dżihadystów, bo odskoczyli za bramę, którą postrzegali jako skuteczną osłonę, i przypadli do ziemi.

Krzyki od strony podjazdu. Rozpoznała głos Csongora i wiedziała, co wyraża jego ton: *Powariowaliście?! My jesteśmy ci dobrzy!*

- Ten azjatycki dżentelmen odpowiada rysopisowi hakera, który przedstawia się jako Marlon - zauważyła Olivia. - Czy słusznie zakładam, że tym drugim jest przesławny Csongor?

„Kurwa, paniusiu, coś ty za jedna?!” - miała ochotę zapytać Zula, ale wyszło jej z tego coś zupełnie innego:

- Wujku Jake! - zawołała. - Wpuść ich! To nasi!

Dwie głowy - Marlona i Csongora - odwróciły się w jej stronę. Obaj się zdziwili. Zwłaszcza Csongor.

- Biegiem! Biegiem! - zawołał Jake i odwrócił się do bramy.

Csongor i Marlon trochę niepewnie opuścili ręce, zerwali się z ziemi i pobiegli w

stronę domu. Jake ruszył w przeciwnym kierunku, podnosząc AR-15 do ramienia. Wycelował w bramę, puścił serię kilkunastu pocisków, po czym zaczął się cofać w stronę domu, cały czas trzymając bramę na muszce. Zula również wzięła ją na cel, oparłszy się wygodnie o drzewo. Była gotowa strzelić w każdej chwili, gdyby któryś z dżihadystów się pokazał. Nic się jednak nie wydarzyło. Nic się nie poruszyło.

* * *

Kostka Richarda Forthrasta została tylko nadwyrężona, nie była skręcona; mógł kuśtykać i podskakiwać na jednej nodze, nie mógł jednak chodzić. Miało to fascynujące konsekwencje dla Seamusa. Chociaż i wcześniej sytuacja nie była wcale nudna. Richard twierdził, że w odległości kilku minut marszu (dla sprawnego człowieka, ma się rozumieć) znajduje się otwarta, bezleśna przestrzeń, gdzie będą mogli się skierować na południe, przetrawersować zachodnie zbocze góry i zejść w dolinę, w której mieszka jego brat. Chciał również, żeby Seamus zostawił go tu, w lesie, a sam jak najszybciej podążył naprzód, ponieważ obawiał się, że główne siły Jonesa lada chwila przypuszczą szturm na osadę Jake'a.

Seamus o niczym innym nie marzył. Dręczyły go lekkie wyrzuty sumienia, ponieważ już wcześniej zostawił na pastwę losu rannego pilota, a teraz szykował się do porzucenia okulawionego Richarda, ten jednak wielce ułatwił mu zadanie, nalegając, żeby się pośpieszył, i zapewniając, że da sobie radę bez niego.

Z Yuxią był jednak problem. Seamus zakładał, że będzie grzeczną dziewczynką i zostanie z Richardem, żeby się nim opiekować i dotrzymywać mu towarzystwa. Liczył na to, że katastrofa helikoptera i ucieczka przez amerykańską dzicz przed snajperem fanatykiem zaspokoila jej żądzę przygód, przynajmniej na jeden dzień. Poza tym nie należało lekceważyć psychologicznych skutków zastrzelenia człowieka, z którym stała twarzą w twarz. Po tym wydarzeniu mogła mieć ochotę posiedzieć gdzieś cichutko i pomyśleć nad życiem.

Ale nic z tego. Wyraz twarzy i język ciała Yuxii niedwuznacznie wskazywały, że zamierza iść z Seamusem, wyraźnie rozdrażniona głupkowatą niepewnością, jaką okazał w pierwszych sześćdziesięciu sekundach po tym, jak Jahandar udał się na spotkanie z siedemdziesięcioma dwiema czarnookimi dziewczynami. Wyglądało na to, że jeśli będzie się tak dłużej zastanawiał, to zabierze mu broń i pójdzie dalej bez niego.

Jej nieuniknione uczestnictwo w następnym etapie operacji zmusiło Seamusa do przemyślenia szczegółów. Czekał ich trawers odsłoniętego stoku, na którym mogli paść ofiarą strzelców uzbrojonych w dobre karabiny.

- Czy można dotrzeć do tej doliny inaczej niż przez to nagie zbocze? - zapytał Richarda.

- Przez las - przytaknął Richard, skinieniem głowy wskazując budzącą respekt gęstwinię. - Będziecie szli znacznie wolniej. - Zastanowił się. - I przed chwilą słyszałem tam strzały.

- Ja też. Albo Jones napotkał jakichś przeciwników, albo postanowił przypuścić szturm na ośrodek produkcji amfy.

- Tutaj? Prędeż na plantację marihuany. Za daleko do drogi, żeby budować laboratorium.

- Tak czy inaczej, chyba poszli przez las - zauważył Seamus. - Czyli będą posuwać się powoli.

- Jeśli pójdziecie górą, będziecie wysoko ponad nimi. W razie potrzeby zdążycie znaleźć kryjówkę. A jeśli weźmiesz ten karabin, będziecie mieli przewagę.

- W takim razie idziemy górą - orzekł Seamus. Starł się mówić z determinacją, żeby uspokoić Yuxię, która w swoim maskującym ubranku podskakiwała wokół niego jak Boo-Boo wokół Misia Yogi. - Jaką broń mamy ci zostawić?

- Weźcie wszystko. Będziecie przecież strzelać do bardzo wielu bardzo złych ludzi.

- Powinienem być cię uprzedzić, że to podchwytliwe pytanie. Idzie za nami puma, która wyraźnie mniej boi się nas niż my jej.

- Wiem. - Richard się rozejrzał. - Ale mimo że bardzo chciałbym zatrzymać karabin Jahandara...

- Tak miał na imię facet, który wszedł Yuxii w drogę?

- Tak. W lesie mam zbyt ograniczone pole widzenia. Mógłbym co najwyżej pomasturbować się faktem posiadania fajnej spluwy, jak na maniaka broni palnej przystało.

- A co powiesz na strzelbę?

- Yuxia powinna ją wziąć. Umie się z nią obchodzić i fajnie razem wyglądają.

To przynajmniej wywołało uśmiech i dwa urocze dołeczki na twarzy Yuxii, kiedy przez chwilę pławiła się w blasku męskiego zainteresowania.

- Bez dwóch zdań.

Seamus podszedł do podziurawionego śrutem trupa i odwrócił go kopniakiem.

- Prawdziwy rewolwer! Kto by pomyślał...

- Jak go słyszałem, to miałem takie wrażenie, że to sześciostrzałowiec... - przyznał Richard.

- Raczej pięć. Duży kaliber. - Seamus uklęknął i obejrzał rewolwer, który, wcześniej ukryty pod zwłokami Jahandara, w tej chwili leżał na środku szlaku. Ostrożnie zwolnił kurek i podniósł broń. - Piękna sztuka. Musiał go zabrać jakiemuś zabitemu szeryfowi.

- Każdy lekarz przepisałby takiego gnata do obrony przed pumą. Biorę go. Ty weź karabin.

- Się robi - odparł Seamus.

Niespełna minutę później on i Yuxia, przebrojeni i zaopatrzeni w nowy sprzęt, truchtali już szlakiem pod górę.

* * *

Przez kwadrans, który poświęcił na ucieczkę przed dżihadystami oraz ukrywanie się w zimnej i mokrej dziurze pod zwaloną kłodą, Sokołow rozmyślał o wieku. Do takiej refleksji skłoniły go wydarzenia z ostatniej półgodziny. Przez ten czas skonstruował kukłę, oglądał jej rozstrzelanie, przebiegł po płaskiej skale, po czym na łeb, na szyję zbiegł po piarżysku. Ze dwadzieścia razy turlał się po powierzchni usłanej w przeważającej mierze dużymi kamieniami o ostrych krawędziach, z których każdy zostawił ślad na jego ciele; niektóre siniaki będą się goiły tygodniami. Kolejne dwadzieścia razy padał i robił przewroty w lodowatym błocie. Bez żadnego planu działania wbiegł w nieznanne środowisko opuszczonego obozowiska górniczego, gdzie znalazł sobie idealną kryjówkę. Zdążył odpocząć najwyżej trzy minuty, zanim musiał się ujawnić i zastrzelić wysokiego Afrykanina. To z kolei zmusiło go do porzucenia kryjówki i rozpoczęcia kolejnego intensywnego ciągu biegów, padów, skoków, uników, przewrotów i chowania się w niewygodnych miejscach. Cały ten wysiłek, ryzyko i odniesione obrażenia przyniosły mu jedną korzyść, taką mianowicie, że zabił zaledwie jednego z wielu przeciwników.

Cóż, gdyby miał siedemnaście lat, żywiłby zapewne niemądre i przesadne oczekiwania odnośnie do sytuacji takiej jak ta. Wyobrażałby sobie, że wysiłek, ból i ryzyko powinny przynieść zysk większy niż sprzątnięcie jednego wroga. Kierując się tym błędnym wyobrażeniem, dłużej zwlekałby z opuszczeniem kryjówki w chacie z bali; nie od razu porzuciłby nadzieję zastrzelenia intruza chowającego się za wygodką; próbowałby stawić czoło dżihadystom, którzy wrócili do obozu. Efekt byłby taki, że zostałby przez nich otoczony i zabity, a wszystko dlatego, że był młody i przepełniony nierealistycznymi oczekiwaniami w kwestii tego, co świat jest mu winien.

Z drugiej strony, gdyby był o kilka lat starszy albo nieco mniej wysportowany niż w tej chwili, całe to bieganie, turlanie się i zmaganie z żywiołami kosztowałoby go bardzo dużo. Zbyt dużo. Zniechęcająco dużo.

I te emocje popchnęłyby go do decyzji równie złych i w ostatecznym rozrachunku równie śmiertelnych jak te podejmowane przez hipotetycznego siedemnastolatka.

Dlatego, mimo że nie znosił popadać w samozadowolenie, nie mógł nie dostrzec

ewidentnych dowodów na poparcie tezy, że biorąc pod uwagę zarówno wiek, jak i przygotowanie kondycyjne, do tej misji nadaje się wręcz idealnie.

Na pierwszy rzut oka takie orzeczenie brzmiało całkiem korzystnie, jednakże po dłuższym zastanowieniu (na które mógł sobie pozwolić, kiedy ukryty pod zwałonym drzewem nasłuchiwał, jak dżihadyści przeczesują las) Sokołow zaczął się niepokoić. Oznaczało to bowiem, że, po pierwsze, przez całą dotychczasową karierę zawodową był niemądrym dzieciakiem, którego przerosło życie i który przeżył tylko dzięki temu, że miał fart, oraz, po drugie, że ewentualne przyszłe misje będą nierozważnymi porywami człowieka, który najlepsze lata życia ma już za sobą.

Naprawdę powinien zmienić fach.

Powtarzał to sobie od Afganistanu, i co mu z tego przyszło?

W końcu usłyszał, jak Jones zwołuje pozostałych i nakazuje przerwanie poszukiwań; potrzeba pośpiechu przeważała w nim nad żądzą zemsty na człowieku, który ich prześladował. Sokołow odczekał do momentu, kiedy przestał słyszeć kręcących się w pobliżu przeciwników, i zaczął bardzo ostrożnie opuszczać kryjówkę. Na początek tylko wystawił głowę, którą natychmiast schował. Kiedy żadna z kilku takich prób nie ściągnęła na niego nieprzyjacielskiego ognia, zaczął dochodzić do wniosku, że nie zostawili nikogo na posterunku, żeby go zabił, i zaczął poruszać się odważniej. Dręczyła go jednak nieprzyjemna świadomość, że dżihadyści go wyprzedzili i intensywnie rozmyślał o tym, jak mógłby nadrobić dzielący ich dystans. Ludzie Jonesa postanowili iść przez las, gdzie poruszali się znacznie wolniej niż na nagich górach powyżej piętra drzew. Oczywistym pomysłem na dogonienie ich byłby więc powrót do obozu górniczego i posuwanie się ich śladem na granicy lasu.

Wymagało to mozolnej wspinaczki, ponieważż ziemia u stóp zbocza była nasączona spływającą z góry wodą. Po paru minutach takiej harówki dobiegający z góry chrobot i trzask przewalających się kamieni uświadomił mu, że nie myśli zbyt sprawnie. Uskoczył do najlepszej kryjówki, jaką miał pod ręką (czyli za kępę krzaków, które doskonale rosły na rozmięklej ziemi), i, zerknąwszy w górę, dostrzegł niewielką lawinkę, która właśnie zamarała na kamienistym zboczu w odległości około tysiąca metrów, dosłownie kilka zrzuconych przez coś lub kogoś kamieni, które potoczyły się kawałek po stoku, zanim znieruchomiały. Ich widok był dla niego wskazówką, gdzie szukać. Podniósł karabin do oka i przez lunetkę spojrzał najpierw tam, gdzie kamienie zastygły w bezruchu, a następnie wyżej, gdzie rysowała się ledwie widoczna pozioma blizna ścieżki. Porozglądał się trochę na boki od tego miejsca i nagle jego wzrok przykuła wstrząsająca scena: jakiś mężczyzna siedział na ziemi i

celował do niego z karabinu! Sokołow odruchowo wzdrygnął się i odskoczył głębiej w gąszcz, tracąc przeciwnika z oczu, ale jego umysł w dalszym ciągu analizował zarejestrowany obraz, w którym wychwycił kilka ciekawostek.

Najważniejszą z nich był fakt, że dźwignia blokady zamka karabinu sterczała prostopadle do lufy, co oznaczało, że broń nie była gotowa do strzału. Na dodatek (o ile pamięć nie płała mu figli) intruz trzymał karabin w dziwny sposób. Jego prawa ręka znajdowała się w takim położeniu, że nijak nie zdołałby pociągnąć za spust.

Ośmielony tymi spostrzeżeniami Sokołow wrócił do oględzin zbocza przez lunetkę i potwierdził swoje podejrzenia. Gdy tylko namierzył nieznajomego, ten opuścił karabin, odsłaniając twarz o europejskich rysach. Niczego to jeszcze nie dowodziło, ale coś w wyrazie tej twarzy przeczyło idei „białego dżihadysty”.

Kimkolwiek był ten człowiek, był sojusznikiem Sokołowa. Wypatrzył go z góry, najprawdopodobniej śledził przez celownik i zidentyfikował jako swojaka. Następnie sprowokował małą lawinę, żeby zwrócić jego uwagę, a teraz chciał się z nim porozumieć.

Intruz wyszczerzył zęby w uśmiechu i spojrzał w bok. Sekundę później obok niego pojawiła się twarz młodej Azjatki.

Bardzo znajoma twarz.

Sokołow od ponad dwóch dziesięcioleci trenował zachowywanie absolutnego milczenia w warunkach bojowych, ale kiedy rozpoznał w Azjatce Qian Yuxię, nie zdołał stłumić jęku zaskoczenia.

Towarzyszący Yuxii mężczyzna zaczął gestykulować. Nie mogli się w ten sposób precyzyjnie porozumieć, ponieważ Rosjanie i Amerykanie (Sokołow zakładał, że ma do czynienia z Amerykaninem) używają zupełnie różnych gestów, ale ruchy nieznajomego były dostatecznie wymowne: pokazywał coś na kształt szczypiec. On i Yuxia pójdą drogą przez piarg, Sokołow wróci do realizacji swojego planu, po czym w punkcie docelowym (Sokołow domyślał się, że ma nim być dom Jake’a Forthrasta) zajdą dżihadystów z dwóch stron.

Wszystko to wydawało się oczywiste, między innymi dlatego, że nie było innego wyjścia. Nie mieli wielkiego wyboru w kwestii tego, dokąd powinni pójść i co zrobić. Nie w tym rzecz. Najważniejszy przekaz był taki, żeby przez przypadek nie pozabijali się nawzajem w zbliżającej się strzelaninie. Zdaniem Sokołowa była to sprawa pierwszorzędnej wagi.

* * *

- Tutaj! - zawołała Zula.

Csongor i Marlon wycofywali się pod dom. Przez celownik na karabinie widziała, że dżihadysty zaparkowali dwa samochody w poprzek drogi dojazdowej, skutecznie blokując ją

w miejscu, gdzie łączyła się z główną drogą. Przy samochodach i w pobliskim lesie rozstawili kilku ludzi, zapewne po to, żeby w razie konieczności miał kto strzelać do sąsiadów lub nazbyt dociekliwych policjantów. Trzon grupy w sile około pięciu ludzi zbliżał się do bramy, chowając się za rozbitym SUV-em. Kiedy do niej dotrą, będą mogli swobodnie strzelać do wszystkich, którzy znajdą się na podjeździe.

Olivia też to zauważyła.

- Ukrycie się! - zawołała. - Biegnijcie do mnie!

Csongor i Marlon nie zareagowali, za dużo się wokół nich działo. Olivia przeszła na mandaryński i zawołała coś podniesionym, wysokim głosem. Marlon natychmiast odwrócił się w jej stronę, nagle jakby oprzytomniał, złapał Csongora za rękaw i pociągnął w kierunku, z którego dobiegły wypowiedziane po chińsku słowa. Rozpędzony Csongor miał zbyt dużą bezwładność, żeby szarpnięcie za rękaw spowodowało u niego radykalną zmianę kierunku ruchu, ale dało się nim trochę sterować i po chwili obaj z Marlonem najpierw wpadli w gąszcz drzew przy podjeździe, a następnie znaleźli się w przetrzebionym lesie obok Zuli i Olivii. Jake dołączył do nich kilka sekund później.

Większość tych wydarzeń Zula rejestrowała zmysłem słuchu, ponieważ cały czas obserwowała bramę. Przeładowała karabin, który i tak mieścił tylko cztery naboje w magazynku. Zobaczyła w lunecie rozbłyski ognia. Kule z wizgiem posiekały listowie nad ich głowami.

- Ja wezmę bramę - powiedział Jake. - Zula, wycofaj się.

Zula oderwała wzrok od celownika i zobaczyła, że Jake klęczy za pniem grubego drzewa, celując przez (jak się domyślała) lukę w przerzedzonym poszyciu. Strzelił, sprawdził efekt, strzelił jeszcze dwa razy, a potem spojrział na nią i ruchem głowy i oczu wskazał jej kierunek, który jego zdaniem powinna obrać.

- Zula! - zawołała Olivia. - Tutaj!

Zula przygarbiła się, przemknęła pomiędzy zagrodą dla kóz i ogrodzonymi siatką grządkami, na których Jake i Elizabeth uprawiali maliny, i znalazła się na odsłoniętym terenie na tyłach szopy, w której kozy kryły się przed kapryсами górskiej aury. Zastała tam Olivię, Marlona i Csongora.

Sytuacja była co najmniej niezręczna. Csongor zrobił jeden szybki krok w stronę Zuli, ale zawahał się i znieruchomiał.

Dlaczego się zawahał?

Bo miała karabin?

Bo jej twarz miała makabryczny wyraz?

Bo nie był pewien, czy go lubi?

Szukała w jego twarzy jakiejś wskazówki, ale na próżno. Znalazła tylko silne, obce i zgoła niestosowne w obecnej sytuacji zadowolenie z faktu, że przeżył i dotarł aż tutaj.

Z góry zbocza dobiegły dwa wystrzały, potem trzeci. Odpowiedziała im mała kanonada z różnej broni.

- Wujek John - wyjaśniła Zula, kiedy się uciszyło. - Zostawiłam mu glocka.

- Zaryzykuję stwierdzenie oczywiste - odezwała się Olivia - ale wygląda na to, że ktoś zamierza się tu spotkać z tamtymi.

Ruchem głowy wskazała okolice podjazdu, na którym nagle zrobiło się cicho jak w strefie zdemilitaryzowanej. Zula wyjrzała zza węgła. Jake zmierzał w ich stronę.

- Co się dzieje? - dobiegł z krótkofalówki głos Elizabeth. - Niech mnie ktoś oświeci.

Zula podniosła aparat do ust. Jednakże, zanim zdążyła odpowiedzieć, znalazła się w zasięgu rąk Jake'a, którego lewa dłoń wystrzeliła do przodu jak kobra i wyrwała Zuli odbiornik.

- Zamknijcie się na dole, skarbie - polecił. - Nie czekajcie na nas.

- Gdzie jesteście?

- Powiedz, że zamknęłaś drzwi, to ci odpowiem - odparował cierpko Jake.

Nastąpiła chwila ciszy w eterze. Jake spojrzał na pozostałych.

- Jesteśmy odcięci - powiedział. - Nie mamy szans dostać się do domu przed nimi.

- Zrobione - zameldowała Elizabeth.

- Schron zamknięty - wyjaśnił Jake i przełączył się na nadawanie. - W porządku. Jesteśmy za szopą dla kóz. Postaram się informować cię na bieżąco. Chłopcy mnie słyszą?

- Tak, są tu przy mnie.

- Bądźcie dzielni i módlcie się. Kocham was wszystkich i mam nadzieję, że niedługo się spotkamy, ale dopóki nie zobaczycie mojej twarzy w kamerze, pod żadnym pozorem nie otwierajcie schronu.

* * *

Upewniwszy się, że nikt go nie widzi, John usiadł i zaczął zjeżdżać po stoku na tyłku. Miał naprawdę fajne protezy (Richard co parę lat na Gwiazdkę kupował mu nowe i naprawdę nie żałował grosza), które jednak przy schodzeniu w dół były gorzej niż bezużyteczne. Zresztą, nawet teraz, podczas dupozjazdu, co rusz zahaczał nimi o krzaki. Zrobił więc sobie chwilę przerwy, zdjął je i rozmasował obolałe jak diabli kikuty. Sięgnął za plecy i schował protezy do plecaka, po czym wrócił do zsuwania się w dół zbocza. Poruszał się powoli, ale, wzięwszy pod uwagę zakosy szlaku, idąc normalnie, wcale nie posuwałby się dużo szybciej.

W innych okolicznościach byłby rozgoryczony taką utratą godności osobistej, był jednak całkiem sam i dopóki trzymał głowę na wysokości dwóch stóp nad ziemią, nikt nie mógł go zobaczyć.

Ten fakt prawdopodobnie ocalił mu życie, ponieważ posłany przez Jonesa przodem zwiadowca poruszał się naprawdę bezszelestnie i John (który miał przytępiony słuch) zdał sobie sprawę z jego obecności dopiero kiedy znaleźli się w odległości dwudziestu stóp od siebie.

Oczywiście, John używał rąk jako środka lokomocji. Otrzymanego od Zuli glocka trzymał w kieszeni kurtki.

Zwiadowca mógłby go wyminąć zbyt szybko, żeby John w ogóle zdążył zareagować, gdyby nie fakt, że w tym samym momencie z dołu dobiegł odgłos strzałów. Intruz nagle przystanął i tym zwrócił na siebie uwagę Johna. Odwrócił się plecami do niego, spojrzął w dół, w stronę domu Jake'a, i podniósł krótkofalówkę do ust. Był krótko ostrzyżonym blondynem z blizną na potylicy.

John zdążył przez ten czas wyjąć glocka. Sytuacja była tak idealna, że poniósł go entuzjazm i chwycił pistolet oburącz, przez co stracił oparcie na ziemi. Czując, że zaczyna zjeżdżać po pochyłości, zdążył jeden raz strzelić, zanim poirytowany zjechał o jakiś jard, gdzie znalazł sobie stabilniejszą pozycję.

Zwiadowca odwrócił się, zobaczył go i byłby go pewnie zabił, gdyby nie trzymał w ręce krótkofalówki. W obecnej sytuacji nie pozostało mu nic innego jak tylko krzyknąć ostrzegawczo do mikrofonu, zanim John powalił go dwoma strzałami w korpus. Ciało osunęło się spiralnie po pniu drzewa i ześlizgnęło kilka jardów w dół zbocza. John darował sobie dalsze próby cichego poruszania się i po prostu rzucił się w ślad za nim, jadąc na tyłku jak na sankach i przy okazji łamiąc sobie chyba kość ogonową na jakimś kamieniu po drodze. Bolesny wstrząs obrócił go w miejscu i John przekoziołkował bezradnie, siejąc na wszystkie strony rzeczami z kieszeni i plecaka, co przypominało połączenie lawiny z podwórkową wyprzedzą. Dopadł jednak dżihadystę i rozbroił go, zanim inni zdążyli się zainteresować jego losem. Zabrał mu bardzo ładną zabawkę - pistolet maszynowy marki Heckler & Koch - z którą jednak nie bardzo umiał się obchodzić, a bez okularów nie mógł odczytać wybitych w metalu literek. Na szczęście, po paru próbach udało mu się rozpracować mechanizm przeładowania i odbezpieczyć broń.

Krótkofalówka bluznęła zaniepokojonym głosem i w tej samej chwili John usłyszał ten sam głos wypowiadający te same słowa, dobiegający z odległości paru jardów.

Zbliżający się mężczyzna usłyszał krótkofalówkę i zaczął się na nią namierzać: co

dwie sekundy wciskał guzik nadawania i nasłuchiwał trzasków z odbiornika. Zdesperowany John porwał krótkofalówkę w dłoń i odrzucił ją od siebie jak granat bez zawlecзки, ale nie oszukał tym zbliżającego się dżihadysty, który musiał usłyszeć szelest ubrania przy gwałtownym poruszeniu i się nie zatrzymał.

John wycelował z grubsza w kierunku odgłosu kroków i pociągnął za spust. Pistolet maszynowy zarechotał krótką serią. Najprawdopodobniej chybił, ale do tego momentu nie wiedział nawet, czy broń jest sprawna i gotowa do strzału. Musiał to jakoś sprawdzić.

Dżihadysta - odległy najdalej o dziesięć jardów, lecz całkowicie zasłonięty przez gąszcz paproci - zareagował błyskawicznie i zanurkował w dół stoku, co było posunięciem rozpaczliwie ryzykownym, ale dość logicznym, jeśli miał powody wątpić w bezpieczeństwo dotychczas zajmowanej pozycji. John nie miał teraz zielonego pojęcia, gdzie go szukać, a biorąc pod uwagę gęstość poszycia, sytuacja ta nie ulegnie zmianie, dopóki dżihadysta nie poruszy się i nie zdradzi swojego położenia.

Skoro już o tym mowa, sytuacja Johna też nie była godna pozazdroszczenia, zwłaszcza po tym, jak serią z pistoletu zdradził swoją kryjówkę. Przyjął jakieś rozsądne założenie w kwestii tego, jak daleko mógł się przeturlać przeciwnik, i zsunął się nieco niżej, starając się poruszać jak najciszej, a więc także jak najwolniej. I wtedy uświadomił sobie, że w lesie wokół niego znajduje się więcej ludzi.

Znieruchomiał i nasłuchiwał, gdy nagle czyjś but kopnął hecklera & kocha i przygwoździł go do ziemi. Ponieważ John nie wypuścił broni z rąk, przewrócił się na bok. Kiedy wykręcił zeszywniałą szyję, zobaczył twarz człowieka patrzącego nań z wysokości sześciu stóp.

No, może ciut więcej niż sześciu stóp. Facet było wysoki. I czarny. John nie miał nic przeciwko czarnym. Zawsze wolał oceniać ludzi po zachowaniu i cechach charakteru.

Wyglądał znajomo. John musiał niedawno widzieć jego zdjęcie.

W jednej ręce Abdallah Jones trzymał pistolet, w drugiej jedną z protez Johna, które potoczyły się w dół zbocza.

- To jest tak żalosne, że brak mi słów - powiedział.

- Pierdolę ciebie i kozę, na której przyjechałeś.

- Dlatego użyję tego - ciągnął John, ważąc sztuczną nogę w dłoni. - A nie tego. -

Pokazał pistolet.

A potem pochylił się, wziął zamach znad głowy i jak pałką uderzył Johna protezą w twarz.

* * *

Kiedy strzelanina rozpętała się na dobre, Sokołow darował sobie dyskrecję i zaczął biec. Nie było sensu dłużej skradać się po lesie. Jones nie zostawił żadnych snajperów w zasadzce i dżihadyści zmierzali prosto do domu Jake'a, strzelając do wszystkiego, co się rusza. Za wszelką cenę chcieli zejść do drogi i wydostać się z tego rejonu, zanim policja ustawi blokadę. Taką przynajmniej wersję wydarzeń ułożył sobie w głowie Sokołow, po czym zaczął się zastanawiać, jak właściwie Jones zamierza stąd uciec. Chciał rekwirować przypadkowe samochody? A może miał współników, którzy będą na niego czekać? Ta druga możliwość brzmiała znacznie sensowniej, zwłaszcza wzięwszy pod uwagę dotychczasowe precyzyjne plany Jonesa. Z punktu widzenia Sokołowa był to najbardziej pesymistyczny z możliwych scenariuszy, ponieważ oznaczał, że Jones otrzyma posiłki, i to pewnie wyposażone we wszystko co najlepsze w amerykańskich sklepach z bronią. Sokołow jednak lubił przygotowywać się na najgorsze i oczami wyobraźni widział już prawdopodobny rozwój przyszłych wydarzeń. Jeżeli Jones faktycznie spodziewał się wsparcia towarzyszy broni, to najprawdopodobniej kazał im przybyć prosto do posiadłości Forthrastów, ponieważ w ten sposób minimalizował szanse, że po drodze coś spartaczą. Sokołow miał nadzieję, że jeśli Zula i Olivia dotrą tam przed nimi, to będą miały dość oleju w głowie, żeby schować się do przerobionej na schron piwnicy Jake'a. Gdyby zaś to miało się nie udać, powinny ukryć się gdzieś w lesie, z dala od niebezpieczeństwa.

Inaczej mówiąc, zakładał, że wszyscy ludzie zaliczający się do kategorii cywilów zostaną bezpiecznie usunięci z areny wydarzeń. Co wtedy zrobią dżihadyści? Najprawdopodobniej pójdą prosto do domu Jake'a. W takich sytuacjach ludzie najczęściej kierują się instynktem, który w tym wypadku popchnie ich w stronę czegoś, co wygląda jak schronienie i posłuży jako oczywisty punkt zborny, w którym obie grupy się spotkają.

Im bardziej zbliżał się do posiadłości Jake'a, tym więcej słyszał strzałów, które w dodatku dobiegały z różnych kierunków. To zdawało się potwierdzać teorię o posiłkach dla Jonesa. Gdyby to tylko jego grupa błąkała się po okolicy w poszukiwaniu samochodu, który można ukraść, nie robiliby tyle hałasu.

Wyszedł zza wzgórza i przystanął dosłownie dwieście metrów od domu Forthrastów. Gdyby nie drzewa, widziałby go jak na dłoni, a tak miał w zasięgu wzroku tylko narożnik dachu, czubek komina ze sterczącym do góry piorunochronem i wirujący wiatromierz zbudowanej przez Forthrastów przydomowej stacji meteorologicznej. Strzały i okrzyki dobiegały z większej odległości, przypuszczalnie z okolic podjazdu. Było też słychać odgłosy walki nieco bliżej, na zboczu schodzącym ze szlaku. Natomiast w samym domu panowała cisza, co kazało Sokołowowi podejrzewać, że przybył w samą porę, zanim turyści Jonesa lub

ich amerykańscy współnicy zdążyli go zająć.

Dlatego uznał, że sam go zajmie. Ściany z litych bali, grube na prawie pół metra, zatrzymają większość pocisków z broni używanej przez dżihadystów.

Zbiegł ze wzgórza, przeciął krótki odcinek płaskiego terenu i znalazł się na skraju obszaru wykarczowanego przez Jake'a. Ta okolica w każdej chwili mogła się stać niezwykle niebezpieczna. Może nawet już się stała. Sokołow przypadł do ziemi i przeczołgał się kawałek do miejsca, w którym mógł się schować za niedawno ściętym drzewem, którego nie porąbano jeszcze na opał. Pień był wprawdzie za cienki, żeby całkowicie go ukryć albo zatrzymać kule, ale sterczący we wszystkie strony gąszcz gałęzi całkiem nieźle go maskował. Przeczolgał się wzdłuż pnia, przybliżając się w ten sposób do domu, po czym ostrożnie unióś głowę, a gdy ten manewr nie ściągnął na niego ognia nieprzyjaciela, poświęcił chwilę na oględziny okien budynku. Nie dostrzegł wybitych szyb ani wyglądających zza framugi twarzy, żadnych oznak świadczących o tym, że ktoś już jest w środku. Sądząc po odgłosach, poruszające się po posiadłości dwie grupy uzbrojonych ludzi zmierzały z grubsza w stronę domu, ale żadna tam jeszcze nie dotarła.

Poderwał się z ziemi i podbiegł do tylnego wejścia.

* * *

Seamus przypominał właściciela młotka, któremu wydaje się, że wszędzie widzi gwoździe. Odkąd wziął w ręce młotek (niezły karabin snajperski), wszędzie szukał gwoździ, które mógłby nim wbić. Przez ostatnie kilka minut schodzili z Yuxią szlakiem, który - wnioskując z dostępnego materiału dowodowego (liczne odciski stóp i ślady opon quada) - prowadził do miejsca, do którego wszyscy zmierzali: domu, wedle pośpiesznych wyjaśnień Richarda, należącego do jego brata Jake'a i zamieszkanego przez jego rodzinę, w tym kobiety i dzieci, dla których nie powinno być miejsca w tym konflikcie.

Niewiele brakowało, żeby w tym pośpiechu dogonili grupę Jonesa. Zaalarmowany w ostatniej chwili hukiem wystrzałów (które ewidentnie nie były wymierzone w niego), Seamus rzucił się na ziemię, znalazł rozsądne stanowisko snajperskie, przyjął leżącą pozycję strzelecką, zdjął osłonki z lunety na karabinie i przygotował się do otwarcia ognia.

Wysforował się przed Yuxię, która teraz go dogoniła. Nie musiał jej tłumaczyć, że powinna położyć się obok niego i nie wystawiać na cel.

Ach, gdyby tak któryś z tych skurczybyków na dole wyszedł mu na strzał... Na tym polegał główny problem w zagadnieniu młotka i gwoździ. Gdyby Seamus nie miał karabinu, musiałby wykorzystywać zupełnie inne umiejętności. Poruszałyby się w dół zbocza najciszej jak potrafi, szukając okazji do walki wręcz lub strzału z bliska. A on co zrobił? Znalazł sobie

dogodne stanowisko i tam został, zbyt daleko od centrum wydarzeń, żeby się do czegoś przydać.

Coś mignęło mu w gąszczu. Yuxia również to zauważyła i wyciągnęła rękę. Zanim jednak Seamus przeniósł i zogniskował wzrok, ruchomy obiekt zniknął. Seamus natychmiast przestał się nim interesować, zakładając, że żaden z dżihadystów nie pokaże się dwa razy w tym samym miejscu, dopóki stłumione stęknienie Yuxii nie dało mu do zrozumienia, że jednak się pomylił. Obrócił karabin w tym kierunku, spojrzął w lunetkę, poczekał kilka sekund... i w końcu to zobaczył.

Nie tego się spodziewał. Nie była to głowa. Ani broń. Ani ręka. To była obuta stopa, a właściwie but na kiju.

Mniej więcej w połowie długości kij ścisnęła dłoń w rękawiczce. Opadła gwałtownie, po czym znów się podniosła.

Seamus zaryzykował i klęknął, żeby lepiej widzieć. Namierzenie sceny przez lunetkę zajęło mu jeszcze chwilę, ale tym razem zobaczył rękę będącą przedłużeniem rzeczonoj dłoni, kiedy zaś powiódł wzrokiem wzdłuż niej, ujrzał w końcu twarz samego Abdallaha Jonesa.

Już miał pociągnąć za spust, kiedy widok w celowniku przesłoniły mu głowa i barki innego mężczyzny, który gestykulował jak szalony, usiłując zwrócić uwagę Jonesa. Seamus oderwał się na chwilę od celownika, by ustalić, w którą stronę patrzy drugi dżihadysta, ale jego widzenie świata było ograniczone do wąskiej luki w listowiu i cokolwiek przyprawiało dżihadystę o szybsze bicie serca, dla niego pozostało ukryte.

Wypuścił powietrze z płuc, znów przyłożył oko do celownika, ustawił krzyż z nitek na środku pleców dżihadysty i nacisnął spust. Karabin wypalił jak skurwysyn i dżihadysta runął na ziemię jak kopnięty w krzyż. Odślonił przy tym Jonesa, co do którego Seamus żywił nadzieję, że może zostanie trafiony tym samym pociskiem, ale kula albo roztrzaskała się w ciele pierwszego przeciwnika, albo zrykoszetowała na jego kręgosłupie i zmieniła kierunek lotu.

Być może istniał jakiś alternatywny wszechświat równoległy, urządzonej po myśli snajperów, w którym Jones zmarł ze zgrozy, dając Seamusowi czas na przeładowanie i drugi strzał, lecz nie był to ten wszechświat. W tym wszechświecie Jones zrobił unik, przekoziołkował po zboczach i zniknął Seamusowi z oczu na długo przed tym, jak ten zdążył zebrać się do strzału.

- Wiedzą, że tu jesteśmy - powiedział Seamus.
- Nie mów...
- Musimy zachować ostrożność. Tylko to miałem na myśli.

- Dlaczego ten gość tak machał rękami?

- Mógł mieć różne powody, ale ja osobiście przypuszczam, że zobaczył Sokołowa.

* * *

- Nie strzelaj! - krzyknęła Olivia, gdy Jake, zaalarmowany ruchem na skraju pola widzenia, wycelował AR-15 w mężczyznę biegnącego zygzakiem przez podwórko w stronę domu. Rozpoznała Sokołowa.

- Dzięki - powiedział Jake.

Odwrócił się w kierunku wzgórza, skąd dobiegały strzały. Część znajdujących się tam dżihadystów próbowała ustrzelić Sokołowa. Nieco wyżej rozległ się pojedynczy, ostry, głośniejszy od innych wystrzał.

- Mają snajpera - orzekł Jake.

W tej samej chwili usłyszeli jednak podekscytowane głosy dobiegające z okolic, w których przyczaili się ludzie Jonesa. Chyba mówili dokładnie to samo.

- Może to my mamy snajpera - zasugerował Csongor.

- Może... - zgodził się Jake. - Ale kogo, u licha?

Olivia, skoncentrowana na Sokołowie, słyszała tę wymianę zdań jakby z wielkiego oddalenia. Mniej więcej w połowie drogi Sokołow zniknął jej z oczu za rogiem domu i nie miała pojęcia, czy zdążył znaleźć sobie kryjówkę, czy może padł, ścięty ogniem z lasu. Nagle jednak w oknie na piętrze poruszyła się zasłonka. Sokołow był za mądry, żeby pokazać twarz (jej czy komukolwiek innemu), więc musiał jej wystarczyć ten ledwie dostrzegalny ruch, ale to i tak wystarczyło, żeby miała pewność, że to on.

- Chyba mu się udało - powiedziała. - Jest w środku.

Od frontu dobiegł trzask tłuczonego szkła i seria strzałów. Na podjeździe ktoś wrzasnął.

- Na to wygląda - zgodziła się z Olivią Zula.

- Co robimy? - zainteresował się Marlon.

- Dla mnie najlepiej by było, gdybyście się gdzieś zaszuli i po prostu nie dali się zabić - odparł Jake. - Na waszym miejscu na nic więcej bym nie liczył.

- Jestem jak najbardziej za tym, żeby nie dać się zabić - powiedziała Olivia - ale powiedz jeszcze, jakie ty masz plany, Jake?

- Podejrzewam, że nasi sąsiedzi niedługo tu będą. Jeżeli wparują w sam środek tego zamieszania, nawet uzbrojeni, to zostaną skoszeni równo z trawą, bo nie mają pojęcia, w co się pakują. Dlatego zamierzam cofnąć się pod bramę i zrobić co w mojej mocy, żeby temu zapobiec.

Jakiś dżihadysta wyskoczył z ukrycia i sprintem ruszył na tyły domu; liczył chyba na to, że dostanie się do środka tylnym wejściem, dopóki Sokołow ostrzeliwuje się od frontu. Zatupał na schodach werandy, przekręcił klamkę i stwierdził, że drzwi są zamknięte na klucz. Zula już brała go na cel, zanim jednak zdążyła strzelić, głowa dżihadysty skoczyła naprzód, jakby zamierzał wyważyć drzwi bykiem. Osunął się i legł na deskach, wstrząsany drgawkami. Z góry dobiegło echo drugiego strzału karabinowego.

- A więc to jednak nasz snajper - powiedział Marlon.

Jake już ich zostawił, korzystając z zamieszania, przebiegł do odległego o kilkanaście jardów stosu drewna, skąd z łatwością wymknął się poza granice posiadłości, a przynajmniej poza granice pola widzenia Olivii, Zuli i pozostałych. Z piętra domu dobiegł odgłos kolejnych strzałów. Sokołow najwyraźniej szedł od okna do okna i brał na cel kolejnych dżihadystów. Na przemian to cofał się na tyły domu i strzelał do ludzi Jonesa, to znów przez frontowe okna szachował przeciwników na podjeździe. Tych ostatnich było chyba więcej i byli lepiej uzbrojeni. Jones stracił kilku ludzi, a na dodatek miał teraz na karku snajpera.

- Zbliżają się - ostrzegł Marlon.

Obserwował boczną granicę posiadłości Forthrastów i nasłuchiwał pistoletu maszynowego strzelającego krótkimi seriami, które za każdym razem rozbrzmiewały coraz bliżej. Każda seria wybijała okno albo dziurawiła futrynę okienną na piętrze domu. Strzelec brał na cel kolejne okna najpierw na tylnej ścianie, a potem bocznej, za węglem. Pociemniałe od zewnątrz bale, siekane pociskami na drzazgi, odsłaniały jasne wnętrza, jakby roilo się w nich od niewidzialnych pił mechanicznych.

Sokołow wyjrzał przez okno, w którym wcześniej poruszył zasłonę, strzelił dwa razy i uskoczył w głąb pokoju, unikając długiej serii. Wyglądało na to, że właściciel pistoletu maszynowego obchodzi dom szerokim łukiem, najprawdopodobniej po to, żeby dołączyć do braci na podjeździe, nie wystawiając się po drodze na cel Sokołowowi ani snajperowi z karabinem. Im dalej uda mu się bezpiecznie dotrzeć, tym większe było prawdopodobieństwo, że inni pójdą w jego ślady i czwórka obrońców schowana za szopą dla kóz, a uzbrojona tylko w sztucer Zuli i pistolet, który Jake zostawił Csongorowi, będzie musiała stawić czoło niedobitkom grupy Jonesa. Tych zaś może i zostało niewielu, ale z pewnością byli uzbrojeni po zęby. I bardzo rozdrażnieni. W ciągu kilku chwil wszyscy czworo wyobrazili sobie tę scenę i odruchowo cofnęli się przed zbliżającym się strzelcem, kryjąc się za węglem szopy i za drzewami.

Wieści z podjazdu też nie były pocieszające. Dżihadysty nacierający od frontu porozumiewali się przez krótkofalówki z tymi na tyłach domu i kiedy Sokołow skoncentrował

wysiłki na grupie Jonesa, usiłując nie dopuścić do jej spotkania z Zulą, Olivią, Marlonem i Csongorem, ci przy bramie zaczęli zmniejszać dystans dzielący ich od domu.

Do świadomości Zuli, która leżała za pniem cedru i przez lunetkę sztucera wypatrywała zwinnego Strzelca z pistoletem maszynowym, coraz wyraźniej przebijało się rytmiczne *tump-tump-tump*, od którego drżała ziemia. Dopóki koncentrowała się na innych sprawach, nie zwracała sobie nim głowy, teraz jednak rozpoznała dźwięk wydawany przez helikopter, który przyleciał na dużej wysokości, później jednak zniżył lot i robił powolną rundę nad okolicą. Odwróciła się na wznak i patrząc prawie pionowo do góry, sto stóp wyżej zobaczyła brzuch śmigłowca. Jacyś ludzie wyglądali przez okna, próbując się zorientować, co się dzieje na dole. Helikopter wszedł w ostry skręt i Zula dostrzegła namalowane na burcie oznakowanie Patrołu Stanowego Idaho.

Maszyna zatoczyła leniwy łuk nad tylną częścią posiadłości, po czym wróciła i zawisła z przodu nad podjazdem.

Ognista smuga wystrzeliła spomiędzy drzew przy bramie i trafiła śmigłowiec w okolicy tylnego wirnika. Cały tył maszyny zniknął na moment w rozbłysku białego ognia, a to, co z niego zostało, zaczęło spadać, wirując wokół pionowej osi. Wrak zniknął Zuli z oczu. Od strony podjazdu dobiegł najpierw łoskot i zgrzyt, kiedy helikopter uderzył o ziemię, a następnie kanonada, kiedy dżihadysty zasypali go gradem kul.

* * *

Sokołow zdawał sobie sprawę, że pocisk z granatnika był przeznaczony dla niego. Jeden z szachowanych przez Sokołowa dżihadystów wrócił do samochodu po granatnik i przekradał się przez las z powrotem w stronę domu, szukając dogodnej pozycji do strzału, kiedy nagle dostrzegł inny, jeszcze bardziej atrakcyjny cel w postaci helikoptera. Tym sposobem odkrył karty i zepsuł całą niespodziankę.

Następny granat poleciał prosto w okno na piętrze, gdy tylko dżihadysta przeładuje broń.

Z tyłu domu na pierwszym i drugim piętrze znajdowały się zabudowane tarasy; ten na pierwszym piętrze Elizabeth nazwała przy kolacji „werandą sypialną”. Sokołow wyskoczył przez rozbite okno i wylądował na deskach werandy sypialnej. Jeżeli któryś z dżihadystów go zauważył (co było wielce prawdopodobne), to wiedzieli, że teraz mają szansę go dopaść. Nie będzie to proste (z bliska musieliby przestrzelić na wylot grube belki podłogi, a z większej odległości meble zasłonią im cel), ale obfite zapasy amunicji pomagają przezwyciężyć wiele przeszkód. Przewidywana długość życia Sokołowa na tarasie wynosiła znacznie poniżej sześćdziesięciu sekund.

Tak przynajmniej przedstawiała się sytuacja, zanim górne piętro domu eksplodowało. Facet od granatnika znalazł się na swojej robocie: dwoma strzałami unieszkodliwił helikopter i praktycznie zdekapitował budynek, w którym Sokołow uwił sobie snajperskie gniazdko.

Tym samym Sokołow stał się częścią wielgachnego rumowiska złożonego głównie z grubych bali i szukającego drogi ku ziemi. Weranda sypialna oderwała się od ściany domu i obróciła w locie, przez co oczywiście z niej wypadł, ale też odniósł mniejsze obrażenia, niż można by się było spodziewać. Niestety, tuż za werandą podążyły grube kłody i znaczna część konstrukcji dachu. Świat Sokołowa stał się nagle bardzo mroczny i bardzo ciasny, a gdy próbował poruszyć prawą nogą, nie posłuchała go, wysyłając w odpowiedzi tylko mrowienie, o którym wiedział, że jest zapowiedzią poważnego bólu.

* * *

Prowadzone przez Seamusa poszukiwania gwoździ, w które mógłby trafić swoim młotkiem, miały się ku końcowi, ponieważ większość gwoździ zginęła lub uciekła za dom, kryjąc się następnie wśród drzew, stosów drewna i zabudowań gospodarczych poważnie komplikujących topografię tego kawałka posiadłości. Było oczywiste, że powinien dokonać relokacji na pozycję położoną w dole zbocza, skąd będzie w stanie do kogokolwiek strzelać. Mimo to, wahał się. Wiedział, że Yuxia się uprze, żeby mu towarzyszyć, a nie chciał wciągać jej w coś, co musiało się przerodzić w zaciekłą szarpaninę na krótkim dystansie i walkę o każde drzewo. Jak pojedynek na siekiery w ciemnej piwnicy. Zastanawiał się właśnie, jak jej o tym powiedzieć, kiedy zauważył śmigłowiec. Maszyna unosiła się tuż nad wierzchołkami drzew, czyli znajdowała się właściwie na jednym poziomie z Seamusem. Gdyby był złym człowiekiem, mógłby jednym pociskiem przestrzelić hełmy obu pilotów, ale ponieważ nim nie był, dźwignął się na łokciach i odprowadził helikopter wzrokiem z cyniczną bezradnością weterana wojennego. Było bowiem oczywiste, że piloci z patrolu stanowego nie zdają sobie sprawy z niebezpieczeństwa, w jakim się znaleźli. Najprawdopodobniej przylecieli tu w odpowiedzi na niejasne zgłoszenie telefoniczne, w którym jakiś podekscytowany tubylec informował o strzałach w lesie, czyli o zdarzeniu powszednim w tych okolicach. Strażnicy - przypuszczając, że mają do czynienia co najwyżej z kłusownikami albo znudzonymi dzieciakami, które wyszły sobie postrzelać ze strzelby tatusia - postanowili zatoczyć kółko na niskim pułapie, by wlać bojaźń Bożą w serca szubrawców. Myśleli, że wrócą potem do domu, gdzie poświęcą popołudnie na picie kawy i sporządzenie wybitnie nudnego raportu.

Tymczasem za chwilę mieli zginąć.

Drugi pilot rozglądał się, obserwując ziemię i kręcąc głową. Zdarzały się takie chwile, w których Seamus mógł, czysto teoretycznie, mignąć mu na skraju pola widzenia, gdyby nie

był od stóp do głów ubrany w strój maskujący.

Zerwał się na równe nogi i zrobił kilka pajacyków. Zdjął kurtkę, odwrócił ją na lewą stronę i zaczął nią wywijać nad głową.

Helikopter odwrócił się do niego tyłem, jak pies, który podstawia zad do obwąchania, i zaczął się oddalać.

Seamus kątem oka zauważył czerwoną plamkę na ręce, tuż powyżej łokcia. Spuścił wzrok i stwierdził, że brakuje mu w tym miejscu kawałka ciała.

Yuxia poderwała się z ziemi, strzeliła i przeładowała strzelbę, wprowadzając ostatni nabój do komory.

* * *

Zuli nie szczęściło się ze sztucerem, a dżihadyści doskonale się ukrywali. Strzeliła jeszcze raz, ale znów nikogo nie trafiła, i zostały jej tylko dwa naboje.

Olivia skoczyła na równe nogi, kiedy górna połowa domu Jake'a przestała istnieć, i zdążyła zrobić kilka kroków w stronę osiadających ruin, zanim Marlon doskoczył do niej i powalił ją na ziemię. Leżał teraz obok, trzymał jej dłoń na ramieniu i próbował ją pocieszyć.

Zula wzdrygnęła się, wyczuwając jakiś ruch w pobliżu, i obejrzawszy się przez ramię, zobaczyła skradającego się na czworakach Csongora. Przypadł do ziemi i przysunął się do niej. Jej ciało zareagowało na to jak na bliskość kumpla, ale umysł wiedział, że w ten sposób Csongor tworzy żywą tarczę, osłaniając ją przed ewentualnymi strzałami z kierunku, którego najbardziej się obawiali.

- Nie musisz tego robić - powiedziała.

- Ciii. To całkowicie logiczne.

- Co ty powiesz...

- Ależ tak. Musisz odstrzelić klienta z tą wielką giwerą. To na pewno jakiś granatnik albo coś w tym guście. Nie możesz jednak tego zrobić, dopóki tamten palant - Csongor machnął pistoletem mniej więcej w tym kierunku, z którego dobiegały serie z broni maszynowej - do ciebie strzela. Dlatego ja się nim zajmę.

Zula zamierzała podyskutować z tą tezą, gdy nagle coś zagrzechotało nad ich głowami. Podnieśli wzrok, mrużąc oczy dla ochrony przed sypiącymi się z góry trocinami, i zobaczyli w ścianie szopy nierówną linię świeżych dziur po kulach.

Olivia z Zulą spojrzały sobie w oczy.

- Rozproszyc się! - wrzasnęła Zula i pobiegła na drugą stronę budynku.

Usłyszała głos Olivii tłumaczącej jej rozkaz Marlonowi, a potem kroki i ciężkie oddechy obojga, gdy rzucili się szukać innej osłony. Rozglądała się właśnie w poszukiwaniu

Csongora, gdy od strony podjazdu dobiegł odgłos kanonady, najdłuższej i najgłośniejszej z dotychczasowych. Kuląc się pod ścianą szopy, domyśliła się, że to Jake z sąsiadami przypuścili skoordynowany szturm na dom. Będą się posuwać wzdłuż podjazdu, a znajdujący się tam dżihadyści muszą się wycofać w stronę domu.

Czy ludzie Jake'a widzieli granatnik w akcji? Czy wiedzą, z czym mają do czynienia?

Czerpiąc z zasobów energii, których nie miała już prawa posiadać, wstała i zaryzykowała kilkunastojardowy sprint do stosu drewna, za którym wcześniej chował się Jake. Tam rzuciła się na ziemię i ostrożnie wystawiła głowę zza sągu, żeby ocenić sytuację.

W środowisku obfitującym w naturalnie nieregularne kształty wszystko co proste i gładkie natychmiast zwracało uwagę. W tej chwili widziała jeden taki obiekt, wystający zza pnia jednego z drzew. Nisko. Z całą pewnością dzieło ludzkich rąk. Ale nie karabin. Domyśliła się, że może to być lufa ręcznego granatnika. Poruszała się i drżała lekko, jakby właściciel broni szykował się do jej użycia.

Czyli do wystrzelenia pocisku w sam środek grupy, którą Jake prowadził podjazdem.

Zajęła zbyt niską pozycję. Usiadła więc, oparła się wygodnie o sąg i wzięła na cel przedmiot, który przed chwilą rzucił się jej w oczy.

Ze swojego nowego, wyższego punktu widzenia dostrzegła także głowę i ramiona mężczyzny, który klęczał za drzewem, zwrócony do niej plecami, z naładowanym granatnikiem na ramieniu.

Poczekala, aż nitki w celowniku przetną się dokładnie pomiędzy jego łopatkami, poruszyła palcem wskazującym i wybrała luz na spuście. W tej samej chwili usłyszała głośny trzask i coś zważyło się jej na głowę.

* * *

Człowiek z pistoletem maszynowym był denerwująco nieuchwytny. Kiedy na rozkaz Zuli rozbiegli się we wszystkie strony, powinien był strzelać długimi seriami, żeby trafić przynajmniej jedno z nich. W ten sposób ułatwiłby życie Csongorowi. On jednak wołał rozważnie wstrzymać ogień. Musiał zdać sobie sprawę, że taka kanonada na oślep byłaby tylko stratą amunicji.

Csongor był przekonany, że znalazł sobie całkiem rozsądną kryjówkę. Jako duży cel z małym pistolecikiem nie zamierzał ryzykować pojedynku biegowo-strzeleckiego z małym, nieuchwytnym człowieczkiem z bronią maszynową. Dlatego, mimo że przychodziło mu to z trudem, leżał bardzo nieruchomo i bardzo cicho i po prostu czekał, aż tamten ruszy się pierwszy. Przez dobrą minutę nic się nie działo, a ciszę mąciły tylko odgłosy wystrzałów na podjeździe.

A potem dżihadysta po prostu wstał (od Csongora dzieliło go jakieś dziesięć metrów) i strzelił serią z biodra. Sprawdził efekt, podniósł broń do ramienia i zaczął celować.

Strzelał do Zuli.

Csongor dźwignął się na jedno kolano, podniósł pistolet i wystrzelił sześć kolejnych kul. Kiedy skończył, nigdzie nie dostrzegł dżihadysty. Trudno było powiedzieć, czy zginął, czy tylko znów się gdzieś ukrył.

* * *

Na Zulę spadło polano strącone ze szczytu stosu przez - jak się domyślała - niezbyt celną serię z broni maszynowej. Nabiło jej brzydkiego guza, ale nic ponadto.

Wolała się nie zastanawiać, co to może oznaczać. Jeszcze raz wzięła na cel mężczyznę z granatnikiem, który nie ruszył się z miejsca i przykucnięty kręcił się w miejscu, lekko podnosząc lub opuszczając broń, gdy szukał dogodnego celu.

Nagle coś się zmieniło: do tej pory zachowywał się nerwowo, podrygiwał niespokojnie, teraz zaś sprężył się jak kot gotowy do skoku. Zula widziała, jak przykładła oko do muszki celownika i kładzie palec na spuście.

Postanowiła skoczyć pierwsza.

Pociągnęła za spust.

Nic się nie stało. Uświadomiła sobie, że przy uderzeniu polanem w głowę musiała odruchowo podkulić palec wskazujący i strzelić. Komora naboju sztucera była pusta.

Przeładowała, wprowadzając do komory ostatni nabój, szybko przymierzyła i strzeliła. Oderwawszy oko od lunetki, zdążyła zobaczyć, jak dżihadysta przewraca się do przodu. Jęzor ognia plunął w tył z wysokości jego ramienia. Strzelec zdążył odpalić granatnik, ale pocisk zrykoszetował na ziemi w odległości paru jardów, wbił się spiralnym lotem w powietrze i z rykiem zniknął w oddali.

* * *

- Okej, możesz iść ze mną - zgodził się Seamus. - Ale zachowaj ten ostatni nabój na coś naprawdę ważnego, dobrze?

I rzucił się biegiem w dół zbocza, podtrzymując karabin zdrowym ramieniem. Ranna ręka zwisała mu bezwładnie, krew ściekała po niej i skapywała z koniuszków palców. Potknął się i prawie przewrócił o zwłoki człowieka, który do niego strzelił, a potem został zmieciony strzałem ze strzelby Yuxii. Jones musiał go posłać z powrotem na górę z zadaniem wytropienia i zabicia tego denerwującego snajpera. A Seamus ułatwił to zadanie, kiedy wyskoczył mu prosto pod lufę.

Chociaż, z drugiej strony... Może w ten sposób ocalił życie? Gdyby dłużej leżał w

ukryciu, tropiciel podszedłby jeszcze bliżej, zanim otworzyłby ogień. A robiący pajacyki Seamus był tak kuszącym celem, że dżihadysta nie umiał się powstrzymać i zaczął strzelać, zanim znalazł się dostatecznie blisko, żeby skutecznie użyć pistoletu.

- Mam wziąć jego broń? - spytała Yuxia, przedzierająca się przez gąszcz za jego plecami.

- Świetny pomysł, skarbie! - odkrzyknął Seamus. - Tylko pamiętaj, że jak pociągniesz za spust, to wystrzeli.

- Okej.

- Od góry pistolet ma ruchomą część, taki suwak, który odskoczy w tył i wygryzie ci kawałek ręki, jeśli będziesz go trzymać w taki sposób.

- Mhm... - przytaknęła z roztargnieniem Yuxia.

- Mówię poważnie. Przesuń rękę w dół.

W końcu go posłuchała.

- W porządku? - spytał.

- To odsłonięty teren.

- W każdej chwili możesz się zatrzymać - przypomniał cierpko Seamus. - Biegniemy tędy, ponieważ właśnie rozgrywa się końcówka całej operacji, a my jesteśmy daleko od miejsca akcji. Muszę coś widzieć, żeby móc strzelać.

- Wykrwawiasz się na ziemię.

- To doskonale miejsce do wykrwawiania się.

Przebiegli dwieście jardów po obwodzie oczyszczonego z zarośli obszaru wokół domu. Nie znaleźli żadnego żywego dżihadysty. Samemu domowi przydarzyło się jakieś spektakularne nieszczęście, ale Seamus niewiele widział i jeszcze mniej rozumiał. Dotarło do niego, że najprawdopodobniej popada w szok pourazowy, i było mu z tego powodu trochę wstyd, bo ta rana ręki to przecież nic poważnego. Pomysł, żeby zbiec ze wzgórza na teren posiadłości, był z jego strony na wpół świadomą próbą zapomnienia o postrzale i skoncentrowania się na innych sprawach.

- Widzę skurwiela - oznajmił.

W odległości stu jardów mignęła mu głowa wysokiego mężczyzny. Seamus doskoczył do najbliższego drzewa, oparł się o nie, żeby pewniej wycelować, i przyklęknął na lewe kolano. Wcale nie planował tego przyklęku, to się stało samo. Noga po prostu się pod nim ugięła.

Przy każdym kroku coś ciężkiego obijało mu się o udo. Coś w prawej kieszeni spodni. Kiedy przyklęknął, prawe kolano poszło do góry, kieszeń została ściśnięta i ogromna ilość

ciepłego płynu wylała się z niej na prawy pośladek i udo.

Pierwszy raz od dłuższego czasu spojrzął w dół i stwierdził, że został również postrzelony z prawej strony w brzuch, a krew płynąca z rany zbierała się z niewiadomych powodów w tej właśnie kieszeni.

Leżał na wznak. Yuxia stała nad nim, zasłaniając rękami usta. Może nawet cicho krzyknęła.

Zdrową ręką podał jej karabin.

- Zastrzel go - powiedział. - Zastrzel Abdallaha Jonesa.

* * *

Csongor ostrożnie posuwał się do przodu, żeby sprawdzić, czy trafił człowieka z pistoletem maszynowym. Nagle usłyszał cichy szelest i zobaczył Abdallaha Jonesa, który stał nieruchomo i po prostu na niego patrzył. Csongor wycelował do niego z pistoletu. Równocześnie Jones wymierzył w niego z kałasznikowa.

Odległość była ciut za duża, żeby Csongor czuł się komfortowo. Ręce mu się trzęsły.

- To ty - powiedział Jones. - Gdyby to był ktokolwiek inny, już bym strzelił, a tak tylko stoję i nic nie rozumiem. Jakim cudem, Csongor? Jesteś Csongor, prawda?

- Tak.

- Co ty tu robisz, do diabła?

- To skomplikowana historia.

- Szkoda. Bo chętnie bym jej wysłuchał, ale na to oczywiście nie mamy czasu.

Jones podniósł kałasznikowa do ramienia.

Z boku dobiegł huk wystrzału. Znowu ten snajper. Jones spojrzął w tamtym kierunku. Nie wyglądał na zranionego. Snajper jakimś cudem chybił.

Csongor rzucił się na ziemię i zaczął strzelać na oślep, przez liście.

Kilkanaście kul poleciało mniej więcej w jego kierunku, ale Jones tylko próbował go w ten sposób zniechęcić do wychylania się. Skutecznie: zanim Csongor zebrał się w końcu na odwagę i podniósł głowę, Jones zniknął.

Od strony domu dobiegł pomruk niedużego silnika.

Csongor wstał i zobaczył Jonesa siedzącego okrakiem na quadzie. Dżihadysta w kilka sekund rozeznał się w przyrządach sterowniczych, zawrócił, wyminął dom i skierował się ku głównej drodze.

* * *

Sokołow nigdy w życiu nie doświadczył podobnego bólu. Liczył się z tym, że zanim sprawa zostanie ostatecznie zamknięta, może stracić nogę, zastanawiał się nawet, czy nie

wyjąć noża i nie przeprowadzić amputacji, ale poza tym czuł się nie najgorzej. Nie trafiła go żadna kula. Nie odniósł poważniejszych obrażeń, kiedy runęła weranda. Jej podłoga, która z łoskotem spadła tuż obok niego jak tępe ostrze gilotyny, które przepołowiłoby go, gdyby wylądował nieco dalej, przewróciła się następnie na bok, tworząc naturalny dach nad jego głową. Bala i inne szczątki, które się na nią posypały, zatrzymały się na niej, nie wgniótłszy jej w ziemię.

Był więc cały i zdrowy, tylko nie mógł się stąd ruszyć. W stercie bali ziało kilka sporych dziur, przez które mógł obserwować otoczenie. Przez niektóre nawet wystawił na próbę karabin, ale nikt nie wyszedł mu na cel.

Nagle usłyszał warkot uruchamianego quada.

Nie widział go (pokaźny kawał dachu przesłaniał mu widok po tej stronie), podejrzewał więc, że to Jake wrócił po swoją maszynę.

Przez chwilę silnik pracował na luzie, a potem kierowca dodał gazu, wrzucił bieg i zaczął objeżdżać dom i rumowisko, które przywaliło Sokołowa.

W luce między balami Sokołowowi mignęła głowa kierowcy. Jones.

Szarpnął się gwałtownie (ból jak fala uderzeniowa przeszył mu nogę) i przekręcił w taki sposób, żeby móc strzelić przez inną dziurę, przed którą, jak sądził, Jones powinien niebawem przejeżdżać.

Co też Jones grzecznie uczynił. Gdy tylko quad pojawił się w polu widzenia, Sokołow kilka razy pociągnął za spust.

Silnik zachrząścił i zgasł. Jones zaklął, ale siłą rozpędu przejechał dostatecznie daleko, żeby zniknąć Sokołowowi z oczu. Sokołow usłyszał, jak zsiada z quada i zdejmuje karabin z ramienia. Przy skraju otworu, przez który patrzył Rosjanin, mignęła lufa kałasznikowa.

Jednakże strzały, które chwilę później usłyszał, nie rozległy się wcale blisko i nie pochodziły z kałasznikowa. Ktoś strzelał z pistoletu z dużej odległości. Nawet z dwóch pistoletów.

* * *

Jones - całkowicie odsłonięty na tle drewnianego rumowiska i nękany niecelnymi strzałami z pistoletów - nie mógł się schować za stertą bali, ponieważ wiedział, że gdzieś w jej wnętrzu czai się uzbrojony przeciwnik. Przetoczył się po ziemi, zerwał na równe nogi i zaczął biec w kierunku, z którego przybył. W ten sposób oddalał się od domu.

Kiedy jego zamiary stały się oczywiste, Yuxia wyskoczyła z ukrycia i pognęła za nim, klnąc wściekle i strzelając na oślep, aż skończyły się jej naboje w magazynku. Jones zdążył tymczasem zniknąć w lesie u stóp wzgórza.

* * *

Kilka minut po tym, jak Seamus z Yuxią zostawili go samego, Richard zmusił się do wstania i, utykając, ruszył w górę szlaku. Nałykał się tyle ibuprofenu, ile jego organizm był w stanie znieść, i owinał nadwyrężoną kostkę prowizorycznym bandażem z pociętego na paski ubrania Jahandara. Długa gałąź, okorowana i ociosana z bocznych gałązek, służyła mu za kostur. Droga przez góry, czyli wspinaczka na płaski szczyt skalnej wieży i długi trawers piarżyska, byłaby w jego obecnym stanie wielogodzinną męczarnią, ale nie był to jedyny sposób, żeby dotrzeć do domu Jake'a. Mógł pójść dołem, drogą na skraju lasu, przez stary, dawno opuszczony obóz górniczy. Potem wystarczyłoby przeciąć boczny grzbiet Abandon Mountain i zejść w dolinę Prohibition Creek.

Ta druga możliwość wyglądała zachęcająco, Richard zboczył więc ze szlaku tuż przed tym, jak ścieżka wyszła ponad piętro lasu, i pokuśtykał na południe. Trochę się bał, że w ten sposób rozpoczyna mozolny, niekończący się marsz ku śmierci, ale kiedy złapał rytm, posuwał się naprzód całkiem szybko, a na pewno niewiele wolniej, niż gdyby miał zdrową kostkę.

Na pierwszym odcinku (od szlaku do obozu górniczego) kilkakrotnie napotykał spore trudności, zwłaszcza w jednym miejscu, gdzie był zmuszony podejść kawałek po piargu w poszukiwaniu dogodnego trawersu. W końcu wypatrzył ścieżkę wydeptaną w skalnym osypisku przez kilkanaście poprzedzających go osób. Świeżość śladów i obecność śmieci dowodziła, że podąża tropem oddziału Jonesa. Kiedy pokonał już najtrudniejszy fragment (co wiązało się między innymi z małym dupozjazdem), zaparł się kosturem o piarg, żeby nie zjechać z lawiną po zboczu, i w końcu wyszedł na skrawek płaskiego terenu, który, jeśli pamięć go nie zawodziła, powinien doprowadzić do obozowiska. W tym miejscu dżihadyści rozeszli się w tyralierę, żeby przeprowadzić rekonesans. Richard ruszył ich śladem, sapiąc jak lokomotywa i wspierając się ciężko na kosturze.

Myślami był zupełnie gdzie indziej. Ostatnie dni stanowiły dziwnie orzeźwiająca odmianę od internetowego stylu życia, jaki wiódł od paru lat - nagle okazało się, że można mieć poważniejsze problemy na głowie. Pomału jednak ośmielał się myśleć, że wszystko się ułoży. Zula na pewno dotarła już bezpiecznie do Jake'a, on sam wkrótce do nich dołączy, Jones przepadnie bez śladu w głuszy na pograniczu Idaho i Montany albo zostanie schwytany, życie rodziny Forthrastów wróci do normy. Od razu pomyślał o spiętrzonych w oczekiwaniu na odpowiedź e-mailach i tweetach, o wszystkich niezalutowanych sprawach i - przy okazji - o Edgodzie. Ciekawe, co porabia. Zwłaszcza że Richard był przecież zalogowany i prowadził go, kiedy Jones odciął mu połączenie z Internetem. Edgod powinien przestawić się na

wykonywanie autoczynności, która w jego wypadku oznaczała przemierzenie - pieszo! - tysięcy mil w drodze powrotnej do pałacu na szczycie góry. To na pewno zwróci powszechną uwagę w *T'Rainie*, oględnie mówiąc. Zastanawiał się, ile postaci na wysokich poziomach postanowiło skorzystać z okazji i zaatakować Edgoda; ciekawe, czy którejs udało się załatwić staruszka. Próbował sobie przypomnieć, jak wygląda świat *T'Rainu* pomiędzy Carthinias i ojczyznę Edgoda. Wyobraził sobie, jak wiekowy czarodziej brnie przez bagna, wlecze się uparcie przez pustynie, wspina na kolejne góry i maszeruje przez las.

Prawie jak Richard teraz. Edgod miał oczywiście kostur czarodzieja - zwyczajny kawał kija, bez rzeźbień, ozdób, klejnotów. Tak jak Richard. Edgod miał długą siwą brodę, Richard - kilkudniowy szpakowaty zarost. No i Edgod nie musiał nosić ciężkiego zdobycznego rewolweru zatkniętego za pasek od spodni. Ba, Edgod w ogóle nie miał paska. Jednakże, pomimo tych różnic, Richarda ogromnie cieszył fakt, że w tym samym czasie wędrują z Edgodem po świecie (każdy po swoim) i oglądają go z bliska w sposób, który rzadko im się zdarzał. Na nowo nawiązywali kontakt z ziemią, z której dawno temu wyrosli.

I najprawdopodobniej obu osaczali nieznani wrogowie. Richard w swoim śnie na jawie kompletnie zapomniał o pumie. Wykonał teraz powolny piruet wokół kostura, żeby sprawdzić, czy coś nie próbuje na niego zapolować. Tyle że celem polowania jest przecież to, żeby zwierzyna nie zorientowała się, że jest zwierzyną. Przez minutę lub dwie stał nieruchomo i tylko słuchał. Chłonał naturę całą świadomością. Cieszył się chwilą. Ponieważ już niedługo ta część jego życia dobiegnie końca i zejdzie w dolinę Prohibition Creek, tak jak zrobił to w tamto jesienne popołudnie w siedemdziesiątym czwartym, taszcząc niedźwiedzią skórę. Tylko że teraz zamiast zapomnianej chatki przemytników znajdzie sympatyczny i nowoczesny dom z Internetem, pełen ludzi, którzy koniecznie będą chcieli z nim porozmawiać.

Kiedy uznał, że jest gotowy, okręcił się na pięcie i po odcisniętych w błotnistym gruncie śladach dżihadystów wyszedł z lasu na odsłonięty teren starego obozowiska górniczego.

Jakiś mężczyzna szedł w jego stronę z karabinem przewieszonym przez ramię. Dzielilo ich dwieście metrów. Poruszał się znużonym, nierównym krokiem człowieka, który wie, że powinien biec, ale nie jest w stanie wykrzesać z siebie dość siły. Czasem odwracał się i kilka kroków szedł tyłem, podobnie jak Richard przed chwilą, gdy przypomniat sobie o pumie, tyle że w przeciwieństwie do Richarda on przepatrywał także niebo. Całkiem słusznie zresztą, bo, wynurzywszy się z lasu, Richard usłyszał co najmniej jeden helikopter.

Mężczyzna odwrócił się w przód i zamarł, patrząc prosto na Richarda. To był

Abdallah Jones.

Richard miał ochotę sięgnąć za plecy i wyciągnąć zza paska rewolwer, ale mimo długiej lufy i wielkiego kalibru przy tej odległości nie miał co liczyć na celny strzał. Lepiej było nie przyznawać się w ogóle, że ma broń. Wsparł się na kosturze i przyklęknął na jedno kolano. Patrzyli sobie w oczy przez rzadką zasłonę krzewów. Jones sięgał po karabin: miał kałasznikowa. Richard uklęknął na drugie kolano, potem opadł na czworaki i przemknął kawałek w bok w tej samej chwili, gdy kilka wystrzelonych na próbę kul świsnęło mu nad głową i plasnęło w rozmiękłą ziemię za jego plecami.

Trudno było mu poruszać się na czworakach, nie potrącając krzaków, a po tym Jones mógł go zlokalizować. Zresztą, i tak zostawiał za sobą szeroki wygnieciony szlak, którym Jones mógł iść tak długo, aż znajdzie dobrą pozycję do strzału. Obejrząwszy się przez ramię, Richard spostrzegł ten szlak, zawstydził się jego szerokością i - nawet tutaj! - usłyszał głos jednej z muz i furii, która upomniała go, że powinien schudnąć. Gdyby poruszał się zygzakiem, poszatkowałby szlak na kawałki i utrudnił Jonesowi przewiercenie mu tego grubego dupska kulą z karabinu, ale też wyraźnie by zwolnił. Dlatego musiał jak najszybciej znaleźć jakąś kryjówkę i zmusić Jonesa do odsłonięcia się.

Przywołał w pamięci widok, który podziwiał tuż przed tym, jak zauważył Jonesa: zrujnowana chałupa z bali powinna znajdować się nie dalej niż pięćdziesiąt jardów od niego i całkiem blisko lasu. Z miejsca, w którym się znajdował, mógł dopaść drzew jednym krótkim i bolesnym sprintem. Zaczął się czołgać w stronę drzew, nasłuchując od czasu do czasu, żeby zlokalizować Jonesa.

Jones ułatwił mu zadanie.

- Dodge?! - zawołał. - Kim jest twój tajemniczy kolega?!

Richard zerwał się na równe nogi, sprintem popędził w stronę lasu i przypadł do ziemi, gdy tylko usłyszał strzały. Prawdę mówiąc, określenie „sprint” było okrutnie optymistycznym opisem jego ruchów; oznaczało tylko tyle, że poruszał się najszybciej jak mógł. Znowu parę kul świsnęło mu koło ucha, tak przynajmniej podejrzewał, sądząc po dziwnych dźwiękach, jakby gdzieś niedaleko ktoś rozszarpał molekuły na kawałki. Z miejsca, gdzie padł na ziemię, wystarczyło się przeczołgać kawałek po błocie, żeby znaleźć się w lesie. Tam poczuł się na tyle bezpiecznie, że w kucki przekradł się do punktu, w którym od zawałonej chaty dzielił go dosłownie rzut kamieniem.

Widział Jonesa, idącego bez pośpiechu jego tropem przez tę część obozu, gdzie Richard przed chwilą biegał, skradał się i czołgał. Dżihadysta patrzył (całkiem rozsądnie) głównie przed siebie, w stronę lasu, ale co chwila oglądał się przez ramię w stronę miejsca, w

którym Richard pojawił się w obozowisku. Wykorzystując taką chwilę nieuwagi, Richard wyskoczył z kryjówki i „sprintem” pokonał mniej więcej połowę dystansu do chaty, cały czas mając baczenie na Jonesa, który w końcu go zauważył i wziął na cel. Wtedy Richard znowu padł na ziemię i doczołgał się do zwałonego budynku. Kule karabinowe zamruczały w powietrzu. Gdyby Jones miał nieograniczony zapas amunicji, strzelałby znacznie intensywniej i prawie na pewno trafił Richarda, mimo że - co było oczywiste - nie bardzo wiedział, gdzie go dokładnie szukać. Wyglądało jednak na to, że oszczędza naboje. Richardowi bardzo to odpowiadało, zaczął się jednak zastanawiać, co takiego przytrafiło się Jonesowi przez ostatnie kilka godzin, że został zmuszony do odwrotu, sam i z ograniczonymi zapasami. Co się wydarzyło rankiem nad Prohibition Creek?

W końcu, bezpieczny za węglem chaty, wstał, poczłapał do nieistniejących drzwi frontowych, wszedł do środka i w półmroku potknął się o coś miękkiego, co okazało się ciałem zabitego Erasto. Dobierały się już do niego muchy. Skąd one się biorą w takich sytuacjach?

Powstrzymując silny odruch wymiotny, Richard obmacał trupa w poszukiwaniu broni. Ktoś go jednak uprzedził i odciążył zmarłego towarzysza ze wszystkiego poza jednym magazynkiem do pistoletu.

Na kolanach przeszedł po spróchniałych resztkach dachu, przekradł się do okna, na chwilę wystawił głowę i zaraz ją schował. Jones zmienił kurs i w tej chwili kierował się w stronę chaty, trzymając broń na wysokości ramienia, gotową do strzału.

- Następny Forthrast chowa się w ruinach domku z bali i czeka na śmierć - powiedział.
- Jesteście konsekwentni, to wam trzeba przyznać. Nie mam, niestety, takiego granatnika, jak ten, którego użyliśmy koło domu twojego brata, ale skutek będzie taki sam: kupa martwego mięcha w zawalonej chałupie.

Gdyby Richard był młodszy, taka gadka mogłaby poruszyć go do głębi, lecz teraz puszczał słowa Jonesa mimo uszu i używał ich wyłącznie jako sygnału naprowadzającego. Wyjął już rewolwer, obejrzał bębenek i potwierdził, że zawiera całe pięć naboje. Oparł kciuk na masywnym kurku i odwiódł go do pozycji, w której został napięty i zablokowany.

- Bo widzisz - ciągnął Jones - popełniłeś błąd, dopuszczając mnie tak blisko. Granat wcale nie musi mieć napędu raketowego.

Richard siedział na podłodze przy oknie i patrzył na wpadający przez nie snop światła, gdy nagle zobaczył jakiś przedmiot, który wleciał do chaty, odbił się od przeciwległej ściany i spadł na podłogę (która kiedyś była dachem). Odbił się kilka razy i znieruchomiał prawie w zasięgu ręki. Richard rzucił się ku niemu i zacisnął na nim dłoń w tej samej chwili, gdy

świadoma część jego umysłu rozumiała, co trzyma w ręce: granat. Później doszedł do wniosku, że najrozsądniej byłoby odrzucić go Jonesowi przez to samo okno, ale łatwiejszy, bardziej oczywisty i szybszy był rzut przez framugę drzwi. Tam więc odrzucił granat, który, jak z ulgą stwierdził, spadł za cementowy próg i zniknął mu z oczu, co oznaczało, że Richard nie znajduje się na trajektorii lotu odłamków. Granat eksplodował i przez kilka następnych sekund w życiu Richarda nie istniało nic innego.

Ale tylko przez kilka sekund. Za długo czekał, zareagował zbyt zachowawczo i tylko ślepy traf ocalił go przed skutkami wybuchu. Dlatego teraz zerwał się na nogi (lekką się przy tym zachwiał, nie tylko z powodu osłabionej kostki, ale także na skutek wywołanego eksplozją zamętu w mózgu) i przywarł plecami do ściany przy otworze okiennym. Widział wycinek obozu, lecz Jones się w tym wycinku nie mieścił. Wystawił rewolwer przed siebie, okręcił się na zdrowej stopie i pokazał w oknie na chwilę dość długą, żeby rozejrzeć się po okolicy.

Jones znajdował się w przybliżeniu na godzinie dziesiątej i znacznie niżej, niż Richard się spodziewał: najprawdopodobniej rzucił się na ziemię przed wybuchem granatu i dopiero gramolił się na nogi. Widząc, że Richard go dostrzegł, rzucił się w bok i przekoziołkował w stronę chaty. Richard śledził rewolwerem jego ruch, ale w tym samym momencie, w którym postanowił pociągnąć za spust, uderzył łokciem w krawędź otworu okiennego. Rewolwer wydał odgłos, który zabrzmiałby ogłuszająco, gdyby nie fakt, że przed chwilą za progiem eksplodował granat, i kula wycięła sobie drogę w gęstych chwastach niespełna stopę od głowy Jonesa. Jones natychmiast uniósł karabin, ale Richard już cofał się od okna. Prawdę powiedziawszy, odskoczył tak gwałtownie, że stracił równowagę i z impetem wylądował na tyłku.

W tej chwili dzieliły ich zaledwie cztery stopy przestrzeni i zbita z bali ściana chaty.

Richard mógł zaczekać, aż Jones przesunie się w taki sposób, że wystawi mu się na strzał przez szparę pomiędzy balami. Mógł wyjść tą samą drogą, którą wszedł, obejść dom i spróbować strzału zza węgła. Mógł również jeszcze raz pokazać się w oknie i strzelić naprawdę z bliska.

Właśnie naciągał kurek rewolweru, kiedy Jones otworzył ogień z kałasznikowa. Całe ciało Richarda się wzdrygnęło i niewiele brakowało, żeby zwolnił kurek, jednak karabinowe kule nie przeszły ścian chaty. Nie miały prawa, jeśli wziąć pod uwagę pozycję Jonesa. Do czego w takim razie strzelał?

Nagle Richard doszedł do wniosku, że za dużo kombinuje.

To była regularna strzelanina, najprostsza rzecz pod słońcem, a on niepotrzebnie ją

komplikował. Próbował ją dopasować do siebie, chciał w sprytny sposób obejść jej prawdziwą naturę, za wszelką cenę przetrwać cały i zdrowy. Tymczasem jego przeciwnik miał w dupie, co się z nim stanie, bo na dobrą sprawę już był trupem, co dawało mu przewagę, którą Richard mógł zniwelować tylko w jeden sposób: przyjmując taką samą postawę. W młodości przychodziło mu to naturalnie - to dlatego zastrzelił niedźwiedzia ze strzelby i zrobił masę innych nierozważnych rzeczy. Dopiero potem zmienił się pod wpływem sukcesu i pieniędzy i na myśl o swoich dawnych przygodach odczuwał autentyczną zgrozę. Teraz jednak musiał przypomnieć sobie tamto nastawienie. W przeciwnym razie Jones go zabije.

Wszystko pojawiło się w jego głowie w jednej chwili, znikąd, jakby furie postanowiły akurat teraz darować sobie złorzeczenie mu - być może na zawsze - i słyszał wyłącznie anielski śpiew muz.

Wstał i, trzymając rewolwer w jednej ręce, wystawił go za okno i wycelował w dół.

Jones siedział na ziemi, oparty plecami o ścianę chaty, i celował z karabinu nie w Richarda, lecz w rozpościerającą się przed nim przestrzeń. Z jakiegoś powodu właśnie tam postanowił strzelać.

Zadarł głowę i spojrzał Richardowi w oczy.

- To tylko jakiś przeklęty wielgachny kocur! - wykrzyknął.

Richard pociągnął za spust i strzelił mu w głowę.

Jeszcze raz napiął kurek i przez kilka sekund nie ruszał się, gotowy do strzału, chcąc mieć pewność, że nie są to tylko pobożne życzenia i wzrok go nie myli - ale nie. Jones był martwy, bez dwóch zdań.

W końcu oderwał wzrok od tego, co zostało z Jonesa, i spojrzał na pola chwastów i ciągnący się za nimi pas krzewów. Wcale nie było dla niego jasne, co wprawiło Jonesa w takie zdumienie tuż przed śmiercią. Świeże wiosenne liście nie wychynęły jeszcze z pąków i cały krajobraz miał płowobrunatny odcień zeszłorocznej roślinności, ale w końcu oczy Richarda wyłowiły zeń twarz. Tak, twarz, z całą pewnością. Chociaż nie ludzką. Ludzie nie miewają złotych oczu.

Para oczu wpatrywała się w niego dostatecznie długo, żeby poczuł rozlewające się po policzkach ciepło. Zacerwienił się. Musiała to być jakaś atawistyczna reakcja na obserwację. Oczy mrugnęły i drobny łeb pumy zwrócił się w bok, gdy zastrzygła uszami w reakcji na coś niewidzialnego. A potem okręciła się w miejscu i zaczęła oddalać. Richard zobaczył jeszcze tylko owłosiony ogon, który trzasnął jak bicz, i białe poduszki łap.

EPILOG

Farma Forthrastów, północno-zachodnia Iowa

Święto Dziękczynienia

Ostatnio Richard spędzał na farmie znacznie więcej czasu niż zwykle, głównie dlatego, że został wykonawcą testamentu Johna. Ponieważ Alice nadal żyła, jego zadanie okazało się stosunkowo proste - nie musiał przekopywać się przez cały majątek brata, ważne były tylko te jego elementy, którymi Alice nie była zainteresowana, czyli narzędzia, broń, ekwipunek myśliwski i turystyczny oraz ubrania. Kiedy rozdzielił to wszystko pomiędzy czterech synów i zięciów Johna i Alice, zostało dosłownie kilka drobiazgów. Największy problem - pod względem emocjonalnym - stanowiły sztuczne nogi. Ponieważ Richard miał zwyczaj kupowania Johnowi nowych protez za każdym razem, kiedy wpadła mu w oko informacja o jakiejś ciekawej innowacji w tej dziedzinie, nabrało się ich całkiem sporo i piętrzyły się w kącie na strychu jak drewno na rozpałkę. Poświęcił całe jedno łzawe popołudnie na ich przesortowanie, zanim wpadł na pewien pomysł, może niezbyt praktyczny, ale taki, który w jakimś sensie wydał mu się słuszny. Odezwał się do Olivii, która powiedziała, że „może się skontaktować” z Sokołowem. Wymienili kilka e-maili zawierających wymiary i fotografie, z których wynikało, że pod względem wzrostu, wagi, długości nogi i rozmiaru buta Sokołow bardzo przypomina Johna. Pod wieczór Richard wylądował u lokalnego agenta UPS i wysłał pod wskazany angielski adres paczkę zawierającą kilkanaście bardzo drogich sztucznych nóg z włókna węglowego. Oczywiście, niezbędne było jeszcze dopasowanie końcówek i inne drobne modyfikacje, ale ostatecznie Sokołow stał się posiadaczem znacznie przyjemniejszych protez niż te zapewniane przez brytyjską publiczną służbę zdrowia.

O jedenastej, po powrocie z nabożeństwa żałobnego - na którym uczczono pamięć nie tylko Johna, ale także Petera, Cheta, Siergieja, Pawła, myśliwych, właścicieli kampera i dwóch sąsiadów Jake'a - Zula podłączyła swój laptop do ogromnego płaskiego telewizora u dziadka na werandzie i przez Skype'a połączyli się z Olivią w Londynie. Właśnie wróciła z pracy i wyglądała wypisz, wymaluj jak nieskazitelnie elegancka analityczka agencji wywiadowczej. Po nawiązaniu połączenia namówiła Zulę, żeby przysunęła twarz do wbudowanej kamerki w laptopie i pochwaliła się nowym sztucznym zębem - był nie do

odróżnienia od tego, który straciła - oraz wargą, na której pozostała cienka jak włos blizna i małe wcięcie - które zresztą, jak Zula wyjaśniła Olivii, można było naprawić, ale ona postanowiła je zachować. Olivia z zapalem przyznała jej rację i odgarnęła włosy (które zaczęła zapuszczać), odsłaniając, jak to powiedziała, „bliznę Frankensteina”, na którą zapracowała jeszcze w Xiamen.

Po tej wymianie uprzejmości Zula odsunęła się od kamery. Olivia życzliwie skomentowała sukienkę, którą włożyła do kościoła, na co Zula odpowiedziała niby-skromnym dygnięciem, po czym przygładziła sukienkę pod pupą i usiadła na kanapie obok Dziadunia.

- Na Boga, kim są ci wszyscy wytworni dżentelmeni?! - wykrzyknęła Olivia. - Obracasz się w doskonałym towarzystwie, moja droga.

Z drugiej strony obok Zuli siedział Csongor, ubrany w czarny garnitur, kupiony pośpiesznie w Walmarcie, w dziale dla tęgich i wysokich. Z ponadczasową niezdarnością zalotnika, który zapuścił się daleko na terytorium wroga, wyciągnął rękę i położył ją na oparciu kanapy, żeby objąć Zulę. Nastąpiło krótkie slapstickowe interludium, gdy zahaczył dłonią o dziaduniową rurkę z tlenem i ją przekrzywił. Na szczęście, Richard zdążył już przeczytać wszystkie instrukcje obsługi systemu podtrzymywania życia Dziadunia, z udawaną zgrozą doskoczył więc do aparatury, z komicznym zaaferowaniem poprawił, co należało, i zaproponował tacie szybką reanimację. Nikt właściwie nie wiedział, na ile Dziadunio nadaża za rozwojem wydarzeń, ale, sądząc po wyrazie jego twarzy, zdawał sobie sprawę, że to tylko zabawa.

- A co u ciebie? - zagadnęła Zula, gdy po jej stronie łącza zapanował względny spokój. - W jakim towarzystwie ty się obracasz, kochaniutka?

Olivia, która trzymała laptop na stole w kuchni, wzniosła oczy ku niebu i westchnęła teatralnie, jakby przyłapano ją na wielkim oszustwie. Jej dłonie urosły nagle w obiektywie, gdy sięgnęła po laptop, a potem całe mieszkanie zawirowało w kadrze i zobaczyli Sokołowa, który, ubrany w szlafrok, popijał kawę i czytał książkę. Na nosie miał okulary do czytania, nadające mu dziwnie profesorski wygląd. Ten widok wywołał wiwaty ekipy z Iowa. Sokołow zasalutował im filiżanką i upił łyk kawy.

- Nie za późno tam u was, żeby dopiero wstać z łóżka i brać prysznic? - zażartował lubieżnie Richard.

Sokołow trochę się zmieszał. Zza kadru usłyszeli głos Olivii, która tłumaczyła mu coś po rosyjsku. Kiedy zrozumiał żarcik, spojrzał łaskawym wzrokiem w kamerę i odparł:

- Właśnie wróciłem z siłowni.

Odchylił się na oparcie krzesła i położył nogę na stole. Była zrobiona z włókna węglowego i wydała się Richardowi dziwnie znajoma. Siedzący na sofie obserwatorzy milczeli, w końcu Richard się odezwał:

- Pasuje ci.

- To niska cena - powiedział Sokołow. - Bardzo niska.

Specyfika łącza wideo utrudniała stwierdzenie, na kogo w tej chwili patrzył, ale Zula miała nieodparte wrażenie, że to spojrzenie i te słowa były adresowane właśnie do niej.

- Wszyscy za coś zapłaciliśmy - odparła. - Każdy inaczej. Nie zawsze była to uczciwa cena.

- Ty nie miałaś za co płacić - zaproponował Sokołow.

- Ależ miałam, jak najbardziej.

Cisza, która zapadła po tych słowach, była bardziej niż krępująca, więc gdy tylko Olivia uznała, że przeciągnęła się przyzwoicie długo, weszła w kadr, stanęła za plecami Sokołowa i zagadnęła:

- A powiedzcie mi... co słyhać u Marlona?

- Później się do niego odezwiemy przez Skype'a - odparł Csongor. - W Pekinie jest teraz wczesny ranek.

- To on nie pracuje już po nocach?

- Nolan zatrudnia go w normalnych godzinach - wyjaśnił Richard. - Owszem, jeszcze parę godzin temu nie spał i w najlepsze grał w *T'Rain*, ale lepiej niech się chwilę zdrzemnie, zanim mu to pokazemy. - Zamaszystym gestem wskazał towarzystwo usadowione na kanapie.

- Moim zdaniem jesteście bardzo sympatyczną ekipą. Żałuję, że rząd Jej Królewskiej Mości nie świętuje Dziękczynienia, bo już bym tam u was była. - Spuściła wzrok. - Oboje byśmy byli.

- Urząd imigracyjny - przypomniał ponuro Sokołow.

- Załatwimy to - zapewniła go Olivia.

Na zewnątrz rozległy się strzały. W Iowa nikt nie wiedział, jak zabrzmiały po drugiej stronie łącza, ale wyraz twarzy Sokołowa natychmiast się zmienił.

- To nic takiego! - pośpieszyła z zapewnieniem Zula. - Czekajcie, pokażę wam.

Wzięła laptop do ręki i przeniosła go najbliżej okna, jak tylko się dało, nie wrywając kabli. Wycelowała kamerkę w stronę wąwozu.

Prawdę mówiąc, dla Richarda wcale nie było to „nic takiego”. Od pół roku obawiał się tej chwili. Na odgłos strzałów natychmiast przypominał sobie rzeczy, które wolałby zapomnieć. W Seattle chodzili z Zulą do tego samego specjalisty od leczenia stresu

pourazowego.

Sęk w tym, że czajenie się przez cały dzień w domu wcale nie pomagało, a dołączenie do strzelców raczej nie mogło mu bardziej zaszkodzić. Zakończyli więc skype'ową rozmowę czułymi słówkami i zapewnieniami o gotowości do przyszłych transatlantyckich odwiedzin, wszyscy poza Dziaduniem włożyli ciepłe ubrania i ochronne słuchawki i podreptali w stronę wąwozu. Zastali tam Jake'a, Elizabeth i trójkę ich synów, którzy wzięli sobie tydzień wolnego od odbudowy domu, żeby przyjechać do Idaho, spotkać się z bliższą i dalszą rodziną i złożyć kwiaty na grobie Johna. Chłopcy - wychowani w dziczy i uczeni w domu - niezbyt pasowali do tłumu na ro-zjeździe, złożonego w większości z zamożnych obywateli Środkowego Zachodu, ale teraz byli w swoim żywiole: chodzili tam i z powrotem wzdłuż szeregu strzelców, pomagali kuzynostwu przy zacinającej się broni i doradzali, co robić, żeby celniej strzelać. Dzień był prawie bezwietrzny, prawdziwe błogosławieństwo dla spacerowiczów i strzelców. Tylko wiatraki produkowały niewiele energii.

Richard właśnie majstrował przy jednym (sporo się na ich temat nauczył, odkąd musiał przejąć obowiązki Johna), kiedy zobaczył SUV-a skręcającego z autostrady na żwirową drogę prowadzącą na farmę. Samochód przejechał mniej więcej sto stóp, nim zatrzymał się na zainstalowanym przez patrol stanowy punkcie kontrolnym, który oficjalnie miał powstrzymać terrorystów, gdyby ci chcieli się mścić na Forthrastach, ale przy okazji odpierał też szturm namolnych dziennikarzy. Z tej odległości Richard nie widział, kto prowadzi, ale z zachowania strażnika wnosił, że kierowca jest osobą godną szacunku. Brama została otwarta, SUV wjechał na teren farmy i z głośnym jazgotem skierował pod dom, wzniesając tumany kurzu.

- Przyjechali - powiedziała Zula, która najwyraźniej też wszystko widziała. W słuchawkach jej głos był przytłumiony i niewyraźny.

- Muszę cię ostrzec: nie ma na świecie drugiego tak wygadanego i pogodnego pacjenta z kolostomią.

- To chyba dobrze?

- Pogoda ducha jest dobra, ale wygadanie bywa problematyczne. Zwłaszcza jeśli przy kolacji gęba mu się nie będzie zamykała. - Richard spojrział na bratanicę. - Gęba albo inne otwory. Widzisz? Już zaczynam.

- Może przy Yuxii będzie grzeczniejszy. Poza tym, to tylko tymczasowe, prawda?

- Co? On i Yuxia? Kto wie?

- Właściwie to miałam na myśli kolostomię...

- Tak, tymczasowe. Za to dowcipy na jej temat są wieczne.

Powoli ruszyli w stronę drogi.

- A co z tobą i Csongorem? - spytał Richard, oglądając się przez ramię na Węgra, który strzelał z pistoletu, słuchając krytycznych uwag Jake'a.

- To może być trwale. Kto wie? Jeżeli dożyje jutra i nadal będzie chciał mieć do czynienia ze mną i moją rodziną, to może uda nam się porozmawiać.

- Przeżył gorsze rzeczy niż ro-zjazd.

- Gorsze w inny sposób.

SUV zjechał ze żwirówki w odległości paru jardów od nich. Okno po stronie kierowcy zjechało w dół.

- Co za ulga! - zawołał Seamus. - Już myślałem, że mi się z worka ułało, kiedy Yuxia zauważyła, że właśnie mijamy farmę świń.

Yuxia wyskoczyła z fotela pasażera, zanim jeszcze samochód znieruchomiał, i rozpoczęła powitanie z Zulą, polegające na zderzeniu ciała z ciałem oraz wymianie pisków tak głośnych, że opiekuńcza elektronika w słuchawkach Richarda poczuła się zobowiązana interweniować. Richard spojrzał na Seamusa i udał, że przykręca potencjometry do minimum.

- Cieszę się, że twój bostoński klan zgodził się wypożyczyć cię nam na Dziękczynienie - powiedział, ściskając dłoń Seamusa, który przez ten czas wygramolił się z wozu i rozprostował kości.

- Boją się wiejskiego poczucia humoru, więc wysłali mnie na wieś. Spotkamy się na Boże Narodzenie. Yuxia planuje rzetelny rekonesans kulturowy, zanim się bardziej zaangażuje.

- Pocałowałeś ją już?

- Ciągle mi się wymyka. Gdybym próbował nalegać, że niby coś mi się należy, rozumiesz, wyrwałaby mi nową dziurę w...

- Nie musisz kończyć.

- Wracając do twojego pytania, Dodge: wydaje mi się, że czeka, aż będę miał przewód pokarmowy w jednym kawałku, zanim spróbuje wejść w kontakt z którąkolwiek jego częścią. Chociaż jakiś tam postęp jest, nie powiem... Może nie taki, jakiego spodziewałbyś się po Amerykance, ale kiedy zadajesz się z Wielkostopą Kobieta, musisz bardzo uważać.

Zula i Yuxia odkryły tymczasem, że mają takie same zimowe buty, w których ich stopy wydawały się naprawdę ogromne, i czerpały z tego faktu radość większą, niż Richard pomyślałby, że to możliwe.

- Gotowy, żeby wejść do środka i dziękczynić?

- Przecież wiesz - odparł Seamus.

PODZIĘKOWANIA

Kilku osobom należą się podziękowania i uznanie za pomoc udzieloną mi w chwilach, gdy moja ignorancja hamowała moje wysiłki - żadna z nich nie ponosi jednak odpowiedzialności za te fragmenty, w których coś zrobiłem źle. Najważniejszą z tych postaci jest Josh D'Aluisio-Guerrieri, wytrawny znawca współczesnych Chin; dzięki jego umiejętnościom translatorskim i talentowi do nawigacji kulturowej książka ta jest znacznie lepsza, niż gdybym musiał sam sobie z nią radzić. Jestem również dłużnikiem Charlesa Manna, ponieważ pozwolił mi dołączyć do siebie i Josha na wycieczce, która w zamierzeniu miała być wyprawą naukową poprzedzającą wydanie jego książki zatytułowanej „1493”, a którą (w pewnym niewielkim stopniu) pozwolono mi zawłaszczyć. Deric Ruhl uchronił mnie przed żenującym błędem w opisie funkcjonowania pistoletu marki Makarow, a następnie przeczytał cały rękopis i udzielił mi obszernych i niezwykle użytecznych objaśnień na temat broni palnej. Śmiem twierdzić, że w ten sposób znalazł sobie nową niszę w procesie wydawniczym: redaktor balistyczny.

George Dyson wsparł mnie swą wiedzą na temat łodzi rybackich, Keith Rosema wyjaśnił mi idee planów lotu, a George Jewsbury przetłumaczył to i owo na rosyjski.

Ponieważ jednak, powołując się na powyższych ludzi, kładę na szali ich reputację, muszę stanowczo podkreślić, że w niektórych miejscach mogłem źle zrozumieć ich rady, a w innych (przez wzgląd na dobro historii) postanowiłem puścić je mimo uszu. Dlatego nikogo z nich nie należy winić za żadne uchybienia.

I poniekąd - w tym samym duchu - słówko o geografii. Pojawienie się Google Earth umożliwia wyświetlenie na ekranie komputera szczegółowej mapy dowolnego zakątka kuli ziemskiej i porównanie jej z jego opisem w powieści. Ktokolwiek będzie tego próbował z *Reamde* otwartym na kolanach, tylko niepotrzebnie straci czas. Na północy Idaho rzeczywiście znajduje się Abandon Mountain, jest tam również miejsce, które miejscowi nazywają American Falls, ja jednak pozwoliłem sobie na dużą swobodę w ich opisaniu. O ile mi wiadomo, Prohibition Creek nie istnieje. Krótko mówiąc, nie należy oczekiwać, że opisy geograficzne w *Reamde* odpowiadają rzeczywistości oraz jej wiernym cyfrowym odwzorowaniom. Zachęcam raczej czytelnika, by docenił tę książkę jako fikcję literacką, którą w istocie jest, i na tym poprzestał.